

Vera Cowie

Los Szczęścia.

Przełożył Artur Gerard.

Wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1996.

Skanował, opracował i błędy poprawił Roman Walisiak.

Tytuł oryginału FORTUNES.

Copyright (c) 1989 by Vera Cowie.

Redaktor Janina Wujkiewicz.

Ilustracja na okładce Robert Pawlicki.

Skład i łamanie Felberg.

For the Polish translation Copyright (c) 1996 by Artur Gerard.

For the Polish edition Copyright (c) 1996 by Wydawnictwo Da Capo.

Wydanie I.

ISBN 83-7157-050-3.

Printed in Germany by ELSNERDRUCK-BERLIN.

Część Pierwsza.

O jedną więcej.

WRZESIEN.

Rozdział 1 .

Otwarcie wyznaczono na porę raczej dość późną, zmierzch nad Manhattanem zdążył się już zagęścić do prawdziwie nocnej ciemności, kiedy ostatnia limuzyna zakręciła od strony parku i ustawiła się na końcu długiego sznura samochodów, ciągnącego się wzdłuż ulicy Siedemdziesiątej Szóstej Wschodniej.

Początek tej kolumny wyznaczała widoczna z daleka wielka płócienna markiza w białe i czerwone pasy, rozciągnięta nad grubo tkanym czerwonym chodnikiem, wyłożonym od krawężnika aż do frontowych drzwi świeżo odnowionego pięknego domu, utrzymanego w stylu zeszłowiecznych miejskich rezydencji.

Tam właśnie zebrał się już spory tłumek ciekawskich, przyciągniętych widokiem pilnujących porządku policjantów na koniach, tłoczących się fotoreporterów, no a przede wszystkim szansą zobaczenia na własne oczy tych wszystkich sław i znakomitości, które właśnie wysiadały ze swych lśniących limuzyn.

Chóralne ochy i achy cichły i znów narastały, kiedy rozpoznawano kolejnych przybywających gości.

Był to wieczór otwarcia nowojorskiego oddziału Domu Aukcyjnego Despards.

W światowym rankingu firma ta sytuowała się na trzecim miejscu zaraz za sławnymi domami aukcyjnymi Sothebys i Christies i uparcie walczyła o to, by stać się numerem pierwszym.

Na aukcję wystawiano kolekcję dalekowschodniej porcelany ze zbiorów zmarłego przed rokiem Willarda Dextera.

Spodziewano się, że sprzedaż przyniesie minimum pięć milionów dolarów.

Sławy i znakomitości kroczyły po czerwonym chodniku do łagodnie wznoszących się stopni schodów głównego wejścia, skąd otwarte drzwi prowadziły wprost do lśniącego bielą i złotem, wspaniale odnowionego hallu - jednego z najświetniejszych i najwyżej cenionych wśród realizacji Stanforda Whitea.

Lokaj w pełnej liberii odbierał wytwornie rytowane, numerowane zaproszenia i z namaszczeniem przekazywał je uzbrojonemu strażnikowi, który sprawdzał ich zgodność z trzymaną w ręku listą.

W tym samym czasie zdalnie sterowana kamera wewnętrznej telewizji pokazywała zbliżenie twarzy znakomitości, a obsługa porównywała je z posiadaniem zdjęciem.

Po potwierdzeniu tożsamości goście kierowali się w stronę wspaniałych wewnętrznych schodów; wiodły one na piętro, gdzie otwarte olbrzymie, ozdobnie rzeźbione i złoczone dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do obszernego wnętrza, pełnego luster i jarzących się świateł.

Wchodzących witała niewysoka i drobna, bardzo elegancka i piękna kobieta w wytwornej sukni z czarnej satyny.

Uśmiechy i uściski dłoni, które rozdzielala, były precyzyjnie dozowane odpowiednio do wysokości sum, jakich wydania na aukcji można było się spodziewać od poszczególnych gości.

Pomieszczenie, w którym urządzono aukcję - od paru tygodni cały Nowy Jork tylko o niej mówił - było niegdyś salą balową.

Zachowano z niej dawną podłogę, a także podium dla orkiestry.

Jedna ze ścian składała się teraz niemal wyłącznie z okien, sięgających od podłogi do sufitu i wychodzących na widoczną w dole ulicę.

Część okien uchylono, aby do środka mogło dostać się powietrze ciepłej jesiennej nocy. Przeciwległa ściana, pokryta lustrami, odbijała zgromadzony już tłum i z wielokrotnością jeszcze wrażenie niecodziennego tłoku.

Dwa zawieszane u sufitu żyrandole w kształcie gigantycznych tortów ślubnych - tyle że wykonanych z ciętego kryształu z Waterford - jarzyły się zalewającym salę blaskiem, pełnym niezliczonych odbić, wielopunktowych refleksów i tęczyowych załamań.

Wszystkie kobiety pojawiły się w kreacjach sygnowanych przez Norella, Oscara de la Renta, Diora, Yvesa Saint Laurenta i Karla Lagerfelda, a kunsztowne fryzury i olśniewające klejnoty świadczyły, że ich właścicielki zdążyły odwiedzić zarówno salony fryzjerskie Kennetha, jak i skrytki bankowe, w których elegancki świat przechowuje na co dzień swoje kosztowności.

Mężczyźni od czasu do czasu dotykali wewnętrznych kieszeni swych wytwornych wieczorowych strojów, aby się upewnić, że zabrali ze sobą książeczki z czekami gotowymi do wypełnienia.

Powietrze było ciężkie od oszalamiającego zapachu perfum, w cenie co najmniej pięciuset dolarów za uncję, i od dymu niemal równie kosztownych cygar.

Ludzie przechadzali się, skupiali się w grupki i ponownie dzielili na dryfujące niezależnie jednostki i pary tylko po to, by po chwili znów przyłączyć się do jakiejś grupy.

Kobiety przyglądały się potencjalnym rywalkom, a te, których bogactwo można było nazwać dawnym, dyskretnie kręciły nosem na widok różnego rodzaju nowobogackich.

Inne, których specjalnością były słynne nazwiska, podejmowały grę w łączenie ich ze słynnymi twarzami.

Tych akurat nie brakowało.

Niektóre z kobiet żywo reagowały na widok modnego prezentera, najnowszego symbolu seksu w TV, który pojawił się pod ramię ze swą aktualną pierwszą flama, albo wytrzeszczały oczy na żywą legendę, która potrafiła się utrzymać na szczycie hollywoodzkiej drabiny od - mój Boże, kto by pomyślał - 1940 roku.

Byli tam też politycy, finansisci, magnaci z Wall Street; można było dostrzec prawdziwego indyjskiego maharadzę i dwóch milionerów z Hongkongu, a także księcia Dimitrija Poliakowa i hrabiego Aleksieja Oniedina, którzy zaczynali tu niegdyś jako biali emigranci z Rosji, a obecnie byli amerykańskimi miliarderni, z których nieograniczonymi możliwościami musiał się liczyć każdy, kto chciałby z nimi rywalizować na aukcjach dalekowschodniej porcelany.

Zebrały się tu naprawdę duże pieniądze: był praktycznie każdy liczący się dealer ze Wschodniego Wybrzeża, wielu z Zachodniego, a do tego jeszcze niemało osób z Europy, które przyleciały specjalnie także po to, by na własne oczy przekonać się, jak firma Despard, ten najbardziej konserwatywny z domów aukcyjnych, poradzi sobie w tym pełnym blasku i blichtru domu wariatów, jakim z pewnością był oszalały na punkcie reklamy Nowy Jork.

Dwaj mężczyźni, którzy zatrzymali się w pobliżu wejścia, przyglądali się witającej gości kobiecie w czarnej sukni.

Nie było w tym nic dziwnego: mężczyźni zawsze przyglądali się Dominique du Vivier, gdziekolwiek się pojawiła.

- Zauważyłeś, jak wygląda?

Nawet jeśli uwzględnić tylko to, co nie jest ukryte pod tą czarną suknią, to nie jest mało...

- Jak mógłbym nie zauważyć!

I powiem ci, że z najwyższą przyjemnością nawiązałbym z tą damą jakąś entente cordiale.

- Za późno.

Już znalazł się ktoś, kto cię uprzedził, i myślę, że nietrudno ci będzie zgadnąć dlaczego.

Blaise Chandler może sobie być w jednej ósmej Szoszonem, ale cóż znaczy drobna domieszka indiańskiej krwi, jeśli się przy okazji jest kimś, kto któregoś dnia odziedziczy prawie jedną czwartą naszego narodowego dochodu?

- Na razie nikogo przy niej nie widzę.

- O, Blaise będzie tu z całą pewnością.

W końcu ta nowojorska aukcja to prawdziwe święto jego żony.

- A więc to prawda, że głównie ona nakłoniła starego Desparda do otwarcia filii także tutaj?

- Oczywiście.

Ona chce rządzić.

A Londyn od zawsze należał do starego.

Paryż w tym biznesie nie liczy się tak bardzo - w końcu wiesz, jak to jest w Galeries Drouot - a Hongkong i Monte Carlo są może prestiżowe, ale jednak zbyt małe.

Tak że dopiero właśnie to - mówiący kiwnięciem głowy wskazał na otaczające ich wspaniałości - może być tym, o co jej chodziło.

To wielki dzień Dominique du Vivier.

W dodatku udało się jej pozyskać kolekcję Willarda Dextera, a nie muszę ci mówić, że to wręcz policzek dla niejednego z wielkich dealerów.

- Więc jak jej się to udało?

- zapytał drugi mężczyzna.

Jego rozmówca zachichotał.

- Masz chyba oczy.

Sam widziałeś, co ona ma i tu, i tu...

Jeżeli Dominique du Vivier czegoś chce, to dostaje.

A jeśli pytasz, co robi, żeby to dostać, to powiem ci, że prawdopodobnie to, o czym wielu z nas śni podczas gorących nocy.

Kiwnął głową i spojrzał w stronę, gdzie bardzo wysoki mężczyzna o bardzo ciemnej karnacji pochylał się właśnie z wysokości swych blisko dwóch metrów, aby musnąć wargami policzek żony, której świetlista cera z delikatnym makijażem przypominała płatek rozkwitającej magnolii.

- Tak, właśnie przyszedł.

To jest Blaise Chandler.

Dominique to powitanie przyjęła z satysfakcją, tym większą, że zdawała sobie sprawę, jak uważnie jest obserwowana.

Spojrzenia mężczyzn były pełne pożądania, a kobiet - zazdrości.

- No i jak?

- zapytał Blaise z uśmiechem, pochylając się ku niej.

- Wreszcie nadszedł twój wieczór, uwieńczenie dwóch długich lat ciężkiej pracy.

Jesteś na szczycie.

- Obrócił się i popatrzył na tłum.

- I jak znajdujesz ten widok?

Ogromne oczy Dominique rozszerzyły się jeszcze bardziej, kiedy spojrzała na męża.

- Ależ kochanie, jedyny widok tutaj to ja - powiedziała, mimo woli przechodząc na rodzimy francuski.

Wiedziała, że Blaisea to rozbawi.

I rzeczywiście roześmiał się, a jego białe zęby zabłyśły jeszcze jaśniej w zestawieniu z ciemną indiańską cerą.

Tak, to był jej własny Indianin, jej sauvage Indien, jej największe życiowe osiągnięcie, przynajmniej do dzisiaj.

Ten wieczór miał być bowiem ukoronowaniem wszystkiego.

Król nie żyje, niech żyje królowa!

I nieprawda, że było to uwieńczenie dwóch lat ciężkiej pracy.

W rzeczywistości chodziło o pełnych dwanaście lat od dnia, kiedy Charles Despard poślubił jej matkę.

Dominique była wtedy osiemnastoletnią dziewczyną, która nie miała praktycznie nic poza niezłym wyglądem i nie pozbawioną zdolności głową.

Oczywiście pochodzenie z Faubourg też się cokolwiek liczyło.

Teraz była już nie tylko prawdziwą gwiazdą w świecie koneserów sztuki, cenionym ekspertem zarówno w dziedzinie własnej specjalizacji, jak i w obszarze zainteresowań jej ojczyma - to znaczy dalekowschodniej porcelany - ale też bystrą i zręczną kobietą interesu.

Kobietą, która świadomie i z pełną determinacją postanowiła, że zmieni dotychczasowy - stworzony przez jej ojczyma - image firmy Desparda na inny, bardziej odpowiadający oczekiwaniom nowych czasów i nowego świata.

Jej zdaniem było to konieczne.

Londyn przestawał być jedynym i absolutnie dominującym centrum handlu dziełami sztuki, natomiast znaczenie Nowego Jorku rosło coraz bardziej.

Nie bez powodu zarówno firmy Sothebys, jak i Christies były tu tak znacząco reprezentowane.

Tam po prostu również to wiedzieli.

I to dlatego Dominique du Vivier tak właśnie zorganizowała tę aukcję: stroje wieczorowe, francuski szampan, przygrywająca orkiestra, specjalny katalog, który sam w sobie był dziełem sztuki, dorównującym sprzedawanej porcelanie, a do tego jeszcze wspaniałe jedzenie, które śmiało można by porównać z ambrozją.

Listę zaproszonych gości opracowała starannie i postarała się, aby usadowieni na sali stworzyli prawdziwe audytorium marzeń, a otrzymanie bądź nieotrzymanie zaproszenia było znaczącą kwestią towarzyską.

Potrafiła umieścić odpowiednio niedyskretne przecieki w mniej lub bardziej plotkarskich pismach, szepnąć to i owo właściwym ludziom, wzbudzić ciekawość i w rezultacie wytworzyć atmosferę gorączkowego zainteresowania, które nieustannie narastało.

A finałowym, choć zupełnie nieprzewidzianym, elementem tej jej precyzyjnej kampanii, który sprawił, że to wszystko tym bardziej stało się prawdziwie niezwykłym wydarzeniem - okazał się nagły zgon ojczyma, Charlesa Desparda, który zmarł na atak serca dwa dni przed planowanym otwarciem aukcji.

Dominique dotychczas walczyła o coś, czego, jej zdaniem, świat sztuki obecnie potrzebował: o blask i rozgłos, choć wtedy jeszcze nie goniła za tanią sensacją.

Teraz jednak, kiedy ta rzeczywiście sensacyjna śmierć nastąpiła akurat w takim momencie, postanowiła to bezlitośnie wykorzystać.

- Zamierzasz więc przeprowadzić aukcję tak, jak była zaplanowana?

- zapytał ją wtedy Blaise, a jego ściągnięte brwi wskazywały, że nie w pełni to akceptuje.

- Oczywiście.

- I jak chcesz to zrobić?

Przecież nie masz nikogo, kto mógłby poprowadzić ją w zastępstwie twojego ojczyma.

- Ja zajmę jego miejsce.

- Nie masz wystarczającego doświadczenia.

To nie to samo, co aukcja w Hongkongu czy Monte Carlo.

To jest Nowy Jork; jestem stąd i znam to miasto.

Tu ludzie domagają się rzeczy najlepszych z najlepszych.

I nie mają cienia litości dla tych, którzy im tego zapewnić nie potrafią.

- Właśnie dlatego!

- powiedziała Dominique.

- Kto blisko pięć lat walczył o to, żeby firma Despard otworzyła swój oddział także tutaj?

No kto?

To przecież ja przymilałam się, ugłaskiwałam i namawiałam, to ja przygotowywałam plany i projekty, opracowywałam szczegółowe kosztorysy, pozyskiwałam ludzi, nawiązywałam kontakty, szukałam tych, którzy w przyszłości mieli się stać naszymi klientami.

Nie obawiaj się, wiem, jacy to są ludzie, i wiem, ile trzeba trudu i umiejętności, żeby wszystko poszło z nimi jak trzeba.

I nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie miała pewności, że potrafię to robić, i to dobrze.

To w końcu ja opracowałam listę zaproszonych.

Znam wszystkich klientów, którzy mogą wziąć udział w licytacji, a oczywiście myślę o takim udziale, który będzie się liczył.

Zaprosiłam i Poliakowa, i Oniedina i wiem, że poradzę sobie z nimi.

To przecież mężczyźni...

Blaise patrzył na piękną twarz żony, która nawet w momencie podniecenia potrafiła zachowywać wyraz chłodnej wytworności i elegancji.

On sam wydawał się obojętny i zamknięty w sobie, jak zawsze, kiedy w rzeczywistości był gniewny czy nawet wściekły.

Niech to diabli!

- pomyślał.

Teraz, kiedy Charles Despard zmarł tak nagle i w tak nieodpowiednim momencie, nic już nie potrafi powstrzymać Dominique.

Na złamanie karku rzuci się natychmiast, żeby się znaleźć tam, gdzie, jej zdaniem, od dawna jest jej miejsce, to znaczy: w gronie zwycięzców.

Potrafiła - w każdym razie w większości przypadków - owinać ojczyma wokół małego palca.

Blaise nie miał wątpliwości, że potwierdzi się to jeszcze raz, gdy dojdzie do ujawnienia treści testamentu.

Z całą pewnością stary Despard musiał zapisać jej to, co sam uważał za najważniejszą rzecz w swoim życiu - swój dom aukcyjny.

Za pięć minut miała się rozpocząć największa aukcja, jaką jego żona kiedykolwiek prowadziła, a co do testamentu, spodziewał się, iż w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin sam będzie mógł potwierdzić, że firma Despard et Fils jest obecnie własnością Dominique du Vivier.

Bo chociaż Dominique była pasierbicą Charlesa Desparda, a potem została żoną Blaisea Chandlera, zawsze była powszechnie znana pod nazwiskiem, z którym się urodziła.

Pod tym nazwiskiem stopniowo stawała się rozpoznawana i głośna.

Dziś też to nazwisko sprawiało, że sama niejako stanowiła prawo dla siebie.

Tylko ona miała dość odwagi i pewności siebie, żeby pojawić się na aukcji otwierającej działalność domu aukcyjnego Despards w Nowym Jorku w dwa dni po śmierci swego ojczyrna.

I to pojawić się w sukni, która co prawda była czarna, ale stanowiła jedynie kawałek satyny zawieszony na dwóch cienutkich ramiączkach.

Tkanina tak niedwuznacznie przylegała do każdej krzywizny i każdego zagłębienia, tak dalece ujawniała kształt jej aroganckich, wysokich piersi i okrągłość rysujących się podobnie wyraźnie pośladków, że dla każdego patrzącego musiało być oczywiste, iż dama w tej sukni jest prawie naga, choć w bardzo subtelny sposób jest też i poza tym wszystkim, i nawet ponad tym.

Dominique nie przejmowała się tym, co powiedzą ludzie; to wszystko było częścią jej legendy, podobnie jak była nią jej uroda.

Była bardzo drobna i miała niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu; w jakiś sposób przypominała laleczkę, elegancką i wytworną.

Włosy miała zawsze lśniące, niemal granatowo czarne, przycięte na wzór fryzury japońskich dzieci, z krótką grzywką i bokami opadającymi łukiem od kącików oczu aż do krawędzi dolnej szczęki.

Te włosy tworzyły owal obramowujący twarz, której widok zapierał dech w piersiach - drobne, idealne rysy wyrzeźbione w skórze tak delikatnej i przezroczystej jak najlepsza porcelana; oczy, równie wielkie i niebieskie jak ogromne szafiry, które ozdabiały jej uszy; rzęsy przywodzące na myśl wysokie podzwrotnikowe palmy, otaczające błękitne laguny.

Ciało Dominique było drobne, ale doskonałe w kształtach i budowie, a jawny i dojmujący seksapil porażał mężczyzn niemal natychmiast.

Tak czy inaczej zyskała sobie przydomek Pięknej Rosiczki, ponieważ mężczyzna, który niczym owad trafił w te słodkie ramiona-płatki, mógł się z nich wydostać tylko wyspany do cna.

Wyszła za Blaisea Chandlera przed dwoma laty.

Spotkali się na jakimś przyjęciu, wyjątkowo nudnym, przynajmniej dla niej.

Tam Blaise ją dostrzegł i natychmiast jej zapragnął.

Ich oczy spotkały się ponad stłoczonym jak zawsze tłumem gości; wpatrywali się w siebie żarliwie przez trwającą dwadzieścia sekund nieskończoność, a potem Dominique podeszła do pani domu, żeby się pożegnać.

Kiedy - w dwie minuty później - Blaise ruszył w jej ślady, okazało się, że Dominique siedziała w jego samochodzie i czekała na niego.

Już wtedy wiedział, że wpadł na dobre; czuł się przebity na wylot, obezwładniony, jakby zawieszony w nieustannym erotycznym oczekiwaniu.

Ale zdarzały się chwile, kiedy - bez emocji - zdawał sobie sprawę, że to pożądanie nie jest równoznaczne z uczuciem dla żony.

Teraz Dominique uśmiechnęła się, patrząc na jego twarz o skórze w odcieniu ciemnej miedzi, kpiąco zmarszczyła nos i w końcu zaczęła się śmiać, nieco gardłowo, jak to ona.

- Nie wiem, czy to kiedykolwiek zrozumiesz.

Najgłębszą istotą świata sztuki jest obsesja, ale przekonywać o tym ciebie to tyle, co tracić czas.

- Ja nie pragnę niczego na własność - powiedział Blaise.

- Z wyjątkiem ciebie, oczywiście!

- dodał szarmancko.

- Wydajesz wielkie pieniądze na konie.

- To co innego.

Konie jednak do czegoś służą.

A do czego służy kawałek porcelany, na który można się tylko gapić?

Wyciągnął rękę i zatrzymał przechodzącego z tacą kelnera, sięgając po kieliszek szampana.

Wziął tylko jeden - Dominique nigdy nie piła podczas pracy.

Teraz przyglądała się mężowi, jak próbuje smaku szampana i z aprobatą kiwa głową.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, jakby ostatecznie rezygnując z walki o coś, co i tak było spisane na straty.

Kiwnęła głową w stronę obsługi stojącej po obu stronach wejścia.

- Możecie już zamknąć - powiedziała.

- Jesteś pewna, że już nikt więcej nie przyjdzie?

- zapytał Blaise.

- Jeżeli przyjdzie, to nie zostanie wpuszczony.

Aukcja zaczyna się dokładnie o wpół do dziewiątej, więc i ja muszę już iść na moje miejsce prowadzącej - oznajmiła Dominique, a jej oczy były znów roześmiane i kpiące.

Odwróciła się i chciała już odejść, gdy Blaise zatrzymał ją, rzucając za nią pytanie: - Jaka jest zatem lekcja na dzień dzisiejszy?

Dominique zatrzymała się, odwróciła do niego twarz i przez chwilę patrzyła spod lekko przymrużonych rzęs.

Na jej kształtnych ustach pojawił się uśmiezek, który Blaise rozpoznał natychmiast.

- Kto ma, temu będzie dane; a kto nie ma, temu zabiorą i to, co mu się wydaje, że ma - powiedziała w końcu, po czym ruszyła w stronę swojego miejsca na podwyższeniu.

Tłum niemal automatycznie rozstępował się przed nią.

Kroczyła zawsze z najwyższą pewnością siebie, niezmiennie świadoma, że nie może napotkać sprzeciwu.

Ogromne drzwi powoli i uroczyście zamknęły się za nią.

Dominique bez śladu jakiegokolwiek wahania podeszła do pulpitu na wysokich, wytoczonych z drewna orzecha włoskiego nogach, oryginalnego i pięknego mebla, przywiezionego z Londynu specjalnie na okazję otwarcia nowojorskiego oddziału firmy, a wykonanego jeszcze w 1835 roku dla pradziadka samego Charlesa Despada.

Pulpit na stronie frontowej ozdobiony był miedzianą płytą z wrytym na niej napisem Despard et Cie i przez wiele lat służył kolejnym właścicielom firmy, w tym również ostatniemu.

Teraz za tym pulpitem stanęła Dominique.

W tej samej chwili dał się słyszeć dźwięk dzwonka, a zgromadzeni goście zaczęli pośpiesznie zajmować miejsca.

Na sali stało dwadzieścia rzędów wysokich, bogato złożonych krzeseł, po trzydzieści w każdym rzędzie, rozdzielonych tylko przejściem pośrodku.

Goście pośpiesznie odstawiali kieliszki na podsuwane przez sprawnych kelnerów tace; reszta obsługi w tym czasie szybko i bezgłośnie zebrała także naczynia wcześniej pozostawione przez gości w różnych miejscach sali.

Dominique czekała, aż wszyscy zajmą miejsca.

Żarówki ogromnych żyrandoli przygasły i cała sala pogrążyła się w półmroku, tylko Dominique widoczna była w świetle punktowego reflektora.

Jaskrawe światło jeszcze bardziej podkreślało biel jej kształtnych ramion, kruczają czerni lśniących włosów i migotliwy błękit ogromnych szafirów w zdobiących jej uszy kolczykach.

Stała tak bez słowa, a sala z wolna cichła, otwarte już broszurki programów przestały szeleścić, każdy z gości zdążył usadowić się wygodnie.

Blaise stał niemal na samym końcu sali, w pobliżu drzwi, jako że jeszcze przed północą odlatywał do Londynu.

Patrzył na żonę i nie mógł nie przyznać, że zaaranżowała to wszystko znakomicie.

Nikt nie musiał jej uczyć sztuki uzyskiwania prawdziwie scenicznych efektów!

Dominique była drobna, a jednak w jakiś sposób panowała nad tą salą.

Ogromna czarna kurtyna z grubego aksamitu rozchyliła się za nią bezgłośnie, odsłaniając okrągły stół, również przykryty czarnym aksamitem i - podobnie jak sama Dominique - oświetlony punktowym reflektorem.

Poniżej pulpitu umieszczono długi stolik z dwoma rzędami telefonów, aby współpracownicy Dominique mogli odbierać zaoceaniczne oferty.

Po lewej stronie siedział jej pomocnik i sekretarz John Deakin, który od trzydziestu lat pracował dla Charlesa Desparda i był jego najbardziej zaufanym oficjalistą.

W głębi, niewidoczni dla publiczności, usytuowani byli pracownicy, którzy mieli wnosić poszczególne eksponaty i umieszczać je na odpowiednich stanowiskach przygotowanych do ekspozycji.

Dominique wciąż milczała i pozwalała napięciu narastać.

Czuła tę salę niczym pająk, który wychwytyje każde najmniejsze drgnienie w różnych punktach swojej sieci, a jednocześnie pozwala swym ofiarom wplątywać się coraz głębiej w pułapkę, z której już nie potrafią się wymknąć.

Dopiero kiedy była absolutnie pewna, że już całkowicie nad nimi panuje, uśmiechnęła się i pełną wdzięku, akcentowaną z cudzoziemska, choć składniowo nienaganną angielszczyzną powiedziała: - Wasze Wysokości, panie, panowie, witajcie w Domu Aukcyjnym Despards w Nowym Jorku!

Na widowni gościło dwóch przedstawicieli rodowej arystokracji: jeden z nich był angielskim hrabią ze wspaniałym, sięgającym daleko w przeszłość drzewem genealogicznym i nieporównanie bardziej mizernym majątkiem.

Nie mając własnych pieniędzy, ożenił się z bogatą Amerykanką i od pewnego czasu pracował dla Despardów jako swego rodzaju agent, donoszący szefom firmy o tym, co, kto i kiedy może mieć do sprzedania w liczących się rodzinach w Ameryce.

Drugim arystokratą był włoski książę, który z podobnych powodów robił dla firmy Despards dokładnie to samo, ale na terenie Europy.

Obaj byli obecni na sali przede wszystkim jako przynęta.

Dominique wiedziała, jak bardzo Amerykanie cenią rodowe tytuły, a w tym akurat przypadku oba były autentyczne.

- Dzisiejszy wieczór, proszę państwa - ciągnęła Dominique, a jej głos brzmiał spokojnie i pewnie - jest uwieńczeniem dwóch lat przygotowań i wytrwałego realizowania planów.

Naszym zamiarem było wprowadzenie Domu Aukcyjnego Despards na należne mu miejsce w Nowym Jorku.

Od dziś w Ameryce są już nie dwa, ale trzy wielkie domy aukcyjne.

W tym momencie - jak to zostało wcześniej ustalone - ktoś na sali zaczął klaskać i już po chwili cała sala przyłączyła się do aplauzu.

Dominique z wdziękiem skłoniła głowę i czekała, aż umilkną brawa.

- Jest więc rzeczą słuszną i właściwą, aby wspomnieć człowieka, któremu zawdzięczamy wprowadzenie firmy do Nowego Jorku i który, zaledwie dwa dni temu, odszedł od nas tak nagle i w tak tragicznych okolicznościach.

Myślę o naszym nieodżałowanym zmarłym, wielkim Charlesie Despardzie.

I znów - zgodnie z ustalonym planem - rozległa się burza oklasków.

- Charles Despard nie tylko był moim ojczymem - kontynuowała Dominique - ale także mentorem, nauczycielem i najlepszym przyjacielem.

Będzie mi go bardzo brakować, podobnie jak i nam wszystkim.

Jego pamięci zatem chciałabym zadedykować dzisiejszą aukcję, ten wieczór otwarcia najnowszego oddziału jego firmy, oddziału, który niewątpliwie już wkrótce stanie się największym.

Panie, panowie, złożmy hołd Charlesowi Despardowi.

Nagle wszystkie światła zgasły na piętnaście sekund, a kiedy zapaliły się ponownie, sala westchnęła w nabożnym podziwie i zachwycie.

Na samym środku pokrytego czarnym aksamitem stołu pojawił się przedmiot tak niezwyklej urody, że nawet Blaise z uznaniem pokiwał głową.

- Panie i panowie, oto obiekt numer jeden!

- Głos Dominique zmienił się, można było w nim wyczuć pełne zachwyty podniecenie, opanowywane wprawdzie, ale tak intensywne, że u co wrażliwszych z pewnością musiało to wywoływać ekscytujące mrowienie i gęsią skórę.

- Drodzy państwo, jest to coś tak wyjątkowego, że mimo iż wiele pięknych eksponatów oglądam na co dzień, mogę mówić o tym tylko z wielkim podziwem i zachwytem.

To rzeczywiście robiło wrażenie, trudno więc było się dziwić, że w tym momencie niemal cała widownia jak na komendę pochyliła się do przodu.

Blaise zdał sobie sprawę, że nawet on mimo woli zrobił krok w stronę podium.

- Oto wspaniały i dzisiaj już niezwykle rzadko spotykany półmisek, w kolorze bieli i czerwieni, ze szkliwioną dekoracją z brązu, intensywną i ciemną przy brzegach, a rozjaśniającą się pośrodku naczyńca.

Całość pokryta jest półprzezroczystym mlecznobiałym szkliwem, ukształtowanym w rozległe nieregularne powierzchnie, między którymi można dostrzec drobne fragmenty porcelany nieglazurowanej, zwłaszcza przy górnej krawędzi.

Doskonałość polewy jest wyjątkowa, gdyż, jak państwo wiedzą, tak wczesne okazy rzadko uzyskiwały przy wypalaniu oczekiwany kolor i odcień.

W tym przypadku udało się to znakomicie.

Naczynie jest w idealnym stanie, nie ma na nim najmniejszego pęknięcia, zadrapania czy choćby plamki.

W cenę sprzedawanego przedmiotu wchodzi również specjalnie wykonana kasetka do przechowywania go.

Półmisek pochodzi prawdopodobnie z drugiej połowy czternastego wieku.

Byłabym skłonna oznaczyć go jako porcelanę Yuan, z roku około 1350.

Znany jest dotąd tylko jeden podobny półmisek, który znajduje się w zbiorach Ermitażu w Sankt Petersburgu.

Cenę wywoławczą ustaliliśmy na sto tysięcy dolarów...

Ze swego miejsca na samym końcu sali Blaise nie mógł widzieć licytacji i licytujących, słyszał tylko głos Dominique.

Nie można było w nim wychwycić żadnych objawów podniecenia, gdy oferowane sumy zaczęły rosnać stopniowo, a potem wręcz skokowo.

Coraz częściej dawały się słyszeć pomruki, okrzyki, czasami nawet krótkotrwałe oklaski, gdy cena zaczęła zbliżać się do pięciuset tysięcy dolarów.

Głos Dominique był nadal spokojny i opanowany i tylko jej oczy przesuwaly się od jednego nabywcy, siedzącego na wprost niej, do drugiego, który był po drugiej stronie, tuż za środkowym przejściem.

Obaj mieli miejsca w pierwszych rzędach, jak przystało na prawdziwie liczących się graczy.

Byli to wspomniani przez Dominique książe Dimitrij Poliakov i hrabia Aleksander Oniedin.

Blaise przypomniał sobie, co Dominique mówiła o ich zacieklej rywalizacji o tytuł właściciela "najbardziej liczącej się kolekcji świata".

- ...pięćset tysięcy dolarów...

Pięćset pięćdziesiąt tysięcy...

mamy pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, widzę więcej...

Sześćset tysięcy dolarów, książe Poliakov, kto przebiję tę ofertę...

sześćset pięćdziesiąt tysięcy.

Sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów w środku pierwszego rzędu...

sześćset pięćdziesiąt tysięcy...

- Dominique zrobiła niedostrzegalną pauzę, a następnie, jak gdyby zdając sobie sprawę, że książe nie podniesie już stawki, zamknęła licytację uderzeniem ozdobnego młotka.

Odgłos tego uderzenia miał w sobie coś z ostateczności wyroków losu.

- Kupił hrabia Oniedin za sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Rozległa się burza oklasków.

Blaise zdał sobie sprawę, że sam mimo woli wstrzymał oddech, a jego serce biło mocniej niż zwykle.

Chryste Panie!

- pomyślał.

Prawie trzy czwarte miliona dolarów za kawałek porcelany!

Dominique odczekała, aż szmer na sali przycichnie, a następnie dała znak i światła ponownie przygasły.

Kiedy znów się zapaliły, na czarnym aksamicie stało sześć wspaniałych białoniebieskich kielichów, z których każdy wydawał się w doskonały sposób wyważony w kształcie i kolorystyce, a zachwycająca linia tych smukłych naczyń wręcz domagała się, by stęsknione palce znawców mogły ich dotknąć i przesunąć się po tych powierzchniach.

- Sześć białoniebieskich kielichów z epoki Ming - oznajmiła Dominique.

- Każdy z nich ma około jedenastu centymetrów wysokości i widnieją na nim znaki Hsuan Te z tej właśnie epoki.

Każdy też przechowywany jest w specjalnej kasecie.

Wszystkie są w doskonałym stanie i nie mają śladów jakichkolwiek zadrapań czy uszkodzeń.

Jak zapewne państwu wiadomo, zmarły właściciel kolekcji, Willard Dexter, był wręcz obsesyjnie wrażliwy na punkcie najwyższej jakości okazów, zebranych w jego kolekcji; gromadził w niej tylko rzeczy absolutnie doskonałe.

Zacznę od ceny wywoławczej ustalonej na sześćset tysięcy dolarów...

już siedemset tysięcy dolarów, dziękuję, hrabio Oniedin...

A więc ona miała rację!

Jak zwykle zresztą, pomyślał Blaise, czując, jak fala podniecenia przebiega przez salę, niczym po jakimś gigantycznym zastrzyku adrenaliny.

Oni naprawdę gotowi są rzucić się na siebie, przegryzać gardła i krwawić milionami...

- ...usłyszałam milion dolarów...

pan w pierwszym rzędzie daje milion...

I oferta od klienta zza oceanu: milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy...

- Jedna z młodych kobiet odbierających telefony zapisała to na karteczce, którą kilkunastoletni goniec natychmiast podał Dominique.

- Następna oferta wynosi półtora miliona dolarów.

Wciąż półtora miliona...

i jeszcze dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

A więc milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów...

Dwa miliony dolarów!

Przez salę przebiegła następna fala już niemal chorobliwego podniecenia.

Będzie więcej niż dwa miliony dolarów, pomyślał znów Blaise.

To doprawdy niewiarygodne.

- ...mamy zatem dwa miliony pięćset tysięcy...

i za dwa miliony pięćset tysięcy dolarów...

- znów rozległo się uderzenie młotka kończące licytację - ...kupił książkę Poliakov.
Po tym wszystkim Dominique chyba uznała, że nadmiernie rozbudzone emocje należy
cokolwiek wyciszyć.

W każdym razie światła na widowni rozjaśniły się nieco i znów pojawili się kelnerzy z
tacami zastawionymi kielichami z szampanem.

Blaise intensywnie przyglądał się żonie.

Tak jak się tego spodziewał, poczuła jego wzrok, uniosła głowę i spojrzała na niego.

Blaise trzymał w górze obie ręce złączone ze sobą, tak jak to czynią bokserzy po
zwycięskiej walce.

Dominique rozpoznała znaczenie gestu i lekko się uśmiechnęła.

Oczywiście, powinienem był to wiedzieć od początku, pomyślał.

Kiedy Dominique zapowiadała, że coś zrobi, można być pewnym, że tak właśnie będzie.
W dodatku tym razem naprawdę długo i ciężko nad tym pracowała; wytrwale nakłaniała
Charlesa Desparda do otwarcia oddziału firmy w Nowym Jorku, urabiała go wciąż i
namawiała, aby zaryzykował wejście na Manhattan, mimo że to posunięcie musiało
pociągnąć za sobą straszne koszty.

A ryzyko było ogromne, bo przecież w Nowym Jorku trwale i pewnie funkcjonowały już
dwa domy aukcyjne o światowej renomie.

Poza tym Charles lubił Londyn.

Firma Desparda istniała tam od stuleci, miała w tym mieście liczących się stałych
klientów, dla których potrafiła być niejako familijnym reprezentantem ich interesów na
wszelkich aukcjach, mniej więcej tak, jak inne, równie stare firmy zajmowały się
reprezentowaniem wszelkich interesów prawnych.

Charles Despard nie miał zaufania do nowoczesnego modelu domów aukcyjnych, jego
zdaniem pełnego blichtru i fałszywego hollywoodzkiego blasku - a taki właśnie model na
Nowy Jork proponowała Dominique.

Tymczasem Charles nigdy nie czuł się kupcem od licytacji, który usiłuje być
dżentelmenem; przeciwnie - był dżentelmenem, który z własnego upodobania zajmował
się aukcjami dzieł sztuki.

I potrafił to robić cholernie dobrze.

Jego nazwisko kojarzono z dalekowschodnią porcelaną.

Charles Despard wiele lat temu nieomal zmonopolizował tę dziedzinę i ciągle uzyskiwał
najwyższe ceny pośród wszystkich konkurentów.

Jego oko było przysłowiowo bezbłędne, a wyróżniał się też rozległą wiedzą i
doskonałym smakiem, nie mówiąc już o prawdziwej miłości do tego, co robił.

I w tym właśnie miejscu ostatecznie rozchodziły się drogi Charlesa Desparda i jego
pasierbicy.

Charles tkwił w tym, ponieważ kochał swój zawód; Dominique zajmowała się tym
dlatego, że kochała pieniądze.

To właśnie Dominique wprowadziła do praktyki firmy pomysł wykorzystywania w
charakterze "agentów" różnych będących w potrzebie członków utytułowanych rodzin.

Charles oczywiście zawsze był zdania, że porządnie wykonana ekspertyza jest znacznie
istotniejsza od badania almanachu gotajskiego.

To również Dominique wprowadziła zwyczaj przegłosowywania wątpliwych rozstrzygnięć wbrew jednoosobowym dotychczas decyzjom Charlesa; skutecznie przeciwstawiała się też jego stałej niechęci do współpracy z co bardziej snobistycznymi nowoczesnymi dealerami.

Nalegała na otwieranie oddziałów firmy również w weekendy, wprowadziła specjalny dział zapisów dla kupujących i zrealizowała jeszcze kilkanaście innych nowych pomysłów, które w rezultacie przynosiły większe dochody.

Posunęła się nawet do tego, że zaproponowała ogłaszanie się w mediach i kampanię reklamową, zorganizowaną przez nowoczesną agencję, ale Charles kategorycznie sprzeciwił się wprowadzaniu do jego firmy czegoś podobnego.

"Despards jest sam dla siebie reklamą", powiedział i nic na świecie nie było w stanie zachwiać jego przekonania.

Podobnie nie zamierzał rozstać się z Despards Downtown, małym filialnym sklepikiem ze starego śródmieścia, nieefektywnie upchniętym w głębi uliczki Kensington, gdzie wciąż jeszcze - ku nie ukrywanej i graniczącej z niesmakiem niechęci Dominique - sprzedawano głównie tanie rzeczy.

To Dominique zorganizowała stałe prezentacje firmy w telewizji i sama je prowadziła, gdyż Charles wzdragałby się nawet na samą myśl o tym.

Dominique miała przed sobą tylko jeden cel - powiększenie przypadającej na firmę Despards części rynku, w chwili obecnej sytuującej ich co prawda tylko o jakieś cztery punkty za Christies, ale wciąż znacznie poniżej wiodącej tu zdecydowanie firmy Sothebys.

W zeszłym roku obroty domu aukcyjnego Despards przekroczyły trzysta milionów dolarów, o dwadzieścia pięć milionów więcej niż w poprzednim.

Na rok bieżący Dominique przewidywała siedemnastoprocentowy wzrost i jeżeli ta aukcja miała tu być istotnym wkładem, to można było mieć pewność, że wyciągnie z niej tyle, ile tylko będzie możliwe.

A potem, jeśli zdecyduje się przekształcić firmę w spółkę akcyjną i wejść z nią na giełdę - Dominique dotychczas ledwie od czasu do czasu ostrożnie o tym wspominała, z czego wynikało, że wciąż jeszcze się nad tym zastanawia - to z całą pewnością także i na tym nie mało zarobi.

Tak to z nią jest, pomyślał Blaise, gdy światła na widowni ponownie przygasły.

Dominique przez lata pracowała na tę jedną chwilę.

Miała instynkt i była ambitna.

A przede wszystkim potrafiła się szybko uczyć.

Trzeba zresztą powiedzieć, że w osobie Charlesa Desparda znalazła nauczyciela prawdziwie doskonałego.

Wystarczyło spojrzeć, jak teraz prowadziła tę dotąd najważniejszą dla niej aukcję, w dodatku przygotowaną w tak krótkim terminie i w tak szczególnych okolicznościach.

Blaise rozpoznawał na sali wiele osób, które znał bądź osobiście, bądź też przez swoją babkę, która oczywiście musiała znać ich wszystkich.

To, że aż tak wiele z tych osób przyszło tu osobiście zamiast delegować swych zaufanych dealerów, świadczyło o tym, jak wiele już znaczyła jego żona i jak wielki był jej wpływ na nich wszystkich.

Dowodem mógł być również specjalnie wydany przez nią katalog, za który w dodatku kazała płacić - co, zdaniem niektórych, było już jawną bezczelnością - a który, jak się okazało, rozszedł się na wiele tygodni przed dniem otwarcia.

To też dowodziło, że jednak była to aukcja roku.

Tam gdzie możni i najbogatsi zbierali się, aby zawiesić karteczki ze swą ceną na rzeczach bezcennych, gromadzili się oczywiście również i tacy, którzy mogli się tylko przyglądać.

Ale ci byli tym bardziej wszystkiego ciekawi i trudno się było dziwić ich przeciągłym achom i ochom.

Tego wieczoru było tu więcej pieniędzy i więcej znakomitości niż na jakimkolwiek wielkim balu.

Na przykład coś takiego jak teraz...

Światła rozjaśniały się bardzo powoli, teatralnie zwiększając napięcie.

Z ciemności wyłoniło się egzotyczne naczynie w kształcie czary, a na widowni rozległo się zbiorowe westchnienie zachwytu.

Ona teraz ma ich w garści, pomyślał Blaise.

To, że w ogóle potrafiła ich poruszyć po ledwie dwóch sprzedanych eksponatach, już było niezwykle; ale jej suwerenne panowanie nad widownią, to, w co potrafiła w tym czasie przekształcić całe to zgromadzenie ludzi przemyślnie wyrachowanych, doświadczonych w grach tego świata i nawykłych do postawy bezpiecznej wyższości, gwarantowanej im przez ich pieniądze - to było coś znacznie trudniejszego.

Ci wszyscy pełni pychy ludzie niespodziewanie zmienili się w pokornych wyznawców, gotowych czcić zbudowany przez nią ołtarz, przy którym pełniła rolę kapłanki.

A to świadczyło niezbicie, że Dominique istotnie była tu na swoim miejscu.

Tu, gdzie zawsze chciała być, to znaczy na szczycie największego stosu pieniędzy.

- Panie i panowie, obiekt numer trzy to ta wspaniała czara do wina, pochodząca z początków epoki Ming, ozdobiona unoszącymi się w powietrzu smokami i postaciami Nieśmiertelnych.

Proszę zwrócić uwagę na wyraźne wielowarstwowe nakładanie kobaltu.

Czara oznaczona jest sygnaturą z czasów panowania cesarza Cheng Hua.

Dwaj asystenci z wielką ostrożnością unieśli ogromną czarę i przekręcili ją tak, by widownia mogła zobaczyć umieszczone na spodzie chińskie napisy.

- Jeden z tych znaków jest osobistym monogramem cesarza.

Dzieło skończone doskonale, nie skażone nawet najdrobniejszą rysą.

Dominique przez chwilę pozwoliła widowni przyglądać się i napawać urodą demonstrowanego przedmiotu, aby w chwilę potem przywołać ich do rzeczywistości.

- Zaczniemy licytację od sumy dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów - powiedziała bardzo rzeczowo i powściągliwie.

Licytacja stawała się coraz gorętsza, ale Dominique zachowywała chłodny spokój.

W rezultacie już po kilku minutach mogła ogłosić: - Milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów...

Półtora miliona, pan Aleksander, dziękujemy panu!

I jeszcze ćwierć miliona, razem milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów...

Dwa miliony!

Proszę państwa, mamy dwa miliony dolarów...

Nigdy jeszcze dotąd na żadnej aukcji nie zapłacono więcej niż milion dolarów za pojedynczą sztukę chińskiej porcelany.

Tak więc Despard nie tylko zdobywał nowe obszary działania ale i ustanawiał nowe rekordy.

Charles z pewnością byłby z tego dumny, pomyślał z żalem Blaise.

To od niego Dominique nauczyła się sztuki prowadzenia wielkich licytacji.

Sztuki trudnej, wymagającej wielkiej delikatności i precyzji.

Teraz umiejętnie prowadziła zgromadzonych - jak zwierzęta na rzeź - a oni szli za nią ślepo.

Ale w końcu, pomyślał Blaise, czegoż nie zrobi praktycznie każdy mężczyzna, gdy chce tego Dominique du Vivier?

Spojrzał na zegarek.

Naprawdę była już najwyższa pora, żeby wyjść.

Przed wyjazdem miał jeszcze odwiedzić teściową, która przez cały dzień przyjmowała kondolencyjne wizyty w związku ze śmiercią męża.

Zaraz potem musiał lecieć do Londynu, gdzie umówiony był z prawnikami firmy Finch, Frenchman & Finch w sprawach dotyczących testamentu Charlesa Despada.

Powinien był wyjść, ale ze zdumieniem stwierdził, że naprawdę trudno mu się oderwać od tego, co się tu działo.

Zazwyczaj wszelkie aukcje ani go ziębiły, ani grzały.

Nie miał instynktu zdobywania ani potrzeby posiadania; raz tylko zdarzyło mu się pragnąć czegoś aż do bólu, ale to było wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył swą przyszłą żonę.

Poza tym Blaise nigdy nie przepadał za przebywaniem w zamkniętych pomieszczeniach, był człowiekiem otwartych przestrzeni.

Z upodobaniem jeździł konno, polował, łowił ryby i pilotował własny samolot.

Natomiast Dominique po prostu nie znosiła sportów i wzdragała się na myśl o tych otwartych przestrzeniach, które jego tak zachwycaly.

O wyprawie z nią w Góry Skaliste czy do Kolorado nie mogło być nawet mowy.

Nigdy też nie była na ranczu, gdzie od kilku lat większość czasu spędzała babka Blaisea.

Postanowił, że jednak zostanie i obejrzy jeszcze jedną licytację.

I tak zdąży zabrać teściową, zawieźć ją do domu i zjawić się na czas u siebie, w budynku zwanym wieżowcem Chandlera, skąd helikopter miał zawieźć go na lotnisko Kennedyego.

Mógł więc chwilę zostać i przyglądać się temu, co się będzie działo.

- Panie i panowie, obiekt czwarty to niezwykle piękna figurka z późnej epoki Ming, przedstawiająca Shou Lao, boga długowieczności.

Chińska legenda głosi, że każdy, kto będzie miał tę figurkę, dożyje sędziwego wieku. Jej ostatni właściciel, pan Willard Dexter zmarł, jak państwu wiadomo, w wieku lat osiemdziesięciu siedmiu.

Dał się słyszeć szmer rozbawienia, a Dominique mówiła dalej: - Jak łatwo zauważyć, figurka została wykonana z porcelany, a nie ze zwyczajnej gliny, i prawdopodobnie przeznaczona była dla jakiegoś dostojnika lub kapłana.

Proszę zwrócić uwagę na ciemnoniebieską polewę, która tak pięknie kontrastuje z wiernie oddanym umaszczeniem sierści jelenia, na którym siedzi bóg Shou Lao.

Jeleń zresztą również jest symbolem długowieczności.

Zacniemy licytację od pięćdziesięciu tysięcy dolarów...

mamy sześćdziesiąt.

, siedemdziesiąt i osiemdziesiąt...

dziewięćdziesiąt.

Już sto tysięcy dolarów...

dwieście tysięcy.

Kto da więcej?...

Trzysta tysięcy dolarów.

Trzysta tysięcy i...?

- Dominique czekała z młotkiem w dłoni, jej brwi uniosły się niczym podwójny znak zapytania.

Przez cały czas prowadziła ich bardzo delikatnie, ale niezwykle sprawnie, rzucając ostatnim licytującym się na zmianę rywalom to miły uśmiech, to pytające spojrzenie, to znów odpowiednie, szczególnie ciepło wypowiedziane słowo.

Teraz jednak zdawała już sobie sprawę, że żaden z nich nie ma ochoty podwyższać zaofiarowanej sumy, toteż skończyła szybko i efektownie.

Uderzenie młotka co poniektórym kobietom zaparło dech w piersiach, tak bardzo wciągnęły się w dramaturgię tego przedstawienia.

- Kupił hrabia Oniedin za trzysta tysięcy dolarów.

A więc chyba rzeczywiście osiągnie te zaplanowane przez nią wcześniej dziesięć milionów dolarów, pomyślał Blaise rozdierany sprzecznymi uczuciami podziwu i irytacji jednocześnie.

Po cichu przypuszczał, że tym razem Dominique sięgnęła za wysoko, że przejawiała nadmierną pewność siebie.

A przecież powinien był wiedzieć, że tak nie będzie.

Dominique po prostu nie popełniała błędów.

Za dużo czasu i wysiłku włożyła w przygotowanie tego wszystkiego, żeby teraz pozwalać sobie na błędy.

Blaise sięgnął po następny kieliszek szampana który znów roznoszono na sali.

Przypomniał sobie, że mimo woli zmarszczył brwi, kiedy pokazała mu wyliczony koszt tego inauguracyjnego wieczora Teraz okazywało się, że wydatek zwróci się co najmniej dziesięciokrotnie.

Nie mówiąc już o tym, że otwierany w ten sposób nowojorski oddział domu aukcyjnego Despards zyskiwał przy okazji reklamę, wartą jeszcze większych pieniędzy.

Przecież jutro o tym wieczorze będzie mówiło całe miasto.

Kolejnymi licytowanymi przedmiotami, oznaczonymi odpowiednio numerami od piątego do siódmego, były: kolekcja porcelanowych figurek zwierząt, pochodząca z okresu Kang Hsi; okrągła szkatułka na kosmetyki w kształcie rozwijającego się pąka brzoskwini i - na koniec - pochodzący z epoki Ming biało-niebieski porcelanowy słój na złowione ryby.

Za każdym razem licytacja była zaciekle i ostra, a głównym rywalem pomrukujących "rosyjskich niedźwiedzi" był tym razem pewien południowoamerykański - obecnie - milioner, którego fortuna miała swe korzenie chyba jeszcze w państwie hitlerowskim.

Blaise znów spojrzał na zegarek.

Naprawdę powinien był już iść, ale okazało się, że napięcie na sali całkiem niespodziewanie wzrosło jeszcze bardziej.

Blaise nie wziął dla siebie katalogu i teraz zaczynał tego żałować.

Jednak już po chwili światła na podwyższeniu znów się zapaliły; Blaise zobaczył, co tym razem stanowiło obiekt licytacji i już wiedział, że musi jeszcze zostać.

Tak, to było to, co Dominique uważała za clou całej kolekcji.

Wspaniały biało-niebieski dzban - po chińsku zwany zhi hu - z wczesnych lat epoki Ming, ozdobiony rysunkami tradycyjnie przedstawionych kwiatów: peonii, kamelii, gardenii, lotosów, chryzantem i hibiskusów.

Dzban miał trzydzieści trzy centymetry wysokości i był szczególnie wysoko ceniony z racji wyjątkowo wyraźnego wielowarstwowego nakładania się barwnika i glazury, tak typowego dla porcelany z Hsuan Tej, tu i ówdzie utleniony kobalt przebijał przez warstwę szkliva w miejscach, gdzie zdobiący dzban artysta nabrał zbyt wiele farby na pędzel.

Dominique rozpoczęła licytację od dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Obaj Rosjanie włączyli się natychmiast, przebijając się wzajemnie.

Wiadomo było, że rzeczy z wczesnych lat epoki Ming obaj cenią najwyżej, przedkładając je nad wszelką inną chińską porcelanę.

A w dodatku na świecie znane były zaledwie cztery podobne dzbany.

Wystarczyła minuta, żeby cena podniosła się do miliona dolarów; po trzydziestu sekundach już przekroczyła dwa miliony, a rywale licytowali się teraz podnosząc cenę za każdym razem o ćwierć miliona.

Cała widownia drżała z napięcia obserwując, jak dwaj mężczyźni ledwie dostrzegalnym przymrużeniem powieki czy wręcz tylko wyrazistym spojrzeniem kolejno podnosili stawkę.

Obaj siedzieli ostentacyjnie niewzruszeni, z twarzami wychylenymi sponad trzymanyh w dłoniach katalogów.

Tylko to, że te dłonie zdawały się ścisnąć okładki nazbyt mocno, zdradzało ich wewnętrzne napięcie.

- ...książę Poliakow trzy miliony.

A więc mamy trzy miliony dolarów.

Sala czekała w napięciu, czy rywal księcia zdecyduje się na coś, co dotąd się nie zdarzyło - czy zaferuje więcej niż trzy miliony dolarów za sztukę chińskiej porcelany.

Dłoń Dominique ujęła młotek i uniosła go, jakby ostrzegając, że czas upływa.

- Tak więc mamy trzy miliony dolarów...

- powtórzyła tonem, z którego wynikało jasno, że odzywa się po raz ostatni przed zakończeniem tej licytacji.

Chyba że...

Twarz hrabiego mogłaby się wydawać spokojna, gdyby nie widoczna na niej warstewka potu oraz pobielale z naprężenia kostki trzymających katalog palców.

Jego oddech stał się głęboki i nierówny.

Książę tymczasem patrzył wprost przed siebie, choć jednocześnie każdym centymetrem skóry zdawał się intensywnie odbierać każdy najmniejszy ruch rywala.

Sala zamarła w oczekiwaniu, ludzie nie ważyli się nawet głośniej oddychać.

Czas zdawał się wręcz pełznąć, upływająca sekunda wciąż nie mogła się skończyć.

Trzask!

Uderzenie młotka spowodowało gwałtowne poruszenie na widowni.

Kobiety mimo woli podniosły dłonie do szyi, jakby chcąc się zasłonić.

To było coś, co przypominało oglądanie egzekucji.

Zresztą, w jakimś sensie, to była egzekucja.

- Za trzy miliony kupił książę Poliakow.

Ludzie podnieśli się z miejsc, bijąc brawo, wznosili triumfalne okrzyki, niektórzy gratulowali, poklepując księcia po plecach.

Tymczasem hrabia przez chwilę nie był w stanie nic widzieć, gdyż nagła fala potu spłynęła mu poprzez brwi wprost do oczu.

Odczekał chwilę, by uspokoić drżenie rąk i dopiero wtedy sięgnął po śnieżnobiałą chusteczkę i otarł nią czoło.

- Jezus Maria, trzy miliony dolarów!

Czy kiedykolwiek w życiu widzieliście, żeby ktoś zapłacił trzy miliony dolarów za jakiś tam garnek?

Nie, pomyślał Blaise, czując, jak w nim samym narastające napięcie nagle się rozładowuje, jak u rybaka, gdy nadmiernie naprężona linka nagle pęka z trzaskiem.

Nie, nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem, ale przecież od czasu do czasu coś się ogląda po raz pierwszy.

I teraz też, jak zawsze, jest to związane z nią.

Z Dominique...

Chciałem ją namawiać, żeby przesunęła termin otwarcia, a przecież bądź co bądź uważam się za biznesmena.

Dominique była we wszystkim bezlitośnie praktyczna i, jak to Francuzka, przedkładała interes nad sentymenty.

Do tego stopnia, że Blaise niejednokrotnie czuł się przy niej kimś wręcz...

jakimś tam Amerykaninem-prostaczkiem z prowincji.

W kontaktach z Charlesem, który przecież też był Francuzem, Blaise nigdy nie miał takiego uczucia.

Charles był bezlitosny w interesach, ale bywał też - rzecz u Francuzów rzadka - sentymalny.

Był zdolny do wzruszeń.

Natomiast Dominique umiała być namiętna, co nie oznaczało, że się wzruszała.

Jej myślenie nawet wtedy pozostawało chłodne i wyrachowane; nigdy nie pozwoliłaby sobie na to, żeby jej serce mogło kiedykolwiek zapanować nad głową.

Charles, kiedy kogoś kochał, to do końca i bez umiaru.

Taki był zresztą we wszystkim - zawsze gotowy do entuzjazmu, pasji i intensywnych uczuć.

Tymczasem w przypadku Dominique bywało tak, że gdy coś czuła - a czasami Blaise zastanawiał się, czy ona w ogóle coś czuje - z zasady nie odsłaniała tych uczuć przed nikim.

W każdym razie nigdy w pełni, w przeciwieństwie do Charlesa, a także w przeciwieństwie do własnej matki.

Blaise doszedł do wniosku, że Dominique musiała się wrodzić w swego dawno zmarłego ojca, którego zresztą nigdy nie znał.

Blaise wiedział, że Charlesa wciąż będzie mu brakować i nadal nie umiał się pogodzić z myślą o jego śmierci.

Był w Chicago, gdy zadzwoniono do niego z wielkiego nowojorskiego szpitala z wiadomością, że Charles Despard doznał nagłego, bardzo rozległego zawału serca i wszelkie wysiłki reanimacyjne okazały się bezskuteczne.

Pani Despard była na granicy hysterii, jej córki nie można było nigdzie odnaleźć.

Pani Despard potrafiła podać pielęgniarce tylko jego nazwisko.

Czy więc pan Chandler zechciałby, możliwie szybko przyjechać?

Podczas lotu do Nowego Jorku Blaise przez radiostację w kabinie pilota kolejno łączył się z różnymi miastami na całym globie, szukając Dominique.

W końcu odnalazł ją w Hongkongu, gdzie ostatnio spędzała wiele czasu, jako że była tam głównym szefem miejscowej filii domu aukcyjnego Despards.

Nim Dominique dotarła wreszcie do Nowego Jorku, było już po sekcji, która przede wszystkim potwierdziła diagnozę o wyjątkowo rozległym zawałe serca jako przyczynie śmierci.

Jednak nawet wtedy Dominique wydawała się troszczyć przede wszystkim o losy przygotowywanej aukcji.

- Najwłaściwszym przejawem mojego szacunku dla niego będzie właśnie to, że utrzymamy termin otwarcia i przeprowadzimy wszystko zgodnie z planem - twierdziła z uporem.

- Charles przygotowywał to wszystko bardzo długo, planował to właśnie wtedy, kiedy umarł.

To była najważniejsza sprawa w jego życiu.

I dlatego zamierzam jego marzenie zrealizować.

- Jego marzenie?

- No dobrze, także i moje.

Ale był dokładnie tak samo zaangażowany jak ja.

- To ty tak mówisz.

- Pozwól mi stwierdzić, że mojego ojczyrna znałam znacznie lepiej niż ty.

- A mnie się czasami wydaje, że ty go w ogóle nie znałaś.
- Ale wiem na pewno, że chciałby, żebym to zrealizowała.
Papa mógł sobie być taki czy inny, ale był Francuzem, a więc realistą.
A rzeczywistość jest taka, że aukcja musi się odbyć w zaplanowanym terminie.
Właściwie tak, cóż innego można było zrobić?
- pomyślał Blaise, kiedy już wyszedł z budynku i oczekiwał na podstawienie mu samochodu.
Jak zawsze górą była ta bezlitosna praktyczność.
Bardzo francuska.
Przy niej jego własny amerykański pragmatyzm sprawiał wrażenie czegoś raczej słabego i niepewnego.
Poza nim tylko jego wiekowa babka Agatha wydawała się myśleć podobnie.
Kiedy Blaise przekazał jej telefonicznie wiadomość o śmierci Charlesa, przez dłuższą chwilę milczała.
W końcu powiedziała tym swoim niezwykle niskim głosem, przypominającym bas Fiodora Szaliapina: - Będzie mi go brakować.
To był stary, dobry przyjaciel.
Potem jednak smutek w jej głosie ustąpił miejsca jawnej, nawet jeśli nieco staromodnej, wrogości - jak zawsze, kiedy zaczynała mówić o Dominique - a jej głos znów był pełen nie ukrywanej niechęci: - A ta suka, ta twoja żona?
Jak to przyjęła?
Jej jest to na rękę, jak ją znam.
Nigdy nie myślałam, że tego dożyję, mój chłopcze.
Że zobaczę ciebie pod pantoflem kobiety, i to takiej.
Co ona z tobą zrobiła?
- Dobrze już, babciu!
Jesteś wprawdzie księżną i osobą godną szacunku, ale wiesz, że w niektórych sprawach nigdy się nie zgodzimy.
- Chciałabym tylko, żebyś sobie zdał sprawę, jaka ona będzie, kiedy wreszcie położy łapę na domu aukcyjnym Desparda.
- Ponieważ, twoim zdaniem, gorsza już być nie może, więc co w końcu może się w niej zmienić?
Usłyszał jej śmiech po drugiej stronie międzymiastowej linii telefonicznej.
Blaise wiedział, że babcia uwielbia tego rodzaju słowne przepychania.
- Znasz doskonale mój pogląd na to twoje, z przeproszeniem, małżeństwo - ripostowała z satysfakcją.
- Powiedziałam ci to w dniu twojego ślubu i od tego czasu nie znalazłam nawet najdrobniejszego powodu, żeby zmienić zdanie.
Ona cię zrujnuje, mój chłopcze.
Przy tego rodzaju kobietach cały rozum mężczyzny przenosi się między jego nogi, to wszyscy wiedzą.
- Babcia chce mi dać delikatnie do zrozumienia, że nie za bardzo ją lubi?

I znów w słuchawce rozległ się donośny śmiech, zadziwiająco głośny i zadziwiająco pełen życia, zwłaszcza jeśli się uwzględniło, że ta kobieta zbliżała się już do swych osiemdziesiątych piątych urodzin.

- Ja ci tylko przypominam, że kiedy ona w końcu to zrobi - bo zrobi!
- to ja wciąż jeszcze tu będę i wtedy będziesz mógł się do mnie zwrócić.

Poniewczasie!

- Babcia wydaje się przejawiać tę niezwykłą pewność siebie, którą u Dominique zwykła nazywać arogancją.

- Mogę sobie pozwolić na bycie arogancką, ponieważ lekarze mówią mi, że jeśli będę trochę dbała o siebie, to pięć lat jeszcze wytrzymam.

A to jest cokolwiek więcej, niż, moim zdaniem, twoje małżeństwo może potrwać.

Ono w ogóle tylko dlatego trwa tak długo, że w ciągu tych dwóch lat byliście razem najwyżej trzy miesiące.

- W słuchawce dało się słyszeć znajome drwiące prychnięcie.

- Więc co to w gruncie rzeczy za małżeństwo?

A właściwie dlaczego w ogóle musiałeś się z nią żenić?

Tylko mi nie mów, że nie mogłeś zadowolić się tym, co już i tak miałeś, bez rzucania się aż w taką ostateczność.

- Nie, nie powiem ci tego...

- odpowiedział chłodno Blaise i w tym momencie babcia Agatha wiedziała, że już dalej nie może się posunąć.

Łatwo to było poznać z tonu jego głosu.

Blaise pozwalał jej - i tylko jej - na bardzo wiele, ponieważ ją kochał.

Ale nawet i ona wiedziała, kiedy przestać.

- Po prostu martwię się o ciebie, chłopcze.

Ona nie jest osobą, której bym chciała dla ciebie, to fakt.

Ale jest twoją żoną i to jest też fakt, z którym muszę się liczyć.

Jednak ostrzegam cię - kiedy tylko położysz łapę na firmie Desparda, sam zobaczysz jak wszystko się zmieni.

Nie daj się tu ocyganić.

- Ocyganiony czy nie, wciąż pozwalam sobie mieć własne zdanie - odparł Blaise, delikatnie pozostając przy swoim.

W słuchawce przez chwilę trwało milczenie.

- No cóż, będziemy odzywać się do siebie od czasu do czasu - powiedziała w końcu babka Agatha, tonem dość cierpkim.

Była to właściwie kategoryczna dyspozycja.

- Na pogrzeb w każdym razie nie przyjadę.

Obiecano mi co prawda pięć lat dalszego życia, ale jednak pod określonymi warunkami. Francja z pewnością jest za daleko, żeby lekarze zechcieli mnie tam puścić w moim obecnym stanie.

Ty mi opowiesz wszystko po powrocie - powiedziała i po chwili dodała jeszcze, niby mimochodem: - Mam nadzieję, że Charles zostawił jakiś testament?

Lekki ton tego pytania nie zmylił jej wnuka, który aż za dobrze znał niepohamowaną ciekawość swojej babki.

Próbuje coś wy badać, ale o co tak naprawdę jej chodzi?

- Spodziewam się, że jakiś zostawił - odpowiedział równie lekkim tonem.
- Czy to znaczy, że jeszcze tego nie wiecie?
- Ciekawość w głosie przebijała już znacznie wyraźniej.
- Nie.

Catherine być może coś o tym wie, ale nie ma teraz do tego głowy, jak zresztą do czegokolwiek, przynajmniej na razie.

Za bardzo to przeżywa.

- Trudno się dziwić.
- To było całe jej życie.

I podobny błąd jak w twoim przypadku.

Kiedy tracisz kogoś takiego, to tak jakby wrywano żywe ci ciało.

I możesz wykrwawić się na śmierć.

Blaise nie podjął dyskusji na ten temat.

- Jestem pewien, że mecenas Flambard, prawnik Charlesa, skontaktuje się z nami w odpowiednim czasie.

Ale starsza pani nie dała się tym zbyć.

- Czy Charles nigdy nie wspominał ci, komu zamierza zapisać firmę Desparda?
- Na pewno Dominique.

Komu jeszcze mógłby ją zapisać?

Po drugiej stronie linii zapadło przedłużające się milczenie, które sprawiło, że Blaise zmarszczył czoło i ściągnął brwi.

- Czy ty może wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?
- zapytał.

- Mam cholerną nadzieję, że tak - usłyszał w odpowiedzi, po czym babcia rozłączyła się bez słowa, jak to miewała w zwyczaju.

Samochód tymczasem zajechał.

Blaise zajął miejsce na tylnym siedzeniu i sięgnął po list, który tego ranka otrzymał od mecenasa Flambarda.

Prawniki informował go, że jest w posiadaniu testamentu Charlesa Desparda, dotyczącego tej części jego majątku, która znajdowała się we Francji.

Mecenas Flambard pozwalał sobie domniemywać, że ostatnia wola zmarłego, dotycząca rozporządzenia jego własnością pozostającą w Wielkiej Brytanii, została prawdopodobnie złożona na ręce godnych szacunku prawników z londyńskiej firmy Finch, Frenchman & Finch, która reprezentowała interesy Charlesa - i całej firmy Desparda - na terenie Zjednoczonego Królestwa.

Jeżeli idzie o francuską część testamentu, na jego wykonawcę wyznaczono w nim pana Blaisea Chandlera, męża pasierbicy zmarłego.

Tak, to ma sens, pomyślał Blaise, powinny być dwa testamenty.

Prawa w tych dwóch krajach były różne, angielska część firmy Desparda funkcjonowała zgodnie z prawem angielskim.

Każda zagraniczna część firmy występowała jako odrębna, do pewnego stopnia samodzielna filia, zarejestrowana w danym kraju i działająca zgodnie z przepisami miejscowego prawa.

Całością zarządzał holding z siedzibą w Genewie.

Jako prawnik specjalizujący się w wielkich korporacjach i organizacjach handlowych, Blaise w pełni akceptował myślenie Charlesa i sposób, w jaki zorganizował on całą strukturę firmy Despard et Cie (dawną nazwę Despard et Fils zmieniono, kiedy stało się oczywiste, że Charles już nie będzie miał syna).

Tak więc również oddział nowojorski był pomyślany jako osobna filia firmy, całkowicie niezależna w podejmowaniu decyzji operacyjnych (choć w rozliczeniach również podporządkowana holdingowi DesparcTs International).

Dominique miała dotąd rangę wiceprezesa i dyrektora wykonawczego, ale Blaise nie miał wątpliwości, że teraz będzie awansowana i zostanie prezesem.

Również matka Dominique, jako wdowa po Charlesie, z całą pewnością zostanie odpowiednio zabezpieczona.

Charles zawsze ją uwielbiał i nazywał ma belle.

Właściwie to przede wszystkim ze względu na nią znalazł miejsce w sercu również i dla jej córki Dominique.

Limuzyna zatrzymała się na Madison Avenue przed głównym wejściem do domu pogrzebowego Campbella.

Przez cały dzień aż do wieczora tłumnie przychodzili tu ludzie, żeby złożyć kondolencje rodzinie i okazać szacunek zmarłemu.

Teraz jednak było tam już pusto, a w głównej sali siedziała jedynie wdowa, samotna kobieta w wysokim ozdobnym fotelu, który nawet w tym wnętrzu wydawał się zbyt wielki dla niej.

Siedziała tam niepoczyszona i posępnie wpatrywała się w wielką, wykonaną na wzór francuski trumnę, już zamkniętą na stałe.

Catherine nakazała, by wieko zostało od razu założone i przykręcone, jako że nawet po śmierci Charlesa nie zamierzała się nim dzielić z nikim innym.

Pocałowała go na pożegnanie, włożyła mu w dłoń pierwszy prezent, który od niego otrzymała - zeschniętą i wyblakłą już różę Malmaison - a potem już tylko stała wyprostowana i patrzyła, jak zamykane wieko trumny zasłania go na zawsze.

Teraz siedziała tam i wpatrywała się w trumnę ustawioną między dwoma podestami, na których umieszczono kwiaty i świece.

W dłoniach trzymała różaniec, a jej wargi poruszały się bezgłośnie, jednak Blaise był pewien, że się nie modliła.

Po prostu rozmawiała ze swoim zmarłym mężem, ponieważ dla niej Charles Despard nie umarł.

Zawsze był jej marzeniem, najpierw starannie ukrywanym przez długie lata koszmaru, jakim było jej pierwsze małżeństwo; później, kiedy w końcu została jego żoną, stał się spełnionym marzeniem, a jak wiadomo, marzenia nigdy nie umierają.

Blaise podszedł i pochylił się nad siedzącą.

Kobieta uniosła twarz i ufnie spojrzała na niego.

Była równie drobna jak Dominique, ale w odróżnieniu od córki miała jasne włosy, koloru dukatowego złota - teraz zapewne już dzięki koloryzującym szamponom - zawsze zadbane i wykwintnie ułożone, przycięte krótko, tak by stanowiły odpowiednią oprawę dla drobnej twarzy, która - niegdyś zachwycająco piękna - i teraz jeszcze wciąż warta była powtórnego spojrzenia.

Jej źrenice miały barwę ogrodowej ostróżki, a karnacja odcień bladoróżowy.

Robiła przy tym wrażenie nieco bezradnej, co sprawiało, że mężczyźni stawali się wobec niej szczególnie troskliwi, zwłaszcza jeśli wdzięcznie przechylała główkę na bok i ufnie spoglądała w męskie oczy, jak gdyby chciała powiedzieć "zaopiekujesz się mną, prawda"?

, co nieodmiennie doprowadzało patrzących do rozczulenia albo do paroksyzmu agresji. To pierwsze z reguły zdarzało się mężczyznom, drugie kobietom.

Teraz Catherine uśmiechnęła się, a Blaise ucałował jej drobną dłoń, na której z biżuterii pozostawiła dziś tylko zwykłą ślubną obrączkę.

- Przepraszam, że przyjechałem tak późno - powiedział - ale ten wieczór otwarcia okazał się prawdziwym wydarzeniem.

Uśmiech Catherine nagle stracił dotychczasową spontaniczność, stał się mechaniczny.

Dla niej firma Desparda była zawsze czymś w rodzaju bezosobowej rywalki, która odbierała jej część czasu i uczuć męża przez wszystkie lata ich małżeństwa.

Dlatego też nigdy nie pojawiła się na żadnej aukcji i całkowicie odgrodziła się od jakiegokolwiek udziału w jego interesach.

Charles pogodził się z tym i pilnował się, żeby wracając po pracy nie wnosić do domu niczego, co w jakikolwiek sposób wiązałoby się ze sprawami firmy.

- Jestem pewna, że Dominique doskonale daje sobie radę - powiedziała Catherine.

Jej głos z charakterystycznym przydechem ciągle przypominał sposób mówienia trochę roztargnionej małej dziewczynki, a jej francuski - Catherine niechętnie mówiła po angielsku - wciąż jeszcze miał brzmienie wywołujące skojarzenia erotyczne.

- Musisz być chyba bardzo zmęczona.

Siedzisz tu już tak długo.

- Długo, no cóż...

- powiedziała i zamilkła.

Rzadko kiedy dopowiadała zdanie do końca.

- Pozwolisz, że cię odwiozę do domu.

Catherine zatrzymała się w nowojorskim domu babki Agathy, przy Osiemdziesiątej Czwartej ulicy.

Dotychczas Agatha nie wydawała się szczególnie zainteresowana osobą Catherine, a ta z kolei jakby odrobinę bała się starej kobiety, którą po cichu uważała za indiańską squaw.

Tym niemniej teraz to właśnie Agatha kazała Blaiseowi zrobić wszystko co trzeba dla wdowy po Charlesie.

- To miło z twojej...

- nie dokończyła podziękowania Catherine.

W domu babci Agathy było jej rzeczywiście wygodnie.

Miała tam ogromny, luksusowo urządzony pokój z mnóstwem służby, nie mającej do roboty nic innego poza opiekowaniem się gościem.

Wprawdzie Dominique i Blaise również mieli pięknie urządzone mieszkanie na poddaszu wieżowca Chandlera, gdzie także było mnóstwo miejsca, ale to właśnie Dominique zasugerowała, że jej matka z pewnością lepiej się będzie czuła w otoczeniu - jak się wyraziła - trochę mniej nowoczesnym.

W rzeczywistości chodziło nie tylko o to.

Blaise zdawał sobie sprawę, że jego żona traktuje swoją matkę z ledwie ukrywanym, pobłażliwym lekceważeniem.

Tymczasem on sam zawsze dosyć ją lubił, trochę tak, jak lubi się ładne i miłe dziecko.

Ale też niejednokrotnie zastanawiał się, co właściwie Charles widział w swojej żonie.

Catherine sprawiała wrażenie osoby, która nigdy nie ma nic do powiedzenia, a w każdym razie nie ma ochoty nic mówić.

Być może dlatego, że uwielbiała spokój.

W domu zawsze była wobec męża tak uległa, tak starała się odgadnąć wszelkie jego życzenia, że czasami wydawało się to aż śmieszne.

Drobne uniesienie jego brwi było dla niej równoznaczne z rozkazem, a całą jej radością i szczęściem było to, że Charles był szczęśliwy.

Z drugiej jednak strony nie wahała się nigdy, kiedy trzeba było jasno określić, co się jej nie podoba i czego w małżeństwie nie chce.

To, że Charles Despard zgodził się, żeby sprawy firmy nigdy nie były poruszane w ich zaciszu domowym, było wyrazem jego przywiązania do żony.

Blaise patrzył na zadziwiająco teraz spokojną twarz Catherine i podświadomie wciąż jeszcze słyszał echo słów babki Agaty.

Pamiętał, co powiedziała, że Charles był dla swej żony wszystkim i że kiedy się kogoś takiego traci, to jest tak, jakby człowiek tracił kawałek własnego ciała, może się wykrwawić na śmierć.

Co też Catherine teraz zrobi?

Czy w ogóle jest coś, co ją kiedykolwiek obchodziło poza jej mężem?

Zdawałoby się, że co najwyżej haftowanie i robótki; to zawsze robiła, przy każdej okazji.

Nawet teraz miała potrzebne do tego rzeczy ze sobą, szydełka wystawały z półotwartej skórzanej torby, którą zawsze ze sobą zabierała.

Natomiast nigdy nie zdarzyło mu się widzieć, żeby czytała jakąś książkę, choć często i z upodobaniem przeglądała magazyny mody, żurnale i pisma poświęcone urodzie.

Nie interesowała się też teatrem, choć - gdy była w Ameryce - lubiła popołudniami oglądać telewizyjne seriale.

Podczas przyjęć w ich domu była zawsze pełną wdzięku gospodynią, a stroje i biżuteria, którą wtedy wkładała na siebie, zawsze świadczyły o dobrym smaku.

Przy tym wszystkim jednak mówiła bardzo niewiele, zaznaczając swoją obecność w towarzystwie głównie promiennym uśmiechem.

Tak, zdecydowanie sprawiała wrażenie kobiety, która naprawdę podporządkowała całe swe życie i osobowość mężowi, odbijając tylko jego światło, wybierając dla siebie rolę księżycy tam, gdzie on był słońcem.

Co stanie się teraz, kiedy już nie będzie mogła świecić tym odbitym światłem?

Catherine pochyliła się, sięgając po torbę z przyborami do haftowania.

Zauważyła spojrzenie Blaisea i z nieco dziecinnym wyduńciem warg, które Blaise często widywał także u swojej żony, powiedziała: - To przyzwyczajenie...

a poza tym to uspokaja.

Zawsze mi to pomagało, kiedy coś układało się źle, a potem już pozostałam przy tym, kiedy w końcu wszystko zaczęło układać się dobrze.

Przyzwyczałam się...

- Jej głos zdawał się słabnąć.

Blaise pokiwał potakująco głową, uśmiechnął się i uspokajająco poklepał jej drobną dłoń, która teraz bezradnie i kurczowo uchwyciła się podanego jej męskiego ramienia.

Catherine naprawdę miała w sobie coś, co wyzwalało instynkty opiekuńcze, zwłaszcza u mężczyzn.

Tylko Dominique zdarzało się w takich przypadkach patrzeć na matkę z nie ukrywaną, niemal pogardliwą ironią.

No cóż, Dominique potrafiła być dla mężczyzn jeszcze bardziej nieodparta, ale z całą pewnością nie wynikało to z kobiecej bezradności.

Raczej wprost przeciwnie...

Blaise zawiózł teściową do domu na Osiedziu Czwartej ulicy i tam przekazał ją pod opiekę pokojówki, starej i wiecznie skrzywionej Bretonki.

Potem jednak - choć powinien kazać się zawieźć w dół Manhattanu do wieżowca Chandlera - pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu postanowił wrócić na aukcję.

W końcu mógł bez problemu polecieć do Londynu ponaddzwiękowym Concordem zamiast Boeingiem 737, a w takim wypadku wystarczyło być na lotnisku rano, a więc dopiero za kilka godzin.

Na dobrą sprawę wybrał lot Boeingiem tylko dlatego, żeby po drodze porozmawiać z grupą pracowników firmy, którzy również mieli lecieć tym rejssem.

Ale ze swoimi pracownikami zawsze zdąży porozmawiać.

To, co się tej nocy działo na Siedemdziesiątej Szóstej Wschodniej, było dużo ważniejsze.

Zdażył wrócić na sam koniec aukcji.

Znów stanął z tyłu sali i stamtąd przyglądał się widowni, która najwyraźniej była w euforii.

Dominique wciąż jeszcze stała za swym pulpitem, ale w atmosferze sali nie wyczuwało się już tego tak intensywnego, wcześniejszego napięcia: wszystkie najcenniejsze rzeczy już zostały sprzedane, a z tego, co Blaise usłyszał przepychając się przez salę w kierunku żony, wynikało, że ostatniego zakupu - za jeszcze bardziej astronomiczną sumę - dokonał znowu książę Poliakow.

- Ach, cóż to był za wieczór, Blaise!

- krzyknęła na jego widok jedna ze znajomych i chwyciła go za ramię.

- Dominique była naprawdę zadziwiająca!

Nigdy nie przypuszczałam, że będzie w tym tak świetna!

Udało mu się precyzyjnie przycisnąć na tyle blisko, że Dominique dostrzegła go i mogła posłać w jego stronę ten swój uśmiech, przy którym triumfalny płomień olimpijskiego znicza mógłby się wydać tylko bladym światełkiem.

A więc dokonała tego!

Wprowadziła firmę Desparda w samo centrum nowojorskiej sceny i - co za tym idzie - sama również się tam znalazła.

Relacja z sensacyjnego otwarcia nowojorskiego oddziału Desparda znajdzie się teraz w dosłownie każdym jutrzejszym programie telewizyjnych wiadomości, z czego w oczywisty sposób wynikało, że i ona, Dominique du Vivier, będzie w każdym z najbliższych talk-shows - jeżeli nawet nie osobiście, to co najmniej jako najnowszy i najbardziej pasjonujący temat.

Goście na widowni zaczęli się podnosić, tłoczący się ludzie zepchnęli Blaise'a w stronę bocznego przejścia.

W pewnej chwili nawet Dominique groziło, że utonie w tej fali własnego sukcesu.

Blaise musiał w pełni wykorzystać swoją wagę i wzrost, by w końcu przebić się przez tłum i stanąć u jej boku.

Dominique powitała go spojrzeniem, w którym lśniły triumfalne iskierki.

No i co, zdawały się pytać jej niezwykle oczy.

Czy nie udowodniłam ci, że miałam rację?

Że jestem wystarczająco dobra, żeby zostać szefem Desparda...

i jeszcze dużo lepsza?

- Doskonale - pogratulował jej Blaise.

- Naprawdę znakomicie.

Ujął ją za ramię i przejściem, które tworzyli rozstępujący się przed nimi uśmiechnięci ludzie, poprowadził ją do miejsca, gdzie dwóch znakomitych Rosjan czekało na pierwszą damę wieczoru.

Kolejno pochylali się i z galanterią całowali ją w rękę, a Dominique półgłosem mówiła coś, co sprawiało, że obaj patrzyli na nią z życzliwą satysfakcją.

Potem księżę wyszedł - wiadomo było, że nigdy nie uczestniczy w przyjęciach, które wydawano po zakończeniu aukcji - a kiedy szedł wzdłuż przejścia, ludzie obracali się w jego stronę i klaskali.

Natomiast jego główny rywal, hrabia Oniedin, również otrzymał należne brawa, gdy przechodził do specjalnie dla niego zastawionego stolika, na którym czekało dwanaście najlepszych ostryg z Chesapeake, pieczona w całości dzika kaczka i butelka Krug Blanc de Blancs, Cios du Mesnil.

Oniedin zawsze jadł i pił dużo po każdej aukcji, z której był zadowolony.

Tych, którzy podchodzili do niego, aby mu pogratulować, nigdy nie zapraszał do swego stolika, najwyraźniej wychodząc z założenia, że firma i tak oferuje gościom wystarczająco dużo darmowego jedzenia i picia.

A dla niego jedzenie również było namiętnością, prawie taką samą jak zbieranie starej porcelany.

Firma Desparda rzeczywiście oferowała wszystkim swym gościom niemało.

Kelnerzy wjechali teraz ze stolikami na kółkach, na półmiskach piętrzyły się delikatesowe dania: gorące paszteciki, faszerowane grzyby, małe kanapki z wędzonym łososiem - w sam raz na jeden kęs - i odpowiednio większe z wołowiną, jaja przepiórcze, kawałki kaczki na zimno, ostrygi i do tego oczywiście znów niezliczone kieliszki szampana.

Tymczasem Dominique odbierała nie kończące się gratulacje, udzielała wywiadów dla stacji telewizyjnych i nawet składała autografy.

Potem telewizja uznała, że warto pokazać również Blaisea.

Postawiono go przed kamerami i zaczęto zadawać pytania.

- Jak się pan czuje po niewiarygodnym wręcz sukcesie pańskiej żony?
- Jestem bardzo dumny i bardzo zadowolony.
- Czy spodziewał się pan, że ceny pójną aż tak wysoko?
- Nigdy nie wątpiłem, że moja żona potrafi je uzyskać.
- Czy spodziewa się pan, że teraz, po śmierci Charlesa Desparda, pańska żona obejmie firmę?
- Sądzę, że nie ma nikogo o lepszych kwalifikacjach.
- A czy przypuszczał pan, że ogólna suma osiągnięta z aukcji wyniesie aż jedenaście milionów i osiemset tysięcy dolarów?
- Nie.

Ja, w odróżnieniu od mojej żony, nie jestem w tej dziedzinie specjalistą.

Ale przypuszczałem, że może to przekroczyć dziesięć milionów.

Blaise skłamał bardzo gładko.

W rzeczywistości był przekonany, że obrót w najlepszym razie sięgnie pięciu milionów.

Ale to było tylko jego prywatne zdanie i oczywiście nigdy nie powiedział tego głośno.

Na szczęście nigdy nie miał nic wspólnego z kierowaniem firmą Desparda.

I tak miał wystarczająco dużo na głowie z racji swych funkcji w Chandler Corporation, jednym z największych na świecie przedsiębiorstw międzynarodowych, gdzie formalnie był wiceprezesem, ale w rzeczywistości - od czasu, gdy pełniąc funkcję prezesa jego babka Agatha ze względu na stan zdrowia nie mogła już jeździć po świecie tak jak przedtem - zastępował ją już praktycznie we wszystkim.

W sprawach firmy Desparda zdarzało mu się nieraz udzielać Charlesowi bezpłatnych porad - w końcu w dziedzinie prawa był specjalistą od korporacji - ale też na tym praktycznie kończyło się jego zaangażowanie w sprawy domu aukcyjnego jego teścia.

Świat sztuki nie interesował Blaisea, był dla niego czymś w rodzaju zamkniętej książki, w dodatku napisanej w niezrozumiałym języku.

Dlatego też, kiedy go o to pytano, zawsze wykręcał się śmiechem, twierdząc, że ani się na tym zna, ani go to interesuje.

Teraz jednak instynkt podpowiadał mu, że należy się zachować inaczej, że dziś tego właśnie spodziewa się po nim jego żona.

Więcej - że wręcz chce tego.

Blaise z niejakim wstrząsem uświadomił sobie, że w ogóle po raz pierwszy jego żona chce od niego czegoś poza jego ciałem.

Teraz chciała całkowitej i bezwarunkowej akceptacji tego, czego dokonała.

No cóż, przyznał w duchu Blaise, Bóg świadkiem, że jej się to należy.
Wreszcie udało mu się wyrwać ją z rąk reporterów i chwilę porozmawiać sam na sam.

- Czy rzeczywiście było to jednaście milionów osiemset tysięcy?

- zapytał.

- Było prawie jednaście milionów dziewięćset, ale zaokrągliłam to w dół.

Nie chciałam sprawiać wrażenia, że naciągam sumę choćby odrobinę.

- Byłaś wspaniała.

Fakt, że nie wytrzymałem i przyjechałem jeszcze raz, na koniec aukcji, też chyba tego dowodzi, prawda?

Sam byłem zaskoczony.

- A ja zauważyłam, że wróciłeś, i nie byłam zaskoczona.

To rzeczywiście była noc, która zapisze się w pamięci, z wielu powodów.

A mam nadzieję, że mogą być jeszcze inne powody, żebyśmy ją zapamiętali...

- Przynęła się bliżej do Blaisea.

- Czy naprawdę musisz lecieć jeszcze tej nocy?

- Sądziłem, że ci pilno, żeby poznać wyrok losu...

to znaczy, żeby dowiedzieć się, co jest w testamencie.

- Nie.

Ja nie mam w tym względzie żadnych wątpliwości, w końcu nikogo poza mną nie ma, prawda?

Szczerze mówiąc, chodzi tylko o ostateczne potwierdzenie.

Tak jak dzisiejsza noc ostatecznie potwierdziła, że mam prawo do firmy Desparda.

Więc teraz jeszcze tylko - bardzo prywatnie - chciałabym potwierdzić moje prawa także do ciebie...

Blaise miał ją tuż przy sobie i nie tylko widział, ale i czuł, że jest rozpalona.

- Mogę polecić porannym Concorde - powiedział.

Dominique podniosła do warg jego rękę, jak gdyby chciała ją pocałować.

Ale zamiast tego wzięła do ust jeden z jego długich, wypielęgnowanych palców i zaczęła go ssać, lubieżnie i leniwie.

- Bardzo dobrze - mruknęła.

- No to teraz chodźmy się jeszcze nacieszyć atrakcjami tego przyjęcia...

W porannych telewizyjnych wiadomościach informacje o aukcji były tematem dnia.

- ...Wczorajszy wieczór otwarcia, który wprowadził londyńską firmę Desparda do Nowego Jorku, jak najbardziej zasłużenie zyskał sobie miano aukcji dziesięciolecia.

Było to wydarzenie, które pozostanie w naszej pamięci, a jego ukoronowaniem stała się wręcz nieprawdopodobna suma jedenastu milionów osiemset tysięcy dolarów uzyskana za kolekcję, której wartość szacowano dotąd na sześć do siedmiu milionów.

Na tej niezwyklej aukcji ceny - ku zdumieniu widzów - raz po raz szły niesłychanie wysoko, gdy najslawniejsi w świecie koneserzy porcelany walczyli ze sobą zaciekle o zdobycie najcenniejszych okazów z kolekcji tworzonej na przestrzeni wielu lat przez zmarłego Willarda Dextera, właściciela znanej sieci sklepów Dextera.

Oszalaniający sukces tej aukcji, wchodzącej dopiero na nowojorski rynek firmy, będzie zapewne znaczącym sygnałem dla innych domów aukcyjnych, takich jak Sothebys i Christies, zapowiadającym, że pojawił się nowy rywal, z którym będą musiały się liczyć.

Dom aukcyjny Desparda przez przeszło dwieście lat należał do najbardziej liczących się firm na londyńskim rynku dzieł sztuki, a teraz znajdzie się pod kierownictwem Dominique du Vivier, tej samej, która tak niezrównanie poprowadziła aukcję otwarcia w Nowym Jorku.

Przejmując firmę po śmierci zmarłego przed dwoma dniami ojczyma, Dominique du Vivier oświadczyła, że zamierza wraz z nią zyskać w Nowym Jorku miejsce co najmniej równe temu, jakie ma już w Londynie.

Zapowiada się więc ostra walka wielkich domów aukcyjnych, naszym zdaniem ze wszech miar warta obejrzenia.

Tak jak z całą pewnością warta jest tego przebojowa nowa pani prezes firmy Desparda. Blaise, którego obudził dźwięk włączonego telewizora, nadstawił ucha, a potem nagle usiadł na łóżku.

- Nie uważasz, że to odrobinę przedwczesne?
- zapytał i przeczesał palcami zmierzwiłone włosy.
- Dobrze wiesz, że nigdy nie mówię niczego, czego nie jestem naprawdę pewna.
- Moja indiańska krew mówi mi, że to kuszenie losu.
- A moja francuska krew odpowiada, że to tylko zdrowy rozsądek.

Dominique siedziała naga na ich olbrzymim małżeńskim łóżku, skrzyżowane w kostkach nogi wyciągnęła przed siebie, a w rękę trzymała świeżutki rogalik, który właśnie moczyła w wielkiej filiżance aromatycznej kawy ze śmietanką.

Pozwalała sobie na to ciągle jeszcze z racji świętowania wczorajszego sukcesu, jako że zazwyczaj unikała spożywania czegokolwiek z podwyższoną zawartością tłuszczu.

Blaise przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu wszystkie kości i mięśnie, które wciąż go bolały, jak po ciężkiej pracy.

Tej nocy dała mu szkołę, ale siebie też nie oszczędzała - nic więc dziwnego, że teraz mogłaby zjeść i pół tuzina takich rogalików.

Pochylił się ku niej i przejechał wargami z góry na dół wzdłuż jej pleców.

Jej skóra była nieprawdopodobnie jedwabista i wciąż pachniała seksem, a także tą wyjątkową wonią jej osobistych perfum, skomponowanych specjalnie dla niej przez jej paryski dom mody.

Kiedy poczuła na plecach dotknięcie warg Blaisea, wydała dźwięk podobny do mruczenia zadowolonego kota i zaczęła leniwie poruszać łopatkami, ale nie oderwała wzroku od ekranu stojącego przed łóżkiem telewizora.

- Mnóstwo bezpłatnej reklamy?
- zapytał Blaise i sam sięgnął po filiżankę z kawą.
- Aż za dużo.

Wszystkie relacje są pozytywne, nagrałam je zresztą na taśmę.

W tygodnikach i dziennikach jest to samo, zobacz.

- Podała mu grube wydania najważniejszych dzienników, gdzie strony dotyczące sztuki zajęte były niemal wyłącznie przez sprawozdania i komentarze na temat wczorajszej aukcji.

- Bardziej dokładnie nie opisywaliby nawet walki o mistrzostwo świata wagi ciężkiej. Ktoś mógłby pomyśleć, że zamieszczają sprawozdania z olimpiady w kategorii sztuki.

- Cóż, tam rzeczywiście była walka godna olimpiady.

- Ja po prostu wiedziałam, że jeśli uda mi się zestawić ze sobą, oko w oko, tych dwóch zaciekłych rywali, to przez samą wrogość do siebie wywindują ceny ponad nasze drapacze chmur.

Obaj znają się na porcelanie, ale - rzecz jasna - pojedynczo żaden z nich nie zaoferowałby takich cen.

Dopiero walcząc ze sobą czują, że żyją.

- Dominique przełknęła ostatni kęs i oblizła palce.

- Właściwie egzystują już niemal wyłącznie dla tej rywalizacji, to prawdziwa sól ich życia. Obaj mają wystarczająco dużo pieniędzy, na kobiety obaj już są za starzy - nie wspominając już o tym, że księżę Poliakow zawsze wolał chłopców.

Tak więc, oddałam im tylko przysługę, dbając o to, by poczuli w żyłach podwójną dawkę adrenaliny.

- I by wydali razem blisko osiem milionów dolarów?

- A cóż to dla nich znaczy?

Każdy z nich ma majątek ze sto razy większy.

Blaise spojrział na zegarek.

- Zatem najwyższa pora, żeby jechać i sprawdzić, jaki też teraz będzie twój majątek. Jestem umówiony w londyńskiej kancelarii mecenasa Fincha o czwartej po południu tamtejszego czasu, a już jest siódma.

Łaska boska, że istnieją naddźwiękowe Concordy.

Dopił pośpiesznie kawę, wyskoczył z łóżka i pobiegł do łazienki.

Po dwunastu minutach był już z powrotem i zaczął się ubierać.

Tymczasem Dominique siedziała z pilotem telewizora w dłoni i przerzucała się z kanału na kanał, wyłapując każdy dodatkowy strzęp informacji o swojej wczorajszej aukcji.

- Zadzwoń do mnie natychmiast, jak tylko będziesz wiedział, dobrze?

- Mimo pytającego tonu był to rozkaz.

- Niezależnie od tego, gdzie będę, wszędzie zostawię wiadomość, jak mnie możesz znaleźć.

Najlepiej zadzwoń do mnie do firmy, tam ci wszystko o mnie powiedzą.

- A jakie masz plany na dzisiaj?

- Oczywiście muszę się zająć przygotowaniem do następnych aukcji.

Wprawdzie mamy zestawy przygotowane na jakieś sześć najbliższych miesięcy, ale tego już nam w żadnym wypadku nie wystarczy.

Wystrzeliłam niemałą salwę na otwarcie, więc teraz muszę gromadzić rzeczy niczym amunicję.

Tyle, ile się tylko da.

- Teraz to będzie ułatwione.

Klienci już będą wiedzieli, że jesteś na rynku...

no i że jesteś świetna!

- Staram się, żeby wiedzieli.

Jestem umówiona na lunch z Gervaseem Penworthym.

Doszły mnie słuchy, że zamierza sprzedać swoją kolekcję obrazów.

Wśród nich jest Duccio, który powinien przynieść co najmniej pięć milionów dolarów.

- Ale Penworthy chyba już dogadał się z kimś z konkurencji.

- Nie jest to takie pewne.

Parę lat temu miał dość ostry konflikt z firmą Sothebys, kiedy to jeden z jego obrazów nie uzyskał nawet ceny wywoławczej i Gervase z uporem twierdził, że firma nie przyłożyła się dostatecznie.

Z kolei na aukcji starego malarstwa organizowanej przez Christies niemal sprzed nosa sprzątnięto mu obraz Rafaela, więc za nimi też raczej nie przepada.

Nawet jak na mężczyznę w jego wieku to bardzo trudny człowiek, ale ja zawsze jakoś sobie dawałam z nim radę.

- Chciałbym zobaczyć takiego, któremu byś nie dała rady - mruknął pod nosem Blaise i pochylił się, żeby ją pocałować na pożegnanie.

Kiedy chciał się wyprostować, chwyciła go za kłapy i wbiła w niego przenikliwe spojrzenie swych szafirowych oczu.

- Zadzwoń natychmiast, jak tylko będziesz wiedział - powtórzyła.

- Obiecuję.

Dominique odprężyła się.

Blaise zawsze dotrzymywał obietnic.

Już z walizeczką w ręce Blaise zawahał się jeszcze na progu, czując jakiś dziwny brak chęci, żeby w ogóle wyjeżdżać.

W ich małżeństwie nie było niczym niezwykłym, że rozjeżdżali się na kilka tygodni czy nawet miesięcy; ona miała swoją pracę, a on swoją, i to zazwyczaj gdzieś na drugim końcu globu.

Ale być może właśnie to sprawiało, że naprawdę mieli po co się spotykać?

- pomyślał Blaise, wciąż jeszcze czując we wszystkich mięśniach, że oboje tym razem spali za krótko, zwłaszcza jak na wyczyny tej nocy, gdy wciąż odradzające się i nie dające się zaspokoić pożądanie wyszło w końcu i ją, i jego do cna.

Czemu więc tym razem tak się ociągał z wyjściem z domu?

Być może dlatego, że teraz ten jego wyjazd miał potwierdzić, ostatecznie i nieodwołalnie, że jego żona jeszcze bardziej pograży się w sprawach firmy Desparda, co odbierze mu może już ostatnią część z tych resztek czasu, które mógł z nią spędzać.

Tak więc zdał sobie sprawę z czegoś, co w gruncie rzeczy było proste - nie miał ochoty dzielić się swą żoną z nikim, nawet gdyby miała to być tylko firma.

Dominique poczuła jego intensywne spojrzenie i popatrzyła nań pytająco.

Blaise uśmiechnął się i Dominique również się uśmiechnęła.

- Dobrego lotu - powiedziała i przesłała mu dłonią pocałunek.

- Kiedy wrócisz, będziemy mieli kolejny powód do świętowania.

Tylko czy będziemy go mieli?

- pomyślał Blaise.

Potrząsnął głową, uśmiechnął się i zapytał przekornie: - Takiego samego świętowania jak dzisiaj?

To może lepiej opóźnię powrót.

Po tej nocy przez dłuższy czas do niczego nie będę się nadawać...

Rzuciła w niego kapciem, ale Blaise zdążył już za sobą zamknąć drzwi.

Rozdział 2 .

Blaise Chandler stał po północnej stronie uboższej części Kings Road, na samym początku tej ulicy, i z pewnym niesmakiem przyglądał się małemu sklepikowi, który mieścił się naprzeciwko.

Cóż za buda, pomyślał.

Oczywiście żadnego porównania z Desparda.

Całe szczęście, że przynajmniej nie prowadzi tej firmy pod prawdziwym nazwiskiem.

Szyld nad drzwiami głosił wdzięcznie pochylonymi, stylizowanymi literami: Kate Mallory - Antyczna Porcelana.

Jakiegolwiek były powody, które kazały jej odrzucić nazwisko - a także samego ojca - wciąż wydawało się to czymś szokującym.

Ale tak rzeczywiście było - szyld głosił to wielkimi literami, chociaż sam sklep był malutki.

W każdym razie sprzedawano tu starą porcelanę.

Mogło to wynikać z chęci naśladowania ojca, albo właśnie z chęci przeciwstawienia się; tak czy inaczej, teraz - po ogłoszeniu zaskakującej treści testamentu Charlesa Desparda - była to prosta droga do przyszłej rywalizacji z przybraną siostrą.

Kiedy zadzwonił do Nowego Jorku zgodnie z obietnicą, reakcja Dominique była jednoznaczna i - łagodnie mówiąc - mało obiecująca.

- Powiedziałaś, że Charles postanowił...

co?

- syknęła do słuchawki.

- Postanowił podzielić firmę Desparda między ciebie i swoją drugą, rodzoną córkę.

Ona jest...

Ale Dominique nawet nie pozwoliła mu skończyć.

- Wiem, kim ona jest.

Dla Blaisea było to jak grom z jasnego nieba.

- Wiedziałaś?

- Oczywiście, że wiedziałam, od samego początku.

Przecież to jej matkę Charles zostawił, żeby móc poślubić moją mamę.

Jak więc mogłam nie wiedzieć?

- Wobec tego czemu, do cholery, nikt o tym nawet nie wspomniał?

Czemu nikt mi nic nie powiedział?

- A po co miałby ci ktoś o tym mówić?

- zapytała Dominique ze spokojem, który zirytował go jeszcze bardziej.

- Papa Charles nie miał najmniejszej ochoty wracać do tego, a moja mama tym bardziej, nie muszę ci chyba tego tłumaczyć.

No tak, nie było w tym nic dziwnego, że matka Dominique nie potrafiła znieść rozmów o wcześniejszym życiu jej męża.

A jednak Blaise czuł się trochę wystrychnięty na dudka; dopiero teraz dowiadywał się, że istniała druga - rodzona - córka Charlesa, który miał ją nie z Catherine, ale z inną kobietą.

- To jak mogłaś, u diabła, być zawsze taka pewna, że zapisze wszystko tobie?

-zapytał już naprawdę rozgniewany.

- Wpuściłaś mnie w to zupełnie nie przygotowanego.

- Dlatego, że on nawet nie widział jej na oczy od dnia, kiedy rozstał się z jej matką, jeżeli już chcesz wiedzieć!

I dlatego, że ta jego córka odsyłała mu bez rozpieczętowania wszystkie listy, które do niej pisał przez ostatnie dwanaście lat.

Ta szara mysz ostentacyjnie stwierdzała, że dla niej ojciec umarł w dniu, w którym porzucił jej matkę.

Ale na spadek czekała, mogę cię zapewnić!

Niech to szlag!

- mruknął w myśli Blaise.

W ładną kabałę wpakowałeś mnie, mój przyjacielu!

W sam środek nieuchronnej rodzinnej wojny!

I co ja mam teraz robić?

Bezstronnie sędziować przebieg tego meczu?

- Mogłaś mi przynajmniej wspomnieć, że ona w ogóle istnieje.

- Mogłam spokojnie uważać, że papa Charles sam to robi.

W końcu mianował cię nawet wykonawcą testamentu, prawda?

- To ostatnie pytanie było jedynie dodatkową szpilką.

No tak, Charles zrobił to po swojemu.

Blaise krzywiąc się odkładał słuchawkę.

Tak, Charles coś tam napomykał, ale w taki sposób, że Blaise mógł być podówczas przekonany, iż poza nimi dwoma nikt o tym w ogóle nie wie.

Teraz okazywało się, że jego żona od samego początku wiedziała o istnieniu prawdziwej córki, podobnie jak Catherine.

Blaise czuł się wymanipulowany i wprowadzony w błąd.

Dotąd zawsze wierzył, że jego zmarły teść miał do niego pełne zaufanie i że to on, Blaise, był jedną z naprawdę nielicznych osób, z których zdaniem Charles Despard się liczył.

Zresztą sam Charles wielokrotnie to podkreślał, również w liście, który dołączył do swego testamentu.

Mimo to Blaise czuł się oszukany, potraktowany jak naiwny smarkacz.

Przeczytał ten list wiele razy.

Teraz już niemal umiał go na pamięć...

Mój drogi Blaise!

Czytając te słowa z pewnością będziesz już wiedział, że wyznaczyłem cię na wykonawcę mojej ostatniej woli, wyrażonej w obu testamentach - francuskim i angielskim.

Ten list piszę po to, żeby Ci wiele rzeczy wyjaśnić.

Chcę Cię prosić, mój drogi Blaise, byś zrobił wszystko, co jest możliwe i przekonał moją córkę - moją drugą, rodzoną córkę - żeby jednak zechciała przyjąć spadek, który jej zostawiam, to znaczy - całość londyńskiego oddziału firmy Despard.

Zdaję sobie sprawę, jakim to może być dla Ciebie zaskoczeniem.

Moja córka nazywa się Catriona Susan Despard i w chwili gdy to piszę, ma dwadzieścia sześć lat.

Mieszka w Londynie przy Kings Road, w mieszkaniu nad małym sklepikiem, w którym sprzedaje - cóż by innego - porcelanę.

Występuje tam pod panińskim nazwiskiem matki, jako Kate Mallory.

Przestała używać mojego nazwiska od chwili, gdy pozostawiłem ją i jej matkę, żeby związać się z moją Catherine.

Powody, dla których tak postąpiłem, wyluszczone są w dołączonych do testamentu listach, które przez dwanaście lat pisałem i wysyłałem do mojej córki, w nadziei, że kiedyś je przeczyta i - zwłaszcza teraz, kiedy już jest dostatecznie dorosła - zrozumie, dlaczego zdecydowałem się na ten krok.

Niestety, moja córka nie zechciała ich nawet odpieczętować.

Pierwszy z wysłanych przeze mnie listów został mi odesłany podarty na strzępy, które wrzucono do innej koperty.

Wszystkie pozostałe wracały nie rozpieczętowane, za każdym razem z wypisaną czerwonymi drukowanymi literami formułką: "Adresat nieznany.

Zwrot do nadawcy".

Chciałbym, żebyś ją skłonił do przeczytania tych listów.

Żeby mogła zrozumieć powody leżące u podstaw tego, co się stało, a co ona wciąż uważa za moją dezercję i opuszczenie jej; za coś, co nigdy nie może być wybaczone.

Pozostaje w tym postanowieniu niezłomna, a ja zdaję sobie sprawę z jej poczucia krzywdy i z bólu, jaki jej zadałem.

Dlatego zresztą uparcie próbowałem do niej dotrzeć, żeby się z nią pogodzić.

Tragedią dla mnie - i największą moją klęską - było to, że ona postanowiła nie przebaczyć.

A ja wciąż chciałbym, żeby moja mała Cat - tak ją zawsze nazywałem - kontynuowała tradycję naszej firmy.

Cat jest nieodrodną córką Despardów; ma oko, wycucie, instynkt, jak wszyscy w naszej rodzinie.

Kiedy jeszcze była małą dziewczynką, uroczyście przyrzekłem jej, że któregoś dnia firma Despard będzie należała do niej.

Dotrzymuję tej obietnicy, ponieważ chcę, żeby ona dotrzymała swojej.

Uważam jednak, że powinienem zachować się właściwie również w stosunku do mojej pasierbicy i dlatego zapisałem jej lokalne oddziały naszej firmy w Paryżu, Genewie,

Monte Carlo i w Hongkongu - ten ostatni oddział Dominique w ciągu ostatnich lat prowadziła przecież już samodzielnie.

Jeżeli idzie o największy oddział firmy - Despard's International - postanowiłem, że obie moje córki poddam rocznej próbie.

Przez dwanaście miesięcy będą mogły się wykazać osiągnięciami, a ta, która po zakończeniu roku finansowego osiągnie największy obrót i największy dochód po opodatkowaniu, przejmie Despard's International.

Uważam jednak, że Catriona przedtem powinna mieć jeszcze trochę czasu na prawdziwe nauczanie się zawodu.

Samorodny talent nie może zastąpić doświadczenia, które Dominique zyskała już w tak znacznej mierze.

Catriona powinna przejść podobną praktykę.

Zatem gdybym umarł na przełomie naszego roku rozliczeniowego, który zaczyna się w kwietniu, Catriona powinna cały ten rok poświęcić na naukę.

Dopiero potem ma nastąpić roczna próba i porównanie wyników.

Tak, moim zdaniem, będzie sprawiedliwie.

Gdyby zaś okazało się, że moja śmierć wypadła w środku okresu rozliczeniowego, trzeba, żeby Cat poświęciła na praktyczną naukę zawodu cały pozostały czas aż do końca marca, a próba zacznie się w następnym roku od pierwszego kwietnia.

Po rozliczeniu tego roku próby i po zamknięciu bilansu, ta z moich córek, która uzyska najlepsze rezultaty finansowe i największe zyski dla firmy, przejmie moje stanowisko prezesa i dyrektora wykonawczego Despard's International.

Będzie to, moim zdaniem, rozwiązanie najbardziej sprawiedliwe.

Catriona ma wrodzone zdolności, natomiast Dominique musiała się tego dopiero uczyć.

Z drugiej jednak strony Dominique ma już ogromne doświadczenie pracy w wielkim domu aukcyjnym, czego nie ma Catriona.

Sądzę, że zaproponowany przeze mnie sprawdzian jest w tym względzie wyważony.

Gdyby jednak miało się okazać, że tak nie jest, daję Ci, mój drogi Blaise, pełną swobodę postępowania tak, jak to uznasz za stosowne, w zależności od sytuacji.

Bądź zatem moim obserwatorem i adwokatem jednocześnie.

Myślę, że nie krzywdzę Dominique pisząc tu, że obaj dobrze jążnamy.

Z całą pewnością wiesz, co mam na myśli.

Wybór środków i sposobów postępowania należy do Ciebie.

Proszę Cię tylko, żebyś zrobił wszystko, co będzie możliwe dla zrealizowania mojego zamysłu najlepiej jak potrafisz.

Dziękuję ci.

Charles.

Cóż za zlecenie!

Potrzebna mu akurat taka cholerna robota!

Znów wróciło poczucie, że Charles potraktował go jak naiwnego smarkacza.

Mało prawdopodobne jest, żeby ta dziewczyna chciała wybaczyć ojcu akurat teraz.

Może jednak uda się z nią porozmawiać podczas pogrzebu w poniedziałek, pomyślał Blaise.

Ale zaraz odrzucił to przypuszczenie.

Najwyraźniej musi być zacięta, zapiekła w nienawiści.

Pielęgnuje swoje urazy, opiekuje się nimi tak, jak inne kobiety opiekują się własnymi dziećmi.

A jednak Charles wciąż próbował zasypać tę przepaść między nimi...

Dlaczego, u diabła, nie zechciała przeczytać choćby jednego z tych przejmujących listów, które Charles do niej pisał?

Może po prostu ona jest z gatunku tych, co to są w stanie widzieć tylko czarne i białe, i nic ponad to?

No cóż, pomyślał Blaise, niech tylko powie mi, co mam zrobić z firmą Despards, a ja jej potem powiem, co może zrobić ze swą czarną, zapiekłą we wrogości duszą.

Przeszedł przez jezdnię wciąż jeszcze poirytowany i w rezultacie omal nie wpadł pod przejeżdżającą taksówkę, która musiała gwałtownie hamować, a jej kierowca obrzucił go stekiem przekleństw.

Ale Blaise, prawdę mówiąc, nawet tego nie usłyszał.

Zainterесowało go to, co zobaczył przyglądając się już z bliska wystawie małego sklepiku, urządzonej wdzięcznie i ze smakiem.

Wnętrze wystawy pokryte było beżową wykładziną, całość zamknięta od tyłu kotarami z aksamitu o podobnym odcieniu; na środku, na misternie rzeźbionym stoliku - chyba chińskim - umieszczono figurkę konia stojącego dęba.

Figurka była ze starego brązu w kolorze terakoty, z zielonymi śladami patyny.

Z pewnością również pochodziła z Chin.

Głębiej do wnętrza sklepu nie można było zajrzeć, ze względu na zaciągnięte zasłony.

Blaise dłuższy czas zastanawiał się, czy ma do niej pójść osobiście.

W końcu uznał, że osoba, która przez tyle lat podtrzymywała i wręcz pielęgnowała w sobie tego rodzaju urazy, nie zechce nagle usłuchać jakiegokolwiek pisemnego wezwania.

Należało raczej działać przez zaskoczenie.

Gdyby udało mu się ją zaskoczyć, może by go wysłuchała.

Otworzył drzwi z taką siłą, że zawieszony nad nimi stary dzwonek zabrzmiał niczym alarm pędzącej straży pożarnej.

Dwie kobiety, rozmawiające ze sobą w głębi sklepu, na ten ostry dźwięk jednocześnie obróciły się w jego stronę, a jedna z nich, wyższa, popatrzyła na gościa z chłodną dezaprobatą.

- Może byłby pan łaskaw chwilę poczekać, sir.

Właśnie obsługuję klientkę - powiedziała i odwróciła się do niego plecami.

Był to gest bardzo wymowny, a plecy należały z pewnością do Kate Mallory, jako że okrywała je dżinsowa kurteczka, dokładnie taka, jak na dołączonym przez Charlesa do listu teleobiektywowym ulicznym zdjęciu.

Takie same były też obcisłe dżinsy i dobrane do całości kowbojskie buty.

Zaskoczeniem dla Blaisea były włosy, prawdziwa strzecha w wyzywającym nieładzie; krańcowo rozwichrzona, a przy tym tak rude, że patrzącemu zaczynało migotać w oczach.

Zanim się od niego odwróciła, zdążył jeszcze dostrzec rdzawe piegi w liczbie znacznie większej, niż mogłoby to być dopuszczalne dla urody jakiejkolwiek kobiety, a także oczy, które natychmiast kazały mu pomyśleć o źrenicach bardzo podobnego koloru, kiedyś spoglądających na niego z mrocznych zarośli w głębi brazylijskiej dżungli.

Natomiast jej głos był przyjemny: żywy i energiczny, o brzmieniu zdecydowanie angielskim, choć Blaise z jakiegoś powodu sądził, że córka Charlesa powinna mówić z akcentem francuskim, tak jak jej ojciec.

Poczuł nagle na sobie czyjś badawczy wzrok i spojrzał w tamtą stronę.

Zza pięknego parawanu z Coromandel, który oddzielał zaplecze sklepu od części przeznaczonej dla klientów, wyszedł wysoki siwowłosy mężczyzna, ubrany z wielką, może nawet nieco przesadną dbałością.

Jego odrobinę drwiące spojrzenie, podobnie jak i cyniczny uśmiezek cokolwiek przypominający postaci z Somersetu Maughama, bardzo szybko zmieniły się, nabierając wyrazu szacunku, w miarę jak ukryty za tym wszystkim wewnętrzny kalkulator oszacowywał nienaganny strój Blaisea, jego kosztowny garnitur prosto z Saville Row, ręcznie robione obuwie, teczkę ze skóry aligatora i dostrzegalny w tym wszystkim blask i zapach niemałych pieniędzy.

Blaise potrafił sprawiać takie wrażenie, zapach bogactwa zdawał się stanowić składową część jego płynu po goleniu.

Patrzący nań mężczyzna najwyraźniej uznał wynik oględzin za zadowalający i niemal bezszelestnie przesunął się w jego stronę.

- Dzień dobry, sir.

Jestem Rollo Bellamy.

Czy mógłbym w czymś być pomocny?

- powiedział wystudiowanym głosem, może odrobinę za bardzo przypominającym głos Hermiony Gingold.

Nietrudno też było zauważyć, że pytający najchętniej dopomógłby samemu sobie.

- Chciałbym zobaczyć się z panną...

Mallory.

Blaise zauważył krótkie, najwyraźniej zamierzone wahanie, uśmiech na twarzy mężczyzny znikł nagle, a wyraźnie pozbawione ciepła oczy stały się jakby jeszcze chłodniejsze.

- Panna Mallory jest zajęta, rozmawia z klientem.

- Bezbarwne źrenice skierowały się w stronę rudowłosej kobiety, która wciąż ustalała z kupującą jakieś szczegóły.

- Zaczekam.

To kategoryczne stwierdzenie sprawiło, że skrzywione w zimnym uśmiechu usta wyduły się lekko, a szare, pozbawione wyraźniejszej barwy oczy zderzyły się na moment z ciemnymi jak onyks źrenicami Blaisea.

W rezultacie Rollo Bellamy przesunął się pospiesznie w stronę stołu, gdzie dwie kobiety zdawały się zażarcie, choć grzecznie, kłócić o trzymaną przez Kate Mallory wazę.

Bellamy dyskretnie szepnął coś do ucha Kate, wziął z jej rąk sprzedawany przedmiot i sam zajął się klientką tak sprawnie, że ta niemal nie zauważyła, iż obsługuje ją już ktoś inny.

Natomiast Kate Mallory z miną najwyraźniej nie nazbyt zadowoloną ruszyła w stronę Blaisea, który stał teraz tuż koło wystawy.

Zdażył jeszcze zauważyć, że córka Charlesa była niemal równie wysoka jak on, szczupła jak młode źrebię i tak pozbawiona krzywizn, że mogłaby udawać chłopaka.

Wyciągnęła rękę i wzięła podaną przez Blaisea kartę wizytową.

- W czym mogłabym panu pomóc, panie Chandler?

- zapytała uprzejmie, ale jej głos, spojrzenie i całe zachowanie pozostawało chłodne.

Blaise dał jej swą wizytówkę z Chandler Corporation.

Zakładał, że musiała słyszeć o jego firmie - większość ludzi o niej słyszała - ale chyba wciąż nie wiedziała, czego ktoś z tak znanej międzynarodowej korporacji mógł chcieć akurat od niej.

Jej głos był miły i melodyjny, natomiast twarz wydawała się bardzo zwyczajna, a przy tym w ogóle nie umalowana.

Blaise był zaskoczony, że ktoś taki jak ona nawet nie próbuje czegoś zrobić dla poprawienia urody, ale zaraz potem pomyślał, że w zasadzie było to najrozsądniejsze.

Nie warto było, kiedy się miało ten rodzaj twarzy.

Nieco wystające kości policzkowe, proste wąskie usta.

A do tego jeszcze takie włosy, tak rude, że to wręcz powinno być zakazane!

Zupełnie nie wyglądała na kogoś z Despardów; włosy Charlesa były zupełnie inne, brązowe, podobnie jak oczy.

Ta dziewczyna najwyraźniej przejęła po matce nie tylko nazwisko, ale i wygląd.

Tymczasem Kate, która z daleka dostrzegła tylko niezwykle wzrost i cokolwiek niepokojącą osobowość nie znanego jej gościa, nagle zaczęła zdawać sobie sprawę, że patrzy na najbardziej chyba przystojnego mężczyznę, jakiego zdarzyło jej się widzieć.

Prawie dokładnie tak wyobrażała sobie kiedyś postać Edwarda Rochester, książkowego bohatera jej dziewczęcych lat.

Tyle że ten stojący przed nią mężczyzna był Amerykaninem i dla niego Rochester to zapewne tylko nazwa miasta w stanie Nowy Jork.

Ale tak czy inaczej był zupełnie niezwykle.

Choćby dlatego, że patrząc na niego musiała podnosić oczy do góry, co zdarzało się jej niezwykle rzadko.

A przy tym miał źrenice tak czarne, że wyglądały jak dwa jeziora lśniącej roztopionej smoły; w dodatku osłonięte rzęsami, za które niejedna kobieta oddałaby wszystko, tak były długie, gęste i naturalnie podwinięte do góry - dziwacznie kobiece w tej tak męskiej twarzy.

Ma niezwykle ciemną skórę, niczym Indianie z kowbojskich filmów, pomyślała oszołomiona.

Pewnie dlatego musiała odnieść to nagle wrażenie jakiejś dzikości i nieodpartej, niemal zwierzęcej urody.

Ale także i wyniosłości, wyraźnie wyczuwalnej, bliskiej nie ukrywanego lekceważenia.

- Czy pani jest Catrioną Susan Mallory Despard?

Blaise spostrzegł, że pokryta piegami skóra na jej i tak już wyrazistych kościach policzkowych napięła się jeszcze bardziej, jakby nagle ściągnięta do tyłu.

Momentalnie zamknęła się w sobie.

Blaise miał wrażenie, jakby tuż przed jego twarzą nagle zatrzaśnięto jakieś drzwi.

- Nazywam się Kate Mallory - powiedziała z naciskiem.

- Ale zmarły Charles Despard był pani ojcem?

Patrzył na nią i niemal widział, jak w tej jej wewnętrznej fortecy most zwodzony unosi się pospiesznie, wszelkie siły obronne gromadzą się na murach, a alarm rozlega się wszędzie.

- Był.

- Zabrzmiało to tak krótko i ostro jak uderzenie obronnego topora.

- Przyjechałem tu jako ustanowiony przez niego wykonawca jego ostatniej woli.

- Nie jestem zainteresowana niczym, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z Charlesem Despardem - powiedziała i zwróciła mu wizytówkę.

- Żegnam pana, panie Chandler.

On jednak nie zamierzał wychodzić.

Po prostu stał przed nią w taki sposób, że musiała go obejść dookoła, żeby gwałtownie otworzyć drzwi, co z kolei sprawiło, że znów rozległ się alarmujący dźwięk dzwonka.

Targująca się o wazę klientka i rozmawiający z nią Rollo Bellamy odwrócili się i patrzyli na nich z pewnym zaskoczeniem.

Blaise opanował emocje i zaskakująco spokojnym głosem powiedział: - To, że wyrzekła się pani nazwiska swego ojca, to naprawdę jest coś.

Nawet jak na kogoś tak zapiekłego we wrogości jak pani.

Delikatna skóra na twarzy Kate - dotychczas blada i niemal przezroczysta, jeżeli nie liczyć piegów - nagle nabrała gwałtownych kolorów, a jej właścicielka spojrzała na Blaisea wzrokiem, w którym było jawne ostrzeżenie.

- To nie jest pańska sprawa - odparowała.

- Muszę skorygować pani stwierdzenie: to jest moja sprawa.

Jestem wykonawcą ostatniej woli pani ojca i przyjechałem tu właśnie dlatego, że jest w niej specjalny zapis dla pani.

- Nie życzę sobie zapisów od Charlesa Desparda.

- Tym niemniej mam jego polecenie, żeby zapoznać panią z treścią zapisu.

- Jego polecenia mnie nie obowiązują.

Przestałam ich słuchać dwanaście lat temu.

Gwałtownie chwyciła za klamkę drzwi, co spowodowało, że dzwonek znów zadzwieczał.

- Żegnam pana, panie Chandler.

On jednakże wciąż po prostu stał nieruchomo, patrząc na nią takim wzrokiem, że miała ochotę go uderzyć.

Ale im bardziej rośla w niej ta chęć, tym spokojniejszy i pewniejszy siebie wydawał się ten mężczyzna.

- Nie rozumie pan, co się do pana mówi?

- syknęła jadowicie.

- Powiedziała już, że nie mam ochoty przyjmować czegokolwiek od Charlesa Desparda.

Dostałam od niego wystarczająco dużo dwanaście lat temu.

- Łącznie z tymi wojowniczymi iskierkami w pani oczach, prawda?

- Blaise już wcześniej zauważył, że ich wyraz coś mu przypomina.

- Żywcem przeniesione z oczu Charlesa, może mi pani wierzyć.

Patrzyła na niego z kamienną twarzą.

Żadne z nich nie zauważyło, że tymczasem Rollo Bellamy wymanewrował zaintrygowaną tym wszystkim klientkę ze sklepu, a sam zmaterializował się niemal dokładnie pośrodku między nimi, jakby z zamiarem rozdzielenia przeciwników.

- Sądzę - zaczął teatralnym głosem - że lepiej będzie, jeżeli postaramy się przenieść kłótnię z moją firmową partnerką tam, gdzie będzie się mogła odbyć bez widzów.

Kate za późno zdążyła się połapać, że Rollo gładko uzurpował sobie miano jej partnera i bezskutecznie próbowała go zniszczyć spojrzeniem, pod którym każdy wrażliwszy osobnik powinien się natychmiast zapaść pod ziemię.

Zresztą i bez tego już była wściekła, cała się trzęsła wewnątrz.

Zaczynała ją mdlić i była o krok od tego, żeby się rozpłakać.

Tak było prawie zawsze, kiedy ktoś przy niej odważył się wspomnieć jej ojca.

Swój gniew skierowała na Blaisea Chandlera.

Arogancki pyszałek!

Za kogo on się właściwie uważa?

Blaise widział to wszystko i ze swej strony - rzeczywiście z poczuciem pewnej wyższości

- uznał, że dziewczyna jest przede wszystkim zdenerwowana.

I mniej więcej tak samo napięta jak te dorastające na wolności mustangi, kiedy je zapędzano na ranczo pod koniec roku.

Ona, podobnie jak taki dziki koń, mogłaby być naprawdę niebezpieczna przy nieostrożnym zbliżeniu.

Albo mogłaby zrobić krzywdę sobie samej.

Mustangom w takich przypadkach zdarzało się łamać nogi przy nie dość ostrożnej próbie ich ujarzmiania, pomyślał Blaise.

A swoją drogą takiego źrebaka chętnie by sam spróbował ujarzmić...

- Sądzę, że jesteś winna panu Chandlerowi przynajmniej tyle uprzejmości, żeby wysłuchać, co ma do powiedzenia - powiedział Rollo tonem mentora.

- Wiesz doskonale, że wszelkie wiadomości od Charlesa Desparda to dla mnie złe wiadomości - odpaliła Kate.

- Już dostałam od niego dużo więcej, niż chciałam...

kiedy porzucił mnie i moją matkę.

I nie chcę już od niego niczego i nigdy!

- Nie wiedziałem, że pani jest aż tak afektowaną aktorką!

- Głos Blaisea był łagodny i miękki jak jedwab, ale też tak pełen pobłażliwej wzdargy, iż Kate nagle poczuła, że płonie jej już nie tylko twarz, ale i serce.

Udało jej się jednak przynajmniej na chwilę zapanować nad własnym głosem.

- To, jaka ja jestem czy też nie jestem, nie jest pana sprawą!

- Jej głos również był pełen wzdargy.

- Jak pan śmie przychodzić tutaj i zachowywać się tak, jakby był kimś wszechwiedzącym?

A gdzie pan był dwanaście lat temu?

O, nie wątpię, że Charles Despard przedstawił panu odpowiednio ubarwioną historyjkę o tym, jak to naprawdę było.

Wzruszająco opowiedział, dlaczego musiał zostawić mnie i moją matkę.

Według niego, prawdopodobnie, to nie on mnie, ale ja jego skrzywdziłam!

A to oczywiście jest kłamstwo, jak wszystko, co mówił kiedykolwiek.

Porzucił żonę i córkę dla jakiejś ulicznej wywłoki, bez najmniejszych skrupułów!

Okazał się kłamcą i oszustem i nie widzę najmniejszych powodów, żeby dziś zmieniać moje zdanie o tym, jaki był i co zrobił!...

- Wściekłość Kate najwyraźniej wciąż narastała.

- Może pan sobie wziąć to jego "polecenie" dla pana i...

i wetknąć je gdzieś...

Dla mnie mój ojciec umarł już dwanaście lat temu, a razem z nim umarła moja pamięć o nim.

- Ale pani własna pamięć najwyraźniej nie umarła.

Jest pani zadziwiająco uczulona na wspomnienie człowieka, o którym, jak pani twierdzi, od dawna już zapomniała.

Twarz Kate wciąż była pełna gniewu, z trudem mogła mówić, a w jej oczach widać było ból.

- Więc pani po prostu nie chce wiedzieć tego, co jej ojciec miał do powiedzenia?

Nawet nie spróbuje pani zapoznać się z jego wyjaśnieniami, dowiedzieć się, dlaczego tak postąpił?

- Nie ma wytłumaczenia dla czegoś takiego jak porzucenie własnej żony i dziecka!

Obróciła się na pięcie i jeszcze raz podeszła do drzwi, otworzyła je i czekała, aż wyjdzie. Było oczywiste, że zamierza być nieugięta, że na pewno jest krańcowo zdenerwowana i wściekła.

Blaise pomyślał, że ta dziewczyna potrzebuje nie tyle ojca, ile dobrego psychiatry.

- Wobec tego będę musiał prosić panią o podpisanie oświadczenia, w którym formalnie zrzeknie się pani wszelkich praw do spadku po pani ojcu - powiedział ze spokojem, pod którym kryła się przemożna chęć porządnego natarcia jej uszu.

- Podpiszę je z prawdziwą przyjemnością!

Blaise zmierzył ją spojrzeniem, pod wpływem którego powinna była poczuć się jednocześnie niedorośła i bardzo mała.

Potem złożył jej nienagannie uprzejmy ukłon, który odebrała niemal jak policzek, i wyszedł ze sklepu z miną człowieka, który ma wreszcie za sobą najnieprzyjemniejszą część zleconego mu obowiązku i teraz, dzięki Bogu, jest już wolny.

Kate była o włos od ostatecznego wybuchu, jej ręka bezwiednie wyciągnęła się, szukając po omacku czegoś, czym można by rzucić o ziemię.

Znając jej temperament można się było obawiać, że za chwilę może wszystko dookoła porozbijać w drobne kawałki.

Rollo na wszelki wypadek pośpiesznie odsunął od niej wspaniałą miśnieńską figurkę, przedstawiającą Neptuna na rydwanie ciągniętym przez delfiny.

Było to małe arcydzieło z kolorowanej porcelany, na którym szkarłatna czerwień i głęboka zieleń na kremowym podłożu walczyły o pierwszeństwo z bogatymi złoceniami.

Rollo przytulił Neptuna do piersi i dodatkowo osłonił ramionami, spoglądając jednocześnie w ślad za Blaiseem, który szybkimi długimi krokami przeszedł jezdnię i skręcił w uliczkę za rogiem.

- Obawiam się, moja droga, że popełniłaś poważny błąd - powiedział Rollo tonem powszechnie znanego z telewizji sędziego Roya Beana.

I natychmiast podniósł dłoń do góry, jakby chcąc powstrzymać jej protest.

- Wiem, wiem.

To niewątpliwie była bezczelność ze strony twego ojca, po tym, co wam zrobił.

Ale przecież ten Blaise Chandler zna całą sprawę wyłącznie z relacji Charlesa Desparda.

Natomiast ty, gdybyś podczas tej całej rozmowy zechciała choć trochę opanować swój nieokiełznany temperament...

- Mało mnie obchodzi, co o tym może myśleć ten cały Blaise Chandler - odburknęła wściekle Kate.

- I nie zamierzam przyjmować czegokolwiek od człowieka, który z pewnością chciał tylko uspokoić sumienie i wykupić się tanim kosztem od poczucia winy.

Rollo przymrużył oko i powiedział: - Trochę jednak przesadzasz, moja droga.

Ja to rozumiem, ale z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że twój ojciec przecież pisał do ciebie, i to wiele razy.

- Bo czuł się winny!

- powtórzyła Kate.

- Bo chciał się pozbyć wyrzutów sumienia!

A jeżeli już czuł się tak winny, to dlaczego został z tą swoją francuską wdową?

Dlaczego nie wrócił do nas, tak jak powinien?

- Nagle zaczęło brakować jej tchu...

Coś ścisnęło ją w gardle, mdłości powróciły, a wszystko wokół zdawało się chwiać tak, jakby miała za chwilę zemdleć.

- Powiem ci jednak, że tak naprawdę jesteś zupełnie taka sama jak twój ojciec: zanim zdążył spokojnie pomyśleć, już był naładowany jak bomba!

I potrafił tak reagować nawet na zupełne byle co, a uparty był przy tym jak koziol!

Ale jeżeli przed śmiercią wykazał się wreszcie jakimś bardziej rozsądnym podejściem, ty też mogłabyś pójść w jego ślady...

- Rollo chętnie uniósłby tu ręce w teatralnym geście, nie mógł jednak tego zrobić ze względu na wciąż trzymaną w nich miśnieńską figurkę.

Bardzo ostrożnie postawił ją na miejsce.

Kate wciąż niemal gotowała się z wściekłości.

- Przestań wreszcie porównywać mnie z moim ojcem!

- wybuchła.

- A w ogóle, to czy ty nie za dużo bierzesz na siebie?

Na przykład przedstawiłeś mu się jako mój partner handlowy!

Od kiedyż to nim jesteś?

- Po prostu to brzmiało znacznie lepiej - odparł Rollo, w najmniejszym nawet stopniu nie przejęty tym wyrzutem.

- Czy miałem komuś takiemu jak Blaise Chandler powiedzieć, że jestem tylko bezrobotnym aktorem, który ci trochę pomaga, gdy akurat nie ma dla niego roli?

Jak by to wyglądało?

Ale ty, jak się zdaje, wciąż nie wiesz, kto nas odwiedził?

- Nie wiem i nie mam ochoty wiedzieć.

Arogancki sukinsyn!

- Tak, ale zastanawiałem się, czy też on nie jest czasem...

- Nie jest!

- palnęła Kate.

- Jeżeli chodzi o to, czy jest pedałem, to nie jest.

To mimo wszystko widać.

Rollo jednak nie dał się zbić z pantafelku.

- Nie o to mi chodziło.

Przecież czytałem, że jest żonaty z Dominique du Vivier, więc jak mógłby być?

Ale słuchaj!

- Przyszła mu do głowy nowa myśl.

-Z tego przecież wynika, że on w jakiś sposób jest z tobą spowinowacony!

A tobie naprawdę przydałoby się jacyś krewni, uwzględniając, że byłaś jedynym dzieckiem twojej zmarłej matki, a z kolei bracia twojego ojca zginęli na wojnie, jak mi mówiłaś.

- Po co mi krewni, skoro mam ciebie?

- Kate powiedziała to kpiąco, ale w jej głosie i spojrzeniu było coś, co świadczyło, że nie do końca żartowała.

- Być może powinnam cię nawet przeprosić, że znów zareagowałam tak emocjonalnie, ale dobrze wiesz, co czuję, kiedy...

kiedy nagle zdarza się coś takiego, jak to, co było przed chwilą.

- Tak, z pewnością reagujesz zbyt mocno.

Po dwunastu latach mogłabyś już mieć to za sobą.

Ale któż inny potrafiłby, tak jak ty, pieczołowicie przechowywać śmiertelną urazę i co dzień czyścić ją do blasku, niczym jakiś krzyż zasługi.

- Wcale nie muszę o to się starać - powiedziała cicho Kate.

- Wystarczy, że przypomnę sobie moją matkę, a wszystko wraca.

Rollo Bellamy zamyślił się.

Uważał się za szarą eminencję przy osobie Kate Mallory i nie szczędził trudu, by wyglądać odpowiednio do tej dworskiej rangi.

Zresztą i tak zawsze kupował tylko najlepsze ubrania, ponieważ - był o tym przekonany - to w ostatecznym rachunku wypadało najtaniej.

Jego szary garnitur szyty był więc u Huntsmana i mógł być chlubą tej szacownej firmy.

Koszula od Turnbulla i Assera, biała, w dość szerokie czerwone paseczki, z gładkim białym kołnierzykiem.

Srebrnoszary krawat sygnowany przez Christiana Diora -jego kolor miał harmonizować z cokolwiek ołowianą barwą oczu, dość głęboko osadzonych pod ciężkimi powiekami, obramowanymi jeszcze dodatkowymi fałdami skóry, jak u niektórych jaszczurek.

Żaden kolejny lifting już nie wchodził w grę, tak przynajmniej powiedział mu zaufany i zaprzyjaźniony lekarz, ceniony specjalista od operacji kosmetycznych.

W rezultacie twarz Rolla Bellamyego sprawiała wrażenie, że jej właściciel musi być stale zmęczony i przy tym krańcowo znudzony.

To wrażenie powiększało jeszcze stałe skrzywienie ust, których lekko opuszczone kąci powodowały, że wyglądało to na dość pogardliwy, cyniczny uśmiezek.

Rollo właśnie kończył sześćdziesiąt cztery lata, miał od zawsze nastawienie wyjątkowego śledziennika, który od życia z reguły nie spodziewa się niczego dobrego.

Taka postawa sprawiała, że rzadko bywał rozczarowany.

Z zawodu był aktorem, chociaż ostatnio nieczęsto zdarzało mu się stawać na deskach scenicznych.

Ale jego prawdziwym powołaniem był handel, był wręcz urodzonym sprzedawcą, chociaż, jako snob, nigdy nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

Było jednak faktem, że jak nikt potrafił w razie potrzeby zarówno zdeprymować klienta nawet zwykłym uniesieniem brwi, jak i odpowiednio pobudzić go i zachęcić jednym błyskiem oka czy prawie niedostrzegalnym kiwnięciem głowy.

Właściwie to głównie dzięki niemu sklep Kate w ogóle przynosił jakieś - choć bardzo skromne -dochody.

No i jeszcze dzięki temu, że Kate zawsze jednak miała nosa, kiedy chodziło o stare dzieła sztuki.

Rollo lubił powtarzać, że to naturalny, wrodzony talent "z bożej łaski", a kiedy sama Kate nie mogła akurat tego słyszeć, dodawał jeszcze "zupełnie taki sam, jak u jej ojca".

Rollo przez dłuższy czas patrzył na nią w zamyśleniu, aż w końcu zapytał: - Czy przynajmniej zdajesz sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej odrzuciłaś olbrzymie pieniądze?

- Mój drogi, wbrew temu, co sam stałe głosisz, pieniądze to jeszcze nie wszystko.

- Pieniądze to nie wszystko?

To jest nikczemne kłamstwo, rozgłaszane wyłącznie przez tych, którzy pieniędzy nie mają.

Jak my, na przykład.

Jakoś nie dorabiamy się tu fortuny, prawda?

- Na to trzeba czasu - odparła Kate, przyjmując od razu postawę obronną.

- Harujesz tu już pięć lat.

Nie nazwałbym tego chwilką.

- Jeszcze osiągnę sukces.

Daj mi tylko trochę czasu.

- Ja już mam niewiele czasu - powiedział Rollo niespodziewanie cicho.

Kate spojrzała na niego oczami pełnymi nagłego przerażenia.

- Nie mów tak, Rollo!

Masz dopiero sześćdziesiąt trzy lata!

Jeszcze wiele przed tobą.

- Chciałbym mieć taką nadzieję.

Ale nigdy nie można być tego pewnym, chyba że jest się kimś tak młodym jak ty.

- Rollo zamilkł na chwilę.

- Tak czy inaczej, musi mnie obchodzić, gdy się okazuje, że być może właśnie odrzuciłaś niezwykle szansę.

Twarz Kate stężała.

- Niezwykłą szansę na to, żeby pozwolić ojcu na kupienie ode mnie przebaczenia?

To chciałaś powiedzieć?

- Niczego nie chciałem powiedzieć i niczego ci nie sugeruję.

Co najwyżej tylko to, żebyś może jednak przynajmniej posłuchała, co twój ojciec polecił wykonawcy tego testamentu.

Owszem, możesz nie chcieć mu wybaczyć, rozumiem.

Ale czy to, że nawet po śmierci on wciąż próbuje...

czy to w ogóle nic dla ciebie nie znaczy?

Może nie tylko on był dla ciebie obsesją przez te wszystkie lata?

Ty dla niego też mogłaś nią być, taką samą.

Kate nie odpowiedziała od razu, ale wyraz jej twarzy świadczył dobitnie, co o tym myśli.

- Nie mam już nic więcej do powiedzenia na ten temat - oświadczyła krótko.

- I może skończmy z tym, dobrze?

Mam za chwilę spotkanie u Howella i Roberta, którzy są zainteresowani tą puderniczką z Limoges.

- Tylko twardo trzymaj się swojej ceny.

Stać ich na to, żeby tyle zapłacić.

- Możesz być spokojny.

Już wystarczająco dobrze znam Briana Howella.

Rollo patrzył za nią przez szybę, przyglądając się, jak idzie w dół ulicy tymi swoimi długimi krokami, z wyprostowanymi plecami i głową jak zawsze wysoko podniesioną.

Być może wynikało to z jej kompleksów, z przekonania o braku urody.

Kate zawsze chodziła w taki sposób, jak gdyby to, jak wygląda, kompletnie jej nie obchodziło.

I ubiera się dokładnie tak samo, pomyślał melancholijnie Rollo.

Obrócił wywieszkę na szybie, żeby od strony ulicy widoczny był napis ZAMKNIĘTE, a następnie poszedł za przepierzenie w głąb sklepu, gdzie usytuowane było ogromne biurko Kate, zawsze zabałaganione i utrzymywane niedbale.

Rollo usiadł w fotelu, przysunął aparat telefoniczny i wybrał numer, który znał na pamięć.

- Czy to firma Despard's?

Eee...

dzień dobry.

Zarówno to wytworne "eee", jak i cały ton wypowiedzi miały wyrzeć odpowiednie wrażenie na rozmówcy.

Świadczyły, że dzwoni ktoś ze sfer snobistycznej arystokracji, ktoś w oczywisty sposób nienawykły do traktowania innego niż z najwyższym szacunkiem.

Rollo był w tym wszystkim doskonały, jako że kiedyś - z powodzeniem - grywał takie właśnie role w różnych wznowieniach sztuk Wilde'a.

Niestety ostatnio Wilde'a grywano mniej.

- Wiadomo mi, że pan Blaise Chandler bawi właśnie w naszym mieście.

Czy zechciałby mi pan powiedzieć, gdzie go teraz mogę odnaleźć?

Sprawa dotyczy testamentu zmarłego Charlesa Desparda.

Nazywam się Rollo Bellamy i miałem już przyjemność rozmawiać z panem Chandlerem dzisiaj po południu.

Dziękuję bardzo.

Czekał ze słuchawką przy uchu, przypominając sobie przez ten czas wszystko, co miał w głowie na temat Blaise'a Chandlera.

Rollo miał pamięć czepliwiąk lep na muchy.

Co do niej trafiało, pozostawało tam już na zawsze.

Jak w kartotece.

Blaise Chandler.

Wnuk Agathy Chandler, właścicielki Chandler Corporation.

Nie tylko zresztą wnuk, ale chyba także i spadkobierca.

Ożeniony z pasierbicą Charlesa Desparda.

Ten ostatni fakt był chyba najbardziej znamienity.

Blaise Chandler, mąż Dominique du Vivier.

Realnie sprawujący władzę w jednej firmie i jednocześnie najbliższy i zaufany współpracownik szefa drugiej...

tak przynajmniej wynikało z faktu, że zmarły Charles Despard wyznaczył go na wykonawcę swego testamentu.

A więc ktoś naprawdę na szczycie.

A, jeszcze do tego tak atrakcyjny fizycznie...

Najwspanialsze męskie ciało, jakie kiedykolwiek widziałem, pomyślał Rollo.

Sam bym chętnie ugryzł choćby kawałek z takiego kęsa...

Tyle że u kogoś, kto ożenił się z kobietą, która nosi przydomek Pięknej Rosiczki, raczej niewiele pozostało do obgryzania...

- Słucham?

Tak, oczywiście, że to pilne.

Bardzo pilne.

- Rollo słuchał uważnie.

- Dobrze, gdyby to było możliwe, to w ciągu najbliższej godziny.

Później już nikogo tu nie będzie.

- To było kłamstwo, ponieważ wiedział, że Kate na pewno będzie.

Dla pewności powtórzył numer telefonu i zastrzegł jeszcze raz: - Bardzo proszę, w ciągu najbliższej godziny.

Doskonale.

Dziękuję.

Do widzenia.

Odwiesił słuchawkę.

Oczywiście, firma Despard ostrożna jak zawsze, pracownicy wycwanieni i zdyscyplinowani, mowy nie ma, żeby podali komuś numery telefoniczne swoich klientów. Ale nie miało to większego znaczenia, jeżeli Blaise Chandler jednak oddzwoni...

Rollo nie zamierzał pozwolić na to, by uczuciowy astygmatyzm Kate miał zniszczyć jej przyszłość.

W końcu jeżeli ktoś taki jak Blaise Chandler fatyguje się osobiście, to musi mieć do przekazania coś naprawdę znaczącego.

A to, co Charles Despard zapisał swojej córce, z pewnością musiało być warte niemało, bez względu na to, co by to konkretnie miało być.

Może udziały?

Albo określony procent zysków?

Bo resztę najprawdopodobniej zapisał tej swojej sprytniej pasierbicy.

Ta mała lisica z całą pewnością urabiała go przez lata, więc jeżeli Despard jednak zdecydował się zapisać coś także i swojej rodzonej córce, to musiało to być coś pokaźnego.

A Kate tak głupio to odrzuciła.

Nie można na to pozwolić!

- powiedział sobie Rollo.

To, że kiedyś sam w znacznym stopniu przyczynił się do wytworzenia u Kate takiego a nie innego obrazu ojca, było oczywiście godne pożałowania.

Ale w końcu kto mógł przypuszczać?

No cóż, tak czy inaczej to już przeszłość, teraz trzeba się postarać jakoś to naprawić.

Najwyższy też czas zadbać o to, by odmienić własną nie najlepszą passę.

Wildea grywano coraz mniej, to samo dotyczyło zresztą wszelkich komedii salonowych.

Kuchenne dramaty czy sztuki ze szkoły neorealisticznej nigdy nie były jego mocną stroną; neorealizmu zresztą wręcz nie znosił i w życiu również starał się, żeby, broń Boże, nic mu go przypadkiem nie przypominało.

Rollo westchnął.

Po części było to także i jego winą.

Pozwolił, by jego prywatna niechęć wpływała na ocenę rzeczywistości.

No cóż, to się teraz zmieni...

I jeszcze jedna rzecz powinna się natychmiast zmienić: barwy ochronne Kate.

Nie można już pozwalać na to, żeby chodziła pośród ludzi tak kompletnie nie uczesana, w byle jakich dzinsach i tych koszmarnych kowbojskich butach.

Najwyższy czas, żeby zrzuciła z siebie to przebranie nieładnej i programowo zaniedbanej kobiety.

Powinna wreszcie i w oczach innych stać się atrakcyjną osobą, którą tak naprawdę zawsze mogła być, ale po odtrąceniu przez ojca nigdy się na to nie odważyła.

Oczywiście, trzeba będzie postępować z wielkim wyczuciem, ostrożniej niż z wybuchowym ładunkiem nitrogliceryny.

Kate zawsze była stworzeniem niesłychanie wrażliwym, podatnym na zmienne nastroje.

Przez pierwsze czternaście lat swego życia jakoś jej się to wszystko układało, miała poczucie bliskiego emocjonalnego porozumienia z ojcem, ale po jego odejściu znalazła się nagle w sytuacji rozbitka na bezludnej wyspie.

W rezultacie nie stała się wojującą feministką, jednak zdrada ojca sprawiła, że teraz wszyscy mężczyźni wydawali się jej wrogami.

Ale taki Blaise Chandler, z jego pełną seksu urodą...

- Rollo westchnął tu z pewnym żalem - potrafiłby sprowadzić ją do normy.

Z całą pewnością.

No cóż, pomyślał.

Trzeba więc będzie coś zagrać, może nawet rolę życia.

Kłopot polegał na tym, że Kate zazwyczaj już dość dobrze potrafiła rozróżniać, gdzie kończył się Rollo, a zaczynała się rola wzięta z jakiejś sztuki.

Trzeba będzie stworzyć postać zupełnie nową.

Ale na szczęście w tym Rollo był dobry.

Blaise wracał na Arlington Street pieszo, szybko przemierzając chodnik długimi krokami.

Miał nadzieję, że fizyczny wysiłek choć trochę rozładuje narastającą w nim wściekłość.

A cóż to za wredny babus, cóż za harpia, jeszcze brzydka w dodatku!

I ta zapiekła, pełna złości zołza jest córką Charlesa Desparda!

A ten przez dwanaście lat uparcie o nią zabiegał, tęsknił za nią, jakby naprawdę było za czym.

Czemu u diabła nie skreślił jej ostatecznie?

Poza tym wyraźnie nie lubiła mężczyzn.

Trudno się zresztą dziwić, przy tak tragicznym braku urody.

Koścista gidia z jadowitym językiem!

Tu nagle go olśniło, już wiedział, kogo mu przypominała - młodą Katherine Hepburn.

Takie same kości policzkowe, takie same usta, jakby przecięte nożem.

Ale za tą twarzą kryła się określona osobowość; w przypadku córki Charlesa Desparda najwyraźniej mocno pokręcona.

Właściwie dlaczego niemal od razu rzuciła się na niego z pazurami?

To na pewno nie była reakcja osoby, której ojciec nic nie obchodził.

Raczej obchodził ją nawet aż za bardzo.

Początkowy gniew Blaisea już ostygł; przed oczami miał teraz ten wyraz bólu, wyraźnie dostrzegalny w jej oczach, głosie i całej postawie, zwłaszcza kiedy mówiła o tym, jak ojciec ją porzucił.

A jednocześnie nie przeczytała ani jednego listu, choć Charles wysłał ich do niej mnóstwo.

Oczywiście, kiedy się to wszystko stało, miała zaledwie czternaście lat.

Najgorszy wiek.

Ani dziecko, ani kobieta, taki obszar przerażającej ziemi niczyjej.

A poza tym - Blaise złapał się na tym, że dość nierozumnie spiera się sam z sobą - Charles Despard przecież rzeczywiście porzucił ją wraz z jej matką i związał się z Catherine, i tę właśnie decyzję próbował potem tłumaczyć w swych listach.

Być może gdyby Kate wiedziała, co w nich napisał, myślałaby o ojcu inaczej.

I właśnie o to chodziło!

Nie da się ukryć, że tego przede wszystkim spodziewał się po nim Charles.

Przez całą drogę, aż do powrotu na Arlington Street, Blaise bił się z podobnymi myślami. W końcu Charles był jego przyjacielem, prosił go, by zrobił, co tylko będzie możliwe, ostrzegając jednocześnie, że jego córka może być osobą trudną, i starając się mu wyjaśnić, co dziewczyna wciąż jeszcze może w związku z tym przeżywać.

Trzeba chyba jeszcze raz spróbować, w jakiś sposób jestem to Charlesowi winien.

Kiedy już wszedł do należącego dotąd do Charlesa biura, z którego teraz korzystał podczas krótkiego pobytu w Londynie, i kiedy powiedziano mu, że pan Rollo Bellamy pilnie chciałby z nim mówić, Blaise w pierwszej chwili doznał uczucia ulgi.

Przynajmniej nie będzie już musiał od samego początku ponownie przebijać się przez mur jawnej wrogości.

Ale zaraz potem pojawiła się podejrzliwa nieufność.

Wiedział już to i owo o Rollu Bellamym, jako że przed wyjazdem przygotowano mu teczkę z danymi o tym zawsze nienagannie ubranym dżentelmenie.

Zadzwoił pod podany numer.

Rollo powitał go z afektowanym szacunkiem.

- Dziękuję, że zechciał pan odezwać się tak szybko.

Chciałbym też od razu przeprosić pana za dzisiejsze zachowanie Kate.

Proszę jednak pamiętać, że ona naprawdę może się wciąż czuć zraniona do żywego postępowaniem ojca.

Na pewno zauważył pan, że jej nienawiść do ojca jest tak wielka przede wszystkim dlatego, że stanowi tylko jedną stronę medalu.

Po drugiej stronie jest miłość, na pewno równie silna.

Kate wciąż czuje, że jej miłość została odtrącona, a jej ojciec wybrał kogoś innego.

- Gdyby zadała sobie trud przeczytania choćby jednego z jego listów, być może zrozumiałaby, dlaczego tak się stało.

- Za pana łaskawym przyzwoleniem, do tego właśnie chciałbym doprowadzić.

Osobiście.

- Rollo zrobił pauzę, by sens jego słów dotarł do rozmówcy.

Potem mówił dalej z niezwykłą jak na niego otwartością.

- Chcę bowiem panu powiedzieć, panie Chandler, że jestem jedyną osobą na świecie, która ma jeszcze jakiś wpływ na Kate.

To ja przejąłem opiekę nad nią w momencie wyjazdu jej ojca.

I na dobrą sprawę funkcjonuję in loco parentis od chwili tego... wydarzenia.

Kate mi ufa, a muszę powiedzieć, że od czasu, gdy ojciec ją zdradził, nie ufa już więcej nikomu.

W końcu znam ją od niemowlęctwa, trzymałem ją na rękach w kościele, jako jej ojciec chrzestny.

- Rollo znów zrobił pauzę.

- Widzi pan, byłem bliskim przyjacielem jej matki.

- Wiem o tym - powiedział Blaise.

- Ach, wie pan o tym...

- Rollo mimo woli spojrział na trzymaną w ręku słuchawkę.

No tak, Charles musiał mu powiedzieć o wszystkim.

Trudno było się spodziewać, że będzie inaczej.

- A zatem, panie Chandler, czy zgodziłby się pan zaufać mi i dać trochę czasu?

Spróbowałbym przekonać Kate, że jednak powinna się z panem spotkać.

I wysłuchać tego, co pan ma jej do powiedzenia.

Oczywiście w takim przypadku musiałby pan najpierw zapoznać z tym mnie; namawiając Kate powinienem wiedzieć, do czego ją właściwie nakłaniam.

Blaise odpowiedział mu dopiero po dłuższej chwili.

- Biorąc rzecz formalnie, wolno mi to ujawnić tylko osobie, na rzecz której dokonano zapisu.

Ale szczególne okoliczności tej sprawy zmuszają mnie do zmiany postępowania.

Zdaje się, że w tym przypadku nie mam innego wyjścia, jeżeli chcę zrealizować ostatnią wolę Charlesa.

Najkrócej biorąc, wygląda to tak...

Po tym, co usłyszał, Rollo tylko z najwyższym trudem potrafił ukryć zdumienie.

- To rzeczywiście spadek nie byle jaki - powiedział naprawdę przejęty.

- I jest dla mnie oczywiste, że Kate nie może tego odrzucić.

- Więc jest pan pewien, że potrafi ją przekonać?

- Z Kate można sobie dać radę.

Ona jest taka, powiedzmy...

uparta, tylko ze względu na emocjonalny stosunek do ojca.

Ale obiecuję panu, że będzie pan miał do czynienia z zupełnie inną Kate Mallory - powiedział Rollo niezwykle poważnie.

- Jednak oczywiście nie mogę tego dokonać z dnia na dzień, a poza tym muszę to zrobić po swojemu.

Dziś mamy piątek, spróbuję coś zdziałać przez weekend.

Zadzwonię do pana w poniedziałek rano.

- Właśnie na poniedziałek jest wyznaczony pogrzeb, będę więc tego dnia we Francji.

Ale już we wtorek wrócę do Londynu.

Proszę do mnie zadzwonić po południu, powiedzmy o czwartej...

albo nie - poprawił się natychmiast, przypominając sobie, że Dominique też już będzie w Londynie.

- Lepiej umówmy się, że to ja zadzwonię do pana do sklepu.

- Bardzo dobrze - zgodził się Rollo.

- Czekam na telefon we wtorek o czwartej po południu.

Dziękuję, że pan się zgodził.

Nie będzie pan żałował.

- Gdybym musiał żałować, to nie zapomnę, do kogo mam mieć o to pretensje

- powiedział sucho Blaise i odłożył słuchawkę.

Dominique po rozmowie telefonicznej z Blaiseem wciąż jeszcze pozostawała w swym biurze, urządzonej dla niej na najwyższym piętrze nowojorskiego oddziału Desparda.

Chodziła po cennym perskim dywanie tam i z powrotem, niczym dzikie zwierzę w klatce. Jej palce przez cały czas nerwowo dotykały pierścionków i bransoletek, machinalnie zwijały się w pięści i znów się otwierały, zdradzając charakter burzliwych, szarpiących nią myśli.

Jak to się stało, że popełniła błąd?

I na czym ten błąd polegał?

Jak to możliwe, że pozwoliła, żeby jej ojczym zrobił coś takiego... tego rodzaju betise?

Przez dwanaście długich lat pracowała nad urabianiem go, żeby ostatecznie i raz na zawsze zbudować swoją przewagę nad jego rodzoną córką, żeby zająć jej miejsce w jego sercu.

A teraz okazywało się, że jednak będzie musiała...

dzielić się tym, co przecież powinno należeć tylko do niej.

To było wprost nie do pomyślenia.

Despards był jej!

Przecież tak nad tym wszystkim pracowała, planowała to, zręcznie manipulowała wszystkimi możliwymi drzwiami - i czekała.

Czekała na swoją chwilę.

Była tak pewna swego, zwłaszcza w momentach, kiedy poczta zwracała wysyłane listy, a jej zdarzało się zobaczyć wtedy twarz Charlesa.

Wtedy wiedziała, że wygrywa.

Ta kretyńska była aż tak dumna, że tą swoją dumą sama sobie podrzynała gardło.

A Dominique bardzo chętnie jej na to pozwalała, pilnując się tylko, by nie być za blisko... nie poplamieć się bryzgającą krwią.

A teraz nagle...

Jak to się mogło stać?

Jak doszło do tego, że największy klejnot w koronie rodu Despardów miał przypaść córce, którą Charles przecież porzucił dwanaście lat temu.

Dominique nagle zatrzymała się i uderzyła pięścią jednej dłoni w drugą, otwartą dłoń.

Nie, na to nie można pozwolić!

Trzeba coś zrobić, przeciwstawić się...

i to natychmiast, póki jeszcze można.

Sama myśl o tym, że jakieś głupie dziewuszysko mogłoby uważać, że wolno jej bezkarnie wziąć coś, co słusznie należało się Dominique du Vivier, była nie do zniesienia.

Nigdy się na to nie zgodzi.

Nie znalazł się dotąd nikt taki, nikt, kto potrafiłby jej coś odebrać.

I ta dziwka też kimś takim nie będzie!

Niewiele brakowało, żeby wściekłość Dominique skierowała się również na Blaisea.

Jednak trudno było nie pamiętać, że to przecież nie jego wina, w dodatku było oczywiste, że im mniej Blaise będzie o tym wiedział, tym lepiej.

Trzeba więc było wziąć się w karby, rozumować spokojnie i na zimno; nawet wściekłość daje się ostatecznie opanować takim właśnie lodowatym, niemal arktycznym wewnętrznym chłodem.

Tego nauczył ją jej rodzony ojciec i Dominique zapamiętała to na zawsze.

Gdy Blaise zadzwonił do niej z Londynu, od razu zapytała o rzecz najważniejszą: czy jest pewien, że zapis papy Charlesa jest zgodny z prawem?

- Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Testament jest sporządzony zgodnie z prawem brytyjskim, ponieważ firma Despards została założona w Anglii, choć oczywiście holding zarejestrowany w Szwajcarii - mam na myśli Despards International - kontroluje całość.

Przez najbliższy rok każda z was będzie prowadzić swoją przyznaną w testamencie część.

Oddział nowojorski będzie na razie na statusie dość specjalnym, powiedzmy, neutralnym.

To znaczy, że obie będziecie miały prawo korzystać z niego w razie okazji i potrzeby, aż do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia zarządzonego przez Charlesa konkursu.

- Powiedz mi jeszcze raz, jak zostały podzielone oddziały firmy.

- Powtarzanie niczego nie zmieni - odparł Blaise, co zirytowało Dominique.

Nie dała jednak tego po sobie poznać.

- Więc ja dostaję Paryż, Monte Carlo i Genewę?

I Hongkong, który zresztą i tak był przecież mój...

- A ona dostaje Londyn, parę pomniejszych miast w Wielkiej Brytanii oraz Dublin.

Charles zmarł jeszcze przed otwarciem oddziału nowojorskiego, więc uważał go niejako za pole niczyje, które dopiero należy sobie wywalczyć.

Obie macie rok na to, by go zdobyć.

- Ona nie odważy się robić czegokolwiek w Nowym Jorku - powiedziała Dominique z ogromną pewnością siebie.

- Wie dobrze, że Nowy Jork jest mój!

Blaise westchnął.

- Nie jest twój...

Ty tylko dokonałaś otwarcia, i to wszystko.

- Ale przecież...

- Nie ma sensu spierać się z faktami.

Zapisy w testamencie Charlesa określają bardzo jasno, co przypada komu, i nie może tu być żadnych wątpliwości.

Zresztą dokładnie to samo zamierzam powtórzyć tej Kate Despard, kiedy spotkam się z nią dziś po południu.

- Ona zgodziła się z tobą rozmawiać?

- Głos Dominique nagle zabrzmiał ostrzej.

Dotychczas była pewna, że Blaise w ogóle nawet się nie przebije do córki Charlesa. Wiedziała, że ta cała Kate prędzej zaczęłaby strzelać, niż rozmawiać z jakimkolwiek wysłannikiem swego ojca.

- Lepiej będzie pójść bez uprzedzenia i w ten sposób ją zaskoczyć.

Z tego, co mi Charles napisał, wynika, że to chyba jedyna droga.

No cóż, to prawdopodobne, westchnęła w myśli Dominique.

- Ale dlaczego w ogóle to masz być ty?

- zapytała wciąż jeszcze podejrzliwie.

- Ponieważ tak chciał Charles - odparł Blaise.

To wyjaśnienie wydało się Dominique dosyć enigmatyczne, a jej twarz stała się jeszcze bardziej lodowata.

Jednak z jej głosu nie dałoby się tego odgadnąć, odpowiedziała bardzo spokojnie: - Nie sądzę, żeby należało się obawiać, że mogę stracić Desparda.

Prawdopodobnie papa Charles po prostu uważał, że powinien zrobić jakiś gest.

I nic ponadto.

Poza wszystkim innym ona i tak nie potrafiłaby sobie z tym poradzić.

Co ona umie?

Kogo zna i kto ją zna?

Jakie może mieć doświadczenie w tym zawodzie?

-Dominique roześmiała się, rozbawiona.

- Kierować domem aukcyjnym Desparda, to mniej więcej tak, jak zasiąść za sterami Concorde, kiedy ma się za sobą parę prób na motolotni.

Nie, mój drogi Blaise, nie mam się tu czego obawiać.

Idź zatem i spełniaj misję, zleconą ci przez papę Charlesa najlepiej, jak potrafisz.

Ale też nie dziw się, jeżeli ona z wdzięczności zrzuci cię z tych starych angielskich schodów.

- Skąd wiesz, jakie ona może mieć doświadczenie?

- zapytał Blaise.

- Po prostu zawsze wiedziałam wszystko, co wiedział papa Charles - odparła Dominique z nie ukrywaną satysfakcją.

- A on przez dwanaście lat płacił za obserwowanie jej i donoszenie mu o wszystkim.

Milczenie po drugiej stronie linii telefonicznej świadczyło, że ta informacja zaszokowała Blaisea, a zadowolona Dominique dodała jeszcze: - Mówię ci, zawsze wiedziałam, że to tylko marnowanie czasu i pieniędzy.

Jednak już po niedługim czasie Dominique ponownie przemyślała sobie przebieg tej rozmowy i poczuła, że ogarniają ją dość niezwykle jak na nią wątpliwości.

Dotychczas nigdy nie brała poważnie pod uwagę, że ta cała Kate Mallory - czy jak tam zechciała się przezwać - zgodzi się przyjąć coś, co Dominique dotąd niejako automatycznie uważała za swoją własność.

A teraz...

Oczywiście, ten zapis to z całą pewnością był jedynie sentymentalny odruch ojca, ostatnia rozpaczliwa próba dotarcia do córki.

Mogło wyglądać na to, że Charles przez te wszystkie lata żył w mgławicowym świecie nie spełnionych marzeń i nadziei, w jakiejś krainie Nigdy-Nigdy, przez cały czas wierząc, że w końcu kiedyś to się spełni, ponieważ on tak bardzo tego pragnie.

Ale Charles Despard nie był człowiekiem, który pozwoliłby sobie na opieranie się wyłącznie na marzeniach.

Nie, mimo wszystko nie, powtórzyła sobie Dominique.
Zdrowy rozsądek mówi, że Kate nigdy nie przyjmie tego zapisu.
Świadczy o tym choćby to długoletnie, pełne zapiekłej złości traktowanie ojca.
Dominique wciąż jeszcze chodziła tam i z powrotem po pokoju, zastanawiając się nad tym wszystkim.
W końcu podjęła postanowienie, jedyne właściwe w tej sytuacji.
Nawet jeśli szansa niepomyślnego obrotu spraw była niewielka, i tak nie wolno było ich zostawiać ich własnemu biegowi.
Trzeba osobiście dopilnować, żeby odpowiedź Kate Mallory była właśnie taka, jakiej się po niej spodziewano, a w razie potrzeby po prostu wymusić to na niej.
Na szczęście istniał na to pewien sposób, niezawodny...
Pewnym krokiem skierowała się do biurka z telefonem.

Rozdział 3 .

Po rozmowie telefonicznej z Rollem Bellamym Blaise zamierzał natychmiast zadzwonić do żony, żeby - tak jak jej to obiecał - przekazać najnowsze wiadomości dotyczące Kate Mallory.

Jednakże zaraz potem jego telefon zaczął dzwonić raz za razem, różni ludzie mieli do niego mnóstwo pilnych spraw.

W rezultacie zanim w ogóle miał możliwość zatelefonować do Dominique, ta zdążyła już zmienić wszystkie dotychczasowe plany.

Zrobiła to błyskawicznie - jak to było w jej zwyczaju.

Przyśpieszyła swój przylot o dwadzieścia cztery godziny.

Oczywiście nie było najmniejszego problemu z samolotem, który miał zabrać do Paryża jej matkę Catherine, a także trumnę z ciałem Charlesa.

Korporacja Chandlera zawsze miała w pogotowiu którąś ze swych maszyn na lotnisku Kennedyego.

Tym razem był to Boeing 737.

Dominique zadzwoniła do domu pogrzebowego Campbella i wydała polecenia, które były właściwie rozkazem.

Potem zadzwoniła do pokojówki, opiekującej się jej matką.

Kiedy Blaise mógł wreszcie rozpocząć telefoniczne poszukiwanie Dominique po całym Manhattanie, luksusowy karawan eskortowany przez dwie dodatkowe limuzyny już jechał na lotnisko.

Po czterdziestu minutach byli na miejscu.

Catherine, w czarnym stroju i żałobnej woalce, zaprowadzono do ogromnej kabiny, urządzonej niczym luksusowy salon w apartamencie na Park Avenue, a Dominique wydawała ostatnie polecenia swojej francuskiej sekretarce, która miała towarzyszyć pani Despard i jej zmarłemu mężowi do Paryża.

Stamtąd mniejszy samolot miał ich zabrać do Marsylii, gdzie czekał specjalny karawan.

Ten miał ich zawieźć do małego kościółka w Vent, niedaleko starego wiejskiego dworku, zwanego z francuska mas, który Charles kupił niegdyś jako kompletną ruinę i przebudował na.

wypoczynkową rezydencję.

Dwieście lat temu jego praprapradziadek Gaston Despard porzucił ojczystą Prowansję i wyjechał do Paryża, gdzie po niedługim czasie otworzył lombard, tworząc w ten sposób fundament pod przyszłą fortunę rodu Despardów.

Teraz Charles miał wrócić do Vent i zostać pochowany w miejscu, które sobie sam wybrał, tuż obok wielkiego, po latach już mocno zdziczałego krzewu róży z ulubionej przez niego białej odmiany Malmaison.

Kiedy wreszcie telefon Blaisea odnalazł ją w jej biurze, Dominique kazała powiedzieć, że jej nie ma.

Nie miała ochoty wyjaśniać wszystkiego mężowi, a już zwłaszcza w tym stanie rzeczy nie zamierzała mu odkrywać swoich planów.

Blaise zaraz mógłby pomyśleć, że jego żona chce się wtrącać do czegoś, co w gruncie rzeczy powinien załatwić sam.

A ona nie miała ochoty spierać się o to, nie chciała się z nim kłócić.

Przyjdzie czas na wszelkie tłumaczenia, kiedy już będzie po wszystkim i kiedy ona, Dominique, doprowadzi do pożądanego denouement.

A na razie mogła się spokojnie zabrać do załatwiania co pilniejszych spraw przed swym odlotem.

Kate była w sklepie sama, ponieważ Rollo w porze sobotniego lunchu zwykle spędzał godzinkę lub dwie w swym ulubionym pubie w towarzystwie kolegów -głównie z kręgów teatralnych i homoseksualnych.

Kate nie jadła lunchu, z reguły pozwalała sobie tylko na jakąś kanapkę i filiżankę kawy, ponieważ sobota niemal zawsze okazywała się najlepszym dniem sprzedaży.

Tak było i tym razem - dopiero co jakiś niepozorny mężczyzna zapłacił gotówką osiemset funtów za rzadki egzemplarz masońskiego dzbana ze Staffordshire.

Ten dzban Kate wypatrzyła kiedyś w wielkim bieliźnianym koszu, pełnym starych rupieci, wystawionym na sprzedaż na jednym ze straganów małomiasteczkowego jarmarku.

Kupiła wtedy wszystko razem za pięć funtów, a potem przeżywała chwile niepokoju i rosnącej euforii, kiedy okazało się, że spod wielowiekowej już chyba warstwy kurzu i brudu wyłania się prawdziwe arcydzieło stylu Staffordshire, w jakiś cudowny sposób nawet nie porysowane.

Oczywiście tego rodzaju szczęśliwe przypadki zdarzały się nieczęsto, faktem jednak było, że bystre oko Kate i jej wrodzony instynkt, który pozwalał jej nie tylko widzieć, ale i czuć w palcach każdy taki przedmiot i od razu wiedzieć, czy jest autentyczny, już nieraz przyniosły jej znaczne korzyści.

Teraz przechodziła powoli od jednego odkurzanego przez nią przedmiotu do następnego, w razie potrzeby dodatkowo czyszcząc i przecierając powierzchnię do pełnego połysku.

Ruchy miała nieco bardziej gwałtowne niż zwykle, co świadczyło o wciąż jeszcze kłębiących się w jej głowie niespokojnych myślach.

Jeszcze nie powróciła do pełnej równowagi i pogody ducha, która cechowała ją zazwyczaj, kiedy była wewnętrznie spokojna.

Ale Blaise Chandler zburzył ten jej emocjonalny spokój, zmałcił go do głębi.

Kate wciąż jeszcze czuła, jak wszystko wewnątrz niej burzy się i kłębi.

Że też on miał czelność!

- pomyślała.

Obaj zresztą ją mieli...

chcieliby ją tym zapisem kupić!

Oczywiście przede wszystkim jej ojciec, który sądził, że będzie mógł zapłacić i uzyskać przebaczenie.

Długo na to poczekała, jeden i drugi!

Jeżeli ojcu tak bardzo na niej zależało, to dlaczego nie wrócił do rodziny i nie zostawił tej wypindrzonej Francuzicy?

Oszust i kłamca!

Nigdy mu nie przebaczę, nigdy!

Matka umarła właśnie dlatego, że złamał jej serce.

To jednak okropnie denerwujące, że jestem aż tak bezradna, że każde napomknienie o ojcu wywołuje we mnie taką burzę, pomyślała Kate.

Przez jakiś czas już sądziła, że ma to wszystko poza sobą, ale po wizycie Blaisea Chandlera znów okazało się, że praktycznie nie jest w stanie myśleć o niczym innym.

Podobnie jak niegdyś jej matka, która wciąż na nowo próbowała ją skłonić, żeby jednak otworzyła i przeczytała chociaż jeden z listów, które przychodziły od ojca.

- On przecież ciebie nie mógł zapomnieć, kochanie.

Zobacz tylko, jaki gruby list do ciebie napisał, widzisz?

- mówiła.

- Oczywiście!

Kilkanaście stron samych usprawiedliwień - odpowiadała Kate.

- Tak, jakby nie wiedział, że nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobił.

Zostawił nas obie dla innej kobiety!

Jak można usprawiedliwić coś takiego?

- Kochanie, to jest znacznie bardziej skomplikowane, niż przypuszczasz.

- To wcale nie jest skomplikowane!

Po prostu nie chciał nas już, i tyle!

Widziałaś przecież na zdjęciu w gazecie, jaka ona jest piękna, zresztą oboje są piękni.

A my po prostu nie byliśmy dla niego odpowiednie.

Tata zawsze mówił, że jest wyczulony na piękno.

Matka westchnęła w odpowiedzi.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda!...

Być może za rok czy dwa, kiedy ta rana nie będzie już tak dotkliwie świeża, pozwolisz to sobie wytłumaczyć.

Ale matka Kate nie doczekała już drugiego roku, a w osieroconej Kate narastająca gorycz coraz bardziej przeżerała to, co w rzeczywistości wciąż było głęboką miłością do ojca.

Matka Kate chorowała od dłuższego czasu, ostatni rok spędziła praktycznie już wyłącznie w łóżku.

Kate wmówiła sobie wtedy, że matka umiera, ponieważ ojciec złamał jej serce. Wszelkie próby lekarzy, usiłujących tłumaczyć jej, że matka cierpi na wrodzone niedokrwienie i postępującą dysfunkcję serca, nie dawały żadnych rezultatów.

Nawet szpitalny akt zgonu jej nie przekonał.

Po śmierci matki wszystkim zajął się Rollo.

Złatwił formalności związane z pogrzebem, a potem ze sprzedażą ich wielkiego domu w Holland Park.

Jednym z ostatnich życzeń matki było, żeby Rollo zaopiekował się jej córką, toteż zaraz po pogrzebie dziewczynka przeniosła się do niego i mieszkała tam przez wszystkie lata nauki w szkole.

Potem wyjechała na wyższe studia do Courtauld, skąd na ostatni rok przed doktoratem przeniosła się do Florencji.

Po ukończeniu studiów bez trudności uzyskała pracę w słynnej firmie Sothebys, w dziale dalekowschodniej porcelany.

Pracowała tam przez kilka lat, dopóki nie poczuła, że umie już wystarczająco dużo, żeby otworzyć własny sklepik na Kings Road.

Zamieszkała w niewielkim mieszkanku, mieszczącym się tuż nad sklepem.

Przez wszystkie te lata przychodziły do niej listy.

Wszystkie co do jednego odsyłała bez otwierania.

No i co to wszystko dało?

- myślała teraz Kate, zaciekle polerując jakąś figurkę z brązu.

Jestem już dorosła, mam dwadzieścia sześć lat, a wciąż potrafię się rozsypać w drobne kawałeczki, gdy tylko ktoś wymówi przy mnie nazwisko mojego ojca.

A tamto przecież zdarzyło się tak dawno temu!

Więc dlaczego tak ją to zabolalo, kiedy wczoraj rano Rollo bez słowa położył przed nią wydanie "Timesa", otwarte na stronie z artykułem opisującym triumf Dominique du Vivier na aukcji otwierającej nowy oddział firmy Desparda w Nowym Jorku?

To ja powinnam tam być - ta myśl pojawiła się w jej głowie niemal natychmiast, gdy tylko spojrzała na tytuł.

Tak, rodzona córka Charlesa Desparda powinna była tam być, to prawda.

Ale jeżeli tak, to dlaczego tak niegrzecznie potraktowała pełnomocnika swego ojca?

Och, nic już nie wiem, niech to diabli!

- pomyślała gniewnie i jeszcze intensywniej zaczęła polerować lśniącą powierzchnię małego stylowego stolika.

Wpatrywała się w nią, jakby tam właśnie spodziewała się znaleźć usprawiedliwienie dla swego nierozsądnego postępowania.

Ale jakież tu może być usprawiedliwienie?

W głowie mam kłębowisko, wszystkie te myśli pomieszane i poplątane.

jak bielizna w pralce automatycznej.

Myślę, myślę i wciąż jestem w tym samym miejscu!

Wyprostowała się i uważnie przyjrzała się temu wszystkiemu, co otaczało ją we wnętrzu jej małego sklepiku.

Dosłownie wszystko tam błyszczało, lśniło, wręcz iskrzyło się, tak było wypieszczone i wypolerowane.

No cóż, coś jednak potrafię robić porządnie.

Przynajmniej to!

Teraz powinnam sobie zrobić filiżankę gorącej kawy, a potem zająć się książkami rachunkowymi.

Na szczęście lubiła wszelkie rachunki i prowadzenie księgowości.

Musiła to odziedziczyć po matce; również i dla niej sam widok stron z długimi kolumnami wypisanych liczb, składających się na zawsze bezbłędnie wyliczoną sumę, był czymś przyjemnym i wręcz kojącym.

Przynajmniej w arytmetyce dwa i dwa zawsze równało się czterem...

Po jakimś czasie usłyszała dźwięk dzwonka u drzwi i z nadzieją odłożyła staroświeckie wieczne pióro.

Nowy klient, więc przy odrobinie szczęścia może znów coś się uda sprzedać?

Bardzo by się to przydało, pomyślała i uśmiechnęła się.

Ale jej uśmiech zgasł natychmiast, gdy tylko zobaczyła, kto wszedł do sklepu.

W różnych pismach, zarówno tych profesjonalnie zajmujących się sprawami sprzedaży antyków i dzieł sztuki, jak i w bardziej popularnych kolorowych magazynach wystarczająco często widywała już zdjęcia tej kobiety.

Ale teraz widziała ją z bliska i na żywo.

To okazało się jeszcze gorsze, przynajmniej dla Kate, która natychmiast poczuła gorącą, obezwładniającą falę beznadziejnej, pozarozumowej zazdrości.

I zaraz potem drugą, towarzyszącą temu falę równie gorącej nienawiści, takiej, jaką tylko brzydka kobieta może poczuć, patrząc na urodę innej.

Bo Dominique du Vivier wyglądała jak ucieleśnione marzenie wszystkich kobiet o pięknym wyglądzie.

Ubrana była na czarno: aksamitny kostiumik przylegał do każdej krzywizny zgrabnego ciała i podkreślał niezwykłą szczupłość talii.

Nad wyrafinowanie prostą bluzeczką wznosił się stojący kołnierzyk z futerka czarnego lisa.

Idealnie zgrabne nogi lśniły w powłoce przejrzystych pończoszek, drobne stopy w czarnych pantofelkach unosiły się na najwyższych z możliwych modnych obcasach.

Lśniące kucze włosy okalały drobną twarzyczkę, a umieszczony na szczycie głowy okrągły czarny kapelusik w kształcie toczka kończył się przezroczystą czarną woalką lżejszą niż mgiełka i jeszcze bardziej podkreślającą urodę niezwyklej twarzy tej kobiety.

Jej uszy ozdobione były ciężkimi szafirami, a skóra pachniała czymś, co zapewne najłatwiej byłoby określić, jako zapach ciężki i grzeszny, gdyby nie był przy tym aż tak kuszący.

Całość była czymś niezmiernie zmysłowym, zdawało się, że nawet powietrze wokół niej niedostrzegalnie drży.

Kobieta spojrzała na nią uważnie i uśmiechnęła się z pewnym wahaniem, a Kate od tego uśmiechu wzdrygnęła się wewnątrz.

Przybyła jeszcze raz zmierzyła ją taksującym spojrzeniem.

- No tak...

- powiedziała po francusku.

- To musi być pani, nikt inny, rzecz jasna.

Taka wysoka...

- ton tych słów świadczył, że Kate już została zakwalifikowana do kategorii niewydarzonych dziwadeł - i taka rzeczywiście nieprawdopodobna rouquine.

- Temu ostatniemu epitetowi towarzyszyło spojrzenie na fryzurę Kate i niedostrzegalne niemal przymrużenie oka; aż tak rudy kolor włosów musiał wręcz obrażać wszelkie poczucie smaku.

Potem przybyła kobieta znów odezwała się tonem, który miał skruszyć resztki szacunku, jaki Kate mogłaby jeszcze mieć dla samej siebie.

- Pani oczywiście wie, kim jestem.

- Tak.

Wiem, kim pani jest - odpowiedziała Kate również po francusku.

Jej nienaganny akcent sprawił, że czarne łuki brwi przybyłej uniosły się z lekkim zdziwieniem.

- No tak, oczywiście.

Papa przecież musiał zadbać, żeby pani umiała mówić w jego ukochanym języku - powiedziała i spojrzała na ustawione dla klientów krzesło w stylu Ludwika XVI.

- Czy mogę usiąść?

- Jeżeli już pani musi - odpowiedziała Kate dość niegrzecznie.

Zdawała sobie sprawę, że znów nie umie nad sobą zapanować, że jeszcze raz daje się zepchnąć do defensywy.

- Bardzo pani dziękuję.

- Dominique usiadła leciutko jak niesione wiatrem piórko.

Zdawała sobie sprawę, że została przyjęta wrogo przez tę dziewczynę najeżoną niczym australijska kolczątka, ale też była na to w pełni przygotowana, a nawet, prawdę mówiąc, liczyła na to.

- Pomyślałam sobie, że najlepiej będzie, jeżeli jednak porozmawiamy sam na sam.

To nawet konieczne, jeśli się uwzględni tę wręcz niemożliwą sytuację, którą papa mimo woli stworzył.

Sytuację?

- pomyślała Kate.

Jaką znów sytuację?

Nie odezwała się jednak ani słowem.

Stała sztywno, z wysuniętym do przodu podbródkiem, boleśnie świadoma własnej niezgrabności, bylekości dżinsów i butów, krańcowego zaniedbania rudej strzechy włosów.

Czuła się wręcz zdeptana, zmiądzona i zlekceważona jednocześnie, nieustannie świadoma, że ma w sobie akurat tyle kobiecości, ile jej może mieć przeciętny czołg typu Sherman.

A Dominique tymczasem założyła nogę na nogę, szeleszcząc jedwabiem i jakby mimochodem eksponując zgrabne, ponętne kolana.

- Tak oczywiście być nie może, myślę, że zdaje sobie pani z tego sprawę.

Papa był człowiekiem dosyć sentymentalnym...

Choć może pani już tego nie pamięta, po tylu latach...

- To już był zamierzony policzek.

- W końcu tych dwanaście lat to prawie tyle, ile przedtem spędziście razem; a pani w dodatku była wtedy jeszcze zupełnym dzieckiem.

Tak więc chyba nie może być najmniejszych wątpliwości, że ta niefortunna decyzja została podjęta wyłącznie pod wpływem jakiegoś sentymentalnego impulsu, nierozsądnego poczucia winy...

Oczy Kate zabłysły gniewem.

Jak ona śmie tak mówić o jej ojcu!

I jeszcze do tego nazywać go papą...

Tylko ona sama miała prawo go tak nazywać, to był jej ojciec!

Jej, a nie tej tu wystrojonej lali!

- Pamiętam wszystko bardzo dobrze - odpowiedziała wręcz lodowato, - Mój ojciec nigdy nie był człowiekiem, który podejmowałby decyzje z powodów sentymentalnych.

W tym względzie był bardzo francuski i zawsze doskonale wiedział, co robi.

- Ach...

- powiedziała Dominique, a jej głos był miękki jak jedwab.

- Czyżby należało stąd wnosić, że jednak zmieniła pani swoją wieloletnią opinię o ojcu?

Kate odpowiedziała dosyć sztywno, świadoma, że ma do czynienia z bardzo zręczną przeciwniczką: - Mówię po prostu o faktach, tak jak je pamiętam.

To nie ma nic wspólnego z moją taką czy inną opinią.

- Tak więc pani wrogie nastawienie do ojca pozostaje...

nie zmienione?

- Zimne szafirowe oczy jeszcze raz zmierzyły Kate od stóp do głów, a na czerwonych wargach pojawił się uśmiešek, który niczym drut kolczasty natychmiast odnowił wszystkie rany, jakie ta kobieta już zdążyła zadać samopoczuciu Kate.

- Czy też może fakt, że chodzi tu jednak o wielkie pieniądze - a więc i o niemalą władzę - sprawił, że teraz postanowiła pani wymalować sobie całkiem inny obraz?

Kate nigdy nie myślała ani o pieniądzach, ani o władzy, którą te pieniądze dają.

Odcięcie się od ojca było przede wszystkim naturalną, instynktowną reakcją na ból zadany jej i matce.

A to, co teraz usłyszała, było po prostu nikczemne.

Dlatego też z wyniosłą pogardą- która sprawiła, że twarz przybyłej kobiety stwardniała jeszcze bardziej - Kate odpowiedziała: - Jeślibym się zdecydowała na przyjęcie zapisu od mojego ojca, to wyłącznie dlatego, że nazywam się Despard i z tej racji mam do tego pełne prawo.

Niezależnie od tego, co by tam miało być w tym zapisie, dopowiedziała sobie w myśli. Wciąż przecież tego nie wiedziała, a teraz miała ochotę kopnąć samą siebie w kostkę za to, że nie pozwoliła sobie tego wyjaśnić.

- Ale pani przecież wyrzekła się nazwiska Despard - powiedziała Dominique, a zawarta w tym złośliwość znów wydawała się miękka jak aksamit.

- Wyrzekła się go pani, gdy ojciec was odtrącił.

W tym momencie niewiele brakowało, by Kate wybuchła i krzyknęła głośno, co naprawdę myśli.

Że ojciec ich nie odtrącił, że przede wszystkim odebrała go im pewna nikczemna kobieta, wraz ze swą córką.

Wewnętrznie trzęsła się z wściekłości, jednak udało się jej jeszcze raz zapanować nad sobą.

Ta urodziwa suka najwyraźniej liczyła na to, wręcz prowokowała ją do powiedzenia słów, których później mogłaby żałować.

Ostrożnie, powiedziała sobie Kate.

Niech ona nie okaże się sprytniejsza od ciebie.

- Jestem ostatnią z rodziny Despardów - oświadczyła z dumą, na tyle wyraźną, że Dominique mimo woli uniosła nieco brwi.

- I jestem pewna, że o tym przede wszystkim myślał także mój ojciec.

Nie przyszło jej nawet do głowy, że w tym właśnie momencie wykonuje pełny zwrot, o sto osiemdziesiąt stopni.

Wiedziała tylko, że lekceważące potraktowanie jej ojca przez Dominique du Vivier bardzo ją zabolalo.

Jakie ta kobieta ma prawo uważać go za starego sentymentalnego głupca?

Ona, Kate, mogła myśleć i mówić o ojcu, co chciała, bo to był jej ojciec!

Ale ta du Vivier na pewno nie miała takiego prawa!

- Moim zdaniem - mówiła tymczasem Dominique - Charles Despard bardzo się zmienił i zanglicyzował przez wszystkie lata pobytu w Wielkiej Brytanii.

Prawdziwy Francuz umiałby postępować znacznie rozsądniej.

Pani w końcu nie przeczytała ani jednego z tych długich listów, które pisał do pani - dodała z jawnie fałszywym współczuciem.

- Oczywiście, odtrącenie z pewnością jest doświadczeniem bardzo trudnym.

W końcu dla każdej kobiety ojciec jest niejako pierwszym mężczyzną w jej życiu; niektórzy twierdzą nawet, że decyduje to o tym, jakich mężczyzn kobieta później sobie wybiera...

- Fałszywy i wyraźnie złośliwy uśmiezek Dominique świadczył wymownie, co miała na myśli: że Kate wciąż pozostawała samotna.

- Zresztą, prawdę mówiąc, zupełnie go pani nie przypomina - dodała jeszcze, a w powietrzu zawisło nie wypowiedziane już przez nią słowo: "niestety".

Ale Kate nie zamierzała ustępować pola.

- Ludzie, którzy go dobrze znali...

- dla większego efektu przedstawiła zdanie Rolla Bellamyego jako zdanie wielu osób - mówili mi zawsze, że charakter odziedziczyłam właśnie po ojcu.

- Wobec tego - powiedziała sarkastycznie Dominique - powinna pani z charakterystycznym dla niego zdrowym rozsądkiem zdać sobie sprawę, że w przypadku pani to po prostu nie może się udać.

Proszę się tylko zastanowić, co pani w ogóle wie o firmie Desparda?

Aha, więc w grę wchodzi firma!

To dawało Kate do myślenia.

- Uczyłam się funkcjonowania firmy Desparda już od dziecka - powiedziała z dumą.

- Od czasu, gdy miałam pięć lat.

- Wszystko się od tego czasu zmieniło.

- Wszystko może tak, ale na pewno nie firma Desparda - odparła Kate z niezachwianym przekonaniem.

- Mój ojciec nigdy nie był kimś, kto wprowadza zmiany dla samych zmian.

Także w życiu z zasady nie zmieniał niczego, jeśli nie istniały po temu jakieś szczególne powody.

- Zawiesiła znacząco głos.

- O tego rodzaju powodach pani zapewne wie wszystko.

Dominique znów zmierzyła ją wzrokiem, co Kate odebrała jako zamierzoną arogancję i zachowanie celowo obraźliwe.

- Więc pani sądzi, że to, czego nauczyła się od ojca jako dziecko, może wciąż być przydatne osobie dorosłej?

To śmieszne.

A poza tym...

firma Desparda należy się mnie!

Tak ze względu na pracę, jaką w nią włożyłam, jak i ze względu na wielokrotne obietnice pani ojca.

Kate w tym momencie niemal zachwiała się na nogach, ponieważ nagle zrozumiała, co w praktycznym wymiarze oznaczało to, co przed chwilą powiedziała Dominique.

Desparda!

A więc o to toczyła się gra.

To po prostu oznaczało, że jej ojciec nie zapisał firmy swej pasierbicy, tylko jej, Kate!

Z wysiłkiem opanowała ogarniające ją emocje.

Jej głos brzmiał bardzo spokojnie: - Gdyby mój ojciec obiecał to pani, z całą pewnością dotrzymałby swojego przyrzeczenia.

Jeśli tego nie zrobił, to znaczy, że po prostu nigdy takiego przyrzeczenia nie składał.

Dominique zaczęła tracić nie tylko cierpliwość, ale i grunt pod nogami.

- Mam do tego prawo choćby z racji lat pracy.

- A ja choćby z racji krwi - odpowiedziała na to Kate.

Cios najwyraźniej doszedł, choć Dominique próbowała się jeszcze odciąć: - Trochę późno przypomniała sobie pani o tych więzach krwi.

A może pani jest po prostu obłudna jak wszyscy Anglicy?

- Lepiej przypomnieć sobie późno niż wcale.

Na pewno nie ma to nic wspólnego z obłudą.

I rzeczywiście, powiedziała sobie w myśli.

Nie ma w tym obłudy, bo w gruncie rzeczy zawsze wierzyłam, że tak będzie...
tylko nie chciałam się do tego przyznać.

Uświadomiła sobie, że zawsze na to czekała.

Z jakiegoś powodu, którego sama do końca nie rozumiała, czekała na to przez ostatnich dwanaście lat.

A teraz to było tak, jak gdyby nagle pozbyła się jakiegoś ogromnego ciężaru.

Podświadomie wyprostowała się i podniosła głowę.

Dominique widziała to wszystko, widziała narastającą pewność Kate i nie panując już nad sobą, zerwała się na równe nogi.

- Trzeba naprawdę wielkiej bezczelności, żeby przyjmować coś, co już od dawna przestało należeć do pani...

moralnie, legalnie i w każdy inny możliwy sposób!

- Mój ojciec najwyraźniej tak nie uważał - odpowiedziała Kate z uśmiechem, który dopiero teraz rozkwitł w całej pełni.

- Zawsze mi mówił, że jestem kimś najważniejszym w jego życiu.

- I dlatego porzucił was obie dla mojej matki?

- Dominique roześmiała się.

Jej sarkastyczny śmiech miał teraz w sobie ostrość papieru ściernego, którym najchętniej przejechałaby po skórze Kate.

Ale Kate tym razem nie dała się sprowokować.

Każda obelga tylko zwiększała jej determinację.

- Mój ojciec miał w życiu jeszcze inną miłość: firmę Desparda.

I ja to też mam w krwi, bo też jestem z Despardów.

- Naprawdę francuskiej krwi niewiele tam chyba pozostało.

Jest w pani znacznie więcej z Angielki niż z Francuzki, to wprost rzuca się w oczy.

Poza tym tylko Anglicy potrafią okazywać taką bezwstydną dwulicowość.

- Ale przynajmniej mam uczciwe powody, żeby domagać się firmy Desparda.

- Czy pani ośmiela się twierdzić, że moje powody są nieuczciwe?

- Och, nie wątpię, że firmę Desparda nosi pani w sercu.

A może nawet zamiast serca.

Dominique nie wytrzymała.

Rezygnując z zachowywania jakichkolwiek pozorów, obrzuciła ją stekiem francuskich przekleństw, tak wulgarnych, że większości z nich Kate nie potrafiła nawet zrozumieć, jako że nigdy w życiu ich nie słyszała, nawet od najbardziej rozgniewanego ojca.

Dominique zbyt późno zdała sobie sprawę, jaki popełniła błąd.

Po prostu nie uwzględniła tego, że Kate - zupełnie tak samo jak jej ojciec - gotowa była natychmiast stawać dęba, kiedy tylko ktoś rzucał jej wyzwanie.

A w dodatku, zupełnie tak samo jak ojciec, była dumna ze swej rodziny.

Lepiej było w ogóle tu nie przyjeżdżać, powiedziała sobie poniewczasie, i zostawić tę dziewczynę w błogiej nieświadomości.

Pozwolić, żeby te wszystkie jej urazy i uprzedzenia, które przez tyle lat niczym ropiejące i gnijące rany zatruwały ją i kształtowały jej chore widzenie świata, żeby to nadal w niej

trwało i, tak jak dotąd, kazało jej automatycznie i bez zastanowienia odrzucać wszystko, co pochodziło od jej ojca.

Tak przecież mogło być nadal, gdyby ona, Dominique, nie wpadła na głupi pomysł, żeby tu do niej przyjechać.

W rezultacie wszystko popsuka.

Idiotka!

Skończona idiotka, wymyślała sobie w duchu.

Nedorozwinięta kretynka!

Ta złość znalazła ujście w kolejnej fali wymyślnych przekleństw.

Obrzucona francuskimi wyzwiskami Kate nie drgnęła, choć najchętniej po prostu uciekłaby od tej rozwścieczonej kobiety natychmiast i jak najdalej.

Bo naprawdę było się czego obawiać.

Teraz oczami Dominique du Vivier patrzył na nią już jawny wróg, tyle w tym spojrzeniu było prawdziwie szatańskiej nienawiści.

Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej widzieć tak nienawistnego spojrzenia w tak anielsko pięknej twarzy.

- Jeszcze tego pożałujesz - syknęła Dominique.

- Nie przypuszczam.

Niezależnie od tego, co było dotychczas między moim ojcem a mną - a i tak zresztą to nie jest pani sprawa - pozostaje faktem, że jestem rodzoną córką.

I zwłaszcza pani, jako rodowita Francuzka, powinna zdawać sobie sprawę, co to znaczy.

Cokolwiek się działo, mój ojciec zawsze myślał o mnie jako o Catronie Despard, ukochanej córce.

Taką mnie zawsze pamiętał.

Więc mało mnie obchodzi, co pani nazywa jakimiś tam swoimi prawami.

I mało mnie obchodzi, co pani zamierza jeszcze powiedzieć czy zrobić.

Gdyby mój ojciec nie kochał mnie naprawdę, to po prostu nie zapisałby mi nawet złamanego grosza i na tym by się skończyło.

Miała pani dwanaście lat na to, żeby zyskać jego przychylność i względy, ale okazało się, że ostatecznie myślał jednak o mnie.

- Teraz uśmiechała się już tylko Kate, a jej uśmiech był równie okrutny i bezlitosny, jak poprzednio uśmiech Dominique.

- Tak więc zamierzam przyjąć wszystko, co mój ojciec zechciał mi zapisać, i to przyjąć z wdzięcznością.

I od tej chwili Kate Despard będzie tym rządzić, jasne?

- Nie na długo!

- syknęła Dominique i wyszła trzaskając drzwiami tak, że zabrzączały wszystkie szyby, a dzwonek znów zabrzmiał donośnie, jak na alarm.

- Znacznie dłużej, niż ci się wydaje!

- zdążyła jeszcze w ślad za nią krzyknąć Kate.

Wciąż czuła przyływ adrenaliny we krwi, ale zaraz potem przyszła reakcja.

Musiła na chwilę usiąść, a kiedy podniosła rękę, spostrzegła, że jej palce wyraźnie drżą.

Czyżby więc to miała być prawda?

Czy rzeczywiście dobrze odgadła, co się naprawdę stało - że ojciec zapisał jej w testamencie firmę Despard's?

To wydawało się po prostu niemożliwe, a jednak chyba tak było?

Bo gdyby nie to, to z jakiego powodu ta wydra przylatywałaby tu w takim pośpiechu aż z Nowego Jorku?

Najwyraźniej przecież po to, żeby w ostatniej chwili coś zrobić i skłonić ją do odrzucenia zapisu ojca.

A zatem ojciec z pewnością zapisał jej Despard's London.

Ten prawdziwy flagowy okręt wśród domów aukcyjnych Despard et Cie.

- Tak.

Tak to z pewnością musi być - powiedziała sobie Kate, tym razem na głos.

Podniosła się, przeszła parę kroków w stronę chińskiego parawanu z laki, zrobiła zwrot i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

Czemu nie chciałam słuchać, co ten człowiek ma mi do powiedzenia?

Przynajmniej coś bym wiedziała na pewno.

Powinnam go jakoś odnaleźć, powiedzieć mu, że zmieniłam zdanie.

Ach tak, jego wizytówka!

Gdzie ja rzuciłam tę wizytówkę?

Zaczęła szukać na biurku, potem przeszukała całą podłogę, sprawdziła też kosz na śmieci.

Wizytówki nigdzie nie było!

O Boże, pomyślała Kate, nawet dobrze nie pamiętam, jak on się właściwie nazywał?

Blaise?

Tak, na imię miał chyba Blaise, ale co dalej?

Przedstawił się jako wykonawca testamentu, więc firma Despard's musi wiedzieć, o kogo chodzi.

Tak, trzeba koniecznie tam zadzwonić!

Nieco uspokojona zaprzestała poszukiwań wizytówki.

Nazwiska dowie się przez telefon w domu aukcyjnym Despard's.

Jezus Maria, przecież to o Despard's właśnie chodzi, pomyślała, znów wstrząśnięta nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń.

Przecież mój ojciec zapisał to mnie!

Mnie!

Och, tato!

Przez cały czas próbowałam jakoś przebić się do mnie.

Ja cię niezmiennie odtrącałam, a mimo to zachowałeś mnie w swoim sercu!

Kate oddychała szybko i dłonią rozmazywała łzy, wciąż spływające po policzkach.

Szlochała cicho i co chwila pociągała nosem, przez cały czas w duchu rozmawiając ze zmarłym ojcem.

Zrobię to, dokonam tego dla ciebie!

Pokażę ci, że jestem warta nazwiska Despard, którego przez tyle lat nie chciałam nosić...

Potrafię być rzeczywistą dziedziczką naszego rodu i przeszło dwustu lat jego tradycji. Przecież tak naprawdę niczego nie zapomniałam.

Ja tylko przez te lata starałam się to odepchnąć od siebie, ale nie mogłam... nie potrafiłam zapomnieć domu, firmy Desparda ani tym bardziej ciebie.

Kate nagle zdała sobie sprawę, że to okropne uczucie chorobliwych wręcz mdłości, które zawsze dotąd ogarniało ją na samo wspomnienie nazwiska jej ojca, przepadło gdzieś bezpowrotnie.

Nie pojawiło się nawet wtedy, gdy Dominique mówiła o nim, nazywając go starym sentymentalnym głupcem.

Kate uświadomiła sobie, że oto już nie prowadzi beznadziejnej walki z paraliżującymi ją uprzedzeniami, z bólem rozpaczliwie zranionej dumy.

Stało się coś, co sprawiło, że nagle nabrała wiatru w żagle, odzyskała wewnętrzną pewność siebie i szacunek dla siebie samej.

Przez wystawowe okno swego małego sklepiku nie widzącym wzrokiem spoglądała na Kings Road, mając uczucie, że dzieje się z nią coś niesłychanie ważnego, że chyba czegoś właśnie w tym momencie dokonała.

Czegoś nieporównanie bardziej satysfakcjonującego niż wszystkie inne jej dokonania w ciągu ostatnich dwunastu lat.

No, może z wyjątkiem uzyskania pierwszej nagrody za postępy w Courtauld.

Wtedy też, tak jak i teraz, natychmiast pomyślała to samo: tata byłby ze mnie dumny...

Więc co się właściwie ze mną stało?

- pytała sama siebie, wciąż nie potrafiąc do końca zrozumieć tak nagłego zwrotu, tej radykalnej zmiany nastawienia w stosunku do ojca.

Być może udało się jej po prostu przepędzić demony, które sama dotąd tworzyła w swej wyobraźni.

Może tak właśnie bywa, kiedy demony nagle się materializują i okazują się zupełnie inne od tych z wyobraźni.

Jak choćby ta zarozumiiała nowojorska suka!

Taka wyniosła, tak arogancko protekcjonalna!

Kate poczuła, że wciąż jeszcze wszystko się w niej gotuje na samo wspomnienie.

Jak śmiała tak lekceważąco mówić o jej ojcu, że był sentymentalny?

Owszem, był kochającym ojcem.

Kochał ją naprawdę głęboko.

Och tato, przebacz mi, jeżeli możesz!

Tyle ci zawdzięczam, a jednak przez tyle lat zachowywałam się jak rozkapryszone dziecko.

Ale dzisiaj wreszcie stałam się naprawdę dorosła.

Wierz mi, tato!

Rollo tylko spojrzął i od razu zapytał: - No więc, co się tym razem stało?

- Miałam niespodziewanego gościa - odpowiedziała Kate, po czym gorączkowo opowiedziała mu wszystko.

Rollo patrzył na nią i nie mówił ani słowa.

W rezultacie blada dotychczas twarz Kate nagle pokryła się krwistym rumieńcem.

- Wiem...

- powiedziała, czując się zawstydzona tym, co Rollo mógł sobie pomyśleć.

- Wygląda na to, że całkowicie zmieniłam postawę.
Rzeczywiście, ale to nie było tak, jak myślisz.
Powiedz mi...
mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, prawda?
Żeby to powiedzieć temu panu...
jak mu tam?
Temu, który mówił, że musiałabym podpisać formalne zrzeczenie się wszystkiego.
Wyraz twarzy Rolla jasno wskazywał, że Kate zupełnie niepotrzebnie przejmowała się tym, co on sobie pomyśli.

- Nazywa się Blaise Chandler - powiedział, wydymając pulchne wargi.
- I właśnie wyjechał do Francji, żeby wziąć udział w pogrzebie twojego ojca.
Kate nagle stężała.
Odwróciła się i podeszła do okna, przy którym stanęła wyprostowana i nieruchoma, patrząc gdzieś przed siebie.
Rollo zdał sobie sprawę z myśli, jakie musiały kłębić się w jej głowie.
Podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie, kochanie.
To nie byłoby dobre.
Choćby dlatego, że obecna tam wdowa, pani Despard, naprawdę mogłaby cię przyjąć bardzo nieżyczliwie.
Lepiej odłożyć to na później.
Z pewnością będziesz mogła odwiedzać jego grób, ilekroć zechcesz.

- Czy to nie dziwne?
- powiedziała Kate po chwili milczenia.
- Przez tyle lat uważałam, że on umarł dla mnie, więc to naprawdę było tak, jakby rzeczywiście umarł, nawet fizycznie.
Po prostu byłam wtedy tak absolutnie pewna, że on nas...
- Jej głos nagle się załamał.
- Więc dlaczego teraz mnie to tak boli?
Dlaczego nagle tak mi żal?
Powiedz mi, Rollo.

- Dlatego, że przedtem udawało ci się tłumić żal dzięki wmawianej sobie nienawiści.
Ale tak naprawdę ten żal nie opuszczał cię przez dwanaście lat.
Bo ty nigdy nie przestałaś kochać swego ojca.
I najbardziej ucierpiałaś ty sama - twoje życie uczuciowe, a potem także pewnie i fizyczne w jakimś stopniu.
Miejmy nadzieję, że teraz wreszcie jakoś uporasz się z przeszłością i będziesz mogła zacząć żyć także dla siebie.

- Kochałam go - powiedziała Kate zduszonym głosem.
- Tak o tym powiedzieć, to oczywiście powiedzieć o wiele za mało - oświadczył Rollo.

- Ale ponieważ ogólny kierunek się zgadza, powstrzymam się już od dopowiadania i stawiania kropki nad "i".

Mam jednak sporo do przekazania na temat innych aspektów ostatnich wydarzeń. A zwłaszcza jednego, związanego z misją wspomnianego tu już pana Blaisea Chandlera.

- Rollo z twarzą po aktorsku nieprzeniknioną przyglądał się nagle zaciekawionej i nawet zaniepokojonej twarzy Kate.

- Upoważniono mnie do poinformowania szanownej pani, że ojciec zapisał pani w testamencie najcenniejszą część swojej własności - firmę Desparda London!

Mimo że to tylko potwierdzało wcześniejsze przypuszczenia Kate, i tak zrobiło na niej duże wrażenie.

A więc jednak!

- Twoja przybrana siostra nie bez racji jest rozwścieczona, ponieważ w gruncie rzeczy zbyt ją było czym.

Dostała tylko kilka mniejszych oddziałów firmy - Paryż, Genewę, Monte Carlo i Hongkong.

Oddział nowojorski będziecie mogły wykorzystywać obie, a po roku całość waszej działalności zostanie oceniona, i ta z was, która dowiedzie, że lepiej prowadzi swoją część firmy, przejmie kierownictwo Desparda International.

W przyszłym tygodniu mamy się spotkać z Blaiseem Chandlerem, który wyjaśni ci to wszystko szczegółowo.

Widzę, że oczy masz szeroko otwarte, więc jeśli teraz któregoś dnia zechciałabyś, że się tak wyrażę, równie szeroko otworzyć swe uszy, mógłbym ci opowiedzieć coś jeszcze.

Bo chyba najwyższy czas, żebyś poznała prawdę o małżeństwie twoich rodziców.

A było ono dosyć dalekie od twojego o nim wyobrażenia, naiwnego i dość odległego od prawdy.

Pojechałaś, zobaczyłaś i schrzaniłaś - taką parafrazą słynnego powiedzenia Cezara powitał Blaise Chandler swoją żonę na lotnisku w Marsylii.

Dominique spojrzała nań zaskakująco ulegle, najwyraźniej usiłując się domyślić, skąd tak szybko się o tym dowiedział.

- Dziwisz się, że już wiem?

Po prostu Rollo Bellamy wprost nie mógł wytrzymać, żeby nie podzielić się ze mną tą wiadomością.

- No dobrze, więc popełniłam błąd!

- powiedziała Dominique i wzruszyła ramionami.

- Ale zapewniam cię, że to ostatni mój błąd wobec niej.

Po cichu Blaise był nawet zadowolony, że jego żona potknęła się z powodu nadmiernej pewności siebie, ale oczywiście nie zamierzał się do tego przyznawać.

Zamiast tego z prawdziwym zaciekawieniem, a nawet - jako że i tak nie mogło to już wpłynąć na bieg spraw - z pewną sympatią zapytał: - Ale skąd ci w ogóle przyszedł do głowy pomysł, żeby do niej jechać?

Przecież sam twój wygląd musiał na nią podzielać jak przysłowiowa płachta na byka.

To nie mogło się skończyć inaczej jak otwartą wojną.

- Nie doceniłam jej - powiedziała Dominique.
- Zapomniałam, że to na wpół Angielka, a więc doskonale potrafi mówić jedno, a robić całkiem co innego.

Anglicy zawsze byli mistrzami w sztuce pozornego odrzucania korzyści, żeby w rezultacie po cichu zagarnąć wszystko.

- Myślisz, że o to jej właśnie chodzi?
- Z całą pewnością!

No, ale to, o co jej chodzi i to, co się jej uda, to...

- Dwie zupełnie różne rzeczy - dokończył Blaise.
- Wiem.

Ale na wszelki wypadek nie lekceważ jej zdolności.

Podobno w niektórych sprawach jest naprawdę utalentowana.

Dominique tylko machnęła ręką.

- Największy talent nie może zastąpić doświadczenia.
- Mylisz się.

W rzeczywistości to doświadczenie nigdy nie zastąpi talentu.

Ja w każdym razie podczas pobytu w Londynie dyskretnie przeprowadziłem stosowny wywiad w tym środowisku, i powiem ci, że w powszechnej opinii ta dziewczyna odziedziczyła wszystkie zdolności swego ojca.

Talent, jak to jednogłośnie określano, naturalny...
choć może jeszcze nie oszlifowany.

Dominique roześmiała się, w charakterystyczny dla siebie, odrobinę wyzywający sposób, który zawsze robił wrażenie na mężczyznach.

- Nieoszlifowana to ona z pewnością jest, i to w każdym tego słowa znaczeniu, mogę cię zapewnić.

- A ty właśnie to powinnaś była wziąć pod uwagę - skontrował Blaise.

- Nieurodzone i "nie oszlifowane" kobiety, takie jak ona, nie przepadają za tym, żeby im to przypominać, zwłaszcza jeśli robi to kobieta, a jeszcze w dodatku tak piękna jak ty.

Ty w ogóle masz w sobie skłonność, żeby zaćmiewać inne i dlatego to spotkanie było złym pomysłem.

Zawsze miałaś to wszystko, czego ona nigdy nie miała.

A w dodatku przez całe lata to ty byłaś tą, która jej ojcu w gruncie rzeczy zastępowała córkę.

No więc jakże ona mogła zareagować, jeśli nie najwyższą wrogością?

Doprawdy nie umiem sobie wyobrazić, coś ty sobie myślała, jadąc do niej.

Byłam pewna, że bez trudu wygram, odpowiedziała mu w myśli Dominique.

Jak mogłam przypuszczać, że nie dam jej rady?

Nowy Jork potwierdził, że potrafię wygrywać, więc byłam absolutnie pewna, że i to się powie.

Ale co się odwlecze, to nie uciecze, panno Despard.

Może pani być pewna, że w końcu wygram.

Ja zawsze wygrywam.

No więc opowiedz mi wszystko - powiedziała Kate.

Był późny wieczór, oboje z Rollem już zjedli kolację, a następnie wspólnie posprzątała i pozmywała naczynia.

Teraz Rollo usadowił się wygodnie w swym fotelu, obok stolika, na którym stał pękaty kieliszek koniaku Courroisier i filiżanka aromatycznej kawy.

Kate usadowiła się na podłodze przed gazowym kominkiem, w miarę dobrze imitującym naturalny.

- Opowiedz mi tę prawdę o małżeństwie moich rodziców, tak jak to zapowiadałeś.

O tym, czego do dzisiaj nie wiem.

Rollo milczał chwilę, sącząc z kieliszka ciemnozłoty płyn.

- Gdyby twoja matka zechciała postępować rozsądnie, to przede wszystkim sama już wiele lat temu powinna była opowiedzieć ci wszystko.

Ale ona nigdy nie potrafiła uczciwie przyznać się do własnych uczuć ani liczyć się z uczuciami innych.

Była z gatunku tych kobiet o czystej duszy, które skłonne są uważać, że uczucia z zasady są czymś złym, czymś nieczystym.

A ja...

powiem ci, że nieraz wręcz miałem ochotę trzepnąć cię po uszach za to, że nigdy nie pozwalałaś na najmniejsze choćby wątpliwości w swym potępianiu ojca w czambuł.

Twoja matka ostatecznie nigdy nie znalazła w sobie dość odwagi, żeby ci powiedzieć prawdę.

Być może obawiała się twego rozczarowania także w stosunku do niej, nie chciała cię pozbawiać złudzeń.

Wiedziała, że zawsze byłaś ukochaną córeczką tatusia, ale jednocześnie nie chciała dostrzegać twych skłonności do zamykania się w zapiekłych urazach.

Po prostu nie chciała w tobie widzieć kapryśnego i nadmiernie rozpieszczonego bachora, którym prawdę mówiąc byłaś.

- Kto ci tym razem napisał taką długą sceniczną tyradę?

- nabzdyczyła się Kate, nie na żarty dotknięta tym wyliczaniem wszystkich jej wad.

- Powinieneś trochę odpocząć od teatru.

- Przez ostatnie lata nic innego nie robię, tylko odpoczywam...

na laurach.

- Powiedzmy, że to są laury...

- Kate próbowała utrzymać żartobliwy ton.

-Chciałabym tylko wiedzieć, skąd u ciebie ta nagła zmiana?

O ile pamiętam, nigdy specjalnie nie kochałeś mojego ojca.

- Ja nie, ale ty tak, i to aż za bardzo.

- Może byś w końcu przeszedł do rzeczy?

Jeżeli w ogóle są w tym jakieś fakty, a nie tylko twoje ogólne rozważania na temat mojego charakteru.

- Fakty są, i powinnaś była je poznać dużo wcześniej.

Choćby na przykład ten, że...

- Że co?

- ...że twój ojciec ożenił się z twoją matką tylko dlatego, że zaszła w ciążę.

Zapadła cisza, w której nagle niezwykle wyraźnie dawało się słyszeć tykanie zegara i delikatny syk gazu w kominku.

Kate rozszerzonymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w twarz Rolla, który nawet nie mrugnął okiem.

- Któregoś dnia twój ojciec niespodziewanie spotkał kobietę, którą kochał i którą, jak sądził, przed laty utracił na zawsze.

To dla niej później porzucił twoją matkę.

Kobieta przyjechała do Londynu ze swym mężem, a twój ojciec był tym tak wstrząśnięty, że tego samego wieczoru upił się do nieprzytomności, wsiadł do samochodu i spowodował kraksę.

Zatrzymano go, i wtedy twoja matka zapłaciła za niego karę, zabrała go do siebie i próbowała się nim zaopiekować i pocieszyć.

W rezultacie oboje trafili do jej łóżka, choć twój ojciec był wciąż tak pijany, że najwyraźniej nawet nie zdawał sobie sprawy, z kim właściwie jest w tym łóżku, w każdym razie uparcie nazywał ją Catherine.

Nie można mieć wątpliwości, że wszystkie uczucia, które miał dla tamtej, tego wieczoru przeniosły się na twoją matkę.

A ta zaszła w ciążę.

Kate przez dłuższą chwilę milczała, w końcu przemogła się i spytała: - A skąd ty to wszystko wiesz?

- Opowiedziała mi to twoja matka.

Kate odwróciła głowę i patrzyła na tańczące w kominku płomyki.

Rollo mówił dalej.

- Jak wszystkie tego rodzaju historie, także i ta zaczyna się przed wieloma laty.

Dokładnie mówiąc, w rok po wojnie, w 1946.

Twój ojciec powrócił do Francji, żeby pozbierać resztki tego, co pozostało z francuskiego oddziału jego firmy, i wtedy to odwiedził Ile de France, zaproszony tam w sprawach handlowych przez markiza de Villefort.

Przez wszystkie lata okupacji francuski oddział firmy nie prowadził żadnej działalności.

Ojciec Charlesa z właściwą sobie przezornością wysłał go do Londynu jeszcze wiosną 1939 roku, nakazując mu zabrać ze sobą wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Sklepy firmy zamknięto, więc kiedy wkroczyli Niemcy, twój dziadek, to znaczy ojciec Charlesa, mógł zgodnie z prawdą oświadczyć, że nie posiada już nic.

I chyba za to, że tak szybko potrafił się tego pozbyć, zesłano go do Frennes, gdzie zaginął.

Jak powiedziałem, kiedy Charles powrócił do Francji po wojnie, zamierzał przede wszystkim uporządkować sprawy majątkowe.

Wtedy to zgłosił się do niego markiz de Villefort i zaproponował mu sprzedaż rodzinnej kolekcji sewrskiej porcelany, którą udało mu się ukryć przed Niemcami w jakiejś skrytce na dnie fosy zamkowej.

Charles pojechał do zamku, żeby obejrzeć kolekcję i wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczył tę swoją belle Catherine, która miała podówczas osiemnaście lat i była wręcz oszalamiająco piękna.

Jak opowiadali okoliczni wieśniacy, był to przykład prawdziwego coup defoudre, miłości od pierwszego wejrzenia.

- Rollo zamilkł na chwilę.

- Ona rzeczywiście była nieprawdopodobnie piękna.

Wiem, ponieważ twoja matka pokazywała mi fotografię, którą twój ojciec zawsze nosił ze sobą.

Kate odwróciła wzrok od kominka i spojrzała na niego.

Była tak poruszona, że nie potrafiła wymówić nawet słowa.

- Nie wiedziałaś o tym, prawda?

Że przez cały czas trwania małżeństwa - mam na myśli małżeństwo z twoją matką - twój ojciec nosił w sercu wizerunek innej kobiety.

Kate nie odpowiedziała i znów odwróciła wzrok.

- Na nieszczęście Catherine była już zaręczona z młodym arystokratą z sąsiedztwa, niejakim Guyem du Vivier.

Pieniądze ze sprzedaży kolekcji porcelany przeznaczone były na posag panny młodej.

Oczywiście rodzice nie zamierzali traktować poważnie młodzieńczego wdychania córki do człowieka spoza ich sfery, na domiar wszystkiego prowadzącego jakiś handel czy sklep.

Kiedy więc dziewczyna oświadczyła, że chce zerwać zaręczyny i wyjść za tego właśnie młodego człowieka, rodzice praktycznie uwięzili ją w domu.

Charles został poproszony o opuszczenie zamku, ale oczywiście dopiero po przeprowadzeniu korzystnej dla obu stron transakcji i ostatecznym sprzedaniu porcelany z Sevres - postępowanie bardzo francuskie, trzeba powiedzieć - a następnie Catherine, już całkowicie bezpieczna, została wydana za mąż.

Wcześniej Charles przygotował nawet plany wspólnej ucieczki, ale ostatecznie okazało się, że Catherine była zbyt dobrze strzeżona.

W końcu więc twój ojciec musiał wyjechać do Londynu i tam - w jednym z francuskich tygodników, które przysyłała mu jego matka - któregoś dnia przeczytał ogromny ilustrowany reportaż z Ile de France, z głośnego ślubu Catherine de Willefort.

Rollo przerwał na chwilę i sięgnął po kieliszek z koniakiem.

Kate spojrzała na niego i zapytała cichym, dziwnie zmienionym głosem: - Czy ja też mogłabym dostać trochę?

Rollo nalał jej ćwierć kieliszka i przyglądał się, jak pije dosyć nieumiejętnie, a potem odstawia kieliszek.

- Tak więc twoja matka nigdy nie była prawdziwą miłością twojego ojca.

Prawdę mówiąc, w ogóle jej nie kochał.

Jedyną kobietą, jaką Charles kochał naprawdę, była Catherine de Willefort, a po zawarciu małżeństwa już Catherine du Vivier.

Oczywiście, w ciągu tych wszystkich lat, kiedy jeszcze był z wami, miał szereg petits amours - drobnych miłostek, na które twoja matka przymykała oczy.

Zresztą nigdy nie było to nic poważniejszego - jakieś bardzo przelotne związki, zaspokajające tylko fizyczne potrzeby.

Twój ojciec był mężczyzną silnym i pełnym życia i niejako z natury potrzebował dużo seksu; to zresztą było jeszcze jednym powodem, dla którego małżeństwo z twoją matką okazało się tak niedobre.

Nie wyrażając się źle o twojej matce, była ona mniej więcej tak samo seksowna, jak weekend w przeciekającym namiocie podczas deszczu.

Jej libido na dobrą sprawę wygasło, zanim w ogóle zdążyło się narodzić.

Ale zresztą i bez tego wszystkie uczucia twojego ojca zagarnęła bez reszty ta Catherine de Villefort; od chwili gdy ją pierwszy raz ujrzał, nigdy nie przestał o niej myśleć.

To także wiem od twojej matki - Charles powiedział jej to wszystko, a ona potem opowiedziała mnie.

Wracając zatem do głównego wątku opowieści: w tym czasie, kiedy Catherine wychodziła za mąż, Susan Mallory - twoja przyszła matka - zaczęła pracować w firmie Desparda, w dziale rachunkowości.

Kiedy twój ojciec nabył obecną siedzibę firmy przy Saint James w 1948 roku, Susan również została tam przeniesiona i kierowała buchalterią.

Była w tym dobra i twój ojciec wiele jej zawdzięczał.

Ufał jej i polegał na jej zdaniu.

Dzięki temu i ja załapałem się tam do pracy na jakiś czas, kiedy akurat trudno mi było o rolę.

Charles zgodził się mnie przyjąć, ponieważ Susan go o to poprosiła.

Spotkaliśmy się podczas wojny, kiedy pracowaliśmy razem i staliśmy się dobrymi przyjaciółmi.

Naprawdę lubiłem twoją matkę, zresztą wszyscy ją lubili.

To była jej tragedia - lubili ją wszyscy, ale nikt jej nigdy nie kochał.

- Ja ją kochałam - powiedziała Kate głosem pełnym bólu.

- Wiem.

Ale też przede wszystkim dlatego, że ją idealizowałaś.

- Ona nigdy nie żądała niczego od innych - zaczęła Kate i głos się jej załamał.

- I może właśnie dlatego ludzie jej nigdy nic nie dali.

Ludzie nie są skłonni wnikać głębiej.

Ja ci to zresztą zawsze mówiłem: jeżeli nic od nich nie chcesz, to nic nie dostaniesz.

Ale stosunki między Susan i Charlesem ułożyły się bardzo dobrze, można powiedzieć, że stali się przyjaciółmi.

Susan nie miała sama za wiele do powiedzenia, ale za to doskonale potrafiła słuchać innych.

I to właśnie Susan twój ojciec opowiedział kiedyś całą swą bolesną historię nieszczęśliwej miłości do Catherine.

Wyplakiwał się przed nią i wyżałał, potem już zupełnie bezwstydnie i egoistycznie zrobił z niej coś w rodzaju swojej prywatnej ściany płaczu.

Wyrzucał przed nią wszystkie żale, cały niepokój i rozpacz, opowiadał o tęsknocie i miłości, a z natury głęboko dobra i życzliwa Susan słuchała tego wszystkiego, ciepła, współczująca, zawsze starająca się go wesprzeć i uspokoić.

Rollo westchnął, podnosząc wzrok do góry.

- To było takie typowe dla niej.

Twój ojciec wciąż bolał nad swą utraconą miłością, a ona wciąż go w tym pocieszała i cierpliwie uspokajała, a tymczasem inne kobiety zaspokajały jego potrzeby seksualne. I tak się to wszystko ciągnęło aż do roku 1951.

Jak ci może wiadomo, był to rok przygotowywanego z wielką pompą Festiwalu Wielkiej Brytanii, i z tej okazji właśnie...

- Rollo wzdrygnął się na to wspomnienie.

- Ty, dzięki Bogu, nie możesz tego pamiętać, choćby dlatego, że jeszcze cię nie było na świecie; jednakże to właśnie międzynarodowe wydarzenie pośrednio przyczyniło się także do tego, że w niedługim czasie zostałaś poczęta.

Otóż na festiwal przyjechali między innymi hrabia i hrabina du Vivier.

Ten hrabia był zupełnie koszmarny, to znaczy fizycznie bardzo przystojny, ale poza tym kawał prawdziwego sukinsyna.

Lubił dręczyć ludzi i lubił przyglądać się ich cierpieniom.

o swoim dawnym rywalu wiedział prawie wszystko, ponieważ oczywiście nękał też swoją młodą żonę tak długo, aż się wszystkiego od niej dowiedział.

No więc w parę dni po przyjeździe do Londynu hrabia pojawił się w firmie Despard, ze swą piękną żoną pod rękę.

Było oczywiste, że zrobił to specjalnie, żeby jeszcze trochę pobawić się udręką niedoszłych kochanków.

Twój ojciec i Catherine du Vivier spojrzeli tylko na siebie i natychmiast okazało się, że między nimi rzeczywiście jest tak, jak gdyby tych pięciu lat w ogóle nie było; nic się nie zmieniło, przynajmniej w tym sensie, że jedno dla drugiego wciąż było jedyną miłością życia.

Ale Guy du Vivier skorzystał z tego po swojemu, zaaranżował wielką scenę rzekomej męzowskiej zazdrości i upokorzenia wiarołomnej żony, oskarżył oboje o nikczemną zмовę i z nie ukrywaną satysfakcją dręczył ich tak wymyślnie, jak gdyby osobiście przybijał nieszczęsnych kochanków do ramion krzyża lotaryńskiego.

W każdym razie udało mu się tak udręczyć Charlesa, tak pokaleczyć do krwi jego duszę, że gdy wreszcie usatysfakcjonowany hrabia wyszedł, zabierając ze sobą żonę, kompletnie załamany Charles zrobił to, co już tak wielu mężczyzn robiło w podobnych sytuacjach.

Upił się rozpaczliwie, do nieprzytomności.

Potem wsiadł do samochodu i z dużą prędkością wjechał nim na pobliską latarnię.

W komisariacie policji, kiedy już otworzył oczy i był w stanie powiedzieć coś w miarę sensownie, poprosił tylko o powiadomienie Susan.

Ta oczywiście natychmiast przyjechała do komisariatu, naopowiadała tam mnóstwo wzruszających rzeczy, głównie o tym, że ten człowiek postąpił tak tylko dlatego, iż

dopiero co powiadomiono go o największym nieszczęściu, jakie może spotkać przyzwoitego mężczyznę...

i tak dalej, i tak dalej.

W rezultacie ukarano go tylko mandatem, który natychmiast za niego zapłaciła, i zabrała go stamtąd.

Niemal na własnych plecach zaciągnęła go jakoś aż do swego mieszkania przy Belsize Park, gdzie Charles otworzył oczy i zaczął wyplakiwać przed nią wszystko, co miał na sercu.

Susan pocieszała go i uspokajała, zrobiła mu filiżankę mocnej kawy, ale Charles nadal był tak pijany, że jej nie poznawał i nie rozumiał absolutnie nic.

Ale jako mężczyzna, jak to się wkrótce okazało, mógł nadal funkcjonować; czułe gesty Susan, która próbowała go ukoić i ugłaskać, przyjął za seksualne zaproszenie, tym chętniej, że w głowie wciąż majaczył mu obraz ukochanej Catherine.

W rezultacie wraz z Susan znaleźli się w łóżku i mimo jej dość bezradnego oporu doszło do tego, do czego doszło.

Następnego ranka, jak bardzo wielu ludzi w podobnej sytuacji, Charles pamiętał tylko tyle, że się upił.

Twoja matka nie odważyła się powiedzieć mu, że tej nocy prawie ją zgwałcił.

Zamiast tego pomogła mu się oporządzić i odprowadziła go do jego gabinetu w firmie, z niezwykle, jak na tę sytuację, spokojem.

Bo, widzisz, twoja matka była dziewicą.

Z zaciśniętych ust Kate wyrwało się zduszone westchnienie, prawie jęk.

Rollo zdawał sobie sprawę, że opowiada jej coś, co bajkowy dotąd obraz rodziców z okresu jej dzieciństwa zmienia w opowieść jak ze złego snu.

Ale wiedział też, że Kate powinna wreszcie poznać prawdę.

W końcu sama go o to poprosiła.

- W parę miesięcy później Susan przyszła do mnie i powiedziała mi, że jest w ciąży.

Oświadczyła, że jest tego pewna i wyglądała na absolutnie uszczęśliwioną.

Moją delikatną sugestią, że ewentualnie mógłbym ją skontaktować z pewnym moim znajomym lekarzem, który mógłby może wybawić ją z kłopotu, odrzuciła oburzona i zgorziona; ona chciała urodzić to dziecko.

Powiedziała mi wręcz, że nigdy się nie spodziewała, iż spotka ją takie szczęście.

Wobec tego zapytałem ją, jak to sobie praktycznie wyobraża i kto na przykład miałby zapewnić potrzebne środki na wychowanie dziecka?

No bo w normalnym układzie, oczywiście, powinien to być ojciec dziecka, ale kiedy się znało Susan i jej stosunek do seksu, miało się wrażenie, że taka jak ona mogłaby począć chyba tylko za przyczyną Ducha Świętego.

Kiedy mi odpowiedziała, że ojcem jest Charles Despard, myślałem, że padnę na miejscu.

Powiedziała też, że jest pewna, iż Charles to zaakceptuje.

Że przyjmie na siebie wynikające stąd konsekwencje.

Mówiła to jednak jakby trochę przepraszająco, jak gdyby się obawiała, że Charles mógłby podejrzewać ją o jakieś działanie z premedytacją, o polowanie na majątek.

Ja!

Powiedziałem jej tylko tyle, że w końcu Charles z pewnością może sobie na to wszystko pozwolić.

Firma Desparda prosperowała jak nigdy i rozwijała się jeszcze szybciej niż to dziecko w łonie Susan.

Zaproponowałem jej nawet, że pójdę z nią razem do Charlesa - chciałem zobaczyć jego minę - ale Susan się nie zgodziła.

Postanowiła porozmawiać z nim sama.

No i po niedługim czasie zaproszono mnie jako ich świadka do Caxton Hall.

Nie znam szczegółów tego, co tam było przedtem, Charles podobno zbladł, kiedy się o wszystkim dowiedział.

Ale w miarę jak przyzwyczajał się do tej myśli, coraz silniej narastało w nim przekonanie, że to musiało być fatum, zrządzenie losu.

Wiesz przecież, jacy w tym względzie są Francuzi, jak ogromnie liczą się nawet z tym, co im wmawiają różni przepowiadacze przyszłości i inni tego typu szarlatani.

Prawdopodobnie Charles doszedł też do wniosku, że powinien ożenić się z Susan, żeby mieć potomka.

Tym bardziej że dwaj jego młodsi bracia zginęli podczas wojny, obaj nieżonaci, a więc i bezdzietni.

Po ich śmierci Charles był już ostatnim z Despardów, jedyną nadzieją na przedłużenie rodu było założenie rodziny.

Ten wzgląd ostatecznie zdecydował.

Potrzebował syna, a więc postanowił ożenić się z Susan i mieć tego syna.

Chociaż Charles nie kochał jej ani ona nie kochała jego, oboje przecież naprawdę się lubili, stosunki między nimi układały się zawsze bardzo dobrze, a Susan z całą pewnością mogła być doskonałą matką.

Dziecko musiało się urodzić w legalnym małżeństwie, jeżeli miałoby później dziedziczyć zgodnie z prawem francuskim - Charles w tym czasie wciąż jeszcze myślał głównie w kategoriach francuskich - a zatem należało wziąć ślub.

Dla dobra dziecka oboje powinni się na to zdecydować, w końcu niejedno małżeństwo zostało zawarte z dużo mniej istotnych powodów.

Nie było żadnej nadziei, żeby Charles mógł kiedykolwiek połączyć się z Catherine, chociaż - i tu znów mamy przykład postawy twojej matki i tego jej cholernego poczucia uczciwości - Susan nalegała na zastrzeżenie, że gdyby kiedykolwiek w przyszłości miała się pojawić taka szansa, to Charles powinien się czuć absolutnie wolny i powinien mieć pełne prawo odejść do tamtej.

Susan chciała tylko, żeby w przypadku, gdy urodzi się im córka, miała prawo po takim ewentualnym rozwodzie zachować ją przy sobie; natomiast gdyby urodził się syn, wtedy mógłby go zabrać Charles.

- Rollo pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą.

- Głupi to był pomysł, moim zdaniem, no ale taka właśnie była twoja matka, z tymi jej zasadami moralnymi z sentymentalnych książek!

Kate znów nic nie odpowiedziała, jeżeli nie liczyć jeszcze jednego cichego westchnienia, a może stłumionego jęku.

- Tak więc było to małżeństwo z rozsądku w każdym znaczeniu tego słowa -pozwalało zachować wszelkie pozory, w sumie było wygodne i w jakiś sposób również korzystne dla obu stron.

Jednak miłość nigdy się w tym związku nie pojawiła i dla niej, i dla niego najważniejszą sprawą było dziecko - Charles bardzo chciał, żeby to był syn, Susan zaś po prostu chciała mieć dziecko, jakiegokolwiek.

Tak więc powodem, dla którego zdecydowali się pobrać, było to mające się narodzić dziecko.

- To znaczy ja - powiedziała Kate.

- Tak, ty.

Ceremonia w Caxton Hall odbyła się bez rozgłosu, ja wystąpiłem w roli świadka, a w siedem miesięcy później ty się urodziłaś.

Początkowo Charles chyba musiał być rozczarowany, że urodziła się dziewczynka.

Ale pogodził się z tym bardzo szybko i już wkrótce stałaś się ukochaną "córeczką tatusia".

Wymarzony syn miał być niejako repliką, odbiciem jego samego - trudno o coś bardziej pożądanego dla ego mężczyzny - ale potem okazało się, że z kolei na ciebie Charles mógł przelać wszystkie swoje uczucia, których nie mógł ofiarować Catherine.

A kiedy jeszcze trochę podrosłaś i zaczęłaś mówić, kiedy zaczęły się w tobie - jedna po drugiej - ujawniać różne cechy rodziny, wtedy już nie mogło być żadnych wątpliwości.

To było to!

Charles podjął niezłomne postanowienie, że właśnie ty przejmiesz po nim wszystko - firmę, tradycję i umiejętności.

On jako ojciec miał cię nauczyć wszystkiego, przekazać ci całą swoją wiedzę i uczynić cię najlepszą na całym świecie specjalistką w dziedzinie starej dalekowschodniej porcelany.

Już widział całą twoją przyszłość, którą zaplanował, zwłaszcza że i ty okazałaś się dla niego córeczką wręcz wymarzoną - posłuszną i kochającą.

Cokolwiek tata zrobił, ty to bez zastrzeżeń akceptowałaś.

Charles był szczęśliwy, ponieważ odziedziczyłaś po nim nie tylko jego zdolności, ale i serce, zdolne do głębokiej miłości.

To dla niego było jeszcze ważniejsze, gdyż zdawał sobie sprawę, że miłości -jeżeli jej brakuje od początku - nie można nikogo nauczyć.

Natomiast wszystkiego innego mógł cię nauczyć już sam.

Może tego nie wiesz, ale te soboty, które spędzał z tobą w firmie Desparda, były dla niego zawsze najważniejsze.

Potem zawsze relacjonował to jeszcze twojej matce, powtarzał każde twoje słowo: co mówiłaś, o co pytałaś, co zrobiłaś - z najdrobniejszymi szczegółami.

Bo też rzeczywiście - wyjąwszy jedynie to, że nie byłaś synem - pod każdym względem byłaś jego repliką, wiernym odbiciem.

Tą genetyczną kopią, której podświadomie szukał w swym dziecku.

Przez pewien czas wydawaliście się jak dwie krople wody - większa i mniejsza.

- Jeżeli to rozwijało się tak dobrze, jak mówisz, to dlaczego tak źle się skończyło?

- zapytała Kate ochryplym z emocji głosem.

- Dlaczego potem jednak mnie porzucił?

- Jestem pewien, że nigdy nie zdecydowałby się na odejście od was do Catherine, gdyby nie sądził, że nadal potrafi utrzymać z tobą ten sam kontakt, jaki mieliście dotąd, że stale będziesz go odwiedzać.

Twoja matka oczywiście nigdy nie stawiałaby najmniejszych przeszkód, wiedziała, że byłaś do ojca znacznie bardziej przywiązana niż do niej.

Podejrzewam, że to raczej druga pani Despard nie chciała mieć w tobie rywalki.

Zbyt długo czekała na swojego Charlesa i później nie chciała się nim dzielić nawet z dzieckiem.

Można nie bez racji przypuszczać, że zawsze była trochę zaborcza, a nawet wcale nie trochę.

- A poza tym miała już własną córkę.

- To także.

Tak więc twoja matka, jak ci mówiłem, nie tylko zostawiła Charlesowi otwartą furtkę, ale swym postępowaniem wręcz ułatwiła mu odejście bez większych wyrzutów sumienia.

Twój ojciec nie mógł przewidzieć tylko jednego - że ty zareagujesz aż tak mocno i gwałtownie.

Nie pomyślał, że możesz poczuć się aż tak bardzo zraniona, że w rezultacie to ty go odtrącisz i uznasz, że dla ciebie on po prostu już umarł.

Sama mu to powiedziałaś, pamiętasz?

Kiedy zamknęłaś się na klucz w swojej sypialni i powiedziałaś, że nie chcesz go więcej widzieć, i nie chciałaś słuchać żadnych jego próśb i tłumaczeń.

Kate nie trzeba było tego przypominać; wciąż jeszcze czuła w sobie ten ból, wciąż miała w pamięci słowa ojca, słyszała ten ich rozpaczliwy ton.

Wydarzenia tego ostatniego dnia przez kolejne lata setki i tysiące razy przewijały się w jej pamięci, jak gdyby zapisane na taśmie.

Pamiętała też własne słowa, kiedy to śmiertelnie zraniona krzyczała do ojca: " Jeżeli nas zostawisz, to dla mnie umrzesz!

Umrzesz, rozumiesz?

I mam nadzieję, że pójdziesz za to do piekła!"

Rollo bez trudu odczytywał te wszystkie emocje z samego wyrazu twarzy Kate.

Położył rękę na jej ramieniu i powiedział cicho: - Musisz to sobie w końcu uświadomić.

On co prawda ożenił się z twoją matką, ale to córka zachowywała się jak zazdrosna żona.

Kate szlochała, już nawet nie próbując z tym walczyć.

- Bo on mnie zdradził.

Sam mi mówiłeś, że był mi najbliższy, że byłem jego ukochaną córeczką.

Ja w to wierzyłam.

Wierzyłam we wszystko, co powiedział, zawsze.

A on mnie okłamał...

okłamał...

- powtarzała coraz cichszym głosem.

- Jak bardzo wielu mężczyzn, po prostu mówił to, co naprawdę wtedy czuł.

Tyle że nie spodziewał się, że te słowa kiedyś staną się przekleństwem jego życia, że mogą być wykorzystane przeciwko niemu.

- Nie przeciwko niemu!

To była tylko obrona!

Nie mogłam pozwolić, żeby...

rzucił mnie dla innej kobiety!

Milczenie, które nagle zapadło po tych słowach, było tak naładowane elektrycznością jak powietrze przed lipcową burzą.

Kate podniosła zaczerwienione, zapłakane oczy, a poruszony jej udręką Rollo zapytał bardzo miękko: - Żeby rzucił ciebie?

- A tak!

Tak!

- wrzasnęła Kate.

- No, powiedz to wreszcie głośno.

Że byłam zakochana...

w swoim własnym ojcu!

- No a jeżeli byłaś, to co?

- spytał Rollo, którym ta rewelacja najwyraźniej nie wstrząsnęła.

- W końcu czy nie w taki właśnie sposób kobiety zaczynają się uczyć miłości... i mężczyzn?

Nie jest to wcale takie niezwykle.

Problem polega jednak na tym, że ciebie to w jakiś sposób zatrasnęło emocjonalnie - to, że twój ojciec kiedyś zostawił was...

zostawił ciebie dla innej kobiety.

A skutek jest taki, że w sytuacjach, w których większość kobiet z reguły wybiera, a przynajmniej szuka mężczyzny, który przypominałby im ich ojca, ty natychmiast gotowa jesteś uciekać jak najdalej, gdy tylko jakiś mężczyzna - jakkolwiek - w ogóle na ciebie spojrzy.

Zresztą najwyraźniej celowo nawet ubierasz się tak, żeby w miarę możliwości nikt na ciebie nie spojrzał.

Te twoje koszmarne dzinsy, podkoszulki, ta okropna kurtka lotnicza.

Ja akurat może nie jestem heteroseksualistą, zwłaszcza praktykującym, ale wciąż jeszcze pamiętam, że za moich czasów kobiety nie starały się ubierać tak jak drwal albo robotnik z kanałów.

Kobiecość mi się z czymś takim nie kojarzy.

- To, z czym ci się kojarzy kobiecość, wzrusza mnie akurat wyjątkowo mało - odburknęła najwyraźniej rozgniewana Kate, co zresztą mogło świadczyć, że coś jednak do niej dotarło.

- To moje życie, i nie musisz się w to wtrącać.

Dużo mogłam od ciebie wysłuchiwać, ale jednak nie przeciągaj struny!

Rollo zmierzył ją od stóp do głów oczami bezbarwnymi jak zamarzająca woda.

- Pozwól sobie przypomnieć kochanie, że to ty prosiłaś mnie, żebym ci powiedział prawdę.

A jeżeli już mówię ci prawdę, to nie spodziewaj się, że będę każde słowo owijał w bawełnę, żeby ci się nie zrobiło przykro.

Przez chwilę ich spojrzenia stały się ze sobą.

Potem Rollo uśmiechnął się i powiedział znacznie już łagodniejszym tonem: - Twój ojciec, choć cię bardzo kochał, zostawił was także i dlatego, że był mężczyzną, który potrzebował dużo seksu.

Pewnie dlatego zawsze był tak pociągający dla kobiet - mógłby być niemal wzorcowym zwierzęciem seksualnym.

Tymczasem w małżeństwie z twoją matką nie było szans na zaspokojenie tych jego potrzeb.

Ona go fizycznie nie pociągała i - co ważniejsze - sama w ogóle nie była zainteresowana prowadzeniem jakiegokolwiek życia seksualnego.

W tym sensie była krańcowym przeciwieństwem Catherine de Villefort, która miała w sobie to wszystko, czego Charles mógł szukać w kobiecie.

Z tego, co o niej wiem, co doszło do mnie w ciągu tych wszystkich lat, można być pewnym, że Catherine w wielu względach nigdy nie mogłaby się równać z twoją matką; nie miała jej dobroci i życzliwości ani zdolności ludzkiego spontanicznego współczucia.

Także jeśli chodziło o intelekt, Susan miała znacznie bystrzejszy umysł i szersze horyzonty.

Ale Charles oczywiście nie tego w kobietach szukał.

Potrzebna mu była kobieta, która przede wszystkim byłaby dobra w łóżku, a przy innych okazjach - odpowiednią ozdobą jego życia towarzyskiego, czy też - w razie potrzeby - spotkań zawodowych.

W żadnym razie nie mogła to być kobieta, która zasłaniałaby się niedyspozycją czy bólem głowy, kiedy on miał ochotę na seks.

Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Kate nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego, a na jej twarzy odbijał się wyraz takiej smutnej bezradności, takiego żalostnego pogubienia się, że Rollo mimo woli poczuł jakieś ukłucie w okolicach serca.

To prawda, że już od dawna chciał jej to wszystko powiedzieć.

Ale w rezultacie teraz okazywało się, że sam musi dzielić z tą dziewczyną jej ból i jej udrękę.

To zawsze tak się kończy, kiedy tylko pozwolisz sobie na to, żeby kogoś lubić czy jakoś kochać.

Każda miłość w końcu tak czy inaczej dopiecze ci do żywego.

Westchnąwszy nad sobą i nad tą smutną konstatacją, Rollo mówił dalej: - Mężczyźni, powinnaś to wiedzieć, to twory jednak przede wszystkim fizyczne, zwierzęce - sam miałem wystarczająco dużo okazji, żeby się o tym przekonać.

Inteligencja, bystrość umysłu, dobroć czy inne zalety ducha, mało ich interesują.

Tak naprawdę podnieca ich - w przypadku kobiet - przede wszystkim właśnie fizyczność, piękna buzia, zaokrąglona linia piersi, obietnica seksualna wyrażana mową ciała.

Wszyscy jesteście niewolnikami biologii.

- Głos Rolla pobrzmiwał odrobiną gorzkości.

- Rządzą nami nasze członki, tak dosłownie, jak dosłownie malują je na różnych ścianach młodzieńcy przekonani, że uprawiają sztukę graffiti.

Twój ojciec pozostawił dobrą żonę i kochającą go córkę, ponieważ znalazł to, czego naprawdę potrzebował.

To też jest prawda.

Ty przez cały czas myślałaś obsesyjnie tylko o swoich potrzebach.

Ale czy zdarzyło ci się kiedykolwiek przez te wszystkie lata pomyśleć o tym, że i twój ojciec może odczuwać coś takiego?

Kate tymczasem już płakała jak bóbr.

- No i bardzo dobrze - powiedział na to Rollo.

- Wypłacz się, ile się tylko da.

Nawet lekarze to zalecają.

W życiu bym nie przypuścił, że można być za coś wdzięcznym komuś takiemu jak ta Piękna Rosiczka, ale teraz naprawdę jestem.

Bo może się okazać, że to właśnie dzięki niej wreszcie dorośniesz, pogodzisz się z myślą, że nikt nie jest doskonały, że ludzie mogą sobie wzajemnie wyrządzać ogromne krzywdy także z miłości; że ci, których kochamy, bywają słabi, próżni, chciwi czy samolubni, ale po prostu tacy są.

Kate spojrzała na niego, wciąż ocierając oczy.

- Czy teraz chcesz mnie przekonywać, że ludzie są warci tego, żeby o nich walczyć?

- Chcę ci tylko powiedzieć, że o swego ojca powinnaś walczyć, nawet sama ze sobą. Zasługuje na to.

Wyrządził ci krzywdę, którą przez wszystkie te lata próbował naprawić, tak jak umiał.

I dlatego zapisał to, co dla niego było najcenniejsze, właśnie tobie.

Nie żonie, nie pasierbicy, ale tobie.

Bo zawsze cię kochał i uwielbiał.

Więc przyjmij ten dar i dowiedz wszystkim, także jemu, że jesteś jego nieodrodną córką, córką Despardów!

Jeśli on mógł zrozumieć i wytrzymać całą niszczącą siłę twojej nienawiści do niego, to należy mu się przynajmniej tyle, żebyś mu wybaczyła jego słabość.

- Za rodzaj łapówki, dla spokoju sumienia?

- Ciesz się, że miał sumienie, ty niemądra dziewczyno...

- Głos Rolla stał się nagle ostrzejszy i zaskakująco poważny.

- Czy mam rozumieć, że w ogóle nic z tego, co powiedziałem, nie przebiło się do tego upartego, zakutego łba?

- Na pewno udało ci się zniszczyć moje głębokie przekonanie, że byłam owocem szczęśliwego małżeństwa.

Czy to ci na razie wystarczy?

- Jakikolwiek było to małżeństwo, nie możesz zaprzeczyć, że dzieciństwo miałaś naprawdę szczęśliwe.

- Rollo wyciągnął chusteczkę i wcisnął ją w dłoń Kate.

- Masz, wytrzyj sobie oczy i nos.

A ja spróbuję zaparzyć jakąś herbatę.

Zanim Rollo wrócił, Kate zdążyła się trochę uspokoić.

Wyraz jej oczu złagodniał, przestała ocierać zaczerwienione powieki, a nawet uśmiechnęła się do niego, choć wypadło to dosyć blado.

- Jak tyś w ogóle ze mną wytrzymał przez te wszystkie lata?

- Najpierw nie wiedziałem, co mnie czeka, a kiedy zaczęłaś pokazywać różki, już było za późno.

Poza tym twoja matka prosiła mnie, żebym trochę na ciebie uważał.

Kate popatrzyła na niego, a w jej smutnym uśmiechu była też i nagle uświadomiona wdzięczność.

- Miałaś wystarczająco dużo własnych kłopotów.

A ja, jak podejrzewam, musiałam być bardzo męczącym dzieckiem.

- No cóż.

Ale teraz wreszcie dorosłaś, prawda?

Kate milczała przez chwilę, w końcu powiedziała cicho: - Tak mi wstyd...

- I to właśnie są słowa osoby dorosłej - dzięki Bogu!

Kate pokiwała głową.

- Podejrzewam - mówiła dalej, jakby wciąż się nad tym wszystkim zastanawiając - że zawsze widziałam mego ojca tylko oczami dziecka właśnie dlatego, że tak uparcie nie chciałam dorosnąć.

Bo gdybym dorosła, musiałabym go zobaczyć w innym świetle.

A tego nie chciałam, wydawało mi się, że nie mogłabym tego znieść.

- Nagle, bez jakiegoś wytłumaczonego powodu, przypomniał się jej Blaise Chandler.

- Wiesz - powiedziała zamyślona - że teraz już nie mam do niego żalu?

Teraz, kiedy już to wszystko wiem, w ogóle go nie potępiam...

- W jej głosie gorzki smutek przemieszany był teraz z jakimś rozmarzeniem.

- Pewnie dlatego, że wreszcie zrozumiałam, prawda?

Kate dopiła herbatę i odstawiła filiżankę.

- Tyle rzeczy mam do przemyślenia, do uporządkowania.

A te ostatnie dni naprawdę mną wstrząsnęły.

Czuję się taka zmęczona...

- Na szczęście jutro jest niedziela.

Będziesz mogła się dobrze wyspać i mieć jeszcze mnóstwo czasu na przemyślenia.

- Jestem tak senna, że chyba mogłabym spać przez cały tydzień.

- Trudno się temu dziwić.

Byłaś przecież na długim spacerze.

Wszystkie te emocje też na pewno cię wyczerpały.

A poza tym...

dodałem ci trochę środka nasennego do herbaty.

Na dziś i tak masz dość.

Musisz się wyspać, bo podejrzewam, że to nie koniec czekających cię emocji.

Myślę, że dopiero się zaczniesz!

Kate spojrzała na niego i zapytała cicho, z nie ukrywanym lękiem: - Ale ty mi pomożesz, prawda, Rollo?

Potrzebuję cię teraz bardziej niż kiedykolwiek.

- Nic mnie nie powstrzyma, nawet ty!

- oświadczył Rollo.

Odstawił filiżankę i spojrzał na Kate.

- A teraz do łóżka!

- zarządził kategorycznie.

- Mamy dużo rzeczy do zrobienia, więc musisz być wypoczęta.

Jeśli się wypowiedziało wojnę komuś takiemu jak twoja przybrana siostra, trzeba być naprawdę w formie.

Jutro zaczynamy nasze zajęcia specjalne pod nazwą Despard, kurs przyspieszony.

Kate spojrzała nań pytająco.

- Być może tego nie pamiętasz - powiedział Rollo - ale ja także pracowałem w firmie Despard, a w dodatku, co teraz trzeba mi zapisać na plus, nie zerwałem z nimi kontaktu.

Wiem, co się tam dzieje.

Mam powody, by przypuszczać, że im szybciej ci moją wiedzę przekażę, tym lepiej.

Kate wciąż nie mogła zasnąć.

Teraz miała nieodparte wrażenie, że wszystko wokół niej zaczęło nabierać wręcz surrealistycznego charakteru, niczym na herbatce u Szalonego Kapelusznika z książki Lewisa Carrolla.

Wreszcie zrozumiała, dlaczego tam goście stale się przesiadali i co chwila zmieniali miejsca przy stole.

Chodziło tylko o to, żeby widzieć rzeczy pod innym kątem, to takie proste!

Sama dokonała takiej właśnie operacji zmiany perspektywy i była oszołomiona tym, co nagle zobaczyła, a czego przedtem nie mogła w żaden sposób widzieć.

Rollo powiedział jej o pewnych rzeczach otwarcie i dosyć brutalnie, ale musiała przyznać, że miało to taki sam skutek jak kilka odpowiednio wymierzonych policzków - wytrąciło ją z historycznej fiksacji i przywróciło do rzeczywistości.

Jak w cinema verite.

Środek nasenny, jak się okazało, też pomógł niewiele.

Spała źle, ciągle budziła się i zaczynała gorączkowo myśleć.

O szóstej rano była już na nogach.

Pośpiesznie wciągnęła na siebie zielony dres do biegania i pustymi o tej porze bocznymi uliczkami Chelsea skierowała się w stronę Hyde Parku.

Biegała tam zresztą dość regularnie, lubiła ten wysiłek i przyjemne zmęczenie, które to jej dawało.

W szkole zawsze była dobra we wszelkich grach, na przykład w hokeju na trawie i w siatkówce, a w pływaniu zdobyła nawet mistrzostwo szkoły.

Poza tym już od dziesiątego roku życia zaczęła jeździć konno i od razu wręcz zakochała się w tej dyscyplinie.

Przez jakiś czas czuła się krańcowo rozdarta, nie umiając wybrać między karierą przyszłej mistrzyni w skokach przez przeszkody a od dawna już planowaną i równie pociągającą karierą specjalistki w dziedzinie artystycznej porcelany.

Ostatecznie sztuka i porcelana wygrały, ale Kate nadal namiętnie kochała konie i korzystała z każdej nadarzającej się okazji przejażdżki.

Ostatnio jednak częściej biegała albo robiła długie spacery, zwłaszcza wtedy, gdy chciała nad czymś spokojnie pomyśleć.

Także i teraz biegła sobie dosyć niespiesznie, a tymczasem jej nieokiełznana wyobraźnia niczym koń pędziła po dawnych ścieżkach jej życia, szczególnie tych, które przemierzała razem z ojcem.

Pamiętała go tak wyraźnie, jak gdyby rozstała się z nim dopiero wczoraj.

Pamiętała jego oczy, które zawsze uśmiechały się do niej, a wtedy w ich kącikach nagle zbiegały się niezliczone niteczki drobniutkich zmarszczek.

Te oczy, jej zdaniem, miały barwę sherry oloroso.

Włosy miał ciemne, jeżeli nie liczyć siwych skrzydełek na skroniach.

Był średniego wzrostu, dość krępy; Kate własny wysoki wzrost zawdzięczała raczej genom matki i jej wychudzonych szkockich przodków.

Po raz pierwszy pozwalała sobie na rozpamiętywanie lat, które z nim spędziła.

Przypominała sobie wszystko, także to, co jeszcze wczoraj mogłaby uważać za zbyt bolesne, by chcieć o tym pamiętać.

Teraz nagle mogła sobie na to pozwolić, przypatrywać się temu wszystkiemu powoli i z uwagą.

Choć czasem odnajdywała w tym jakąś zapomnianą, dziecinną przyjemność, nie patrzyła już oczami dziecka.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin gwałtownie wydorosła.

Przestała myśleć w kategoriach bezradnej, zranionej w swych uczuciach, czternastoletniej dziewczynki.

Kate przyglądała się własnej przeszłości z perspektywy swych dwudziestu sześciu lat, i zrozumiała wiele.

Choćby swój dotychczasowy stosunek do rodziców i ich małżeństwa.

Zdała sobie sprawę, że jeżeli dotychczas tak uparcie budowała wokół nich świat swoich wyobrażeń, to przede wszystkim dlatego, że instynktownie wyczuwała, iż małżeństwo rodziców nie jest takie jak inne małżeństwa.

Starła się więc zaciekle chronić nie tyle siebie, ile właśnie ich.

W swej dziecięcej wyobraźni usiłowała godzić pełną zdrowego rozsądku, rzeczową naturę matki z romantycznym, pełnym pasji, artystycznym charakterem ojca.

Ale to były próby godzenia wody z ogniem.

Jakże ta romantyczna dusza jej ojca musiała się szamotać w niewidzialnej klatce ich źle dobranego związku!

Susan Mallory była z gruntu dobra, była urodzoną matką i doskonałą gospodynią, była niezmiennie wierna w przyjaźni, ale niemal zupełnie nie miała wyobraźni, jej świat składał się właściwie wyłącznie z rzeczy konkretnych i praktycznych.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy kupienie sobie czegoś pod wpływem impulsu, pełne podniecenia pójście za marzeniem, nagle ryzykowanie czegoś.

Wszystko musiało być przemyślane, zaplanowane, wielokrotnie sprawdzone.

Wybierane przez nią ubrania były zawsze mocne i praktyczne, ale bez jakiegokolwiek wdzięku: tweedy, które można było nosić latami, proste wełniane dzianiny, "sensowne", nie jakieś tam wymyślne kaszmiry, których nigdy nie chciała kupować, uważając, że nie są warte wydawanych na nie pieniędzy.

Kate jednak powstrzymywała się od krytykowania matki, nawet w drobnych sprawach, kiedy po dzieciennemu marzyła o ładniejszej i bardziej eleganckiej dziecięcej bieliźnie zamiast tej, którą matka uważała dla niej za "sensowniejszą", zawsze potrafiła stłumić w sobie wszelką chęć nieposłuszeństwa.

Matka w końcu wiedziała lepiej, co jest dla niej dobre.

I przecież kochała ją, a więc krytykowanie jej byłoby czymś nielojalnym.

Ale oczywiście bywała też nieprawdopodobnie szczęśliwa, kiedy wracający z jakiejś podróży zagranicznej ojciec przywoził jej w prezencie coś fantastycznie niepraktycznego, jakąś rzecz zupełnie nieużyteczną, ale tak piękną, że można było na nią patrzeć godzinami.

Te wszystkie jego prezenty się zachowały; spakowano je do wielkiego kufra, kiedy dom został sprzedany.

Kate ceniła je, ponieważ rozumiała wtedy swego ojca.

Obserwowała przecież niejednokrotnie, jak przywoził matce w prezencie wyszukane klejnoty, których ona nigdy nie chciała nosić: "Przecież wiesz, Charles, że nie jestem osobą, która potrafiłaby się stroić w błyskotki" mówiła zawsze.

Ojciec w końcu pogodził się z tym i przywoził jej prezenty praktyczne i "sensowne", w rodzaju "porządnej" torebki skórzanej, kompletu kryształowych kieliszków do wina albo haftowanego obrusa.

Takie prezenty matka przyjmowała z radością i pełną aprobatą.

Rozumiejąc ich oboje - tak przynajmniej jej się wtedy wydawało - Kate zawsze bardzo uważała, by nie zranić matki i nie zdradzić, że widzi te różnice między nią i ojcem.

Teraz, z perspektywy osoby dorosłej, zdała sobie sprawę, że matka tak naprawdę wcale nie poczułaby się zraniona jej wyborem, prawdę mówiąc w ogóle o tym wtedy nie myślała.

"Catriona to prawdziwa córeczka tatusia" zwykła była mawiać, najwyraźniej pogodzona z tym stanem rzeczy, a nawet jakoś z niego zadowolona.

Nie lubiła nadmiernych komplikacji: "Och, dajcie mi spokój, ja nie rozumiem tych wszystkich artystycznych gmatwań - mawiała.

- Byłam księgową, jeżeli to jeszcze pamiętacie, i największą przyjemność zawsze sprawiało mi tylko to, co można jasno uporządkować, zestawić w przejrzyste kolumny i zsumować, wiedząc, że wszystko się zgadza!"

Tak to właśnie było, myślała Kate.

Mama zajmowała się nieefektywną, praktyczną stroną życia domowego, natomiast ojciec realizował wielkie plany, a na drobiazgi nie zwracał uwagi.

Kiedy wracał z kolejnej podróży, Kate rzucała się w jego ramiona, tuliła się do niego i całowała, ojciec unosił ją do góry i obracał się wraz z nią, aż zaczynało jej się kręcić w głowie; wtedy śmiała się tak, że aż łzy napływały jej do oczu.

A tymczasem matka co najwyżej mówiła łagodnie: "No i jak tam było, Charles?"

Miałaś dobrą podróż?"

Jeżeli była czegoś ciekawa, to jedynie tego, co kupił, od kogo, jak przebiegały negocjacje - interesowała ją tylko strona techniczna i praktyczna.

Natomiast Kate najchętniej słuchała tego, co ojciec opowiadał o samych przedmiotach, i oczyma duszy widziała je wszystkie w całej ich egzotycznej urodzie.

Później rodzice szli do swych oddzielnych sypialni; nawet gdy ojca nie było w domu przez miesiąc i więcej, nie fetowali powrotu jakoś szczególnie, nie szukali też na przykład pretekstu, by znaleźć się na jakiś czas razem, bez Kate.

Z drugą żoną musiało być już zupełnie inaczej, pomyślała Kate.

W ich domu, kiedy Charles wracał z podróży, Catherine z całą pewnością już czekała na niego niemal na progu.

Prosto z kąpieli, pachnąca zmysłowymi perfumami, w przejrzystym peniuarze, który niczego nie ukrywał, a wszystko podkreślał.

Można było sobie wyobrazić, jak jego oczy zapalały się natychmiast na ten widok, jak brał ją w ramiona, a w ich ciałach narastało pożądanie, i po paru minutach oboje już byli we wspólnej sypialni, w ogromnym małżeńskim łóżu, kochali się i byli zakochani.

Kate biegła już dłuższy czas, ale wciąż nie odczuwała zmęczenia.

Ach, papo, drogi papo, myślała.

Nic dziwnego, że i Dominique nazywała cię papą.

Ty właśnie taki zawsze byłeś.

Ona na swój sposób musiała cię podziwiać, skoro sama również zajęła się artystyczną porcelaną.

A ty, mam nadzieję, byłeś mimo wszystko szczęśliwy.

Tak, wiem, że byłeś szczęśliwy, widziałam przecież twoje zdjęcia w pismach branżowych.

I pewnie dlatego, że tak świetnie zawsze na nich wyglądałeś, musiałam sobie wmówić, że moja matka umarła, ponieważ złamałeś jej serce.

To na pewno nie była historia Tristana i Izoldy, już raczej Ruskina i Effie, tyle że role były odwrócone.

To Susan występowała tu w roli powściągliwej świętoszki postawionej wobec niepohamowanej seksualnej witalności Charlesa.

To wszystko było dramatyczne i niezmiernie skomplikowane, a tymczasem ona, Kate, była tak obsesyjnie zajęta swoimi własnymi odczuciami, że -jak to słusznie zauważył Rollo - nawet nie pomyślała o tym, co mógł odczuwać jej ojciec, czego pragnął i jaki był wtedy samotny.

Nigdy nie umiała sobie wyobrazić swego życia bez ojca; kiedy od czasu do czasu, choć na szczęście rzadko, zdarzało się, że ojciec poważniej chorował, Kate spędzała długie godziny w kościele, modląc się i prosząc Pana Boga, żeby tata nie umarł.

Zupełnie inaczej było podczas choroby mamy, także tej ostatniej choroby, kiedy już wiadomo było, że śmierć to tylko kwestia czasu.

Kate opiekowała się matką z całym oddaniem, ale pogodziła się z nieuchronnością jej śmierci, nie buntowała się przeciw losowi tak szaleńczo jak wtedy, gdy zagrożone było życie jej ojca.

Przestała biec, stanęła z rękami na biodrach i zrobiła kilka głębokich wdechów, wciągając w płuca chłodne poranne powietrze parku.

Tak naprawdę, powiedziała sobie, przez ostatnie dwanaście lat zajmowałam się głównie własną żałobą.

Przetwarzaniem mojego żalu i zgryzoty w nienawiść.

Podeszła do ustawionej w pobliżu parkowej ławki i usiadła, z rękami wyciągniętymi wzdłuż oparcia.

Siedziała w ten sposób dość długo, wciąż pogrążona w rozpamiętywaniu tego, co się stało.

Potem, ciągle zamyślona, podniosła się powoli i lekkim truchtem ruszyła w drogę powrotną, w kierunku domu.

Nie zdziwiła się jednak, kiedy w jakiś czas później - na chwilę wyrwana z zamyślenia - uświadomiła sobie, że znalazła się na zapleczu hotelu Ritz.

Naprzeciwko, po drugiej stronie jezdni, mieścił się Despard.

Nie była w tym miejscu przez dwanaście lat; od dnia, kiedy ojciec ich porzucił, unikała tej części miasta.

Teraz musiała tu trafić chyba podświadomie.

Stała i chłonęła ten widok, atmosferę tego miejsca.

Nie zdawała sobie sprawy ze zdziwionych spojrzeń nielicznych przechodniów, mijających stojącą na zapleczu Ritza wysoką rudą dziewczynę w zielonym dresie, z której oczu płynęły łzy.

Rollo miał rację, jak zawsze.

To było w jej krwi, była nieodrodną córką Despardów.

To wszystko było jej własnością.

Miała do tego prawo.

Kiedyś to właśnie było sensem życia jej ojca.

Teraz będzie sensem jej życia.

Już należało do niej, czuła to całą sobą, całym swym ciałem i duszą.

To przecież właśnie to było w tym przyśpieszonym pulsowaniu krwi, wyczuwalnym wszędzie - w głębi klatki piersiowej, we wszystkich arteriach, od największych, aż do tych najdrobniejszych, gdzieś tam w jej wargach, policzkach, koniuszkach palców.

W końcu odwróciła się i pobiegła dalej.

W jej ruchach można było dostrzec nową energię, łzy na twarzy ostatecznie obeschły.

Miała w sobie uczucie wyzwolenia, jak więzień nagle uwolniony po długoletnim odosobnieniu.

Rollo również spał nie najlepiej tej nocy.

Podobnie jak Kate, wstał dość wcześnie, a do sklepu przyszedł już około dziesiątej.

Sklep był oczywiście zamknięty, a gdy Rollo wspiął się po schodach do mieszkania na piętrze, okazało się, że Kate nie ma.

Nie było również jej zielonego dresu.

Rollo westchnął z ulgą.

Przynajmniej było wiadomo, gdzie Kate teraz jest i co robi.

W miarę upływu czasu zaczął się jednak coraz bardziej niepokoić, wyglądać przez okno, a gdzieś koło czwartej stał już tam nieprzerwanie i zastanawiał się, czy nie zadzwonić na policję.

I wtedy wreszcie dostrzegł ją z daleka.

To musiała być ona, nie można było pomylić jej z nikim innym.

Ten wzrost, te rude włosy.

Rollo przyglądał się jej badawczo.

Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Szła długim, pewnym krokiem i była pogodna, a nawet uśmiechnięta.

Chwała Bogu!

Gdy Kate weszła do mieszkania, Rollo leżał nieruchomo na starej francuskiej kanapie, pokrytej wytartym ciemnoniebieskim aksamitem, i udawał, że śpi.

Twarz miał przykrytą rozłożonym egzemplarzem "Sunday Timesa", ale - ponieważ dbał też o swą reputację człowieka, który ma sen niesłychanie lekki - po jej wejściu natychmiast się poruszył, ściągnął z twarzy gazetę i powiedział, ziewając cokolwiek przesadnie: - Ach, to ty...

Która godzina?

- Właśnie wybiła czwarta.

Rollo podniósł się i szeroko otworzył oczy.

- Czyżby?

Chyba się trochę zdrzemnąłem.

- Czy może przyszedłeś na lunch?

Przepraszam, że mnie nie było.

Wyszłam dziś wcześniej, chciałam sobie różne sprawy przemyśleć.

- Zauważyłem, że nie ma twojego dresu.

- Zjadłeś coś przynajmniej?

Musisz być strasznie głodny.

Rollo nie wspomniał, że jakiś czas temu zrobił sobie parę kanapek i popił je dużą filiżanką kawy.

Powiedział tylko: - No, raczej jestem.

A ty?

- Wprost umieram z głodu!

- Kate uśmiechnęła się.

- Ile przebiegłaś tym razem?

- Bóg raczy wiedzieć.

Najpierw pobiegłam stąd aż do Bayswater, potem trochę siedziałam i odpoczywałam, potem jeszcze obiegałam cały park i znów usiadłam, żeby zastanowić się nad wszystkim trochę dłużej.

- Kate przeszła do łazienki, ale przez uchylone drzwi nadal mogła opowiadać.

- A potem, sama nie wiem jak, wylądowałam w okolicach Despards, choć przecież w ogóle nie miałam takiego zamiaru, daję ci słowo!

To było niesłychanie dziwne uczucie, coś niesamowitego.

Ale wiesz co?

W rezultacie poczułam się nieporównanie lepiej.

Tak jakbym się wreszcie odważyła stawić czoło czemuś, czego unikałam przez lata, i nagle stwierdziłam, że bałam się tylko papierowego tygrysa.

Rollo usłyszał szum prysznicy i przeszedł do kuchenki, żeby włożyć do opiekacza pozostawione tam kotlety wieprzowe.

Z zamrażalnika lodówki wyjął paczkę brokułów i podwójne opakowanie francuskich frytek, które przed spożyciem wystarczyło tylko podgrzać.

W ten sposób przygotowanie obiadu było rzeczywiście bardzo proste.

Kate, oczywiście, potrafiła coś więcej, gotowania nauczyła ją matka, która była naprawdę dobrą kucharką.

Ale Kate mimo wszystko nie interesowała się kuchnią na tyle, żeby tracić tam swój cenny czas.

Po kwadransie, już wykąpana i opatulona w ulubiony stary szlafrok z grubej tkaniny frotte, zdążyła jeszcze przeczesać wilgotne włosy i zasiadła do stołu, gdzie natychmiast spałaszowała dwa kotlety i cały talerz frytek.

To też był dobry znak.

Gdyby nie uporała się ze swoimi problemami, na pewno nie miałaby takiego apetytu.

- To co, przepędziłaś te dręczące cię upiory raz na zawsze?

- spytał Rollo.

- Myślę, że przynajmniej wygrałam z nimi na punkty.

- Nie zastanawiaj się, jak - najważniejsze, że wygrałaś.

Świat zamerykanizował się teraz do tego stopnia, że nawet tu u nas słowo "przegrana" stało się wręcz nieprzyzwoite.

Wszelka przegrana ma już tylko złą konotację, której należy się wstydzić.

- I tak właśnie się czułam przez te wszystkie lata - przyznała Kate, nie zamierzając już niczego ukrywać.

- Wstydziłam się przegranej.

Ale teraz, jak mi się zdaje, już się z tym uporałam.

Rollo spojrział na jej pusty już talerz, a potem na nią samą.

- Tylko dalej miej taki apetyt - powiedział.

- Pewne zaokrąglenie kształtów wcale by ci nie zaszkodziło, wprost przeciwnie.

I jeszcze, jeśli wolno coś powiedzieć d propos twojej figury i wyglądu: chyba jednak będziesz musiała sobie sprawić jakąś nową i w miarę normalną garderobę.

Szacowni klienci takiej firmy jak DespanTs po prostu mogliby nie docenić oryginalności i bezkompromisowości twoich poglądów na sposób ubierania się kobiet.

- Wiem o tym.
- Po raz pierwszy od wielu lat nie najeżyła się, kiedy ośmielił się powiedzieć coś na temat jej wyglądu.
- O!
Aleśmy się zmienili!
- wykrzyknął Rollo.
- Mam nadzieję - odparła spokojnie Kate.
Postanowiła, że nikt już jej nie odbierze tej dopiero co odzyskanej wiary w siebie. Niespodziewanie dla siebie poczuła, że jest krańcowo zmęczona.
Ziewnęła i przeciągnęła się leniwie.
- Ej, mieliśmy dziś pracować - przypomniał jej Rollo.
- A na razie nie zrobiliśmy nic.
- No nie wiem, czy nie.
Mów za siebie - powiedziała Kate takim tonem, że Rollo spojrzał na nią uważniej. Coś się stało z tą dziewczyną.
Tym razem Kate nie potrzebowała, by ktoś jej życzył dobrego snu.
Usnęła, zanim jeszcze jej głowa zdążyła na dobre dotknąć poduszki.
Rollo spojrzał i tylko pokręcił głową.
Kate spała nieprzerwanie przez czternaście godzin z okładem.
Kiedy się obudziła, poczuła zapach świeżo parzonej kawy.
Sięgnęła po leżący na krześle szlafrok - gwiazdkowy prezent od Rolla sprzed paru lat - z grubego lśniącego atlasu koloru butelkowej zieleni, doskonale pasujący krojem i kolorem do jej szerokich ramion i płomiennorudych włosów.
Rollo kupił jej go, ponieważ, jak oświadczył, tylko w takim męskim szlafroku wyglądała na kobietę.
Teraz spojrzał na nią badawczo, gdy weszła do kuchni i siadła przy stole.
- No jak tam, wypaliśmy się wreszcie?
Nie otwierałem sklepu i na dziś lepiej niech to już tak zostanie, nie sądzisz?
Jest poniedziałek, a to, co i tak tylko żartem nazywamy ruchem w interesie, nigdy nie zaczyna się na samym początku tygodnia.
Nalał kawy do filiżanki, którą Kate wzięła w obie dłonie.
Potem podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.
- Rollo, co ja bym zrobiła bez ciebie?
- powiedziała z prawdziwą czułością.
- Jesteś moim cudownym aniołem stróżem, naprawdę.
- W roli anioła występowałem tylko raz, w jakiejś dość podejrzananej sztuce bożonarodzeniowej.
Ale dziękuję, że dostrzegłaś to we mnie.
A teraz może byśmy się zabrali do tego, co powinniśmy byli zacząć już wczoraj.
- Później - powiedziała Kate, a Rollo popatrzył na nią ze zdziwieniem.
- Muszę jeszcze wyjść.
Rollo pytająco uniośł brwi, a Kate dodała tonem wyjaśnienia: - Muszę pójść do kościoła.
Popatrzył uważniej, ale tylko kiwnął głową.

- Jeżeli chcesz.

Charles co prawda był katolikiem, ale ponieważ Susan należała do szkockiego zboru kalwinów, zaczęła zdecydowanie protestować, kiedy w jakiś czas po urodzeniu się dziecka ojciec chciał ochrzcić Kate według zasad swojej wiary.

Ostatecznie oboje postanowili, że ich córka sama sobie w przyszłości wybierze wyznanie i Kate w ogóle nie została ochrzczona.

Teraz Kate chciała odszukać gdzieś w pobliżu jakiś katolicki kościół, w którym mogłaby zamówić modlitwę za duszę zmarłego ojca.

Czuła, że musi to zrobić.

Ksiądz, którego udało się w końcu znaleźć, był młody i najwyraźniej ciekawy, co kryje się za jej prośbą.

Poprzestał jednak na zapewnieniu Kate, że ojciec niewątpliwie został pochowany zgodnie z wymogami wiary katolickiej.

Kate złożyła odpowiedni datek, a ksiądz odprawił modły za zmarłego w jej obecności.

Po tym wszystkim poczuła się lepiej.

Po zakończeniu modlitwy jeszcze przez jakiś czas pozostała w ławce w głębi nawy, wciąż myśląc o ojcu.

Nie było w tym już nawet śladu dawnej zawziętości czy żalu, teraz już mogła myśleć o nim w sposób dorosły, bez zamykania oczu na fakty, a jednocześnie z miłością i głęboką wdzięcznością.

Modliła się za niego, jak umiała, uroniła parę łez, ale do domu wracała już z lżejszym sercem.

Czuła, że w jakiś sposób zostało jej wybaczone.

Po powrocie Kate do domu Rollo przyjrzał się jej uważnie, ale powstrzymał się od komentarza.

Sam nie był zwolennikiem religijności ujmowanej w jakiegokolwiek struktury organizacyjnej; uważał, że w sumie przyniosło to ludzkości więcej udręk niż inne siły sprawcze w historii.

Jednakże jeżeli to miało jakoś pomóc Kate w radzeniu sobie z tym, co teraz ją czekało, to on nie zamierzał się w to wtrącać.

Kate wydawała się teraz niezwykle wyciszona, prawie nieobecna, a Rollo rozsądnie nawet nie próbował zakłócać tego jej stanu.

Zjadła obiad, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że w ogóle coś je, a potem przez dłuższy czas siedziała z głową opartą na dłoni i nie widzącym wzrokiem patrzyła gdzieś przed siebie.

Powoli jednak zaczęła wracać do rzeczywistości, aż w końcu sama zapytała: - No to co, bierzemy się do roboty?

Rollo nawet jej nie wytknął zmarnowanego czasu; zamiast tego od razu przystąpił do rzeczy.

Pierwszą i najważniejszą w jego przekonaniu sprawą do omówienia było wypracowanie odpowiedniej taktyki w stosunku do głównego przeciwnika Kate, Dominique.

- Ma wszelkie powody, żeby cię nienawidzić.

I za to, kim jesteś, i za to, co z ciebie zrobił twój ojciec.

Nie może ci nie zazdrościć tego, co po nim odziedziczyłaś - instynktu i niezawodnego oka.

Ona zdobyła już znaczne doświadczenie, ale pamiętaj, że mimo wszystko masz nad nią przewagę.

W końcu to ty jesteś z rodziny Despardów.

Kate kiwnęła głową, słuchając go uważnie.

- To tyle o założeniach ogólnych.

A ze spraw bardziej konkretnych: miło mi poinformować cię, że w samej firmie masz także sojuszników.

Przede wszystkim wśród najstarszych pracowników.

Niektóre co bardziej rogate dusze przetrwały i wciąż wspominają cię z sympatią.

Kate popatrzyła na Rolla z niedowierzaniem i nadzieją jednocześnie.

- Naprawdę ludzie mnie pamiętają?

Czy wciąż jest tam stary pan Smythe?

- Restauruje obrazy, tak jak przedtem.

I nie powinnaś mówić, że jest stary, ma dopiero siedemdziesiąt pięć lat, więc w firmie Despards może być uważany za względnie młodego.

George Hackett wciąż grzebie się w swoich ukochanych starych zegarach, a Henry Brooke nadal zajmuje się szkłem i kryształami.

A ja wciąż spotykam się z nimi i podtrzymuję dawne więzi.

Kate spojrzała na niego i pokiwała głową.

Oczywiście, to cały Rollo.

Z zasady nie zrywał raz nawiązanego kontaktu.

A przecież przez jakiś czas pracował w firmie Despards.

Znał więc tych wszystkich ludzi, których знаła także i ona.

To, że później zerwała wszelkie stosunki z firmą i ludźmi, wcale nie oznaczało, że on miałby zrobić to samo.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- A więc podtrzymywałaś te wszystkie kontakty?

I rozmawiałaś z tymi ludźmi, ale mnie nic o tym nie mówiłaś?

- Tego tylko brakowało, żebym ci o tym mówił, zwłaszcza przy twoim dotychczasowym stosunku do tego wszystkiego.

Przecież jeszcze parę dni temu ty sama, niczym sąd wojenny, skazałaś mnie na rozstrzelanie za utrzymywanie kontaktów z wrogiem!

No więc nie mówiłem ci, ale dzięki temu masz tam teraz grupkę swoich ludzi.

I to rzeczywistych sojuszników, którzy naprawdę mało czego tak pragną jak tego, żeby ktoś tę twoją siostrzyczkę jak najszybciej wykopał z firmy Despards.

A to dlatego, że wszyscy oni doskonale wiedzą, iż w przeciwnym wypadku to ona ich stamtąd wykopie, równie szybko.

Bo ona jest nastawiona przede wszystkim na modernizację, racjonalizację, komputeryzację i różne takie.

To dla nich nowa miotła, która z całą pewnością zacznie wymiatanie właśnie od nich.

- To byłoby niesprawiedliwe i wyjątkowo głupie!

- No cóż.

Ona akurat nie jest lojalna w stosunku do starych przyjaciół, a prawdę mówiąc, nie byłaby w stosunku do nikogo.

Jest lojalna wyłącznie w stosunku do siebie samej, więc ci wszyscy ludzie...

- Jacy oni są?

- przerwała Kate.

- Ciągłe cię wspominają i są ciekawi, co się z tobą dzieje.

Dlatego pozostają z nimi w kontakcie.

- Rollo zamilkł na chwilę, po czym dodał: - No a także dlatego, że dzięki nim znam wszystkie plotki.

- A jakie są te plotki?

- Najlepiej będzie, jeżeli sami ci powiedzą.

Wprost marzą, żeby z tobą porozmawiać.

Moglibyśmy na przykład w środę, z samego rana...

- Rollo zawiesił głos.

- Bo w samo południe spotykamy się z Blaiseem Chandlerem.

Zaskoczona Kate potrząsnęła głową i spojrzała nań pytająco.

- Tak, to już uzgodnione - powiedział Rollo.

- On już wie, że zmieniłaś stanowisko.

- Widziałeś się z nim?

- Rozmawiałem przez telefon.

Prosił, żeby go informować o rozwoju sytuacji.

Kate zmarszczyła brwi.

- Naprawdę uważasz, że można mu ufać?

Przecież jest mężem Dominique, a więc, jak sam powiedziałaś, mojego głównego wroga.

- Ale jest też i mężczyzną, i to takim z własnymi zasadami.

Niestety, mógłbym dodać.

- Czyżbyś miał na niego oko?

- spytała niewinnie Kate.

- Ba, gdybyż była taka szansa.

Ale, jak powiedziałem, on ma zasady.

A skoro ożenił się z tą Piękną Rosiczką, to trudno mieć wątpliwości, że woli kobiety.

- Obawiam się, że będzie do mnie uprzedzony - powiedziała Kate z mroczną miną.

- On nie ma was rozsądzać.

Ma tylko pilnować, żeby wszystko się odbyło zgodnie z wolą Charlesa.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego akurat on?

- Może dlatego - powiedział Rollo, popatrując na nią z ukosa - że Charles po prostu znał swoją pasierbicę i wiedział, czego się po niej spodziewać.

- Masz na myśli to, że będzie oszukiwać?

- spytała Kate z nie skrywanym niesmakiem.

Wręcz brzydziła się takim zachowaniem.

- Ile się tylko da, możesz być pewna.

- Ale w takim przypadku jakże on będzie mógł występować przeciw własnej żonie?
Tak czy inaczej będzie musiał jej sprzyjać.

- Nie zgadzam się z tobą.

Twój ojciec nie mianowałby go wykonawcą testamentu, gdyby nie był przekonany, że nie zawiedzie zaufania i potrafi zachować bezstronność.

Poza tym, o ile wiem, ich finanse i interesy są rozdzielone, i to chyba właśnie on o to zadbał.

Tak czy inaczej...

- Tak czy inaczej, rezerwuję sobie prawo własnej oceny jego postępowania -oświadczyła Kate.

Wciąż jeszcze miała w pamięci ich pierwsze spotkanie, a właściwie ich pierwsze starcie. I te jego słowa: ostre, zjadliwe, bardzo dalekie od uprzejmości.

Resztę dnia spędzili głównie na omawianiu taktyki dalszego postępowania.

Rollo zapoznał ją też pokrótce z tym, co wiedział o aktualnej sytuacji w firmie Despards. Większość jego informacji pochodziła oczywiście od "starej gwardii", która tam się ostała.

- Tak się szczęśliwie składa, że nawet w ścisłym kierownictwie firmy wciąż jeszcze są ludzie, którzy cię pamiętają.

Nie wszystkich zmieniono, choć Rosiczka oczywiście postarała się umieścić paru swoich ludzi w co ważniejszych punktach tej struktury.

Tak więc z całą pewnością należy się liczyć z istnieniem frakcji, która będzie jawnie popierać Dominique.

A na ile ją znam, można też być pewnym, że będzie tam i jakiś jej tajny agent, na razie dobrze ukryty i nie zdradzający się ze swymi powiązaniem.

Mniej więcej tak jak Kim Philby, w innej skali oczywiście.

- Wyjątkowo dużo wiesz o niej.

- Kate zupełnie niespodziewanie poczuła drobne ukłucie zazdrości.

Dotychczas Rollo był jak gdyby jej wyłączną własnością, jeżeli w ogóle można było o nim mówić, że należał do kogokolwiek.

Teraz, ku swemu zaskoczeniu, dowiadywała się od niego tak wielu szczegółów o życiu tamtej kobiety, iż mimo woli musiał nasuwać się wniosek, że Rollo jednak się nią interesował, i może nawet się z nią spotkał.

A na domiar wszystkiego była to piękna kobieta.

- Widywaliśmy się tu i ówdzie, przy różnych okazjach - powiedział Rollo, wzruszając ramionami; zapomniał jedynie dodać, że okazji nie było tak wiele, a on sam musiał się niemało natrudzić, żeby coś takiego zaaranżować.

A robił to przede wszystkim po to, żeby i tu mieć wiadomości niejako z pierwszej ręki i wyciągać odpowiednie wnioski o sytuacji w firmie Despards.

W ciągu ostatnich lat jego informatorzy niezmiennie donosili mu, że pozycja Dominique w firmie jest bardzo silna, co najmniej na miarę jej urody i zdolności panowania nad mężczyznami.

Ale Rollo zawsze pamiętał i o tym, że listy do Kate wciąż jednak przychodziły.

A zatem Charles nie poddał się władzy Dominique du Vivier aż tak całkowicie i bez reszty.

To znaczyło, że w tej misternie tkanej przez nią sieci były jednak dziury i słabe miejsca. I to można było wykorzystać przy jakiejś okazji.

A Rollo już po pierwszym spotkaniu z Dominique powiedział sobie, że z najwyższą przyjemnością przyłoży się do pokrzyżowania planów tej wrednej kobiety.

- W sumie spotkaliśmy się parę razy.
- Starał się mówić obojętnie, ale coś w jego głosie kazało Kate spojrzeć uważniej.
- O, nie polubiliście się?
- wykrzyknęła z prawdziwą przyjemnością.
- Jak bardzo?
- No cóż, można by to chyba nazwać obustronną nienawiścią od pierwszego wejrzenia. Może dlatego, że jej specjalnością jest ujarzmianie i podporządkowywanie sobie mężczyzn, a z homoseksualistami to akurat nie wychodzi.
- Spojrzał na Kate i niemal niedostrzegalnie zmrużył oko.
- A poza tym, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, od razu się okazało, że interesujemy się tym samym, to znaczy, tym samym mężczyzną.

Tego wieczoru, po raz pierwszy od wielu miesięcy, Kate wyciągnęła - ukrywany zazwyczaj w głębi szuflady - kartonowy album, w którym przez lata, w największej tajemnicy, gromadziła i przyklejała najróżniejsze wycinki z dzienników, kolorowych tygodników i miesięczników, a także specjalistycznych wydawnictw, zajmujących się problematyką handlu dziełami sztuki.

Tym razem szczególnie uważnie przeglądała wklejone tam zdjęcia, przypatrując się twarzom kobiet.

Na przykład Catherine Despard.

Na niektórych zdjęciach Kate po raz pierwszy dostrzegła to, czego przedtem w ogóle nie dostrzegła - z jaką czcią i uwielbieniem Catherine patrzyła na swojego męża.

To było wręcz niezwykle.

A w dodatku była taka śliczna, może odrobinę lalkowata, ale i tak musiała być krańcowym przeciwieństwem Susan - kościstej, mało efektownej, obezwładniająco zwyczajnej i zupełnie pozbawionej wyobraźni.

Catherine Despard najwyraźniej chciała i umiała wszystko w swym życiu podporządkować osobie męża - potrafiła być uległa, pociągająca, łagodna i wyrafinowana jednocześnie.

Tymczasem Susan Despard - Kate dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę - w rzeczywistości tylko mieszkała razem z mężem, ale żyła swoim własnym życiem, osobno.

Nawet jeśli zawsze żywo interesowała się sprawami firmy.

Catherine Despard była zawsze wykwintnie ubrana, miała kosztowną i doskonale dobraną biżuterię.

Wyglądała tak, jak powinna wyglądać żona bogatego człowieka, człowieka sukcesu.

Natomiast Susan bardzo rzadko pojawiała się na przyjęciach w firmie Despards.

Najczęściej bywało tak, że ojciec musiał zapraszać swych klientów albo współników w interesach do jakiejś restauracji, ponieważ jego żona była rozpaczliwie nieśmiała, w towarzystwie natychmiast robiła się sztywna i skrępowana, zwłaszcza w obecności ludzi, których nie знаła.

Kate dopiero teraz domyśliła się - ze ściśniętym nagle sercem - że to zapewne dlatego jej ojciec tak bardzo dbał, żeby jego córeczka możliwie jak najwcześniej nauczyła się swobodnego nawiązywania stosunków z ludźmi.

Wysyłając ją do szkoły, myślał nie tylko o wiedzy, którą miała tam zdobyć, ale również i o tym, żeby znalazła tam przyjaciół i nauczyła się zachowań społecznych i towarzyskich.

Kate jednak nie poszło z tym tak dobrze, jak na przykład Dominique.

Przerzucając strony albumu po raz kolejny mogła się przyjrzeć rozkwitłej piękności Dominique, utrwalonej na tych wszystkich kolorowych zdjęciach, i kolejny raz poczuła, że serce jej zamiera i traci resztki odwagi.

Jak mogłaby rywalizować z kimś takim?

Zawsze miała kompleksy związane z wyglądem.

Była przekonana, że jest nieładna, nawet kiedy była jeszcze dzieckiem.

A już wręcz znienawidziła ten swój wygląd w momencie, gdy przypadkowo usłyszała swą babkę, starą Szkotkę, równie prostolinijną i bezwzględną w sądach jak Susan, gdy rozmawiając ze swą córką o wnuczce, wypaliła bez ogródek: "Ładna to ona nie jest i nigdy nie będzie, więc miejmy nadzieję, że Pan Bóg da jej przynajmniej rozum.

Będzie jej bardzo potrzebny".

To wspomnienie wciąż jeszcze raniło Kate do żywego.

Nawet teraz, kiedy to sobie przypominała, musiała wstać z łóżka i podejść do lustra, żeby jeszcze raz się sobie przyjrzeć.

Z taką głową mogłabym grać Śmierć, pomyślała sarkastycznie.

Rozpaczliwie wystające kości policzkowe i te usta jakby przecięte nożem.

Nie warto już nawet wspominać, że przez całe swoje życie była zawsze "rudzielcem" albo "marchewką".

Zawsze też wydawała się sobie za chuda.

Marzyła o tym, żeby przytyć, żeby nabrać choć trochę ciała, którego było żałośnie mało.

Do tego dochodziły blade policzki i te okropne piegi.

Ta jej babka ze Szkocji miała rację.

Wróciła do łóżka niepokieszona.

W porównaniu z nią Dominique wyglądała jak prawdziwe чудо.

Można się było nawet zastanawiać, czy na noc nie wkładającej do wykładanego atlasem specjalnego pudełeczka, tak jak się pakuje cenne klejnoty.

Ale w Dominique było coś jeszcze, co natychmiast docierało do każdego, kto na nią patrzył, nawet gdyby tego nie chciał: jej zmysłowość, jej nieodparty seksapil.

Kate poczuła przykry skurcz gdzieś tam w środku klatki piersiowej.

Rzuciła nieszczęsny album na podłogę, a sama wsunęła się głęboko pod kołdrę, naciągając ją na głowę.

Tak robiła jeszcze w dzieciństwie, kiedy czuła się bardzo nieszczęśliwa.

Zrobiła kilka głębokich oddechów, tak jak uczył ją Rollo.

Należy uspokoić myśli, wyciszyć się wewnątrz.
Skoncentrować się na czymś uspokajającym.
Wysunęła się spod kołdry, przeszła na środek dywanu i usiadła w pozycji lotosu.
Ułożyła swe długie ręce i nogi w klasycznej pozycji i znieruchomiła.
Zamknęła oczy i jeszcze bardziej rozluźniła mięśnie.
Oddychała wolno i regularnie, licząc upływające sekundy.
Wyraźnie czuła, jak wewnętrzne napięcie powoli ustępuje; serce biło wolniej, mięśnie odprężyły się całkowicie.
Kiedy po chwili -już uspokojona - rozsuptała się i powróciła do normalnej pozycji, a następnie położyła się do łóżka, zasnęła niemal natychmiast.

Rozdział 4 .

Gdy Catherine de Villefort poślubiła Charlesa Edouarda Guya du Vivier, w tej samej chwili - co jest możliwe chyba tylko w prawie wymyślonym przez Francuzów - cały jej posąg stał się jego własnością.
Jego i tylko jego, ponieważ fakt, że niegdyś było inaczej, został, na mocy tego prawa, nieodwołalnie wymazany.
I tak właśnie miało być, po to był ślub.
Rodzina de Villefortów wносиła do tego związku określone pieniądze, ale rodzina du Vivier dawała znacznie więcej - własne drzewo genealogiczne, jedno z najszacowniejszych nie tylko we Francji.
Ród du Vivier należał do noblesse immemoriale, wywodząc się - po kądzieli - od rycerzy, którzy w roku 978 osadzili na tronie francuskim Hugona Capeta.
Natomiast ród de Villefortów notowany był znacznie niżej, należał zaledwie do noblesse de robe.
Ponieważ jednak nawet najznacniejsze francuskie rody zwykły pieniądze i władzę cenić wyżej niż cokolwiek innego, nie przeszkodziło to w zawarciu wspomnianego związku.
Catherine de Villefort wniosła do małżeństwa niemałą fortunę i ślub odbył się z należytą pompą i rozgłosem.
Catherine poślubiła swego męża jako dziewica, niewinna wręcz nie do uwierzenia, a w dodatku beznadziejnie zakochana w innym mężczyźnie.
Tymczasem jej mąż był nie tylko pozbawionym wszelkich złudzeń nałogowym rozpustnikiem, ale i jawnym degeneratem.
Ani jej dziewictwo, ani niezwykła uroda, przypominająca najpiękniejsze wiosenne kwiaty, nie wystarczyły na długo.
Guy du Vivier znudził się swą żoną już trzeciego dnia ich miesiąca miodowego i - poprzestając na uczynieniu jej ciężarną już pierwszej nocy - wrócił do swych prostytutek i stałych łóżkowych partnerów płci obojga, pozwalających mu na zaspokajanie jego dość szczególnych potrzeb seksualnych.
Młoda żona została wysłana do Normandii, gdzie w należącym do rodziny du Vivier starym zamku miała oczekiwać narodzin swego dziecka.

Catherine posłusznie wyjechała, nie mówiąc ani słowa, nieszczęśliwa i zrozpaczona. Wiedziała, że to jej małżeństwo - jak zresztą większość małżeństw francuskiej arystokracji - było rodzajem transakcji handlowej.

Inspiratorem tego związku była jej matka, która do rodziny de Villefortów weszła przed laty jako zwyczajna bogata mieszcza Hortense Schmeisser, córka żydowskiej rodziny milionerów z Alzacji.

Ojciec Hortensji był właścicielem licznych hut i stalowni, później zbombardowanych doszczętnie przez samoloty Rafu podczas drugiej wojny światowej.

Sprawa ewentualnych odszkodowań za zniszczenia wlokła się przez lata, wciąż bez jakichkolwiek rezultatów.

Niemcy podczas wojny ograbili zamek de Villefortów ze wszystkich dzieł sztuki, jakie tylko zdołali w nim znaleźć.

Ocalała tylko wręcz bezcenna kolekcja sewrskiej porcelany, którą zdążono zawczasu spakować w worki i ukryć w starej, chyba jeszcze średniowiecznej skrytce, mieszczącej się pod głęboką zamkową fosą.

To właśnie w celu obejrzenia tej kolekcji Charles Despard przyjechał w swoim czasie do zamku i - po uzgodnieniu warunków - zabrał porcelanę do Paryża, gdzie w rezultacie sprzedał ją za cenę znacznie wyższą niż ta, o której markiza Hortensja de Villefort ważyła się choćby marzyć.

Dzięki temu jej córka zyskała posag i była już bezpieczna - mogła bowiem wejść do noblesse immemoriale, a więc do sfery, gdzie nie mogły jej już dosięgnąć afronty i lekceważenie, co po zawarciu małżeństwa stało się smutnym udziałem Hortensji Schmeisser.

Nikt nie odważy się zachowywać w ten sposób wobec kogoś, kto nosi nazwisko du Vivier.

To przekonanie matka przez lata wpajała swej zawsze milczącej córce Catherine, posłusznej i nauczonej już od najwcześniejszego dzieciństwa, że należy robić to, co każą rodzice.

Catherine słuchała swoich rodziców, ale ich nie kochała.

Nie kochała nikogo, aż do chwili, kiedy spotkała Charlesa Desparda.

Miłość okazała się dla niej wstrząsem tak silnym, że w rezultacie zachwiało to jej równowagę wewnętrzną, i bez tego niezupełnie stabilną.

Ten stan początkowo był niezbyt widoczny, jednak w miarę upływu lat stale się pogłębiał.

Kiedy mąż zaczął poniewierać nią, a potem także bić bez najmniejszej przyczyny, Catherine uznała, że nie ma sensu skarżyć się rodzicom, którzy i tak nie mogliby jej pomóc.

Postanowiła przeczekać, schodząc mężowi z oczu, i większość czasu spędzała po prostu nie wstając z łóżka, aż do urodzenia się córki.

Dominique okazała się bardzo podobna do ojca, który niespodziewanie cieszył się nią aż do przesady, choć przedtem zawsze chciał mieć syna.

Kiedy lekarze opiekujący się jego żoną powiedzieli mu, że Catherine nie będzie już mogła mieć dzieci, początkowo był wściekły.

Ponieważ jednak niemal w tym samym czasie jego własny lekarz poinformował go, że kiła, na którą Guy du Vivier chorował od lat, weszła już w początkowe stadium paraliżu postępowego, ostatecznie zdecydował się machnąć ręką na sprawę męskiego potomka. Ale też tym bardziej rozpieszczał swoją córeczkę i w rezultacie dziewczynka stała się rozpuszczona do granic możliwości.

Ojciec nazywał ją swoją małą królową - ma petite reine - więc dorastała w przekonaniu, że jest rzeczywiście kimś zupełnie wyjątkowym.

Nie mówiąc już o tym, że była dziewczynką niezwykle piękną, co przyznawali wszyscy. Z kolei ona uwielbiała ojca, Podziwiała w nim jego męską urodę; dopóki skutki choroby nie zaczęły się ujawniać coraz silniej, dziewczynka uważała go wręcz za najprzystojniejszego mężczyznę na świecie.

Podziwiała go też za jego wyniosłą, arogancką postawę, zawsze władczą wobec wszystkich innych i zawsze wyzywająco samolubną.

Jej ojciec po prostu brał sobie to, na co miał ochotę; nie myślał marnować czasu na zastanawianie się nad tymi, których obowiązkiem było dawać mu to, czego chciał.

Tę postawę bardzo silnie potrafił wpoić także swej córce.

Swą matkę Dominique niemal od początku ignorowała, nie czując do niej nic poza lekceważącą wzdardą.

Matka była zawsze słaba, nieśmiała, beznadziejnie rozkojarzona.

Większość czasu spędzała w swym pokoju na piętrze zamkowej wieży, głównie zajmując się haftowaniem i marzeniami o utraconym księciu z bajki.

Guy du Vivier opowiedział o tym wszystkim córce, gdy tylko podrosła na tyle, żeby coś zrozumieć; przedstawił to jako doskonały żart, z którego można się tylko śmiać.

Jej matka była żałośnie słaba i bezwolna - nawet kiedy na jej oczach ojciec Dominique prowokacyjnie oddawał się igraszkom z innymi kobietami, młodymi chłopcami, albo z jednymi i drugimi naraz - Catherine tylko siedziała nieruchomo, z rękami złożonymi na podołku, patrzyła na to wszystko nie widzącymi oczami, niczym jakieś milczące widmo, póki wreszcie jej mąż nie wrzasnął na nią, żeby się wynosiła do wszystkich diabłów.

Później, kiedy choroba i związane z nią szaleństwo zaczęły postępować coraz szybciej, ojciec Dominique wciąż częściej zabierał ją samą, żeby przyjrzała się tym jego orgiom.

Wtedy okazało się, że mała Dominique potrafiła na to patrzeć tak spokojnie, a później nawet komentować to wszystko tak chłodno i beznamiętnie, że nawet jej ojcu zdarzyło się zadrzeć, kiedy jej słuchał.

Chyba po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać, co właściwie zrobił ze swego dziecka, co mogło się kryć za tą doskonale piękną twarzą, o wyrazie niemal dojrzałej kobiety.

Czasami czuł, że jego własna deprawacja może się okazać dziecinną igraszką, czymś wręcz błahym w porównaniu z tym, co dostrzegał w tych niebieskich i chłodnych jak szafiry oczach.

Kiedy na skutek rozwoju choroby Guy du Vivier ostatecznie popadł w stan otępiełego zidiocenia, to właśnie Dominique poleciła go zamknąć w okratowanym pokoju w wieży ustronnego zamku w Normandii, pod opieką starej i głuchej służącej, która rozumiała

niewiele i była bardzo zadowolona, że za pilnowanie chorego pana otrzymuje jedzenie i łóżko do spania.

W tym zamknięciu w zamkowej wieży Guy du Vivier przeżył jeszcze dwa lata, z czego ostatnie trzy miesiące już w pełnym szaleństwie; był wtedy rzeczywiście niebezpieczny, nie tylko dla siebie samego, ale i dla otoczenia.

Gdy w końcu umarł, znów Dominique była tą, która się wszystkim zajęła.

Kazała znieść ciało i wystawić je w trumnie na widok publiczny w głównym hallu zamku.

Po śmierci w zmarłym nie można było zauważyć żadnych śladów konkretnej choroby.

Dostrzegało się jedynie, że ciało było krańcowo wychudzone, co Dominique wykorzystała, by powiedzieć wszystkim, że jej ojciec umarł na raka.

Guy du Vivier został pochowany z wszelkimi ceremoniami, a do rodzinnego grobu odprowadziły go żona i córka, obie na czarno, z twarzami zakrytymi welonem.

Tkanina tych żałobnych zasłon była gruba i nieprzejrzysta, z czego była zadowolona zarówno Catherine, która nie potrafiłaby inaczej ukryć ulgi i jawnego zadowolenia, jak i Dominique, która z kolei była wręcz wściekła.

Okazało się, że jej ojciec umarł nie tylko bez grosza, ale w dodatku pozostawił olbrzymie długi.

Dominique miała wielkie plany, ale ich realizacja wymagała pieniędzy.

Po zakończeniu ceremonii i powrocie do zamku, bez większej nadziei błąkała się po pokojach, próbując znaleźć coś, o czym ojciec mógł, być może, zapomnieć w tych ostatnich dniach przed uwięzieniem w wieży - kiedy to sprzedawał już wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość.

I wtedy nagle przypomniała sobie Charlesa Desparda.

Gdyby na przykład okazało się, że jest teraz bogaty?

Dominique postanowiła to jak najszybciej sprawdzić i była bardzo przyjemnie zaskoczona tym, czego się dowiedziała.

Firma Despards, jak się okazało, prosperowała wręcz znakomicie, a sam Charles Despard też jakoby bardzo się zmienił od czasu, kiedy sprzedawał porcelanę de Villefortów.

Teraz prowadził życie już w zupełnie innym stylu, a przede wszystkim był bogaty, bardzo bogaty.

Co prawda miał żonę i dziecko, ale z tym można było sobie poradzić.

Najważniejsze było sprawdzenie, czy czar jej matki wciąż mógłby na niego działać.

Napisała do niego.

Charles Despard nic o niej nie wiedział, w ogóle nie orientował się, kim jest, nawet wtedy gdy po otrzymaniu odpowiedzi Dominique odwiedziła go w jego firmie.

Pamiętał oczywiście, że jego Catherine wyszła za kogoś, kto nazywał się du Vivier, tak jak ta dziewczyna.

Ale klan du Vivier był w końcu dość liczny, a ta młoda osoba miała zbyt ciemne włosy, żeby mogła być córką jego ukochanej.

Nie, to wydawało się nieprawdopodobne.

Był dosyć zaskoczony, kiedy dziewczyna poprosiła, żeby ją przyjął do pracy.

Bądź co bądź należała do jednego z najświetniejszych rodów Francji.

- Cóż z tego, skoro nazwisko to mój jedyny majątek - powiedziała Dominique z gorzkim uśmiechem.

- Ależ pani uroda jest majątkiem co najmniej równie wielkim - odpowiedział szarmancko.

- Dziękuję.

Moja mama zawsze mówiła, że pan jest gallant - i widząc w jego oczach nieme pytanie, dodała: - Znał ją pan jeszcze jako Catherine de Villefort.

Nie można było nie dostrzec, jak w jednej chwili zmieniła się twarz Charlesa Desparda.

Patrzył na nią w milczeniu, jak gdyby nagle zabrakło mu słów.

- Jak się teraz miewa pani du Vivier?

- zapytał.

- Jest jeszcze w żałobie po niedawnej śmierci mojego ojca.

Nie powiedziałam jej, że zwróciłam się do pana o pracę.

Mój zmarły ojciec zostawił nam tylko długi.

Dlatego chcę...

muszę pracować.

I pomyślałam sobie, że ktoś taki jak ja mógłby się panu przydać.

Chociażby z racji nazwiska mam entree...

Łatwe wejście do tych wszystkich ludzi z naszych sfer, którzy mogą pana interesować.

Zastanawiam się więc, czy nie opłacałoby się panu zaangażować mnie w roli swego rodzaju towarzyskiego wywiadu.

Zdaje się, że w domach aukcyjnych zatrudnia się takich ludzi...

agentów, tak ich chyba nazywacie.

Mogłabym wskazywać panu, kto w moim środowisku ma coś do sprzedania, a moim wynagrodzeniem byłby jakiś procent od ceny sprzedaży.

Spokojna pewność siebie tak młodej dziewczyny - nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat - robiła wrażenie.

Charles popatrzył na nią, naprawdę zaskoczony.

Musiła to dobrze przemyśleć; on sam nie mógł nie przyznać, że oferta jest nie tylko rozsądna, ale i bardzo interesująca.

- Oczywiście nie zdradziłabym nikomu, że w jakikolwiek sposób jestem związana z firmą Despard et Cie.

Mogłabym wtedy swobodnie poruszać się w środowisku.

Charles kiwnął głową, myśląc intensywnie.

- Skończyła już pani naukę?

- Praktycznie tak.

Przez ostatnie lata byłam w szkole angielskiej, stamtąd przyjechałam na pogrzeb mojego ojca.

Ale w Anglii to były już ostatnie tygodnie mojej nauki.

Charles spojrzął na nią i jeszcze raz kiwnął głową.

- Pani mnie interesuje, mademoiselle.

Spróbujmy więc dokładniej przedyskutować pani propozycję.

I w ten sposób Dominique stała się "agentem" firmy Despards.

Od samego początku jej usługi okazały się wręcz bezcenne.

Po powrocie z Anglii zaczęła prowadzić bogate życie towarzyskie, pojawiała się na wszelkiego rodzaju przyjęciach, koktajlach, balach, wernisażach i premierach, oficjalnie występując w roli wchodzącej w świat debiutantki, a po cichu zarabiając znaczne sumy będące procentem od zysków z poszczególnych transakcji.

Pieniądze - coraz większe - umieszczała na cyfrowym koncie w szwajcarskim banku. Oczywiście dopilnowała też, żeby jej zmarły ojciec został oficjalnie ogłoszony bankrutem.

Nie miała najmniejszego zamiaru wydawać ciężko zarobionych pieniędzy na jego niewyobrażalne długi.

Zrobiła natomiast co innego.

Któregoś dnia zebrała całą biżuterię matki i przywiozła ją do Charlesa Desparda.

Z wyraźnie ciężkim sercem zapytała go, czy coś można za nią dostać - chodziło oczywiście o to, by sprawić wrażenie, że właśnie poświęca coś bardzo dla niej cennego.

Klejnoty rodzinne prawnie należały do jej ojca; jednakże Catherine dostała od swej babki parę wspaniałych szafirowych kolczyków w prezencie ślubnym, a od swego ojca z tej samej okazji otrzymała przepiękne perły.

Charles Despard kupił jedno i drugie za bardzo przyzwoitą cenę - szafiry były pierwszej wody, a perły bez najmniejszej skazy.

Po zakupie natychmiast ofiarował je Dominique, która zresztą na to liczyła.

I tego też dnia, tak jak to sobie zaplanowała, zaprosiła go na herbatę we troje, z zamiarem odnowienia jego dawnej znajomości z jej matką.

Ściągnięcie matki do Paryża nie przyszło jej wcale łatwo.

Catherine od chwili, kiedy już nie musiała się bać męża, polubiła życie na wsi.

Mogła teraz dużo czasu spędzać w ogrodzie, robić to, co zawsze sprawiało jej przyjemność.

Nie chciała nigdzie wyjeżdżać, ale Dominique, rzecz jasna, nie ustąpiła.

Oświadczyła, że ma dla niej niezwykłą niespodziankę, i to taką, która wymaga, żeby jej matka wyglądała najpiękniej jak można.

Nie przyjmując do wiadomości dalszych protestów, zabrała ją do Paryża i ostatecznie doprowadziła do tego, że po wizytach w kolejnych salonach piękności Catherine znakomicie uczesana i umalowana, ubrana we wspaniały kostium od Balmaina, siedziała w małym salonie paryskiego domu rodziny du Vivier, w oczekiwaniu na umówione przez Dominique spotkanie, które miało być zapowiadaną niespodzianką.

Kiedy Charles pojawił się na progu, pierwszą rzeczą, którą dostrzegł, były znajome, olśniewająco złote włosy.

A kiedy Catherine się odwróciła, rozpoznał także twarz, która - ku jego zdumieniu - wydała mu się absolutnie nie zmieniona.

Catherine nie poznała go w pierwszej chwili, uśmiechnęła się grzecznie jak do kogoś nieznajomego, ale potem nagle zdała sobie sprawę, kogo widzi.

Podniosła ręce do twarzy, jakby chcąc się zasłonić, i ledwo słyszalnym głosem spytała: - Charles?

- Catherine!

Ma belle!

Catherine!

Dominique dała im dziesięć minut sam na sam.

Gdyby to miało nie wystarczyć, byłby to zły znak.

Ale była pewna, że wystarczy, dość było popatrzeć na tych dwoje.

I rzeczywiście, kiedy po dziesięciu minutach wróciła do salonu, od razu wiedziała, że wszystko przebiegło właśnie tak, jak powinno.

Catherine i Charles wzięli cichy ślub w małej osadzie w Prowansji, tej samej, z której stary Gaspard dwieście lat temu wyruszył do Paryża.

Dominique była w pełni usatysfakcjonowana.

O poprzedniej rodzinie Charlesa na dobrą sprawę w ogóle nie myślała a jeżeli już, to ze spokojną obojętnością.

W końcu gdyby ta poprzednia rodzina naprawdę go chciała zatrzymać, to próbowałaby jakoś walczyć.

Dominique nawet spodziewała się czegoś takiego i przygotowała odpowiedni plan walki.

Wkrótce jednak okazało się, że od momentu, gdy Charles opuścił tamtą rodzinę, przestała ona kontaktować się z nim w jakikolwiek sposób.

To Dominique bardzo odpowiadało, więc ze swej strony również starała się nie wywoływać wilka z lasu.

Sama natomiast była zadowolona, że Charles Despard został jej ojczymem.

Prawie natychmiast poprosiła, żeby pozwolił jej mówić do siebie "papa".

Potrafiła niemal od samego początku stać się dla niego kimś potrzebnym i wręcz niezastąpionym.

To właśnie jej Charles zaczął się zwierzać ze wszystkiego; jej opowiadał - i to nie raz - historię poznania i utraty swej pięknej Catherine i to jej wyznał, jak dalece jego obecna żona stała się dla niego ideałem kobiety, tym wspanialszym, że żywym.

Tak naprawdę dopiero teraz, jako mężczyzna już w średnim wieku, mógł prowadzić normalne życie i zaspokajać wszystkie swe potrzeby seksualne z osobą, którą zawsze kochał.

A w dodatku okazało się, że i Catherine kochała go bardziej, niż kiedykolwiek śmiałyby marzyć.

Uwielbiała go bezgranicznie, wręcz ubóstwiała.

Stało się bowiem tak, że również i ona - dopiero jako już dojrzała kobieta - odkryła radość życia seksualnego i odkryła siebie samą w tym życiu.

Przez wiele lat te potrzeby pozostawały nie zaspokajane i dopiero teraz wybuchły nagłym, potężnym płomieniem, równie potężnym jak ten, który ujawnił się u jej nowego męża.

Catherine stała się żywym wcieleniem kobiety, o której Charles dotąd tylko marzył - była niepohamowanie erotyczna, rozkosznie oddana i służyła mu z szaleńczą wręcz namiętnością.

Charles oczywiście nie mógł sobie zdawać sprawy, że w jakiś sposób przyczyniły się do tego także i jej dawne przeżycia - Catherine wcielała teraz w życie wiele z tego, co chcąc nie chcąc musiała oglądać podczas seksualnych zabaw swojego pierwszego męża.

Charles był szczęśliwszy niż kiedykolwiek i dopiero w kilka miesięcy później Dominique spostrzegła, że w jego życiu musiały się pojawić jakieś cienie, że jej ojczyma coś dręczy. W parę dni później sam jej powiedział, co się stało: list, który wysłał do córki z pierwszego małżeństwa, został odesłany, bez rozpieczętowania.

Dominique bezbłędnie odegrała scenkę życzliwego współczucia, była naprawdę przekonująco smutna i zaraz potem z jeszcze większym smutkiem opowiedziała mu o tym, jak strasznie nieszczęśliwa zawsze była Catherine i jakie potworności musiała przeżyć w pierwszym małżeństwie.

Opowiedziała mu, jak bardzo blisko ostatecznego załamania nerwowego była wtedy ta nieszczęsna kobieta.

Dominique niedwuznacznie sugerowała, że gdyby Charles pomyślał o pozostawieniu jej dla kogoś innego, to z całą pewnością musiałoby to Catherine zabić.

Bardzo dyskretnie i bez narzucania się wróciła do sprawy jego córki.

To przecież jeszcze dziecko, tłumaczyła zgnębionemu Charlesowi.

Z całą pewnością zrozumie więcej, kiedy będzie starsza, i wtedy przyjdzie pora, żeby próbować z nią rozmawiać i szukać porozumienia.

Dominique postarała się przede wszystkim o to, żeby w umyśle Charlesa utrwaliło się przekonanie, że jego wymarzone szczęście jest bardzo kruche; że ze swą ukochaną Catherine musi postępować niezmiernie ostrożnie, właśnie dlatego, że jest dla niej jedynym sensem życia.

A zatem Charles przy swej żonie nigdy nie powinien wspominać czegokolwiek, co było związane z poprzednim małżeństwem.

Oczywiście, nie mogło być nawet mowy o jakimkolwiek zamiarze sprowadzania czy choćby goszczenia dziecka, ponieważ neurotycznie uwrażliwiona Catherine natychmiast odebrałaby to jako dowód, że nie jest najważniejsza w życiu Charlesa, a na tym przekonaniu opierała się jej cała równowaga duchowa, wciąż tak niezmiernie krucha.

Catherine rzeczywiście miała skłonności do reagowania smutkiem i niemal histeryczną rozpaczą, kiedy tylko wydawało się jej, że Charles przestaje o nich myśleć.

Była w jakiś sposób zazdrosna nawet o firmę Desparda, która go jej odbierała.

Trudno się temu dziwić, kiedy się pomyśli, jakie życie miała ze swym pierwszym mężem. Charles był wdzięczny Dominique za okazywaną mu sympatię i zrozumienie, i za to, że tak wiele rzeczy mu wytłumaczyła.

Dzięki temu wiedział, jak ma postępować z Catherine, co zrobić, żeby była szczęśliwa.

Bo Catherine rzeczywiście była nieprawdopodobnie krucha i nieodporną, chyba nawet znacznie bardziej niż jego mała córeczka Cat.

Bo ta -jak to Dominique trafnie i życzliwie zauważyła - kiedyś przecież podrośnie i wtedy wszystko zrozumie.

Czternaście lat to bardzo niewdzięczny wiek.

Ale kiedy będzie już miała szesnaście...

albo osiemnaście - kto wie?

Postanowił jednak, że nadal będzie wysyłał do niej listy.

Próbować nie zawadzi.

Tymczasem Dominique odpowiednio nastawiała również swą matkę, tłumacząc jej, jak to Charles przez całe lata szamotał się daremnie i bezproduktywnie w bezsensownym małżeństwie bez miłości, w które zapewne musiał wejść tylko dlatego, że czuł się ogromnie samotny.

- Mamo, to musiało być zrządzenie Opatrzności!

- powtarzała.

- To, że Charles pojawił się znów w twoim życiu akurat wtedy, gdy stałaś się wolna.

Tamtego dnia byłam na jakimś przyjęciu, na którym było tak potwornie nudno, nigdy bym nie przypuściła, że tam go właśnie spotkam.

I niemal natychmiast wiedziałam, że wciąż musi cię kochać, że nadal jesteś kobietą jego życia.

Gdybyś widziała jego twarz, kiedy mu powiedziałam, że jestem twoją córką!

W ten sposób dzień po dniu Dominique zręcznie wiązała swą niewidoczną sieć.

Zaplątany w nią Charles okazywał się coraz bardziej bezradny.

A tymczasem Dominique równie skutecznie jak wtedy, kiedy doprowadziła do ponownego połączenia Charlesa i Catherine, postarała się też, aby do Londynu co jakiś czas docierały odpowiednio ubarwione wiadomości o nowym, szczęśliwym życiu Charlesa Desparda w nowej rodzinie.

A kiedy w rezultacie listy Charlesa do córki wracały nie rozpieczętowane, zadowolona Dominique odgrywała sceny niezmiennie życzliwego współczucia, przez cały czas umacniając się na pozycji, o którą walczyła - jedynej prawdziwej córki rodziny Despard.

Gdy Catriona skończyła osiemnaście lat, to właśnie Dominique nakłaniała Charlesa, żeby pojechał i odwiedził ją w Londynie.

Tyle że przedtem postarała się, by tę wizytę poprzedziły liczne reportaże, ilustrowane odpowiednio dobranymi zdjęciami, prezentujące niezwykle sukcesy Charlesa Desparda i jego pięknej żony.

Nie obyło się oczywiście bez powtórzenia przy tej okazji całej romantycznej historii ich odnalezionej po latach miłości.

Ilustrowane tygodniki trafiły, gdzie trzeba, i Dominique z prawdziwą przyjemnością mogła widzieć, jak Charles wrócił z Londynu niczym pies z podwiniętym ogonem.

Tak więc lata mijały, przepaść między Charlesem i jego dawną rodziną pogłębiała się, a Dominique, w swoim przekonaniu, stawała się tą córką, którą on ostatecznie pokochał.

Stwierdziła zresztą, z pewnym zaskoczeniem, że sama również przywiązała się do niego.

Charles okazał się kimś zupełnie niezwykłym: był z gruntu dobry.

Nie znosił zadawania bólu komukolwiek; ale też pewnie i dlatego Dominique, mimo wciąż ponawianych wysiłków, nie potrafiła zatrzeć w nim poczucia winy w stosunku do pozostawionej córki, a także poczucia straty nie do naprawienia.

W dodatku w miarę upływu lat to poczucie się pogłębiało.

Dominique po jakimś czasie dowiedziała się, że Charles wynajął w Londynie specjalnych ludzi, którzy informowali go o wszystkim, co dotyczyło jego córki.

Wyszło to na jaw przypadkiem, kiedy Dominique po powrocie z krótkiej podróży do Londynu powiedziała Charlesowi - nie bez ukrytej intencji, oczywiście - że jego córka Catriona Despard otworzyła właśnie firmę pod nazwiskiem Kate Mallory.

- Wiem - odpowiedział wtedy Charles.

Jego oczy były rozpaczliwie smutne, wyglądał na śmiertelnie zranionego.

- Mam tam ludzi, którzy donieśli mi o tym.

- Tak mi przykro - powiedziała współczująco Dominique.

- Ale wygląda na to, że postanowiła chyba ostatecznie wymazać cię ze swego życia.

Była już zupełnie pewna, że Charles się podda.

Ta jego córka musiała go naprawdę nienawidzić, skoro odrzuciła nawet jego nazwisko.

Chyba też przestał do niej pisać, bo poczta nie przynosiła już odsyłanych bez otwierania listów.

Tak więc przez całe lata sytuacja zdawała się układać wyjątkowo pomyślnie.

Toteż Dominique była nie tylko zaskoczona, ale wręcz wstrząśnięta, gdy nagle dowiedziała się, że Charles zapisał londyński oddział domu aukcyjnego Despards właśnie Kate.

Tej tak niewdzięcznej córce, która nawet nie chciała nosić jego nazwiska!

Dlaczego zrobił coś takiego?

Jak mógł?

I w którym momencie ona, Dominique, popełniła błąd?

Czyżby w tajemnicy przed nią Charles jednak kontaktował się z córką?

Dominique zawsze bardzo uważnie przeglądała - oczywiście bez jego wiedzy - szuflady biurek we wszystkich jego gabinetach: w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku.

I nigdy nie znalazła niczego, co mogłoby ją niepokoić lub w jakikolwiek sposób zachwiać jej pewnością, że Charles wszystko zapisze jej.

Dopiero później, już po wszystkim, uświadomiła sobie, że przecież nie znalazła wtedy odsyłanych przez Kate listów.

Nigdzie ich nie było.

O tym, co się z nimi stało, dowiedziała się dopiero wtedy, gdy okazało się, że Charles mianował jej męża wykonawcą testamentu, z obowiązkiem nadzorowania obu spadkobierczyń.

Po namyśle Dominique postanowiła nawet nie pytać swego męża o te listy, w ogóle o nich nie wspominać.

Blaise był zbyt bystry; lepiej więc, żeby wiedział jak najmniej.

Dominique postarała się, żeby jej mąż mógł widzieć, że dość nieoczekiwany obrót spraw bardzo ją rozczarował, a nawet zasmucił; jednocześnie zadbała o to, by nawet przez chwilę nie mógł pomyśleć, że ona, Dominique, może się poddać.

Była zresztą absolutnie pewna, że po dokonaniu bilansu tego - czekającego je obie - roku próby, wynik może być tylko jeden, i że to ona stanie wtedy na czele całej firmy.

- No bo pomyśl realnie - powiedziała w jednej z rozmów z mężem.

- To ja mam za sobą dwanaście lat nauki i pracy w zawodzie jednocześnie.

Papa nauczył mnie wszystkiego, co wiedział nie tylko o porcelanie, ale i o tym, jak się prowadzi taką firmę.

A jeżeli postąpił tak, jak postąpił, zapisując coś także tej Kate, to z pewnością tylko z powodu wyrzutów sumienia.

Zawsze miał sumienie wręcz przeczulone.

Nie mówiąc już o tym, że za długo mieszkał tam, w Anglii.

Możesz się śmiać, ale ja zawsze mówiłam, że Charles się nadmiernie zanglicyzował.

Gdyby nie te lata po tamtej stronie kanału, nie zrobiłby czegoś tak...

niefrancuskiego, jak ten zapis.

Ale niech będzie!

I tak musiał przewidywać wynik.

Więc nie ma się o co martwić!

Cóż w końcu może znaczyć rok opóźnienia?

Bo o tyle opóźni się realizacja moich planów, i tylko o tyle.

Tak, nie powinno się to przeciągnąć ani chwili dłużej, powiedziała sobie Dominique.

Całkowicie naga leżała w sali odnowy biologicznej w swej luksusowej genewskiej willi, wyciągnięta na elastycznej wykładzinie specjalnego stołu do masażu.

Leżała twarzą w dół, z podbródkiem opartym na splecionych dłoniach.

Jej osobisty masażysta - blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu i bary jak u wioślارza - zręcznymi rękami sprawnie ugniatał jej plecy.

Dla Dominique masaż był zawsze przyjemnością, i to wyraźnie erotyczną.

Z satysfakcją poddawała się tym palcom, gdy głaskały jej skórę, a potem kolejno wychwytywały pod nią poszczególne mięśnie, na zmianę naciągając je i rozluźniając; gdy mocno, a jednocześnie nieomal czule uciskały jej ciało.

Od czasu do czasu czuła rozkoszny dreszcz, kiedy masujące palce przesuwaly się wzdłuż jakiegoś mocniej unerwionego obszaru.

Te ręce najwyraźniej również to czuły, bo zatrzymywały się wtedy nagle - na moment - chyba tylko po to, żeby jeszcze wzmocnić tę iskierkę fizycznej przyjemności niemal aż do bólu, i to uczucie wydawało się jej zbyt wspaniałe, by mogło się brać tylko z odpowiedniego podrażnienia zakończeń nerwowych w jedwabistej skórze.

A potem znów czuła, jak spływają po niej kolejne warstwy pachnącego olejku, przyrządzonego na wyciągach z kwiatów i górskich ziół.

Po takim masażu zawsze czuła się lekka i odprężona, doskonale sprawna i jak gdyby urodzona na nowo.

Potem zawsze szła prosto pod prysznic, włączała na początek mocny strumień bardzo ciepłej wody i stopniowo zmniejszała temperaturę, aż do oporu.

Przez trzydzieści sekund wytrzymywała w wodzie zupełnie już lodowatej, po wyjściu z której miało się nieodparte wrażenie, że skóra promieniuje i świeci.

Dla Dominique był to już codzienny rytuał, po którym niezmiennie czuła się wspaniale, była naładowana energią, gotowa stawić czoło wszystkim i wszystkiemu.

Jej świadomość zyskiwała wtedy ostrość brzytwy, wszystkie problemy były do rozwiązania, niezależnie od tego, jakie napięcia, konflikty czy dramaty mógł przynieść kolejny dzień.

Jak na przykład wczorajszy pogrzeb w Vent, w okolicach Marsylii, dokąd wraz z Blaiseem polecili z Londynu.

Ceremonia była dość skromna, zmarłego Charlesa Desparda odprowadzała najbliższa rodzina, a więc jedynie żona, pasierbica i jej mąż.

Towarzyszili im nieliczni już w Vent członkowie rodziny Despard, głównie starzy ludzie, a także grupka najbliższych przyjaciół i współpracowników zmarłego, którzy razem z nim byli w firmie Desparda przez wiele lat.

Ksiądz z miejscowej parafii odprawił modlitwę, zmarłego pochowano na pięknie nasłonecznionym zboczu nieco powyżej kościoła.

Kiedyś w przyszłości miała tam spocząć także i Catherine.

Po drugiej stronie niewielkiej dolinki, na przeciwległym zboczu można było widzieć odnowiony niegdyś przez Charlesa stary prowansalski dom, przez miejscowych zwany mas.

Po pogrzebie tam właśnie udali się wszyscy na niewielki posiłek, który poleciła przygotować Catherine.

Dominique i Blaise wyjechali zaraz po tym, śpiesząc się na samolot, a wdowa została przed domem, w wielkim trzcinowym fotelu i z nieodłączną robótką w dłoniach.

Ze swego miejsca mogła widzieć świeży grób męża po przeciwnej stronie doliny.

Ten pogrzeb wydał się Dominique prawie sympatyczny, znacznie sympatyczniejszy od napuszonej ceremonii, która odbyła się po śmierci jej ojca.

Wtedy w posiadłości du Vivier odprawiono najpierw uroczystą mszę, koncelebrowaną przez kardynała, było mnóstwo księży i jeszcze więcej ministrantów; tłumy ludzi, świece i kadzidła.

W Vent było znacznie skromniej i przez to milej.

Charles nie był praktykującym katolikiem, a jego żona trzymała się od księży na jeszcze większy dystans, zwłaszcza od chwili, gdy na niewiele dni przed jej ślubem opiekujący się rodziną de Villefortów ksiądz bardzo chłodno oświadczył jej, że obowiązkiem córki jest słuchać rodziców, a jej osobisty wybór nie ma najmniejszego znaczenia.

Catherine nigdy nie przestała uważać, że fakt, iż nie urodziła mężowi oczekiwanego przezeń syna, był niejako jej prywatną zemstą.

Dominique z Blaiseem, zaraz po pogrzebie Charlesa i po zwyczajowym krótkim posiłku, pojechali samochodem na lotnisko.

Prowadziła Dominique, precyzyjnie i uważnie, ale też wystarczająco szybko, żeby jej mąż zdążył na wcześniejszy samolot do Londynu.

Miał się tam spotkać z Kate Despard.

Dominique miała inne plany.

Leciała do Genewy, gdzie miała swą prywatną willę i kilka pilnych spraw do załatwienia.

Pogrzeb odbył się ledwie przed kilkunastoma godzinami, ale Dominique miała wrażenie, że było to już bardzo dawno temu.

Odświeżona masażem i zimnym prysznicem, wysmarowała się obficie odżywczym płynem po kąpieli, a następnie - naga tak jak stała - przeszła do garderoby o ścianach z luster, gdzie na licznych stojakach, a także w niemniej licznych głębokich szafach mieściły się jej ubrania i bielizna.

Bielizna ułożona była na specjalnych półkolistych półkach, które po otwarzeniu lustrzanych drzwi wysuwały się z szafy, prezentując swą zawartość w całej okazałości.

Dominique zawsze nosiła tylko rzeczy z włókien naturalnych - najczęściej z czystego jedwabiu i równie gładkiego atlasu, bogato zdobionego koronką.

Cała jej bielizna była, oczywiście, czarna, gdyż ten kolor najefektowniej uwydatniał świetlistą biel jej skóry.

Teraz włożyła bardzo płytki, półprzeźroczysty biustonosz, równie przejrzyste francuskie majteczki, odpowiednio luźne, a na nie jeszcze leciutki pasek do pończoch z niezwykle długimi podwiązkami.

Zawsze zapinała je bardzo nisko, by - gdy usiadła ze skrzyżowanymi nogami - można było nad odpowiednio krótkimi pończochami dostrzec skrawki nagiego uda.

Dominique nosiła wyłącznie pończochy, oczywiście tylko z czystego jedwabiu.

Rajstopy zawsze uważała za niehigieniczne, nie mówiąc już o tym, że rajstopy ze swej istoty opinały zbyt wiele naraz i zawsze powodowały jakieś co najmniej kilkudziesięciosekundowe opóźnienie, akurat w chwili, kiedy ktoś nagle mógł zapragnąć seksu natychmiast.

I w ogóle rajstopy we wszystkim przeszkadzały, a już szczególnie irytujące bywały w momentach kiedy męska ręka wślizgiwała się pod spódnicę, by wzdłuż ud wędrować coraz wyżej; taka przeszkoda doprawdy czasem mogła wręcz zniechęcić.

Toteż Dominique nigdy nie nosiła rajstop.

Podobnie jak nigdy nie nosiła gorsetów - jej wspaniała figura nigdy czegoś takiego nie potrzebowała - ani, rzecz jasna, jakichkolwiek niepotrzebnie obcisłych bieliznianych majtek.

Wszystkie jej suknie i spódnice miały jedwabne podszewki i były idealnie dopasowane.

Dominique zawsze dbała o szczegóły, od właściwej długości spódnicy, aż po kształt i wszycie rękawów.

Na dzisiejszy dzień postanowiła ubrać się na biało.

Taki miała nastrój, a poza tym biel zawsze była kolorem dziewczęcości i dziewictwa.

Zabawne, jeśli uwzględnić, co jej chodziło po głowie...

Tak więc sięgnęła po kostiumik Saint Laurenta, ze spódniczką ciaśniejszą chyba niż poglądy dawnych purytanów, ale za to z dwudziestocentymetrowym przecięciem dla wygody ruchów.

Naciągnęła ją na biodra tak szybko, że ledwie słyszalny odgłos przesuwającej się po nagim ciele podszewki z jedwabnej tafty tym razem był tak wyraźny jak jakiś miłosny szept.

Dominique zamknęła oczy, by tym intensywniej czuć dotyk jedwabiu, który zawsze sprawiał jej przyjemność, wręcz rozkosz; od dzieciństwa miała wyjątkowo rozwinięty zmysł dotyku.

Teraz przyszła kolej na żakiet: bardzo szerokie ramiona, bufiaste rękawy, wąska talia, w której miękki biały materiał ściągnięty był w liczne drobne fałdki na wzór greckiego peplos.

Ogromne wyłogi, sięgające aż do samych ramion, pokryte były jedwabną morą.

Całość zapięta z przodu na jeden jedyny guzik, umieszczony dostatecznie nisko, żeby co najmniej zasugerować bardzo odważne odsłonięcie oszałamiającego dekoltu.

Do tego jeszcze wieczorowe pantofelki z czarnego atlasu, bardzo proste, ale na dziesięciocentymetrowych obcasach.

I dopiero kiedy była już ubrana, przeszła do toaletki z ogromnym lustrem obramowanym kilkunastoma punktowymi reflektorkami, aby w ich świetle zrobić makijaż.

Jej twarz potrzebowała niewiele: nieskazitelna cera nie wymagała podkładu, wystarczył lekki krem nawilżający; cienie do oczu - trzy umiejętnie zmieszane kolory - i niemal symboliczne dotknięcie i tak bardzo czarnych rzęs delikatną spiralką z tuszem mascara.

Potem jeszcze tylko szminka na usta, połyskliwa jak czerwony jedwab, i zharmonizowany z nią róż na policzkach, pozwalający jeszcze wyraźniej wydobyć zarys kości policzkowych.

I jeszcze odrobina perfum Dominique, wytwarzanych specjalnie i wyłącznie dla niej.

To był jakby jej podpis, wieńczący dzieło, podobnie jak jej biżuteria - dwa wspaniałe, szlifowane na wzór brylantów, dziesięciokaratowe szafiry, z których zrobiła unikatowe kolczyki, oraz niemal równie piękny trzeci szafir w pierścionku na lewej ręce.

Dominique podniosła się z fotelika przy toalecie i przeszła na sam środek pomieszczenia, gdzie zrobiła pełny obrót, sprawdzając uważnie swe odbicia w otaczających ją ze wszystkich stron lustrzanych ścianach.

Po stwierdzeniu, że wygląda absolutnie doskonale, przez najbliższych parę godzin mogła już do lustra nie zaglądać.

Pozostawiając pokojówce sprzątnięcie rozrzuconych na toalecie drobiazgów, Dominique wyszła z garderoby i przez kolejne pomieszczenia i korytarze przeszła na taras.

Jej willa położona była na zboczu jednego z górujących nad Genewą wzgórz, tuż przed leżącą jeszcze wyżej granicą francuską.

Niżej i dalej, jak okiem sięgnąć, była już Szwajcaria.

Willa stanowiła osobistą własność Dominique, kupiła ją za własne pieniądze, nie za miliardy swego męża.

Była z tego bardzo dumna i znów - jak niemal za każdym razem - patrząc z wysokiego tarasu odczuła rozkoszny dreszcz satysfakcji.

Widok był zachwycający - miasto i olbrzymie jezioro w szmaragdowym obramowaniu lasów, wyżej ponad drzewami bliskie i dalekie szczyty gór, rysujących się na tle przejrzystego nieba.

Woda górskich strumieni pieniała się jak szampan, a drzewa i trawy wydawały się świeżo pomalowane na kolor najżywszej zieleni.

Dominique wychodząc z garderoby poleciła, by przygotowano dla niej kawę i sok.

Po chwili kamerdyner Jules postawił przed nią tacę z napojami; aromat świeżo zaparzonej kawy przyjemnie drażnił nozdrza, mieszając się z zapachem soku dopiero co wyciśniętego z dorodnej pomarańczy.

Dominique najpierw wypiła sok i odstawiła pustą szklaneczkę.

Tymczasem Jules, jak zawsze na czarno i w białych rękawiczkach, już trzymał w dłoniach porcelanowy dzbanek z kawą i mniejszy, srebrny dzbanuszek z mlekiem.

Bardzo precyzyjnie odmierzył odpowiednie porcje jednego i drugiego do wielkiej białej filiżanki bez uszka, na dnie której leżał niewielki kawałek cukru.

Dominique podziękowała uśmiechem, ujęła filiżankę w obie dłonie i przymknęła oczy z uczuciem błogości.

Po upewnieniu się, że wszystko jest jak należy, Jules wycofał się, a Dominique sięgnęła po jedną z dwóch niewielkich tartinek - zawsze bez masła - i zanurzyła ją na chwilę w kawie z mlekiem, a następnie zaczęła jeść z wielkim smakiem i niemal w ekstazie.

Śniadanie niezmiennie było jej ulubionym posiłkiem, choć z reguły jadła niewiele.

Po obudzeniu się zawsze szła do łazienki i stawiała na wadze; a jeżeli jej waga przekraczała pięćdziesiąt kilogramów choćby o pół kreski na skali, rezygnowała z tartinek, cukru i mleka i piła tylko samą kawę.

Na szczęście dzisiaj jej waga była taka, jak trzeba.

Dominique była więc spokojna, w nastroju prawie refleksyjnym.

Plan obmyśliła już wczoraj, teraz nadchodziła pora, by zacząć go realizować.

Lubiła tę porę dnia, ostatnie niespieszne minuty przed zabraniem się do działania.

Jeszcze przez parę chwil mogła siedzieć i spokojnie o wszystkim myśleć.

Wypiła jeszcze jedną filiżankę kawy, którą tym razem naląła sobie sama, a następnie zwróciła się do swej sekretarki, mademoiselle Desmoulins, która właśnie pojawiła się na tarasie, ze swym nieodłącznym grubym notesem, jeszcze grubszym terminarzem umówionych spotkań i dopiero co otrzymaną poranną pocztą.

- Bonjour, madame.

- Bonjour, Hortense.

Co mamy na dziś?

Najpierw zajęły się pocztą.

Potem Dominique, stale zaglądając do podanego jej oprawionego w skórę terminarza, ustalała rozkład dnia: z kim ma się spotkać, gdzie i kiedy.

Na koniec Hortensja - która zresztą miała w sobie właściwą starym pannom naturalną skłonność do plotkowania - relacjonowała swej pani to, co ostatnio zasłyszała.

- Pan Lebecą mówił, że markiz de Beausoleil chce sprzedać swojego Moneta.

Krążą nawet plotki, że rozmawiał już o tym z kimś od Drouota, a także z Sothebys, choć podobno żadnych konkretnych ustaleń dotąd nie było.

Zdaniem pana Lebecą pan markiz wciąż jest otwarty na inne propozycje, a ponieważ pani de Beausoleil jest z nami zaprzyjaźniona...

- Gdzie Solange jest teraz?

- przerwała jej Dominique.

- W Paryżu, madame.

W ich domu na Avenue Foch.

- Zadzwoń do niej zaraz - powiedziała Dominique i w zamyśleniu wyduła wargi.

- Jak słyszałam, ten Monet jest wyjątkowo piękny.

- Tak, proszę pani.

To madame Marigny et sa filie - pośpieszyła z informacją Hortensja.

O tym, co kto miał z interesujących dzieł sztuki, wiedziała chyba nie mniej niż Dominique.

- Tak właśnie myślałam.

Zajmij się tym w pierwszej kolejności, Hortensjo.

Chciałabym sprawdzić, czy to przypadkiem nie Solange potrzebuje tych pieniędzy.

- Dominique uśmiechnęła się kpiąco.

- Podejrzewam, że u Dora ostatnio znów był wielki ruch.

Hortensja ponownie zajrzała do swego notatnika.

- Zamówione rzeczy od de Vriessa są już u nas w sklepie, gotowe do obejrzenia.

- Dobrze.

Będę tam o czwartej.

- Poza tym jest pani umówiona na lunch z panem Langiem.

- A tak - powiedziała Dominique i odstawiła pustą już filiżankę.

- Zjemy ten lunch tu u nas.

Powiedz Toinette, że chcę z nią o tym porozmawiać, za jakieś dziesięć minut.

- Bien sur, madame.

Dominique przeszła z tarasu na drugą stronę willi do swego biura, czy może raczej studia.

Tam pisała i odpisywała na listy, a także - jako że miała tam odrębną, własną linię - telefonowała i odbierała telefony: załatwiała interesy, ustawiała ludzi, nakręcała odpowiednie sprężyny, manipulowała i przymilała się w razie potrzeby.

W drzwiach pojawiła się Antoinette, jak zawsze w czarnej sukience i nieskazitelnie białym fartuszk.

Z właściwą sobie flegmą powiedziała tylko "dzień dobry" i z założonymi rękami stanęła przed swą panią, oczekując na instrukcje.

- Będę dziś miała gościa, którego zaprosiłam na lunch.

To Anglik - powiedziała Dominique i lekko wzruszyła ramionami, jakby przepraszając swoją kucharkę za to, że jakiś tam wyspiarski filister ma jeść jej gastronomiczne arcydzieła.

- No cóż, musimy się postarać go nakarmić.

Dobrze, ale nie przesadnie.

Wzrok kucharki tylko na chwilę skrzyżował się ze spojrzeniem jej pani.

Już wiedziała, czego się od niej żąda.

To jeszcze jeden z tych gości, których należało przyjąć tak, żeby tym łatwiej mogli - według określenia samej Dominique - pójść pod nóż.

- Dostałam dobrą jagnięcinę.

Może zatem saute dagneau aux citrons, a do tego endiws awc champignons i petits pois printanieres - zasugerowała Antoinette, - Bardzo dobrze.

- Dominique skinęła głową.

- Do tego jakieś owoce, jak sądzę.

No i sery.

Anglicy lubią sery.

- A na początek zupa szczawiowa, tak jak ja ją robię?

- Doskonale.

Dominique sięgnęła do szuflady biurka, skąd wyjęła kasetkę z pieniędzmi.

Dała kucharce kilka banknotów, odnotowując sumę w małej czarnej książeczce.

- Dziękuję, madame.

Antoinette wyszła, a Dominique nacisnęła stopą przycisk dzwonka, umieszczony na podłodze obok wewnętrznej ściany biurka tak, żeby można go było łatwo dosięgnąć. Niemal natychmiast pojawił się kamerdyner.

- Jules, mam dziś gościa, z którym będę jadła lunch, Anglika.

Antoinette zapowiedziała saute d agneau.

- Jeśli madame pozwoli, sugerowałbym wobec tego Mouton Cadet 1971.

Nie za ciężkie jak na tę porę dnia i dostatecznie młode, by pasowało do jagnięciny.

- Bardzo dobrze; a na aperitif weźmiemy butelkę Krug 63 .

Jules skłonił się.

Musiał to być jakiś ważny dla jego pani gość - ważny przynajmniej w danej chwili!

-jeżeli zasłużył na rocznik 63.

A zatem ktoś, od kogo madame spodziewała się jakiejś uprzejmości w rewanżu... albo i czegoś więcej.

Jules z samego doboru win umiał zorientować się, o co w tym czy innym przypadku mogło chodzić.

- O której godzinie gość może się pojawić?

- Między pierwszą a wpół do drugiej.

Jules skłonił się i wyszedł, a Dominique przeszła jeszcze na chwilę do garderoby, żeby - jak zawsze przed wyjściem z domu - poprawić sobie makijaż.

Rolls-Royce model Phantom IV już czekał przed wejściem.

Za kierownicą siedział jej szofer Paul, który na widok swej pani wysiadł i z ukłonem otworzył jej drzwi.

- Jedziemy do firmy - powiedziała Dominique.

Była dokładnie dziesiąta rano, kiedy lśniąca limuzyna bezszelestnie ruszyła szerokim podjazdem ku bramie, by następnie skierować się drogą szybkiego ruchu N-1 do pobliskiej Genewy.

Czcigodny - ten tytuł przysługuje osobom niektórych szczebli angielskiej arystokracji - Piers Lang przez trzy lata był sekretarzem i osobistym asystentem Charlesa Desparda.

Stanowisko to otrzymał w swoim czasie wyłącznie dzięki wstawiennictwu pięknej pasierbicy swego szefa, która nie ukrywała, że w zamian oczekuje od niego stałego informowania jej o wszystkim, co będzie się działo w gabinecie jego chlebodawcy, a także w jego otoczeniu.

Piers Lang zgodził się na to, ponieważ był chciwy, pozbawiony skrupułów i od dawna głodny wygód, komfortu i różnych życiowych przyjemności, na które w przeciwnym razie - jako jeden z młodszych synów swego utytułowanego ojca, a więc pozbawiony nadziei na spadek - w żaden sposób nie mógłby sobie pozwolić.

Przyjął więc propozycję Dominique i już wkrótce okazał się dla niej niezmiernie użyteczny, także i z tego względu, że jego ojciec był wicehrabią, a matka wywodziła się z jeszcze bardziej szacownego rodu, a zatem poprzez swych rodziców Piers był spokrewniony z co najmniej połową angielskiej arystokracji.

Dzięki temu mógł bez trudu wiedzieć, kto i gdzie odziedziczył jakiś spadek i jakich kosztowności czy obrazów chętnie by się pozbył.

Pod tym względem Piers Lang okazał się niezastąpiony.

Poza tym od samego początku pożądlawie spoglądał na swą protektorkę.

Starał się, by to zauważyła, choć oczywiście był dość rozumny, by nie próbować posunąć się dalej.

Później, kiedy piękna Dominique wyszła za tego dzikusa półkrwi, Blaisea Chandlera, skromny Piers nadal cierpliwie czekał, aż ona sama zechce go wpisać na listę swoich kochanków, jako że małżeństwo w niczym nie zmieniło jej nawyków ani aktywności seksualnej.

Choć, oczywiście, Piers Lang starał się teraz postępować jeszcze bardziej ostrożnie, gdyż Blaise Chandler nie był z tych, którym rozsądny człowiek chciałby się narazić.

W drodze do willi zastanawiał się, co sprawiło, że Dominique tak nagle wezwała go do Genewy.

Dotychczas była dla niego w oczywisty sposób za wysoko.

Ale uwzględniając to, co się ostatnio stało, Piers doszedł do wniosku, że jego cierpliwość może wreszcie zostać wynagrodzona.

Nie zagrożona dotąd Dominique du Vivier miała teraz rywalkę, z którą w jakiś sposób będzie musiała sobie poradzić.

Z pewnością już obmyśla sposoby, jak to zrobić.

Piers Lang już wystarczająco długo pracował w firmie Desparda, gdzie wśród męskiej części pracowników krążyły prawdziwe legendy o niezwykłym seksualnym apetycie pasierbicy szefa.

Pracownicy szeptali po kontaktach o jej łóżkowych wyczynach, nabożnym szeptem opowiadali cuda o porażających umiejętnościach i niezrównanej technice.

Musiała to być kobieta wyjątkowa i posiadać ją - czy może raczej być przez nią posiadany - znaczyło przeżyć coś, czego mężczyzna nigdy już nie będzie mógł zapomnieć.

Ostatnio opowiadano na przykład, że...

Piers nagle poczuł, że musi się poprawić na siedzeniu.

Już samo myślenie o Dominique du Vivier powodowało u niego erekcję.

No cóż, trzeba tylko mieć nadzieję, że tym razem...

Widok willi przyprawił go o zawrót głowy, zwłaszcza gdy znalazł się już w środku i mógł wszystko obejrzeć z bliska.

Luksus wręcz nieprawdopodobny.

Służba poruszająca się bezszelestnie, wszędzie świeże kwiaty, wystawne wyposażenie wewnątrz, bezcenne tkaniny, boazerie.

Ta martwa natura Renoira była po prostu wspaniała, podobnie jak ustawiona na starym kredensie grupka miśnieńskich figurek.

I ta zachwycająca porcelana z Sevres.

A tam chyba jakiś Fragonard?

- Pani zejdzie do pana za chwilę.

- Kamerdyner skłonił się i dyskretnie zniknął.

- Im prędzej, tym lepiej - mruknął pod nosem Piers.

I rzeczywiście, nim zdążył się dokładniej rozejrzeć, Dominique już pojawiła się w drzwiach.

Jak zawsze wyniosła i kusząca jednocześnie, jeszcze bardziej olśniewająca w tym otoczeniu.

Ta willa była niewątpliwie wspaniała, ale ona sama -jeszcze bardziej.

Ta twarz, to jej ciało.

Niemal w tej samej chwili poczuł, że jego członek znów zaczął się podnosić, jakby na powitanie.

O cholera, pomyślał Piers, jeżeli tak to się zaczyna...

Pochylił się i pocałował wyciągniętą do niego rękę.

- Madame, niewymownie się cieszę, że mogę znów panią oglądać.

- Ja również się cieszę, panie Lang.

Co słychać w Londynie?

- Huczy jak w ulu, oczywiście.

Ale też taka wiadomość nie mogła nie zadziwić...

- Wszystkich?

Jak ludzie na to zareagowali?

- No cóż, to zależy.

Stara gwardia - te wszystkie mamuty, jak ich nazywamy -wygląda na zadowoloną.

Ale oni są już zaprzeszli, ciągle żyją wspomnieniami minionych lat, na co my, młodszy, oczywiście nie chcemy się godzić.

My potrzebujemy tam kogoś takiego jak pani, madame.

Kogoś z dwudziestego wieku.

Bo pani dziś uosabia firmę Desparda, to oczywiste.

Przynajmniej dla tych, którzy potrafią myśleć.

- Można by sądzić, że mój ojczym był innego zdania.

Piers Lang wzruszył ramionami.

- No cóż, jego wieloletni pobyt w Anglii najwyraźniej go zmienił.

Choć, prawdę mówiąc, nawet my pozostaliśmy dziś sentymentalni już chyba tylko w stosunku do zwierząt.

Z całym szacunkiem dla pani ojczyma, madame, taka postawa już do niczego nie prowadzi.

Dominique uśmiechnęła się.

Jest chciwy, pomyślała.

Próżny.

I pozbawiony skrupułów.

Liczy na życiową szansę.

I na to, że pójdzie ze mną do łóżka ze znaczną korzyścią dla siebie.

No dobra, niech teraz jeszcze wyrecytuje te wszystkie komunały, które sobie na pewno przygotował: jak wielką stratą była śmierć ojczyma, jaką niesprawiedliwością jest zapisanie Desparda London tej całej Kate i jak to praktycznie wszyscy są po stronie właśnie jej, Dominique, ponieważ są lojalni...

i tak dalej, i tak dalej.

Lojalny to on jest, ale wyłącznie w stosunku do samego siebie, pomyślała z chłodną wzdrganą.

Po prostu chciałby zachować swoje miejsce w firmie.

To, co robi, bardzo mu odpowiada, więc też zrobi wszystko, czego ona zażąda.

Będzie się chciał przypodobać, zyskać względy.

To trzeba wykorzystać, postanowiła Dominique.

Do jej planu nadawał się w sam raz, akurat tyle był wart, nie więcej.

Zaraz potem można będzie się go pozbyć.

Uśmiechnęła się do niego cieplej niż kiedykolwiek i powiedziała mu, jak bardzo ceni jego lojalność.

To ją naprawdę wzruszyło, niezwykle.

Patrzyła na niego i wiedziała, że już jest jej, że wystarczy, żeby kiwnęła palcem.

Przygotowany przez Antoinette posiłek okazał się jak zwykle doskonały.

Przepyszna zupa, po niej jagnięcina, którą doprawdy można by porównać z ambrozją, do tego kruche warzywa al dente i znakomite sery.

Piers wypił trzy kieliszki Mouton Cadet, a do kawy podano mu Armagnac.

Czuł się rzeczywiście wspaniale, a w dodatku Dominique, jakby mimochodem, powiedziała do kamerdynera: - Proszę nam teraz nie przeszkadzać...

Piers natychmiast poczuł, jak krew zaczyna mu napływać do pęczniejącego gwałtownie członka.

To z pewnością nie był tylko wpływ wina i koniaku, to przede wszystkim dojmująca bliskość tej kobiety rozpałała go i doprowadzała do utraty wszelkiego panowania nad sobą.

W jego głowie rodziły się szaleńcze, wciąż zmieniające się erotyczne wizje, a jednocześnie przez cały czas uporczywie zastanawiał się, jaki może być męski odpowiednik francuskiego słowa maitresse.

Jeżeli kochanka to maitresse, to czy kochanek to mailrel To chyba tyle co "pan", "władca".

I rzeczywiście ktoś, kto zostałby maiire takiej kobiety, byłby wszechwładnym panem, potrafiłby dokonywać nawet rzeczy niemożliwych.

On i ona razem bez najmniejszego problemu wykopaliby z Desparda tę przybłądę, Kate Mallory.

I poprowadziliby firmę do wspaniałej przyszłości.

Dominique doskonale widziała jego szklące się z pożądania oczy.

Cóż za głupek, pomyślała.

Wiedziała o nim wszystko - o długach, o słabości charakteru i niepohamowanej chciwości.

Już od dawna pozbył się wszelkich skrupułów, do tego stopnia, że zdarzało mu się nawet brać na boku drobne gratyfikacje od klientów, co w firmie Desparda było rzeczą nie do pomyślenia.

Gnojek.

Ale też dla niej był tylko rzeczą, przedmiotem, który się wykorzystuje, a następnie wyrzuca.

Takie przedmiotowe traktowanie ludzi, bezwzględne wykorzystywanie ich dla własnej korzyści, sprawiało jej przyjemność, a nawet szczególnego rodzaju rozkosz, której nie dawał jej nawet seks.

Chyba była w tym też jakaś podświadoma zemsta, w każdym razie tak czasami o tym myślała, ale nigdy nie starała się zgłębić tego do końca.

Tak czy inaczej Piers Lang był już gotów, żeby go użyć.

Żeby się nim posłużyć.

Wystarczyło na niego popatrzeć.

Aż czerwony z pożądania i chęci zysku jednocześnie.

I co chwila inaczej zakłada nogę na nogę, nie mogąc sobie poradzić z erekcją.

Dominique pochyliła się, niby tylko po to, żeby dolać mu koniaku do kieliszka.

Ale po odstawieniu butelki już się nie podniosła, tylko w bardzo precyzyjnie wybranym momencie położyła dłoń na gwałtownie rosnącym wzgórku tuż pod suwakiem jego spodni.

Erekcja sprawiała, że cienka tkanina zdawała się pękać pod naporem.

Dominique odsunęła suwak i uwolniła sterczący członek spod białych bawełnianych slipów.

Kątem oka popatrzyła na twarz mężczyzny i ich spojrzenia spotkały się na chwilę, ale choć wzrok Dominique był chłodny i prawie wrogi, Piers już tego nie widział.

Był prawie nieprzytomny i jakby zahipnotyzowany, świadomy tylko jednego - że palce Dominique objęły naprężony i pulsujący członek i zaczęły go pieścić.

Oddech Piersa stawał się coraz szybszy i krótszy, przechodząc w gorączkowe sapanie krańcowo podnieconego mężczyzny.

Jęknął głęboko, raz i drugi, a potem coraz częściej i głośniejsze, w miarę jak sprawne palce Dominique przesuwały się po skórze członka w górę i w dół, by następnie sięgnąć jeszcze niżej, aż do napiętej moszny.

- Oooch!

- jęknął Piers.

- Och, tak!

- Dominique wzmocniła uścisk, a on poddał się jej całkowicie.

Jego oczy zaszyły mgłą, w równym stopniu od alkoholu, jak i od intensywności seksualnych doznań.

Dominique nagle pochyliła się jeszcze niżej, a jej wargi dotknęły czubka pulsującego członka.

- Oooo - ooch!

- Teraz to już był jęk człowieka w ekstazie.

Czubek języka Dominique przebiegał po najbardziej unerwionych miejscach i za każdym razem wywoływało to gwałtowny jęk rozkoszy, prawie skowyt.

Potem zaczęła go ssać...

i to była rozkosz niemal nie do zniesienia.

Ten jej język ani na chwilę się nie zatrzymał...

- Oooch!

- Piers czuł, jak czubek języka przesuwają się po najczulszych miejscach, jakby w poszukiwaniu tego najwrażliwszego, i rzeczywiście!

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wygiął się niemal w łuk, oddychając tak gwałtownie, jakby za chwilę miał umrzeć.

- Och, tak...

tak.

Zrób to, proszę...

Dominique, całkowicie opanowana, prowadziła go przez kolejne szczeble ekstazy przerastającej wszelkie wyobrażenia.

Jej język na zmianę drażnił, pieścił i lizał niemal każdy centymetr jego grubego, naprężonego członka, a jej dłonie tymczasem obejmowały i ścisnęły ciężkie, pęczniejące pod napiętą skórą moszny jądra.

Piers Lang jęczał, krzyczał z rozkoszy, wzdychał i skowyczał, wyginał się w łuk, starając się podnieść biodra jak najwyżej.

Ta kobieta była wręcz nieprawdopodobna.

Nigdy w całym swym życiu nie czuł czegoś podobnego, nigdy.

Był pewien, że za chwilę umrze z rozkoszy.

Przestawał cokolwiek widzieć, oczy przesłaniała mu różowa mgła.

Każdy nerw zdawał się odbierać odmienną, swoją własną część pieśczości i rozkoszy narastającej aż do cudownego bólu, aż wreszcie wszystko to wybuchło w niepoohamowanym wytrysku, przed którym Dominique umiejętnie się uchyliła, by nasienie nie poplamilo jej ubrania.

Nadal patrzyła na niego bez jakiegokolwiek emocji, jej oczy pozostawały chłodne i dalekie.

Z niczego sobie nie zdaje sprawy, skończony głupiec, pomyślała z lodowatą pogardą.

Ale powtórzyła wszystko niemal od samego początku, nie dopuszczając ani na chwilę do zaniku erekcji, umiejętnie manipulując jego doznaniem i odczuciami i znów doprowadzając go niemal do szaleństwa.

Obserwowała go chłodno i bez jakiegokolwiek życzliwości, wybierając właściwy moment, by - kiedy już w żaden sposób nie będzie w stanie znieść więcej - doprowadzić go do ostatecznej, jeszcze bardziej gwałtownej ejakulacji.

Potem pozwoliła mu opaść na oparcie krzesła, przyglądając się, jak dyszy niczym zdychająca, wyciągnięta z wody ryba.

Jego owłosiona klatka piersiowa gwałtownie unosiła się i opadała pod rozpiętą koszulą, zwiędły penis skurczył się i niemal zniknął w gęstej czarnej kępie kędzierzawych włosów łonowych.

Piers opadł twarzą na stół i niemal w tej samej chwili usnął i zaczął chrapać.

Dominique pozostawiła go w tej niewygodnej pozycji, a sama przeszła do garderoby i łazienki, gdzie rozebrała się, oddając wszystkie rzeczy pokojówce, a następnie weszła pod prysznic.

Potem bez pośpiechu wyjęła z szaf świeżą bieliznę i kostium dokładnie taki sam jak ten, który przed chwilą zdjęła.

Gdy wreszcie wróciła do Piersa, ten nadal pozostawał w stanie krańcowego seksualnego wyczerpania i otępienia.

Dominique usiadła naprzeciw niego, zapaliła papierosa.

Gdy rozgniatła w popielniczce żarzący się niedopałek, stary zegar w obudowie z sewskiej porcelany wybił godzinę.

Dominique wyciągnęła rękę i potrząsnęła barkiem śpiącego mężczyzny.

Ten otworzył mocno nieprzytomne oczy i po chwili ją rozpoznał; natychmiast się rozjaśnił i postarał się usiąść w miarę normalnie.

Spojrzał na nią i zobaczył, że się uśmiecha, a ten jej uśmiech znów wywołał u niego gwałtowny skurcz serca, i nie tylko...

W tym uśmiechu była obietnica, niewyobrażalnie kusząca, ale też przemieszana z nie ukrywaną groźbą.

Piers poczuł, że od tego jej spojrzenia dostaje gęsiej skóry.

Boże kochany, ależ to jest kobieta!

Musi się trzymać tej wzlatującej w niebo gwiazdy Dominique du Vivier, ponieważ tylko ona pozwoli mu zasmakować nieskończoności, i to na wiele sposobów.

Dominique wiedziała, że ma go już w ręku i teraz będzie mogła zrobić z nim, co tylko zechce.

Widziała pożądlivość w jego głodnym spojrzeniu, głodnym także tego, co tylko dzięki niej mógł osiągnąć.

Wciąż nie przestając się uśmiechać powiedziała mu, czego się po nim spodziewa.

Z satysfakcją przyglądała się, jak nieuchronny początkowy wstrząs ustępuje, a w oczach Piersa pojawia się iskierka satysfakcji.

Tak, już mu się to spodobało, już czuje dreszczyk emocji, już się uśmiecha, a w tym uśmiechu jest wszystko - zadowolona z siebie złośliwość, pewność wygranej i ledwie skrywane poczucie triumfu.

Tak, Piers Lang był najwyraźniej dumny z tego, że tak chytrze i przemyślnie ustawił się po stronie, która tak czy inaczej musi zwyciężyć.

Sam co prawda powiedział na początku, ten numer chyba nie przejdzie...

ale już po chwili obawy ustąpiły i Piers uśmiechnął się z satysfakcją.

Ależ przejdzie, i to nie tylko taki numer.

W końcu to była Dominique du Vivier!

Jej nie może się nie udać!

Dominique wzruszyła ramionami.

- To będzie zaledwie salwa ostrzegawcza, tak to nazwijmy.

- Pełen zimnego okrucieństwa uśmiech Dominique sprawił, że Piers nagle poczuł dojmujący dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Jeżeli to nie pomoże, wystrzelimy prawdziwe torpedy.

Znów uśmiechnęła się, a Piers zdał sobie sprawę, że sprawiło mu to dziwną, nieco masochistyczną przyjemność, prawie rozkosz.

- Proszę mi pozwolić to zrobić!

- powiedział błagalnie.

- Koniecznie chciałbym współdziałać...

z panią!

- Proszę dobrze zrobić to, co powiedziałam, a wtedy i na przyszłość będzie pan mógł -
Dominique uśmiechnęła się - ...współdziałać.

Jej głos był gardłowy, namiętny i pełen obietnic.

Ale Piers wiedział doskonale, że jeśli ją zawiedzie, będzie to oznaczało koniec
wszystkiego.

We wtorek rano Rollo niespodziewanie pojawił się w sklepie nie sam, ale w kobiecym
towarzystwie.

Wiek kobiety nie dałoby się dokładnie określić, natomiast niewątpliwa była rzucająca
się w oczy elegancja nowo przybyłej.

- Kate, poznaj moją wieloletnią przyjaciółkę, Charlotte Vale.

Pozwoliłem sobie poprosić ją tutaj, ponieważ jej wielkie doświadczenie i bezbłędny smak
może nam bardzo pomóc w pracy nad zamierzoną przez nas zmianą twojego wyglądu.

Charlotte Vale spostrzegła, że stojąca naprzeciw niej wysoka dziewczyna natychmiast
zesztywniała.

Co gorsza, była nie tylko sztywna jak kołek w płocie, ale i nieładna, wręcz wyzywająco
nieładna.

Kompletny brak wiary w siebie.

Charlotte dostrzegła to na pierwszy rzut oka: dziewczyna nie spodziewała się po swoim
wyglądzie niczego, w każdym razie niczego dobrego.

Udaje, że jej wygląd w ogóle jej nie obchodzi - stąd te złachane dzinsy i trykotowa
koszulka - ale w rzeczywistości obchodzi ją, i to boleśnie.

- Rollo oczywiście przesadza, jak zawsze - powiedziała z uśmiechem.

- Zresztą powiedziałam mu, że spróbuję pomóc tylko w przypadku, gdy pani sama
będzie sobie tego życzyć.

- Dobra, nie ma o czym dyskutować - powiedział Rollo z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Kate wie równie dobrze jak ja, że trzeba ją...

odmienić.

Te okropieństwa, w które się dotąd ubierała, wyrzucić natychmiast i jak najdalej, tego nie
można nawet oddać biednym, bo mogliby się obrazić!

Błada twarz Kate wyraźnie zaróżowiła się od upokorzenia.

- Taka jest smutna prawda.

Natomiast Charlotte w swoim czasie zdobywała tytuły najlepiej ubranej aktorki -
dokończył triumfalnie.

Charlotte położyła rękę na jego ramieniu.

- Rollo, idź i sprzedaj coś komuś, a w każdym razie idź stąd.

My z panną Despard nie potrzebujemy cię tutaj.

Ku wielkiemu zdziwieniu Kate, Rollo podporządkował się bez protestu.

Charlotte obróciła się do niej.

- Naprawdę mówiłam mu, żeby najpierw zapytał panią o zgodę, ale obie przecież wiemy,
jaki jest Rollo.

Ja w każdym razie doświadczyłam tego na własnej skórze: on nigdy nie pyta, tylko
wydaje polecenia.

- To prawda - powiedziała Kate, już nieco mniej sztywno.

- Rollo opowiedział mi o pani...
sytuacji.

Z kolei moja sytuacja jest taka, że po prostu nie mam już takich środków, które kiedyś pozwalały mi wędrować przez luksusowe sklepy i kupować, kupować i kupować.

Teraz to już nie jest możliwe, znalazłam więc sobie przyjemność zastępczą, i pomagam w ubieraniu się innym kobietom.

- Tak, rozumiem.

Tylko że ja...

Prawdę mówiąc, do dziś dnia nie nauczyłam się wydawać pieniędzy na stroje - powiedziała Kate, wciąż jeszcze pozostając w defensywie.

- Moja matka zawsze uważała, że bardzo kosztowne rzeczy nie są warte potrzebnych na nie pieniędzy i nie warto w nie inwestować.

I rzeczywiście zawsze byłam przekonana, że u Marksa i Spencera znajdę wszystko, czego mogę potrzebować.

- Do dziś tak mogło być, owszem - powiedziała Charlotte z pełnym życzliwości uśmiechem.

- Ale trudno przypuścić, żeby u Marksa i Spencera można było znaleźć to, czego potrzebuje pani prezes i pani generalny dyrektor firmy Despard's London.

Kate mimo woli przełknęła ślinę.

- No cóż...

chyba rzeczywiście nie.

Doświadczona w tego rodzaju podchodach Charlotte uznała, że nie należy tracić czasu.

- Zastanawiam się, czy nie mogłybyśmy wybrać się tam od razu?

Do paru takich miejsc, gdzie można znaleźć to i owo, i gdzie mam pewne kontakty?

Oczywiście, mamy za mało czasu, żeby natychmiast mieć rzeczy robione na zamówienie, ale już dziś tu i ówdzie można znaleźć znakomite rzeczy gotowe, pret-a-porter.

Może znakomite, ale nie takie, które ona sama zechciałaby na siebie włożyć, pomyślała Kate.

Instynktownie wiedziała, że to, co aktorka miała na sobie, musiało pochodzić z kolekcji haute couture, nawet jeśli było to już odrobinę znoszone.

Jej granatowa sukienka była w stylu lat pięćdziesiątych, o czym świadczyła zarówno jej długość, jak i mnóstwo drobnutkich plis i zakładek, które sprawiały, że choć w całości bardzo dopasowana, w najmniejszym stopniu nie utrudniała poruszania się.

Stojący wysoki kołnierzyk, podbity białym pikowaniem i wywinięte, również białe i pikowane mankiety dopełniały całości.

Kapelusz również był biały, rodzaj bereciku z delikatnej słomki nasunięty na jedno oko, z zawadiackim ozdobnym piórem - które opadając zawijało się aż na policzek - i z delikatną jak mgiełka woalką.

Ta woalka sprawiała, że cera Charlotte była mniej widoczna, cera już oczywiście nie młoda, ale wciąż znakomita jak na kobietę w wieku...

no właśnie?

Z całą pewnością po pięćdziesiątce, ale...

- Mam sześćdziesiąt lat.
 - Charlotte bez trudu odczytała spojrzenie Kate.
 - A ta moja sukienka ma już lat dwadzieścia.
- Grałam w niej w Osobnych stolikach, a kostiumy dla mnie zaprojektował Victor Steibel. Na scenie zawsze nosiłam rzeczy z haute couture. Co mniej życzliwi krytycy twierdzili, że tylko dlatego ludzie na mnie przychodzili - zwłaszcza kobiety - żeby zobaczyć, jak tym razem będę ubrana.
- Charlotte pokiwała głową z rozbawieniem i wzruszyła ramionami.
 - No cóż, z tego czy innego powodu, ale jednak przychodzili.

A dzisiaj...

Tak, dziś już nie wystawia się sztuk, w których najczęściej graliśmy, ja i Rollo.

Tak więc próbuję tylko odstępować moje doświadczenie i tę odrobinę smaku innym kobietom, takim, które mogą sobie na to pozwolić.

Jak pani, na przykład - powiedziała, i dodała z charakterystyczną dla siebie otwartością.

- Jest pani nieporównanie młodsza niż klientki, z którymi zazwyczaj mam do czynienia, ale to nie ma większego znaczenia.

Zwłaszcza jeśli podziela pani moje przekonanie, że nie ma sensu chwytać wszystkiego, co akurat jest modne, a należy poprzestać na tym, co warte będzie noszenia zawsze.

Kate patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Ja oczywiście otrzymuję za to gratyfikację...

jest to po prostu pewien procent od tego, co wyda pani w sklepach, które zaszczytamy naszą wizytą.

Kate była bardziej zakłopotana tym, co usłyszała, niż sama Charlotte, która mówiła o wszystkim bez ogródek i z imponującą sangfroid.

Kate nigdy dotąd nie spotkała się z czymś takim; ponieważ jednak sama bardzo wysoko ceniła szczerość i mówienie prawdy w oczy, zrobiło to na niej nadzwyczaj dobre wrażenie.

Natomiast myśl o tym, że miałyby oto wydać mnóstwo pieniędzy - a bez tego nie mogło się obejść - na jakieś tam luksusowe stroje, musiała nieuchronnie prowadzić do konfliktu z nawykiem oszczędzania, wpojonym przez matkę.

Nie, żeby w końcu nie mogła sobie na to pozwolić, pomyślała Kate i chyba powiedziała to głośno, bo Charlotte skinęła głową.

- Gdyby było inaczej, nie przyszedłabym tu, może być pani pewna - powiedziała i znów się uśmiechnęła.

Ona jednak ma klasę, pomyślała Kate z pewną zazdrością.

Szczególny rodzaj elegancji - z pewnością nie jest to ta ostra niczym sztylet elegancja Dominique - no i wytworność najwyższej próby, tak stroju, jak i samej osoby.

Jej włosy miały kolor bladego złota, dyskretny i odpowiedni dla jej wieku, porcelanowa cera była zestrojona z bezbłędnie nałożonym makijażem, paznokcie - jakże różne od drapieźnych szponów Dominique - pomalowane były na sympatyczny różowy kolor, odpowiadający odcieniowi szminki na wargach.

W uszach miała kosztowne kolczyki z pereł otoczonych brylancikami, na lewej ręce prosty zegareczek ze złota, a na palcach ślubną obrączkę i pierścionek z pięknym brylantem.

Nawet szpilka w jej kapeluszu pasowała do całości - malutka, nie rzucająca się w oczy, ale z całą pewnością kosztowna i w doskonałym stylu.

Pantofelki, rękawiczki i torebka były z tej samej mięciutkiej cielęcej skóry.

- Przypuszczam, że jest ważne, by ubierać się odpowiednio do roli, w której się występuje - powiedziała Kate.

- Niesłychanie ważne.

Mężczyzna, moja droga, może nie pamiętać, co mówiłaś, ale nigdy nie zapomni, jak wyglądałaś.

- Ależ nie...

Jeżeli idzie o tego mężczyznę, to mam się z nim spotkać wyłącznie na płaszczyźnie interesu - zaprotestowała pośpiesznie Kate.

- On już jest żonaty, z moją przybraną siostrą.

Ze sposobu, w jaki Charlotte popatrzyła na nią, było jasne, że ten zbyt pośpieszny protest raczej tylko wyeksponował to, co próbowała ukryć.

Kate znów poczuła, że się czerwieni.

- Tak czy inaczej, w zarządzie firmy Desparda jest znacznie więcej mężczyzn niż kobiet, prawda?

- Rzeczywiście - przyznała Kate.

- Więc trzeba to brać pod uwagę.

Pani jest jeszcze młodzianka, moja droga, natomiast oni - o ile pamiętam - już raczej nie.

- To prawda.

- A więc przede wszystkim nie wolno wywoływać w nich poczucia zagrożenia.

Kiedy pani będzie już pewna swojej pozycji w przedsiębiorstwie, wtedy oczywiście postąpi pani, jak zechce, ale na razie, jeżeli dobrze rozumiem, to raczej pani ich potrzebuje?

Kate skinęła głową.

Obezwładniający wręcz spokój tej kobiety mógł zdumiewać czy nawet denerwować, ale nie dało się zaprzeczyć, że jej konstatacje były celne.

- A więc także i z tego powodu pani wygląd musi być - nazwijmy to tak - odpowiedni.

Kate już zaczynała rozumieć.

Znów kiwnęła głową.

- Dobrze, że pani to akceptuje - powiedziała Charlotte.

- A zatem pozwoli mi pani zrobić, co będę mogła, żeby pani w tym pomóc?

- Ależ tak, proszę!

- niemal wykrzyknęła Kate, już całkowicie przekonana do pomysłu.

Potem na chwilę przygasła, patrząc na swoje dzinsy i trykotową koszulkę.

Ale Charlotte nie pozwoliła jej pozostać w takim stanie.

- Ma pani jakąś sukienkę albo spódnicę i bluzkę?

- spytała szybko.

- Może lepiej proszę mi pokazać, co pani ma w szafie.

Nie było tego wiele, i rzeczywiście większość rzeczy pochodziła z domu towarowego Marks & Spencer.

Kilka spódnic, trochę koszul i bluzek, parę odpowiednich do tego żakietów.

No cóż, pomyślała Charlotte, później już nie będzie chciała tego nosić, więc niech włoży to teraz.

Wybrała tweedowy kostiumik koloru wrzosu, który Kate pośpiesznie wciągnęła na siebie, zrzucając stare ubranie.

Charlotte przyglądała się jej ze spokojną uwagą lekarza klinicysty.

Trochę za mało ciała, ale kości dobre i na szczęście raczej drobne.

Wspaniałe, długie plecy, przepiękna szyja.

Piersi raczej drobne, akurat tyle, żeby sukienka miała się na czym zatrzymać.

Ręce i stopy dobre, natomiast twarz...

- Charlotte westchnęła skrycie.

Coś trzeba też będzie zrobić z piegami, a włosy oczywiście stonować i odpowiednio przyciemnić; no, to akurat Henry potrafi doskonale.

A właściwie zrobiony makijaż też może zdziałać cuda.

Jej własne doświadczenie wielu lat na scenie nauczyło ją tego.

W kilka godzin później nieco zmęczona Kate siedziała przy stoliku znanej kawiarni i - trochę oszołomiona i ciągle jeszcze nieco zdumiona - próbowała policzyć w pamięci, ile też pieniędzy wydała tego przedpołudnia.

Z pewnością było tego co najmniej tyle, ile zarobiła w swym sklepiku w ciągu całego ostatniego roku.

Mimo woli pogładziła gruby jedwab nowo kupionej kremowej bluzki, czubkami palców dotknęła spinającej ją złotej agrafy.

Z satysfakcją spojrzała na lśniące czerwonobrazowe buty od Hermesa i kupioną razem z nimi torebkę z tej samej skóry, ze specjalnym ozdobnym zapięciem.

Nowy kostiumik - a raczej zestaw składający się z pięknych spodni i odpowiednio dobranego żakietu z cudownego, niemal aksamitnego zielonego lodenu - idealnie harmonizował z nowym kolorem jej włosów, ciemniejszych o kilka tonów: teraz już nawet odległe nie przypominały dojrzałej marchewki.

Ich kasztanowaty brąz połyskiwał jak błyszcząca sierść młodego żrebaka.

Kosztowało to trochę pracy.

Henry przyciął włosy, umył je szamponem i znów przyciął, modelując na mokro, a następnie wysuszył je w staroświecki sposób za pomocą ostrej szczotki i ręcznej suszarki.

Kiedy już po tym wszystkim Kate spojrzała w lustro - własne odbicie po prostu ją zdumiało.

Jej włosy - dotąd zawsze ściągnięte do tyłu, co tylko jeszcze bardziej podkreślało wystające kości policzkowe - zdawały się teraz niemal naturalnie spływać miękkimi falami z czoła, sięgając podbródka, obramowując twarz i łagodząc ostre rysy.

Ich jaskrawy dotąd blask złagodniał i miękko rozświetlał owal twarzy.

Z głębi lustra patrzyła na Kate delikatnie zarysowana, zaskakująco ciekawa, nowa twarz.

- Oo!

- westchnęła z zaskoczeniem i z niemal nabożnym szacunkiem.

Tego się nie spodziewała.

Co prawda suma na otrzymanym rachunku też ją zdumiała, ale zapłaciła bez oporu i z prawdziwą wdzięcznością.

Stłumiła w sobie wszelkie poczucie winy z racji tej oczywistej ekstrawagancji, tak sprzecznej z wpajaną przez matkę stałą potrzebą oszczędzania, z zasadą, że zawsze trzeba mieć rezerwę na czarną godzinę.

Po raz pierwszy w życiu kupiła sobie bieliznę z czystego jedwabiu i atlasu - koloru prażonych migdałów - obrębioną firmowymi koronkami Janet Reger; kupiła jedwabne sukienki i bluzki z organdy, mięciutki zamszowy płaszcz w kolorze lwiej sierści, kaszmirowe sweterki, piękne wełniane kostiumiki w kolorach, których nigdy dotąd nawet nie próbowała nosić - śliwkowe, szarobłękitne, kasztanowe; był też tam kostium składający się z żakietu i spodni z ciemnozielonego aksamitu, cudownie pasującego do jej cery i włosów.

Do tego dochodziło pięć czy sześć torebek, pół tuzina par butów i różne drobiazgi - w sumie było tego o wiele więcej, niż mogłoby się zmieścić w malutkiej garderobie jej sypialni na piętrze nad sklepikiem.

Ale przecież Rollo już jej mimochodem zapowiedział, że tak czy inaczej będzie się musiała przenieść do nowego mieszkania.

Tym też czuła się zaskoczona, nigdy o czymś takim nie myślała.

Wiedziała co prawda, że po wyprowadzeniu się od pierwszej żony jej ojciec potrzebował jakiegoś innego locum w Londynie i kazał dobudować nad budynkiem firmy Desparda specjalne piętro - rodzaj luksusowego poddasza - gdzie mógł mieszkać w znakomitych warunkach, ale ona oczywiście nigdy tam nie była.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, siedziała przy stoliku i mechanicznie spożywała postawiony przed nią posiłek, a huczące w jej głowie myśli mieszały się z dolatującymi ze wszystkich stron odpryskami rozmów.

Od czasu do czasu uświadamiała też sobie dobiegający ją dyskretny zapach perfum.

To były jej własne, nowe perfumy "Y" Yves Sainf Laurenta.

Kate czuła ich zapach wokół siebie, delikatny, a jednak intensywny na tyle, że prawie przeszkadzał jej myśleć.

A ona wciąż jeszcze nie przemyślała do końca wszystkich konsekwencji przyjęcia przez nią spadku.

Prowadzenie olbrzymiego przedsiębiorstwa musiało być bardzo skomplikowane.

Trzeba uwzględniać tysiące rzeczy naraz.

- ...jutro z samego rana.

- Kate nagle uświadomiła sobie, że Rollo coś do niej mówi.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- spytała, uśmiechając się i prosząc o wybaczenie wciąż ogarniającego ją roztargnienia.

- Powiedziałem, że umówiłem nas na spotkanie i na pierwsze oględziny jutro z samego rana.

Dokładnie o ósmej, w firmie.

- O ósmej?

Ależ...

Urwała ten protest niemal w tej samej chwili, gdy popatrzyła na niego i zdała sobie sprawę, że Rollo pomyślał o tym wszystkim po swojemu i na szczęście zupełnie inaczej niż ona.

Dla niej powrót do Despards musiał być silnym emocjonalnym przeżyciem; byłoby to doświadczenie bardzo trudne i stresujące, gdyby poszli tam na przykład koło południa i gdyby miało się to dziać na oczach tylu ludzi naraz.

Ponieważ jednak firmę otwierano dla klientów dopiero o wpół do dziesiątej rano, podczas spotkania o ósmej powinno tam być względnie spokojnie i prawie pusto, co zapewne pozwoli jej na łagodne przejście od dawno minionych wspomnień lat dzieciństwa do realnej rzeczywistości.

Kate uśmiechnęła się, skinęła głową i pogłaskała Rolla po rękę.

- Ależ tak, oczywiście - powiedziała.

- Masz rację, jak zawsze.

- Charlotte doradzi ci, jak masz się ubrać.

Poza wszystkim innym trzeba zatrzeć złe wrażenie, jakie tamtego dnia musiałaś wyrzucić na Blaisie Chandlerze.

On sytuuje się bardzo wysoko w hierarchii Despards, więc po prostu wypada się postarać i nawiązać z nim możliwie dobre stosunki.

Najważniejsze, żeby był po naszej stronie...

Nawet jak na siebie, Rollo rozgadał się zupełnie niemożliwie, autorytatywnie pouczając Kate, jak ma się zachowywać i co ma mówić.

Kate słuchała tego dosyć potulnie, gdy nagle, w samym środku tej tyrady, kątem oka pochwyciła spojrzenie Charlotte i dostrzegła w nim tę samą nieco kpiącą i ironiczną rezygnację, którą podczas monologów Rolla nieraz czuła również w sobie.

Przez chwilę patrzyły na siebie i Kate już wiedziała, że w osobie Charlotte znalazła przyjaciółkę.

A może nawet bratnią duszę, która - jak dobrze pójdzie - pozwoli jej wyswobodzić się wreszcie z cokolwiek obezwładniającej zależności od Rolla, zintensyfikowanej jeszcze bardziej po śmierci jej matki.

- Od jak dawna znasz Rolla?

- spytała, kiedy wraz z Charlotte rozpakowywały stos paczek i pakunków z zakupami zrobionymi tego popołudnia.

- Och, jeszcze od ostatnich lat przed wojną.

Grywałam wtedy młodziutkie naiwne i dostałam właśnie drugą co do ważności rolę w teatrze Adelphi, w przedstawieniu jednej ze sztuk Noela Cowarda.

- Czy już wtedy był taki jak teraz?

- W każdym razie już się do tego zbliżał.

Swój pokręcony stosunek do świata musiał wyssać chyba z mlekiem matki, ale wtedy akurat bardzo mi pomógł w szczególnie trudnej sytuacji.

Rzecz w tym, że główną rolę grał tam pewien cukierkowy amant, który uważał, że przysługuje mu co najmniej prawo pierwszej nocy w stosunku do wszystkich kobiet grających z nim razem; a ja byłam na tyle głupia, że się w nim zakochałam.

Wtedy Rollo okazał się naprawdę wspaniały.

Oczywiście, potrafi też być bardzo męczący i ma tę skłonność do zawłaszczania każdego, z kim się styka.

Ale jako przyjaciel jest niezrównany, mówię ci.

- Tak, jest rzeczywiście wspaniały - z entuzjazmem potwierdziła Kate.

- Nawet jeśli, jak to określiłaś, bywa odrobinę zaborczy.

- Odrobinę, akurat!

- Charlotte roześmiała się.

- No cóż...

Niektórzy już teraz nazywają go moją szarą eminencją - przyznała Kate z całkowitą otwartością.

- Właśnie, więc może lepiej uważaj, żeby nie zagarnął za wiele władzy dla siebie - ostrzegła ją delikatnie Charlotte.

- Nie pozwól na to, Kate.

Sama podejmuj decyzje i bierz za nie odpowiedzialność.

Wtedy będziesz sobie mogła spokojnie patrzeć w oczy, przeglądając się w lustrze każdego ranka.

- Tak, z pewnością masz rację.

- Kate miała ochotę uściskać ją, ale obawiała się, że może przez to zburzyć pieczołowicie wypracowaną doskonałość stroju i fryzury Charlotte.

Ta jednak wyczuła intencję i sama pochyliła się, by ucałować Kate w policzek.

- Wiesz już, gdzie mieszkam, i znasz numer telefonu.

Przyjeżdżaj więc albo dzwoń, kiedy tylko będziesz mnie potrzebować.

Uśmiechnęła się i wyszła.

Kate usłyszała jeszcze, jak przez chwilę rozmawia z Rollem.

Potem rozległ się dzwonek u drzwi, a sam Rollo pojawił się na progu.

- No więc można uznać ten dzień za bardzo pożytecznie spędzony!

- oświadczył z zadowoleniem.

Najwyraźniej czuł się świetnie.

- Tak czy inaczej, jutro musisz wstać bardzo wcześnie - powiedział.

- A dziś miałaś naprawdę ciężki dzień, załatwiając te wszystkie rzeczy.

- Tylko jedną jedyną rzecz!

- wykrzyknęła Kate i mimo woli spojrzała w lustro.

- Dobrze, niech będzie, że jedną.

Ale wartą tego trudu i tych pieniędzy, prawda?

- Wartą każdych pieniędzy!

I dziękuję ci, że przyprowadziłaś Charlotte.

Ogromnie ją polubiłam.

- Byłem pewien, że tak właśnie będzie - zgodził się Rollo.

- No więc umawiamy się, że przyjdę tu jutro rano kwadrans po siódmej.

A ty postaraj się wyglądać jeszcze lepiej niż dzisiaj.

- Wyciągnął dłoń i końcem palca leciutko zadarł do góry czubek nosa Kate.

- A jeżeli dobrze się sprawisz, to może będę miał dla ciebie kolejną niespodziankę.

Rozdział 5 .

Firma Desparda zajmowała cały narożny blok między Arlington Street i Saint James. Główne wejście mieściło się od strony Arlington; klasycyzująca fasada, portyk z prowadzącymi doń szerokimi granitowymi schodami, na których układano wielki czerwony chodnik w dniach, kiedy miały się odbywać szczególnie ważne aukcje.

Ogromne podwójne drzwi pomalowane były na kolor bardzo ciemnej butelkowej zieleni, pośrodku błyszczała staroświecka mosiężna kołatka i - również mosiężna - tabliczka firmowa z wygrawerowanym napisem DESPARD ET CIE.

Kate pamiętała, że każdego roku, niemal od przedwiośnia aż po późną jesień, na parapetach wszystkich pomieszczeń parteru w nienagannie utrzymanych podłużnych skrzynkach stale rosły kwiaty: wiosną narcyzy, hiacynty, tulipany i ogrodowe dzwonki; latem nagietki, goździki, drobne różyczki i kędzierzawe stokrotki; jesienią nie znane jej z nazwy drobne krzaczki o ozdobnych liściach i pokryty czerwonymi jagodami ostrokrzew, który potrafił dotrzeć do Bożego Narodzenia.

Zresztą również i w środku, kiedy już się minęło niewielki przedsionek z ogromną staroświecką wycieraczką i przeszło do głównego hallu recepcyjnego, niezmiennie natrafiało się na kwiaty, zawsze świeże i zaaranżowane na sposób francuski, to znaczy ułożone en masse w wielkich wazach, ozdobnych srebrnych misach albo też w specjalnych wazonach ze szkła Tiffany Fevrile.

Najpiękniejsze kwiaty z reguły były wystawione w wazonie umieszczonym na środku wspaniałego stołu ze złożonego drewna z okrągłym blatem z włoskiego marmuru - w centrum hallu recepcyjnego.

W głębi rozpościerały się okazałe schody pokryte grubym czerwonym chodnikiem z wytwórni Wiltona.

Obok schodów osobne rzeźbione drzwi prowadziły do pomieszczenia dla personelu. Między tymi drzwiami a głównymi schodami stało biurczko w stylu Ludwika XV, na wdzięcznie wygiętych nóżkach, ozdobione małymi kariatydami i liśćmi ze złożonego mosiądzu.

Za tym biurkiem siadywała recepcjonistka, przez lata była to miss Hindmarsh, obecnie chyba już na zasłużonej emeryturze; Kate pamiętała, że panna Hindmarsh też zawsze miała kwiaty w pięknym podwójnym niebieskim wazonie z Vincennes, który był ustawiony zaraz obok biurkowego zegara w stylu art deco.

Jedno i drugie było tam zawsze, jak daleko Kate sięgała pamięcią.

Za biurkiem stało piękne krzesło, również w stylu Ludwika XV, z ozdobną ramą z drewna bukowego, obite surowym jedwabiem koloru wytrawnego szampana.

Dokładnie taki sam kolor miały ciężkie zasłony obramowujące wysokie okna.

W niewielkiej wnęce po lewej stronie od głównego wejścia wisiał na ścianie portret założyciela firmy, Gastona Desparda.

W szklanej witrynie umieszczonej pod portretem leżał pozostały po protoplastie firmy staromodny młotek licytatorski, okrągłe okulary w drucianej oprawie i pierwsza księga handlowa firmy Desparda.

Na twarzy Kate, kiedy wchodziła tam tego dnia o ósmej rano, można było dostrzec wzruszenie i napięcie jednocześnie, toteż Rollo rozsądnie zadbał o to, żeby przez chwilę mogła pozostać sama ze swymi wspomnieniami.

Kate przeszła do wnęki z portretem i przez dłuższą chwilę przyglądała się wizerunkowi starego Gastona.

Założyciel rodu trzymał w dłoni niewielką porcelanową polewaczkę w błękitne i złote pasy, ozdobioną rozkwitającymi, porcelanowymi różyczkami.

Ta polewaczka na obrazie pochodziła z manufaktury w Vincennes, a ojciec Kate opowiedział jej, że niegdyś królowa Maria Antonina zwykła była używać tej właśnie polewaczki w swym pałacu w Wersalu - do podlewania porcelanowych kwiatów kosztownymi perfumami.

I ta właśnie oryginalna polewaczka po latach trafiła do firmy i stale pozostawała w gabinecie jej właściciela.

Kiedy Kate jako dziecko przychodziła do ojca, ten pozwalał jej brać do rąk to bezcenne naczynie.

To był wyraz jego zaufania do córki.

A żeby lepiej zapamiętała opowieść o królowej, ojciec kupił jej butelkę prawdziwych perfum Quelques Fleurs w firmie Roger & Gallet, i Kate - tak samo jak królowa - mogła nimi podlewać wdzięczne bukietki leśnych kwiatów, wytwarzane z porcelany w Chelsea.

Kate odwróciła się, a Rollo dostrzegł na jej twarzy ślady łez.

Musiała to mocno przeżywać; zresztą spodziewał się tego i zadbał, żeby przynajmniej na początku mogli być w firmie sami i bez świadków.

Kate musiała mieć czas na uporanie się z najbardziej dojmującymi wspomnieniami.

Wciąż jeszcze cokolwiek pociągając nosem, podeszła do stojącego pośrodku okrągłego stołu i przesunęła palcami po zimnym marmurze blatu.

Podniosła oczy i nagle znieruchomiła.

- Ależ...

to pan Smythe!

I panna Hindmarsh?

O, i pan Hackett, i pan Brooke!

Z grupki witających wysunął się pan Smythe, drobny stary mężczyzna o wijących się białych włosach i twarzy rozpromienionej uśmiechem.

Jego bystre oczy były pełne ciepła i życzliwości, kiedy podszedł do Kate z wyciągniętymi rękami.

- Witamy znów w domu, panno Cat!

Witamy w domu.

Kate tym razem rozplakała się na dobre.

W jakiś czas później siedziała w krześle panny Hindsmarsh i ocierała resztki łez wzruszenia.

Henry Brooke poklepał ją uspokajająco po dłoni.

- Z całą pewnością musiał to być szok, kiedy zobaczyła pani nas wszystkich razem.

Może nie powinniśmy byli zjawiać się tak bez uprzedzenia, ale pan Bellamy utrzymywał, że to powinna być niespodzianka.

- Toteż była - powiedziała Kate i znów się uśmiechnęła.

- To bardzo przyjemna niespodzianka, zostać powitaną przez starych przyjaciół, którzy tyle dla mnie znaczą.

I to zostać powitaną tak wcześnie rano.

- Och, do tego akurat jesteśmy przyzwyczajeni - powiedział Wilfred Smythe.

- Zawsze tu przychodzimy na ósmą, a za to wychodzimy już o czwartej.

Dzięki temu unikamy pory największych korków.

Ale na przykład panna Hindmarsh przyjechała z Reigate specjalnie, ponieważ jest już na emeryturze od siedmiu lat.

Kate popatrzyła na nią z podziwem.

Panna Hindmarsh za jej czasów była dyrektorką administracyjną, już wtedy miała siwe włosy i nawyki żelaznej dyscypliny.

Wciąż trzymała się prosto, a spojrzenie jej stalowo błękitnych oczu było nadal bystre i przenikliwe; włosy miała uczesane według mody sprzed pięćdziesięciu lat.

Także jej strój nie zmienił się od tych czasów.

- Trudno pomyśleć, że moglibyśmy wobec ciebie postąpić inaczej - oświadczyła panna Hindmarsh z tą samą, nieco kostyczną surowością.

- Najwyższy czas, żebyś wróciła na należne ci miejsce.

Twój ojciec zawsze o tym marzył.

- Bardzo słusznie - przytaknął George Hackett.

- Za skarby świata nie chcielibyśmy stracić chwili, kiedy przejmujesz firmę.

- Jesteście tacy sami jak wtedy!

- wykrzyknęła Kate, czując, że się wzruszyła.

- No, może nie całkiem.

- Henry Brooke westchnął.

- Chyba jesteśmy odrobinę starsi.

- Bardzo bym chciała, żeby się okazało, że i reszta pozostała nie zmieniona, tak jak wy.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

Potem Henry Brooke, którego Kate zawsze pamiętała jako szczególnie miłego starszego pana, odkaszlnął i powiedział: - No cóż, dużo dawnych pracowników pozostało.

Ale nastąpiły też pewne zmiany.

- I to niekoniecznie na lepsze - oświadczyła panna Hindmarsh.

- Ale teraz, kiedy już wróciłaś, Catriono, z pewnością zadbasz, żeby wszystko znów funkcjonowało według dawnych dobrych zasad.

Tą firmą dobrze zarządzać może tylko ktoś z Despardów.

Trzej starzy mężczyźni niemal jednocześnie kiwnęli głowami, potwierdzając słowa panny Hindmarsh.

Kate nagle zdała sobie sprawę, że dla nich jej powrót musiał oznaczać coś w rodzaju niespodziewanego przybycia odsieczy do zagrożonej twierdzy.

Z całą pewnością nikt z nich nie miał ochoty znaleźć się pod władzą Dominique du Vivier, zwłaszcza gdy jedyną alternatywą było, że zostaną przez nią po prostu wyrzuceni.

- Z pewnością chcę, żeby firma Desparda była taka, jak dawniej - powiedziała Kate.

- Dlatego tu jestem.

Mężczyźni znów skinęli głowami, a Wilfred Smythe powiedział po prostu: - Wiedzieliśmy, że tak właśnie będzie.

Stary pan Smythe zawsze był wyjątkowym i szczególnym przyjacielem Kate za jej lat dziecinnych; dziewczynka wręcz uwielbiała odwiedzanie go w jego "orlim gnieździe" na poddaszu budynku, w wielkim pokoju o suficie ze szkła, gdzie pan Smythe spędzał całe dni na konserwowaniu i restaurowaniu najcenniejszych dzieł sztuki - takich, które warte były jego niezwykłego talentu.

- Tak więc, panno Kate - oświadczył Henry Brooke - jeśli pani pozwoli, zostawimy panią teraz, żeby mogła pani już bez nas przyrzeć się wszystkiemu, a następnie odbyć zaplanowane spotkanie.

Ale potem moglibyśmy jeszcze raz się spotkać i zjeść razem lunch.

Co pani na to?

Kate mimo woli spojrzała na Rolla, który nie mrugnawszy okiem powiedział: - Tak się szczęśliwie składa, że akurat naprzeciwko jest "Ritz".

A Kate ma teraz specjalne fundusze na tego rodzaju wydatki.

Idziemy, proszę państwa.

Kate patrzyła, jak wszyscy znikają za drzwiami.

Potem otarła oczy, zrobiła parę głębszych wdechów i spróbowała znów zebrać siły na dalsze spotkania z utraconą do niedawna przeszłością.

W kilku kolejnych salach rozwieszono były obrazy, z których każdy miał na sobie dwie niewielkie nalepki: okrągłą, na której wypisana była przewidywana data wystawienia na aukcję, i kwadratową, z numerem katalogowym.

W następnej sali, w głębi pod ścianą, stała wspaniała złocona sofa w stylu Jerzego III, obita tą samą jedwabną materią w kolorze wytrawnego szampana, z której zrobione były również zasłony.

Dalej, na niewielkim ozdobnym stoliku leżały katalogi przygotowane na najbliższe planowane aukcje, a także pewna liczba egzemplarzy firmowego wewnętrznego kwartalnika "Desparda", w którym zamieszczano sprawozdania z działalności firmy w ciągu ostatnich trzech miesięcy i odpowiednie analizy, prospekty i ulotki, zatytułowane Oferty firmy Desparda, które wyszczególniały możliwości usług oferowanych potencjalnym klientom, podając przy okazji adresy i numery telefonów wszystkich filii i samodzielnych oddziałów firmy, zarówno w Wielkiej Brytanii, jak w Europie i na całym świecie.

Takie ulotki i prospekty z reguły zawierały też pieczołowicie dobrane kolorowe zdjęcia najciekawszych obiektów, zarówno tych sprzedanych już na niedawnych aukcjach, jak i tych, które przeznaczone były do wystawienia na licytację w zbliżających się terminach.

Kate pobieżnie przejrzała te wszystkie publikacje i z przyjemnością stwierdziła, że firma Desparda nadal zachowywała swą znaczącą pozycję i w liczącym się stopniu uczestniczyła w światowym obrocie najcenniejszymi dziełami sztuki.

Potem Kate skierowała się ku schodom i delikatnie przesuwając czubkami palców po polerowanym drewnie strzelistej poręczy, przeszła na pierwsze piętro.

Tam mieściły się wyodrębnione działy, oznaczone grawerowanymi w metalu szyldzikami: Szkło, Porcelana, Ceramika, Meble, Obrazy, Zegary, Klejnoty, Broń i zbroje.

Wszystkie one mieściły się w licznych pokojach, do których wchodziło się z centralnego korytarza.

Nawet dywany na wywoskowanych podłogach były do sprzedania i każdy był odpowiednio oznakowany dla wygody ewentualnych kupujących.

W samym centrum tych wszystkich pomieszczeń mieścił się kwadratowy pokój oznaczony napisem Załatwianie zakupów, w którym klienci płacili za nabyte towary; oczywiście nie dotyczyło to klientów o specjalnym statusie, którzy w firmie Desparda mieli otwarty specjalny rachunek.

To właśnie w tych rozległych pomieszczeniach ekspozycyjnych na pierwszym piętrze klienci najczęściej podejmowali decyzje przystąpienia do licytacji.

Te z kolei odbywały się w jednej z trzech wielkich sal na drugim piętrze.

Każda z nich miała ściany obwieszane cennymi obrazami, wewnątrz zastawione było krzesłami dla gości, a w głębi na podium mieściło się stanowisko dla prowadzącego licytację.

W każdej z tych sal na ścianie nad stanowiskiem prowadzącego była umieszczona ogromna tablica elektroniczna, podająca szczegółowe informacje o kolejnych ofertach w przeliczeniu na amerykańskie dolary, niemieckie marki, francuskie i szwajcarskie franki, i oczywiście brytyjskie funty.

Każda sala wyposażona była we własny obwód wewnętrznej telewizji.

To było samo serce domu aukcyjnego Desparda.

Właśnie w tej sali po raz pierwszy w życiu widziała przed laty taką aukcję; jako mała dziewczynka stała na siedzeniu krzesła w ostatnim rzędzie i przyglądała się, jak jej ojciec sprzedaje obraz Poussina i uzyskuje zań niesłychaną jak na owe czasy sumę miliona funtów.

Wtedy po raz pierwszy poczuła to niezwykle podniecenie: skurcz żołądka, drżenie łydek, nagłą suchość w ustach.

Od tego czasu, jeśli tylko nie miała akurat zajęć w szkole, a w firmie Desparda odbywała się jakaś większa licytacja, zawsze starała się przyjść i oglądać aukcję.

Nawet teraz, stojąc w głębi korytarza, mogła sobie przypomnieć ten zapach dymu z kosztownych cygar, woń perfum eleganckich dam, całą tę ekscytującą atmosferę.

To było takie podniecające.

Kate spojrzała na swoje ramię i nie zdziwiła się, gdy spostrzegła, że na samo wspomnienie jeszcze i teraz dostała gęsiej skórki.

Zamknęła za sobą drzwi i przeszła o kondygnację wyżej.

Tam schody były już drewniane, a nie marmurowe; nie było też na nich czerwonego chodnika.

Na tym piętrze mieściły się pomieszczenia robocze i specjalistyczne: większość z nich w starym bałaganie, zavalone książkami, stosami papierów, pudłami i skrzynkami ustawionymi w stosy, sięgające nieraz aż po sufit.

Cała przestrzeń tego piętra podzielona była na dość duże sale, ale te z kolei przez lata dzielono różnymi przepierzeniami na coraz mniejsze pomieszczenia, tak że w rezultacie niektóre z nich zmieniły się w krańcowo ciasne, nawet bez okien, ledwo mieszczące jakieś biurko i krzesło.

W takich klitkach pracowali studenci i doktoranci sztuki, przygotowywali notatki i opracowania, a także prace doktorskie, tu uczyli się zawodu i nabierali doświadczenia w swej specjalności w danej dziedzinie sztuki.

Pracowali nad sobą usilnie, stale gotowi na wezwanie przełożonych; wtedy taki aspirujący do przyszłego stanowiska delikwent mógł pojawić się w gabinecie i przedstawić swą wiedzę i umiejętność myślenia - co odbywało się pod czujnym nadzorem szefów działów.

Szefami działów bywali mężczyźni i kobiety, w różnym wieku - poczynając już od lat trzydziestu kilku w górę - ale zawsze byli to wybitni specjaliści, niezrównani w tej czy innej dziedzinie, a były to na przykład: stare angielskie srebra, dalekowschodnia lub angielska porcelana, angielskie i kontynentalne zbroje rycerskie, francuskie i angielskie meble i tak dalej, i tak dalej.

W tych pomieszczeniach zawsze było dosyć cicho, rozmowy z reguły były prowadzone półgłosem.

Teraz w tle tych starych pomieszczeń tu i ówdzie można było dostrzec migocące szklane ekrany.

Kate zdała sobie sprawę, że do firmy Desparda wkroczyły komputery, a wiedza ludzi zaczęła być zapisywana w elektronicznej pamięci tych urządzeń.

Na tym samym piętrze, ale już w głębi, na samym końcu korytarza mieściło się biuro operacyjnego zarządzania.

Tam odbywały się podsumowujące comiesięczne zebrania, połączone z dokładnym omówieniem działalności i osiągnięć różnych działów i w szczególności wyników ostatnich aukcji.

Potocznie nazywano to śledztwem, jako że na tych zebraniach zadawano trudne pytania i żądano jasnych odpowiedzi: dlaczego ten czy tamten obiekt nie uzyskał założonej ceny?

co zrobić z pracownikiem, który okazał się nieodpowiedzialnie lekkomyślny?

i jak - przy całym szacunku - potraktować długoletniego klienta, który niegdyś regularnie dokonywał wielkich zakupów, a teraz przeżywa poważne trudności finansowe?

Kate stanęła przed wielkim stołem, przy którym odbywały się takie właśnie zebrania, i rozejrzała się po sali.

Nieco poczerniała Madonna pędzla Hansa Memlinga wciąż wisiała w tym samym miejscu nad kominkiem, gdzie ściana pokryta była ozdobną boazerią, którą Charles Despard nabył kiedyś na wyprzedaży pozostałości z burzonego podówczas klasztoru dominikanów.

Kryształowy żyrandol pochodził z Waterford, dywan był rzadkim egzemplarzem chińskiej jedwabnej tkaniny z przedstawioną na niej sceną rodzajową - można było na nim dostrzec jezioro i ogrody cesarskiego pałacu.

Dominujący był blady róż, głębokie odcienie koloru niebieskiego i kremowa biel o specyficznej gruzelkowej fakturze.

Kate obeszła cały ten ogromny pokój, potem przeszła do następnych sal i pomieszczeń, zaglądając po drodze tu i ówdzie.

Być może podświadomie odsuwała moment, na który czekała od tak dawna, ale którego trochę się też obawiała: moment, kiedy miała pójść na najwyższe piętro budynku, gdzie mieścił się gabinet jej ojca.

Klienci wjeżdżali tam windą z parteru.

Kate skorzystała ze schodów, na tym piętrze również drewnianych, ale znów pokrytych grubym czerwonym chodnikiem.

Podwójne drzwi były zamknięte, dookoła panowała cisza.

Rollo miał rację z pomysłem przyjścia tu możliwie wcześniej, pomyślała Kate.

Położyła dłoń na starej kłamce wykonanej z ozdobnego szkła Lalique i weszła do środka.

Najpierw uderzył ją znajomy zapach.

Tak znajomy, że niemal natychmiast poczuła się znowu jak w utraconym dzieciństwie.

To był ten charakterystyczny zapach cygar Romeo y Giuletta, które ojciec zawsze palił, zapach jak zawsze przemieszany z wonią woskowej pasty do konserwowania olbrzymiego dębowego biurka, pochodzącego bodaj z 1785 roku.

Do tego dołączał się zapach róż, które niezmiennie ustawiano w pięknej chińskiej wazie Chia Ching, niewielkiej, przykrytej specjalną porcelanową pokrywą z otworami na łodygi kwiatów.

Waza stała zawsze na marmurowej półce nad kominkiem.

Po drugiej stronie półki pogodnie uśmiechał się nefrytowy Budda, a pośrodku stała seledynowa miseczka, w której palono kadzidło.

Nad półką było miejsce na obraz, który zmieniano mniej więcej co kwartał, zgodnie z porami roku.

Teraz wisiał tam cudowny Renoir: nieomal wysypująca się z ram masa białego bzu w biało-niebieskiej wazie z epoki Ming.

Wielkie biurko ojca stało naprzeciwko trzech wysokich okien, zasłoniętych ciężkimi aksamitnymi kotarami barwy starego burgunda; ich kolor współgrał z czerwieniami i błękitami bezcennego dywanu z dawnej Besarabii.

Pod ścianą stały dwa podwójne stoliki z czasów Jerzego III, każdy z nich ustawiony pod należącym do kompletu lustrem w ozdobnej złoczonej ramie.

Na samym środku pokoju ustawiony był przepyszny okaz włoskiej pietradura: głęboka czerń i złoto, wspaniałe kwiaty i owoce.

Przy ścianie naprzeciwko kominka stała czarnoziłota japońska szafka z laki, spełniająca tu rolę małego kredensu, ustawionego na stylowym hebanowym podeście.

Kate wiedziała, że w japońskiej szafce jej ojciec przechowywał podręczne zapasy alkoholu przeznaczonego dla odwiedzających go gości: różne rodzaje whisky, koniaku i obowiązkowego w Wielkiej Brytanii sherry.

Tam również przechowywano kieliszki i szklanki.

Przed biurkiem ustawione były dwa wygodne mahoniowe fotele w stylu Jerzego III, z gotyckimi oparciami przewiercanymi i wycinanymi na wylot.

Te fotele również przeznaczone były przede wszystkim dla gości, a kolejne dwa stały po obu stronach japońskiej szafki.

Nigdzie nie było widać jakichkolwiek dokumentów czy notatek.

Kate wiedziała, że wszystkie papiery ojciec oddawał swojej sekretarce, której biuro mieściło się obok, za drzwiami po lewej stronie.

Za czasów dzieciństwa Kate sekretarką była pani Hennessy, osoba dość pulchna i nieco przesadnie usłużna, choć jednocześnie wysoce sprawna.

Pani Hennessy w swoim czasie wyszła za mąż - raczej dość późno - i wkrótce stwierdziła, że jednak wciąż znacznie bardziej odpowiada jej praca.

Kate przez dłuższą chwilę stała na progu, nie mogąc się zdecydować, co dalej.

Miała wrażenie, że przeszłość nagle rzuca się na nią, wspomnienia przesuwają się w takim tempie, że czuła się krańcowo oszołomiona i wyczerpana.

Dopiero po chwili odpoczynku weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Znów zrobiła kilka głębokich wdechów, wyrównała oddech i dopiero wtedy, odrobinę uspokojona, zaczęła przyglądać się wszystkiemu, delikatnie dotykając poszczególnych przedmiotów, czasami biorąc je w dłonie albo też głaszcząc pieszczotliwie.

Przypomniał się jej dziecinny przesąd, który sama sobie wymyśliła w czasach, gdy przychodziła tu jako mała dziewczynka i rozglądała się wokół, podczas gdy ojciec na przykład rozmawiał przez telefon i załatwiał jakieś ważne sprawy.

Kate wmówiła sobie wówczas, że po przyjeździe koniecznie musi dotknąć każdego przedmiotu po kolei, a potem koniecznie powinna zrobić to samo przed wyjściem, gdyż w przeciwnym razie już nigdy więcej nie będzie mogła tu wrócić.

Teraz pod czubkami palców znów czuła delikatną fakturę rzeźbionego drewna, ciepłą gładkość steatytu, niemal aksamitną, powierzchnię starej kości słoniowej.

Zatraciła się w swej przeszłości sprzed dwunastu lat, gdzie ogromniejąca postać jej ojca zajmowała tak wiele miejsca, że nieuchronnie przytłaczała resztę.

Nagle poczuła się tak, jak gdyby jej ojciec był razem z nią i przyglądał się jej tak samo jak wtedy, gdy była małą dziewczynką: z czułością i wyrozumiałością, które mogły się brać tylko z miłości.

Kate w końcu zbliżyła się do jego biurka.

Wszystko pozostało dokładnie tak, jak to pamiętała.

Wielki zielony bibularz z wkładem wymienianym na nowy, gdy tylko pojawiały się pierwsze ślady zużycia; specjalna tacka ze staroświeckimi obsadkami.

Charles Despard nigdy nie używał nowoczesnych piór kulkowych, utrzymując zawsze, że psują one charakter pisma.

Toteż na środku biurka stał wielki wiktoriański kałamarz, zawsze napełniony jego ulubionym indyjskim atramentem.

Był tam też oprawny w skórę dziennik jej ojca, regularnie zapisywany zielonym pochyłym pismem; u dołu każdej strony były jego inicjały.

Szkatułka chroniąca cygara przed wysychaniem wyrzeźbiona była z kości słoniowej. Obok stała ciężka biurkowa lampa z brązu, z abażurem ze szkła ołowiowego - Tiffany Wisteria.

Kiedy się ją zapalało, dawała niewiele światła, ale jej ojciec tak właśnie lubił.

Na biurku stały zawsze trzy telefony: jeden do rozmów miejskich i zagranicznych, drugi, wyposażony w mnóstwo przycisków, do rozmów wewnętrznych i wreszcie trzeci, biały, podłączony do jego specjalnej, prywatnej linii.

Mały zegar w obudowie ze szkła Lalique, z tarczą ukształtowaną na podobieństwo parasola, wciąż chodził tak dokładnie jak dawniej.

Kate wzięła go w dłonie, pamiętając, jak bardzo ją to fascynowało, kiedy przychodziła tu jako dziecko.

Filigranowe ozdobne wskazówki przesuwaly się niezauważalnie, Kate wpatrywała się w nie w głębokim zamyśleniu, a tymczasem za jej plecami inny zegar wybił właśnie godzinę dziewiątą.

Był to duży stojący czasomierz, szczególnie ulubiony przez zajmującego się zegarami Georgea Hacketta: staroświecka maszyneria w wysokiej georgiańskiej szafce z zielonej laki ozdobionej dalekowschodnimi motywami.

Oba zegary powiedziały jej jednak to samo - że czas ucieka.

Kate obeszła biurko i wtedy spostrzegła, że w zapamiętanym z dawnych lat obrazie całości pojawił się nowy element.

Na biurku, w niewielkiej srebrnej ramce bez ozdób, stała fotografia drugiej żony Charlesa Despada.

Kate pamiętała, że ojciec nigdy nie miał na swym biurku fotografii jej matki.

W tej chwili poczuła w sercu przykre ukłucie.

No tak, Catherine Despard była piękną kobietą.

Włosy koloru najczystszej złota, chabrowe oczy, cera niczym krew z mlekiem.

Na tym oprawionym w ramkę zdjęciu Catherine miała całkowicie odsłonięte ramiona, na szyi potrójny sznur pereł i w uszach przepiękne - również perłowe - kolczyki.

Zdjęcie Catherine ustawione było w ten sposób, że ojciec mógł zawsze mieć je przed oczami; więc przyglądał się swej drugiej żonie dość często.

Kate przysunęła sobie ozdobnie rzeźbiony fotel - również bardzo wygodny, wczesnogeorgiański - i usiadła za biurkiem.

Niechcący nacisnęła stopą przycisk z prawej strony biurka.

Niemal natychmiast drzwi sekretariatu otworzyły się i w progu pojawiła się pani Hennessy.

Zatrzymała się, z dłonią położoną na piersi, jakby dla powstrzymania nagłego bicia serca.

- Mój Boże, ależ mnie pani zaskoczyła...

- powiedziała wciąż zdyszana, choć było w tym trochę teatralnej przesady.

- Przez chwilę myślałam, że to...

- Znów zamilkła, jakby zabrakło jej oddechu.

- To znaczy, chciałam powiedzieć, że nie spodziewaliśmy się pani tak wcześnie.

Zbyt późno Kate przypomniała sobie, że w firmie Despards pani Hennessy była znana jako Oczy i Uszy Świata.

Plotki i pogłoski wychwytywała wprost z powietrza, tak jak rośliny wychwytyją dwutlenek węgla.

Było więc bardzo mało prawdopodobne, by nie wiedziała, że Catriona Despard wraca do firmy jako właścicielka, w środę o ósmej rano.

Tak czy inaczej, teraz w jej spojrzeniu widać było pewne zaskoczenie, przemieszane z nie ukrywaną ciekawością.

Jej twarz wydawała się zaróżowiona z podniecenia, choć być może wynikało to też ze zbyt mocno zaciśniętego gorsetu.

Ale oczy pozostawały chłodne i uważne.

- To z całą pewnością niespodzianka dla nas wszystkich.

Po tylu latach.

-Tak.

- Przypuszczam, że trzeba będzie teraz zwracać się do pani per "panno Catriono" zważywszy na to, że przestała pani już być dzieckiem.

- Proszę się do mnie zwracać po prostu "panno Despard" - powiedziała Kate.

Mocno zaróżowione policzki Sheelagh Hennessy pociemniały jeszcze bardziej i przypominały teraz dojrzałe śliwy.

Nigdy nie lubiła Kate i zawsze uważała ją za dziecko rozpieszczone i zepsute przez nadmiernie wyrozumiałego ojca.

Skądinąd w firmie Despards wiadomo było, że w swoim czasie "ta Hennessy" miała w stosunku do swego szefa bardzo określone plany i zamierzała stać się jego "biurową żoną", i to jak najbardziej dosłownie.

Kiedy jej się to nie udało, usprawiedliwiła swe niepowodzenie tym, że Charles pozostawał pod godnym ubolewania wpływem swej do cna rozpuszczonej córki.

Również i teraz oczy pani Hennessy miały w sobie akurat tyle ciepła i życzliwości dla Kate, ile jej ma przeciętny brukowy kamień.

Kate nie zamierzała się tym przejmować.

- O dwunastej będę tu miała spotkanie z panem Blaiseem Chandlerem - powiedziała.

- Proszę dopilnować, aby w tym czasie nikt nam nie przeszkadzał.

Spostrzegła, że wąskie wargi sekretarki zaciskają się jeszcze bardziej, i z tym większą satysfakcją dodała: - Proszę też przygotować dla nas napoje, pan Chandler będzie pił kawę.

- Znam pana Chandlera - powiedziała Sheelagh Hennessy ze źle ukrywaną irytacją.

- Z żoną, albo bez niej, pojawiał się tutaj bardzo często.

- Tu, rozzłoszczona, nie potrafiła już nad sobą zapanować i dodała: - Czego o pani w ciągu ostatnich dwunastu lat nie dałoby się powiedzieć.

Kate popatrzyła na nią, a jej oczy zmrużyły się jak u kota.

- Więc proszę po prostu tego nie mówić.

Rozumiemy się?

Policzki Sheelagh Hennessy zaczerwieniły się w sposób wręcz alarmujący.

- Czy pani pozostanie w biurze do czasu przyjścia pana Chandlera?

- Nie.

Ale zadzwonię, jeżeli będę pani potrzebowała.

Rozumiem, że pani zamierza zostać w biurze?

- To było nie tylko pytanie, ale i jawne ostrzeżenie.

- Oczywiście - odpowiedziała pani Hennessy.

- Doskonale.

Wobec tego proszę zawsze pukać, zanim pani tu wejdzie.

Zapamięta pani?

Niebieskie oczy pani Hennessy sprawiały wrażenie, że za chwilę mogą wypaść z oczodołów; odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami.

Tymczasem Kate była zadowolona i rozbawiona jednocześnie.

A więc potrafiła to zrobić.

Pokazała, że może mieć autorytet, że muszą się z nią liczyć.

Było dla niej oczywiste, że Sheelagh Hennessy - bez względu na dotychczasowe zasługi i przepracowane na tym stanowisku lata - będzie musiała przejść do pracy w jakimś innym dziale firmy Despard.

Kate doskonale wiedziała, że z nią pracować po prostu nie potrafi.

Była też pewna, że informacje o wszelkich jej poczynaniach natychmiast trafią prosto do obozu Dominique du Vivier.

Warto by się przy okazji zastanowić, jak to się stało, że pani Hennessy była w biurze tak wcześnie rano akurat tego dnia.

Czyżby już pojawił się jakiś przeciek?

Trzeba to koniecznie sprawdzić.

Drzwi otworzyły się i wszedł Rollo, oczywiście bez pukania.

- Personel firmy zaczyna się schodzić - oświadczył.

- A tak nawiasem mówiąc, przy wejściu natknąłem się na tę całą Hennessy.

Nic się nie zmieniła - ucieleśnione Oczy i Uszy Świata.

Myślę, że trzeba się jej pozbyć.

Jest pełna złości i jadu, zwłaszcza w stosunku do ciebie, i z pewnością stanie po stronie Dominique.

- Już zdecydowałam, że trzeba ją przesunąć - odpowiedziała Kate.

Ton jej głosu był spokojny i rzeczowy, ale pod tym łagodnym brzmieniem Rollo nagle wyczuł niespodziewaną twardość i determinację.

Wyglądało na to, że ta dziewczyna może mieć żelazną wolę.

Oczy Rolla zwęziły się mimo woli, kiedy się jej przyglądał.

Być może całkowicie zmieniła nie tylko ubiór, ale i osobowość?

Jeżeli chodziło o wygląd, zmiany były doprawdy imponujące.

Kate miała na sobie ten swój nowy kostiumik z zielonego lodenu, w którym wyglądała znakomicie, i doskonale buty z czerwono-brązowej skóry.

Jej nowa fryzura lśniła pełnym blaskiem, w uszach miała piękne złote kolczyki pasujące do ozdobnej złotej szpilki.

To nie była już ta dotychczasowa Kate, demonstracyjnie zaniedbana, zawsze najeżona i agresywnie reagująca, w oczywisty sposób niedojrzała dziewczyna.

Teraz nagle stała się kobietą, by nie powiedzieć - damą.

Tak to właśnie jest, pomyślał Rollo.

- Odbyłem wyjątkowo pouczającą pogawędkę ze starą gwardią - oznajmił z zadowoleniem.

- Panna Hindmarsh wciąż utrzymuje kontakt z większością przyjaciół ze starego personelu i dzięki temu jest wprost nieocenioną kopalnią informacji.

- Rollo po aktorsku zawiesił głos.

Jego pauzy były zawsze idealnie wyważone.

- Jest już oczywiste, że wojna będzie na noże.

Stara gwardia jest za tobą, choćby dlatego, że Dominique jest przeciw nim i uważa ich za muzealne wykopaliska.

Młodzi są za nią jak jeden mąż - zważywszy na to, że w znakomitej większości są to mężczyźni.

Również niektóre kobiety uznały ją za swój wzór.

Jej aktualnym hasłem jest "Racjonalizacja i Reorganizacja".

- Tu Rollo znów zrobił znaczącą pauzę.

- Natomiast Blaise Chandler, o ile zdołałem się zorientować, jest tu uważany za przyzwoitego i uczciwego człowieka.

Twój ojciec miał do niego zaufanie.

A poza tym, jak mówią, podobno to właśnie on przed laty uchronił Desparda przed bardzo poważnymi kłopotami prawnymi i katastrofalnym w skutkach procesem.

Firma wplątała się wtedy w jakiś podejrany, jak się okazało, choć pozornie bardzo lukratywny interes; a panna Hindmarsh utrzymuje, że ten interes naraiła właśnie Dominique du Vivier...

Przerwało im pukanie do drzwi.

Rollo spostrzegł, że twarz Kate rozjaśniła się na widok wchodzącego.

Okazał się nim pan Nigel Marsh, obecnie wiceprezes zarządu, zatrudniony w firmie Desparda od dwudziestu ośmiu lat.

Kate pamiętała go z lat współpracy z ojcem; jeszcze jako mała dziewczynka bardzo często huśtała się na jego kolanie.

Podbiegła do niego z wyciągniętymi na powitanie ramionami.

- Catriona!

A może wciąż po prostu Cat?

- Przez wiele lat nikt mnie tak nie nazwał - odpowiedziała Kate, zdumiona, że aż tak ją to poruszyło.

- Chyba należałoby teraz mówić "panno Despard", prawda?

W końcu jest już pani młodą damą.

W każdym razie to wielka radość widzieć panią tutaj.

To pani miejsce.

Kiedy przyszedłem, okazało się, że całe biuro huczy od wiadomości, że pani wróciła.

Dlaczego nie uprzedziła mnie pani wcześniej?

- Chciałam, żeby mój powrót odbył się możliwie jak najspokojniej.

Po tylu latach...

Pan Marsh kiwnął głową ze zrozumieniem i uspokajająco położył dłoń na ręce Kate.

- Oczywiście - powiedział.

Popatrzył na nią z nie ukrywanym podziwem.

-Ależ się pani zmieniła...

i wydorosłała!

- Jestem o dwanaście lat starsza.

- Ale te dwanaście lat wyszły pani na dobre, co niekoniecznie można powiedzieć o niektórych z nas.

Kate dopiero teraz zauważyła, że szpakowate niegdyś włosy pana Marsha stały się srebrne, zmarszczek na twarzy przybyło, a sylwetka przygarbiła się.

- Chciałabym jeszcze dziś spotkać się ze wszystkimi moimi przyjaciółmi -oświadczyła Kate.

- Może pani być pewna, że i oni bardzo tego chcą- odpowiedział pan Marsh.

-Wiem, że za parę godzin jest pani umówiona z panem Chandlerem.

A więc może udałoby się po południu?

Kate zawahała się i Rollo już zamierzał interweniować, jednak okazało się to niepotrzebne.

- Moje spotkanie jest umówione na dwunastą, a mamy dopiero wpół do dziesiątej.

Może więc spotkajmy się wszyscy w sali zarządu, na jakiejś kawie, powiedzmy o wpół do jedenastej?

- Bardzo dobra myśl!

- zgodził się pan Nigel.

- Takie zupełnie nieformalne spotkanie, prawda?

Można będzie zobaczyć starych przyjaciół, porozmawiać o dawnych czasach.

- Tak, to ma być całkowicie nieformalne - powiedziała z naciskiem Kate.

-Formalnie mam wszystko przejąć dopiero w kwietniu następnego roku.

Nigel Marsh kiwnął głową.

- Oczywiście!

- powiedział i znów uspokajająco dotknął dłoni Kate.

- Jak to dobrze, że to właśnie pani.

- Z całą pewnością postaram się, żeby przedsiębiorstwo funkcjonowało tak, jak za czasów mojego ojca - powiedziała Kate.

- Chcę, żeby to była kontynuacja.

- Doskonale, doskonale.

- Pan Marsh znów kiwnął głową i odetchnął z wyraźną ulgą.

- Może pani być pewna, że zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, żeby pani pomóc.

Oczywiście firma ma poszczególne działy, jak pewnie pani wie, które są kierowane przez różnych ludzi.

Ale większość zarządu będzie za panią.

Za taką firmą Despard, jaką znamy i kochamy.

- Dziękuję.
- Głos Kate zabrzmiał bardzo ciepło.
- Tak więc spotkamy się o wpół do jedenastej - powiedział pan Marsh.
- Dopilnuję, żeby wszyscy zostali powiadomieni, panno Despard.
- Skłonił się Kate, a potem zwrócił się w stronę Rollo.
Wiadomo było, że ani za nim nie przepada, ani mu nie ufa.
W tej sytuacji nie pozostawało mu jednak nic innego, jak uprzejmie się uklonić.
- Do widzenia, panie Bellamy.
Rollo z godnością skinął głową.
- Do widzenia, panie Marsh - odpowiedział, a gdy tylko zamknęły się drzwi, dodał: -
Nadęty stary bałwan.
Twój ojciec trzymał go tylko dlatego, że on zawsze miał jakieś tam stosunki.
Wiceprezes zarządu to coś takiego jak amerykański wiceprezydent: szumny tytuł i
żadnej odpowiedzialności.
Zresztą tak czy inaczej musiał już przekroczyć sześćdziesiąt pięć lat.
- Ależ nie - zaprotestowała Kate.
- Jest starszy ode mnie, a ja wkrótce będę miał sześćdziesiąt cztery!
A twój ojciec był tylko o cztery miesiące starszy ode mnie - powiedział opryskliwie Rollo.
- Poza tym już umówiłem cię na spotkanie z tamtymi.
Zamówiłem nawet szampana.
- Szampana wypijemy tutaj i potem pójdziemy z nimi na lunch - powiedziała Kate tonem,
który miał go ułagodzić.
- Przecież to okazja, która spada nam wprost z nieba!
Rollo, uświadom sobie, że porozmawiam z ludźmi z zarządu, dzięki temu będę mogła
mieć wyobrażenie o tym, co się dzieje w firmie.
I to znacznie wcześniej, niż przypuszczałam.
- No cóż, tak krawiec kraje...
i tak dalej - mruknął Rollo.
- Ale przynajmniej teraz zejdź do nich na chwilę.
Czekają na ciebie.
Tak więc Kate zeszła i spędziła ze starą gwardią prawie godzinę na rozmowach, głównie
o dawnych czasach, ale też i o czasach zupełnie nowych.
Opowiedziano jej o zmianach, które zaszły w firmie w ciągu ostatnich dwunastu lat i - co
ważniejsze - o zmianach, których się teraz obawiano, zwłaszcza gdyby Dominique du
Vivier miała ostatecznie przejąć kierownictwo.
O tym samym była mowa również podczas następnego spotkania z ludźmi, których
umówił Nigel Marsh.
W sali zarządu zjawili się dwanaście osób, z których większość Kate lepiej lub gorzej
znała sprzed lat.
Z tych, których pamiętała, paru osób teraz brakowało, niewykluczone, że przyłączyły się
do obozu Dominique.
Pierwsza podeszła do niej Claudia Jamieson, w firmie Despards specjalistka od sztuki
wiktoriańskiej.

- Catriona!

Dzięki Bogu, że wreszcie wróciłaś do nas.

Ta wasza długoletnia wrogość była przecież po prostu śmieszna, powtarzałam to twojemu ojcu wiele razy.

Pewnie rzeczywiście to mówiła, a w każdym razie miała taką możliwość, pomyślała Kate.

Teraz już wiedziała to, o czym nie mówiono jej wtedy: że Claudia Jamieson przez jakiś czas była kochanką Charlesa Desparda, a kiedy ich romans wygasł, wciąż pozostawali w przyjaźni.

Teraz Claudia miała pięćdziesiąt lat, mocno przybrała na wadze, jej jasne włosy zszarzały, a rysy wyostrzyły się nadmiernie.

Wciąż jednak dbała o siebie, paliła papierosy w długiej nefrytowej cygarnicze i miała na sobie tyle złota, że gdyby nagle zdecydowała się je sprzedać, mogłaby chyba zachwiać notowaniami na rynkach światowych.

- Czemu więc, na miłość boską, tak się od nas odcięłaś?

Na całe wieki...

- Głos Claudii był niezmiennie silny i donośny.

- Wtedy wydawało mi się, że to musi być wszystko albo nic - odpowiedziała Kate dość niepewnie.

- Dwanaście lat!

Ja zresztą też byłam zszokowana, kiedy się dowiedziałam, że twój ojciec rzuca dom i żeni się z tą...

- Brązowe oczy na chwilę ściemniały, a w uśmiechu zaciśniętych warg pojawił się znajomy grymas dawnego bólu.

Claudia zaciągnęła się głęboko, wypuściła dym i powiedziała: - No a teraz chodzi już nie o nią, ale o jej córkę.

Mam nadzieję, że rozumiesz.

My jej tutaj nie chcemy.

- Jej córka tu nie przyjdzie - powiedziała Kate.

- I chwała Bogu!

Zawsze mówiłam, że twój ojciec nie da się jej omotać, niezależnie od tego, jak to czasami wyglądało.

I na szczęście miałam jednak rację, pomyślała Claudia.

Z Kate znacznie łatwiej będzie mogła sobie poradzić, wykorzystać ją do poprawienia własnej sytuacji w przedsiębiorstwie, mocno zachwianej przez tę wydrę Dominique, która zdawała się wodzić swego ojczyma za nos.

Może nawet nie tylko za nos, myślała Claudia, podejrzewając, że ta francuska ulicznica nie miałyby najmniejszych oporów, żeby posłużyć się także i seksem.

Kate z pewnością była zupełnie inna.

Miłe dziecko, a w dodatku nie ma żadnego doświadczenia, ani w ogóle pojęcia o tym, jak funkcjonuje wielki dom aukcyjny.

To zresztą i lepiej: można będzie jej podpowiadać.

Kate niemal natychmiast zdała sobie sprawę, że większość tych ludzi przyjmuje jej przybycie z taką ulgą, jaką mogą odczuwać tylko ci, którzy znaleźli się w sytuacji prawdziwie rozpaczliwej.

Oni się po prostu bali, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Większość z nich mocno przekroczyła pięćdziesiątkę, niektórzy już także sześćdziesiątkę.

Wszyscy pracowali w firmie Desparda przez wiele lat i mieli świadomość, że jeśli kierownictwo firmy przejmie Dominique du Vivier, wszyscy oni zostaną wyrzuceni na bruk.

Toteż powitali Kate jak niespodziewanego wybawcę.

Oczywiście, należałoby się trochę przyjrzeć temu, jak córka ich dawnego szefa będzie się zachowywać, jak będzie sobie radzić.

Ale oni zapewne będą mogli jej doradzać, objaśniać, poprowadzić, czasem nawet pokierować.

Kate Despard była dla nich szansą; szansą nawet na to, by mogli stać się niezastąpieni.

W gruncie rzeczy wszyscy zachowali się tak samo.

Przy nadarzającej się sposobności kolejno podchodzili do niej i zaczęli mniej więcej tak: "Tak zupełnie między nami..."

Pani wie, że ja na ogół nie mówię takich rzeczy, ale"...

Za każdym razem kończyło się to przedstawieniem powodów, dla których ta czy inna osoba mogła odczuwać wysoce uzasadnioną niechęć do tak jawnie niegodziwej Dominique.

Wszyscy zgadzali się co do tego, że Dominique du Vivier zyskała w firmie zbyt wielką władzę, że okazała się całkowicie pozbawiona jakichkolwiek skrupułów i że posługuje się metodami, o których dotąd w firmie Desparda nikt nie ośmieliłby się nawet pomyśleć, a cóż dopiero je sankcjonować.

Że zżera ją ambicja i żądza władzy, że nie dotrzymuje słowa i jest niewiarygodna.

Że, krótko mówiąc, jest całkowicie odmienna od Kate.

Kate słuchała tego wszystkiego, okazywała zrozumienie, od czasu do czasu wtrącała odpowiednie zdanie, ale przez cały czas czuła, że coś tu jest nie tak, że to wszystko staje się czymś niezmiernie smutnym.

Kiedyś ci mężczyźni i kobiety wydawali się jej niemal bogami, którzy ze swej wysokości zniżali się, by pogłaskać małą dziewczynkę po głowie, podarować jej pudełko czekoladek albo pół korony, dobrodusznie pytali ją, jak sobie radzi w szkole, albo podziwiali i chwalili, kiedy bez mrugnięcia okiem przedstawiała swymi dziecięcymi rączkami porcelanowe bądź kryształowe przedmioty, warte nieraz całą fortunę.

Potem już przestali się o nią bać, w miarę jak dorastała i w miarę jak ujawniały się jej uzdolnienia.

- Wrodziła się w ciebie, Charles - mawiali.

- To twoja nieodrodna córka.

Tak wspaniale wszystko rozumie - w tak młodym wieku!

I już kocha to, tak samo jak ty- Teraz, po dwunastu latach, Kate widziała w nich zwyczajnych ludzi, którzy przez lata zbudowali sobie nisze komfortowego życia i teraz po prostu bali się, że zostaną z nich wyrzuceni.

To nie była już tylko podświadoma obawa, to był jawny strach.

Na przykład taka Claudia: co prawda zawsze miała skłonność do dosadnej oceny swych bliźnich, teraz jednak w ciągu kilku ledwie minut zdążyła opowiedzieć zdumionej Kate wręcz niezwykle rzeczy o ludziach noszących bardzo szanowane nazwiska, i to opowiedzieć ze szczegółami wskazującymi, że nie wymyśliła tego złośliwie.

Jak zawsze z satysfakcją używała bardzo nieprzyzwoitych słów, tonęła w chmurze papierosowego dymu i mruzczała przez mściwie zaciśnięte wargi, że w razie potrzeby może mieć jeszcze wiele do dodania.

- W jaki sposób, na miłość boską, dowiaduje się pani tego wszystkiego?

-zapytała Kate dość lekko, ale nie bez ukrytej myśli, że odpowiednio wykorzystana Claudia może się okazać niezwykle cenna jako źródło potrzebnych informacji.

Claudia wzruszyła ramionami.

- No cóż, wzbudzam zaufanie i ludzie ze mną rozmawiają.

To na razie tylko drobiażdżki, naprawdę jeszcze nic w porównaniu z tym, co mogłabym powiedzieć.

- To by się bardzo przydało - powiedziała Kate, pochylając się nieco konspiracyjnie.

- Teraz bardzo będę potrzebowała i wsparcia, i odpowiednich informacji.

Claudia spojrzała na nią i znacząco przymrużyła oko.

- Nic się nie bój, kochanie.

Claudia tu jest i pozostanie - niezależnie od tego, co sobie zaplanowała ta francuska lala.

Więc będziesz wiedziała wszystko, co zechcesz.

A wiedzieć, to znaczy mieć władzę.

- Absolutna racja - zgodziła się Kate, przyrzekając sobie, że postara się dowiedzieć jak najwięcej.

- Pani Catriono, czy mógłbym parę słów?

Kate obróciła się i zobaczyła Petera Markhama, który w firmie Desparda zajmował się Działem Rzadkich Książek.

Był to wiecznie niespokojny, nerwowy i pedantyczny starszy pan, który nie cierpiał konkretnej rzeczywistości i starał się umykać w wysubtelniony świat swoich książek.

Teraz postanowił ostrzec Kate przed zamiarem Dominique, która - jak niosła wieść - planowała połączenie Rzadkich Książek i Rzadkich Druków w jednym wspólnym dziale.

- ...nic dobrego z tego nie wyjdzie, mam nadzieję, że pani to rozumie.

To są w rzeczywistości całkowicie różne dyscypliny!

Wiem, że niektóre domy aukcyjne już dawno połączyły takie działy, ale u nas nigdy się czegoś takiego nie planowało, nigdy!

Nie można tego tak po prostu zlepić w jedno, tylko dlatego, że ktoś nazywa to racjonalizacją.

Na szczęście pani - tu pan Markham delikatnie ścisnął jej ramię - z całą pewnością nie pozwoli, żeby bezmyślnie zburzono delikatną harmonię, budowaną przez dziesięciolecia, by nie powiedzieć: przez wieki.

Pani zna i czuje naszą tradycję, ponieważ w jej świecie się urodziła.

Pani po prostu jest z Despardów, pani Catriono, więc pani nas rozumie.

- Tak, to pani odziedziczyła z całą pewnością - włączył się czyjś miękki głos.

Kate odwróciła się i zobaczyła wysoką szczupłą kobietę, która dość niepewnie uśmiechnęła się do niej.

Kate również się uśmiechnęła, choć za nic w świecie nie potrafiła sobie przypomnieć, kim mogła być ta niepozorna osoba.

Tamta jednak najwyraźniej nie spodziewała się niczego innego.

- Pani mnie nie poznaje, prawda?

- zapytała rzeczowo.

Starając się jej nie urazić, Kate odpowiedziała przepraszająco: - Bardzo wiele lat upłynęło.

- Dokładnie dwanaście.

Ale pamiętam, jak pani ojciec przyprowadzał panią tutaj, zawsze rano w soboty.

Wtedy chyba bardzo pani lubiła tu przychodzić.

- Myślę, że nadal to lubię.

- Tak, to można zauważyć.

A ja nazywam się Venetia Townsend.

- Ależ tak!

Wczesny Renesans, już pamiętam.

Mój tata zawsze mówił, że pani wie o tym więcej niż ktokolwiek.

Jak to się zresztą potwierdziło, choćby w tym przypadku, kiedy pani tak uparcie pozostawała przy swym zdaniu, mimo że różni eksperci panią podówczas wyśmiewali.

Chodziło, jak się zdaje, o jakiś obraz Rafaela, to znaczy, pani wtedy twierdziła, że ten obraz jest fałszywy, prawda?

Wszyscy na panią napadali, ale pani nie zmieniła zdania i w końcu najwybitniejszy światowy specjalista przyznał pani rację.

Venetia Townsend aż zaróżowiła się z zadowolenia.

- Że też pani to pamięta po tylu latach.

Pani musi mieć tę pamięć po ojcu...

Kate pamiętała zresztą nie tylko o tej głośniejszej w swoim czasie sprawie fałszywego Rafaela.

Panna Townsend w firmie zawsze była słynna ze swej niepodważalnej wiedzy, a także - i to Kate też pamiętała bardzo dobrze - z wlokącego się za nią przezwiska Biednej Sieroty.

W firmie tak ją nazywano, być może z pewnym współczuciem, ale - co Kate tak wyraźnie dostrzegła dopiero teraz - także i dlatego, że tak doskonale pasowała do archetypu starej panny.

Zawsze wyglądała starzej, niż wskazywały na to jej lata, zawsze była cokolwiek blada, jakby wypłowiwała i na pewno seksualnie oziębła.

Boleśnie nieśmiała i zamknięta w sobie, potrafiła się interesować wyłącznie swoją pracą, a czuła się w miarę swobodnie w towarzystwie ledwie paru osób, przy czym zawsze były to kobiety, nigdy mężczyźni.

Mężczyzn zresztą jawnie unikała.

Kate zastanawiała się, czy to jej przezwisko - Biednej Sieroty - kiedykolwiek do niej dotarło.

Charakterystyczne dla niej było to, że w jej wyglądzie nie było niczego, co zapadałoby w pamięć.

Ale ojciec kiedyś powiedział Kate: "Panna Townsend zawsze sprawia wrażenie, że wtapia się gdzieś w tło, ale w swej dziedzinie jest wręcz wybitna.

Dobrze wiem, że tak Sothebys jak i Christies chętnie by mi ją podkupili.

A ja nie chciałbym jej stracić i dlatego, moja mała Cat, proszę cię, żebyś traktowała pannę Townsend z takim szacunkiem, na jaki naprawdę zasługuje".

Tak więc także i teraz Kate rozmawiała z panną Townsend bardzo życzliwie i ciepło.

- Cieszę się, że panią widzę, panno Townsend.

Tyle lat minęło!

Mam nadzieję, że wciąż jest pani zadowolona z pracy w firmie Despard's?

- Przynajmniej dopóty, dopóki firma Despard's jest zadowolona ze mnie - odpowiedziała Venetia Townsend.

- Mój tata mówił mi, że nasza firma powinna o panią szczególnie dbać i chronić jak cenny skarb - oświadczyła Kate, uważając, że z taką osobą najlepiej mówić szczerze.

- Naprawdę?

- W bładych oczach panny Townsend błysnęła iskierka.

- Tak właśnie powiedział.

I dodał jeszcze, że takie firmy jak Sothebys albo Christies na pewno będą próbowały panią pozyskać dla siebie.

Dlatego tak się cieszę, że okazała się pani odporna na ich umizgi i pochlebstwa.

- Och, nie zostawiłabym Despard's z własnej woli - odpowiedziała cicho panna Townsend.

- A już zwłaszcza teraz.

- Dziękuję!

- zawołała ucieszona Kate.

- Zawsze wiedziałyśmy...

zawsze było dla nas oczywiste, że ojciec uważał panią za swój największy skarb - powiedziała panna Townsend.

Jej głos brzmiał spokojnie, ale Kate mimo to wyczuwała w nim nutkę głęboko ukrytego bólu.

Tak, żal jej było tej cichej, zamkniętej w sobie kobiety.

Łatwo było się domyśleć, że Venetia Townsend nie miała nigdy nikogo, kto ją chciałby uważać za swój skarb.

Teraz też postarała się wycofać równie niezauważalnie, jak poprzednio podeszła.

W ostatniej chwili jeszcze odwróciła się i powiedziała cicho: - Życzę pani szczęścia, panno Catriono!

Niech wszystko się powiedzie.

Odeszła i niemalże w tej samej chwili Kate usłyszała za sobą okrzyk Rolla: - O Boże, przecież to była nasza Biedna Sierota.

Kompletnie zapomniałem, że w ogóle istnieje!

- No właśnie - powiedziała ze smutkiem Kate.

- I wszyscy o niej tak samo zapominają.

- Ach, daj spokój.

Jeśli uznała, że realne życie jest zbyt niebezpieczne, i postanowiła się wycofać, to w końcu to nie nasza wina.

- Może, ale to i tak jest okrutne - powiedziała stanowczo Kate.

Nie mogła nie pomyśleć, że i w jej przypadku tak niewiele w końcu brakowało.

Że gdyby nie łaska boska i to, że ojciec o niej pamiętał...

Powrót do Despardów to było coś takiego, jak powrót do domu, po długich latach podróżowania.

Nadzieja mieszała się z lękiem, z niepewnością, czy oczekujący na jej przybycie przyjmą ją życzliwie, czy też odtrącą.

Tymczasem okazało się, że jej przybycie ich uszczęśliwiło.

Jakiegokolwiek mogłyby być jej wady czy niedostatki, nic nie mogło zmienić faktu, że pochodziła z Despardów.

A to oznaczało kontynuację, dawało nadzieję stabilności, po okresie zagrożenia przez gwałtowne zmiany.

Firma Despardów, jak się wydawało, była rozdarta na dwie zwalczające się frakcje.

Ludzie, którzy pojawili się tu tego ranka, byli po jej stronie; ci, których brakowało - a było ich mniej więcej tyle samo - należeli do przeciwnego obozu.

Kate zdała sobie sprawę, że większość z nich stanowili zapewne ludzie młodszy, którzy z pewnością skłonni byli opowiadać się raczej za nowoczesnymi metodami, wprowadzanymi przez Dominique: za efektywnością w prowadzeniu przedsiębiorstwa, w ostatecznym rachunku wyrażającą się po prostu w zyskach.

Na szczęście dzięki temu, czego zdążyła się dowiedzieć, co usłyszała choćby od Claudii, miała już jakieś takie pojęcie nie tylko o tym, kto jest po czyjej stronie, ale i o przyczynach takiego a nie innego stanu rzeczy.

Wszystkie te informacje gromadziła w pamięci, słuchając wszystkich bardzo uważnie i odsiewając to, co było warte zapamiętania.

Wyszła ze spotkania mniej więcej o wpół do dwunastej i wróciła do gabinetu, żeby tam w spokoju jeszcze przez chwilę pomyśleć i uporządkować wszystko, czego się dowiedziała.

Po drodze nie napotkała nikogo, Rollo zniknął gdzieś na piętrze, nie było też wścibskiej Hennessy.

W gabinecie panowała cisza, podkreślana dyskretnym tykaniem zegara.

A jednak Kate czuła niewidzialną obecność ojca.

Był gdzieś tuż-tuż, wciąż trwał w niezmienionym od lat wystroju tego wnętrza, w jego szczególnej atmosferze.

Kate usiadła za biurkiem, podparła dłoń podbródek i przymknęła oczy.

Pomóż mi, papo, mówiła bezgłośnie.

Daj mi swą siłę, przekaz mi swoją mądrość.

Jeśli rzeczywiście jestem taka jak ty, spraw, żeby ci wszyscy ludzie to dostrzegli. Wzburzone myśli uspokajały się powoli, aż w końcu zredukowały się do jednego tylko pojęcia, jednego tylko słowa: ojciec.

Kate siedziała zatopiona w medytacji, nieruchoma jak kamienna rzeźba.

Blaise Chandler pojawił się nieco wcześniej, niż zapowiadał, a gdy recepcjonistka poinformowała go, że panna Despard chyba jest jeszcze w pokoju zarządu na spotkaniu z częścią długoletnich pracowników, oświadczył, że po prostu zaczeka na nią w jej gabinecie.

Nie czekając na odpowiedź, lekko i bezszelestnie - jak prawdziwy Indianin - przeszedł po schodach do gabinetu i nacisnął klamkę.

Wtedy okazało się, że Kate już tam jest i siedzi za biurkiem w fotelu swego ojca.

Blaise w ciągu ostatnich lat odwiedzał go tu wielokrotnie.

Teraz na jego miejscu siedziała córka, oczy miała zamknięte, podbródek oparty na dłoniach, a jej znieruchomienie i wyraz głębokiego zamyślenia na nieco bladej twarzy wskazywały, że gość, który pojawił się o kilka minut za wcześnie, wkroczył mimo woli w jakąś chwilę najbardziej osobistą i prywatną.

Zaskoczony i nawet nieco zmieszany Blaise natychmiast wycofał się, równie bezszelestnie, jak się pojawił.

Zdażył jednak zauważyć, że Kate Despard wygląda teraz zupełnie inaczej niż poprzednim razem.

Wszedł do sekretariatu, gdzie pani Hennessy z wrażenia omal nie spadła z krzesła.

- Och, pan Chandler!

Nie wiem, dlaczego nikt mi nie powiedział, że pan przyszedł?

Zeszłabym po pana!

W ogóle nie rozumiem, co się dziś dzieje w naszej firmie, tylko dlatego, że ta...

- Pani Hennessy nie zamierzała ukrywać, o kim myśli tak nieżyczliwie.

- Powiedziałem w recepcji, że chcę wejść nie zapowiadany - odparł Blaise.

- Teraz jednak myślę, że może lepiej będzie, jeśli pani poinformuje pannę Despard, że już jestem.

- Ależ oczywiście...

- Pani Hennessy zawahała się przez chwilę, ostatecznie jednak postanowiła powiedzieć, co myśli.

- Panie Chandler, chciałabym, żeby pan wiedział, że w moim przekonaniu to wszystko powinno należeć do pani Chandler - to znaczy do pani du Vivier, jak ją tu w biurze nazywamy.

To ona powinna być w tym gabinecie.

To, co się stało, jest głęboko niesprawiedliwe...

Mówiła z uczuciem, ale nie pozwolono jej skończyć.

- Pan Charles Despard właśnie to uznał za sprawiedliwe - powiedział Blaise takim tonem, że pani Hennessy poczerwieniła.

- Proszę z łaski swojej zapowiedzieć mnie pani Despard!

Nazwisko zostało wypowiedziane z takim naciskiem, że pani Hennessy wyprostowała się niczym koń nagle ściągnięty uzdą i bez słowa zapukała do drzwi gabinetu Kate.

Tym razem, gdy Blaise wszedł do środka, Kate stała przy oknie, a świecące jaskrawo słońce zdawało się wytwarzać wokół jej głowy migotliwą aureolę.

Blaise rozbawiony powiedział jej o tym już na progu, dodając, że najwyraźniej brakuje jej już tylko ognistego miecza w dłoni, żeby mogła wystąpić w roli mściwego archaniola.

- No cóż, nie jest wykluczone, że taki miecz mógłby się przydać - odpowiedziała spokojnie Kate i z uprzejmym uśmiechem podeszła do gościa.

Ten dopiero teraz mógł widzieć ją dostatecznie wyraźnie i był chyba zaskoczony tym, co zobaczył.

To już nie była ta nieładna i zaniedbana dziewczyna z poprzedniego spotkania.

Jej do niedawna wręcz rozpaczliwe włosy teraz nagle nabrały urody i blasku, ich kolor przypominał ciemne wino prześwietlone płomykiem świecy.

Była świetnie ubrana i doskonale, choć bardzo dyskretnie umalowana.

Nawet pachniała inaczej, tak jak powinna pachnieć kobieta.

Kate dostrzegła jawne zaskoczenie w jego oczach i z mściwą satysfakcją pomyślała:

Trafiło pana, panie Chandler!

Podąła mu rękę.

Jego dłonie były ciepłe, duże i mocne.

- Pozwoli pani, że pogratuluję jej zmiany stanowiska w kwestii przyjęcia zapisu - zaczął Blaise nadal niezwykle uprzejmie.

Dla Kate zabrzmiało to jednak jakby odrobinę za gładko.

Wskazała gościowi jeden z foteli, a sama obeszła biurko dookoła i siadła na swoim miejscu.

- Powiem panu, że całą zasługę w tym względzie należy przypisać pańskiej żonie - odpowiedziała tak chłodno i obojętnie, jak tylko potrafiła.

- Czyżby?

- zapytał Blaise, starając się nie pokazać, że jest zaskoczony tak otwartym, frontalnym atakiem.

- Czy pan wiedział o tym, że parę dni temu przyjechała do mnie?

-Tak.

- I że przyjechała do mnie tylko po to, żeby mi powiedzieć, że mój ojciec był sentymentalnym starym głupcem, który powinien mieć trochę więcej rozumu?

- Ani z punktu widzenia prawa, ani także prywatnie nie mogę odpowiadać za poglądy mojej żony - odpowiedział Blaise z uprzejmym uśmiechem.

- Nie czynię pana odpowiedzialnym, jedynie informuję.

Krótko mówiąc, pańska żona powiedziała mi, że powinnam dobrze zrozumieć, co leży w moim prawdziwym interesie, i po prostu oddać jej to wszystko.

Nie wiem, czy to pana zdziwi, ale skutek był odwrotny od zamierzonego.

To tak, jak w tym arabskim przysłowiu o koniu i wodzie.

Można konia nawet siłą doprowadzić do rzeki, ale nie można go zmusić, żeby pił, jeżeli on tego nie chce.

Mój Boże, ta dziewczyna okazuje się wcale dzielna, pomyślał Blaise.

Ma charakter, a przy tym potrafiła wyzbyć się tej niedawnej zapiekłej złości.

I znacznie jej z tym lepiej.

- Mówię to wszystko po to, żeby było jasne, jakie jest moje stanowisko - powiedziała Kate.

- Rozumiem oczywiście, że pańska pozycja nie należy do najwygodniejszych.

Pańska żona i ja nie mamy tego, co nazywa się zgodnością poglądów.

Chcemy zupełnie różnych rzeczy.

Więc jeśli pan czuje, że ta nasza -nazwijmy to tak - pewna nieprzyjaźń stawia pana w szczególnie niewygodnej sytuacji, proszę mi to powiedzieć.

Doskonale pana zrozumiam, jeśli uzna pan, że taki stan rzeczy uniemożliwia panu dalsze występowanie w roli - powiedzmy -mediatora.

- Ależ ja za żadne skarby nie chciałbym zrezygnować z takiej roli - oświadczył Blaise Chandler i uśmiechnął się szeroko i sympatycznie.

- A żeby oszczędzić pani kłopotliwych pytań, powiem tylko tyle: nie, nie mam własnych interesów w jakikolwiek sposób wiążących się z karierą mojej żony.

To są wyłącznie jej sprawy, do których nigdy nie wtrącałem się w najmniejszym nawet stopniu i nie zamierzam tego robić również i teraz.

Pani ojciec dobrze o tym wiedział i sądzę, że przede wszystkim dlatego mianował mnie wykonawcą swojej ostatniej woli.

A także pewnie i dlatego, że w jego przekonaniu byłem chyba jedynym człowiekiem, który potrafiłby sobie poradzić z Dominique, pomyślał.

Tę refleksję Blaise zachował jednak już tylko dla siebie, podobnie jak i nagle uświadomioną i wysoce niespodziewaną myśl, że właściwie to ma wielką ochotę być tak uprzywilejowanym świadkiem nadchodzącej batalii.

To dopiero będzie wojna...

Jeszcze kilka minut temu był przekonany, że wraz z Rollem Bellamym będzie się musiał mocno napracować, by w końcu przekonać do zmiany stanowiska tę antypatyczną dziewczynę, pozostającą w roli obrażonego i naburmuszonego brzdąca.

Tymczasem teraz siedziała przed nim osoba zupełnie inna.

Wręcz wytworna, swobodna, a nawet pewna siebie kobieta, a to zmieniało całą sytuację.

Oj, Dominique, Dominique - pomyślał Blaise - chyba zaszkodziłaś sobie znacznie bardziej, niż myślałaś.

Teraz już nie pójdzie to tak łatwo, jak ci się wydawało.

Kate chyba myślała dokładnie o tym samym.

- Sądzę, że w jakiś sposób powinnam być wdzięczna pańskiej żonie - powiedziała z cokolwiek kostycznym humorem.

- W końcu to dzięki niej zmieniłam zdanie.

Przez cały czas starała się pamiętać o radach Charlotte.

Oczaruj go; w żadnym wypadku nie nastawiaj go do siebie wrogo.

Bądź szczerą albo przynajmniej sprawiaj takie wrażenie.

Staraj się postępować tak, żeby mieć go po swojej stronie, nie przeciw sobie.

- Chyba trzeba się tu z panią zgodzić - rzekł po krótkiej chwili Blaise.

- Na pewno pańska żona nie powinna była w ten sposób mówić o moim ojcu.

- Rozumiem - powiedział Blaise.
- W ten sposób mówić o nim wolno było jedynie pani, prawda?
- W końcu był moim ojcem - odparła Kate.
- Tak.

A w przypadku Dominique tylko ojczymem?

- Tylko ojczymem - powtórzyła.
- Czy to właśnie spowodowało, że pani tak nagle postanowiła przyznać pierwszeństwo więzom krwi?

- No dobrze, więc to było nielogiczne - odpowiedziała Kate.

- Nie mówię, że jest inaczej i nie mam dla siebie wytłumaczenia.

Pamiętam, że nieomal rzuciłam panu w twarz cały ten spadek - podczas naszego poprzedniego spotkania.

Ale wówczas byłam przekonana, że mam po temu powody.

- Można to zrozumieć, choć w dzisiejszych czasach rozwód nie jest już raczej niczym nadzwyczajnym.

Ja na przykład, kiedy kończyłem ledwie dziewięć lat, miałem już trzech kolejnych ojczymów.

- To mogę zrozumieć.

Ja jednak do czternastego roku życia miałam tylko jednego ojca, rodzonego.

Pewnie dlatego nie potrafiłam sobie dać rady z tym, że mnie tak... zostawił.

To zraniło mnie bardzo głęboko i to chyba było główną przyczyną mojego postępowania, choć oczywiście znaczną część winy muszę wziąć na siebie.

Ale cokolwiek pan o tym myśli, potępiając mnie lub nie, jednej rzeczy może pan być pewny: przyjmę zapis ojca i naprawdę zrobię cholernie dużo, żeby wygrać.

Zrobię to, bo bardzo chcę, żeby mój ojciec mógł być ze mnie dumny!

- No cóż, lepiej późno niż wcale.

Zarozumiały buc, pomyślała rozzłoszczona Kate.

Powstrzymała się jednak przed wypowiedzeniem tego głośno.

- Jestem pewna, że mój ojciec tego właśnie chciał ode mnie - powiedziała.

-Wiem, że wierzył we mnie, i ten zapis jest tego dowodem.

Znam świat dzieł sztuki i domów aukcyjnych, znam firmę Despard, a jeśli czegoś teraz nie wiem, bardzo szybko się tego nauczę.

Jestem częścią tej firmy, tak jak ta firma jest częścią mnie.

Mam to we krwi, co potwierdza choćby to, jak wiele nauczyłam się w ciągu dzisiejszego dnia.

Jestem z tej samej gliny, co i mój ojciec.

- Cieszę się, że pani to mówi.

Kate patrzyła na niego, usiłując rozpoznać, co kryje się za tą nieruchomą twarzą.

Było dla niej oczywiste, że Blaise jej nie lubi i nigdy nie polubi, więc ostatecznie nie miała nic do stracenia.

Poza tym - niezależnie od tego, co sam mówił -w najmniejszym stopniu nie wierzyła w to, że potrafi być bezstronny i nie sprzyjać własnej żonie.

Tę myśl zachowała jednak jedynie dla siebie.

- Skoro udało mi się przełamać własne uprzedzenia, mam nadzieję, że i pan również odrzuci swoje.

Blaise wydawał się niewzruszony.

- Jestem przede wszystkim prawnikiem, panno Despard, a w tym konkretnym przypadku będę musiał występować jako swego rodzaju advocatus diaboli.

Nie wątpię, że pani ojciec naprawdę panią kochał, ale jestem równie pewny, że nie miał zamiaru dopuścić do tego, by dorobek rodu Despardów został zmarnowany.

- Może pan być pewny, że nie zostanie.

- To się dopiero okaże.

- Oczywiście, że się okaże, już po pierwszym roku.

Blaise Chandler w odpowiedzi tylko wydał wargi, a Kate zapytała ironicznie: - A jeżeliby się okazało, że nie jestem grzeczną dziewczynką, co pan wtedy zrobi?

Zabierze mi pan to, co mi ojciec zapisał?

- Zgodnie z tym, co pani ojciec zastrzegł w testamencie, to właśnie musiałbym zrobić.

Teraz jest wrzesień.

Do końca roku rozliczeniowego ma pani czas na zapoznanie się z funkcjonowaniem firmy.

Znajdzie pani wielu bardzo doświadczonych pracowników, którzy pani w tym pomogą.

Potem, poczynając od pierwszego kwietnia, już tylko od pani będzie zależało, czy w następnych dwunastu miesiącach oddział Despards London okaże się najlepszy.

Będzie pani rozliczana ze wszystkiego - wielkości sprzedaży, obrotów i osiągniętego zysku, a oceniać panią będę ja.

A to dlatego, że właśnie mnie mianowano sędzią w tym pojedynku, albo może raczej kimś w rodzaju bezstronnego obserwatora, który ma czuwać, by walka przebiegała zgodnie z przepisami.

I tylko tym jest pani związana, a poza tym może pani prowadzić swój oddział tak, jak się pani będzie podobało.

- Znam się na tym - oświadczyła Kate z ogromnym zapałem.

- I znam się na porcelanie.

- Być może.

Ale proszę pamiętać, że aukcyjna sprzedaż tego rodzaju dzieł sztuki to dziś już wielki światowy biznes, ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami.

Minęły bezpowrotnie czasy bogatych dżentelmenów starej daty.

Teraz pieniądze mają zupełnie inni ludzie i to oni narzucają swoje standardy.

A konkurencja jest nieporównanie większa i bezwzględna, rzecz by można okrutna, choćby dlatego, że prawdziwych starych dzieł sztuki jest na rynku relatywnie coraz mniej, a co za tym idzie, są one wręcz wyszarpywane, sprzedawane po wiele razy na kolejnych aukcjach, za ceny niejednokrotnie obłędne i wręcz śmieszne!

- Co panu się nie podoba, prawda?

- zapytała Kate.

Ku własnemu zdziwieniu, sprawiało jej przyjemność, że oto odnalazła jakąś szczelinę w jego pancerzu.

-A nie podoba się to panu, ponieważ pan tego nie rozumie i nie czuje.
- W każdym razie nie mam w sobie ani cienia tej obsesji kolekcjonowania i posiadania.
To prawda.

- Blaise pochylił się i sięgnął po walizeczkę z dokumentami.

- A teraz proponowałbym, żeby pani zapoznała się z niektórymi danymi finansowymi, które pozwoliłem sobie przygotować.

Musi pani bardzo dokładnie wiedzieć, od czego pani zaczyna, zwłaszcza gdy decyduje się pani na ten rok próby.

- Rok złotej próby.

- Kate roześmiała się.

- Zobacz pan.

- Miejmy nadzieję - powiedział Blaise bez entuzjazmu.

Kate najchętniej spopieliłaby go wzrokiem, ale on tymczasem już rozkładał na biurku przyniesione dokumenty.

- Tu jest kopia bilansu firmy, sporządzona w dniu śmierci pani ojca.

Jak pani widzi, nie ma najmniejszych problemów z bieżącą gotówką, pani ojciec zawsze bardzo dbał o terminowe i rzetelne rozliczenia, tak ze strony sprzedających, jak i kupujących, a poza tym wystawiał na aukcję tylko rzeczy najwyższej klasy.

Standard, który ustanowił, był zawsze bardzo wysoki.

- I mnie pan to mówi?

- zapytała Kate z jadovitą słodyczą.

- Dwanaście lat to dużo - odparł Blaise zupełnie nie zmieszany.

Wydawało się, że ten człowiek ma na sobie pancerz nie do przebicia.

Kate czuła, że już jest o krok od tego, żeby zacząć zgrzytać zębami, a tymczasem usłyszała od niego tylko kolejny komunał.

- Jestem przekonany, że jeśli się pani postara, to już wkrótce zorientuje się pani we wszystkim.

- Przede wszystkim nie jest tak, że ja tego nie znam.

To po pierwsze.

A po drugie - mam wystarczająco dużo dawnych przyjaciół, którzy mi powiedzą o wszystkim, co się dotąd działo.

Czarne oczy Blaisea spoglądały na nią bez wyrazu.

- Tak, rzeczywiście.

Miło, że panią pamiętali.

W Kate aż się zagotowało, ale powstrzymała się od wybuchu.

- Pamiętali, i to jeszcze jak, proszę pana.

Powitali mnie nie tylko z radością, ale i z wielką ulgą.

Bo ja wiem, jak się prowadzi dom aukcyjny.

Pan może o tym nie wiedzieć lub nie pamiętać, ale sama pracowałam w jednym z takich domów przez dwa lata, i to w jednym z największych.

I bardzo dobrze wiem, że jest to coś więcej niż tylko sprzedawanie tego, co akurat jest modne.

Niezależnie od tego, co pan sobie o mnie myśli...

- Na razie, jeśli pani pozwoli, jeszcze sobie nic nie myślę.

Ach ty zarozumiała i zadowolony z siebie draniu, omal nie wykrzyknęła Kate.

Znów jednak się powstrzymała.

- Ojciec pozostawił mi w spadku przede wszystkim nieskazitelną reputację, panie Chandler.

- Wytrzymała spojrzenie jego czarnych oczu i postarała się, by zakończenie zabrzmiało jeszcze dobitniej.

- I głównie dlatego postanowiłam przyjąć ten zapis.

Żeby można być pewnym, że na tę reputację nadal nie padnie żaden cień.

To znów było jawne wyzwanie, niemal rzucenie rękawicy.

Ale Blaise Chandler powiedział tylko: - Trzeba więc mieć nadzieję, że tak będzie.

Ich spojrzenia znów skrzyżowały się jak ostrza szpad, gdy niespodziewanie drzwi od sekretariatu otworzyły się i pojawiła się w nich pani Hennessy.

Dźwigała przed sobą srebrną georgiańską tacę, zastawioną najlepszą sewrską porcelaną i aż dwoma pudełeczkami wyborowych ciasteczek.

Kate spojrziała na swą sekretarkę z nie ukrywaną irytacją.

Tę srebrną tacę i tę porcelaną zawsze wyjmowało się tylko dla najznakomitszych gości.

Pani Hennessy nie ukrywała więc, po czyjej stronie się opowiada.

- Mam się zająć nalewaniem?

- zapytała prawie filuternie.

- Nie - odpowiedziała kategorycznie Kate.

- Dziękuję, pani Hennessy.

W rezultacie sama nalewała tę kawę tak rozzłoszczona, że musiała się pilnować, by gość nie dostrzegł jej drżących ze wzburzenia rąk.

Blaise Chandler wziął filiżankę bez słowa i z apetytem zabrał się za biskwity w czekoladzie, wybierając -jak zauważyła - co najlepsze.

Ona sama ledwie spróbowała ciasteczek i zaczęła dokładnie przeglądać przyniesione dokumenty.

W którymś momencie zadała pytanie.

Blaise odstawił filiżankę, obszedł biurko i stanął obok, pochylając się nad papierami i wskazując swym długim palcem poszczególne pozycje podkreślone czarnym atramentem.

Kate mimowolnie musiała wyczuwać płynące od niego ciepło, a także ostry i czysty zapach używanej przez niego wody do golenia.

Z jakiegoś powodu przeszkadzało to jej w koncentracji, poszczególne szeregi liczb od czasu do czasu rozmywały się i stapiały w jedną niewyraźną plamę.

Z całym wysiłkiem starała się utrzymać uwagę na tym, co mówił, ponieważ było to wyjątkowo zwarte i efektywne przedstawienie aktualnej sytuacji firmy Despards, obejmujące najbliższe już przygotowane aukcje, rezultaty finansowe ostatnich sprzedaży, koszty handlowe i inne, uposażenia pracowników i tak dalej, i tak dalej - łącznie z krótkim omówieniem tego, co jej ojciec zamierzał w tym okresie osiągnąć.

- Czy dobrze rozumiem, że jeśli zechcę, mogę również korzystać z filii nowojorskiej?

- zapytała Kate.

Blaise spojrział na nią z ukosa i odrobinę ironicznie.

- Nie sądzi pani, że lepiej byłoby najpierw nauczyć się kierować oddziałem w Londynie?

- Na to mam cały rok - chłodno stwierdziła Kate.

- Podejrzewam, że to może pani zająć właśnie tyle czasu, albo nawet i więcej.

Dobrze poznać funkcjonowanie nawet tylko jednego oddziału wcale nie jest łatwo.

Radziłbym pani skupić się właśnie na tym jednym.

Nie mówiąc już o tym, że w Nowym Jorku po prostu nikt pani nie zna.

- No, na to można coś poradzić.

- Na pani miejscu nie byłbym tego taki pewny - powiedział dość bezceremonialnie

Blaise.

- Bo muszę pani powiedzieć, że akurat tam moja żona dopiero co odniosła naprawdę niebagatelny sukces na aukcji otwarcia.

Tak duży, że teraz nikt w Nowym Jorku po prostu nie zechce z panią rozmawiać, skoro może mieć na miejscu kogoś z taką renomą.

Pani musiałaby się najpierw czymś wykazać.

- I wykażę się - oświadczyła Kate.

- Niech się pan nie obawia.

- Chyba rzeczywiście się nie obawiam, w przypadku pani - powiedział Blaise, zaskakując tym nie tylko Kate, ale i siebie samego.

Było oczywiste, że dziewczyna jest bystra.

Zadała mu właściwie tylko takie pytania, jakie on sam zadałby na jej miejscu, i bezbłędnie wyłapała wszystkie punkty, które mogłyby budzić wątpliwości czy wymagać wyjaśnienia.

Poza tym w imponujący sposób potrafiła się wziąć w garść.

Ciekawe, czy to był czyjś wpływ, a jeżeli tak, to kto potrafił aż tak na nią wpłynąć?

Warto byłoby się tego dowiedzieć.

Czy był - czy w ogóle mógł być w jej przypadku - jakiś mężczyzna, który pozostawałby gdzieś tam ukryty w tle i wyczekiwał na - pojawiającą się teraz - szansę?

- Jak już mówiłem, ma pani sześć miesięcy, które pozostały do końca roku finansowego, na włączenie się do funkcjonującego przez ten cały czas przedsiębiorstwa...

A ty będziesz się starał mnie z niego wyprowadzić, pomyślała Kate, ale nie odezwała się nawet słowem.

- ...zanim zaczniesz pani pełny rok zasadniczej próby, o której wspominałem.

Urzędowe zatwierdzenie testamentu, mam nadzieję, nastąpi znacznie wcześniej.

Ja w każdym razie zrobię wszystko, aby formalności zostały załatwione tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Och, jestem pewna, że pan potrafi poruszyć góry - odpowiedziała Kate z fałszywą słodyczą.

Była pewna, że Blaise to zauważył, dostrzegła nawet lekkie skrzywienie jego ust, co świadczyło, że ukłucie doszło.

Nie podjął jednak wyzwania, bez słowa sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej niewielki pęk kluczy.

- To się pani zapewne przyda - powiedział.

Kate wyciągnęła rękę, a Blaise upuścił klucze wprost na jej otwartą dłoń.

- Dziękuję - powiedziała Kate.

Jak się domyślała, były to klucze od biurka ojca, szafki z jego prywatną kartoteką, barku z alkoholami i podręcznego sejf.

Blaise Chandler ruchem głowy wskazał na dokumenty, które pozostawił na biurku.

- Te wszystkie kopie są dla pani.

Proszę je dokładnie przestudiować, jeśli będzie pani miała na to ochotę.

Oczywiście miło mi będzie odpowiedzieć pani na wszelkie pytania, w przypadku, gdyby pani księgowi albo doradcy mieli jakieś wątpliwości.

Ma pani moją wizytówkę?

- Gdzieś tam mam - skłamała Kate nie mrugnawszy okiem.

W rzeczywistości wyrzuciła ją natychmiast po poprzednim spotkaniu.

- Ale proszę mi dać jeszcze jedną, na wszelki wypadek.

Blaise znów sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę z niewielkiego srebrnego pudełeczka. Kate odprowadziła go do drzwi, tak jak zawsze czynił to jej ojciec, kiedy przyjmował jakiegoś ważnego gościa.

Podali sobie ręce.

- Powodzenia - powiedział Blaise.

Już ruszył korytarzem w stronę windy, gdy Kate zawołała za nim: - A tak dla ciekawości: dlaczego nie powiedział pan, na przykład, "niechaj zwyciężą lepsi"?

Blaise odwrócił się i powiedział: - Dlatego, proszę pani, że o ile wiem, w praktyce nie zawsze zwyciężają lepsi.

Co zwłaszcza odnosi się do kobiet.

Ruszył dalej, a Kate mogła już tylko trzasnąć drzwiami.

- No nie - powiedziała, czując, że za chwilę nosem i uszami zacznie puszczać bąbelki.

- W życiu nie spotkałam faceta, który by mnie bardziej denerwował!

W tej samej chwili w gabinecie pojawił się Rollo.

- No i jak?

- zapytał.

- No cóż, pan Chandler był łaskaw odmalować mi bardzo piękny obrazek - odpowiedziała Kate, starając się, żeby wypadło to lekko.

- A ty co?

Kupujesz?

- Na razie poczekam na rozpoczęcie licytacji.

Nie powiem, żebym się przy nim czuła szczególnie swobodnie, nawet wprost przeciwnie.

Ale z drugiej strony jest to chyba człowiek, któremu należy ufać, i pewnie nie mam innego wyjścia.

- Chyba tak.

A my lepiej przejdźmy do zaplanowanego kieliszka szampana, dla uczczenia tego wszystkiego, co się dziś wydarzyło.

Jest już po wpół do pierwszej, więc proponuję, żebyśmy zeszli i zebraли oczekującą nas starą gwardię.

Po spotkaniu razem ze wszystkimi udali się na dworzec Victoria, skąd zaraz po czwartej odjeżdżały pociągi, którymi ci ludzie zazwyczaj wracali do swych domów.

Wszyscy byli w dość różowych humorach, ale panna Hindmarsh, która po wypiciu znacznej ilości szampana nagle utraciła swą bezbłędną dotąd i wyraźnie artykułowaną dykcję.

Nawet jej twarz wydawała się teraz cokolwiek bardziej pomięta.

Natomiast trzej panowie czuli się doskonale.

- To było świetne przyjęcie, Cat, naprawdę świetne - powtarzał zachwycony Wilfred Smythe.

- Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów.

Rzeczywiście udało im się wznieść niezliczoną liczbę toastów i wypić za zdrowie każdego z obecnych.

Dopiero potem Rollo delikatnie, lecz stanowczo zaczął sondować wszystkich po kolei na temat stanu spraw w firmie Despard's, i w rezultacie udało mu się wydobyć z nich wcale niemało.

Kiedy już wraz z Kate wracali na Kings Road, Rollo stwierdził z zadowoleniem: - Uważam, że to popołudnie spędziliśmy naprawdę bardzo pożytecznie.

Myślę, że teraz już wiemy, co i jak.

- Tak sądzisz?

- Z pewnością!

Oczywiście jeżeli nie liczyć paru takich wiecznie niezdecydowanych jak Venetia Townsend, która potrafi zająć wyraźne stanowisko tylko wtedy, gdy chodzi o sztukę.

Ale poza nią i nielicznymi innymi, myślę, że już wiemy, kto jest po czyjej stronie.

O niektórych wiemy to nawet szczególnie dokładnie.

- Masz na myśli Piersa Langa?

- Właśnie.

Wszyscy wyjątkowo zgodnie wyrażali się o nim jak najgorzej, prawdopodobnie dlatego, że o tym facecie po prostu nie da się powiedzieć nic dobrego.

Zresztą już dużo wcześniej zdążyłem się dowiedzieć, że do firmy wprowadził go nie kto inny, tylko nasza Piękna Rosiczka.

Z czego jednoznacznie wynika, że miała w tym własny interes.

Pana Langa dziś nie było w pracy, dowiedziałem się, że jest w Szwajcarii.

Tak się składa, że i ona akurat tam jest.

Czy muszę coś dodawać?

- Nie musisz - odpowiedziała Kate.

- Ale na ile cię znam, i tak to zrobisz.

- Nie bądź aż taka bystra, bo to źle wpływa na cerę.

No więc w każdym razie słyszałaś, co się o tym mówiło.

Całe biuro może potwierdzić, że zawsze patrzył na nią jak pies na...

Krótko mówiąc, jest to dosyć jednoznaczne.

I przynajmniej ja zamierzam mieć go odtąd stale na oku.

Mam dziwne przeczucia, jeżeli chodzi o tego małego czcigodnego Piersa.

- Miewałeś już takie przeczucia i potem nic z tego nie wynikało.

- No, częściej jednak wynikało.

To, że Rollo zwykł był byle wątpliwość od razu traktować jako dowód najczarniejszej zdrady, zawsze trochę denerwowało Kate.

Podobnie jak jego stosunek do Bogu ducha winnej Venetii Townsend.

Tej dziewczynie właśnie trzeba pomóc.

Zrobić coś miłego, pokazać, że się ją ceni.

A co do Piersa Langa...

- Zgadzam się z tobą, że Piers może być kochankiem Dominique du Vivier.

Ale to też na razie tylko przypuszczenia, a co do reszty - nie masz żadnych dowodów poza złośliwymi plotkami.

To, że ktoś powszechnie nie jest lubiany, nie oznacza jeszcze, że musi być szubrawcem czy łajdakiem.

Bo gdyby tak było, to musiałoby znaczyć, że udawało mu się skutecznie oszukiwać mego ojca przez przeszło trzy lata.

A w to już nie uwierzę - dodała.

- Nikt nie potrafiłby oszukiwać papy aż tak długo!

- Taak?

A przez ile lat sławetny sir Anthony Blunt oszukiwał cały nasz angielski establishment?

Powiem ci tylko, że jeżeli idzie o fałszerstwa i podróbki, to może potrafisz je doskonale wychwytywać wśród dzieł sztuki, ale ludzi lepiej zostaw mnie.

Znam się na nich dziesięć razy lepiej niż ty.

Już sam fakt, że to twoja przyszywana siostra wprowadziła pana Langa do firmy Despards, jest dla mojego podejrzliwego umysłu wystarczającą przesłanką, żeby absolutnie mu nie ufać.

Możesz być pewna, że Dominique du Vivier w całym swym życiu nie zrobiła niczego tak po prostu, z potrzeby serca.

Zawsze to musiało służyć jej interesom albo ambicjom.

- Ale po co miałyby to robić?

Papa ufał jej bez zastrzeżeń, sam o tym wiesz.

Więc po co miałyby go jeszcze szpiegować?

Ty, Rollo, skłonny jesteś wszędzie widzieć spiski i intrygi.

Na razie Piers Lang doprowadził do wielu transakcji niezmiernie korzystnych dla firmy.

I jako człowiek z licznymi znajomościami jest dla Despards wprost bezcenny.

- A ja ci powtarzam, że nas powinna interesować przede wszystkim ta jedna jego znajomość: z Dominique du Vivier.

Wiem, co mówię.

- Jeżeli w swym działaniu przez cały czas kierowałby się instrukcjami z zewnątrz, papa z całą pewnością by to zauważył.

A poza tym, jakież to mogły być instrukcje?

- A choćby takie, żeby odpowiednio sterując sprzedażą, zwiększać zyski osiągane właśnie przez jej oddziały.

Dzięki temu mogła pokazać, jaka to jest świetna i niezastąpiona.

- Rollo zamilkł na chwilę.

- Ale tak naprawdę jego główne zadanie musiało polegać na tym, żeby po prostu tylko być tam na miejscu, in situ, w oczekiwaniu na odpowiedni moment.

W służbach wywiadu kogoś takiego nazywa się uśpionym agentem.

Kate roześmiała się pobłaźliwie.

- Bardzo wierzę, że uśpionym, bo coś takiego musiało ci się chyba przyśnić.

To jest żywcem wzięte z opowieści brytyjskich służb specjalnych, MI-5 czy jak tam się to nazywa.

Musiałabym mieć dowody, żeby uznać, że Piersowi Langowi nie można wierzyć.

- Ja ci mówię, że nie można.

Sądziłem, że mi ufasz.

- Owszem, ale to nie znaczy, że zgodzę się, by samo podejrzenie wystarczyło do potępienia jakiegoś, może Bogu ducha winnego człowieka - Kate natarła jeszcze ostrzej.

- Nie przyszło ci do głowy, że ludzie, którzy źle o nim mówią, mogą to robić po prostu z zazdrości?

W końcu ty jako aktor najlepiej powinienes wiedzieć, że sukcesy bardzo łatwo wywołują zawiść innych.

Piers Lang skutecznie pomagał mojemu ojcu przy najkorzystniejszych transakcjach.

Mam nadzieję, że równie efektywnie zaczniesz pomagać także mnie.

- Akurat!

Najlepsze partie towaru będą teraz szły do oddziałów zarządzanych przez Dominique, mogę się o to założyć.

- No to wtedy będziemy mieli ten dowód, którego się domagam, prawda?

Postawa Kate uciniała wszelką dyskusję, ale to nie oznaczało wcale, że Rollo został przekonany.

Skoro tak chce, niech sobie nadal myśli, że wszyscy wokół niej postępują równie uczciwie jak ona.

On nie przestanie pilnować, żeby nikt nie grał znaczonymi kartami.

Poza tym, niezależnie od wszystkiego, to jednak on musiał mieć ostatnie słowo.

- Powiem ci tylko, Kate, że jednej rzeczy zupełnie nie rozumiesz.

Nie mieści ci się w głowie, że te wszystkie wartości, których tak bronisz, dla Dominique po prostu nic nie znaczą.

Intrygi i kombinacje to dla niej naturalny sposób bycia.

Ona nie wierzy nikomu, a więc w oczywisty sposób jest przekonana, że i jej nikt nie wierzy.

Jest z natury zła i przewrotna.

- Rollo prychnął lekceważąco.

- Oczywiście, jest bardzo sprytna jako kobieta interesu i potrafi prowadzić aukcje niezwykle zręcznie.

Ale jeżeli idzie o to, co ludzie o niej myślą, te wszystkie cechy mają akurat niewielkie znaczenie.

Ludzie uświadamiają sobie przede wszystkim piękną twarz, ciało i związaną z tym - choć nie wypowiedzianą - ofertę seksualną.

Ona po prostu posługuje się seksem, by uzyskać od mężczyzn to, czego w danym momencie potrzebuje.

- Znow prychnął i zamilkł na chwilę.

- Co, prawdę mówiąc, i tobie bym czasem doradzał.

Mogłabyś trochę zadbać o swój, jak dotąd dość żałośnie zaniedbany seksapil...

Część Druga.

Doprawdy, kto by pomyślał.

LISTOPAD.

Rozdział 6 .

Teraz!

- powiedział David Holmes.

- Zaczynaj licytację.

Kate, usadowiona za nieco przypominającym ambonę pulpitem, jeszcze raz sprawdziła katalog wystawianych na aukcję przedmiotów.

Pozycje z zastrzeżoną ceną minimalną oznaczone były czerwonym atramentem; na niebiesko podkreślono obiekty wybrane przez tych klientów, którzy nie mogli być obecni osobiście albo nie życzyli sobie publicznego ujawniania ich udziału w licytacji.

Pośpiesznie powtórzyła w pamięci dane dotyczące kolejnych pozycji.

Pamiętała, co powiedział jej David na temat nadawania odpowiedniego rytmu licytacji: chodzi o to, by kolejne sumy padały niemal automatycznie.

Dlatego też zawsze należy się starać, żeby walczyły ze sobą dwie osoby i dopiero w przypadku gdyby jeden z licytujących wycofał się przedwcześnie, należało się rozejrzeć za kimś następnym.

Kate odkaslnęła i zaczęła: - Obiekt oznaczony w katalogu numerem szóstym, srebrna georgiańska taca z roku 1730.

Cenę wywoławczą ustaliliśmy na tysiąc funtów...

tysiąc dwieście funtów...

tysiąc czterysta...

tysiąc sześćset...

Jej spojrzenia przebiegały tam i z powrotem między kilkorgiem ludzi, siedzących na sali naprzeciw jej pulpitu.

Wszyscy oni byli pracownikami firmy Despard's; każdy z nich otrzymał odmienne zalecenie co do sposobu licytowania, a niektórym kazano w ogóle nie brać udziału w licytacji, a jedynie od czasu do czasu wykonywać ruchy, które mogły zmylić prowadzącą i zbić ją z tropu.

Kate spostrzegła, że jeden z licytantów podrapał się w nos, powiedziała więc szybko: - Tysiąc osiemset, dziękuję.

David załamał rękę.

- No nie, Kate - powiedział.

- To nie było to, źle odczytałaś ten ruch.

To nie było znaczące dotknięcie nosa, ten człowiek po prostu naprawdę się podrapał.

Musisz nauczyć się to rozróżniać; nie mówiąc już o tym, że nie zostało z nim

uzgodnione, w jaki sposób będzie sygnalizował podwyższenie stawki.

Musisz pamiętać o takich szczegółach, to jest niesłuchanie ważne.

Zaczynamy jeszcze raz.

- Proszę się nim za bardzo nie przejmować - usłyszała za sobą szept Georgea Allena, swego asystenta.

- On w ten sam sposób postępuje ze wszystkimi początkującymi.

Ale bardzo dba o to, żeby pani była jak najlepsza, bo przecież w ostatecznym rachunku także i jego reputacja wchodzi tu w grę.

George okazał się dla Kate prawdziwym darem niebios.

Cierpliwie słuchał, kiedy recytowała przed nim podstawowe punkty i osiągnięte zyski

czyli przyrosty -te odwieczne, przekłete, najważniejsze i niszczące duszę przyrosty, które

- jak się na tym sama przyłapała - zdarzało się jej wyliczać nawet przez sen.

Na dobrą sprawę żyła już tylko tymi czekającymi ją licytacjami, to było najtrudniejsze ze wszystkich rzeczy, które musiała opanować.

Uczyła się tego od dwóch miesięcy i to była jej pierwsza próbna aukcja z podstawionymi pracownikami firmy, odgrywającymi role klientów.

Kate gorączkowo usiłowała powtarzać w pamięci rady Davida, który na co dzień był jednym z głównych licytatorów Despards, z trzydziestoletnim już doświadczeniem.

- Pamiętaj, że to ty prowadzisz aukcję: powinnaś przyjąć, że publiczność jest niejako orkiestrą, którą masz poprowadzić.

Ale nie wolno ci zapominać, że nie możesz im narzucić dowolnego tempa, musisz wyczuć najbardziej odpowiednie dla nich.

Tak czy inaczej ani na moment nie powinnaś im pozwolić wyrwać się spod kontroli.

Musisz panować nad wszystkim, obserwować, jak klienci zgłaszają przebiccia, kto w jaki sposób podnosi stawki.

Prowadzone przez Davida zajęcia były niebywale intensywne i wyczerpujące.

Na dobrą sprawę Kate przechodziła przez to samo, co wszyscy kandydaci na stanowisko licytatora w firmie Despards.

Ostatecznie kończyło się to powodzeniem ledwie dla połowy chętnych, i to w najlepszym razie.

Jednak Kate miała jeszcze mnóstwo innych rzeczy do opanowania, w rezultacie starała się więc godzić wszystkie zajęcia, a David Holmes z tej racji nie stosował wobec niej żadnej taryfy ulgowej, raczej przeciwnie.

Z samej natury nie nazbyt wyrozumiały, niejednokrotnie doprowadzał ją prawie do łez, ale nigdy nie pozwoliłaby sobie na rozplakanie się w jego obecności.

Na pewno nie!

Cholernie się mylą, jeżeli myślą, że się poddam, powtarzała sobie.

Długo na to poczekają.

Kate wbijała sobie w pamięć zalecenia Davida powtarzając je wielokrotnie przed każdorazowym zaśnięciem.

Po pierwsze: wyczuj atmosferę, bo to pozwala przewidzieć, co się będzie działo.

Po drugie: jeżeli już jesteś na prowadzonej przez mnie aukcji, przyglądaj się uważnie, jak odnoszę się do zgromadzonej publiczności i jak uzyskuję nad nimi kontrolę.

Po trzecie: pamiętaj zawsze, że nawet jeśli poniesiesz porażkę przy sprzedaży jakiegoś konkretnego obiektu, nie wolno ci się tym zamartwiać.

Musisz kontynuować licytację jak gdyby nigdy nic.

Kate odsiedziała na widowni kilkanaście aukcji, pilnie obserwując wszystko i ucząc się tego, co - jak słusznie mówił jej ojciec - zawsze było sztuką.

Oczywiście, Charles Despard był w tym tak sprawny, że w jego działaniach nieomal nie zauważało się tej sztuki; podobnie było w przypadku Davida Holmesa.

Dopiero przez porównanie z aukcjami prowadzonymi przez licytatorów mniej zdolnych i mniej doświadczonych Kate mogła dostrzegać szwy i łączenia, różne dziury i puste miejsca, nie wygładzone kanty.

Prowadzone przez Davida próbne licytacje zawsze były prawdziwymi seansami tortur dla kandydatów do firmy Despards.

Kate uczyła się teraz takiego kontrolowania licytacji, by w rezultacie osiągnięta stawka "lądowała" na poziomie wcześniej ustalonym - i na razie dwukrotnie nie potrafiła sobie z tym poradzić.

Teraz zaczynało się jej trzecie podejście.

- No więc pamiętaj, Kate - przypomniał jej David, siadając w pierwszym rzędzie - że ustalona cena minimalna wynosi dwa i pół tysiąca funtów.

Na tej wysokości musisz wylądować, albo raczej masz sprawić, żeby wylądował tam podbijający stawkę.

Kate kiwnęła głową i gorączkowo zaczęła przeliczać w myśli możliwe kombinacje, niczym w jakiejś grze liczbowej, starając się zgadnąć, od jakiej sumy powinna zacząć licytację, żeby po odpowiednim starcie i nieuniknionych wahnięciach licytacja doszła ostatecznie do dwóch i pół tysiąca.

- Kate, nie możesz się tak długo zastanawiać, od jakiej sumy zacząć - ponaglił ją David.

- Zaczniemy licytację od tysiąca funtów - oznajmiła Kate, starając się, żeby jej głos brzmiał wyraźnie i donośnie.

- Tysiąc dwieście funtów...

tysiąc pięćset...

tysiąc osiemset...

i dwa tysiące...

wciąż dwa tysiące...

- na szczęście tym razem udało się jej właściwie rozpoznać i zignorować gest przeczesania palcami gęstej czupryny "klienta" w czwartym rzędzie - dwa tysiące dwieście funtów, dziękuję...

dwa tysiące pięćset.

Nikt na widowni już się nie poruszył.

Udało się jej uzyskać ustaloną cenę minimalną, zaoferowała ją dziewczyna w trzecim rzędzie.

Kate odczekała jeszcze chwilę.

- A więc za dwa tysiące pięćset funtów...

- Sięgnęła po młotek i położyła go na otwartej dłoni.

Zacisnęła palce na trzonku.

I wtedy, w ostatniej chwili, ktoś na sali podniósł do góry trzymany na kolanach katalog. Trudno było zgadnąć, czy oznaczało to podniesienie stawki, czy tylko zamiar zajrzenia do danych.

Kate zaryzykowała.

- Dwa tysiące osiemset...

trzy tysiące...

mamy trzy tysiące funtów...

- Odczekała jeszcze chwilę, a jej spojrzenie nerwowo obiegało ludzi siedzących na sali. Nikt już nie drgnął i Kate z trzaskiem opuściła młotek.

- A zatem kupiono za trzy tysiące funtów.

Jej dłoń była tak wilgotna od potu, że trzonek nagle wyslizgnął się z palców i młotek z hałasem upadł na podłogę.

David zerwał się ze swego miejsca, podniósł młotek i położył go na pulpicie.

- No cóż, było już lepiej - powiedział, choć nie słyszało się w tym szczególnego entuzjazmu.

- Ale wciąż potrzebujesz jak najwięcej praktyki.

Jeśli masz naprawdę nauczyć się prowadzenia licytacji, musisz znaleźć więcej czasu na praktyczne ćwiczenie się w tym wszystkim.

Kate była już zmęczona powtarzaniem po raz setny tego samego: - David, gdybym tylko mogła, na pewno bym to zrobiła.

A poza tym jest jeszcze mnóstwo czasu.

Do rozpoczęcia nowego roku bilansowego mamy przeszło cztery miesiące.

- Więc właśnie w ciągu tych czterech miesięcy musisz znaleźć więcej czasu na doskonalenie się w umiejętnościach.

Jeżeli sądzisz, że mogłabyś już poprowadzić prawdziwą aukcję, to się bardzo mylisz.

Kate wróciła do swego gabinetu zgnębiona.

Zbliżał się koniec listopada, a ona ciągle była w prawdziwym kotle nakładających się na siebie zajęć z różnych przedmiotów.

Praktyczne prowadzenie licytacji wciąż było najtrudniejsze.

Stosunkowo nieźle opanowała już potrzebne wiadomości z zarządzania, organizowania spotkań i omawiania rezultatów.

Dawała sobie radę z kontrolowaniem zapasów, z oszacowywaniem i oceną przyjmowanych obiektów.

Tę ostatnią czynność wykonywała zresztą zawsze bardzo chętnie, tak dla nabycia większej praktyki, jak i dla własnej przyjemności, zwłaszcza gdy chodziło o starą chińską porcelanę.

Udało się jej też wydać - i to ze znacznym powodzeniem - kilka przyjęć, proszonych obiadów i koktajli, na których mogła się spotykać zarówno ze współpracownikami z firmy, jak i z najbardziej cenionymi klientami, a także z innymi dealerami, z rywalami i, oczywiście, z dziennikarzami.

Pogodziła się z koniecznością bardzo uprzejmego udzielania wywiadów, zarówno prasowych, jak i telewizyjnych, przystała nawet na pozowanie do zdjęć.

Teraz jednak ta pierwotna fala wielkiego zainteresowania córką Charlesa Desparda zaczęła już słabnąć.

A tymczasem z drugiej strony Atlantyku nadchodziły wiadomości, że Dominique du Vivier idzie od sukcesu do sukcesu na swych kolejnych aukcjach - które teraz stały się już trwałą pozycją nowojorskiego życia towarzyskiego - i że uzyskuje ceny, jakich dotąd nikt po prostu sobie nie wyobrażał.

Toteż mnóstwo rzeczy, które w dotychczasowym układzie trafiałyby z pewnością do oddziału Despards London, teraz kierowano do Nowego Jorku.

W rezultacie odbyło się nawet specjalne zebranie zarządu, poświęcone przedyskutowaniu tej właśnie sprawy.

- Nie da się ukryć, że Nowy Jork w tej chwili po prostu olśnił wszystkich - stwierdził dość ponuro Nigel Marsh.

- I w rezultacie mnóstwo bardzo atrakcyjnych przedmiotów w ogóle do nas nie trafia. Od razu są wysyłane do niej.

- A ty się temu dziwisz?

Wystarczy zobaczyć, jakie ceny ona potrafi uzyskać - mruknął Derek Morley, szef księgowości.

- Ja myślę, że im szybciej panna Despard będzie mogła poprowadzić własne aukcje, oczywiście z odpowiednią reklamą, tym lepiej dla naszej firmy.

I doprowadzenie do tego jest teraz najważniejsze.

- Zapewniam was, że robię, co mogę - powiedziała Kate, wciąż jeszcze dość spięta.

- Ale mam mnóstwo rzeczy, które się wręcz na siebie nakładają i po prostu nie mam już na nic czasu.

- Więc musimy coś zrobić, żeby ten czas się znalazł - powiedział Nigel Marsh, z wyraźnym wyrzutem patrząc na zebranych.

- Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i uważać, że Kate sama zrobi wszystko.

- Na szczęście okres lawinowych konferencji prasowych i wszelkiego rodzaju przyjęć mamy już za sobą - zauważył Derek Morley.

- A one zabierały nam wiele czasu.

I pieniędzy.

Choć szef księgowości tego już nie dodał, było oczywiste, że to właśnie miał na myśli.

Nigel Marsh na ten ukryty zarzut odpowiedział dobitnie, choć cokolwiek kwieciście: - To wszystko było po prostu konieczne.

Ludzie musieli zobaczyć, że firma Despards zupełnie się nie zmieniła, że to jedynie przekazanie pochodni z jednego pokolenia do następnego.

Ludzie musieli poznać Kate Despard, dowiedzieć się, kim jest i skąd się w naszej firmie wzięła.

W rezultacie zyskałiśmy też niemało bardzo cennej dla firmy reklamy.

- Tak, ale jednocześnie straciliśmy wiele na spadku sprzedaży.

- Głównie dlatego, że nie mamy już Charlesa - powiedziała Claudia Jamieson.

- To nie był tylko człowiek, to była cała instytucja.

Tak naprawdę to przecież on był firmą Despard's London.

Zupełnie tak samo, jak Dominique du Vivier jest dziś uważana za Despard's Nowy Jork, przemknęło przez głowę Kate.

Nigel Marsh musiał chyba pomyśleć to samo, ponieważ oświadczył stanowczo: - A więc musimy zrobić wszystko, żeby Kate stała się synonimem Despard's London.

- Ale jak to osiągnąć?

- spytał ktoś.

- No cóż, należy jak najszybciej zorganizować dla niej odpowiednio wielką aukcję.

Tu jednak włączył się David Holmes i natychmiast zaprotestował: - To niemożliwe, jeżeli to Kate miałaby prowadzić licytację.

Nie jest jeszcze do tego gotowa i to musi trochę potrwać.

Może nawet nie trochę.

- A nie mógłbyś zrobić czegoś, żeby to przyspieszyć?

Przecież potrafisz robić cuda.

- Nigel Marsh wyraźnie próbował pochlebić Holmesowi.

- Nie, nie potrafię.

Pozwolę Kate prowadzić ważną licytację dopiero wtedy, kiedy będę przekonany, że rzeczywiście jest do tego przygotowana.

Do tego było jeszcze daleko.

A tymczasem Dominique du Vivier już stawała się główną postacią firmy.

Tak więc koniecznie należało coś zrobić, póki jeszcze nie zaczął się ten rok właściwej próby.

Kate sama również uznała, że przede wszystkim musi się podciągnąć w umiejętnościach prowadzenia aukcji.

To okazywało się najważniejsze.

Trzeba będzie robić to kosztem czasu przeznaczanego na inne rzeczy.

A Claudia miała rację, kiedy powiedziała, że prowadząca licytację kobieta to w ogóle rzadkość w tym zawodzie i wciąż jeszcze coś zaskakującego i niezwykłego.

Dominique wykorzystała to w Nowym Jorku, teraz więc należało zrobić coś podobnego w Londynie.

W przeciwnym razie oddział londyński na długo pozostanie w tyle, a w takiej sytuacji po rozpoczęciu okresu próby Kate po prostu nie będzie miała najmniejszych szans.

Tak rozmyślając w drodze do swego gabinetu Kate już z daleka dostrzegła charakterystyczną sylwetkę Jamesa Grievea, szefa Działu Dalekowschodniej Porcelany, który - sądząc z tego, jak niespokojnie chodził tam i z powrotem po dywanie rozłożonym przed wejściem do gabinetu - musiał być bardzo zdenerwowany.

Na widok Kate odetchnął z ulgą i prawie biegiem ruszył na jej spotkanie.

- Dzięki Bogu, że to się wreszcie skończyło.

Myślałem nawet, żeby wam przerwać, ale David zrobił się teraz taki drażliwy; uważa, że pani wciąż za mało czasu poświęca na prowadzone przez niego zajęcia z techniki licytacji.

- Czy coś się stało?

- spytała Kate.

Nie mogła nie zauważyć, że James Grieve jest blady, roztrzęsiony i w oczywisty sposób bardzo czymś przygnębiony.

- Dopiero co z Nowego Jorku telefonował do nas Rolf Hobart i był bardzo nieprzyjemny podczas tej rozmowy.

Chodzi o to, że sprzedany mu przez nas brąz, figurka konia Tang, okazał się podróbką.

Kate miała wrażenie, że jakaś lodowata dłoń ścisnęła jej serce.

To był wieczny koszmar wszystkich ekspertów, że któregoś dnia pojawi się jakiś następca Van Meerhgreana, fałszerza wszech czasów.

Czyżby rzeczywiście się pojawił?

- To niemożliwe - zdołała tylko powiedzieć, gdy wreszcie odzyskała głos.

- Powiedziałem dokładnie to samo, ale on twierdzi, że zbadał to przy pomocy termoluminescencji.

Wie pani przecież, jaki Rolf Hobart potrafi być podejrzliwy, i to niezależnie od tego, kim jest jego kontrahent.

No i przeczytał mi wyniki badania laboratoryjnego.

Ta figurka konia została wyprodukowana w ciągu ostatnich pięciu lat.

Kate poczuła, że nogi się pod nią uginają i usiadła na najbliższym krześle.

- Och, nie...

- Przymknęła oczy, czuła się naprawdę chora.

- Niestety tak.

Jeśli wiadomość się rozniesie, będziemy w prawdziwych tarapatkach.

No bo pomyśleć tylko, firma Desparda dała się oszukać i sprzedała współczesną podróbkę za ćwierć miliona funtów!

- To nie może być podróbka - odpowiedziała głucho Kate.

- Nie może.

A jeżeli jest, to będzie prawdziwa katastrofa.

Bo to oznacza, że pojawił się jakiś naprawdę genialny fałszerz.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

W końcu James westchnął ciężko i zaczął opowiadać: - Oczywiście powiedziałem mu, że pochodzenie figurki jest absolutnie pewne; że sprawdziliśmy ją i uznaliśmy za autentyczną zarówno ja, jak i pani, a oboje jesteśmy przecież uznanymi ekspertami w tej dziedzinie.

A on mi na to, że dla niego oboje okazaliśmy się głupimi gówniarzami, którzy nie wiedzą, co robią.

I jeszcze zapytał, dlaczego do ciężkiej cholery nie przeprowadziliśmy badania metodą termoluminescencji?

Kate zaczerwieniła się i odpowiedziała z rozdrażnieniem: - Dlatego, że nie mieliśmy żadnych powodów, żeby podejrzewać fałszerstwo.

-Potrząsnęła głową i dodała już spokojniej: - Najbardziej chciałabym wiedzieć, kto lub co spowodowało, że on zaczął mieć wątpliwości.

Teraz i James opadł na stojące w pobliżu krzesło.

- No nie...

- zaprotestował, chociaż raczej dość słabo.

- Czy pani chce powiedzieć, że to mogło być celowo zorganizowane...
wszystko?

- Zastanowił się, pokręcił głową i powiedział znacznie bardziej zdecydowanie: - Nie, z pewnością nie.

Bo to musiałoby oznaczać nie tylko nierzetelność pojedynczego pracownika firmy Desparda, ale i współpracującej z nim bardzo szanowanej agencji.

Nie, to po prostu niemożliwe.

Sama myśl o tym wydaje się potworna.

Może tak, może nie, pomyślała Kate.

A jeżeli na przykład Piers Lang okazał się doktorem Frankensteinem produkującym takie właśnie potwory?

Pamiętała dobrze, jak Lang wrócił z podróży parę dni po tym, gdy ona rozpoczęła praktyczne ćwiczenia z prowadzenia aukcji.

Już po niedługim czasie okazało się, że także i ona poczuła do niego instynktowną niechęć i - wbrew swemu początkowemu nastawieniu - ostatecznie przyłączyła się do opinii większości, która była mu zdecydowanie niezyczliwa.

Piers Lang był za przystojny, za bardzo gładki i nazbyt przypominał eleganckich nierobów z wyższych sfer, wyciągających pieniądze nie tylko od najbliższych.

Poza tym miał coś takiego w wyrazie lekko wydętych ust i w cokolwiek zuchwałym spojrzeniu, co Kate od początku do niego zraziło.

Po powrocie z kontynentu niemal zaraz zgłosił się do niej, pogratulował przejęcia firmy i zapewnił, że będzie dla niej pracował z takim samym oddaniem, z jakim przez lata pracował dla jej ojca.

Kate jednak miała nieodparte wrażenie, że jego pochlebstwa szyte są zbyt grubymi nićmi.

Z jakiegoś powodu sprawiał na niej wrażenie człowieka, który na pewno chętnie oszukuje przy kartach i jeszcze chętniej przechwala się swymi erotycznymi podbojami.

Jak papa w ogóle mógł z nim wytrzymać przez trzy lata i dlaczego go znosił?

Chyba dlatego, że to było z pożytkiem dla firmy Desparda.

No cóż, powiedziała sobie, ja też gotowa jestem wiele zrobić dla dobra firmy, ale to chyba nie znaczy, że zgodzę się, żeby taki gładki lizus został moim osobistym asystentem.

Rollo jednak miał rację, jak zresztą prawie zawsze.

Na dobitkę już w tydzień później sam Rollo pojawił się u niej triumfujący i dumny jak paw, ponieważ jego podejrzenia - jak się okazało - były całkowicie zasadne, na co zdobył już nieodparte dowody.

- Mówiłem ci, że nasz Mało Czcigodny Piers gra w jednej drużynie z tą...

to znaczy z twoją przybraną siostrzyczką.

A teraz mamy dowód, że również sypia z nią w jednym łóżku.

Widziano go wychodzącego z jej domu przy Chester Square wczoraj rano, o wpół do siódmej.

Pora raczej niecodzienna na kończenie wizyt.

- I kto go tam widział?

- Pytanie pojawiło się niemal automatycznie.

Kate w ogóle nie wiedziała, że Dominique du Vivier w tym czasie również była w Londynie.

- Wynająłeś prywatnego detektywa?

- Lepiej!

Tego Piersa widział jeden z twoich własnych pracowników, jeden z tych rozkosznie silnych młodych ludzi, których Despard zatrudnia w pakowaniu i transporcie.

Ten akurat jest entuzjastą aktywnego trybu życia i codziennie rano przed pójściem do pracy biega dla zdrowia, a tak się złożyło, że mieszka w pobliskim Pimlico.

Więc tego dnia akurat biegł przez skwer naprzeciwko domu twojej siostry i widział, jak wpół do siódmej rano Piers zwłókł się ze schodów wiodących od głównego wyjścia.

Opowiadał, że Piers chwiał się na nogach, wręcz się zataczał i, jak się wyraził, wyglądał jak kuchenna szmata, którą ktoś za mocno wykręcił.

Oczy miał tak podbite, że chyba w ogóle niewiele nimi widział, a już na pewno nie rozpoznał przebiegającego obok faceta w dresie.

Może zresztą w ogóle go nie znał.

Przecież Piers widzi i rozpoznaje wyłącznie tych, którzy się liczą.

Natomiast ten młody człowiek rozpoznał go i, rzecz jasna, gdy tylko przyszedł do pracy, opowiedział o wszystkim swoim kolegom z działu.

Ci powtórzyli to kolegom z innych działów i już około południa wiedział o tym cały budynek z przyległościami.

A następnego dnia ów młody człowiek niespodziewanie został przeniesiony do oddziału na przedmieściu na polecenie pani Hennessy.

- Co takiego?

- wybuchła oburzona Kate.

- Jak to na jej polecenie?

- Spokojnie.

Ty możesz tego nie pamiętać, ale kiedyś twój ojciec dał jej pewną swobodę, jeżeli idzie o dyscyplinowanie personelu, zwłaszcza niższego szczebla.

To ona się tym zajmowała od czasu, gdy panna Hindmarsh odeszła na emeryturę.

Ale właśnie dzięki temu masz teraz jednoznaczny dowód, jak dalece lojalna jest pani Hennessy i wobec kogo.

Zastanawiam się tylko, dlaczego zadziałała tak szybko?

Być może po prostu ktoś jej kazał, jak sądzisz?

Bo w końcu wszyscy dookoła wiedzą, że Rosiczka częściej ma kochanków niż ja gorący posiłek, więc skąd ten nagły pośpiech, by tym razem wyciszyć sprawę?

- Ponieważ tym razem chodzi o kochanka który jest zatrudniony w jej własnej firmie, to znaczy, w firmie, z którą wiązą ją interesy.

- Gadanie!

Miała tu już co najmniej dwóch kochanków...

a przynajmniej o tylu wiem z dobrego źródła, bo od ludzi ze starej gwardii.

Tylko że wtedy kompletnie nie dbała o to, kto wie bądź nie wie.

Więc czemu teraz nagle tak bardzo stara się ukryć swą drobną przygodę z panem Piersem Langiem?

- zapytał Rollo i prychnął triumfalnie.

- Ponieważ to nie tylko jej kochanek, ale i jej tajny agent.

Chyba jasne?

Dla Kate wciąż nie było to tak oczywiste.

Jednak to właśnie wtedy, w kilka dni po tej rozmowie, Piers Lang pojawił się w jej gabinecie z miną bardzo zadowolonego z siebie lisa, który właśnie ukradł i schrupał tłustą kurę.

Kate przyjrzała się tej jego twarzy greckiego bożka i mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście mogło być tak, że stał się prywatnym szpiegiem pracującym dla Dominique.

Kto to może wiedzieć?

- pomyślała.

Pamiętała, że Piers Lang ściszył wówczas głos i pochylił się ku niej konfidencjonalnie.

- Tym razem mogę już pani powiedzieć więcej o tym obiekcie, który może nas zainteresować.

Przed tygodniem wspominałem, że wpadłem na pewien trop.

Wydaje się, że to coś naprawdę wyjątkowego.

- To znaczy?

- spytała ostrożnie Kate.

- Figurka konia Tang.

Pierwszy wiek.

- O!

- powiedziała Kate, ale tym razem tonem znacznie cieplejszym.

Taka rzecz musiała ją zainteresować, Piers to wiedział.

- Dowiedziałem się, że pewien starszy pan, zresztą wyjątkowy odludek, zastanawia się nad sprzedażem takiej właśnie figurki Tang.

A chce to zrobić dlatego, że jego agencja ubezpieczeniowa właśnie potroiła stawki.

- Piers zachichotał szyderczo.

- Proszę tylko pomyśleć, facet ma figurkę Tang z pierwszego wieku, a skąpi na jej ubezpieczenie!

Otóż bardzo pomyslnym zbiegiem okoliczności okazało się, że agencja prawników, którą poprosił o przeprowadzenie dla niego tej sprzedaży, to Potheary, Tillman & Tillman z Lincolns Inn.

Ta sama, która czasami podejmuje się zleceń także dla mojego ojca.

To stara i ceniona firma, o znakomitej reputacji.

A sam Julian Potheary jest w jakiś sposób moim przyjacielem - kiedyś razem chodziliśmy do szkoły - więc też oczywiście natychmiast pomyślał o mnie.

Sam wie co nieco o starej chinszczyźnie i twierdzi, że ta figurka konia jest pierwszorzędna.

Pierwszorzędna!

W ten sposób można od biedy mówić o ładnej dziewczynie, ale nie o chińskich brązach, pomyślała Kate.

Jakiegolwiek mogły być powody, które skłoniły Piersa Langa do przyjęcia posady w firmie Desparda, z całą pewnością nie była to miłość do dawnej sztuki.

- A kim jest ten tajemniczy odludek?

- spytała.

Piers Lang uśmiechnął się przepaszająco.

- Julian powiedział mi tylko tyle, że ten pan chciałby zachować anonimowość.

Zapewne obawia się, że przedstawiciele służb skarbowych mogliby się dowiedzieć o planowanej sprzedaży i zażądać jakichś opłat od otrzymanej sumy.

Dlatego to Julian został upoważniony do prowadzenia wszelkich negocjacji.

- Znów konfidencjonalnie pochylił się ku Kate.

- Agencja Juliana Potheary ma w środowisku prawniczym reputację wręcz nieskazitelną, mogę panią zapewnić.

Wszystko będzie absolutnie legalne.

W końcu nie po raz pierwszy sprzedaje się rzecz, oznaczoną w katalogach jako Własność Rodzinna.

- To wystarczy publiczności - powiedziała Kate.

- Ale my, jako firma prowadząca aukcję, z reguły znamy sprzedającego daną rzecz właściciela.

- Toteż myślę, że najlepiej będzie, jeśli pani zechce omówić to wszystko z Julianem, który będzie mógł pokazać pani tę figurkę.

- To znaczy, że jest już u niego?

- Tak.

Oczywiście na co dzień pozostaje zamknięta w kasie pancерnej.

Ale mogę umówić państwa na spotkanie, by przy okazji mogła pani ją obejrzeć.

- Czy pan...

czy cokolwiek wiadomo o tym tajemniczym dzentelmenie, który chce to sprzedać?

- zapytała Kate, która nie lubiła, by coś przed nią ukrywano.

- Wiadomo tylko, że przez wiele lat żył w Chinach.

Pracował w jednym z wielkich banków w Szanghaju i w tym czasie, jak sądzę, udało mu się zebrać to i owo.

Julian zapewne będzie mógł panią wprowadzić głębiej w całość sprawy.

Na razie chciałem tylko wiedzieć, czy jest pani tym zainteresowana.

- Nawet bardzo - oświadczyła Kate.

Postanowiła jednak, że zada Julianowi Potheary parę bardziej dociekliwych pytań.

- Sądzę, że dobrze byłoby włączyć do tego również Jamesa Grievea.

W takim też składzie następnego dnia udali się do Lincolns Inn, gdzie mieściły się biura agencji Potheary, Tillman & Tillman.

Przyjął ich sam Julian Potheary, sądząc z wyglądu - jeszcze jeden reprezentant dawnej szkoły; tak elegancki, jak gdyby właśnie zszedł ze stron żurnalu "Tailor and Cutter", a jednocześnie - pod uprzejmą powierzchownością - ostry niczym brzytwa.

Poczęstował gości obowiązkowym sherry, przy którym przez chwilę wymieniano raczej ogólne uwagi.

Potem podniósł się i zapytał: - A teraz, czy mogę pokazać państwu tę figurkę konia?

Koń Tang, jak się okazało, został już wcześniej ustawiony na stoliku w głębi pokoju, przed wielkim kwaterowym oknem w dawnym angielskim stylu.

Wielkie powierzchnie szyb gwarantowały odpowiednie oświetlenie, zwłaszcza że październikowe słońce wychyliło się właśnie spoza chmur.

Figurka konia zdawała się kapać w jego promieniach.

Kate spojrzała i natychmiast poczuła znajomy dreszcz, a na jej skórze pojawiła się gęsia skórka.

No tak!

Już na pierwszy rzut oka można było powiedzieć, że to arcydziełko warte było każdego pensa z tych dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów, których zażądał anonimowy właściciel.

Objaśnienia Juliana Potheary również wydawały się nie budzić wątpliwości.

Kate kątem oka spojrzała na Jamesa Grievea i zauważyła, że jest równie podekscytowany jak ona.

Oboje bardzo powoli i z wielką uwagą obeszlili stół dookoła, przypatrując się koniowi pod każdym możliwym kątem.

Brązowa figurka tchnęła życiem, poczynając od wygiętej w łuk szyi i rozwianej grzywy, aż po rozdęte chrapy i uderzające w ziemię kopyta.

Patyna była taka, jaka powinna być, cokolwiek starta, jak przystało na rzecz tak starą, wspaniałą mieszanką zieleni z brązem, gdzie indziej ciemnym jak kamień, gdzie indziej znów jasnym jak złoto, z tu i ówdzie rozrzuconymi błyskami ochry w miejscach, z których farba została wytarta.

To była jedna z wersji słynnego latającego konia Tang; tak cudownie wykonana, że każda linia zdawała się tańczyć z osobna, a wszystkie razem składały się na istotę nieomal żywą, stworzoną rękami nieznanego geniusza sprzed wieków, którego imię nie znalazło się nawet w legendzie czy pieśni.

Kate miała wrażenie, że coś ją ściska za gardło, mrowienie pod powiekami ostrzegało, że niewiele trzeba, by z oczu popłynęły łzy, co zresztą zdarzyłoby się jej nie po raz pierwszy, kiedy miała do czynienia z dziełem sztuki tak bliskim doskonałości.

- Czy mogę?

- zapytała Juliana Potheary, który przez cały czas obserwował ją bardzo uważnie.

- Ależ oczywiście.

W końcu córka Charlesa Desparda chyba wie, jak ostrożnie należy się obchodzić z przedmiotami tak cennymi i wyjątkowymi?

Powiedział to bardzo poważnie, choć Kate wiedziała, że oczywiście tylko żartuje.

Ale i tak już go nie lubiła, podobnie jak Langa.

Zważyła figurkę w dłoniach; ciężar był taki, jakiego się spodziewała, wyważenie bez zarzutu.

Teraz mogła się przyjrzeć z bliska, choć oczywiście bez użycia lupy; na to miał przyjść czas, kiedy figurka zostanie dostarczona do Despards.

Podrabianie tego rodzaju brązowych figurek Tang już od bardzo dawna było niejako sztuką samą w sobie; zdarzały się podróbki bardzo dobrze wykonane, pochodzące najczęściej z "manufaktur" na Dalekim Wschodzie.

Jednak ta konkretna figurka, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie budziła wątpliwości; przyglądając się bardzo uważnie Kate nie zdołała dostrzec żadnych śladów współczesnych technik odlewniczych ani oznak obróbki pilnikiem.

Bez słowa przekazała figurkę w ręce Jamesa Grievea, który obejrzał ją równie dokładnie, a następnie - ledwie dostrzegalnie - skinął głową.

James Potheary przyglądał się temu wszystkiemu bardzo uważnie, oczekując na ich decyzję.

- No cóż, sądzę, że z przyjemnością dołączymy ten piękny brąz do przedmiotów przygotowanych do sprzedaży - powiedziała Kate, już bez żadnego wahania.

- Tak się szczęśliwie składa, że za sześć tygodni mamy zaplanowaną właśnie aukcję brązów.

Zdążymy jeszcze sfotografować tę figurkę i włączyć do katalogu.

- To rzeczywiście bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności - zgodził się rozpromieniony pan Potheary.

- Oczywiście będziemy musieli dokonać jeszcze ostatecznego potwierdzenia autentyczności samego przedmiotu, jak i wszelkich ewentualnie towarzyszących mu dokumentów, które, jak rozumiem, może mieć pan czy też sam sprzedający.

- Ależ oczywiście - potwierdził prawnik, teraz już pełen nie ukrywanego entuzjazmu.

- Mój klient przekazał mi oryginalne dokumenty, związane z zakupem tej właśnie figurki. Nabył ją w znanej firmie w Szanghaju w roku 1908.

Figurka przez kilka wieków pozostawała w posiadaniu bardzo znanej chińskiej rodziny. Wszystkie dokumenty były oczywiście sporządzone w języku chińskim, ale przygotowałem również ich tłumaczenie.

Uzgodniono, że figurka i oryginalne dokumenty zostaną dostarczone do firmy Despards zaraz następnego dnia, natomiast kserokopie dokumentów potwierdzających pochodzenie, łącznie z ich angielskimi tłumaczeniami, pan Potheary wyciągnął z szuflady i wydał im od razu, by mogli je zabrać ze sobą.

- Dawno nie widziałem tak gładkiego typu jak ten pan Potheary - powiedział James Grieve, kiedy już wraz z Kate wracali taksówką do Despards.

Okazało się, że Piers Lang miał inne plany i pożegnał się z nimi zaraz po wyjściu, mogli więc podczas jazdy rozmawiać zupełnie swobodnie.

- Myśli pan, że to ktoś podejrzany?

- zapytała Kate.

- Jestem prawie pewien, że to musi być oszust.

Tacy się wszędzie zdarzają, niezależnie od tego, jak znana i szanowana może być sama firma.

Ale ta figurka konia jest prawdziwa, moim zdaniem.

I wyjątkowo dziś rzadka.

Tego rodzaju okaz w ogóle nie często trafia się na aukcjach, ale trudno się dziwić, jeżeli właściciel trzymał go w ukryciu przez siedemdziesiąt lat.

- Jest się czemu dziwić - powiedziała rozmarzona Kate.

- Takie cuda zdarzało mi się widzieć tylko w muzeum.

- Powinien bez trudu uzyskać tę wyznaczoną przez sprzedającego cenę; na rzeczy tej klasy zawsze znajdują się chętni.

Kate przytaknęła.

- Myślę, że się znajdują.

Choć to doprawdy niesłychane pieniądze, nawet jak na konia Tang.

- Zgadzam się, że nad dzisiejszymi cenami można pokiwać głową, czasem to się wydaje aż śmieszne.

Proszę tylko pomyśleć o tych sumach, które pani siostra uzyskała w Nowym Jorku; przecież to się wręcz w głowie nie mieści.

Inna sprawa, że ona tam bardzo zręcznie wykorzystwała stałą rywalizację dwóch słynnych klientów.

Dlatego ta aukcja miała tak spektakularny i pasjonujący przebieg - chciwość i wzajemna wrogość, cóż w końcu może być korzystniejszego?

Nam tutaj też by się coś takiego przydało; niestety, żaden z tych dwóch bogatych Rosjan nie kolekcjonuje brązów.

Jest za to pewien Amerykanin - trochę prostacki, ale niezwykle bogaty, któremu doradcy podatkowi zasugerowali, żeby zaczął kupować dzieła sztuki.

Zdecydował się więc, że będzie kolekcjonował stare brązy i właśnie jemu na początku tego roku sprzedaliśmy kilka prześlicznych głów z Beninu.

Kiedy zobaczy konia Tang, rzuci się z pazurami.

- Tak, chyba tak - powiedziała zamyślona Kate.

- Jeszcze parę nazwisk można by chyba znaleźć.

- Więc musimy zadbać, żeby przede wszystkim oni dowiedzieli się, co sprzedajemy.

I rzeczywiście udało się doprowadzić do tego, by odpowiednie wiadomości dotarły na czas do właściwych ludzi.

Aukcja przebiegła doskonale, a koń Tang uzyskał zastrzeżoną cenę minimalną w przeciągu dosłownie kilkunastu sekund; po dalszych kilkunastu został ostatecznie sprzedany panu Rolfowi Hobartowi za dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów.

A teraz Rolf Hobart zaczynał drzeć się wniebogłose i groził wszelkimi możliwymi procesami za to, że zamiast oryginału z pierwszego wieku sprzedano mu współczesną podróbkę.

- Zapowiada wniesienie sprawy do sądu i, co gorsza, żąda coraz wyższego odszkodowania - mówił James Grieve tonem pełnym nie ukrywanego niepokoju.

- Nie wiem, skąd on bierze te sumy, chyba z sufitu.

A my musimy to jakoś wyciszyć, jeśli to w ogóle możliwe.

Zaproponowałem mu, że do niego przylecę, ale on nie chce rozmawiać z nikim poza panią...

- Z miny Kate łatwo było dostrzec, że nie ma na to najmniejszej ochoty, ale James nie ustępował.

- Musi pani jednak tam polecieć.

Jeżeli rzecz się rozniesie, będzie pani skończona, nim w ogóle zdąży się cokolwiek zacząć.

To pani wraz ze mną potwierdziła autentyczność sprzedanego przez nas przedmiotu i w rezultacie dobre imię firmy Desparda może zostać podważone, zanim jeszcze zacznie się ten wyznaczony rok próby.

Boże kochany, naprawdę nie mogło to wypaść w gorszym momencie.

Kate zeszywniała jeszcze bardziej, widać było, jak jest napięta.

James Grieve przypatrywał się jej z niepokojem.

Kiedyś była to skłonna do nerwowych wybuchów młoda koza, ale w ostatnim czasie nawet on sam ze szczerym podziwem obserwował zaszłe w niej zmiany.

Potrafiła wziąć się w garść, w biurze pracowała jak maszyna, często po godzinach.

Całe szczęście doprawdy, że przynajmniej mieszkanie miała teraz naprawdę blisko - piętro wyżej, na poddaszu Desparda.

Ileż to jej oszczędzało teraz czasu i wysiłku.

Ale to, co się teraz zdarzyło, było wręcz fatalne.

Najgorsza rzecz, jaka mogła się przytrafić firmie handlującej dziełami sztuki: najpierw dać się oszukać jak naiwne niemowlęta, a potem jeszcze w dodatku sprzedać podróbkę jako oryginał, co wyszło na jaw natychmiast, gdy tylko zbadano ją przy użyciu odpowiednich specjalistycznych technik.

Oczywiście, tłumaczył sobie James Grieve, próbując się jakoś usprawiedliwić, firma Desparda sama przeprowadziłaby takie badania, gdyby powstał choćby cień wątpliwości.

Ale nikt tych wątpliwości nie miał.

Dokumenty dołączone do figurki były autentyczne, firma Desparda sprawdziła wszystko, co tylko leżało w ludzkich możliwościach.

Mój Boże, to wszystko źle wróży.

Ile tego rodzaju przeklętych podróbek wyprodukowano?

I kim jest ten geniusz, który tego dokonał?

Przecież to zrujnuje cały rynek.

O tym samym myślała też Kate.

Ale nagle przyszło jej co innego do głowy.

A jeśli było całkiem inaczej?

Jeżeli to wszystko zostało z premedytacją przez kogoś zaaranżowane?

Całość układała się w łatwy schemat.

Trochę zbyt łatwy, jej zdaniem.

Piers Lang przynosi do firmy wiadomość o figurce Tang.

Sprzedawca oczywiście zastrzega sobie anonimowość.

Pertraktacje prowadzi znana i szanowana firma prawnicza.

James naturalnie mógł mieć rację, kiedy twierdził, że oszuści zdarzają się również w szanowanych firmach.

Ale przecież dołączone do figurki dokumenty były tak szczegółowe i niepodważalnie autentyczne.

No tak, ale koń też wydawał się autentyczny.

Boże kochany, dlaczego na wszelki wypadek nie sprawdziłam tego metodą termoluminescencji?

- wyrzucała sobie gorzko.

Dlatego, idiotko, że tę próbę stosuje się tylko wtedy, kiedy się ma jakieś wątpliwości. A tu nikt ich nie miał, nawet najmniejszych.

Przysięgłabym przecież, że ten koń musi być autentyczny, mówiła sobie Kate.

Przysięgłabym, tak jak przysięgła kiedyś Venetia Townsend, kiedy rzecz dotyczyła autentyczności obrazu Rafaela, tyle że w tamtym przypadku ona akurat miała pewność, że rzekomy Rafael jest falsyfikatem.

Och, Boże, nie poprosiłam nawet o kontreksperytę któregoś z szefów działów.

Ale przecież James potwierdził autentyczność figurki, a w końcu jest równie dobrym ekspertem jak oni.

Boże drogi, czy ktoś mnie po prostu wrobił?

Zacisnął jak w imadle, żeby potem taki Rolf Hobart mógł walnąć mnie w łeb ciężkim młotem?

Kiedy Rollo usłyszał od niej, kto najbardziej interesuje się kupnem konia Tang, jego twarz wydłużyła się, a kąciki ust opadły.

- Mówisz, że Rolf Hobart?

Przecież to szajbus.

- Naprawdę?

- Na rynku ma złą opinię.

Ma huk pieniędzy, ale żadnej finezji.

Wszelkie sprzeciwy ucisza w ten sposób, że po prostu wali w łeb, a już nie daj Boże trafić na niego, kiedy na czymś straci.

Twój ojciec bardzo nie lubił mieć go na sali aukcyjnej.

Można było być pewnym, że prędzej czy później zaczniesz głośno narzekać: że prowadzący nie dostrzegał jego i jego ofert albo że coś tam jeszcze.

Ale za to jeżeli naprawdę czegoś chce, to cena dla niego nie gra roli.

A więc była do dyspozycji rzecz doskonale podrobiona i potem chodziło już tylko o to, żeby doprowadzić właśnie jakiegoś takiego "szajbusa", który by to kupił, myślała sobie Kate.

Czy ktoś mógł to w ten sposób zorganizować?

Zamknęła oczy i pochyliła się, kryjąc twarz w dłoniach.

No nie, nie było chyba takiej możliwości.

Przecież o tym Hobarcie powiedział jej sam James, a on nigdy by nie mógł...

Przetarła oczy i spojrzała na rozmówcę.

- James?

- powiedziała, tknięta nagłą myślą.

- A co właściwie sprawiło, że pomyślał pan o Rolfie Hobarcie akurat w związku z tą figurką konia?

- No cóż, mimo wszystko od wielu lat był naszym klientem...

Może nie najbardziej lubianym, ale zawsze.

A poza tym ostatnio interesują go rzeczy z brązu, zwłaszcza chińskie, jak słyszałem.

- Ale od kogo konkretnie pan to słyszał?

James Grieve zmarszczył czoło i zaczął się zastanawiać.

Nagle twarz mu się rozjaśniła.

- To musiała być pani du Vivier.

Tak, teraz pamiętam.

To było na pogrzebie pani ojca...

rozmawialiśmy o interesach i to wtedy pani Dominique wspomniała, że Rolf Hobart kupił niedawno kilka pięknych chińskich brązów w jej oddziale w Hongkongu.

Trafiony, zatopiony!

- pomyślała Kate.

A więc to ona!

Tak, to musiała być ona, bo któż by inny?

Znalazła odpowiedni obiekt, zaoferowała prowadzenie wszelkich pertraktacji Julianowi Potheary, który jakże niezwykłym zbiegiem okoliczności prowadził także zlecenia rodziny Piersa Langa.

No tak...

Wystarczyło przy sposobności wspomnieć o zainteresowaniach Rolfa Hobarta w obecności Jamesa, który -jak to było powszechnie wiadomo - takie rzeczy doskonale pamiętał.

Mój Boże, pomyślała Kate.

Więc ona już wtedy musiała myśleć o tej kombinacji!

Tak, tylko że nie mam na to żadnych dowodów, doszła do wniosku dotkliwie rozczarowana.

I nagle coś nowego przyszło jej do głowy.

Zerwała się na równe nogi.

- Muszę koniecznie coś sprawdzić.

Zechce pan na mnie zaczekać?

- Uśmiechnęła się przepaszająco.

- To potrwa tylko chwilę.

Pośpiesznie zbiegła dwa piętra w dół i drugim korytarzem skierowała się do niewielkiego biurowego pokoiku, który Piers Lang dzielił z dwiema innymi osobami.

Sekretarka była do dyspozycji całej trójki.

Zaskoczona pojawieniem się Kate, wstała natychmiast ze swego krzeselka.

Była bardzo przejęta tym, że sama panna Despard zeszła do niej z wysokości swego gabinetu.

- Dzień dobry, panno Despard.

Czy mogę...

- Panna Sharp, jeżeli dobrze pamiętam, prawda?

Panna Sharp uśmiechnęła się zadowolona, że pamiętano ją po nazwisku.

- Tak, panno Despard.

Czy mogę w czymś pomóc?

- Mam nadzieję.

Czy mogłaby pani sprawdzić dla mnie rozkład wyjazdów pana Langa?

Chodzi mi konkretnie o to, kiedy miał ostatni wyjazd do Genewy.

Przypuszczam, że to miało miejsce mniej więcej wtedy, kiedy przejmowałam firmę, ale czy może pani sprawdzić, jaki to był dzień?

Sekretarka sięgnęła po wielki biurowy terminarz.

- Oczywiście.

Tak, to był poniedziałek, siedemnastego.

To znaczy, tak naprawdę to pan Lang leciał do Lozanny, ale ponieważ tam nie ma lotniska, musiał polecieć do Genewy, skąd można dojechać specjalnym autobusem.

Miał wyznaczone spotkanie w Beau Rivage Palace w samo południe, więc zarezerwowałam mu miejsce na najwcześniejszy lot i...

- Bardzo pani dziękuję - przerwała jej Kate z uprzejmym uśmiechem.

-Poniedziałek, siedemnastego.

To właśnie chciałam wiedzieć, to mi wystarczy.

Dziękuję, panno Sharp.

A jeżeli ten szczur, ten szpicel dowie się, że ja wiem, to tym lepiej, pomyślała Kate wracając do siebie na górę.

I nagle znieruchomiała, tknięta nową myślą.

A co, jeżeli to też było zamierzone?

Jeżeli im chodziło właśnie o to, żeby się tego wszystkiego domyśliła?

To mogło być tak pomyślane, po prostu mała demonstracja możliwości.

Ostrości pazurów.

Żeby wstrząsnąć, wystraszyć, odebrać pewność siebie.

Tak, to bardzo w stylu Dominique, jeszcze przed rozpoczęciem batalii odebrać przeciwnikowi wiarę w zwycięstwo.

Te wszystkie przesłanki okazywały się zbyt łatwe do znalezienia, rzekomo ukryte sznurki były nadmiernie widoczne.

A zresztą, pomyślała Kate, czyż sama Dominique du Vivier nie powiedziała mi wtedy dostatecznie jasno, co myśli o mnie i o moich tak zwanych predyspozycjach do tego zawodu?

Co innego w przypadku Rolla, oczywiście, on w takich poczynaniach czuje się jak ryba w wodzie.

Dominique musiała o tym wiedzieć.

Ale teraz muszę to rozgryźć sama, bez niego.

Zresztą jestem pewna, że mam rację.

To wszystko naprawdę za bardzo do siebie pasuje.

I to ja na to wpadłam, ja sama!

Kate Despard, dziewczyna-detektyw!

Oczywiście, Rollo pierwszy wyczuł, że coś tu jest nie w porządku, ale to ja doszłam ostatecznie po nitce do kłębka!

Poczucie sukcesu wywołało w niej gwałtowny przyływ adrenaliny, a co za tym idzie, pewności siebie.

Wróciła do swego gabinetu w pełni zdecydowana.

- Zadzwoń do tego Hobarta - zapowiedziała Jamesowi.

- Obawiam się, że to nic nie da - powiedział dość niepewnie James.

Najwyraźniej wciąż miał poczucie winy z powodu własnego niedopatrzenia.

- Myślę, że będzie pani musiała pojechać tam osobiście.

On teraz będzie chciał, żebyśmy się przed nim po prostu czołgali, to taki typ człowieka.

Wśród swoich już od dawna ma opinię zdeklarowanego sadysty, w każdym razie ci, co go znają z Ameryki, utrzymują, że największą przyjemność zawsze sprawiało mu poniżanie i upokarzanie innych.

My, oczywiście, będziemy musieli zwrócić zapłacone przez niego pieniądze, nie mówiąc już o odszkodowaniu, którego z pewnością zażąda.

To właśnie dlatego chce rozmawiać tylko z panią, ponieważ tylko pani może podjąć decyzję, jak wysoką rekompensatę zgodzimy się zapłacić.

Kości policzkowe Kate stały się jeszcze wyraźniejsze pod mocno napiętą skórą twarzy.

To, co się stało, szczególnie boleśnie godziło w jej dumę.

Ona, która uważała się za jednego z głównych ekspertów w dziedzinie sztuki dalekowschodniej, została oto - po raz pierwszy - oszukana i wyprowadzona w pole.

Na samą myśl o tym gdzieś w głębi duszy cała kurczyła się ze wstydu.

No tak, chytra i przebiegła Dominique mogła w niej czytać jak w otwartej książce.

Doskonale wiedziała, z jaką dumą i poczuciem odpowiedzialności młoda dziewczyna przejmowała otrzymane dziedzictwo, zresztą na tym ich spotkaniu Kate niemal wykrzyczała jej to w twarz.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że pomyślność Desparda to jedyna sprawa, która dla Kate liczy się tak naprawdę.

A teraz wzywano ją, by zapłaciła upokarzające odszkodowanie.

Na ile znała tego Rolfa Hobarta, zażąda od niej co najmniej pół miliona funtów.

Ciekawe, jaka część tej sumy trafi do rącek jej przybranej siostry?

Tak, w tej sytuacji muszę chyba sama tam polecieć - powiedziała w końcu, niemal bezdźwięcznie.

- Myślę, że najrozsądniej będzie skorzystać z Concorde - zasugerował James.

- Im prędzej pani się tam zjawi, tym chyba lepiej.

- Tak, oczywiście.

- Czy pani chciałaby może, to znaczy, czy da pani sobie radę sama?

Ten Hobart podobno potrafi obchodzić się z ludźmi naprawdę okropnie.

Jego byłe żony twierdzą, że je bił.

- Jeśli to zrobi, wtedy przynajmniej ja też będę mogła mu wytoczyć proces, a nie tylko on nam - odpowiedziała Kate z wisielczym sarkazmem.

- Ale z tego, co zdołałam zaobserwować u pana Hobarta podczas tamtej aukcji, wnoszę, że raczej ograniczy się do sponiewierania mnie słownie.

- Mimo całej ironii tych słów, ich ton był raczej posępny, a ciemne oczy Kate zatraciły gdzieś swój blask.

- Na co zresztą jak najbardziej zasługuję, choćby dlatego, że nie spostrzegłam fałszerstwa.

- Ale przecież ja też niczego nie dostrzegłem - oświadczył bardzo stanowczo James.

- I, przynajmniej moim zdaniem, jest bardzo wątpliwe, żeby ktokolwiek inny mógł to zrobić na naszym miejscu.

W końcu pracuję w tym już trzydzieści lat, a dotąd nie zdarzyło mi się spotkać tak mistrzowskiego fałszyfikatu.

Myślę nawet, że trzeba by chyba wrócić do zasadniczej dyskusji o najbardziej fundamentalnych standardach naszego zawodu, tak jak to się działo po wykryciu fałszywych Vermeerów.

- Na to z pewnością nie mamy czasu, przynajmniej w tej chwili.

Muszę być w Nowym Jorku, zanim ten okropny człowiek rozgłosi wszystko prasie.

- Jest pani pewna, że poradzi sobie pani bez pomocy kogoś jeszcze?

- Jeżeli zażąda, żebym uklękła przed nim, chyba będę musiała to zrobić - odpowiedziała Kate.

Przez chwilę pomyślała, że może lepiej byłoby porozmawiać z Rollem.

Ale to było niewykonalne.

Rollo właśnie wyjechał z Londynu do Worcestershire, do wiejskiej posiadłości jednego ze swych dawnych łóżkowych partnerów.

Ten bogaty przyjaciel z dawnych lat doszedł bowiem do wniosku, że - po wpakowaniu olbrzymich pieniędzy w musical, który zrobił wręcz spektakularną klapę - musi sprzedać niektóre z należących do niego obrazów Picassa z "niebieskiego" okresu artysty.

Rollo oczywiście nie mógł przepuścić takiej okazji.

- Możesz spokojnie zostawić to mnie - zapowiedział, z satysfakcją zacierając ręce.

- Już ja wybiorę te, które są dla nas najatrakcyjniejsze.

Kochany stary Martin nie będzie ich specjalnie żałował ani za nimi tęsknił.

Zebrał kiedyś trochę sztuki nowoczesnej, bo to było jeszcze w latach, kiedy nie miał komu jej oddać.

A poza tym z całą pewnością się ucieszy, gdy mnie zobaczy tak niespodziewanie.

Tak więc Rollo od wczoraj snuł się gdzieś po odległej prowincji.

W firmie Desparda był teraz oficjalnie zatrudniony na stanowisku osobistego asystenta Kate, która chciała go mieć przy sobie.

Natomiast coraz bardziej zdecydowanie nie chciała już mieć przy sobie Piersa Langa.

Postanowiła, że na razie przesunie tego oślizłego faceta do jakichś spraw naprawdę drugorzędnych, gdzie przynajmniej nie będzie mógł zaszkodzić.

Nie mogła go po prostu zwolnić bez niezbitych dowodów, ale mogła go gdzieś przenieść.

Najlepiej do Australii, pomyślała z mściwą satysfakcją.

Ześle go do Sydney.

To dopiero raczkujący oddział, mało tam chwały, za to dużo codziennej harówki.

A w dodatku - co było jeszcze przyjemniejsze - tam na antypodach będzie już kompletnie bezużyteczny dla swej wysoko postawionej kochanki.

Tak, to właśnie należało zrobić.

A potem, już tu na miejscu, puścić Rolla po świeżych tropach, niech przewąchuje i dogrzebuje się wszystkiego, jak to umie i lubi.

Z całą pewnością już wkrótce wykryje i inne wtyczki Dominique.

Więc niech to robi, tym bardziej że od początku miał rację, jak się okazało.

A poza tym, pomyślała chytrze, niech to go zaabsorbują na tyle, by nie wtrącał się za bardzo w inne sprawy.

By, na przykład, nie antagonizował życzliwych mi ludzi, których teraz potrzebuję bardziej niż kiedykolwiek.

Teraz również można by skorzystać z pomocy Rolla.

Nie, mimo wszystko nie, powiedziała sobie stanowczo.

Sama wplątałam się w tę kabałę, więc sama muszę sobie z tym radzić.

W końcu jestem już na stanowisku, na którym ponosi się odpowiedzialność.

Nie można przed tym uciekać.

Nacisnęła przycisk dzwonka, wzywając swoją drugą sekretarkę, Penny Champion.

Zaangażowała ją wkrótce po swym powrocie do Desparda, mimo nie ukrywanej niechęci pani Hennessy.

Formalnie biorąc przyjęła Penny po to, by pomagała jej w koordynowaniu tej części obowiązków, które polegały na spotkaniach towarzyskich i najróżniejszych kontaktach zewnętrznych.

Te zajęcia rzeczywiście zabierały Kate mnóstwo czasu i wysiłku, ale niezależnie od tego obiecywała sobie, że w przyszłości pozbędzie się pani Hennessy, a Penny zajmie jej miejsce.

Penny Champion była rówieśnicą Kate.

Zawsze pogodna, bystra, bardzo sprawna, nie mówiąc już o tym, że polecona przez samą pannę Hindmarsh, która знаła ją osobiście, jako że przez lata przyjaźniła się z jej babcią.

Już po pierwszym dniu Kate wiedziała, że tym razem trafiła na właściwą osobę.

W kontakcie psychicznym "zaskoczyły" niemal od pierwszej chwili, rozumiały się w pół słowa.

Także i teraz Penny pojawiła się natychmiast, z bloczkiem do notatek i nieodłącznym długopisem, gotowa do działania.

- Penny, muszę dostać miejsce w najwcześniejszym rejsie Concorde do Nowego Jorku.

To nagłe i bardzo pilne.

Nie wiem, ile czasu zajmie mi załatwienie spraw, mam nadzieję, że uda mi się wrócić jeszcze tego samego dnia wieczorem.

O której jest najbliższy odlot?

- Na poranny rejs jest już za późno, ale zaraz sprawdzę, czy są jeszcze miejsca na szóstą po południu.

Wtedy jednak będzie pani musiała nocować w Nowym Jorku, bo na ten powrotny o ósmej już pani nie zdąży.

Może więc lepiej będzie lecieć jutro rano o wpół do jedenastej?

- Penny mogła podawać godziny odlotów bez zaglądania do notatek, ponieważ w swej poprzedniej pracy miała szefa, który latał do Nowego Jorku kilka razy na tydzień.

- Nie - powiedziała Kate.

- Muszę tam być możliwie najszybciej.

Sprawdź, czy dostanę jeszcze jakieś miejsce na szóstą, dobrze?

Okazało się jednak, że nie tylko wieczorny Concorde miał już komplet; podobnie było z odlatującymi za ocean Jumbo Jetami.

Najwcześniejszy z możliwych był więc rejs naddźwiękowy o dziesiątej trzydzieści rano, z którego właśnie ktoś zrezygnował.

Zaraz potem Penny połączyła Kate z Nowym Jorkiem, gdzie Rolf Hobart dał upust hysterii i obrzucił ją gradem grubiańskich obelg i zniewag.

Stosunkowo najbardziej parlamentarne były jego ostatnie słowa: - Albo weźmie pani swą panięską dupę w troki i zjawi się tutaj galopem, albo wzywam prasę i przekazuję im wszystko.

I będziemy rozmawiać o prawdziwych pieniądzech, bo jeżeli nie - natychmiast skarżę was, gówniarzy, do sądu, i to o pięć milionów dolarów.

Minimum!

- Będę w Nowym Jorku o dziewiątej dwadzieścia waszego czasu - odpowiedziała Kate, starając się zachować spokój.

- Powiedzmy więc, że o wpół do jedenastej będę u pana w biurze.

- Czekam do jedenastej.

W przeciwnym razie natychmiast zwołuję prasę, która już się wam dobierze do dupy!

Rolf Hobart triumfalnie trzasnął słuchawką, podczas gdy po drugiej stronie linii Kate aż dygotała z oburzenia i bezsilnego gniewu.

Organicznie nie znosiła prostactwa i chamstwa, zwłaszcza wyrażającego się we wrzasku.

Nic dziwnego, że w rezultacie wieczorem miała trudności z zaśnięciem.

W końcu podniosła się z łóżka i jeszcze raz zaczęła przeglądać kserokopie dokumentów, dołączonych do tego nieszczęsnego konia Tang.

Niezależnie od tłumaczenia dostarczonego przez sprzedających, także specjaliści z firmy Desparda zbadali papiery i dokonali własnego tłumaczenia.

Również i oni stwierdzili jednoznacznie, że dokumenty były autentyczne - świadczył o tym ich styl, język, a także rodzaj użytego papieru.

Specjalista sinolog sprawdził zapisy dotyczące rodziny, która sprzedała figurkę w Szanghaju: potwierdziło się, że był to rzeczywiście istniejący i wysoce szanowany ród mandarynów.

Potem Kate zaczęła po raz kolejny przeglądać zdjęcia, przedstawiające figurkę konia niemal pod każdym możliwym kątem i w każdym możliwym ujęciu - w planie ogólnym, w zbliżeniu i w rozlicznych powiększeniach poszczególnych detali.

Na żadnym z tych zdjęć nadal nie mogła się dopatrzeć czegokolwiek, co mogłoby budzić podejrzenia.

Jednakże decydujące były wyniki badania termoluminescencyjnego.

Było to bardzo kosztowne badanie, odpowiednik oznaczania wieku obiektu z zastosowaniem izotopów węgla; pozwalało na ustalenie wieku różnych metali, w tym także takich malowanych brązów, z dokładnością do dziesięciu lat.

I oto laboratoryjne badanie, na które powoływał się Rolf Hobart, stwierdzało, że figurka konia została wyprodukowana ledwie kilka lat temu.

Jak to możliwe?

Kto mógł coś takiego zrobić?

Gdzie?

Kiedy?

Dla kogo?

- te i podobne pytania niczym natrętne pszczoły huczały jej w głowie aż do świtu.

Nic więc dziwnego, że rano wsiadała do samolotu roztrzęsiona i kompletnie rozbita.

Nie miała ochoty patrzeć na wskaźnik Macha, nie obchodziła ją widoczna krzywizna ziemi ani niebo koloru indygo.

Nie za bardzo też słuchała tego, co od czasu do czasu mówił jej sąsiad, skądinąd sympatyczny i bardzo grzeczny Niemiec, który siedział w sąsiednim fotelu.

Kate mogła myśleć już tylko o zbliżającej się konfrontacji.

W torebce miała czek in blanco, gdyż pośpiesznie zwołane posiedzenie zarządu uznało, że Rolfa Hobarta należy ułagodzić za wszelką cenę.

Zapłacić, ile zażąda, za zwrot fałszywego konia Tang i przede wszystkim za nienaruszoną reputację firmy Despard.

Wychodząc z sali, w której odbyło się posiedzenie zarządu, Kate zdawała sobie sprawę, że wszyscy jego członkowie byli nie tylko wstrząśnięci tym, co się stało, ale z pewnością również głęboko rozczarowani.

Tak szybko poniosła klęskę, zawiodła ich, razem z Jamesem Grieveem.

Coś takiego nie mogłoby się zdarzyć za czasów jej ojca, zdawały się mówić ich spojrzenia, choć oczywiście nikt nie powiedział tego głośno.

W tym samym mniej więcej czasie co przylatujący z Londynu Concorde, na lotnisku Kennedyego wylądował inny samolot, którym do Nowego Jorku powracał Blaise Chandler.

Właśnie wsiadał do czekającej na niego limuzyny, gdy nagle kątem oka zobaczył najpierw burzę kasztanowo rudych włosów, a potem także znajomą sylwetkę wysokiej dziewczyny, bezskutecznie usiłującej zatrzymać jakąś taksówkę.

- Proszę na mnie chwilę zaczekać - powiedział do kierowcy i przebiegając między wolno jadącymi wzdłuż krawężnika samochodami, przedostał się na szeroki chodnik tuż obok głównego wyjścia z terminalu.

- Panno Despard!

Kate obróciła się na pięcie i Blaise spostrzegł - z pewnym zaskoczeniem - że tym razem przyjęła jego pojawienie się z prawdziwą radością, a już w każdym razie z ulgą.

- Och, dzięki Bogu, że pana spotkałam.

Byłam już naprawdę zrozpaczona, wszystkie taksówki są zajęte.

A ja muszę być w mieście najpóźniej o jedenastej, to po prostu sprawa życia lub śmierci.

Może mnie pan podwieźć?

- Oczywiście.

Dlatego właśnie biegłem do pani przez jezdnię.

Mam tu samochód.

Chodźmy...

- Zaczynam podejrzewać, że jest pan aniołem w przebraniu - powiedziała Kate z niekłamaną wdzięcznością, kiedy już byli w środku.

Z ulgą odchyliła głowę na miękkie jasnoszare oparcie limuzyny, ale przedtem jeszcze raz spojrzała na zegarek.

Piętnaście po dziesiątej.

Jeszcze wciąż pozostawało w niej to napięcie nie kończącego się czekania przy odprawie paszportowej, denerwujące, kumulujące się kolejne opóźnienia, ciągle spoglądanie na zegarek...

- Co właściwie jest powodem, że aż tak bardzo musi się pani śpieszyć?

- spytał Blaise.

Kate zawahała się, a Blaise zauważył, że miękkie dotąd spojrzenie jej czarnych oczu nagle stało się ostrzejsze i twardsze.

- Wciąż mi pani nie ufa, prawda?

- spytał z uśmiechem.

Niespodziewanie dla siebie, Kate nagle podjęła decyzję.

Nabrała powietrza, jak przed skokiem do głębokiej wody, i opowiedziała mu wszystko.

Blaise słuchał uważnie, nie przerywając.

- Ma pani do czynienia z osobnikiem wyjątkowo nieprzyjemnym - powiedział w końcu.

- Ja co prawda nie znam go aż tak dobrze jak na przykład moja babka, która zresztą знаła również jego ojca.

W każdym razie nie ulega żadnej wątpliwości, że na dobrą sprawę obaj wymagaliby nadzoru psychiatrycznego.

Zawsze byli wyznawcami skrajnej prawicy, zawsze paranoicznie podejrzliwi wobec wszystkich i każdego z osobna.

A ten Rolf, o ile wiem, lubi nie tylko pożreć zdobycz, ale i oglądać krew, płynącą z gardła ofiary...

- Blaise zmarszczył brwi.

- Ale dlaczego to akurat pani ma z nim rozmawiać?

To znaczy, chciałem zapytać: dlaczego pani jest sama?

Ja nie pozwoliłbym mojej żonie nawet zbliżyć się do niego, a przecież ona jest, jak sądzę, znacznie twardsza od pani.

- Ja też nie jestem z morskiej pianki!

- Mruknęła poirytowana Kate.

Owszem, ona miała prawo się denerwować, ale on nie powinien był tego zauważać, jeśli był dżentelmenem.

- O tym również mi powiedziano - stwierdził sucho Blaise.

- Kto panu powiedział?

Blaise obrócił się do niej, ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę.

- No kto, jak pani myśli?

- O Boże!

- wykrzyknęła szczerze oburzona Kate.

- To już nie ma nic świętego?

- Nie mogę tam być stale, więc po prostu każę sobie przysyłać szczegółowe raporty - powiedział zupełnie nie speszony Blaise, bardzo rzeczowo i spokojnie.

- Proszę się nie martwić, w tych donosach piszą o pani dobrze.

- Ale ja przecież jeszcze nawet nie zaczęłam tego wyznaczonego roku próby...

- powiedziała Kate, nadal oburzona tak bezceremonialnym traktowaniem.

- I właśnie dlatego wciąż jeszcze przysyłają mi te raporty.

Natomiast od momentu, kiedy pani oficjalnie zacznie kierować oddziałem, wszystko się zmieni.

Będzie pani już działać niejako na swoim, a ja nie będę miał prawa w to wnikać czy w jakikolwiek sposób interweniować.

A na razie po prostu chciałem wiedzieć, jak sobie pani daje radę, i to wszystko.

W rezultacie to właśnie Kate zarumieniła się, z niejasnym poczuciem jakiegoś nagłego zawstydzienia.

Wciąż czuła się przy nim dosyć skrępowana.

A poza tym nie oczekiwała, że Blaise w ogóle będzie się nią interesował w jakikolwiek sposób.

Blaise bębnił palcami po pokrywie skórzanej walizeczki.

- Gdzie pani jest umówiona?

- zapytał.

- W Hobart Enterprises Building, przy Piątej Alei.

- Wiem, gdzie to jest.

Zawieziemy panią pod główne wejście.

- Zdamy na czas?

Blaise spojrzął na zegarek.

- Nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy zdążyć.

Ale nie zaszkodzi, jeśli się upewnię.

Nacisnął dzwignik przełącznika.

- Jim, zależy nam na tym, by być przy wieżowcu Hobarta na Piątej Alei przed jedenastą.

W głośniku dała się słyszeć spokojna odpowiedź kierowcy: - Zdamy bez trudu, proszę pana.

Potężna limuzyna wyraźnie przyśpieszyła.

- Słyszałem, że policja w Nowym Jorku bardzo nie lubi, jeśli przekracza się prędkość pięćdziesięciu mil na godzinę - powiedziała nieco nerwowo Kate.

- No cóż, musieliby nas najpierw złapać - odpowiedział Blaise i zamilkł.

Po chwili spytał jeszcze: - Jak długo będzie pani w Nowym Jorku?

Zamierza pani wpaść do tutejszego oddziału Desparda?

- Raczej nie - powiedziała Kate.

- Chcę wracać popołudniowym Concorde.

Znów zapadło milczenie.

Potem Blaise zapytał: - Czy ja dobrze zrozumiałem, że to Piers Lang poinformował firmę o możliwości kupienia tego konia Tang?

- Tak.

To znaczy, ktoś zwrócił się do niego z taką ofertą.

Przez resztę drogi wypytywał ją dość dociekliwie o różne szczegóły, aż do momentu, gdy limuzyna zatrzymała się na podjeździe przed wieżowcem Hobart Enterprises.

Blaise wysiadł pierwszy, a za nim pogrążona w niewesołych myślach Kate.

Milczała przez dłuższą chwilę i nawet nie podniosła głowy do góry.

Pierwszy raz stała przed nowojorskim drapaczem chmur, w ogóle pierwszy raz była za oceanem, i akurat musiało to się zdarzyć w takich okolicznościach.

Nie, nie zamierza odwiedzać Desparda New York, na pewno nie podczas tej podróży.

Nikt nie powinien wiedzieć, że w ogóle tu przyjeżdżała.

To, że przez przypadek spotkała Blaisea Chandlera, mogło być pomyślnym lub niepomyślnym zbiegiem okoliczności, ale w gruncie rzeczy Kate była zadowolona, że powiedziała mu o wszystkim.

Z jakiegoś powodu była przekonana, że on nie powie o tym nikomu.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję - powiedziała.

- Zdażyłam na czas, i to tylko dzięki panu.

- Jestem po pani stronie.

Gdyby pani chciała w to uwierzyć...

- rzekł Blaise.

Potem odwrócił się i wszedł do samochodu.

Potężna limuzyna ruszyła bezszelestnie i już po chwili roztopiła się w rzece pojazdów na Piątej Alei.

A Kate, z otwartymi z zadziwienia ustami, przyłapała się na tym, że wciąż spogląda w ślad za nim.

Rozdział 7 .

Gabinet Rolfa Hobarta był tylko nieco mniejszy niż stadion Wembley, a biurko - proporcjonalnie - zdawało się mieć wymiary kortu tenisowego.

Usytuowane było naprzeciwko wejścia, daleko pod ścianą.

Zaanonsowana przez ubranego na czarno osobnika o twarzy ropuchy, Kate na miękkich ze strachu nogach musiała przejść całą tę odległość, dzielącą ogromne drzwi od wspomnianego biurka, na którym już z daleka dostrzegła nieszczęsną figurkę konia Tang.

Nie potrafiła oderwać od niej oczu.

- No właśnie - powiedział ochryłym głosem Rolf Hobart.

- Jest tu, na miejscu.

Ten sfalszowany koń, którego chcieliście mi wcisnąć!

Był dużym, ciężkim mężczyzną, niebezpiecznym, sądząc z wyglądu, i od pierwszej chwili napastliwym.

Jego pyszałkowaty głos był pełen arogancji człowieka, który jest pewien, że pieniądze upoważniają go do wszystkiego.

- Nie zamierzaliśmy pana oszukiwać - oświadczyła Kate, spokojnie, lecz stanowczo.

- Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że pani - w końcu rzekomo ekspert - sama dała się na to nabrać?

Kate powstrzymała się od przypomnienia, że przecież również i on dał się wprowadzić w błąd, i przyznała szczerze: - Tak, dałam się nabrać.

Przez całe moje życie nie zetknęłam się z tej klasy fałszerstwem.

Czy mogę jeszcze raz obejrzeć tę figurkę?

- Może ją pani sobie zabrać w cholerę natychmiast, gdy tylko dostanę od was czek.

Na milion dolarów.

Milion dolarów!

Oczywiście nie było to nic innego, jak zwyczajny szantaż, ale Kate musiała się na to zgodzić.

Dzięki temu dobre imię firmy Desparda pozostawało nienaruszone, a to było warte wielokrotnie więcej.

Wiedziała przecież, że ten człowiek, gdyby tylko zechciał, mógł zażądać i dziesięciu milionów.

Mógł w ogóle odrzucić propozycję jakiegokolwiek nieoficjalnego odszkodowania i wytoczyć im proces, w którym zażądałby sumy z jeszcze większą liczbą zer.

Krótko mówiąc, pokazywał jej, kto tu jest panem; udawał, że może się z nią bawić w kotka i myszkę.

Nawet jeśli tym razem ją oszczędził, to powinna wiedzieć, że następnym razem może być gorzej.

Kate ciągle oglądała figurkę, bardzo uważnie i dokładnie.

Nawet teraz, kiedy już знаła wyniki badań metodą termoluminescencyjną, wciąż widziała w tym dzieło sztuki; bo nawet jeśli nie był to żaden antyk, to i tak była to niezwykle piękna rzecz; właściwie wciąż równie piękna jak te, które wykonano dwa tysiące lat temu.

Kate dopiero teraz zdała sobie sprawę, co musieli odczuwać światowi eksperci malarstwa, gdy Van Meerhagen na ich oczach tworzył - obezwładniająco wspaniały - "obraz Vermeera".

W rezultacie tej doskonałości fałszerstwa miała teraz poczucie ogłupienia, odarcia z wiedzy i całego zdobytego dotąd doświadczenia.

Wszystko, czego się nauczyła, na nic się jej nie zdało.

Przy pierwszej poważniejszej próbie dała się nabrać na podróbkę.

Może niezwykle, ale jednak podróbkę.

Odstawiła figurkę konia na biurko, sięgnęła po torebkę, wyjęła czek in blanco i wpisała żadaną sumę.

Podpisała i w milczeniu podała go Hobartowi.

Ten niemalże wyrwał go jej z rąk.

Ale zaraz po tym, jakby nie usatysfakcjonowany tym, co osiągnął, rozpoczął długą tyradę składającą się głównie z obelg, a potem wręcz wyzwisk; mówił przy tym coraz głośniejszym, co chwila krzyżąc.

Oczy zdawały mu się wychodzić z orbit; w końcu obiegił biurko dookoła i stojąc nad Kate wręcz wrzeszczał, śliniąc się i zapluwając, i oczywiście kompletnie nie dbając o to, że jego ślina padała również i na nią.

Kate już zaczynała myśleć, że Hobart po prostu oszalał, i skulona ze strachu spoglądała na jego zwinięte w pięści dłonie, którymi wymachiwał nad jej głową.

Jego wyzwiska coraz bardziej przypominały krzyki wariata, zaczął oskarżać ją o to, że celowo chciała go oszukać i ośmieszyć jednocześnie; że nigdy jej tego nie zapomni i że jego noga nigdy już nie postanie w firmie Despard's London.

Zresztą i tak pojechał tam wyłącznie dlatego, że wmówiono mu, jakoby była to firma, która rzeczywiście liczy się na rynku dalekowschodniej sztuki.

Ale teraz, i to raz na zawsze, będzie się trzymał własnego kraju, gdzie ludzie pozostają uczciwi.

Powinien był z góry przewidzieć, czego się można spodziewać po pieprzonych Angolach; zawsze oszukiwali innych i zawsze będą.

Nagle zadzwonił telefon.

Rolf Hobart przerwał swą wrzaskliwą tyradę w pół słowa, odwrócił się i chwycił słuchawkę.

Kate nie słyszała nic z prowadzonej przez niego rozmowy; jej serce wciąż waliło jak młotem, a nogi nagle stały się miękkie niczym galareta.

Nigdy w życiu nie była aż tak przerażona.

Była pewna, że ten człowiek już za chwilę straci resztki panowania nad sobą i zacznie ją bić tymi ogromnymi pięściami.

W końcu tylko jego bogactwo i stosunki sprawiały dotąd, że kolejne przypadki dokonanych przez niego pobić nie trafiały do policji i nie stawały się przedmiotem postępowania sądowego.

Kate nagle zdecydowała, że po prostu zostawi czek na biurku i wyjdzie; kiedy jednak odwróciła się i chwiejnie ruszyła w stronę drzwi, niespodziewanie usłyszała za sobą: - Proszę zostać, panno Despard!

- Ku jej zdumieniu, głos Rolfa Hobarta był teraz zupełnie inny, nieomal uprzejmy.

Kate zatrzymała się na chwilę, ostatecznie jednak postanowiła się nie odwracać i wyciągnęła dłoń w kierunku klamki.

Ale Hobart znów zaczął coś mówić, a ona wprost nie mogła uwierzyć, że to mówi ten sam człowiek, który jeszcze przed chwilą tak na nią wrzeszczał.

- Czemu nie powiedziała mi pani, że zna Agathę Chandler?

- powiedział tonem, który w jednej chwili stał się nie tylko łagodny, ale wręcz uprzedzająco grzeczny.

Ten człowiek mówił tak, jakby nagle chciał ją za to wszystko przeprosić albo jakby się czegoś przestraszył.

- To przecież zupełnie zmienia postać rzeczy!

Teraz stał się niezwykle uprzejmy, ale jego oczy nadal przypominały zimne niebieskie kamyki.

Było jasne, że posuwa się do czegoś w rodzaju przeprosin wyłącznie dlatego, że zadzwoniła jakaś Agatha Chandler?

Zaraz!

Tak, właśnie Chandler.

Rolf Hobart z pewnością nie złagodniał tak po prostu sam z siebie, zresztą widać było, że nadal nie za bardzo mu się to podoba.

Ale coś jednak sprawiło, że zmienił się całkowicie.

- Po prostu zapomnijmy o tym wszystkim, dobrze?

- Na oczach zdumionej Kate podał jej czek na kawałeczki mniejsze niż confetti.

- Właściwie chodziło mi tylko o to, żeby dać wam lekcję, że Rolf Hobart nigdy nie daje się wyrolować, ale to tylko tyle i nic więcej, w porządku?

A teraz proszę mi po prostu zwrócić sumę, którą wam zapłaciłem, i incydent będziemy mogli uznać za wyczerpany.

Bez urazy, zgoda?

Wciąż krańcowo oszołomiona Kate spostrzegła z przerażeniem, że Rolf Hobart zbliża się do niej i wyciąga w jej stronę swe łapy wielkości czerpaków koparki.

Ciągle nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, cofnęła się pośpiesznie.

Odwróciła się, szarpnęła za klamkę i co sił w nogach uciekła do hallu.

W windzie musiała oprzeć się o ścianę i wciąż trzęsła się ze strachu.

Ten człowiek naprawdę musiał być niebezpiecznym wariatem.

Najpierw wyzywa ją od najgorszych, wrzeszcząc i trzęsąc się z wściekłości, jakby miał zamiar ją tam pobić i wdeptać w ziemię, a w chwilę po tym nagle robi się grzeczny i wręcz ją przeprosza, tylko dlatego, że zadzwoniła do niego jakaś Agatha Chandler!

I dopiero w tym momencie jej umysł powoli zaczął wydobywać się ze stanu szoku, ze wstrząsu, który sprawił, że na tych kilka minut straciła zdolność kojarzenia.

Teraz nagle przypomniały się jej słowa Rolla, jakby usłyszała je na nowo: "...on przecież jest wnukiem Agathy Chandler, właścicielki połowy całego cywilizowanego świata.

A ona jest starsza od Matuzalema, ale wciąż ma niewiarygodną władzę".

Kiedy drzwi windy otworzyły się na parterze, Kate wciąż stała w środku, oparta o ścianę kabiny.

Z przypominającego trans otępienia wyrwał ją dopiero uprzejmy męski głos.

- Czy panna Despard?

Kate podniosła wzrok i spostrzegła, że stoi przed nią jakiś człowiek w uniformie, z czapką kierowcy w ręku.

- Tak, o co chodzi?

- odpowiedziała.

Zauważyła, że kierowca przygląda się jej z pewnym niepokojem.

- Pani Chandler przysłała po panią samochód.

- Słucham?

Samochód?

A, tak...

- Samochód, żebym wreszcie mogła się stąd wydostać, pomyślała z ulgą.

- Dziękuję.

Przy krawężniku stała nieprawdopodobnie długa limuzyna z przyciemnionymi szybami.

Kierowca otworzył przed nią drzwi, spojrzał na jej pobielającą twarz i powiedział: - Tam w barku może pani znaleźć coś wzmacniającego, gdyby pani sobie życzyła.

Limuzyna ruszyła bezszelestnie, a Kate wyciągnęła rękę i odchyliła polerowaną orzechową klapę zamykającą barek.

Wtedy postrzegła, że jej dłoń wciąż drży bardzo mocno.

Mimo to udało się jej jakoś wyjąć z głębokiej srebrnej podstawki jedną z kryształowych karafek i nalać podwójną brandy do podręcznej szklaneczki.

Pośpiesznie przełknięty alkohol palił jej gardło, ale potem niczym dobroczynny płomień zaczął rozchodzić się po żyłach, powoli odprężając mięśnie i ciągle jeszcze sparaliżowany przeżytym lękiem mózg.

Jeżeli walnięcie w łeb może odprężyć, to ta brandy ją odprężyła.

Kate przymknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Cóż za dzień!

I co za niesłychany, niebezpieczny wariat!

A przecież to wszystko było tylko częścią przemyślanej, złośliwej i okrutnej intrygi, częścią czyjegoś celowego działania.

A więc czy jej przyrodnia siostra ostatecznie była, czy nie była jej wrogiem?

Dominique już wcześniej jawnie wypowiedziała jej wojnę, a teraz najwyraźniej zaczęła działania zaczepne - od czegoś, co można by przyrównać do pierwszego ataku komandosów.

A ty, kretynko?

- zapytała sama siebie Kate.

Wszyscy dookoła powtarzali ci, że nie wolno jej ufać, ale ty i tak robiłaś swoje, to znaczy, zupełnie nic nie robiłaś.

Rollo miał rację, kiedy mówił, że zawsze spodziewasz się po innych, że będą przestrzegali tych samych zasad, co i ty.

Więc może to cię czegoś nauczy.

Weź się wreszcie w garść dziewczyno, albo wycofaj się z tego wszystkiego.

Otworzyła przymknięte dotąd oczy i rozejrzała się dookoła.

Zdała sobie sprawę, że limuzyna jedzie jakąś szeroką aleją z pasem ozdobnych krzewów pośrodku.

To chyba musiała być Park Avenue.

Nie знаła zbyt dokładnie topografii Nowego Jorku, ale orientowała się na tyle, żeby wiedzieć, że jadą Manhattanem na północ, podczas gdy droga na lotnisko musiała biec przez Queens, a więc na wschód.

A jej Concorde odlatywał o pierwszej czterdzieści pięć.

Kate pochyliła się i zapukała w szybę, oddzielającą ją od kabiny kierowcy.

- Jedzie pan w złym kierunku!

- zawołała.

- Nie, proszę pani.

- Mimo grubej szyby słyszała jego odpowiedź bardzo wyraźnie.

- Otrzymałem polecenie, by przywieźć panią do pani Chandler.

Porwali!

Teraz jeszcze mnie porwali, pomyślała Kate, już cokolwiek histerycznie.

Tego tylko brakowało!

Co za dzień!

Przecież ta Agatha Chandler mogła się okazać jeszcze gorsza od Rolfa Hobarta!

Może to jakaś reguła, że zbyt wielka ilość pieniędzy musi kończyć się ciężkim przypadkiem megalomanii?

Odchyliła się na oparcie, przymknęła oczy, ale za chwilę otworzyła je ponownie.

Spostrzegła, że kierowca sięga po telefon i coś mówi do słuchawki.

Limuzyna skręciła w prawo w najbliższą przecznicę.

Znajdowali się teraz w jednej z najdroższych dzielnic Nowego Jorku, sądząc z wyglądu domów, a także z tego, że ulice były tu czyste i dobrze utrzymane.

Limuzyna skręciła na podjazd wiodący do frontonu rozległego budynku z wielkimi, wypolerowanymi do lustrzanego połysku drzwiami w stylu francuskim.

Gdy tylko samochód się zatrzymał, drzwi uchyliły się bezszelestnie i na marmurowych stopniach schodów pojawił się szpakowaty kamerdyner, poprzedzany przez lokaja, który skierował się do limuzyny.

Kate miała ochotę uszczyptać się, by się upewnić, że na pewno nie śni.

To jednak była jawa - lokaj otwierał przed nią drzwi samochodu.

- Witamy panią!

- Kamerdyner był poważny i dostojny.

Kate uśmiechnęła się mimo woli, kiedy usłyszała, że mówi do niej z nienagannym angielskim akcentem.

- Pani Chandler oczekuje pani.

Poprowadził ją schodami do wysokich drzwi, a następnie do rozległego, bardzo pięknego hallu z wzorzystą mozaikową podłogą, wspaniałym kryształowym żyrandolem i ozdobnymi schodami w głębi, wręcz oszałamiającym wystrojem i wyszukaną, łukowato wygiętą linią.

W stojącym na środku hallu samojezdnym fotelu na kółkach siedziała bardzo stara kobieta, a obok - Kate omal nie przetarła oczu, żeby upewnić się, że wzrok jej nie myli - stała równie wiekowa Indianka, najprawdziwsza indiańska squaw.

Siedząca dotąd nieruchomo kobieta dotknięta umieszczonego w poręczy przycisku i fotel niemal bezszelestnie zaczął się przesuwać w stronę Kate.

- A więc to ty, dziecko, jesteś córką Charlesa - odezwała się głosem zaskakująco głębokim i mocnym, który chyba można było dosłyszeć nawet na Long Island.

-Ja, jak się pewnie domyślasz, jestem Agatha Chandler.

Twój ojciec był moim przyjacielem, i to takim, którego ceniłam szczególnie.

- Dzień dobry pani - powiedziała Kate, cokolwiek niezręcznie i sztywno.

Ujęła wyciągniętą do niej starczą rękę, chudą i pomarszczoną, ze spuchniętymi od artretyzmu stawami i pokrzywionymi paznokciami.

Stara kobieta zaśmiała się głośno.

Barwa i brzmienie tego śmiechu nieodparcie przypominały rzenie konia.

- Zaskoczyłam cię zupełnie, co?

- spytała, a z jej tonu nietrudno było wywnioskować, że bardzo to lubi.

- No, ale kiedy Blaise zadzwonił do mnie i opowiedział, co ten stuknięty Rolf Hobart zamierza, pomyślałam sobie, że muszę położyć na tym swą delikatną rączkę.

- Z batem?

- ośmieliła się powiedzieć Kate.

Starsza pani roześmiała się znowu, rozbawiona i ucieszona.

- No proszę, to dopiero dziewczyna!

Tak jest, tak z nimi trzeba!

- powiedziała, a potem spytała, już nieco mniej żartobliwie: - No a jaki on był?

Okropny?

- To trochę tak, jakby pytać, czy krokodyl jest przy apetycie - powiedziała Kate i wzdrygnęła się.

Agatha Chandler zachichotała i - co prawda dosyć ostrożnie - uderzyła się dłonią po kolanach.

- A mnie się udało bardzo szybko uspokoić bestię.

Powiedziałam mu tylko, że jeśli spróbuje się wobec ciebie zachować nieodpowiednio, to może się pożegnać z dostawami miedzi, na które liczy, nie mówiąc już o paru innych surowcach, które otrzymuje z naszej korporacji i które mu są bardzo potrzebne.

Ja go znam!

Zresztą znałam ich obu, ojca i syna.

Obaj tak samo niezrównoważeni, obaj z kompleksami władzy i z obrzydliwie rozdętym ego.

Ale wejdźmy gdzieś głębiej, moje dziecko, nie stójmy tu tak w tym pełnym przeciągów hallu.

- Soames!

- wrzasnęła na Bogu ducha winnego kamerdynera.

- Jesteś pewien, że piec centralnego ogrzewania pracuje właściwie?

- Tak, proszę pani.

A termostat ustawiłem na najwyższą podziałkę.

- Jakoś tego nie czuję - burknęła Agatha Chandler.

Dopiero w tym momencie Kate zaczęła sobie zdawać sprawę, że w całym pomieszczeniu jest gorąco jak w cieplarni.

W dodatku - dostrzegła to dopiero teraz - w głębi hallu mieścił się ogromny marmurowy kominek, a wrzucone doń szczapy buchały ogniem, który można by porównać chyba tylko ze słynnym pożarem Chicago.

- Nienawidzę tego wiecznie zimnego miasta - powiedziała zrzędlwym tonem Agatha Chandler.

- Przyjeżdżam tu tylko wtedy, gdy muszę.

Im prędzej będę mogła powrócić do moich gór, tym lepiej.

Minnie, obróć mnie do ognia - zwróciła się do milczącej starej Indianki, która przez cały czas stała przy niej nieruchomo.

- To jest moja kuzynka, Minnie Elkhorn - zwróciła się znów do Kate.

Minnie obojętnie skinęła głową.

Wyglądała na jeszcze starszą niż Agatha, choć na pozór mogło się to wydawać niemożliwe.

Potwierdziło się jednak, kiedy Agata, nie ukrywając satysfakcji, powiedziała: - Trzymam ją przy sobie przede wszystkim dlatego, że jest jeszcze starsza niż ja.

Niezbyt dobrze mówi po angielsku, ale wszystko rozumie.

No a teraz chodźmy stąd gdzieś, gdzie będzie trochę cieplej.

Idziemy, Kate!

Ruszyła przodem wraz z Minnie, a kompletnie już oczarowana Kate poszła za nimi.

Na przedzie szedł kamerdyner, który otwierał kolejne drzwi i przytrzymywał je, by Minnie mogła przepchnąć fotel.

Kate zamykała ten pochód.

- No dobrze.

A teraz przynieś nam trochę kawy - rozkazała Agatha, zwracając się do kamerdynera.

- Mocnej i gorącej.

- Tak jest, proszę pani.

Minnie tymczasem ustawiła fotel Agathy na wprost kominka, buchającego ogniem równie potężnym jak ten, który płonął w hallu.

Agatha zaczęła na oślep przekładać podręczne drobiazgi, których cała masa musiała zawsze być pod ręką.

W końcu wyciągnęła odnalezione pod załomem koca staroświeckie lorgnon.

- No to teraz przyjrzyjmy się dokładniej naszej Kate Despard!

- powiedziała.

- Czy ty przynajmniej wiesz, że twój ojciec i ja przyjaźniliśmy się?

- Prawdę mówiąc, nie - odpowiedziała szczerze Kate.

- Nic dziwnego - mruknęła Agatha.

- Poznaliśmy się dopiero kilka lat temu, ale natychmiast bardzo się polubiliśmy.

Powiem ci, że nie za bardzo jesteś do niego podobna.

Zdaniem Agathy, wcale też nie była tak brzydka, jak utrzymywał Blaise po ich pierwszym spotkaniu.

"Ta cała Kate wygląda dosyć okropnie - powiedział wtedy.

-Ale za to ma głowę nie od parady".

No więc może nie jest tak ładna jak Dominique, pomyślała starsza pani przyglądając się Kate, ale jest strzeliście wysoka, a jej nogi po prostu w ogóle się nie kończą.

A włosy też już wcale nie są marchewkowe.

Najwyraźniej ktoś tam się nią zajął w tym względzie.

No i chwała Bogu.

- Czy mogę zdjąć płaszcz?

- spytała Kate.

Starsza pani zachichotała.

- Zrobiło ci się ciepło, co?

Ja muszę mieć ciepło, bo mam strasznie rzadką krew.

To dlatego co pewien czas przyjeżdżam do tego zakichanego Nowego Jorku, żeby różne utytułowane konowały mogły mnie badać i wróżyć, ile też mi jeszcze zostało.

Ale ty rozbierz się, nie musisz się męczyć.

Kate z ulgą zdjęła gruby płaszcz, dodatkowo podbity puszystym strzyżonym barankiem. Pod spodem miała jeszcze gruby ciemnozielony sweter od Claudea Montany, włożony na harmonizującą z nim bluzkę koloru miodu.

Spodnie z grubej, skośnie prążkowanej tkaniny, stylizowane były na wzór dżokejskich; do tego dochodziły jeszcze wysokie buty.

- Gdyby nadal było ci zbyt gorąco, siądź sobie z boku, nie na wprost ognia.

- Chichot starszej pani przypominał gdakanie kury.

Kate z ulgą usadowiła się na zarzuconej poduszkami kanapie typu chesterfield, na której przynajmniej można było wytrwać bez upieczenia się na szaszłyk.

Dało się słyszeć pukanie i w drzwiach pojawił się kamerdyner, trzymający w rękach jakąś paczkę.

- Co znowu?

- zapytała Agatha Chandler.

- Przysłano to dla panny Despard, proszę pani.

Od pana Hobarta.

- Ach, to musi być ten koń Tang!

- wykrzyknęła Kate i podbiegła pośpiesznie.

- Zapomniałam zabrać go ze sobą.

- Wzięła tekturowe pudełko od kamerdynera, podniosła wieko.

Okazało się, że w środku rzeczywiście była figurka konia.

- Mogę to zobaczyć?

- spytała Agatha.

Kate podała jej figurkę.

Starsza pani nie była w stanie jej utrzymać w dłoniach, oparła ją więc na kolanach i uważnie obejrzała ze wszystkich stron.

- Coś ci powiem!

- rzekła w końcu.

- Zdaje mi się, że mam tego rodzaju rzeczy tam u mnie, na moim ranczu.

Wśród różnych różności, pozostałych po moim ojcu, który kupował tego mnóstwo, po całym świecie.

- Był kolekcjonerem?

- spytała Kate.

- Nie w takim sensie, jak ty to rozumiesz.

On po prostu kupował to, co mu się z jakiegoś powodu spodobało, nic ponadto.

- Agatha znów spojrzała na Kate i zapytała wprost: - Czy to jest dobra podróbka?

- Doskonała, niewiarygodnie doskonała.

Tak dobra, że nawet przez moment nie przyszło mi do głowy, żeby coś podejrzewać.

Podobnie zresztą dał się oszukać nasz specjalista od sztuki dalekowschodniej.

I powiem pani - Kate znów była wyraźnie podekscytowana - że tak doskonale fałszerstwo to jest coś niezwykle niebezpiecznego, dla całej naszej branży.

W życiu nie czułam się tak zagrożona.

- Sądzisz, że to może zrujnować wasz rynek?

- Tak.

To będzie katastrofa.

- Hmm...

- Starsza pani jeszcze raz przyłożyła do oczu lorgnon i przyjrzała się uważnie.

- No cóż, tak czy inaczej trzymaj to w jakimś bezpiecznym miejscu.

Nie wątpię, że zamierzasz przeprowadzić śledztwo, kiedy tylko wrócisz do Londynu.

- O, z całą pewnością- oświadczyła Kate, a na jej twarzy pojawił się wyraz nie ukrywanej zaciętości.

- Masz już jakieś tropy?

- Na razie tylko pewne podejrzenia.

Tymczasem pojawił się kamerdyner z kawą.

Minnie przysunęła niewielki stolczyk, na którym Soames mógł ustawić przyniesioną tacę, ozdobioną wspaniałymi ornamentami.

Kate przyjrzała się jej uważnie.

Nie czuła się specjalistką od sreber, ale natychmiast spostrzegła, że taca jest stara i cenna.

Starsza pani zauważyła to jej spojrzenie.

- To Paul Revere - powiedziała.

- Nabyty przez pani ojca?

- zgadła Kate.

Starsza pani z zadowoleniem skinęła głową.

Minnie rozlała kawę do filiżanek.

- Nie mogę już sama niczego robić - powiedziała Agatha.

- To przez ten zatracony artretyzm!

Ale mózgu wciąż mi jeszcze nie pokręciło do końca - dodała i znów zaczęła się śmiać.

Kate pomyślała, że ta stara kobieta ciągle miała w sobie żywotność, której mogłyby jej pozazdrościć osoby o połowę młodsze.

A do tego jeszcze ta niezwykła, zadziwiająca osobowość.

Twarz Agathy, o skórze koloru starej miedzi - choć nie tak ciemna jak twarz Minnie - miała rysy prawdziwie orle i cerę jak na ten wiek zaskakująco gładką i niemal pozbawioną zmarszczek.

Jej włosy - z całą pewnością farbowane - były równie czarne jak włosy jej wnuka, sztywne i proste.

Ciasno ściągnięte do tyłu, związane były w gruby węzeł z wpiętym weń ciężkim ozdobnym grzebieniem w stylu hiszpańskim.

Grzebień był ze starego złota, ozdobionego kamieniami.

Kate domyśliła się, że muszą to być szmaragdy i rubiny.

Agatha Chandler ubrana była w coś pośredniego między płaszczem a szlafrokiem - był to strój zbyt obszerny, by nazwać go rodzajem kaftana, a uszyty był z ciężkiego brokatu, bogato zdobionego złotym haftem.

Wokół szyi wznosił się kołnierz, jaki Kate zdarzało się dotąd widzieć tylko na portretach dawnych władców narodu Inków: tkanina była dosłownie obsypana drogimi kamieniami, takimi samymi jak te, które ozdabiały grzebień.

Z przekłutych uszu zwisały barbarzyńskie w swym bogactwie kolczyki, również ze szmaragdami i rubinami.

Jakby dla kontrastu, Agatha Chandler nie nosiła żadnych pierścionków na swych schorowanych rękach, jeśli nie liczyć zwykłej ślubnej obrączki na serdecznym palcu lewej dłoni.

Natomiast Minnie - co bardzo ucieszyło Kate, kiedy to dostrzegła - ubrana była w oryginalny tradycyjny strój indiański z niewiarygodnie miękkiej skóry, koloru dojrzewającej kukurydzy, zdobiony paciorkami i licznymi frędzlami.

Włosy Minnie były śnieżnobiałe, zaczesane w ten sam sposób, jak w przypadku Agathy, ale już bez ozdób.

Minnie nalała im kawy.

Dla Agathy przeznaczona była specjalna filiżanka z dwoma obszernymi uszkami, łatwymi do utrzymania w pokręconych od reumatyzmu starczych palcach.

- A pani może chciałaby coś mocniejszego do kawy?

- zapytała Minnie, gdy Kate sięgnęła po podawaną jej filiżankę.

Kate jednak odmówiła, pamiętając, że już łyknęła wystarczająco dużo alkoholu w drodze z Hobart Enterprises.

Uznała, że mimo wszystko powinna zachować zdolność do w miarę jasnego myślenia.

Bardzo szybko przekonała się, że słusznie postąpiła odmawiając, kawa bowiem okazała się i tak potwornie mocna, czarna jak grzech śmiertelny i gorąca jak piekło.

Agata roześmiała się, patrząc na reakcję Kate na pierwszy ostrożny łyk tego szatańskiego napoju.

- To mój ojciec nauczył mnie, jak powinno się parzyć kawę.

Czasami - kiedy nie udało mu się niczego upolować i nie miał co jeść - pozostawała tylko kawa, by mimo wszystko jakoś utrzymać duszę w ciele.

- Taka kawa może człowiekowi przyspawać duszę do ciała już na stałe - powiedziała Kate, głęboko dysząc po kolejnym łyku, a starsza pani znów wybuchła głośnym, pełnym satysfakcji śmiechem.

- Chłopiec - to znaczy Blaise - mówił mi, że masz w sobie iskrę.

Dlatego zresztą zadzwonił do mnie.

- Księżno!

- powiedział - musisz zaraz zadzwonić do Rolfa Hobarta i założyć mu jakiś kaganiec, bo inaczej on rozszarpie tę bezbronną dziewczynę na strzępy.

- Wcale nie jestem taka bezbronna - oświadczyła wciąż czuła na tym punkcie Kate.

- Nie.

Ja też już widzę, że nie.

Ale trzeba jednak znać Rolfa Hobarta.

Kiedy on raz zacznie, to słyszy już tylko siebie, i wtedy rzeczywiście może być źle.

Tak czy inaczej, Blaise wydawał się naprawdę zaniepokojony, więc zrobiłam to, o co mnie prosił.

On nie ma zwyczaju zwracać się do mnie, jeżeli nie jest to coś poważnego.

Kate prawie zaniemówiła, zaskoczona tym, co usłyszała.

Cóż za dziwny człowiek z tego Blaisea, pomyślała.

Wciąż nie potrafiła zrozumieć jego postępowania.

Nie miał dość czasu, żeby się nią zajmować, a jednocześnie zadał sobie trud, by zadzwonić do swej babki i prosić ją o interwencję.

Naprawdę dziwne.

Spojrzała na Agathę i zapytała: - Dlaczego "księżno"?

Czy on tak panią nazywa?

- Bo tak to akurat było, kiedyśmy się po raz pierwszy zobaczyli z moim Blaiseem.

On rzeczywiście był chłopcem, a ja naprawdę byłam wtedy księżną, jako że mój ówczesny mąż był włoskim księciem.

Ówczesny, bo miałam ich czterech.

- Zachichotała, po czym dodała z satysfakcją: - Przeżyłam ich wszystkich!

No więc Blaise wciąż nazywa mnie księżną.

Właściwie tylko on.

Pozostali na ogół znają mnie jako Agathę Chandler - pod tym nazwiskiem się urodziłam i wciąż uważam je za najlepsze z tych wszystkich, których kiedykolwiek używałam.

- A pana Blaisea nazywa pani chłopcem?

- Kate pomyślała, że nie spotkała chyba nikogo, do kogo to określenie pasowałoby mniej niż do Blaisea Chandlera.

- Dziś to może zaskakujące, ale taki on był, kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali.

Miał wtedy dziewięć lat.

Nietrudno było spostrzec, że Kate była tym wszystkim niesłychanie zaciekawiona, toteż Agatha Chandler poprosiła Minnie o nalanie jeszcze jednej filiżanki kawy, a następnie usadowiła się wygodniej, by zacząć opowiadać.

Widać było, że sprawia to jej przyjemność.

Po kwadransie Kate wiedziała już bardzo wiele.

Agatha, choć czterokrotnie zamężna, miała - jak się okazało - tylko jedno dziecko: Annę, późniejszą matkę Blaisea.

Anna, podobnie jak jej matka, miała czterech mężów.

Blaise był synem trzeciego z nich.

Później Anna i jej czwarty mąż zginęli w wypadku; w drodze z Francji do Włoch podczas gwałtownej burzy ich samochód wypadł z górskiej szosy i stoczył się w przepaść.

Blaise miał jeszcze przyrodnią siostrę - o imieniu Consuela - z pierwszego, argentyńskiego małżeństwa swej matki, oraz przybranego brata Geralda, który był synem jej drugiego męża, angielskiego wicehrabiego.

Zarówno Consuela, jak i Gerald byli - zdaniem Agathy Chandler - diabła warci, natomiast prawdziwym światłem jej życia był Blaise, którego później formalnie adoptowała i dała mu swoje nazwisko.

- Jest moim spadkobiercą i dostanie po mnie wszystko - oświadczyła, wojowniczo potrząsając głową.

- Consuela zdążyła mieć już trzech bogatych mężów, a i czwarty też się ma nie najgorzej.

Natomiast Gerald po prostu odziedziczył majątek i tytuł po swym ojcu.

Oglądam ich raczej rzadko, tylko wtedy, gdy czegoś ode mnie potrzebują, bo poza tym nie za bardzo chcieliby się przyznawać do babki półkwi.

Gerald to zresztą głupek.

Consuela ma coś tam w głowie, choć używa jej do zupełnie niewłaściwych rzeczy.

A poza tym wciąż nie umie się wyzbyć zazdrości, ma mi za złe, że wybrałam właśnie Blaisea.

Ale Blaise ma prawdziwą duszę Chandlerów, jeżeli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

A Consuela wrodziła się raczej w swego ojca, dosyć podejrzanego Argentyńczyka.

Ton tych słów był pozornie pogardliwy, ale wyczuwało się pod tym ból, najwyraźniej wciąż jeszcze żywy.

Twarz Kate była bardzo wyrazista, toteż stara kobieta bez trudu odczytała te wszystkie jej myśli.

- Dosyć już tego opowiadania o mnie - powiedziała stanowczo.

- Teraz chcę się dowiedzieć czegoś o tobie.

Jak sobie radzisz w firmie Despard's?

Twarz Kate spochmurniała.

- Nie tak dobrze, jak się spodziewałam.

Niestety.

- No, gdyby twój ojciec nie wierzył, że potrafisz sobie dać radę, nie rzuciłby cię tak na szerokie wody.

Mnie w każdym razie mówił nieraz, że jego zdaniem masz w sobie wszystko, co trzeba.

- Więc ojciec rozmawiał z panią o mnie?

- zapytała Kate, zaskoczona, ale i uszczęśliwiona jednocześnie.

- Och, i to ile razy!

Nie mógł rozmawiać o tobie ze swoją drugą żoną, jako że ta - jak pewnie wiesz - po prostu wykreśliła całe jego wcześniejsze życie.

No a przybrana córka też zajęła dość szczególną pozycję, sama rozumiesz.

Zresztą Dominique tak naprawdę nigdy nie interesowała się nikim poza sobą.

Tymczasem twój ojciec wciąż marzył tylko o jednym, że kiedyś jednak się z nim pogodzisz.

Dlatego tak bardzo bolało go, kiedy odsyłał jego listy bez rozpieczętowywania.

Choć oczywiście przyznaję, że i ty miałaś powody, żeby cierpieć i czuć się pokrzywdzoną.

- Głos starej kobiety był teraz cichszy i przez to jeszcze bardziej dojmujący.

- Ja sama byłam niesłychanie przywiązana do mego ojca, myślę więc, że mogę cię zrozumieć lepiej niż ktokolwiek.

Gdyby wtedy z jakiegoś powodu porzucił mnie i odszedł, och, myślę, że umarłabym z bólu.

- Mnie też zupełnie nie chciało się żyć - powiedziała Kate.

Sama była niezmiernie zaskoczona tym, że tak otwarcie potrafi o tym mówić z tą - zdumiewającą ją wciąż na nowo - starą kobietą.

- Co sprawiło, że jednak zmieniłaś to swoje myślenie?

- zapytała Agatha.

Kate zawahała się, czy powiedzieć prawdę.

Jakakolwiek mogła być Dominique du Vivier, była jednak żoną ukochanego wnuka tej starej kobiety.

- Ktoś mi otworzył oczy - odpowiedziała wymijająco.

- Przedtem zawsze patrzyłam na wszystko tylko z własnego punktu widzenia.

Dopiero kiedy udało mi się popatrzeć na to trochę inaczej, zrozumiałam, że koniecznie muszę się wydostać ze ślepego zaułka, w który sama się zapędziłam.

Starsza pani skinęła głową.

- Znam to, sama parę razy byłam w podobnej sytuacji.

Uśmiechnęły się jednocześnie, połączone wspólnym zrozumieniem, właściwym kobietom, które kiedyś przeżyły to samo.

Kate miała uczucie, że znają się już bardzo dawno.

- Dziękuję, że zechciała mi pani pomóc - powiedziała.

Rzeczywiście miała za co być wdzięczna tej kobiecie.

- Prawdę mówiąc, zrobiłam to na prośbę Blaisea.

I całe szczęście, że akurat wracał do Nowego Jorku w tym samym czasie.

- Tu Agatha Chandler westchnęła z pewnym współczuciem.

- Mój chłopiec musi się teraz nalatać.

Także za mnie, zwłaszcza od czasu, gdy lekarze kazali mi podróżować jak najmniej.

A jeszcze te moje cholerne stawy!

To tak, jakbym miała naraz związane ręce i nogi.

- Na pewno podziękuję także i pani wnukowi - powiedziała bardzo uprzejmie Kate.

- Gdy tylko go zobaczę.

Nastąpiło to znacznie wcześniej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

Kate właśnie patrzyła na zegarek i z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że minęła już przeszło godzina.

Najwyższy czas, żeby się pożegnać i jechać na lotnisko, pomyślała.

I właśnie w tym momencie drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Blaise Chandler.

Skinął głową w stronę kompletnie zaskoczonej Kate, a następnie długimi krokami przeszedł do siedzącej w fotelu Agathy i pochylił się nad nią.

Ta wyciągnęła rękę i pogłaskała swego wnuka po policzku.

Wyraz twarzy starej kobiety był taki, że Kate mimo woli odwróciła wzrok, nie chcąc przyglądać się czemuś aż tak osobistemu.

Po chwili Blaise wyprostował się, a Kate odkaslnęła i powiedziała: - Chciałabym panu bardzo podziękować, że tak skutecznie pośpieszył mi pan z pomocą, to znaczy, poprosił o pomoc panią Chandler.

- Więc to zadziałało?

- Blaise uśmiechnął się.

- Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś tak się zmienił, dosłownie w ciągu sekundy.

Blaise popatrzył na starą kobietę z prawdziwą czułością.

- No cóż, układ był dość korzystny.

Przedsiębiorstwo Hobarta jest mocno uzależnione od dostaw naszej Chandler Corporation.

Niektóre potrzebne surowce Hobart praktycznie może dostać wyłącznie od nas.

Nie mówiąc już o tym, że moja kochana babcia zawsze była od niego lepsza w siłowaniu się na rękę.

Śmiech Agathy Chandler przypominał głośnie rżenie konia.

- To prawda, mój tata nauczył mnie, jak kłaść wszystkich na rękę - powiedziała bardzo z siebie zadowolona.

- Tak, to właśnie on.

- Skinęła głową, kiedy Kate pytająco spojrzała w stronę zawieszzonego nad kominkiem portretu.

- Nazywali go Black Jack Chandler, co można tłumaczyć albo jako Czarny Jack, albo Chandler Rozbójnik.

Jak kto woli.

Mężczyzna na portrecie mógł mieć około czterdziestu lat, nosił wydatne wąsy w stylu swojej epoki - musiała to być chyba druga połowa ubiegłego wieku - i charakterystyczne spodnie z koźlącej skóry.

O skrzyżowane nogi oparta była długa staroświecka strzelba.

Włosy mężczyzny były czarne, oczy jasnoniebieskie, ogorzała twarz świadczyła, że był to człowiek, który większość czasu musiał spędzać na otwartych przestrzeniach.

Kate, która dotąd przyglądała się portretowi z pewnej odległości, podniosła się i podeszła bliżej.

Przez chwilę milczała, aż w końcu zapytała niespodziewanie zmienionym głosem: - Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale mam wrażenie, że to namalował Remington.

Czy rzeczywiście?

Starsza pani była uszczęśliwiona.

- No proszę, na dobitkę zna się i na tym.

Mało kto potrafił to zauważyć.

- Wiem, że Remington bardzo rzadko malował portrety - powiedziała Kate.

-Ale jeśli się zna jego styl, trudno się pomylić.

- To znaczy, że znasz się również na sztuce naszego Dzikiego Zachodu?

- Prawdę mówiąc, dopiero się uczę.

Teraz to stało się moim hobby.

Dotychczas nie wiedziałam, że jest tego tak wiele i że to tak znakomita sztuka.

- Więc powiem ci, że na moim ranczu jest sporo obrazów pędzla Remingtona

-powiedziała Agatha.

- Między innymi dlatego, że Frederic Remington i mój ojciec przez lata się przyjaźnili.

Kate poczuła, że kręci się jej w głowie.

W końcu nawet pojedynczy obraz Remingtona kosztował dziś całą fortunę.

- Jest tam zresztą jeszcze wiele innych rzeczy, jeśli już o tym mówimy.

Obrazy, rzeźby, dzieła sztuki indiańskiej.

Mamy na przykład wyrzeźbionego w drewnie Indianina naturalnej wielkości, takiego że na jego widok ludzie odruchowo sprawdzają, czy skalpy wciąż jeszcze pozostają na ich głowach.

Kate słuchała tego wszystkiego jak zaczarowana.

Oczy jej iskrzyły się z zaciekawienia, łatwo można było dostrzec, jak szczerze jest tym zainteresowana i jak bardzo chciałaby zobaczyć te wszystkie cuda.

Agatha Chandler popatrzyła na nią i podjęła decyzję, jak zawsze błyskawicznie.

- Coś ci powiem, Kate.

Dzisiaj mamy piątek, więc już za parę godzin lecę z powrotem do siebie do Kolorado.

Co byś powiedziała na to, żeby polecieć razem i spędzić ze mną weekend?

Zachwycona Kate głęboko wciągnęła powietrze.

- Co bym powiedziała?

Och, jeszcze jak...

- zaczęła, ale niemal w tej samej chwili rozsądek kazał jej wrócić na ziemię.

- Ale chyba jednak nie, niestety.

Bardzo bym chciała, ale muszę przecież wracać do Londynu z tą nieszczęsną figurką.

- Ale dlaczego niby musisz?

Nawet jeżeli wrócisz natychmiast, to co będziesz tam mogła zdziałać przez weekend?

To nie ma sensu.

Lepiej po prostu zadzwoń do Londynu i powiedz swoim ludziom w firmie, że wrócisz dopiero w poniedziałek.

Samoloty naszej korporacji i tak latają przez ocean każdego dnia, więc bez trudu będziemy mogli zapakować cię do jednego z nich w niedzielę wieczorem, w Denver.

Zadzwoń do firmy i zapowiedz, że zobaczą cię za twoim biurkiem o wpół do dziesiątej rano w poniedziałek.

W końcu to ty jesteś teraz szefem, czyż nie?

Prawdę mówiąc, nie było to tak do końca określone, ale słowa Agathy tym bardziej podbiły bębenek.

- Rzeczywiście w końcu jestem...

- powiedziała Kate, jakby do siebie.

- Poza tym mam już tę figurkę, to było najważniejsze.

- I możesz mi wierzyć, że od dziś Rolf Hobart już nie piśnie nawet słowem na ten temat - obiecała Agatha Chandler.

- Blaise, mój chłopcze, zaprowadź Kate do telefonu, żeby mogła zadzwonić do Londynu.

Kate podniosła wzrok i spojrzała na Blaisea.

Ten odpowiedział: - Oczywiście, z przyjemnością.

- Powiedziane to było jednak w taki sposób, że Kate nie była w stanie zorientować się, czy to prawda, czy tylko uprzejmość.

Dziwny z niego człowiek, powtórzyła sobie już kolejny raz tego dnia.

Potrafi niespodziewanie zadać sobie trud angażowania własnej babki, żeby bezinteresownie pomóc w niezwykle trudnej sytuacji, a zaraz po tym zachowuje się tak, jakby najbardziej marzył o tym, żeby Kate gdzieś sobie wreszcie poszła.

Ach, nie będę się zastanawiać nad jego zachowaniem, pomyślała.

I tak to do niczego nie prowadzi.

Przeszli razem do sąsiedniego, mniejszego saloniku, równie przeładowanego meblami i równie przegrzanego jak ten, z którego przed chwilą wyszli.

Sądząc po tym, co dotąd zobaczyła, mogła słusznie przypuszczać, że urządzenie i umeblowanie wewnątrz w tym domu było co najmniej równie stare jak sama właścicielka.

I większy, i mniejszy salon można by na dobrą sprawę przenieść wprost do muzeum, bez zmieniania w nich czegokolwiek.

Wszystko idealnie mieściło się w stylu: obite pluszem i nadmiernie wypchane meble, obrazy w ciężkich ramach, ozdobne narzuty, ciemnozielone paprocie w ogromnych donicach i cała reszta.

Telefon w Londynie odebrał James Grieve.

Na wiadomość o dogadaniu się z Hobartem ucieszył się tak gorąco, że chyba podniosło to temperaturę transatlantyckiego kabla między Nowym Jorkiem i Londynem o dobrych kilka stopni.

Cała ta sprawa musiała go strasznie dręczyć.

- Ale czy jest pani pewna, że już nie będzie wnosił pretensji?

- upewniał się z wyraźnym niepokojem.

- Jestem zupełnie pewna.

Sam zadeklarował, że chce uważać tę sprawę za ostatecznie zamkniętą.

W rezultacie więc straciliśmy tylko klienta, na którym, prawdę mówiąc, i tak nam niezbyt zależało.

Natomiast reputacja firmy pozostała nienaruszona.

- Kate, jest pani po prostu cudowna!

- wykrzyknął rozradowany James.

-Uważam, że w tej sytuacji jak najbardziej zasłużyła pani na ten weekend w Kolorado.

Ja sam chyba gdzieś się wypuszczę dzisiaj wieczorem i upiję się z radości.

Bo muszę się przyznać, że wydeptałem już sporą dziurę w dywanie, czekając na ten telefon.

Wspaniale się pani spisała, fantastycznie!

- Dziękuję - odpowiedziała Kate.

Postanowiła nie mówić mu na razie o interwencji Agathy Chandler; będzie na to dość czasu po powrocie.

- Niech pan mi jeszcze powie, czy Rollo wrócił?

- Nie widziałem go dotąd.

Czy chciałaby pani, żebym go poszukał?

- Nie, to nic ważnego.

Proszę mu tylko powiedzieć, że dzwoniłam, gdyby wrócił i pytał o mnie.

- Z pewnością mu powiem - powiedział James i dodał: - Życzę miłego weekendu!

Ja, w każdym razie, będę miał wspaniały - dzięki pani!

Niech i pani dobrze się bawi.

- No i co?

- zapytała Agatha Chandler, gdy Kate wróciła do większego salonu.

- Mogę jechać do Kolorado!

- odpowiedziała rozradowana Kate.
- Gdzie leży ta posiadłość?
- Dolina Ryczącej Wody - odpowiedział Blaise.
Gdy zorientował się, że to Kate nic nie mówi, dodał: - Słyszała pani o Aspen?
- Tej słynnej miejscowości narciarskiej?
Pewnie, któż o niej nie słyszał?
- No więc Aspen jest po drugiej stronie tej właśnie doliny, o której wspominałem.
Znakomite stoki.

Oczy Kate rozbłysły.
- To znaczy, że można tam jeździć?
- A ty jeździsz na nartach?
- zapytała starsza pani.
- Nigdy dotąd nie jeździłam, ale kiedyś chyba trzeba zacząć.
- Masz rację.

Trzeba będzie tylko sprawdzić, jakie są teraz warunki.
W każdym razie nie musisz się kłopotać o sprzęt i strój narciarski, mamy tam tego pełno i z pewnością coś będzie na ciebie pasować.

A czy może jeździsz konno?
- O tak!
- Kate rozpromieniła się jeszcze bardziej.
- No to będziesz miała okazję.

Poza tym mamy tam jeszcze trzy korty tenisowe i dwa baseny - otwarty i kryty.
Dlatego raczej nie będziesz mogła narzekać na brak okazji do poruszania się.

- Agatha spojrzała w stronę Blaisea.
- Bo muszę ci powiedzieć, że ten mój chłopak to prawdziwy demon sportu.
- Ja też bardzo lubię sport - powiedziała z uśmiechem Kate.

To aż dziwne, pomyślał Blaise.
Jeszcze niedawno skłonny był uważać ją za przypadek całkowicie beznadziejny.
Teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się zmieniła, i to w tak krótkim czasie.

Gdyby jej przedtem nie znał, to w ogóle nie przyszłoby mu do głowy, że mogła kiedyś wyglądać tak, jak to przecież pamiętał.

No bo co mogła mieć wspólnego tamta stale naburmuszona i najeżona dziewczynina w wyzywająco niechlujnych łachach, wręcz dzika w swoim zachowaniu - z tą promieniejącą, żywą i błyskotliwą młodą kobietą, której olśniewające ciemnorude włosy lśniły teraz pełnym blaskiem młodości, niczym skórka świeżo wyluskanego kasztana, której strój i cały sposób ubierania się wskazywał, że potrafi wykazać się nie tylko gustem, ale i wiedzą o tym, co jest dla niej dobre.

- A przy okazji będziesz mogła pogrzebać w tych wszystkich starociach, które tam mamy.
- Agatha najwyraźniej również cieszyła się na ten wspólny weekend.
- Bo powiem ci, że mój tata był niczym sroka: gdy tylko coś mu wpadło w oko, zaraz chciał to mieć.

I natychmiast kupował.

- Spojrzała w stronę półeczki nad kominkiem, zastawionej licznymi starymi fotografiami. Wszystkie zdjęcia były w kolorze sepia, wszystkie też były oprawione w staroświeckie ramki.

Było ich tyle, że częściowo przysłaniały ustawiony tam zegar.

- Zjemy teraz lekki posiłek i zaraz potem wyruszymy, gdzieś koło trzeciej.

Ty, chłopcze, też zjesz z nami, mam nadzieję.

- No nie wiem - powiedział Blaise.

- A może już mnie nie potrzebujesz, skoro masz tu kogoś, kto cię tak uważnie słucha? Starsza pani zachichotała.

- Pomieściecie się!

Zachowanie babki i wnuka jasno wskazywało, jak są ze sobą zżyci, jak bardzo związani. Oczywiście można było wyczuć niemal nieuchwytną nutę kpiny w głosie Blaisea, kiedy zwracał się do swej babki per "księżno", ale i tak pod tym wszystkim kryła się najprawdziwsza rodzinna miłość.

Lunch podano przy stole, przy którym z powodzeniem usiadłoby wygodnie nawet pięćdziesiąt osób.

Wystrój jadalni nie odbiegał stylem od reszty domu, także i tu wszystkie ściany zastawione były ciężkimi meblami z przełomu wieku.

Całość wykonana była ze wspaniałego mahoni, zachowana wręcz doskonale.

Kate mimo woli pomyślała, że z najwyższą radością przyjęłaby taki zestaw starych mebli na jakąś aukcję w swojej firmie.

Podany posiłek przygotowany został w duchu kuchni Dzikiego Zachodu.

Na początek podano świeżutkiego pstrąga, delikatnie przyprawionego ziołami.

- Pstrągi łapiemy koło wodospadu Ryczącej Wody, kazałam zabrać kilka najładniejszych, bo tu się takich nie dostanie - poinformowała Agatha.

Potem wniesiono steki.

Również prosto z rancza - podkreśliła starsza pani.

Kate stwierdziła, że nigdy dotąd nie zdarzyło się jej jeść steków tak ogromnych i tak przepysznie miękkich.

Do tego były niezwykle pieczone ziemniaki, również o całkowicie nowym - dla Kate - smaku i konsystencji, w pysznym sosie z kwaśnej śmietany ze szczypiorkiem.

Podano jeszcze ogromną misę słodkiej kukurydzy i gorące bułeczki wprost z pieca.

A deser już ostatecznie i na zawsze przekonał Kate do amerykańskiego jedzenia, ponieważ stanowiło go ciasto z ulubionymi przez nią orzechami pekanowymi.

Kate zjadła wszystko wraz z dokładką, przy czym westchnęła.

- Jeżeli to się u was nazywa lekkim posiłkiem, to lepiej nie myśleć, co nazywałoby się posiłkiem obfitym.

To grzech aż tak się objadać!

- Nie pleć głupstw - odparła Agatha.

- Nie ma nic lepszego, niż zjeść z prawdziwym apetytem.

A tobie akurat wcale nie zaszkodzi, jeżeli dołoży się tu i ówdzie po parę funtów do tej twojej strzelistej konstrukcji.

Wy mi oczywiście nie uwierzycie, ale kiedyś ja też byłam smukłą niczym brzoźka, nie taki stary gęsty krzak jak teraz.

- Kate z podziwem patrzyła, jak starsza pani swobodnie daje sobie radę z okazałym stakiem na własnym talerzu.

Podobnie było z resztą jedzenia.

Kiedy już nadeszła pora wyjazdu, sam Blaise zajął się Agathą.

Pieczołowicie opatulił ją obszernym sobolowym futrem, na widok którego Kate szeroko otworzyła oczy; potem jeszcze podał jej niewielkie, obite mosiądzem skórzane pudełeczko, które starsza pani zwykła trzymać na kolanach.

Minnie cierpliwie stała obok, z łagodnym spokojem odpowiadała na zadawane jej przez Agathę pytania.

Kate nie rozumiała języka, w którym ze sobą rozmawiały, przez cały czas miała wrażenie, że składa się on głównie z nieartykułowanych dźwięków.

W końcu fotel z Agathą Chandler został przez otaczający ją orszak uroczyście sprowadzony - po specjalnie ułożonym na frontowych schodach pomoście - do oczekującej już na nich olbrzymiej limuzyny.

Dopiero teraz Kate zrozumiała, dlaczego samochód wyposażono w tak szerokie drzwi.

Blaise pochylił się nad fotelem, jedną ręką uchwycił owinięte futrem nogi Agathy poniżej kolan, drugą podłożył pod jej ramiona, a następnie uniósł ją bez widocznego wysiłku i umieścił na tylnym siedzeniu wozu.

Fotel na kółkach został złożony i umieszczony w bagażniku, Minnie zajęła miejsce obok kierowcy, a Kate obeszła samochód i siedła obok Agathy z drugiej strony.

Starsza pani pochyliła się do przodu i obróciła twarz w stronę wnuka.

- Tylko nie zapomnij, co ci powiedziałam na temat tego kontraktu z Anaconda Corporation.

Będziesz pamiętał?

- Babciu, przecież zawsze robię to, co mi każesz.

- Blaise uśmiechnął się.

- Akurat!

Mogłabym ci wytknąć niejedną przypadłość, kiedy robiłeś coś dokładnie odwrotnego.

- Agatha prychnęła.

- Dobrze wiem, że najpierw mówisz mi jedno, a potem idziesz i robisz coś innego.

To jesteś cały ty!

Mimo tych rzekomych wyrzutów, kiedy tylko Blaise pochylił się ku niej, aby się z nią pożegnać, zarzuciła mu rękę na szyję i mocno przytuliła.

- Uważaj na siebie!

- powiedziała, udając opryskliwość.

- Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem.

- Niech to nie będą tylko obiecanki - burknęła Agatha i odchyliła się do tyłu na oparcie siedzenia.

Blaise spojrział na Kate.

- Życzę miłego weekendu - powiedział.

- Dziękuję - rzekła Kate, po czym dodała: - I w ogóle dziękuję panu za wszystko!

Blaise uśmiechnął się, a Kate mimo woli zamrugnęła powiekami.

Blaise wyprostował się, zatrzasnął drzwi i ogromna limuzyna bezszelestnie ruszyła w stronę bramy.

We wnętrzu luksusowego wozu włączone było dodatkowe ogrzewanie i było tam równie gorąco jak w przegrzanych pomieszczeniach domu.

A jednak księżna Agatha - Kate już także zaczynała ją tak nazywać - kuliła się z zimna i prawie dygotała pod futrem z soboli.

Wcześniej Blaise wyjaśnił to Kate, kiedy akurat przez chwilę znaleźli się sami.

- W tym domu musi teraz być gorąco jak w cieplarni, ze względu na moją babkę Agathę. Ona już od lat cierpi na szczególną i dosyć rzadką chorobę krwi i jest niezmiernie wyczulona na chłód, wręcz sztywnieje, gdy tylko nie jest dostatecznie gorąco.

I głównie z tego powodu musi przyjeżdżać do nowojorskich lekarzy, a nie ze względu na reumatyzm czy artretyzm.

Kate przyjęła to wtedy ze zrozumieniem, wdzięczna za wyjaśnienie i mile poruszona faktem, że pomyślał także i o niej.

Blaise spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko.

- Niech więc przyjmuje pani te skoki temperatury...

- ...możliwie chłodno i spokojnie?

- dokończyła Kate.

- Tak, zwłaszcza chłodno.

- Blaise wychwycił ten lekki żart, a Kate niespodziewanie poczuła się wręcz uszczęśliwiona.

Chyba ten jego uśmiech to sprawił.

Teraz Blaise zostawał gdzieś z tyłu.

Starsza pani odwróciła się i zaczęła machać dłonią, patrząc przez tylną szybę.

Mimo znacznego chłodu, który tego dnia panował w Nowym Jorku, Blaise nadal stał na krawężniku przed domem i trwał tak, z podniesioną ręką, dopóki samochód nie zniknął za rogiem.

Wtedy Agatha odwróciła się, popatrzyła na Kate i powiedziała z pełnym satysfakcji westchnieniem: - No więc taki właśnie jest ten mój chłopiec.

- W tych słowach przebijała jednocześnie czułość i duma.

Po kilkadziesiąt minut już wjeżdżali na najodleglejszy sektor portu lotniczego imienia J.F. Kennedyego, kierując się do tej części, gdzie zatrzymują się prywatne samoloty.

Limuzyna przystanęła tuż obok czekającego już na nich turboodrutowego Grummana typu Gulfstream.

Pomalowany na kolor miedzi, miał po obu stronach pionowego usterzenia wymalowany wielki firmowy znak Chandler Corporation - stylizowane podwójne "C".

Fotel ze starszą panią został ustawiony w specjalnej windzie, natomiast Kate skorzystała z podstawionych schodów i już po chwili znalazła się we wnętrzu przytulnego i komfortowo wyposażonego saloniku, utrzymanego w tonacji kremowo beżowej - poczynając od miękkiej wykładziny na podłodze, a kończąc na okiennych zasłonach i tapicerce foteli.

Niewielkie stoliki zaopatrzone były w specjalne lampki, stos najnowszych dzienników i kolorowych tygodników piętrzył się w podręcznym stojaku.

Agatha była już w środku, a stojąca obok niej stewardesa powitała Kate uśmiechem.

- No, to już najtrudniejszą część podróży mamy za sobą - powiedziała starsza pani i zaczęła wysupływać się z wciąż opatulającego ją futra.

- Zostają nam jeszcze trzy godziny lotu do Aspen i potem gdzieś pół godziny do ranczo. Powinniśmy tam być o szóstej.

Zdziwiona Kate spojrzała na zegarek, który wskazywał już czwartą po południu.

Agatha uśmiechnęła się.

- Mam na myśli szóstą miejscowego czasu, to już inna strefa.

No oczywiście, czas lokalny, przypomniała sobie Kate.

Przecież ten kraj zajmuje całą szerokość kontynentu.

- Jak się udał pobyt w Nowym Jorku, pani Chandler?

- zapytała stewardesa.

- Miewałam lepsze.

A jak tam u nas w domu?

- Wszystko w porządku.

Kiedy rano wylatywaliśmy z Denver, pogoda była wręcz znakomita - lekki mróz i słońce.

- Słyszałam w telewizji, że trochę sypało?

- Śnieg padał praktycznie bez przerwy przez poprzednie dwa dni, co z radością przyjęli zwłaszcza narciarze i hotelarze w Aspen.

- No, myślę - powiedziała Agatha.

- Kate, przedstawiam ci Glorię, która zawsze opiekuje się mną, kiedy lecę do Nowego Jorku.

Glorio, to jest panna Despard.

Leci z nami na weekend i nigdy dotąd nie była w Kolorado.

- Prawdę mówiąc, w ogóle jeszcze nie byłam w Ameryce.

- Kate westchnęła.

-Ale teraz już będę tu wracać.

- Cieszę się, że się pani spodobało - powiedziała Gloria z pełnym wyrozumienia uśmiechem osoby, która wie, że po pierwszym przyjeździe po prostu nie może być inaczej.

- Czy może miałaby pani ochotę na coś do jedzenia lub picia?

- Nie, dziękuję.

- Napijemy się herbaty, kiedy już będziemy w górze - powiedziała Agatha Chandler.

- Minnie, czy zabraliśmy moją herbatę?

Minnie siedziała dotąd tak nieruchoma i milcząca, że Kate w ogóle zapomniała o jej obecności.

Teraz natychmiast podniosła i pokazała spore blaszane pudełko, które musiała mieć przygotowane już wcześniej.

Kate od razu rozpoznała najlepszy, ulubiony również przez nią, gatunek herbaty Assam.

- Gdyby pani miała na coś ochotę, panno Despard, wystarczy zadzwonić.

Przycisk dzwonka jest obok fotela.

Kate dotychczas skłonna była uważać, że sama urodziła się jeżeli nie w luksusie, to w każdym razie w pewnym komforcie.

Dom przy Holland Park był obszerny i dobrze wyposażony, a ona sama nigdy nie odczuwała braku pieniędzy; jednakże wrodzona oszczędność matki sprawiła, że od dzieciństwa nauczyła się ograniczeń i prawdziwie kalwińskiego, niechętnego stosunku do wszelkiej ostentacji w sferze bogactwa.

Teraz, chcąc nie chcąc, musiała na to popatrzeć inaczej.

Według jej kryteriów - ale z pewnością również według wszelkich innych - Chandlerowie musieli należeć do kategorii ludzi już nie po prostu bogatych, ale wręcz najbogatszych.

Rollo opowiadał jej o nieprawdopodobnym majątku, jaki zgromadzili w różnych posiadłościach, przedsiębiorstwach i papierach wartościowych.

Ona sama zresztą zdawała sobie sprawę z tego niemal bajkowego dotknięcia nieograniczonego luksusu, chyba już od chwili, gdy przysłana przez Agathę Chandler limuzyna zabrała ją spod budynku Hobart Enterprises.

To wtedy zdała sobie sprawę, że oto trafiła do świata, w którym miliony dolarów wydawane są w taki sposób, w jaki ona mogła wydawać co najwyżej setki.

Czy właśnie dlatego Dominique du Vivier wyszła za Blaisea Chandlera?

Jeśli oczywiście pominąć fakt, że był on bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Fortuna rodziny Chandlerów na początku opierała się przede wszystkim na miedzi.

Jack Chandler, ojciec Agathy, natrafił na fantastyczne wręcz złoża na nabytych za psi grosz działkach, znanych później jako Kopalnia Fartownego Dolara.

Teraz, po wielu latach, korporacja Chandlerów stała się olbrzymią firmą międzynarodową, władającą niezliczonymi kopalniami, już nie tylko miedzi, ale także cyny, tungstenu, wanadu - cokolwiek by ten termin miał znaczyć dla laika takiego jak Kate - a także ołowiu i, zdaje się, molibdenu.

Do Chandler Corporation należały również rozrzucone po wszystkich kontynentach kopalnie węgla i liczne szyby naftowe.

Do tego dochodził jeszcze potężny Chandler Bank, ogromna sieć międzynarodowych hoteli, wreszcie niezliczone nieruchomości we wszystkich ważniejszych krajach.

No i jeszcze transoceaniczna linia okrętowa.

Wszystko to Kate zdążyła wyczytać jeszcze w Nowym Jorku, w najnowszym numerze tygodnika "Forbes", który akurat leżał na stole w bocznym saloniku domu Agathy, kiedy dzwoniła stamtąd do Londynu.

Teraz, przerzucając leżące obok egzemplarze najnowszych kolorowych magazynów, znalazła tam również i ten właśnie numer pisma.

Była więc okazja, żeby podczas lotu już na spokojnie przeczytać cały interesujący ją artykuł.

Turboodrzutowe silniki Grummana odezwały się stłumionym pomrukiem, narastającym w miarę zwiększania obrotów.

Kate spodziewała się, że za chwilę ruszą, wcześniej jednak otworzyły się wewnętrzne drzwi i na progu pojawił się mężczyzna w średnim wieku, choć o mocno już posiwiałych włosach, ubrany w uniform koloru miedzi, dokładnie w tym samym odcieniu, na jaki pomalowany był kadłub samolotu.

Wchodząc do kabiny mężczyzna zdjął z głowy czapkę pilota.

- Hej, Jake!

- powitała go Agatha Chandler.

- No i jak tam zapowiada się nasz lot do domu?

Nie wytrzęsie nas za bardzo?

- Nie powinno, proszę pani.

Między Nowym Jorkiem a Denver nie ma nic, jeżeli nie liczyć chmur, a i tych jest nie za wiele.

- Bardzo się cieszę.

Kate, to jest Jake Larsen, pracuje u mnie już od wielu lat.

Pilot uśmiechnął się do Kate.

- Witamy panią na pokładzie.

Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę tylko powiedzieć.

Już za chwilę ruszamy, ale przed startem zawsze przychodzę zapytać panią Chandler, czy ma jakieś życzenia.

- Tylko takie, żebyśmy dolecieli szybko i bez wstrząsów - powiedziała Agatha.

- Zresztą kiedy wracam do domu, zawsze czuję się dużo lepiej niż wtedy, kiedy wyjeżdżam, więc dziś za bardzo nie musicie się mną przejmować.

Ale oczywiście mój wnuk musiał was odpowiednio nakręcić, prawda?

A kiedy on instruuje personel, wszyscy traktują mnie, jakbym była z niesłychanie kruchej porcelany.

Jake Larsen wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No, na pewno nikt z nas nie chciałby natrafić na pana Chandlera, gdybyśmy tak coś przypadkiem zaniedbali.

Agatha niby burknęła coś z wyrzutem, ale widać było, że w gruncie rzeczy jest bardzo zadowolona.

Była dumna ze swego wnuka, wręcz chlubiła się tym, że tak się o nią troszczy.

A Kate była pewna, że ta troska Blaisea w najmniejszym nawet stopniu nie wynika z faktu, że był on spadkobiercą Agathy.

Pilot wrócił do kabiny i już po chwili samolot ruszył z miejsca, kołując w stronę pasa startowego.

Wciąż milcząca Minnie zajęła się jakąś robótką, a Agatha wsadziła nos w poranne wydanie gazety "Denver Post".

Samolot wznosił się gładko i niemal bez wysiłku.

Wyrównał lot dopiero na wysokości mniej więcej dziesięciu tysięcy metrów, co można było odczytać na wskaźniku, umieszczonym nad drzwiami prowadzącymi do kabiny pilotów.

I dopiero wtedy Kate zauważyła, że dłonie Agathy drżą, wprawdzie dość lekko, ale wyraźnie.

Agatha dostrzegła jej zaniepokojone spojrzenie, odłożyła gazetę i powiedziała nieco ochryple: - Nigdy nie potrafię się przyzwyczaić do latania.

Ale z drugiej strony nie sposób spędzać dobę albo i więcej w pociągu, jazda samochodem również jest w moim przypadku wykluczona...

więc kiedy te nowojorskie konowały każą mi przyjeżdżać i kłaść się pod różne mikroskopy, nie mam wyjścia i muszę lecieć samolotem.

Blaise mówi, że można by kazać lekarzom przylatywać do mnie, ale to w końcu unikatowa aparatura, chyba nie należy jej ciągać przez cały kontynent tam i z powrotem. Minnie podała im herbatę.

Po jej wypiciu Agatha najwyraźniej się ożywiła.

W rezultacie resztę lotu Kate spędziła głównie na słuchaniu.

Okazało się, że starsza pani wręcz uwielbia plotki.

Opowiadając je, sama wciągała się coraz bardziej, stale przeskakując z tematu na temat.

Dzięki temu Kate dowiedziała się, między innymi, że Agatha zdecydowanie nieżyczliwie i bez aprobaty odnosiła się do małżeństwa swego wnuka, a z samą Dominique od początku nie lubiły się; że z kolei matka Dominique była wprawdzie bardzo ładna, ale też głupia, a przy tym nienormalnie zazdrosna; że podobnie jak Kate, również i ona, Agatha, zawsze ubóstwiała swego ojca, zwłaszcza że jej matka - rodowita Indianka z plemienia Szoszonów - umarła przy porodzie kolejnego dziecka, które zresztą również wtedy zmarło, a Agatha miała podówczas zaledwie pięć lat...

i że wreszcie ona sama coraz bardziej martwi się tym, co się stanie z wnukiem po jej - Agathy - śmierci, zwłaszcza gdy się uwzględni, że związał się z taką kobietą, która najwyraźniej po prostu go omotała, zręcznie nim manipulując.

- ...mój Blaise interesował się kobietami chyba już od chwili, gdy po raz pierwszy włożył długie spodnie.

Znajdował sobie te kobiety, przez jakiś czas kochał się z nimi, a potem je porzucał, a ja się tym wcale nie przejmowałam, bo to był taki właśnie gatunek kobiet.

Wiedziałam, że w końcu przestanie brać i rzucać, i że kiedyś się ustakuje.

Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że w rezultacie taka właśnie kobieta zacznie wodzić go za nos, by nie nazywać tego bardziej drastycznie.

Ona go może naprawdę wykończyć, chyba że Blaise w końcu odzyska zdrowy rozsądek.

Prawdę mówiąc, na to tylko liczę, że któregoś dnia jednak zerwie się z haczyka, przejrzy na oczy...

czy jak tam się określa stan, kiedy mężczyzna wreszcie znów zaczyna być sobą.

Starsza pani mówiła to wszystko głównie jakby do siebie, niezbyt zbornie i konsekwentnie, ale i tak wystarczająco wyraźnie, żeby Kate słyszała wszystko.

W rezultacie już po niedługim czasie Kate siedziała przy niej mocno czerwona i zakłopotana.

Rollo oczywiście kazałby jej być cicho i notować w pamięci każde słowo, ale ona nie miała w sobie jego skłonności do podsłuchiwania cudzych sekretów.

A poza tym również Blaise Chandler byłby zapewne wściekły, gdyby mógł słyszeć, co jego babka tu opowiada.

Kate dopiero teraz zrozumiała, dlaczego miał tak niewyraźną minę, kiedy Agatha zapowiedziała, że zabiera ją na weekend do Kolorado.

Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że nie próbował temu przeszkodzić.

Być może były specjalne powody tej powściągliwości.

Nikt tego wyraźnie nie powiedział, ale Kate miała nieodparte wrażenie, że starej pani Chandler niewiele już czasu pozostało, by cieszyć się tym, że jest tak rozpieszczana przez wnuka.

- ...i oczywiście pracuje bardzo ciężko - mówiła dalej Agatha.

- Właściwie jedyne chwile, kiedy odpoczywa tak naprawdę, zdarzają się wtedy, kiedy przyjeżdża do mnie na ranczo.

Bardzo lubi to miejsce, podobnie jak i ja.

Po raz pierwszy zobaczył tę okolicę, kiedy jeszcze był małym chłopcem, i już wtedy po prostu zakochał się w tym wszystkim.

Co prawda na początku szło mu tu nie najlepiej, na koniu siedział niepewnie, jak jakiś francuski maminsynek, ale potem kupiliśmy mu prawdziwe kowbojskie siodło i bardzo szybko nabrał wprawy, zwłaszcza że coraz więcej czasu spędzał jeżdżąc konno, nieraz nawet osiem albo i dziesięć godzin dziennie.

No i tak się wyrobił, że mógł już startować w rodeo w Kolorado Springs.

Od tego czasu już zawsze siedział w siodle tak, jakby się w nim urodził.

Zupełnie jak mój ojciec.

To był dopiero jeździec!

No, ale jeśli się ma w sobie choć trochę indiańskiej krwi, musi się umieć jeździć.

To przychodzi samo.

- Pani ojciec też był na wpół Indianinem?

- Tak, bo jego matka była stuprocentową Indianką z plemienia Czarnych Stóp, jej imię w tłumaczeniu na angielski oznaczało: Migotliwa Woda.

Podczas potyczki z plemieniem Kruków kilku z nich porwało ją z wioski i wtedy uratował ją mój dziadek, ojciec mojego ojca.

Był traperem i stale mieszkał w górach, także później, kiedy już ożenił się z Migotliwą Wodą.

Ona była zupełnie niezwykła.

Urodziła mojego ojca w parowie, podczas gdy ukryty na górze jej mąż, to znaczy mój dziadek, obserwował skradające się ku sobie z bronią w ręku grupki Czarnych Stóp i wojujących z nimi Kruków.

Dziadek opowiadał, że rodziła o kilkanaście metrów od nich i nawet nie jęknęła.

Starsza pani uśmiechnęła się, opowiadając tę historię, pokiwała głową i - wciąż uśmiechnięta - zasnęła, nawet nie wiedząc kiedy.

Kate popatrzyła na nią i odetchnęła.

Dostrzegła też wymowne spojrzenie Minnie, która przez cały ten czas nie ruszała się ze swego fotela.

Teraz ich oczy spotkały się i na twarzy Minnie pojawił się ledwie widoczny uśmiech, który mówił: tak, ona jest już bardzo stara i przy tym bardzo samotna.

Trzeba to rozumieć, ona jest tego warta.

Jakby potwierdzając, że zrozumiała to milczące przesłanie, Kate skinęła głową.

Minnie nie poruszyła się, tylko jej spojrzenie znów powróciło na trzymaną w ręku robótkę i barwne paciorki, którymi obszywała kawałek złotawo żółtej skóry.

Kate przez dłuższy czas siedziała nieruchomo i patrzyła przez okno na przepływające dołem chmury, ale tak naprawdę widziała tam tylko cienie własnych myśli.

Potem otrząsnęła się i wróciła do lektury artykułu w tygodniku "Forbes", który okazał się prawdziwą kopalnią pożytecznych informacji.

Przeczytała go bardzo uważnie do końca, choć nieraz wręcz kręciło jej się w głowie, kiedy próbowała sobie realnie wyobrazić majątek przypisywany Agacie Chandler.

Z taką liczbą zer spotykała się właściwie tylko podczas sprawozdań z debaty budżetowej w Izbie Gmin; także i tam mówiło się raczej o miliardach niż o milionach.

A przecież wszystko zaczęło się od tego, że kiedyś biedny poszukiwacz złota, ze swą indiańską żoną, natrafił niespodziewanie na złoża, które okazały się niezwykle bogatą rudą miedzi.

Tymczasem Agatha znów się obudziła i znów zaczęła mówić, jak gdyby przedtem przerwała tylko na chwilę, właściwie tylko dla zebrania myśli.

To, co teraz mówiła, wręcz niesamowicie współbrzmiało z tym, co Kate dopiero co przeczytała.

- ...wszyscy Chandlerowie byli ludźmi gór, to znaczy traperami.

Włączyli się w dorzeczu Snake River już przeszło sto pięćdziesiąt lat temu.

Wszyscy więc pochodzimy z Dzikiego Zachodu.

Tego dawnego, prawdziwego.

Ja go jeszcze pamiętam, choć już wtedy bardzo szybko zbliżał się jego koniec, wraz z rozwojem kolei.

A przecież jeszcze mojemu ojcu, kiedy był młody, zdarzało się przez parę miesięcy nie napotkać żywego ducha.

W tamtych czasach można było naprawdę zatracić się w leśnej głuszy.

Dziś też jeszcze jest to czasem możliwe, ale trzeba wiedzieć, jak i gdzie.

- Jak duże jest to pani ranczo?

- spytała Kate.

- Teraz już jest niezbyt wielkie.

Mniej więcej czterdzieści tysięcy akrów, a kiedyś było prawie ćwierć miliona.

Ale w dzisiejszych czasach czterdzieści tysięcy to akurat tyle, żeby dało się jeszcze jakoś dopatrzeć, mieć wszystko na oku.

Bo to nie jest takie udawane ranczo, tylko naprawdę funkcjonujące.

I nadal nazywa się tak jak dawniej - Ranczo Fartownego Dolara.

Poza tym leży blisko trzy tysiące metrów nad poziomem morza.

Zwłaszcza nocą potrafi tam być naprawdę zimno, nie mówiąc już o śniegu przez znaczną część roku.

Dlatego najczęściej korzystamy z helikoptera.

Zdarzało się bowiem, że zimą byliśmy całkowicie odcięci.

Gloria, stale troszcząca się o potrzeby swej podopiecznej, pojawiła się z pytaniem, czy mają może na coś ochotę.

Agatha zażądała burbona i wody.

Kate natomiast poprosiła o kawę, jako że coraz trudniej przychodziła jej walka z ogarniającą ją sennością.

Niewiele to jednak pomogło.

Wysoka temperatura utrzymywana wewnątrz kabiny samolotu, a także wypity wcześniej alkohol i cokolwiek usypiający głos starej kobiety sprawiły, że powieki Kate stawały się ciężkie, chyba cięższe niż cały ten samolot.

W końcu zamknęły się na dłużej i Kate przestała z tym walczyć.

Agatha Chandler uśmiechnęła się, gdy głowa dziewczyny niespodziewanie opadła na oparcie fotela.

Podniosła rękę i gestem zasygnalizowała Glorii, by przykryła śpiącą leżącym obok kocykiem.

Miłe dziecko, pomyślała.

I tak krańcowo różna od Dominique.

Agatha westchnęła, co zdarzało się jej niemal zawsze, kiedy tylko pomyślała o żonie ukochanego wnuka.

Nie lubiła jej i nigdy nie potrafiłaby zaaprobować tego typu kobiety.

Cieplarniana orchidea!

Dla niej istnieje tylko miasto, od rancza trzyma się jak najdalej, najchętniej o parę tysięcy kilometrów.

Hodowla bydła ją odpycha, na sam dźwięk tego słowa kręci nosem.

A na konia wsiada tylko po to, żeby się pokazywać w tych obcisłych spodniach i kapeluszach ze skóry.

Wszelkie ranczo dla takiej jak ona byłoby oczywiście zbyt mało komfortowe, choć akurat tam na miejscu jest przecież wszystko.

Przecież to jeszcze ojciec instalował łazienki, pierwsze na zachód od Gór Skalistych!

Stara kobieta znów westchnęła.

Niewiele mnie obchodzi, co się dziś opowiada o współczesnych małżeństwach, powiedziała sobie.

Tego, co ma mój wnuk, w ogóle nie można nazwać małżeństwem.

Ostatecznie wylądowali w Denver dopiero o wpół do siódmej, ponieważ od Gór Skalistych wiał ostry przeciwny wiatr, a potem dodatkowo natrafili na śnieżycę, która zdawała się zasypywać wszystko.

Kate drzemała przez większą część dalszego lotu, na dobre obudziła się dopiero po wylądowaniu.

Od razu poczuła przenikliwe zimno, jeszcze spotęgowane przez rozrzedzone powietrze, i teraz wreszcie doceniła zalety swego grubego, podbitego futrem palta.

Wyszli na pas startowy, z grubsza tylko odśnieżony przez pługi.

Stojący tuż obok samochód kombi podwiózł ich kilkaset metrów dalej, do oczekującego już na nich helikoptera Sikorsky.

Jak się okazało, w środku obszernej kabiny dla pasażerów było równie wygodnie, ale też równie gorąco, jak w samolocie.

Dookoła nie było żadnych świateł, toteż Kate ze swego miejsca przy oknie widziała niewiele, jeśli nie liczyć odległych ośnieżonych szczytów, lekko podświetlonych wschodzącym właśnie nowiem.

- Czy to są Góry Skaliste?

- zapytała podekscytowana.

- Tak, dziecko.

- Agatha uśmiechnęła się.

Po półgodzinie helikopter osiadł na jaskrawo oświetlonym kwadracie lądowiska przy ranczu.

Kate z pewnym zaskoczeniem przyglądała się bardzo rozległemu, dwupiętrowemu domowi, który wylaniał się z mroku o kilkanaście metrów dalej.

Spodziewała się jakiegoś standardowego wiejskiego domu, może co najwyżej zbudowanego ze szczególnie wielkich pni drzewnych.

Tymczasem dom, który zobaczyła, był murowany i w charakterze przypominał pałacyk, coś w rodzaju pomniejszonego Wersalu.

Po wyjściu z helikoptera wyłożoną ceglami ścieżką przeszli - albo raczej przebiegli, z uwagi na przenikliwie zimno - prosto do przylegającej do głównego budynku oranżerii, w której znów było gorąco jak w piecu, a poza tym zielono i wilgotno niczym w tropikalnym lesie w Kongo.

- No wreszcie...

Teraz już dużo lepiej - oświadczyła księżna Agatha, gdy wreszcie mogła zrzucić z siebie sobole.

- Jak widzę, znów tu padało?

- Zaczęło koło południa - odpowiedział mężczyzna, popychający jej fotel na kółkach.

- Ale według prognozy na weekend, teraz ma być kilka dni pięknej pogody, bez opadów.

- Bardzo dobrze, bo nie chciałabym, żeby naszego nowego gościa od razu zasypało.

Kate, pozwól, że ci przedstawię: to jest Frank Kramer, mój Frank, kim ty właściwie u mnie jesteś?

Jak byś sam to określił?

Mężczyzna w średnim wieku o poranej zmarszczkami twarzy zdjął z głowy szerokoskrzydły kapelusz stetson i podrapał się w siwiejącą, krótko ostrzyżoną głowę.

- Chyba można by powiedzieć, że po prostu robię wszystko, co pani Agatha mi każe.

- A więc jest pan sekretarzem i człowiekiem do wszystkiego?

- Kate uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

- Czyli -jak to się dawniej mówiło - factotum.

- A ta młoda dama to Kate Despard - kontynuowała Agatha.

- Przyjechała aż z Anglii i jest tu w ogóle po raz pierwszy.

Tak że musimy ją przyjąć ze szczególną, właściwą dla Dalekiego Zachodu gościnnością.

- Będzie nam niezmiernie miło zrobić wszystko, żeby pani była zadowolona

-odpowiedział Frank.

- Dobrze, więc teraz mnie zostaw, żebym się mogła oporządzić i znowu rozlokować u siebie.

Ale potem chcę cię jeszcze widzieć, żebyś mi opowiedział, co się tu działo w czasie, kiedy mi tam w Nowym Jorku robili przegląd.

I zostań na kolacji, oczywiście.

- Oczywiście, proszę pani - odpowiedział Kramer i dotknął róna kapelusza.

Potem wyszedł, starając się, by poprzez szerokie szklane drzwi wpuścić jak najmniej zimnego powietrza.

- No, teraz już sama będę mogła pokierować moim fotelem - powiedziała księżna i nacisnęła przycisk uruchamiający silniczek wózka.

Za wolno jadącym fotelem kroczyła Minnie, niosąc sobolowe futro i podręczną skórzaną szkatułkę.

Kate zamykała cały pochód.

Podwójne drzwi z oranżerii prowadziły do wielkiego hallu, którego ściany zawieszono były mnóstwem poroży, wypchanych głów zwierzęcych i tym podobnych trofeów myśliwskich.

Z hallu na górę wiodły ozdobnie rzeźbione schody, tak szerokie, że mogłaby się na nich minąć para dylżansów.

Jednakże z uwagi na fotel wygodniej było skorzystać z windy, która już po chwili zatrzymała się na drugim piętrze.

Był tam rodzaj galerii, a podłoga - jak w niektórych domach hiszpańskich - wyłożona była terakotą.

I tu na ścianach wisały wypchane głowy upolowanych zwierząt oraz dosyć liczne obrazy.

Kate miała ochotę zatrzymać się przy kilku z nich, wydawało się jej, że rozpoznaje niektórych sławnych - i wysoko na jej aukcjach cenionych - amerykańskich twórców; nie mogła jednak zostawać z tyłu, szła więc dalej w ślad za dwiema starymi kobietami, wzdłuż galerii, aż do momentu, gdy Minnie otworzyła któreś z kolei wielkie drzwi.

- Tu będziesz spała - powiedziała księżna.

Staroświeckie łóżko z baldachimem na czterech kolumnach mogłoby swobodnie pomieścić nawet i sześć osób takich jak Kate.

Również i reszta mebli musiała pochodzić z przełomu wieku, a na podłodze leżał przepiękny stary dywan, zrobiony - Kate gotowa była przysiąc - z niezmiernie rzadkiego dziś gatunku chińskiego jedwabiu, wykorzystywanego kiedyś do najcenniejszych dekoracyjnych tkanin.

Na ścianach wisało mnóstwo obrazów - wszystkie w stylistyce charakterystycznej dla Dzikiego Zachodu - a kiedy Minnie otworzyła kolejne drzwi, okazało się, że za nimi mieści się wspaniała edwardiańska łazienka, cała z marmuru i mahoniu.

- Kazałam ci przyszykować trochę rzeczy na zmianę - powiedziała Agatha - ale nie musisz się przebierać do kolacji, jeśli na przykład nie chcesz.

Nie przestrzegamy tu żadnej sztywnej etykiety.

Kolacja będzie o ósmej.

Oczywiście ktoś tu po ciebie przyjdzie - starsza pani zachichotała, rozbawiona - żeby ci pokazać drogę.

Bo to jest, uważasz, okropnie wielki dom.

Gdy tylko została sama, Kate natychmiast zaczęła się rozglądać, niczym myśliwy po nowych terenach łowieckich.

Ozdobny sufit cały był pokryty stiukami, nad ściennymi gzymsami biegł bogaty fryz, ściany pokrywała przepiękna staroświecka tapeta z gruzelkowatymi kłaczkami

układającymi się w wymyślne wzorki, a na tych ścianach - tu Kate aż zaparło dech w piersi - wisiały obrazy.

I to jakie!

Ten pierwszy to z całą pewnością Bierstadt, dwa następne - Catlin, a czwarty musiał być pędzla Remingtona.

Mało tego, nawet w łazience, na gładkiej białej ścianie wisiał wspaniały obraz Eastmana, przedstawiający scenę polowania na bizona.

I ten, i pozostałe obrazy umieszczone były za szkłem.

I dzięki Bogu, powiedziała sobie z ulgą Kate.

Może tak się zazwyczaj nie robi, ale to szkło z pewnością chroniło bezcenne płótna.

Wróciła do pokoju, usiadła na swym wielkim łożu i zaczęła się przyglądać okrywającej je kapie.

Amerykańskim zwyczajem składała się z ręcznie zszywanych kawałków, głównie niebieskich i białych, ułożonych we wzór, który coś Kate przypominał.

Poszewki poduszek ozdobione były ręcznie robionymi koronkami z bawełny.

Spojrzała na zwisającą u ozdobnego wezglowia taśmę dzwonka do wzywania służby.

Coś takiego już gdzieś widziała.

Tak, ta taśma na całej długości ozdobiona była naszywanymi koralikami, na wzór indiański, trochę podobny do tego, który podczas lotu wyszywała Minnie.

- To w ogóle nie jest dom - powiedziała głośno Kate, sama do siebie.

- To po prostu żywe muzeum!

Znów czuła podniecenie poszukiwacza i badacza.

Te otaczające ją prawdziwe skarby sprawiały, że dostawała gęsiej skórki.

Jakie jeszcze cuda znajdują się tu wokół i tylko czekają, żeby ona je odkryła?

Woda w łazience była odpowiednio gorąca, kosmetyki w dużym wyborze i oczywiście jak najbardziej współczesne - olejki, talki, mydła.

Łazienka była wyposażona również w prysznic, ale staroświeckie sterowanie różnymi dźwigniami i pokrętłami wydało się Kate zbyt skomplikowane, toteż zdecydowała się na kąpiel w ogromnej wannie, gdzie napuściła tyle wody, że mogłaby swobodnie w niej pływać.

Grube na parę centymetrów ręczniki miały rozmiary prześcieradeł, a w dotknięciu były przyjemnie ciepłe, jako że zawieszane były na specjalnie podgrzewanych wieszakach.

Gdy Kate skończyła się wycierać i wróciła z łazienki, okazało się, że na poręczu łóżka wisi bawełniana koszula w kratkę i para świeżo upranych, modnie wytartych dżinsów Levisa.

No cóż, księżna w końcu powiedziała, że stroje wieczorowe nie obowiązują, pomyślała Kate i zaczęła się ubierać.

Ale to jednak zabawne, że tak teraz wyglądam, powiedziała sobie, kiedy już ubrała się całkowicie i przejrzała się w wysokim lustrze.

Przecież przez całe lata nie nosiła nic innego poza koszulami i dżinsami, to był nieomal jej uniform, więc niby nic nie powinno się zmienić.

Okazywało się jednak, że teraz, kiedy odpowiednio zadbała o włosy, stonowała je, przycięła i ułożyła, kiedy jeszcze doszedł do tego elegancki, choć dyskretny makijaż - nagle ten sam strój zaczął wyglądać na niej zupełnie inaczej.

Usiadła na łóżku i podniosła nogi, żeby przyrzeć się wysokim kowbojskim butom, które niespodziewanie okazały się bardzo wygodne.

Buty, w których przyleciała, gdzieś znikły, pewnie zabrano je do wyczyszczenia.

Spojrzała na zegarek i właśnie zaczęła się zastanawiać, kogo księżna przyśle po nią, by wskazać jej drogę do jadalni, gdy dało się słyszeć pukanie i na progu pojawiła się szczupła, czarnowłosa dziewczyna.

- Dobry wieczór pani.

Czy może już pani zejść na kolację?

- Dziewczyna była bardzo młoda, bardzo ładna i miała czerwonawą cerę rodowitej Indianki.

- Tak, możemy już iść.

- Mam na imię Nula.

- Witaj, Nula - powiedziała Kate.

- Miło mi.

- Mam się panią zajmować, więc jeśliby pani czegoś potrzebowała, proszę mi tylko powiedzieć, dobrze?

- Doskonale.

Dziękuję.

Dziewczyna przyjrzała się Kate.

- Te rzeczy chyba pasują na panią.

A jak buty?

- Bardzo wygodne.

Skąd wiedziałaś, jaki numer noszę?

- Sprawdziłam, kiedy zabierałam pani buty do czyszczenia.

Pani Agatha każe nam trzymać zapas różnych rzeczy dla niespodziewanych gości.

Lubi towarzystwo, ale teraz już miewamy mniej gości niż kiedyś, bo starszej pani coraz trudniej jest się ruszać.

Nula poprowadziła Kate znaną jej już galerią po tej stronie budynku aż do usytuowanych w narożniku drzwi, za którymi były schody i następne drzwi.

Za tymi drzwiami był długi korytarz; po obu jego stronach ustawione były oszklone szafki, wypełnione okazami najrozmaitszych minerałów.

Ściany były obwieszane wszelkiego rodzaju bronią myśliwską, na zmianę z wypchanymi głowami upolowanych zwierząt.

Kate rozpoznała wilka i niedźwiedzia, a także bizona, który zresztą odrobinę przypominał jej lwa, a raczej lwicę.

Było jeszcze parę głów rogatych zwierząt, których nie знаła.

Nula zauważyła jej pytające spojrzenie.

- To jest jeleń wapiti, a tamto - to łoś.

- Kto je upolował?

- Ojciec pani Agathy.

Uważano go za najlepszego myśliwego w całym Kolorado - powiedziała Nula, po czym dodała jeszcze: - Jego matka była siostrą prababki mojej mamy.

Kate przypomniała sobie, co Agatha mówiła w samolocie o swoim pochodzeniu.

- To znaczy, że pochodzisz z plemienia Czarnych Stóp?

- Tak, proszę pani.

Niech no ja to wszystko opowiem Rollowi, pomyślała Kate.

Pęknie z zazdrości, że go to ominęło.

Księżna była w oranżerii, gdzie specjalnie dla niej zaprojektowany i wykonany stolik umożliwiał jej pracę bez potrzeby opuszczania fotela na kółkach.

Na blacie, który mógł być nasuwany tuż nad poręczę fotela, leżało mnóstwo papierów, część dokumentów ułożono w podręczne stopy, inne rozłożono tak, by były pod ręką.

Obok Agathy siedział Frank Kramer, który wstał, gdy Kate podeszła do nich.

- No, teraz wyglądasz tak, jak należy tu wyglądać - powiedziała księżna, patrząc na nią z uznaniem.

- Jak rozumiem, macie tu nawet specjalny sklep z rzeczami dla gości -zażartowała Kate.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedziała starsza pani.

- Mój tata zawsze trzymał na podorędziu całe stopy rzeczy dla ludzi, którzy pojawiali się tu czasami zupełnie nie przygotowani.

Ja chyba po nim odziedziczyłam ten nawyk.

No a co byś powiedziała na niewielkiego drinka przed kolacją?

- A czy mogłabym spróbować prawdziwego zacieru z whisky?

- spytała Kate.

Z jej spojrzenia widać było, że bardzo ją to kusi.

Księżna uśmiechnęła się.

- Rozumiem, że masz ochotę na coś, czego jeszcze nie próbowałaś.

- Nie próbowałam, ale podejrzewam, że to może być bardzo dobre.

Przeczucie jej nie omyliło.

Nie tylko wypiła całą szklaneczkę, ale nawet zlizła grubą na centymetr warstwę piany.

- Mmmm!

Pycha!

- Z tego robi się burbona - powiedziała księżna.

- To znaczy ten rodzaj whisky, który ja piję.

Chociaż teraz coraz częściej pijam już samą żywą wodę, bez whisky.

- Żywą wodę?

Co to znaczy?

- spytała Kate, zafrapowana tym określeniem.

- Po prostu woda z naszej rzeki, pobierana właśnie z wodospadu Ryczącej Wody.

Jutro zobaczysz to wszystko, zabiorę cię tam.

Kolację podano w jadalni trochę przypominającej ogromną pieczarę, ogrzewaną równie ogromnym kominkiem, tak wielkim, że pasowałby w sam raz do jakiegoś zamku olbrzymów.

Kate wraz z Frankiem Kramerem siedzieli po jednej stronie stołu, po drugiej siedziała księżna z nieodłączną Minnie, która - jak zawsze dyskretnie - czuwała nad tym, by wszystko, czego jej pani mogła potrzebować, znajdowało się zawsze pod ręką.

Kate zauważyła, że wielkie porcje, na które pokrojona była pieczeń wołowa, Minnie rozdrabniała na kawałeczki w sam raz na jeden kęs, które księżna Agatha już bez trudu mogła podnosić do ust swymi powykęcany od artretyzmu rękami.

Ściany jadalni były pokryte wielkimi staroświeckimi panełowc w drewnianych ramach, a Kate zanotowała w pamięci, że powinna się im przyjrzeć dokładniej i w lepszym świetle, ponieważ wyglądało to na autentyczne ręcznie malowane panełowc z szesnastego wieku.

Uwzględniając to, czego zdążyła się już dowiedzieć o słynnym Czarnym Jacku Chandlerze, najprawdopodobniej były to autentyki.

Podobnie jak abażury Tiffanyego, zawieszane nisko nad stołem, a także obszerny kredens, utrzymany w stylu art deco.

Dopiero później Kate przyjrzała się stojącej przed nią zastawie, wzięła do ręki nóż i widelec.

Ich waga tylko potwierdziła to, czego Kate domyśliła się z samego wyglądu - cała zastawa zrobiona była z litego srebra.

Po obfitej kolacji, popitej dwiema szklaneczkami doskonałego czerwonego wina, które łagodnie, ale skutecznie pobudzało apetyt, Kate zaczęła odczuwać skumulowane skutki bogatego w wydarzenia i niezmiernie wyczerpującego dnia.

Jeśli dodać do tego jeszcze wpływ znacznej wysokości - trudno się było dziwić, że ze zmęczenia ledwo trzymała się na nogach.

Przeprosiła księżnę i zaraz po zakończeniu posiłku ruszyła w drogę powrotną, w ślad za prowadzącą ją Nulą.

Pamiętała jeszcze, że po drodze ziewała wręcz nieustannie, że z najwyższym trudem wspięła się na schody i przeszła wzdłuż galerii na piętrze aż do swojej sypialni.

Potem jednak nie pamiętała już nic, nie pamiętała, w jaki sposób się rozebrała i jak znalazła się w olbrzymim łożu z baldachimem.

Obudziła się w środku nocy.

Potwornie chciało się jej pić, zapewne dlatego, że nie była przyzwyczajona do czerwonego wina, którego wypiała aż dwie szklanki, nie wspominając już o tym, co zdarzyło się jej wypić wcześniej.

Przeszła do łazienki i tam nałala sobie cały kubek przepysznej, lodowatej, krystalicznie czystej wody, najwyraźniej płynącej wprost z gór.

W drodze powrotnej do łóżka poczuła płynące od okna ciepło, a kiedy zbliżyła się do umieszczonych pod nim staroświeckich kaloryferów, okazało się, że są one włączone na cały regulator.

Kate odsunęła ciężką ozdobną zasłonę, obramowaną koronką z Nottingham, a następnie z pewnym wysiłkiem przesunęła o kilka centymetrów do góry dolną część kwaterowego okna.

Struga lodowatego powietrza wdarła się natychmiast do środka, a rozgrzana dotąd Kate nagle poczuła, że ma gęsią skórę.

Postanowiła więc wrócić z powrotem pod kołdrę, wcześniej jednak przyjrzała się widniejącym w oddali szczytom górskim, znanym jej dotąd tylko z atlasów, a teraz oto na jej oczach wspinającym się wprost w niebo, niczym dzioby jakichś potężnych statków kosmicznych.

Śnieg pokrywający te wyniosłe szczyty w świetle księżyca mienił się jak żywe srebro. Nie dbając już zupełnie o to, że przemarznie, Kate wpatrywała się w roztaczający się przed nią widok.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk, który sprawił, że wstrzymała oddech.

Dziwny dźwięk, czy raczej głos, jakby kaszłący - jednak nie ludzki, chyba zwierzęcy. W odpowiedzi rozległo się nerwowe rżenie konia, a potem znów ten sam dziwny głos. Kate mimo woli wciągnęła głęboko powietrze, które jednak okazało się na tyle zmrożone i jednocześnie na tyle rzadkie, że nagle się zakrztusiła.

Było jej naprawdę zimno, postanowiła więc, że wróci do łóżka, które zresztą też pewnie zaczynało już stygnąć.

Wsunęła się pod kołdrę, zwinięta w kłębek, i tam dopiero westchnęła z ulgą i głęboką satysfakcją.

Już wiedziała, że polubi Kolorado.

Obudził ją zapach świeżej kawy.

Poruszyła parokrotnie nosem, na wzór telewizyjnego królika Bugsa i wysunęła głowę spod kołdry.

Nula właśnie stawiała tacę ze śniadaniem na marmurowym blacie nocnego stolika.

- Dzień dobry pani.

Mam nadzieję, że dobrze pani spała.

- Doskonale, dziękuję - odpowiedziała Kate, ziewając i przeciągając się z nie ukrywaną przyjemnością.

Wskaźniki stojącego na półeczce zegara wskazywały godzinę dziesiątą.

Kate nie miała pojęcia, o której położyła się do łóżka; prawdę mówiąc, w ogóle zatraciła poczucie czasu.

- Wzięłam dla pani wszystkie przystawki i dodatki.

Górskie powietrze zawsze bardzo zaostrza apetyt.

- A wiesz, rzeczywiście jestem głodna - powiedziała Kate, sama najbardziej tym zdziwiona.

Zazwyczaj jedzenie było dla niej rzeczą najmniej ważną.

Jeżeli -jak bywało najczęściej - była zajęta lub miała jakieś pilne spotkanie, za całe śniadanie wystarczała jej filiżanka czarnej kawy, a baton "Mars" niejednokrotnie zastępował lunch.

Tutaj natomiast, kiedy już podniosła wielką srebrną pokrywę śniadaniowej tacy, okazało się, że na półmisku leżały dymiące kawałki świeżo usmażonego boczku, gorąca jajecznica, grzyby, pomidory, nie mówiąc już o przyrumienionych bułeczkach i grubym kwadratowym kawałku czegoś żółtego, co zapytana Nula określiła jako chleb kukurydziany.

Do tego dochodziła jeszcze wielka szklanka soku pomarańczowego, tak świeżego i zimnego, że aż szczypało w zęby.

A kawa miała doprawdy zapach ambrozji.

- Mam panią zaprowadzić do pani Agathy, gdy już będzie pani gotowa - powiedziała Nula i uśmiechnęła się.

- Proszę tylko pociągnąć za tę taśmę i ja się zaraz zjawię.

- Dziewczyna zabrała ze sobą ubranie, w którym Kate przyjechała i wyszła, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

Kate z apetytem zabrała się do posiłku.

Obok łóżka ustawiony był telefon.

Jedząc śniadanie Kate spoglądała w jego stronę.

Miała wielką ochotę zadzwonić do Rolla, żeby zzieleniał z zazdrości, w ogóle miała nieprzepartą chęć, by opowiedzieć - komukolwiek - o tych wszystkich cudownych rzeczach, które się jej przytrafiły od momentu, gdy opatrność niespodziewanie zlitowała się nad nią i sprawiła, że wychodzący z lotniska Kennedyego Blaise Chandler natrafił akurat na nią.

Ostatecznie Kate jednak zdecydowała, że nie będzie dzwonić do Rolla.

Niech tym razem on spróbuje, jak to przyjemnie wciąż nic nie wiedzieć, kiedy się wprost umiera z chęci dowiedzenia się czegoś.

A Rollo niemal zawsze tak właśnie postępował z Kate, jakby bawił się jej nie zaspokojoną ciekawością.

A poza tym, pomyślała Kate, to wszystko, co się dotąd stało, to w gruncie rzeczy mój prywatny spektakl.

Nikt nie przewidywał zapraszania Rolla, nawet na widownię.

Tego ranka Kate miała ochotę na kąpiel pod prysznicem, toteż uważnie zbadła wszystkie krany, przyciski i dźwignie.

Ostrożnie eksperymentując, już po kilku próbach udało się jej uzyskać zadowalającą proporcję wody zimnej i gorącej.

Szorując się pod prysznicem Kate niespodziewanie dla siebie zaczęła śpiewać, najpierw pod nosem, a potem już na cały głos.

Nula, która właśnie przyniosła jej świeże rzeczy, usłyszała to i uśmiechnęła się.

Ranczo Fartownego Dolara miało jednak dobry wpływ na samopoczucie ludzi.

Kate przebrała się w przyniesioną przez Nulę świeżą bieliznę, na to włożyła dżinsy, nieco inne od tych, które miała wczoraj, i bawełnianą koszulę o podobnym odcieniu.

Potem wraz z Nulą ruszyły w drogę do jadalni, Indianka znów prowadziła.

Tym razem Kate po drodze wychylała się niemal z każdego otwartego okna, starając się dokładnie obejrzeć dom z każdej możliwej strony.

Od zewnętrznej strony dom zdobiła różowa cegła z dekoracyjnymi białymi wykończeniami.

Z jednego z okien rozciągał się widok na cały parter, utrzymany w czysto francuskim stylu, z przylegającą doń olbrzymią oranżerią - zapewne tą, do której przeszli wczoraj po przylocie.

- A gdzie jest samo ranczo?

- zapytała naiwnie Kate, co sprawiło, że Nula roześmiała się, patrząc na jej zaskoczoną minę.

- To jest właśnie ranczo, proszę pani.
- Rozbawienie dziewczyny było pełne wyrozumienia.
- A pani pewnie spodziewała się zobaczyć taki stary drewniany dom, jak to pokazują w filmach.

Kate dla przyzwoitości zarumieniła się lekko, ponieważ zdając sobie sprawę, że kiedy miliarderzy tacy jak Chandlerowie mówią o czymś "ranczo", to niekoniecznie musi to znaczyć dla nich to samo, co znaczy dla innych ludzi.

Księżna Agatha tym razem miała na sobie rozpinaną spódnicę z grubego, brązowego tweedu i wysokie buty, podobne do tych, które miała na nogach Kate.

Kurteczka Agathy, również z brązowego tweedu, ze skórzanymi obramowaniami na mankietach i łałami na rękawach, narzucona była na zastępujący koszulę gruby sweter golf.

Na głowie księżna miała szerokoskrzydły kapelusz stetson, nie włożyła tym razem żadnej biżuterii, jeżeli nie liczyć tych cokolwiek barbarzyńskich w swej urodzie kolczyków.

Obok niej stał jakiś wyjątkowo wysoki mężczyzna o wybielonej przez słońce blond czuprynie.

Kate z dreszczykiem prawie dziecięcej emocji zauważyła, że ma on na sobie strój prawdziwego kowboja - wytarte dżinsowe spodnie, koszulę, bluzę i trzymany w dłoniach przepocony kapelusz o szerokich kresach.

- Dzień dobry - powiedziała księżna.
- Nula powiedziała rai, że spałaś naprawdę dobrze.

Czy to prawda?

- Rzeczywiście chyba spałam lepiej niż niejeden niedźwiedź w zimie.

Tylko na chwilkę musiałam wstać, bo strasznie chciało mi się pić.

Aha, i słyszałam wtedy jakieś bardzo dziwne dźwięki, takie jakby kasłanie, ale to chyba musiało być jakieś zwierzę.

Jasnowłosy mężczyzna uśmiechnął się.

- To był górski lew, proszę pani.

Nazywają go też kuguarem.

- Kate, to jest mój główny stajenny, Jed Stone.

Poprosiłam go, żeby wybrał dla ciebie odpowiedniego konia.

Kate wyciągnęła dłoń, która niemal całkowicie zniknęła w ogromnej, pokancerowanej kowbojskiej łapie.

Ale jej dotknięcie niespodziewanie okazało się bardzo delikatne.

- Witamy panią na Ranczu Fartownego Dolara.
- , - Jed urodził się tu, na ranczu - powiedziała księżna.
- I prawdę mówiąc, w ogóle nigdy nie był poza granicami naszego stanu.
- Żeby nie skłamać, to w ogóle najdalej w życiu dojechałem tylko do Denver.
- Jasnowłosy olbrzym uśmiechnął się.
- Jakoś nie ciągnie mnie do poznawania innego świata.

A poza tym chyba nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby zamieniać Kolorado na cokolwiek innego.

W ustach jakiegokolwiek innego człowieka musiałyby to zabrzmieć jak wyświechtany banał, ale w ustach Jeda była to po prostu najczystsza prawda.

Kate powoli zaczynała sobie zdawać sprawę, na czym polega odmienność ludzi Zachodu.

Byli szorstcy, bezpośredni i prości, ale bynajmniej nie prostacy czy głupi.

Byli po prostu inni.

Kate lubiła Dzikie Zachód już od dzieciństwa.

Zamiast pasjonować się przygodami bohaterów w rodzaju Robin Hooda albo rycerzy króla Artura, zaczytywała się w opowieściach o ludziach, takich jak Kit Carson czy Wyatt Earp, przeżywała bohaterską śmierć generała Custer w bitwie pod Little Big Horn.

Nigdy nie śmiała nawet marzyć, że kiedyś będzie w tych miejscach, o których czytała. Że będzie mogła oglądać na własne oczy taki krajobraz i takich ludzi, że będzie to mogła poczuć, przeżyć coś z tego naprawdę.

Być właśnie tu - to dotąd wydawało się niemożliwe, a przecież się spełniło.

- Wybrałem już konia dla pani, panno Kate - powiedział Jed.

- Jest naprawdę bardzo dobry, a przy tym nie lęka się obcych.

Będzie się pani na nim jechało tak, jakby usiadła pani w wygodnym fotelu.

To znaczy po prostu w prawdziwym siodle z Dzikiego Zachodu, pomyślała Kate.

- Ale sądzę, że na jazdę konną będzie czas dziś po południu - powiedziała księżna.

- A na razie, póki jest dość wcześnie, może chciałabyś trochę pooglądać dom i to, co w nim jest?

Twarz Kate rozpromieniła się.

- Naprawdę mogłabym?

- No pewnie.

Powiem ci, że ja sama najbardziej lubię grzebać w tym wszystkim, co pozostało po moim tacie.

Zbudowany z cegły obszerny dom - zresztą przypominający raczej jakiś francuski pałacyk - nie był, jak się Kate tego spodziewała, tym pierwotnym budynkiem założonego tu rancza.

Pierwszy dom rzeczywiście zbudowany był z wielkich bierwion i usytuowany nad rzeką.

- ...zawsze należało budować chatę w pobliżu wody, jeżeli się miało choć trochę oleju we łbie.

Pokażę ci ją później - mówiła dalej Agata.

- Natomiast ten dom mój tata skopiował z takiego, który kiedyś zobaczył we Francji.

Zachwycił się nim tak, że w rezultacie kazał wszystko stamtąd sprowadzić, nawet kamienie na fundamenty, niemal całe drewno i mnóstwo marmuru.

Marmury, jak się okazało, zostały wykorzystane do stworzenia całej serii imponujących schodów pomiędzy różnymi częściami poszczególnych kondygnacji.

Marmurem została również wyłożona znaczna część podłóg i tarasów.

Całe wnętrze było bogato zdobione stiukami i wymyślnymi gipsowymi ornamentami, malowanymi na różowo i niebiesko.

Alkowy wykończone były płytkami ceramicznymi, sprowadzonymi z Hiszpanii.

Kryształowe żyrandole w większości pochodziły z Waterford, a wypełniające te wszystkie pomieszczenia meble były tak ogromne, że nawet sam Gargantua musiałby się tu czuć bardzo wygodnie.

Wszędzie było też mnóstwo roślin ozdobnych, wspaniale rozwijających się w gorącej i wilgotnej atmosferze: szerokolistne palmy i olbrzymie paprocie, azalie i rododendrony w ogromnych donicach, a zaraz obok nich także liczne miejscowe kwiaty, najczęściej spotykane w Kolorado.

Ponieważ w całym domu temperatura utrzymywana była na poziomie tylko niewiele - przynajmniej zdaniem Kate - odbiegającym od temperatury piekła, wszystko to rosło i rozkwitało po prostu wspaniale.

Kominki w całym domu były wystarczająco wielkie, by można było w nich upiec nawet wołu, i to w całości, na szczęście nigdy się w nich nie rozpałało ognia.

Naprawdę na szczęście, i nawet nie ze względu na i tak trudne do wytrzymania gorąco. Kate myślała przede wszystkim o niebezpieczeństwie otwartego ognia.

Nie chodziłoby już nawet o te cenne, ciężkie zasłony, które zapewne najłatwiej mogłyby się zająć, czy nawet o wspaniałe meble i ręcznie tkane dywany.

Kate najbardziej troszczyłaby się w takim przypadku o obrazy, rozrzucone bezładnie po pomieszczeniach całego domu portrety i sceny rodzajowe, najznakomitszy zestaw dzieł malarstwa Dalekiego Zachodu, o jakim można było marzyć.

Nigdy dotąd nawet nie słyszała o czymś równie wspaniałym, a cóż tu dopiero mówić o możliwości zobaczenia tego na własne oczy.

Potwierdziło się to, co Agatha mówiła o Remingtonie.

Okazało się, iż jego dzieł jest w całym domu tak wiele, że Kate już wkrótce straciła rachubę, zwłaszcza że były tam nie tylko obrazy, ale również liczne brązy, a także rzeźby w drewnie - co prawda nie dokończone, ale i tak niewątpliwie świadczące o ręce mistrza, którego wręcz nieprawdopodobna siła witalna zdawała się przebijać dosłownie z każdej formy, z każdej linii i kreski.

A przecież były tam nie tylko dzieła Remingtona.

Niemal każdy ważniejszy artysta z Dzikiego Zachodu był tu reprezentowany.

Do tego dochodziło jeszcze mnóstwo oryginalnych dzieł sztuki indiańskiej.

Były tam ozdobne szaty, malowane skóry bizonów, ozdoby z piór, tkaniny i skóry wyszywane paciorkami - dopiero tu Kate zdała sobie sprawę, co naprawdę wyszywała Minnie - rzeźbione fajki, malowane na jelenich skórkach całe obrazkowe opowieści, przekazujące najważniejsze zdarzenia z historii tego czy innego plemienia.

Było tego tak wiele, że Kate w żaden sposób nie była w stanie wchłonąć wszystkiego naraz.

A kiedy jeszcze księżna Agatha przeszła do niezliczonych albumów, zawierających, jak się okazało, najstarsze i historyczne już zdjęcia z wczesnych lat Dzikiego Zachodu, Kate uznała się za pokonaną.

Wiedziała jednak, co powinna zrobić.

- Pani Chandler...

- Nie musisz się do mnie zwracać aż tak oficjalnie.

Przyjaciele, zwłaszcza ci bliżsi mojego wieku, mówią do mnie Agatha.

A ty, jeżeli chcesz, mów do mnie "księżno".

Kate poczuła się niezmiernie zaszczycona, i aż poróżowiła z przejęcia.

- Księżno, czy pani w ogóle wie, co znajduje się w pani posiadaniu?

- Oczywiście, że wiem.

To zebrane przez lata rzeczy mojego ojca, rzeczy, które lubił mieć przy sobie, a w każdym razie w pobliżu.

I w jakimś sensie była to również część jego życia.

- Tak, ale powiedziałabym, że teraz to już nie tylko to.

Dziś to znacznie więcej.

Nieporównanie więcej.

- No cóż, być może.

Dla ciebie, bo w twoim wieku musisz to wszystko widzieć w zupełnie innym świetle.

- Ale tu wcale nie o mnie chodzi.

Chodzi o to, że same te rzeczy dziś już są zupełnie czymś innym.

To, co dla pani jest tylko zbiorem pamiątek rodzinnych, teraz już jest - nie tylko dla mnie, ale dla każdego, kto potrafi to dostrzec - prawdziwą kolekcją dzieł sztuki, nie tylko bardzo cenną, ale i zupełnie wyjątkową.

- To bardzo miło z twojej strony, że tak mówisz.

Wiem, że mój tata podzielałby twoją opinię, przede wszystkim dlatego, że w ogóle uważał Dziki Zachód za najcudowniejsze miejsce na Ziemi, za krainę, którą Pan Bóg stworzył chyba dla własnej przyjemności.

Mój ojciec był o tym święcie przekonany; jeżeli jeździł gdzieś do innych krajów, to tylko po to, by przez porównanie utwierdzać się w tym przekonaniu.

Ale nawet on nie uważał tego za jakąś "kolekcję", podobnie zresztą jak ja.

Kate machinalnie zwilżyła wargi.

Ta niełatwa rozmowa wymagała od niej szczególnej delikatności.

Nabrała powietrza, jak przed skokiem do głębokiej wody.

- Ale, księżno...

czy pomyślała pani o tym, co się stanie z tym wszystkim, kiedy w przyszłości już nie będzie tu kogoś, kto czuwałby i doglądał wszystkiego tak jak pani?

W takiej sytuacji cały ten zbiór mógłby po prostu zostać rozproszony, co byłoby prawdziwą tragedią.

Gdybym tylko potrafiła przekonać panią, jak olbrzymie znaczenie ma taka właśnie rodzinna kolekcja!

Podejrzewam, że drugiej takiej nie ma po prostu na świecie.

Słynne zbiory z Oklahomy zawierają co innego, to, co zebrano tutaj, jest doprawdy wyjątkowe.

Już same albumy ze zdjęciami są wręcz bezcenne.

Należałoby może pomyśleć o jakimś muzeum...

- Nigdy w życiu - oświadczyła kategorycznie księżna Agatha.

- Mój tata nie znosił muzeów, gdzie wszystko jest za szkłem i wszędzie są rozwieszane tabliczki z napisem "Nie dotykać"!

Chciał, żeby to było w żywym domu, lubił to mieć obok siebie.

- Więc powinna pani zadbać o to, żeby i na przyszłość trafiło to do kogoś, kto myśli podobnie jak pani ojciec.

- Nie ma nikogo takiego - stwierdziła krótko Agatha.

- A pani wnuk?

Twarz starej kobiety złagodniała.

- No cóż, on zrobiłby to dla mnie.

Ale tak naprawdę - mało kto jest równie odległy od spraw sztuki, jak mój Blaise.

Tak to już z nim jest.

Co prawda dorastał i wychowywał się wśród tych wszystkich przedmiotów, ale w gruncie rzeczy zawsze uważał ten dom za muzeum.

Oczywiście, gdybym go o to poprosiła, na pewno potrafiłby zadbać o to, by wszystko tutaj nadal toczyło się tak, jak przez ostatnich osiemdziesiąt kilka lat.

- Wobec tego tak właśnie powinna pani zrobić - oświadczyła Kate z ogromną determinacją.

- Proszę, księżno, niech pani mnie posłucha.

To jest najcudowniejsza kolekcja sztuki amerykańskiej - mam na myśli sztukę Dzikiego Zachodu - o jakiej kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć.

Byłoby prawdziwą tragedią, gdyby została rozproszona.

- Nawet gdybyś to ty dostała zlecenie sprzedania jej w swojej firmie?

- To byłaby, w moim odczuciu, jeszcze większa tragedia - zaprotestowała gwałtownie Kate.

- Zbiory takie jak ten powinny być zachowywane w całości.

Zbyt wiele z nich zostało już rozproszonych na cztery strony świata.

Jeżeli nawet nie lubi pani myśli o muzeum, to mimo wszystko z pewnością chciałaby pani, aby ludzie - bliscy, ale pewnie i dalsi - nadal to oglądali.

Bo to jest przecież ich dziedzictwo, to, co pozostało po poprzednich pokoleniach.

- Mówisz zupełnie nie tak, jak na twoim miejscu mówiłby ktoś żyjący ze sprzedaży dzieł sztuki - powiedziała starsza pani i przymrużyła oko.

- Mówię tak, jak mówiłby każdy, kto naprawdę kocha sztukę.

W sztuce liczy się nie tylko osiągnięta cena.

To prawda, że gdybym miała to u siebie na aukcji w firmie Despard's, prawdopodobnie uzyskalabym za to miliony.

Ale pani, księżno, tych milionów nie potrzebuje.

Kolekcja przestałaby istnieć, pozostałyby pojedyncze, przypadkowo rozproszone obrazy, bazy i reszta.

A ta kolekcja powinna trwać!

I tu jest jej miejsce, w tym domu!

- Rozemocjonowana Kate starała się podkreślić to, co mówiła, odpowiednio wymownym gestem.

- Nie wolno rozdzielać tych rzeczy, to dla kolekcji byłoby jeszcze gorsze niż rozwód dla udanej rodziny!

To wszystko powinno pozostać w jednym miejscu, tak długo, jak to tylko będzie w ludzkiej mocy.

Agatha patrzyła na nią z uśmiechem.

- A ty jednak jesteś bardzo podobna do swojego taty.

On też tak potrafił się zapalać z powodu jakiegoś płótna albo rzeźbionego kawałka drewna czy brązu.

- Pokiwała głową.

- Można by nawet przypuszczać, że kiedyś znaczyło to dla niego więcej niż sprawy rodziny i najbliższych.

Ale jednak przekazał ci swoją krew, jak się okazuje, więc i ten mój sąd pewnie był zbyt powierzchowny.

- Księżna Agatha pogładziła dłoń Kate, opartą na poręczu jej fotela.

- Obiecuję ci, że przemyślę to, co mi powiedziałaś.

Prawdę mówiąc zastanawiałam się już, co właściwie stanie się z tym wszystkim, kiedy mnie tu zabraknie.

Z samym ranczem nie ma problemu, ponieważ już i teraz praktycznie prowadzi je Blaise.

Natomiast ten dom i to, co w nim teraz jest, to już zupełnie inna sprawa...

- Spojrzenie starej kobiety stało się twardsze.

- Mówisz, że to wszystko jest cenne?

- Niewyobrażalnie.

- No tak, mogłaby się z tego zrobić sprawa.

- Agatha nagle zaczęła się śmiać, głośno i donośnie.

- Gdyby ta jego żona dowiedziała się, że to tyle warte, przyleciałaby by tu takim pędem, że kaptur by jej z nóg pospadały.

Tu Kate odważyła się na coś, do czego w gruncie rzeczy nie miała żadnego prawa.

- Więc niech jej pani tego nie mówi - powiedziała, starając się tylko, żeby nie wypadło to jak gorąca prośba.

- Ona z całą pewnością zaczęłaby nakłaniać panią do sprzedania.

A ja może działam tu przeciw moim własnym interesom, ale bardzo chciałabym, aby pani tego nie robiła.

Ludzie czasami sprzedają swoje zbiory, bo nie mają innego wyjścia, po prostu potrzebują pieniędzy.

Ale pani, księżno, ma ich przecież dosyć.

Stać panią na taką kolekcję, na to, aby ją nadal posiadać.

Ja co prawda dopiero od niedawna wróciłam do świata wielkich aukcji, ale zdążyłam się już zorientować, jak wiele się tam przez te lata zmieniło.

To jest teraz wielki międzynarodowy biznes.

Przestało się liczyć piękno sprzedawanych dzieł sztuki, liczy się tylko osiągnięta cena.

Kate nagle urwała.

- Powiedziała pani, że Dominique nie widziała tych rzeczy?

- Nie mogła ich widzieć, bo nawet po ślubie z moim wnukiem nigdy nie pojawiła się na tym ranczu.

- A więc w ogóle nie wie...

- Życie na ranczu w ogóle jej nie interesuje.

Woli uważać, że my tu nadal chodzimy z rewolwerami u pasa i w kowbojskich kapeluszach, a jemy tylko mięso jelenia suszone na słońcu i soloną wołowinę. Dla niej cywilizowana Ameryka kończy się na Chicago, a zaczyna się ponownie dopiero w San Francisco.

Kate westchnęła z prawdziwą ulgą.

- Dzięki Panu Bogu przynajmniej za to.

Księżna spojrzała na nią i zmarszczyła brwi.

- Więc uważasz, że to może być tak poważne?

- Gdyby tylko miała okazję zobaczyć, co tu jest, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby sprzedać to wszystko w tej swojej filii w Nowym Jorku, co zresztą byłoby bardzo łatwe.

Wystarczyłoby, żeby kolekcjonerzy zwiedzieli się o tych zbiorach.

- Widać było, że ta myśl naprawdę Kate przeraża.

- A czy ktoś jeszcze o tym wie?

- Kogo masz na myśli?

- No...

ludzi, którzy zawodowo się tym zajmują, sprzedających dzieła sztuki.

- Jediną taką osobą, którą znałam, był twój ojciec, ale on też nigdy tu nie przyjeżdżał.

Ludzie z naszej okolicy co nieco o tym wiedzą, i pewnie dlatego od czasu do czasu otrzymuję jakąś ofertę z Denver.

Raz nawet przyjechał ktoś z Nowego Jorku, ale to było bardzo dawno temu.

- I dzięki Bogu!

- powtórzyła z ulgą Kate.

- Gdyby się raz rozniosło, co tu naprawdę jest, zaczęłaby się prawdziwa wojna na śmierć i życie.

Dominique wszelkimi sposobami nakłaniałaby panią do sprzedania, z dwóch co najmniej powodów: jej procent, jako sprzedającej, to już byłaby prawie fortuna, a jednocześnie dzięki temu zdecydowanie wyszłaby na czoło, jeżeli idzie o obroty i zyski poszczególnych oddziałów DesparĆTs.

- A ty nie chciałabyś w ten sposób wyjść na czoło?

Kate potrząsnęła głową przecząco.

- Nie.

To znaczy - rozum mówi mi, że zdecydowanie powinnam, ale serce - że jednak nie.

Że nie można tego robić.

Coś tak pięknego powinno przetrwać i należeć do całego świata, a nie do kilkunastu osób, które mają dość pieniędzy.

Agatha skinęła głową.

- Przeczuałam, że z ciebie dobra dziewczyna.

- Tylko na miłość boską, niech pani o tym nikomu nie mówi - powiedziała Kate z lekko niepewnym uśmiechem.

- Bo gdyby na przykład Rollo dowiedział się, co ja tu mówię, to chyba postarałby się mnie zamknąć.

- Rollo?

Ach, ten twój teatralny przyjaciel.

Nie za bardzo męski, jeśli można tak powiedzieć.

Nie, już to wycofuję.

- Agatha zauważyła zmianę w wyrazie twarzy Kate.

- Nie chciałam o nim powiedzieć nic złego.

Blaise mówił mi, że z jego pomocą świetnie prowadziłaś swój sklep.

- Rollo jest moim najlepszym przyjacielem - oświadczyła Kate z pełnym przekonaniem.

- Wobec tego jeszcze raz przepraszam za to, co o nim powiedziałam.

O dobrych przyjaciół dziś niełatwo.

A to w końcu nie moja sprawa, kto tam mu się podoba więcej lub mniej w jego życiu osobistym.

Ja i tak raczej nie miałabym już u niego szans.

Kate roześmiała się.

- No nie wiem.

Rollo jest pełen wdzięku, może oczarować każdą kobietę.

- Naprawdę?

No to następnym razem przywieź go ze sobą.

- Na pewno sam się będzie napraszał, kiedy mu wszystko opowiem.

Kończyły tę rozmowę w doskonałych humorach.

Kate pomogła starszej pani przejechać do oranżerii, gdzie czekał na nią lekki posiłek: filiżanka bulionu, obowiązkowy - choć tym razem niewielki - stek oraz porcja sałaty.

- Lekarze twierdzą, że muszę jadać regularnie wszystkie posiłki.

- Agatha westchnęła.

- Ale tak naprawdę, to przyjemność sprawia mi dopiero kolacja.

- Może poproszę o filiżankę kawy i dotrzymam tu pani towarzystwa - zaoferowała się Kate.

Usiadła obok księżnej i w rezultacie rzeczywiście udało się jej zająć i rozbawić starszą panią opowiastkami i anegdotami z londyńskiego życia towarzyskiego i artystycznego.

Księżna słuchała z zaciekawieniem, chichocząc od czasu do czasu, i sama nawet nie zauważyła, kiedy zdążyła zjeść zupę, prawie cały stek i pół sałaty.

Potem pokojówka zawiozła starszą panią do jej sypialni na popołudniową drzemkę, a Kate przebrała się i wyruszyła na konną przejażdżkę z Jedem Stoneem.

Śnieg był miejscami dość głęboki, przy temperaturze w okolicy zera raczej już dosyć zbity.

Tak czy inaczej nie sprawiał żadnych trudności koniom, które były przyzwyczajone do takich warunków.

Dla Kate osiodłano gniadego wałacha, zwanego Pułkownikiem, najwyraźniej dobrze już doświadczonego i pewnego tak w stępie, jak i w biegu.

Tak jak przypuszczała, dostała oryginalne siodło z Dzikiego Zachodu, szerokie i wygodne prawie jak fotel.

Przed zimnem chroniła ją podbita strzyżonym futerkiem kurtka, włożona wprost na flanelową koszulę.

Do tego miała grube rękawice i nieodzowny tu szerokoskrzydły kapelusz stetson.

Powietrze było rzeźkie i krzepiące, choć na tyle rozrzedzone, że na początku Kate dość wyraźnie to odczuwała.

Bardzo szybko jednak przyzwyczaiła się także i do tego.

Pogoda była doskonała, wszystko wokół lśniło w słońcu, a rozradowana Kate powtarzała sobie, że oto jedzie na prawdziwym ranczerskim koniu, obok najprawdziwszego kowboja z Dzikiego Zachodu, a Góry Skaliste są dosłownie o krok od niej.

Ledwie kilkadziesiąt mil.

Śnieg leżał także na szerokich gałęziach sosen, dość gęsto obrastających ośnieżone teraz łąki.

To jednak nie zdawało się robić większego wrażenia na sporych stadach bydła, gromadzącego się przy wiązkach wykładanego dla nich siana.

Zwierzęta z charakterystycznymi białymi łatami na przodzie głowy flegmatycznie przeżuwały paszę, nie zwracając najmniejszej uwagi na zbliżające się konie.

- To chyba angielskie Herefordy, z tymi białymi pyskami?

- zaryzykowała Kate.

Wiedziała, że pod koniec dziewiętnastego wieku byki tej rasy sprowadzano z Anglii do Ameryki, żeby krzyżować je z miejscową, mniej mięsną, ale odporniejszą i bardziej wytrzymałą długorogą odmianą.

Dzięki temu powstawała doskonała krzyżówka, znakomite amerykańskie bydło mięsne.

- Rzeczywiście - potwierdził Jed, zaskoczony i ucieszony jednocześnie.

- Doskonale to pani poznała.

Większość tego bydła to potomstwo byka, którego kiedyś sprowadził z Anglii ojciec pani Agathy.

Ten byk oficjalnie miał strasznie długie imię, ale tu na farmie nazywano go po prostu papa, jako że splodził chyba z tysiąc cieląt, nim w końcu zginął podczas burzy śnieżnej.

Stary pan kazał go potem wykopać z pięciometrowej zasy i pochować tak, jakby należał do rodziny.

Może pani zobaczyć kamień, który ustawiono na miejscu, gdzie go pochowano, niedaleko za domem.

Przejażdżka trwała przeszło dwie godziny, a Jed przy okazji mógł sprawdzić, gdzie są stadka, które odeszły najdalej od zabudowań.

- Skąd pan wie, gdzie zwierzęta mogą pójść?

- zapytała z ciekawością Kate.

- Helikopter, proszę pani.

Z góry łatwo je zobaczyć.

Ta maszyna to dla nas prawdziwy dar niebios.

Przedtem trzeba było jeździć i szukać nieraz i po parę dni, żeby wiedzieć, co się z bydłem dzieje, zwłaszcza przy złej pogodzie.

A teraz po prostu leci helikopter i przez radio podaje nam, co jest z tym czy tamtym stadem.

Tak, że od razu wiemy, dokąd należy jechać, jeśli to jest konieczne.

- A kiedy to jest konieczne?

- No, na przykład kiedy zwierzęta mają jakieś kłopoty, spadnie za głęboki śnieg, albo któreś może być okaleczone, jeśli górski lew zaatakuje.

- Ten, którego słyszałam dziś w nocy?

- Tak, wiemy, że jeden jest tu gdzieś w pobliżu - potwierdził Jed.

- Ale dopóki nie zaczną zabijać nam bydła, zostawiamy go w spokoju.

Z tym, że teraz, kiedy spadł głębszy śnieg, trzeba będzie bardziej na niego uważać. Podczas tej rozmowy Jed w ogóle nie starał się kierować swym koniem, raczej zdawał się na niego w wyborze kierunku, koń sam wiedział, gdzie ma iść.

Nauczył się tego przez lata.

Hank wytrwale brnął w śniegu bez jakichś zauważalnych przejawów właściwego mu temperamentu, ale kiedy już w drodze powrotnej Jed lekko dotknął go ostrogami, natychmiast podrzucił głową i stanął dęba, idąc na tylnych nogach tak, że flegmatyczny Pułkownik zastrzygł uszami i usunął się na bok.

Po krótkiej chwili minęli grzbiet wzgórza.

Las się skończył i w oddali można już było widzieć różową bryłę dwupiętrowego domu. Przed nimi rozpościerała się otwarta przestrzeń pokrytych śniegiem łąk.

- Kiedy już wrócę do Anglii - zaczęła Kate i w tej samej chwili roześmiała się.

- W życiu mi nie uwierzą, jak tu jest pięknie.

Jak pięknie!

Pod wpływem nagłego impulsu uderzyła swego konia piętami i zmusiła go do biegu klusem, a potem pełnym galopem.

Jak na konia uznawanego za bardzo spokojnego Pułkownik wykazał się wcale niemałym temperamentem.

Potem, już w pobliżu domu, Kate przyhamowała swego wierzchowca, by wrócił do klusa i z uznaniem poklepała go po wygiętej w łuk szyi.

- Spodobało ci się to, ty stary udawaczu!

Ale powiem ci po cichu, że mnie też się to spodobało.

I to bardzo!

Rozdział 8 .

O gromne łóżko zajmowało ledwie niewielką część obszernej sypialni, mieszczącej się w luksusowym mieszkalnym apartamencie w jednym z trzech wieżowców, składających się na kompleks Chandler Towers.

Dominique przeciągnęła się leniwie, wyciągnęła smukłą rękę i strąciła popiół z papierosa do stojącej obok popielniczki ze szkła Lalique.

- Za dużo palisz - powiedział Blaise.

Jego nieco senny głos nie brzmiał zbyt przekonująco.

Było oczywiste, iż sam nie za bardzo wierzy w to, że jego żona go posłucha.

- Ale na razie nie odbija się to negatywnie na naprawdę istotnych funkcjach mego organizmu, prawda?

- zapytała Dominique prowokująco.

Jej mąż lekko uniósł powieki.

- Kiedy zaczniesz, pierwsza się o tym dowiesz.

- Na przykład dzisiaj wyraziłeś raczej jednoznaczną aprobatę.

I to nie raz, ale dwa razy...

Dłoń Dominique pieszczotliwie przesunęła się po jego umięśnionej klatce piersiowej w dół, poprzez płaski brzuch, aż do zmierzwionej gęstwy czarnych włosów podbrzusza.

Mimo że Blaise kochał się z nią dwukrotnie w ciągu niecałej godziny, jego członek zareagował już na pierwsze dotknięcie.

Dominique czuła, jak pęcznieje i rośnie w jej wilgotnej, ciepłej dłoni, jak nabrzmiewa narastającym znów pożądaniem.

Coraz grubszy i coraz dłuższy...

- Mój piękny ogier...

wspaniała - szepnęła i pochyliła się, by wziąć do ust czubek delikatnie pieszczzonego członka.

Chcive dotknięcie warg sprawiło, że Blaise jęknął cicho i na chwilę przestał oddychać.

- Chyba rzeczywiście musiało ci mnie brakować, prawda?

- powiedziała po chwili.

- Nie zapomnij, że to ty odszukałaś mnie w Nowym Jorku, a nie ja ciebie.

Dominique uśmiechnęła się.

To była jedna z tych rzeczy, które naprawdę podobały się jej u Blaisea - że zawsze potrafił wymykać się z najrzęczniejsz zastawianych pułapek.

Nigdy nie można było być pewnym, że się go złapało.

Tak jak w przypadku wszystkich innych mężczyzn, miała wrażenie, że pochwyciła go i trzymała w potrzasku przede wszystkim dzięki swej niezwyklej - i bardzo umiejętnie wykorzystywanej - zmysłowości.

Nie przestawała jednak zastanawiać się nad przyszłością i sama nawet była nieco zdziwiona, że ich seksualna harmonia po tym czasie wciąż się utrzymuje.

Dominique nie miała złudzeń - podobnie jak i Blaise - że łączy ich cokolwiek poza seksem.

Jej zdaniem dwa lata stanowiły maksimum, po którym nawet najsilniejszy pociąg seksualny musiał zacząć słabnąć.

To, co się im przydarzyło, kiedy po raz pierwszy spojrzeli na siebie i zapłonęli nagłym, nieprawdopodobnym i niepohamowanym pożądaniem, było czymś, czego nigdy dotąd nie doświadczyli - ani ona, ani on.

Ale wszystko, co sięga szczytów, musi nieuchronnie zacząć schodzić w dół, tak więc każda kolejna chwila kiedy nadal byli ze sobą, była dla nich niejako premią od życia.

I chyba to właśnie sprawiło, że ich małżeństwo wciąż mogło trwać, pomyślała rzeczowo Dominique.

Małżeństwa jako takiego właściwie nie było w tym w ogóle, już raczej była to jakaś - wciąż odnawiana - sytuacja dorywczych kochanków.

Ich spotkania - kiedy oboje akurat byli w tym samym mieście - ciągle miały w sobie coś z klimatu ukradkowych chwil, wykradanych zazdrosnemu mężowi czy oczekującej w domu żonie.

Gdyby tylko zamieszkali ze sobą i spróbowali żyć razem choćby przez bardzo krótki czas, wąła materia ich związku zapewne pękłaby natychmiast.

Najwyraźniej oboje lubili tę atmosferę niecodzienności, niespodzianki, jakiegoś ryzyka, choćby jawnie złudnego.

Tak to chyba jest, mówiła sobie Dominique, przesuwając dłoń po jedwabistej skórze twardniejącego pod jej palcami członka.

Właściwie to przeżywali w ten sposób swoisty cudzołożny romans - ona przecież tak naprawdę związana była tylko ze swoim oddziałem Desparda i to był jej prawdziwy mąż, a on z kolei miał tę swoją korporację, też bardziej zazdrosną i wymagającą od niejednej żony.

Tak więc ich spotkania - to obecne również -zawsze oznaczały czas ukradziony, wyklamany, organizowany chyłkiem, nie bez ryzyka, że to zostanie odkryte.

Przypominała sobie różne odezwania, tak charakterystyczne dla ich rozmów w podobnych sytuacjach.

Blaise mówił: "Teraz powinienem być w Honolulu i prowadzić zebranie dyrektorów".

Niemal za każdym razem mówił coś w tym rodzaju.

A Dominique na to: "Wiesz bardzo dobrze, że w tej chwili powinnam już być w samolocie do Genewy".

I dodawała jeszcze: "Powinieneś zawsze pamiętać, ile mnie kosztujesz!

I czasu, i pieniędzy, mon beau sauvage!"

"Uwielbiam chodzić na wagary" oznajmiał Blaise, i już za chwilę udowadniał jej, jak bardzo to lubi.

Rozstawali się odświeżeni i rozjeżdżali się w różne strony świata.

Na dłużej lub krócej, aż do chwili, kiedy któreś z nich sięgnęło po aparat.

Kolejny raz zaczynało się telefoniczne poszukiwanie po całym świecie, które ostatecznie kończyło się umówieniem na kolejne spotkanie w jakimś innym łóżku innego mieszkania albo hotelu.

Jako małżeństwo nie mieli stałego domu; w Paryżu zazwyczaj korzystali z pałacyku przy Avenue Foch, a w Londynie przyjeżdżali do apartamentu na poddaszu Desparda, jeżeli Charles akurat był nieobecny, albo do domu Dominique przy Chester Square.

W Hongkongu czekał na nich luksusowy apartament Dominique w ekskluzywnej dzielnicy na górującym nad zatoką wzgórzu; a w Nowym Jorku był to ten właśnie apartament na czterdziestym pięttrze wieżowca w kompleksie Chandler Towers.

Poza tym kierowana przez Blaisea firma Chandler Corporation dysponowała apartamentami lub przynajmniej mieszkaniami służbowymi niemal w każdym liczącym się mieście świata.

Nigdy nie składali wspólnych wizyt i w ogóle nigdzie we dwoje nie chodzili.

Nie oglądano ich razem w nocnych klubach, modnych dyskotekach, na międzynarodowych przyjęciach czy uroczystych premierach filmowych lub teatralnych.

Spotykali się ze sobą tylko w jednym celu - dla uprawiania seksu, ponieważ poza nim nie było absolutnie nic, co mogłoby ich łączyć.

Ale też to, co ich łączyło w łóżku, miało wciąż taką siłę i taką intensywność, że wystarczało jej w zupełności do podtrzymania tego niecodziennego związku, w którym na dobrą sprawę żadne z partnerów nawet nie próbowało wyjść poza fizyczność.

Małżeństwo Blaise zaproponował zaraz na początku ich romansu, to znaczy w momencie, kiedy na samą myśl o tym, że Dominique mogłaby należeć do jakiegoś innego mężczyzny, robiło mu się czerwono przed oczami.

Dominique zgodziła się wyjść za niego, głównie ze względu na to, kim był i co sobą reprezentował.

Ślub z Blaiseem Chandlerem oznaczał dostęp do praktycznie nieograniczonych pieniędzy i - co ważniejsze - do świata wielkiego międzynarodowego biznesu, który to obszar wciąż wydawał się niedostatecznie wykorzystany, jeżeli chodziło o możliwości sprzedaży dzieł sztuki.

To był potencjalny wielki rynek, na którym łatwiej można by umieścić właśnie rzeczy najcenniejsze, wymagające rzeczywiście wielkich fortun.

Blaise na początku przez pewien czas roił sobie, że jest to wiecznotrwała, namiętna i zmysłowa miłość; później, kiedy ta wulkaniczna lava już nieco ostygła, zdał sobie sprawę, że tak naprawdę wiązały ich ze sobą tylko zmysły, tylko one okazały się w tym wszystkim realne.

A w sztuce pobudzania zmysłów Dominique była tak znakomita, że nawet i teraz każdy telefon od niej, wzywający go do przyjazdu, wtrącał go w znany mu już na pamięć stan gwałtownej fizycznej tęsknoty, w dodatku połączony z niemal nie ustającą erekcją, na co mogło pomóc już tylko zaspokojenie, które dawała mu właśnie ona.

W ciągu dwóch lat nawet nie spojrzał na żadną inną kobietę.

Dominique wysysała go - dosłownie i w przenośni - do tego stopnia, że kiedy po tym wszystkim wracał do siebie i znów był gotowy, znów nieuchronnie kierował się do niej, po zaspokojeniu, które znów tylko zwiększało jego głód.

Blaise doskonale zdawał sobie sprawę, że jego żona to nic innego, jak po prostu seksualne zwierzę; to, co dla niego było przyjemnością, dla niej było przede wszystkim potrzebą.

Nie potrafiła długo bez tego wytrzymać, więc kiedy nie mogła akurat mieć jego - czy to z racji jakichś pilnych spotkań biznesowych, czy z racji jego sporadycznych prób zachowania choćby częściowej niezależności - można było być pewnym, że poszuka zaspokojenia z kimś innym.

Jednak to, że za każdym razem niezmiennie powracała do niego, świadczyło -jak sądził - że i on musiał być w tym naprawdę dobry.

Poza tym Blaise nie pozwalał sobie na jałowe rozmyślenia na temat swojej żony.

Małżeństwo z Dominique zwiększało jego prestiż i dodatkowo jeszcze dawało miłą dla każdego świadomość jawnej zazdrości innych mężczyzn, a w przypadku kobiet, nawet zazdrości połączonej z nienawiścią.

Dominique du Vivier była jedyna w swoim rodzaju: była unikatowym wydaniem, do którego tylko on miał prawa.

Teraz pomrukiwała jak zadowolony kot.

Jej wargi leniwie wędrowały po ciele Blaisea, czasem wtulała się w niego, by za chwilę go pocałować lub nagle pieścotliwie ukąsić drobnymi ostrymi zębami.

Zawsze nazywała go swym pięknym dzikusiem i - zwłaszcza, kiedy oglądało się jego nagość - nie można było zaprzeczyć, że było w tym wiele racji.

Pod skórą koloru miedzi kryło się ciało nowoczesnego lekkoatlety, wysportowanego mężczyzny u szczytu swoich możliwości.

Nie było w tym zresztą nic dziwnego: niezależnie od tego, gdzie w danym momencie był, Blaise regularnie ćwiczył i biegał.

Utrzymywanie fizycznej sprawności i doskonalenie własnego ciała sprawiało mu przyjemność, w rezultacie czego Dominique wciąż mogła z satysfakcją przyglądać się jego wspaniałej sylwetce.

Teraz przesunęła się i uklękła nad nim, z wolna nadziewając się na naprężony członek, coraz głębiej, aż do oporu.

Potem wyprostowała się i zaczęła wykonywać ruchy jeźdźca, od czasu do czasu odrzucając do tyłu opadające jej na twarz czarne włosy.

Czasami pochylała się niżej, tak by sutki jej okrągłych piersi mogły drażniaco dotykać czubków jego mniejszych i bardziej płaskich męskich sutków.

Potem zaczęła powoli i rytmicznie poruszać biodrami, naśladując koliste ruchy tłuczka i moździerza, wyprostowana i skupiona, podczas gdy jej ruchliwe dłonie znajdowały dla siebie podniecające zajęcia gdzieś głęboko z tyłu za jej plecami, a jej pełne, choć niewielkie piersi rozkosznie poruszały się w górę i w dół.

Dominique potrafiła to wszystko przedłużać niemal dowolnie; bezbłędnie wyczuwała, co dzieje się w jej partnerze, po ledwie wyczuwalnych zmianach uścisku palców na jej wąziutkiej talii wiedziała, jak bliski jest osiągnięcia szczytu.

Poznawała to po jego pocałunkach, po drgnięciach końca języka pieścącego nabrzmiałe sutki jej piersi.

Potrafiła doprowadzać go nieprawdopodobnie blisko i zatrzymywać tuż na granicy, a on w stałej ekstazie czekał na wybrany przez nią właściwy moment.

Dominique uwielbiała to poczucie mocy, które miała w takich sytuacjach.

To ona panowała, ona decydowała, ona wybierała chwilę.

Kiedy wreszcie zdecydowała się skończyć, przyśpieszyła gwałtownie, uderzając weń całym ciałem, niczym dżokej, popędzający rasowego konia tuż przed linią mety, aby osiągnąć ten wspaniały, wstrząsający całym ciałem orgazm, ten niezwykle wspólny finisz.

To było jak krzyk widowni po zwycięstwie, już po wszystkim, choć ciałami obojga wciąż jeszcze wstrząsał dreszcz, raz za razem, coraz słabiej, coraz łagodniej, coraz bliżej ukojenia.

Jej ciało stało się nagle miękkie, jakby zupełnie pozbawione kości.

Bezwładnie osunęła się po jego lśniącej od potu skórze i na wpół przytomna opadła na zmięte i poplamione prześcieradło, krańcowo wyczerpana, z rękami i nogami rozrzuconymi niczym u lalki.

W ciągu ledwie godziny przeżyli to już trzy razy, daleko przekraczając to, co zdawało się granicą możliwości organizmu.

Dopiero znacznie później, wciąż jeszcze przesycona i leniwie rozluźniona, Dominique zapytała bez większego zainteresowania: - No a czego dowiedziałeś się o tej małej Despard?

- Że wciąż jest tak samo długa i chuda - odparł wymijająco Blaise.

Oczywiście ani myślał przyznawać się do tego, że jej pytanie nie było mu aż tak obojętne, jak to starał się udać.

Przez dwa lata życia z Dominique du Vivier zdążył się już nauczyć, że kiedy jego żona pyta o coś z taką obojętnością, to z pewnością jest zainteresowana, i to bardzo.

A w takich przypadkach jej mózg - podobnie jak jej ciało - nie dawał się zaspokoić byle czym.

- Wydawała się w miarę w porządku, kiedy ją ostatni raz widziałem - powiedział z ziewnięciem, którego na szczęście nie musiał udawać.

- A kiedy to było?

- Nie uwierzysz, ale wczoraj.

- Jak to?

- Dominique usiadła gwałtownie, a jej niewielkie okrągłe piersi zakolysały się i znieruchomiały.

- Więc ona jest tu, w Nowym Jorku?

- W każdym razie była.

- Po co?

Przyjechała obejrzeć nowojorską filię Despards?

A jeżeli tak, to czemu nic o tym nie wiem?

I w ogóle gdzieś ty ją zobaczył?

Czy ona ma tu jakichś klientów?

Dowiedziałeś się czegoś?

- Niczego się nie dowiedziałem, ponieważ o nic nie pytałem - powiedział spokojnie Blaise.

- Wiem tylko tyle, że przyjechała tu, żeby spotkać się z jakimś klientem.

- To znaczy z kim?

- Nie wiem i, prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

Na razie, póki jeszcze nie zaczął się ten rok waszej próby, nie muszę się w to w ogóle angażować.

A na szczęście do tego jeszcze pozostało trochę czasu.

Dominique wróciła do pozycji leżącej.

- Spotkanie z klientem!

- Roześmiała się drwiąco.

- No, to ja ją sobie wyobrażam w tej sytuacji.

Teraz w jej miękkim, prawie aksamitnym głosie Blaise znów wyczuł coś, co kazało myśleć o pomrukiwaniu najedzonego, zadowolonego kota.

Było jasne, że Dominique nie musiała sobie wyobrażać, o jakiego klienta chodziło w przypadku Kate.

Ona to wiedziała.

Jedną z właściwości Blaisea Chandlera była - skrzętnie przez niego skrywana - umiejętność wyczuwania i wręcz przeświadczenia rozmawiających z nim ludzi. To działało właściwie automatycznie, jak szeroko zakresowy radar. A przez te dwa lata Blaise już zdążył wystarczająco dokładnie namierzyć wszystkie długości fal, na których operowała jego żona. Wiedział już na przykład, z jaką pewnością siebie i z jakim samozadowoleniem podchodziła do faktu, że nim zawładnęła, że do niej należało jego ciało, jego zmysły, jego nazwisko i jego pieniądze. Dominique była tego tak pewna, że prawdopodobnie nawet gdyby ją zdradził, nie przejmowałaby się tym zupełnie, ponieważ w jej przekonaniu nie mogłoby to mieć żadnego istotniejszego znaczenia. Wszędzie tam, gdzie chodziło o sprawy naprawdę liczące się w tym wszystkim, Blaise Chandler należał do niej, i tak miało pozostać - przynajmniej dopóty, dopóki ona nie zechce, żeby było inaczej. Dominique lubiła poczucie panowania, trzymania kogoś w ręku, ale jednocześnie lubiła też dreszczyk niebezpieczeństwa, lubiła igrać z ogniem, wyzywać los, tańczyć na samej granicy przepaści. To właśnie dawało jej te dodatkowe bodźce, których gwałtownie potrzebowała, zarówno w życiu seksualnym jak i emocjonalnym. Teraz na przykład była pewna, że bawi się w kotka i myszkę z Kate Despard. Blaise wiedział też doskonale, że Dominique nie zawaha się przed wciągnięciem do tej gry także i jego. To doda smaczku całej sprawie, a przy okazji może też być próbą jego lojalności w stosunku do niej.

- Gdzie ją spotkałeś?
- zapytała jeszcze bardziej obojętnie.
- Na Piątej Alei.
- Blaise skłamał celowo, poddając jej okazję łatwego "odgadnięcia" osoby, o którą chodziło.

Ciekaw był, czy Dominique skorzysta z tej możliwości. Dominique koniuszkiem palca rysowała jakąś zawiłą linię na jego szerokiej klatce piersiowej.

- Ciekawa jestem, z kim miała to spotkanie.
- Zawsze możesz spytać o to księżnę - zasugerował Blaise.

Mógł to zrobić bez najmniejszego ryzyka, ponieważ wiedział, że Agatha Chandler jest chyba jedyną osobą, której jego żona nie będzie pytać nigdy i o nic.

- Dlaczego akurat księżnę?
- Ponieważ zawiozłem ją tam potem na lunch.

Panna Despard miała jeszcze trochę czasu do wyjazdu, a księżna Agatha była bardzo ciekawa córki Charlesa.

- Po błysku szafirowych oczu Blaise poznał, że chytrze ukryte uderzenie dotarło. Światelko oznaczające alarm zapaliło się natychmiast.

Dla pewności Blaise dołożył jeszcze jeden cios na punkt.

- A poza tym, jeśli cię to interesuje, babcia Agatha zaprosiła ją na weekend na swoje ranczo w Kolorado.

- Co takiego?

- wybuchła Dominique.

- Wygląda na to, że z miejsca się polubiły - uprzejmie wyjaśnił Blaise.

- Wiem, że twoja babka chętnie zrobiłaby wszystko, byle tylko mi dopiec.

- Nie mów tak, przecież ciebie też tam zapraszała, i to wiele razy.

- Zapraszała, bo wiedziała, że na pewno odmówię.

- Dominique odrzuciła kołdrę i ześlizgując się po mocno wymiętym jedwabnym prześcieradle zsunęła nogi z krawędzi łóżka.

- Zaskakuje mnie, że ta Despard ma w ogóle czas na taki weekend, ale moim zdaniem oznacza to tylko, że przyjechała tu w poszukiwaniu jakichś funduszy.

Despard's London gwałtownie potrzebuje nowych klientów, z tego, co wiem.

- Co wiesz?

I skąd?

- spytał leniwie Blaise.

- O nie, mój piękny dzikusie.

- Dominique roześmiała się.

- Nie próbuj niczego ze mnie wyciągać.

- Ani mi to w głowie.

Dobrze wiem, że nie lubisz, kiedy się coś z ciebie wyciąga.

I chyba dotyczy to nie tylko informacji - powiedział Blaise i uśmiechnął się szeroko i bezczelnie.

Ta seksualna aluzja spodobała się Dominique.

Uśmiechnęła się z satysfakcją i pochyliła się, żeby go pocałować.

Jej czarne włosy kołysały się nad nim niczym dzwon.

- Robiłeś to po prostu doskonale.

Nigdy nie mogłabym się na to uskarżać.

Delikatnie ugryzła go w górną wargę i uciekła do łazienki.

Po chwili dał się stamtąd słyszeć szum odkręconego do końca prysznica.

Na razie zrezygnowała z dalszych pytań, Blaise był jednak pewny, że na tym się to nie skończy.

Dominique zawsze starała się postawić na swoim i potrafiła znaleźć sposoby, nieraz bardzo pokrętne.

I rzeczywiście już wkrótce powróciła do tego tematu.

Wyszła z łazienki owinięta w kąpielowy ręcznik, udrapowany jak indonezyjski sarong, usiadła przed lustrem ozdobnej toaletki i przyglądając się uważnie swemu odbiciu, powiedziała: - Mimo wszystko chciałabym wiedzieć, do kogo tu przyjechała.

Nie ufam jej, zresztą tylko głupiec mógłby wierzyć Anglikom.

A my dwie wypowiedziałyśmy sobie walkę na śmierć i życie...

oznajmiłam jej to, kiedy byłam u niej w Londynie.

- Zdaje się, że to już do niej dotarło - rzekł Blaise.

Dominique sięgnęła po pudełeczko z kremem i zaczęła masować skórę szyi i podbródka.

- Ktoś mi mówił, że Rolf Hobart ostatnio kupił od niej jakiś szczególnie cenny brąz. Zdaje się, że chodziło o figurkę konia Tang.

- Naprawdę?

Chyba nie słyszałem.

- W znudzonym głosie Blaisea przebijał jawny brak zainteresowania.

- Gdybym powiedziała Hobart Enterprises, od razu okazałoby się, że słyszałeś!

- To zupełnie co innego.

To już biznes.

- A to, czym ja się zajmuję, to niby nie jest?

No więc dowiedziałam się, że ten Rolf Hobart teraz zaczął sporo kupować właśnie na rynku dzieł sztuki dalekowschodniej!

- Rzeczywiście?

- Blaise nie wyglądał na zainteresowanego.

Dominique przyjrzała mu się w lustrze.

Leżał na łóżku, oparty na wysoko podciągniętej poduszce, z rękami pod głową, uśmiechnięty i zadowolony, z miną leniwego kota, który właśnie najadł się do syta.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze i Blaise uśmiechnął się jeszcze uprzejmie.

Dominique z irytacją wzruszyła ramionami, co mogło oznaczać, że na razie postanowiła nie atakować wprost.

- Całe szczęście, że nie opieram się tylko na tym, co ty wiesz.

Przynajmniej w stosunku do moich klientów - powiedziała cierpko.

- Bo raczej marnie bym na tym wyszła.

- Chyba miałaś już wystarczająco wiele czasu, by zorientować się, że te dzieła sztuki w ogóle mnie nie interesują.

- Blaise wzruszył ramionami.

- A poza tym powinnaś też wiedzieć, że nie zamierzam występować w roli twojej piątej kolumny w waszej wojnie z Kate Despard.

Powierzono mi rolę obserwatora i w niej zamierzam się utrzymać, bez pomagania komukolwiek.

Dominique lekceważąco wydeła swe zmysłowe wargi.

- Nie potrzebuję pomocy, żeby wygrywać moje wojny.

- I dzięki Bogu!

- Ale skoro już masz być tym bezstronnym obserwatorem, to mam nadzieję, że tę bezstronność zachowasz, niezależnie od okoliczności.

- Wiesz przecież bardzo dobrze, że nie cierpię jakiegokolwiek angażowania się.

- Głos Blaisea wydawał się całkowicie obojętny.

- Więc po prostu nie angażuj się, i tyle - powiedziała Dominique, podejrzanie łagodnie.

- Przyglądaj się, i nic ponadto.

- Charles jednak chciał, żebym się temu przyglądał w jakimś celu.

Żeby mógł mieć pewność, że zostanie zrealizowana jego wola.

- No więc ci powiem, że ja na pewno nie pozwolę, żeby jego sentymentalne nastawienie miało mi przeszkodzić.

W czymkolwiek.

- Szafirowe oczy Dominique lśniły niebezpiecznie.

To było wyraźne ostrzeżenie.

- A poza tym chciałabym wiedzieć, co skłoniło papę do wyznaczenia akurat ciebie na wykonawcę testamentu?

W końcu jesteś moim mężem, więc i w tej sprawie powinieneś być lojalny przede wszystkim wobec swojej żony.

Tak, jak ty jesteś lojalna w stosunku do swego męża, pomyślał chłodno Blaise, ale oczywiście nie powiedział tego.

- I w ogóle nie rozumiem, dlaczego przyjąłeś tę bezsensowną rolę - kontynuowała Dominique.

- W końcu nie masz obowiązku przyjmowania tej funkcji.

Prawo nie zabrania ci zrzec się tego, prawda?

- Mógłbym tego nie przyjąć, ale to prowadziłoby do innych, wcale niemałych komplikacji. W tym konkretnym przypadku jest bardzo prawdopodobne, że nadzór nad wykonaniem testamentu powierzono by sądowi albo bankowi, co wcale nie ułatwiłoby twojej sytuacji.

- To znaczy, że przyjąłeś tę rolę, żeby mi ją ułatwić?

- To także, a poza tym Charles specjalnie prosił mnie o to.

- I tu wracamy do tego samego pytania - dlaczego poprosił akurat ciebie?

- Bo mi ufał - odparł Blaise.

- Ufał ci, że zrobisz - co?

Ufał mi, że będę miał oko na ciebie, powiedział sobie w duchu Blaise.

Wiedział, że nie chce, żebyś to ty przejmowała firmę Desparda, i dał mi do zrozumienia, że on również tego nie chce.

Tyle że przez lata nie udało mu się ułożyć stosunków z córką, teraz więc nie chciał jeszcze raz powtarzać tego samego błędu.

Nie chciał potraktować cię zbyt ostro i zbyt bezwzględnie...

i wybrał mnie, bym miała na wszystko oko i dopilnowała, aby także pasierbica nie została bez szans.

- Ufał mi, że będę bezstronny - powiedział.

W żrenicach Dominique zapaliły się płomyki.

- No, na szczęście w jednej przynajmniej dziedzinie dotąd nie zaobserwowałam u ciebie nadmiernie niepokojących objawów bezstronności...

w stosunku do mnie - powiedziała z kąpiącym i prowokującym uśmiechem.

Ale Blaise nic nie odpowiedział na tę zaczepkę.

Nawet nie drgnął, leżąc na tym swoim łóżku i patrząc na nią z taką miną, jakby wiedział wszystko.

Zawsze ją to rozwścieczało, ale też może właśnie to wciąż trzymało ją przy nim.

Tak to właśnie jest, powiedziała sobie Dominique.

To niebezpieczna, ale i niezmiernie podniecająca gra.

Spróbować doprowadzić go do tego, by dla niej zaprzeczył samemu sobie.

By sam zechciał zakwestionować to wszystko, co wpoila w niego wychowująca go babka, ta stara indiańska squaw, by odrzucił te wszystkie skrupuły, staromodne pojęcia prawości, uczciwości i rzetelności.

Jak dotąd Blaise okazywał się zbyt silny, by dać się doprowadzić dostatecznie blisko krawędzi, ale Dominique nigdy nie przestała próbować.

To było dla niej charakterystyczne - zawsze próbowała naginać wszystko aż do granic wytrzymałości, aż do pęknięcia, niezależnie od tego, czy miała do czynienia z przedmiotem, czy człowiekiem.

Potem można to było odrzucić, jak niepotrzebną zabawkę, ale zanim to nastąpiło, ponawiała nacisk raz za razem.

Teraz nadarzała się znakomita okazja do przeprowadzenia takiej próby wytrzymałości. Ta jego bezstronność, którą się tak chlubił!

Dominique ani na moment nie uwierzyła, że Charles poprosił Blaisea po to, by ten pilnował postępowania jego własnej, rodzonej córki; dla niej było więcej niż pewne, że osobą do pilnowania miała być ona, pasierbica.

Charles zawsze okazywał jej przywiązanie, nieraz publicznie oznajmiał, że jest z niej dumny, ale Dominique podejrzewała, że jej ojczym kochał ją nie za to, jaka była, ale raczej wbrew temu.

I właśnie dlatego ostatecznie nie zapisał jej firmy Desparda.

To było tak, jakby chciał jej powiedzieć: - Przepraszam cię, Dominique, zdaję sobie sprawę, że pracowałaś ciężko i ze znakomitym skutkiem, jestem pełen podziwu dla ciebie, ale też, niestety, pełen nieufności.

Kocham cię, ale nie jestem ślepy: widzę, jaka potrafisz być, a na pewno nie tego chciałyby dla mojej firmy.

Mogę ci ją dać tylko w przypadku, gdy zdecydujesz się grać naprawdę uczciwie.

Dlatego złożyłem tę sprawę w ręce Blaisea, ponieważ jemu mogę zaufać, że tego dopilnuje.

Jemu tak, powiedziała sobie Dominique, nie bez pewnego sarkazmu.

Blaiseowi rzeczywiście można było zaufać.

To śmieszne, ale nawet ona sama mu wierzyła -choć jej rodzony ojciec nauczył ją, by nie wierzyła nikomu z zasady, więcej, nauczył ją pogardy dla tych, którzy zaufali komukolwiek.

W tym świecie można było wierzyć tylko samemu sobie, ponieważ wszyscy inni mieli na względzie wyłącznie własne interesy.

Każdy dbał tylko o siebie, więc i ona potrafiła o siebie zadbać.

Dzieciństwo spędziła z ojczymem - który zdawał się jej ostatecznie pozwalać na wszystko, dopóki nie kolidowało to z jego wygodnym życiem -i z matką, która z kolei traktowała ją nadopiekuńczo, jak jakieś dziecko z bajki, zrzędzeniem losu cudownie zamienione w kołysce przez dobre wróżki.

Potem ta mała dziewczynka szybko dorosła i niemal równie szybko - jak się okazało -potrafiła zdobyć wszystko, co chciała, i to nawet bez szczególnego wysiłku.

Wszystko jej się wciąż udawało.

I tylko ten bezkompromisowy charakter Blaisea, opór mężczyzny, który nie lubił przegrywać, powściągliwy, ale wyraźny opór, z którym i teraz się spotykała, przyhamował na krótko jej stałe wspinanie się w górę.

Ale i to wkrótce się zmieni, to tylko pauza w jej drodze ku nowym szczytom.

To, że Charles Despard ostatecznie wywinął się z jej tak zręcznie zastawianych sieci, po prostu tylko jeszcze raz potwierdzało tę prawdę, że nie można być pewnym nikogo, i nikomu, kto należy do gatunku ludzkiego, nie należy ufać.

Miał rację jej ojciec, kiedy mówił, że ludzie są tylko pionkami w grze zwanej życiem.

Trzeba umieć odpowiednio przestawiać te pionki, manipulować nimi, wykorzystywać do własnych celów, ale nie wolno nigdy zapominać, że w określonej sytuacji nawet one mogą się okazać niebezpieczne.

Dlatego nie można ich za blisko dopuszczać do siebie.

Żadnemu z nich nie wolno pozwolić przeniknąć do twego wnętrza, bo prędzej czy później skończy się to tak, że rozsada cię od środka.

Dlatego zawsze bądź czujna; patrz, obserwuj, czekaj na sprzyjającą okazję i wykorzystuj, ale nigdy nie angażuj się emocjonalnie w to, co z nimi robisz.

Ludzie nie są tego warci.

To, że oczywistym skutkiem takiego wychowania musiało być wyhodowanie prawdziwego potwora, krańcowo samolubnego i niezdolnego do miłości monstrum, bez sumienia i bez jakichkolwiek uczuć wyższych, w najmniejszym nawet stopniu nie niepokoiło Dominique.

Gdyby nawet zdawała sobie z tego sprawę, i tak niewiele by ją to obeszło.

Dominique wiedziała tylko jedno - że chce panowania nad innymi.

Musi mieć tyle pieniędzy i tyle władzy, ile tylko można.

Musi osiągnąć szczyt, na którym już nikt nie będzie mógł jej dosięgnąć.

Tylko wtedy będzie się mogła czuć bezpieczna.

Kate i Jed Stone znów jechali stępą, zwolna zbliżając się do domu.

- Dopiero teraz zrozumiałam, co pan miał na myśli mówiąc, że Pan Bóg stworzył tę krainę dla własnej przyjemności - powiedziała w pewnej chwili Kate.

-Tu rzeczywiście wszystko jest wciąż takie czyste, takie... nieskalane.

Wciąż nie tknięte przez ludzi, przez cywilizację.

To aż dziwne - żadnych dymów, żadnego smogu, żadnego zatrucia powietrza.

Dookoła nich wszystko tonęło w bieli, jeśli nie liczyć wystających spod śniegu ciemnozielonych wierzchołków pobliskich świerków i sosen, a także widocznych dalej pasm wspinających się na zbocza zarośli, składających się głównie z młodej osiki.

- Zatrucia niestety już dotarły i do naszego stanu - odpowiedział Jed - a przynajmniej do Denver.

Kiedyś przyjeżdżało tam wielu ludzi chorujących na płuca.

Teraz już nie przyjeżdżają, zaczęli jeździć do Arizony.

Tam jest teraz lepsze powietrze.

Na szczęście tu u nas wciąż jeszcze jest z tym nie najgorzej.

Okazało się, że to bardzo miły człowiek, pomyślała Kate.

A te jego poglądy na świat, w tym także na zawód, który sobie wybrała, też w jakiś sposób mogłyby być zbawiennym wstrząsem dla niejednego.

Chyba i dla niej również.

Jed w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego niektórzy ludzie gotowi są płacić setki tysięcy dolarów za kawałek porcelany albo jakieś stare krzesło czy obraz.

Dobry koń to co innego.

Naprawdę dobry koń bywał tu wart tyle złota, ile sam ważył, zwłaszcza kiedy spadły takie śniegi jak teraz.

Nawet po wprowadzeniu helikopterów koń pozostawał absolutnie niezbędny do pracy przy bydle.

On sam zapłacił kiedyś trzysta dolarów za Hanka, którego zresztą sam ujeździł.

To nietrudno zrozumieć.

Ale płacić tak nieprawdopodobne pieniądze za porcelanowy talerz czy wazę, to było dla niego nie do pojęcia.

A Kate z pewnym zaskoczeniem i nawet zakłopotaniem stwierdziła, że oto znalazła się w defensywie, że nie za bardzo potrafi się przeciwstawić jego sądom i jego - zresztą pełnemu wyrozumiałości - całkowitemu odrzuceniu wybranej przez nią drogi życia.

Próbowała jakoś bronić tego swojego świata, próbowała wyjaśnić temu człowiekowi, czym właściwie jest kolekcjonowanie dzieł sztuki, ale bez większych rezultatów.

Jed odrzucał to wszystko, przy czym odrzucał inaczej niż Blaise Chandler, którego to po prostu nie interesowało, ale który jednak potrafił rozumieć ten świat starej sztuki i ludzi, którzy się tym pasjonują.

Jed Stone nawet nie próbował tego pojmować, widział w tym jedynie dzikie i bezsensowne współzawodnictwo ludzi, ogarniętych niezdrową żądzą posiadania, oraz zwyczajną chciwość.

Krótko mówiąc, uważał to za coś nadzwyczaj głupiego.

Może było to zbyt proste i zbyt kategoryczne, ale Kate nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest to też coś takiego, jak nagłe otwarcie okna na świeże i zimne powietrze, niesione wiatrem od Gór Skalistych.

Bo jednak w tym jej świecie żyło się stale w sztucznej, jakby cieplarnianej atmosferze, a jeśli człowiek nigdy nawet nie podejmował prób, by choć od czasu do czasu jakoś się z niej wyrwać, mogło się łatwo okazać, że już w ogóle nie umie poza nią oddychać.

Tak więc ten wyjazd mógł się dla niej okazać zbawienny także i dlatego, że mimochodem ukazał wszystko we właściwej perspektywie.

Teraz znacznie wyraźniej widziała powody tej swojej paniki, tej pośpiesznej jazdy do Nowego Jorku.

Reputacja firmy Desparda, oczywiście, ale znacznie ważniejsza była tu przecież jej własna reputacja.

Kate ze wstydem musiała przyznać, że przede wszystkim chodziło jednak o ratowanie jej własnej renomy eksperta.

Ale ta ledwie pączkująca renoma to przecież nie była ona.

To stanowiło zaledwie drobną część tego, czym była jako całość, jako osoba.

Jed dostrzegł to od razu, ponieważ miał bystre i przenikliwe oczy kowboja, żyjącego w takich jak tu warunkach.

Popatrzył na nią w ten sposób i od razu wszystko wokół niej nagle wróciło do rzeczywistych proporcji.

Ten świat był całością, na którą składała się niezliczona liczba oddzielnych, drobniejszych światów.

Ludzie, którzy mieszkali w tych małych, oddzielnych światach, skłonni byli błędnie uważać, że tylko ich światy się liczą.

A tymczasem -Kate nagle zdała sobie z tego sprawę - niemal tuż obok istniały inne światy, w których liczyło się całkiem co innego i hierarchia wartości wyglądała zupełnie inaczej, a te wszystkie konie Tang, porcelanowe wazy z epoki Ming, obrazy starych mistrzów i georgiańskie srebra stołowe znaczyły niewiele, ponieważ nie były niezbędne.

Jed Stone pochodził właśnie z takiego odmiennego, samowystarczalnego świata.

Jej największym problemem mogło się okazać to, że nigdy nie poznała - na dobrą sprawę nigdy nawet nie próbowała poznać - jakiegokolwiek innego świata poza tym, w którym się urodziła.

Całe jej życie związane było tylko z tym jednym - z unikatowymi, cennymi przedmiotami i starą sztuką.

Już w szkole najlepiej dawała sobie radę z przedmiotami artystycznymi.

Potem wyjechała do Courtauld, gdzie zarówno praca, którą wykonywała, jak i bardzo ograniczony krąg przyjaciół i znajomych, jeszcze bardziej przyczyniły się do jej zamknięcia się w światku sztuki.

Jeszcze rok spędziła we Florencji, która sama była bardziej dziełem sztuki niż po prostu miastem.

A potem znów trafiła do Despards...

I tak jakby w ogóle zapomniała, że istnieje jeszcze coś poza tym, jakaś inna rzeczywistość.

Teraz okazywało się, że inny człowiek może na to wszystko patrzeć po prostu z pełną tolerancji obojętnością.

Świat okazywał się nieporównanie większy, a granice wytyczone przez nią samą wokół tej części, którą sama wybrała, nagle jakby się skurczyły.

Stosunek Jeda do tego, co przez całe życie robiła, był raczej jednoznaczny.

No owszem, jako zajęcie dla kobiety mógł to ostatecznie zaakceptować.

Ale nie dla mężczyzny, w każdym razie nie dla prawdziwego mężczyzny.

Co to, to nie.

Tak, ta wyprawa okazywała się bardzo pouczająca, pod wieloma względami.

Kiedy się stało naprzeciwko prawdziwych gór, wszystko wyglądało inaczej.

To samo przez się sprowadzało człowieka do właściwych wymiarów.

A wtedy i wszystko inne odzyskiwało rzeczywiste proporcje.

Ona sama tak przywykła patrzeć na wszystko poprzez szkiełko jubilerskiej lupy - nawet kiedy zupełnie nie chodziło o ocenę dzieła sztuki - że w rezultacie już niczego nie umiała zobaczyć inaczej.

Przyglądając się najdrobniejszym szczegółom pojedynczych drzew w ogóle nie widziała lasu; w rezultacie gdyby spróbowała tam wjechać, chyba pierwsza wystająca gałąź zwaliłaby ją z siodła.

A tymczasem taki czy inny koń Tang nie zmieni przecież niczyjego życia, może poza jej własnym i jeszcze paru osób, których to mogło dotyczyć.

Kate nagle spostrzegła, że tak naprawdę żyła dotąd jak w monomanii... jakby w jakiejś nieustającej obsesji.

Przecież dosłownie wszystko w jej życiu związane było tylko z firmą Desparda, nawet to, że jadła, piła, spała, nie mówiąc już o myśleniu i najbardziej osobistych emocjach.

W rezultacie w zderzeniu z realnym życiem przegrywała niemal na starcie.

Dlaczego nie pamiętała o tym, co powtarzał jej ojciec?

Ojciec, który w odróżnieniu od niej zawsze miał skłonność do przebywania wśród innych ludzi, który bardzo lubił wszelkiego rodzaju spotkania i życie towarzyskie.

Kate swą powściągliwość i nieśmiałość odziedziczyła przede wszystkim po matce.

Ta lękała się wszelkich większych grup ludzkich i wręcz nie znosiła "zabawowych" zgromadzeń towarzyskich.

Kate była w tym do niej bardzo podobna, choć w ciągu ostatnich miesięcy musiała z obowiązku uczestniczyć w najróżniejszych przyjęciach i spotkaniach.

Wciąż jednak nieporównanie bardziej wolałaby nieformalne, prywatne spotkania w małym gronie, skromne kolacje z przyjaciółmi, przy których mogłaby się odprężyć i rozmawiać swobodnie i bez stresów.

Ale - i to przynajmniej potrafiła uczciwie przyznać - takich przyjaciół praktycznie nie miała.

Po porzuceniu jej przez ojca zamknęła się w sobie i mało komu w ogóle udawało się doprowadzić choćby do uchylenia tej zatrzaśniętej na głucho bramy.

Dwa razy zdawało się jej, że spotkała mężczyzn, którym mogłaby pozwolić wejść do tego prywatnego świata, ale w obu przypadkach okazało się to tylko wytworem jej wyobraźni.

Dziewczęta, z którymi poznała się w Courtauld, przyjaźniły się z nią, ale po zakończeniu nauki ich kontakty się pourywały.

Kate nie bez poczucia winy uświadomiła sobie, że nie przyłożyła się za bardzo, aby te dawne więzi podtrzymać.

Na dobrą sprawę tylko jeden Rollo miał naprawdę znaczącą pozycję w jej osobistym świecie, w jakiś sposób nawet wydawał się jej wielki.

Ale teraz, kiedy spoglądała na niego z nowej perspektywy, z wysokości tych gór - nagle i jego zaczęła widzieć we właściwych wymiarach.

To też był tylko śmiertelnik, zwyczajny człowiek, równie ułomny jak inni.

I wcale tak bardzo ich nie przerastał.

Coś musi być w tym powietrzu, pomyślała Kate, że nagle wszystko widzi się inaczej.

Może to sprawa klimatu, może wysokości.

W każdym razie powinna być wdzięczna losowi, że tu trafiła.

Bo coraz bardziej była przekonana, że to właśnie los z jakiegoś powodu postanowił się wtrącić w prowadzoną przez nią trudną grę z życiem.

Trzeba się więc było zastanowić, co ma w tej chwili w ręku i jak to teraz rozegrać. Blaise sam nie wiedział, co właściwie sprawiło, że nagle zmienił zdanie i zamiast lecieć do Johannesburga postanowił skorzystać z pierwszego samolotu, odlatującego do Denver.

Pamiętał tylko ten moment, kiedy zamknął drzwi za odjeżdżającą gdzieś w zwykłym pośpiechu Dominique i wrócił do sypialni.

Tam uderzył go szczególny zapach, ostra mieszanina fizjologicznej woni seksu i osobistych perfum Dominique.

Blaise nagle zdał sobie sprawę, że większość z tych dziesięciu godzin, kiedy byli razem, spędzili na prawie nieustannym tak zwanym kochaniu się, choć w ich przypadku z kochaniem się w sensie miłości nie miało to nic wspólnego.

Niespodziewane uświadomienie sobie tego faktu wstrząsnęło nim do głębi.

To był tylko seks: zwierzęcy i rutynowy jednocześnie.

Myśl, że to było tylko to i nic więcej, nagle wywołała w nim gniew, połączony z narastającym obrzydzeniem.

Nagle poczuł, że chce podejść do okien i otworzyć je szeroko, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

Tak, z pewnością potrzebował świeżego powietrza i otwartych przestrzeni.

Zadzwoił do działu transportu lotniczego swojej korporacji i dowiedział się, że z lotniska Newark odlatuje samolot, który może być w Denver około szóstej rano.

Zdażył jeszcze wejść pod prysznic, gdzie szorował się szczególnie intensywnie, jakby usiłując zmyć z siebie wszystkie zapachy i miazmaty Dominique, które mogłyby go nadal zatruwać, przynajmniej w jego wyobraźni.

Z każdego centymetra skóry ścierał to wszystko ostrą szczotką i mydłem, splukał parokrotnie i wytarł się bardziej dokładnie niż zwykle.

Potem przebrał się w dżinsy i flanelową koszulę, na którą narzucił lotniczą bluzę podobną do tych, których używali amerykańscy piloci podczas wojny wietnamskiej.

Tak ubrany miał wrażenie, że zmienia nie tylko swój strój, ale i osobowość.

Od czasu do czasu nachodziło go coś takiego i wtedy odczuwał to niesłychanie mocno - to była znana Amerykanom tęsknota, żeby ruszyć na Zachód.

Postanowił nie dzwonić do Agathy; jego babka lubiła niespodzianki, zwłaszcza przyjemne.

Samolot wylądował w Denver pięć po szóstej rano.

Stamtąd Blaise poleciał helikopterem, po drodze zamierzając jeszcze zatrzymać się w Aspen, żeby przy okazji zabrać najnowszą prasę i zamawiane codziennie produkty.

Trasa lotu prowadziła akurat nad stokami narciarskimi, pokrytymi dziewiczą bielą świeżo spadłego śniegu.

To ich widok sprawił, że Blaise podjął natychmiastową decyzję.

Warunki narciarskie były po prostu wspaniałe - tak znakomitego śniegu nie można było znaleźć nigdzie poza Górami Skalistymi, na których zatrzymywały się niosące opady wilgotne wiatry, wiejące od zachodniego wybrzeża.

Nawet z góry, z helikoptera, Blaise mógł widzieć, że trasy zjazdowe wyglądały wprost idealnie, świeżo spadły śnieg warstwą puchu pokrywał twardy, ubity podkład.

To trzeba było natychmiast wykorzystać, nie tracąc chwili.

- Co to się stało, że pan tak nagle przyjechał?

- zapytał Walt Vernon, właściciel sklepu ze sprzętem narciarskim, gdy Blaise pojawił się u niego z samego rana po narty i buty.

- A, tak jakoś mnie naszło - odpowiedział zgodnie z prawdą Blaise.

- Fakt, że człowiek musi trochę zeszytnieć w Nowym Jorku i tych innych wielkich miastach, gdzie pan stale przebywa.

- No właśnie, poczułem, że muszę się trochę poruszać.

- Trafił pan bardzo dobrze, bo śnieg tu walił już od paru tygodni.

Zdażył się uleżeć, tak że znajdzie pan doskonałe warunki praktycznie na każdej trasie.

- Pomyślałem sobie, że najciekawiej będzie na Aspen Mountain.

Walt spojrział na niego i uniósł lekko brwi.

- Jeżeli znów pan myśli o zjeżdżaniu poza trasą, to oczywiście pana sprawa.

Powiem tylko, że nikt z nas nie staje się młodszy i sprawniejszy...

Blaise też zdawał sobie z tego sprawę.

Ale może właśnie dlatego miał teraz nieprzewartą ochotę, by wypróbować swoje siły i sprawność inaczej niż tylko w zmaganiu się z ciałem kobiety.

Chciał odnaleźć to poczucie uskrzydlenia, szalonego pędu na granicy ryzyka, tej radości jazdy, która powodowała, że przestawało się myśleć o czymkolwiek innym.

Tylko narty pozwalały mu na to.

Chciał ponownie czuć na twarzy mroźne powietrze, słyszeć pod sobą przeciągły syk nart, mknących po nieskazitelnej bieli śniegu z prędkością blisko stu kilometrów na godzinę.

Już po kwadransie wysiadał z gondoli wyciągu, ale, jak się okazało, nie był pierwszy, mimo że było przecież bardzo wcześnie.

Paru narciarskich fanatyków już się tam zdażyło pojawić, każdy z nich na pewno z podobnym planem, żeby przez chwilę mieć te świeżo ośnieżone stoki tylko dla siebie.

Blaise zrobił kilka głębszych oddechów i od razu zachłysnął się tym ostrym powietrzem, które sprawiało, że krew zaczynała żywiej krążyć.

Rzeczywiście trochę się zastałem, pomyślał.

Powiniennem częściej decydować się na coś takiego.

Poprawił gogle, mocniej ścisnął plastikowe uchwyty kijków i ruszył w stronę niewielkiego uskoku, za którym stok opadał gwałtownie i niemal pionowo na znacznej swej części.

Dopiero daleko w dole nachylenie trochę się zmniejszyło, trasa szła trawersem po przeciwstoku, by w końcu szerokim łagodnym żlebem zakręcić w stronę porośniętego sosnowym lasem początku doliny.

- Jedzie pan?

- usłyszał za sobą czyjś głos.

Młoda dziewczyna, zgrabna niebieskooka blondynka, przyglądała mu się, najwyraźniej nie mogąc zrozumieć, czego taki stary facet jak on może szukać na kilkusetmetrowej prawie pionowej ścianie.

- Bardzo uprzejmie proszę - powiedział Blaise i usunął się z drogi.

Dziewczyna spojrzała nań jeszcze raz, wzruszyła ramionami i momentalnie ruszyła w dół, w skos stromego stoku, przez cały czas jadąc prawie wyłącznie na lewej nodze, podczas gdy uniesiona nieco wyżej prawa, prowadzona równolegle, niemal nie dotykała powierzchni śniegu, aż do momentu, gdy wykonała zwrot.

Dziewczyna najwyraźniej jeździła dobrze i szła ostro w dół, lekko i pewnie zarazem.

Podeksytowany Blaise zrobił głęboki wdech i ruszył w ślad za nią.

Rzeczywiście była dobra, idealnie składała się w trudnych skrętach, zostawiając za sobą elegancki wąski ślad, po którym gonił ją Blaise.

Już czuł, że i on zaczyna się rozprężyć; ciało słuchało go i wykonywało właściwe ruchy niemal automatycznie, podczas gdy jego świadomość - a i podświadomość z pewnością także - chłonęła całe piękno otoczenia, cudowną biel śniegu i sosnowy aromat górskiego powietrza.

Najwyraźniej nie zapomniał, jak należy jeździć na takich stromiznach, nogi i biodra nadal uginały się bardzo elastycznie i w sposób doskonale zsynchronizowany.

Dziewczyna wciąż była przed nim.

Blaise spostrzegł, że przy kolejnym skręcie przez moment spojrzała w jego stronę, po czym natychmiast pochyliła się niżej, wsadziła kijki pod pachy i przyjęła pozycję zjazdową.

To głupia smarkula, pomyślał Blaise.

Ale dziewczyna okazała się świetną narciarką, zjechała bez najmniejszego choćby zachwiania, zostawiając za sobą na stoku doskonale prostą krechę, którą zakończyła dopiero efektownym skrętem na samym dole, wzbijając fontannę śniegu i zatrzymując się niemal w miejscu.

Stała teraz, oparta na kijkach i przyglądała się jadącemu w ślad za nią mężczyźnie.

Odsunęła gogle na czoło i przyjrzała mu się z nie ukrywanym zainteresowaniem.

- No, pan jednak umie jeździć!

- powiedziała.

- Zresztą powinnam się była domyśleć, skoro wybrał się pan tu tak wcześnie.

Jest pan może zawodowcem?

- Jestem, ale akurat nie w tej dyscyplinie - odpowiedział Blaise.

- Chciałby pan, żebyśmy jeszcze raz razem zjechali?

- Niestety, nie starczy mi już czasu.

Dziewczyna znów wzruszyła ramionami.

- No cóż, mój pech.

Żałuję - powiedziała to najwyraźniej szczerze.

Potem odwróciła się i ruszyła w stronę dolnej stacji wyciągu.

O wpół do dziewiątej rano helikopter Blaisea był już w pobliżu rancza.

Powoli zaczął schodzić w dół w stronę widocznych już budynków, kierując się na położone za oranżerią lądowisko.

Jeszcze raz spojrzał na znajomy krajobraz i westchnął z satysfakcją.

Znów był w domu...

Bo tu chyba był jego dom.

Co prawda urodził się w Paryżu i wczesne lata dzieciństwa spędził we Francji, skąd babka zabrała go dopiero, kiedy miał osiem lat, po śmierci jego matki i ostatniego ojczyma.

Jego rodzony ojciec również był Francuzem.

Blaise jednak zawsze uważał się tylko za Amerykanina.

To także zawdzięczał wychowaniu, które odebrał od swojej babki.

Agatha Chandler starała się zatrzeć w nim wpływy starej Europy i nie tylko uczyniła z niego człowieka Zachodu, ale i wpoila weń poczucie dumy z przynależności do tego świata, którego miał być spadkobiercą.

W rezultacie jeszcze i teraz widok znajomej od dzieciństwa doliny uszczęśliwiał go i uspokajał jednocześnie.

Od czasu, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, wiele wody upłynęło w tych górskich rzekach, sam Blaise zjeździł świat wszerz i wzdłuż, miał też za sobą doświadczenia dwóch lat wojny w Wietnamie.

A jednak za każdym razem, kiedy wracał do Doliny Ryczącej Wody, przeżywał wciąż to samo uczucie zachwytu i nagłego, dojmującego szczęścia.

Także i teraz natychmiast zapomniał o tym, że był krańcowo niewyspany, że na dodatek mocno bolały go pachwiny i plecy.

Uważny obserwator mógłby nawet zauważyć, że zniżający się powoli helikopter przez chwilę leciał jakby mniej równo.

Po prostu Blaise trząśł się ze śmiechu niczym mały chłopiec na myśl o minie, jaką robi jego babka.

Nigdy go nie szturchała ani nie ciągnęła za ucho, co bardzo mu się u niej podobało.

Pamiętał dzień, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, zaraz po śmierci rodziców, kiedy miał ledwie dziewięć lat i zupełnie nie wiedział, co się z nim dalej stanie.

Patrzył do góry na stojącą przed nim starą kobietę o ostrych orlich rysach, obwieszoną jakimiś barbarzyńskimi ozdobami ze złota i pomyślał, że to chyba musi być jakaś królowa.

Dopiero potem dowiedział się, że była wtedy księżną.

- Czy wiesz, kim jestem?

- zapytała go niskim, dudniącym głosem.

- Bien sur.

Pani jest ma grand-mere Americaine.

- Ze mną masz mówić wyłącznie po angielsku.

Zrozumiałeś, mój chłopcze?

- Tak, babciu.

- I wiesz, że guzik mnie obchodzi, jak cię dotąd wychowywała matka i guzik mnie obchodzi, że twój ojciec był Francuzem.

Wszyscy Chandlerowie zawsze byli Amerykanami, rozumiesz?

- Stara kobieta ciężkim krokiem obeszła go dookoła i obejrzała ze wszystkich stron, z niesmakiem przyglądając się jego francuskiemu ubraniu i na francuski sposób ostrzyżonej czuprynie.

- Pierwszą rzeczą, jaką trzeba będzie zrobić, to przebrać cię i ostrzyć tak, żebyś był podobny do amerykańskiego chłopca.

Umiesz jeździć konno?

- Tak, babciu.

- Ale na pewno nie tak, jak się jeździ u nas na Zachodzie.

Na prawdziwym siodle, nie na czymś takim, co to wygląda jak skórzany talerzyk.

Ale my cię nauczymy, jak się jeździ naprawdę.

A wiesz chociaż, co to w ogóle jest ten nasz Dziki Zachód?

- Wiem.

To taki kraj, gdzie żyją kowboje i Indianie.

- Bardzo dobrze.

Minnie, która jest tu ze mną, jest właśnie rodowitą Indianką, widzisz?

- Babka wpatrywała się w niego czarnymi oczyma, które wydały się chłopcu niezwykle i nawet odrobinę dzikie.

- Ja także jestem Indianką.

Ty zresztą też - to znaczy, częściowo.

W jednej ósmej też jesteś Indianinem.

- Naprawdę?

- Oczy chłopca zrobiły się okrągłe ze zdziwienia i zachwytu.

- I z jakiego plemienia jesteś?

- Z plemienia Szoszonów.

Chłopiec jeszcze przez kilka dni po cichu powtarzał to sobie raz po raz.

To było po prostu wspaniałe!

Był w jednej ósmej Indianinem!

Z plemienia Szoszonów!

Do tej pory był przekonany - tak go nauczono - że jego amerykańska babka była dzikuską, od której należy się trzymać jak najdalej.

Pamiętał, jak zmieniał się brzmienie głosu matki, kiedy mówiła o Agacie Chandler.

Potem zdał sobie sprawę, że jego matka po prostu wstydziła się tego, że i w jej żyłach płynie krew indiańska.

Najwyraźniej nie chciała się przyznawać do tego dziedzictwa.

Chłopiec w żaden sposób nie mógł pojąć, dlaczego.

Zresztą na dobrą sprawę nigdy nie rozumiał swojej matki.

Natomiast babkę ostatecznie bardzo polubił.

Okazało się, że to rzeczywiście une grandę damę, prawdziwa księżna.

Potem już właściwie zawsze tak właśnie ją nazywał i tak o niej myślał.

W rezultacie już wkrótce dziecięce wspomnienia lat spędzonych we Francji zaczęły się zacierać, pogrzebane pod lawiną nowych wrażeń i wydarzeń.

Blaise rzadko widywał swoje przyrodnie rodzeństwo, Consuelę i Debretta, zresztą właściwie od początku nie lubił ich obojga.

Swą przyrodnią siostrę zawsze uważał za osobkę wyjątkowo interesowną, chytrą i złośliwą, a o jej bracie wiedział - jak wszyscy w rodzinie - że jest po prostu głupi.

Przykre było jedynie to, że babka Agatha wciąż była bardzo wyczulona na ich punkcie i jawnie cierpiała z ich powodu.

Bo jednak, jacykolwiek byli, byli z jej krwi, nawet jeśli pojawiali się u niej niezmiernie rzadko i wyłącznie wtedy, kiedy potrzebowali pieniędzy.

Blaise wiedział, że jego przyrodni brat Debrett skrzętnie ukrywał przed swoimi znajomymi fakt, że jego babka jest na wpół Indianką, bo to oznaczało, że i jego można by nazwać mieszzańcem.

Również i Consuela, jego przyrodnia siostra, ukrywała to w sposób wielce przebiegły, zwłaszcza że jej argentyński ojciec miał z kolei obsesję na temat swego jakoby czysto hiszpańskiego pochodzenia, choć domieszka krwi indiańskiej była w nim równie widoczna, jak w przypadku babki Agathy.

Tymczasem Blaise był dumny z tego, że jest również Indianinem.

Właśnie dzięki temu, jego zdaniem, mógł się uważać za prawdziwego syna Ameryki.

Należącego do tych, którzy - jak to w popularnej piosence ujął Will Rogers -kiedyś wyszli na brzeg, aby powitać przybijający do brzegu statek "Mayflower".

Tak więc i teraz, gdy zbliżał się do widocznego już tam w dole wielkiego, różowego budynku, odczuwał podobną dumę.

Różni ludzie mogli sobie mówić, co chcieli, o niedostosowaniu architektury do otoczenia i nawet o jaskrawym braku smaku - ale dla niego i tak był to jego dom.

Gdy helikopter obniżył lot, zbliżając się do zabudowań, Blaise niespodziewanie zobaczył pędzącego w stronę ogrodu konia w pełnym galopie, a na nim nisko pochyloną sylwetkę dziewczyny.

Co u diabła, mruknął pod nosem, ponieważ od razu rozpoznał swego ulubionego konia, zwanego Generałem.

Było to rasowe zwierzę o dość niestabilnym charakterze i z wyraźnie arystokratyczną skłonnością do nieżyczliwego traktowania obcych.

Czarny jak smoła, wielki, trudny do opanowania.

Blaise patrzył z góry, jak Generał pędzi prosto na ogrodzenie, oddzielające łąki od ogrodu wokół domu.

Skoczył przez płot bez najmniejszego wahania, a jego tylne nogi ledwie o centymetry minęły przeszkodę.

Koń wylądował bardzo pewnie, natomiast z głowy dosiadającej go dziewczyny spadł szerokoskrzydły kapelusz stetson, spod którego ukazała się burza kasztanowych włosów Kate Despard.

- No tak, wiedziałem!

- wykrzyknął Blaise.

- Tego się można było spodziewać.

Przechylił helikopter w głębokim skręcie.

Nie było obawy, że koń się spłoszy, ponieważ przy częstych, niemal codziennych lotach był już do tej maszyny przyzwyczajony.

Zadowolona ze skoku Kate ściągnęła lejce, koń zatrzymał się prawie w miejscu, nieomal stając dęba.

Można było odnieść wrażenie, że i jemu to wszystko sprawiło przyjemność.

Kate przysłoniła oczy dłonią, spoglądając w górę w stronę zbliżającego się helikoptera. Maszyna zeszła jeszcze niżej, tak nisko, że Kate nie mogła nie rozpoznać, kto jest w środku.

Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką.

Blaise położył maszynę w odwrotny skręt i skierował się na lądowisko, które było po drugiej stronie domu, zaraz za oranżerią.

Nim zdążył wylądować i wejść do upalnego, cieplarnianego wnętrza, Kate już tam była.

Jednak nie powiedziała księżnej o przybyciu wnuka, nie chcąc mu psuć niespodzianki.

Blaise docenił to i skinął głową w niemym podziękowaniu.

Potem podbiegł do Agathy, która czekała na niego z otwartymi ramionami.

- Chłopcze, jaka miła niespodzianka!

Uwielbiam, kiedy mnie tak zaskakujesz!

- Tak jakoś zatęskniłem nagle za szeroką otwartą przestrzenią i pomyślałem, że przyłączę się do was.

Twarz starej kobiety rozjaśniła się, kiedy patrzyła na swego wnuka.

- Chciałabym też gdzieś tam mieć podobne miejsce, do którego mogłabym tak wracać jak do domu - powiedziała Kate.

- To naprawdę wspaniałe, mimo woli musi się zazdrościć.

- To znaczy, że spodobał się pani ten weekend?

- spytał Blaise.

- Spodobał, to o wiele za mało powiedziane.

- Zdaje się, że i Generał, to znaczy pani koń, też miał niezłą zabawę?

- To ja powiedziałam Kate, żeby go wzięła ze stajni i spróbowała, co potrafi - powiedziała Agatha.

- Oczywiście nie narażałabym jej, gdyby Jed nie powiedział mi, że dziewczyna jeździ wystarczająco dobrze.

Bo najpierw próbowała na Pułkowniku, ale chyba okazał się za powolny i za spokojny.

- Pułkownik może się wydawać trochę za spokojny - odpowiedział na to Blaise - za to jest na pewno bezpieczny.

No, ale pani jednak jeździ bardzo dobrze.

Kate uśmiechnęła się.

- Jako nastolatka miałam stale rozdarte serce, bo nie mogłam się zdecydować, co wolę: antyki czy jazdę konną i skoki.

Jeszcze i teraz jeżdżę, kiedy tylko mogę.

Tyle że obecnie to się już zdarza nieczęsto, niestety.

Księżna Agatha spojrzała na nią, a potem na Blaisea.

- Powiedziałam Kate, że zawsze może do nas przyjechać, kiedykolwiek będzie w Ameryce.

Mam nadzieję, że zacznie tu bywać regularnie, kiedy już zajmie się aukcjami w nowojorskim oddziale Despards.

Blaise zauważył, że Kate spuściła wzrok i nic nie odpowiedziała.

- No a ty...

dobrze się złożyło, że zdążyłeś akurat na śniadanie - mówiła dalej Agatha.

- Co oznacza, że panna Despard musiała dziś chyba wstać skoro świt.
- Blaise spojrzął na Kate.
- No cóż, kto chciałby marnować czas w łóżku, kiedy poranek jest tak piękny?
- Kate podniosła się z krzesła.
- Może jednak na wszelki wypadek pójde się umyć i przebrać.

Blaise i księżna patrzyli w ślad za oddalającą się sylwetką.
 Obcisłe dżinsy jeszcze podkreślały długość jej nóg i szczupłość talii.
 Jej krok był lekki i sprężysty, jak u lekkoatletki, a kasztanowe włosy, związane w koński ogon, przy każdym ruchu kołysały się w górę i w dół.

- Ta dziewczyna jest taka naturalna - westchnęła Agatha.
- Jakby była stąd.

Jed powiedział o niej, że na koniu siedzi tak, jakby się na nim urodziła.
 To dlatego pozwoliłam jej spróbować jazdy na Generale, kiedy mnie poprosiła.

- Ona cię poprosiła?
- Powiedziała, że Generał patrzył na nią z wyrzutem, kiedy wzięła tego innego konia, tego spokojnego.
- Mój Generał nigdy nie patrzy z wyrzutem, a co najwyżej z łaskawym pobłażaniem - oświadczył Blaise.
- Dobrze, niech ci będzie.

To w końcu twój koń, to ty za niego zapłaciłeś.
 Ale nie masz nic przeciwko temu, że ta dziewczyna na nim jeździ?

- Oczywiście, że nie mam - zakładając, że ona zdaje sobie sprawę, na jakim koniu jeździ.
- O, Jed powiedział jej wszystko, co trzeba.

A poza tym najpierw specjalnie pojechał z nią razem, żeby się przyjrzeć.
 Wrócił i oświadczył, że na pewno da sobie radę.
 Jego zdaniem Generał od razu zorientował się, że ona nie pozwoli na żadne wybryki.
 Blaise roześmiał się.

- Ja też zaczynam to u niej dostrzegać.

Agatha zachichotała.

- Jest bystra i ma cięty język.

A ty...

- Spojrzała na wnuka i zapytała z udaną naiwnością: - Chyba nie ma wielkiego sensu pytać cię, czy na przykład zjawileś się tu głównie po to, żeby uciec od tamtej?
- Nie, nie ma sensu - odparł Blaise bardzo uprzejmie.
- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

Stara kobieta uśmiechnęła się.

- Ja też tak właśnie przypuszczałam.
- A potem dodała jeszcze, najwyraźniej niezwykle zadowolona: - No to, wobec tego, jak długo możesz tu zostać?
- Tak długo, jak tylko mi się uda.
- Zostań jak najdłużej.

Dla mnie i tak to będzie za krótko.

Jazda konna bardzo zaostrza apetyt - powiedziała z uśmiechem Kate, gdy Blaise uniósł brwi na widok wziętej przez nią imponującej dokładki do śniadania, składającego się z bekonu z jajkami, pieczonych kielbasek, naleśników i sporego siekanego kotleta.

- Bardzo dobrze, powinnaś dużo jeść - oświadczyła Agatha.
- Na tych twoich długich kościach na razie jest prawie sama skóra.
- Taką mam przemianę materii.
- Kate westchnęła.
- To sprawia, że nic z tego, co jem, nie może się przekształcić w sadelko.
- Spojrzała na swój płaski brzuszek i uśmiechnęła się.
- Ale dziś rano zważyłam się w łazience i, proszę sobie wyobrazić, przybyło mi prawie półtora kilograma!
- A trzeba byłoby jeszcze najmniej trzy razy tyle, żeby to w ogóle było na tobie widoczne
- bezlitośnie powiedziała księżna.

Blaise pośpieszył z odsieczą speszonej Kate.

- Jak pani spędzała tu czas?
- Głównie jeździłam konno.

A poza tym usiłowałam znaleźć kogoś, kto zagrałby ze mną w tenisa.

- O, Blaise chętnie z tobą zagra - powiedziała Agatha.
- To przecież przede wszystkim dla niego kazałam tu zbudować korty.

Kate niepewnie spojrzała na Blaisea, z którego nieruchomej twarzy nadal nie można się było zorientować, co tak naprawdę myśli.

Podejrzewała, że rola anioła stróża, który miałby czuwać nad dziewczynką o imieniu Kate Despard, niekoniecznie była tym, o czym marzył.

Ale Blaise powiedział bez wahania: - Z wielką przyjemnością zagram z panią seta.

Przyda się, żeby zlikwidować zwiotczenie mięśni od nadmiernie siedzącego trybu życia.

- Ja nie widzę, żeby pan miał jakiegokolwiek...
- zaczęła Kate, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć.

Niemal w tej samej chwili zamilkła i zaczerwieniła się jak piwonia, a Blaise powiedział łagodnie.

- Miałem nadzieję, że pani po prostu tego nie zauważy.
- Przestań się z nią droczyć - powiedziała księżna.
- Mój wnuk wcale nie prowadzi siedzącego trybu życia.

Zawsze dbał o to, by utrzymywać dobrą formę, w ten czy inny sposób.

O ile wiem, w mieście regularnie grasz w squasha, przynajmniej dwa razy na tydzień?

- dodała, zwracając się już bezpośrednio do wnuka.
- Gram, jeżeli moje zajęcia mi na to pozwalają.

Kiedy już w strojach tenisowych szli w stronę specjalnej hali z krytym kortem, Kate przyjrzała się swemu partnerowi i pomyślała, że chyba jednak udaje mu się wystarczająco często znaleźć trochę czasu na sport.

Pod białą tenisową koszulką, ze znaczkiem zielonego krokodyla Lacoste'a na wysokości lewego sutka, rysowały się znakomicie rozbudowane mięśnie szerokiej klatki piersiowej.

Stosunkowo wąskie biodra i bardzo długie nogi dopełniały całości wysportowanej sylwetki.

Od razu rzucała się też w oczy znakomita koordynacja ruchów.

I rzeczywiście, na korcie Blaise poruszał się miękko jak kot, długimi, płynnymi krokami, wychwytyjąc piłki z niezwykłą łatwością.

Bardzo ciężko będzie go minąć, przy tym zasięgu ramion, pomyślała Kate.

No, ale trzeba będzie próbować.

Blaise uderzał piłkę bardzo mocno, Kate zauważyła to już po pierwszych próbnym wymianach.

Ona natomiast - początkowo wyłącznie defensywnie - tylko odbijała kierowane w jej stronę piłki.

Później jednak, w miarę jak zaczynała się rozgrzewać, sama spróbowała trudniejszych uderzeń.

Parę podciętych returnów, spadających tuż za siatką, sprawiło Blaiseowi sporo kłopotów.

Za każdym razem, dobiegając do siatki, musiał niemal nurkować, by dosięgnąć piłki, która po takim skrócie odbijała się bardzo nisko.

A więc naprawdę potrafi grać, pomyślał zaskoczony Blaise.

Najpierw te jej trudne uderzenia trochę go tylko dziwiły, ale potem zaczął naprawdę je doceniać.

Próbował strzelać mocnymi piłkami, kierowanymi wprost pod jej nogi, ale niemal za każdym razem piłka wracała na jego połowę, plasowana, a jednak wystarczająco mocna, by sprawić mu trudności.

Ta dziewczyna była szybko nogą.

Po którejś z kolei z najwyższym trudem odbitej piłce Blaise pomyślał sarkastycznie, że to w końcu dla niej nic trudnego, skoro nogi stanowią chyba dwie trzecie całej długości jej ciała.

Wymiana piłek stawała się coraz bardziej zacięta, oboje już byli mocno rozgrzani, a ich wilgotne od potu bawełniane koszulki zaczęły się kleić do ciała.

I wtedy - ku swemu wielkiemu zaskoczeniu - Blaise dostrzegł, że Kate ma również piersi.

Niezbyt wielkie, ale jednak dość wysokie i bardzo jędrne, nie podrygujące nadmiernie nawet podczas intensywnej gry.

W pewnym momencie, kiedy podniosła rękę, by otrzeć spocone czoło, te jej piersi przez chwilę stały się wyraźnie widoczne.

Wręcz prowokująco przebijały przez wilgotną tkaninę, a zaskoczony Blaise niespodziewanie poczuł, że na ten widok reaguje także jego ciało, i to bardzo gwałtownie.

O kurczę blade, pomyślał, jak to w ogóle możliwe?

Tego się po sobie nie spodziewał, a już na pewno nie po tak krótkim czasie, zważywszy na fakt, że Dominique dopiero co wyeksploatowała go naprawdę do ostatecznych granic. A poza tym Kate Despard nigdy dotąd nie wydawała mu się szczególnie kuszącym uosobieniem kobiecości.

Po zmianie stron serwowała Kate i zaaplikowała mu trzy kolejne asy tak, że nawet nie zdążył mrugnąć.

Tego już było za wiele.

Jeżeli dotąd Blaise stosował w grze jakąś taryfę ulgową ze względu na to, że była kobietą, to teraz postanowił, że już nie będzie taki uprzejmy.

Postanowił dać jej szkołę, pogonić ją aż do granic jej umiejętności i fizycznej wytrzymałości.

Ale okazało się, że wynik gry wciąż się ważył, bez wyraźniejszej przewagi którejkolwiek ze stron, a Kate - choć już czasami zaczynała chwiać się na nogach - nadal walczyła zaciekle, z uporem angielskiego teriera.

Ta dziewczyna miała charakter!

Dopiero po blisko godzinie, kiedy nie udało się jej wykorzystać trzech piłek meczowych, czwarty meczbol już po prostu zmarnowała z braku siły.

A potem już była tak wyczerpana, że ostatniego gema przegrała po kilku kolejnych błędach serwisowych, nie mając już siły na nic.

Blaise więc ostatecznie wygrał i dopiero kiedy rozległy się oklaski, zorientował się, że podczas tej ich zaciętej gry na widowni zebrali się kilkanaście osób ze służby i personelu pomocniczego.

Wśród widzów była też księżna Agatha, która biła brawo ze szczególną satysfakcją.

- Znakomicie grałaś, Kate!

- zawołała.

- Mogłaś z nim nawet wygrać!

- To prawda!

- powiedział Blaise, podając dziewczynie dłoń ponad siatką na zakończenie tej tak zaciętej gry.

- Gra pani w tenisa równie dobrze, jak jeździ konno.

Kate zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Dziękuję!

- powiedziała.

- No to teraz zobaczmy jeszcze, jak pani pływa.

Mamy tu wcale niezły basen.

Kate rozpoczęła od razu od potrójnego salta z wyższej trampoliny.

Weszła w wodę gładko jak nóż, prawie bez rozbryzgu.

Czarny jednoczęściowy kostium, który dostała od Agathy, przylegał do niej idealnie, niczym druga skóra.

Kłopot z tą dziewczyną jest tylko taki, pomyślał sobie Blaise, że obie te jej skóry wciąż wydają się o wiele za obcisłe, są po prostu za słabo wypełnione.

Kate była chuda, nawet jak na swój wzrost.

Ale gdyby tak dołożyć parę kilogramów w kilku miejscach, mogłoby to wyglądać zupełnie ciekawie.

Choć jednak Dominique wydaje się tu poza konkurencją.

Blaise stanął na krawędzi basenu i skoczył w ślad za Kate, która prula wodę niczym łódź motorowa.

W rezultacie kolację Kate zjadła z jeszcze większym apetytem, pobudzonym przez tak niecodzienny wysiłek w ciągu całego dnia.

Nawet obecność Blaisea Chandlera, na którego reagowała dotąd dosyć nerwowo, teraz już jej tak nie peszyła.

Ten mężczyzna, który grał z nią w tenisa, a potem pływał w basenie, wydawał się całkowicie odmieniony.

Zupełnie nie przypominał tego chłodnego i nieżyczliwego prawnika, z którym stała się tak niedawno w Londynie.

Nigdy nie przypuszczała, że będzie mogła rozmawiać z nim tak swobodnie i sympatycznie.

Z pewnością to, że potrafiła się przed nim wykazać znaczną sprawnością fizyczną i odpowiednimi umiejętnościami, nie było tu bez znaczenia.

Zwłaszcza że - z czego bardzo jasno zdawała sobie sprawę, szczególnie ostatnio - w konkurencji atrakcyjności seksualnej była zdecydowanie bez szans.

I Blaise Chandler i jego żona należeli - w powszechnej opinii - do grona tych, których amerykańscy dziennikarze zwykli byli określać mianem najpiękniejszych.

Zdaniem Kate, przynajmniej w przypadku Blaisea była to szczerza prawda.

Kiedy zobaczyła go w obcisłych spodenkach kąpielowych, mimo woli wstrzymała oddech i przełknęła ślinę.

Pierwszy raz w życiu poczuła, że ma trudności z odwróceniem wzroku od mężczyzny, od tego, co tak wyraźnie przebijało spod cienkiej czarnej tkaniny jego elastycznych spodenek.

Od początku wiedziała, że Blaise Chandler jest doskonale zbudowany, ale dotąd nie przypuszczała, że jest aż tak piękny.

Najistotniejszą cechą dotychczasowych sukcesów Kate w stosunkach z mężczyznami było to, że w ogóle ich nie miała.

Odrzucenie przez ojca, i to akurat w wieku, kiedy najłatwiej ją było zranić, sprawiło, że rodząca się dopiero dziewczęca duma przekształciła się w całości w zapiekłą chęć zemsty, a jej i tak niewielka pewność siebie została zredukowana do zera.

Skoro jej ojciec zostawił ją dla innej kobiety, to przyczyna mogła być tylko jedna.

Tak, jak to dosyć bezwzględnie określiła jej babka z Yorkshire: ona, Kate, po prostu nie była warta tego, żeby o nią zabiegać.

To się zresztą natychmiast potwierdziło - przynajmniej w jej przekonaniu - kiedy po raz pierwszy zobaczyła zdjęcie nowej pani Despard.

Jakże olśniewająco piękna była ta kobieta!

To wtedy Kate nabrała przekonania, że mężczyźni chcą tylko pięknych kobiet.

Takich, które są seksualnie pociągające, które potrafią ich zafascynować i podniecić.

W rezultacie więc to, że jej ojciec porzucił swą pospolitą i nieładną córkę dla bardzo pięknej kobiety, musiało w Kate zaowocować wciąż narastającą i pełną kompleksów nienawiścią.

Przede wszystkim do siebie samej, ale także i do mężczyzn.

Ta postawa była w niej zawsze jaskrawo widoczna i skutecznie odpychała tych nielicznych, których mogłaby zainteresować choćby jej osobowość, jeżeli już nie jej wygląd zewnętrzny.

Potem jeszcze, na pierwszym roku w Courtauld, jakiś mężczyzna wydawał się nią zainteresowany i nawet próbował się z nią spotykać przez jakiś czas, ale porzucił ją natychmiast i bez słowa, kiedy dowiedział się, że nie utrzymuje żadnych stosunków ze swym sławnym i bogatym ojcem.

To był ostateczny cios dla jej ego, ranę leczyła długo i w największej tajemnicy przed wszystkimi.

Później jeszcze, podczas rocznego pobytu we Włoszech, poznała pewnego studenta kończącego swój ostatni rok, stypendystę fundacji Fulbrighta, młodego człowieka, który wydawał się równie nieciekawy i nieatrakcyjny towarzysko i równie osamotniony jak ona. Chyba to osamotnienie popchnęło ich ku sobie, oboje spodziewali się znaleźć w tym jakieś ukojenie.

Ale on był tak niezręczny i niedoświadczony, a ona na tyle spięta i skrępowana - wciąż przecież była dziewicą - że to wszystko okazało się całkowitą katastrofą.

W rezultacie później unikali siebie wzajemnie.

I to był ostatni jak dotąd kontakt Kate z płcią przeciwną jako taką.

Odtąd jej wszelkie relacje z mężczyznami ograniczały się już tylko do całkowicie bezosobowych stosunków zawodowych albo służbowych.

No cóż, pomyślała z westchnieniem, Rollo miał rację jak zwykle, kiedy mówił, że w stosunku do swego ojca to ona, córka, zachowywała się jak zazdrosna żona.

Zresztą nie tylko z własnej winy.

To wszystko - Kate dopiero teraz uświadamiała to sobie tak boleśnie i tak wyraźnie - brało się także i z tego, że i jej ojciec w jakiś sposób traktował ją nieraz bardziej jak żonę niż jak córkę.

To jej opowiadał zawsze, jak mu przeszedł dzień, to jej mówił o swoich marzeniach i nadziejach, to jej najchętniej zwierzał się z kłopotów.

Tak naprawdę to z nią, a nie z żoną dzielił się tym wszystkim.

Owszem, Susan prowadziła mu dom, dbała o to, żeby miał czyste koszule, cieszyła się, kiedy powiodło mu się w interesach, ale już nie za bardzo wnikała w istotę tego, czego dokonał.

I tu znów Kate niejako zastępowała swą matkę.

Tak więc to wszystko, co się potem stało, to nie była wyłącznie jej wina; teraz widziała to bardzo wyraźnie, choć oczywiście było już o wiele za późno.

Nic dziwnego, że ojciec czuł się tak winny wobec niej: w końcu naprawdę traktował ją wtedy jak żonę, oczywiście nie w sensie seksualnym, ale na pewno w każdym innym.

Takie były ich rzeczywiste relacje.

Kiedy to sobie po raz pierwszy uświadomiła, już jako dorosła osoba, odczuła to jak uderzenie gromu.

Jeszcze i teraz przeżywała to bardzo mocno.

Mechanicznie kroїła jedzenie na talerzu na kawałeczki, podnosiła je do ust, przeżuwała i połykała, nie czując nawet smaku tego, co jadła.

Och tato, tato, powtarzała sobie.

Tak wiele czasu musiało minąć, zanim zaczęłam rozumieć cokolwiek, a głównie to, że wszystko było znacznie bardziej skomplikowane, niż mi się wtedy wydawało.

Sięgnęła po kieliszek z winem i zauważyła, że jej dłoń wciąż jeszcze drży z emocji. Wypiła do dna cały kielich ciężkiego burgunda i z ulgą poczuła, jak przyjemne ciepło rozchodzi się po jej całym ciele, a chyba także i duszy.

Miała wrażenie, że teraz widzi to wszystko wyjątkowo jasno i wyraźnie.

Siedziała nieruchomo i wpatrywała się w ten obraz, tak żywy, a istniejący przecież już tylko w jej pamięci.

Później, kiedy już pili kawę, Blaise zaproponował jej likier lub koniak.

Kate przecząco potrząsnęła głową.

I tak czuła się podekscytowana, kręciło jej się w głowie od tych wszystkich dramatycznych przemyśleń.

Nagle uświadomiła sobie, że księżna coś do niej mówi.

- ...jutro do Chandlersville.

Co o tym myślisz?

- Chandlersville?

- powtórzyła Kate.

- To miejsce, w którym rozpoczęła się historia Chandler Corporation - wyjaśnił Blaise.

- Tam właśnie znajdowała się ta pierwsza kopalnia, w której Czarny Jack Chandler natrafił na złoża miedzi.

W okresie gwałtownej prosperity wokół tej kopalni wyrosło całe miasteczko, które później również umarło razem z wyeksploatowaną kopalnią.

- O!

- powiedziała Kate z nagłym zainteresowaniem.

- I to umarłe miasteczko wciąż tam jest?

- Wiedziałam, że to cię zacieka.

- Księżna roześmiała się.

- Nawet bardzo.

- Babciu, ale to jednak cały dzień jazdy, tam i z powrotem - powiedział Blaise, najwyraźniej niezbyt zachwycony tym pomysłem.

- To może być za ciężkie dla ciebie.

- Nie opowiadaj głupstw!

W końcu mamy tam jechać pociągiem, a nie konno.

Będiesz koło mnie, gdybym przypadkiem czegoś potrzebowała.

A poza tym mam wielką ochotę zobaczyć to miejsce jeszcze raz.

Kto wie, może w ogóle ostatni?

Kate ze wzruszeniem słuchała tych słów starej kobiety; natomiast Blaise nie zamierzał dać się na to nabrać.

- Niech babcia nie opowiada takich chwytających za serce kawałków.

Ma tak być, bo babcia tak chce - w to uwierzę już znacznie pręde.

Stara kobieta odchyliła głowę do tyłu i śmiała się tak, że kolczyki w jej uszach zaczęły tańczyć, rzucając migotliwe, złote odbłyski.

- Bardzo mi się to podoba, że przynajmniej ty nigdy nie dajesz się zwieść.

I bardzo dobrze!

No ale ty, Kate, chyba naprawdę chętnie obejrzałabyś takie umarłe miasteczko z Dzikiego Zachodu?

- Jeszcze jak chętnie!

- zawołała Kate.

- Wobec tego pojedziemy tam jutro rano.

Blaise podniósł się z miejsca.

- W tej sytuacji lepiej od razu wydam odpowiednie polecenia.

Ten nasz stary parowozik trzeba rozpalić dużo wcześniej, jeżeli ma być pod parą jutro z samego rana.

- Jak to - parowozik?

- zapytała zafascynowana Kate.

- Taka prawdziwa lokomotywa na parę?

Blaise odwrócił się i spojrzał na nią.

- Miasteczko Chandlersville powstało w górach na wysokości przeszło trzech tysięcy metrów, a jedynym sposobem zapewnienia jakiejś komunikacji z resztą świata mogła być tylko specjalna linia kolejowa.

Wobec czego mój pradziadek taką linię wybudował.

Kate słuchała tego zachwycona i rozpromieniona.

Gdzieś w głębi duszy nie była zupełnie pewna, czy robi dobrze, jawnie opowiadając się za podróżą, która dla starszej pani mogła być naprawdę męcząca.

Ale z drugiej strony, powiedziała sobie, w końcu księżna Agatha ma przecież przy sobie swojego ukochanego wnuka, który z całą pewnością dopilnuje, by jej się nic złego nie stało.

- To będzie bardzo powolna jazda - powiedział Blaise, wysuwając już chyba ostatni argument w tej i tak przegranej batalii.

- Maszyna jest już stara i mocno wyeksploatowana, droga do góry naprawdę stroma, a powietrze jeszcze rzadsze niż tu u nas.

Jednak Agatha Chandler ani myślała dać się zniechęcić.

- Za to jazda będzie bardzo wygodna - oświadczyła z pewnością siebie.

-W końcu ta salonka, którą pojedziemy, była na swoje czasy szczytem luksusu.

Mój tata sam pilnował jej wyposażenia i wykończenia; na przykład kanapy są pokryte francuskim aksamitem!

Ten aksamit może się trochę zestarzał, ale widoki na pewno nie!

Blaise poddał się ostatecznie.

- Wobec tego będziemy musieli wstać wcześniej i wyruszyć przynajmniej o ósmej.

O tej porze roku dni są już krótkie.

W przeciwieństwie do poprzedniej nocy, tym razem Kate miała trudności z zaśnięciem w tym swoim ogromnym łożu z baldachimem.

W głowie wciąż kłębiły się różne myśli, dramatyczne wspomnienia z przeszłości mieszały się z wydarzeniami ostatnich dni, z tym, co się stało i z tym, co miało się stać już jutro.

Ku swemu zaskoczeniu nadal czuła się naładowana jakąś niezwykłą energią, choć przecież powietrze było tu rzeczywiście rzadkie, co zmuszało płuca do zwielokrotnionej pracy.

Ale to było trochę tak, jakby oddychała powietrznym szampanem, a jego ożywcze bąbelki wciąż pozostawały w jej krwiobiegu.

Musiała się jakoś tego pozbyć, wyrzucić to z siebie.

Najlepszym sposobem wydawało się skorzystanie z pływalni, tam z pewnością można się będzie intensywnie zmęczyć.

W dodatku o tak późnej porze nie będzie tam nikogo, więc będzie mogła się wykapać nago.

Na to właśnie miała chętkę i myślała o tym z dziwną przyjemnością.

Postanowiła nie zastanawiać się za długo, wyskoczyła z łóżka, narzuciła na siebie wyjęty z szafy gruby pikowany szlafrok i wsunęła stopy w lamowane futerkiem, ozdobne kapcie.

Za drzwiami okazało się, że światła w całym domu pozostawiano włączone, choć przyciemnione do połowy, na wypadek, gdyby księżna nagle poczuła się gorzej i wymagała natychmiastowej pomocy od kogoś z domowników.

Tak więc Kate, bez potrzeby zapalania i gaszenia za sobą światel, mogła bezszelestnie zejść aż na parter.

Po drodze była oranżeria, w której o tej porze robiło się jeszcze bardziej gorąco.

Jednak już za kolejnymi drzwiami musiało być na pewno chłodniej, jako że tam właśnie mieścił się basen.

I rzeczywiście, po ich otwarciu Kate poczuła przyjemny, chłodniejszy powiew.

Niestety niemal w tej samej chwili usłyszała charakterystyczny plusk.

Ktoś właśnie skoczył do wody - najwyraźniej mając ten sam pomysł, co i ona.

Prawdziwy pech.

No cóż, miejmy nadzieję, że to będzie kobieta, mruknęła pod nosem Kate.

Bezszelestnie zeszła po schodach i ostrożnie wyjrzała spoza rozłożystych liści jakichś ozdobnych krzewów, rosnących w ogromnych donicach.

Ktoś ostrym sprintem przemierzał kolejną długość basenu; sądząc z szybkości i siły ruchów, musiał to być mężczyzna.

Po chwili dłoń pływaka dotknęła przeciwległej ściany basenu, płynący zrobił nawrót pod wodą i znów, niczym foka, płynąc głównie pod powierzchnią, zostawiał za sobą spienioną smugę uderzanej stopami wody.

Po dwóch kolejnych nawrotach przyśpieszył jeszcze, jak gdyby finiszował na zawodach.

Potem podpłynął do bocznej ściany basenu, chwycił za krawędź marmurowego obramowania i już po chwili siedział na brzegu, z nogami wyciągniętymi nad wodą.

Z niewielkiej odległości Kate bez trudu rozpoznała nocnego pływaka - to oczywiście był Blaise Chandler.

Instynktownie cofnęła się, potrącając liście, za którymi była ukryta.

Blaise musiał dostrzec to kątem oka, ponieważ odwrócił twarz w jej stronę, a znieruchomiała Kate mogła się już tylko modlić, by nie przyszedł mu do głowy pomysł sprawdzania, co też się tam poruszyło.

Tylko tego brakowało, żeby teraz przyłapał ją na podglądaniu.

Wyraźnie czuła, że jej policzki płoną żywym ogniem, a rozdygotane serce wali jak parowy młot.

Na szczęście Blaise najwyraźniej przestał się już tym interesować.

Uniósł obie dłonie do góry i przeciągnął nimi od czoła do tyłu, wyciskając wodę z przemoczonych włosów.

Ale Kate nie skorzystała z okazji i nie uciekła.

Przeciwnie, pozostała na miejscu i patrzyła jak urzeczona.

Bo Blaise Chandler był nagi.

Wprawdzie i ona pod szlafrokiem była naga, ale to jednak było zupełnie co innego.

Kropelki wody spływały po jego smukłym śniadym ciele, łącząc się w drobniutkie strumyczki.

Kate nagle uświadomiła sobie, że dłonie ma zaciśnięte aż do bólu, a jej serce bije tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Nogi uginały się pod nią, czuła niezwykłą suchość w ustach, a jednocześnie całe jej ciało nagle pokryło się warstewką wilgoci.

Niezdolna do najmniejszego ruchu wciąż stała za tą osłaniającą ją krzaczastą gałęzią, która pozwalała jej widzieć, nie będąc widzianą.

Patrzyła na Blaisea, który wciąż siedział na brzegu basenu, uderzając stopami w powierzchnię wody.

Najwyraźniej zastanawiał się nad czymś, bo na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

Trwało to jednak tylko chwilę.

Blaise podniósł się i już po chwili stał na brzegu basenu w całej okazałości.

Znow podniósł dłonie do góry, żeby wycisnąć resztki wody z włosów, a znieruchomiła Kate jeszcze szerzej otworzyła oczy i na moment przestała oddychać.

Teraz już wiedziała na pewno, że Blaise Chandler przypomina jej renesansowe posągi nagich mężczyzn, które pamiętała ze studiów we Florencji.

Donatello - i to pewnie niejednokrotnie - musiał mieć za modela kogoś właśnie takiego jak Blaise.

Kędzierzawe włosy jego podbrzusza wydawały się równie czarne jak te na jego głowie; przysłaniały jednak niewiele, więc nie można było mieć wątpliwości, że Blaise Chandler był - jak to zwykły określać niektóre kobiety - mężczyzną znakomicie wyposażonym.

Kate dopiero teraz tak naprawdę zrozumiała, co te kobiety mogły mieć na myśli.

Jej własna wiedza na ten temat ograniczała się do tego, czego mogła się dowiedzieć w latach studenckich podczas zajęć z malarstwa i rzeźby.

Na żywo miała okazję oglądać nagiego mężczyznę tylko dwa razy w życiu, a nawet i wtedy starała się nie przyglądać za bardzo, by nie zdradzić się ze swą kompromitującą ignorancją.

Natomiast teraz jej oczy nawet bez jej woli kierowały się wyłącznie tam.

A w dodatku, kiedy tak przyglądała się temu, co tym razem widziała bardzo dokładnie, nagle poczuła zdradziecką gorącą wilgoć we wnętrzu własnego łona, rozkoszne ciepło

idące gdzieś od nagle pobudzonego podbrzusza i wolno rozplývające się na wszystkie strony.

I znów poczuła ten sam elektryczny wstrząs, którego już kiedyś doznała, kiedy po raz pierwszy miała okazję spojrzeć w te niezwykle, czarne jak smoła oczy.

Teraz miała wrażenie, że całe jej ciało za chwilę zacznie się żarzyć od środka; zatraciła zdolność widzenia czegokolwiek poza nim, nie czuła leciutkiego zapachu chloru, nie słyszała plusku wody ani cichego brzęczenia aparatury klimatyzacyjnej.

Stała tam pewnie nie dłużej niż kilkanaście sekund, ale wydało się to jej całą wiecznością.

A już z całą pewnością na zawsze zapamiętała ten obraz, który utrwalił się na jej siatkówce.

Tego już nie będzie mogła zapomnieć.

Tymczasem Blaise odwrócił się i podszedł do stojącego nad basenem plastikowego krzesła.

Wziął leżący tam ręcznik i zaczął się wycierać.

On naprawdę wygląda jak niezwykle zwierzę, pomyślała Kate.

Blaise rzeczywiście przypominał jakiegoś brązowo umaszczonego drapieżnika z dżungli, dzikiego kota o sprężystych mięśniach i nieprawdopodobnej koordynacji ruchów.

Ale poza tym, co mogła próbować jakoś nazwać, ten widok budził w niej jeszcze zupełnie nowe dla niej odczucia, których nawet nie usiłowała dokładniej określać.

Nie mając żadnych doświadczeń, nie zdawała sobie sprawy, że to po prostu głód seksualny.

Dotychczas najdrobniejsze nawet oznaki zainteresowania ze strony jakiegokolwiek mężczyzny skłaniały ją do pośpiesznej ucieczki.

A teraz nagle okazywało się, że z własnej woli ukrywa się za maskującymi ją gałęziami i, cała rozpalona, z jakąś gwałtowną tęsknotą podgląda tego tak pięknego i silnego mężczyznę.

A przecież już od chwili, kiedy w ogóle po raz pierwszy zobaczyła Blaisea Chandlera, doskonale wiedziała, że jest on absolutnie poza zasięgiem kogoś takiego jak ona.

Tacy mężczyźni nie zwracają uwagi na niepozorne kobiety, w ogóle ich nie widzą.

Tym intensywniej przyglądała się mu teraz, wiedząc na pewno, że to jedyny i ostatni raz, że nigdy już nie będzie miała okazji zobaczyć nago równie pięknego mężczyzny.

Patrzyła, jak osusza się ręcznikiem, mocno trąc ciało włochatą tkaniną frotte, jak kolejno stawia stopy na brzegu plastikowego krzeselka, by wytrzeć kostki, podbicie i palce.

Za każdym razem pochylenie do przodu sprawiało, że tym wyraźniej uwidoczniły się wspaniałe mięśnie pleców i szczupłych, zaokrąglonych pośladków.

Nie odwróciła oczu, kiedy po wytarciu pleców i brzucha Blaise zaczął wycierać także podbrzusze i genitalia, choć w pewnej chwili przyłapała się na tym, że mimo woli przygryza wargi, przyglądając się tej tak intymnej czynności.

Na zakończenie Blaise jeszcze raz przetarł włosy niemal do sucha, wrzucił ręcznik do stojącego w pobliżu specjalnego wiklinowego kosza, a następnie sięgnął po wiszący na poręczy krzesła płaszcz kąpielowy z grubej, kędzierzawionej bawełny, sięgający mu do połowy smagłych, długich ud.

Potem, pogwizdując z cicha, zniknął w przejściu za ustawionymi na marmurowym podeście krzewami w wielkich donicach, takimi samymi jak te, za którymi ukrywała się Kate.

Po chwili dał się słyszeć odgłos zamykanych drzwi.

Kate pozostała sama.

Teraz oddychała jeszcze szybciej i jeszcze bardziej gwałtownie, policzki jej płonęły, a całe ciało drżało niczym przysłowiowa osika.

Co więcej, nadal czuła to dziwne, wilgotne ciepło w okolicach podbrzusza, a jej serce wciąż waliło jak oszalałe.

Miała wrażenie, że czuje jego bicie dosłownie wszędzie, w nabrzmiątych nagle wargach, w czubkach wszystkich palców i - co peszyło ją najbardziej -właśnie w głębi podbrzusza. Instynktownie dotknęła tego miejsca i ku swemu zaskoczeniu poczuła śluzowatą wilgoć. Mięśnie jej ud wyraźnie dygotały, po całym ciele rozpląwała się fala nagłego ciepła... W końcu Kate nie zdołała się utrzymać na uginających się nogach i prawie bezwładnie osunęła się na marmurową podłogę.

Nie potrafiła zrozumieć, co się z nią działo.

Nigdy dotąd nie czuła czegoś podobnego.

Całe jej ciało zdawało się płonąć, palące pragnienia mieszały się z niemal fizycznym bólem, choć przede wszystkim była to jakaś niewytłumaczalna tęsknota, coś nieokreślonego, co jednak sprawiało, że rozpaczliwie chciało się jej płakać.

Jej oddech wciąż był płytki i urywany, skóra pokryta warstewką potu, który czuła nawet na wewnętrznej stronie dłoni.

A kiedy przymknęła oczy, wciąż widziała to wspaniałe nagie męskie ciało, a zwłaszcza to miejsce, gdzie zbiegały się jego strzeliste, umięśnione uda.

Z palącą, dojmującą jasnością uświadamiała sobie, że go pragnie, że chce poczuć dotyk tego ciała, chce, żeby jego mocne ręce dotykały jej piersi, by usta całowały usta, by wniknął w nią jego język, a potem i on sam...

W głowie czuła niesłychany zamęt, co w dziwaczny sposób łączyło się z poczuciem szczególnie jasnej, wyostrojonej świadomości.

Nigdy dotąd nie sądziła, że może sama siebie odczuwać aż tak bardzo biologicznie, wręcz fizycznie.

Jej ciało zaczęło reagować na bodźce już całkowicie poza kontrolą rozumu, który daremnie próbował nadażyć za tym, co się w niej działo.

Wiedziała już, że pragnie Blaisea Chandlera, że wszystko w niej tęskni do niego, beznadziejnie i rozpaczliwie.

W pewnej chwili uświadomiła sobie, że ciągle leży na tej twardej marmurowej podłodze, pojękując bezwiednie coraz głośniejsze.

To, że nagle usłyszała samą siebie, pozwoliło jej oprzytomnieć.

Musiała sobie zdać sprawę, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Pośpiesznie zerwała się na równe nogi i, wciąż ledwie przytomna, skoczyła do basenu jakby w nadziei, że fizyczny szok nagłego zetknięcia z zimną wodą jakoś doprowadzi ją do stanu normalności.

Woda jednak okazała się cieplejsza, niż przypuszczała, nie ochłodziła jej wystarczająco, nie potrafiła też od razu jej uspokoić.

Kate zaczęła więc płynąć bardzo szybko, jak gdyby próbowała uciec przed samą sobą tak, jak się ucieka przed rekinem.

Nie zmniejszając tempa przepłynęła wiele długości basenu, póki zmęczone mięśnie nie zaczęły w końcu protestować.

Wtedy dopiero wygramoliła się na brzeg, fizycznie krańcowo już wyczerpana, ale emocjonalnie wciąż naładowana niemal do granic wytrzymałości.

Przez moment nawet obawiała się, że za chwilę zacznie krzyczeć.

W końcu zebrała resztki sił i podniosła się na równe nogi.

Szła z powrotem do swej sypialni krokiem znużonej kobiety, a kiedy wreszcie już dojrzała na miejsce, zamknęła za sobą drzwi i rzuciła się na łóżko.

Nadal jednak nie mogła zasnąć.

Leżała z szeroko otwartymi oczami, ale tak naprawdę nie widziała nic, poza sylwetką nagiego mężczyzny.

Dopiero tuż przed świtem udało się jej zdrzemnąć.

Miała jednak wrażenie, że spała bardzo krótko, ponieważ ten sam mężczyzna przyśnił się jej erotycznie, tak wyraziście i realnie, że obudziła się z jego imieniem na ustach.

O siódmej rano Nula przyniosła jej śniadanie, ale Kate nie była w stanie nic przełknąć.

Miała wrażenie, że wszystko w niej wciąż kotłuje się i burzy; czuła irracjonalny lęk na myśl o tym, że za chwilę będzie musiała mu spojrzeć w oczy.

Czuła, że przygniata ją straszna tajemnica, którą teraz będzie dźwigać aż do końca swoich dni.

Bała się tego, a jednocześnie marzyła o tym, by nigdzie nie jechać, pozostać na ranczu, gdzie mogłaby spędzić cały dzień tylko w jego towarzystwie.

Sen, z którego zbudziła się nad ranem, wciąż wydawał się tak żywy, tak wyrazisty...

Gdy w końcu zeszła na dół, zobaczyła, że jest ubrany dokładnie tak jak w tym jej śnie - w dżinsy, flanelową koszulę i gruby sweter.

Na szczęście nie patrzył w jej stronę i rozmawiał ze swą babką.

Kiedy jednak odwrócił się, by się z nią przywitać, dziewczyna zaczerwieniła się tak gwałtownie, że - nie mając odwagi patrzeć mu w oczy - odeszła pośpiesznie, by nalać sobie kubek kawy, na którą wcale nie miała ochoty.

Pijąc, przez cały czas miała wrażenie, że wszyscy muszą słyszeć, jak jej zęby przy każdym łyku cichutko podzwaniają o utrzymaną w drżącej dłoni filiżankę.

- Dobrze się czujesz, Kate?

- spytała Agatha, która zawsze widziała wszystko.

- Nie najlepiej.

Źle spałam w nocy...

- odpowiedziała dość niepewnie, próbując jakoś zapanować nad zdradliwymi emocjami.

- No, na szczęście czeka nas ładnych kilka godzin jazdy pociągiem, więc będziesz się mogła zdrzemnąć, jeżeli zechcesz.

- Nie warto tracić tak pięknych widoków, spać będę mogła i później - powiedziała Kate.

Uśmiechnęła się nawet, starając się mówić lekko i swobodnie.

- W porządku, rzeczywiście możesz to odłożyć na drogę powrotną - zgodziła się starsza pani.

- Czy Nula dała ci tę skórzaną kurtkę, którą wybrałam dla ciebie?

- Tak, dziękuję.

Chyba jest bardzo dobra na góry, bo podbita bardzo ciepłym kożuszkim.

- Właśnie o to przede wszystkim chodzi, bo tam bywa sakramencko zimno, nawet już o tej porze roku.

Sama Agatha była opatulona niczym stary Eskimos w coś, co wyglądało na wyjątkowo długie - prawie aż do ziemi - futro ze srebrnych lisów.

Do tego miała podobnie wielkie futrzane boty i grubą futrzaną mufkę, która ogrzewała jej wiecznie marznące, zreumatyzowane dłonie.

Minnie, jak zawsze czekająca na podorędziu, również była opatulona w futra.

- W porządku, możemy ruszać.

Wygodny mikroautobusik dowiózł ich do miejsca, gdzie już oczekiwał ten specjalny, prywatny pociąg.

Niewielki parowóz miał ogromny komin, opatrzony od góry staroświeckim siatkowym filtrem, z którego na razie wydobywały się tylko syczące obłoczki pary.

Cały pociąg pomalowany był jednolicie na ten sam kolor miedzi, stanowiący niejako znak firmowy Chandler Corporation.

Poza parowozem i węglarką, pociąg składał się jeszcze z dwóch wagonów, luksusowej salonki oraz wagonu służbowego z kuchnią i pomieszczeniami dla personelu.

Nawet Kate na ten widok przestała myśleć o dręczących ją niepokojach i zachwycona pobiegła do pociągu.

- Ta dziewczyna potrafi się cieszyć najprostszymi rzeczami - powiedziała Agatha, patrząc na rozpromienioną twarz Kate.

- Nie uważasz, że to trochę naiwne.

- Blaise lekko wzruszył ramionami.

-W końcu ma dwadzieścia sześć lat, a nie szesnaście.

Ale radość Kate najwyraźniej była zaraźliwa, potrafiła przyciągać.

W każdym razie już po niedługiej chwili Blaise znalazł się w salonce tuż obok niej, przyglądając się, jak klęczy na sprężynowym siedzeniu i z szeroko otwartymi jak u dziecka oczami wpatruje się w przepływający za oknami krajobraz.

Blaise co jakiś czas informował ją o nazwach poszczególnych, pojawiających się przed nimi górskich szczytów.

- To naprawdę zupełnie jak w kinie!

- wykrzyknęła rozradowana Kate.

- Tyle razy jako dziecko marzyłam, żeby jechać taką salonką.

Właśnie tak to wyglądało w filmach...

- Jej dłoń pieścotliwie dotknęła miękkich aksamitnych obić w kolorze głębokiej czerwieni i staroświeckich, zdobnych frędzlami zasłon.

- Niewykluczone, że w tych filmach widziałas właśnie tę naszą salonkę - powiedziała księżna.

- Różne wytwórnie filmowe już kilka razy wynajmowały ją u nas w ciągu ostatnich paru lat.

Kate zwróciła się do Blaisea: - Czy może moglibyśmy przejść do tyłu pociągu, na tę otwartą platformę?

U nas w Anglii nie ma już takich pociągów.

- Żaden problem - odpowiedział Blaise.

Zaprowadził ją na platformę, a potem jeszcze oprowadził po reszcie pociągu, niemal przez cały czas odpowiadając na nie kończące się pytania.

Ale ta dziewczyna najwyraźniej miała szczególną umiejętność zarażania innych swoim entuzjazmem i niekłamana radością, którą sprawiało jej wszystko, co widziała podczas tej podróży.

W każdym razie kiedy już wreszcie zbliżali się do miasteczka, Blaise - ku swemu zaskoczeniu - poczuł, że wręcz żałuje, iż ta podróż minęła im tak szybko.

Pociąg wjeżdżał już na małą stacyjkę.

Na niewielkim budynku, w którym mieścił się także telegraf i biuro zawiadowcy stacji, można było przeczytać wypisane na dużej tablicy najbardziej podstawowe informacje: Chandlersville, 11 403 stóp n.p.m., 462 mieszkańców.

Kate oczywiście przyjrzała się wszystkiemu, w szczególności starej stacji i imponującemu zbiornikowi na wodę dla parowozów.

Zdażyła też jeszcze odwiedzić maszynistę, który pozwolił jej wejść do swej kabiny i objaśnił, jak działają poszczególne urządzenia.

Tymczasem służba zakończyła wyładowywanie starszej pani wraz z jej bagażem.

Na peronie oczekiwał już na nią kustosz, czuwający nad chronionymi zasobami miasteczka, wysoki, chudy mężczyzna z dużym kudłatym psem raczej nieokreślonej rasy.

- To jest nasz gość z Anglii, panna Kate Despard - powiedziała księżna.

- Joe, bądź tak miły, i oprowadź ją po co ciekawszych miejscach.

A potem przyprowadź ją do nas do hotelu na lunch, tak gdzieś koło południa.

Kustosz Joe okazał się wysoce kompetentnym przewodnikiem, a przy tym, podobnie jak Kate, prawdziwym miłośnikiem Dzikiego Zachodu.

Potrafił odpowiedzieć na każde jej pytanie, pokazując najatrakcyjniejsze punkty Chandlersville: główną ulicę z dawną stacją wymiany koni, kilka sklepów, typowych dla takich miasteczek, z obowiązkowym zakładem pogrzebowym na czele, zakład fryzjerski z białymi krzesłami, oznaczony wielkim słupem wymalowanym w białe i czerwone pasy, wciąż jeszcze kompletnie wyposażony we wszelkie potrzebne utensylia -łącznie z miseczkami do golenia, na których wciąż wypisane były nazwiska znaczniejszych mieszkańców miasteczka, choć ci zmarli już bardzo dawno temu.

Kate odwiedziła też dawne miejscowe więzienie, a nawet weszła do jednej z cel i poprosiła, żeby ją - na chwilę - zamknęto na klucz, głównie po to, żeby mogła wiedzieć, jakie to robi wrażenie.

Obejrzała też hotel z okrągłą pluszową kanapą w recepcji i ogromnymi wazonami z krzewami aspidistra, weszła do jednego z pokoi na piętrze i nawet zobaczyła dom publiczny, nad którym zachował się ozdobny szyld Dom uciech Madame Rose.

Na zakończenie wypła jeszcze drinka w oryginalnym barze z czasów Dzikiego Zachodu, gdzie siedzący na wysokich stołkach goście mogli opierać nogi o specjalnie przykręconą mosiężną rurkę na wysięgnikach, biegnącą na odpowiedniej wysokości wzdłuż całego baru.

Nad barem wisiał bardzo stosowny obraz, przedstawiający nagą piękność o kształtach raczej rubensowskich, spoczywającą na rozłożystej chmurce i przysłoniętą - w wiadomych punktach - czymś w rodzaju przejrzystej gazy.

Potem - ponieważ było już południe - przeszli do hotelowej jadalni, gdzie stoliki wciąż były przykryte tradycyjnymi obrusami w czerwono-białą kratę.

Z okazji ich przyjazdu do Chandlersville zastawiono dla nich specjalny stół, a nawet rozpalono stary pękaty piec na węgiel i drewno.

Posiłki składające się na lunch przyniesiono z kuchni w pociągu.

Razem z niezbędnymi garnkami i patelniami zapakowano je do wielkich koszy i dostarczono do hotelu.

Tu Minnie podgrzała wszystko na staroświeckiej płycie kuchennej.

W skład posiłku wchodziły obowiązkowe steki, z jajkami i fasolką; na deser był oryginalny miejscowy placek z jabłkami, zawsze podawany przyjeżdżającym do miasteczka turystom.

Po lunchu księżna Agatha pod opieką Minnie usadowiła się w ustawionym obok pieca fotelu na krótką drzemkę.

Natomiast Kate i Blaise udali się - w towarzystwie kustosza - na wycieczkę do starej kopalni.

Kopalnia okazała się zaskakująco dobrze oświetlona.

- Musimy przede wszystkim dbać o bezpieczeństwo zwiedzających - kustosz powiedział to bardzo poważnie, choć nie bez kpiącego błysku w oku.

- A już zwłaszcza w kraju takim jak nasz, gdzie wprost kocha się wytaczanie procesów sądowych.

- Obszerne wejście prowadziło do wydrążonej w skale długiej galerii; jej środkiem biegły wąskie szyny górniczej kolejki, po których w dawnych czasach jechały wagoniki z urobkiem.

Ta główna galeria rozgałęziała się następnie - niczym jakaś olbrzymia ośmiornica - na mniejsze korytarze, wdzierające się w samo serce góry.

Sklepienia korytarzy podparte były drewnianymi stemplami.

- Niektóre z nich są oryginalne, pozostały jeszcze z tamtych czasów - objaśnił kustosz.

- Oczywiście stale kontrolujemy ich stan.

W letnich miesiącach mamy tu tysiące zwiedzających.

- Skąd bierzecie energię elektryczną?

- zapytała zaciekawiona Kate.

- Nie widziałam słupów linii energetycznych przed kopalnią.

- Mamy własny generator.

Latem pracuje tu dwanaście osób, tylko na zimę pozostają sam.

- Nie czuje się pan osamotniony?

- Nie.

Prawdę mówiąc nawet lubię trochę samotności po tym letnim rozgardiaszu.

Powietrze wydawało się czyste i chłodne; widocznie własna prądnica pozwalała również na uruchamianie klimatyzacji.

Kate z wyrazem uprzejmej uwagi słuchała opowiadania kustosza o dziejach kopalni, dawnych technikach i wydobywanych rudach, ale na dobrą sprawę docierał do niej już tylko dźwięk słów, a nie ich sens.

Nie potrafiła się skupić, bo tak naprawdę znów mogła myśleć tylko o stojącym obok mężczyźnie.

Kate zdawała sobie sprawę, że jej oczywiste skrępowanie w obecności Blaisea zostało zauważone, choć - tak przynajmniej sądziła - bez wiedzy o prawdziwych przyczynach takiego stanu rzeczy.

Kątem oka niejednokrotnie dostrzegała, że Blaise patrzy na nią, i wtedy czuła się jeszcze bardziej niezręcznie, język raz po raz odmawiał jej posłuszeństwa, zwłaszcza kiedy próbowała udawać, że tak naprawdę nic się z nią nie dzieje.

Była pewna, że to musiało go drażnić, i w końcu trudno byłoby się temu dziwić.

A przecież po jego przybyciu początkowo wszystko między nimi układało się tak dobrze; Kate miała nawet nadzieję, że pamięć ich pierwszego starcia w Londynie zostanie ostatecznie wymazana.

A teraz te nadzieje obracały się wniwecz, tylko dlatego, że nagle zachciało się jej pływania o północy.

Kate nadal szła w głąb jednego z korytarzy kopalni, tak zamysłona, że nawet nie zauważyła, iż wydrążony w skale tunel zmienił kierunek, przez co i ona sama musiała zniknąć z oczu Blaisea i kustosza.

Nie zwróciła też uwagi na to, że po drodze było coraz mniej palących się lamp, a potem, kiedy skalny korytarz zaczął schodzić w dół, nie paliła się już żadna.

Kate przymknęła oczy i widziała tylko jedno - tego miedzianoskórego Apolla w jego wspaniałej nagości.

Znów poczuła tę samą ogarniającą ją gorączkę, którą przeżywała już poprzedniej nocy.

Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy nagle potknęła się o jakiś kamień i starając się utrzymać równowagę, dotknęła na ścianie czegoś włochatego, miękkiego i piszczącego.

Wtedy zdała sobie sprawę, że zdażyła już wyjść ze strefy jako tako oświetlonej i jest ledwie o parę kroków od obszaru kompletnej ciemności.

Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że to piszczące stworzenie, którego dotknęła, to musiał być nietoperz; wiedziała, że żyją one we wszelkich pieczarach, że lubią ciemności i zasypiają na zimę.

Ale ta cała wiedza nie pomogła jej wiele, kiedy wręcz fizycznie wyobraziła sobie to, czego dotknęła.

Od dzieciństwa brzydziła się nietoperzami i choć wiedziała, że są nieszkodliwe, nie potrafiła opanować przemożnego wstrętu, który łatwo mógł przerodzić się w lęk i wręcz panikę, gdy te błoniaste i włochate stwory pojawiały się za blisko niej.

Tak więc pisnęła przeraźliwie ze strachu i obrzydzenia, co miało tylko taki skutek, że z ciemności odpowiedział jej cały chór pisków zaniepokojonych nietoperzy.

Wtedy Kate obróciła się na pięcie, zasłoniła głowę i z zamkniętymi oczami, na oślep zaczęła uciekać.

W rezultacie już po chwili z całą siłą uderzyła się o jakiś kamień, krzyknęła z bólu, ale nadal próbowała biec.

Kiedy po chwili ponownie zderzyła się z czymś twardym, była już tak przerażona, że zaczęła wręcz panicznie wrzeszczeć i zamilkła dopiero wtedy, gdy usłyszała głos Blaisea: - Kate!

Niech się pani uspokoi!

Jeszcze trochę, a pobudzi pani nawet umarłych!

Poczuła jego dłonie na swych ramionach i gwałtownie przytuliła się do niego, kryjąc twarz w bezpiecznej miękkości jego flanelowej koszuli.

Zdołała tylko wyjąkać: - To nietoperze!

Tam były...

nietoperze.

- Pani musiała zejść w dół którymś z nie używanych korytarzy - powiedział zaniepokojony kustosz.

- Obawiam się, że zwłaszcza zimą te miejsca są naturalnym schronieniem dla nietoperzy.

- Już wszystko w porządku - powiedział uspokajająco Blaise i mocniej objął ramieniem wciąż jeszcze drżące plecy Kate.

- To ją nagle zaskoczyło, i stąd to wszystko.

- Nie lubię nietoperzy...

- powiedziała Kate ledwie słyszalnym, drżącym głosem.

- No, w zasadzie nikt za nimi nie przepada.

Poza paroma przyrodnikami, co najwyżej.

Serce Kate wciąż biło bardzo mocno, najprawdopodobniej zarówno z racji dopiero co przeżytego lęku, jak i dlatego, że oto przecież on trzymał ją w ramionach.

Jego ciemna skóra pachniała czymś ostrym i odświeżającym, o wyczuwalnym zapachu piżma, a szeroka klatka piersiowa wydawała się twarda jak ściana.

Choć sama była dość wysoka, jej głowa sięgała ledwie jego ramienia, na którym mogła się teraz oprzeć.

W rezultacie jej usta znalazły się ledwie o kilka centymetrów od jego szyi, strzelistej niczym antyczna kolumna.

Kate wyraźnie czuła ciepło płynące od jego skóry, mogła wdychać jej zapach i przez chwilę miała nieprzepartą ochotę, by przytulić do niej usta, a potem...

Jednak na samą myśl o tym, że coś takiego mogłoby się zdarzyć, wyprostowała się gwałtownie i odskoczyła od niego na bezpieczną odległość.

- Prze...

przepraszam!

- usłyszała własny głos i zdała sobie sprawę, że wciąż jeszcze jąka się z emocji.

- To było bardzo niemądre.

Nie powinnam była odchodzić bez uprzedzenia.

- Musiała się pani bardzo nad czymś zamyślić.

- Głos Blaisea wydał się jej suchy i nieżyczliwy.

- Jeszcze raz przepraszam.

- Kate czuła się upokorzona, miała świadomość, że zachowała się głupio, i w dodatku nadal nie potrafiła zapanować nad swoimi emocjami.

Patrzyła w ziemię, jak dziecko, które wie, że czeka je kara.

Usłyszała jednak tylko zniecierpliwione westchnienie Blaisea, a potem jego głos: - Nikt nie zamierza stawiać pani za to do kąta, jeżeli o to pani chodzi.

- Może panna Despard chciałaby już wrócić na powierzchnię?

- zasugerował kustosz.

Kate zgodziła się na tę propozycję z tak wyraźną ulgą, że Blaise mimo woli przyjrzał się jej jeszcze uważniej, ale nic już nie powiedział.

Natomiast księżna Agatha nawet nie chciała słuchać usprawiedliwień zawstydzonej dziewczyny.

- Bardzo dobrze cię rozumiem - powiedziała.

- Sama nie znoszę tego latającego obrzydlistwa.

Zawsze się bałam, że mi się któryś wkręci we włosy.

- Przecież one mają własny radar czy raczej sonar - zaprotestował Blaise.

- Mało mnie obchodzi, co one mają - odpaliła Agatha.

- I tak zawsze się ich boję, i to mi wystarczy.

I przypuszczam, że Kate czuje dokładnie to samo.

Na zegarze była już prawie trzecia.

Należało więc wracać, jako że o tej porze roku zmierzch zapadał już bardzo wcześnie.

Kate większość drogi powrotnej przesiedziała w milczeniu, udając, że pilnie przegląda różne przewodniki i broszury z informacjami turystycznymi, które kustosz wcisnął jej na pożegnanie.

W rzeczywistości jednak nie przeczytała nawet jednego słowa, choć od czasu do czasu przewracała kolejną stronę.

Natomiast wciąż i wciąż od nowa wymyślała sobie w duchu, przeklinając własną głupotę.

Nie próbowała już ukrywać przed sobą, że zależy jej na Blaiseu - i to bardzo!

- więc tym bardziej była wściekła na siebie, że zamiast zrobić na nim dobre wrażenie, zaprezentowała mu się jako jeszcze jedna nierozumna i nieracjonalnie postępująca kobietka, co w dodatku - i to ją najbardziej w tym wszystkim denerwowało - było przecież zupełną nieprawdą.

Tak czy inaczej musiała go zmęczyć tym wszystkim, pamiętała przecież, jak wzdychał z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Nie mogło więc być wątpliwości, że teraz będzie o niej myślał z lekceważeniem i nawet pogardą, jak o zupełnej idiotce, która potrafiła dokonać tylko tyle, że całkowicie bezmyślnie weszła w jakieś zapuszczone korytarze opuszczonej kopalni.

Idiotka, kompletna kretyńka, wymyślała sobie Kate, podczas gdy jej spojrzenie błędziło - wciąż tylko dla pozorów - po kolejnych stronicach przewodnika.

Koła salonki rytmicznie stukały na złączach szyn, parowóz sapał miarowo i bez wyczuwalnego wysiłku; Agatha Chandler drzemała, a czuwająca nad nią Minnie znów naszywała paciorki na jakiś kawałek skóry.

Natomiast Blaise - Kate tylko raz odważyła się zerknąć niepostrzeżenie w jego stronę - wydawał się całkowicie pogrążony w lekturze ostatniego numeru tygodnika "Forbes".

Prawdopodobnie już w ogóle zapomniał o tym incydencie.

To, co dla niej było może najbardziej znaczącym wydarzeniem całego jej życia, dla niego było co najwyżej czymś takim, jak przelotne spotkanie z kimś odlegle znajomym.

Na myśl o tym zrobiło się jej jeszcze smutniej, siedziała z ciężkim sercem i narastającym poczuciem ostatecznej przegranej.

Przestała już udawać, że czyta trzymane w ręku turystyczne broszury, i po prostu siedziała nieruchomo, nie widzącym wzrokiem patrząc przez okno na coraz bardziej pogrążający się w ciemnościach krajobraz za oknem.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że w wagonie było już dużo jaśniej niż na zewnątrz i że z tej racji odbicie jej smutnej twarzy w szybie stawało się coraz wyraźniejsze, tak jakby siedziała przed lustrem.

Blaise Chandler, który od czasu do czasu podnosił głowę sponad magazynu i spoglądał w jej stronę, w żaden sposób nie potrafił sobie wytłumaczyć, co mogłoby być powodem aż tak rozpaczliwego smutku, rysującego się na zamysłonej twarzy dziewczyny.

To był jej ostatni wieczór w gościnie u Agathy, wieczór i noc, którą w znacznej części spędziła na pełnych udręki rozmyślaniach.

Czuła się krańcowo rozdarta: z najwyższą niechęcią myślała o tym, że będzie musiała wyjechać, ale jednocześnie nie mogła się doczekać chwili, kiedy już wreszcie zejdzie z oczu temu mężczyźnie, uwolni się od tak trudnego dla niej doświadczenia jego stałej obecności i - jeszcze bardziej ją denerwującej - jej własnej reakcji na tę jego obecność.

W końcu jednak zdobyła się na ostatni wysiłek, pojawiła się na kolacji z pogodną twarzą i z udanym apetytem zjadła podane jej potrawy, na które wcale nie miała ochoty.

Po prostu postarała się, by nikt przy stole nie zauważył, że coś jest nie w porządku.

Po powrocie na górę długo nie mogła zmrużyć oka i w końcu usnęła dopiero przed świtem.

Wstała wcześniej i poszła pożegnać się z końmi, z Hankiem i Generałem.

A także z Jedem Stoneem, który bardzo serdecznie zapraszał ją, żeby przyjechała ponownie.

- Chciałabym bardzo - odpowiedziała Kate.

- Może uda mi się w przyszłym roku.

Żegnając się z księżną zdołała tylko wybąkać stłumionym od wzruszenia głosem: - Pragnę podziękować za najwspanialszy weekend, jaki miałam kiedykolwiek w całym moim życiu.

Nigdy tego nie zapomnę.

Stara kobieta objęła ją i pocałowała.

- Masz tu przyjeżdżać zawsze, kiedy tylko będziesz miała czas i okazję - powiedziała tonem polecenia.

- Masz już numer mojego telefonu, więc dzwoń.

- Będę.

Na pewno będę!

- obiecała Kate.

Potem zwróciła się do Blaisea, który podniósł się z fotela i stał teraz obok swej babki. Kate wiedziała, że zamierzał pozostać na ranczu jeszcze dzień.

- Cieszę się z naszego spotkania - powiedziała lekkim tonem, który wcześniej długo ćwiczyła przed lustrem w swojej sypialni.

- Bardzo panu dziękuję za wszystko.

- To była dla mnie prawdziwa przyjemność - odpowiedział Blaise i uściśnął podaną mu dłoń.

Jego uśmiech był życzliwy i przyjacielski.

- Najprawdopodobniej będę w Londynie już wkrótce.

Zadzwonię, jeśli pani pozwoli.

- Oczywiście - odpowiedziała Kate, ciesząc się, że udało się jej to powiedzieć wystarczająco chłodno i powściągliwie.

- Będzie mi bardzo miło.

A w duchu dodała: Tak, zadzwoń!

Och, zadzwoń, bardzo cię proszę!

Ale tej bezgłośnej prośby on, oczywiście, już nie mógł usłyszeć.

Kate przyciskała twarz do szyby kabiny helikoptera, wpatrując się w szybko oddalający się różowy dom, który na ośnieżonych łąkach coraz bardziej przypominał jakąś cukierniczą dekorację na ogromnym lukrowanym torcie.

Helikopter nabrał wysokości i skierował się w stronę gór i leżącego dalej Denver, skąd samolot Chandler Corporation miał zawieźć Kate prosto na lotnisko Kennedyego w Nowym Jorku.

Wciąż jeszcze patrzyła w dół, aż do chwili, gdy różowa plamka domu rozplynęła się całkowicie, a maszyna przechyliła się w kolejnym skręcie i skierowała na wschód.

Kate westchnęła z całego serca.

- Prawda, że to piękne?

- powiedział pilot, przekonany, że to widok gór z tej wysokości tak ją poruszył.

- O tak - zgodziła się Kate.

- To było naprawdę piękne.

Rozdział 9 .

Niespodziewanie okazało się, że na londyńskim lotnisku Heathrow oczekiwał na nią Rollo.

- Już zacząłem myśleć, że złożyłaś wniosek o przyznanie ci amerykańskiego obywatelstwa - powiedział.

- Akurat ci wierzę!

- odpowiedziała żartobliwie Kate, czując jednak, że Rollo naprawdę był trochę zły.

Najprawdopodobniej miał do niej żal, że poleciała tam bez niego.

- A jeżeli idzie o to, że niby tak długo byłam, to zechciej zauważyć, że wyleciałam w piątek rano, a we wtorek już jestem z powrotem.

Inna sprawa, że był to zupełnie czarodziejski wyjazd.

Rollo spojrział na nią uważniej.

- Właśnie widzę, że coś cię zaczarowało.

- Nie mogę już teraz zacząć ci opowiadać.

- Możesz.

Ale najpierw to ja mam ci coś do opowiedzenia.

- Ton głosu Rolla zapowiadał niespodziankę.

- Zgadnij, kto pojawił się w sobotę po twoim wyjeździe?

Kate spojrzała w jego oczy, w których migotała złośliwa iskierka, i już wiedziała wszystko.

- Czego chciała?

- zapytała spokojnie.

- Przewąchać, co się da, oczywiście.

W każdym razie starała się bardzo.

- Ale bez powodzenia?

- O to to już ja się postarałem.

- Rollo zachichotał.

- Powiedziałaś jej, gdzie jestem?

- Powiedziałem, że masz spotkanie z klientem, ale ani słowa o tym, gdzie i z kim.

- Bystre oczy Rolla badawczo spoglądały na jej walizkę.

- Masz tego cholernego konia?

- Mam.

- I co?

- ponaglił ją niecierpliwie.

- Bardzo się pieklił ten Hobart?

I co w ogóle mówił?

Wytoczy nam proces?

- Mówił bardzo dużo, wyłącznie bardzo nieprzyjemne rzeczy.

Piekił się, to za mało powiedziane.

W pewnej chwili byłam już pewna, że mnie pobije.

Ale nie wytoczy nam procesu.

Brwi Rolla uniosły się tak wysoko, że sięgnęły prawie aż do opadających na czoło siwych włosów.

- W takim razie dokonałaś cudu.

Bo z tego, co słyszałem, już na sam początek zamierzał cię udusić.

- Był taki moment, że chyba mógł to zrobić - potwierdziła Kate.

Rollo przyjrzał się jej jeszcze uważniej.

Wyglądała jakoś dziwnie, zdawała się jakby rozświetlona od środka, a jednocześnie w paradoksalny sposób przygaszona.

Coś, co ją w ten stan wprowadziło, musiało być niezwykle.

- No to opowiadaj mi o tych wszystkich przeżyciach - rozkazał z miną nie znoszącego sprzeciwu starego arystokraty, żywcem z komedii Wilde'a.

- Co w nich było takiego czarodziejskiego?

- A więc przede wszystkim zobaczyłam absolutnie wspaniałą kolekcję malarstwa i rzeźby.

Najlepsi artyści Dzikiego Zachodu!

Remington, wyobrażasz sobie?

I to nie jeden, nie dwa, ale kilkanaście jego dzieł!

Obrazy, rysunki, brązy!

I podobnie jeszcze inni...

Och, Rollo, to było po prostu nie do uwierzenia!

W szarych oczach Rolla pojawił się nagły błysk.

- A więc zorganizujemy aukcję?

- Ależ nie!

- zawołała Kate.

- To byłoby świętokradztwo!

Rollo nagle stanął w miejscu i zdjął dłoń z ramienia Kate.

- Czy mam przez to rozumieć - zaczął niebezpiecznie łagodnym tonem - że natrafiłaś na tę wspaniałą kolekcję i nie postarałaś się, żeby została wystawiona na sprzedaż przez naszą firmę?

Kate spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak właśnie zrobiłam - powiedziała.

- Czyś ty zupełnie oszalała?

- Ta wypowiedziana piorunowym głosem kwestia również pochodziła z jednej z ról jego dawnego repertuaru.

- Ja nie, ale nie wykluczam, że z tobą mogło się to stać - odparła bardzo spokojnie Kate.

- A ty mi tu nie odgrywaj świętej Catriony!

- zawołał Rollo.

- Niczego nie odgrywam.

To ty jesteś aktorem, a nie ja.

Rollo postarał się ją zmiążyć wzrokiem, ale bez widocznego rezultatu.

Kate nie tylko nie padła trupem, ale nawet się nie zaczerwieniła ani nie odwróciła wzroku.

- Czyja jest ta kolekcja?

- spytał w końcu.

- Kolekcja należy do babki Blaise'a Chandlera.

Rollo otworzył usta i zamilkł.

Najwyraźniej go zatkało.

- Agathy Chandler?

- spytał w końcu.

- A słyszałeś, żeby on miał jeszcze jakąś inną babkę?

Rollo gwałtownie wciągnął powietrze, a potem wypuścił je z sykiem parowej lokomotywy.

- Powiem ci tylko jedno, moja droga Kate.

Ty sobie możesz mieć te twoje wysoce szlachetne skrupuły na temat nieodpowiedzialnego wyzbywania się dzieł sztuki za wielkie pieniądze, proszę bardzo. Ale zwracam ci uwagę, że kiedy ta starsza pani - a ona jest już wyjątkowo stara - któregoś dnia jednak umrze, to twoja przybrana siostra z całą pewnością nie będzie miała żadnych takich obiekcji.

A jeżeli to w dodatku wypadnie w roku waszej próby, to wtedy ona wygra z tobą, jak zechce.

W cuglach!

Więc o czym ty w ogóle myślałaś, do cholery?

Co to za pomysł, że nie należy tego sprzedawać?

- Powiedziałam jej, że moim zdaniem ta kolekcja - w stanie nienaruszonym - po śmierci właścicielki powinna zostać przekazana narodowi amerykańskiemu - oznajmiła Kate.

Rollo mógł już tylko zamknąć oczy i pokręcić głową.

- Muszę natychmiast gdzieś usiąść - oświadczył.

- Czuję, że zaraz zemdleję.

Niestety, w pobliżu nie było akurat żadnych wolnych miejsc.

- Powiedziałam to zresztą również Blaiseowi Chandlerowi - dodała bardzo uprzejmie Kate.

Rollo tylko jęknął.

- Dobrze mówiłem, że z całą pewnością oszalałaś - odrzekł głucho, a po chwili zapytał jeszcze: - No a co on na to?

Kate przypomniała sobie tamtą rozmowę.

Blaise patrzył wtedy na nią w dość dziwny sposób.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem pani - przyznał w końcu.

- Wiele osób tego nie rozumie - odparła na to Kate bez mrugnięcia okiem.

- A chodzi po prostu o to, że pańskiej rodzinie udało się zgromadzić zupełnie fantastyczną kolekcję sztuki Dzikiego Zachodu.

Tak wspaniała, że po prostu nie wolno z nią postąpić inaczej.

Ta kolekcja nie może zostać podzielona i sprzedana poszczególnym klientom tylko dlatego, że zaoferują najwyższe ceny.

Zbiór tak niezwykły powinien zostać zachowany w całości i przekazany narodowi.

To przecież jest historia, przeszłość waszego kraju!

- Amerykanie skłonni są raczej żyć w teraźniejszości - powiedział Blaise.

- Możliwe.

Ale to nie zmienia faktu, że na przykład mojemu krajowi zazdroszczą wielowiekowej historii.

A tymczasem skarbów własnej tradycji tu się nie ceni.

Dlaczego?

- Chyba ma pani rację - zgodził się Blaise, czym zresztą zaskoczył Kate jeszcze bardziej.

- My rzeczywiście zbyt chętnie wyzbywamy się tego wszystkiego.

Ale pani przecież żyje ze sprzedawania takich cennych pamiątek.

Czy w rezultacie nie działa pani przeciw własnym interesom?

- Nie, nie sędzę.

W końcu porządny dom aukcyjny to nie jest tylko jakiś gigantyczny przewód pokarmowy, gdzie z jednej strony wrzuca się dzieła sztuki, a z drugiej wypadają pieniądze.

Gdyby to się działo u nas w Wielkiej Brytanii, to w ogóle na sprzedaż takiej kolekcji musielibyście uzyskać zgodę rządu, co wcale nie jest łatwe.

Blaise roześmiał się.

- W tym kraju rząd nie ma takich uprawnień.

I na szczęście nigdy nie będzie miał.

- Pod aksamitnym brzmieniem jego głosu wyczuwało się niezłomną stanowczość.

- I to jest jeszcze jeden powód, by postarać się, żeby cały ten dom, wraz ze wszystkim, co w nim jest, stał się w przyszłości Muzeum Sztuki Dzikiego Zachodu imienia Agathy Chandler!

Blaise w milczeniu wpatrywał się w nią tak długo i tak intensywnie, że Kate przez chwilę miała wrażenie prześwietlania promieniami Roentgena.

- I pani to wszystko powiedziała mojej babce?

- zapytał w końcu.

- Tak.

- Wobec tego powinna pani wiedzieć, że ostateczna decyzja zależy tylko od niej.

I ten dom, i wszystko, co w nim jest, znaczy dla niej bardzo wiele.

Nie ma więc nawet mowy o sprzedaniu czegokolwiek, dopóki ona żyje.

- W spojrzeniu Blaisea pojawił się jakiś dziwny błysk.

- Ale pani sądzi, że ja potem mógłbym, lub raczej, że moja żona mogłaby...

- Jestem pewna, że mogłaby - oświadczyła Kate z całkowitą otwartością, ryzykując, że się mu narazi do reszty.

Ale w głosie Blaisea nie było gniewu.

- Moja żona nawet nie wie, jak ten dom wygląda, a już tym bardziej nie wie, co się w nim znajduje.

Nigdy nie była w Kolorado.

Kate miała ochotę odpowiedzieć, że już o tym wie, powstrzymała się jednak.

Zamiast tego powiedziała tylko: - Możliwe, że na razie o tym nie wie.

Ale z chwilą, gdy księżnej zabraknie...

-Wytrzymała nagle spojrzenie jego przenikliwych czarnych oczu.

- A ile, pani zdaniem, może być warta ta kolekcja?

- zapytał.

- Och, Bóg raczy wiedzieć.

Przy bardzo powierzchownej ocenie za same obrazy powinno się uzyskać koło dziesięciu milionów dolarów.

Ale pieniądze, jak sędzę, obchodzą tu pana najmniej, prawda?

- Mnie może tak, ale powinny obchodzić panią.

- Nigdy nie uważałam za słuszną zasadę sprzedawania wszystkiego dla samego sprzedawania - oświadczyła Kate z nie ukrywaną dumą.

- A w przypadku tak niezwyklej kolekcji jak ta, sytuacja jest jeszcze bardziej wyjątkowa.

Niech to pozostanie tym cudownym, unikatowym zbiorem.

Niech wszyscy Amerykanie oglądają to i uczą się dumy z własnej przeszłości.

A ja znajdę sobie inne rzeczy na aukcje, mnóstwo ludzi chce sprzedawać.

Natomiast czegoś tak wyjątkowego i wspaniałego dzielić po prostu nie wolno.

Znów musiała wytrzymać jego badawcze spojrzenie.

Blaise wciąż sprawiał wrażenie, że chce ją przejrzeć na wylot, zrozumieć, co sprawia, że ta dziewczyna postępuje tak, jak postępuje.

- Jestem pewien, że moja babka bardzo wnikliwie przemyśli to, co pani jej powiedziała - rzekł w końcu, najwyraźniej zamykając dyskusję na ten temat.

- I na tym chyba musimy poprzestać.

Teraz Kate to powtórzyła, zwracając się do poirytowanego Rollo.

- Blaise Chandler powiedział, że jego babka przemyśli tę całą sprawę.

- Przemyśli!

- prychnął pogardliwie Rollo.

- Kiedy ta du Vivier dowie się, co tam zamierzają, przyleci tak szybko, że nosem przebije barierę dźwięku!

Handel dziełami sztuki to nie zabawa, Kate, to wielki biznes!

Więc na miłość boską, przynajmniej nie zdradz się już nikomu nawet jednym słowem!

Jeśli to się rozniesie, jesteś skończona, bo już nie tylko ja, ale i wszyscy pozostali dowiedzą się, że w gruncie rzeczy jesteś kompletnie zieloną, sentymentalną altruistką, w sam raz nadającą się na pożarcie przez rekiny światowego biznesu.

Rollo najwyraźniej wsiadł już na swego ulubionego konika i z wysokości swej wszechwiedzy spoglądał na nią w dół.

- Jedno ci powiem, moja droga, że kiedy twój ojciec przekazywał ci - jeśli mogę tak powiedzieć - swój miecz i zbroję, na pewno nie tego się po tobie spodziewał.

Miałaś tę zbroję nosić co najmniej tak długo jak on.

A ty co zamierzasz zrobić?

Połamać to zaraz na wstępie?

Przez ostatnie dni, gdy Kate była w Ameryce, Rollo poświęcał się swemu ulubionemu zajęciu: obgadywaniu, plotkowaniu i zbieraniu poufnych informacji.

Gdyby plotkowanie jako takie miało kiedyś zostać konkurencją olimpijską, Rollo z całą pewnością miałby zapewnione mistrzostwo.

Jak nikt inny potrafił wywąchać wszystko, co próbowano przed nim ukryć.

Dobieranie się do cudzych tajemnic sprawiało mu prawdziwą przyjemność, a już zwłaszcza wtedy, gdy ktoś usiłował ukryć coś kompromitującego czy wręcz przestępczego.

I tym właśnie zajął się teraz w londyńskim oddziale Desparda.

Nos miał wyczulony bardziej niż niejeden pies myśliwski i potrafił wyczuć zapach korupcji nawet wtedy, gdy ten niezbyt przyjemny zapach ktoś próbował pokryć wonią najkosztowniejszych perfum czy dezodorantów.

Rollo zresztą miał idealne warunki i predyspozycje do wypełniania takiego właśnie zadania.

Z racji swego urodzenia - bądź co bądź arystokratycznego, nawet jeśli z nieprawego łoża - miał dostęp do tak zwanych wyższych sfer.

Nie ukończył co prawda najbardziej ekskluzywnej szkoły w Eton, jako że jego nie nazbyt wierna matka usłyszała w swoim czasie od swego męża, że do Eton to on zamierza posyłać tylko własnych synów.

Stwierdzenie było dość brutalne i jednoznaczne, ale w końcu i Rollo nie pozostał bez wykształcenia.

Dzięki latom spędzonym w nieco mniej ekskluzywnej, ale również bardzo cenionej szkole w Harrow - gdzie zresztą wcześniej pobierał nauki również i jego rzeczywisty ojciec - Rollo zyskał wejścia do wciąż bardzo liczącej się grupy absolwentów tej szkoły.

Później jako aktor nawiązał kontakty w środowisku teatralnym, filmowym i telewizyjnym, a ponieważ od czasu do czasu pisywał również felietony na tematy związane ze sztuką i publikował je w jednym z dzienników o ogólnokrajowym zasięgu, miał również dostęp do prasy, nie bez racji zwanej trzecią władzą.

I wreszcie poprzez pracę w firmie Despards doskonale poznał świat kolekcjonerów i sprzedawców dzieł sztuki - poczynając od wielkich domów aukcyjnych i najbardziej renomowanych indywidualnych dealerów, a kończąc na tych, którzy renomy nie mieli w ogóle albo też mieli taką, że woleli ukrywać się w cieniu.

Wszystkie te większe i mniejsze światy i środowiska były ze sobą powiązane mniej lub bardziej gęstą siecią zależności, a Rollo tkwił w tym wszystkim i bez trudu kontrolował każdą dochodzącą do niego nitkę, niczym ukryty w tej sieci pajak.

Podczas pozornie niezobowiązujących rozmów w tych kręgach Rollo dowiadywał się wszystkiego.

Samym swym wyglądem, sposobem bycia człowieka, który wiele wie, potrafił pobudzić innych do zachowywania się podobnie.

Tyle że rozmówcy Rolla nie potrafili tak jak on panować nad każdym wypowiedzianym słowem i w odróżnieniu od niego, z reguły zdradzali więcej, niż zamierzali.

A Rollo, zonglując świetnie opanowanymi kwestiami ze sztuk i aktorską techniką wypowiedzi, nieomal bawił się nimi, jednym dodając ducha i poczucia ważności, innych bezlitośnie sprowadzając na ziemię.

Jego charakterystyczny, sceniczny głos znajdował wszelkie potrzebne odcienie.

Na dobrą sprawę nikt nie lubił Rolla Bellamyego, ale wszyscy zgadzali się co do jednego - że dużo rozsądniej jest nie robić sobie z niego wroga.

Otaczała go aura tajemniczości.

Od lat już opowiadano o nim niesłychane rzeczy, coraz to inne i wciąż nowe, choć tak naprawdę nikt nie mógłby zaręczyć, że to na pewno prawda.

Niektórzy utrzymywali, że Rollo pracował dla brytyjskiego wywiadu czy też kontrwywiadu, inni twierdzili, że wciąż jest funkcjonariuszem jakiejś tajnej agencji rządowej; że zarówno jego aktorstwo, jak i wszelkie pozostałe zajęcia zawsze były tylko przykrywką, a tak naprawdę jego powszechnie znane związki homoseksualne miały przede wszystkim służyć do kompromitowania osób w ten czy inny sposób niewygodnych dla rządu.

Mówiło się, że Rollo odegrał znaczącą rolę w słynnej aferze Burgessa McLeana i że w ogóle jest w bardzo dobrych stosunkach z co najmniej paroma ludźmi z Foreign Office...

Tak więc o Rollu Bellamym mówiono bardzo wiele, choć oczywiście nigdy prosto w oczy i nie w jego obecności.

Po pewnym czasie różne plotki i pogłoski zaczęły być uważane za prawdę, a on sam był postrzegany coraz powszechniej jako mniej lub bardziej jawny wysłannik tych, którzy woleli kryć się w cieniu, ale z którymi bardzo należało się liczyć.

Na dobrą sprawę tylko jedna osoba kompletnie nie wierzyła w te wszystkie opowieści. Tą osobą była Kate Despard, która śmiała mu się prosto w nos i utrzymywała, że to on, Rollo, sam to wszystko wymyślił.

No bo, na miłość boską, jak to możliwe?

Była pewna, że jej matka nigdy nie zaprzyjaźniłaby się i nie zaufała w takim stopniu człowiekowi, który rzeczywiście zrobiłby to wszystko, co mu przypisywano.

Przecież to Rollo wycierał jej nos, kiedy była jeszcze malutka, to on strofował ją, gdy była niegrzeczna, on opowiadał jej wspaniałe bajki i nawet zabierał ją do teatru na próby kostiumowe, pod jednym tylko warunkiem, że będzie siedziała cicho i ani piśnie.

Był zawsze pod ręką, kiedy tylko Kate go potrzebowała, przyjaźnił się z jej matką, która też go bardzo lubiła i ufała mu.

Obie zawsze mogły na niego liczyć.

Dlatego Kate była przekonana, że wszystkie te opowiadane o nim historie rodziły się z czyjegoś lęku lub czyjejś zazdrości, i po prostu je lekceważyła.

Tak czy inaczej, podczas jej nieobecności Rollo postanowił wpaść na chwilę do pewnego dealera, którego znał już sprzed lat, kiedy to ten właśnie znawca sztuki usiłował mu sprzedać jakąś rytualną figurkę wykorzystywaną w obrzędach dawnych Khmerów, jako oryginał.

Rollo jednak niemal natychmiast zorientował się, że twarz postaci była współcześnie poprawiana.

Tym razem obaj panowie prowadzili przez krótką chwilę niezobowiązującą rozmowę przy drinku.

Wymienili też uwagi na temat stojącego przed nimi brązu, oryginalnej i bardzo pięknej głowy z Beninu, która teraz była w posiadaniu dealera.

W tej sytuacji Rollo wspomniał mimochodem, że mógłby go skontaktować z pewnym bardzo bogatym nafciarzem z Teksasu, którego właśnie poznał.

Ten nowobogacki Amerykanin jeszcze nie w pełni przywykł do nadmiaru petrodolarów i miał trudności z ich wydawaniem, a jego doradca finansowy zaproponował mu inwestowanie w dzieła sztuki.

Zdaniem Rolla, tak piękna rzeźba z Beninu mogłaby Teksańczyka bardzo zainteresować.

Zwłaszcza w aktualnej sytuacji, kiedy to przedłużający się spór dyplomatyczny między Beninem a Wielką Brytanią bardzo zwiększył zainteresowanie wszelkimi pochodzącymi stamtąd wyrobami.

Wdzięczny dealer w rewanżu wspomniał, że to nie kto inny, ale pracujący właśnie dla Despards London pan Piers Lang był tym, który w dogodnym momencie podsunął staremu Wilfridowi Shelby złośliwie spreparowaną informację o swej bezpośredniej przełożonej.

Shelby natychmiast przekazał to wszystko innym członkom zarządu powierniczego majątku Penhaligon.

Z wspomnianej opinii jasno wynikało, że niedoświadczona i nie poddana dotąd żadnym poważniejszym próbom córka Charlesa Desparda w żaden sposób nie dorosła do tak poważnego zadania, jakim jest publiczna sprzedaż dzieł starych mistrzów, należących do wspomnianego majątku.

Zdaniem Piersa Langa - które Wilfrid Shelby przyjął jako własne - należało raczej oddać prowadzenie aukcji w doświadczone ręce jej przybranej siostry, jeżeli oczywiście zarząd był zainteresowany w osiągnięciu naprawdę dobrych cen.

Rollo podziękował dealerowi, obiecał mu szybkie skontaktowanie go ze wspomnianym amerykańskim klientem, a sam udał się z kolei do jednego ze swych dawnych szkolnych kolegów z Harrow, który znał dobrze całą rodzinę Langów.

O młodym Piersie nie miał do powiedzenia nic dobrego.

Lekceważąco wydymając wargi stwierdził, że syn w żaden sposób nie przypomina swego szanowanego ojca.

Zwłaszcza ostatnio mówiło się coraz głośniejszym głosem, że Piers już nie tylko gra hazardowo i zadłuża się po uszy, by sprostać standardowi, odpowiadającemu jego manii wielkości, ale że zdarza mu się również - coraz częściej - płacić sfałszowanymi czekami.

Jeszcze tego samego dnia Rollo odwiedził pewnego zaprzyjaźnionego producenta filmów dokumentalnych z BBC, który właśnie kończył montaż kilkuodcinkowego serialu o londyńskich domach gry.

Producent potwierdził, że Piers Lang znany jest w niemal każdym z tych domów jako gracz stawiający wysoko, wygrywa znacznie mniej, niż przegrywa, a przy tym wciąż żyje na stopie całkowicie przewyższającej jego możliwości finansowe.

Dużo mówiono też o jego niezwykle luksusowym nowym mieszkaniu, które na chwilę stało się nawet swego rodzaju sensacją towarzyską.

Potem Rollo pożeglował jeszcze do pewnego znanego z dyskrecji klubu, gdzie, jak wiedział, mógł spotkać swego dawnego krótkotrwałego partnera, skądinąd cenionego w artystycznym środowisku projektanta wnętrz.

Rollo słyszał o nim, że ostatnio zdarzało mu się rzucać pożądliwe spojrzenia właśnie na jasnowłosego Piersa Langa.

Delikatnie wypytywany projektant nawet bez specjalnego ponaglania opowiedział mu różne ciekawe rzeczy, między innymi o tym, że pan Lang uprawia seks z mężczyznami równie chętnie jak z kobietami, niekoniecznie tylko pojedynczo, i bywa widywany w dość dziwnych strojach i sytuacjach towarzyskich dalekich od heteroseksualnej ortodoksji.

Tak więc, podczas nieobecności Kate, Rollo zdążył się dowiedzieć wystarczająco wiele, by w pełni orientować się w sytuacji i jasno widzieć, kto tu ma występować w roli ofiary, a kto gra myśliwego, w czyim interesie i na czyje zlecenie.

Postanowił to wszystko niezwłocznie opowiedzieć Kate i prosto z lotniska zabrał ją do siebie.

Rollo Bellamy zajmował przytulne mieszkanie w wysokiej suterenie starego domu na Royal Avenue, od lat nie płacąc za nie ani pensa, co wynikało z wysoce korzystnego układu z właścicielami.

Dom na Royal Avenue należał bowiem do rodziny rzeczywistego ojca Rolla. W okresie namiętnego romansu z matką Rolla jego ojciec zapisał to mieszkanie jej i dziecku, oddając je w bezpłatne użytkowanie na okres dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. Do tego dochodziły jeszcze odsetki od zainwestowanego w tym czasie kapitału, które teraz dawały żalospną - zdaniem Rolla - sumę tysiąca funtów rocznie. Wystarczało to jednak na opłacenie podatku od własności i rachunków telefonicznych. No a sam Rollo - co było znacznie ważniejsze - mógł przynajmniej mieć tę kojącą pewność, że dach nad głową stale ma zapewniony. W mieszkaniu czekała na nich przygotowana na sposób francuski potrawka z kaczki, którą Rollo przed wyjściem wstawił do kuchenki, oraz butelka doskonałego Gevry-Chambertin. Jednakże przy posiłku Rollo, zamiast opowiedzieć Kate o wszystkim, czego się dowiedział, niespodziewanie się naburmuszył i siedział milczący i ponury. W przeszłości z reguły skłaniało to zaskoczoną Kate do pokornego wypytywania go o przyczynę tak złego humoru. Rollo w końcu dawał się przebłagać i przyjmował jej przeprosiny za wszystko, co zrobiła i czego nie zrobiła. Teraz jednak Kate jakoś nie zamierzała go za nic przeproszać; siedziała w milczeniu i skubała potrawkę, najwyraźniej myśląc o czymś innym. W dodatku wyglądało na to, że wcale nie myśli ani o nim, ani o ich lekkiej kłótni na temat kolekcji Agathy Chandler. To dla Rolla był prawdziwy szok: Kate przestała się nim przejmować. W końcu odezwał się z nie ukrywaną złośliwością: - Jakoś nawet nie pytasz mnie, co się tu wydarzyło podczas twojej nieobecności? Kate podniosła na niego zamyślane oczy. - Jeśli coś się wydarzyło, to z pewnością sam mi o tym powiesz w momencie, który uznasz za właściwy - odpowiedziała spokojnie. Ten spokój również zaskoczył Rolla. Była to jakaś zupełnie inna Kate! Co też się mogło zdarzyć podczas tego weekendu? Najwyższa pora, by podzielić się z nią odkryciami, których dokonał podczas jej nieobecności. - Nie sądzisz, że już najwyższy czas, żeby się w końcu pozbyć naszego Mało Czcigodnego Piersa Langa? - To pytanie miało być początkiem. - Wiesz dobrze, że nie możemy go zwolnić bez niezbitych dowodów - odparła Kate. - A tych wciąż nie mamy. - W sprawie tego konia Tang rzeczywiście dotąd ich nie mamy. Ale chciałem ci powiedzieć, że podczas gdy ty pławiłaś się w luksusie i w przyjemnościach najbogatszych, ja ciężko się trudziłem dla dobra firmy i twoich zagrożonych interesów. No i powiem ci tylko tyle, że tego, o czym się dowiedziałem, wystarczy w zupełności, żeby go jednak zwolnić.

- Czego konkretnie się dowiedziałeś?

- zapytała spokojnie Kate.

Zbyt spokojnie, żeby mu się to mogło spodobać.

Pokrótkie przedstawił jej fakty, jednakże reakcja Kate była inna, niż się spodziewał.

Zamiast wybuchnąć gniewem, Kate powiedziała bardzo spokojnie: - Obmyśliłam już sposób, jak się go pozbyć.

- Już obmyśliłaś?

A jaki, jeśli wolno spytać?

- Zamierzam go przesunąć.

- I dokąd?

Kate spojrzała na niego i uśmiechnęła się, a Rollo w odpowiedzi potrafił się już tylko skrzywić.

Naprawdę ta dziewczyna zaczynała być zbyt pewna siebie i coraz mniej mu się to podobało.

To doprawdy groziło ogłoszeniem w najbliższym czasie jakiejś deklaracji niepodległości, na wzór tego, co kiedyś zrobili odwiedzani przez nią Amerykanie!

- Przesuniemy go do oddziału w Australii - powiedziała Kate.

Rollo poczuł całkowite zaskoczenie.

Potem na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju podziwu.

Nie zamierzał jednak za bardzo tego okazywać.

- Kto ci podsunął taki pomysł?

- Sama na to wpadłam.

On oczywiście nie zechce tam jechać, ale ja na to właśnie liczę.

W ten sposób sam będzie musiał złożyć rezygnację.

- Pomysł godny Machiavellego - mruknął lekceważąco Rollo.

Potem jednak w jego siwych oczach pojawił się błysk.

- Chociaż kto wie, może to rzeczywiście zadziała.

W końcu dla takich jak on Australia do dziś kojarzy się tylko z kolonią karną.

- No właśnie - powiedziała Kate.

- To znaczy, że zaczynasz się czegoś uczyć - stwierdził Rollo.

Ta pochwała zabrzmiała jednak dosyć dwuznacznie.

- Lepiej powiedz mi, czego jeszcze się dowiedziałeś - ponagliła Kate.

- Na przykład o tym fałszywym koniu Tang?

- O tym jeszcze nic nowego nie wiem, ale i tego się dowiem.

Próbowałem przebadać tego pośrednika i jego firmę, ale na razie - jeżeli pominąć drobny fakt, że podjęli się reprezentowania jakiegoś oszusta, któremu zresztą też niczego dotąd nie udowodniono - opinia samej firmy wciąż nie została w istotny sposób podważona.

Wygląda na to, że prowadzący tę całą transakcję prawnik nigdy nie spotkał się oko w oko z tym mitycznym starszym panem, sprzedającym figurkę.

Wszystko jakoby załatwiał jakiś jego sekretarz, zupełnie jak w sensacyjnym serialu.

A ja jestem dziwnie pewny, że jedyną osobą, która rzeczywiście wie, skąd pochodzi ta sfalszowana figurka, jest twoja przybrana siostra i ewentualnie ten jej nowy kochanek.

Zamyślona Kate patrzyła na niego nie widzącymi oczami.

Najwyraźniej zastanawiała się nad czymś bardzo głęboko.

W końcu potrząsnęła głową i powiedziała: - Jedno jest oczywiste, że posunęła się dosyć daleko.

Przede wszystkim żeby mi pokazać, co potrafi, nie uważasz?

To było bardzo dokładnie przemyślane.

Gdyby nie chodziło o mnie, zaaranżowałyby to zupełnie inaczej, fałszerstwo dotyczyłoby czegoś spoza obszaru jej - i mojej - działalności.

Nie dałoby się tego w ogóle powiązać z jej osobą.

Tymczasem zdecydowała się na podróbkę starego chińskiego brązu.

- Kate zamyśliła się i zmarszczyła brwi.

- Powiem ci, że najbardziej chciałbym się dowiedzieć, kto wyprodukował tę mistrzowską podróbkę.

Bo kimkolwiek jest ten człowiek, z całą pewnością jest niezwykle niebezpieczny.

- Spróbuję się dowiedzieć wszystkiego, co możliwe - zapewnił ją Rollo.

- A póki co zamierzam poddać ten brąz wszelkim możliwym badaniom, jakie wymyśliła współczesna nauka.

- Prawdę mówiąc, ja już...

- Rollo zamilkł na chwilę pod wpływem jej ostrego spojrzenia, ale potem wzruszył ramionami i kontynuował: - ...przekazałem tę figurkę do zbadania pewnemu mojemu przyjacielowi, który przypadkiem jest wybitnym specjalistą w tej właśnie dziedzinie.

- I kóż to jest ten wybitny specjalista?

- zapytała Kate, wyraźnie oburzona tą samowolą.

- Jeden z takich indywidualnych dealerów, którzy handlują starą chińszczyzną.

Powiem ci wszystko, jeżeli te jego badania do czegoś doprowadzą, oczywiście.

- Mam nadzieję, że mi jednak powiesz - ucięła ostro Kate.

- Bo nie miałeś prawa podejmować takiej decyzji bez wcześniejszego uzgodnienia ze mną!

O, więc już mamy wielkopańskie odezwania i maniery, pomyślał rozwścieczony Rollo.

Kilka dni pobyła w towarzystwie bogatych i potężnych, i już uważa, że i ona sama może się tak zachowywać.

I w ogóle pewnie myśli, że to ona rozszyfrowała to przestępstwo stulecia.

Dobrze, niech jej będzie, powiedział sobie z kwaśną miną.

Długo to nie potrwa.

W ciągu ostatnich dziewięciu lat na dobrą sprawę nie zrobiła nawet kroku beze mnie, więc i teraz już wkrótce się przekona, że mnie potrzebuje, i to może jeszcze bardziej niż kiedyś.

Zaczął sobie wyobrażać, jak też to będzie, gdy skruszona Kate przyjdzie do niego i zacznie go błagać o przebaczenie.

Ale Kate tymczasem już przestała myśleć zarówno o sfalszowanej figurce konia, jak i o znów naburmuszonym Rollu.

Jej myśli wróciły nieuchronnie do jedyne go tematu, który ją naprawdę obchodził w czasie ostatnich paru dni - do Blaisea Chandlera.

Jak ta Dominique mogła?

I to z kimś takim bez kręgosłupa i bez charakteru jak ten Piers Lang!

Choć z drugiej strony dla niej oczywiście nie było ważne, jaki to jest człowiek, ani nawet to, jaki jest w łóżku.

Liczyło się tylko to, na ile może się przydać w jej planach.

To on w końcu nawiązał kontakt z tą pośredniczącą w transakcji firmą prawniczą o jakoby niepodważalnej reputacji i on zwrócił uwagę Kate na możliwość zakupu tej cennej figurki.

A więc jako narzędzie okazał się użyteczny dla Dominique.

A jako mężczyzna?

Oczywiście, kiedy się zestawilo śliską gładkość tego całego Piersa Langa z niewzruszoną jak skała siłą Blaisea Chandlera, nie mogło być w ogóle mowy o jakimś - współmiernym - porównywaniu.

Po prostu tylko jeden z tych dwóch był naprawdę mężczyzną.

I to jakim mężczyzną!

W pewnej chwili dotarło jednak do niej, że Rollo coś mówi o jakichś obrazach.

Z pewnym wysiłkiem udało się jej wrócić do rzeczywistości.

- ...tego Martina, żeby sprzedał kilka płócien Picassa - kończył właśnie Rollo.

- To wywoła niemały wstrząs na rynku, mogę cię zapewnić.

- Ile płócien może wchodzić w grę?

- zapytała Kate, przestawiając się pośpiesznie na zupełnie inny tor myślenia.

- Sześć dużych obrazów, a każdy z nich niezwykle cenny.

Trzy z okresu niebieskiego, a trzy inne to wariacje na temat jednej z tych jego panienek, to znaczy muz.

Nie wiem której, prawdę mówiąc, nigdy nie potrafiłem ich rozróżnić, bo wszystkie one dla mnie wyglądały mniej więcej tak samo.

No ale ci, co się na tym znają, zapewnili mnie, że każde z tych płócien to dzieło geniuszu, mistrza u szczytu twórczych możliwości.

A za coś takiego ludzie zawsze gotowi są płacić wprost niesłychane pieniądze - tu krzywy uśmiech Rolla stał się cokolwiek jadowity - co jednak się liczy, dziecińco.

- Może więc wyjaśnijmy sobie do końca pewne rzeczy - powiedziała Kate ze stanowczością, która też była dla niego czymś zupełnie nowym.

- Otóż w sprawie kolekcji Agathy Chandler po prostu postąpiłam tak, jak w moim przekonaniu należało postąpić.

Bo już ci kiedyś mówiłam, że jednak są pewne rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

- Jeżeli rzeczywiście tak myślisz, to przynajmniej - na miłość boską - nie przyznawaj się do tego ludziom, którzy cię otaczają!

- wykrzyknął Rollo.

- Choćby w interesie samej firmy!

- O firmę Desparda troszczę się tak samo jak ty!

A może nawet bardziej, zważywszy na to, że nazywam się Despard, o czym czasami zdarza ci się zapominać.

- Mnie się zdarza?

A czy to ja zmieniałem nazwisko?

- Z gwałtownie pociemniałej twarzy Kate widać było, że cios doszedł.

Usatysfakcjonowany Rollo postanowił nie kontynuować sprzeczki i powiedział już znacznie łagodniej: -Może lepiej opowiedz mi o tym twoim pobycie na ranchu, czy jak to się tam nazywało?

Kate ostatecznie zapomniała o urazie i zaczęła opowiadać.

Rollo słuchał i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że w Kate Despard podczas jej pobytu w Kolorado dokonała się jakaś zasadnicza przemiana.

Coś na miarę przemiany świętego Pawła, pomyślał zgryźliwie.

- No a sam Blaise Chandler, jaki się okazał?

- zapytał, pozornie bez większego zainteresowania.

Kate próbowała odpowiedzieć jak najbardziej formalnie.

- No cóż, był bardzo miły w roli gospodarza.

- Nie potrafiła jednak utrzymać tego obojętnego tonu, zaczerwieniła się jak piwonია i pośpiesznie sięgnęła po szklankę, by jakoś to ukryć, zresztą bez powodzenia.

Rollo, który znał Kate na wylot, od razu zrozumiał wszystko.

Poczuł nawet w sercu drobne ukłucie zazdrości, szybko jednak wytłumaczył sobie, że przynajmniej w przypadku Blaisea Chandlera szansę Kate i tak są równe absolutnemu zeru.

Mężczyźni tacy jak on w ogóle nawet nie zauważali kobiet w rodzaju Kate.

- A jaką mamy gwarancję, że on po rozmowie z tobą nie pójdzie do swojej żony i nie powie jej o tych wszystkich skarbach w domu babki?

- Blaise tego nie zrobi!

- wykrzyknęła Kate z najszczerzym przekonaniem.

I natychmiast zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Wiem na pewno, że tego nie zrobi.

Jest niezwykle przywiązany do swojej babki i sam powiedział, że nie pozwoliłby na sprzedanie czegokolwiek, póki ona żyje.

- Ale przecież po jej śmierci to wszystko będzie należało do niego?

Kate znów się zarumieniła, ale postanowiła nie dać się speszyć i trwała przy swoim.

- Wiem, że nie zrobiłby czegoś takiego.

- Potrząsnęła głową.

- Po prostu wiem.

- Ciekawe, gdzie się wobec tego podział ten nieznośny i antypatyczny pyszałek, za którego jeszcze niedawno go uważałaś - zapytał ironicznie Rollo.

- Czyżby nagle gdzieś przepadł?

- Pyszałek pewnie pozostał.

Ale zobaczyłam w nim również bardzo czulego i troskliwego wnuka, któremu ta stara kobieta ufa i którego naprawdę kocha.

- Widzę z tego, że przez tych kilka dni wydarzyło się naprawdę bardzo wiele.

Kate spojrzała na niego, jakby zastanawiając się, czego właściwie Rollo chciałby się od niej dowiedzieć.

Jej twarz, dotąd tak otwarta, teraz zamknęła się przed jego badawczym spojrzeniem.

A Rollo poczuł dziwny dreszcz, jakby nagłego lęku.

Po raz pierwszy Kate zamykała się tak, że on pozostawał już gdzieś na zewnątrz.

A przecież dotąd, zwłaszcza od czasu śmierci jej matki, to on był jedynym człowiekiem, który mógł powiedzieć, że ma klucz do duszy Kate Despard.

Teraz nagle zaczęło wyglądać na to, że wszystkie zamki zostały tam zmienione.

Rollo spróbował czego innego.

- Kate, chodzi mi przede wszystkim o to, żeby ten bajkowy pobyt w Kolorado nie odebrał ci zdolności jasnego widzenia spraw - powiedział znacznie bardziej pojednawczo.

- Tak?

A za to ty będziesz podważał tę moją zdolność widzenia przy każdej możliwej okazji?

No, to już brzmi lepiej, powiedział sobie Rollo.

- Nie licz na to, że ci coś przepuszczę!

- oświadczył.

Potem dość szybko przeszedł do innych spraw i opowiedział jej o bardzo korzystnej sprzedaży, dokonanej podczas jej nieobecności.

Pewien Arab, który-jak głosiła plotka - pięć lat wcześniej miał tylko dwie żony i cztery wielbłądy, teraz bez mrugnięcia okiem zapłacił cztery miliony funtów za mocno erotyczny obraz Tycjana.

- ...guzik go obchodziła wielka sztuka czy nazwisko artysty; on chciał tylko powiesić to sobie w swym jedwabnym namiocie i patrzeć na te całe hektary nagiego ciała - mówił Rollo z nie ukrywanym niesmakiem.

- Natomiast jeżeli idzie o tego Cezanne'a, to - tak jak przypuszczałaś - wziął go Lombardi.

Z tego, co wiem, ma już namotanego faceta z Kalifornii, który ma nieludzki szmal.

Rollo przerwał, by ponownie napełnić kieliszki.

Potem odkaszlnął, a Kate uniosła głowę i spojrzała na niego.

Znała go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że szykuje jakąś bombę.

- Ale najważniejsza rzecz dotyczy Hongkongu - kontynuował Rollo.

- Od paru dni środowisko aż się trzęsie od plotek, wszyscy o tym mówią.

Oczywiście nikt niczego nie ogłosił oficjalnie, ale z różnych przecieków już wiadomo prawie na pewno, że nasza Piękna Rosiczka zaczęła motać coś, co ma się stać - jak to dziennikarze lubią wypisywać w wielkich tytułach - Największą Aukcją Stulecia.

Otóż pewien milioner z Hongkongu, w obawie przed zbliżającym się przejęciem władzy przez komunistów, postanowił wyzbyć się swoich zbiorów, które -jeżeli to, co głosi plotka, okaże się prawdą - są jakoby najwspanialszą kolekcją starej chińskiej sztuki, jaką świat kiedykolwiek oglądał.

To oczywiście potrwa jeszcze ładnych kilka miesięcy, nim dojdzie do czegoś konkretnego.

Ale gdyby te sumy, które się przy tym wymienia, okazały się prawdziwe, to twoja gra o Desparda byłaby przegrana, zanim się jeszcze zaczęła.

- O jakie sumy chodzi?

- spytała Kate.

Rollo wzruszył ramionami, a z jego miny jasno wynikało, że sytuacja jest beznadziejna.

- Trzydzieści do czterdziestu milionów dolarów.

I to amerykańskich, nie miejscowych.

- Spojrzał na Kate, żeby zobaczyć, jakie to na niej wywarło wrażenie.

-A ty tymczasem lekką ręką odrzuciłaś okazję pozyskania do sprzedaży jedynej w swoim rodzaju kolekcji sztuki Dzikiego Zachodu!

Więc pomyśl sobie teraz o tym wszystkim.

- Tym efektownym zwrotem Rollo zakończył swoją tyradę i podniósł się z krzesła, żeby posprzątać talerze i sztucce ze stołu.

Kate westchnęła głęboko.

Zdawała sobie sprawę, że Rollo musi być na nią wściekły, zwłaszcza że tym swoim diabelskim wewnętrznym radarem już oczywiście wykrył, że coś się w niej zmieniło, że coś się musiało stać podczas jej pobytu w Kolorado.

Dla niego nie było to nic trudnego, zawsze potrafił bez pudła wychwytywać w niej nawet drobne zmiany nastrojów.

Natomiast to, czego się po nim zupełnie nie spodziewała, to były te wyraźne nutki zazdrości.

Ale i w tym, w gruncie rzeczy, nie było nic szczególnie dziwnego.

Rollo zawsze dotąd miał wpływ na wszystko, co działo się w jej życiu, szczególnie po śmierci matki.

Bardzo często zwracała się do niego, kiedy potrzebowała pomocy i rady, więc też później -kiedy Rollo nabrał już stałego zwyczaju traktowania jej tak, jak gdyby stanowiła jego własność - Kate przyjmowała to z wyrozumiałością i pozwalała mu tak myśleć.

Zresztą wtedy to jej nawet odpowiadało.

Ale teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Rollo zdążył już porządnie namieszać w firmie Despards.

Kate mianowała go swym nieoficjalnym osobistym asystentem, ale Rollo w wielkopańskim stylu zaczął niemal natychmiast grać wprost wymarzoną dla niego rolę szarej eminencji, a swym zachowaniem sugerował niedwuznacznie, że w gruncie rzeczy do niego należą ostateczne decyzje i posunięcia.

W rezultacie Kate już niejednokrotnie musiała łagodzić powstające napięcia i uspokajać fale emocji, wywołane zachowaniem Rolla.

Teraz też nie miała najmniejszych wątpliwości, że nie mogło mu się spodobać to niespodziewane nawiązanie przez nią jakiegoś rodzaju więzi z Blaiseem Chandlerem.

Rollo dotąd zawsze był jedynym mężczyzną w jej życiu, więc też każdy przypadek, kiedy jakiś inny mężczyzna zyskiwał na nią wpływ, musiał traktować jako zagrożenie własnej pozycji.

A w odniesieniu do niego oznaczało to, że nie cofnie się przed niczym, by tę zagrożoną pozycję utrzymać.

Takiemu rozwojowi wypadków trzeba było koniecznie zapobiec.

Kate wstała od stołu i podeszła do stojącego nad kuchennym zlewem Rolla.

Sięgnęła po ręcznik, by wycierać zmywane przez niego talerze.

Widziała, że jak zawsze mył je bardzo dokładnie, ale z gwałtowniejszych niż zwykle ruchów, ze sposobu, w jaki ścisnął trzymaną w dłoni gąbkę, a potem splukiwał mydliny, łatwo było dostrzec, że jest zły i podenerwowany.

Jeszcze wyraźniej świadczyły o tym plamy jaskrawych rumieńców na jego pergaminowych zazwyczaj policzkach.

Ależ tak, pomyślała, odczuwając nagle coś w rodzaju litości.

Rollo po prostu się bał.

Trzeba go było jakoś uspokoić.

Pokazać, że nie musi się lękać.

- Rollo, przecież będą jeszcze różne inne aukcje, na których też da się zarobić - powiedziała łagodnie.

- Ja w każdym razie postanowiłam urobić sobie ręce po łokcie.

A i ty przecież...

Sam powiedziałeś mi przed chwilą, że już zaklepałeś dla nas sześć obrazów Picassa, i to z tych najcenniejszych, prawda?

I oczywiście tę aukcję zorganizujemy zaraz po tym, jak minie termin rozpoczęcia mojego roku próby.

Wyraz twarzy Rolla wyraźnie złagodniał.

- Ktoś w końcu musi dbać o twoje interesy.

Chyba nie mogłaś się spodziewać po mnie niczego innego?

- Nie - powiedziała Kate bardzo szczerze.

- Po tobie wciąż spodziewam się tylko czegoś dobrego.

Jak właśnie to, co teraz zrobiłeś.

Czerwone plamy na policzkach Rolla zaczęły zanikać.

- No to jeszcze chciałbym cię tylko prosić, żebyś była rozsądna.

I, skoro już mówimy o spodziewaniu się czegoś po innych, żebyś nie za wiele się spodziewała, jeżeli idzie o Blaisea Chandlera.

- Ja się po nim niczego nie spodziewam - odpowiedziała cicho Kate.

- Nie jestem aż tak nierozsądna.

Rollo spojrzał na nią kątem oka.

No tak, pomyślał, przynajmniej tę jedną dobrą rzecz odziedziczyła po matce - jej zdrowy rozsądek.

On sam zresztą również powinien się czymś takim wykazać.

I nie atakować Kate aż tak emocjonalnie.

- Zresztą, jeśli się tak zastanowić - z tonu tych słów wynikało, że Rollo gotów był jej teraz wiele wybaczyć - może i jest coś dobrego w tym, co tam postanowiłaś zrobić, czy raczej nie zrobić.

To, że nie okazałaś się tak chciwa jak ta jego żona, może w ostatecznym rachunku być nie bez znaczenia.

Zwłaszcza jeśli, jak mówisz, Blaise Chandler jest naprawdę przywiązany do swej babki Agathy.

- Jest bardzo przywiązany - powiedziała Kate.

- Naprawdę bardzo.

Rollo kiwnął głową.

Odkręcił kran i wypłukał plastikową miskę, w której zmywał naczynia, a potem znów odwrócił się do Kate.

- Jeżeli tak, to można by nawet uznać, że w gruncie rzeczy postąpiłaś właśnie tak jak trzeba.

Bo i ja sam słyszałem, że Blaise Chandler staje nieraz w obronie interesów swej babki niczym jakiś święty Jerzy czy Michał...

- Powiem ci, że i ona sama jeszcze potrafi w razie potrzeby machać mieczem nie gorzej od świętego Michała - powiedziała półżartem Kate.

- Opowiedz mi koniecznie - powiedział błagalnym tonem Rollo.

Kate nie dała się prosić.

Rollo słuchał z zaciekawieniem i rozbawieniem, pod koniec parokrotnie nieomal popłakał się ze śmiechu.

Cała opowieść podobała mu się wręcz niezwykle.

- Będę absolutnie nalegał, żebyś następnym razem zabrała mnie do niej.

Czuję, że to może być kobieta mojego życia.

- Nie jestem pewna, czy księżna Agatha zechce posunąć się aż tak daleko.

- Kate roześmiała się.

- Ale rzeczywiście sądzę, że moglibyście sobie przypaść do gustu.

- A przy takim układzie i zaprzyjaźnieniu, kto wie.

I ty mogłabyś mieć z tego niemałe korzyści.

No, to właśnie cały on, pomyślała Kate.

Zawsze musi kombinować, nieustannie wiązać te sieci znajomości i zależności.

Korzystać z każdej okazji, która się nadarza.

Jemu czyjej.

- I co ja bym bez ciebie robiła, Rollo?

- zapytała z czułością.

Prawdę mówiąc, akurat to już chyba teraz wiedziała, ale w żadnym wypadku nie wolno było mu tego mówić.

- Beze mnie?

Dałabyś się pożreć pierwszemu wilkowi, który by się nawinał - odpowiedział Rollo.

Przez chwilę wydało mu się, że w jej oczach dostrzega jakąś mgielkę, której nigdy dotąd tam nie zauważył.

Ale jej głos brzmiał spokojnie, tak jak zawsze.

- Blaise Chandler nie jest tym złym wilkiem z bajki, w każdym razie nie w stosunku do mnie.

A poza tym - w głosie Kate brzmiały nutki wyraźnego optymizmu - wydaje mi się, że już przestał patrzeć na mnie jak na kłopotliwy bagaż, który mu wbrew jego woli zwalono na plecy.

Wcale już nie jest taki niechętny i krytyczny.

Prawdę mówiąc, miałam nawet wrażenie, że jakoś zaczęliśmy się rozumieć.

A jego nieżyczliwość zmieniła się, jeśli już nie w pełną życzliwość, to w każdym razie w nastawienie wyraźnie przychylniejsze.

Co z pewnością nie może nam przynieść szkody, a raczej znaczne pożytki.
Jak słusznie zauważyłeś, jego babka Agatha to osoba o ogromnych wpływach.
Jeśli będziemy się z nią przyjaźnić, to wyniknąć z tego dla nas mogą tylko korzyści.
Rollo przytaknął skinieniem głowy.

- Zwłaszcza jeśli, jak to mówiłaś, ona niekoniecznie przepada za żoną swojego wnuka -
dodał z wyraźną satysfakcją.

Kate na wszelki wypadek powstrzymała się od dokładniejszego cytowania co bardziej
ostrych wypowiedzi Agathy na ten temat.

- A poza tym, gdybyś ty sama zaangażowała się w organizację tego...
jak tyś to nazwała?

Kate wiedziała, że Rollo doskonale pamięta - zawsze miał w głowie bezbłędnie
działający magnetofon - ale mimo to powtórzyła zaproponowaną przez siebie nazwę: -
Muzeum Sztuki Dzikiego Zachodu imienia Agathy Chandler.

- Tak.

No właśnie.

Takie zaangażowanie rzeczywiście może nam przynieść tylko korzyści.

Oczywiście wciąż uważam, że byłoby lepiej, gdybyś przejęła tę kolekcję do sprzedaży w
Despards, ale z drugiej strony trzeba pamiętać, że modna obecnie koncepcja
zachowywania wszystkiego w stanie możliwie nienaruszonym zyskuje coraz więcej
zwolenników.

Więc może warto mieć sojuszników, przynajmniej wśród niektórych z nich.

- Rollo pokiwał głową z wyrazem głębokiego namysłu.

- Tak, w sumie może się okazać, że to było wcale zręczne posunięcie, moja droga.

Pozwól, że złożę ci gratulacje.

Już znów był niezwykle uprzejmy i odzyskał cały swój humor.

Kate również uśmiechnęła się do niego, starając się, by nie zauważył, jaki kamień spadł
jej z serca.

Na przyszłość trzeba będzie bardziej uważać.

Przede wszystkim nie zadrażniać jego miłości własnej, która w przypadku Rolla - i
zresztą większości mężczyzn - wymagała wyjątkowej delikatności, tak niesłychanie była
krucha i wrażliwa na wszelkie dotknięcie.

Odrobina pochlebstwa nie mogła w tym przypadku zaszkodzić.

- Rollo, powiem ci tylko, że pochwała z twojej strony jest dla mnie szczególnie cenna,
choćby dlatego, że chwalisz mnie tak rzadko...
za rzadko.

- Głos Kate był teraz samym ciepłem i słodyczą.

- I w ogóle...

mam nadzieję, że o tym wiesz, ty jeden pozostałeś jakimś stałym punktem odniesienia w
moim tak gwałtownie zmieniającym się świecie.

Rollo był najwyraźniej poruszony, w każdym razie jego podbudowane ego wydawało się
bulgotać z zadowolenia.

- I pozostanę, moje dziecko.

Bo niby dokąd miałbym pójść?

I tylko mi nie mów - tak jak wielu innych - że do wszystkich diabłów.
Bo naprawdę nigdy nie wytrzymałem zbyt wysokiej temperatury.

Część Trzecia.
Kupiona.
Grudzień.

Rozdział 10 .

Dominique przyhamowała i skręciła swym Citroenem w dość stromą dojazdową dróżkę, którą Charles Despard w swoim czasie kazał wyłożyć kostką ceramiczną dla wygody mieszkańców i gości starego prowansalskiego domu w Vent.

Dróżka prowadziła do otoczonej murem posiadłości, usytuowanej na łagodnym zboczu góry wznoszącej się ponad leżącym niżej miasteczkiem.

Kryjące się za murem sady i ogrody pełne były użytkowych i ozdobnych drzew i krzewów - śliw, jabłoni, oliwek, oleandrów, jaśminów.

Już z daleka, jeszcze zanim wjechała do środka, Dominique mogła poczuć zapach ziół, które Marta uprawiała w ogrodzie, by potem robić z nich skuteczne na wszystko mieszanki.

Ich zapach szedł o lepsze z zapachem dojrzewających owoców niewielkich drzewek cytrynowych, hodowanych w ogromnych donicach ustawionych wzdłuż tarasu.

Z daleka wyczuwało się też zapach grusz, jabłek i brzoskwiń.

Dominique zajechała pod bramę, opuściła szybę w drzwiach samochodu i sięgnęła po zwisający przy ścianie uchwyt starego żelaznego dzwonka.

Usłyszała jego donośny dźwięk gdzieś w głębi domu i po chwili z wolno otwierających się dwuskrzydłowych drzwi wytoczył się stary Jeannot.

Spojrzał na przyjezdną bez zdziwienia, ograniczając się tylko do kiwnięcia głową i mrukliwego "dzień dobry".

Wewnątrz ogrodu cała ta uroda i blask wspaniale utrzymanego ogrodu i sadu - co w znacznej mierze było zasługą jej matki, która pracowała tu z prawdziwą miłością i oddaniem - jeszcze bardziej uderzyły Dominique.

Zwłaszcza pewien gatunek róż, zwanych chyba jerychońskimi, pachniał szczególnie mocno i dobiegał dosłownie zewsząd, kiedy się już było wewnątrz otaczającego dom i posiadłość muru.

Dominique przejechała ostatnie czterdzieści metrów, za którymi zaczynał się kolisty brukowany podjazd.

Teraz była już przed głównym wejściem do tego pięknego mas, wiejskiego domu zbudowanego z szarego kamienia, z pochyłym dachem z zygzakowato ułożonej czerwonej dachówki i z pomalowanymi na biało okiennicami.

Niespodziewanie pojawiło się w niej jakieś dziwne i niewytłumaczalne uczucie, jakby powrotu do rodzinnego domu...

Dominique wyłączyła silnik, a po wyjściu z samochodu zobaczyła stojącą na progu Martę, jak zawsze w wiejskim fartuchu w białe i niebieskie pasy, z wielkimi kieszeniami, w których wieśniaczki zwykły były chować ręce.

- Bonjour, madame!

- I w jej przypadku zabrzmiało to tak, jak gdyby Dominique wyjechała stąd ledwie parę dni temu, choć w rzeczywistości nie pojawiała się w domu w Vent od dnia pogrzebu Charlesa.

- ...jour Marthe.

Comment ça va?

- Wcale nieźle - odpowiedziała Marta.

- Mam w bagażniku sporo zakupów.

Po drodze do Vent Dominique zajechała do jednego z największych w okolicy supermarketów - Geant Casino w miejscowości Villeneuve-Loubaut.

Kazała sobie zapakować mnóstwo przysmaków, które lubiła jej matka.

Kiedy Marta zajrzała do bagażnika i zobaczyła to wszystko - pasztety, trufle, przepiórki w galarecie, jadalne kasztany - skrzywiła się tylko i potrząsnęła głową.

- Starsza pani nie będzie tego jadła - powiedziała.

- Teraz w ogóle już je jak ptaszek.

Choć wciąż każe mi gotować na dwie osoby, tak jak zawsze.

Czyste marnotrawstwo, bo tylko Jeannot od tego wciąż tyje i już się zrobił gruby jak świnia.

- Jak to na dwie osoby?

- zapytała Dominique.

- Wszystko zawsze przygotowuje się na dwie osoby.

Dla madame, pani matki, i dla monsieur, jej męża.

Widząc niedowierzanie Dominique, Marta dodała: - Pani Catherine przez cały czas rozmawia ze swym mężem.

Zawsze muszę stawiać talerze również dla niego, a wieczorem kłaść na łóżku jego piżamę i wieszać szlafrok na poręczu krzesła.

Starsza pani nigdy nie ogląda telewizji, tylko słucha muzyki.

Zawsze tylko to, co lubił pan.

I przez cały czas coś haftuje albo wyszywa - dla niego.

Ozdobne kaptcie, zakładkę do książki, woreczek na okulary.

I co wieczór głośno czyta, jak gdyby czytała dla niego.

Marta była starą kobietą, która pracowała u jej matki od wielu lat.

Ale Dominique nie zamierzała się z nią patyczkować.

- Próbujesz mi wmówić, że moja matka zwariowała?

- zapytała ostro i bezceremonialnie.

- Nie, proszę pani.

Poprosiłam doktora Morela, żeby z nią porozmawiał -oczywiście nie mówiąc jej, dlaczego - i doktor powiedział, że madame nie jest nienormalna czy szalona.

Ona tylko po prostu woli świat własnej wyobraźni od świata rzeczywistego.

- No, to akurat nic nowego, jeżeli chodzi o nią.

- Dominique wiedziała, że jej matka już dawno temu przyjrzała się rzeczywistości i uznała, że to nie dla niej.

Uciekła w świat wyobraźni, co zresztą w jakiś sposób ją uratowało, ponieważ bez tej ucieczki z pewnością nie wytrzymałaby tych długich lat ze swym pierwszym mężem, który każdego mógłby doprowadzić do ciężkiego rozstroju nerwowego, jeżeli nie do szaleństwa.

- Gdzie moja matka jest teraz?

- spytała Dominique.

- Tam gdzie zawsze o tej porze.

Na tarasie.

Catherine siedziała w cieniu ogromnego pasiastego parasola, wyciągnięta w swym ulubionym ogrodowym fotelu z podstawką na nogi.

Ze swego miejsca mogła spoglądać w dół, wzdłuż łagodnego stoku góry i przy dobrej widoczności widzieć nawet odległe morze i położone nad nim Antibes.

Nadal ubrana z właściwą jej dyskretną elegancją, tym razem miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę koloru dojrzewającej cytryny.

Wyciągnięte na dostawionej podstawce opalone nogi bez pończoch lśniły w słońcu jak wypolerowane, paznokcie palców u nóg - podobnie zresztą jak i u rąk - były zadbane i wypielęgnowane, świeżo pokryte dobranym do karnacji czerwonym lakierem.

Nietrudno też było zgadnąć, że niedawno musiała być u fryzjera, choć zapewne to raczej fryzjer przyjechał tu do niej.

Było oczywiste, że wciąż dba o swój wygląd tak samo jak zawsze.

I że robi to wciąż dla tego samego mężczyzny.

Dominique pochyliła się i pocałowała matkę w umalowany, pachnący policzek.

- Maman!

Catherine otworzyła przymknięte oczy.

Przybycie córki nie zdziwiło jej zupełnie.

Spojrzała na nią, na chwilę zatrzymując wzrok na eleganckim kostiumiku córki.

- Saint Laurent?

- spytała.

- Wciąż masz bezbłędne oko!

- skomplementowała ją Dominique.

- A już myślałam, że skoro tak zakopałaś się tutaj, to może i modne ubieranie się przestało cię w ogóle interesować.

- Kobiecie nigdy nie wolno przestać myśleć o tym, jak wygląda - odpowiedziała jej matka z przyganą w głosie.

- Jeśli sobie na to pozwoli, to jej mężczyzna też przestanie o tym myśleć.

Dominique usiadła na stojącym obok leżaku i nalała sobie szklaneczkę świeżo wyciśniętego soku z lodem.

Jak zawsze, było to wprost przepyszne.

- No więc jak się czujesz, maman!

- Jak sama widzisz, doskonale.

- Catherine sięgnęła po malutkie, ozdobione klejnocikami nożyczki, należące do kompletu robótkowego, który kiedyś należał do samej madame de Pompadour. Tak to przynajmniej wynikało z dokumentów, które Charles otrzymał, kupując ten komplet dla swej żony.

Komplet do robótek madame de Pompadour, pomyślała rozbawiona Dominique. Jakimi to robótkami zajmowała się ta dama, było przecież powszechnie wiadome. Ten komplecik musiał być chyba mało używany.

- Wobec tego jesteś tu szczęśliwa?

Catherine podniosła na nią oczy pełne zdumienia, równie wielkie i równie błyszczące jak oczy córki, choć o innym odcieniu błękitu.

- Dlaczego nie miałabym być szczęśliwa?

To moje ulubione miejsce.

Tu zawsze byłam szczęśliwa.

- Nie czujesz się samotna?

- Tu nigdy nie jestem samotna.

To prawda, pomyślała Dominique.

Inne miejsca, takie jak na przykład Normandia i Gonville, były dla niej długoletnim więzieniem, choć przebywała tam jako madam vicomtesse du Vivier.

I dopiero tu, w tej willi La Galiniere, którą kupił i przebudował dla niej jej drugi mąż, poczuła się wolna i stała się tą kobietą, którą zawsze pragnęła być - madame Charles Despard, żoną swego ukochanego Charlesa.

- Nie nudzisz się tutaj?

- zapytała Dominique.

Nawet Antibes nie wydawało się jej nigdy szczególnie atrakcyjnym miejscem Lazurowego Wybrzeża, a przecież do Antibes był stąd jednak kawał drogi.

Tu, na tym odludziu, prowadziło się zupełnie inne życie.

O niecałe dwa kilometry od ich domu była co prawda ta miejscina Vent, ale tam nie było praktycznie nic, jeżeli nie liczyć kawiarni i paru zapyziałych sklepów.

Do tego dochodził jeszcze kościół, a także park, gdzie zwykle spędzać czas miejscowe towarzystwo: wciąż ta sama grupa starych mężczyzn, godzinami grających w boules - pod czujnym okiem jeszcze liczniejszych starych kobiet.

Młodych w tym miasteczku praktycznie nie było, wszyscy wyjeżdżali stąd tak szybko, jak się tylko dało, żeby szukać swoich szans gdzie indziej.

- Ja miałabym się tu nudzić?

- W głosie Catherine brzmiało szczere zdziwienie.

- W jaki sposób?

Mam tu mój ogród, moje książki, moje robótki.

No i mam tu Charlesa, przede wszystkim.

Nie, nigdy się tu nie nudzę.

- Mamo...

- zaczęła Dominique i niemal w tej samej chwili urwała, na widok spojrzenia i gwałtownie zmienionego wyrazu twarzy matki.

Catherine zawsze była raczej uległa i ustępliwa, ale - jak niemal wszystkie tego rodzaju osoby - miała swój czuły punkt, którego raczej nie należało dotykać.

Zresztą w jej przypadku było to coś więcej niż tylko jakieś szczególne uczulenie; to była jej prawdziwa, wciąż trwająca obsesja na punkcie Charlesa Desparda.

- Posłuchaj, Dominique - powiedziała Catherine, zadziwiająco stanowczo jak na nią.

- Nigdy cię nie pytałam, co robisz ze swoim życiem i nigdy się nie wtrącałam...

Bo nigdy cię to nie obchodziło, pomyślała Dominique.

- ...toteż bardzo cię proszę, żebyś i ty zechciała nie wtrącać się w to moje życie.

Jestem tu naprawdę szczęśliwa.

To miejsce stało się dla mnie domem, jedynym prawdziwym domem, który w życiu miałam.

I nigdy go już nie opuszczę.

Tu przynajmniej nie ma gonitwy, interesów firmy Despards, nieustannych nacisków i ciągłych wizyt różnych ludzi, którzy tylko zabierają czas i odrywają nas od tego, co jest ważne w życiu.

Tu mam wszystko, czego mi potrzeba.

A przede wszystkim Charlesa wyłącznie dla siebie, pomyślała Dominique.

- Jestem w pełni zadowolona, mogę cię zapewnić.

Więc nie martw się o mnie.

Teraz każę przynieść ci coś do zjedzenia, a potem opowiesz mi najnowsze plotki...

Jedzenie podano im na tarasie: pyszną barwę z cytryną i upieczone na ciemnozłoty kolor kurczę z prowansalskim nadzieniem przyprawionym ziołami z ogródka Marty.

Do tego oczywiście sery, w szczególności lokalny Brebis du Pays, oraz nagrzane słońcem figi prosto z drzewa, morele, nektarynki i ogromne złote brzoskwinie.

- Będę się musiała wypowiadać z grzechu obżarstwa.

- Dominique westchnęła.

- Ale warto było zgrzeszyć.

Siedziały teraz nad podaną w ozdobnych filiżankach cafe filtre z odrobiną brandy.

Dominique niepostrzeżenie przyglądała się matce.

Podczas tego lunchu ustawiono tylko dwa nakrycia - Charles najwyraźniej nie miał brać udziału w posiłku - a matka, jak zawsze, rozmawiała tylko o rzeczach oczywistych i banalnie nudnych.

Ani razu nie zapytała jej o firmę Despards, słowem nawet nie wspomniała o córce Charlesa.

Już wiele lat temu te tematy zostały odsunięte na bok, i to tak, że praktycznie przestały dla niej istnieć.

Catherine Despard - z całą egoistyczną bezwzględnością w stosunku do innych - zawsze miała tę wspaniałą zdolność widzenia tylko tego, co chciała widzieć.

Tak, jak potrafią to dzieci.

A ona przecież tak naprawdę pozostała dzieckiem, pomyślała Dominique, znów przyglądając się jej z ukosa.

Dzieci czasami wymyślają sobie przyjaciół, a jej matka wymyśliła sobie całe życie, istniejące przede wszystkim w jej wyobraźni.

To życie dzieliła ze swym mężem, który w jej przekonaniu wciąż niósł ją przez ten świat na rękach, jako swój najdroższy, bezgranicznie uwielbiany skarb.

Catherine zawsze była bardzo próżna, nastawiona wyłącznie na siebie, a jednocześnie ogromnie niepewna wszystkiego i łatwa do zranienia.

Potrzebowała więc stale czułości i opieki, a tylko jeden człowiek na świecie kochał ją wystarczająco mocno, żeby móc jej to zapewnić.

Ten spokojny wiejski dom, pomyślała Dominique, był przecież darem od niego dla niej.

Tu się przeniosła z wielkiego paryskiego domu przy Avenue Foch, zabierając ze sobą te wszystkie rzeczy, które były dla niej najważniejsze i które stanowiły przede wszystkim część jego życia.

Na przykład jego portret - który zgodnie z obowiązującymi zasadami powinien zostać przekazany do Desparda London i tam zawisnąć na honorowym miejscu w foyer firmy - teraz wisiał tu, nad kominkiem, w wielkim pokoju gościnnym.

Na centralnym miejscu przed kominkiem ustawiony był jego fotel, wraz z podnóżkiem pokrytym zrobioną przez Catherine narzutką.

Obok stały gotowe do włożenia miękkie aksamitne kapcie, również ozdobione wyhaftowanymi przez nią inicjałami męża.

W książce, leżącej wciąż na tym samym miejscu, nadal tkwiła włożona między strony zakładka, tak by Charles wieczorem mógł bez trudu znaleźć miejsce, w którym przerwał czytanie.

Co za głupstwa mi chodzą po głowie, pomyślała Dominique z irytacją, skierowaną zresztą głównie na siebie.

Pod ręką leżało też pudełko cygar Romeo y Julietta i wielka mosiężna zapalniczka.

A cały pokój wypełniony był ulubionymi przedmiotami Charlesa.

Były tam przepiękne ceramiczne talerze sang de boeuf, kunsztowne wyroby z kości słoniowej, niewielki, ale od razu rzucający się w oczy obraz Cezanne'a, wspaniałe wschodnie dywany z Tabrizu, lampa, której podstawa wykonana była z jednego dużego odłamu górskiego kryształu.

I wszędzie stały kwiaty.

Charles kochał kwiaty, kolory, kształty, zapach.

Była więc cała masa różowych goździków włożonych do stołowej wazy z sewrskiej porcelany, z odtraconym jednym uchem.

I ozdobna donica z Vincennes, w której wciąż rosły bugenwille, ozdobne pnącza tropikalne o barwnych przylistkach.

Nic się tu nie zmieniło.

I nic się nie zmieni, pomyślała Dominique.

Później, kiedy jej matka ułożyła się do codziennej popołudniowej drzemki, Dominique zaczęła myszkować po całym domu, uważnie przyglądając się wszystkiemu.

Jeszcze kiedy odprowadzała matkę do sypialni na piętrze i sięgnęła po wiszący na wieszaku jej bawełniany szlafroczek, zauważyła, że zaraz obok - jak zawsze na tym samym miejscu - wciąż wisi szlafrok Charlesa.

Na półeczce w łazience nadal leżały jego przybory do golenia i duża, do połowy opróżniona butelka męskiej wody kolońskiej Eau Sauvage.

Jakie to dziwne, pomyślała Dominique, że to właśnie teraz, jako wdowa, jej matka mogła wreszcie prowadzić życie, jakiego zawsze pragnęła.

Znała dobrze całą historię tego debacie, smutnego upadku i rozpadu jej pierwszego małżeństwa; wiedziała, że Catherine już podczas ceremonii ślubnej musiała pozostawić twarz przysлонiętą welonem, by ukryć rzucające się w oczy ślady bezsennej, przeplakanej nocy.

Ale od chwili powtórnego wyjścia za mąż tej przeszłości nigdy się już nie wspominało, tak jak gdyby osiągnięty po latach jej prywatny triumf ostatecznie zatarł całą przeszłość.

Madame Charles Despard i madame la comtesse du Vivier były dwiema zupełnie różnymi kobietami.

Wiecznie przybita i przerażona matka Dominique dosłownie rozkwitła w promieniach adoracji i uwielbienia, nieustannie okazywanego jej przez ukochanego Charlesa, i stała się kobietą, jakiej jej córka nigdy w niej nie podejrzewała.

Teraz z kolei widziała jeszcze inną Catherine, ufną i spokojną tak bezgranicznie, że w pewnej chwili to aż wstrząsnęło patrzącą na nią Dominique.

Bo w rzeczywistości było to przecież świadectwem jej lęku i braku poczucia bezpieczeństwa.

A jednak tak jest lepiej, pomyślała Dominique z sarkastycznym uśmiechem.

Wreszcie jej matka miała męża takiego, jakiego mieć chciała, jakiego sobie wymarzyła. A to znaczyło przede wszystkim - wolnego od zagrożenia wynikającego z kontaktów z innymi istotami ludzkimi.

Teraz wreszcie Charles należał tylko i wyłącznie do swojej żony i nic już nie mogło go jej odebrać - ani firma Despards, ani ta jego rodzona córka, ani przeszłość, ani tym bardziej przyszłość.

Charles żył teraz w umyśle Catherine, w świecie powstałym w jej wyobraźni, który stworzyła sobie głównie pod wpływem udręki długich lat spędzonych bez niego.

Te jej dawne rozpaczliwe marzenia stały się teraz jej rzeczywistością.

Rozmowa z Martą tylko potwierdziła te przypuszczenia Dominique.

- O tak, pani matka jest spokojna - powiedziała stara służąca, wzruszając ramionami.

- Nawet bardzo spokojna.

Po prostu tutaj nie ma nic i nikogo, kto mógłby ją niepokoić.

Tu żyje się wciąż tak, jak się żyło przedtem, nic się nie zmienia.

Nawet późno w nocy na stoliku zawsze stoi pełna szklaneczka Cios Vosges, które pan Charles tak lubił, a żarzące się cygaro dopala się w popielniczce.

Pani Catherine tak jak zawsze siedzi w fotelu obok męża i rozmawia z nim.

Powiem pani, że mnie samej - kiedy ją czasem słyszę tak z nim rozmawiającą - zdarza się szukać go wzrokiem, czekać, że za chwilę jej odpowie.

Tak to się wydaje rzeczywiste.

On teraz jest bardziej żywy niż wtedy, gdy tu mieszkał.

- Nie boisz się tego?

Marta znów wzruszyła ramionami.

- Nie, to nie jest straszne.

Raczej...

trochę żalosne.

Ale przecież - nieruchoma twarz Marty nie zdradzała większych emocji - ona jest szczęśliwa.

Kto w tej sytuacji chciałby się tym martwić?

Na pewno nie ja, pomyślała Dominique.

Na przyszłość mogę się już nią nie przejmować.

Ma tu wszystko, czego potrzebuje, wszystko, czego w życiu chciała.

Ja mogę się teraz czuć wolna i skoncentrować się na tym, czego chcę i co powinnam osiągnąć.

Co powinnam była dostać od razu.

Ach, papo, papo, okazałeś się chytrzejszy i bardziej przemyślny, niż sądziłam.

Powinnam to była przewidzieć.

Zauważyć, że za tą twoją swobodną uprzejmością, za jakoby niewzruszoną umiejętnością stałego panowania nad wszystkim, kryje się głęboka rana w sercu i nie dające się stłumić wyrzuty sumienia.

Tak, papo, traktowałeś mnie jak córkę, ale tak naprawdę wcale nie byłam dla ciebie córką, byłam tylko jakąś częścią twojej ukochanej żony Catherine.

A córką dla ciebie była ta, która cię odrzuciła.

O, ona była sprytna, ta mała Catriona.

Ty nigdy nie potrafiłeś znieść tego, by ktoś cię odrzucił czy odszedł od ciebie.

Gdyby tak moja mamon nie wyszła za męża za innego, czy też tak uporczywie i wytrwale czepiałbyś się każdej niteczki pamięci o niej?

Bardzo w to wątpię, jeśli mam być szczerą.

Mogłeś ją Ubóstwiać w tej swojej pamięci i utrzymać ją tam nieskalaną, ale tylko dlatego, że nie mogłeś jej mieć wtedy, kiedy tak bardzo tego chciałeś.

I w przypadku Catriony było to samo.

Powinnam była zdać sobie z tego sprawę.

Owszem, twoja żona po doświadczeniu pierwszego koszmarnego małżeństwa czuła się stale tak niepewna i tak zagrożona, że nieustannie musiała być zazdrosna o wszystko i po prostu nie potrafiłaby znieść nawet najdrobniejszego odniesienia do tego, co było.

Do twojego poprzedniego związku i wszystkiego, co się z nim wiązało.

Ale to przecież nie mogło oznaczać, że ty naprawdę nie będziesz już o tym wszystkim myśleć.

Uśpiłeś nas wszystkich, a przede wszystkim mnie.

Głównie tym, że byłeś taki dobry, do czego nie byłam przyzwyczajona.

A może też byłeś mi po prostu wdzięczny.

W końcu to ja złączyłam was ze sobą, nawet jeśli miałam w tym swój interes.

Teraz po latach zastanawiam się, czy o tym wiedziałeś?

Okazuje się, że potrafiłeś widzieć bardzo wiele, nigdy nie przestając się łagodnie uśmiechać.

Dominique na chwilę przymknęła oczy.

Nagle wydało się jej, że w taki sam sposób jak jej matka czuje przy sobie obecność ojczyma: zawsze miłego, niezmiennie cierpliwego i kochającego - wtedy, gdy mu to odpowiadało.

Kiedyś, dawno temu, patrząc na niego nieśmiało i naiwnie swymi wielkimi niebieskimi oczami zapytała, czy może go nazywać papa.

Pamiętała, że odpowiedział jej natychmiast i bardzo poważnie: "Ależ oczywiście, jakże mogłoby być inaczej"?

Powinam go była wtedy przejrzyć, pomyślała Dominique.

Wiedziała już przecież, że jest niezwykle bystry i, wbrew pozorom, potrafi myśleć wnikliwie i zadziwiająco subtelnie.

I że potrafi też być, w razie potrzeby, uparty jak muł - dokładnie tak samo jak ta jego córka.

Pozwalał mi wtedy wierzyć, że naprawdę zastąpię ją w jego życiu i nawet w jego sercu - ale w rzeczywistości pozostał przy swoim, a pamięć o tej swojej córce ukrył w sobie najgłębiej; tam gdzie nigdy nie potrafiłam sięgnąć.

Przez chwilę i w jej sercu pojawiła się nagle tęsknota za tym, co było niemożliwe: żeby i ją jej ojciec kochał w ten sam sposób.

Ale jej ojciec nigdy nie kochał nikogo poza sobą.

Owszem, był dumny z jej urody, jej bezwzględności i wczesnie ujawniającego się seksualizmu.

Gdyby nie to, z całą pewnością przepędziłby ją tak, jak przepędził swoją żonę, skazując ją na wegetację na najdalszych obrzeżach wspólnego domu.

Matka praktycznie nie istniała.

Ona, Dominique, nie oczekiwała od swej matki niczego i niczego też od niej nie otrzymała.

Miłość to po prostu luksus, powiedziała sobie po latach i teraz to powtórzyła.

Nikt o zdrowych zmysłach nie poświęci niczego dla miłości, niczego, co byłoby coś warte.

Choć, z drugiej strony, to przecież właśnie miłość sprawiła, że jej matka mogła wreszcie żyć, i to bardzo dobrze.

Charles okazał się niezwykle szczodry i Catherine była zabezpieczona - i to jak - na resztę życia.

Marta mogła sobie burczeć na temat marnotrawstwa i stałego podawania posiłków na dwie osoby, narzekać na zapalane i nie wypalane cygara, na nalewane i nie wypite wino.

Zresztą, w przypadku wina, z właściwą francuskim wieśniaczkom oszczędnością wykorzystywała je do doprawiania potraw.

Jakie w tej sytuacji mogło mieć znaczenie to, że jej matka miała - jakby to określił Blaise - pewne nieregularności pod sufitem?

Dlaczego miałyby się tym martwić?

Szła teraz, by się z nią pożegnać.

Tak jest najlepiej, każdy w końcu może wybrać to, na co ma ochotę, powiedziała sobie i uśmiechnęła się.

Masz zupełną rację, mamó.

Chacun d son goiit - oczywiście dopóki ktoś nie będzie próbował wybierać za mnie.

Część Czwarta.

Budowanie reputacji.

Maj.

Rozdział 11 .

Stało się to już jej zwyczajem, że Kate - zanim przeszła do gabinetu i zajęła się własnym rozkładem zajęć - schodziła do głównego hallu firmy parę minut po wpół do dziesiątej rano.

Schodziła, by zobaczyć, że wszystko już nabrało obrotów, że pierwsi interesanci już stoją przy przeznaczonych dla nich specjalnych stanowiskach obsługi.

Brała głęboki wdech, wciąż z tą samą emocją wchłaniając ten ledwo uchwytny zapach, który był samą istotą firmy Despards.

Tu się to wszystko działo.

Tu ludzie, którzy mieli coś do sprzedania, po raz pierwszy stykali się z firmą.

Przychodzili w cichej nadziei, iż usłyszą, być może, że jakiś przedmiot z ich rodzinnego spadku jest czymś niezmiernie cennym; że, na przykład, jakiś obraz albo stary zegar, który przez wiele lat stał na półce, okaże się zapomnianym, a teraz na nowo odkrytym dziełem wybitnego artysty.

Przesuwając spojrzenie w głąb sali, Kate oglądała przy pracy kolejnych swoich współpracowników.

Najbliżej był Julian Markham, ze szkłem powiększającym wciśniętym w oczodół, niczym monokl, przyglądający się badawczo trzymanej w długich palcach delikatnej figurce wyrzeźbionej z kości słoniowej.

Na następnym stanowisku Andrew Clarke oglądał porcelanowego arlekina z Chelsea, a parę metrów dalej pochylony nad ladą Alec Ross z widoczną satysfakcją przewracał strony jakiegoś bogato iluminowanego manuskryptu.

Jeszcze dalej Tom Herriot, jak zawsze niezmiernie delikatnie i taktownie, tłumaczył słuchającej go z nie ukrywanym niepokojem starszej pani, dlaczego uważa, że przyniesiona przez nią mała stylowa szkatułka jest tylko zręcznie wykonaną kopią produktu Faberge, a nie oryginałem.

W wydzielonym oszklonymi ściankami stanowisku siedział już David Holmes i z przykładną pilnością zapoznawał się z przeznaczonym dla niego katalogiem wiktoriańskich miniatur, których aukcja przewidziana była na godzinę dziesiątą dzisiejszego dnia.

Kate nie planowała obecności na tej aukcji, jako że w tym samym czasie miała się spotkać - piętro wyżej - z członkami stale funkcjonującej w firmie roboczej grupy do spraw bieżących, by omówić aktualną sytuację firmy, zyski z ostatnich sprzedaży i plany na przyszłość.

Kierując się na salę posiedzeń, Kate podświadomie nadstawiała ucha i słuchała dobiegającego z sali charakterystycznego cichego gwaru, świadczącego o tym, że wszystko działa bezbłędnie.

Zapewne również podświadomie nastawiała i swe wewnętrzne ucho, starając się wychwycić ewentualne zakłócenia, wyłapać jakieś nagłe załamanie rytmu, jakiś najdrobniejszy zgrzyt, który świadczyłby o ziarenkach piasku w tej gładko funkcjonującej maszynie.

Wszystko jednak działało normalnie.

Kate skinęła głową, pozdrowiła siedzącą za grubą szybą kasjerkę, która rozłożyła już i sprawdziła potrzebne na bieżący dzień rachunki, formularze kwitów i inne dokumenty, a także ułożyła w szufladach i podręcznych przegródkach przywiezione ze skarbca pieniądze.

Zaczynał się kolejny pracowity dzień w firmie Despard.

Kate z uśmiechem odpowiadała na kierowane do niej ze wszystkich stron "dzień dobry", pozdrawiała mijanych pracowników.

Z satysfakcją stwierdzała, że wszystko jest w porządku, jak zresztą zawsze od już przeszło miesiąca, kiedy to oficjalnie przejęła tu kierownictwo.

Przewodnicząc posiedzeniom zarządu czy komisji, czuła się już teraz znacznie pewniej. Wbrew jej obawom, zmiana kierownictwa odbyła się bez zauważalnych zgrzytów, wszystko poszło właściwie zupełnie gładko.

Kate zdążyła już udowodnić, że chce wciąż się uczyć od innych, korzystać z ich wiedzy i pogłębiać własne wiadomości, a przy tym potrafi brać na siebie odpowiedzialność i podejmować decyzje, które w danej sytuacji powinna podjąć właśnie ona.

Wiedziała już, które z rad i opinii należy traktować poważnie, a które można po prostu pominąć.

Przy paru okazjach pokazała też, że potrafi uczciwie i prostolinijnie przyznać się, że czegoś nie wie; poprosić współpracowników o pomoc i zrozumienie, kiedy sytuacja tego wymagała.

W pertraktacjach potrafiła umiejętnie wyklądać na stół te karty, które warto było ujawnić, zachowując zasłonięte asy do końcowej rozgrywki.

Kate postanowiła wprowadzić nową, zmienioną procedurę sprawdzania przedmiotów z brązu i starej porcelany, oferowanych do sprzedaży w firmie Despard.

Odtąd miało być sprawdzane już nie tylko pochodzenie i ewentualne dokumenty danego przedmiotu, nie tylko dane o nim dostępne w fachowej literaturze, ale również osoba samego sprzedającego.

W przypadku najmniejszej wątpliwości należało przeprowadzić badanie termoluminescencyjne.

Szef wydziału wydatków złapał się za głowę po wyliczeniu przewidywanych kosztów, ale Kate przekonywała go wytrwale i nieustępliwie.

Zgodziła się w końcu na jego kompromisową propozycję, by koszt badania termoluminescencyjnego pokrywany był przez klienta oferującego dany przedmiot do sprzedaży - w przypadku, gdy ów klient nie był wystarczająco dobrze znany.

Kate zdążyła też zapisać na swym koncie pierwszy poważniejszy sukces osobisty - duże zlecenie sprzedaży dla Despards London, na które zresztą zapracowała znacznie wcześniej.

Wszystko zaczęło się od tego, że pewnego dnia - kiedy jeszcze prowadziła ten swój mały sklepik na Kings Road - przyniesiono jej i zaoferowano do kupienia siedemnastowieczny koreański dzban, ozdobiony charakterystycznym niebiesko-białym rysunkiem smoka.

Kate natychmiast rozpoznała oferowany jej przedmiot jako należący do kolekcji znanej pod nazwą Spuścizny Steyninga.

Zbiór ten, znany wszystkim miłośnikom sztuki dalekowschodniej, stworzony został przez lorda Steyninga, byłego wieloletniego ambasadora Wielkiej Brytanii w różnych krajach wschodniej Azji.

Człowiek, który próbował sprzedać dzban w sklepiu Kate, wyglądał dość wiarygodnie, ale zdradził się bez reszty, oferując go za sumę stanowiącą ledwie drobną część rzeczywistej wartości.

Ponieważ Kate przez wiele lat do poduszki zwykła była czytywać przede wszystkim stare i nowe katalogi oraz książki i broszury poświęcone dziełom sztuki, i miała w głowie prawdziwie encyklopedyczną wiedzę na temat wszystkich ważniejszych zbiorów - rozpoznała ten porcelanowy dzban właściwie natychmiast.

Powiedziała więc sprzedającemu, że ma dla niego klienta, którego taki koreański dzban mógłby bardzo zainteresować.

Jednak klient ten właśnie wyjechał i trzeba by go dopiero odszukać, co musiało zabrać trochę czasu, więc czy w tej sytuacji można by się umówić, powiedzmy, za parę godzin?

Po krótkim wahaniu sprzedający zgodził się, a gdy tylko wyszedł ze sklepu, Kate natychmiast zatelefonowała do kuratora Spuścizny Steyninga.

Okazało się, że rzeczywiście ten właśnie koreański porcelanowy dzban został skradziony pięć lat temu i od tego czasu nie udało się wpaść na żaden ślad.

W tej sytuacji kurator mógł natychmiast zadzwonić na policję, która przyjechała na czas i - gdy sprzedający ponownie pojawił się w sklepie - już na niego oczekiwała.

Przedstawiciele zarządu opiekuńczego byli oczywiście niezmiernie wdzięczni i - ponieważ Kate odmówiła wówczas przyjęcia jakiegokolwiek nagrody - przyrzekli jej, że będą o niej pamiętali, gdy przyjdzie do sprzedaży kolekcji.

I właśnie teraz, gdy przed kilkunastoma dniami otworzono testament zmarłego niedawno lorda Justina Steyninga, ostatniego z członków zarządu powierniczego, należących do rodziny, okazało się, że zgodnie z jego ostatnią wolą kolekcja ma zostać sprzedana, a sprzedaż należy powierzyć domowi aukcyjnemu Despards London.

- Lord Justin nigdy nie zapomniał, że to dzięki pani odzyskaliśmy ten dzban, który zresztą lubił szczególnie.

- Tak pan Matheson, obecnie senior wśród członków zarządu powierniczego, wyjaśnił Kate tę jednogłośnie podjętą decyzję.

W rezultacie gwałtownie wzrosła pozycja rynkowa zarówno oddziału Despards London, jak i oczywiście samej Kate.

Kolekcja zwana Spuścizną Steyninga liczyła sobie już około stu lat od chwili jej powstania, a przez ten czas jej wartość ogromnie wzrosła, zwłaszcza że było w niej wiele rzeczy naprawdę wyjątkowych.

Nie tylko stara porcelana, ale także przedmioty z kości słoniowej, orientalne dywany, cenne stroje, wyroby z laki oraz zupełnie niezwykle japońskie starodruki, w szczególności niesłychanie rzadko spotykany egzemplarz bardzo specyficznej książki, którą tylko bardzo eufemistycznie można by nazwać książką do poduszki, z ilustracjami ręcznie malowanymi na welinowym papierze, zresztą niezwykle pięknymi, o cudownie delikatnych kolorach i nieprawdopodobnej wyrazistości szczegółów.

Kiedy Kate po raz pierwszy poproszono do siedziby Spuścizny Steyninga, wspomniana książka była umieszczona w zamykanej na klucz szkatułce.

Szacowni członkowie zarządu powierniczego, z których żaden zresztą nie miał mniej niż siedemdziesiąt lat, pokasztywali z pewnym zakłopotaniem i zgodzili się w końcu, że młoda dama powinna raczej przyjąć tę książkę bez jej przegładania, choć oczywiście może, na przykład, obejrzeć bardzo piękną i oryginalną oprawę.

Kate postanowiła zrezygnować z oglądania książki i zadowolili się obejrzeniem paru delikatnie rzeźbionych figurek z kości słoniowej oraz równie wspaniałych ozdób z nefrytu. Zastrzeżoną minimalną cenę sprzedaży całej kolekcji ustalono na pięć milionów funtów.

- Kate, sam Pan Bóg nam cię zesłał!
- wykrzyknął na wieść o tym John Steadman, sprawujący w Despard's London funkcję jej zastępcy i głównego dyrektora.

- Kapitalna rzecz, naprawdę kapitalna!

Sprzedajemy Spuściznę Steyninga, no kto mógłby pomyśleć, Boże drogi!

- Chciałabym, żeby na tę sprzedaż przygotowano absolutnie doskonały katalog - zapowiedziała Kate szefowi wydziału reklamy natychmiast po otrzymaniu zlecenia.

- Jeżeli zdjęcia zostaną właściwie zrobione i odpowiednio wydrukowane, to zwłaszcza na widok tych wyrobów z kości słoniowej i laki niejednemu pocieknie ślinka.

Zastrzeżoną cenę minimalną całości kolekcji ustalono na pięć milionów, ale jeśli ta temperatura sprzedaży, jaką obserwuje się teraz na porównywalnych aukcjach, nadal się utrzyma, powinniśmy to łatwo przekroczyć.

- I uzyskać bardzo piękną sumkę, jako procent - powiedział John.

Nie należał do grupy starej gwardii, pracował w Despard's zaledwie dziesięć lat i był bardziej figurantem niż rzeczywistym dyrektorem.

Akceptowano tę sytuację, ponieważ John Steadman miał niezwykle pożyteczne znajomości i rodzinne koneksje - dość powiedzieć, że jego matka była kuzynką Królowej Matki - i dzięki temu wielokrotnie udawało mu się doprowadzić do powierzenia właśnie firmie Despard's sprzedaży różnych, nieraz bardzo atrakcyjnych zbiorów.

Poza tym nie należał do grupy popleczników Dominique - na to by się nie ważył, ponieważ jego żona trzymała go krótko i miała stale na oku.

Natomiast jako figurant i tak zwany dyrektor reprezentacyjny, John Steadman sprawdzał się doskonale.

Rano dostarczono do firmy pierwsze próbne odbitki katalogu Spuścizny Steyninga.

Kate poleciła zanieść je do jej gabinetu, gdzie zamierzała je przejrzeć przy najbliższej sposobności.

Miała przeczucie, że ten sukces wreszcie zatrze w pamięci jej poprzednią wpadkę - zresztą jej pierwszą - która była dla niej poważną nauczką i naprawdę ją podówczas wystraszyła.

Toteż dla pamięci - by nie popełniać podobnych błędów w przyszłości - kazała oprawić w ramki i powiesić na ścianie swego gabinetu wycięty z "Timesa" artykuł zamieszczony w rubryce Aukcje i wyprzedaje.

Tekstu tego artykułu, który dopiekl jej do żywego, Kate zdążyła się już nauczyć na pamięć: - Specjaliści od sprzedaży starej porcelany z pełnym zdumienia podziwem przyjęli wiadomość, że dom aukcyjny Christies sprzedał część porcelanowego kompletu do herbaty (wczesny Worcester, około 1750 roku), zdobionego znanym motywem "chłopca jadącego na bawole" udatnie imitowanym według wzorów chińskich, za cenę blisko trzykrotnie przekraczającą ceny wywoławcze.

Czajniczek do herbaty sprzedano za 2600 funtów, przy zaproponowanej przez Christies cenie wywoławczej od 600 do 800 funtów; dzbanuszek do śmietanki poszedł za 1850 funtów, choć szacowany był zaledwie na 400 do 600 funtów; dwie miseczki sprzedano w sumie za 500 funtów, przy wartości szacunkowej od 100 do 140 funtów za sztukę.

Tymczasem w nieodległym przecież domu aukcyjnym Desparda uzyskiwane ceny pozostawały z tyłu o całe lata świetlne.

Nieliczni kupujący w ogóle nie podjęli licytacji białoniebieskiej chińskiej wazy z epoki Kang Hsi (1662-1722), o którą tak zaciekle walczono jeszcze ubiegłej jesieni.

Nawet prowadzącej aukcję pani Kate Despard, która z pewnością stała się swego rodzaju magnesem, przyciągającym ciekawskich do firmy Desparda, nie udało się uzyskać choćby zadowalających cen.

Większość rzeczy sprzedano za sumy żałośnie niskie.

Przedmioty, za które wcześniej oferowano do 500 funtów, na tej aukcji osiągnęły zaledwie 200, a znaczna część, najprawdopodobniej około 40 procent wszystkich wystawionych rzeczy, w ogóle nie została sprzedana.

Pani Despard wyraziła rozczarowanie niewielkim zainteresowaniem, jakie wywołała oferta jej firmy, zapewniając jednak, że spadek popytu na rynku jest zjawiskiem chwilowym.

"Nie można stale wygrywać - oświadczyła.

- Ale to się poprawi".

Tak czy inaczej, z całą pewnością byłoby ze znacznym pożytkiem tak dla sprzedających, jak i kupujących, gdyby dom aukcyjny klasy Desparda zechciał uważniej przypatrywać się tendencjom występującym na rynku i raczej doradził swym klientom, by zechcieli się wstrzymać ze sprzedażą aż do momentu, gdy kupujący rzeczywiście będą chcieli płacić przynajmniej tyle, ile wynoszą ceny wywoławcze.

Kate jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona.

Tym bardziej że ostrzegano ją, iż osoba wystawiająca te przedmioty do sprzedaży zawsze ustala o wiele za wysoką cenę minimalną.

Nigdy dotąd nie znalazła się w takiej sytuacji.

To właśnie była ta fatalna, dołująca licytacja, której domy aukcyjne tak bardzo się obawiają, ponieważ z reguły odbija się to na ich opinii i późniejszych możliwościach uzyskania rzeczywiście najlepszych cen.

Kate - z całą niewiedzą i naiwnością żółtodzioba - była przekonana, że jej coś takiego nigdy zdarzyć się nie może.

Wiedziała wprawdzie, że praktycznie każdy prowadzący aukcję musiał kiedyś przejść przez coś takiego, ale mimo to nie spodziewała się, że sama też będzie musiała to przeżyć, i to tak szybko.

Wydawało się jej, że skoro jest na fali, to już na zawsze na niej pozostanie.

Tym boleśniej odczuła ten upokarzający upadek na oczach wszystkich.

A najbardziej bolało ją właśnie to, że została przecież ostrzeżona.

James Grieve od razu jej powiedział: - Te ceny minimalne, które zaproponował Andrew Forrester, są mało realistyczne.

Pamiętaj, Kate, że w ostatnich miesiącach ceny raczej stały w miejscu, albo nawet spadały.

- Ale Andrew Forrester jest naszym starym i cenionym klientem.

- To prawda, ale to nie oznacza, że nie może być nadmiernie chciwy.

Przynajmniej moim zdaniem.

- Czy ja kiedykolwiek dotychczas zawiodłam?

- zapytała Kate z całą młodzieńczą butą i pychą kogoś, kto takie doświadczenie wciąż ma jeszcze przed sobą.

- Nie zawiodłaś, ale też musisz pamiętać, że przyszłaś do nas w okresie wielkiej hossy na naszym rynku.

A szczyt tej hossy, moim zdaniem, mamy już za sobą.

- Ale ja, jako prowadząca, wciąż jeszcze jestem obiektem zainteresowania.

- Nie przeczę.

Jednak nasi klienci płacą ci nie za to.

- W głosie Jamesa zabrzmiała delikatna przygana.

I rzeczywiście, niemal od samego początku aukcji stało się oczywiste, że tym razem klienci nie mają ochoty dużo płacić ani za porcelanę, ani za fakt, że sprzedaje ją córka Charlesa Desparda.

Zazwyczaj podczas aukcji kolejne rzeczy sprzedawane były w tempie mniej więcej stu obiektów w ciągu godziny, czyli średnio co trzydzieści sześć sekund.

Teraz stoper Kate wykazał, że ten czas wydłużył się do prawie sześćdziesięciu sekund.

To znaczyło, że potrzebna była cała minuta, żeby sprzedać zaledwie jeden przedmiot, i to za niską cenę - podczas gdy normalnie w takim czasie Kate potrafiła sprzedać dwa przedmioty i to za większe pieniądze.

Przykre poczucie dotkliwej porażki, konieczność przyznania się, że popełniła błąd - sprawiły, że bardzo nierozumnie spróbowała to natychmiast naprawić poprzez przyśpieszenie tempa.

A przecież David Holmes mówił jej to już dawno, jeszcze podczas zajęć przygotowawczych: - To ty podczas aukcji narzucasz tempo licytowania.

Ale to nie znaczy, że możesz strzelać batem!

I rzeczywiście, próba poganiania kupujących dała raczej żalosne rezultaty. Ludzie zamiast poddać się jej woli, wzruszali ramionami, wymieniali między sobą spojrzenia, z których łatwo można było wyczytać nie wypowiedziane głośno zdania w rodzaju: "A nie mówiłem"?

, albo: "Może to ją wreszcie nauczy, że trzeba słuchać starszych i mądrzejszych".

Była to jej pierwsza poważniejsza aukcja i udało się jej położyć ją wręcz wzorcowo.

- Nie przejmuj się tym za bardzo - powiedział dość cierpko, ale też rzeczowo David Holmes, kiedy już było po wszystkim.

- Raczej postaraj się wyciągnąć z tego wnioski.

Kate zwiesiła głowę, rumieńce wstydu płonęły na jej policzkach.

To było naprawdę straszne.

Ale zapamiętała otrzymaną lekcję, a każde spojrzenie na oprawiony w ramki złośliwy artykuł tylko umacniało ją w postanowieniu, że to się już nie może powtórzyć.

Teraz wreszcie, gdy uzyskała dla Desparda to ogromne zlecenie, zaczynała mieć wrażenie, że już odrabia utracony grunt i nadszarpniętą reputację, nadszarpniętą przez młodzieńczą zarozumiałość i niezwracanie uwagi na rady ludzi dużo bardziej od niej doświadczonych.

Zaczęła też zdawać sobie sprawę, że to przede wszystkim zwykłe sprzedaże, codzienne i mało efektowne - były ich przecież setki, w okresie między jedną a drugą wielką aukcją, która stawała się "wydarzeniem" - że to właśnie te drobne bieżące sprzedaże składały się na stały dochód firmy.

Kate starała się więc dbać o nie równie pieczołowicie jak o te wielkie, organizowane ze specjalnych okazji.

A jeśli klienci próbowali proponować zbyt wysokie ceny minimalne, bardzo grzecznie, ale stanowczo odmawiała.

Na szczęście w przypadku Spuścizny Steyninga nie było żadnych tego rodzaju kłopotów, można więc było mieć nadzieję, że wreszcie będzie to prawdziwy wielki sukces, który odbuduje jej reputację i stanie się zasłużonym powodem do dumy.

Tak rozmyślając przeszła znaczną część budynku, który mimo wczesnej jeszcze pory zdawał się już tętnić pracą.

Kate z zadowoleniem stwierdziła, że wszystko funkcjonuje jak trzeba.

Sprzedaże, które właśnie się odbywały bądź też były zaplanowane na najbliższe trzy miesiące, zostały przygotowane jeszcze przed śmiercią jej ojca, albo też zaraz potem, kiedy ona sama jeszcze nie podejmowała praktycznych decyzji.

Natomiast już wyłącznie na jej rachunek miała pójść licytacja Spuścizny Steyninga oraz sprzedaż rzeczy pozyskanych ostatnio, wśród nich w szczególności kilku bardzo cennych obrazów dawnych mistrzów, paru kompletów starych angielskich sreber oraz kilkunastu perskich i chińskich dywanów.

Jednak największym marzeniem Kate w tym momencie było pozyskanie dla swej firmy innego ogromnego zbioru, dość powszechnie nazywanego po prostu Courtland Park - od nazwy posiadłości zmarłego przed paroma miesiącami Johna Randolpha Courtlanda, amerykańskiego milionera, który na początku stulecia porzucił swój ojczysty kraj i przeniósł się do Anglii z ambicją wejścia do świata bardziej arystokratycznego.

Poświęcił wiele lat swego życia i wiele milionów dolarów na starania o uzyskanie tytułu, co jednak nie zakończyło się powodzeniem.

Jak mówiono, stało się tak głównie dlatego, że nie dość rozważnie stanął po stronie księcia Windsoru w słynnej sprawie, która ostatecznie skończyła się abdykacją.

Kiedy ten niepopularny później członek rodu panującego ciągle jeszcze miał nadzieję, że cała sprawa w końcu rozejdzie się po kościach, posiadłość Courtland Park przez pewien czas służyła mu za gniazdko miłosne, w którym mógł spotykać się ze swą ukochaną panią Simpson.

W rezultacie, kiedy ostatecznie doszło do abdykacji, zrezygnowany milioner zaniechał dalszych bezowocnych starań o tytuł szlachecki i zamknął się na dobre w swym wielkim domu, wypełnionym aż po sam strych kupowanymi przez dziesięciolecia dziełami sztuki.

Przez wszystkie następne lata żył w odosobnieniu, jak prawdziwy pustelnik, i unikał jakichkolwiek kontaktów z ludźmi, choć do końca życia nie przestał uzupełniać swojej kolekcji, kupując wszystko, co mu się tylko spodobało.

Ostatecznie dożył sędziwego wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat, a powołany po jego śmierci zarząd powierniczy ogłosił, że dom wraz z całą kolekcją zostanie sprzedany na publicznej aukcji.

Wiadomo było, że interesują się tym największe domy aukcyjne, w tym Sothebys i Christies.

Kate miała jeszcze dodatkowy bodziec do działania - coraz bardziej szczegółowe informacje, a także pogłoski i plotki dotyczące przygotowywanej przez jej przybraną siostrę aukcji w Hongkongu, zupełnie niezwyklej, tak z racji liczby, jak i jakości oferowanych tam skarbów starej chińskiej sztuki.

Mówiono, że już przygotowany przez Dominique katalog tej aukcji sam w sobie miał być prawdziwym dziełem sztuki: każdy nawet najmniejszy przedmiot był tam sfotografowany w kolorze i zaopatrzony w szczegółową informację dotyczącą jego pochodzenia, poczynając od prostej miseczki na trójnogu, pochodzącej z czasów dynastii Shang, mniej więcej tysiąc pięćset lat przed narodzeniem Chrystusa, aż po najbardziej wykwintne i wyrafinowane wazy Kang Hsi z osiemnastego wieku.

Mówiło się powszechnie, że ceny na tej aukcji pobiją wszelkie rekordy.

Tak więc Kate w tej sytuacji już po prostu musiała zdobyć dla siebie Courtland Park.

W przeciwnym razie jej rywalizacja z Dominique byłaby przegrana od razu na starcie.

Firma Despard's London została poproszona o obejrzenie i oszacowanie całości zbiorów z Courtland Park, ale o to samo zarząd powierniczy poprosił również Sothebys i Christies.

Miała to być aukcja zupełnie niezwykle co do skali - na całość zbioru składało się wiele tysięcy poszczególnych przedmiotów, wśród których były bezcenne meble i obrazy, nie pokazywane publicznie przez kilkadziesiąt lat, między innymi dwa obrazy Rembrandta i jeden Rubensa, do tego całe mnóstwo dzieł artystów francuskich, jak Boucher, Fragonard, Delacroix, Ingres i wielu innych.

O meblach natomiast mówiono, że znaczna ich część stała niegdyś w sypialniach i salonach Wersalu.

Kate już zamierzała opuścić salę, w której obsługiwano klientów, gdy nagle przy jednym z kontuarów zobaczyła znajomą postać.

- Pani Swan?

Starsza pani odwróciła się, a jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Panna Despard!

Jak miło znów panią zobaczyć!

Miałam nadzieję, to znaczy, czytałam właśnie wszystko, co o pani pisano w gazetach - to wszystko stało się tak nagle - i nawet chciałam zapytać...

Kate delikatnie przerwała tę przydługą, a niezbyt skoordynowaną wypowiedź.

- Czy może przyniosła nam pani coś do sprzedania?

Pani Swan była częstym gościem w jej małym sklepiku na Kings Road i zazwyczaj przychodziła tam z jakimś porcelanowym drobiazgiem.

Jej zmarły mąż był kolekcjonerem, co prawda na bardzo niewielką skalę, umiejącym jednak bezbłędnie wyłapywać wartościowe rzeczy, najczęściej na targowiskach i na jarmarkach w małych miasteczkach.

Kupował rzeczy pozornie w złym stanie, nieraz bardzo zaniedbane lub wręcz brudne, ale mimo to dobrze zachowane i nie uszkodzone, w czym potrafił się zorientować tym łatwiej, że sam z zawodu był konserwatorem starych przedmiotów.

W ostatnich latach Kate sprzedała w swym sklepiku wiele rzeczy przyniesionych przez panią Swan, wśród nich piękny, wyprodukowany w Chelsea porcelanowy gajk ze scenką rodzajową, wspaniałego miśnieńskiego łabędzia i cały zestaw figurek ze Staffordshire.

Teraz starsza pani również sięgnęła do swej torby i wyjęła z niej jakiś owinięty w gazetę przedmiot, który ostrożnie podała Kate.

- Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała tego sprzedawać, ale czasy są tak ciężkie i wszystko teraz tak dużo kosztuje...

Kate odwinęła kilka warstw gazetowego papieru i wydobyła z nich stary dzbanek do kawy.

Oczy jej zaśniły.

To był oryginalny Worcester, z wczesnego okresu - mniej więcej z roku 1705 - ze wspaniałej białej porcelany, ozdobiony pnącymi porcelanowymi różyczkami, oplatającymi zarówno samo naczynie, jak i jego długi, kształtny dziobek.

Kate dla pewności uniosła pokrywkę i uważnie obejrzała środek.

Nigdzie nie było śladu choćby najdrobniejszego pęknięcia.

Spojrzała jeszcze na podstawę od spodu - wszystkie znaki firmowe były właśnie takie, jakie być powinny.

- Oczywiście, pani Swan - powiedziała z uśmiechem, a w jej oczach było tyle uspokajającej pewności, że starsza pani wyraźnie się odprężyła.

- Nie powinno być najmniejszych trudności ze sprzedaniem tego dzbanka.

To przecież Worcester.

- Mój mąż bardzo go lubił.

To jedna z pierwszych rzeczy, które kupił.

Na rynku w Kegley, jeszcze na długo przed wojną.

Zapłacił wówczas za to pół korony.

- No, teraz dostaniemy za to dużo więcej - zapewniła ją Kate.

- Nieporównanie więcej.

Twarz starszej pani rozjaśniła się, choć w jej oczach nadal można było dostrzec cień smutku.

- To trochę tak, jakbym rozstawała się z jakąś częścią Toma...

Tak jest za każdym razem, kiedy sprzedaję coś z przedmiotów, które on tak lubił.

- No cóż, trzeba też za coś żyć - powiedziała łagodnie Kate.

- Bardzo wiele osób jest teraz w podobnej sytuacji.

Na szczęście jest też niemało takich, które bardzo chętnie zapłacą sporą sumę za tak piękną rzecz.

A potem - zapewniam panią - będą o nią dbać "równie pieczołowicie, jak czynił to pani mąż.

Starsza pani skinęła głową.

W jej westchnieniu była teraz również i ulga.

- Wiedziałam, że pani mnie zrozumie - powiedziała.

- Tak zresztą było zawsze, kiedy przychodziłam jeszcze do tego małego sklepu.

I zawsze płaciła mi pani dobrą cenę...

- Pani Swan zawahała się, nim w końcu odważyła się zapytać: - A jak długo...
to może potrwać?

- Jeżeli idzie o porcelanę z osiemnastego wieku, będzie chyba możliwość wystawienia tego pod koniec tygodnia - skłamała gładko Kate.

Spojrzała na bardzo zakłopotaną starszą panią i pod wpływem nagłego impulsu dodała:

- Ale coś pani powiem.

W tym przypadku jestem po prostu pewna, że dostanę za to naprawdę dobrą cenę, więc bardzo chętnie wypłacę pani jakąś zaliczkę już teraz.

Policzki pani Swan poróżowiły.

- No cóż, jestem bardzo wdzięczna.

Jeżeli tak można, to oczywiście bardzo chętnie...

Bo ja, prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie oddawałam niczego na aukcje, tylko do takich sklepików jak ten pani, na Kings Road.

Tu też przyszłam tylko dlatego, że panią znałam i mam do pani zaufanie.

Pani zawsze postępowała ze mną bardzo rzetelnie.

- Proszę więc pójść ze mną - powiedziała Kate.

Wzięła starszą panią pod ramię i poprowadziła do stanowiska dyżurnej kasjerki, której szepnęła parę słów na ucho.

Już w parę chwil później, Kate dyskretnie wcisnęła kopertę w dłoń pani Swan.

- Tu jest pięćset funtów, jako zaliczka na poczet tego, co zamierzamy uzyskać za pani dzbanek - powiedziała, starając się, aby nikt inny tego nie usłyszał.

- A ile to mogłoby być...

w całości?

- zapytała starsza pani bardzo przejęta.

- No cóż, w zeszłym miesiącu sprzedaliśmy bardzo podobny dzbanek za pięć tysięcy funtów - powiedziała Kate.

- Niemożliwe!

- Możliwe.

To przecież Worcester, i to w doskonałym stanie.

Myślę, że zastrzeżona cena pięciu tysięcy funtów to wcale nie będzie za dużo.

- Co to znaczy "zastrzeżona cena"?

- zapytała zaskoczona pani Swan.

- To najniższa cena, za którą pani zgodzi się to sprzedać.

Ale oczywiście możemy uzyskać cenę nawet sporo wyższą.

- No cóż, jeżeli pani tak uważa.

Pani jest specjalistką.

- Tak uważam i jestem pewna, że się nie mylę.

Czy nadal mieszka pani pod tym samym adresem?

- O, tak.

I w tej sytuacji oczywiście zostaną tam, nie będę się musiała wyprowadzać.

- Pani Swan wciąż była oszołomiona i niemal przerażona wysokością zaproponowanej sumy.

- A Tom kupił to za ledwie pół korony.

- Ale to było przeszło czterdzieści lat temu - powiedziała uspokajająco Kate.

-Ceny od tego czasu ogromnie się zmieniły.

Na lepsze, z punktu widzenia tych, którzy chcą coś sprzedać.

- Nie zostało mi już wiele do sprzedania - przyznała z pewnym zawstydzeniem pani Swan.

- Ale to, co mam otrzymać za ten dzbanek, wystarczy mi na długo.

- Czy ma pani konto w banku?

- zapytała Kate.

Uprzednio zawsze płaciła jej gotówką, ponieważ starsza pani zawsze zaznaczała, że to jej bardziej odpowiada.

- Tom nie za bardzo lubił banki, więc...

- Myślę, że teraz powinna pani założyć sobie konto.

Coś pani powiem.

Kiedy już sprzedamy ten dzbanek, po prostu przyjdę do pani z pieniędzmi i razem zastanowimy się, jak w najbezpieczniejszy i najkorzystniejszy sposób je przechowywać.

- Pani jest tak miła.

Tak życzliwa...

- Pani Swan wciąż nie potrafiła ogarnąć tego wszystkiego, co się stało.

- Pięć tysięcy funtów, nigdy bym nie przypuszczała.

Pięć tysięcy!

Kate upewniła się jeszcze, że koperta zawierająca pięćset funtów zaliczki została schowana do skórzanej portmonetki i bezpiecznie umieszczona na samym dnie wielkiej torebki, a dla pewności jeszcze przykryta paroma zmiętymi gazetami, w które pani Swan upřednio owinęła przyniesiony dzbanek.

Starsza pani dała się też przekonać, że tym razem może sobie pozwolić na powrót taksówką do Fulham.

Na polecenie Kate portier wyszedł razem z nimi przed główne wejście, by złapać dla pani Swan taksówkę i dopilnować, żeby odjechała bezpiecznie.

Uśmiechnięta Kate wróciła do głównego hallu i właśnie zamierzała przejść do swego gabinetu, gdy nagle kątem oka spostrzegła przyglądającego się jej wysokiego, elegancko ubranego mężczyznę.

Wygląda tak, jak gdyby dopiero co zszedł z okładki miesięcznika mody "Tailor and Cutter", pomyślała.

Mężczyzna miał na sobie doskonale skrojony płaszcz z aksamitnym kołnierzem, w dłoni trzymał czarny melonik.

Podszedł do Kate z uprzejmym uśmiechem.

- Czy panna Despard?

- Tak.

Czy mogę panu być w czymś pomocna?

- Taką mam nadzieję - odpowiedział mężczyzna.

- Nazywam się Nicholas Chevely.

A więc był to ten człowiek, od którego w głównej mierze zależało, kto ostatecznie otrzyma do sprzedania Courtland Park wraz z całą zawartością.

Kate ucieszyła się, że akurat dziś szczególnie zadbała o swój wygląd, jako że o jedenastej umówiona była na spotkanie z pewnym niezwykle szacownym klientem, którego zamierzała namówić, żeby właśnie firmie Despards powierzył sprzedaż należącego do niego wspaniałego obrazu Velasqueza.

Z tej okazji miała na sobie swój ulubiony kostiumik z czerwono-brązowego tweedu, w którym zawsze wyglądała doskonale.

Modnie przycięte kasztanowe włosy miękko okalały jej twarz, którą - dzięki naukom pobieranym od Charlotte - potrafiła już umalować z naprawdę znakomitym skutkiem.

Teraz również dostrzegła błysk nie ukrywanego podziwu w orzechowych oczach mężczyzny, który się jej przedstawił.

- Ach tak!

Bardzo się cieszę, panie Chevely.

Miałam nadzieję, że kiedyś się spotkamy, więc jest mi tym bardziej miło, że zechciał pan zajrzeć.

Podali sobie ręce.

Uścisk dłoni mężczyzny był zdecydowany, choć odrobinę dłuższy, niż się tego spodziewała.

- Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani za złe tej nie zapowiedzianej wizyty.

Właściwie to chciałem się tylko zapoznać z ogólną atmosferą firmy Despards London, zobaczyć, jak to wszystko działa.

- Doskonale pana rozumiem i uważam, że to znakomity pomysł.

Czy może chciałby pan, żebym pana pokrótce wprowadziła i pokazała to, co może pana interesować?

- Kątem oka zdążyła zerknąć na zegarek.

Była dopiero dziewiąta pięćdziesiąt, a zatem pozostało jej jeszcze mnóstwo czasu.

- Byłbym wręcz zachwycony.

- Nicholas Chevely uśmiechnął się czarująco.

- Obawiam się, że nie za wiele wiem o domach aukcyjnych, czy w ogóle o świecie sztuki. Tak się złożyło, że nie za bardzo miałem czas, żeby się tym zajmować.

No oczywiście, pomyślała Kate.

Od dzieł sztuki ma pan ludzi, którzy w razie potrzeby kupują i sprzedają za pana.

Wiedziała, że Nicholas Chevely jest bardzo liczącym się w kręgach finansowych maklerem, który między innymi prowadził sprawy giełdowe Johna Randolpha Courtlanda

- tak udatnie, że ten mianował go głównym wykonawcą swego testamentu.

Wyglądało na to, że pan Chevely potrafi również czytać w ludzkich myślach, ponieważ niemal natychmiast odpowiedział jej na pytanie, którego nawet nie zdążyła zadać.

- Tak, pan Courtland z pewnością był człowiekiem o cokolwiek ekscentrycznym podejściu do różnych spraw.

W każdym razie to było dla niego bardzo typowe - wybrać człowieka, który kompletnie nic nie wie o świecie sztuki, żeby zajął się sprzedażą Courtland Park i wszystkiego, co tam się znajduje.

I właśnie ja mam to zrobić.

- Czyli przede wszystkim wybrać właściwy dom aukcyjny do zorganizowania tego wszystkiego?

- spytała Kate.

- Tak, to jest w tym wszystkim najważniejsze.

- I teraz przyszedł pan, żeby przyjrzeć się nam?

- Kate powiedziała to z uprzejmym uśmiechem, ale i ze znaczną pewnością siebie.

Również Nicholas Chevely znów się uśmiechnął.

- No cóż, podatki spadkowe są tak ogromne, że uzyskanie możliwie najwyższych cen jest dla nas po prostu koniecznością.

- Dla ludzi interesujących się dziełami sztuki Courtland Park to prawdziwe skarby Sezamu - powiedziała Kate.

- Jest ich tam rzeczywiście bardzo dużo.

- Z niecierpliwością czekam na okazję przyjrzenia się temu wszystkiemu.

- Właśnie po to między innymi tu przyszedłem.

Chciałbym ustalić datę, która by pani odpowiadała.

- My również jesteśmy gotowi i możemy się dostosować - zapewniła go Kate.

Skinęła na portiera, który natychmiast podszedł, by odebrać od pana Chevely jego płaszcz, kapelusz i laskę.

Ten facet powinien pracować jako męski model, pomyślała oszołomiona Kate.

Nigdy dotąd nie spotkała tak eleganckiego mężczyzny.

Ale oczywiście nie zamierzała go oceniać tylko po wyglądzie zewnętrznym.

Z całą pewnością musiał być niezwykle bystry.

Już wcześniej dowiedziała się o nim niemało, postarała się zebrać dostępne materiały i informacje, a w takich przypadkach zawsze robiła to metodycznie i profesjonalnie.

Kate starała się naśladować swego ojca -eksponować i umiejętnie sprzedawać to, co się miało do sprzedania.

Również od Rolla nauczyła się bardzo wiele, a zwłaszcza ostrożnego podejścia; pamiętała, czego się ma wystrzegać i czego w żadnym wypadku nie robić.

Dobrze wiedziała, że wszelkie tego rodzaju pertraktacje, to przede wszystkim gra psychologiczna.

A temu człowiekowi musiała teraz "sprzedać" nie tylko firmę Desparda, ale - w jakimś sensie - również i samą siebie.

Szykowała się więc do trudnej przeprawy.

Tymczasem, zanim jeszcze zdążyli dojść do jej gabinetu, Chevely zupełnie niespodziewanie powiedział: - Uważam, że byłoby to naprawdę wydarzenie, gdyby tego rodzaju aukcję poprowadziła kobieta.

Kate najwyższym wysiłkiem woli postarała się opanować swe emocje i rodzący się gdzieś w głębi lęk, czy nawet panikę.

Przecież, mówiąc szczerze, nie była jeszcze w pełni przygotowana do czegoś na taką skalę, nawet jeśli jej mentor w sztuce prowadzenia aukcji - David Holmes - częściej niż zwykle mówił ostatnio, że daje sobie radę wcale, wcale...

Ale żeby podjąć się prowadzenia aukcji tak olbrzymiej kolekcji jak Courtland Park?

Jednak już po chwili postanowiła, że mimo wszystko przyjmie propozycję.

Choćby miała urobić sobie ręce po łokcie i pracować po dwadzieścia cztery godziny na dobę - jeżeli tylko dzięki temu zdobędzie dla firmy coś tak ważnego.

Tak, Desparda London musi otrzymać to zlecenie.

- Powiem panu, że z wielką radością przyjąłabym taką szansę - odpowiedziała z najbardziej czarującym uśmiechem.

Przez jakiś czas oprowadzała go po ważniejszych działach firmy, pokazując mu wszystko i wyjaśniając zasady funkcjonowania.

Po drodze udało się jej - z dużym powodzeniem - rozwiązać parę bieżących spraw, z którymi zwracali się do niej podwładni.

Kate była bardzo wdzięczna losowi, że sprawy, z którymi się do niej zwracano, były akurat z gatunku tych, które mogła rozwiązać bardzo kompetentnie i szybko, przy okazji pokazując swemu gościowi, jak wiele od niej zależy i jak świetnie nad tym wszystkim panuje.

Na zakończenie oprowadzania po firmie Desparda zeszła wraz ze swym gościem na piętro i przedstawiła mu kierowników poszczególnych działów.

Było dokładnie wpół do jedenastej, kiedy po zakończeniu tego wszystkiego wrócili do gabinetu Kate.

- Było to dla mnie niezmiernie pouczające - powiedział NiGholas Chevely, zajmując miejsce na wskazanym mu przez Kate stylowym fotelu.

- Nigdy nie sądziłem, że dom aukcyjny jest tak złożonym organizmem.

- To rzeczywiście dosyć skomplikowany mechanizm, ale w naszym przypadku funkcjonuje już tak długo, że właściwie skłonni jesteśmy uważać jego działanie bez zakłóceń za stan oczywisty i normalny - powiedziała otwarcie Kate.

- Mój ojciec z zasady nie chciał zmieniać niczego, co przez lata dowiodło, że może działać nie tylko zadowalająco, ale wręcz doskonale.

- I chyba miał rację - powiedział Nicholas Chevely.

Zaczęli omawiać szczegóły.

Kate już wcześniej niejednokrotnie zastanawiała się nad tym, jak należałoby zorganizować tę sprzedaż, gdyby firmie Desparda udało się dostać zlecenie.

Była więc dobrze przygotowana.

- Powinniśmy mieć katalog wydrukowany przynajmniej kilka miesięcy wcześniej - powiedziała.

- Podejrzewam, że będzie to dość spora księga, tak wiele jest rzeczy, które powinny tam się znaleźć.

Oczywiście zdjęcia muszą być kolorowe i głównie w dużym formacie!

Myślę, że to powinno być coś w tym rodzaju.

- Podała swemu gościowi zeszłoroczne katalogi Desparda London, przygotowane na zakończoną wielkim sukcesem aukcję kolekcji dzieł starej sztuki angielskiej, znaną podówczas pod nazwą Chantry House.

- To rzeczywiście wspaniałe - mruknął Chevely, przerzucając kolejne strony katalogu.

- Macie doskonałego fotografa.

Już same zdjęcia sprawiają, że chce się to kupić.

- To rezultat umiejętności i ogromnego doświadczenia - odpowiedziała Kate i znów się uśmiechnęła.

- Gdybyśmy zlecili wam tę sprzedaż, kiedy chciałaby ją pani przeprowadzić?

- Na jesieni - odpowiedziała bez wahania Kate.

- Kiedy już wszyscy będą z powrotem w Londynie, a my sami zrobimy coś w rodzaju wstępnego przeglądu.

Dużo czasu zajmie nam samo robocze skatalogowanie zbioru, dopiero potem będziemy mogli przygotować i wydać ten oficjalny katalog.

Wstępny przegląd bardzo się przyda, zawsze jest dobrze zrobić trochę szumu, to pobudza zainteresowanie.

Chevely skinął głową.

Potem spojrzał na Kate i zrobił minę żartobliwie zafrasowaną.

- Obawiam się, że Courtland Park niekoniecznie jest wzorem porządku, zwłaszcza porządku artystycznego.

Pan Courtland chyba nigdy nie trzymał się jakiegś jednej linii przy dokonywaniu kolejnych zakupów.

Nie miał też żadnego spisu ani zrobionego na prywatny użytek katalogu, chociaż on sam doskonale wiedział, gdzie co jest - aż po ostatnią i najmniejszą srebrną łyżeczkę.

- I tak właśnie powinno być - odpowiedziała z uśmiechem Kate.

- Kiedy mogłaby pani przyjść i rzucić na to okiem?

- Sądzę, że im wcześniej, tym lepiej.

Chevely znów skinął głową.

- Bardzo słusznie.

Któregoś dnia w przyszłym tygodniu?

Kate otworzyła leżący na biurku terminarz.

- Czy środa odpowiadałaby panu?

Nicholas Chevely sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobył stamtąd długi i wąski kalendarzyk.

- Tak, to mi bardzo odpowiada.

Przyjechałbym tu po panią i potem zawiózł na miejsce.

Trzeba się liczyć z tym, że zajmie to nam cały dzień, jeśli będziemy chcieli obejrzeć wszystko.

Byłbym tu zatem, powiedzmy, o dziesiątej.

Kate wpisała to do swego terminarza, a dodatkowo na skos przez całą kartkę dotyczącą przyszłej środy napisała czerwonym atramentem: Courtland Park.

Sekretarka przyniosła im kawę, przy której jeszcze przez chwilę mogli - już niezobowiązująco - porozmawiać na różne tematy.

Kate przez cały czas miała świadomość, że Nicholas Chevely przygląda się jej uważnie, i to nie tyle jej, jako szefowi Desparda London, ile po prostu kobiecie, która w tym akurat przypadku nazywała się Catriona Despard.

Kate nie była przyzwyczajona, by patrzono na nią w ten sposób, coś podobnego nigdy się jej dotąd nie zdarzyło, a już zwłaszcza z takim mężczyzną jak ten.

No, ale skoro się to już zdarzyło...

Uznała, że jest to właściwie bardzo miłe i nawet zabawne.

Dopiero teraz mogła widzieć jasno, w jaki to sposób Dominique du Vivier udawało się zawierać tyle korzystnych transakcji.

Oczywiście, powiedziała sobie Kate, ja nie zamierzam posuwać się tak daleko jak ona, w żadnym wypadku.

Ale zaskoczeniem dla niej było już nawet to, że w ogóle mogła o tym pomyśleć.

Najwyraźniej czasy się zmieniały i ona też chyba się zmieniała.

Na pięć minut przed jedenastą Kate z pewnym ociąganiem - akurat takim, żeby zostało zauważone - odstawiła swą filiżankę i spojrzała na gościa.

Wzorowała się tu na Charlotte, która w sztuce gestów i spojrzeń była po prostu mistrzynią.

Imitując ją niemal idealnie, Kate powiedziała: - Obawiam się, że teraz będę musiała zająć się klientem, z którym jestem umówiona na jedenastą.

Naprawdę bardzo żałuję...

Nicholas Chevely natychmiast podniósł się bardzo uprzejmie, przy czym również postarał się, by zostało zauważone, że i on tego żałuje.

Przy pożegnaniu znów przytrzymał jej dłoń odrobinę dłużej, niż się tego spodziewała.

- A więc do przyszłej środy.

- Będę jej niecierpliwie oczekiwać.

- Kate uśmiechnęła się jeszcze bardziej czarująco.

Potem zadzwoniła po sekretarkę, by ta odprowadziła pana Chevely do głównego wyjścia.

Kiedy drzwi się już za nimi zamknęły, Kate zrobiła głęboki wdech, a potem jeszcze głębszy wydech.

- No, no!

- powiedziała i uśmiechnęła się.

Wyglądało na to, że udało się jej zrobić wrażenie na Nicholasie Chevely.

Widać to było choćby po tym, jak na to wszystko patrzył.

Przypomniała też sobie, jak przez dłuższy czas zatrzymał się w sali, gdzie właśnie rozpoczęła się jedna z przewidzianych na ten dzień tygodnia "szeregowych" aukcji Desparda.

Parokrotnie Kate usłyszała, jak półgłosem mówił sam do siebie "fascynujące"!

I przez cały czas wydawał się niezwykle zainteresowany wszystkim, co mu pokazywała.

Oczywiście nie zamierzała aż tak łatwo dać się na to wszystko nabrać.

Zbyt wiele już o nim wiedziała.

Nicholas Chevely był przede wszystkim biznesmenem, człowiekiem interesu.

Firma Chevely Brothers, którą założył i prowadził wraz ze swym młodszym bratem, była jednym z najwyżej cenionych biur maklerskich Londynu, które -jak wieść niesła - prowadziło interesy giełdowe i portfele akcji wielu liczących się ludzi, wśród których nie brakowało i tych z najwyższych kręgów władzy, a także z elit towarzyskich.

Nicholas Chevely obracał wielkimi sumami i z całą pewnością nawykł do tego, by za swoje pieniądze uzyskiwać maksimum korzyści.

Tak więc firma Desparda będzie się musiała naprawdę spać bardzo mocno, jeżeli chce otrzymać to zlecenie.

W sumie jednak zakończyła to spotkanie z uczuciem, że zrobiła dobre wrażenie na Nicholasie Chevely - i ta przyjemna świadomość towarzyszyła jej także podczas rozmowy z lordem Eversleighem.

Czuła się naprawdę uskrzydłona, zwłaszcza że i to spotkanie zakończyło się nad wyraz pomyślnie - podpisaniem kontraktu, zlecającego firmie Desparda sprzedaż obrazu pędzla Velasqueza.

Zastrzeżoną cenę minimalną ustalono na pięć milionów funtów, a sam obraz w rezultacie stał się najcenniejszą pozycją planowanej w niedługim czasie aukcji dzieł starych mistrzów.

Po wyjściu lorda Eversleigha rozradowana Kate spróbowała odtańczyć na środku gabinetu coś w rodzaju tańca zwycięstwa, gdy nagle drzwi uchyliły się bezgłośnie, a ona sama - w pełnym obrocie - znalazła się niemal oko w oko z Blaiseem Chandlerem, który zupełnie niespodziewanie pojawił się na progu jej gabinetu.

Teraz patrzył na nią z wyraźnym rozbawieniem, a Kate zaczerwieniła się gwałtownie.

- Widzę, że mamy pełnię wiosny - rzekł z uśmiechem.

- Po prostu bardzo się cieszę!

- powiedziała Kate, postanawiając, że nie będzie niczego udawać.

- Właśnie podpisałam kontrakt na sprzedaż jednego z najznakomitszych obrazów Velasqueza.

Od czasu aukcji jego płótna Juan de Pareja nie było tak znakomitego dzieła na naszym rynku.

A w dodatku - dodała triumfalnie - mam spore szansę, by uzyskać również zlecenie na sprzedaż kolekcji Courtland Park!

Czarne brwi Blaisea uniosły się do góry.

- Szczerze gratuluję!

Moja babka kazała mi pozdrowić panią bardzo serdecznie i zapytać, kiedy znów ją pani odwiedzi.

Kate westchnęła z żalem.

- Sama bardzo chciałabym to wiedzieć, ale akurat teraz mamy tak strasznie dużo pracy,

- Ale to chyba nie jest powód do zmartwienia?

- Oczywiście, że nie.

Wcale się nie uskarżam, wprost przeciwnie.

Czy miałby pan może ochotę na kawę?

Ta jest już zimna, ale zaraz każę przynieść świeżo zaparzonej.

Albo może wolałby pan jakiegoś drinka?

- Jeżeli można, chętnie wypiłbym szklaneczkę słynnego Amontillado pani ojca.

Kate uśmiechnęła się i podeszła wraz z nim do podręcznego barku.

- Przyjechał pan specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć, czy po prostu wpadł pan przy okazji?

Blaise pojawił się tu poprzednio z okazji oficjalnego przekazania jej kierownictwa DespanTs London.

Wydane wtedy przyjęcie zapisało się w pamięci Kate z dwóch powodów - nie pojawiła się na nim Dominique, natomiast ona sama trafiła po tym przyjęciu na łamy niemal wszystkich pism i specjalnych dodatków, poświęconych domom aukcyjnym i dziełom dawnej sztuki.

Niemal w każdej gazecie Kate mogła wówczas widzieć swoje zdjęcia, w bardzo - jak się okazało - fotogenicznej sukni od Brucea Oldfielda.

Niektóre z pism dodawały do tego wielki tytuł w rodzaju: Czy stanie do przetargu o sławę?

Przez jakiś czas Kate była na topie, udzielała wywiadów zarówno prasie, jak i telewizji.

Brukowe tygodniki poświęcały wiele uwagi sensacyjnej rywalizacji przybranych siostr, choć Kate oczywiście stanowczo odmawiała jakichkolwiek wypowiedzi na ten temat.

Starła się natomiast wykorzystać zainteresowanie mediów w taki sposób, by przyciągnąć jak najwięcej ludzi na najbliższe aukcje Desparda London.

Zmuszona podówczas do uczestniczenia w niezliczonych spotkaniach towarzyskich, przyjęciach koktajlowych i uroczystych kolacjach, Kate przez cały czas dziękowała Panu Bogu za to, że zawczasu zesłał jej Charlotte.

To dzięki niej zawsze wiedziała, co ma na siebie włożyć i jak to nosić, a także co powiedzieć, komu i kiedy.

Przez pierwszy tydzień starła się trzymać ją przy sobie jak najbliżej; później, w miarę jak nabierała pewności siebie, usamodzielniała się coraz bardziej i śmieiej ujawniała własną, także przez siebie dopiero teraz odkrywaną osobowość.

Teraz potrafiła już niejedno, czego dowodem mogło być choćby to, jak sobie poradziła z Nicholasem Chevely.

A jednak w obecności Blaisea Chandlera wciąż czuła się niepewna, a jej ręka drżała, gdy nalewała mu szklaneczkę sherry.

- Cieszę się, że sprawy idą tak dobrze - powiedział uprzejmie Blaise.

- Ale jak dobrze?

- odważyła się zapytać Kate.
- Podejrzewam, że pan nie za bardzo może zdradzić mi, jak wyglądam w zestawieniu z Dominique.

Nic zupełnie?

- Nie, teraz nie.

Za cztery tygodnie kończy się wasz pierwszy kwartał.

Wtedy przyjadę i powiem pani, jak się rzeczy mają.

- Blaise spojrział na posmutniałą twarz Kate.

- A zresztą, jeśli już tak bardzo chce pani to wiedzieć - jego głos nagle wydał się jej szorstki i prawie nieprzyjemny - wciąż jest pani w tyle.

Blaise rzeczywiście powiedział to jej dość bezceremonialnie, ale też z nadzieją, że to ją może zmobilizować.

Przekazywane mu przez odpowiednie służby dane, dotyczące wyników finansowych oddziału kierowanego przez Kate, raczej go rozczarowały.

Wprowadzony przez niego system bieżącego informowania pozwalał mu oceniać nie tylko miesięczne wyniki firmy, ale również zyski osiągane każdego dnia, a nawet wyniki pojedynczych sprzedaży.

Każdego dnia i każdego miesiąca wnioski były jednoznaczne: Dominique wyprzedzała swoją przybraną siostrę coraz bardziej.

No, ale też Dominique naprawdę poszła na całego.

On sam widywał ją coraz rzadziej - stale była zajęta, również wieczorami.

Zazwyczaj szła na jakieś spotkanie albo przyjęcie - mniej lub bardziej intymne, Blaise wolał się nad tym nie zastanawiać - którego rezultatem niezmiennie okazywało się pozyskanie kolejnego liczącego się klienta bądź lukratywnego kontraktu.

Również jej zwiadowcy pracowali teraz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, sprawdzali dla niej każdy ślad, każdą pogłoskę, każdą szansę pozyskania kogoś nowego.

- Jak bardzo jestem z tyłu?

- zapytała matowym głosem Kate.

- Tak bardzo, że jeśli pani teraz nie zrobi czegoś, by nadrobić dystans, to później nie będzie już na to szans.

Oddział nowojorski pracuje już praktycznie na okrągło...

a poza tym z pewnością słyszała już pani o tej przygotowywanej przez Dominique "aukcji stulecia" w Hongkongu.

Sądząc po sumach, jakie się w związku z tym wymienia, musiałyby pani pozyskać do sprzedaży co najmniej klejnoty koronne, żeby jakoś zrównać szansę.

Kate nic nie odpowiedziała, co jeszcze bardziej go poirytowało.

Z jakiegoś powodu chciał, żeby ta dziewczyna wygrała, choć z drugiej strony czuł wyraźną niechęć do wtrącania się w przebieg rywalizacji, czy choćby dawania powodów do tego rodzaju przypuszczeń.

Toteż był naprawdę wściekły, gdy dowiedział się, że jego własna babka zamierza otwarcie występować przeciw Dominique.

- Na miłość boską, księżno, musisz zrozumieć, że nie wolno mi popierać żadnej z nich.

Z prawnego punktu widzenia mam obowiązek być poza tym wszystkim.
Wykonawca testamentu musi być absolutnie bezstronny, tak mówią przepisy.

- Gadanie!

Przecież w jednym z narożników tego ringu jest twoja własna żona.

Więc nie mów mi, że ludzie i tak sobie nie pomyślą, że musisz ją popierać.

- Mało mnie obchodzi, co sobie pomyślą.

Ważne jest tylko to, co będę robił.

- A ja sądziłam, że byłeś przyjacielem Charlesa, tak samo jak i ja.

Teraz zaczynam się nad tym zastanawiać.

Przecież, do ciężkiej cholery, sam wiesz bardzo dobrze, co się stanie, kiedy ta suka położy łapy na całej firmie Despard.

- Jeżeli aż tak bardzo cenisz Kate Despard, to powinnaś też wiedzieć, co naprawdę jest warta.

Nie możesz jej nie doceniać.

- O tym nie ma mowy.

Ale nie zamierzam też nie doceniać twojej żony, bo to właśnie jej trzeba szczególnie uważnie patrzeć na ręce.

Oboje wiemy, co zrobiłaby z tymi wszystkimi zbiorami mojego ojca, gdyby tylko zechciała sobie zadać trochę trudu, żeby przyjechać i zobaczyć to wszystko.

Kate jest z gruntu uczciwa i rzetelna, i dlatego ją lubię.

A twoja żona sprzedałaby mnie razem z moimi kapciami, gdyby tylko ktoś zaoferował dobrą cenę.

- Spojrzała na Blaisea i skrzywiła usta w ironicznym grymasie.

- Ja w tej batalii nie będę bezstronna, nie liczy na to.

Jestem po stronie Kate, a przeciw twojej żonie.

I mało mnie obchodzi, kto się o tym dowie i jak to będzie wyglądało!

Te szorstkie słowa wciąż jeszcze pobrzmiwały w świadomości Blaisea podczas jego rozmowy z Kate.

Przyłapał się nawet na tym, że patrzy na tę dziewczynę spode łba, tak jakby to była jej wina.

Po raz pierwszy od wielu lat wyjechał od swej babki poirytowany i rozgoryczony.

Doszło do tego, że odjeżdżając prawie krzyczał na nią.

- Możesz mnie wciąż nazywać swoim chłopcem, proszę bardzo.

Ale ja już jestem dorosły, i to od wielu lat!

Ale ty tak przyzwyczaiłaś się rządzić wszystkim i wszystkimi, że już w ogóle nie przychodzi ci do głowy, że ktoś może mieć własny rozum i własny pogląd na taką czy inną sprawę.

Dlatego bardzo cię proszę, księżno, nie wtrącaj się w to wszystko.

Mówię bardzo serio.

Mówił rzeczywiście serio, ale też nie miał większych złudzeń co do rezultatów.

Dobrze wiedział, że jego babka i tak zrobi to, co zechce.

Natomiast jego stosunek do Kate nadal pozostawał ambiwalentny: szanował jej prawość i uczciwość, która szczególnie wyraźnie ujawniła się w jej podejściu do sprawy dalszych losów kolekcji, pozostałej po ojcu Agathy.

Z drugiej jednak strony raz po raz nie potrafił się powstrzymać, by nie myśleć o niej jako o naiwnej i cholernie niemądrej dziewczynie, która nie potrafi wykorzystać pchającej się w jej ręce szansy.

Szlag by to wszystko trafił, pomyślał.

Nie wiem, po co wdałem się w ten cały cyrk!

Mimo wszystko postanowił być grzeczny.

- Czy ma pani coś w rezerwie, co mogłoby poprawić pani pozycję w najbliższej przyszłości?

- Być może - odpowiedziała ostrożnie Kate.

No tak, pomyślał zjadliwie Blaise.

Ta też uważa, że nie potrafię być bezstronny.

Kate również starała się być uprzejma.

- A jak się czuje pańska babka Agatha?

Co tam u niej?

- Funkcjonuje na pełnych obrotach.

Teraz jest całkowicie zaabsorbowana działaniami organizacyjnymi, które mają doprowadzić do powstania naszego Muzeum Sztuki Dzikiego Zachodu.

Ranczo wraz ze wszystkim, co zawiera, ma zostać przekazane w darze stanowi Kolorado.

Twarz Kate rozjaśniła się nagle.

To była dla niej naprawdę dobra wiadomość.

Uśmiechnęła się, szczerze uradowana, a zaskoczony Blaise przyglądał się rozpromienionej dziewczynie, zadając sobie w duchu pytanie: jak to się mogło stać, że dotąd uważał ją za nieładną i nieciekawą?

- Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę!

- zawołała.

Blaise rozmyślnie spróbował przygasić ten entuzjazm.

- Chyba zdaje sobie pani sprawę, że sprzedaż takiej kolekcji wyrównałaby pani szansę.

A tak...

- Jego głos był wyraźnie zjadliwy.

- Zdaję sobie sprawę.

Ale i tak, gdybym miała znów podejmować decyzję, zrobiłabym dokładnie to samo.

- Z uwagi na bezcenne i święte wartości sztuki?

- zapytał ironicznie.

Ale Kate spojrzała na niego tak pobłaźliwie, że aż go zirytowało.

- Tego tak naprawdę nie da się wytłumaczyć ludziom, którzy sami nie żyją sztuką - powiedziała.

- Jakim znów, u diabła, ludziom?

- Takim jak na przykład pan.

Ty smarkata cholero, pomyślał Blaise, rozgniewany już nie na żarty.

- Mam na myśli ludzi, którzy nie znają sztuki i których ona w ogóle nie obchodzi.
Na przykład Jed Stone okazał się właśnie taki - w ogóle nie widział w tym jakiegokolwiek sensu.

Tak jak ja nie widzę go w wielkim biznesie.

No bo jaki to ma sens poza tym, że robi się coraz większe i większe pieniądze?

Sztuka przynajmniej pozostaje, świadczy o wielkości człowieka.

Wielkość sztuki to wielkość ludzkiego ducha.

Sztuka nie tylko uczy; czasami dzięki niej doznajemy - by tak to nazwać - duchowej iluminacji.

Sztuka mówi o świecie i o ludziach rzeczy, których inaczej w ogóle nie moglibyśmy poznać.

Ja sprzedaję dzieła sztuki na aukcjach, ponieważ ludzie tego ode mnie chcą, ale gdybym miała możliwość wyboru, naprawdę wolałabym pozostawiać te zbiory w stanie nienaruszonym i tylko zadbać o ich ochronę.

Tak jak w przypadku tego, co jest w domu pańskiej babki.

Trzeba to chronić dla przyszłych pokoleń, by mogły to po latach oglądać i dowiadywać się, jacy byliśmy, czym byliśmy, i dlaczego.

A poza tym musimy to chronić także dlatego, że te rzeczy są po prostu piękne.

Zdarzyło się panu kiedykolwiek usiąść przed jakimś obrazem tylko po to, by dzięki temu poczuć się lepiej?

- Nie - odpowiedział zgodnie z prawdą Blaise.

Kate wzruszyła ramionami.

- Więc sam pan widzi.

Teraz wydało mu się, że ta dziewczyna najchętniej już pożegnałaby się z nim, i to możliwie szybko.

Odstawił opróżnioną szklaneczkę, która stuknęła o stół trochę głośniej, niż powinna, i podniósł się z krzesła.

- Czas już na mnie.

Mam jeszcze parę naprawdę ważnych spraw.

Kate spojrzała na niego i powiedziała: - Domyślam się.

Bo tego, co ja robię, pan raczej nie uważa za coś naprawdę ważnego, prawda?

To już było beznadziejne.

- Nie, rzeczywiście nie uważam - powiedział.

- Sądzę zresztą, że także i ci ludzie, którzy płacą dziś setki tysięcy, czy nawet miliony dolarów za prostokąt zamalowanego płótna albo za kawałek porcelany, robią to dla spodziewanego zysku, a nie z miłości do tej pani wielkiej sztuki.

Kate uśmiechnęła się, choć ten jej uśmiech był ledwie dostrzegalny.

- W ten sposób sam pan sobie udzielił odpowiedzi na pytanie, dlaczego namówiłam pana babkę, żeby niczego nie sprzedawała.

- To przecież...

- zaczął, ale niemal w tej samej chwili urwał i przygryzł wargi.

Niespodziewanie dla samego siebie zaczął się śmiać.

- Dobrze, niech już tak zostanie.

Więc po czyjej stronie tu jestem, pani zdaniem?

Kate też się roześmiała.

Jej twarz rozjaśniła się i nabrała blasku.

Jak ja mogłem kiedykolwiek uważać ją za mało atrakcyjną, pomyślał znowu Blaise.

Przecież ona jest naprawdę śliczna.

- Może po prostu zgódźmy się, że się nie zgadzamy - powiedział.

- W ten sposób przynajmniej pani pozostanie przy swoim zdaniu.

- A pan to niby nie?

- zapytała niewinnie Kate.

Blaise znów się roześmiał.

- Trafiony!

- powiedział.

Uściskał jej wyciągniętą na pożegnanie rękę i uśmiechnął się jeszcze raz.

Kate miała nieodparte wrażenie, że i uśmiech, i ten uścisk dłoni były szczere i naprawdę przyjacielskie.

Podeszła do okna i patrzyła, jak Blaise wychodzi z budynku i wsiada do swej ogromnej czarnej limuzyny.

No cóż, przynajmniej ma poczucie humoru, pomyślała.

Odrzuciła się i z niemalym zaskoczeniem zobaczyła, że przy biurku czeka na nią Rollo.

- Czy ty zawsze musisz wślizgiwać się tak bezszelestnie, jak jakiś płatny zabójca?

- zapytała poirytowana.

- Wpadłem tylko, żeby się dowiedzieć, jak ci poszło ze starym Eversleighem.

- Podpisał zlecenie, jeśli o to ci idzie.

- No to wspaniale.

To niewątpliwy sukces.

- A poza tym w przyszłym tygodniu jadę do Courtland Park.

Nicholas Chevely był tu przed godziną i zaproponował, żebyśmy to wstępnie obejrzała.

Siwe brwi Rolla wolno uniosły się do góry.

- Z tego wynika, że miałaś rzeczywiście bardzo dobry ranek.

- W jego głosie Kate znów wychwyciła charakterystyczne dla niego połączenie zadowolenia, chciwości i nadziei.

- Courtland Park to wielka sprawa.

Największe firmy też w to celują.

- I właśnie dlatego chcę to zdobyć dla nas.

- Oczywiście.

A może także i dlatego, że bardzo tego potrzebujesz - zwłaszcza jeśli się uwzględni to, co szykuje twoja siostra.

No a on...

powiedział coś na ten temat?

- Wie tylko tyle, że to ma być już wkrótce.

- Ale czy powiedział ci, co konkretnie?

- Nie.

- Więc nic od niego nie wyciągnęłaś?

- Nie bądź głupi, Rollo.

A już zwłaszcza jego nie miej za głupca.

Gdybym próbowała coś z niego wyciągać, zorientowałby się natychmiast.

- Mogę ci zagwarantować, że ona na twój temat wyciągnie wszystko, także od niego.

- A ja ci powtarzam aż do znudzenia, że nie myślę postępować tak jak ona.

- Tym gorzej - odpowiedział Rollo i obrócił się na pięcie.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Kate z westchnieniem opadła na fotel.

Rollo sprawiał jej coraz więcej kłopotów, co brało się głównie z tego, że obawiał się jej rosnącej samodzielności.

Nie chciał stracić swej dotychczasowej pozycji, wciąż chciałby nią kierować.

Tak, jakby i bez tego nie miała dosyć kłopotów!

Wciąż jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, co wzięła na swoje barki.

Firma Desparda ze swym tak charakterystycznym miarowym rytmem pracy mogła się niejednemu wydawać wręcz oazą spokoju, jednak w rzeczywistości było to ogromne, tętniące pracą mrowisko.

A już zwłaszcza pozycja szefa takiego domu aukcyjnego wymagała od niej wyjątkowo wiele: wiedzy naukowej na miarę pracownika muzeum światowej klasy, połączonej z umiejętnościami bankowca i ze sprawnością handlową potrzebną przy prowadzeniu wielkiego domu towarowego.

Kate spojrzała na zegarek, pośpiesznie wstała i przeszła do swej dyrektorskiej łazienki, by umyć ręce i poprawić włosy przed czekającym ją roboczym obiadem z członkami zarządu Desparda London.

Tematem tego spotkania miała być przede wszystkim zbliżająca się aukcja obrazów starych mistrzów.

Przy tej okazji trzeba będzie powiedzieć o rysującej się możliwości pozyskania do sprzedaży zbiorów z Courtland Park.

Zaznaczając przy okazji, że warunkiem będzie powierzenie prowadzenia tej aukcji właśnie jej.

Następnego dnia rano Kate wstępnie zasygnalizowała to Davidowi Holmesowi.

Omawiali ostatnie przygotowania do planowanej za kilka dni aukcji obrazów z epoki wiktoriańskiej, którą Kate - głównie dla nabrania doświadczenia - miała poprowadzić w jednej z mniejszych sal Desparda London, gdy nagle odezwał się brzęczyk wewnętrznego telefonu.

Sekretarka Kate poinformowała ją, że przed chwilą przyjechała do firmy niejaka senora de Barranca, która chce rozmawiać tylko z panną Despard.

- Kto to taki, ta senora de Barranca?

- zapytała Kate.

Penny z pewnością musiała się już tego dowiedzieć.

- To żona pewnego bardzo bogatego Argentyńczyka, Jaime de Barranca, który podobno jest także bardzo znanym graczem w polo.

Sama pani de Barranca jest z pochodzenia Amerykanką.

- A czego chce?

- Oświadczyła, że powie to tylko pani.

Nie wygląda na taką, która zgodzi się rozmawiać z kimś podrzędnym.

To Kate zaciekawiło.

Poza tym nie miałyby większego sensu odsyłanie kogokolwiek bez dowiedzenia się przynajmniej, o co chodzi.

Zawsze mogła to być szansa pozyskania czegoś do sprzedaży.

- Będę musiała się nią zająć.

Przepraszam.

- Spojrzała na Davida Holmesa.

-Może do naszej rozmowy wrócimy trochę później?

- Proszę bardzo - odpowiedział Holmes.

- Chciałbym tylko, żeby pani zdawała sobie sprawę, jak wiele pracy jest jeszcze przed panią, zwłaszcza jeśli na serio potraktować to, co pani mówiła o prowadzeniu aukcji Courtland Park.

Według mnie to pomysł wręcz szalony, a przynajmniej bardzo lekkomyślny.

Nie można zaczynać od rzeczy najtrudniejszej!

- Ale przecież ustaliliśmy to już dawno, że zacznę od małych licytacji, potem poprowadzę kilka większych, a potem dwie-trzy jeszcze większe!

- powtórzyła Kate po raz już nie wiadomo który.

- A skoro od mojego udziału uzależniają otrzymanie przez nas zlecenia, po prostu muszę to poprowadzić.

Pan oczywiście będzie przy mnie, żeby czuwać nad wszystkim.

- To nie jest w porządku.

- David Holmes powtarzał to uparcie, nawet kiedy już kierował się w stronę drzwi.

- Nie, to nie jest w porządku!

- Więc muszę poprowadzić to tak, żeby było w porządku - burknęła Kate, bardziej już do siebie niż do Davida, który zdążył zniknąć za drzwiami.

- Chcę poprowadzić tę aukcję i poprowadzę ją, nawet gdybym musiała wcześniej poprowadzić tysiąc próbnych.

Senora de Barranca wpłynęła do gabinetu Kate w obłoczku perfum Joy i w wytwornej etoli z nerek.

Mogła mieć około czterdziestu lat, była elegancka, dobrze umalowana, choć jej twarz wydawała się tak zimna, że aż prawie odczłowieczona.

Oprócz dużej torebki ze skóry aligatora miała jeszcze ze sobą płaską prostokątną paczkę, owiniętą w brązowy papier.

Nietrudno było zgadnąć, że w środku musiał być obraz.

- Miło mi panią powitać w firmie Desparda - powiedziała Kate.

- W czym moglibyśmy pani pomóc?

- Mam obraz, który chciałabym sprzedać.

A ponieważ mam niewiele czasu, bo jeszcze dziś po południu odlatuję do Paryża, pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli zwrócę się wprost do pani.

- Tu senora de Barranca jeszcze raz zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jest pani młodsza, niż przypuszczałam, ale mówiono mi, że zna się pani na sztuce Dzikiego Zachodu.

- Studiowałam ją przez pewien czas - odpowiedziała Kate z pewną ostrożnością.

- Ale to raczej prywatne zamiłowanie, nie uważam się za doświadczonego eksperta. Jednak senora de Barranca nawet jej nie słuchała.

- Mam tu rzecz namalowaną przez Remingtona - powiedziała.

Rozwinęła papier i podała Kate niewielki olejny obraz.

Już podczas rozwijania Kate zorientowała się, że musi to być jeden z pejzaży, które tak lubiła.

Ucieszyło ją to, ale tylko do momentu, gdy wzięła obraz do rąk i przyjrzała mu się uważniej.

Z nagłym wstrząsem uświadomiła sobie, że zna to płótno.

Widziała je podczas wizyty w Kolorado.

Kate była absolutnie pewna, że to właśnie ten obraz wisiał na ścianie jednego z korytarzy górnego piętra pałacyku, znanego jako Ranczo Fartownego Dolara.

- Powiedziano mi, że jest to jeden z lepszych obrazów Remingtona.

W dodatku dość rzadki, ponieważ ten artysta zazwyczaj nie malował pejzaży - mówiła dalej senora de Barranca.

- Ten krajobraz to Kolorado.

Obraz należał do naszej rodziny przez wiele lat.

Mój dziadek przyjaźnił się z Frederickiem Remingtonem.

Dopiero w tym momencie Kate zdała sobie sprawę, kim jest senora de Barranca.

Ależ oczywiście, to musiała być ta przyrodnia siostra Blaisea Chandlera, o imieniu Consuela - jeśli Kate dobrze to zapamiętała.

Ta, która pojawiała się u Agathy Chandler tylko wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy.

Teraz Kate była już pewna, że obraz, który senora de Barranca chciała jej zaoferować do sprzedaży, wcale do niej nie należał.

Najprawdopodobniej Consuela po prostu ukradła go swojej babce.

Kate postarała się opanować emocje i nie pokazać wzbierającego w niej gniewu.

Spojrzała na twardą i nieustępliwą twarz Consueli i powiedziała bardzo spokojnie: - Tak, to z pewnością jest bardzo piękny i cenny pejzaż Remingtona.

- Wiem, że nowojorski oddział Desparda kilka miesięcy temu sprzedał bardzo podobne płótno za pół miliona dolarów.

Na ile szacowałyby pani wartość tego obrazu?

- Myślę, że bez wahania przyjąłabym go do sprzedaży z gwarantowaną ceną minimalną dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów szterlingów.

- W jakim terminie?

- W ciemnych oczach pojawił się błysk.

- Musiałabym to włączyć do którejs z planowanych przez nas aukcji malarstwa.

W ciągu kilku tygodni.

- Chciałabym, żeby to było jak najszybciej.

Nie mogę czekać.

- Poza tym potrzebne byłyby mi dane, dotyczące pochodzenia obrazu.

- Ten obraz był darem artysty dla mojego dziadka, Jacka Chandlera - powiedziała Consuela de Barranca.

- Jeśli pani spojrzy na odwrotną stronę, znajdzie pani odręczną dedykację. Kate odwróciła obraz i przeczytała kilka linijek, napisanych wyblakłym czarnym atramentem.

Staremu przyjacielowi Jackowi Chandlerowi na pamiątkę dobrych dni obraz ten ofiaruje - Frederic Remington.

Październik 1899.

- Jeśli chciałaby pani sprawdzić również mnie, proszę bardzo - powiedziała senora de Barranca.

Otworzyła swą wspaniałą torbę, wyjęła z niej portfel wykonany z tej samej skóry i wyciągnęła ozdobny bilet wizytowy.

- Wolałabym jednak, by nie łączono mojego nazwiska ze sprzedażą tego obrazu.

Pani mnie rozumie...

-Spojrzała na Kate.

- Gdyby ludzie dowiedzieli się, że sprzedaję obrazy z mojej kolekcji.

Obrazy z jej kolekcji, pomyślała sarkastycznie Kate.

- Mam pewne wydatki, więc...

Oczywiście, to tylko chwilowa sytuacja.

-Uprzejmy uśmiech Consueli miał temperaturę lodowca.

- Sama pani wie, jak to jest.

- A dlaczego zwróciła się pani z tym do mnie?

- zapytała Kate.

Tym razem uśmiech był porozumiewawczy, choć równie zimny jak wszystkie poprzednie.

- Przypuszczam, że zna pani mego przyrodniego brata, Blaisea Chandlera.

Kate uprzejmie udała, że ją to zaskoczyło.

Pani de Barranca wyglądała na zadowoloną.

- Czy to wystarczy, by potwierdzić, że jestem tą osobą, za którą się podaję?

- Oczywiście, pani de Barranca.

Znam pana Chandlera.

Dlaczego jednak w tej sytuacji nie zaoferowała pani tego obrazu jego żonie?

- Dominique?

Kiedyś pewnie tak bym zrobiła, ale od pewnego czasu nie utrzymujemy już kontaktów, by określić to tylko tak łagodnie.

A poza tym, jak słyszałam, panie teraz w szczególny sposób konkurują, czy nawet walczą ze sobą...

- Wąskie, mocno umalowane wargi skrzywiły się w zjadliwym uśmiechu.

- Otóż zrobiłabym wszystko, żeby tylko dopiec tej suce!

- Nie pytając o pozwolenie senora de Barranca zapaliła papierosa.

Paznokcie miała umalowane równie jaskrawo jak usta.

- Jak pani idzie z Blaiseem?

- Znam pana Chandlera tylko bardzo odlegle - odpowiedziała dość sztywno Kate.

- Trudny przypadek, nie sądzi pani?

Tak samo drewniany jak te wszystkie indiańskie rzeźby, które zagracają cały dom mojej babki.

On i jego żona dobrali się w korcu maku.

Spotkała ją pani kiedykolwiek?

- Raz.

Consuela roześmiała się nieźyczliwie.

- I wystarczy, jak rozumiem.

Tak, w jej przypadku to na pewno wystarczy.

No dobrze, wróćmy do naszych spraw.

Jak prędko mogłoby to pójść na sprzedaż?

- Planujemy sporą aukcję przedmiotów użytkowych i sztuki amerykańskiej mniej więcej za sześć tygodni.

- Aż sześć tygodni?

- Jeżeli pani chciałaby sprzedać obraz prywatnie, natychmiast...

- Jednak na aukcji dostałabym dużo więcej, prawda?

- Mogę tylko powiedzieć, że wielu kolekcjonerów interesuje się sztuką amerykańską.

To jest teraz bardzo modne.

- Wobec tego niech to pójdzie za najwyższą oferowaną cenę.

Poczekam.

Sześć tygodni, jak pani mówi.

Kate wcale nie powiedziała, że na pewno sprzeda obraz, jednak Consuela de Barranca z właściwą sobie arogancką pewnością przyjęła, że tak będzie i że sprawa jest załatwiona.

- Mój adres i telefony znajdzie pani na bilecie wizytowym.

Gdyby mnie akurat nie było, odnajdą mnie i powiadomią.

To już wszystko, jak rozumiem?

- Nie chciałabym pani zatrzymywać - odpowiedziała uprzejmie Kate.

- Weźmie pani obraz?

- Tak - powiedziała Kate.

- Proszę mi go zostawić.

Consuela odetchnęła z zadowoleniem.

- Doskonale.

- Zgasła papierosa i podniosła się z fotela.

- Muszę się śpieszyć na samolot.

Do widzenia, panno Despard, miło mi było panią poznać.

Proszę pozdrowić Blaisea.

Z pewnością zobaczy się pani z nim wcześniej niż ja.

- Skinęła głową i wyszła, pozostawiając za sobą smugę zapachu Joy.

Kate patrzyła w ślad za nią, rozwścieczona do ostateczności.

Ta zrozumiwała suka naprawdę ukradła obraz swojej własnej babce!

No i w rezultacie wpakowała się -jakby to obrazowo określił Rollo - w naprawdę piękne szambo aż po szyję.

Consuela z pewnością liczyła na to, że brak jednego niewielkiego obrazu wśród tylu innych po prostu nie zostanie zauważony.

To znaczy, że po prostu nie zna swojej babki, pomyślała Kate.

Agatha Chandler zawsze wie, gdzie co jest w jej domu; wie nawet kiedy i przez kogo zostało tam umieszczone.

A ja teraz muszę powiadomić ją o tym wszystkim.

Oczywiście w żadnym wypadku nie mogę przyjąć do sprzedaży rzeczy kradzionej - bo to przecież jest rzecz skradziona, nawet jeśli ta wiedźma o zimnej i zaciętej twarzy jest krewną właścicielki.

Czemu właściwie nie powiedziałam, że znam ten obraz, że wiem, skąd pochodzi?

Chyba dlatego, że z tego rodzaju kobietą nikt rozsądny nie wdaje się w konflikty, nie mówiąc już o powiedzeniu jej prosto w oczy, że popełniła kradzież.

Lepiej tego nie próbować.

A poza tym księżna z całą pewnością nie chciałaby, żeby rzecz się rozniosła.

Och, Boże, Boże, dlaczego to musiało się wydarzyć akurat teraz?

Przez ostatnie miesiące tyle się naczytała i nasłuchiwała o przestrzeganiu najświętszej dla firmy Desparda zasady poufności, rzetelności i ochrony zaufania klientów.

Znów sięgnęła po obraz i przyjrzała mu się jeszcze bardziej uważnie.

Może to jednak kopia?

Albo może zrobiono kopię, która teraz wisi na miejscu oryginału?

Podeszła do okna, żeby lepiej widzieć szczegóły.

Nie, z całą pewnością to oryginał.

Więc co sobie właściwie myślała ta Consuela de Barranca?

A to jej kłamstewko, że jakoby była w niezgodzie z Dominique.

Boże drogi, pomyślała nagle Kate.

Przecież można się założyć, że to właśnie Dominique ją na to napuściła, że próbuje mi zadać jeszcze jeden cios.

Tu jednak znów przypominała sobie, że Dominique przecież nigdy nie była na ranchu i nie mogła mieć pojęcia, jakie skarby zostały tam zgromadzone.

Spojrzała na zegarek.

W Kolorado była teraz siódma rano.

Należało chyba trochę poczekać, księżna nigdy nie wstawała przed ósmą.

Za godzinę można będzie zadzwonić i wszystko wytłumaczyć.

Wciąż nie potrafiła się pozbyć dręczącego ją niepokoju.

Czy powinna była po prostu odmówić przyjęcia obrazu do sprzedaży?

Ale w takim przypadku z pewnością trafiłby on do jakiegoś innego domu aukcyjnego, gdzie nikt nie miałby powodu podejrzewać, że pochodzi z kradzieży.

Nie, w sumie postąpiła tu raczej słusznie.

Gdy księżna się dowie o wszystkim, z pewnością znajdzie sposób na tę swoją wnuczkę, a gdyby się okazało, że również Dominique jest w to zaangażowana, potrafi i jej przeszkodzić.

A to, że pani de Barranca nie zechce już na przyszłość przychodzić do firmy Desparda, specjalnie Kate nie martwiło.

Niech sobie idzie do samego diabła.

Oczywiście ta kobieta mogłaby rozpowiadać, że firmie Despard's już nie można ufać, ale to też wydawało się mało prawdopodobne.

W końcu Consuela musiała sobie zdawać sprawę, że usiłowała sprzedać rzecz, która do niej nie należała.

Jej przyszłe ruchy były więc raczej zablokowane.

W każdym razie mam nadzieję, że tak właśnie jest.

Daj to panie Boże, pomyślała Kate.

Całe szczęście, że nie została podpisana żadna umowa sprzedaży, ponieważ w świetle obowiązujących przepisów, kiedy obraz został przyjęty na aukcję, praktycznie już nie można go było wycofać.

Kate zapisała sobie notkę dla pamięci, by jak najszybciej porozmawiać z Louisem Bishopem i zobligować go do wprowadzenia odpowiedniej zmiany standardowych warunków umowy.

Znów odezwał się brzęczyk wewnętrznego telefonu.

Kierująca oddziałem katalogów Dorothy Bainbridge dzwoniła z pytaniem, czy mogłaby przyjść do niej i chwilę porozmawiać.

Sądząc z gniewnego głosu Dorothy, sprawa była trudna i nie cierpiąca zwłoki.

Tylko tego mi jeszcze brakowało, pomyślała Kate przeczuwając kłopoty.

Co za dzień!

Czterdziestoparoletnia Dorothy Bainbridge była w Despard's od niedawna, przyszła mniej więcej w tym samym czasie co Kate.

Niezamężna, poświęcająca się pracy, bardzo szybko okazała się doskonałym kierownikiem działu.

Wiadomo było, że jest bardzo wymagająca i rygorystyczna, ale pracujący u niej młodzi ludzie dostawali najlepszą z możliwych szkoleń zawodowych.

Teraz Dorothy Bainbridge przypominała smoka, buchającego ogniem i siarką.

- Panno Despard, wie pani, że nie zwykłam robić problemów z byle czego -oświadczyła na początek, zresztą zgodnie z prawdą.

- Muszę jednak stanowczo zaprotestować przeciw wtrącaniu się pana Bellamyego do pracy mojego działu.

Pan Bellamy nieustannie czyni uwagi moim pracownikom, uwłaczająco wypowiada się o naszej pracy i stara się narzucić nam własne pomysły.

- Rozemocjonowana Dorothy oddychała szybko i głęboko.

- To stało się już nie do wytrzymania.

Ktoś więc będzie musiał odejść: on albo ja!

O, do wszystkich diabłów, pomyślała Kate.

Rollo, ty mnie kiedyś wpędzisz do grobu!

- Proszę, niech pani usiądzie, Dorothy!

- powiedziała uspokajającym tonem.

-Naprawdę z wielką przykrością dowiaduję się, że ma pani takie kłopoty i oczywiście nie dopuszczam nawet myśli, by miała pani opuścić Despard's.

Skoro pan Bellamy wtrąca się do pani pracy, porozmawiam z nim o tym, może pani być pewna.

- Wtrąca się nie tylko do pracy mojego oddziału - oświadczyła Dorothy, wciąż jeszcze mocno rozemocjonowana.

- Wtyka swój nos dosłownie wszędzie, utrzymując przy tym, że to za pani zgodą.

- Nigdy nie wyrażałam zgody na coś takiego - stwierdziła stanowczo Kate.

- Pan Bellamy najwyraźniej jest innego zdania.

On chyba uważa, że stanowisko pani osobistego asystenta jest po prostu równoznaczne z pozycją drugiego po Bogu.

- O tym w ogóle nie ma mowy!

- zawołała Kate.

Dorothy Bainbridge zaczynała się uspokajać.

- Prawdę mówiąc, też tak sądziłam.

O ile wiem, zmarły pan Despard zawsze stawiał na samodzielność kierowników działów.

- A ja postaram się również zadbać, by nadal tak pozostało.

Dorothy odprężyła się jeszcze bardziej.

- Wiem, że pan Bellamy jest z panią zaprzyjaźniony od wielu lat.

Ale ostatnio naprawdę zachowuje się tak, jak gdyby był przekonany, że sam Pan Bóg dał mu prawo do wydawania rozkazów nam wszystkim.

- Nikt mu nie dał takiego prawa i z całą pewnością nie wolno mu się powoływać na mnie - powtórzyła stanowczo Kate.

- Przyznaję, że jego usytuowanie w naszej firmie jest dość...

elastyczne, jeśli można tak to nazwać.

Ale jego podstawowym obowiązkiem jest dopomaganie mi wtedy, gdy tej pomocy potrzebuję.

I nic ponadto!

Może pani być pewna, że porozmawiam z nim o tym, i to w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

Nie będzie już pani sprawiał kłopotów.

Po raz pierwszy na twarzy Dorothy pojawił się uśmiech.

- Chyba słusznie zrobiłam, przychodząc z tym do pani.

O ile wiem, pan Despard zawsze chciał, by wszelkie skargi pracowników przedstawiano właśnie jemu.

Pani zdaje się iść w jego ślady, zresztą nie tylko w tym względzie.

- Myślę, że potrafię widzieć to, co jest dobre - odpowiedziała Kate.

- I wiem, co się sprawdza w takiej firmie jak nasza.

- To rzeczywiście się sprawdza - Dorothy przytaknęła z zapałem.

Kate wstała zza biurka i podeszła do barku z napojami.

- Cieszę się, że pani przyszła, również i z innego jeszcze powodu - powiedziała.

- To, co mówię, jest na razie poufne, ale pani mogę już o tym powiedzieć.

Rozmawiano ze mną na temat możliwości zorganizowania przez naszą firmę sprzedaży wielkiej kolekcji zmarłego Johna Randolpha Courtlanda.

Jeśli to dojdzie do skutku, potrzebowałabym z tej okazji katalogu naprawdę wyjątkowego.

- Kolekcja Courtland Park?

To byłoby ukoronowanie...

- No, na razie to jeszcze nie jest do końca uzgodnione - ostrzegła z uśmiechem Kate.

- Ale oczywiście zamierzam zrobić to najlepiej, jak się da.

Postawiła szklaneczkę sherry przed zupełnie już uspokojoną panią Bainbridge.

Z drugą szklaneczką wróciła do swego fotela za biurkiem.

- Niech mi pani powie, Dorothy, jak pani by do tego podeszła.

Co zrobiłaby pani na moim miejscu, gdyby chodziło o to, żeby ludzi naprawdę zatkało, i to stąd aż do Timbaktu?

Wiem, jak bardzo jest pani zaangażowana i jak wiele trudu wkłada pani w to wszystko.

Wiem też, że katalogi Desparda stały się dziś synonimem najwyższego standardu i są wzorem dla wielu innych wydawnictw tego typu.

- No cóż, przejęłam to wszystko po Johnie Carterze, który prowadził to przez przeszło czterdzieści lat.

W tym czasie stał się żywą legendą, ponieważ zainicjował niesłychanie wiele rzeczy, które się sprawdziły.

Nasze wysokie standardy to też jego zasługa.

Ja, prawdę mówiąc, głównie szłam w jego ślady.

- Myślę, że udało się pani zostawić tu również własne.

Mam na myśli nie tylko pani niezwykłą skrupulatność, ale też szczególny sposób włączania drobnych, lecz atrakcyjnych informacji, które bardzo ożywiają to, co inaczej łatwo mogłoby pozostać tylko bardzo nudnym zbiorem faktów i liczb.

Uradowana Dorothy Bainbridge rozpromieniła się i nawet lekko zaróżowiła, nie tylko dlatego, że wypita zaoferowaną jej szklaneczkę sherry.

Potem zresztą wypita jeszcze jedną, ale wcześniej przez blisko piętnaście minut przedstawiała Kate szczegóły tego, co jej zdaniem mogłoby być wcale niezłym pomysłem w danej sytuacji.

Okazało się, że takich pomysłów miała kilka.

Po wyjściu Dorothy Kate podniosła słuchawkę i połączyła się z sekretariatem.

- Penny, spróbuj odszukać pana Bellamyego, gdziekolwiek teraz jest, i powiedz mu, że chcę go widzieć, natychmiast.

Rollo pojawił się po dziesięciu minutach.

- Pani prezes - powiedział i skłonił się ironicznie.

- Jestem i słucham.

- Nie, właśnie nie słuchasz.

Dlatego cię wezwałam.

Ty nadal mnie nie słuchasz, Rollo.

Ale na przyszłość będziesz...

albo też ciebie tu nie będzie.

Rollo mimo woli wyprostował się i cofnął głowę, niczym szykująca się do ataku kobra.

Towarzyszyło temu szydercze spojrzenie, z gatunku tych, które do niedawna wystarczały, by stłumić w Kate wszelką chęć buntu i wszelką próbę wyłamania się z dotychczasowego uzależnienia.

Teraz jednak nie zdało się to na nic, ponieważ tym razem Kate była naprawdę wściekła.

- Dopiero co - i to naprawdę z najwyższym trudem - udało mi się ułagodzić Dorothy Bainbridge, która groziła natychmiastowym odejściem z firmy - przez ciebie i twoje wtrącanie się do pracy jej działu!

- Ach, ta jadowita jaszczurka!

Ta jędrza, która traktuje wszystkich swoich pracowników jak niedouczonego smarkacza!

- Zechciej łaskawie zauważyć, że jest jedną z najlepszych w swojej specjalności, i to nie tylko na europejskim, ale i światowym rynku.

Wychowała się w rodzinie znakomitego dealera, a o dziełach sztuki wie więcej niż niejedna encyklopedia.

I ostrzegam cię Rollo, że jeśli będę musiała wybierać między nią a tobą, to w firmie pozostanie ona!

Poblady z gniewu Rollo najwyraźniej wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Kate pokręciła głową i mówiła dalej: - Miałeś być moim osobistym asystentem, owszem.

Ale nie moim osobistym nieszczęściem!

Nie po to cię tu ściągnęłam, mam wystarczająco dużo kłopotów i bez tego!

I mam już dość ciągłego robienia porządków tam, gdzie ty narozrabiłeś.

- Jeżeli idzie o robienie porządków, to tu jest więcej do zrobienia niż w słynnej stajni Augiasza!

- To ty tak uważasz!

- Tak, uważam.

I dlatego raz po raz wychodzę z jakąś propozycją.

- Że ma być tak, a nie inaczej, bo ty tak uważasz.

Oczywiście!

Tylko że to wcale nie twoje widzenie spraw ma tu być respektowane.

Zrozumiesz to wreszcie?

Spojrzenie Rolla stało się lodowate, a na białych policzkach znów wykwitły czerwone plamy.

- A więc jednak przewróciło ci się w głowie - powiedział szyderczo.

- Awans na tak wysokie stanowisko nie pozostał bez skutków!

Ale, moja droga, na razie nie jesteś jeszcze panią Margaret Thatcher, a tylko prezesem zarządu domu akcyjnego Despard's London.

To pewna różnica.

- Tak, jestem prezesem zarządu - odpowiedziała spokojnie Kate.

- I chciałabym, żebyś o tym pamiętał.

Właśnie dlatego to ja tu decyduję i to ja wydaję polecenia.

- Nie jestem niczym najemnikiem i nie po to tu przyszedłem.

- Rzeczywiście nikt cię do tej roli nie zatrudnił - odpaliła Kate.

- Ty najzwyczajniej w świecie przyjałeś, że automatycznie pójdziesz tam, gdzie ja, ponieważ jesteś po prostu moim cieniem.

- Przez wiele lat wydawałaś się z tego bardzo zadowolona.
 - Rzeczywiście - powiedziała Kate.
 - Kiedyś byłam.
- Ale to było kiedyś.
- Od tego czasu zmieniły się okoliczności i ja też się zmieniłam.
- O, ty się zmieniłaś na pewno!
- Szkoda, że nie na lepsze!
- Rollo, sam mi mówiłeś, że powinnam kiedyś dorosnąć.
- Więc czemu teraz nie chcesz się pogodzić z tym, że właśnie to się stało?
- To, że jesteś teraz trochę starsza i trochę wyższa, to jeszcze nic nie znaczy!
- Kate, popatrz na mnie.
- Przecież ja cię pamiętam z czasów, kiedy byłaś mniejsza od wróbelka!
- A ty nie możesz albo nie chcesz pogodzić się z tym, że to już dawno minęło?
 - Jesteś tu szefem od paru miesięcy.
- Myślisz, że to tak wiele?
- Właśnie dlatego musiałam dorastać bardzo szybko!
- Nie miałam wyboru.
- Albo sobie poradzę, albo stąd wylecę.
- Otóż ja nie mam ochoty stąd wylecieć!
- Ale ja będę musiał!
- To chcesz mi powiedzieć?
- Jeżeli nie potrafisz sobie wybić z głowy przekonania, że to ty będziesz mną dyrygował.
- I że jesteś jedynym, który wie, co ja mam robić.
- Wtedy tak.
- Popatrzyli sobie w oczy.
- Ty mała niewdzięcznico!
 - Rollo aż zbiełał z wściekłości.
 - Wiesz dobrze, że to nieprawda.
- Pamiętam, ile ci zawdzięczam, ale mam długi wdzięczności nie tylko w stosunku do ciebie i nie mogę pozwolić, żebyś teraz rozwałała moją pracę.
- Przez całe życie nie potrafiłabyś odwdziżyć mi się za to, co dla ciebie zrobiłem!
- Kate roześmiała się.
- Rollo, znam tę twoją dramatyczną kwestię od lat, więc lepiej to sobie daruj.
- A za to, co robisz, płacę ci akurat bardzo dobrze.
- I tu właśnie zmieniłaś się na gorsze, szczególnie wyraźnie - oświadczył Rollo jeszcze bardziej teatralnie.
 - Nastawiłaś się wyłącznie na pieniądze.
 - No proszę, i kto to mówi?
- Dopiero co głosiłaś wszem i wobec, że liczą się tylko pieniądze i nic więcej!
- Kate spojrzała na pobladałą twarz Rolla i spróbowała jeszcze raz.
 - Posłuchaj, postaraj się mnie zrozumieć.
- Proszę cię tylko o jedno: przestań się wtrącać do pracy innych i nie próbuj ich ustawiać.

Pozwól im samym decydować, jak mają robić to, co umieją, bo robili to już od lat, zanim my w ogóle pojawiliśmy się w firmie Desparda.

Daję ci znaczną swobodę, nie wytykam ci parogodzinnych wyjść na przerwę obiadową, pozwalam ci chodzić, gdzie chcesz i kiedy chcesz...

- A nie przynosi to korzyści?

- Ależ tak.

Wielokrotnie już dowiodłeś, ile jesteś dla nas wart.

To, co potrafisz zobaczyć i usłyszeć, jest nieraz wprost bezcenne.

Ale musisz też zrozumieć, że ja nie mogę całego mojego czasu poświęcać na łagodzenie zdrażnień, leczenie ran i ocieranie łez w każdym dziale, w którym ty się pojawisz.

Masz okropny język i potrafisz dopiec i skaleczyć, nie licząc się z nikim i z niczym.

- No, przynajmniej ty powinnaś już chyba wiedzieć, że nie znoszę głupich ludzi i głupiego postępowania.

- Wobec tego po prostu trzymaj się od nich jak najdalej.

I sam przede wszystkim rób to, w czym jesteś najlepszy i niezastąpiony.

Idź, gdzie chcesz, odwiedzaj, kogo chcesz, a mnie przede wszystkim przynoś te wiadomości, na które czekam: kto chce coś sprzedać, kiedy i komu.

Wydawaj sobie pieniądze szeroką ręką - nie udawajmy, że tego nie robisz!

- i w ogóle rób co uznasz za stosowne, byleś tylko nie obrażał i nie antagonizował moich pracowników.

Bo tak się składa, że ja ich również potrzebuję, zwłaszcza teraz!

Rollo nie byłby sobą, gdyby natychmiast nie zauważył szczególnego napięcia, z jakim Kate mówiła to wszystko.

Coś ją musiało gnębić - ta świadomość szybko przytłumiła jego gniew i agresywne dotąd nastawienie.

- Masz kłopoty?

- spytał.

Kate spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- No właśnie, ty to od razu zauważasz.

I za to cię cenię!

Tak, mam znów kłopoty.

Opowiedziała mu o wizycie Consueli de Barranca i o ukradzionym obrazie Remingtona.

- To znów taka sprawa, jak z tym koniem - powiedział Rollo.

- Możliwe.

Wiem jedno - że muszę o tym powiedzieć pani Chandler.

- Oczywiście.

Mów prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

- To właśnie zamierzam zrobić.

Zaraz tam zadzwonię.

A ty przemyśl to wszystko.

- Kate znów mówiła łagodnie i miękko, jakby próbując się odwoływać do tej ujawniającej się czasem lepszej strony Rolla Bellamyego.

- Sam przecież widzisz, jak to jest.

Więc nie dokładaj mi jeszcze ciężarów na moje wątłe barki, bo i tak z trudem mogę to wszystko podźwignąć.

- No i kto teraz mówi jak z teatru?

- zapytał ironicznie Rollo.

Jeszcze raz spojrzął na Kate, pokręcił nosem i prychnął wzgardliwie.

- Nie będę się już zniżał do sporów z tymi - z przeproszeniem - samodzielnymi kierowniczkami działów, które w dodatku guzik mnie obchodzą.

Mam dużo ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Tym oświadczeniem zakończył dyskusję i wyszedł, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

Kate tylko pokiwała głową.

Mimo wszystko chciało jej się śmiać.

Rollo w każdej sytuacji był niczym boja wykonana z korka, której nie może zatopić żadna burza.

Spojrziała na zegarek.

W Kolorado była teraz ósma trzydzieści rano.

Kate sięgnęła po słuchawkę i wybrała kierunkowy do Stanów.

Agata Chandler uważnie wysłuchiwała zwięzłej opowieści Kate, nie przerywając jej nawet jednym słowem.

- A więc to była ona - powiedziała w końcu.

- Wiedziałam.

- Wiedziała pani, że obraz został zabrany?

- Powiedziano mi o tym już następnego dnia po jej wyjeździe.

U nas się wszystko odkurza, więc służba od razu to zauważyła.

Kate odetchnęła z ulgą.

- Wiedziałam, że prędzej czy później ktoś to zauważy.

- Na szczęście tym razem to było prędzej.

Consuela chciała ode mnie pieniędzy, których jej nie dałam.

Myślę, że wzięła ten obraz, bo się na mnie wściekła.

Tak czy inaczej, ty się tym nie zajmuj.

Potrafię okiełznać tę moją wnuczkę.

Przechowaj obraz w bezpiecznym miejscu, a ja w odpowiednim czasie wyślę kogoś, żeby go odebrał.

W każdym razie postąpiłaś tak, jak należało, i jestem ci za to bardzo wdzięczna.

- Nie zawarłam z nią żadnej prawnie wiążącej mnie umowy.

Wyraziłam tylko słowną zgodę na przyjęcie obrazu do sprzedaży.

- Rozumiem.

Tak, ty umiesz postępować rozsądnie i nie dajesz się w nic wmanewrować.

Ona jednak - głos Agathy był teraz szorstki i cierpki - postawiła cię w bardzo niezręcznej sytuacji, i ja cię za to przepraszam.

Ale teraz już się więcej tym nie zajmuj, słyszysz?

Powiedz mi, jak idą twoje sprawy?

- No cóż, jakoś tam idą - odpowiedziała Kate i roześmiała się trochę niepewnie.

- Tyle, że na razie nie wiem, dokąd mnie to doprowadzi.
- Oczywiście do pierwszego miejsca na linii mety!
- odpowiedziała natychmiast Agatha.
- Dziękuję, księżno.

Pani naprawdę potrafi mi dodać ducha.

- Ducha zwycięstwa, mam nadzieję?
- Kate usłyszała chichot Agathy.
- Zadzwoń do ciebie.

Na tym Agatha przerwała połączenie.

Dało się słyszeć ciche pstryknięcie, a potem sygnał zwolnionej linii.

Kate odłożyła słuchawkę z głębokim westchnieniem.

- Dzięki Bogu, że istnieje ktoś taki jak Agatha Chandler!
- powiedziała głośno sama do siebie.

Kiedy Agatha Chandler zatelefonowała do swego wnuka, Blaise akurat leżał w łóżku wraz ze swą żoną.

Podniósł słuchawkę już po pierwszym dzwonku i - choć Dominique obserwowała go z nie ukrywaną irytacją i zniecierpliwieniem - odpowiadał babce grzecznie i wyczerpująco.

- Consuela ukradła mi obraz Remingtona, tylko dlatego, że nie chciałam jej dać pieniędzy na poczet przyszłego spadku - powiedziała mu Agatha, jak zwykle bez jakichkolwiek wstępów.

- Potem wywozła obraz do Londynu i zaoferowała go do sprzedaży ni mniej, ni więcej, tylko Kate Despard.

Ta na szczęście natychmiast rozpoznała obraz i zadzwoniła do mnie.

Chcę, żebyś tam poleciał i odebrał go.

- Głos Agathy był jak zawsze kategoryczny.
- Mam lecieć natychmiast?
- zapytał Blaise, odrobinę sarkastycznie.
- Nie, ale nie odkładaj tego niepotrzebnie.

Powiedziałam jej, że ktoś się po to zgłosi.

- I tym kimś muszę być akurat ja?
- To jest sprawa do załatwienia w rodzinie.

Nie chcę, żeby ktoś jeszcze się o tym dowiedział.

A Consuela jest w końcu również twoją siostrą.

- Głos starszej pani był równie sarkastyczny jak przed chwilą głos jej wnuka.

Owszem, jest również moją siostrą, pomyślał Blaise.

Tyle że siostrą, której nigdy nie lubiłem i która ze swej strony zawsze mnie wręcz nienawidziła.

Niewykluczone, że i teraz wykalkulowała sobie, że to na mnie trafi, jako na ulubionego wnuka babci.

- Dobrze, odbiorę tak szybko, jak to tylko będzie możliwe - powiedział, obiecując sobie w duchu, że będzie to raczej później niż wcześniej.
- Dobry chłopiec!
- usłyszał w odpowiedzi.

Agatha Chandler najwyraźniej była zadowolona i na tym zakończyła rozmowę.

No właśnie, pomyślał zgryźliwie Blaise, odkładając słuchawkę.

To jest ten problem z moją babką.

Stale chce widzieć we mnie chłopca i nie przyjdzie jej do głowy, że może jest już zupełnie inaczej.

- L'Indienne?

- zapytała Dominique słodziutko i jadownicie, gdy Blaise znów obrócił się do niej.

- Czasami podejrzewam, że ona kazała tu zainstalować mikrofony i stale nas podsłuchuje.

- Babcia Agatha po prostu lubi wiedzieć, że może mnie znaleźć zawsze, kiedy jej jestem potrzebny.

Dominique delikatnie przeciągnęła po jego opalonej szyi ostrą krawędzią wypielęgowanego, szkarłatnego paznokcia.

- Chyba nie jest miło chodzić stale na takiej smyczy - powiedziała.

- Mnie by to strasznie denerwowało.

Jak to jest, że godzisz się robić dla niej to, co ja z pewnością musiałabym zrobić sama, nawet gdybym cię próbowała prosić?

- Po prostu ona ma osiemdziesiąt pięć lat - odpowiedział Blaise.

- No i jest bardzo, bardzo bogata?

- mruknęła Dominique, a jej głos miał gładkość jedwabiu.

Blaise popatrzył na nią bez słowa i Dominique - jak zawsze - poczuła, że to ona będzie musiała odwrócić oczy.

Tylko jemu udawało się zmusić ją do tego.

Dlaczego, u diabła, pozwalam na to?

- pytała sama siebie poirytowana.

Co w nim jest takiego, że gonię za nim, jakbym stale miała cieczkę?

Owszem, jest dobry w łóżku, ale miewałam przecież i lepszych.

Tu chyba chodzi o coś innego, o to, jaki on potrafi być - tak intensywnie skupiony tylko na niej, na jej stale na nowo odkrywanych ciele, które zawłaszczał wtedy aż do ostatniej komórki.

A jej to niezmiennie dawało rozkosz, bez której nie zamierzała się obywać.

To nie była miłość; Dominique w całym swoim życiu nie kochała nigdy i nikogo.

A więc i to było tylko nawykiem, przyzwyczajeniem, ale takim, z którego nie umiała zrezygnować.

Może to dlatego, pomyślała sobie Dominique, że Blaise nigdy nie dawał się jej oszukiwać ani wodzić za nos.

Wszystkich innych mężczyzn, których знаła, potrafiła bez trudu urabiać słowami, przymilaniem się, pochlebstwem czy pieśczętą, tak że robili, co tylko zechciała.

Z Blaiseem było inaczej; kiedy raz coś postanowił, był nie do ruszenia.

Gdy mimo wszystko próbowała, kończyło się tak jak teraz.

Po prostu tylko patrzył na nią, a ona w końcu nie wytrzymała i zaczęła śmiać się sama z siebie, nawet jeśli w gruncie rzeczy była zła i rozczarowana.

Ach, dosyć już tych rozmyślań, powiedziała sobie Dominique.

Najwyższy czas popieścić go trochę i przywrócić ten sympatyczny nastrój, tak denerwująco przerwany telefonem Agathy.

A przy okazji można go będzie wypytać.

Dominique zaczęła od bardzo leciutkich dotknięć, wzmacniając je coraz bardziej w tych miejscach, o których wiedziała z doświadczenia, że są siedliskiem najintensywniejszych doznań, tak bólu, jak i rozkoszy.

- No a o co chodziło tym razem?

- zapytała leniwie, wpijając mu w skórę paznokcie na tyle mocno, by bolało, i na tyle krótko, by było to tym przyjemniejsze.

Potem do dotknięć szybkich palców doszły dotknięcia jeszcze sprawniejszych warg.

Blaise gwałtownie wciągnął powietrze i zamarł na moment, gdy czubek jej języka przesuwiał się po przekrwionej, krańcowo napiętej skórze.

Po chwili poczuł leciutkie ukąszenia jej drobnych, ostrych zębów.

- Nic szczególnie ważnego - odpowiedział niezbyt przytomnie, świadomy jedynie tego, co Dominique robi z nim w tej chwili.

- Dzwoni akurat w takim momencie, a ty mówisz, że to nic szczególnie ważnego?

- oburzyła się Dominique.

Blaise z trudem łapał oddech.

- Babka Agatha wie tylko, gdzie jestem, ale przecież nie wie, co akurat robię.

- I co ci tym razem zleciła?

- To samo, co zawsze.

Mam doprowadzić do porządku to, co ktoś zawałił.

- Ah!

Mon pawre sauvage!

- wykrzyknęła Dominique z udanym współczuciem.

- Zastanawiam się, czy to dlatego, że tak wierzy w twoje możliwości, czy może dlatego, że wciąż cię uważa za małego chłopca, którego kiedyś przygarnęła pod swe skrzydła.

- Jedno...

i drugie - odpowiedział dość niewyraźnie Blaise, znów nie mogąc złapać tchu.

Dominique chciała go wypytywać nadal, ale zwijający się pod jej pieszczotami Blaise zamknął jej usta i ochryplym głosem powiedział: - Nic już nie mów, dobrze?

I nie przestawaj teraz!

Nie teraz!

Trzeba było wypytywanie zostawić na później.

Może po dobrym orgazmie chętniej powie jej wszystko, czego chciała się dowiedzieć?

Trzeba więc było zadbać, by orgazm był naprawdę dobry.

Po kilku minutach mogła już położyć twarz na wilgotnej od potu i wciąż jeszcze gwałtownie unoszącej się i opadającej klatce piersiowej Blaisea.

Z wolna uspokajali się oboje.

- No a ta Despard?

- zapytała wciąż nieco ochryplym głosem Dominique.

-Widziałeś ją od tamtego czasu?

- Właśnie wczoraj, tak się złożyło.

- Czy mówiła coś o firmie?
O tym, jak jej idzie?
- Tylko tyle, że idzie jej "bardzo dobrze".
To krótki, ale wierny cytat z jej wypowiedzi.
- No tak, wiem, że zwrócono się do niej, żeby zajęła się sprzedażą Courtland Park wraz z całą kolekcją.
Ale na tym też skończą się jej sukcesy.
Znam człowieka, od którego decyzji zależy wybór osoby prowadzącej aukcję i mogę ci tylko powiedzieć, że ta Kate Despard wcale nie jest w jego guście.
- Ale za to ty jesteś?
Uśmiech Dominique był powściągliwy, ale nie ukrywał satysfakcji.
- Oczywiście.
Ja z całą pewnością jestem.
- Więc dlaczego nie zwrócił się z tym do ciebie?
- Tym razem Londyn wciąż jeszcze był dla nich wygodniejszy niż Nowy Jork, niestety.
Ale poczekaj parę lat, a zapewniam cię, że w tego rodzaju sytuacjach nawet i w Londynie będzie się myślało przede wszystkim o nas.
- Chciałbym mieć twoją pewność siebie - mruknął Blaise.
- A co wtedy byłoby ze mną?
- Pewnie to samo co teraz.
- Blaise szybkim ruchem przyciągnął ją i obrócił tak, że znalazła się pod nim.
Była przygnieciona i obezwładniona, ale nie zamierzała protestować.
Przeciwnie, jej oczy zabłyśły.
- Tak szybko?
- zapytała tylko i natychmiast odpowiedziała sama sobie: - No oczywiście.
- Jej zręczne palce natychmiast podjęły dopiero co przerwane zabiegi.
Uniosła nogi i zaplotła je na jego plecach.
- Ale to musi być już ostatni raz.
Jutro z samego rana mam być w Paryżu.

Rozdział 12 .

Przypadek, albo może nawet los, najwyraźniej postanowił tu się wtrącić.
Dominique i Consuela, które nie widziały się przez długie miesiące, niespodziewanie spotkały się w Paryżu, w słynnym sklepie Yvesa Saint Laurenta.
Consuela właśnie wychodziła, Dominique wchodziła, obie w swych najnowszych zabójczych kreacjach.
Consuela w miodowożłoty zamszach bogato obramowanych norkami koloru wytrawnego szampana, w kapelusiku typu czako - oczywiście również z norek - przechylonym zawadiacko na czubku utlenionej głowy; Dominique w piaskowym ponczo ponad obszernymi spodniami z czarnego welwetu, wciśniętymi w wysokie i błyszczące czarne buty.

Obie znieruchomiały na moment na swój widok, jednakże już po chwili Consuela przypomniała sobie, że właśnie udało się jej pozbawić Dominique sporej prowizji przy sprzedaży obrazu - i natychmiast, z pełnym satysfakcji uśmiechem zawołała wylewnie: - Dominique, skarbie!

Tak dawno cię nie widziałam...

całe wieki!

- Naprawdę?

- odpowiedziała równie słodko Dominique.

- Prawdę mówiąc, nawet tego nie zauważyłam.

- Pokłóciliśmy się tak bez sensu, a przecież nie było o co.

- No, nie powiedziałabym, że nie było o co, kochanie.

On się okazał wcale, wcale, zapewniam cię.

A to suka, pomyślała Consuela, starając się nie okazać wzbierającej w niej nienawiści.

- Co tam u ciebie, skarbie?

Słuchaj, długo chcesz tu być?

Czy może znajdziesz chwilę czasu, żebyśmy gdzieś usiadły i pogadały?

Potrzebuję czegoś ode mnie, pomyślała Dominique.

I to potrzebuje tak bardzo, że gotowa jest zapomnieć o dumie.

- Czemu nie - powiedziała.

- Mogę przecież przyjść tu później.

Obróciła się do sprzedawczyni, która z szacunkiem trzymała się w pewnej odległości.

- Wrócę tu za czterdzieści minut i wtedy zrobimy przymiarkę.

Już po chwili obie siedziały przy jednym z najlepszych stolików u "Maximea", gdzie mogły nie tylko wszystko widzieć, ale i być widziane.

- I co tam nowego?

- zapytała Consuela.

- Wszystko w porządku?

No a jak przebiega rywalizacja o firmę?

- Rywalizacja?

- spytała Dominique z wyraźnym rozbawieniem.

- Jaka tu może być rywalizacja?

Nie ma żadnej, mogę cię zapewnić.

Consuela roześmiała się głośno.

- To prawda, że ta cała Kate nie wygląda na to, żeby mogła komuś zagrozić.

Chyba że w konkursie udawania żyrafy!

- To znaczy, że ją widziałas?

- Dominique była już pewna, że jej podejrzenia okazały się uzasadnione.

Consuela najwyraźniej coś sobie zaplanowała.

- Widziałam ją, i to wczoraj, w Londynie.

Zostawiłam jej obraz do sprzedania.

- Widząc nagle spojrzenie Dominique, dodała tonem wyjaśnienia: - No cóż, zostawiłam jej, bo my akurat byliśmy pokłócone, kochanie.

A poza tym byłam jej ciekawa.

Zwłaszcza teraz, kiedy ona i mój przyrodni brat zostali, poprzez tę sprawę zapisu, w jakiś sposób ze sobą związani.

Jednak Dominique nie zamierzała reagować na tę aż tak grubymi nićmi szytą prowokację i po prostu zignorowała słowa Consueli.

- Co to był za obraz?

- zapytała.

- Och, taki pejzaż Remingtona.

- Nie wiedziałam, że w ogóle masz jakieś jego obrazy.

- Prawdę mówiąc, rzeczywiście nie mam.

Ale za to moja babka ma ich całą furę, i część z nich z całą pewnością przypadnie mnie.

Więc po prostu wzięłam sobie jeden już teraz, i tyle.

- Całą furę?

- powtórzyła bardzo wolno Dominique.

- To znaczy ile?

- Ja wiem?

Kilkanaście, może kilkadziesiąt.

Ten jej koszmarny różowy pałacyk jest zapchany aż po dach równie koszmarną amerykańską sztuką.

Bardzo cenną, podobno.

Kiedy mój mąż Jaime zobaczył to kiedyś, mało mu oczy na wierzch nie wylazły.

Powiedział, że całość tej kolekcji jest warta grube miliony...

- Consuela kątem oka spojrzała na Dominique, aby sprawdzić, jaki efekt wywarły jej słowa.

Teraz zamierzała wyłożyć wszystkie asy, zadać ostateczny cios.

- Ale ty, skarbie, oczywiście nie możesz tego wiedzieć, ponieważ nigdy tam nie pojechałaś.

Słyszałam, że wręcz nie znosisz Dzikiego Zachodu...

podobnie zresztą, jak nie znosisz mojej babki, prawda?

Uśmiechnęła się z nie ukrywaną satysfakcją, spoglądając prosto w oczy Dominique.

Ta jednak zachowała spokój, starając się, by Consuela nie miała się z czego cieszyć.

A więc o to jej tylko chodziło, pomyślała.

Chce mi dopiec, upokorzyć mnie.

Uświadomić mi, że nie mam nawet cienia szansy, żeby sprzedać choćby jeden przedmiot z tej fantastycznej kolekcji, o której istnieniu nawet nie wiedziałam - a nie wiedziałam tylko przez własną głupotę!

A także i dlatego, że mój mąż nawet słowem o tym zbiorze nie wspomniał!

Owszem, dobrze wiem, że sztuka w ogóle go nie interesuje.

Ale interesuje mnie, i on to przecież musi wiedzieć!

Nie mówiąc już o tym, że właśnie teraz prowadzę tę najważniejszą walkę mego życia.

Decydująca!

Nie może być tak bezmyślny, żeby nie zdawał sobie sprawy, że gdybym dostała do sprzedaży tę kolekcję jego babki, to - razem z tym, co zamierzam teraz sprzedać w Hongkongu - rozstrzygnęłoby to naszą rywalizację w sposób ostateczny i nieodwołalny.

I tak niewiele w gruncie rzeczy brakowało.

Niech to diabli!

Oczywiście nawet drgnieniem powieki nie zdradziła tych wszystkich kłębiących się w niej myśli.

Przeciwnie, udało się jej spojrzeć w czarne oczy Consueli ze spokojem, którego bynajmniej w sobie nie odczuwała.

Nie dam ci się cieszyć, ty suko!

- pomyślała.

Teraz wiem, dlaczego tak nagle postanowiłaś się pogodzić, po tylu miesiącach!

Tylko po to, żeby wykorzystać okazję i dopiec, dołożyć, skaleczyć do krwi, co tak świetnie zazwyczaj potrafisz.

No więc tym razem to ci się nie uda!

Dominique zdobyła się nawet na lekki uśmiech, co sprawiło, że w oczach Consueli zamiast triumfu pojawiła się nagle niepewność.

Tak, niech się teraz denerwuje, niech wciąż nie wie, co się stało.

Dominique nie śpieszyła się z odwetem, postanowiła, że jej cios będzie celniej wymierzony i na pewno dojdzie.

Bo na szczęście miała czym zadać ten cios.

Łaska boska, że ta mała Despard akurat pojechała tam do Kolorado!

Aż trudno przyjąć, że to czysty przypadek; w takich sytuacjach czasem chce się uwierzyć w istnienie Boga.

Dominique uniosła kieliszek bardzo pewną dłonią, w której nawet najbaczniejszy obserwator nie dostrzegłby choćby śladu drżenia.

- A ile też sobie zażyczyłaś za ten twój obraz?

- zapytała niedbale.

- Kate Despard zasugerowała cenę minimalną ćwierć miliona funtów.

Wyobrażasz sobie?

Ta moja babka naprawdę siedzi na potwornych pieniądzach.

- Consuela udawała, że sama myśl o tym niezmiernie ją denerwuje, ale przez cały czas uważnie przyglądała się twarzy Dominique.

Dobrze jej tak, tej wrednej dziwce, pomyślała z satysfakcją.

Nie uda się jej położyć łapy na żadnym z tych obrazów, ta stara indiańska squaw z pewnością tego dopilnuje!

Możesz sobie przede mną udawać, że cię to w ogóle nie obeszło, ja i tak wiem, że aż skręcasz się z wściekłości.

Zrobiłaś straszny błąd, skarbie!

Pomyśleć tylko - wielka Dominique du Vivier własnoręcznie wzięła się za kołnierz i sama siebie wyrzuciła na zbity pysk z takiej skarbnicy!

Sama sobie odebrała szansę pozyskania do sprzedaży tej tak wielkiej - może w ogóle największej - prywatnej kolekcji sztuki amerykańskiej, za którą niejednen dyrektor muzeum całowałby ją po rękach.

- Tak, to wielka szkoda.

- Głos Consueli przypominał mruczenie zadowolonego kota.

- Wielka szkoda, że nigdy jakoś nie polubiłyście się z moją babką.
Tak sobie myślę, że mogłabyś przecież mieć z tego niemałe korzyści.

- Za to ty możesz mieć niemałe kłopoty - odpowiedziała jej Dominique tym samym tonem i z tym samym jadowitym uśmiechem.

- Jestem pewna, że Kate Despard natychmiast rozpoznała twojego Remingtona.

- Rozpoznała?
W jaki sposób?
O ile wiem, ten obraz w ogóle nigdy nie był wystawiany czy reprodukowany.

- To nie ma żadnego znaczenia.
Ta Kate Despard dopiero co była z wizytą na ranczu twojej babki.
Znając ją, można być pewnym, że zrobiła bardzo dokładny przegląd wszystkiego, co w ogóle tam jest, a już szczególnie uważnie przyjrzała się obrazom i rzeźbom.
Blaise mówił mi, że ona się w tym specjalizuje.
Blaise akurat niczego takiego nie mówił, ale Dominique doskonale wiedziała, że Consuela tego nie wie i nie sprawdzi.
Zwłaszcza jeżeli rzeczywiście - a to praktycznie było już pewne - ten obraz po prostu ukradła.
Twarz Consueli nagle zrobiła się bledsza, tylko mocno uszmkowane usta wciąż paliły się żywym szkarłatem.
Zaczęła kłać - po hiszpańsku, ponieważ ten język jest szczególnie bogaty w obsceniczne wyzwiska.

- Nawet się nie zająknęła, ta suka!
Słowa nie powiedziała, kłamliwa dziwka!
Zimna, obłudna franca!
- Tu akurat w pełni się z tobą zgadzam.
Obłudna jest wręcz wyjątkowo, kłamliwa też, jak rzadko.
Mogę ci zagwarantować, moja droga Consuelo, że ona od początku musiała mieć oko na tego Remingtona i na pewno go sobie dobrze zapamiętała.
A teraz będzie miała okazję podlizać się starszej pani, zadzwonić do niej z doniesieniem.

- O Chryste Panie!
- zawołała Consuela łamiącym się głosem.
- Zabiję tę sukę!
Ludzie przy innych stolikach zaczęli się odwracać w ich stronę, ale Consuela nie zwracała na to uwagi.

- Niech to nagły szlag!
Tak potrzebuję tych pieniędzy!
Mam takie długi, że to się w głowie nie mieści.
A jak Jaime się dowie, to mnie po prostu zabije!
I tak mnie załatwiła...
kłamliwa dziwka!

- Czy podpisałaś z nią jakąś umowę?
- Jaką umowę?
- A więc nie podpisałaś.

No tak, ta mała szybko się uczy.

Chodzi o to, że wszelkie przedmioty o dużej wartości przyjmuje się do sprzedaży tylko poprzez podpisanie specjalnej umowy.

Jeśli takiej umowy nie podpisałaś, nie ma prawnej podstawy do wniesienia skargi sądowej, ponieważ wtedy byłyby co najwyżej jej zeznania przeciwko twoim.

Czy powiedziała ci wyraźnie: "Tak, sprzedam to dla pani"?

Consuela czuła się mniej więcej tak, jak pacjentka na fotelu dentystycznym podczas przeciągającej się ekstrakcji.

- Nie użyła dokładnie tych słów - przyznała w końcu.

- A jakich dokładnie słów użyła?

Consuela zwijała się jak na mękach.

- Ja...

to znaczy, ja po prostu automatycznie przyjąłem, że tak jest.

Wyglądała na bardzo zainteresowaną i jeszcze powiedziała, że za sześć tygodni mają zaplanowaną aukcję sztuki amerykańskiej.

- Ale czy powiedziała wyraźnie, że włączy tam ten twój obraz?

-Nie.

- Tak więc w rzeczywistości w ogóle ci nie powiedziała, że go sprzeda?

- Nie powiedziała też, że go nie sprzeda.

Dominique potrząsnęła głową.

- Rozegrała to po prostu bardzo dobrze.

Musiała od razu rozpoznać ten obraz i, założę się, że jak tylko zamknęły się za tobą drzwi, natychmiast zadzwoniła do tej starej Indianki i wszystko jej opowiedziała.

Consuela spojrzała w szafirowe oczy Dominique i wyraźnie widziała pelgające w nich iskierki bezgłośnego śmiechu.

- Ta mała Despard postępowała tak, że od strony prawnej jest nie do ugryzienia.

Poinformowała właściciela obrazu, że inna osoba zaoferowała go do sprzedaży jako swoją własność.

Jeśli to się rozniesie, to marne twoje widoki.

Consuela przeraziła się nie na żarty.

- Więc trzeba coś zrobić, żeby to się nie rozniosło - powiedziała, nerwowo załamując palce i gwałtownie przetykając ślinę.

Teraz gotowa była sama ukłęknać przed tą kobietą, którą jeszcze przed chwilą chciała rzucić na kolana.

- Ty nie powiesz o tym nikomu, prawda?

A już zwłaszcza Blaiseowi.

Wiesz, jaki on jest w tych sprawach, a jeszcze gdyby się dowiedział, że chodzi o jego ukochaną babcie!

Zaraz robi się taki zasadniczy, świętszy od papieża i jeszcze Bóg wie jaki.

Dość będę miała kłopotów ze strony samej Agathy, a wszystko przez tę podstępną żmiję, Kate Despard!

O Boże, gdybym ją teraz mogła dopaść, to chyba bym ją udusiła!

- Consuela rozejrzała się za kelnerem i kazała sobie podać jeszcze jednego drinka.

- Przysięgam na Boga, że jej tego nie daruję!

Znam wielu ludzi, którzy kupują w firmie Despard...

i postaram się, żeby już nigdy nie kupili tam nawet jednej zakichanej filiżanki!

Żeby ich noga więcej tam nie powstała!

- Sama miałabym ochotę zemścić się w tej sytuacji - powiedziała ze zrozumieniem Dominique.

Komputerek w jej głowie kalkulował wszystko z maksymalną prędkością.

Consuela de Barranca mogła się okazać wcale pożyteczna, jej jadowity język z pewnością byłby bardzo przydatny w cichej wojnie z Kate Despard.

Bardzo korzystna była też ta okoliczność, że w przekonaniu wszystkich Consuela i Dominique wciąż były pokłócone na śmierć i życie - od czasu, gdy starły się bardzo ostro, konkurując o względy pewnego zabójczo przystojnego Brazylijczyka z plaży Copacabana.

Tak, to warto było wykorzystać, za niewielką przecież cenę odrobiny obłudy.

- No dobrze, moja droga Consuelo - powiedziała uspokajająco.

- Nie przejmuj się aż tak bardzo tą gówniarą.

Ona wkrótce dostanie za swoje.

Bo przecież chyba nie myślisz, że pozwolę jej wygrać tę rywalizację ze mną.

- Jeżeli tylko będę ci mogła w jakiś sposób dopomóc, to ja...

- Consuela aż gotowała się z wściekłości.

- Nie, w tym przypadku to raczej ja mogłabym pomóc tobie.

Jeżeli chwilowo masz jakieś kłopoty finansowe, służę ci pożyczką.

W końcu jesteśmy przyjaciółkami od...

no, wszystko jedno.

Wiesz co?

Chodź razem ze mną do Saint Laurenta, a zaraz potem pojedziemy do mojego biura i wypracujemy tam jakieś przyjacielskie arrangement.

- O mój Boże!

Dominique, jesteś po prostu aniołem!

- zawołała Consuela.

W jej głosie przebijała wyraźna ulga.

- Dziękuję ci, że chcesz mi pomóc.

To tylko na krótko, zapewniam cię.

A ja dobrze wiem, że tych pożyczonych ci pieniędzy już nigdy nie zobaczę, pomyślała Dominique.

Postarała się jednak, by Consuela nie dostrzegła jej uśmiechu, w którym była pełna cynizmu wyrozumiałość, ale i pogarda jednocześnie.

I tak to będzie warte tych straconych pieniędzy, pomyślała.

Consuela na ścieżce wojennej potrafi być naprawdę niebezpieczna...

i jadowita przy tym niczym kobra.

Kate Despard prawdopodobnie jeszcze nie wie, ilu klientów straci tylko dlatego, że się jej naraziła, powiedziała sobie Dominique.

Co niestety nie zmienia faktu, że ja również popełniłam fatalny błąd, nie dbając w swoim czasie o nawiązanie dobrych stosunków z Agathą Chandler.

Czemu Blaise nigdy się nawet nie zająknął na temat tego, co tam jest na tym ranczu?

Wiedział o tym wszystkim przez cały czas i milczał, kiedy ja - jak się okazuje - sama podpiłowywałam gałąź, na której tak wygodnie mogłabym teraz siedzieć.

No bo pomyśleć tylko: kilkanaście albo i kilkadziesiąt płócien pędzla Remingtona!

No dobrze, mój kochany mężu!

Ty mi jeszcze za to zapłacisz!

Myśl o tym, jak będzie się mściła na nim za wszystko, co przez niego straciła, sprawiła Dominique niekłamaną przyjemność.

Tak, policzę się z nim, kiedy się spotkamy następnym razem.

I wtedy będzie płacił i płacił, i płacił.

Nicholas Chevely przyjechał po Kate bardzo punktualnie, dokładnie o dziesiątej rano.

Ubrany był tak, jak należało się ubrać, wybierając się na wiejską wyprawę: tweedowe spodnie, marynarka ze skózanymi łatami na łokciach.

Brakowało mu tylko składanego myśliwskiego krzeselka, by mógł wystąpić jako wzorowy przedstawiciel starego angielskiego ziemiaństwa.

Kate na wszelki wypadek skonsultowała się wcześniej z Charlotte.

Ta, gdy usłyszała, że chodzi o Nicholasa Chevely, uniosła lekko brwi.

- Nicholas Chevely, powiadasz?

Wobec tego trzeba będzie pomyśleć o czymś naprawdę ekstra.

On nigdy nie pokazał się publicznie z kobietą, która nie byłaby po prostu wcieleniem doskonałości.

- Czy to znaczy, że ty go znasz?

- zapytała dość naiwnie Kate.

Charlotte uśmiechnęła się dyskretnie.

- Tak, znam go, oczywiście.

Londyńskie towarzystwo nie jest aż tak liczne, jak mogłoby się wydawać.

Poza tym był kuzynem mojego pierwszego męża.

Był zresztą nie tylko kuzynem, zwłaszcza dla samej Charlotte.

Ale to oczywiście była już zupełnie inna historia, i z pewnością nie taka, żeby akurat teraz do niej wracać.

- Tweedy, zdecydowanie tweedy - postanowiła Charlotte po wnikliwym zastanowieniu.

- Znam taką firmę, która potrafi zrobić, co trzeba.

Firma rzeczywiście potrafiła, toteż w środę rano - gdy przyjechał po nią Nicholas Chevely - Kate mogła bardzo efektownie zejść po głównych schodach Despard's London, z przyjemnym uczuciem, że wygląda naprawdę doskonale w eleganckim myśliwskim garniturku w dyskretną kratkę.

Jej spodnie były skrojone rzeczywiście znakomicie, a marynarka miała na plecach obowiązkowe przecięcie, na wzór męskich kurtek do konnej jazdy, i była zapinana na guziki z prawdziwej kości.

Stroju dopełniały lśniące wysokie buty na rozsądnie niewysokich obcasach oraz duża torebka na ramię, dostatecznie pojemna, by można było w niej pomieścić podróży futerał z parą mięciutkich skórzanych kapci od Gucciego.

To Charlotte doradziła Kate, by coś takiego jednak ze sobą zabrała.

- Na wypadek gdybyś na przykład musiała chodzić po jakichś szczególnie cennych dywanach - powiedziała i uśmiechnęła się.

- Właściwe przygotowanie decyduje o wszystkim.

Pod kurteczką Kate miała rdzawobrazowy kaszmirowy sweterek, doskonale zharmonizowany z kolorem jej włosów, szyję przewiązała jedwabnym szalem od Hermesa.

Jako perfumy Charlotte zaleciła odrobinę Alliage od czasu do czasu.

- To po prostu idealny zapach, zwłaszcza jeśli uwzględnić, dokąd jedziecie i co tam będziecie robić.

Kate nie mogła nie zauważyć, że Nicholas Chevely przyjrzał się jej bardzo uważnie i najwyraźniej w pełni zaakceptował jej strój i wygląd.

Zresztą nawet nie próbował ukrywać swego zadowolenia, choć oczywiście przywitał się z nią z zachowaniem wszelkich form.

Sklonił się i otworzył przed nią drzwi najnowszego modelu Jaguara XJS w kolorze lśniącej miedzi, który idealnie harmonizował z ubiorem i kolorem włosów Kate.

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że może uda się nam wymigać od całej ceremonialnej części naszej wizyty - powiedział, zajmując miejsce za sportową kierownicą wozu.

- Ale tam już wszyscy wiedzą o tym, że przyjeżdżamy.

Musiałem więc zgodzić się na wspólny lunch.

- Z pewnością będzie bardzo miło - odpowiedziała Kate.

Rollo obejrzał ją przed wyjazdem i tylko pokręcił głową, z mieszaniną uznania i lekceważenia.

- No dobra, Czerwony Kapturku, pamiętaj, że jedziesz do chaty wilka.

Uważaj, żeby cię tam nie zjedli.

Kate wyjeżdżała pełna nadziei, ale też i obaw.

Nadzieje były związane z kolekcją Courtland Park, którą wreszcie miała zobaczyć; obawy dotyczyły osoby Nicholasa Chevely.

Już parę dni wcześniej okazało się, że cały personel wie o tym planowanym wyjeździe.

Claudia Jamieson na odjeźdźnym rzuciła jej cokolwiek zagadkową radę: - Trzeba zrobić dobre wrażenie, oczywiście, ale też warto mieć oczy otwarte, w miarę możliwości.

John Steadman bardziej niż kiedykolwiek przypominał pompatycznego kaznodzieję na kazalnicy i - oczywiście - próbował jej wbić w głowę całą listę bardzo poważnych zaleceń i zastrzeżeń.

Natomiast David Holmes tylko kiwał głową.

- Naprawdę bardzo bym się cieszył, gdyby to wszystko, co zebrano w Courtland Park, trafiło do katalogów naszej firmy.

Ale, Kate, pamiętaj też o tym, co cię czeka, jeśli rzeczywiście uda ci się to pozyskać do sprzedaży.

Na to trzeba mieć końskie zdrowie.

To będzie naprawdę cholerna praca!

Natomiast Charlotte powiedziała jej wprost: - Wyglądasz ślicznie, moja droga.

Ale chciałam cię ostrzec - o Boże, czuję się teraz jak stara ciotka, udzielająca rad niewinnemu dziewczęciu!

Chciałabym cię ostrzec, żebyś za bardzo nie wierzyła pozorom, a już zwłaszcza obietnicom.

Dla niego kobiety to tyle, co ziarno dla młyna.

No a w tym konkretnym przypadku na pewno będzie chodziło o to, kto da najwięcej.

I mam tu na myśli nie tylko najwyższe możliwe do uzyskania ceny.

- Ja zamierzam mu sprzedawać moją firmę - odparła Kate z błyskiem w oku.

-Nie siebie!

Charlotte uśmiechnęła się.

- O to mi właśnie chodziło.

Widzę, że na szczęście szybko się uczysz.

I rzeczywiście, podczas całej tej wyprawy do Sussex Kate miała okazję wiele się nauczyć.

Przynajmniej jeżeli idzie o obyczaje prawdziwie drapieżnych mężczyzn.

Nicholas Chevely był niezmiennie pełen wdzięku, niczego nie powiedział wprost, a jednak potrafił dać jasno do zrozumienia, że - jeżeli idzie o argumenty - stale oczekuje jeszcze na coś, co do końca przekonałoby go, że sprzedaż kolekcji Courtland Park należy powierzyć właśnie firmie Despards London.

Przez kutą w żelazie bramę samochód wjechał do olbrzymiego parku, otaczającego widoczny już z daleka wielki dom w cokolwiek fantastycznym stylu Jakuba I o gotyckich oknach, dzielonych kamiennymi słupkami, i wysokich kominach, przypominających gigantyczne cukierki.

Kate patrzyła na to wszystko i zastanawiała się, jak ma dalej postępować z Nicholasem Chevely.

Czy mam zapłacić taką cenę?

- pytała sama siebie.

Muszę zdobyć to zlecenie; ale czy to znaczy, że i sama mam się sprzedać?

Niemal natychmiast przypomniały się jej słowa ojca: "Pamiętaj, Kate - kiedy stawką jest pozyskanie wielkiej kolekcji, trzeba zrobić wszystko.

Ale to nie znaczy, że można sobie pozwolić na coś, co naruszałoby dobre imię firmy albo twoje własne dobre imię.

Pamiętaj o tym, córeczko, bo to jest chyba w ogóle najważniejsze przy prowadzeniu takiej firmy jak Despards".

Pamiętam o tym, tato, szepnęła bezgłośnie Kate.

I postąpię tak, jak trzeba.

Tak, jak mnie uczyłeś.

Wnętrze domu rzeczywiście było nieprawdopodobnie zapchane najróżniejszymi przedmiotami, zebranymi bez ładu i składu.

Rzeczy rzadkie i bardzo cenne stały zaraz obok zwyczajnego śmiecia.

Pokoje były ogromne, bogato zdobione i z reguły źle oświetlone, gdyż wysokie okna zawieszono były ciężkimi, mocno spłowiałymi i prawie już rozsypującymi się ze starości zasłonami.

Wszystkie pomieszczenia pełne były stłoczonych w nieładzie mebli, najróżniejszych brązów, marmurów, kryształów i starej porcelany.

Było też mnóstwo obrazów, z których wiele nie miało nawet ram; ustawiono je wprost na podłodze, oparte o ścianę, czasem po kilka czy nawet kilkanaście naraz.

Podobnie niedbale przechowywane były także i dywany, które po prostu złożono w grube stosy, jeden na drugim.

W którymś z pokoi Kate odchyliła róg takiego stosu i stwierdziła, że leży ich tam aż sześć, a ten na samym spodzie okazał się wyjątkowo cennym kobiercem, wytwarzanym przed laty w jednym z krajów środkowej Azji.

Razem z Nicholasem Chevely obeszli w ten sposób wszystkie pomieszczenia parteru, a Kate w myśli dokonywała przybliżonego oszacowania zgromadzonych tam rzeczy, przy czym w przypadku wątpliwości zawsze przyjmowała dolną granicę wyceny.

Mieszczące się na piętrze sypialnie również zostały zmienione w coś w rodzaju składów mebli i dzieł sztuki wszelkiego rodzaju.

Panował tam taki sam stylistyczny bałagan.

Francuskie meble wyjątkowej urody stały tuż obok jakichś prawdziwych okropieństw z czasów królowej Wiktorii.

Wśród obrazów było kilka płócien Rembrandta, zachwycający akt pędzla Rubensa, jeszcze kilkanaście znakomitych obrazów szkoły holenderskiej; z malarstwa angielskiego Kate zwróciła uwagę na dwa obrazy Gainsborougha, piękny portret pędzla Lawrence'a i wspaniałe konie, malowane przez Stubbsa.

Zmarły pan Courtland najwyraźniej niezbyt ceniał modernizm i wszelkie jeszcze nowsze prądy malarskie, w każdym razie w zbiorze z Courtland Park najbardziej nowoczesny był obraz Augusta Johna z 1910 roku.

Zupełnie oszałamiające, zdaniem Kate, były zbiory starej porcelany - między innymi kompletne serwisy z Sewes i Vincennes, poupychane w dziewiętnastowiecznych kredensach.

Było tam też nieprawdopodobnie piękne szkło weneckie, zestaw siedemnastowiecznych włoskich kielichów zdobionych srebrem, których widok sprawił, że Kate na chwilę przestała oddychać.

Było też niezwykle piękne łóżko, które - jak utrzymywał Nicholas Chevely - należało do samej markizy de Pompadour.

Wspaniałe draperie z jedwabistego aksamitu pokryte były teraz grubą warstwą kurzu.

- Jeśli dobrze pamiętam, damy w tamtych czasach miały zwyczaj przyjmowania gości w swych komnatach sypialnych, prawda?

- W tym pytaniu Nicholas Chevely zmieścił akurat tyle żartobliwego potępienia, ile należało.

- No cóż, skoro nawet król przyjmował gości podczas uroczystego wstawania z łóżka.

W tej sytuacji odwiedzenie damy w jej sypialni nie mogło się wydawać niczym niestosownym - odpowiedziała Kate równie lekkim tonem.

- Poza tym w tamtych czasach w ogóle nie za bardzo dbano o to, co dziś nazywamy ochroną prywatności czy intymności.

- Czy również wtedy, gdy madame de Pompadour akurat była z królem? Kate odwróciła głowę i spojrzała prosto w oczy Nicholasa Chevelly, w których znów pojawiły się wyzywające iskierki.

Te orzechowe źrenice przypominały jej oczy drapieżnych zwierząt.

- Wtedy zapewne tak.

Ale też madame de Pompadour sama poświęcała bardzo wiele czasu i trudu właśnie na to, żeby królewski majestat mógł się jak najbardziej intymnie zabawić z innymi kobietami, dzięki czemu ona mogła wciąż rządzić państwem.

Nicholas roześmiał się.

- Chyba wiem, co pani ma na myśli.

Również podczas zapowiedzianego wcześniej lunchu nie zaprzestał swych zręcznych podchodów, choć wypytywał ją również i o sprawy związane z kolekcją; w szczególności chciał się dowiedzieć, jak Kate zamierzałyby sobie poradzić z uporządkowaniem, skatalogowaniem i przygotowaniem całego tego bałaganu do planowanego wstępnego przeglądu.

- No cóż, przede wszystkim kazałabym wyrzucić wszystko, co jest bezwartościowe i nie nadaje się na aukcję.

Potem z grubsza uporządkowałabym rzeczy wartościowe, układając jakąś listę, która uwzględniałaby okres historyczny i styl konkretnych przedmiotów.

Po wyrzuceniu śmieci i uporządkowaniu reszty, kazałabym wysprzątać i wyczyścić cały ten dom od piwnic aż po dach.

A potem zleciłabym dobremu specjalście ustawienie i aranżację tego wszystkiego w odświeżonych wnętrzach, tak by ludzie, którzy przyjdą tu, żeby zapoznać się z oferowanymi zbiorami, mogli widzieć to wszystko już w kompletnie umeblowanych i urządzonych pokojach.

Ustawiłabym wszędzie wazon z kwiatami, wyrzuciłabym w ogóle te okropne zasłony, a wszystkie żarówki zmieniałabym na kilkakrotnie mocniejsze.

Oczywiście kazałabym pieczołowicie oczyścić całą porcelanę i kryształy, odświeżyć i wypolerować każdy mebel; obrazy kazałabym wyjąć z ram i również je oczyścić, mam bowiem w naszej firmie naprawdę znakomitego konserwatora obrazów.

Potem kazałabym rozwiesić te obrazy w taki sposób, żeby je naprawdę wyeksponować - jak na to zasługują.

I przygotowałabym katalog, ale taki, żeby ludzi naprawdę zatkało i żeby nie przestawali o tym mówić.

A samą aukcję przygotowałabym tak, żeby to było prawdziwe wydarzenie - stroje wieczorowe, specjalna aranżacja i tak dalej.

- A ile by to pani zajęło?

- Minimum sześć miesięcy.

- Co oznaczałoby koniec października...

- Nicholas Chevelly zamilkł na chwilę.

- Muszę jednak przestrzec panią, że rząd może skorzystać z prawa pierwokupu, w każdym razie trzeba się liczyć z taką ewentualnością.

- Widząc zaskoczenie na twarzy Kate dodał tonem wyjaśnienia: - Chodzi o podatek spadkowy.

Przeszło siedem milionów funtów.

Kate mimo woli zamrugła powiekami.

- Tak więc jeśli rządowi urzędnicy zdecydują, że po prostu wolą przejąć Courtland Park wraz z całą zawartością, może się okazać, że w ogóle nie będzie szansy zorganizowania tej aukcji.

- A jakie jest prawdopodobieństwo?

Nicholas Chevely wymownie wzruszył ramionami.

- Pertraktacje prowadzimy na dobrą sprawę już od chwili śmierci pana Courtlanda, ale jak pewnie pani wiadomo, żarna naszej biurokracji miały wyjątkowo powoli.

Poza tym jest tam też pewien ich specjalista od ochrony i konserwacji dzieł sztuki, który bardzo aktywnie działa na rzecz przejęcia przez państwo tych dzieł, które - jego zdaniem

- należą do skarbnicy sztuki narodowej.

- Sądzę, że ma na myśli obrazy - zwłaszcza angielskich mistrzów - a także znaczną część mebli.

- Pani jako ekspert wie to lepiej niż ja.

Tak czy inaczej ten człowiek ma spore wpływy tam, gdzie się podejmuje decyzje.

- A mimo to nadal chciałby pan, żeby nasza firma przygotowała dla was szczegółową informację o tym, jak zamierzalibyśmy poprowadzić aukcję tych przedmiotów w przypadku, gdyby do niej doszło?

- Tak.

Jestem zdania, że nie możemy po prostu czekać i nic nie robić.

Uważam, że zawsze trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność.

O tak, pomyślała Kate.

Kto jak kto, ale pan z pewnością jest zawsze przygotowany.

Jestem absolutnie przekonana, że w bagażniku pańskiego Jaguara leży podręczna walizeczka ze wszystkim, co mogłoby być potrzebne, gdybym przypadkiem zgodziła się zatrzymać wraz z panem w jakimś zacisznym wiejskim hoteliku.

Najdziwniejsze i najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że właściwie w ogóle nie miała na to ochoty, tak więc już od początku odrzucała taką możliwość.

I to nawet nie dlatego, że kiedyś mogłoby to wyjść na jaw - a w tym środowisku z reguły tak właśnie się działo.

Prędzej czy później wydałoby się, że ona, Kate Despard, gotowa była iść z facetem do łóżka w zamian za podpisanie jakiejś tam umowy.

To, oczywiście, musiałoby się odbić wysoce niekorzystnie zarówno na jej osobistej reputacji, jak i na renomie firmy Despards.

Ale dla niej jeszcze ważniejsze było to, że choć Nicholas Chevely był bardzo przystojnym mężczyzną, na nią to właściwie zupełnie nie działało.

Owszem, miło było wygrzewać się w podzwrotnikowym cieple jego gorących spojrzeń, wykorzystywać jego pochlebne słowa do podbudowywania kobiecej pewności siebie.

Ale też na tym się to wszystko kończyło.

Jako mężczyzna Nicholas Chevely po prostu jej nie podniecał.

Gdyby to samo zaproponował jej Blaise Chandler, gdyby tylko popatrzył na nią tymi czarnymi jak węgiel oczami, Kate nie zastanawiałaby się ani chwili...

Trzeba było wrócić do zasadniczego tematu rozmowy.

- Wie pan, że to w końcu mogłoby być nie najgorsze?

- powiedziała, wciąż rozważając wszystkie ewentualności.

- Co mogłoby być nie najgorsze?

- zapytał, a jego oczy niedwuznacznie mówiły, co miał na myśli.

Jednak Kate myślała o czymś zupełnie innym.

- Gdyby wybuchła publiczna wrzawa na temat zbiorów z Courtland Park, oczywiście.

Wyjdzie to tylko na dobre, jeśli ludzie dowiedzą się, ile kosztuje utrzymanie takich zbiorów i jak represywne są teraz podatki, które po prostu zagrażają samemu istnieniu tego rodzaju domów, jako instytucji publicznych.

A przecież właśnie w nich dotąd trwają nie tylko zgromadzone tam skarby sztuki, ale i nasza historia.

Kiedy ludzie odwiedzający taki dom płacą półtora funta za wejście, z reguły są przekonani, że właściciel wyda te pieniądze na nowy samochód albo zagraniczne wakacje, a nie na utrzymanie zbiorów.

- Niezależnie od tych wszystkich bardzo ważnych społecznych aspektów - uśmiechnął się Nicholas Chevely - wciąż pozostaje faktem, że rozstrzygająca będzie decyzja rządu, dotycząca ewentualnego pierwokupu.

Myślę jednak, że nie powinno to wstrzymywać pani pracy nad przygotowaniem propozycji przyszłej prezentacji dla członków zarządu powierniczego.

Poza tym październik jest ostatnim możliwym terminem, kiedy - jeśli aukcja doszłaby do skutku - obowiązywałaby korzystniejsza stawka podatkowa, liczona od ogólnej wartości szacunkowej, a nie od ceny osiągniętej przy rzeczywistej sprzedaży.

Wiele z tego, o czym mi pani dziś opowiadała, zapadło mi w pamięć, ale chyba najmocniej wryła się informacja o tym, jak nieprawdopodobnie podskoczyły ceny tego rodzaju zbiorów, i to w ciągu ledwie kilku ostatnich lat.

Więc kiedy się w dodatku pomyśli, że większość znajdujących się w tym domu rzeczy leży tam już od półwiecza albo i dłużej...

I kiedy się to policzy...

- Rzeczywiście jest nad czym pomyśleć - odpowiedziała Kate równie poważnie jak on.

Wargi Nicholasa Chevely wyraźnie drgały od powstrzymanego uśmiechu.

No, przynajmniej ma poczucie humoru, pomyślała sobie Kate.

Dobre i to.

Zjedli kolejny gorący posiłek, który tym razem podano im na zasłanej białym obrusem niewielkiej części olbrzymiego stołu - dorównującego rozmiarami sporemu kortowi tenisowemu.

Jedzenie prawdopodobnie zostało po prostu przywiezione - w termosach - z Londynu (Kate już wcześniej zdążyła obejrzeć kuchnię w Courtland Park i nie znalazła w niej żadnego sprawnego urządzenia, pozwalającego na upichcenie czegokolwiek).

Później oboje poszli obejrzeć zamkniętą dotąd część domu, w której nie mieszkało już od wielu lat.

Tu zaniedbania były szczególnie widoczne; Kate popatrzyła na to wszystko i powiedziała z zadowoleniem: - Cieszę się, że tak czy inaczej coś się z tym wreszcie zacznie dziać.

Jeżeli dojdzie do sprzedaży, to z pewnością przywróci się do właściwego stanu wiele rzeczy, które bez tego nadal gnilyby tu i butwiały.

Nie cierpię wszelkiego marnotrawstwa.

- Ja też ubolewam, kiedy się coś marnuje zupełnie niepotrzebnie - zgodził się natychmiast Nicholas Chevely.

Powiedział to jednak takim tonem, że słowa te znaczyły zupełnie co innego i jawnie odnosiły się do ich wspólnego i tak bez sensu marnotrawionego czasu, który oboje mogliby przecież spędzić znacznie przyjemniej, wywożąc stąd później jakże miłe wspomnienia.

Kate musiała przyznać, że nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który tak doskonale opanowałby sztukę zawołanych, a przecież całkowicie przejrzystych aluzji.

Nicholas Chevely ani razu nie posunął się do otwartego stwierdzenia w rodzaju: "Pani mi się bardzo podoba i marzę o tym, żeby pójść z panią do łóżka.

Co pani na to"?

jednocześnie jednak całym swym zachowaniem i sposobem zwracania się do niej jawnie dawał do zrozumienia, że pożąda jej coraz bardziej i że jej taka czy inna odpowiedź na te nie wypowiedziane głośno propozycje nie pozostanie bez wpływu na ostateczną decyzję, dotyczącą zlecenia sprzedaży kolekcji właśnie firmie Despard.

Wszystko to było przekazywane bardzo subtelnie, ale wyraźnie.

Kate wiedziała, że jej przybrana siostra nie wahałaby się tu ani chwili; zresztą w świecie dealerów dzieł sztuki już od dawna było publiczną tajemnicą, że Dominique du Vivier wykorzystuje seks jako środek do osiągnięcia swych celów.

Jednakże w jej przypadku w jakiś dziwny sposób było to - i to niemal powszechnie - akceptowane.

Seks był jakby integralną częścią jej osobowości, a ona sama była tak niewiarygodnie piękna, że mimo woli ludzie uważali to u niej za coś właściwie naturalnego.

Poza tym o jeszcze paru - co najmniej - znanych kobietach w świecie sztuki mówiło się, że gdyby tylko miały urodę i seksapil Pięknej Rosiczki, z pewnością robiłyby to samo co ona.

Kate wiedziała jednak, że gdyby to ona zdecydowała się na coś takiego, reakcje środowiska byłyby całkowicie odmienne.

To musiałoby wywołać szok, i z całą pewnością spotkałoby się z powszechnym potępieniem.

A to dlatego, że ona była kimś zupełnie innym.

Ludzie akceptowali ją jako cenioną specjalistkę w swojej dziedzinie, ale też - a może nawet przede wszystkim - jako córkę Charlesa Desparda.

Dominique kiedyś przyjęto w tym środowisku, ponieważ jej ojczym tego sobie życzył; jednakże nigdy tak naprawdę nie stała się prawdziwym członkiem tej ekskluzywnej grupy.

Nigdy nie była jedną z nich - więc też nie można było od niej żądać właściwych zachowań i sposobu bycia.

Nagle uświadomiła sobie, że Nicholas Chevely coś do niej mówi.

- Przepraszam pana, zamyśliłam się.

Pan coś mówił, a ja...

- Zauważyłem to - powiedział z nutką melancholii.

- Pani naprawdę potrafi się zatracić bez reszty w czymś takim.

Ten zawód jest dla pani wszystkim?

- Tak - odpowiedziała Kate, szczerze i nie bez pewnej dumy.

- Tak jest rzeczywiście.

Nicholas Chevely ujął jej dłoń i z charakterystyczną dla niego galanterią podniósł ją do ust.

Ale jego słowa nadal były dwuznaczne.

- Wygląda na to, że gotowa byłaby pani zrobić bardzo dużo...

żeby pozyskać tę kolekcję dla firmy Despard.

- Po prostu nie potrafiłabym podchodzić do tego inaczej...

i to niezależnie od tego, kto miałby być moim zleceniodawcą czy też klientem.

- W słowach Kate zabrzmiało wyraźne, choć delikatne napomnienie.

Uwolniła dłoń z przedłużającego się uścisku i znów zaczęła się przyglądać tym wszystkim cennym przedmiotom zgromadzonym na rozległym poddaszu.

Nagle zwróciło jej uwagę coś, co zobaczyła w następnym pomieszczeniu.

Z głośnym okrzykiem protestu wbiegła przez otwarte drzwi.

- No nie!

-jęknęła.

- To po prostu nie do uwierzenia!

- Co takiego?

Kate wymownym gestem wskazała na stosy mebli, piętrzących się pod ścianą.

- Przecież to są osiemnastowieczne francuskie meble!

- zawołała szczerze oburzona.

- Prawdziwe skarby!

No i niech pan tylko zobaczy, jak są przechowywane!

Jak drewno na podpałkę!

Trzeba to stąd zabrać, i to natychmiast!

Nicholas Chevely spojrział na nią i - nieco zaskoczony - posłusznie spełnił jej życzenie.

Nie tylko polecił wezwać mieszkających tam stale dwóch pracowników -dozorcę i strażnika posesji - ale i sam, ku własnemu zdumieniu, zaczął pomagać im w znoszeniu na parter rzeczywiście wspaniałych francuskich mebli.

Były tam przepiękne intarsjowane komody, misternie inkrustowane stylowe biureczka, ozdobne krzesła nadające się wprost do sali tronowej, urocze kanapki i fotele z obiciami z wzorzystego jedwabiu.

- Naprawdę, to po prostu niewyobrażalne.

- Kate westchnęła.

- Żeby to tak po prostu upchnąć jak jakieś rupiecie!

Zdaje się, że jestem tu jako pierwsza z tej trójki firm, których przedstawiciele mają to obejrzeć.

Bo najwyraźniej niczego tu nie ruszono od wielu lat.

- Tak, jest tu pani jako pierwsza - przyznał Nicholas Chevely.

Punkt dla mnie, pomyślała Kate, na nowo nabierając ducha.

Choć oczywiście wszystko jeszcze było przed nią.

Nicholas przyglądał się jej długim, szczupłym dłoniom, którymi delikatnie dotykała szylkretowej inkrustacji jednego z biurka.

Nagle zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy marzy o tym, żeby ta ręka równie czule dotykała jego ciała - i natychmiast poczuł, jak narasta w nim pożądanie.

Dotychczas sądził, że to będzie dziecinnie łatwe; od początku dostrzegał w niej oczywisty brak doświadczenia, liczył więc, że uda mu się połączyć załatwianie interesów z naprawdę przyjemną przygodą.

Okazało się jednak, że ta dziewczyna potrafi mu się wymykać bardzo zręcznie, nie raniąc przy tym jego dumy, dzięki czemu wartość takiej potencjalnej zdobyczy wzrosła tysiącrotnie.

Tak, nie tylko dzieła sztuki z upływem czasu stają się coraz droższe, pomyślał.

Było w niej coś niezmiernie świeżego i młodzieńczego; z tymi długimi nogami i zgrabną, szczupłą figurą trochę przypominała młodego żrebaka.

Potrafiła przy tym być bardzo miłym towarzyszem w podróży i partnerem do rozmowy.

Nie mówiąc już o tym, że najwyraźniej znakomicie znała się na wszystkim, co wchodziło w zakres jej zawodowych zainteresowań.

To dzięki niej on sam zaczął widzieć i rozumieć rzeczy, na które poprzednio w ogóle nie zwróciłby uwagi, i ona też sprawiła, że wreszcie zaczął rozumieć takich ludzi, jak stary Courtland, z jego obsesyjną manią zbierania dzieł sztuki.

Także i jej pomysły - na przykład na temat uporządkowania i ekspozycji kolekcji - wydawały się naprawdę doskonałe.

A tymczasem jego koledzy z zarządu powierniczego, któremu Nicholas Chevely przewodniczył, z powątpiewaniem kręcili głowami, gdy zaproponował, żeby przeprowadzić wstępne rozmowy również z Despard London, a nie tylko z Sothebys i Christies.

- Gdyby to sam Charles Despard wciąż prowadził firmę...

- To był ich najczęstszy argument.

- Jego córka nie ma jeszcze doświadczenia, jest nową osobą w tej branży.

Może za kilka lat...

Wcale tak nie jest, pomyślał teraz, przypominając sobie cały przebieg tych wstępnych oględzin.

Ona doskonale wie, z czym tu ma do czynienia i jakie to otwiera możliwości.

A jej własne możliwości też wydają się ogromne.

Nicholas Chevely dopiero teraz zaczynał sobie z tego zdawać sprawę.

- Ile czasu zajmie sama sprzedaż tego wszystkiego?

- zapytał.

- Nie więcej niż dziesięć dni - odpowiedziała bez chwili wahania.

- To będzie kilka tysięcy pozycji!
- Jej oczy iskrzyły się, rozjaśnione wewnętrznym blaskiem.
- Myślę, że należy pokazać to w telewizji.
Wtedy ludzie, którzy nigdy dotąd nie byli na takiej aukcji, będą mieli okazję zobaczyć te wszystkie wspaniałości.
Oczywiście wejście tylko z biletami i zaproszeniami...
dla gości wyszukane napoje chłodzące, i tak dalej.
Mam w firmie kogoś, kto jest po prostu geniuszem, jeżeli idzie o prawdziwie efektowną aranżację tego rodzaju wydarzeń artystyczno-towarzyskich.
Tak, Rollo tu byłby w swoim żywiole.
Jego niezawodne wyczucie efektu teatralnego byłoby prawdziwym darem niebios w przypadku czegoś takiego jak wielka aukcja kolekcji Courtland Park.
Poza tym gdyby Rollo się tym zajął, skorzystałaby na tym sama firma Despard, również i w tym sensie, że na jakiś czas wszystkie inne działy miałyby z nim spokój.
Nicholas patrzył na nią i czuł, że swoim entuzjazmem zaraża również i jego.
Boże kochany, przecież ta dziewczyna ma naprawdę znakomite pomysły!
Kate znów odwróciła się i popatrzyła na niego.
- Zdaje pan sobie sprawę, że już od tej chwili czas staje się czynnikiem absolutnie decydującym?
Jakie ona ma niezwykle oczy, pomyślał Nicholas.
- Tak, ma pani oczywiście rację.
Kate zmarszczyła brwi.
- A my wciąż nie wiemy, jaką decyzję podejmą urzędnicy.
W tym cały kłopot.
- To prawda.
Ale na szczęście mam bliskiego przyjaciela w jednym z departamentów, i to raczej wysoko.
- Nicholas przyłapał się na tym, że mimo woli zaczął mówić ciszej, jakby poufnie.
- Może uda mi się szepnąć słówko...
I po co ja to wszystko robię, u diabła?
- zapytał sam siebie.
Kate niemal natychmiast udzieliła mu na to odpowiedzi, po prostu uśmiechając się do niego.
Chcąc nie chcąc musiał przyznać, że to na niego działa.
No dobra, ty mała dziewczynko od Despardów, pomyślał z pewnym podziwem.
Udało ci się tym razem.
Najwyraźniej szybko się uczysz.
I pomyśleć, droga panno Despard, że jeszcze parę dni temu skłonny byłem żałować, że to nie twoja przybrana siostra ma się tym wszystkim zająć.
A teraz jestem pewien, że ona w żaden sposób nie mogłaby ci dorównać.
Dojechali do Londynu już po siódmej wieczorem.
- Pójdziemy na kolację?
- zapytał z nadzieją w głosie.

- Dziś wieczorem niestety nie mogę - odpowiedziała Kate.

To pozwoliło mu zadać następne pytanie: - W takim razie kiedy?

- Proszę do mnie zadzwonić.

- Kate uśmiechnęła się i wysiadła z samochodu.

- Na pewno zadzwonię - odpowiedział Nicholas, z zapałem, jakiego nie zdarzyło mu się odczuwać już od wielu lat.

W tej sytuacji oczywiście już nie mogło być mowy o dalszych rozmowach z Sothebys czy Christies.

Obie te firmy reprezentowali bardzo szanowani specjaliści, ale ich wspólną wadą było to, że jednak byli mężczyznami.

Nicholas zastanowił się przez chwilę, czy przedstawicielom tych szacownych domów aukcyjnych przyszło już do głowy, że ich konkurent Despard's London ma tak niezwykle tajną broń.

Kate wjechała windą do swego apartamentu na poddaszu, rzuciła w przedpokoju torebkę i krzyknęła triumfalnie "Hurra"!

, wykonując jednocześnie imponujący piruet z trzema obrotami.

Miała poczucie, że już na pewno zdobyła to zlecenie dla siebie i dla firmy Despard's.

Charlotte, jesteś po prostu nieoceniona, pomyślała z wdzięcznością i postanowiła natychmiast do niej zadzwonić.

- A więc rozumiem, że wszystko poszło dobrze?

- spytała Charlotte.

- Nie chcę się przechwalać - powiedziała rozradowana Kate - ale wygląda na to, że on się naprawdę załapał.

- Na ciebie, czy na firmę Despard's?

- Na jedno i drugie.

Zaprosił mnie na kolację, więc znów będę potrzebowała twojej rady.

- Jestem do dyspozycji, kiedy tylko zechcesz.

Nie masz pojęcia, jaką przyjemność mi to sprawia, nawet jeśli jest to przyjemność niejako zastępcza.

- Postępowałam z nim dokładnie według twoich wskazówek.

- I co, zabawnie było?

- spytała kpiąco Charlotte.

Kate zachichotała.

- W życiu się tak nie bawiłam - powiedziała, po czym dodała już ciszej, jakby z odcieniem spóźnionego żalu: - Dopiero teraz wiem, co dotąd traciłam.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda - odrzekła na to Charlotte, w której głosie można było wyczuć echo jej własnego żalu.

- Całe życie jeszcze przed tobą.

- No i jak jej poszło?

- zapytał Rollo, kiedy Charlotte odłożyła słuchawkę i wróciła do stolika, przy którym przez cały wieczór grali w wista.

- Odniosła sukces i lata teraz pod chmurami.

Wyżej niż dziecięcy latawiec.

Z twarzy Rolla bez trudu można było wyczytać, co o tym wszystkim myśli.

- No, dajże spokój, Rollo - powiedziała strofującym tonem Charlotte.

- Jest oczywiste, że im bardziej ona będzie dorastać, tym bardziej będzie się od ciebie oddalać.

Potrafiła być bardzo dzielna w ciągu tych ostatnich miesięcy.

A poza tym naprawdę nie ma co jej zazdrościć tego, że aż z takim opóźnieniem wchodzi w końcu do świata ludzi dorosłych.

- Zanim się zacznie chodzić, najpierw należałoby się nauczyć raczkować -burknął Rollo.

- Kate nie ma na to czasu.

Ma tylko rok na pokonanie rywalki światowej klasy.

A ty przecież chyba chcesz, żeby z nią wygrała, prawda?

- powiedziała zamyślona Charlotte, po czym dodała ostrzegawczo: - Zresztą nawet jeśli przegra tę rywalizację, i tak już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Rollo nic nie odpowiedział.

Zamiast tego zaczął pilnie tasować karty.

Kiedy je rozdał, Charlotte zerknęła, by sprawdzić, co ma w ręku, a potem spróbowała go trochę pocieszyć; - Tobie też bardzo dużo zawdzięcza, wiele ją nauczyłeś - przekonywała go spokojnie i rzeczowo.

- Wiem, od kogo wzięła tak potrzebne przenikliwość i spryt, a także zdolność jasnego widzenia spraw.

Potrafi już dostrzec istotę rzeczy pod mamiącymi pozorami.

Ale nie trzeba budować w niej przekonania, że tam pod spodem jest tylko zło.

Tu Charlotte rozsądnie zamilkła.

Rollo nie miał zwyczaju liczyć się z opinią innych, ale Charlotte wiedziała, że zawsze przynajmniej wysłuchiwał tego, co mówiła.

Trzeba było mieć nadzieję, że tym razem zechce choć trochę to przemyśleć.

Następnego ranka Kate była już w firmie i natychmiast zabrała się do roboty.

Kiedy na posiedzeniu zarządu przedstawiła wyniki swojej podróży, wszyscy byli niezmiernie zadowoleni.

Nie oznaczało to jednak, by chcieli od razu asygnować pieniądze na działania, o których wciąż jeszcze nie było wiadomo, czy przyniosą jakiegokolwiek zyski.

- Przygotowanie takiego katalogu - a nawet tylko makiety - będzie nas kosztowało fortunę - ostrzegł przedstawiciel działu inwestycji i środków.

- Jestem pewna, że możemy podjąć takie ryzyko - odpowiedziała Kate.

-Pamiętajmy, że termin sześciomiesięczny jest tu nieprzekraczalny, ze względu na podatki.

A decydująca jest stawka, o którą idzie.

Dziesięć milionów funtów!

Jeśli wydamy jakieś pieniądze na przygotowanie katalogu, to po prostu poświęcamy płótkę, żeby złapać naprawdę wielką rybę.

Takie ryzyko trzeba podejmować.

Kate argumentowała tak przekonywująco, że zebrani w końcu się zgodzili.

Na podstawie jej szacunków przygotowano kosztorys dziesięciodniowej aukcji, obejmujący wszystkie przewidywane wydatki, poczynając od napojów chłodzących, a kończąc na opłatach za parking.

Szkic kosztorysu został powielony i rozesłany do szefów poszczególnych działów.

Ustalono terminy dla drukarni; dział informacji i reklamy zadbał o kontrolowane przecieki do prasy i telewizji, by pobudzić zainteresowanie publiczności.

Ustalono też wreszcie datę wywiadu, którego Kate miała udzielić dziennikarce jednego z najpoczytniejszych kobiecych tygodników.

Wywiad ten, który miał się ukazać w serii Kobieta jest szefem, był dotąd stale odkładany z braku czasu.

Teraz uzgodniono, że wywiad odbędzie się bez dalszej zwłoki, właśnie w siedzibie Desparda.

Tam również zaplanowano zrobienie zdjęć.

Największe trudności sprawiło przekonanie zarządu do koncepcji powierzenia Rollowi Bellamyemu czegoś w rodzaju kierownictwa artystycznego całości.

Pracownicy działu reklamy przez parę dni czuli się urażeni, dopóki Kate nie namówiła w końcu Rolla na wspólne przedstawienie im jego koncepcji, przy wykorzystaniu wykonanych przez nią kolorowych rysunków, które tę koncepcję ilustrowały.

Wcześniej Kate i Rollo spędzili niemal dwie doby, próbując zbudować wieloczęściową dramaturgię tego niezwykłego widowiska, jakim miała się stać wyczekiwana przez wszystkich gigantyczna aukcja.

Po przekonaniu ludzi z reklamy Kate bardzo rozsądnie pozwoliła Rollowi na przedstawienie całości tej wizji również na posiedzeniu zarządu.

Rollo wystąpił z niebywałym rozmachem, jego argumenty odwoływały się do historii wszystkich sztuk i ich rozwoju na przestrzeni wieków i - choć nie wszyscy okazali się jednakowo przekonani - głosowanie ostatecznie wypadło na jego korzyść, a niektórych członków zarządu wizja zaprezentowana przez Rollo najwyraźniej poruszyła.

Tak to przynajmniej wynikało z głosów, które Kate usłyszała po zakończeniu zebrania.

- Boże drogi, jeżeli to nam wyjdzie, to przebijemy Hongkong i to u nas odbędzie się prawdziwa aukcja stulecia - powiedział ktoś z wychodzących z sali.

- Aukcja stulecia na pewno, zwłaszcza jeśli się policzy koszty - odpowiedział drugi, z wyraźnym przekąsem.

- Ona wie, co robi.

Jak raz coś chwyci zębami, to już nie popuści.

- Po prostu jest taka sama jak jej ojciec.

Te przypadkowo zasłyszane słowa bardzo dodały jej ducha.

Kate powtarzała je w myśli, wracając do swego gabinetu: "jest taka sama jak jej ojciec"!

Nie mogła sobie wyobrazić większej pochwały, bardziej wymownej aprobaty.

Daj Boże, żeby tak właśnie było, mówiła sobie w duchu.

Weszła do swego gabinetu mocno zamyślona, ale też niesłychanie podbudowana i naładowana optymizmem.

Dopiero po chwili zorientowała się, że ktoś tam na nią czeka.

Wysoka sylwetka na tle rozświetlonego słońcem okna - to mógł być tylko Blaise Chandler.

Usłyszał, że weszła, i odwrócił się do niej.

Najwyraźniej był zaskoczony jej wyglądem.

Wydało mu się, że Kate dosłownie promienieje.

- Witam pana!

- powiedziała z uśmiechem, który sprawił, że Blaise Chandler mimo woli zmrużył oczy i przez chwilę miał nawet ochotę przetrzeć powieki.

Z tych jej oczu naprawdę biją jakieś promienie, pomyślał.

Przyjechał do Londynu dopiero w dziesięć dni po telefonicznej rozmowie z Agathą.

Nie widział powodu, by zmieniać już ustalone plany czy szczególnie się śpieszyć.

- Przyjechałem odebrać obraz Remingtona - powiedział.

Roziskrzone oczy cokolwiek pociemniały.

Kate patrzyła na niego spokojnie i stanowczo.

- Nie mogłam inaczej postąpić - powiedziała.

- Rozpoznałam ten obraz od pierwszej chwili, a nasza firma nie przyjmuje do sprzedaży rzeczy pochodzących z kradzieży.

Nawet jeśli przyniosła to pańska siostra - tych słów już oczywiście nie wypowiedziała.

Ale Blaise Chandler z pewnością się tego domyślił.

- Postąpiła pani absolutnie słusznie - odpowiedział równie spokojnie i stanowczo.

- Ja też nie zamierzam bronić złodziei, nawet kiedy się okazuje, że należą do rodziny.

Moja babka również przesyła pani wyrazy ubolewania i przeprosin za to, że bez własnej winy została pani wciągnięta w tak głupią i paskudną sprawę.

Ich oczy spotkały się, a Kate miała uczucie, że między nimi znów następuje coś w rodzaju pośpiesznej wymiany jakichś ładunków elektrycznych.

I znów musiała się na moment odwrócić, czując, że zaraz braknie jej tchu.

- Każę przynieść ten obraz - powiedziała, z ogromnym wysiłkiem starając się ukryć drżenie rąk, kiedy przyciskała przełącznik interkomu.

Blaise jednak widział wszystko.

- Słyszałem, że ma pani znaczne szanse na pozyskanie kolekcji Courtland Park - zaczął lekko, starając się rozładować to wciąż utrzymujące się między nimi napięcie.

- Tak, chyba tak.

Właśnie wróciłam ze spotkania, na którym to omawialiśmy.

-Kate uspokoiła się już na tyle, że mogła znów spojrzeć mu w oczy.

- Bardzo się cieszę - oświadczył Blaise, a Kate i tym razem była pewna, że można mu wierzyć.

- Trzymam kciuki za panią.

- Jeśli mi się powiedzie, będzie to niezła riposta na organizowaną przez Dominique "sprzedaż stulecia" w Hongkongu.

Ja...

- Nie dokończyła, ponieważ dał się słyszeć cichy brzęczyk wewnętrznego telefonu.

- Zechce mi pan wybaczyć - powiedziała i podniosła słuchawkę.

Usłyszała głos Penny.

- Pan Chevely do pani, panno Despard.

- Proszę go połączyć!

- poleciała.

Może nawet odrobinę bardziej entuzjastycznie, niż zamierzała.

- Nicholas?

- Powiedziała pani, że mogę zadzwonić.

Zrobiłbym to wcześniej, ale musiałem wyjechać z miasta i dopiero teraz wróciłem.

- Bardzo się cieszę - oznajmiła Kate takim tonem, że Blaise Chandler nagle podniósł wzrok i spojrzał na nią uważniej.

- Czy wobec tego mógłbym zaproponować spotkanie dziś wieczorem?

- Doskonale.

- Przyjadę po panią o wpół do ósmej.

- Będę gotowa.

Nicholas Chevely sam wydawał się zaskoczony, że przyjęta przezeń taktyka odniosła taki skutek.

Nie ma to, jak na chwilę odstawić dziewczynę, żeby skruszała.

- Czy ma pani jakieś szczególne życzenia, jeżeli idzie o rodzaj restauracji?

- Zdaję się całkowicie na zapraszającego.

- Będę o tym pamiętał - powiedział Nicholas Chevely.

O, jestem pewna, że będziesz pamiętał, pomyślała Kate.

Podczas całej rozmowy bardzo przemyślnie starała się dobierać słowa i ich intonację.

Powodem była oczywiście obecność cokolwiek pochmurnego Blaisea Chandlera, który chcąc nie chcąc musiał tego wszystkiego wysłuchać.

Odłożyła słuchawkę.

- Przepraszam.

Przykro mi, że nam przerwano - skłamała beczelnie, sama odrobinę zdziwiona własnym postępowaniem.

Nigdy w całym życiu nie przyszło jej do głowy, że można wykorzystywać jednego mężczyznę w rozgrywce z drugim.

To po prostu śmieszne, pomyślała.

Lepiej uważaj, co robisz, bo inaczej możesz się potężnie wygłupić!

Ten mężczyzna nie daje się tak łatwo oszukiwać.

Pamiętaj o tym!

- Jak czuje się księżna?

- zapytała z uprzejmym uśmiechem.

- Chyba dobrze, bo wtrąca się we wszystko i jest oburzona, jeżeli słońce wschodzi rano nie według jej dyspozycji.

Kate roześmiała się.

- To niezwykła kobieta.

Coraz bardziej ją lubię.

- Zauważyłem, że jesteście na najlepszej drodze do stworzenia dwuosobowego towarzystwa wzajemnej adoracji.

- Blaise powiedział to dosyć sucho i nawet kostycznie, ale w jego głosie można było dosłyszeć i coś więcej.

Blaise Chandler z pewnością zdawał sobie sprawę, że jego babka korzysta z każdej okazji, żeby się odwoływać właśnie do niego.

Ten obraz Remingtona mógłby bez najmniejszego kłopotu odebrać jakikolwiek pracownik Chandler Corporation, ale starsza pani oczywiście nakazała to swemu wnukowi.

On ją musi po prostu bardzo kochać, pomyślała nagle Kate.

I właśnie dlatego ona może z nim tak postępować.

Zapukano do drzwi i po chwili obraz - już odpowiednio zapakowany do transportu - znalazł się na biurku Kate.

- Ma pan ochotę go sprawdzić?

- zapytała.

- Myślę, że to niepotrzebne.

Ufam pani wiedzy i fachowości...

- Blaise uśmiechnął się.

Potem znów spochmurniał i zapytał: - A co właściwie powiedziała moja siostra, kiedy przyszła z tym obrazem do pani?

- Że ten obraz należał od lat do jej rodziny, a ona sama nie chciałaby przy sprzedaży ujawniać swego nazwiska.

- No tak, tego się można było spodziewać.

Ile za to zażądała?

- Powiedziałam jej, że obraz może być wart jakieś ćwierć miliona funtów.

Zaskoczony Blaise mimo woli uniósł brwi.

Kate dostrzegła to i dodała z wyraźną ironią: - Tak to bywa w przypadku dzieł wybitnych artystów.

Jeżeli pamięta pan naszą ostatnią dyskusję o wielkiej sztuce - czy może raczej sprzeczkę...

- Może już lepiej do tego nie wracajmy - poprosił Blaise.

Zabrzmiało to prawie jak rozkaz.

- To naprawdę bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, że mogłam rozpoznać to płótno.

Gdybym nie pojechała do Kolorado...

- Gdyby pani nie pojechała do Kolorado, to sprzedałaby pani ten obraz, dostała za to sporą prowizję i zaksięgowała kolejny zysk.

Nie wiem, czy jest się z czego cieszyć.

- Jest - odpowiedziała stanowczo Kate.

- Bo gdybym nie знаła tego obrazu, rzeczywiście wzięłabym go do sprzedaży i załatwiłabym to bardzo szybko.

Na pewno.

Blaise przyglądał się jej uważnie.

- I nie żałuje pani, że wszystko potoczyło się inaczej?

- Nie, z całą pewnością nie żałuję.

Będą jeszcze inne obrazy Remingtona, ale Agatha Chandler jest tylko jedna.

- I dzięki Bogu - westchnął Blaise.
Kate roześmiała się.
- Niech pan nie udaje - powiedziała.
- Doskonale wiem, że wcale nie byłby pan szczęśliwy, gdyby pańska babka była inna, niż jest.
W każdym razie ja na pańskim miejscu na pewno nie byłabym z tego zadowolona.
Czarne jak smoła oczy Blaisea Chandlera rozjaśniły się na chwilę.
- To prawda.
Nigdy nie chciałem, żeby była inna.
Za to zupełnie inaczej było z pewną okropną dziewczyną, którą poznałem w zeszłym roku, pomyślał Blaise.
Ale ta dziewczyna bardzo się zmieniła i to jej wyszło zdecydowanie na dobre.
Co prawda nadal ma ten sam ostry języczek i nadal pozostało w niej coś ze sposobu bycia tej wojującej z mężczyznami płomiennorudej amazonki z Kings Road.
Ale przy tym wszystkim i tak odmieniła się ogromnie, a najistotniejszą ze zmian było chyba to, że Kate Despard była teraz świadoma swej urody, więcej - była z niej dumna.
W całym jej wyglądzie, w uczesaniu, w tym, jak się ubierała, było coś nowego - był ten niezwykle blask, który daje tylko kobieca pewność siebie.
No tak, pomyślał Blaise, to już nie jest ta chuda dziewczynina w dżinsach i podkoszulku, ale świadoma swej urody kobieta, która potrafi przyciągnąć mężczyzn takich jak Nicholas Chevely.
Blaise zareagował nie ukrywaną dezaprobatą, gdy dowiedział się, że czynione są zakłady, czy ona mu ulegnie.
Z jakiegoś powodu czuł się tak, jakby go to osobiście obrażało.
To nie z Kate Despard coś takiego, mówił sobie.
To po prostu nie w jej stylu.
I prawie automatycznie pojawiła się następna myśl: że za to byłoby to jak najbardziej w stylu Dominique.
Przyglądająca mu się Kate spostrzegła, że Blaise Chandler marszczy czoło i krzywi się, jakby go coś dręczyło.
Mój Boże, pomyślała, a ja sądziłam, że to tylko ja poddaję się nastrojom.
Żeby go z tego wytrącić, też zmarszczyła czoło i wykrzywiła się jeszcze bardziej.
Blaise otrząsnął się i uśmiechnął się przepaszająco.
- Zamyśliłem się, bardzo przepraszam.
- Chyba nad czymś, co musi mocno boleć - odparła cierpko Kate.
Blaise spojrział na jej minę i roześmiał się.
- Nic dziwnego, że pani od razu znalazła porozumienie z moją babką.
Ona też nie przebiera w słowach, kiedy trzeba w dosadny sposób powiedzieć prawdę.
Nie wiadomo, czy to miał być komplement, ale Kate rozjaśniła się, słysząc te słowa.
Porównanie z Agathą Chandler to dużo więcej niż komplement.
- Proszę ją najserdeczniej ode mnie pozdrowić - powiedziała i uśmiechnęła się.
- Babcia Agatha powiedziała, że wolałaby usłyszeć to od pani osobiście.
- Ba, gdybym tylko mogła.

- Więc proszę to zrobić i przyjechać, kiedy tylko będzie taka możliwość - powiedział Blaise i po chwili dodał jeszcze: - Babcia kazała mi jeszcze powiedzieć, że także Jed przesyła pani pozdrowienia.

- To bardzo miło z jego strony.

Proszę go również pozdrowić.

- Dokonała pani czegoś zupełnie niezwykłego - rzekł Blaise.

- Zazwyczaj Jed wręcz uciekał, gdy tylko zobaczył kobietę, a tymczasem przy pani...

- Przerwał, widząc, jak zmienia się wyraz jej twarzy.

Reakcja Kate zaskoczyła nawet ją samą.

- Chce pan powiedzieć, że nie uważał mnie za kobietę?

- Była bardziej dotknięta, niż można by przypuszczać.

A więc jednak, pomyślał Blaise.

Wciąż nie czuje się tak naprawdę pewna.

- No nie - powiedział.

- Nie ma takiej możliwości, by nie zauważyć w pani kobiety.

Zwłaszcza teraz - dodał po chwili.

W jego zamierzeniu miał to być komplement, nawet jeśli nieco przewrotny.

Ale Kate dla odmiany zarumieniła się aż po koniuszki uszu.

Co jest z tą dziewczyną?

- pomyślał Blaise.

Coś go popchnęło, by podrażnić ją jeszcze bardziej.

- Już chyba nie jest pani walczącą feministką, prawda?

- Kto powiedział, że w ogóle nią byłam?

- zapytała poirytowana Kate.

- W każdym razie pani wygląd mógł niektórych wprowadzać w błąd.

Kate spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Z prawdziwą przyjemnością zobaczyła, że i na jego ciemnej skórze rumieniec może być wyraźnie widoczny.

- Skąd pan wie, że pana nie wprowadził?

To było trochę tak, jak gdyby Kate nagle pokazała mu język.

A jednak ta dziewczyna wiele się nauczyła, pomyślał kwaśno, nie umiając zdecydować, czy to mu się w niej podoba, czy raczej drażni.

W rezultacie poczuł tylko, że jest zły, głównie na samego siebie.

Sięgnął po pakunek z obrazem, by zakończyć tę rozmowę.

- Zadbam, żeby ten obraz bezpiecznie powrócił na miejsce - powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie bezosobowo.

- A właśnie!

- powiedziała Kate.

- To mi przypomniało coś, o czym myślałam już wcześniej.

Czy tam na ranczu jest jakikolwiek system alarmowy?

Bo ja na pańskim miejscu naprawdę bym się tym zaniepokoiła, choćby ze względu na babcie.

Przecież te dzieła sztuki są warte olbrzymie pieniądze.

Jeżeli tam nie ma żadnego zabezpieczenia, to...

- Przede wszystkim zaraz obok jest budynek z sypialniami pracowników rancza.

To dobra ochrona, ci ludzie daliby się za nią porąbać.

- Blaise uśmiechnął się.

- Ale niezależnie od tego, kiedy już mi pani tak dobitnie wytłumaczyła, jaki majątek stanowią te wszystkie zbiory, postanowiłem je dodatkowo zabezpieczyć.

Teraz są tam wszędzie fotokomórki i alarmy, które w przypadku włamania wyją i migają światłami, a poza tym są połączone bezpośrednio z biurem miejscowego szeryfa.

Wymieniliśmy też wszystkie zamki w drzwiach i oknach, a na noc wypuszcza się kilka potężnych rottweilerów.

Pani też niech o tym zechce pamiętać, jeżeli podczas którejś z przyszłych wizyt przyjdzie pani chęć na romantyczny nocny spacer po ranczu...

Blaise urwał, ponieważ z najwyższym zdumieniem spostrzegł, że Kate zrobiła się czerwona jak piwonia.

Co u diabła?

- pomyślał zaskoczony.

Zaraz...

a może to dlatego Jed przesyła te pozdrowienia dla niej?

Czyżby ona rzeczywiście...

Nocny romantyczny spacer mógł ją zaprowadzić prosto do budynku, gdzie były sypialnie pracowników.

No nie, powiedział sobie, kompletnie zdegrustowany.

Jed i Kate Despard?

Żeby takie dwa podręcznikowe niewiniątka trafiły akurat na siebie?

Chryste Panie, miłość chyba jest nie tylko ślepa, ale i głupia!

Sięgnął po pakunek i pośpiesznie się pożegnał, uznając, że należy wynieść się jak najszybciej.

I na przyszłość wyperswadować babci pomysły wysyłania go z takimi zleceniami, a już zwłaszcza do Kate Despard.

Kate podniosła dłonie do rozpalonych policzków.

Widziała wyraz twarzy Blaisea, jego zaskoczenie, a potem wyraźny niesmak.

Dlaczego?

Co spowodowało akurat taką reakcję?

I nagle ją olśniło.

Ależ tak!

Blaise po prostu musiał pomyśleć, że ona po nocy spotykała się z Jedem!

Tak, z Jedem!

Miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie.

Jak można być tak niedomyślnym?

Przecież to ciebie szukałam po nocy, ty zarozumiała bubku!

Ciebie!

Teraz miała nieprzepartą ochotę wrzasnąć to za nim w ślad.

Kiedy w parę minut później Rollo wszedł do gabinetu, Kate wciąż siedziała bez ruchu i nie widzącym wzrokiem wpatrywała się gdzieś w przestrzeń.

Dominique zaatakowała męża bez żadnych wstępów: - Dlaczego nie powiedziałeś mi, że twoja babka ma w swym domu jedną z najwspanialszych kolekcji sztuki Dzikiego Zachodu?

Blaise spojrział na nią kątem oka.

- Od kiedy to moja babka w ogóle jest tematem naszych rozmów?

Dominique odłożyła nóż i widelec.

- Ta kolekcja jest naprawdę wyjątkowa i można by za nią uzyskać niesłychane pieniądze w naszej filii w Nowym Jorku.

Oczywiście gdybym to ja poprowadziła tę aukcję.

- O ile wiem, moja babka nie ma zamiaru niczego sprzedawać.

A skąd w ogóle dowiedziałeś się o tym wszystkim?

Dominique sięgnęła po kieliszek z winem.

- Daj spokój!

Nie udawaj, że nie wiesz, co zrobiła twoja siostra.

Wiem, że ukradła jeden z obrazów tej kolekcji i próbowała go sprzedać przez Despard London.

Sama mi to zresztą powiedziała.

- Wydawało mi się, że nie rozmawiacie ze sobą.

Dominique wzruszyła ramionami.

- Wprost nie mogła się doczekać, żeby mi to powiedzieć.

- A wtedy ty powiedziałaś jej, że Kate była na ranczu?

- No oczywiście - powiedziała Dominique i uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Na nic się to wszystko nie zdało.

Księżna od razu zauważyła, że obraz został zabrany.

Pamięta dokładnie nie tylko każde płótno, ale nawet i miejsce, na którym ten czy tamten obraz ma wisieć.

A ten Remington już jest znów tam, gdzie był.

- A więc Despard London stracił znaczną prowizję?

- Ten obraz nigdy nie miał być sprzedany.

Idealnie wyrównane brwi Dominique uniosły się do góry.

- To znaczy, że ta mała po prostu stchórzyła?

- To znaczy, że ona nie sprzedaje przedmiotów pochodzących z kradzieży.

- Blaise bez mrugnięcia okiem wytrzymał spojrzenie żony.

- Cokolwiek by się o niej mówiło, Kate Despard jest uczciwa.

W tym względzie jest po prostu prawdziwą córką swego ojca.

- Natomiast ja nie jestem?

- zapytała Dominique, a jej głos nagle zabrzmiał podejrzanie miękko.

Jednak Blaise nie dał się zbić z tropu.

- Natomiast ty nie jesteś, taka jest prawda.

Jesteś tylko córką przybraną, a ja jako prawnik muszę sobie zdawać sprawę również i z tego.

- Ty jako prawnik, oczywiście!
- wykrzyknęła poirytowana Dominique.
Potrząsnęła głową, i była w tym geście bardzo francuska.
- W tobie pozostał już tylko prawnik.
Czasami wydaje mi się, że litera prawa znaczy dla ciebie więcej niż jakiegokolwiek uczucia!

- Tak myślisz?
- zapytał spokojnie Blaise, co jeszcze bardziej zirytowało Dominique.
- Oczywiście, że tak myślę.

I bardzo dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Dlaczego nie powiedziałaś mi, że na ranczu są takie wspaniałe zbiory?

- Gdybyś przyjęła choćby jedno z tych licznych zaproszeń, które księżna do ciebie kierowała po naszym ślubie, sama mogłabyś to zobaczyć.

- Przyjąłabym, gdybym o tym wiedziała.
- To akurat wiem - powiedział sucho Blaise.

Dominique zerknęła na niego spod rzęs.

Był w jakimś dziwnym humorze, zauważyła to od razu po jego przyjeździe.

Zachowywał się inaczej niż zwykle i w dodatku - wbrew temu, co było dotąd regułą - tym razem nie poszedł z nią do łóżka zaraz po wejściu do domu.

Zamiast tego spędził przeszło godzinę na telefonowaniu, przejrzał całą zaległą pocztę i wysłał mnóstwo faksów i telegramów.

W ten sposób był zajęty aż do kolacji.

Dominique przygotowała ją szczególnie pieczołowicie, postawiła kwiaty i zapalone świece, szykując prawdziwie romantyczne tete-a-tete w najlepszym francuskim stylu.

To wszystko miało stworzyć odpowiednią atmosferę, wprowadzić Blaisea we właściwy nastrój.

Dominique spodziewała się, że tą drogą uda się jej odzyskać utracony teren i wyrównać poniesione straty.

W planie miała pełne skruchy przyznanie się do winy, polegającej głównie na nierozumnym zaniedbaniu obowiązku utrzymywania dobrych stosunków z babką męża.

Była gotowa nawet go za to przeprosić.

Ale Blaise najwyraźniej nie chciał poddać się tym wszystkim zabiegom, wciąż był zamknięty i milczący.

Odpowiadał na jej pytania, ale też na tym się to kończyło.

Było to tym bardziej niepokojące, że dotychczas zawsze to jego trzeba było powstrzymywać przy tego rodzaju spotkaniach, zwłaszcza po takiej przerwie.

Jeżeliby to miało znaczyć, że płomień jego namiętności w stosunku do niej zaczyna przygasać, należało zrobić wszystko, żeby temu zapobiec.

Nie można było dopuścić, żeby Blaise wymknął się z jej rąk, zwłaszcza teraz, kiedy okazywało się, że to od niego w największym stopniu może zależeć sukces lub porażka zabiegów o pozyskanie do sprzedaży tej niesłychanej kolekcji jego babki.

Dominique zdawała sobie sprawę, że gdyby udało się jej coś takiego jak połączenie zysków z przygotowywanej już aukcji w Hongkongu z zyskami ewentualnej sprzedaży

zbiorów Agathy Chandler, Kate Despard nie miałyby już żadnych szans na zwycięstwo w ich rywalizacji.

Dominique wiedziała już, że musi na razie zapomnieć o zamiarze ukarania męża, jak to sobie uprzednio zaplanowała.

To ona miała go odpychać, odmawiając wyjaśnienia przyczyn swego złego humoru i kazać mu zastanawiać się, co też złego zrobił i na czym polega jego wina.

Nie spodziewała się, że sytuacja może się odwrócić.

Starła się jednak nie okazywać niepokoju, z udaną wesołością opowiadała mu o tym i owym, nie zwracając uwagi na jego obojętny wzrok i barwę głosu, która sprawiała takie wrażenie, jakby Blaise był chwilami po prostu nieobecny.

Przez cały czas pilnowała, żeby jego kieliszek był zawsze pełny, i nie opuściła żadnej okazji, by odpowiednio na niego podzielać, pobudzić w nim pożądanie, uświadomić mu swoją obecność tuż obok niego.

Dolewając mu wina przysuwała się tak, by piersiami otrzeć się o jego ramię.

Jej piękne włosy przy każdym gwałtowniejszym odwróceniu twarzy muskały jego policzek, a zapach jej zmysłowych perfum mieszał się z bukietem wciąż dolewane go czerwonego wina.

Po kolacji przeszli oboje do ogromnego living roomu.

Przez rozciągające się na całą ścianę wysokie okna mogli oboje podziwiać nocną panoramę Nowego Jorku.

Blaise w pozycji półleżącej wyciągnął się na wielkiej kanapie, Dominique z podwiniętymi nogami umieściła się tuż obok.

Wiedziała, że kolacja była bardzo dobra, że również wino mu smakowało.

A mimo to nie nastąpiło to, czego się spodziewała.

Blaise sięgnął po ostatnie wydanie "New York Timesa", i zaczął pilnie studiować informacje gospodarcze i giełdowe.

Dominique zdążyła zauważyć tytuł informujący o tym, że wskaźnik Dow Jones osiągnął kolejne maksimum, wzrastając o 11,47 punktu.

Tak jakby to mogło mieć dla niego jakieś znaczenie, pomyślała już naprawdę wściekła.

W końcu już sama tylko Chandler Corporation miała więcej pieniędzy niż cały Bank Francji!

A co tu dopiero mówić o reszcie majątku, choćby o tej bezcennej kolekcji!

Dominique ani przez chwilę nie zamierzała uwierzyć, że Agatha Chandler może odmówić jej sprzedaży, szczególnie kiedy dowie się, ile to jest dzisiaj warte.

To sprytna starucha, i z pewnością do dziś przechowuje pierwszego dolara, którego kiedyś zarobiła, nawet jeśli dziś mogłaby go przywalić miliardami.

Na sobie też nosi pełno złota, pomyślała z niesmakiem.

Główny kłopot polegał jednak na tym, że to Blaise się przy tym upierał - i to bardzo stanowczo - kiedy mówił, że nic nie zostanie sprzedane, dopóki jego babka żyje.

Doprawdy wielka szkoda, pomyślała.

Taką piękną aukcję można by zorganizować, i byłoby to jak walnięcie młotem, które ostatecznie rozbiłoby wszelkie nadzieje Kate Despard.

Ta aukcja, plus aukcja w Hongkongu, to by było to!

Ale sprawa jeszcze nie jest ostatecznie przegrana.

W końcu Agatha Chandler nie może żyć wiecznie, więc byłaby to tylko kwestia jakiegoś tam czasu.

A ona sama ze swej strony powinna tylko odpowiednio zręcznie ustawić swego męża. Dominique była pewna, że potrafi to zrobić.

Co prawda Blaise Chandler nie był, łagodnie mówiąc, człowiekiem zbyt podatnym na jakiegokolwiek wpływy, ale ona wiedziała z doświadczenia, że w pewnym obszarze można go było urabiać równie łatwo, jak łatwo ugniata się glinę przy wyrobie porcelany.

Tym obszarem był seks i właśnie poprzez seks Dominique mogła z nim robić, co tylko zechciała.

Po prostu tutaj zdecydowanie dominowała nad nim, w pełni zawładnęła jego ciałem, do tego stopnia, że postępował jak człowiek bezwolny i prawie zaszarowany, niezdolny do wyrzeczenia się tego wszystkiego, co ona potrafiła mu dać w sferze zmysłów, tak z racji rzeczywiście wspaniałego ciała, jak i - przede wszystkim - z racji niezwykle wręcz umiejętności posługiwania się tym ciałem dla osiągnięcia zamierzonych skutków.

Blaise wcale nie był seksualnie nadpobudliwy i z pewnością nie chodziło mu o zwyczajne zaspokajanie popędu, co mógłby przecież robić praktycznie z każdą kobietą.

Nie, w jego przypadku chodziło właśnie o to, co mogło mu dać tylko jej ciało - i to właśnie sprawiało, że Dominique mogła mieć poczucie panowania nad nim.

Nigdy jednak nie wmawiała sobie, że to jest miłość, podobnie jak nigdy nie pozwalała, by seks kiedykolwiek odebrał jej zdolność trzeźwego myślenia.

- Jak sobie radzi ta mała Despard?

- zapytała leniwie, przytulając się mocniej i przy okazji przekręcając się tak, by naga skóra uda odstłoniła się jeszcze wyżej w kuszącym pęknięciu efektownej srebrzystej spódniczki.

- Radzi sobie znacznie gorzej niż ty.

- No, to chyba zrozumiałe!

A szykuje może coś większego?

- To ja powinienem cię o to zapytać.

Wszelkie plotki docierają do ciebie znacznie wcześniej niż do mnie.

- Wiem, że uzyskała zlecenie na sprzedaż rzeczywiście wspaniałego obrazu Velasqueza, który powinien przynieść jakieś pięć milionów...

ale co planuje jeszcze?

- Ja wiem tylko o tym, co już było; co już zostało sprzedane i zaksięgowane.

Otrzymuję do wglądu codzienne informacje o sprzedaży i osiągniętych zyskach.

Nie mogę brać pod uwagę transakcji, które pozostają w sferze projektów albo tylko nadziei.

Interesuje mnie to, co zostało wpłacone do banku.

Dominique spojrzała na niego i wyduła wargi, co miało oznaczać, że czuje się pokrzywdzona i urażona.

- Zdaję sobie sprawę, że papa mianował cię kimś w rodzaju rozjemcy, ale mimo wszystko mnie mógłbyś coś powiedzieć, w końcu jestem twoją żoną.

- Właśnie dlatego, że jesteś moją żoną, nie mogę tego zrobić.

- Blaise obrócił się i spojrzał jej w oczy.

- A ty bardzo dobrze o tym wiesz.

W tym momencie niewiele brakowało, by Dominique rzuciła się na niego z pięściami.

Potrafiła się jednak opanować i przytuliła się jeszcze bardziej miękko i ulegle.

- Nic dziwnego, że papa wyznaczył właśnie ciebie.

Zawsze mówił, że najbardziej ceni w tobie twoją niewzruszoną prawość.

Ale już po chwili dodała z wyrzutem: - A ty po prostu jesteś na mnie zły, bo powiedziałam twojej siostrze, że Kate Despard na pewno rozpoznała ten obraz Remingtona.

Blaise odłożył gazetę.

- Nie udawaj!

Zrobiłaś to głównie dlatego, że Consuela nie przyniosła tego obrazu do ciebie.

Bo ty z pewnością sprzedałabyś go bez mrugnienia okiem.

- Oczywiście!

- wykrzyknęła Dominique.

- Przecież nie mogłabym rozpoznać obrazu, bo nigdy tej kolekcji nie widziałam.

- I to cię teraz złości.

Chętnie kopnęłabyś samą siebie za to, że straciłaś szansę na tak lukratywną sprzedaż.

Ale takiej szansy już nie ma...

ani teraz, ani w ogóle kiedykolwiek.

Już ci to mówiłem, i powtarzam jeszcze raz: póki ona żyje, żaden przedmiot z tej kolekcji nie zostanie sprzedany.

A teraz mogę ci powiedzieć, że również po jej śmierci wszystko zostanie tam, gdzie jest.

Cały ten dom, wraz ze wszystkim, co się w nim teraz znajduje, zostanie przekształcony w Muzeum Sztuki Dzikiego Zachodu imienia Agathy Chandler i przekazany państwu jako dar dla stanu Kolorado.

Dominique zeszywniała, a jej szafirowe oczy nagle stały się lodowate.

- Ach więc to tak!...

Domyślałam się, że to także robota tej małej Despard, prawda?

- Odsunęła się od niego bardzo gwałtownie.

- Ponieważ wiedziała, że sama tego nie dostanie, postarała się, żeby i nikt inny nie mógł tego dostać!

- Wcale tak nie było.

A o tobie w ogóle nikt tam nie mówił.

- Z jakiegoś powodu denerwowało go to stałe używanie przez Dominique zwrotu "ta mała Despard".

A ją z kolei najwyraźniej denerwował nie tylko wzrost Kate.

- Już widać, że udało się jej zyskać wpływ na postępowanie twojej babki.

Ta Despard zorientowała się, że to może być dla niej korzystne i szybko wykorzystała szansę.

- Ty też miałaś taką szansę - powiedział Blaise z brutalną otwartością.

- I to nie raz, ale wiele razy.

- No więc dobrze, zrobiłam wtedy błąd.

Ale na pewno już go nie powtórzę.

- Nie będziesz miała okazji.

Księżna już rozpoczęła działania, zmierzające do powołania fundacji, która będzie finansowała muzeum po przejęciu go przez stan Kolorado.

Tak że tej kolekcji nie będziesz mogła dołączyć do tych wszystkich skalpów, które zdołałaś już zawiesić u swojego pasa.

Dominique miała ochotę go uderzyć.

Ostatecznie jednak tylko obróciła się na pięcie i uciekła do swojej sypialni.

Trzasnęła za sobą drzwiami, domykając je kopnięciem.

Blaise spojrział w ślad za nią i tylko ciężko westchnął.

Niech to szlag!

Był w naprawdę złym nastroju, zwłaszcza od chwili kiedy odebrał obraz i następnie spotkał się ze swą siostrą Consuelą.

Nie spotykali się często, ponieważ - prawdę mówiąc - nie było po co.

Jednakże tym razem Blaise zadał sobie trud, by ją odszukać i powiedzieć, co o niej myśli.

A ponieważ Consuela również była w jak najgorszym nastroju, wszystko razem skończyło się przykrą, pełną krzyków awanturą, przy czym ona oskarżyła go o zamiar zagarnięcia całego przyszłego spadku kosztem jej i jej przyrodniego brata.

- Nie myśl, że nie wiem, o co ci chodzi!

- krzyczała piskliwie Consuela.

-Chcesz przejąć całą kasę i cały interes!

Ale to ci się nie uda.

Pozwę cię do wszystkich sądów w tym kraju!

- Spróbuj, proszę bardzo - powiedział spokojnie Blaise.

Akurat dla niego byłoby to z pewnością najlepsze rozwiązanie.

- Wystąp do sądu, a zobaczysz, jak na tym wyjdiesz.

A babka Agatha oczywiście w ogóle was nie obchodzi, ani ciebie, ani tego twojego uroczego braciszka.

Widujecie ją raz na rok albo i rzadziej, i tylko wtedy, gdy potrzebujecie pieniędzy.

Gdyby nie to, w ogóle nie pomyślelibyście, czy jeszcze żyje.

- Za to ty myślisz o niej bez przerwy - jak tu ją najsprytniej wydoić!

I przy okazji utracić wszelkie nasze szansę!

- Wy swoje szansę zaprzepaściliście przede wszystkim dlatego, że oboje jesteście tacy, jacy jesteście, samolubne, chciwe zgniłki!

Żadne z was nigdy nie ukrywało, kto z rodziny liczył się dla was naprawdę.

Gerald dbał głównie o tytuł, który miał przejąć po ojcu.

Tylko ja nie miałem nikogo poza babką Agathą.

- Tak, i kiedy cię już przyjęła, nie zrobiłaś dla nas nic, jeżeli nie liczyć usilnych starań, żeby nas wykończyć!

I mnie, i Geralda!

- Z całą pewnością traficie na dno i bez mojej pomocy.

Consuela nagle uderzyła go w twarz.

- Ty samolubny sukinsynu!

To za moje upokorzenie...

za to, że pozwoliłeś, żebym jechała z tym obrazem do dziewczyny, która musiała go rozpoznać!

-Consuela w bardzo charakterystyczny dla siebie sposób tłumaczyła własne błędy: wina zawsze leżała po stronie innych, nigdy w niej samej.

Fakt, że została przyłapana na kradzieży, głęboko ranił jej dumę; a ponieważ stało się to wszystko niejako na oczach tego jej półindiańskiego brata, któremu od dzieciństwa zazdrościła wszystkiego niemal chorobliwie, musiało się to skończyć wybuchem już zupełnie nie kontrolowanej wściekłości, prowadzącej w rezultacie do coraz głośniejszych obelg i coraz większej agresji.

Blaise zareagował na to po swojemu.

Po prostu wyszedł, podczas gdy ona długo jeszcze rzucała w ślad za nim coraz bardziej ryszotkowymi wyzwiskami.

Connie -tak Blaise zamerykanizował jej imię Consuela - nigdy nie umiała przegrywać.

Żywiła do niego zapiekłą urazę właściwie niemal od momentu jego urodzenia.

Ich matka bezgranicznie kochała jego ojca - była to jedyna prawdziwa miłość jej życia - i dlatego dopiero co urodzonemu synowi ukochanego męża poświęciła się bez reszty, z tak szaleńczym oddaniem, że sześćioletnia w tym czasie Consuela zaczęła odczuwać pełną zazdrości niechęć, która później przekształciła się w jawną wrogość.

Był tam jeszcze jej przyrodni brat, czteroletni podówczas Gerald.

Ten z kolei był gruby, powolny i jakby opóźniony w rozwoju.

Ponieważ jednak w przyszłości miał odziedziczyć tytuł - wicehrabiego Stanstead - Consuela z całym rodzącym się już snobizmem sześćoletniego dziecka łąsiła się i przymilała do niego, traktując go zupełnie inaczej niż Blaisea.

Upływ lat sprawił tylko tyle, że takie właśnie nastawienie i wyniesione z dzieciństwa urazy coraz bardziej się pogłębiały.

Po latach małżeństwa Blaise niemal równie dobrze potrafił się orientować w zamiarach swojej żony.

Także i dzisiejszego dnia: wystarczyło na nią popatrzeć, żeby wiedzieć, że będzie się starała go zmiękczyć wszelkimi sposobami.

Aby ją za to ukarać, Blaise postanowił, że właśnie tego dnia będzie szczególnie uparty - i z przyjemnością stwierdził, że sprawiło mu to niemałą satysfakcję.

Nadal pożądał jej gwałtownie - zresztą zawsze pożądał jej tak samo - ale tym razem potrafił nie dopuścić do tego, żeby jego ciało panowało bez reszty nad jego wolą i zachowaniem.

Jednak kiedy już sobie udowodnił, że to potrafi, poczuł się zmęczony i sfrustrowany, nawet mimo bardzo dobrej kolacji i jeszcze lepszego wina 59 Chateau Latour.

Przypomniał sobie, że uśmiechnął się skrycie, kiedy zobaczył je na stole.

Zawsze można było się zorientować, jak dalece poważna jest sytuacja -przynajmniej zdaniem Dominique -już po rodzaju kolacji i gatunku wina, które mu podawała.

Wciąż więc mógł czytać w niej jak w otwartej książce, tyle że -jak się okazywało - była to stale ta sama książka, którą czytał wciąż i wciąż od nowa.

A ponieważ tym razem udało mu się jednak postawić na swoim, odzyskał dobry humor.

Po zwycięstwie można było już sobie pozwolić na trochę luzu.

Z tą myślą ruszył do jej sypialni.

Dominique, jak się okazało, była w sąsiadującej z sypialnią łazience, skąd dobiegał szum odkręconego prysznica.

Blaise szybko zrzucił z siebie całą odzież, odsunął wielką ruchomą szybę, prowadzącą do obszernej kabiny i wszedł, by przyłączyć się do kąpieli.

Dominique stała nieruchomo, z twarzą odchyloną do góry i zamkniętymi oczami.

Strumienie wody z kilku zespolonych głowic uderzały w jej skórę z ogromną siłą; woda licznymi strumykami spływała po jej zachwycająco kształtnym ciele, a zmoczone włosy oblepiały głowę niczym pływacki czepek z czarnego lateksu.

Blaise nie domyślał się jednak, że ta efektowna poza była zamierzona i dokładnie przemyślana.

Dominique jeszcze przed chwilą stała obok strumienia, bijącego z włączonego prysznica, nasłuchując trzaśnięcia drzwi wejściowych.

Wiedziała, że Blaise w końcu do niej przyjdzie.

Zdażyła na czas wejść pod prysznic i bezbłędnie odegrała całkowite zaskoczenie, kiedy Blaise nagle pojawił się pod prysznicem tuż za nią, tak blisko, że natychmiast mogła poczuć dotknięcie jego członka, pulsującego w narastającej erekcji.

Z jej gardła wydobyło się - również wcześniej wielokrotnie przećwiczone - głębokie westchnienie.

Wciąż odwrócona plecami wtuliła się w niego ulegle i pieszczotliwie, jej krągłe pośladki ocierały się o niego coraz lubieżniej.

Blaise ujął w otwarte dłonie jej jędrne, okrągłe piersi i pochylił się nad nią, by pieszczotliwie kąsać białą skórę jej karku.

Dominique jęknęła cicho, potem głośniej; nagle obróciła się do niego twarzą i zarzuciła mu ręce na szyję, zawisając na nim i lekko podciągając się w górę.

Blaise bezbłędnie odczytał sygnał, chwycił ją wpół i podciągnął do góry.

Dominique wyciągnęła rękę i sięgnęła do jego krocza; delikatne muśnięcie jej dłoni było jak obietnica.

Teraz Blaise powoli opuszczał ją w dół.

Dominique poczuła rozkoszne dotknięcie wnikającego w nią ogromnego, nieustannie pulsującego członka, na który nadziała się jak na pal, jednocześnie zaplatając swe białe nogi z tyłu na jego biodrach.

Blaise trzymał ją teraz bardzo mocno za pośladki, a Dominique odchyliła głowę daleko do tyłu, tak by jej piersi znalazły się tuż obok jego ust.

Blaise chciwie ssał twardniejące gwałtownie koreczki sutków, a Dominique uruchomiła wszystkie swoje wewnętrzne mięśnie, by oddać mu każdą pieszczotę, i to z nawiązką.

Nagle poczuła jego gwałtowny dreszcz, i od tej chwili Blaise przestał już panować nad sobą.

A potem - przynajmniej dla niej - było już z górki.

Część Piąta.

Znak Złotego Smoka.
Czerwiec.

Rozdział 13 .

Dominique siedziała za biurkiem w swoim gabinecie oddziału Despard et Cie (Hongkong) Limited i przeglądała uaktualnioną listę zaproszonych.

Lista ułożona była z uwzględnieniem zasobności portfela i społecznej pozycji każdego gościa.

Wielka trzydniowa aukcja, którą nazywano już aukcją stulecia, miała się zacząć za pięć dni, a prowadzić ją miała - oczywiście - sama Dominique.

Z satysfakcją przyglądała się zadrukowanej kartce, na której znalazły się praktycznie wszystkie liczące się nazwiska, w tym wiele takich, które gwarantowały zarówno zaciętą walkę podczas licytacji, jak i odpowiednio wysoki poziom osiągniętych cen.

A ceny po prostu musiały być wysokie; Dominique zbyt wiele czasu i pieniędzy włożyła w to wszystko, by teraz mogło być inaczej.

Pieczętowanie zadbała, aby w odpowiednim czasie pojawiły się sensacyjne przecieki na temat okoliczności pozyskania oferowanych do sprzedaży przedmiotów.

Plotka głosiła, że nie znany z nazwiska milioner z Hongkongu - uciekający przed zbliżającym się przejęciem władzy przez komunistów - postanowił wyprzedać całość swoich zbiorów, wśród których znaczną część miały stanowić unikatowe, odnajdywane zazwyczaj w grobowcach, figurki Tang i Han, wyjątkowo dziś cenne i na aukcjach -już od wielu dziesiątków lat -praktycznie nie oglądane.

To akurat była prawda, pomyślała Dominique z ledwo zauważalnym uśmiechem.

Tych figurek z pewnością nikt z zaproszonych gości nie oglądał, w ogóle nie było takiej możliwości.

Tak, były po prostu doskonałe.

Na szczęście dla niej.

Odpowiednie notki w katalogu, przygotowane osobiście przez Dominique, informowały uczestników zbliżającej się aukcji, że właściciel kolekcji, przez wiele lat mieszkający w Szanghaju, skompletował swój zbiór jeszcze przed drugą wojną światową i wywiózł do Hongkongu, dokąd uciekł po wybuchu chińsko-japońskiej wojny.

W katalogu określany był jako "znany milioner z Hongkongu, który pragnie zachować anonimowość", co zresztą-jak można się było spodziewać - wywołało mnóstwo spekulacji na ten temat.

Anonimowy sprzedawca nie omieszkał jednak dostarczyć w pełni wiarygodnych dokumentów, poświadczających autentyczność jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej znakomitej większości sprzedawanych przedmiotów.

W katalogu napisano zresztą otwarcie, że są wśród nich i takie, które zostały nabyte drogami "odmiennymi od zazwyczaj wykorzystywanych", jednakże zbadanie ich na miejscu pozwoli potwierdzić prawdziwą wartość każdego obiektu.

Zorganizowana wcześniej dwudniowa wystawa, poprzedzająca aukcję, okazała się ogromnym sukcesem, wszystkie bilety zostały natychmiast wyprzedane, co jak najlepiej wróżyło również samej aukcji.

Dominique jeszcze raz spojrzała na swe szacunkowe wyliczenia i westchnęła z satysfakcją.

To wydawało się beczelnie śmiałe, wręcz niewiarygodne - a jednak miała pewność, że uzyska co najmniej tyle, ile zamierzała.

Musisz być zuchwałą, uczył ją kiedyś ojciec.

Bądź zuchwałą, a ludzie ci uwierzą.

Jeżeli się tylko zawahasz choćby na moment, natychmiast przegrasz, ponieważ inni wykorzystają twoje wahanie.

Wmawiaj im, co zechcesz, byle dostatecznie długo, a uznają to za prawdę, i to wielokrotnie potwierdzoną.

Dominique pamiętała o tych zaleceniach ojca i właśnie dlatego już od wielu miesięcy w takim tempie przygotowywała tę aukcję, a nawet przyspieszyła jej termin, kiedy było już pewne, że musi rywalizować z Kate Despard.

Niektórzy z jej współpracowników sprzeciwiali się skróceniu przygotowań, ale Dominique potrafiła ich w końcu przekonać, że przyspieszenie terminu aukcji wyjdzie tylko na korzyść całemu przedsięwzięciu, choćby z racji bezpłatnej reklamy, jaką stworzy przekazanie tej wiadomości chciwym sensacji prasowym reporterom.

- Nasza zaciekle rywalizacja i tak już stała się faktem prasowym; dziennikarze sami starają się, żeby nikt o tym przypadku nie zapomniał.

Stosunki między mną i moją przybraną siostrą, to jest dla prasy to, co Amerykanie zwykli nazywać hot news - gorący temat, a to może wyjść tylko na dobre organizowanej przez nas aukcji.

Dominique włożyła ogromnie wiele wysiłku w przygotowanie całości, pieczołowicie zadbała o stworzenie właściwej atmosfery, wywołanie jak największego zainteresowania, co w rezultacie musiało też przynieść zwiększenie zysków.

Scenograficzną aranżację powierzyła chińskiemu specjalście, który olbrzymią konferencyjną salę potrafił przekształcić w prawdziwy chiński pałac; na jej polecenie splądrowano do cna wszystkie magazyny Desparda, wydobywając z nich potrzebne dywany, draperie, kadzielniczki, stylowe stoliki, stare obrazy i grafiki, wśród których wyróżniały się zachwycające precyzją i sztuką dzieła chińskiej kaligrafii.

Dominujący był kolor czerwony, według chińskich wierzeń przynoszący szczęście, oraz żółty, również zapewniający przychylność fortuny.

Sama Dominique miała wystąpić w tradycyjnej chińskiej szacie - niegdyś noszonej przez mandarynów - z czerwonego i złotego jedwabiu, na którym wyhaftowany był Smok Szczęścia.

Wydobywające się z jego paszczy haftowane złotem Płomienie Pomyślności falistymi językami sięgały aż do brzegów tkaniny; szerokie rękawy również pokryte były bezcennymi haftami.

Przygotowującemu całość ekspozycji chińskiemu artyście udało się wytworzyć atmosferę dostojnej wspaniałości i idealne tło dla wystawianych na aukcję przedmiotów.

Miały one być prezentowane na przepięknym stoliku z laki, zresztą też zupełnie wyjątkowym i wartym fortunę.

Dominique zdecydowała się nawet na zatrudnienie chińskiego maga i wróża, który pomógł wyznaczyć najbardziej pomyślny dzień na rozpoczęcie aukcji i ustalić pożądany stan feng shui, kiedy to osiem żywiołów natury oraz żeński bierny pierwiastek in i męski aktywny pierwiastek jang będą najdoskonalej zrównoważone.

Zdawała sobie bowiem sprawę, że jakakolwiek pogłoska o złym feng shui mogłaby sprawić, że wielu bardzo bogatych kupców chińskich powstrzymałoby się od przyjścia na aukcję.

Tak więc to sprawdzenie już przyniosło całemu przedsięwzięciu całkiem wymierne zyski; chętnych do uczestniczenia w tej rozpoczynającej się pod tak dobrymi auspicjami aukcji było tak wielu, że ludzie w atmosferze nagłej paniki wręcz walczyli o zaproszenia.

Nawet napoje, które miały być podawane gościom, przygotowano według klasycznych chińskich receptur, wyróżniających pięć zasadniczych smaków: kwaśny, słodki, słony, ostry i gorzki.

Do tego dochodziło wino: dla Azjatów chińskie mao tai, dla europejskich gości wytrawny szampan Krug 59 .

Przewidziane też były różne rodzaje herbaty, wśród nich słynna czarna herbata bo lay.

Dominique po siedmiu latach prowadzenia oddziału Desparda w Hongkongu wiedziała już, że dla Chińczyków właśnie ogólna atmosfera i sam sposób przedstawienia mogą decydować o wszystkim.

Dołożyła więc wszelkich starań, żeby goście byli zachwyceni.

W końcu od tego w znacznej mierze mogła zależeć wysokość uzyskanych cen; toteż nie wolno było zapomnieć o niczym.

Poczucie zbliżającego się sukcesu pozwalało jej powoli zapominać o irytującej przegranej w walce o pozyskanie do sprzedaży kolekcji Agathy Chandler.

Poza tym - co było dla niej jeszcze ważniejsze - udało się jej odzyskać dawny wpływ na męża; wystarczyło po prostu nie wspominać już o tej kolekcji, która i tak była całkowicie poza jej zasięgiem.

Przynajmniej na razie.

Po śmierci Agathy Chandler sytuacja może wyglądać zupełnie inaczej; w każdym razie można będzie spróbować.

A w ogóle sam pomysł stworzenia tam fundacji tylko potwierdził słuszność jej sądu o Kate Despard: to wciąż była naiwna i niedoświadczona dziewczyna, całkowicie pozbawiona głowy do interesów, a za to z rozpaczliwie miękkim sercem.

Jednakże - niezależnie od takiej czy innej oceny postępowania rywalki - Dominique nie mogła pozwolić, by zbiory Courtland Park, wraz ze wszystkimi znajdującymi się tam skarbami, wpadły w ręce jej przybranej siostry.

To mogło nieść ze sobą, mimo wszystko, zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Z wiadomości, które docierały do Dominique, wynikało jednoznacznie, że będzie to największa aukcja, jaką w tym roku zorganizowano w Londynie, a pod względem liczby wystawianych przedmiotów dająca się porównać nawet z jej aukcją w Hongkongu; tak

więc w przypadku powodzenia pozwoliłoby to Kate na znaczne odrobienie dzielącego je dotąd dystansu.

Na to nie można było pozwolić, toteż Dominique postanowiła lecieć do Londynu jeszcze tego samego dnia wieczorem.

W Hongkongu wszystko już było zapięte na ostatni guzik; miała zatem trochę wolnego czasu, żeby przyjrzeć się na miejscu działaniom konkurentki i przy okazji odpowiednio podpłować szczeble drabiny, po której Kate Despard zamierzała wspiąć się do sukcesu.

Dominique wstała zza biurka, przeciągnęła się leniwie niczym kot i wolno podeszła do okna.

Zmierzch już zapadał nad zatoką i światła wielkiego miasta stawały się coraz bardziej widoczne.

Dominique lubiła to miasto, lubiła jego wieczną krzątaninę i pozorny rozgardiasz, a zwłaszcza umiejętność niecierpliwego odrzucania wszystkiego, co stało na drodze do osiągnięcia szybkich i dużych zysków.

Na dobrą sprawę pieniądź był jedynym uzasadnieniem istnienia czegoś takiego jak Hongkong.

A ponieważ i w jej przypadku było podobnie, Dominique miała uczucie, że rozumie to miasto.

Przyjechała kiedyś do Hongkongu po to, żeby się uczyć, żeby kupować i wysyłać do Londynu produkty miejscowego rękodziela, i po pewnym czasie udało się jej stworzyć tu własny, świetnie prosperujący salon sprzedaży.

Gdy papa Despard zorientował się, jak doskonale Dominique radziła sobie z prowadzeniem tego wszystkiego, po prostu usamodzielniał jej filię i dał jej tam wolną rękę.

W rezultacie był to już jej własny oddział, należał tylko do niej, tak jak Despards London należał do Charlesa.

W przyszłości -jeśliby wszystko poszło po jej myśli - podobnie tylko do niej miał należeć oddział nowojorski.

Dominique bardzo tego pragnęła, ale przede wszystkim musiała pilnować, żeby nie popełnić błędu i nie utracić także i ukochanego Hongkongu.

No więc teraz już go nie stracę, pomyślała z zadowoleniem, spoglądając na skrzące się ponad wodami zatoki niezliczone światła strzelistych wieżowców.

Tu wszystko już było gotowe i mogło oczekiwać na nią i na sygnał otwarcia.

Ona sama natomiast miała jeszcze dość czasu, by na krótko polecieć do Londynu i upewnić się, że wielka kolekcja Courtland Park nie dostanie się w ręce Kate Despard.

Dominique przemyślała wszystkie swe ruchy, doskonale orientowała się w rozstawieniu figur na szachownicy, ze szczególnym uwzględnieniem Nicholasa Chevely.

Kate Despard wciąż była ledwie pionkiem, ale ten mężczyzna był tam królem, którego w tej grze należało zdobyć, i to szybko.

Uświadomiła sobie, że już dość dawno nie zdarzyło się jej podejmować tego rodzaju gry.

Tym lepiej więc, że nadarzała się właśnie taka okazja.

To pozwoli jej nadal pozostać w formie.

Rollo przyglądał się, jak Kate beznadziejnie walczy z kolejnymi stronami porannego wydania "Timesa" w poszukiwaniu wiadomości o decyzji władz w sprawie dalszych losów kolekcji Courtland Park.

Z wyrazu jej twarzy nietrudno było odgadnąć, że decyzji nadal nie podjęto.

Rollo pokiwał głową i powiedział: - Wiesz co?

Myślę, że chętnie poleciałbym do Hongkongu na tę tak zwaną sprzedaż stulecia.

Zaskoczona Kate odłożyła gazetę.

-Ty?

- A czemuż by nie?

Odświeżyłbym wspomnienia z lat młodości i przy okazji trochę przyjrzał się temu, co tam majstruje ta twoja siostra.

- Więc kiedyś już byłeś w Hongkongu?

- Podczas wojny.

Kate wiedziała, że jego udział w wojnie ograniczał się do występów w jednej z grup ENSA, których zadaniem było przygotowywanie przedstawień estradowych dla brytyjskich oddziałów na różnych frontach drugiej wojny światowej.

- Ale przecież Hongkong prawie przez całą wojnę był okupowany przez Japończyków.

- Kiedy ja tam byłem, już nie był - powiedział Rollo i uśmiechnął się.

- Tak czy inaczej jedzie tam James Grieve, jako kierownik naszego oddziału dalekowschodniego.

- I bardzo dobrze!

Niech on sobie jedzie oficjalnie, a ja - co w moim przekonaniu może się okazać dużo ważniejsze - pojawiłbym się tam zupełnie nieoficjalnie.

Kate przyjrzała mu się podejrzliwie.

Rollo znów miał ten swój charakterystyczny wyraz twarzy - gładki i nieprzenikniony.

Bóg wie co mogło się pod nim ukrywać.

Z całą pewnością Rollo coś kombinował.

- Co ty takiego wiesz, o czym ja nie wiem?

- spytała, marszcząc brwi.

- Na razie jeszcze też nic nie wiem - odparł szczerze Rollo.

- Ale coś czuję...

- Długim palcem lekko dotknął końca swego nosa.

- Jestem pewien, że gdyby to była twoja aukcja, to już byłoby tam pełno jej szpiegów i wywiadowców, nawet jeśli mieliby być poprzebierani za podawane gościom solone orzeszki.

- Czemu mi nie powiedziałaś wcześniej, że chcesz tam jechać?

- Nie miałem jeszcze zaproszenia.

- Czego?

- wykrzyknęła zaskoczona Kate.

- Ale nie na jej aukcję, skądże znowu!

Mam na myśli zaproszenie od jednego z moich starych przyjaciół.

Tak się złożyło, że mieszka właśnie w Hongkongu.

- Bardzo pomyślny zbieg okoliczności - powiedziała zgryźliwie Kate.

- Też tak uważam - odparł Rollo bez mrugnięcia okiem.
- A poza tym akurat nie mam specjalnie nic do roboty.
Jeżeli idzie o Courtland Park, zrobiliśmy wszystko, co było można.
Przygotowania są tak zaawansowane, a my włożyliśmy w to już tyle pracy i pieniędzy, że gdybyśmy ostatecznie nie pozyskali tej sprzedaży, nasłuchałabyś się wielu przykrych rzeczy od panów dyrektorów z zarządu.
- Zdaję sobie z tego sprawę.
- Nie mogłabyś jakoś skłonić Nicholasa Chevely, żeby opowiedział się wyraźnie po czyjejś stronie?
- Nie.
- On w końcu jest tylko jednym z członków zarządu powierniczego.
- Może i tak, ale jest tym jedynym, który naprawdę się tam liczy.
Był podobno bardzo blisko ze starym Courtlandem.
- W oczach Rolla zamigotały złośliwe iskierki.
- Ba, gdybyś tak mu pozwoliła zbliżyć się również do siebie...
- Kate popatrzyła na niego w taki sposób, że Rollo tylko wzruszył ramionami.
- Rób, jak chcesz, twoja sprawa.
- Powiem ci tylko, że to naprawdę nie byłoby nic aż tak bulwersującego, zwłaszcza w naszym kręgu artystycznym i zawodowym.
- Dla mnie byłoby - powiedziała krótko Kate.
- Sprzedaję różne rzeczy w Desparda, ale na pewno nie sprzedaję siebie.
- Twoja siostra postępuje dokładnie odwrotnie i jakoś jej to nie zaszkodziło.
- No nie wiem.
- Mnie przynajmniej nie nazywają Piękną Rosiczką.
- Piękną Rosiczką nie...
- Rollo powiedział to takim tonem, że Kate spojrzała na niego i zapytała ostro: - Ale o mnie też gadają, prawda?
- I co mówią?
- No, na przykład mówią, że ustaliłaś na siebie samą niemożliwie wysoką cenę minimalną.
- Kate obruszyła się, ale nic nie odpowiedziała.
- Moja droga, w końcu nie możesz się dziwić, że tak mówią.
- Wszyscy już wiedzą, że Nicholas Chevely przystąpił do obłączenia.
- I z tego, co słyszałem, stawia się raczej na...
- W jego oczach znów zamigotały złośliwe iskierki.
- Tak czy inaczej, powiem ci jedno: jeśli byśmy jednak dostali tę kolekcję do sprzedaży, nasi konkurenci z pewnością nie omieszkają powiedzieć głośno, czemu - ich zdaniem - możesz zawdzięczać swe zwycięstwo.
- Sukinsyny!
- mruknęła Kate przez zaciśnięte zęby.
- Naprawdę cieszyłabym się, gdyby rząd dał im w końcu po tyłkach!
- Dlatego właśnie chcę teraz zebrać mój osobisty tyłek w troki i jechać.

Bo ja -w odróżnieniu od niektórych innych, których nie będę wskazywał palcem - nie mam tu już nic do zrobienia.

Zgodzisz się zresztą, mam nadzieję, że zrobiłem niemało.

- O tak - powiedziała Kate ze szczerym uznaniem.

- To muszę ci przyznać: twoje pomysły okazały się naprawdę doskonałe.

Jeżeli dostaniemy w końcu tę aukcję, to chyba nie tylko dorównamy Hongkongowi, ale go nawet wyprzedzimy.

- Wędką z przynętą jest w twoich rękach - powiedział Rollo, starając się jednak, by nie zabrzmiało to zbyt jednoznacznie.

- Od ciebie zależy, czy ostatecznie złapiesz tę rybę, to znaczy Cheveliego.

- Wiem, że spodobał mu się nasz pomysł prezentacji całości, jestem tego pewna.

Naprawdę zrobiło to na nim wrażenie, a wiem, że pozostałe dwie firmy nie przedstawiły niczego, co mogłoby się w jakikolwiek sposób z tym równać.

- Cała sprawa polega więc tylko na tym, co ty sama zechcesz zaprezentować, czy może raczej zaoferować.

- Głos Rolla był gładki jak aksamit.

- A ja ci już powiedziałam, że nie załatwiam interesów w taki sposób.

I nigdy nie będę.

Papa zawsze mówił, że jeżeli się raz straci szacunek w środowisku, należy zwinąć manatki i wycofać się z interesów.

- Jeżeli naprawdę uważasz, że tak jest, to powiedz mi, dlaczego wciąż przegrywamy z Dominique i z jej nowojorskim oddziałem?

Przecież jeżeli tak dalej pójdzie, to i tak wylecisz z interesu, bo kontrolę nad wszystkim przejmie twoja siostra.

- Na razie mam jeszcze przeszło pół roku, a przez ten czas bardzo wiele może się zdarzyć.

Mam jeszcze w rezerwie kolekcję monet Van Halena, pamiętasz o tym?

A sprzedaż obrazów Picassa też przyniosła ogromne pieniądze, dzięki tobie!

- To wciąż jest małe piwo!

A jedyny sposób, żeby dostać prawdziwego szampana, to zdobyć tę kolekcję Courtland Park.

My po prostu musimy mieć to zlecenie.

W przeciwnym razie możesz się od razu poddać.

- Mowy nie ma!

Rollo zauważył zaróżowione z emocji policzki Kate i taktycznie zmienił temat.

- No a jak ci idzie praktyczne prowadzenie naszych bieżących aukcji?

- Lepiej.

Naprawdę coraz lepiej.

David jest ze mnie zadowolony.

- Cieszymy się więc, że ktoś wciąż może u nas być zadowolony.

- Rollo prychnął szyderczo, ale i bardzo znacząco.

Zaskoczona Kate spojrzała na niego i spytała: - Ty jednak wiesz coś jeszcze, prawda?

Domyśliłeś się czegoś, i teraz chcesz to sprawdzić?

- Nie ukrywam, że to i owo pobudziło moją ciekawość.

Ale powiem ci tylko tyle: jestem teraz prawie pewien, że ten koń Tang pochodził właśnie z Hongkongu.

Kate patrzyła na niego z otwartymi ze zdumienia ustami.

Rollo tylko kiwnął głową, a potem podniósł dłoń, jakby zakazując dalszych pytań.

- Mam swoje źródła - oświadczył mocno zaintrygowanej Kate.

- Tak więc w Hongkongu byłaby okazja, żeby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Mógłbym przewąchać, skąd pochodził ten koń, a jednocześnie dowiedzieć się pożytecznych rzeczy na temat sposobów działania twojej siostrzyczki.

Kate, choć początkowo niechętnie, musiała przyznać, że nie był to zły pomysł.

Oczywiście, James Grieve przywiózłby stamtąd kompletny i szczegółowy raport.

Ale to jednak byłoby coś zupełnie innego.

Kate zdawała sobie sprawę, że tylko Rollo potrafiłby naprawdę uchwycić i przekazać atmosferę tego wydarzenia, styl działania Dominique i jej sposoby.

Umiałby zauważyć wiele rzeczy, które Jamesowi z całą pewnością po prostu umknęłyby, choćby dlatego, że nie mieściłyby się w jego prostolinijnym sposobie myślenia.

James Grieve nie miał tego pokrętnego podejścia do ludzi i zdarzeń, tego wyczulenia na szczegóły, na klimat całości, ani też osobistych kontaktów, które Rollo zdawał się mieć na całym świecie.

- Na parę dni przed aukcją nie znajdziesz już miejsca w żadnym hotelu - powiedziała, marszcząc brwi w zamyśleniu.

Rollo spojrzał na nią i już wiedział, że wygrał.

- Nie potrzebuję hotelu - powiedział, bardzo z siebie zadowolony.

- Będę mieszkał u mojego przyjaciela.

Kate popatrzyła na niego i zdesperowana pokiwała głową.

- Już wszystko przygotowałeś, prawda?

Pewnie masz już nawet bilet na samolot?

- Nie ukrywam, że byłem na tyle przewidujący, żeby wcześniej zapewnić sobie rezerwację.

Kate mogła się już tylko roześmiać.

- No dobrze, wygrałeś.

Jedź.

Ile czasu ci to zajmie?

Sama aukcja przewidziana jest na trzy dni.

- Myślę, że tydzień powinien mi wystarczyć.

- Niech będzie.

- Westchnęła z rezygnacją.

- Załatwię z działem finansów, żeby dali ci pieniądze na pokrycie kosztów.

Tylko, na miłość boską, nie szalej tam z wydatkami.

I tak już jestem u nich mocno pod kreską, choćby z uwagi na to, ile wydaliśmy na te cholerne przygotowania.

- To się zwróci co do pensa - zapewnił ją Rollo z ogromną pewnością siebie.

-Gdyby tu decydował ktokolwiek inny, a nie ten wymuskany elegancik Chevely, to już mielibyśmy to jak w banku.

- Tu Rollo przerwał i znacząco westchnął.

- A tak to wszystko zależy od tego, czy on cię...

- Cofnął się szybko, w udanym lęku przed spodziewanym uderzeniem.

Nawet gdyby chciała, nie mogłaby go już osiągnąć.

- Zadzwoń do mnie, kiedy się czegoś dowiesz - powiedziała.

Rollo potrząsnął głową.

- Pas devant les rumeurs, moja droga.

Cokolwiek wykryję -jeżeli coś wykryję - przedstawię ci tylko osobiście.

Kate spojrzała na niego uważniej.

- Ty chyba naprawdę coś ukrywasz!

- Nic, o czym mógłbym ci powiedzieć już teraz - powtórzył niewzruszenie Rollo.

Ciekawe, czy dlatego, że nie chce, czy też dlatego, że nie może, pomyślała Kate.

Z całą pewnością coś tam jednak musiało być.

Rollo nie miał zwyczaju marnowania czasu na złudne nadzieje i domysły.

Mimo wszystko pożegnała go serdecznie i nawet pocałowała w policzek.

Rollo ostatnio sprawował się naprawdę nienagannie; prace związane z przygotowaniem aukcji Courtland Park zajmowały mu tyle czasu, że po prostu nie miał okazji do wtrącania się do czegokolwiek poza tym.

A jednocześnie Kate była przekonana, że jego niezwykle wycucie teatralnego efektu przyczyni się tym razem do osiągnięcia rzeczywiście niebywałego sukcesu, który przyćmi wszystkie wcześniejsze, łącznie z tą aukcją w Hongkongu.

Także i Nicholas Chevely musiał sobie z tego zdawać sprawę.

Inaczej bowiem z pewnością nie stawiałby jej przed tak jednoznaczną decyzją, czy chęć sprzedania tego wszystkiego oznacza dla niej chęć sprzedania również siebie samej.

Jego chłodne podejście do całej tej transakcji chwilami przejmowało ją dreszczem.

Oczywiście nie miałyby to nic wspólnego z miłością.

Po prostu byłaby to cena, którą należało zapłacić - noc spędzona we wspólnym łóżku, bez jakiegokolwiek angażowania w to serca czy duszy.

Wybór jej samej wydawał się prosty, ale kłopot polegał na tym, że teraz już naprawdę wszyscy w firmie Desparda oczekiwali od niej, że jednak pozyska dla nich tę sprzedaż.

Grupka popleczników Dominique zdecydowanie przegrywała.

Ogromny zapał, z jakim Kate przystąpiła do pracy, jej całkowite i bezwzględne oddanie firmie, gotowość do uczenia się zawsze i od każdego - wszystko to bardzo przyczyniło się do umocnienia jej pozycji.

Bezlitosne usunięcie Piersa Langa, i to nie tylko ze stanowiska, ale w ogóle z pola widzenia, stało się dla wielu prawdziwym wstrząsem.

Kate przeprowadziła to bardzo stanowczo, ale i z należytą ostrożnością.

Naradziła się z prawnikami, którzy potwierdzili zasadność jej obaw, że Piersa Langa nie można zwolnić bez niezbitych dowodów jego aktywnego udziału w aferze z fałszywym koniem Tang.

Mogłoby się to skończyć oddaniem sprawy do sądu i procesem, który z pewnością nie byłby korzystny dla reputacji i ogólnego imageu firmy Desparda.

Natomiast można by zamiast tego przesunąć go po prostu do możliwie odległego oddziału.

Takie rozwiązanie prawnicy uznali za całkowicie zgodne z prawem.

Po rozmowie z prawnikami Kate któregoś ranka wezwała Piersa do swego biura.

Pojawił się swobodny i rozluźniony, jak człowiek, który wciąż jest bardzo pewny swojej pozycji.

W swoim czasie, kiedy wybuchła sprawa wykrytego przez Rolfa Hobarta fałszerstwa konia Tang, Piers Lang nieustannie opowiadał wszystkim, jak dalece jest wstrząśnięty i oburzony tym, co się stało.

Przysięgał, że nawet w najkoszarniejszych snach nie przyszło mu do głowy, by ktoś poważnie się zrobić coś podobnego, że po prostu nie potrafi sobie wyobrazić, kto mógłby chcieć tak oszukać firmę i jego osobiście.

Z pewnością będzie to nauka, żeby na przyszłość być wyjątkowo ostrożnym.

On w każdym razie będzie się szczególnie pilnował.

Nawet i w tym momencie, choć minęło już wiele miesięcy od tej sprawy, Piers Lang czuł się w obowiązku powtórzyć wszystkie te zapewnienia.

- Mam nadzieję, że moje obecne starania i wyłożona praca w jakiś sposób przyczyniły się do zrekompensowania szkód, wynikłych z mojej naiwności w niefortunnej sprawie fałszywego konia Tang - oświadczył.

- Zgodzi się pani, jak sądzę, że straty odrobiłem już z nawiązką, choćby poprzez to, co ostatnio pozyskałem do sprzedaży w naszej firmie.

Rzeczywiście w czasie ostatnich miesięcy Piers Lang znacznie wzmógł swoje wysiłki, dzięki czemu Desparda London pozyskał do sprzedaży między innymi piękny obraz Constable'a, bardzo cenną starą prasę z czasów króla Jakuba i komplet ośmiu krzesel Hepplewhite'a, nad którymi z zachwytem kiwał głową nawet sam szef działu.

- Ponieważ pani zdecydowała się polegać na panu Bellamym, jeżeli idzie o osobiste zlecenia - w głosie Piersa można było usłyszeć ton delikatnego wyrzutu - mogłem poświęcić cały mój czas na poszukiwania atrakcyjnych obiektów.

Kate zignorowała przytyk, nie mając najmniejszych złudzeń co do rzeczywistych intencji pana Langa.

Przez te ostatnie miesiące chodziło mu wyłącznie o odbudowanie reputacji i zatarcie śladów, a ona nie widziała powodów, dla których nie miałaby mu pozwolić na wyrównanie - w ten sposób - poniesionych przez firmę strat.

Teraz jednak musiała to wszystko zakończyć.

Wskazała mu krzesło, na którym Piers posłusznie usiadł, z miną psa, który chce dać do zrozumienia, że już nigdy więcej nie pobrudzi cennego dywanu.

Czekało go jednak coś znacznie gorszego niż lekki klaps, którego się spodziewał.

- Wezwałam pana, aby poinformować, że przenoszę go do innego oddziału naszej firmy, a konkretnie do Australii - powiedziała mu bez ogródek.

Twarz Piersa Langa nagle stężała.

- Do...

Australii?

- powtórzył wstrząśnięty.

- Mamy tam dopiero co otwarty i rozwijający się powoli oddział w Sydney.

Myślę, że bardzo przyda się tam ktoś z pana niebagatelnyymi...
zdolnościami.

- Ale przecież w Australii praktycznie nie ma rynku dzieł starej sztuki!

- próbował protestować Piers.

- A poza tym ja nigdy tam nie byłem i nic w ogóle nie wiem o tym kraju...

...i nie mam najmniejszej ochoty go poznać - to oczywiście dokończenie zdania nie
zostało już przez niego wypowiedziane.

- Więc będzie pan miał okazję go poznać.

Słyszałam, że Sydney to naprawdę piękne miasto.

Ma imponującą operę i podobno wspaniałe plaże.

- Ale tam prawie w ogóle nie ma rynku starej sztuki ani dawnych przedmiotów
użytkowych - upierał się rozpaczliwie Lang.

- Australijczycy czasem kupują coś takiego, ale nie słyszałem, żeby ktoś tam
kiedykolwiek to sprzedawał.

- Och nie, z całą pewnością są tam bardzo interesujące rzeczy - powiedziała Kate, której
ta rozmowa zaczynała sprawiać coraz większą przyjemność.

- Z tego co mi donoszą, wynika nawet, że sztuka australijskich aborygenów ma szansę
stać się kolejnym światowym hitem.

- Sztuka...

aborygenów?

- Najwyraźniej zabrakło mu tchu.

- Właśnie.

Podobno niemal wszystko, co te plemiona wytwarzają, ma co najmniej taką siłę wyrazu,
jak słynne brązy z Beninu, które są teraz tak modne.

To przecież też jest sztuka prymitywna.

Pan Rolf Hobart, na przykład, podobno po prostu szaleje za czymś takim.

Sam dźwięk tego nazwiska był jak smagnięcie biczem.

Lang przez chwilę nie mógł wymówić nawet słowa.

- Sądziłem, że...

że pan Hobart dla Despards London jest już persona non grata!

- wyjąkał w końcu.

- Jest!

- powiedziała Kate.

- I pan również!

To było jak podwójne uderzenie; drugi mocny cios trafiający zamroczonego boksera
dokładnie w to samo miejsce.

Szczęka Piersa Langa opadła nagle, a on sam sprawiał wrażenie, że bezskutecznie
próbuję się podnieść z desek, na które rzuciły go kolejne uderzenia Kate.

- Całkowicie prywatnie powiem panu, panie Lang, że pańskie wyjaśnienia dotyczące
pana udziału w sprzedaży fałszywego konia Tang przyjęliśmy tylko na użytek publiczny.

Ale niech pan nawet przez chwilę nie sądzi, że nie wiemy, jaką rolę odegrał pan w tym wszystkim i na czyje zlecenie.

Lang wzdrygnął się mimo woli, a w jego niebieskich jak u niemowlęcia oczach pojawiła się panika.

Wysiłkiem woli udało mu się jednak zapanować nad rozdygotanymi nerwami.

- Wiem o wszystkim - mówiła dalej Kate - choć, niestety, nie mogę panu tego udowodnić przynajmniej na razie.

Bo gdybym tylko mogła, zwolniłabym pana natychmiast.

Wciąż jednak jest pewna szansa dla pana...

- Ton tych słów sprawił, że znów drgnęła w nim nadzieja.

- Proszę mi powiedzieć, skąd naprawdę wziął się ten koń, a zastanowię się nad zmianą transferu.

Zamiast Australii, powiedzmy Los Angeles?

Z pewnością stałby się pan ozdobą Beverly Hills.

Jednak jej - i tak dość wątle - nadzieje na to, że zaskoczony Lang przyzna się do wszystkiego, zupełnie się nie sprawdziły.

Cios był zadany na ślepo i obie strony o tym wiedziały.

Toteż Kate przestała wierzyć, że Piers kiedykolwiek skorzysta z podsunętej mu teraz okazji.

Najwyraźniej - podobnie, jak to się zdarzało znacznie większym od niego szpiegom międzynarodowym - bardziej obawiał się zleceniodawcy niż tych, którzy go ścigali.

Piers Lang potwierdził to jej przypuszczenie i bardzo szybko wrócił do postawy skrzywdzonej niewinności.

- Powtarzam pani, panno Despard, że o tej fałszywej figurce nie wiem nic ponad to, co już wielokrotnie pani mówiłem.

Wszyscy zostaliśmy oszukani.

Julian Pothecary, na przykład, był po prostu rozwścieczony.

- Ja też!

- przerwała mu Kate.

- Zwłaszcza kiedy się dowiedziałam, że tak naprawdę pracuje pan nie dla mnie, ale dla mojej siostry.

- Nie ma pani na to żadnych dowodów.

- Piers powiedział to z wielką pewnością siebie, ale Kate bardzo szybko potrafiła tę pewność podkopać.

- Dlaczego więc pojechał pan do mojej siostry tego samego dnia, kiedy przejęłam kierownictwo w Despards London?

Lang mimo woli przełknął ślinę.

- To prawda, że poleciałem tego dnia do Genewy - przyznał ostrożnie.

- Ale tylko dlatego, że nie miałem połączenia lotniczego do Lozanny.

- W Lozannie w ogóle pan nie był, jeżeli już o to chodzi.

Wynajął pan taksówkę, która przywiozła pana prosto z lotniska do willi mojej siostry.

Przyjechał pan do niej o pierwszej po południu, a już o czwartej ta sama taksówka wróciła, aby pana zawieźć ponownie na lotnisko.

Wszystkie te informacje pochodziły od Rolla.

Kate nie miała najmniejszej ochoty badać, w jaki sposób je uzyskał, ważne było tylko to, że zostały potwierdzone.

- No więc dobrze...

- powiedział Piers Lang, uznając, że nie ma sensu dalej się wypierać.

- Muszę przyznać, że rzeczywiście pojechałem do pani siostry, ale wyłącznie dlatego, że mnie tam wezwała.

Zmuszony jestem zwrócić pani uwagę na fakt, że choć od chwili pani przyjścia sytuacja w oczywisty sposób się zmieniła, to jednak pani du Vivier nadal pozostała osobą, z którą w firmie DesparcTs trzeba się bardzo liczyć, a tacy jak ja pracownicy niższego szczebla po prostu muszą słuchać jej poleceń.

W tym konkretnym przypadku pani du Vivier chciała mnie wypytać o ten pejzaż Constablea, który pani zaoferowałem; chciała, żebym dał go do sprzedania raczej jej, a nie pani.

Oczywiście kategorycznie odmówiłem - oświadczył z dumą.

- I trzy godziny zabrało panu powiedzenie słowa "nie"?

- Pani du Vivier zaproponowała mi drugie śniadanie - odparł wyniośle Piers Lang.

- Tak?

I co jeszcze panu zaproponowała?

Piers zeszywniał.

- Muszę powiedzieć, że czuję się dotknięty tego rodzaju uwagami.

- Może się pan czuć tak dotknięty, jak to się tylko panu podoba.

I tak jedzie pan do Australii.

- Kate zrobiła krótką pauzę.

- Albo też złoży pan rezygnację.

Jak pan woli.

- Jest chyba oczywiste, że nie zamierzam pozostawać tam, gdzie się mnie najwyraźniej nie chce.

- Wobec tego chcę widzieć pańską rezygnację na moim biurku nie później niż za godzinę.

- Chłodny głos Kate był teraz bardzo twardy i nieustępliwy.

Miała ogromną ochotę powiedzieć mu dużo więcej, ale rozsądnie postanowiła się powściągnąć, mając na uwadze ewentualne konsekwencje takiego wybuchu.

W końcu najważniejsze było to, że dymisja Piersa Langa z całą pewnością okaże się bardzo poważnym ostrzeżeniem dla każdego innego "kreta", który nadal chciałby kryć się w jakiejś wykopanej przez siebie dziurze.

Ciekawe, ilu jest tu jeszcze takich, jak on?

- pomyślała z niepokojem.

Tymczasem Piers Lang podniósł się z krzesła, stał przed nią wyprostowany i sztywny jak uosobienie urażonej godności.

- Otrzyma pani moją rezygnację - powiedział tonem pełnym demonstracyjnej wzgardy.

- Pani bardzo chce, żeby mnie tu już nie było, ale teraz mogę już powiedzieć, że ja sam chcę tego jeszcze bardziej!

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Zadowolona z siebie Kate - emocjonalnie jeszcze podkreślona zwiększonym podczas tej rozmowy przyływem adrenaliny - poleciała, by wezwano teraz panią Hennessy.

I w jej przypadku nie miała żadnych dowodów, a jedynie pewność, że tak naprawdę ta wciąż jeszcze urzędująca w jej biurze osobista sekretarka spełnia przede wszystkim rolę stacji transmisyjnej, przekazującej wszystkie ważniejsze informacje prosto do Paryża.

Już tego wystarczyłoby w zupełności, żeby chcieć się jej pozbyć.

A poza tym Kate już wręcz fizycznie nie znosiła tej kobiety i nie miała najmniejszej ochoty nadal z nią pracować.

Na wiadomość, że zostaje przeniesiona do oddziału w Kensington, twarz pani Hennessy poczerwieniała jeszcze bardziej niż zwykle i stała się niemal purpurowa.

- Kensington?

- Roztrzęsiona i zdenerwowana wypowiedziała to słowo tak, jak gdyby było równoznaczne z zesłaniem na Syberię.

- Potrzebuję tam kogoś pani...

klasy.

Musimy zdecydowanie podciągnąć ten oddział.

Ktoś powinien mieć tam wszystko na oku, a pani zawsze była w tym dobra, prawda?

Matowe oczy zwęziły się jeszcze bardziej.

Jednakże pani Hennessy okazała się znacznie odporniejsza niż Piers Lang.

- W Kensington trzeba będzie wziąć wszystko twardą ręką- mówiła dalej Kate.

Pozbywanie się tych dwojga, jak się okazywało, było jeszcze przyjemniejsze, niż przypuszczała.

- Wie pani, oni się tam trochę rozpuścili, przestali dbać o renomę firmy.

- Jaką renomę?

- zapytała jadowicie pani Hennessy.

- Przecież w tym Kensington nie dzieje się nic, poza śmieciowymi wyprzedażami gratów z piwnic i strychów, i pani doskonale o tym wie.

- Te śmieciowe wyprzedaże przynoszą jednak stały dochód.

Pani osobiste uposażenie pozostałoby nie zmienione, ponieważ przechodzi pani tam na moje polecenie.

Niezależnie od tego, kim jeszcze pani chciałaby, czy też nie chciałaby być, jest pani naprawdę znakomitym administratorem.

- Proszę mi nie mydlić oczu pochwałami, panno Despard.

Jakkolwiek na to spojrzeć, przeniesienie do Kensington jest oczywistą degradacją.

- Ja tego tak nie widzę, pani Hennessy.

A proszę łaskawie pamiętać, że to ja tu decyduję.

Czy to jest jasne?

Olbrzymi biust pani Hennessy zafalował niczym ocean.

- Nie zasługuję na takie nonszalanckie traktowanie.

Dwadzieścia pięć lat mojego życia poświęciłam tej firmie.

Dwadzieścia pięć lat lojalnej i pełnej oddania pracy.

I za to teraz otrzymuję tak upokarzającą zapłatę!

Dlaczego?

- Po prostu dlatego, pani Hennessy, że akurat ja bardzo dobrze się orientuję, jak bardzo jest pani lojalna, a zwłaszcza wobec kogo.

I to właśnie leży u podstaw podjętej przeze mnie decyzji.

Złote iskierki w jej spojrzeniu zderzyły się z chłodnym błękitem oczu Sheelagh Hennessy, która nagle zdała sobie sprawę, że postawiła na złego konia i po prostu przegrała.

Tam, w odległym Kensington, nie będzie się już liczyć w żadnym znaczącym układzie; nie usłyszy też żadnych ważnych plotek, które mogłyby się do czegośkolwiek przydać tej drugiej kobiecie, z którą nie tak dawno temu postanowiła wspinać się na szczyt.

- Doskonale, panno Despard - odpowiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

- Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego zaangażowała pani drugą sekretarkę.

Zapewne chciałaby pani, abym poinstruowała ją, jakie będą jej przyszłe obowiązki.

- Penny doskonale wie, co ma robić - powiedziała sucho Kate.

- A ja mam do niej zaufanie i wierzę, że zrobi to bardzo dobrze.

I tak już czerwone policzki pani Hennessy znów zrobiły się purpurowe, a wąskie, mocno zaciśnięte usta poruszyły się bezgłośnie.

Jednakże pani Hennessy nie mogła sobie pozwolić na to, by po prostu zrezygnować z pracy, niezależnie od tego, gdzie będzie musiała teraz pracować.

- W Kensington już na panią czekają - powiedziała Kate.

- Proszę więc być tam jutro z samego rana.

I znów olbrzymi biust zdymisjonowanej sekretarki uniósł się niebezpiecznie, rozpierany od wewnątrz falą narastającej wściekłości.

Ostatecznie jednak tylko obróciła się gwałtownie na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami z taką siłą, że zagroziło im to wyrwaniem z zawiasów.

W ciągu mniej więcej tygodnia, po pozbyciu się tej dwójki, Kate otrzymała kolejne rezygnacje i prośby o dymisje.

Dla tych, którzy je złożyli, tak nagle odejście Piersa Langa i Sheelagh Hennessy z DesparcTs London było właściwie tym samym, co zobaczenie na ścianie płonącego napisu Mane Tekel Fares.

Jednak, ku zaskoczeniu Kate, tych podań z prośbą o zwolnienie z firmy było mniej, niż mogłaby przypuszczać.

Ci, którzy pozostali, zapewne są zdecydowanie po jej stronie, albo też są zakonspirowani tak głęboko, że nie warto się nimi za bardzo przejmować.

Pożyjemy, zobaczymy, powiedziała sobie Kate.

Udało się jej także uporać z Rollem, a dokładniej mówiąc, z jego nawykami wtrącania się do pracy innych.

Jej własna ciężka praca nad przygotowaniem ekspozycji kolekcji Courtland Park - co było teraz głównym tematem rozmów pracowników DesparcTs London - przyczyniła się także do wzmocnienia jej pozycji w firmie.

Podobnie jak i jej ostatnie dokonania, takie choćby, jak sprzątnięcie sprzed nosa przedstawicielom firmy Sothebys najwspanialszego obrazu Velasqueza, jaki pojawił się na rynku w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

Również David Holmes był coraz bardziej zadowolony i utrzymywał, że Kate zrobiła ogromne postępy w sztuce prowadzenia publicznych sprzedaży, a podczas ostatnich aukcji - na których wystąpiła w roli prowadzącej - sprawdziła się wręcz znakomicie.

Jednakże Kate doskonale zdawała sobie sprawę, że nadal wszystko zależy przede wszystkim od tego, czy potrafi ostatecznie pozyskać dla firmy Desparda sprzedaż kolekcji Courtland Park.

Wiedziała, że wszyscy wokół niej zadają sobie pytanie, czy jej się to uda i w jaki sposób zamierza to osiągnąć - czy na swój własny sposób, czy też może na sposób swej przybranej siostry.

Rollo chyba nie bez racji mówił, że co poniektórzy zaczną się zakładać.

Kate nie potrafiła pogodzić się z myślą, iż seks miałby być takim samym towarem, jak wszystkie inne dostępne na rynku.

Dla niej nadal był tylko jednym z wielu aspektów czegoś znacznie ważniejszego, to znaczy miłości.

Tymczasem dla ludzi takich jak Dominique czy Nicholas Chevely to miłość była jakimś tam aspektem seksu, i to z pewnością jednym z tych mniej ważnych.

Kate była przekonana, że oboje oni nie uważali miłości za coś naprawdę liczącego się w życiu.

Przedkładali seks nad miłość zupełnie tak samo, jak przedkładali oportunizm - i płynące z niego korzyści - nad wszelkie zasady.

Teraz jednak te niewzruszone zasady miały być poddane próbie - dzisiejszy wieczór miał wykazać, ile naprawdę są dziś dla niej warte.

Nicholas Chevely zabierał ją do Królewskiej Opery Covent Garden, gdzie występowała Joan Sutherland - sensacja sezonu - w tytułowej partii Lunatyczki.

Po spektaklu oboje mieli pójść na późną kolację, i właśnie tam Kate zamierzała mu powiedzieć bardzo jasno, że spodziewa się po nim oceniania jej wyłącznie według tego, co potrafi w sensie zawodowym, jako że ona sama nie zamierza stać się przedmiotem jakiegokolwiek transakcji, ani teraz, ani w przyszłości.

Kate powtarzała sobie, że jeżeli w ten sposób utraci Courtland Park, no to trudno.

Trzeba się czegoś trzymać.

A poza tym gdyby teraz zgodziła się pójść z nim do łóżka, już nigdy nie dowiedziałaby się, czy wygrała - jeśliby wygrała - jako kobieta interesu czy po prostu tylko jako kobieta.

Z jego strony to był po prostu szantaż, jawny i nieskomplikowany.

Jednakże Kate miała uczucie, że ona sama w jakiś sposób również się tym mężczyzną posługuje.

To on miał ją w rezultacie czegoś nauczyć, a ona takiej nauki potrzebowała.

Omówiła to wszystko z Charlotte, pierwszą i jedyną dotąd kobietą, z którą odważyła się rozmawiać o sprawach seksu.

- Ciała kobiet zawsze były towarem, który mężczyźni chętnie kupowali; w przeciwnym razie nie byłoby prostytutki.

- Charlotte jak zawsze mówiła o istocie rzeczy, bez owijania w bawełnę.

- Są kobiety, które godzą się na kontakty z mężczyznami na takim właśnie poziomie, i są też takie, które się na to nie godzą.

Ty, moja droga Kate, należysz do tych ostatnich, i podejrzewam, że w znacznym stopniu jest to zasługa twego ojca.

- Mojego ojca?

- spytała zaskoczona Kate.

- Dlaczego?

- Przypomnij sobie, ile mogłaś mieć lat - chyba nie więcej niż czternaście - kiedy twój ojciec niespodziewanie odszedł do tamtej kobiety.

Dziewczynki w tym wieku są bardzo wrażliwe, właśnie wtedy zaczyna się ich rozwój seksualny.

Myślę że ta dezercja ojca - a ty tak to wtedy odbierałaś - musiała tu wpłynąć silnie hamująco; wszelkie odczucia związane z seksem stały się dla ciebie przykre, a wszelkie myślenie o tym zbyt bolesne, żebyś to mogła wytrzymać.

Przez te wszystkie poprzednie lata twój ojciec ofiarował ci wiele miłości, podziwiał cię i szanował, co dawało ci poczucie własnej wartości - a nie muszę ci mówić, jakie to ważne dla nas, w każdym wieku.

Tak więc kiedy nagle odszedł do innej, i to takiej, która miała córkę tylko o kilka lat od ciebie starszą, ty natychmiast odebrałaś to jako odrzucenie ciebie, odrzucenie twojej kobiecości.

Wobec tego ty też się od tej kobiecości odwróciłaś, odrzuciłaś wszystko, co się z tym wiązało, i to odrzuciłaś krańcowo, aż do ostatecznych granic.

Z tego też wzięło się to chodzenie w wytartych dżinsach, rezygnacja z malowania się czy jakiegokolwiek przyozdabiania, uparte odrzucanie tego wszystkiego, czego mężczyźni na ogół szukają u kobiet.

- Nigdy o tym nie pomyślałam - powiedziała powoli Kate, po dłuższej chwili milczenia.

- Po prostu zabraniałaś sobie myślenia o czymkolwiek, co mogło mieć coś wspólnego z twoim ojcem.

I dopiero teraz okazało się, że było zupełnie inaczej.

I ty jesteś też zupełnie inna.

Twój ojciec dał ci bowiem nie tylko firmę Desparda, ale dużo, dużo więcej.

A przede wszystkim dał ci znów siebie samą.

Dzięki temu znów masz swą własną osobowość, i to wystarczająco silną, żeby wiedzieć, że masz iść własną drogą, a nie tą podejrzaną ścieżką, na którą próbuje cię ściągnąć Nicholas Chevely.

I powiem ci, że masz absolutną rację, nie dając się namówić.

To może być prosta droga do nieszczęścia - przypomnij sobie choćby Marilyn Monroe. Zbyt wielu mężczyzn, zbyt wiele seksu na sprzedaż - w ostatecznym rachunku to właśnie ją zabiło.

Za każdym razem, kiedy się komuś sprzedajemy, tracimy jakiś kawałek siebie.

Myślę, że ona doszła do takiego momentu, kiedy już nic nie zostało, kiedy utraciła szacunek dla samej siebie.

Natomiast ty właśnie odzyskałaś to poczucie siebie samej, i to daje ci dość siły, żeby powiedzieć "nie".

- Charlotte uśmiechnęła się lekko.

- Oczywiście możesz uważać, że jestem ostatnią osobą, która ma prawo ci to mówić. Tak, to prawda, że miałam trzech mężów i Bóg wie ilu kochanków, ale - i to jest bardzo liczące się "ale" - to rzeczywiście byli kochankowie...
to znaczy: mężczyźni, którzy mnie kochali i których ja kochałam.
Nigdy nie poszłam do łóżka z producentem czy reżyserem, żeby dostać rolę.
Jakakolwiek była ta rola.

- Nigdy nie znałam twojego ojca - mówiła dalej Charlotte.
- Ale nie przypuszczam, by chciał, żebyś w czymkolwiek naśladowała swą przybraną siostrę.
Myślę zresztą, że ona też straciła wiele okazji - może nawet więcej, niż zyskała - właśnie przez to, że stosuje takie, a nie inne metody.
Są bowiem mężczyźni - nawet jeśli nie pozostało ich zbyt wielu - którzy o takich kobietach myślą z pogardą.
A Dominique dziś stała się wręcz synonimem złego prowadzenia się; najlepiej zresztą świadczy o tym jej przydomek.
Nie sądzę, żeby twój ojciec mógł być zadowolony, gdybyś ty miała osiągnąć ten rodzaj renomy, jeśli można użyć tylko takiego słowa.

- Charlotte znów uśmiechnęła się, dodając Kate otuchy.
- A co do tej kolekcji z Courtland Park...
powiedz sobie po prostu, że będą jeszcze inne kolekcje i inne aukcje.
I będzie ich dużo.
Kate potrząsnęła głową.
- Takich jak ta już raczej nie będzie, a już na pewno nie w tym roku.
Gdybym dostała tę aukcję, zrównałabym się w zyskach z Dominique, a poza tym taki sukces pociągnąłby za sobą następne sukcesy.
Nietrudno było zauważyć, że myśl o tym wciąż ją mocno dręczyła.
A jednak ta rozmowa bardzo jej pomogła.
Kate rozważyła wszystko, co powiedziała Charlotte, i doszła do wniosku, że usłyszała samą prawdę.
Przypomniała sobie słowa ojca, który powtarzał jej wielokrotnie: "Nigdy nie zawieraj kompromisów z własnym sumieniem.
Kiedy utraci się wewnętrzne poczucie prawości i uczciwości, traci się jeszcze dużo więcej.
Dlatego musisz dbać o opinię osoby, której można wierzyć, której honor i rzetelność nie budzą wątpliwości i która zawsze ma na względzie także interes swego klienta.
W końcu twoja praca polega po prostu na tym, żeby sprzedać przedmioty, które klient ci powierza, i to sprzedać za najwyższą cenę, jaką potrafisz osiągnąć".
I tak właśnie powinno być, pomyślała Kate.
Miała wrażenie, że wraca jej pewność co do słuszności własnego postępowania.
Tak powinnam zrobić i tak zrobię, postanowiła.
I powiem mu to jeszcze dziś wieczorem.
Nicholas Chevely miał własną lożę w operze.
- Moja firma jest sponsorem Covent Garden - wyjaśnił niedbale, wzruszając ramionami.

- To robi wrażenie na klientach.
- Spojrzał na Kate i uśmiechnął się.
- Ale oczywiście nie takie wrażenie jak pani, droga Kate.

Wygląda pani wręcz zachwycająco.

Kate w duchu pobłogosławiła Charlotte, za której radą kupiła jedną z najpiękniejszych sukien wieczorowych w magazynie mody Brucea Oldfielda, wspaniałą kreację z brązowej metalicznej tafty.

Co prawda jęknęła w duchu, kiedy zobaczyła cenę, ale postanowiła przecierpieć to dla dobrej sprawy.

La Stupenda - zwłaszcza w wykonaniu Joan Sutherland - była rzeczywiście wspaniała i Kate czuła się wprost oczarowana.

Kiedy światła na scenie wreszcie zgasły po wielu kolejnych wyjściach oklaskiwanych artystów, odwróciła oczy i spojrzała na siedzącego obok mężczyznę.

- To było naprawdę wspaniałe!
- powiedziała.
- Bardzo panu dziękuję, Nicholas.
- No cóż, pamiętałem, że pani lubi operę.
- Nicholas podniósł się i pomógł jej zarzucić na ramiona leciutki szal z norek, podbity tą samą taftą, z której wykonana była cała jej suknia.
- Ja nie odbieram muzyki aż tak intensywnie, na pewno nie tak jak pani.
- Muzyka rzeczywiście potrafi mnie ponieść - przyznała Kate i westchnęła, wciąż jeszcze rozmarzona.
- I tego pani zazdroścę.

To był już kolejny komplement tego wieczoru i niezła okazja, żeby wszystko powiedzieć. Kate spojrzała na Nicholasa i już miała otworzyć usta, jednakże powstrzymała się w ostatniej chwili.

Postanowiła, że powie mu wszystko po kolacji.

Korytarze i przejścia wciąż były zatłoczone, schodzenie przez dwie kondygnacje schodów trwało dłużej, niż można było sobie wyobrazić.

Kiedy wreszcie znaleźli się w foyer, Kate poprzez dobiegający zewsząd gwar nagle usłyszała bardzo charakterystyczny, akcentowany z cudzoziemska głos, który zawsze przypominał jej pomruk zadowolonego kota: - Kate, skarbie!

Nie poznałam cię w pierwszej chwili, moja droga.

Nicholas Chevely spostrzegł, że twarz jego towarzyszki nagle jakby utraciła cały swój blask.

Przepadł gdzieś jej dobry humor, którym dotąd promieniała.

Co mogło być powodem tak naglej zmiany nastroju Kate?

Nicholas odwrócił się razem z nią i zobaczył zbliżającą się do nich uderzająco piękną kobietę w obcisłej sukni z szafirowego jedwabiu, z narzuconą na ramiona etolą z niebieskich szynszyli.

Tuż za nią kroczył jakiś niski mężczyzna, zdecydowanie brzydki, choć była to brzydota w jakiś sposób atrakcyjna.

- Co słyhać, droga Kate?

Jaki to szczęśliwy przypadek, że spotkałyśmy się akurat tutaj.

Przecież ja już całe wieki nie byłam w Londynie.

Mam strasznie dużo pracy gdzie indziej.

Dominique już całkiem otwarcie przyglądała się Nicholasowi Chevely.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Miło mi pana poznać.

Jestem...

- Doskonale wiem, kim pani jest - odpowiedział Chevely, podnosząc jej dłoń do swych ust.

Uśmiech Dominique był równie olśniewający jak szafiry jej naszyjnika i kolczyków.

- Pan Nicholas Chevely.

- Kate dokonała prezentacji głosem pozbawionym jakiegokolwiek barwy.

- A to mój stary przyjaciel, Raoul de Chevigny.

Pracuje tu we francuskiej ambasadzie.

Niski ciemnowłosy mężczyzna skłonił się, a Kate zdążyła dostrzec w jego oczach błysk czegoś, czego nie potrafiła od razu określić.

Był w tym wyraz jakiejś sympatii i współczucia, a może też i jakiejś współwiny?

Uśmiech Kate był prawie niezauważalny, ograniczył się do lekkiego drgnienia kącików ust.

Jej twarz była teraz nieruchoma i sztywna, a ona sama miała wrażenie, że całe jej ciało tężeje, jakby ścięte nagłym mrozem.

Ogarnęło ją przemożne, niewytłumaczalne uczucie, że wszystko przepadło; całym jej ciałem wstrząsnął mimowolny dreszcz.

- Zimno pani?

- zatroszczył się Nicholas.

- Może spróbuję odszukać samochód.

Kate była tak przybita poczuciem zbliżającej się i nieuniknionej już porażki, że pozostawała jakby w stałym otępieniu.

Nie zdziwiło jej zupełnie, że po niedługiej chwili już całą czwórką wsiedli do ogromnego czarnego RollsRoycea.

Wiedziała od początku, że spotkanie w foyer nie było przypadkowe i wiedziała również, po co Dominique to wszystko zaaranżowała.

Chodziło po prostu o to, żeby Kate nie dostała do sprzedaży kolekcji Courtland Park.

Dominique zamierzała zrobić to, przed czym Kate się wzbraniała, zamierzała pozwolić Nicholasowi Chevely na wszystko, w łóżku i poza łóżkiem.

Stęząła niczym bryła lodu Kate poczuła, że narastający w niej gniew powoli wytrąca ją z dotychczasowego otępienia.

Tak, to musiał być on.

On!

To przede wszystkim jego wina!

Jak mógł tak postąpić, pomyślała.

Bo tylko on, tylko Blaise Chandler miał okazję, żeby powiedzieć Dominique, że Kate ma się właśnie spotkać z Nicholasem.

Z pewnością pierwszym samolotem poleciał prosto do Nowego Jorku i wszystko jej opowiedział.

Jak mógł?

Czuła się oszukana i zdradzona.

A więc to była ta jego polityka rzekomego nieangażowania się!

Miała rację, kiedy podejrzewała, że będzie jednak popierał własną żonę, niwecząc przy okazji wszelkie jej naiwne nadzieje na zrównanie się w wyścigu z siostrą.

A to, że Dominique przyjechała do Londynu akurat teraz, gdy jej własna "sprzedaż stulecia" miała się zacząć już za parę dni, świadczyło tylko o tym, jak ważny jest dla niej cel, który tu sobie postawiła.

Kate, która podczas całej jazdy miała twarz odwróconą w stronę okna, właśnie w tej chwili bardzo wyraźnie poczuła na sobie czyjeś spojrzenie.

Odwróciła się i napotkała jaśniejące złośliwą radością oczy Dominique.

Uprzedzałam cię, żebyś nie próbowała ze mną walczyć, zdawało się mówić to spojrzenie.

Ostrzegałam, że prawdziwa walka jeszcze się nie zaczęła.

Ty suko, odpowiedziało jej bezgłośnie spojrzenie Kate.

Ty zimna oszustko, ty pozbawiona serca kłamliwa dziwko!

Cały dalszy ciąg tego wieczoru był jednym nieprzerwanym koszmarem.

Jak łatwo było zgadnąć, całą czwórką udali się na kolację, podczas której Dominique kontynuowała erotyczne natarcie na Nicholasa Chevely z taką otwartością, że na dobrą sprawę zarówno Kate, jak i milczącego francuskiego dyplomaty po prostu mogłoby tam w ogóle nie być.

Kate siedziała nieruchoma i zgnębiona; w pewnym momencie znów dostrzegła ten sam, ledwo zauważalny błysk w oczach patrzącego na nią Francuza.

Tak, to był wyraz sympatii i oczywistego współczucia.

On po prostu też doskonale wiedział, co zamierzała osiągnąć Dominique.

W pewnej chwili zapytał Kate, czy zechciałaby zatańczyć.

Zgodziła się natychmiast; wszystko było lepsze od tego siedzenia przy stole, bez ruchu, bez słowa.

Uosobione nieszczęście, kobieta, której nawet się nie dostrzega, jak gdyby była w czapce-niewidce.

Raoul, jak się okazało, tańczył wręcz znakomicie.

Był o głowę niższy od Kate, mogła więc patrzeć ponad nim gdzieś w przestrzeń, pogrążona w smutnych rozmyślaniach.

- Nie wolno pani - usłyszała niespodziewanie jego ciche słowa.

- Nie wolno co?

- zapytała, starając się pośpiesznie pozbierać myśli i zapanować nad sobą.

- Nie powinna pani pozwolić jej wygrać.

A pani wycofała się niemal natychmiast.

Dlaczego?

Kate uśmiechnęła się niewyraźnie.

- A zauważył pan, jak on na nią patrzy?

- Czy on jest dla pani kimś bardzo ważnym?
- Nie w takim sensie, jak pan myśli.
- Kate czuła się zbyt udręczona, żeby wyjaśniać to bardziej dokładnie.

I tak miała wrażenie, że siła przyciągania ziemskiego zwielokrotniła się tego wieczoru. Jej ciało zdawało się ważyć co najmniej tonę, a najcięższe było serce. Raoul spojrział na nią i kiwnął głową.

- Już rozumiem.

Idzie o tę...

rywalizację w zawodzie?

- Tak.
- Coś o tym słyszałem.
- Dyplomata uśmiechnął się lekko.
- Z Dominique nie da się tego uniknąć.

Tańczyli przez chwilę w milczeniu, po czym Raoul zapytał wprost: - Czemu pani nie podejmie walki?

- Bo nie mam ani jej...

oręża, ani nawyków tak swobodnego posługiwania się nim.

- Rozumiem.

- Dyplomata znów skinął głową.

- A może jej przewaga polega przede wszystkim na pewności, że pani nie podejmie walki przy jej tak oczywistej przewadze?

- Nie uważam, że jestem słaba - odpowiedziała Kate.

- Ale moja siła skierowana jest na co innego.

- A pani siostra z tego korzysta, jak zawsze.

- Wygląda na to, że pan ją dobrze zna.

- Znam ją może lepiej niż ktokolwiek inny, i to od wielu lat.

Tym razem Kate uśmiechnęła się z lekką ironią.

- A więc i ona ma przyjaciół, jak z tego wynika.

Uśmiech Raoula miał w sobie tę samą pobłażliwą ironię.

- Ma, strategicznie porostawianych w różnych punktach.

- Spojrzał na nią i najwyraźniej musiał zauważyć pewien niesmak w jej spojrzeniu, ponieważ dodał z bardzo francuską trzeźwością: - Mamy takich przyjaciół, na jakich możemy sobie pozwolić.

A więc i ciebie musiała kiedyś uwieść, pomyślała melancholijnie Kate.

I co tak naprawdę pozwala jej mieć aż taką władzę nad mężczyznami?

Nawet nad kimś takim jak Blaise Chandler, pomyślała, i natychmiast znów poczuła ból w okolicach serca.

Czuła się śmiertelnie zraniona.

Jak to możliwe, że po tym wszystkim, co było w Kolorado, kiedy wydawało się, że stosunki między nimi stały się prawdziwie przyjazne, on wciąż był zdolny do zrobienia czegoś takiego?

A więc Rollo miał jednak rację, kiedy mówił: nie wolno wierzyć nikomu, nigdzie i nigdy.

- Czy moglibyśmy już wrócić do stołu?

- zapytała nagle.

Ale kiedy już tam wrócili, przy stole nie było nikogo.

Kate spojrzała w stronę parkietu i po chwili dostrzegła Nicholasa, który bez przerwy patrzył na uniesioną ku niemu drobną, prześliczną twarzyczkę okoloną hełmem czarnych włosów.

Wyraz tych wpatrzonych w Dominique oczu Nicholasa był taki, że Kate odwróciła się gwałtownie.

O Boże drogi, jęknęła w duchu.

Przegrałam.

Beznadziejnie przegrałam.

Wyraźnie czuła, że za chwilę może się rozplakać.

Z najwyższym trudem udało się jej wydobyć ze ściśniętego gardła parę słów.

- Chyba już sobie pójdę.

Jutro mam bardzo dużo pracy.

- Niech mi pani pozwoli się odprowadzić, bardzo proszę.

- Nie - powiedziała Kate.

Czuła, że teraz musi być sama.

- Proszę, niech pan tu zostanie.

- A co powiem temu pani...

przyjacielowi?

- Że...

że, na przykład, rozboleła mnie głowa.

- Tak naprawdę bolało ją przede wszystkim serce, ale to byłoby już zbyt trudne do wytłumaczenia.

- Chyba popełnia pani błąd - powiedział cicho Raul.

- Nie.

Tylko utwierdzam się w przekonaniu, że jakiś czas temu go popełniłam.

Raoul de Chevigny podniósł się razem z nią, ujął podaną mu rękę i uniósł ją do ust.

- Bonne chance!

- powiedział bardzo życzliwie i szczerze.

Kate zmusiła się do uśmiechu, po czym odwróciła się i szybko wyszła.

Dopiero w taksówce mogła przestać trzymać się w ryzach.

Odchyliła głowę na miękkie oparcie i zapadła się bez reszty w rozpamiętywanie poniesionej klęski.

Och, Charlotte, Charlotte, pomyślała.

Nie miałaś racji.

Może mam już w sobie jakąś tam pewność, ale nie wtedy, kiedy ta kobieta staje naprzeciwko mnie.

I właśnie Charlotte zadzwoniła do Kate następnego ranka, żeby się dowiedzieć, jak jej poszło.

- Nie powinnaś była ustępować jej pola, Kate.

Trzeba było z nią walczyć - oświadczyła po wysłuchaniu wszystkiego.

- Jak miałam z nią walczyć?

Ona ma jakiś, chyba wręcz hipnotyczny wpływ na mężczyzn.
Dość, by spojrzeć na któregokolwiek, a każdy z nich natychmiast za nią idzie.
Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wiem, co ona zamierza, i miała dzięki temu jeszcze dodatkową satysfakcję!

Pokazała mi swoją siłę!

- Czy Nicholas odezwał się do ciebie?

- Nie.

Zresztą nie spodziewam się, że zadzwoni, bo niby po co?

Chyba tylko po to, by mi powiedzieć, że aukcję Courtland Park powierzono komu innemu.

- Więc jesteś pewna, że Nicholas ci ją odbierze?

- Przecież Dominique właśnie po to przyjechała, czy to nie oczywiste?

Ona na pewno nie będzie się wahać, czy iść z nim do łóżka, i zresztą gdziekolwiek on zechce.

Ona potrafi to zrobić bez mrugnięcia okiem.

A ja po prostu tak nie umiem.

Nie potrafię, i tyle.

- No a twoje wszystkie oryginalne propozycje, dotyczące aranżacji tej aukcji?

Zdawało mi się, że naprawdę w nie wierzysz.

- W moje pomysły wierzę.

Za to w Nicholasa nie wierzę w ogóle.

Usłyszała w słuchawce westchnienie Charlotte.

- I nie bez racji, prawdę mówiąc.

Z pewnością nie jest to opoka, na której można by budować.

W mieście też ma opinię dosyć śliskiego faceta.

- I pewnie dlatego nie udało mi się go porządnie uchwycić.

- W wymuszonym śmiechu Kate wciąż można było usłyszeć z trudem tłumiony szloch.

- Ale powiem ci, że przede wszystkim to jest facet, który zawsze myśli bardzo trzeźwo - mówiła dalej Charlotte, tonem o wiele pogodniejszym, niż można się było spodziewać.

- A w jego interesie leży głównie to, żeby osiągnąć ze sprzedaży Courtland Park jak najwięcej, ile się tylko da.

Choćby dlatego, że - zgodnie z testamentem - on sam też partycypuje w spadku.

- Co takiego?

- Czy mam rozumieć, że ty o tym nie wiedziałaś?

- Nawet słowem mi o tym nie wspomniał.

- To cały on!

Chciał dostać wszystko.

To znaczy dostać ciebie, a dodatkowo jeszcze pięć procent od sumy, za którą zostanie sprzedana całość Courtland Park.

Im drożej zostanie sprzedana, tym lepiej dla niego.

Reszta pójdzie na stworzenie jakiejś fundacji, która ma dawać stypendia młodym Amerykanom, chcącym studiować w Europie.

Coś w rodzaju fundacji Fulbrighta.

Nicholasowi Chevelyemu będzie oczywiście zależało na tym, żeby przede wszystkim on sam dostał jak najwięcej.

Jacyś nie znani mu Amerykanie naprawdę niewiele go obchodzą, - Jeżeli tak jest...

To, co mówisz, stawia całą sprawę w zupełnie innym świetle - powiedziała po chwili Kate.

Nagle poczuła, że znów budzi się w niej iskierka nadziei, która jeszcze wczoraj wydawała się ostatecznie pogrzebana.

- No właśnie, i dlatego ci nic nie powiedział.

Na ile znam Nicholasa - a możesz mi wierzyć, że go znam - w żadnym wypadku nie pozwoli, żeby Dominique w jakikolwiek sposób wpływała na podjętą przez niego decyzję.

Ma dość ugruntowaną opinię kobieciarza, ale powiem ci, że to zawsze była tylko zasłona dymna, bo jedyną prawdziwą miłością jego życia są - i zawsze były - pieniądze.

Przywykł do życia na szerokiej stopie, a to niemało kosztuje.

Tak że -jak to mawiają w niektórych bankach - należy poczekać na oficjalne oświadczenie, dotyczące strony finansowej tego wszystkiego.

W każdym razie ja na twoim miejscu jeszcze bym się nie poddawała.

Jeżeli w ostatecznym rachunku twoje propozycje dotyczące aranżacji całej tej sprzedaży mogą rzeczywiście przynieść największy dochód, to on to sobie przekalkuluje i dopilnuje, żeby zarząd powierniczy zlecił tę sprzedaż tobie.

Niezależnie od tego, co zaoferuje mu twoja siostra.

- Nawet jeśli uważa mnie teraz za żalosego tchórza, zwłaszcza jeżeli idzie o moje odruchy emocjonalne?

- On na pewno nie pozwoli sobie na podejmowanie decyzji pod wpływem jakiegokolwiek emocji.

Tak au fond - jak wszyscy kobieciarze - jest to kawał zimnego sukinsyna.

Kate nagle nabrała ducha.

Od rozpaczy znów przeszła do nadziei.

- Och, Charlotte, żebyś ty tylko miała rację!

- wykrzyknęła.

- A ponieważ zazwyczaj okazuje się, że ją masz, zaczynam się czuć znacznie lepiej.

- Ty po prostu jesteś stworzeniem niezwykle emocjonalnym, moja droga Kate.

Nie potrafisz przestać myśleć nawet wtedy, kiedy to akurat byłoby po prostu najrozsądniejsze, kiedy jesteś uczuciowo rozhuśtana i niezdolna do obiektywnego widzenia sytuacji.

No i nie masz tego doświadczenia, które ma twoja siostra.

Chociaż - w głosie Charlotte pojawiły się nieco kpiące nutki - kto wie, czy ten twój brak doświadczenia nie okazał się właśnie tym czynnikiem, który w rezultacie najbardziej przyciągnął tak zahartowanego w męsko-damskich bojach Nicholasa Chevelyego.

Jakieś osiemdziesiąt lat temu ktoś taki jak on byłby wręcz modelowym przykładem mężczyzny, przed którym wszystkie mamy przestrzegają swe dorastające córki, próbując przy okazji umówić się z nim osobiście.

No, ale tak czy inaczej - głos Charlotte wciąż był pełen optymizmu - na twoim miejscu nie uważałabym, że twoja wczorajsza ucieczka musi koniecznie oznaczać pełne Waterloo.

Nicholas Chevely kieruje się wyłącznie kalkulacją spodziewanych zysków, a nie sympatiami czy antypatiami osobistymi.

Gotowa jestem się założyć, że tak samo zrobi i tym razem.

I już wkrótce okazało się, że Charlotte wygrałaby, gdyby taki zakład doszedł do skutku. Nicholas Chevely rzeczywiście nie miał zamiaru zmieniać swej decyzji, którą podjął po zapoznaniu się z propozycjami Kate Despard i jej koncepcją organizacji aukcji zbiorów Courtland Park.

Jej pomysły były odważne, może nawet zuchwałe, ale i fascynujące.

To, co zamierzała tam urządzić, przypominało bardziej fantazję artystyczną niż zwyczajną aukcję.

Przedstawiciele dwóch pozostałych domów aukcyjnych byli fachowi, rzetelnie oszacowali wartość kolekcji i ustalili ceny minimalne, których osiągnięcia byli całkowicie pewni.

Jednakże Nicholas Chevely doskonale zdawał sobie sprawę, że dobry prowadzący decyduje o ostatecznym sukcesie aukcji, a tu właśnie firma Desparda najwyraźniej górowała nad konkurentami.

Nicholas nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Jednakże nie powiedział tego Kate, przede wszystkim dlatego, że ona go naprawdę zaintrygowała.

Podczas swych nie kończących się polowań na kobiety od lat już nie napotkał dziewczyny, która byłaby równie świeża, równie nie zepsuta, a przy tym tak niezwykle pociągająca.

Nicholas był nierzadko rozbawiony, ale i zachwycony jej ujawniającą się raz po raz nieśmiałością, wdziękiem, ba, nawet tym, że potrafiła się rumienić.

Bez trudu potrafił wyczuć jej niepewność i wewnętrzne rozdarcie.

Tej dziewczynie bardzo zależało na uzyskaniu zlecenia dla Desparda; było oczywiste, że potrzebowała go wręcz rozpaczliwie.

Postanowił więc sprawdzić, dokąd też może to ją doprowadzić.

Czy nawet do jego łóżka, jeśli postawi to jako warunek?

Kiedy po tańcu z Dominique wrócili oboje do stołu, Nicholas domyślił się od razu, dlaczego Kate uciekła.

W końcu, powiedział sobie, naprawdę mało która kobieta mogłaby stawiać czoło Dominique du Vivier, kiedy ta w pełnym rynsztunku wkraczała na pole walki.

Dla przyzwoitości wyraził zaniepokojenie nagłym bólem głowy Kate, natomiast triumfująca Dominique nawet nie próbowała ukrywać zadowolenia z takiego rozwoju wypadków.

Sytuacja była jasna, a Nicholas Chevely nie należał do mężczyzn, którzy odrzuciliby tego rodzaju okazję.

A okazja okazała się rzeczywiście nie byle jaka.

Już następnego ranka, biorąc prysznic we wspaniale wyposażonej łazience w domu Dominique, Nicholas Chevely mógł zaświadczyć, że opowiadane o niej legendy były absolutnie prawdziwe.

W każdym razie nawet podczas namydlenia się bolało go prawie wszystko, a całego obszaru podbrzusza mógł dotykać tylko z największą delikatnością.

Dotąd sądził, że to raczej on odznaczał się ponadprzeciętnym apetytem seksualnym, zdarzało mu się przecież miewać po kilka partnerek w ciągu jednego dnia; jednakże to, co potrafiła w tym względzie robić Dominique, było po prostu niewyobrażalne.

Kiedy on już był naprawdę wykończony, ona wciąż mogła i chciała więcej, i to dużo więcej.

Już od bardzo dawna nie zdarzyło mu się spędzić erotycznej nocy równie szalonej i równie rozpasanej.

To naprawdę było coś wyjątkowego.

No więc teraz - pomyślał z uśmiechem - przedstawi mi rachunek do zapłacenia.

Rachunek rzeczywiście został przedstawiony, ale Dominique potrafiła to zrobić w swoim stylu, z doprawdy niezwykłą zręcznością.

Ani razu nie powiedziała wprost, że Nicholas miałby czegoś nie robić; właściwie była to jedynie jej sugestia, że -jeżeli zamierza postępować w miarę rozsądnie - przy sprzedaży Courtland Park powinien po prostu odwołać się do wiedzy i zdolności osób naprawdę doświadczonych w swojej dziedzinie.

Potem bardzo subtelnie zdyskredytowała umiejętności swojej siostry, wskazując na jej status nowicjuszek, brak doświadczenia i nie potwierdzoną wiedzę - co, wzięte razem, znacznie zwiększało ewentualne ryzyko.

A przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie stawia na najniżej notowanego fuksa, kiedy wszyscy wiedzą, że faworyt jest nie do pobicia.

Nicholas wysłuchał tego wszystkiego bardzo poważnie, reagował ze zrozumieniem, od czasu do czasu marszcząc brwi lub potakująco kiwając głową.

- Jestem ogromnie wdzięczny za te wszystkie, z pewnością ogromnie fachowe, rady - powiedział w końcu.

- Zdaję sobie sprawę, że pani posiada doświadczenie i praktyczne umiejętności, których brakuje pani siostrze.

Jednakże - jak pani może wie - mam częściowo związane ręce, jeżeli idzie o wybranie konkretnego domu aukcyjnego.

Chodzi o to, że zmarły pan Courtland był wręcz obsesyjny w swym antyamerykanizmie, a jego zalecenia były jednoznaczne.

- W głosie Nicholasa Chevelyego było akurat tyle ubolewania, ile wypadało okazać.

Ten sam ton ubolewania pojawił się w głosie Dominique.

- Wiem o tym, niestety.

A mogłabym tak wiele zrobić dla pana.

- I tak zrobiła pani więcej niż dużo.

Dominique uśmiechnęła się promiennie.

Która firma ostatecznie dostanie zlecenie, było dla niej mniej ważne.

Ważne było tylko, żeby to nie była Kate.

- Przyznam się pani poza tym - Nicholas Chevely celowo mówił dość nieśmiało, jakby nie mając pewności, jak ma postąpić - że ja sam również zapytałem parę osób o zdanie w tej sprawie; opinia pani nie jest bynajmniej odosobniona.

Wyglądałoby to zupełnie inaczej, gdyby Charles Despard jeszcze żył.

Dominique westchnęła dyskretnie.

- Tak, wtedy to rzeczywiście wyglądałoby zupełnie inaczej.

- W jej głosie pojawiła się troska, bardzo precyzyjnie dozowana.

- Myślę, że pan mnie rozumie: niepokoję się przede wszystkim o reputację całej firmy Despards.

Jeśli ta aukcja będzie źle poprowadzona, może to mieć fatalne skutki dla naszych oddziałów na całym świecie.

Nicholas Chevely zgodził się z nią natychmiast.

- Oczywiście, ma pani absolutną rację.

Dominique odpowiedziała mu uśmiechem.

- Wiedziałam, że pan może mnie zrozumieć.

- Och tak, z pewnością panią rozumiem - zapewnił ją i również się uśmiechnął.

Rzeczywiście wyjątkowo dobrze rozumiał całą sytuację.

Kate Despard musiała walczyć na śmierć i życie, a ta ślicznotka tak strasznie się o nią martwiła.

No więc będziesz miała powód, żeby się rzeczywiście pomartwić, pomyślał.

Uśmiechnął się bardzo dyskretnie, żeby Dominique nie zauważyła, że tak naprawdę chce mu się śmiać na cały głos - z niej.

O, to będzie mocny cios w twoje rozbuchane ego, droga pani!

- Najbardziej żałuję, że nie mogę choćby na parę dni zostać jeszcze w Londynie - mówiła tymczasem Dominique.

- Niestety muszę jeszcze dzisiaj wracać do Hongkongu.

- A tak, na tę pani "sprzedaż stulecia".

Jak pani widzi, nawet ja o tym słyszałem.

- Chyba rzeczywiście wywołało to niemałe zainteresowanie - odpowiedziała skromnie Dominique, bardzo z siebie zadowolona.

- Chciałbym móc to zobaczyć - powiedział Nicholas, tym razem już bez udawania.

- Jestem przekonany, że będzie to coś zupełnie wyjątkowego.

- Chyba rzeczywiście jeszcze nie było czegoś takiego - zgodziła się Dominique.

Powiedziała to tonem bardzo poufnego zwierzenia.

I kogoś takiego, jak Dominique du Vivier, też chyba dotąd nie było, powiedział sobie w duchu Nicholas.

Nie powinienem już się z nią spotykać.

Jest zbyt niebezpieczna; a kiedy się dowie, jaki numer jej wykręciłem, z pewnością umieści mnie na pierwszym miejscu swojej czarnej listy.

Podniósł się z wyrazem szczerzego ubolewania.

Jej dyskretnie wzruszenie ramion było z pewnością równie szczerze.

Nicholas nagle zdał sobie sprawę, że chyba im obojgu jednakowo chce się śmiać; oboje bowiem byli przekonani, że właśnie odegrali najlepsze przedstawienie w życiu.

Żadne z nas nawet w najmniejszym stopniu nie dba o tę drugą stronę, dbamy tylko i wyłącznie o siebie, pomyślał.

Wszelki dalszy kontakt z tą panią byłby bardzo ryzykowny, trzeba więc będzie jej unikać. Chociaż szkoda, doprawdy szkoda.

Po powrocie do domu posłał Kate bukiet pięknych kwiatów, dołączając liścik z wyrazami ubolewania; pozwolił też sobie wyrazić nadzieję, że gdy Kate poczuje się lepiej, zechce się z nim spotkać.

Sam jednak nie odezwał się do niej, dopóki w wieczornych brukowcach nie zobaczył zdjęć Dominique na lotnisku Heathrow, skąd odlatywała do Hongkongu -jak zawsze uśmiechnięta i promieniejąca, pokryta błyszczącym lakierem sukcesu.

Dopiero wtedy Nicholas zadzwonił do swego przyjaciela w ministerstwie i dowiedział się, że w stanowisku departamentu nie nastąpiły żadne zmiany: rząd nadal nie zamierzał korzystać z prawa pierwokupu Courtland Park.

Uzasadnieniem był niesprzyjający klimat ekonomiczny, brak bieżących środków, i tak dalej, i tak dalej...

Kate prowadziła właśnie swą kolejną "ćwiczebną" aukcję, gdy powiadomiono ją, że pan Nicholas Chevely pragnie się z nią widzieć.

- Proszę mu powiedzieć, żeby zechciał poczekać...

- Kate bez chwili wahania postanowiła, że nie przerwie prowadzonej aukcji.

Doprowadziła ją do końca, zyskując za to uśmiech uznania Davida Holmesa.

- Jest coraz lepiej, Kate - powiedział, wyraźnie zadowolony.

- Robisz naprawdę ogromne postępy.

Mówiłem ci, że wszystko zależy od twojej ciężkiej pracy, no i okazało się, że naprawdę się przyłożyłaś.

- Więc jestem już gotowa do najtrudniejszych zadań?

- spytała.

- Sądzę, że tak.

Pora na twoją pierwszą naprawdę dużą sprzedaż.

Mamy w planie na przyszły tydzień bardzo ważną aukcję elżbietańskich miniatur.

Uważam, że możesz już ją poprowadzić.

Kate mimowolnie zrobiła głęboki wdech.

- Jest pan tego pewien?

- Jestem.

Sama zresztą wiesz, co już potrafisz robić.

- Potrafię robić tylko to, czego pan mnie nauczył przez te ostatnie miesiące.

- W tym czasie nauczyłaś się naprawdę bardzo dużo.

- David Holmes powiedział to bardzo serio.

- A twój ojciec naprawdę byłby z ciebie dumny.

- To jest dla mnie najważniejsze - powiedziała Kate.

- Jestem panu bardzo wdzięczna, Dave.

Gdy wróciła do swego gabinetu, Nicholas Chevely skracał sobie czas oczekiwania, wyglądając przez okno.

Po jej wejściu odwrócił się i przywitał ją uśmiechem.

- Mam nadzieję, że czuje się pani już lepiej?
- O wiele lepiej - odpowiedziała zgodnie z prawdą Kate.
- Cieszy mnie to.

Tym bardziej że mam dla pani wiadomość, która pewnie panią uszczęśliwi już ostatecznie: rząd nie skorzysta z prawa pierwokupu Courtland Park.

W tym momencie Kate zdała sobie sprawę, że wygrała.

Miała wrażenie, że uderzenia pulsującej w jej skroniach krwi brzmią niczym jakieś triumfalne dzwony, a serce z nadmiaru radości za chwilę wyskoczy jej z piersi.

Nicholas Chevely uśmiechnął się, czytając to wszystko w jej tak bardzo wyrazistej twarzy.

- Tak - powiedział.

- Zostałem upoważniony przez zarząd powierniczy majątku zmarłego Johna Randolpha Courtlanda do poproszenia pani o przyjęcie do sprzedaży zbiorów Courtland Park i zorganizowanie publicznej aukcji zgromadzonych tam przedmiotów w dogodnym dla waszej firmy terminie, nie później jednak niż do końca grudnia tego roku.

Uszczęśliwiona Kate podbiegła i spontanicznie uściskała Nicholasa, który - ku swemu zaskoczeniu - poczuł, że coś z jej zaraźliwej radości udzieliło się także i jemu.

To naprawdę niezwykle stworzenie, pomyślał.

Wszystko jest w niej przemieszane.

Przyłapał się na tym, że myśli o niej z czułością, co zdumiało go tym bardziej, że tego rodzaju odczucia w stosunku do kobiet zdarzało mu się miewać co najwyżej w łóżku, a i to niezmiernie rzadko.

A ta Kate...

tak zdecydowana i pewna siebie, kiedy szło o sprawy zawodowe, a tak nieśmiała i zupełnie pozbawiona pewności, kiedy szło o nią samą.

Teraz opanowała się już po pierwszym spontanicznym odruchu, zarumieniła się - jak to ona - i, wciąż jeszcze onieśmielona, wygłosiła odpowiednią w tej sytuacji formułkę: - Bardzo panu dziękuję i zapewniam, że firma Desparda zrobi wszystko, żeby pan był zadowolony.

- Wiem o tym - odpowiedział Nicholas.

Kate zawahała się przez chwilę, niczym jeździec, który decyduje się na przeskoczenie trudnej przeszkody.

- A co ostatecznie pana przekonało?

Nicholas zdawał sobie sprawę, że ta dziewczyna nawet jeszcze i teraz potrzebuje od niego potwierdzenia, upewnienia co do jej prawdziwej wartości.

- Przekonały mnie przede wszystkim pani propozycje i zupełnie nowa koncepcja prezentacji sprzedawanych zbiorów.

Moim zdaniem pani pomysły są po prostu znakomite i staną się początkiem zupełnie nowego podejścia, jeżeli idzie o organizację aukcji.

Jestem też absolutnie przekonany, że bez trudu uzyska się te wcale wysokie ceny minimalne, które pani zaproponowała.

Prawdę mówiąc, widziałem kiedyś, jak pani ustala taką cenę minimalną, i już wtedy zrobiło to na mnie wielkie wrażenie.

- Kiedy to było?

- Jeszcze przed naszą pierwszą rozmową.

Przyszedłem do pani firmy trochę wcześniej, żeby rzucić na to okiem i wczuć się trochę w atmosferę.

A pani właśnie wtedy rozmawiała z jakąś starszą panią, która przyniosła dzbanek do kawy.

- Pamiętam, to była chyba pani Swan.

- Wszystko jedno.

W każdym razie to pani zrobiła wtedy na mnie niezwykle korzystne wrażenie - mam na myśli pani podejście i pani umiejętności.

Rozpoznała pani ten dzbanek bez chwili wahania i zaproponowała cenę, którą - jak to potem sprawdziłem - rzeczywiście uzyskano przy sprzedaży.

Pomyślałem sobie wtedy, że choć to oczywiście była raczej drobna transakcja, to jednak na jej podstawie można było już wyciągać wnioski ogólniejsze, dotyczące także ewentualnych znacznie większych sprzedaży.

Nie mówiąc już o tym, że nie próbowała pani oszukać tej starej kobiety.

Było przecież zupełnie oczywiste, że gdyby pani zaproponowała jej tylko pięćset funtów, ta lękająca się wszystkiego staruszka uwierzyłaby bez jakichkolwiek pytań i jeszcze byłaby pani głęboko wdzięczna.

Widać było, że ufa pani bez zastrzeżeń.

Nie mogę powiedzieć, że wiem bardzo dużo o przyjmowaniu rzeczy na aukcje przez różne firmy, ale słyszałem, że wcale nierzadko płaci się przynoszącym bardzo niewielkie sumy za przedmioty, które później osiągają ceny wielokrotnie większe; podobno są firmy, w których z założenia tak właśnie się postępuje.

- Firma Despards z całą pewnością nigdy nie zyskała sobie takiej opinii!

- oświadczyła stanowczo Kate, z pewną przyganą w głosie.

- To samo zresztą dotyczy pozostałych największych domów aukcyjnych.

Choć, niestety, nie mogłabym już powiedzieć tego samego o niektórych pozbawionych skrupułów osobnikach...

- Którzy wszędzie mogą się znaleźć.

Ja w każdym razie postanowiłem najpierw przyjrzeć się firmie Despards, pogrzebać w niej i sprawdzić osobiście wszystko, co można.

I to, co zobaczyłem, tam i gdzie indziej, utwierdziło mnie w przekonaniu, że to wasza firma będzie najlepsza do poprowadzenia czegoś takiego jak aukcja Courtland Park.

Powiedział to wszystko bez mrugnięcia okiem, chociaż oboje wiedzieli, co jeszcze się za tym kryje.

Nicholas po prostu dawał jej niedwuznacznie do zrozumienia, że Dominique rzeczywiście usiłowała go - na swój sposób - przekupić, a on z tego z przyjemnością skorzystał, ale nie pozwolił, żeby to w jakikolwiek sposób wpłynęło na jego decyzję.

Czasem się wygrywa, czasem się przegrywa - tyle można było wyczytać z jego przystojnej twarzy.

Kate starała się nie pokazać, że to, co usłyszała, zaskoczyło ją i niemal nią wstrząsnęło.

A więc Dominique przegrała!

Mogła przegrać!

Kate dopiero teraz przypomniała sobie, co mówiła Charlotte, która bardzo przewidująco przepowiedziała taki właśnie przebieg wydarzeń.

Powiedziała przy tym, że - zdaniem mężczyzn takich jak Nicholas Chevely - seks jest z pewnością czymś bardzo przyjemnym, ale nawet za to trzeba płacić.

Tak, Charlotte miała rację, pomyślała Kate.

- Myślę, że to jest okazja, którą warto uczcić szampanem - powiedziała i uśmiechnęła się.

- Bo tak się składa, że akurat mam tu coś takiego, i to wcale niezłej marki.

Nicholas Chevely otworzył szerzej oczy, kiedy okazało się, że Kate ma na myśli butelkę Dom Perignon 59, którą podała mu do otworzenia.

- Rzeczywiście - powiedział, z uznaniem kiwając głową.

Kate rozlała bladostłomkowe wino do dwóch bardzo wysokich, smukłych kieliszków, jeden z nich podała Nicholasowi i trąciła się z nim, wznosząc w myśli toast za pomyślność Rolla, który w tym momencie zapewne musiał już lecieć gdzieś tam daleko nad Pacyfikiem.

Pomyślała, że gdy tylko do niej zatelefonuje - jako że wyjeżdżając nie podał jej numeru, pod który ona sama mogłaby zadzwonić - od razu usłyszy niezmiernie przyjemną nowinę.

Rozdział 14 .

Wiadomość o tym, że dom aukcyjny Desparda został wybrany do poprowadzenia aukcji Courtland Park, znalazła się na pierwszych stronach niemal wszystkich dzienników i tygodników, nie mówiąc już o specjalistycznych stronach poświęconych licytacjom i sprzedażom dzieł starej sztuki.

Poinformowała o tym również telewizja w swych dziennikach, i to na obu najważniejszych kanałach.

Kate znów była oblegana przez dziennikarzy, specjalistów od wywiadów prasowych i telewizyjnych, obfotografowywana na wszystkie strony i w ogóle fetowana niczym gwiazda.

Cały personel Desparda London świętował zwycięstwo, telegramy napływały szeroką rzeką, a telefon Kate właściwie nie milkł.

Gratulowali jej klienci dawni i nowi, a ubocznym, bardzo korzystnym skutkiem tego wszystkiego były liczne dodatkowe oferty sprzedaży, wśród nich tak znaczące, jak propozycja zajęcia się sprzedażą słynnej kolekcji klejnotów Cornellii Fentriss Gardner.

Cornelia była jedyną córką Dukea Fentrissa, amerykańskiego multimilionera; jeszcze przed pierwszą wojną światową wyszła za mąż za angielskiego arystokratę i przenieśli się do Londynu.

Klejnoty były największą namiętnością jej życia, toteż ojej kolekcji powiadano, że można by ją porównywać nawet z kolekcją królowej.

Ponieważ nie miała córki, a jej jedyny syn zginął na początku wojny, Cornelia w swym testamencie wyraziła życzenie, żeby cała jej kolekcja została sprzedana.

Kiedy Kate powiadomiono, że zarząd powierniczy majątku Cornellii Fentriss Gardner chce jej zlecić sprzedaż klejnotów zmarłej multimilionerki, natychmiast poprosiła do siebie na konsultację Hughesa Strakera, który w firmie kierował działem drogich kamieni, a następnie zabrała go ze sobą na rozmowę ze zleceniodawcami.

Ponieważ sama Kate wiedziała o kamieniach raczej niewiele, bardzo rozsądnie pozwoliła mówić przede wszystkim Hughesowi.

Sama natomiast głównie dodawała splendoru prowadzonym pertraktacjom, jako osoba, której prestiż niezmiernie wzrósł od czasu pozyskania Courtland Park.

Hughes umiejętnie starał się to wykorzystywać, a sama Kate podsunęła mu kilka własnych pomysłów - zaproponowała na przykład, żeby klejnoty podczas aukcji prezentowały modelki, które można by też ubrać w najnowsze kreacje haute couture, co stworzyłoby najlepsze tło dla pięknych kamieni.

Te propozycje bardzo się spodobały i jeszcze tego samego dnia została podpisana umowa na zorganizowanie sprzedaży całości kolekcji w terminie czterech miesięcy.

- Boże drogi!

- zawołał Hughes, kiedy już znaleźli się w taksówce, którą wracali do firmy.

- Wie pani, jaka teraz robi się wrzawa?

Miewaliśmy po kilka ładnych kamieni do sprzedania od czasu do czasu, ale taka ilość to jest coś zupełnie niebywałego.

A ten pani pomysł z wykorzystaniem modelek był naprawdę bombowy!

Widziała pani miny tych z zarządu powierniczego?

To ich początkowo kompletnie zaskoczyło.

A przecież to naprawdę aż się prosi o coś takiego; dlaczego nikt o tym wcześniej nie pomyślał?

- Bo mnie akurat nie było w pobliżu - odpowiedziała Kate z szelmowskim błyskiem w oku.

- No więc dziękujemy Panu Bogu, że teraz pani jest.

Widziała pani te perły?

Nie spotkałem niczego podobnego chyba od czasów sprzedaży klejnotów wielkiej księżnej Natalii, a już trochę lat minęło.

- A co, gdyby się okazało, że sami będziemy musieli to kupić?

Jak na tym wyjdziemy?

- powiedziała Kate i filuternie zmrużyła oko.

- Takie wspaniałości?

Mowy nie ma!

Klejnoty praktycznie nigdy nie tracą wartości, a w dodatku poza samymi kamieniami mamy jeszcze oprawy, które są absolutnie bajeczne.

Sądzę więc, że jeśli się połączy spodziewane zyski z Courtland Park z tym, co możemy uzyskać tutaj - pani notowania pójdą gwałtownie w górę.

Ja w każdym razie zdecydowanie stawiałbym na panią.

- Wciąż nie możemy zapominać, że już jutro zaczyna się w Hongkongu ta "sprzedaż stulecia".

Z tego, co przez telefon mówi mi James Grieve, obroty i zyski mają tam być naprawdę rekordowe.

Tak że my tu z pewnością będziemy musieli sprzedać jak najwięcej.

- I sprzedamy - powiedział Hughes z ogromną pewnością siebie.

- Nic tak nie przyciąga sukcesów, jak kolejny osiągnięty sukces!

Dominique myślała dokładnie tak samo.

Wszystko szło idealnie zgodnie z planem.

Można było mieć wrażenie, że sam los postanowił stać się jej wiernym sługą.

Tak zresztą powinno być, jeżeli w ogóle ma być jakaś sprawiedliwość, pomyślała Dominique, zwłaszcza kiedy już dowiedziała się, że Nicholas Chevely bezwstydnie ją oszukał.

Dostała wtedy ataku histerycznej wściekłości, rozbijała naczynia, które wpadły jej pod rękę i wrzeszczała tak, że cała służba pośpiesznie uciekła z domu.

Przysięgła sobie, że Nicholas Chevely jeszcze jej za to zapłaci.

Podobnie, jak to chytre niewiniątko, Kate Despard.

Otwarcie aukcji w Hongkongu - tak jak Dominique przewidywała - stało się prawdziwym wydarzeniem.

Już sama sceneria była zachwycająca: pałacowe wnętrza, ciężki zapach tłących się kadzideł, jej własny, olśniewający strój prowadzącej - nie mówiąc już o wspaniałości sprzedawanych przedmiotów - wszystko to przyczyniło się do wytworzenia atmosfery prawdziwej licytacyjnej gorączki.

Pod koniec pierwszego dnia okazało się, że osiągnięte zyski były o piętnaście procent wyższe od przewidywanych.

Następny dzień był jeszcze lepszy, zwłaszcza że Dominique - wzorem wielu sławnych generałów - zachowała swe największe atuty na sam koniec.

Stała teraz za swym wspaniałym rzeźbionym pulpitem i przyglądała się tłumowi, wypełniającemu salę.

Temperatura narastała, oczy ludzi błyszcząły pełnym chciwości podnieceniem.

Dominique uśmiechnęła się z satysfakcją.

Już teraz, po dwóch dniach, osiągnięta ze sprzedaży suma zbliżała się do dwudziestu milionów dolarów amerykańskich.

Niech Kate Despard spróbuje temu dorównać, pomyślała, sprzedając za niebotyczną cenę parę przepięknych figurek dwugarbnych wielbłądów -baktrianów - z charakterystyczną dla ceramiki Tang, natychmiast rozpoznawalną polewą.

Zapłacono za nie półtora miliona dolarów hongkongijskich.

Tak wiele osób miało ochotę pochwalić się zakupem dokonanym na "aukcji stulecia", że gotowi byli płacić każdą sumę.

Chwilami było to aż śmieszne.

Poza arcydziełami Tang od czasu do czasu sprzedawano równie cenne i rzadkie przedmioty z okresów późniejszych dynastii: za biało-niebieski dzban z epoki Ming jeden

z kupców chińskich zapłacił dwa miliony dolarów HK; podobny w kolorze kielich na wysokiej nóżce poszedł za sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów HK.

Kate będzie się musiała bardzo starać przy sprzedaży Courtland Park, żeby mi dorównać, pomyślała Dominique.

Tymczasem na stanowisku do ekspozycji ustawiono już ostatni przewidziany do sprzedaży obiekt - figurkę przedstawiającą dwa rozpędzone konie Tang.

Konie naprawdę zdawały się zrywać do galopu, ich rozwiane grzywy, uniesione kopyta i powiewające ogony wytwarzały iluzję rzeczywistego ruchu - były jak żywe.

Dominique nie kłamała, kiedy oznajmiła zachwyconej publiczności, że są to najpiękniejsze figurki z tych, które kiedykolwiek zdarzyło się jej sprzedawać.

Licytacja była prawdziwie szalona.

Pilnując tylko właściwego rytmu następujących po sobie zgłoszeń Dominique zręcznie wiodła walczących ze sobą rywali po kolejnych szczeblach niebotycznej spiralnej drabiny, której każdy szczebel odpowiadał przebicium o sto tysięcy dolarów HK; już wkrótce zresztą licytujący zaczęli przebijać nawet po ćwierć miliona.

Widać było, jak bardzo każdy z nich pragnie wygrać.

Cała sala zdawała się dygotać od tego wciąż narastającego napięcia, wydawało się, że nawet smużki dymu z tłących się kadzielniczek zastygły na chwilę, kiedy przekroczony został próg dwóch milionów dolarów HK.

Tu i ówdzie dały się słyszeć głębokie westchnienia podziwu albo i niedowierzania.

Gdy wreszcie trzymany w dłoni Dominique młotek przybił cenę pięciu milionów dolarów HK - zasygnalizowaną przez jednego z Chińczyków ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy - sala wybuchła nagłą, histeryczną reakcją, choć, rzecz jasna, nie dotyczyło to Chińczyków, lecz tylko obecnych tam przyjezdnych z Europy i Ameryki.

Sam nabywca siedział tak nieruchomy jak rzeźba, którą właśnie kupił.

Po zakończonej aukcji gęsty tłum otoczył Dominique, która - wciąż w swym stylowym, złotoczerwonym stroju - zeszła do oczekujących na nią znajomych i nieznajomych.

Każdy z gratulujących chciał się pochwalić, że rozmawiał z nią tego pamiętnego wieczoru, że osobiście wyraził jej podziw i uznanie.

Ona sama miała prawo czuć się potwornie zmęczona tak długotrwałym napięciem - nawet jeśli przez cały czas ograniczała się tylko do bardzo dyskretnego kontrolowania przebiegu aukcji.

Jednakże w rzeczywistości czuła się jedynie bardzo przyjemnie podekscytowana i rozradowana.

Z wdziękiem pozowała fotografom do niezliczonych zdjęć, odmówiła wypicia szampana, przyjęła natomiast filiżankę aromatycznej herbaty.

Popijając ją, z uśmiechem słuchała dobiegającej zewsząd pełnej pochwał paplaniny gości.

Prawdziwy wyraz swoim uczuciom mogła dać dopiero znacznie później, kiedy już znalazła się w lustrzanej sypialni swego luksusowego apartamentu na poddaszu, na ogromnym obrotowym łóżku, zaścielonym najdelikatniejszym jedwabiem.

Tu można było wreszcie rozładować napięcie w sposób, który lubiła najbardziej.

Szampiana mogła tu trzymać tuż przy łóżku, w podręcznej chłodziarce ukrytej we wnętrzu prześlicznej szesnastowiecznej szafki z chińskiej laki.

Usadowiła się wygodnie, z otwartej szafki wzięła butelkę i dwa kieliszki i napełniła je po brzegi.

Potem jeden z nich podała swemu chińskiemu partnerowi i kochankowi.

- No więc jednak dokonaliśmy tego!

- wykrzyknęła triumfująco.

- Kosztowało to nas dwa lata ciężkiego wysiłku, ale wreszcie mamy to w garści!

Chiński kochanek wyraziście popatrzył na jej dłoń, a potem na własne podbrzusze.

- No, może jeszcze nie całkiem...

Dominique roześmiała się.

Nigdy dotąd nie spotkała nikogo takiego jak Czao Li.

Pod cienką powłoką poloni współczesnego specjalisty od najnowocześniejszych technologii kryły się całkowicie odmienny sposób myślenia i zadziwiające wyrafinowanie trwającej pięć tysięcy lat cywilizacji, jedynej w swoim rodzaju.

Czao Li był niezwykle pięknie zbudowany, choć wcale nie wysoki - zaledwie kilka centymetrów wyższy od Dominique.

Kiedy był nagi, przypominał jej figurkę z brązu, którą kiedyś kupiła we Florencji wyłącznie ze względu na jej zmysłową urodę.

Czao Li był taki sam.

Jego członek również nie wyróżniał się rozmiarami, był raczej proporcjonalny do jego wzrostu, ale to, czego jako kochanek potrafił nim dokonywać, wciąż zadziwiało Dominique, która dotąd skłonna była sądzić, że zaznała już wszystkiego.

W Państwie Środka wynaleziono tyle różnych rzeczy - które Zachód zaczął ponownie odkrywać dopiero wiele wieków później - że Dominique nie zdziwiła się specjalnie, kiedy dowiedziała się, że i seks również odkryli Chińczycy.

Okazało się, że same nazwy były tu co najmniej tak wymyślne, jak odpowiadające im działania.

Czao Li potrafił - będąc w niej - powstrzymać swój orgazm dowolnie długo; tak długo, że Dominique wręcz błagała go, żeby wreszcie skończył, co dokonywało się przez całą sekwencję kolejnych orgazmów wstrząsających jej całym ciałem.

U Chińczyków nosiło to piękną nazwę Chmury i Deszcz.

Po każdej nocy spędzonej z Czao Li czuła się ostatecznie wyczerpana i wyszana niemal do cna.

Czegoś takiego nie przeżyła nigdy z żadnym innym mężczyzną, nawet z własnym mężem.

Tylko ten Azjata potrafił naprawdę zmieniać ją we wciąż bardziej głodne, dyszące zwierzę, które za każdym razem doprowadzał do stanu bliskiego śmierci z ostatecznego wyczerpania.

Dominique była tym zachwycona.

Podobnie jak była zachwycona sukcesem swojej "aukcji stulecia".

- Co za ceny!

Co za wspaniałe, niesłychane ceny!

- upajała się zwycięstwem, moszcząc się na wysoko ułożonych poduszkach obok swego kochanka.

- A wszystko dzięki czystej i nagiej ludzkiej chciwości!

- Mówiłem ci, że będą chciwi, kiedy to zobaczą- powiedział Cza Li.

Dominique zachichotała.

- Na tyle chciwi, żeby kupować fałszywe, podrobione arcydzieła?

- Ba, ale jak podrobione!

A w dodatku, dla bezpieczeństwa, przemieszciliśmy je przecież z autentykami.

- To prawda - powiedziała Dominique i spojrzała na uśmiechniętego kochanka.

Koniuszkami palców delikatnie przejechała po jego złotobrazowej skórze.

- Te figurki są naprawdę wyjątkowe.

Wciąż nie chcesz mi powiedzieć, kto je robi?

- Mówiłem ci już, że nie mogę.

Pozwolono nam je sprzedawać tylko pod warunkiem, że nie będziemy zadawali żadnych pytań.

- Wy, Chińczycy, kochacie tajemnice.

- Dominique powiedziała to żartobliwie, ale z wyraźnie wyczuwalnym wyrzutem.

- Im więcej ludzi o czymś wie, tym większe prawdopodobieństwo, że rzecz w końcu wyjdzie na jaw.

Ty masz z tego swój dochód, oni mają swój.

Po co pchać nos w coś, co nie powinno nas obchodzić?

Niby racja, ale Dominique nie lubiła sytuacji, kiedy to ona czegoś nie wiedziała.

Jednak Cza Li potrafił być niewzruszony i niezmiennie milczał - co zresztą od tysiącleci było w chińskim obyczaju.

Kiedy po raz pierwszy zgłosił się do niej ze swą niezwykle propozycją, Dominique początkowo zapatrywała się na to dosyć sceptycznie: sprzedawanie podrabianych antyków było niebezpieczne, współczesna nauka знаła zbyt wiele technik wykrywania wszelkich fałszerstw.

Jednak kiedy Cza Li przyniósł jej do obejrzenia jedną z takich figurek, zorientowała się natychmiast, że ma do czynienia z fałszerstwem wręcz genialnym.

Zacząła więc wypytywać, kto, gdzie i jak to robi, ale usłyszała w odpowiedzi tylko tyle, że albo przyjmie te figurki do sprzedaży nie zadając żadnych pytań, albo ich wytwórca znajdzie inny sposób wprowadzenia ich na rynek.

W tej sytuacji Dominique postanowiła zgodzić się od razu, rozsądnie odkładając zaspokojenie ciekawości na odpowiedni moment, który prędzej czy później musiał przecież nadejść.

W końcu zawsze można postawić na swoim, i to na wiele różnych sposobów.

Okazało się jednak, że nawet po blisko dwóch latach - potrzebnych na wyprodukowanie zapasu figurek i na skryte przygotowanie rynku poprzez bardzo pieczołowicie preparowane i co pewien czas dyskretnie rozpuszczane pogłoski, a także na opracowanie odpowiedniego katalogu, który sam był wspaniałym dziełem sztuki - Dominique wiedziała akurat tyle, co i na początku.

Zmieniło się tylko tyle, że ona sama pozbyła się wątpliwości.

Czao Li z ogromną pewnością siebie potrafił przekonać ją, że klientów nie zabraknie. Jego zdaniem Hongkong był wręcz idealnym miejscem na sprzedanie wszystkich przygotowanych przez te dwa lata zapasów, a i moment wydawał się najlepszy.

Przejęcie władzy przez czerwone Chiny było tuż-tuż, toteż -uważał Czao Li - miejscowi bogacze chętnie ulokują pieniądze w naprawdę cennych, a jednocześnie stosunkowo łatwych do wywiezienia dziełach starej sztuki.

Te przewidywania potwierdziły się.

Uzyskane ceny przekroczyły znacznie to, co ona sama zakładała przy wstępnych szacunkach.

Teraz już było jasne, że Kate Despard nie ma żadnych szans, żeby przebić ten sukces i dorównać swej przybranej siostrze.

Dominique wiedziała oczywiście, że na sali aukcyjnej jest przedstawiciel Despards London, specjalnie oddelegowany na tę okazję główny ekspert od dzieł sztuki Dalekiego Wschodu.

Podobnych specjalistów oddelegowały również Sothebys i Christies, a także kilka mniej renomowanych domów aukcyjnych z Europy i Ameryki.

Nie pojawiła się natomiast sama Kate Despard, co trochę rozczarowało Dominique.

W końcu właśnie chińska ceramika, a w szczególności porcelana, była głównym przedmiotem jej specjalizacji.

A więc po prostu nie odważyła się przyjechać, wiedząc, że sukces aukcji oznacza ostateczny koniec jej nadziei, pomyślała Dominique i roześmiała się pełna satysfakcji.

- Z czego znów się śmiejesz?

- spytał Czao Li.

- Przypomniałam sobie tego naszego konia Tang, którego moja siostra sprzedawała Rolfowi Hobartowi i bez najmniejszej wątpliwości uznała za autentyk.

Jeżeli ona dała się nabrać, to nabiorą się i wszyscy inni.

- Mówiłem ci, że tak będzie.

- Kate powiedziała, że ta figurka konia została wykonana dwa tysiące lat temu.

- Dominique znów zachichotała.

- Ach, jak bym chciała powiedzieć jej, że niecałe dwa lata temu, i zobaczyć przy tym jej minę!

- Gdybyś powiedziała, nie byłoby cię tu teraz ze mną.

Powiedział to takim tonem, że Dominique mimo woli odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

Ich wyraz sprawił, że przeszedł ją nagły dreszcz.

- Żadnych pytań - powtórzył Czao Li, a jego migdałowe oczy wydawały się prześwieślać ją na wylot.

- Żadnych pytań - zgodziła się natychmiast.

No, przynajmniej na razie, powiedziała sobie w duchu.

Pociechą było też to, że tym razem udało się jej nabrać aż tyle osób naraz.

A wśród nich tych wszystkich pompatycznych, zadzierających nosy ekspertów, którzy tak lubią popisywać się swoją wiedzą i nieskazitelnie akademicką wymową.

A tymczasem ona potrafiła oszukać ich wszystkich, z czego wynikało, że jej rzeczywista przewaga nad nimi wszystkimi przestała być tylko teoretyczną możliwością, a stała się faktem.

Jej oddział teraz już zdecydowanie dominował w tej branży - zresztą nigdy nie miała w tym względzie najmniejszych wątpliwości.

Chwilowe zachwianie, wywołane niepowodzeniem w batalii o Courtland Park, zostało wyrównane z ogromną nadwyżką.

Teraz, po osiągnięciu tego największego szczytu, będzie już z górki.

To będzie pewne, bezpieczne żeglowanie do portu, z tą przyjemną myślą, że może gdzieś tam, na samym dnie, spoczywają już szczątki tego, co kiedyś było renomą Kate Despard.

Tymczasem chiński kochanek najwyraźniej już znów był nastrojony amoroso, wobec czego Dominique natychmiast przerwała wszelkie - nie wiążące się z nim - rozmyślania. Z całą pewnością żadna kobieta nie byłaby w stanie myśleć o czymkolwiek innym, kiedy już Cza Li raz zaczął...

Przenikliwy dzwonek telefonu wyrwał Blaisea Chandlera z niespokojnego, pełnego wizji snu.

Sięgnął po słuchawkę i poirytowanym głosem burknął: - Tak?

- Spodziewałam się, że właśnie to powiesz, mój chłopcze.

- Księżna?

- Blaise usiadł na łóżku i zapalił światło.

- Na miłość boską, jest czwarta rano!

- To u ciebie, nie u mnie.

Przepraszam, jeżeli przerwałam ci jakiś wyjątkowo piękny sen, albo może coś innego, ale sytuacja jest wyjątkowa.

Ton głosu Agathy Chandler był na tyle alarmujący, że Blaise rozbudził się ostatecznie.

- Jaka sytuacja?

Czy może źle się czujesz?

- Nie chodzi o mnie, tylko o Kate Despard.

Blaise zaklął w duchu.

- Co takiego?

- Ta stara ciota, to znaczy ten cały Rollo Bellamy, którym Kate zawsze tak się przejmuję, został napadnięty i ciężko pobity na jednej z ulic Hongkongu.

Początkowo zabrano go do szpitala imienia Królowej Elżbiety, ale zadzwoniłan do Bennyego, który załatwił przewiezienie go do miejscowej kliniki naszej korporacji.

Kate Despard już tam jest.

Chciałabym, żebyś i ty pojechał tam jak najszybciej i sam zobaczył, co da się zrobić.

- A co, u diabła, ten Rollo Bellamy robił w Hongkongu?

- Przyjechał na aukcję twojej żony, jak sądzę.

Tylko mi nie mów, że o niej nie słyszałeś.

Blaise puścił złośliwość mimo uszu.

- Ale co to ma wspólnego z tą napaścią?

- Chciałabym, żebyś postarał się właśnie tego dowiedzieć.

Dzwoniłam wcześniej do Kate, żeby z nią porozmawiać, ale dowiedziałam się, że przedwczoraj już poleciała do Hongkongu.

- Babciu, już ci to mówiłem wiele razy i powtarzam raz jeszcze: nie staraj się robić ze mnie anioła stróża Kate Despard.

Jest wystarczająco dorosła, żeby mogła sama zadbać o siebie.

- Wiem, że jest wystarczająco dorosła, ale nie sądzę, by kiedykolwiek w życiu mogła mieć do czynienia z czymś takim.

A poza tym - dodała chytrze - czy Charles nie prosił cię, żebyś miał na nią baczenie?

- Baczenie tak, ale to nie znaczy, że mam jej pilnować.

- To przecież znaczy to samo.

Ten Rollo jest dla niej kimś bliskim, z pewnością jest wstrząśnięta.

Chcę, żebyś tam był, żeby miała się na kim oprzeć.

- Na miłość boską, przecież on już jest w szpitalu!

Ma bardzo dobrą opiekę, więc o co chodzi?

- I bardzo niewiele mu brakuje, żeby się przekręcił - jak mi powiedział Benny Fong.

Walnęli go naprawdę mocno.

- Pedałuj jak już się na kimś mszczą, to zazwyczaj ze skutkiem.

- Blaise zdawał sobie sprawę, że jego słowa są brutalne, ale był już naprawdę zniecierpliwiony i wściekły.

- Nie można wykluczyć, że to było coś takiego.

Ale mnie martwi sytuacja Kate, która jest tam sama przy człowieku, który być może umiera, a jest przecież jej najbliższym przyjacielem.

W takich chwilach naprawdę powinno się mieć kogoś przy sobie.

Gdyby to nie o nią, ale o mnie chodziło, wiedziałabym na pewno, że zjawisz się i mnie wesprzesz.

- Głos księżny nagle stał się bardziej szorstki.

-No więc powiem ci, Blaise, że bardzo polubiłam tę dziewczynę.

Przypadła mi do serca.

- A mnie nie za bardzo przypada do serca to, czego babcia ode mnie żąda.

- Więc zrób to tak, jakbyś robił to dla mnie - powiedziała niespodziewanie ciepłym i miękkim głosem, a Blaise nagle zdał sobie sprawę, że przecież mówi do niego kobieta bardzo stara i bardzo zmęczona.

- Zrób to dla mnie, jeżeli nie chcesz tego zrobić dla niej.

- Daj spokój, księżno - odpowiedział niewzruszony Blaise.

- Ja to jestem ja, a nie ty.

Staraj się może o tym pamiętać.

- Pamiętam.

- Głos księżnej nagle stał się twardy i nawet ostry.

- Wobec tego zrób to, ponieważ takie jest moje polecenie.

Na razie wciąż to ja jestem tu szefem.

- Ale ja nie zabiegam o stanowisko anioła stróża przy Kate Despard.

- Blaise nagle zdał sobie sprawę, że również mocno podniósł głos.

- A mimo to chcę, żebyś tam pojechał.

Rollo jest w bardzo złym stanie, może umrzeć - tak przynajmniej mówią lekarze.

Dlatego właśnie Kate tam pojechała.

Jeżeli on umrze, dziewczyna naprawdę będzie potrzebowała kogoś, kto ją wspomże.

- Księżna znów mówiła ciepło i przymilnie, jakby starając się go udobruchać.

- Czy taka pomoc to aż tak strasznie dużo?

O wiele za dużo, pomyślał Blaise, wciąż poirytowany i wściekły.

Powstrzymał się jednak i ostatecznie powiedział tylko: - Dobrze.

Pojadę tam najszybciej, jak się tylko da.

- I takiego cię kocham - odpowiedziała księżna Agatha, a w jej głosie znów brzmiała czułość i szczere przywiązanie.

- I powiadaj mi natychmiast o wszystkim, co uda ci się wykryć.

- Swoim zwyczajem znów rozłączyła się bez jakiegokolwiek uprzedzenia.

Blaise odłożył słuchawkę, odczekał chwilę, a następnie połączył się z Hongkongiem.

- Benny?

Tu Blaise Chandler.

Co się dzieje?

Benny Fong kierował tamtejszym oddziałem Chandler Corporation.

Krótko i rzeczowo przedstawił aktualną sytuację.

Blaise wysłuchał go uważnie, po czym powiedział: - W porządku, Benny, mam już ogólny zarys.

Teraz chciałbym, żebyś postarał się uszczegółwić ten obrazek.

Spróbuj się dowiedzieć wszystkiego, co można: co, kto, gdzie i - przede wszystkim - dlaczego?

Dowiedz się, czy policja zajęła się tą sprawą, a także gdzie zamieszkała Kate Despard.

Przylatuję pierwszym samolotem, który uda mi się złapać; wyjdź po mnie na Kai Tak.

Zajmij się tym tak wnikliwie i dokładnie, jak to masz w zwyczaju.

Zwłaszcza że moja babka jest bardzo zainteresowana tą sprawą.

- Zrobi się, szefie!

- odpowiedział Benny, jak zawsze ochoczo i z przekonaniem.

A to oznaczało, że nim Blaise zdąży tam dolecieć, Benny już będzie wiedział wszystko, włącznie z nazwiskiem, adresem i poziomem kwalifikacji lekarza, opiekującego się pobitym Rollem Bellamym.

Nie zmieniło to faktu, że w jak najgorszym humorze wsiadał do taksówki, która miała go zawieźć na lotnisko.

Do Johannesburga, skąd teraz odlatywał, przybył bowiem ledwie siedem godzin wcześniej, po długim i męczącym locie z Tokio.

Teraz okazywało się, że natychmiast będzie wracać tą samą drogą.

Tylko dlatego, że jego babka umyśliła sobie, że to ona może mu ułożyć dalsze życie według wytworzonego w jej wyobraźni planu, w którym coraz wyraźniej rysowała się postać Kate Despard.

Ten numer ci nie przejdzie, księżno, pomyślał ze zgryźliwą ironią.

W samolocie należało przynajmniej nadrobić zaległości i przede wszystkim porządnie się wyspać.

Okazało się jednak, że zasnąć wcale nie było łatwo.

Blaise zdał sobie sprawę, że bezustannie powraca w myślach do swego ostatniego pobytu w Hongkongu, co miało miejsce ledwie tydzień temu.

Pozmieniał wtedy wszystkie terminy najróżniejszych zaplanowanych wcześniej spotkań, specjalnie po to, by móc spotkać się ze swą żoną w przeddzień otwarcia tej głośniejszej, organizowanej przez nią aukcji.

Okazało się jednak, że Dominique w ogóle nie miała dla niego czasu - w tym momencie istniała dla niej tylko ta aukcja i nic poza tym.

Blaise szybko zdał sobie sprawę, że kręci się tam bez większego pożytku, w złudnej nadziei, że spotka się z nią w jakiejś przerwie.

Sfrustrowany i gniewny musiał w końcu pojąć, że akurat w takim momencie nie jest tam ani oczekiwany, ani potrzebny; jego żona miała mnóstwo spraw na głowie, w których jego udział w ogóle nie był przewidywany.

Gdy poirytowany powiedział jej, że czuje się właściwie niepotrzebny, Dominique w pierwszym odruchu odpowiedziała: - Ależ kochanie, nie mogłeś wybrać gorszego terminu na swój przyjazd!

Jutro jest najważniejszy dzień w moim życiu.

Muszę być do tego gotowa!

Zorientowała się jednak, że jej mąż nie zamierza dać się zbyć byle czym, wobec czego - teraz Blaise myślał o tym z prawdziwą wściekłością - postanowiła go jakoś wcisnąć w i tak już przepelniony rozkład dnia.

W rezultacie - z pewnością właśnie z tej przyczyny - po raz pierwszy w życiu zawiódł jako mężczyzna.

Dominique oczywiście była wściekła i ta jego klęska skończyła się najgorszą awanturą małżeńską, jaka im się kiedykolwiek zdarzyła.

Ona rozwścieczona, że straciła bez sensu tyle czasu, on niemal do obłędu upokorzony tym, co się z nim stało.

Nigdy dotąd nie przydarzyło mu się nic podobnego przez dwadzieścia lat, odkąd prowadził aktywne - i doskonałe, zdaniem samej Dominique - życie seksualne mężczyzny o upodobaniach wyłącznie heteroseksualnych.

Wściekły nie mniej niż ona, uciekł z jej sypialni i teraz - też po raz pierwszy w życiu - zaczął szukać powodów tego, co się stało, czy raczej nie stało.

Zmęczenie nie wchodziło tu w grę.

Dwa dni przed tym wszystkim był w Tokio, odbył tam niebagatelną - w sumie osiemnastogodzinną - serię spotkań z miejscowymi biznesmenami, ale na czas wrócił do hotelu i spał przez dziesięć godzin.

Obudził się czując, że znów pragnie swej żony, a ponieważ Dominique akurat była prawie obok - Hongkong od Japonii dzieli naprawdę ledwie jeden krok - postanowił pośpiesznie pozmieniać cały swój dalszy rozkład spotkań i jechać do niej.

Dlaczego więc skończyło się to tak cholernie marnie?

Chyba przede wszystkim dlatego, że po przyjeździe za długo musiał na nią czekać i to daremne oczekiwanie w końcu zniweczyło w nim wszelkie pożądanie.

Tyle tylko, że dotychczas zawsze dość było jednego jej dotknięcia, spojrzenia, ba, nawet samego zapachu jej wspaniałego, jedwabistego ciała, by cały seksualny głód natychmiast powrócił.

Jeszcze parę miesięcy temu Blaise półzartem powiedział, że gdyby kiedyś w przyszłości chciała się upewnić, iż jej mąż na pewno nie żyje, powinna tylko podejść, pochylić się nad trumną i patrzeć na wieko.

No a teraz przecież nie tylko pochyliła się, ale i uklękła nad nim - i nic.

Oczywiście zaczęła się między nimi kłótnia, która niemal natychmiast przeszła w dziką awanturę, chyba najgwałtowniejszą w całym okresie trwania ich małżeństwa.

Blaise w przeszłości niejednokrotnie sam prowokował takie kłótnie, dla tym większej przyjemności - wręcz rozkoszy - godzenia się.

Ale tym razem tak się nie stało.

Może więc powinien wyjechać i poszukać sobie czegoś - albo raczej kogoś -innego?

Wyrzucić tamto z siebie.

Zdarzyłoby się to po raz pierwszy, jako że przez dwa lata, które minęły od ich ślubu, nawet nie spojrzał na żadną inną kobietę.

Dominique zaspokajała go w zupełności i z nadatkiem.

Dlaczego więc w tamtym momencie miał poczucie nagłej nieobecności, jak gdyby był od niej oddalony o tysiące kilometrów?

Dlaczego mógł patrzeć na to jej cudowne ciało i nie umierał z pożądania, z pragnienia, by je posiąść?

Przeszło, minęło - jak to się śpiewa w piosenkach.

Czyżby to, co rozpoczęło się tak nagle i gwałtownie, miało się skończyć dokładnie w taki sam sposób?

Nie widzącym wzrokiem spoglądał przez owalne okienka na pofałdowane warstwy grubych chmur poniżej samolotu.

Nadal nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Benny Fong czekał na niego w porcie lotniczym Kai Tak.

Jak zwykle dwa magiczne słowa - Chandler Corporation - wystarczyły, żeby wszystkie formalności stały się niezwykle łatwe i proste.

Kontrola celna ograniczyła się do uśmiechu i życzliwego powitania: - Miło pana znów widzieć, panie Chandler.

Przy kontroli paszportowej usłyszał tylko: - Na jak długo tym razem, panie Chandler?

Witamy!

Przed wejściem czekała na nich ogromna czarna limuzyna.

Jazda z Kowloon do Hongkongu musiała zająć około dwudziestu minut.

Blaise zaprosił Bennyego na tylne siedzenie obok siebie i kiedy potężna maszyna ruszyła niemal bezgłośnie, popatrzył na niego i powiedział: - No dobra, Benny.

Opowiadaj, co się dzieje?

- Pan Bellamy jest w bardzo złym stanie.

Obrażenia wewnętrzne, liczne pęknięcia kości, w tym skomplikowane złamanie miednicy.

Trzeba było operacyjnie usunąć zmiążdżoną śledzionę.

Najgorszy jest jednak poważny uraz rdzenia kręgowego, który sprawia, że jest w stanie śpiączki.

Elektroencefalograficzne badania mózgu potwierdzają, że żyje, ale liczne funkcje mózgu zostały zatrzymane bądź zakłócone.

Lekarze nie chcą powiedzieć nic ponadto, że pacjent ma mniej więcej pięćdziesiąt procent szans na przeżycie i że decydujące będą najbliższe dwie doby.

- Gdzie go znaleziono?

- Na chodniku przy ulicy Tun Czau.

Blaise odwrócił się i przyjrzał mu się uważnie.

- Tak - potwierdził Benny z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Na samej granicy Miasta za Murem.

- A cóż on, u diabła, mógł tam robić?

- Zwłaszcza że był w chińskim stroju i ucharakteryzowany na Chińczyka...

-dodał Benny tym samym tonem.

- Co takiego?

- wykrzyknął zaskoczony Blaise.

- To prawda.

Ludzie, którzy go znaleźli, nie mieli pojęcia, że to Europejczyk, a nie ktoś miejscowy. Zorientowano się w tym dopiero po przywiezieniu go do szpitala imienia Królowej Elżbiety, kiedy go rozebrano.

- A jak wobec tego udało się go zidentyfikować?

- Po upływie dwudziestu czterech godzin jego zaginięcie zgłosił Chińczyk, u którego Rollo Bellamy się zatrzymał.

- Chińczyk?

- Tak, miejscowy Chińczyk, nazwiskiem Ling Po, który prowadzi sklep z antykami i osobliwościami na ulicy Lok Ku.

Cieszy się dobrą reputacją, w policji nie notowany.

Powiedział, że Rollo Bellamy jest jego starym przyjacielem, którego nie widział już od wielu lat.

- Czy dlatego Bellamy przyjechał do Hongkongu?

- Ling Po mówi, że była to prywatna wizyta przyjacielska, połączona z zamiarem obejrzenia głośnej aukcji pani Chandler - ale jedynie w roli prywatnego widza.

Oficjalnym przedstawicielem Despards London na tej aukcji był pan James Grieve, który zamieszkał w hotelu "Mandarin", gdzie odbywała się aukcja.

Co to wszystko może znaczyć, u diabła?

Czyżby ten Rollo Bellamy wdał się w jakąś niebezpieczną podwójną grę, na której został przyłapany?

- Dobrze się sprawiłeś, Benny - powiedział Blaise po wysłuchaniu wszystkiego.

- Trzymaj tak dalej.

Postaraj się dowiedzieć wszystkiego, co się tylko da: co on tu robił, dokąd chodził i czego szukał.

Aha!

- Blaise spojrzał na Bennyego i zmarszczył czoło.

- Powiedziałaś, że dopiero w szpitalu zorientowano się, że nie jest Chińczykiem?

- Tak.

W tłumie mógłby bez trudu ująć za Azjatę, zwłaszcza jeśli nie brać pod uwagę jego wzrostu.

Z pewnością chodził przygarbiony.

I z pewnością nie chodził ot tak sobie, na przechadzkę, pomyślał Blaise.

Bardzo byłbym ciekaw, co się za tym wszystkim kryje.

- A co mówi policja?

- Policja oczekuje pana.

Tam właśnie najpierw pojedziemy.

Przedstawiciele policji byli niezmiernie uprzejmi i grzeczni w rozmowie z panem Blaiseem Chandlerem ze słynnej Chandler Corporation.

W końcu dla miasta był to jeden z najważniejszych, jeżeli w ogóle nie najważniejszy hong.

- Pana Bellamyego znalazła na ulicy pewna stara kobieta, bardzo wczesnym rankiem cztery dni temu.

Był nieprzytomny i tak zakrwawiony, że kobieta początkowo uważała, iż jest martwy.

Przejeżdżający patrol policyjny spostrzegł ją, kiedy przeszukiwała ubranie leżącego, i zatrzymał się, żeby to wyjaśnić.

Wtedy okazało się, że ten człowiek wciąż jeszcze żyje, choć do śmierci brakowało mu naprawdę niewiele.

Natychmiast przewieziono go do szpitala Królowej Elżbiety.

W dalszej rozmowie przedstawiciele policji potwierdzili to wszystko, co Benny powiedział mu już wcześniej: pan Ling Po był szanowanym właścicielem firmy, zajmującej się handlem antykami i starymi dziełami sztuki, mieszkał w Hongkongu już od bardzo wielu lat.

Zgłosił zaginięcie pana Bellamyego, kiedy ten nie wrócił do domu z przechadzki, na którą wybrał się w stroju Chińczyka.

Ling Po wyjaśnił policji, że pan Bellamy był aktorem i chciał sprawdzić, czy jego umiejętność przebierania się, charakteryzacji i odgrywania roli wystarczą, by na ulicach go nie rozpoznano.

Wychodząc powiedział, że wróci dopiero po kolacji; gdy jednak nie pojawił się do szóstej rano następnego dnia, pan Ling Po zgłosił jego zaginięcie.

Kiedy znaleziony na ulicy pobity człowiek bez jakichkolwiek dokumentów został przewieziony do szpitala - gdzie zmyto z niego nie tylko krew, ale i makijaż - i kiedy stało się oczywiste, że jest Europejczykiem, a nie Chińczykiem, nietrudno już było dodać dwa do dwóch.

Wezwano pana Ling Po, który potwierdził tożsamość swego zaginionego przyjaciela.

- Czy pan Bellamy jest może również pana przyjacielem albo znajomym?

-zapytał nadinspektor, wciąż niezmiernie uprzejmy.

- Bezpośrednio moim nie, ale jest przyjacielem mojej dobrej znajomej, panny Catriony Despard.

- A, tak.

Przyleciała porannym samolotem jeszcze wczoraj i od tego czasu nie odstępowała od jego szpitalnego łóżka.

- Panna Despard jest prezesem zarządu i głównym dyrektorem Despard's London - powiedział Blaise i po krótkiej pauzie dodał: - Moja żona jest jej przybraną siostrą.

- Postanowił nie wspominać o tym, że Rollo jest zatrudniony w firmie Despard's.

- Pan Bellamy jest długoletnim bliskim przyjacielem panny Despard, znali się praktycznie od jej dzieciństwa.

Sądzą, że to, co się z nim zdarzyło, jest dla niej wielkim wstrząsem.

- Niewątpliwie.

Panna Despard mówi poza tym, że w żaden sposób nie potrafi sobie wytłumaczyć tego, co się stało.

Jak nam powiedziała, pan Bellamy przyjechał tu, żeby odwiedzić starego przyjaciela i przy okazji wpaść na aukcję.

- Nadinspektor lekko odkaszlnął.

- Ta aukcja wywołała wielkie poruszenie w mieście, wiele o niej mówiono; powiedziałbym nawet, że wywołała sensację.

Zwłaszcza wysokością osiągniętych cen, które przewyższyły wszystko, o czym kiedykolwiek dotąd słyszano.

- Zarówno głos, jak i twarz nadinspektora były całkowicie pozbawione wyrazu, choć lekkie zmruczenie przebiegłych niebieskich oczu mówiło co innego.

Podobnie jak Blaise, musiał sobie zdawać sprawę, że przedstawiony obraz jest mocno niepełny.

- Został napadnięty w celach rabunkowych?

- zapytał Blaise.

- Prawdopodobnie.

W każdym razie ciężko pobity.

- Nadinspektor znów odkaszlnął.

- Pan Bellamy jest homoseksualistą, prawda?

- Tak - odpowiedział Blaise, bez wdawania się w jakiegokolwiek objaśnienia.

- To mogłoby być jeszcze inne wytłumaczenie tego, co zaszło.

Ale zagadkowa jest też okoliczność, że znaleziono go akurat w tym miejscu.

Europejczycy zazwyczaj nie zapuszczają się do dzielnicy zwanej Miastem za Murem, nawet w przebraniu Chińczyków.

- Wydaje mi się, że w jego przypadku mogłaby to być po prostu aktorska chęć odegrania roli - powiedział Blaise, wzruszając ramionami.

- Być może.

Poza tym, o ile nam wiadomo, pan Bellamy był już kiedyś w Hongkongu - podczas ostatniej wojny.

Blaise postarał się, żeby z jego twarzy nie można było wyczytać zaskoczenia.

Instynktownie przeczuwał, że w tej sprawie musiało być coś więcej niż tylko zwykły napad czy emocjonalne porachunki między gejami.

- Nie miałem o tym pojęcia - powiedział.

- Nie znam go aż tak dobrze.

- Staramy się pytać wszystkich, którzy mogliby coś wiedzieć, ale...
- Nadinspektor wymownie wzruszył ramionami.
- Sam pan rozumie: Europejczyk, który jest homoseksualistą i jeszcze przebiera się za Chińczyka...

Miał szczęście, że go po prostu nie zarznęli.

- Czy miał ze sobą jakieś dokumenty, paszport, pieniądze?
- zapytał Blaise.

- Z tego, co mówi pan Ling Po, miał tylko trochę pieniędzy.

Nadinspektor odprowadził Blaisea aż do czekającej nań limuzyny.

Blaise Chandler z pewnością należał w Hongkongu do kategorii VIP i należały mu się szczególne względy.

- Czy zostanie pan u nas na długo?
- zapytał, zanim się pożegnali.
- To zależy.

Przyjechałem także w sprawach firmy Despard, w tym sensie, że jestem wykonawcą testamentu zmarłego ojca panny Despard.

Ponieważ i tak wybierałem się do Hongkongu, poproszono mnie, abym ją odwiedził i dowiedział się, w jakim jest stanie.

- Jest bardzo przybita i zatroskana, naturalnie - odpowiedział nadinspektor - ale poza tym chyba w porządku.

Zamierza pan pojechać do szpitala?

- Tak, prosto stąd.
- Może pan być pewny, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wyjaśnić tę sprawę.

Obawiam się jednak, że bardzo potrzebne będzie nam zeznanie samego pana Bellamyego, a lekarze dotąd nie chcą nam nawet powiedzieć, czy to w ogóle będzie możliwe.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Blaise i Benny wsiedli do limuzyny.

Nadinspektor powoli wracał do swego biura, zastanawiając się po drodze, co mogło skłonić szefa tak potężnej firmy jak Chandler Corporation do zajęcia się losem jakiegoś Rollo Bellamyego?

A co za tym idzie, kim w ogóle jest ten Rollo Bellamy?

Nadinspektor miał własne źródła informacji na miejscu w Londynie i teraz uznał, że należy z nich skorzystać.

Szpital - noszący teraz nazwę Chandler Clinic - został wybudowany na polecenie Agathy Chandler.

Podczas którejś ze swych wizyt w Hongkongu przypadkiem zobaczyła stłoczonych ludzi, stojących w ogromnych kolejkach do bezpłatnych miejskich szpitali i ambulatoriów.

Agatha Chandler miała pewną słabość do Chińczyków; dziadek Bennyego Fonga kiedyś pracował u jej ojca i pewnego razu nawet uratował mu życie, w ostatniej chwili zabijając szarego niedźwiedzia już gotowego do niespodziewanego ataku.

Czarny Jack był mu tak wdzięczny, że postanowił pokryć koszty wykształcenia jego najstarszego syna.

Był to ogromnie zdolny chłopiec, który po ukończeniu studiów zaczął pracować w Chandler Corporation.

Kiedy jemu z kolei urodził się syn, Agatha Chandler została jego matką chrzestną i również pomagała mu w zdobywaniu wykształcenia.

Benny Fong poszedł w ślady swego ojca, w krótkim czasie awansował na stanowisko szefa oddziału Chan-Corp w Hongkongu i odtąd już przez wiele lat prowadził go ze znakomitymi wynikami.

Samochód wiozący Blaisea zajechał przed ogromny biały budynek, który został co prawda wybudowany wyłącznie za pieniądze Chandler Corporation, ale przy zachowaniu odpowiedniej chińskiej stylistyki i wszelkich wymogów właściwego feng shui; stosowano tam sprawdzone przez wieki metody tradycyjnej chińskiej medycyny równoległe z najnowszymi osiągnięciami medycyny europejskiej i amerykańskiej, przy wykorzystaniu najnowocześniejszej aparatury.

Kiedy Blaise wysiadł z samochodu, okazało się, że chińscy lekarze, opiekujący się Rollem Bellamym, już na niego czekają.

Stan pana Bellamyego, według ich zgodnej opinii, nadal był bardzo poważny, przede wszystkim ze względu na skutki bardzo licznych obrażeń, tak zewnętrznych, jak i wewnętrznych.

Na szczęście ciśnienie wewnątrzczaszkowe nie wzrosło, ale uszkodzony wciąż podłączony był do aparatury podtrzymującej funkcje życiowe; wszystkie podstawowe parametry w sposób ciągły kontrolowane były na monitorze.

W ostatnich dniach przeprowadzono już kilka kolejnych operacji - usunięto pękniętą śledzionę i odłamki złamanych żeber z przebitych płuc, nastawiono i unieruchomiono kilka innych złamanych kości.

Szansę przeżycia szacowano na pięćdziesiąt procent, a decydujące miały być najbliższe dwie doby.

Blaise z uwagą wysłuchiwał informacji, po czym mógł już przejść do Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej, żeby zobaczyć to wszystko na własne oczy.

OIOM również i tutaj wyraźnie odróżniał się od pozostałej części szpitala, przede wszystkim intensywnością oświetlenia, utrzymywanego tam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

W porównaniu z miękkim i łagodnym światłem, które paliło się w pozostałych, zwykłych oddziałach szpitala, światło lamp Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej wydawało się wyjątkowo białe i bardzo jasne.

W tym jaskrawym świetle Blaise dostrzegł Kate już z daleka; trudno zresztą byłoby nie rozpoznać rudego płomienia jej włosów.

Przez ogromną szybę, stanowiącą część ściany, wszystko można było widzieć bardzo wyraźnie.

Rollo Bellamy leżał na wysokim łóżku, zewsząd otoczony aparaturą, do której był podłączony licznymi rurkami i przewodami.

Głowę miał całkowicie obandażowaną, twarz pokrytą plastrami, różnokolorowe plastikowe rurki wystawały z jego nosa, ust i spod bandażu na jego ramionach, a także spod przykrywającej resztę ciała pościeli.

Oba ramiona były unieruchomione w łupkach, również nogi były w gipsie, przy czym jedna była podwieszona na umieszczonym nad łóżkiem wyciągu.

Jezus Maria, pomyślał Blaise.

W co ten człowiek się wdał, że go aż tak urządzili?

Kate nie podniosła wzroku, kiedy Blaise - jak zawsze bezszelestnie - otworzył drzwi i wszedł do środka.

Nadal cała jej uwaga skupiona była na bladej i udręczonej twarzy Rolla.

Jej własna twarz nie wyglądała dużo lepiej.

Niespodziewanie Blaise zdał sobie sprawę, że jest na nią po prostu wściekły.

Wyglądała naprawdę okropnie, te jej cholerne kości policzkowe sterczały spod skóry, jak u ofiar dopiero co wyzwolonych z obozu Bergen Belsen.

Zapadnięte policzki, pod oczami ciemne półkoliste plamy.

Na miłość boską, ileż czasu musiała już tu spędzić?

Kiedy wymówił jej imię, Kate podniosła oczy, a gdy zorientowała się, kto do niej mówi, jej twarz na moment rozpromieniła się.

Była w tym nagła radość i spontaniczna ulga.

Jednakże niemal w tej samej chwili ten jej uśmiech znikł, jakby starty jakąś niewidzialną ręką, a Blaise znów miał nieodparte wrażenie, że tuż przed nim zatrzasnęły się jakieś drzwi.

- A co pan tu robi?

- zapytała takim tonem, że trudno byłoby to uznać za życzliwe powitanie.

- Księżna zadzwoniła do pani, bo z jakiegoś powodu chciała z panią porozmawiać.

Powiedziano jej, dokąd pani wyjechała i dlaczego.

W tej sytuacji oczywiście przysłała tu mnie.

Lodowata maska znów na moment stopniała.

- Okazaliście państwo ogromną życzliwość.

- Kate gestem wskazała na nieruchomą sylwetkę na łóżku, obstawionym ze wszystkich stron specjalistyczną medyczną aparaturą.

- Sam pan widzi, jak to wygląda.

Mam nadzieję, że pan jej opowie, czym to wszystko jest dla mnie, dla nas obojga.

- Oczywiście, że wszystko jej opowiem.

- Blaise przysunął się do łóżka Bellamyego i znów niemal fizycznie poczuł barierę jej natychmiastowej, wrogiej nieufności; w podobny sposób wśród zwierząt czy ptaków ranna matka wciąż pragnie bronić swoich zagrożonych dzieci.

- Jaki jest jego stan?

- zapytał Blaise, chcąc usłyszeć jej własną opinię.

- Zły.

Bardzo zły.

- Tak, jakby pan sam o tym nie wiedział.

- Ton jej głosu zawierał ten nie ukrywany wyrzut, choć Kate powstrzymała się od wyrażenia tego w słowach.

- Jak długo już pani tu jest?

To znaczy, przy jego łóżku?

- Od chwili gdy przyjechałam.
- A kiedy pani przyjechała?
Kate zmarszczyła brwi, jakby nie mogąc sobie przypomnieć, w końcu machnęła ręką.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
Po prostu jestem tutaj.
- Czy pani przynajmniej coś jadła?
Spała pani choćby przez chwilę?
- Zjadłam kanapkę i wypłam kawę.
Nie jestem głodna.
- Ale musi pani być straszliwie zmęczona.
- Dlaczego?
Nic nie robię, tyle że tu siedzę.
- Ale właściwie po co?
Lekarze twierdzą, że nie ma wielkiej nadziei, żeby pan Bellamy w najbliższym czasie odzyskał przytomność.
Jest w stanie głębokiej śpiączki.
- Wiem o tym, mnie powiedzieli to samo.
Ale jakaś szansa, choćby niewielka, wciąż istnieje.
I dlatego chcę tu być przy nim, gdyby akurat się potwierdziła.
- Gdyby niespodziewanie odzyskał przytomność podczas pani nieobecności, w każdej chwili można by przywieźć tu panią ponownie.
- Nie!
- odparła Kate.
- Przyjechałam tu po to, żeby z nim być.
Rollo mnie potrzebuje.
Kiedy ja go potrzebowałam, on zawsze był przy mnie.
Teraz kolej na mnie.
Blaise sięgnął po stojące w pobliżu krzesło i usiadł na nim, ustawiając je po drugiej stronie łóżka.
- Co on w ogóle robił tu w Hongkongu?
Kate znów spojrzała na niego nieufnie i powiedziała z nie ukrywanym sarkazmem: -
Przyjechał na słynną "aukcję stulecia", organizowaną przez pańską żonę.
To przecież chyba oczywiste?
- Jeżeli tak, to w jaki sposób znalazł się aż tak daleko od utartych szlaków przybyszów z Europy?
Znaleziono go w Kowloon, tuż przy granicy Miasta za Murem.
Europejscy turyści nigdy się tam nie zapuszczają; zresztą również bardzo wielu Chińczyków z zasady tam nie chodzi.
To bardzo niebezpieczne okolice.
Kate nie spuszczała wzroku ze zmaltretowanej twarzy Rolla, której biała skóra poznaczona była czerwonymi otarciami, ranami i ciemnoniebieskimi sińcami.
- Skąd mogłabym wiedzieć, co tam robił?
- zapytała.

Kłamała.

Blaise był tego pewien.

Ale dlaczego kłamała?

Był tym nie tylko wstrząśnięty, ale i oburzony.

Dość dawno temu przezyciężyli wstępny antagonizm, sądził więc, że już doszli do jakiegoś modus vivendi.

Przynajmniej ostatnio Kate była w stosunkach z nim znacznie bardziej odprężona, już bez tego stale defensywnego nastawienia, nabierała też pewności siebie, w miarę jak coraz głębiej wchodziła w swą pracę i stawała się w niej coraz lepsza.

Tak naprawdę - wbrew temu, co mówił swej babce i co było wyłącznie kamuflażem z jego strony - Blaise ze znaczną przyjemnością odwiedzał Kate w Londynie, zgadując za każdym razem, jak bardzo też ta dziewczyna się zmieniała, nie tylko w sensie wyglądu i zadbania o siebie, ale także w sensie rozwoju osobowości.

A to ostatnie następowało u niej z taką samą szybkością, z jaką opalenizna pokrywa twarz wystawioną do słońca po długiej zimowej przerwie.

Tymczasem teraz wyglądało na to, że znów znaleźli się w punkcie wyjścia albo nawet w ogóle na pozycjach, które zajmowali, zanim jeszcze cokolwiek się między nimi zaczęło.

Najwyraźniej Kate znów patrzyła na niego jak na kogoś całkowicie obcego, rozmawiała z nim tak, jak rozmawia się z wrogiem, i próbowała kłamać, jak gdyby w każdej chwili spodziewała się jakiejś zdrady z jego strony.

- Czy pani wie, co to jest Miasto za Murem?

- zapytał.

Potrząsnęła głową na znak, że nie wie i że niewiele ją to obchodzi.

- To bardzo specyficzny obszar - polityczny anachronizm, pozostały po dawnych czasach.

Tą częścią miasta praktycznie nikt nie administruje i nikt nie przestrzega tam prawa.

Rządzą uliczne gangi, występki i zbrodnia.

I - o ile wiem - z całą pewnością nie ma tam czegoś takiego jak bary dla homoseksualistów.

Dlaczego więc Rollo tam właśnie się zapuścił?

- Nie wiem - skłamała Kate.

- Czy on w ogóle zna Hongkong?

Dopiero po chwili, i to wyraźnie niechętnie, Kate odpowiedziała: - Był tu podczas wojny.

- Jako kto?

- Występował w grupach ENSA, objazdowych zespołach artystycznych z programami dla żołnierzy.

To prawdopodobne, pomyślał Blaise, ale czy to na pewno cała prawda?

Być może Bellamy dla pozorów nosił mundur grup ENSA, a w rzeczywistości działał jako tajny agent?

Takie rzeczy oczywiście się zdarzały, ale dla Blaisea sama myśl o tym, że Rollo miałby pracować jako szpieg, była wręcz komiczna.

Bellamy szpiegiem?

No nie, pomyślał z rezygnacją, to byłby już nadmiar fantazji.

Ale wobec tego czemu Kate próbowała go okłamywać?

Jaki był prawdziwy powód przyjazdu Rolla do Hongkongu?

I dlaczego wybrał się do Miasta za Murem?

Był więcej niż pewien, że odpowiedź na to ostatnie pytanie była kluczowa, że tam właśnie należało szukać rozwiązania.

Nie na obrzeżu Miasta za Murem, gdzie znaleziono Rolla, ale właśnie gdzieś tam w środku, w plątaninie ciemnych uliczek, które prowadziły do serca miasta - całkowicie chińskiej części Kowloon.

Rollo Bellamy był gościem z Europy, a tych z reguły widuje się w zupełnie innej części miasta, w bogatej dzielnicy centralnej, gdzie mieści się i reprezentacyjny Hong Kong Club, i przeznaczony głównie dla przyjezdnych hotel "Mandarin".

Tam powinien być zamieszkać, a nie u jakiegoś Chińczyka, prowadzącego sklep z antykami i osobliwościami.

Ciekawe zresztą, co to za jeden, ten jego gospodarz?

I czemu Rollo przebrał się za Chińczyka?

- Czy Rollo zna język chiński?

- zapytał Blaise.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała Kate.

- Czy poza tym człowiekiem, u którego się zatrzymał, ma tu jeszcze jakichś innych znajomych lub przyjaciół?

- Nie wiem.

Ale skoro był tu podczas wojny...

Nadal nie mówiła mu całej prawdy.

Znów mu nie ufała, znów znalazł się w niełasce.

Dlaczego?

Jego cierpliwość - której zresztą nigdy nie miał za wiele - szybko zaczynała się wyczerpywać.

Ta dziewczyna potrafiła być naprawdę męcząca i ciążyła mu już niczym młyński kamień u szyi.

- Czy to pani go tu wysłała?

- Nie.

- A więc to był jego pomysł?

- Powiedział mi, że właśnie odezwał się do niego przyjaciel z dawnych lat, a on przy okazji mógłby rzucić okiem na tę aukcję.

- Ale przecież z całą pewnością musiała pani tu wysłać Jamesa Grievea, właśnie w tym celu?

- No to co?

- odparła Kate, nieco ostrzej, niż należało.

- Czy ja jestem aniołem stróżem dla Rolla?

- To nie, ale może to on jest kimś takim dla pani?

- zaryzykował Blaise.

Oczy Kate nagle rozbłysły w jej bladej twarzy.

- W każdym razie jest dla mnie prawdziwym przyjacielem, czego nie można...

- No, proszę, niech pani skończy - powiedział Blaise, równie nieżyczliwie.

- Czego nie można powiedzieć o mnie, prawda?

Twarz Kate znów zeszywniała.

- Co się, u diabła, z panią dzieje?

- wybuchnął Blaise.

- Można by sądzić, że to ja osobiście pobitem i okaleczyłem pani przyjaciela!

Kate nic nie odpowiedziała, ale w jej milczeniu wciąż kryło się jakieś oskarżenie.

Blaise spróbował opanować narastający w nim gniew i zapytał możliwie spokojnie: - Czy dzwonił do pani po przyjeździe do Hongkongu albo kontaktował się w jakikolwiek inny sposób?

Kate przecząco pokręciła głową.

Jednakże twarz jej na nowo stężała, co wskazywałoby, że i tym razem coś ukrywa.

Diabli nadali z babami, pomyślał Blaise.

Co się tu dzieje, do cholery?

W rzeczywistości Rollo zadzwonił do niej wieczorem po pierwszym dniu aukcji.

Rozmowa była krótka, Rollo powiedział tylko, że astronomiczne wręcz ceny, osiągnięte podczas sprzedaży, wydawały się uzasadnione, jeśli uwzględniono się rodzaj i jakość sprzedawanych arcydzieł chińskiej sztuki.

- Moim zdaniem - dodał jakby mimochodem - były to dzieła tej samej klasy, co ten twój bezcenny koń Tang.

Kate poczuła, jak serce nagle skoczyło jej w piersiach.

- Czy to znaczy, że mogły pochodzić z tego samego źródła?

- zapytała ostrożnie, wciąż nie mając dosyć odwagi, by w to uwierzyć.

- Tego jeszcze nie mogę powiedzieć na pewno, ale pracuję nad tym.

Powiem ci tylko tyle, że w moim przekonaniu te dzieła mogą być równie autentyczne, jak przysłowiowy już banknot o nominale trzech dolarów amerykańskich.

- To niemożliwe.

- Głos Kate był ledwie słyszalny.

- Nie odważyłaby się na to.

Coś takiego przecież nie mogłoby jej ująć na sucho.

Nie w takiej ogromnej skali!

- A ja ci mówię, że te sprzedawane tam rzeczy są akurat tak samo prawdziwe, jak trzydolarowy banknot albo nowe szaty cesarza z bajki Andersena.

- Nie, to niemożliwe - powtórzyła Kate.

- Dramatyzujesz, jak to masz w zwyczaju, albo też wypileś za dużo ryżowej wódki.

- Tylko skosztowałem, kochanie, i to wyłącznie jako znawca.

- Ale jak wobec tego...

- Żadnych dalszych pytań!

- uciał pośpiesznie Rollo.

- Nie będziemy już o tym rozmawiać, dopóki nie znajdę odpowiedzi na kilka pytań, które sam sobie zadałem.

- A ile czasu ci to zajmie?

- Tego też ci nie mogę powiedzieć.

- Albo nie chcesz - burknęła Kate.

- Tylko, na miłość boską, bądź przynajmniej ostrożny.

Co prawda wciąż sądzę, że te twoje podejrzenia w stosunku do niektórych osób są raczej paranoiczne, ale w każdym razie...

- ...w każdym razie kot powinien łapać myszy po cichu!

- przerwał jej Rollo.

-Chociaż w tym przypadku podejrzewam, że idzie już nie o myszy, ale o wielkiego, śmierdzącego szczura.

- Gdyby się okazało, że masz rację, to musiałyby tam być całe ich gniazdo.

- No więc wydaje mi się, że przynajmniej jednego z tych szczurów już namierzyłem.

Nie, nic więcej ci nie powiem.

Pas devant...

nie przez międzynarodową linię telefoniczną.

- Myślę, żeś ty po prostu lekko zwariował - powiedziała Kate czując, że ogarnia ją nagły i niewytłumaczalny lęk.

- Na miłość boską, nie wpakuj się tam w coś strasznego!

Jeszcze wpadniesz w sam środek jakiejś bandy!

- Nie wpadnę - oznajmił uroczyście Rollo.

- Nigdy nie lubiłem tłoku.

Dobrze o tym wiesz.

- Wobec tego wracaj natychmiast!

Zobaczyłeś już wystarczająco dużo, żebyśmy mogli się tym zająć.

Wracaj do Londynu, razem przedyskutujemy to wszystko i...

- Co ty opowiadasz?

Miałbym wracać teraz, kiedy dopiero zaczęło mi się naprawdę podobać?

Już zdążyłem trochę zapomnieć, jak bardzo rozkosznym miasteczkiem może być Hongkong.

Bądź grzeczną dziewczynką i pilnuj interesów firmy.

Będę z tobą w kontakcie.

- Rollo odłożył słuchawkę, nim Kate zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Teraz, kiedy przypomniła sobie tę rozmowę, przeszył ją nagły dreszcz.

Tak, przecucie jej wtedy nie omyliło.

Rollo na pewno musiał dotknąć jakichś ciemnych i śmiertelnie niebezpiecznych spraw, a ona nie miała nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć.

Gdyby zwierzyła się Blaiseowi Chandlerowi, każde słowo trafiłoby natychmiast do jego żony.

Kate wiedziała już, że nigdy nie może mu zaufać, niezależnie od tego, jak dalece będzie teraz udawał obrażonego.

Nie, w żadnym wypadku nie może opowiedzieć.

Nic i nikomu.

Wiedziała zresztą tylko o pewnych podejrzeniach Rolla - bez żadnych konkretnych faktów - a poza tym skąd mogła wiedzieć, czy i sam Blaise Chandler nie jest jakoś w to zamieszany?

W końcu przyjeżdżał do Hongkongu bardzo często, właściwie regularnie.
Więc gdyby się okazało, że jego żona jednak zaaranżowała najbardziej monstrualne oszustwo w dziejach handlu dziełami sztuki, to -jeśli to zrobiła - jej mąż przecież musiałby o tym wiedzieć.
A kiedy to wyjdzie na jaw...
Kate nagle poczuła, że na samą myśl o tym ogarniają ją mdłości.
Firma Desparda zostanie zrujnowana.
Ona też będzie zrujnowana.
Lata ciężkiej pracy jej ojca pójdą na marne.
Wciąż nie wiedziała, co takiego mógł odkryć Rollo podczas swoich poszukiwań, wiedziała tylko, że teraz był bliski śmierci właśnie z tego powodu.
Była pewna, że chciano go zabić.
Lekarze powiedzieli jej, że nie umarł na miejscu tylko dzięki wyjątkowemu szczęściu.
Gdyby ta stara kobieta nie znalazła go tak wcześnie rano albo gdyby policja nie zauważyła jej akurat przy przeszukiwaniu jego kieszeni, Rollo po prostu już byłby martwy.
To prowadziło do następnego wniosku, który przeraził ją jeszcze bardziej.
Rollo, póki jeszcze żył, był stale w niebezpieczeństwie, ponieważ ktoś chciał, żeby zginął.
Kimkolwiek był ten ktoś, musiał się czuć śmiertelnie zagrożony.
Ludzie w takim zagrożeniu postępują w sposób nie kontrolowany, niejednokrotnie szaleńczy, i gotowi są na wszystko.
Kate poczuła, że nagle ogarnia ją przerażenie.
Znała już swą przybraną siostrę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jak potrafi być niebezpieczna, nawet wtedy, gdy w ogóle nie jest zagrożona.
Z czego wynikało w sposób oczywisty, że ona, Kate, musi teraz być szczególnie ostrożna i nieufna w stosunku do wszystkich i wszystkiego.
Tego rodzaju wróg może uderzyć w każdej chwili.
Znienacka, tak jak to się stało w przypadku Rolla.
Tak więc odtąd nie wolno jej wierzyć nikomu.
A już zwłaszcza Blaiseowi Chandlerowi, niezależnie od okazywanego przezeń zaangażowania i zatroskania jej sprawami.
Nie wolno ani na chwilę zapomnieć, że jest mężem Dominique.
Z tego właśnie powodu Kate postanowiła, że nadal będzie kłamać.
Blaise przyglądał się jej z niepokojem.
Było dla niego oczywiste, że choćby na parę godzin należy ją uwolnić od tej nieustannej presji, że powinna choć trochę odpocząć.
- Zabiorę panią do hotelu, musi się pani przespać.
Proszę się ze mną nie spierać.
- Powiedział to takim tonem, że Kate nic nie odrzekła i tylko mocniej zacisnęła usta.
- Niech pani łaskawie zechce się odwołać do odrobiny zdrowego rozsądku.
Jaką korzyść pani przyjacielowi przyniesie to, że pani sama wykończy się wskutek krańcowego wyczerpania?

Jeśli pani chce mu pomóc, to przede wszystkim należałoby mieć na to jakieś siły, a tych pani teraz ubywa z każdą chwilą.

Trzeba natychmiast iść do łóżka i spać, ile się tylko da, dać odpocząć ciału, odetchnąć od tej gonitwy myśli i dopiero wtedy wrócić do niego.

W każdym razie Rollo to właśnie kazałby pani zrobić, prawda?

Kate musiała mu przyznać rację.

Rollo zawsze zjadliwie i sarkastycznie odnosił się do wszelkich altruistów, a już zwłaszcza tych, którzy wciąż się dla kogoś poświęcali.

Nazywał takich męczenników najbardziej zakłamanymi egoistami na świecie, robiącymi interes na poświęcaniu się i wiedzącymi bardzo dobrze, kto na tym wszystkim wychodzi najlepiej - w ostatecznym rachunku.

No tak, ale jeżeli Rollo odzyska przytomność właśnie w tym czasie, kiedy jej przy nim nie będzie?

Jeżeli akurat wtedy powie coś bardzo ważnego, a ona tego nie usłyszy?

- Niech pani tylko nie próbuje znów stawać się tą nieznośną i męczącą dziewczyną, którą pani była, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy!

- ostrzegł Blaise.

- Naprawdę nie mam już ochoty oglądać kogoś takiego.

Nie powinien był tego mówić.

Kate wybuchła natychmiast.

- Mało mnie obchodzi, co się panu we mnie podoba czy nie podoba i co pan w ogóle o mnie myśli!

To wszystko i tak wydarzyło się przez pana i tę pańską...

- W ostatniej chwili ugryzła się w język i powstrzymała się przed dopowiedzeniem zdania do końca.

- Przeze mnie i moją...

co?

- zapytał łagodnie Blaise.

Uważaj, co mówisz, ostrzegła samą siebie Kate.

Powściągnij swój język, bo inaczej źle się to dla ciebie skończy.

On nie może się niczego domyślić, bo inaczej natychmiast ostrzeże swoją żonę.

Zawsze przecież przeważa lojalność wobec niej, to normalna kolej rzeczy.

Nie przyszło jej do głowy, że to normalna kolej rzeczy tylko dla kogoś takiego jak ona.

Tak czy inaczej zrezygnowała z dalszych utarczek i zaskakująco pokornie przyznała, że nie zmrużyła oka ani w samolocie, ani tu w szpitalu po przyjeździe, przeszło trzydzieści sześć godzin temu.

- Przepraszam pana za mój wybuch.

Oczywiście ma pan całkowitą rację.

Jeżeli doprowadzę do tego, że sama się rozchoruję, będzie to po prostu głupie.

Może więc znajdzie się tu jakiś pokój dla mnie, albo przynajmniej łóżko, którego akurat nie używają.

Bo tak naprawdę nie chciałabym się oddalać od Rolla...

- Kate podniosła się i nagle poczuła, jak bardzo zeszywniały jej nogi, a zwłaszcza plecy.

Miała wrażenie, że wszystkie jej mięśnie zaczęły jednocześnie drżeć z krańcowego wyczerpania.

Blaise błyskawicznie okrążył łóżko i ostrożnie podtrzymał ją za łokcie.

- Jak długo pani tu siedziała w ten sposób?

- zapytał surowo.

- Prawie przez cały czas, od chwili gdy tu przyjechałam.

- Przecież to naprawdę cholernie głupie!

Czy w ogóle może pani jeszcze chodzić?

- Oczywiście, że mogę.

Nogi mi trochę zdrętwiały, i to wszystko - odpowiedziała, choć musiała przyznać, że podtrzymujące ją dłonie Blaisea okazały się bardzo pomocne.

- Musi pani natychmiast coś zjeść i pójść spać - oświadczył Blaise tonem, który wykluczał wszelki sprzeciw.

- Nie potrafiłabym nic przelknąć, ale rzeczywiście jestem zmęczona.

Jeżeli jest tu w szpitalu jakieś łóżko...

Jednak Blaise zlekceważył jej opór, najwyraźniej mając zamiar zmusić ją do posłuszeństwa nawet siłą, w razie potrzeby.

- Zabieram panią ze szpitala.

Gdyby cokolwiek się zdarzyło, natychmiast mnie powiadomią.

Kate poddała się.

Była zbyt zmęczona, żeby dłużej się opierać.

Głowę miała ciężką, pod powiekami czuła piasek, ale wciąż odwracała się w stronę Rolla, przyglądając mu się z głębokim niepokojem.

- Naprawdę nie ma szans, żeby przebudził się w najbliższych godzinach - powiedział Blaise, już znacznie łagodniejszym tonem.

- Na razie wciąż jest w głębokiej śpiączce.

Kate w końcu odwróciła twarz, ale jej oczy wciąż były pełne udręki.

Ona chyba naprawdę jest szczerze przywiązana do tego starego nicponia, pomyślał Blaise.

W samochodzie Kate z westchnieniem odchyliła się na miękkie oparcie i przymknęła oczy.

Zanim samochód zdążył dojechać do luksusowego hotelu "Na Półwyspie", gdzie firma Chandler Corporation miała zarezerwowany na stałe apartament, dziewczyna już spała.

Blaise musiał ją obudzić, a potem pomóc jej wejść po schodach, prowadzących do głównego hallu.

Nagły podmuch wiatru obryzgał jej twarz kropelkami wody, porwanymi z pobliskich fontann.

Kate spojrzała uważniej i zapytała półprzytomnie: - Gdzie jesteśmy?

- Przy hotelu "Na Półwyspie".

- Aha.

Szła dalej tak, jakby nadal spała.

W windzie zupełnie bezwładnie oparła się o niego, a kiedy stanęli przed otwartymi dla nich drzwiami apartamentu, Blaise musiał ją po prostu wziąć na ręce i zdziwił się, że jest aż tak lekka.

Zaniósł ją prosto do sypialni - której drzwi zamknął za sobą kopnięciem - i ostrożnie ułożył po jednej stronie ogromnego łóżka.

Potem przeszedł na drugą stronę, by odchylić lekką kołdrę i poprawić poduszkę.

Wrócił znów do Kate, ściągnął z jej nóg pantofle, a następnie odpiął guzik i rozsunął zamek błyskawiczny u jej spodni.

Lekko unióś jej nogi, nieco zaskoczony tym, że to ciało zgięło się przy tym tak łatwo - niczym miękkie korpus jakiejś szmacianej laleczki.

W rezultacie ściągnięcie jej spodni nie sprawiło mu większego trudu.

Patrzył na nią jakby bezosobowo, ale zauważył wprost niezwykłą długość nóg, które zdawały się zaczynać niemal pod jej pachami; były szczupłe, pięknie ukształtowane, ze smukłymi mięśniami lekkoatletki.

Teraz Blaise spróbował unieść do góry jej tułów, ale uzyskał tylko tyle, że całkowicie nieprzytomna Kate opadła bezwładnie wprost na niego, nadal nie wiedząc o bożym świecie.

Udało mu się ściągnąć z niej sweterek, a potem rozpiąć kolejno wszystkie guziki bluzki.

Ku jego pewnemu zaskoczeniu okazało się, że Kate nosi bardzo kobiecą bieliznę.

Najwyraźniej zmieniło się w niej wszystko, a przynajmniej to, co było na zewnątrz.

Poczynając chyba od skóry- Jej cieniutki biustonosz składał się głównie z koronki, której delikatny odcień harmonizował z różowością sutków, dość wyraźnie prześwitujących przez przejrzysty jedwab i owe koronkowe ażury.

Blaise postanowił nie zdejmować z niej tego biustonosza, podobnie jak i wążutkich francuskich majteczek.

Kiedy delikatnie popchnął ją znów na poduszkę, Kate zareagowała tylko niewyraźnym mruknięciem i zwinęła się w embrionalnej pozycji w niemal idealną kulę.

Blaiseowi udało się jakoś przetoczyć ją na drugą stronę łóżka i starannie przykryć.

Kate westchnęła przez sen, przekręciła się niespokojnie kilka razy i w końcu znieruchomiała, z twarzą wtuloną w poduszkę.

Wychodząc z sypialni Blaise zostawił zapaloną tylko jedną nocną lampkę, bardzo dokładnie zamknął za sobą drzwi, po czym podszedł do telefonu.

Kate spała przez osiemnaście godzin bez przerwy.

Kiedy się obudziła, cyfrowy budzik przy jej łóżku wskazywał, że jest piątek i prawie siódma wieczorem.

Gwałtownie usiadła, nie całkiem jeszcze przytomnym wzrokiem spojrzała na siebie, nagle zdając sobie sprawę, że jest rozebrana.

Pośpiesznie uniosła głowę i zobaczyła swoje rzeczy bardzo porządnie ułożone na oparciu stojącego pod oknem krzesła.

Pamiętała tylko tyle, że Blaise Chandler tonem nie znoszącym sprzeciwu zapowiedział, że zabiera ją do hotelu.

Jaki to mógł być hotel?

Kate sięgnęła po kartonik firmowych zapalek, leżący w kryształowej popielniczce.

Hotel "Na Półwyspie" -głosił napis.

Blaise Chandler musiał zatem nie tylko przywieźć ją tutaj, ale też rozebrać i położyć do łóżka.

Niejasno przypominała sobie, że w pewnym momencie ktoś ją gdzieś wnosił na rękach, ale nie pamiętała nic więcej.

No trudno, powiedziała sobie, więc teraz wie o niej nawet to, co jest może najgorsze.

A co jest najgorsze?

- pomyślała, i nagle to sformułowanie przypomniało jej o wszystkim.

Może rzeczywiście stało się to najgorsze?

Gorączkowo sięgnęła po słuchawkę stojącego obok telefonu.

Co prawda nie знаła numeru do szpitala, ale hotelowe telefonistki muszą go przecież znać.

Już po chwili dowiedziała się, że stan pana Bellamyego nie uległ żadnej zmianie.

Odłożyła słuchawkę i na chwilę znów opadła na poduszkę.

Potem ponownie sięgnęła po słuchawkę.

W Londynie musiała być chyba akurat dwunasta w południe.

Połączyła się z Johnem Steadmanem, któremu powiedziała, że na razie pozostanie w Hongkongu, przynajmniej do czasu, gdy będzie wiadomo, co dalej z Rollem i czy ma szansę wyzdrowienia.

- W firmie wszystko w porządku, mam nadzieję?

- zapytała.

- Ależ tak, niech się pani niczym nie martwi.

Wszystko idzie jak po maśle.

Przygotowania do aukcji Courtland Park trwają w pełni i prowadzone są dokładnie według pani naprawdę znakomitego harmonogramu.

Wynajęta przez nas specjalistyczna ekipa czyści i pucuje cały dom, całością prac kieruje tam Dorothy Bainbridge wraz ze swym zespołem.

Drukarze są już bardzo zaawansowani w pracach nad katalogiem, fotograf działa pod nadzorem Dorothy; wszystko jest dokładnie zgodne z pani planami i pozostawionymi szkicami.

- Nie ma żadnych problemów?

- W każdym razie nie ma żadnego takiego, z którym nie można byłoby sobie poradzić.

Nic, czym warto by panią niepokoić.

Najważniejsze jest, żeby Rollo wyzdrowiał, wszyscy najszczerzej mu tego życzymy.

Wiemy, jak bardzo jest pani do niego przywiązana.

- Dziękuję, John.

Zadzwońię znów do pana, kiedy będę miała jakieś nowe wiadomości.

Kate odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała nieruchomo, zastanawiając się nad wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin.

Ku własnemu zdziwieniu nie odczuwała żadnych silniejszych emocji.

Prawdopodobnie jest to reakcja po wydarzeniach poprzednich dni, uznała w końcu.

Nawet fakt, że Blaise Chandler rozbierał ją i kładł do łóżka, nie zrobił na niej większego wrażenia.

Choć spała długo i bardzo głęboko, bez jakichkolwiek snów, wciąż czuła się mocno zmęczona, czy może raczej dziwnie ociężała, obojętna i wręcz apatyczna.

Trochę tak, jakby jej własny umysł też popadł w rodzaj śpiączki.

Postanowiła się podnieść i wziąć prysznic.

To chyba pomoże jej jakoś zacząć funkcjonować.

Właśnie kończyła się wycierać, kiedy zadzwonił telefon.

Okazało się, że to księżna Agatha.

- Skąd pani wiedziała, że tu jestem?

- zapytała Kate.

- Mój chłopiec mi wszystko powiedział.

Posłałam go, żeby ci pomógł.

Czy pomógł rzeczywiście?

- Był bardzo uprzejmy - odpowiedziała dyplomatycznie Kate.

- A co z tym twoim przyjacielem?

Jak się teraz czuje?

- Obawiam się, że wciąż jest z nim bardzo źle...

- Kate pokrótce opowiedziała starszej pani o pobiciu, ciężkich ranach i wewnętrznych obrażeniach Rolla.

- No, przynajmniej jest w dobrym szpitalu - mruknęła Agatha.

- Powinnam pani bardzo podziękować - zaczęła Kate.

- Nie ma za co.

W końcu po co miałoby się przyjaciół, jeżeli nie mieliby pomóc w takiej sytuacji?

- Mimo wszystko, księżno, jest pani dla mnie prawdziwym aniołem stróżem.

- Na pewno nie bardziej niż dla kogokolwiek innego z moich przyjaciół - odpowiedziała księżna, z udaną opryskliwością.

- A ty tam uważaj także na własne zdrowie, żebyś się przy okazji i sama nie wykończyła...

Zapowiedziałam szefom tego mojego szpitala, że mają dla ciebie zrobić wszystko, co zechcesz.

Oczywiście nie mówiąc już o tym, że zrobią wszystko, co możliwe, dla pana Bellamyego.

- Och, księżno, wprost nie wiem, co mam powiedzieć...

- zaczęła Kate, a jej głos z trudem wydobywał się ze ściśniętego wzruszeniem gardła.

- Masz powiedzieć, że będziesz grzeczną dziewczynką i będziesz słuchać tego, co się do ciebie mówi.

Jego na pewno nie będę słuchać, pomyślała Kate, znów czując rodzący się w niej bunt.

Nie mogła jednak przyznać się do tego w takiej rozmowie.

- Tak, księżno - skłamała gładko.

- Masz teraz za sobą mnie i mojego chłopca, więc nie jesteś już osamotniona.

Ależ jestem, pomyślała rozżalona Kate.

Jeszcze nigdy nie czułam się aż tak samotna.

- Blaise będzie czuwał nad tobą i miał na ciebie oko.

W tym całe nieszczęście, pomyślała Kate, oczywiście starając się, by w żaden sposób nie zdradzić tego księżnej.

On, nawet kiedy ma mieć na mnie oko, tak naprawdę w ogóle mnie nie widzi.

A co gorsza, teraz już nie miałabym odwagi, żeby mu zaufać.

- I koniecznie dzwoni do mnie natychmiast, gdybyś czegokolwiek potrzebowała albo po prostu chciała porozmawiać.

- Na pewno to zrobię - obiecała Kate.

Tak bardzo chciałaby móc właśnie z księżną szczerze porozmawiać o wszystkim.

Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego opowiedzieć nikomu.

Przebrała się w świeże rzeczy, jako że jej jedyna torba podróżna, z którą przed paroma dniami wyruszyła w drogę, jakimś cudownym sposobem znalazła się tuż obok jej łóżka.

Podeszła do okna, przypatrując się światłom statków i łodzi na zatoce.

Nagle usłyszała dobiegające od strony salonu pukanie.

- Proszę.

Drzwi otworzyły się i wszedł Blaise Chandler.

- Wysłana?

- zapytał.

- Tak, dziękuję.

- I głodna?

Kate z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że rzeczywiście jest głodna.

- Tak, chyba chętnie bym coś zjadła.

- Doskonale.

Wobec tego idziemy.

- Dokąd?

- Do jednej z najślawniejszych pływających restauracji w Hongkongu.

Teraz trzeba się wyrwać z szarości ponurych myśli, więc przyda się pani trochę atrakcyjnej, barwnej egzotyki.

- No, ale szpital...

- Co szpital?

- Przecież powinnam tam pojechać.

- Dlaczego "powinnam".

I co pani będzie mogła tam zrobić?

Ten jego bezlitosny zdrowy rozsądek, to było coś takiego, jak nagle oblanie kubłem zimnej wody.

Miał rację, jak zawsze, ten pełen arogancji pyszałek.

- Zanim wyjdziemy, może pani zadzwonić do szpitala, jeżeli pani koniecznie chce.

W ten sposób uspokoi pani to swoje kalwińskie, szkockie sumienie.

I zyska pewność, że ma pani prawo także trochę się rozerwać.

- Już tam dzwoniłam - powiedziała dość niewyraźnie Kate.

- Proszę?

Nie dosłyszałam.

- Powiedziałałam tylko, że już tam dzwoniłam.

- No to na co jeszcze czekamy?

- spytał z sarkazmem, który wydał się Kate tak ostry, że można by nim opłować paznokcie.

Na dole czekał na nich jego kabriolet, składany dach był schowany, jako że wiejący od morza wiaterek był dość ciepły, choć nieco wilgotny.

Podjechali do jednej z licznych przystani, skąd chińska dżonka zawiozła ich przez zatokę na pobrzeże zwane Aberdeen, gdzie zakotwiczona była większość pływających restauracji Hongkongu.

Kiedy zbliżali się do jednej z nich, Kate popatrzyła i powiedziała bez zastanowienia: - To wygląda tak, jak pływający dom towarowy Harrods, udekorowany odświętnie na Boże Narodzenie.

Blaise roześmiał się, a Kate stwierdziła, że jej nastrój gwałtownie się poprawił.

Zmęczenie i ociężałość gdzieś znikły, zwłaszcza gdy już zaczęli wchodzić po schodach prowadzących na pokład, a apetyczne zapachy sprawiły, że do ust mimo woli napłynęła jej ślinka.

Wszystko wokół było błyszczące i kolorowe, zewsząd dobiegały odgłosy rozmów, śmiech, dźwięki egzotycznej muzyki.

Blaise jednak miał rację, pomyślała Kate.

Właśnie czegoś takiego było jej trzeba, by mogła wyrwać się z depresji.

Skąd wiedział, że była właśnie w takim stanie?

Główna sala jadalna rozciągała się na całej długości wielkiej czteropokładowej łodzi, utrzymana była w jednolitej tonacji szkarłatnej czerwieni i złota.

Nawet serwety na stołach były czerwone, ciepłe intymne światło padało z wyszukanie ozdobnych chińskich latarni, całość wystroju była po prostu wspaniała.

Uśmiechnięte twarze kelnerów, szmer rozmów siedzących przy stołach gości - a może także i to szczególne oddanie, z jakim Chińczycy podchodzą do spraw jedzenia - wszystko to bardzo poprawiło nastrój Kate.

- Czy pan często tu bywa?

- zapytała, podczas gdy kelner odsunął krzesło i pomógł jej zająć miejsce.

- Właściwie tylko wtedy, kiedy mam gości spoza Hongkongu.

Lubi pani chińską kuchnię?

- Jeżeli ma pan na myśli prawdziwą chińską kuchnię, to właściwie nie wiem.

Znam tylko chińskie potrawy, które w Londynie kupuje się na wynos albo zamawia z dostawą do domu.

- Wobec tego czeka panią prawdziwe przeżycie, jak sądzę.

Ta restauracja podaje potrawy kuchni kantońskiej, uważanej za najlepszą z regionalnych kuchni chińskich.

W każdym razie Chińczycy mają przysłowie, które mówi: żyj w Su Czau, bo tam są najpiękniejsze kobiety, umieraj w Lu Czou, bo tam robią najlepsze trumny z drewna tekowego, ale jedz w Kwangczu.

Kwangczu to chińska nazwa Kantonu.

Kate uważnie studiowała menu.

- Wszystko, co dotychczas znałam z tej kuchni, to - w naszej angielskiej transkrypcji chińskich nazw - tylko "chop suey", jajka "foo yung", no i "chów mein".

- Akurat tego pani tu nie dostanie.

Zresztą te potrawy tak naprawdę wymyślili Amerykanie.

Kate odłożyła menu.

- Więc lepiej niech pan sam po prostu zamówi coś dla mnie.

Postaram się panu zaufać.

- Chyba najwyższy czas, by pani wreszcie mi zaufała.

Kate, która nagle zdała sobie sprawę, że te jego lśniące czarne oczy znów zaczynają odzyskiwać nad nią część dawnej władzy, pośpiesznie odwróciła twarz i nie widzącym wzrokiem zaczęła wpatrywać się gdzieś w przestrzeń za oknem.

Co się z nią dzieje, u diabła?

- zastanawiał się Blaise, którego to jej zachowanie znów zaczynało gniewać.

Ta huśtawka nastrojów - to jest swobodna i rozluźniona, to znów spięta, jak jakaś nietknięta dziewica.

Zresztą, pewnie rzeczywiście wciąż jest dziewicą, to bardzo do niej podobne.

Blaise uznał w końcu, że najlepsze, co może zrobić w tej sytuacji, to nakłonić ją, żeby jednak przede wszystkim coś zjadła.

No i popiła to sporą ilością ryżowego wina.

Jakoś przecież należy skrycie podkopać ten jej twardy jak skała, zacięty upór, by w końcu wydobyć z niej to, co wciąż pragnie ukrywać.

Blaise nigdy nie miał ani czasu, ani ochoty na żmudne przebijanie się do świadomości osób, które zwykły pielęgnować swoje sekrety, tuląc je do piersi niczym najukochańsze dzieci.

Z tym, że jeżeli już idzie o tulenie do piersi...

Blaise nagle bardzo wyraziście przypomniał sobie młodzutki biust Kate, krągłe piersi w różowym jedwabnym biustonoszu, ciemnoróżowe sutki, tak kusząco prześwitujące poprzez przejrzystą koronkę.

Postarał się, by ten obraz zniknął z jego myśli równie szybko, jak się tam pojawił.

W ogóle w żaden sposób nie umiał zgadnąć, jak właściwie powinien był się zachować.

Kiedy ostatni raz widzieli się w Londynie, wszystko zdawało się świadczyć, że rozstawali się prawie jak przyjaciele.

Więc o co, u diabła, może teraz mieć do niego pretensje?

Blaise postanowił, że przynajmniej tego dowie się tak czy inaczej.

- Proponowałbym zacząć od czegoś z różna.

Kantońska kuchnia jest w tym po prostu niezrównana.

Kate zgodziła się i już wkrótce postawiono przed nią delikatne płaty młodzutej wieprzowiny podane razem ze złocistą, upieczoną w miodzie skórką, a obłożone specjalnie spreparowaną fasolą o anyżkowym zapachu.

To samo Blaise zamówił również dla siebie.

Danie było po prostu przepyszne i Kate wręcz pochłonęła je, aż do ostatniego kawałeczka.

Potem podano im kaczkę po pekińsku.

Kate patrzyła zafascynowana, jak szef kuchni, który osobiście podszedł do ich stolika, błyskawicznie dzielił kaczkę olbrzymim, ostrym jak brzytwa, chińskim kuchennym nożem, zręcznie przecinając najpierw upieczoną na złoto skórkę, a następnie wspaniale kručę

mięso, które przed zjedzeniem zanurzało się w dość gęstej słodkawej masie z przetartych ziaren soi, zmieszanych ze świeżą wiosenną cebulką i ogórkami.

Całość umieszczano się na cienkim niby wafel zbożowym placku - typu meksykańskiej tortilli - trochę przypominającym złożony na pół i podsuszony naleśnik, a następnie to wszystko jadło się palcami.

Blaise powiedział coś do szefa kuchni, który rozpromienił się i skinął potakująco głową. Tak więc po kaczce podano im doskonałą zupę.

Kate była nieco zdziwiona, że przy żadnej z potraw nie podano im ryżu, ale Blaise wyjaśnił jej, że w tej kuchni ryż podaje się tylko na życzenie gościa.

Zamiast tego jedli pyszny makaron, który zresztą przygotowano wprost przy ich stole.

Całość posiłku Kate zakończyła najwspanialszym deserem: była to chińska wersja jabłek przygotowanych na modłę śmietankowych karmelków toffi.

Soczyste i bardzo gorące jabłka opuszczało się nagle do lodowatej wody, co sprawiało, że ich skórka i miąższ przekształcały się w popękana, pokrytą warstwą sezamu i cudownie smaczną kulkę.

Podczas jedzenia kolejnych dań, a także w przerwach między nimi, Kate wypila sporo ryżowego wina.

Tak więc, kiedy na zakończenie posiłku zanurzyła palce w postawionej przed nią miseczce z wodą, a następnie wytarła je podanym przez kelnera gorącym ręcznikiem, poczuła bardzo wyraźnie, że jest nie tylko najedzona niemal po gardło - zwłaszcza że był to jej pierwszy prawdziwy posiłek w czasie ostatnich trzech dni - ale i trochę pijana.

Pokręciła przecząco głową, kiedy Blaise zaproponował jej jeszcze szklaneczkę wina.

- Proszę się przyznać, co panią wciąż tak martwi?

- spytał Blaise, który postanowił teraz przejść do frontalnego ataku.

- Poza krytycznym stanem pani przyjaciela jest chyba jeszcze coś, prawda?

Coś panią dręczy, i chyba w jakiś sposób jest to związane ze mną.

Jeżeli ma pani jakąś urazę czy pretensje do mnie, proszę mi to powiedzieć wprost.

Kate jednak nie odpowiedziała, usilnie starając się wymyślić naprędce jakieś usprawiedliwienie dla swego zachowania.

A zachowała się po prostu głupio, nie potrafiąc ukryć narastającego w niej antagonizmu.

Blaise spojrzał na nią i powiedział z jawnym zniecierpliwieniem: - Najwyraźniej zrobiłem coś, czego nie powinienem był zrobić, albo może nie zrobiłem czegoś, co zrobić powinienem.

W każdym razie gdyby spojrzenia mogły zabijać, to już parę razy powinienem się znaleźć w tym samym szpitalu, na łóżku ustawionym tuż obok łóżka Rolla.

- Byłam po prostu bardzo przygnębiona - z trudem wymamrotała Kate.

W końcu nie mogła mu przecież powiedzieć tego prosto w oczy.

Że on, Blaise Chandler, celowo, albo też jako plotkę, opowiedział swojej żonie, iż Kate spotyka się - tak na płaszczyźnie zawodowej, jak i osobistej - z bardzo ważnym dla niej człowiekiem, od którego zależy ostateczna decyzja w sprawie kolekcji Courtland Park.

I że w rezultacie jego żona natychmiast przyjechała do Londynu, by zaanektować owego człowieka i manipulować nim w sobie tylko właściwy sposób?

Nie, czegoś takiego nie mogła mu powiedzieć.

Wzdrygnęła się na samą myśl.

Teraz był poirytowany i gniewny, oczywiście - ale to przecież była wręcz błahostka w porównaniu z tym, co działałoby się, gdyby choćby napomknęła mu, że jego własna żona przyprawiała mu rogi z jakimś Nicholasem Chevely.

- Wiem, że była pani przygnębiona.

Ale poza tym była pani również rozgniewana, wręcz wściekła.

Dlaczego?

- Blaise najwyraźniej nie dawał się zbyć byle czym.

Kate nadal próbowała się wykręcać, odpowiadając mu dwuznacznie i właściwie nie na temat: - Przecież nie prosiłam, żeby pan tu przyjeżdżał, prawda?

Powinien pan zrozumieć, że sama potrafię sobie radzić, nawet jeśli pan wydaje się w to wątpić.

- To moja babka tak przejęła się tym wszystkim, nie ja.

Dla mnie jest pani osobą, która sama o sobie decyduje i może postępować tak, jak się jej podoba, ale moja babka jest bardzo starą kobietą, której pozostało już niewiele czasu i która ma skłonność, by w każdej sytuacji brać wszystko w swoje ręce.

- Nie - zaprzeczyła Kate.

- To wcale nie tak było.

- No więc jak to było, pani zdaniem?

Prawnik zawsze pozostaje prawnikiem, pomyślała Kate, gwałtownie szukając czegoś, co pozwoliłoby jej jakoś się wykręcić.

On naprawdę chce mnie przesłuchiwać jak w sądzie, dopóki się nie przyznam.

- No więc po prostu pomyślałam, że to pan sam się wtrąca - skłamała.

- A ja byłam zmęczona i niezdolna do rozsądnego myślenia.

Przepraszam, jeśli sprawiłam wrażenie, że nie jestem wdzięczna panu i pana babce.

W rzeczywistości jestem ogromnie wdzięczna i zobowiązana.

Ale wtedy byłam krańcowo zmęczona, a w dodatku przygnębiona i zatroskana.

Poza tym byłam, być może, cokolwiek urażona faktem, że pan zdawał się tu tak łatwo brać wszystko w swoje ręce, łącznie ze mną.

- Ja po prostu znam Hongkong.

I mam tu spore wpływy.

Mogę dotrzeć tam, gdzie pani nie mogłaby dotrzeć w żaden sposób i osiągnąć to, co dla znakomitej większości przybyszów jest nieosiągalne.

Ale jeżeli pani nie chce, żebym się tym zajmował.

- Nie!

- zaprotestowała pośpiesznie.

- Ależ chcę, to znaczy, chcę, żeby pan też postarał się dotrzeć do tego, co się pod tym wszystkim kryje.

To znaczy...

-Urwała nagle, przerażona samą myślą o tym, co tu było do odkrycia, jeżeli podejrzenia Rolla były zasadne.

Być może ktoś się spodziewał takich działań i tylko czekał, żeby natychmiast zareagować dokładnie tak samo, jak w przypadku Rolla.

Chcąc nie chcąc Kate czuła się jak ścigana zwierzyna i wciąż nie potrafiła znaleźć wyjścia.

Blaise wyczytał wiele z jej twarzy.

A w każdym razie był pewny, że Kate nadal nie mówi mu całej prawdy.

I że wciąż jest czymś przerażona, pozostaje w nieustannym lęku.

Co się tu, u diabła, dzieje?

I czemu wciąż nie chce mu nic powiedzieć?

Bóg raczy wiedzieć, na jaki trop wpadł tu ten stary obwieś Bellamy.

Jednakże cokolwiek to było, Kate najwyraźniej była tym zbyt przerażona, żeby mu teraz o tym powiedzieć.

A dlaczego to wszystko działo się akurat w Hongkongu?

Hongkong dla firmy Desparda to przecież niejako prywatne terytorium Dominique.

Dominique...

Imię jego żony zadziało jak nagłe przekręcenie wyłącznika.

Tak jakby naraz zapaliły się wszystkie światła.

No oczywiście.

To musi mieć coś wspólnego z tą cholerną sprzedażą, z tą jej "aukcją stulecia".

Bo po co Bellamy przyjechałby tu nieoficjalnie, skoro oficjalnie Desparda London reprezentował James Grieve?

A więc Rollo pojawił się w innym celu, żeby coś przewąchać, to było oczywiste.

I został na tym przyłapany.

Ale co właściwie zamierzał wykryć?

Blaise jeszcze raz spojrzał na Kate i - nie bez ukrytego zamysłu - powiedział: - No więc dobrze.

Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby się dowiedzieć, komu pan Bellamy aż tak się tu naraził, czy też wszedł w drogę.

W końcu to miasto aż się roi od różnych ciemnych typów wszelkiego rodzaju, z reguły powiązanych najróżniejszymi, jeszcze ciemniejszymi związkami.

Poza tym myślę, że ta przygotowana przez moją żonę "aukcja stulecia" też musiała być wydarzeniem, które tu poruszyło wszystkie środowiska...

Mówiąc to, Blaise uważnie przyglądał się reakcji Kate na tę przemyślną psychologiczną przynętę.

Ale Kate zachowała się jak ostrożna ryba, która tylko powąchała haczyk i natychmiast odpłynęła.

Dokładniej mówiąc, po prostu opuściła wzrok, a następnie odwróciła oczy w stronę okna, tak jakby za nim było akurat coś szczególnie ciekawego.

O czym myślała?

Chryste Panie, pomyślał Blaise, któremu nagle przyszła do głowy potworna myśl.

Poczuł się tak, jakby ktoś go nagle kopnął w żołądek albo w spłot słoneczny.

Ale czy to możliwe, żeby kobieta - bądź co bądź kobieta - poważyła się na coś takiego?

Przypomniał sobie rozmowę ze swoją żoną.

Pojechał do niej do firmy, kiedy Kate jeszcze wciąż spała.

Dominique była ciągle niesłuchanie rozgorączkowana i podekscytowana osiągniętym sukcesem.

- Skoro jesteś, to pewnie już usłyszałeś o moim triumfie - stwierdziła żartobliwie i prowokująco jednocześnie.

- Żeby o tym nie słyszeć, trzeba by chyba być nieboszczykiem - powiedział Blaise. Zastanawiał się, czy jego żona wie o tym, co stało się z Rollem, i skorzystał z okazji, żeby jej to powiedzieć.

- A jeżeli już mówimy o nieboszczykach, to Rollo Bellamy jest bardzo bliski tego stanu. Niebieskie oczy Dominique znieruchomiały na chwilę, patrząc na niego pytająco.

- Bellamy?

A, masz chyba na myśli tego starego pedała, londyńskiego przyjaciela tej małej Despard?

A co, rozchorował się?

- Jest na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej w naszej Chandler Clinic.

Leży w stanie głębokiej śpiączki, został tu znaleziony ciężko pobity, parę dni temu.

Oczy Dominique zrobiły się okrągłe, również jej usta przybrały kształt dużej litery "O", co u niej wyrażało najwyższe zdumienie.

- To znaczy, że jest tu, w Hongkongu?

Ale nie widziałam go na sali podczas aukcji.

- Słyszałem, że były tam tłumy - zauważył ironicznie Blaise.

- Tak, ale mimo to.

Gdyby przyjechał, żeby zdać relację Kate Despard, z całą pewnością postarałby się porozmawiać ze mną.

- Nie wiedziałem, że go w ogóle znasz.

- Ach wiesz, spotkaliśmy się raz czy dwa.

On w końcu był znajomym papy.

- Ale podobno go nie lubił?

- Papa też go nie znosił - powiedziała Dominique, marszcząc pogardliwie swój kształtny nosek.

- Zawsze węszył, zawsze szpiegował.

Tak, myślę sobie, że i tutaj mógł przyjechać w tym samym celu.

To taki typ, co to najchętniej podsłuchuje pod drzwiami.

- Ale co miałby tu do wyszpiewowania?

- Ależ mnóstwo rzeczy!

Kto przyjechał, kto co kupił, ile zapłacił.

Jak była prowadzona sprzedaż.

W ogóle wszystko!

Najprawdopodobniej chciał ukraść niektóre z moich pomysłów, żeby je wykorzystać w ich zbliżającej się aukcji Courtland Park.

- Dominique roześmiała się, ale nie sprawiała wrażenia rozbawionej.

- Zastanawiam się, za jaką cenę Kate pozyskała tę aukcję.

Z tego, co słyszałam, Nicholas Chevely należy do tego gatunku ludzi, którzy spodziewają się odpowiedniego wynagrodzenia za wszelką przychylną dla kogoś decyzję.

- Widząc zaskoczenie na twarzy Blaisea, Dominique dodała: - Czyżbyś o tym w ogóle nie słyszał?

To gdzieś ty właściwie był w tym czasie?

- W Afryce Południowej.

Wiedziałem, że Despard London ubiega się o to zlecenie, ale nie wiedziałem, że już wygrał w tym wyścigu.

- Tak, już wygrał.

Oczywiście, to jest tego rodzaju wielka aukcja, o której marzy wielu.

Sama chętnie poprowadziłabym coś takiego, ale, niestety, oddział nowojorski w ogóle nie mógł być brany pod uwagę.

Ale tak czy inaczej - Dominique roześmiała się z zadowoleniem - ta mała Despard będzie się musiała bardzo natrudzić, żeby ze mną wygrać.

Ja tu, na mojej aukcji, sprzedawałam wszystkie rzeczy - co do jednej - znacznie powyżej zastrzeżonych cen minimalnych.

Tak więc niezależnie od tego, jak jej pójdzie z kolekcją Courtland Park, nie mam powodów do obaw.

Ale dosyć już o tym, powiedz mi lepiej, na jak długo tym razem przyjechałeś?

- Jeszcze nie wiem.

To zależy.

- Od czego?

- zapytała Dominique.

I zaraz dodała, już znacznie ostrzej: - Tylko mi nie mów, że przyjechałeś tu na życzenie tej indiańskiej Królowej Matki, protektorki Kate Despard, a nie po to, żeby przede wszystkim złożyć gratulacje i fetować triumf twojej własnej żony!

- Mogę przecież zająć się i tym, i tamtym, prawda?

- powiedział Blaise i przyciągnął ją do siebie.

- Ale ty, oczywiście, jesteś na pierwszym miejscu, jak zawsze.

- Mam nadzieję, że tak jest - odpowiedziała Dominique, przez chwilę pozwalając się całować i pieścić.

- Ale obawiam się, że dziś wieczorem to będzie niemożliwe.

Jestem umówiona na kolację z klientem, który na mojej aukcji wydał po prostu majątek.

- Kiedy wobec tego?

- spytał Blaise z nachmurzoną nagle i wręcz gniewną miną.

- Już jutro!

Będziemy mieli dla siebie cały jutrzejszy dzień, bo potem muszę lecieć do Nowego Jorku na następną aukcję.

- Chryste Panie!

- nie wytrzymał Blaise.

- Muszę ci powiedzieć, że mam już szczerze dosyć tych naszych spotkań typu "witaj i do widzenia"!

- Ależ, kochanie - Dominique przytuliła się do niego - czy myślisz, że mnie to nie męczy zupełnie tak samo jak ciebie?

Ale ten człowiek, z którym jestem na dziś wieczór umówiona, to ktoś naprawdę niezmiernie ważny.

Nie mogę go po prostu zlekceważyć!

- I zresztą wcale nie chcę, dodała już w myśli.

Tym mężczyzną, z którym miała się spotkać, był Cza Li.

- Nie, nie mogę go zawieść!

- powtórzyła.

- Za to mnie możesz, prawda?

- zapytał Blaise wyjątkowo nieprzyjemnym tonem.

- A w ogóle gdzie się podziewałaś przez cały ten czas?

Dzwoniłem do ciebie co najmniej kilkanaście razy.

- Kochanie - odpowiedziała Dominique z delikatnym wyrzutem - musisz zrozumieć, że tak szczególne aukcje zdarzają się raz czy parę razy w życiu, a wszystko poza tym pozostaje dla nas...

- Zerknęła przez ramię na zegar wiszący na pokrytej laką ścianie jej stylowego gabinetu.

Miała jeszcze czterdzieści minut do następnego umówionego spotkania.

- A póki co, nawet i teraz możemy skorzystać z wolnej chwili!

Zostawiła go na moment i podeszła do biurka, gdzie nacisnęła ukryty pod blatem przycisk.

Blaise usłyszał stuknięcie zasuwy elektrycznego zamka u drzwi.

Nie spuszczać wzroku z Blaisea, Dominique nacisnęła z kolei przycisk interkomu.

- Proszę nikogo nie łączyć i nie przeszkadzać pod żadnym pozorem przez najbliższe pół godziny!

- poleciała.

Zaraz potem wróciła do męża i zaczęła rozpinać guziki jego lekkiej marynarki z tropiku.

Sama również zaczęła się rozbierać, pociągając go jednocześnie w stronę obszernej kanapy, pokrytej lśniąca czarną skórą.

Teraz, przypominając sobie przebieg tego wcześniejszego spotkania z żoną, Blaise uświadomił sobie różne szczegóły i okoliczności, na które - także z racji emocjonalnej temperatury chwili - nie zwrócił wówczas dostatecznej uwagi.

Przepatrywał to ponownie w swej pamięci i - podobnie, jak to się zdarzało z zeznaniami świadków w jego praktyce prawniczej - nagle dostrzegał wyraźne szczeliny i pęknięcia w przedstawionym mu przez Dominique obrazie tego, co jakoby tam się działo.

Zdał też sobie sprawę, że i emocjonalny komponent tego ich tete-a-tete w jej gabinecie z pewnością został przez nią z wyrachowaniem zaplanowany.

Trochę dziwne było na przykład to, że nie zadawała pytań, w ogóle nawet nie próbowała odgadnąć, co kryło się za poszczególnymi, niezwyklejmi przecież zdarzeniami.

Wyraziła lekkie zdziwienie tym, co przytrafiło się Rollowi Bellamyemu, po czym w ogóle przestała się tym zajmować.

A on już wtedy miał niejasne uczucie, że jego żona znów w jakiś sposób próbuje nim manipulować, jednak to wrażenie zostało wkrótce przytłumione przez inne, nieporównanie silniejsze odczucia.

Blaise tym razem już nie zawiódł jako mężczyzna, można by nawet powiedzieć, że wprost przeciwnie, ale i tak ten seks nie dał mu takiej satysfakcji, jaką dawał przedtem.

Tam, w jej gabinecie, Blaise skłonny był położyć to na karb swego zaaferowania i wciąż nurtującego go niepokoju, związanego z ostatnimi wydarzeniami.

Teraz jednak zdał sobie sprawę, że to przede wszystkim Dominique wydawała się zaniepokojona.

Była oczywiście nienagannie sprawna, wszystkie jej ruchy, dotknięcia i pieszczoty były bliskie doskonałości, jak zawsze.

A mimo to, choć zdawało się, że byli wyżej niż kiedykolwiek, nie osiągnęli szczytu.

Teraz Blaise pomyślał, że może to i był wysoki lot, ale jego żona leciała chyba z automatycznym pilotem.

Przypomniał też sobie jej słowa, które już wtedy lekko go zastanowiły.

Chodziło o dobór słów, a właściwie o ich zestawienie: "Rollo Bellamy z całą pewnością przyjechał tu po to, żeby szpiegować!"

, tak to chyba powiedziała.

Ale jak w ogóle można szpiegować na publicznej aukcji?

Był tam przecież James Grieve, który miał przygotować najzupełniej oficjalny raport.

I to on był ekspertem, a nie Rollo.

Ale po chwili Blaise nagle zdał sobie sprawę, że już wie, że nie ma żadnych wątpliwości.

Tak, Rollo rzeczywiście musiał przyjechać na przespiegi, zamierzał coś sprawdzić, owszem - ale nie miało to dotyczyć samej aukcji, tylko czegoś, co z tą aukcją było związane, z zewnątrz!

I to musiało być najważniejsze, choć poza tym - skoro Kate Despard pozyskała tę aukcję Courtland Park - mogło oczywiście być coś także w tym, co mówiła jego żona: że Kate lub ktoś z jej ludzi zechce podpatrzeć i ściągnąć pomysły z tej wielkiej aukcji, tak reprezentatywnej dla stylu Dominique du Vivier.

Przyglądał się teraz Kate, która wciąż miała twarz odwróconą w stronę okna.

Wciąż wydawała się niezwykle spięta, co chwila nieświadomie przygryzała wargi.

Blaise popatrzył na nią i z całym rozmysłem powiedział: - Aha, nie pogratulowałem jeszcze pani pozyskania do sprzedaży zbiorów Courtland Park.

Należało to pewnie zrobić wcześniej, ale usłyszałem o tym dopiero dziś po południu od mojej żony.

Kate gwałtownie odwróciła głowę, a w jej szeroko otwartych oczach pojawiło się nie tylko zdumienie, ale i coś jeszcze.

Blaise był tego pewny, to była nagła, nie ukrywana radość.

Jak gdyby to, co powiedział, niezwykle ją uszczęśliwiło.

- Tak?

A ja myślałam...

- Urwała nagle i poprawiła się natychmiast: - Chciałam powiedzieć...

dziękuję panu za gratulacje.

Żona pewnie panu powiedziała, że spotkałyśmy się w Londynie.

Zaraz!

Jak to możliwe?

- zastanowił się zaskoczony Blaise.

- Nie wiedziałem, że moja żona była w Londynie - powiedział z namysłem.

- Chyba że przyleciała tam na bardzo krótko?

- Na bardzo krótko - potwierdziła Kate, znów tym dziwnie uradowanym tonem.

- Zresztą nie mogło być inaczej, skoro było to tuż przed otwarciem tej jej wielkiej aukcji.

Blaise natychmiast zdał sobie sprawę, że to mogło oznaczać tylko jedno: ta nagła wizyta musiała być dla Dominique niesłychanie ważna.

W przeciwnym razie nic nie wyciągnęłoby jej z Hongkongu na parę dni przed otwarciem.

- Odwiedziła panią w Despard's London?

- zapytał niedbale.

- Nie - odpowiedziała Kate tym samym tonem.

- Prawdę mówiąc, spotkałyśmy się w londyńskiej operze.

- W operze?

- Tak się składa, że bardzo lubię operę - powiedziała z uśmiechem Kate.

Może tak, ale moja żona z całą pewnością jej nie lubi, pomyślał Blaise.

Zawsze ją to śmiertelnie nudziło.

- Co wtedy wystawiano?

- zapytał jeszcze.

- Lunatyczkę, z Joan Sutherland w partii tytułowej.

To absolutnie nie mogło interesować Dominique, Blaise był tego pewny.

Musiał więc być coś innego...

albo ktoś inny.

I wtedy gdzieś z zakamarków pamięci wypłynęło nazwisko: Nicholas Chevely.

Dominique kiedyś o nim wspomniała.

A poza tym Kate też ostatnio rozmawiała przez telefon z kimś o imieniu Nicholas.

To było wtedy, gdy przyjechał do jej gabinetu, żeby odebrać odzyskany obraz Remingtona.

Zaryzykował, ale był już pewien, że odgadł dobrze.

- Był tam Nicholas?

- zapytał.

Kate skinęła potakująco głową.

- Tak, był Nicholas.

- Nicholas Chevely?

- zaryzykował jeszcze raz Blaise.

Kate spojrzała na niego przelotnie, po czym znów odwróciła spojrzenie, tylko potwierdzając jego domysły.

- Tak.

Blaise zmusił się do uśmiechu.

- Proszę mnie źle nie rozumieć.

Nie ma nic złego w tym, że czasem spotkanie w sprawach firmy udaje się połączyć z przyjemnością - powiedział lekko.

Zauważył, że przyjęła te jego słowa z wyraźną ulgą.

- Rzeczywiście.

A więc tak to wszystko przebiegało, powiedział sobie Blaise, usiłując uporządkować obraz całości.

Nicholas Chevely był tym, kto decydował, komu zostanie powierzona sprzedaż kolekcji Courtland Park.

Despard's London był jedną z firm, które brało się pod uwagę.

Ten Nicholas Chevely - przynajmniej zgodnie z tym, co mówiła Dominique - miał opinię człowieka, który zawsze oczekiwał takiej czy innej zapłaty za swe pomysły dla kogoś decyzyjnego.

Tylko że Kate Despard była chyba ostatnią osobą, która umiałaby - w ten sposób - pozyskać jego życzliwe nastawienie.

W ogóle nie potrafiłaby grać w takie gry.

Nie miała w tym najmniejszego doświadczenia.

Ale Dominique miała je z pewnością.

Tak, to wyglądało na bardzo prawdopodobne, tak mogło być.

Blaise jednak wzdrygnął się, gdy o tym pomyślał.

Nie można było dłużej udawać - odwrócić się i nie dostrzegać, jak bezwzględnie interesownie jego żona rozdaje swe łaski seksualne, i za jaką cenę.

To jednak go bolało, mimo wszystko.

A poza tym był zaskoczony, że tym razem Dominique mimo wszystko nie osiągnęła swego celu.

Popatrzył na Kate z szacunkiem, ale i odrobiną politowania.

Ty, dziewczyno, wygrałaś może batalię o Courtland Park - powiedział w myśli - ale nie spodziewaj się, że walka będzie uczciwa.

Dominique nie lubi przegrywać.

Nagle poczuł, że ogarnia go przygnębienie i krańcowe zmęczenie.

Przez chwilę nawet zakręciło mu się w głowie, jak od uderzenia.

To tylko reakcja po zbyt wielu lotach odrzutowcami, powiedział sobie.

W końcu nie dowiedział się niczego nowego.

Dobrze wiedział, jaka jest jego żona, a przynajmniej wiedział to wtedy, gdy pozwalał sobie o tym myśleć.

Najczęściej jednak wolał nie zastanawiać się nad tym, przyjmował to jako cenę, którą po prostu musiał płacić.

I teraz nagle zdał sobie sprawę, że - po raz pierwszy w życiu - zastanawia się, czy warto było...

czy ta cena nie okazała się jednak za wysoka.

Już niejednokrotnie, kiedy zdarzyło mu się zastanawiać nad osobą własnej żony, nad tym, kim, czy też czym właściwie była, jeśli już rozpatrywać ją jako całość - dochodził do coraz bardziej utrwalającego się w nim przekonania, że musiała tu oddziaływać jeszcze jakaś siła zewnętrzna, jakby spoza...

ale spoza czego?

Było w tym coś prawie mistycznego i jednocześnie absolutnie nieodpartego.

Prawdę mówiąc, zaraz na początku go znokautowała, dosłownie powaliła go na ziemię, i od tej chwili właściwie przez cały czas pozostawał w stanie stałego oszołomienia.

Wiedział, że byli inni mężczyźni, wiedział też, że nie liczą się dla niej żadne skrupuły, że jest bezlitosna w dążeniu do osiągnięcia zaplanowanych celów i potrafi kłamać bez mrugnięcia okiem.

Niejednokrotnie ponad wszelką wątpliwość przekonał się, że go oszukiwała.

A jednak decydował się na przymykanie oczu na wszystko, świadomie chcąc widzieć tylko to piękne, zmysłowe i pełne seksu stworzenie, które go tak zniewoliło.

Wszelkie próby zracjonalizowania tego, z góry skazane były na niepowodzenie.

Właściwie wiedział tylko tyle, że im więcej jej miał, tym bardziej jej pragnął.

Od samego początku pojawiło się między nimi coś, co można było przyrównać chyba tylko do wyładowań elektrycznych wysokiego napięcia - jasnoniebieski trzaskający iskrami łuk, który go porażał; tyle że za każdym takim porażeniem on wciąż bardziej tęsknił, żeby to się znów powtórzyło.

Blaise przypuszczał nawet, że już wytworzył się w nim bardzo specyficzny, nieodparty nałóg.

Wśród znanych mu mężczyzn byli przecież tacy, którzy stale musieli pić, inni potrzebowali regularnych dawek narkotyku.

A on stale potrzebował kolejnej dawki Dominique du Vivier i sama myśl o tym, że to mogłoby się kiedyś skończyć, odbierała mu wszelką zdolność rozsądnego myślenia.

Wiele razy zdarzało mu się podjąć próby powstrzymania się, zapanowania nad pożądaniem, z takim tylko skutkiem, że pożądanie wciąż rosło aż do fizycznego, nie dającego się już znieść bólu.

Blaise zdawał sobie sprawę, że jego babka Agatha nie potrafiła tego zrozumieć.

Ale jak miał jej powiedzieć, że i on sam nie był w stanie sobie tego wytłumaczyć?

Tymczasem Kate skrycie przyglądała się jego twarzy, odbijającej się w szybie uchylonego okna.

W tym odbiciu twarz Blaisea wydawała się odległa i nieprzenikniona.

Można było mieć wrażenie, że go tu nie ma, że odpłynął gdzieś daleko -choć przecież, jeśli nawet odpłynął, to tylko w głąb samego siebie.

Kate chciała go teraz przeprosić, powiedzieć, jak jest jej przykro, że tak pochopnie wyciągnęła zupełnie nieuzasadnione wnioski na jego temat; powinna była zdać sobie sprawę, że przecież Dominique ma wielu informatorów, którzy donoszą jej, co dzieje się w Despard's London.

Ale jak miała go teraz przeproszać, jeśli on w ogóle nawet nie wiedział, że go o coś takiego posądzała?

Niech to diabli, zakłęła w duchu i poczuła się jeszcze bardziej podle.

Dlaczego nigdy nie potrafię zachować się właściwie, przynajmniej w stosunku do tego człowieka?

Westchnęła mimo woli tak głęboko, że płomyki ustawionych przed nimi świec zachybotwały nagle, a sam Blaise wreszcie jakby się wydobył z głębi swych przepastnych rozmyślań.

Spojrzał na zegarek.

- Możemy już chyba wracać, jak pani uważa?

- zapytał, tym razem już bardzo uprzejmie.

- A czy możemy po drodze do hotelu wstąpić jeszcze do szpitala?

Bardzo pana proszę.

To oznaczało dwa razy dłuższą drogę, ponieważ klinika mieściła się na wyspie Hongkong, natomiast ich hotel znajdował się na Kowloon.

Ale Blaise z kurtuazyjną uprzejmością powiedział tylko: - Ależ oczywiście.

Później jednak, kiedy już wsiedli do samochodu, znów popadł w zadumę, a z wyrazu twarzy można było odgadnąć, że nad czymś intensywnie rozmyśla.

U Rolla nic się nie zmieniło, wszystko było dokładnie tak jak przedtem.

Lekarze powiedzieli tylko, że jego stan można określić jako stabilny.

Kiedy już jechali z powrotem do hotelu, Blaise zupełnie niespodziewanie zapytał: - Czy po przylocie widziała się pani z moją żoną?

- Nie.

Nie sądzę, żeby w ogóle wiedziała, że tu jestem.

- Ależ wie.

Sam jej powiedziałem.

Kate powiedziała tylko: "O"!

- po czym zamilkła, znów dostosowując się w tym względzie do Blaisea.

Resztę drogi przejechali w milczeniu.

Blaise odprowadził ją po schodach do hotelu, wjechał wraz z nią na piętro i otworzył przed nią drzwi apartamentu.

- Bardzo panu dziękuję za ten wieczór - powiedziała Kate.

- Miał pan zupełną rację.

Bardzo potrzebowałam choćby odrobiny odprężenia i radości.

- Chyba wszyscy tego potrzebujemy - odpowiedział Blaise dziwnie zmienionym tonem.

Kate spojrzała na niego, a on - miała wrażenie, że bardzo pośpiesznie - dodał tylko: - Życzę dobrej nocy.

Rozdział 15 .

Następnego dnia Kate znów siedziała przy łóżku Rolla, ale tym razem prawie przez cały czas mówiła do niego.

Blaise dał jej specjalny podręcznik, a właściwie raczej skrypt - nie wiadomo, jak go tu zdobył - przygotowany i wykorzystywany w pracy pewnego półformalnego zespołu, paramedycznej instytucji, mieszczącej się w Filadelfii, a noszącej nazwę Instytutu Badania i Rozwoju Ludzkich Możliwości.

Zespół ten od dłuższego czasu prowadził badania nad ludźmi z różnych powodów pozostającymi w stanie długotrwałej śpiączki i, w rezultacie tych badań, zalecał, żeby w takich przypadkach stosować stałą stymulację wszelkich receptorów pacjenta.

Do człowieka w śpiączce należało możliwie często mówić, dotykać jego dłoni i twarzy, postarać się, żeby docierały do niego znajome dźwięki i zapachy.

Tak więc Kate stale trzymała w swej dłoni wystającą z temblaka dłoń Rolla, bezwładną i nie reagującą na dotyk.

Kate nie zniechęcała się jednak, starała się wciąż mówić do niego o tym, co wspólnie robili, opowiadała mu o miejscach, które razem odwiedzali, przypominała różne zdarzenia ze swego dzieciństwa, kiedy jeszcze żyła jej matka.

Ta stymulacja przy pomocy mówienia trwała już przeszło dwie godziny, na razie bez jakiegokolwiek widocznego skutku.

Rollo wciąż leżał nieruchomy i nawet najmniejszym drgnięciem powieki nie dał znaku, że ją słyszy, czy w ogóle wie o jej obecności.

Ale Kate wiedziała, że nie może oczekiwać natychmiastowych efektów.

Zgodnie z tym, co wyczytała w skrypcie, mogło to zająć całe tygodnie, a nawet miesiące. Była tak zaabsorbowana tym, co robiła, że nawet nie usłyszała lekkiego skrzypnięcia otwieranych drzwi.

Dopiero kiedy poczuła jedyny w swoim rodzaju zapach perfum, nagle wyprostowała się na krześle i odwróciła twarz.

Po drugiej stronie łóżka stała jej przybrana siostra - jak zawsze olśniewająca - a tuż za nią stał jej mąż.

Kate była tak zaskoczona, że na początku zupełnie nie potrafiła opanować wyrazu swojej twarzy, a malujące się na niej uczucia były chyba wyraźniejsze niż czerwone światła na skrzyżowaniach.

Nienawiść i nieodparty wstręt - niczym wyładowanie elektryczne podczas burzy - bez trudu przeskoczyły parę metrów, które dzieliły te dwie kobiety, nad łóżkiem wciąż nieprzytomnego Rolla.

Dominique nie mogła tego nie odczuć, było to tak silne, że mimo woli cofnęła się o krok i omal nie nadepnęła na palce stojącego tuż za nią męża.

On również zauważył wymowne spojrzenie Kate i natychmiast odgadł wszystko.

Brakująca część układanki nagle znalazła się na swoim miejscu.

Zaskoczyło go właściwie tylko to, że on sam już nawet nie czuł się zaskoczony.

No tak, przecież to działo się przez cały czas tuż przed jego oczami, tyle że on nie chciał tego widzieć, nie chciał przyznać, że to istnieje i kiedyś musi doprowadzić do nieszczęścia.

Teraz ta prawda nagle buchnęła z tych niezwykłych oczu Kate Despard z taką siłą, że Blaise przez chwilę poczuł, jak oparte o niego ciało jego żony wyraźnie sztywnieje.

Jak zwykle, Dominique pozbierała się natychmiast, już po chwili jej ciało było niemal równie miękkie jak jej głos, gdy czule i troskliwie zwróciła się do Kate: - Tak bardzo ci współczuję, droga Kate.

Gdybym wiedziała wcześniej, zjawiłabym się natychmiast, ale o wszystkim dowiedziałam się dopiero od Blaisea.

Jak czuje się twój przyjaciel?

Pochyliła się nad wciąż nieprzytomnym Rollem, tak blisko, że koniuszki jej przyciętych w kształt dzwonu czarnych włosów zakolysały się tuż nad jego bladą, niemal białą twarzą. Kate poczuła, że znów dociera do niej kolejna fala agresywnego zapachu tych perfum. Odwróciła głowę i w tym samym momencie odniosła niejasne wrażenie, że dłoń Rolla niespodziewanie zacisnęła się na jej dłoni.

- Niepokoisz go - powiedziała z otwartą niechęcią.

- Jesteś przy nim za blisko.

Dominique wyprostowała się i odsunęła do tyłu, ale wtedy stało się coś, co przeraziło Kate.

Rollo nagle zaczął niespokojnie poruszać głową, a na jego czole pojawiła się błyszcząca warstwa potu.

- On zareagował na twoją obecność!

- wykrzyknęła Kate, jakby jeszcze wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

- Wiedział, że tu jesteś!

- W jej głosie brzmiała teraz najszczerza radość.

- To nonsens!

- odpowiedziała chłodno Dominique.

- Widocznie pochyliłam się odrobinę za nisko.

Moje włosy musiały dotknąć jego twarzy.

- Nie, to nie mogło być to!

Ja przez dwie godziny niemal bez przerwy mówiłam do niego i trzymałam go za rękę, bez jakiegokolwiek reakcji z jego strony!

- upierała się Kate.

- Czy nie widzieliście, co się teraz stało?

To przecież oznacza, że jego mózg znów zaczął funkcjonować!

Musimy natychmiast powiedzieć o tym lekarzom...

Sięgnęła do przycisku dzwonka tak szybko, że Blaise - gdyby nawet próbował -nie zdążyłby jej powstrzymać.

On również dostrzegł reakcję Rolla na zbliżenie się Dominique i również pomyślał, że jego żona pochyliła się za nisko i w jakiś sposób go zaniepokoiła, jak to zresztą sama przyznała.

Ale skoro Kate przez parę godzin trzymała go za rękę bez żadnej reakcji z jego strony, to na Rolla musiał podziałać jakiś inny sygnał obecności Dominique.

Czyżby to miały być te jej niepowtarzalne perfumy?

Jednak z tego wynikałoby, że Rollo musiał ostatnio zetknąć się z ich zapachem.

Ten mechanizm zazwyczaj działał tak, że to ostatnie zapamiętane przez mózg bodźce później, po zapadnięciu w śpiączkę, wywoływały najbardziej stymulujący efekt.

A sama reakcja Rolla - stały niepokój, pot pojawiający się na czole -wskazywałaby na to, że skojarzenie w jego pamięci nie mogło należeć do przyjemnych.

Blaise wielokrotnie stykał się z czymś podobnym w Wietnamie, gdzie miał okazję oglądać z bliska ludzi w stanach krańcowego wyczerpania po bitwie.

W przypadkach katatonii na przykład odtworzenie z taśmy odgłosów serii z broni maszynowej albo ryku nisko przelatujących myśliwców szturmowych potrafiło nieraz wywoływać podobny efekt.

Teraz stał w milczeniu, tuż obok swej żony, podczas gdy przybyli pośpiesznie lekarze pochylali się nad Rollem Bellamym, kierowali światło specjalnej latarki na źrenice pacjenta, sprawdzali poszczególne przebiegi na monitorze.

- Tak, to pocieszający znak - powiedział w końcu jeden z nich.

Ale jego wypowiedź była bardzo ostrożna.

- Czy państwo wszyscy to zaobserwowali - mam na myśli tę reakcję pacjenta?

- Tak - odpowiedział Blaise, czując na sobie wzrok żony.

- Czy on panią zna?

- zapytał lekarz, zwracając się do Dominique.

- Spotkaliśmy się kilka razy.

Lekarz zapytał znowu, jeszcze bardziej ostrożnie: - Czy pani używa zawsze tych samych perfum?

- Oczywiście!

- odpowiedziała Dominique.

- Te perfumy zostały skomponowane wyłącznie dla mnie.

Nikt poza mną nie może ich używać.

- To znaczy, że mógłby panią rozpoznać po ich zapachu?

Dominique wzruszyła ramionami.

- Każdy mnie po nich rozpoznaje.

- A czy ostatnio spotkała się pani z panem Bellamym?

- Ostatni raz widziałam się z nim w Londynie, ale to było wiele miesięcy temu.

Lekarze naradzali się ze sobą po cichu.

Tymczasem Kate wprost nie mogła ustać na miejscu.

- To, co się stało, to dobry znak, prawda?

Proszę powiedzieć, że to oznaka poprawy.

Proszę!

- mówiła błagalnie.

W odpowiedzi powiedziano jej, że tak, że może to być oznaka pewnej poprawy stanu pacjenta.

Gdyby pani du Vivier zechciała łaskawie jeszcze raz pochylić się nad nim, tak samo jak poprzednio, to może udałoby się wywołać tę samą reakcję, ale już w obecności lekarzy, co byłoby bardzo pomocne.

Dominique w odpowiedzi przyjęła wzorową postawę całkowicie postronnego obserwatora, który przypadkiem zostaje wciągnięty w coś, z czym nie ma absolutnie nic wspólnego, ale godzi się na to, ponieważ chce pomóc innym.

Zgodnie z prośbą lekarzy, ponownie pochyliła się nad nieprzytomnym Rollem, przycięte w kształt dzwonu czarne włosy jeszcze raz zakołysały się tuż nad jego twarzą, a unoszący się wokół niej zapach perfum stał się jeszcze wyraźniejszy.

Blaise zauważył, jak jeden z lekarzy wciągnął powietrze nosem i z uznaniem pokiwał głową.

Tymczasem Kate patrzyła tylko na Rolla, który zareagował dokładnie tak samo jak za pierwszym razem: znów zaczął niespokojnie kręcić głową, powieki jego oczu zaczęły drgać, a czoło pokryło się wyraźną warstwą potu.

- Pacjent teraz reaguje na bodźce z zewnątrz - powiedział lekarz.

- Wynikałoby z tego, że z zapachem pani perfum skojarzyło mu się jakieś bardzo silne przeżycie.

- Prawdą jest, że starliśmy się parę razy, i to mocno - przyznała Dominique, wydymając wargi.

- Ach tak, zatem państwa spotkanie nie było specjalnie przyjazne?

- Można by tak to ująć - zgodziła się Dominique.

Lekarze znów zaczęli się ze sobą naradzać, ale ponieważ mówili po chińsku, Kate nie zrozumiała z tego ani słowa.

W końcu jeden z nich przedstawił wnioski, które brzmiały następująco: mózg pana Bellamyego wydaje się teraz reagować na bodźce przynajmniej w pewnych obszarach recepcyjnych, choć nadal nie reaguje w innych.

Nic nie wskazuje na to, by pacjent słyszał głos panny Despard albo też poczuł dotyk jej ręki, natomiast poczuł i rozpoznał zapach perfum pani du Vivier.

Teraz należy po prostu czekać i mieć nadzieję, że sukcesywnie i inne obszary mózgu zaczną reagować na bodźce.

Tylko czas pokaże, na ile uzasadnione będą te nadzieje.

Na twarzy Kate wyraźna była radość przemieszana z dręczącym ją ciągle niepokojem i lękiem.

Natomiast na spokojnej i opanowanej twarzy Dominique nie dałoby się dostrzec żadnej reakcji.

Blaise przyglądał się bladej, wycieńczonej twarzy Rolla.

Dlaczego akurat perfumy jego żony wywołały taką reakcję?

To pytanie najchętniej zadałby temu leżącemu bez przytomności człowiekowi.

Dlaczego głos Kate i dotyk jej dłoni żadnej tego rodzaju reakcji nie wywołały?

Przecież ze wszystkich ludzi Rollo znał ją chyba najbliżej.

Dlaczego więc zareagował właśnie na Dominique?

I dlaczego na jego twarzy malowała się tak wyraźna udręka?

Lekarze przez grzeczność nie komentowali tego, ale Blaise znał wystarczająco dobrze język chiński, by zrozumieć, że w rozmowie między sobą zastanawiali się nad przyczyną tak silnej reakcji.

Ostatecznie doszli do wniosku, że Dominique po prostu przez grzeczność nie zechciała opowiedzieć, jak wielka była awantura, która wybuchła podczas ich ostatniego spotkania.

Musieli się pociąć naprawdę ostro, a Rollo musiał o tym rozmyślać jeszcze długo po tym, skoro to wspomnienie tak mocno utkwilo w jego pamięci.

Blaise doskonale wiedział, że Dominique nigdy nie lubiła Rolla Bellamyego; gotów też był założyć się o każde pieniądze, że i Rollo jej nie znoślił.

Ale żeby z tego powodu miała wybuchnąć między nimi awantura?

I to taka, której pamięć przetrwałaby kilka miesięcy?

Z jakiegoś powodu wydawało mu się to mocno nieprawdopodobne.

Wiedział już, że w tego rodzaju przypadkach z reguły najpierw ujawniały się te wspomnienia, które leżały tuż pod powierzchnią.

Musiałaby więc to być pamięć o jakimś ich spotkaniu, które odbyło się bardzo niedawno.

Może jednak spotkali się tutaj, w Hongkongu?

Może Bellamy właśnie po to tu przyjechał?

Ale dlaczego trzymał się z dala od kolonii europejskiej, dlaczego przebrał się za Chińczyka?

Czy po to, żeby bez zwracania na siebie uwagi wejść do Miasta za Murem?

Blaise w żaden sposób nie potrafił doszukać się sensu w takim postępowaniu.

Zresztą trudno mu było o tym spokojnie myśleć akurat w takim miejscu, a już zwłaszcza teraz, kiedy znów się tyle wydarzyło i mnóstwo sprzecznych myśli, przypuszczeń i domysłów wręcz kłębiło się w jego głowie.

Może później, kiedy będzie mógł spokojnie usiąść nad tym wszystkim, kiedy zgodnie ze swymi nawykami prawnika zanotuje po kolei wszystkie fakty i wypływające z nich wnioski - na wzór przygotowywanej dla sądu opinii obrońcy czy oskarżyciela - może dopiero wtedy wszystko stanie się bardziej przejrzyste.

I wtedy, gdy już będzie bardzo dokładnie wiedział, jaka jest sytuacja, będzie mógł skutecznie przepytaną własną żonę.

Tylko tak przygotowany miał szansę dać sobie z nią radę.

Zwłaszcza teraz, kiedy był prawie pewien, że Dominique musiała się tu wdać w jakąś bardzo niebezpieczną sprawę.

Tymczasem Dominique właśnie się żegnała.

- Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała, pamiętaj, że wystarczy telefon od ciebie, a zrobię wszystko - powiedziała do Kate z prawdziwie siostrzaną czułością.

Potem jeszcze dodała z wyrzutem: - W ogóle to powinnaś była do mnie zadzwonić natychmiast po przyjeździe.

- Dominique nie wypowiedziała słów, które w domyśle miały kończyć to zdanie: ...a nie natychmiast lecieć do mojego męża.

- Bardzo ci dziękuję, ale mam tu zapewnioną wszelką pomoc, jakiej mogę potrzebować - odparła Kate bardzo powściągliwie i sucho.

I ona również dokończyła rozpoczęte zdanie już tylko w myśli: - ...a gdybym nawet potrzebowała pomocy, to ty z pewnością byłabyś ostatnią osobą, do której bym się po nią zgłosiła.

Chińscy lekarze przyglądali się temu wszystkiemu bez jakiegokolwiek zauważalnej reakcji, choć oczywiście musieli być świadomi jawnego antagonizmu między dwiema białymi kobietami; elektryczne iskry zdawały się trząść między nimi, niczym przebicia na izolatorach linii wysokiego napięcia.

- Pani, jak rozumiem, chce jeszcze zostać?

- zapytał Blaise, zwracając się do Kate.

Kate spojrzała na niego i znów odniosła wrażenie, że gdzieś w głębi jego czarnych oczu błyska całe piekło wściekłego, choć na razie wciąż jeszcze jakoś opanowywanego gniewu.

Tylko przez moment spoglądała w te źrenice, których wyrazu nigdy dotąd nie potrafiła właściwie odczytać.

Uznała jednak, że i tym razem lepiej nie próbować za głęboko tam zaglądać.

Można by się naprawdę śmiertelnie poparzyć.

A więc on jednak coś podejrzewa, pomyślała.

Zresztą jak mogłoby być inaczej?

Podobnie jak ona sama, Blaise też musiał się czegoś domyślać.

Gdzieś, w jakiś tam sposób, Dominique - albo też ktoś, z kim się tu związała dla takich czy innych celów - razem lub w pojedynkę musieli w końcu nakryć Rolla na tym, co tu robił, cokolwiek to było.

Sama Kate nie ważyła się jeszcze nawet przed sobą samą sformułować swych podejrzeń co do tego, o co mogło chodzić.

To, co przychodziło na myśl, wydawało się zbyt straszne, żeby w ogóle brać to pod uwagę.

Ale Blaise może uważać, że to z mojej winy, pomyślała nagle.

A wszystko zaczęło się przecież od tego, że ona, Kate, pojawiła się nagle na scenie.

I papa wciągnął go w tę całą sprawę, postawił go w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Blaise wcale nie miał na to ochoty, zresztą i teraz pewnie nadal tego nie lubi.

Mnie, tak naprawdę, też nie lubi.

Już w tej chwili wdarłam się o wiele za daleko w sferę jego prywatności - co mu się na pewno nie może podobać, a już zwłaszcza że dotyczy to jego żony.

Tak naprawdę to on w ogóle nie chce wiedzieć, jaka ona jest, co zrobiła czy też zamierza zrobić.

On po prostu tylko chce ją mieć, i to mu wystarcza.

- Tak - odpowiedziała cicho.

- Zostanę tu.

Blaise skinął głową na pożegnanie i ruszył w ślad za żoną, która już zbliżała się do wyjścia.

Kiedy już oboje siedzieli w samochodzie i jechali w stronę bramy, Dominique zapytała leniwie: - Zastanawiam się, czego ten sale pede mógł tutaj szukać?

Co ty o tym myślisz?

Tego to ci na pewno nie powiem, pomyślał Blaise.

Wzruszył ramionami i powiedział lekceważąco: - Pewnie zaoferował swe wdzięki nie temu, komu powinien.

- Ale po co się przebrał za Chińczyka?

- No, w końcu był aktorem, prawda?

- Tak...

- Dominique nie ustępowała, choć przez cały czas mówiła bardzo lekkim tonem.

- Ale w tej sytuacji musiałby znać język.

- Więc może go zna.

Ja tego nie wiem, i mało mnie to obchodzi - odpowiedział Blaise.

Po chwili spróbował zarzucić własną wędkę.

- Zabawne, że tak pozytywnie zareagował na zapach twoich perfum.

- Tak, to rzeczywiście zabawne - zgodziła się Dominique bez cienia zakłopotania.
 - Nie wiedziałem, że starliście się kiedykolwiek.
 - Szczera i odwzajemniona antypatia to naprawdę niemało.
 - Mimo wszystko musiałaś naprawdę silnie wtedy na niego podziałać.
- Dominique uśmiechnęła się, a na jej policzkach pojawiły się dołeczki.
- Zawsze działałam silnie, nie uważasz?

Blaise już wiedział, że Dominique ani myśli zdradzić się z czymkolwiek.

Lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę, że jego żona jest prawdziwym mistrzem samoobrony.

A jednak będzie musiał postawić na swoim.

Będzie musiał, choćby dla odzyskania spokoju ducha.

Kiedy Blaise odwiózł ją do biura i wysadził przed głównym wejściem siedziby firmy Desparde Hongkong, Dominique pożegnała go pogodnym uśmiechem, ale wewnętrznie bynajmniej nie była spokojna, wręcz przeciwnie.

Blaise powiedział jej, że nie może zjeść z nią lunchu, ponieważ już wcześniej był umówiony, jednak wieczorem miał być do jej dyspozycji.

W tym jeszcze nie należało się doszukiwać niczego szczególnie niezwykłego, ale niepokojące było nagłe zaostrenie tonu jego głosu.

Jeszcze zdejmując futro i rękawiczki i rzucając je na skórzaną kanapę - tę samą, na której kochali się ze sobą ledwie dzień wcześniej - Dominique zastanawiała się nad tym wszystkim.

Nie, powiedziała sobie w końcu.

Blaise nic nie wiedział, nie mógł wiedzieć.

Rollo Bellamy rzeczywiście został przyłapany podczas węszenia w miejscu, gdzie nikt go nie zapraszał, i został potraktowany odpowiednio - o czym akurat ona mogłaby coś powiedzieć, gdyby tylko chciała - ale to wszystko stało się bardzo szybko, zbyt szybko, by Rollo mógł coś przekazać komukolwiek.

Dominique musiała przyznać, że jego przebranie było prawie doskonałe; przyniesiono go nieprzytomnego - ogłuszonego uderzeniem w tył głowy - tam gdzie w tym czasie rozmawiała właśnie z Cza Li.

Był to mały pokój, który Czao wykorzystywał jako pokój biurowy przy niewielkiej fabryczce, mieszczącej się w głębi tej specyficznej dzielnicy, zwanej Miastem za Murem.

Patrzyli wtedy oboje na nieprzytomnego Rolla, którego ciało zwisało bezwładnie, podtrzymywane z obu stron w żelaznym uścisku przez dwóch ogromnych, pochodzących z Seczuanu, ochroniarzy Cza Li.

Na początku w ogóle nawet nie rozpoznali przyłapanego delikwenta; jego skóra, zarys oczu, włosy, a także ubiór wskazywały na to, że stuknięto jakiegoś Chińczyka, który oczywiście nie miał ze sobą żadnych dokumentów ani niczego, co mogłoby pomóc w określeniu, kto to mógł być i dla kogo próbował szpiegować.

Zaciekawiona Dominique pochyliła się nad nim dosłownie na moment - to wtedy pewnie dotarł do jego nozdrzy zapach jej perfum - a Cza Li powiedział krótko: "Załatwcie to z nim" i strażnicy wywlekli wciąż nieprzytomnego człowieka na zewnątrz.

Dopiero teraz widziała, jak brzemienny w skutki był to błąd.

Ale kto wtedy mógł myśleć, że Rollo Bellamy okaże się aż takim mistrzem w sztuce charakteryzacji?

No tak, był przecież aktorem!

A ona mimo wszystko nie dostrzegła niczego znajomego w podtrzymywanym przez dwóch chińskich ochroniarzy jakimś nieprzytomnym, zakrwawionym żółtku, który oczywiście w najmniejszym nawet stopniu nie przypominał eleganckiego, siwowłosego pede, widywanego przez nią w Londynie.

Naprawdę musiał się ucharakteryzować od stóp do głów, włącznie z założeniem ciemnych szkieł kontaktowych i wykorzystaniem specjalnego, niewidocznego pod grubym makijażem plastra, który pozwolił na uzyskanie orientального zarysu oczu i powiek.

Później Cza Li kilkakrotnie przesłuchiwał wykonujących jego polecenie ochroniarzy, którzy przyznali się do niepowodzenia - zmarnowali szansę dowiedzenia się czegokolwiek od zatrzymanego przez nich człowieka.

Jeden z nich uderzył go po prostu zbyt mocno i w rezultacie już nie dało się go ocucić. Tak czy inaczej powinni byli przewieźć go przez zatokę i wyrzucić gdzieś na samej wyspie Hongkong.

Tymczasem przez karygodną głupotę zostawili go tam, gdzie go znaleziono, niemal na samej granicy Miasta za Murem.

Oczywiście chodziło im zapewne o to, żeby znalezione ciało zostało uznane za jeszcze jedną ofiarę porachunków chińskich gangów w toczącej się akurat słynnej wojnie Tong.

Miasto za Murem zawsze miało opinię dzielnicy bezprawia, a policja Hongkongu z reguły wolała trzymać się z dala od wszystkiego, co się tam działo.

Tak czy inaczej Dominique uznała, że należy Cza Li surowo wytknąć to, co się stało, i to w naprawdę ostrych słowach.

Jego ludzie zawiedli, a on naraził ją przez to na bardzo poważne niebezpieczeństwo.

Jednak żeby móc mu to powiedzieć, musiała poczekać jeszcze co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Cza Li pojechał do Makao i miał wrócić dopiero następnego dnia wieczorem.

Było to o tyle niefortunne, że w obecnej sytuacji wręcz konieczne było znalezienie w szpitalu jakiegoś zaufanego człowieka, który nie tylko mógłby stale informować ich oboje o stanie zdrowia Rolla Bellamyego, ale i w razie potrzeby zadbać o to, by pacjent nie poczuł się lepiej i nie zaczął mówić.

W ogóle sam fakt, że Rollo dotąd żył, stawał się nazbyt niebezpieczny.

Co prawda po tego rodzaju urazach pacjenci zazwyczaj nie odzyskiwali już pamięci, ale jednak nie było co do tego żadnej pewności i nie można było na tym polegać.

Nie, Cza Li będzie musiał dokończyć tę spapraną robotę, i to już bez takich skandalicznych błędów.

Będzie też musiał wy badać, w jaki sposób i dzięki komu Bellamyemu udało się dowiedzieć tak wiele, że w rezultacie dotarł aż do Miasta za Murem?

Czyżby pojawił się jakiś przeciek?

A może ktoś ich zdradził?

O tej ich operacji wiedziało bardzo niewiele osób.

Dominique kontaktowała się wyłącznie z Cza Li, choć wiedziała, że współpracuje z nim jeszcze kilku Chińczyków.

Jednak to Cza Li był tym, który włożył najwięcej w tę przygotowywaną przez blisko dwa lata operację.

To on znalazł odpowiednie pomieszczenia i zorganizował produkcję w najbardziej bezpiecznym dla nich miejscu i to również on wynalazł i włączył do ich grupy tego dotąd nie znanego nikomu geniusza, potrafiącego wytwarzać tak niewiarygodnie doskonale podróbki.

Natomiast Dominique przyjęła na siebie obowiązek ich sprzedawania.

Oczywiście Cza Li brał od tego swoją działkę, ale umiała targować się z nim ostro i bezkompromisowo i nie ustąpić zbyt wiele.

W końcu to on jej potrzebował, potrzebował tego, co mogła dać tylko ona.

To ona miała dostęp do środowiska i rynku, doświadczenie w prowadzeniu aukcji i tę bezcenną umiejętność tworzenia odpowiedniej atmosfery.

A poza tym to ona przyjęła największe ryzyko: w razie wpadki zostałaby praktycznie zrujnowana, zniszczona raz na zawsze.

Przecież jedyną osobą, na którą mogłaby wskazać w takim przypadku, byłby tylko Cza Li.

On jednak bardzo zręcznie się ustawił, pomyślała, marszcząc brwi.

Stale trzymał ją na uboczu, z dala od wszystkiego poza bezpośrednią sprzedażą.

Powinna była nalegać, zażądać kategorycznie, żeby wprowadzono ją we wszystko.

Okazywało się bowiem, że byle niespodziewany wypadek, taki jak ten z Rollem, stawiał w polu widzenia tylko ją, a Cza Li - jeżeli to było jego prawdziwe nazwisko - pozostawał jedynym człowiekiem, przez którego miała jakikolwiek kontakt z pozostałymi.

Ten układ też należało skorygować, i to szybko.

Jedno było oczywiste: w żadnym wypadku nie wolno dopuścić, żeby to, czego zdążył się dowiedzieć Rollo Bellamy, mogło dotrzeć jeszcze do kogoś.

Ale Cza Li już będzie wiedział, jak to załatwić.

Oczywiście nic nie może wskazywać, że ona mogłaby mieć z tym cokolwiek wspólnego. Musi być absolutnie poza wszelkim podejrzeniem.

Tak, Cza Li powinien się tym wszystkim zająć i pociągnąć odpowiednie sznurki.

A ona tymczasem będzie mogła mieć oko na Kate Despard.

Osobiście, albo też poprzez Blaisea.

Nagle okazało się, że akurat tu włączenie się Blaisea w sprawy małej Despard stało się prawdziwie opatrnościowym zrzędzeniem losu.

Zresztą Dominique domyślała się, komu przede wszystkim to zawdzięcza - oczywiście tej starej indiańskiej squaw, babce Blaisea.

Tak, Agatha Chandler z całą pewnością wolałaby w roli żony swego ukochanego wnuka widzieć kogoś takiego jak Kate Despard, zamiast tej, na którą dwa lata temu chcąc nie chcąc musiała się zgodzić.

Ale teraz te kombinacje starej kobiety doskonale mogły posłużyć jej własnym planom.

Ona sama może się tu ograniczyć najpierw do życzliwego zachęcania własnego męża, żeby w miarę należyście wywiązał się z otrzymanego od babki polecenia - w końcu

właśnie tak powinna się zachowywać naprawdę dobra żona - a następnie wykorzystywać już tylko dla siebie wnioski z informacji, które mężowi uda się zebrać.

Tak, to nie powinno być trudne, pomyślała z zadowoleniem.

Tę sprawę można było uznać za załatwioną, teraz należało zająć się resztą.

Koło południa uśmiechnięta chińska pielęgniarka przyniosła Kate tacę z herbatą i biszkoptami.

Kate musiała przyznać, że ten posiłek, a zwłaszcza gorący napój, bardzo się jej przydał - była już bardzo zmęczona, a od ciągłego mówienia zaschło jej w ustach.

Niemal bez przerwy starała się mówić do Rolla, przez blisko trzy godziny.

Wciąż nie dawało to żadnych rezultatów.

Nalała herbatę do małej miseczki, którą ujęła w obie dłonie, czując szybko przenikające przez porcelanę ciepło, a także aromat świeżego naparu.

Spróbowała podstawić parującą miseczkę tuż pod nos Rolla, ale to nie dało oczekiwanego efektu.

Herbata najwyraźniej nie wywoływała w jego umyśle żadnych naprawdę silnych skojarzeń.

W odróżnieniu na przykład od perfum Dominique.

Kate zjadła kawałek słodkiego biszkopta, po czym sięgnęła po papierową serwetkę, żeby otrzeć usta.

Gdy ją rozwinęła, nagle spostrzegła, że na serwetce coś było napisane.

Panno Despard - przeczytała Kate - nazywam się Ling Po i jestem tym chińskim przyjacielem, u którego Rollo Bellamy zatrzymał się po przyjeździe do Hongkongu.

Wydaje się, że najwyższy czas, żebyśmy się spotkali.

Prowadzę sklep przy ulicy Lok Ku - można go rozpoznać po dużym szyldzie "Ling Po Oriental" - i byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zechciała pani mnie tam odwiedzić.

Ponieważ rzeczy, które sprzedaję, z pewnością mogłyby panią bardzo zainteresować, pani odwiedziny w moim sklepie nie wzbudzą niczyich podejrzeń.

Ten mój mały liścik powierzam mojej siostrzenicy, która pracuje jako pielęgniarka w szpitalu Chandler Clinic.

Ona też zajmie się przekazaniem mi pani odpowiedzi.

Jeżeli pani się zgadza, proszę złożyć tę serwetkę w kwadrat, jeżeli nie - w trójkąt.

Mam pani bardzo wiele do opowiedzenia.

Kate nagle poczuła, że jej serce na moment przestało bić.

A więc miała rację!

Rollo jednak się czegoś dowiedział!

No tak, a jeżeli ten list to podstęp?

Jeżeli, na przykład, Dominique odczytała tę jej i tak aż nazbyt wyraźną reakcję i postanowiła po prostu usunąć ją ze swej drogi?

Łatwo przecież można sobie wyobrazić, że kiedy już się tam uda, okaże się, że żadnego Ling Po tam nie ma, ale za to są jakieś podejrzane chińskie typy, które zrobią z nią to samo, co zrobili z Rollem?

Jednak niemal natychmiast skarciła sama siebie za te niemądre myśli.

Nie bądź śmieszna, powiedziała sobie z niesmakiem, Dominique nie byłaby przecież aż tak głupia.

Najpierw miałyby załatwić biednego Rolla, a potem jeszcze ciebie?

Równie dobrze mogłaby rozpaść ognisko i wysłać sygnały za pomocą dymu.

Nie, ten list musi być autentyczny.

W rezultacie, po wypiciu herbaty, Kate złożyła serwetkę dokładnie w kwadrat.

Kiedy wróciła pielęgniarka - młoda i ładna, a przy tym tak smukła, jak smukłe potrafią być tylko młode Chinki - jej wzrok natychmiast skierował się na odłożoną serwetkę.

Nie powiedziała ani słowa, ale jej uśmiech na moment stał się jakby jeszcze wyraźniejszy.

Przynajmniej Kate odniosła takie wrażenie.

Blaise Chandler po południu znów pojawił się w szpitalu.

Kate zdążyła już zjeść przyniesiony z bufetu lekki lunch, ale chętnie przyznała mu rację, kiedy zasugerował, że powinna trochę rozprostować nogi.

- Na zewnątrz jest naprawdę piękna pogoda - powiedział - a pani, siedząc tu, nawet o tym nie wie.

Niech się pani wybierze na spacer i nacieszy tym wszystkim, a ja tu tymczasem posiedzę przy Rollu.

Kate zawahała się przez chwilę.

Gdyby Rollo akurat teraz miał niespodziewanie odzyskać przytomność, to...

Jednak, sądząc z jego wyglądu, nic tego nie zapowiadało.

A tymczasem pojawiała się znakomita okazja, żeby odwiedzić tego Ling Po.

- Dziękuję panu - powiedziała, czując, jak znów rodzi się w niej nowa nadzieja.

- To prawda, że chętnie przesłabym się po mieście, żeby się trochę rozejrzeć.

Przypuszczam, że musi tu być wiele sklepów, specjalizujących się w porcelanie.

- Jest tego pełno - zgodził się Blaise.

- A gdzie są najlepsze i najciekawsze?

- To zależy, czy panią interesują rzeczy nowe, czy stare.

- Myślę, że wolałabym stare.

- No więc na przykład na Cat Street jest pełno sklepów ze starą porcelaną i dalekowschodnimi osobliwościami, sporo jest ich też w dzielnicy centralnej.

Ale myślę, że Cat Street będzie dla pani najciekawsza.

Tam jest tego najwięcej, dosłownie jeden sklep obok drugiego.

Niech pani po prostu wezwie taksówkę i każe się tam zawieźć.

Ale jeżeli zamierza pani coś kupić, należy sprawdzić przynajmniej kilka sklepów i porównać.

Ceny mogą się różnić nawet o kilkaset procent.

- Och nie, na razie nie zamierzam niczego kupować, chcę wszystko tylko obejrzeć.

Przyjrzyć się miejscowym konkurentom naszej firmy - dodała żartobliwie - i sprawdzić, jak bardzo są dla nas groźni.

Ile czasu dałby mi pan na to?

Blaise spojrział na zegarek.

- Teraz mamy wpół do trzeciej.

Wieczorem jestem umówiony na kolację, powiedzmy więc, że miałaby pani czas do piątej.

- Ach, to z pewnością wystarczy mi aż nadto - zapewniła go Kate.

- Bardzo panu dziękuję.

Stojący u drzwi szpitala portier natychmiast przywołał dla niej taksówkę.

Kate poleciła kierowcy, żeby zawiózł ją do miasta i wysadził na ulicy Lok Ku.

Na miejscu okazało się, że chodniki są tam nieprawdopodobnie zatłoczone - przynajmniej jak na europejską miarę - przez całe tłumy niemal jednakowo ubranych ludzi; to, co mieli na sobie, najbardziej przypominało jakieś czarne piżamy.

Mimo tej monotonii w sposobie ubierania się ulica sprawiała wrażenie niezwykle barwnej.

Wiele sklepików wystawiało swe towary wprost na ulicę, tam też oferowali swe produkty sprzedawcy żywności.

Wszędzie czuło się zapach gorącego roślinnego oleju, jakieś orientalne potrawy skwierczały, smażone w głębokich metalowych patelniach.

Na przenośnych straganach leżały całe stosy warzyw i owoców, z których większości Kate w ogóle nie znała.

Szła powoli, udając, że przygląda się temu wszystkiemu, co ją otaczało, ale tak naprawdę przez cały czas szukała szyldu z napisem LingPo Oriental.

W pewnej chwili go dostrzegła, poszukiwany sklep był już blisko, po drugiej stronie ulicy.

Kate jednak ruszyła dalej, jak gdyby nigdy nic, wolnym krokiem przemaszerowała jeszcze jakieś kilkadziesiąt metrów, przypatrując się mijanym sklepom i straganom.

Potem przeszła na przeciwległy chodnik, zawróciła i znów spacerowała powoli, przypatrując się od czasu do czasu mijanym wystawom, żeby bez zwracania na siebie uwagi móc to zrobić również przy sklepie pana Ling Po.

Ta wystawa pozornie wydawała się najskromniejsza; w odróżnieniu od sąsiednich ułożono na niej raczej niewiele przedmiotów.

Ale wszystkie one świadczyły, że tu sprzedawane są tylko rzeczy najwyższej klasy.

Takie na przykład jak waza Lokapala, stojąca prawie na samym środku.

Kate przycisnęła nos do szyby, usiłując zobaczyć jak najwięcej, i mimo woli tęsknie westchnęła.

To było naprawdę piękne.

W tej samej chwili poczuła czyjeś spojrzenie.

Podniosła oczy.

Z głębi sklepu, ponad wystawionym za szybą arcydziełem dalekowschodniej ceramiki patrzyły na nią oczy starego Chińczyka.

Miał na głowie małą wyszywaną czapeczkę, ubrany był w zdobioną złotym haftem tradycyjną chińską szatę.

Ich spojrzenia się spotkały i stary człowiek niemal niezauważalnie skinął głową.

Kate zabroniła sobie myślenia o wcześniejszych lękach, zmobilizowała się w duchu i weszła do sklepu.

W środku nie było nikogo poza właścicielem.

- Panna Despard, jak rozumiem?

- powitał ją właściciel, w nienagannej angielszczyźnie.
- Opis pani osoby, który mi podał Rollo, był jak zwykle bezbłędny.

Bardzo proszę, niech pani wejdzie.

Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli na wszelki wypadek będzie pani udawała klientkę, zajmując miejsce w tym fotelu naprzeciwko lady.

Może też pokażę pani parę naszych rzeczy?

- Takich na przykład jak Lokapala, tam na wystawie?

Stary Chińczyk uśmiechnął się z satysfakcją.

- Oczywiście, z wielką przyjemnością.

Przeszedł za ladę, spod której wyjął kwadratowy kawałek aksamitu i położył go na szklanej pokrywie kontuaru, obok stojącej tam otwartej kasetki.

Leżały w niej nieprawdopodobnie piękne rzeczy, wykonane ze starej kości słoniowej, które Kate po prostu zachwyciły.

W ogóle wszystko to trochę przypominało jej dawny sklep na Kings Road - wszystkie przedmioty wyeksponowane były ze smakiem i wyczuciem stylu.

Ling Po sprzedawał nie tylko przedmioty z porcelany, kości słoniowej i nefrytu; były tam też malowane wachlarze - zarówno te wykonane ze spreparowanej i polakierowanej skóry kurczątków, jak i te jedwabne, zdobione pięknymi rysunkami wykonanymi tuszem; wspaniałe chińskie stroje z gatunku tych, które Kate widziała dotąd tylko na obrazach, przedstawiających dawnych chińskich dygnitarzy.

Ling Po sprzedawał oczywiście również i takie właśnie obrazy, zupełnie fantastyczne przedmioty z laki oraz przepiękne, wymagające nieprawdopodobnego nakładu pracy wyszywane stroje.

Ling Po przeszedł teraz do wystawy, z której zdjął stojącą tam wazę Lokapala, przeniósł ją na ladę i ustawił na aksamitnym kwadracie.

Kate mimo woli wstrzymała oddech.

- Czy mogę?

- Bardzo proszę.

Kate podniosła się i ostrożnie ujęła w dłonie unikatowy, wspaniały przedmiot.

- Muszę pani powiedzieć, że jestem bardzo poruszony i przygnębiony tym, co spotkało mojego długoletniego przyjaciela Rolla - powiedział Ling Po, a w jego głosie brzmiała nie udawana troska.

- Ostrzegałem go, ale on mnie nie posłuchał.

Mówiłem, że za dużo czasu upłynęło od jego pobytu tutaj.

- Ale przed czym konkretnie pan go przestrzegał?

- zapytała Kate, obracając wazę w dłoniach i oglądając ją ze wszystkich stron.

- Przed triadami, oczywiście.

Kate nawet nie podniosła głowy, to określenie nic jej nie mówiło.

- Co to takiego, te triady?

Nie słyszałam o nich.

- A słyszała pani o mafiach?

Dłonie Kate znieruchomiały, ale jej głos był nadal spokojny.

- Oczywiście, że słyszałam o mafiach.

Na przykład o włoskiej czy amerykańskiej.

- No więc triady to nasza chińska mafia.

Kate bardzo ostrożnie postawiła wazę Lokapala na kwadratowej podkładce z aksamitu.

- Ale co to ma wspólnego z Rollem i tym, co się z nim stało?

- To, że pod kontrolą triad jakieś dwa lata temu uruchomiono tajną fabryczkę czy raczej manufakturę, która zajmuje się wytwarzaniem fałszywych antyków -podrabia dzieła dawnej chińskiej sztuki.

Mieliśmy powody, by sądzić, że ta wytwórnia mieści się w dzielnicy, zwanej Miastem za Murem.

No i Rollo uparł się i postanowił sam to sprawdzić.

Kate z najwyższym trudem odzyskała głos.

- Ale...

w jaki sposób dowiedzieliście się o tym wszystkim?

- Niestety nie wolno mi zdradzić źródeł naszych informacji.

Musi pani przyjąć, że to po prostu wiem.

- Ling Po zamilkł na chwilę.

- Wiem także i coś więcej: że dom aukcyjny Despards Hongkong już od dłuższego czasu jest z tym bardzo silnie związany.

Kate nie zapomniała, że nadal powinna się zachowywać jak klientka, która chce coś kupić.

Wciąż, jakby automatycznie, wpatrywała się w wazę Lokapala, ale już jej w ogóle nie widziała.

Nie docierało do niej nic, poza tą jedną sprawą: to, czego obawiała się najbardziej, zostało potwierdzone.

- Właśnie dlatego poprosiłem Rolla, żeby przyleciał do Hongkongu - mówił dalej Ling Po. Kate dobierała teraz słowa niezwykle ostrożnie.

- Chce mi pan powiedzieć, że niektóre z tych przedmiotów, które zostały sprzedane na ostatniej aukcji Despards Hongkong, były podrobione?

Że to były fałszywe antyki?

- Nie niektóre, panno Despard.

Prawie wszystkie.

Kate, która właśnie ponownie wzięła do rąk wazę Lokapala, teraz pośpiesznie postawiła ją z powrotem, z obawy, że jej nagle zeszywniałe palce mogłyby ją upuścić.

- Chyba jednak musi się pan mylić - powiedziała, gdy w końcu odzyskała głos, który znów jej na chwilę odebrało.

- Nikt nie ważyłby się zrobić czegoś takiego, nikomu nie mogłaby ujść na sucho próba zorganizowania ogromnej aukcji samych fałszyfikatów i podróbek, które miałyby uchodzić za autentyki.

W całej historii tego zawodu nikt i nigdy tego nawet nie próbował.

Zresztą, skąd niby miałyby pochodzić te rzekome arcydzieła dawnej sztuki?

Kto potwierdziłby ich autentyczność?

Oczywiście wiem, że nawet największych ekspertów udaje się czasami oszukać, ale z reguły może się to zdarzyć w przypadku jakiejś jednej rzeczy, w najgorszym razie - dwóch czy trzech.

Ale żeby to się udało z całą ogromną kolekcją, przeznaczoną na kilkudniową aukcję?

- Kate pokręciła przecząco głową, z taką siłą, że niewiele brakowało, żeby poważnie naruszyła sobie kręgi szyjne.

- Oszustwa w tak ogromnej skali nie da się utrzymać w tajemnicy, to po prostu niemożliwe.

W końcu gdzieś, kiedyś, ktoś musi przecież coś chlapnąć, i rzecz się wyda.

Ktoś tam coś usłyszy, ktoś inny na wszelki wypadek przeprowadzi specjalistyczne badania zakupionego arcydzieła...

...tak, jak to się stało w przypadku tego twojego konia Tang - ironicznie dopowiedział jej wewnętrzny głos.

- Falszerstwa się rzeczywiście wykrywa, ale nie w przypadku tak doskonałych podróbek jak te - powiedział Ling Po, a jego słowa miały w sobie ten zupełnie pozbawiony emocji spokój, który daje tylko całkowita pewność.

- A co do wygadania się przez kogoś, proszę pamiętać, że tam, gdzie wchodzi w grę triady, mówienie o tym, co się wie, oznacza pewną śmierć.

- Ach, niech pan nie mówi takich rzeczy.

- Kate złapała się na tym, że nagle, jakby w ogóle bez powodu, zaczęła mówić podniesionym głosem.

Całe to gadanie o śmierci coraz bardziej ją denerwowało.

- Niech pani nie próbuje tego lekceważyć, panno Despard.

To nie są żarty.

Tutaj każdy, powtarzam - każdy, kto zdradzi, czy nawet tylko wygada się w jakikolwiek sposób, umiera, i to w sposób wyjątkowo mało przyjemny.

Umiera, a wraz z nim ginie również cała jego rodzina.

Ktoś, kto wstępuje do triad, składa przysięgę, która oddaje jego życie w ręce organizacji.

Przysięga jest pieczętowana krwią, a składa się ją podczas naprawdę przerażającej, tajnej ceremonii, o której również nie wolno nikomu powiedzieć ani słowa.

I ludzie, którzy złożyli tę przysięgę, milczą, choćby tylko z potwornego lęku przed tym, co ich spotka, jeśli ją naruszą.

A więc to dlatego Rollo wtedy mówił, że sprzedawane przez Dominique przedmioty są równie autentyczne, jak banknot trzydolarowy, przypomniała sobie Kate.

Nagle poczuła, że i ją zaczyna ogarniać lęk.

- To triady tak naprawdę rządzą Hongkongiem, panno Despard, rządzą może nieoficjalnie, ale za to bardzo efektywnie.

Wszyscy wiedzą, że w tutejszej policji mają niemało swoich ludzi - na pewno jest ich więcej niż dziur w serze szwajcarskim.

Mówi się zresztą, że podobnie jest i w rządzie, i zapewne dlatego przez tak wiele lat wciąż nie udało się tych przestępczych organizacji wyeliminować.

Dlatego też w tym mieście, droga panno Despard, musi pani być bardzo ostrożna.

Musi pani bardzo uważać, z kim pani rozmawia, a jeszcze bardziej się pilnować, jeśli zechce pani komuś zaufać.

Ling Po zauważył drgnięcie powiek Kate i zdał sobie sprawę, że jego ostrzeżenia musiały do niej dotrzeć.

- Rollo Bellamy jest moim bliskim przyjacielem - mówił dalej.

- Dlatego zrobię wszystko, co tylko można, żeby mu pomóc.

Kate popatrzyła na niego i mimo woli poczuła się zawstydzona.

- Jestem tego pewna - powiedziała.

Ale niemal natychmiast powróciła do sprawy, która teraz była dla niej najważniejsza.

Do tej ponurej rewelacji, która kładła się na wszystko jak złowrogi cień.

- A więc moja siostra jest powiązana z triadami?

- I to mocno.

Oni dostarczają jej falsyfikaty, a ona je sprzedaje.

- Musiała chyba oszaleć - powiedziała Kate na wpół do siebie.

Ling Po pokiwał głową.

- Bardzo możliwe, że wciąż nie zdaje sobie sprawy, z kim ma do czynienia.

W przypadku ludzi z triad nie jest to nic niezwykłego, oni często ukrywają prawdziwą tożsamość, dopóki nie uznają, że korzystniej będzie ją odsłonić.

Zamilkł na chwilę, a Kate zbierała w sobie siły, by stawić czoło dalszym, jeszcze bardziej szokującym rewelacjom.

- Pani przybrana siostra jest związana z mężczyzną, który używa nazwiska Cza Li i oficjalnie występuje jako szanowany kupiec, zajmujący się chińską porcelaną i antykami.

Ma swój sklep, zresztą prawie obok Despards Hongkong, w kompleksie Mandarin Hotel Arcade...

- Ling Po znów zrobił pauzę.

- W rzeczywistości jednak jest przede wszystkim członkiem mafii, i to postawionym w jej hierarchii bardzo wysoko.

W języku triad tę rangę określa się jako Czerwone Szaty.

Jak mi doniesiono, to właśnie on stoi za tą sprawą.

Nie tylko zorganizował produkcję podrobionych arcydzieł starej chińskiej sztuki, ale i doprowadził do tego, że falsyfikaty sprzedawane są przez tak renomowaną firmę jak Despards.

Twarz Kate przypominała wykonaną z wosku maskę.

Miała wrażenie, że jej całe ciało drętwieje.

- Być może madame du Vivier coś o tym wie, ale raczej w to wątpię.

Ludzie, należący do triad, zazwyczaj znają się wyłącznie wewnątrz własnej grupy.

Zresztą dla sytuacji pani siostry nie ma większego znaczenia, czy o tym wie, czy nie.

Teraz jest w to tak głęboko wciągnięta, że...

- Ling Po nie dokończył i tylko rozłożył ręce.

- ...że już nie ma stamtąd ucieczki - zrobiła to za niego Kate.

Nie, ona raczej wciąż nie wie, nie może wiedzieć, pomyślała.

Nikt o zdrowych zmysłach nie wdałby się dobrowolnie w coś takiego jak współpraca z triadami.

Dominique może być chciwa i bezwzględna, ale na pewno nie jest głupia.
Po prostu oślepiła ją wizja olbrzymich pieniędzy, które mogła w ten sposób zarobić i przez to pokonać mnie w rywalizacji o Desparda jednym miażdżącym uderzeniem.
A to stało się dla niej obsesją: przejąć kontrolę nad firmą Desparda, pognać i rozdeptać mnie i chodzić w glorii niekwestionowanego zwycięstwa.
Ale że jednak zdecydowała się na sprzedaż falsyfikatów!
Zdarzało się czasem, że jakaś podrobiona rzecz bywała na aukcjach sprzedawana jako oryginał - najczęściej wtedy, gdy praca fałszerza dała efekt bliski doskonałości, a pochodzenie przedmiotu zdawało się potwierdzać jego autentyczność.
Ale świadomie i z rozmysłem, z jawnie złą wolą wystawić na sprzedaż kilkaset falsyfikatów?
To się po prostu nie mieściło w głowie.
Jaką bezczelnością trzeba było się wykazać, żeby zrobić coś takiego!
Zresztą najprawdopodobniej właśnie dlatego to się jej powiodło, pomyślała Kate.
Nikt o zdrowych zmysłach nie pomyślałby, że taka rzecz jest w ogóle możliwa.
Wciąż nie umiała się z tym pogodzić, jak gdyby jej mózg po prostu nie chciał tego przyjąć do wiadomości.
Oczywiście, jakieś tam historie, związane z podróbkami i falsyfikatami, istniały w handlu dziełami sztuki od zawsze.
No ale przecież nigdy w takiej skali!
To były pojedyncze sztuki, nie setki!
To po prostu niemożliwe, powtarzała z uporem.
Nawet Dominique nie ważyłaby się na to.
Tymczasem Ling Po, który na chwilę wyszedł na zaplecze, powrócił trzymając w rękach niewielką, dwudziestocentymetrową figurkę.
Figurka przedstawiała młodego mężczyznę w stroju stajennego.
Jego uniesione do góry ręce zdawały się z całą siłą trzymać uprzęż konia.
Zrywający się do biegu koń zapewne uzupełniał kompozycję, figurka sprawiała bowiem wrażenie części, oderwanej od większej grupy.
Ling Po podał figurkę Kate.
- Proszę, niech pani to obejrzy.
Jak najdokładniej, jeżeli można prosić.
Kate ostrożnie wzięła figurkę do ręki.
Tang, pomyślała, ważąc ją w dłoni, a następnie obracając na wszystkie strony.
Wyważenie było takie, jak powinno, zresztą od pierwszej chwili czuła, że trzyma w dłoni autentyk, ale dla pewności postanowiła obejrzeć to jeszcze przez lupę, którą podał jej Ling Po.
Zbadła dokładnie całość, centymetr po centymetrze.
Kształt wydawał się idealny, na warstwie zewnętrznej widoczne były nawet charakterystyczne mikrouszkodzenia, w oczywisty sposób pojawiające się dopiero z upływem całych stuleci.
Gdyby nie została uprzedzona, z całą pewnością uznałaby tę figurkę za autentyczną.
Tak jak to zrobiła w przypadku tamtego pamiętnego konia.

Podniosła wzrok i spojrzała na Ling Po, który powiedział: - Tak, panno Despard.

Tę figurkę wykonano niecałe dwa lata temu.

- Ale gdzie?

Kto to potrafił zrobić, i w jaki sposób?

W ogóle nie przypuszczałam, że mogą istnieć falsyfikaty, które same w sobie są już też dziełami sztuki.

Ktokolwiek to zrobił, jest geniuszem!

Nieznanym, ale z całą pewnością geniuszem.

- Zgadza się z panią.

Ja również nie zetknąłem się z tak doskonałą podróbką autentyku, przez wszystkie lata, które przeżyłem w tym zawodzie.

- Czy te sprzedawane na aukcji mojej siostry przedmioty również były takie?

To znaczy, czy były równie doskonałe?

- Były absolutnie doskonałe, wszystkie.

Podobnie zresztą, jak i dostarczone wraz z nimi świadectwa pochodzenia.

- I mam rozumieć, że nadal nikt - ale to absolutnie nikt - niczego nie podejrzewa?

- Nikt.

O tym, że to falsyfikaty, wiem tylko ja i Rollo.

Teraz wie o tym także i pani.

To wszystko.

- Dzięki Bogu!

- Kate odetchnęła z ulgą.

- Gdyby to wyszło na jaw, firma Desparda byłaby zrujnowana.

- Zawahała się na chwilę, po czym zapytała: - Ale niech mi pan powie, skoro triady to mafia, czyli gangsterzy, to dlaczego zajęli się podrabianiem dzieł starej sztuki?

To chyba nie pasuje do ich zainteresowań, nie jest w ich stylu.

- Tak, ma pani rację.

W każdym razie jeszcze do niedawna tak było.

Ale teraz tego rodzaju działalność najwyraźniej też staje się jednym ze sposobów poszerzania obszarów ich...
aktywności.

Jak pani może wie, włoska mafia zaczynała jako szanowana organizacja społeczna, rodzaj grup samoobrony.

Podobnie było z naszymi triadami, które kiedyś też cieszyły się powszechnym szacunkiem.

Natomiast teraz zajmują się już wyłącznie zastraszaniem, wymuszaniem haraczy, kontrolują prostytucję i handel narkotykami.

Szeregowych członków triady do dziś rekrutują głównie z ulicznych mętów, ale wyżej w ich hierarchii spotyka się coraz więcej ludzi wykształconych, o znacznej kulturze i, powiedziałbym, trudnych do odróżnienia nawet w najbardziej szacownych kręgach współczesnego społeczeństwa.

Żaden przypadkowy klient nie przerwał ich rozmowy, ale Ling Po najwyraźniej nadal chciał - na wszelki wypadek - zachować ich przyjęte dla ostrożności role.

Tak więc Kate wciąż siedziała na ustawionym na wprost lady fotelu, jako klientka, a Ling Po tym razem ustawił przed nią seledynową misę, na widok której Kate na chwilę zapomniała o tym, że jest krańcowo roztrzęsiona, i wykrzyknęła z zachwytem: - Och, to naprawdę cudowne!

Cudowne!

Jednak niemal natychmiast wróciła do spraw w tej chwili dla niej najważniejszych.

- A zatem Rollo wie o tym wszystkim?

- Tak, wie.

Wie też - niemal wszystko - o triadach.

Nauczył się o nich bardzo wiele, kiedy był tu podczas wojny.

- Z grupami artystycznymi ENSA?

- zapytała z pewnym niedowierzaniem Kate.

- Grupa estradowa z programami dla wojska w jego przypadku była tylko przykrywką.

W rzeczywistości Rollo wtedy - podobnie jak i ja - pracował dla brytyjskiego wywiadu wojskowego.

To było następne uderzenie, kolejny szok, który przyprawił Kate o zawrót głowy.

- Kto, Rollo?

- wykrzyknęła.

- Był szpiegiem?

- Spojrzała na Ling Po i przez chwilę pozostała z otwartymi ustami, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała.

- Pan chyba mnie nabiera - powiedziała niepewnie.

- Nie - zapewnił Ling Po, choć i w jego głosie pojawił się odcień pewnego zakłopotania.

Mimo woli spojrział na swe odbicie w lustrze.

- Oczywiście było to wiele lat temu, obaj wtedy byliśmy młodzi.

Czasy były inne...

no i my chyba także byliśmy inni.

- Westchnął z wyraźnym żalem i dokończył: - Tak czy inaczej od tego czasu pozostawaliśmy w kontakcie.

- Zawsze wiedziałam, że Rollo ma różne znajomości na całym świecie - powiedziała Kate, na wpół do siebie.

- Ale to jest coś tak niesłychanego, że po prostu chce mi się śmiać!

Rollo był kiedyś szpiegiem, prawdziwym szpiegiem?

Takim, o jakich pisze John le Carre, w "Ze śmiertelnego zimna", na przykład?

- Ja też czytałem tę znakomitą książkę.

Tak.

Właśnie tacy byliśmy, tyle tylko, że naszym przeciwnikiem byli Japończycy.

- Wciąż nie potrafię w to uwierzyć.

- Kate popatrzyła na swego rozmówcę nieomal z lękiem.

- Stale mam wrażenie, że za chwilę obudzę się, jak Alicja w krainie czarów, i odkryję, że to wszystko tylko mi się śniło.

- Zapewniam panią, panno Despard - powiedział Ling Po bardzo poważnie - że to się pani nie śni nawet w najmniejszym stopniu.

To szczerą prawdą.

Kate potrząsnęła głową, jakby usiłując wyrzucić z niej to, co już się tam nie mieściło.

- Szpieg!

szpieg!

- mruzczała pod nosem.

- Rollo czasem mówił mi, że przez całe życie zmierzał właśnie do tego, ale ja nigdy nie brałam tych słów poważnie, nie przyszło mi do głowy, że mógłby nim być rzeczywiście...

- Nagle uderzyła ją nowa myśl: - A zatem on zna chiński?

- Ależ tak, i to bardzo dobrze.

Potrafi mówić w kilku dialektach - kantońskim, mandaryńskim, a także w popularnym tu w Hongkongu dialekcie Hakka.

Kate cofnęła się i zasłoniła sobie oczy rękami.

- Chyba zaczynam wariować!

- powiedziała, mimo woli zaciskając wargi.

- Po prostu musiałam dostać hopla!

To wszystko jest przecież zbyt fantastyczne, żeby to mogła być prawda!

- Obróciła się do Ling Po.

- Niech pan mi powie, że wciąż jestem przy zdrowych zmysłach!

Pan jest tym chińskim kupcem, zajmującym się antykami, o którym Rollo mi opowiadał, prawda?

Ling Po pochylił głowę z uszanowaniem.

- Mam zaszczyt być właśnie tą wymienioną przez niego osobą.

- I to pan tak podniecił jego ciekawość, że postanowił przylecieć i zbadać to osobiście?

Bo uważał, że coś tu śmierdzi?

Rzeczywiście śmierdzi, tyle że teraz dla niektórych już śmierdzi trupem!

Jego trupem!

- W głosie Kate pojawiły się nutki prawdziwej hysterii.

Ling Po nadal mówił bardzo spokojnie.

- Proszę pani, Rollo koniecznie chciał udowodnić, że wciąż jest coś wart, że wciąż się do czegoś nadaje.

Parę razy mówił do mnie: "Poczekaj tylko, aż Kate się dowie, do czego się tu dokopałem, bardzo szybko zaczniesz ze mną rozmawiać zupełnie inaczej".

Kate zatrzepotała powiekami.

- To prawda, że wystąpiły między nami pewne różnice zdań.

Był na mnie zły, ponieważ sądził, że chcę go odsunąć na margines, pozbawić pozycji, którą przez tyle lat stałe zajmował w moim życiu.

Ling Po westchnął.

- Tak.

Rollo z pewnością musiał to przeżyć bardzo boleśnie.

- Boże drogi, jakaż ja byłam naiwna!

Wiedziałam, że dużo podróżował po świecie i że poznał przy tej okazji mnóstwo ludzi, ale wciąż jest dla mnie niewyobrażalne...

- Pisywałem do niego - powiedział Ling Po.

- Utrzymywaliśmy kontakt listowny, więc któregoś dnia napisałem mu, co odkryłem.

- W jaki sposób?

- wybuchła Kate.

- I jak może być pan aż taki pewny, że to falsyfikaty?

- Po prostu zbadalem nie jeden, ale kilka takich przedmiotów.

Tę figurkę, którą pani pokazywałem, i jeszcze inne.

Paru przyjaciół kupiło je dla mnie, żebym mógł to sprawdzić ponad wszelką wątpliwość.

- I jaką metodą pan je badał?

- spytała chytrze Kate.

- Metodą termoluminescencyjną.

Mam kilku starych przyjaciół z...
dawnych lat, tak to nazwijmy.

Oni mieli możliwości przeprowadzenia tego rodzaju badań.

Oczywiście zrobiono to dla mnie w absolutnej tajemnicy.

- Jakżeby inaczej?

- powiedziała Kate z gorzką ironią.

- A zatem Rollo naprawdę był szpiegiem.

Trudno się dziwić, że był w tym taki dobry.

- Roześmiała się, ale zabrzmiała w tym jakaś fałszywa nutka.

- A ja głupia myślałam, że doszedł do tego sam z siebie.

- Nie.

Obaj przeszliśmy specjalne przeszkolenie w Wielkiej Brytanii - powiedział Ling Po, najwyraźniej nie wyczuwając przebijającego w jej głosie sarkazmu.

Kate nagle zaczęła się śmiać, coraz głośniejszą i głośniejszą, aż w końcu musiała zasłonić sobie usta otwartą dłonią.

Po dłuższej chwili jakoś się opanowała, kilka razy odetchnęła głęboko.

- Przepraszam, ale to był dla mnie za duży szok.

- Nietrudno to zrozumieć.

Ale mimo wszystko powinna pani to wiedzieć.

Kate podniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Tak jak pan wiedział wszystko o mojej przybranej siostrze i o mnie?

- Tak.

Rollo bardzo dokładnie wprowadził mnie w całą sytuację.

- A mnie nawet słowa nie powiedział o tym, co wiedział!

- Wtedy jeszcze nie mógł.

Musiałem do niego wysłać list.

Telefonowanie byłoby za dużym ryzykiem: triady mają swoich ludzi w centralach telefonicznych, zresztą mają ich dosłownie wszędzie.

Toteż dopiero z mojego listu Rollo dowiedział się o tym, co udało mi się odkryć.

Teraz ja złamałem dane sobie samemu słowo, że będę o tym milczał jak grób.

Ale czułem, że po tym, co się stało, powinienem z panią porozmawiać.

Choćby po to, żeby pani zdała sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo grozi teraz również i pani.

- Mnie?

- wykrzyknęła Kate.

Nagle poczuła wyjątkowo dotkliwie, że to niebezpieczeństwo może być jak najbardziej realne.

- Wiadomo, że pani przyjaźni się z Rollem, przecież przyjechała tu pani właśnie do niego.

A oni próbowali go zabić; nawet jeśli zrobili to nie do końca skutecznie, może pani być pewna, że w przypadku pani też się nie zawahają.

Kate wzdrygnęła się nagle.

Myśl o możliwym zagrożeniu przychodziła jej już do głowy, ale teraz to się potwierdzało, aż nazbyt przekonująco.

- Ci ludzie - nawet jeśli nie domyślili się tego wcześniej - teraz już na pewno wiedzą, że to przebrany i ucharakteryzowany na Chińczyka Rollo był tym Człowiekiem, który próbował ich szpiegować.

I będą się zastanawiać, dlaczego to zrobił - mówił dalej Ling Po.

- Ale skoro już wiedzą o mnie, to zapewne wiedzą również i o panu?

Ling Po wzruszył ramionami.

- Muszę podjąć to ryzyko, podobnie jak pani.

Kate nagle się uśmiechnęła, z pewnym wzruszeniem.

- Kiedy byłem dzieckiem, Rollo przebierał się za Chińczyka, żeby mnie bawić.

Wmawiał mi, że nazywa się Czu Czin Czau.

Ale nigdy mi nie powiedział, że naprawdę był w Chinach.

- Jako młody człowiek spędził w nich kilka lat.

Jego ojciec współpracował z jedną z wielkich angielskich firm w Kantonie.

Rollo był tam zatrudniony, co prawda nie znosił tej pracy, ale Chiny w końcu naprawdę pokochał.

Już wtedy zdarzało mu się przebierać za Chińczyka, z wykorzystaniem teatralnej charakteryzacji.

Zawsze był w tym bardzo dobry.

Także i teraz, kiedy po przyjeździe do mnie postanowił w przebraniu wmieszać się w tłum, jego ubiór i charakteryzacja były naprawdę doskonałe.

Ale pomyśl, żeby wejść do Miasta za Murem, to było czyste wariactwo.

Najprawdopodobniej - choć oczywiście są to tylko moje przypuszczenia - Rollo wpadł, ponieważ nie umiał zadawalająco odpowiedzieć, kiedy ktoś go po prostu zapytał: "Czyj jesteś, bracie, i skąd się tu wzięłeś"?

Dlatego uważam, że musi go pani stąd zabrać, i to tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Dla tych ludzi Rollo jest teraz ogromnym zagrożeniem, a na to oni nie zwykli pozwalać.

-Ling Po zamilkł na chwilę, a potem ostrożnie zapytał: - Czy dobrze rozumiem, że ma pani tu bardzo wpływowych przyjaciół?

- Ma pan na myśli Chandlerów?

Tak, ale oni - zarówno Blaise Chandler, jak i jego babka Agatha - nic o tym wszystkim nie wiedzą i w żadnym wypadku nie powinni się dowiedzieć.

- Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Pan Chandler jest mężem mojej przybranej siostry.

- Wiem o tym - powiedział Ling Po.

- Ale czy nie sądzi pan, że sprawą Rolla zajmuje się teraz przede wszystkim policja? Z pewnością zapewnią mu odpowiednią ochronę, prawda?

- Nie ma takiej ochrony policyjnej, która potrafiłaby osłonić kogoś, na kogo triady wydały wyrok, panno Despard.

Jedynym wyjściem jest poszukanie pomocy u ludzi, którzy naprawdę mają tu wpływ. Jak już mówiłem...

- A więc dobrze - powiedziała Kate.

Postanowiła, że będzie działać trzeźwo i rozsądnie.

- Pomyślę o tym, co mi pan powiedział.

Ale, bardzo proszę, niech pan sam na razie nic więcej nie robi.

Sama spróbuję jakoś to rozgryźć, bo chyba się pan orientuje, o jaką stawkę idzie.

W grę wchodzi reputacja całej firmy Despard.

Tak więc jeśli istnieje jakaś szansa załatwienia tego wszystkiego bez ujawniania prawdziwego przebiegu wydarzeń, muszę spróbować ją wykorzystać.

- Będzie to chyba bardzo trudne.

Nie wiemy, gdzie wytwarzano te falsyfikaty.

Jeżeli, tak jak przypuszczaliśmy, wytwórnia mieściła się gdzieś w obrębie Miasta za Murem, to i tak z całą pewnością już została przeniesiona po przychwyceniu tam Rolla.

A oskarżanie bez dowodów byłoby zupełnym szaleństwem.

Zresztą nawet posiadanie dowodów nie zawsze wystarcza, kiedy w sprawę zamieszane są triady.

Wszelkie działania muszą być przeprowadzane niezwykle ostrożnie.

Ja sam nie powinienem się w to angażować.

To, co mogę teraz robić, to przede wszystkim zbierać i przekazywać potrzebne informacje.

Chińczycy uwielbiają plotki, i nawet w tym moim małym sklepiku udaje mi się nieraz dowiedzieć wielu bardzo interesujących rzeczy.

Poza tym oczywiście mam najróżniejsze kontakty, mam ludzi, którzy mnie informują o tym, co się dzieje, ale rzecz jasna nie wolno mi zdradzić ich tożsamości.

Sądzę zresztą, że na razie nie można podjąć żadnych praktycznych działań, przynajmniej do momentu, kiedy Rollo będzie mógł powiedzieć nam, co udało mu się wykryć.

Kate słuchała tego z ulgą, choć nadal miała miękkie nogi, na samą myśl o tym, co mogło się stać.

Wyobraziła sobie formacje miejscowej policji, organizujące nalot na sklepy i biura firmy Despard, tuż obok zamieszkanego przez setki cudzoziemców ekskluzywnego hotelu "Mandarin", i te tytuły na całą szerokość strony w "Timesie" i innych gazetach.

- A póki co usilnie namawiam panią, panno Despard, by postarała się pani jak najszybciej zabrać Rolla z Hongkongu.

Tu jest dla niego zbyt niebezpiecznie.

- Przecież jest w Chandler Clinic, gdzie pielęgniarki czuwają nad nim przez okrągłą dobę?

Ling Po uśmiechnął się.

- Ale mnie udało się mimo to przesłać tam list do pani, prawda?

Kto zagwarantuje, że jakiś człowiek z tutejszej mafii nie pracuje w tym szpitalu jako portier lub zamiatacz?

Triady mają swoich ludzi wszędzie, panno Despard.

- Ling Po odkaślnął lekko, zasłaniając sobie usta dłonią, co u Chińczyków oznacza zamiar powiedzenia czegoś niekonwencjonalnie śmiałego.

- Jeżeli pani pozwoli na pewną sugestię...

Jak rozumiem, pan Blaise Chandler jest człowiekiem honoru i można mu zaufać?

- Sądzę, że tak, ale wciąż nie można zapominać, kim jest jego żona.

Jej z całą pewnością ufać nie wolno.

Wszystko, co powiedziałabym Blaiseowi Chandlerowi, bardzo łatwo mogłoby trafić do niej.

Nie, nie należy mu nic mówić.

To byłoby zbyt ryzykowne.

- Ale wobec tego może...

jego babce?

Agatha Chandler wciąż ma tu reputację nieporównywalną z jakąkolwiek inną, nadal budzi szacunek graniczący z lękiem, zarówno z racji bogactwa i wpływów, jak i szacownego wieku.

Kate w zamyśleniu przygryzła wargę.

- Tak, chyba to jest myśl.

Księżna jest w stanie wszystko zrozumieć.

- Ale jeśli będzie pani do niej telefonować, proszę zachować szczególną ostrożność.

Bo powtarzam, triady mają swoich ludzi wszędzie...

- nagle, na tym samym oddechu i tym samym tonem Ling Po zaczął mówić do niej jak sprzedawca do klientki: - ...tak, szanowna pani, to wyjątkowo cenny okaz dawnej chińskiej sztuki.

W tej samej chwili umieszczony nad drzwiami dzwoneczek zabrzączał i ucichł.

Do sklepu weszła jakaś para europejskich turystów, których Ling Po wcześniej dostrzegł kątem oka.

- Dziękuję, że zechciał mi pan to pokazać - powiedziała równie uprzejmie Kate i podniosła się z fotela.

- Ale obawiam się, że to zbyt drogie, bym mogła sobie na to pozwolić.

- Być może zechce pani zaszczyścić mój skromny sklep i odwiedzić go podczas pani następnej wizyty w Hongkongu - powiedział z wyszukaną grzecznością Ling Po.

- Och, z całą pewnością nie omieszkać tego zrobić - odpowiedziała Kate.

Zdażyła się już zorientować, że para, która teraz podziwiała porcelanową statuetkę bogini Kwan Yin, to turyści z Anglii.

- Do widzenia.

Ling Po, nie przestając się kłaniać, odprowadził ją aż do drzwi.

Po wyjściu ze sklepu Kate znalazła się na ulicy, która wydała się jej jeszcze bardziej zatłoczona niż przedtem.

Niemal bez przerwy trzeba się było przepychać w zapełniającym chodniki tłumie ludzi. Kate na dobrą sprawę w ogóle nie wiedziała, dokąd tak idzie, myślała tylko o tym, co dziś usłyszała - o tych wszystkich okropnych rzeczach, o których opowiedział jej Ling Po. Kiedy wreszcie po jakimś czasie rozejrzała się wokół siebie, okazało się, że idzie chodnikiem jakiejś szerokiej i bardzo ruchliwej śródmiejskiej arterii, po której nie kończącym się strumieniem jechały stłoczone razem tramwaje, autobusy, wielkie ciężarówki, furgonetki, taksówki i samochody osobowe.

Chodniki były tu szersze, ale też tłum przechodniów jeszcze większy.

W pewnej odległości przed sobą zobaczyła ogromny nowoczesny budynek z wielkim napisem, który wydał się jej znajomy.

Tak, zetknęła się już gdzieś z tą nazwą - Connaught Centre.

Ruszyła razem z grupą przechodniów i w ten sposób udało się jej w miarę bezpiecznie przejść przez jezdnię.

Zegar na jednym z budynków wskazywał czwartą po południu, a Blaise Chandler nie spodziewał się jej przed piątą.

Wszystko zatem składało się doskonale.

Wychodząc zapowiedziała, że zamierza oglądać wystawy sklepowe.

Teraz będzie mogła rzeczywiście to zrobić.

Connaught Centre - zapamiętała tę nazwę, przeglądając w swym hotelowym pokoju przewodnik po Hongkongu - był to jeden z największych kompleksów handlowych w tym mieście, z mnóstwem najróżniejszych sklepów.

Taksówka, którą wzięła po wyjściu z Connaught Centre, by wrócić do Chandler Clinic, dowiozła ją przed główne wejście szpitala dokładnie za pięć piątą.

Godzinę wcześniej Kate błąkała się bez określonego celu po pasażach ogromnego centrum, przyglądała się wystawom poszczególnych sklepów, a później usiadła nad filiżanką kawy w jakiejś kafeterii i zamyśliła się tak głęboko, że w rezultacie musiała się potem mocno śpieszyć, by mimo wszystko zdążyć na czas.

Ale właśnie dzięki temu wszystkiemu przynajmniej otrząsnęła się z pierwszego szoku. Wciąż była przejęta i jakby ogłuszona, ale miała wrażenie, że już jakoś panuje nad sobą. Otwierając drzwi, prowadzące do Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej, zdobyła się nawet na szeroki uśmiech.

- No więc już jestem - powiedziała, udając dobry humor.

- Dokładnie na czas, mam nadzieję.

- Rzeczywiście.

Znalazła pani sklepy, których pani szukała?

- O tak - zapewniła go Kate.

- To było naprawdę fascynujące!

Tak nieprawdopodobnie wiele wspaniałych rzeczy...

Przyjrzała się Rollowi.

Wyglądał dokładnie tak samo jak w chwili, kiedy go zostawiła.

- Żadnej zmiany, nic.

- Blaise podniósł się z fotela i przeciągnął, by rozprostować kości.

- A pani też niech nie zostaje tu zbyt długo.

O ósmej przyśle samochód, który zabierze panią do hotelu.

Niech pani zamówi sobie kolację do pokoju i położy się wcześniej spać.

- Dobrze.

Zrobię tak, jak pan mówi.

- Ufam, że to prawda.

No i co pani teraz myśli o Hongkongu?

- Mogę powiedzieć, że mnie wręcz zatkało - odpowiedziała Kate, tym razem akurat zgodnie z prawdą.

Potem jeszcze dodała nieśmiało: - Pomyślałam sobie, że mogłabym może zadzwonić do księżnej.

Co pan o tym sądzi?

- Ależ tak, niech pani zadzwoni.

Babka Agatha z pewnością się ucieszy.

- Zadzwonię, jak tylko wrócę do hotelu.

- Proszę nie zapominać o różnicy czasu między Kolorado a Hongkongiem, to aż piętnaście godzin.

Lepiej niech pani zadzwoni jutro rano, na przykład o dziewiątej, wtedy w Kolorado będzie szóstka po południu.

- Ach tak, zupełnie zapomniałam - powiedziała speszona Kate.

Chciała porozmawiać z księżną jak najszybciej.

W ogóle chciałyby porozmawiać z kimkolwiek; sprawdzić reakcję innego człowieka na to, co się wydarzyło, i upewnić się, że jednak jest przy zdrowych zmysłach.

Że Rollo nie zmyślał żadnych tajemniczych historii, tylko naprawdę pracował w wywiadzie podczas ostatniej wojny i naprawdę znał chiński, w dodatku w paru dialektach.

Dotąd sądziła, że wie o nim wszystko, a tu okazywało się, że jest całkiem inaczej.

Charlotte знаła go chyba jeszcze sprzed wojny.

Czy wiedziała o "chińskim" okresie w jego życiu?

Jeżeli tak, to nigdy się z tym nie zdradziła.

No a sam Ling Po?

Dla kogo pracował?

Dla policji?

Czy może dla wywiadu, słynnego MI-5?

Czy to on zwerbował do tej pracy Rolla?

Wyglądał mniej więcej na jego równolatka.

Był bardzo powściągliwy, kiedy zapytała go, dla kogo pracuje, nie chciał jej również powiedzieć, skąd czerpał informacje o tym wszystkim, o czym jej opowiadał.

Twierdził, że przede wszystkim słucha plotek, ale nie za bardzo ją to przekonało.

Czyżby ten jego sklep był tajną szpiegowską centralą?...

choćby na chwilę?

- to Blaise coś do niej mówił.

- Słucham?

To znaczy...

bardzo przepraszam, zamyśliłam się.

- Zauważyłem.

Pytałem tylko, czy odwiedziła pani także Desparda Hongkong?

- Nie.

I nie mam takiego zamiaru.

- Czemu?

Ma pani prawo to zrobić.

- Nie chcę składać wizyty na terytorium wroga - oświadczyła zdecydowanie Kate.

W jej spojrzeniu było nie ukrywane wyzwanie, natomiast jego czarne oczy jak zwykle nie zdradzały nic.

Jak świetnie ten człowiek potrafił panować nad emocjami.

Własnymi emocjami, oczywiście.

- Może zostawię pani jeszcze to do przejrzenia.

- Podał jej dopiero co przeczytaną gazetę.

- Dzięki temu będzie pani na bieżąco, jeżeli idzie o wydarzenia światowe.

Zatem do jutra.

Jednak kiedy Blaise już wyszedł, Kate nie sięgnęła po gazetę.

Usiadła na fotelu, by myśleć.

Myśleć i ciągle myśleć.

Zadzwoiła do Kolorado następnego dnia rano.

Księżna Agatha była zachwycona, kiedy powiedziano jej, kto dzwoni.

- Masz jakieś dobre nowiny?

- zapytała.

- Jaka jest sytuacja?

Kate pokrótce opowiedziała jej, jak lekarze oceniają obecny stan Rolla, po czym bez dalszych wstępów przeszła do rzeczy najważniejszej.

- Księżno, mam niezwykle ważne sprawy do omówienia z panią, ale powinnam to chyba zrobić z jakiegoś innego aparatu, najlepiej przez taką linię telefoniczną, która całkowicie wykluczałaby możliwość podsłuchu.

Czy to jest możliwe?

- Tak, to jest możliwe - odpowiedziała natychmiast księżna Agatha, starając się nie okazać zaskoczenia.

- Wystarczy, żebyś pojechała do naszego wieżowca Chandler Building, który mieści się przy Connaught Road.

Tam zapytaj o Bennyego Fonga.

Zadzwonię zaraz do niego i każę mu wszystko przygotować.

Możesz mu ufać bez zastrzeżeń.

Jak szybko możesz się tam zjawić?

- Mogę wyjechać natychmiast, już jestem po śniadaniu - skłamała Kate.

W rzeczywistości wypiła tylko dwie czarne kawy.

- Dobrze.

Jesteś w hotelu "Na Półwyspie", więc musiałabyś się przeprawić przez zatokę.

Lepiej po prostu siedź na miejscu i czekaj, a ja polecę Bennyemu, żeby wysłał kogoś, kto cię stamtąd zabierze.

Czekaj spokojnie i nic się nie martw, wszystko zostanie zorganizowane jak trzeba. I rzeczywiście już po kwadransie telefon w jej pokoju zadzwonił, a recepcjonistka powiadomiła ją, że na dole czeka na nią samochód.

Oczekującym kierowcą był młody Chińczyk, który przedstawił się jako John Fong - siostrzeniec Bennyego - i przez całą drogę zabawiał ją niezobowiązującą rozmową. Po niecałych dziesięciu minutach zjechali z drogi szybkiego ruchu i długim tunelem przejechali pod zatoką na wyspę Hongkong.

Tam, prawie u samego wylotu tunelu, stał ogromny wieżowiec, bardzo amerykański z wyglądu, którego strzeliste białe ściany odbijały się w wodach zatoki.

Benny Fong już czekał na nich w foyer za głównym wejściem.

Kate podziękowała Johnowi, który z szerokim uśmiechem odpowiedział: - Zawsze do pani usług, madame.

- Wcześniej zdażył jej opowiedzieć, że skończył studia na kalifornijskim uniwersytecie w Los Angeles, a teraz pracuje w Chandler Corporation, na razie jako swego rodzaju goniec.

- Wie pani: pójdź tu, pójdź tam.

Sam Benny Fong był mały i pulchny, nosił okulary z grubymi szklami o potrójnej ogniskowej, zza których można było dostrzec bardzo żywe i bystre oczy.

Sklonił się i powiedział z szacunkiem: - Pani Chandler dzwoniła do mnie i powiedziała mi, co mam dla pani przygotować.

Gdyby pani zechciała pójść ze mną, panno Despard...

Poprowadził ją do specjalnej, wyodrębnionej windy z napisem Private, która zawiozła ich aż na sam szczyt, na trzydzieste piętro.

Tam drzwi windy otworzyły się wprost na ogromny pokój, wyglądający jak wielki gabinet połączony z jeszcze większym pomieszczeniem biurowym, z oknami po obu stronach budynku, skąd miało się panoramiczny widok na cały Hongkong - na zatokę po jednej i Kowloon po drugiej stronie.

W pobliżu jednego z okien stało olbrzymie biurko, wykonane z nieprawdopodobnie grubych bali, opartych na stalowych wspornikach w kształcie litery "X".

Na biurku leżał staroświecki bibularz, biurowy kalendarz terminowy, z lewej strony stał okrągły zegar oprawiony w prostopadłościenny kawał górskiego kryształu, pośrodku tacka z zestawem podręcznych długopisów, mazaków i ołówków, a po prawej trzy ustawione obok siebie aparaty telefoniczne.

- To gabinet pana Chandlera - powiedział Benny.

- On sam ma się tu pojawić dopiero koło wpół do jedenastej.

Po grubej dywanowej wykładzinie koloru pustynnego piasku poprowadził ją w stronę biurka.

Kate początkowo spodziewała się, że będzie rozmawiać z któregoś ze stojących tam aparatów.

Ale okazało się, że Benny wyjął z kieszeni niewielki klucz i otworzył nim jedną z potężnych szuflad, ze znajdującym się w niej czwartym telefonem.

Kate sięgnęła do torebki po kalendarzyk z adresami i numerami telefonicznymi.

- Numer nie będzie pani potrzebny, maam - powiedział Benny Fong.

- Pani Chandler sama do pani zadzwoni.

Niemal w tej samej chwili odezwał się brzęczyk aparatu.

- No właśnie.

- Benny uśmiechnął się.

Uklonił się i wyszedł, pozostawiając ją samą.

Kate podniosła słuchawkę.

- Czy teraz lepiej?

- usłyszała głos Agathy.

- Nie znam się na tym za bardzo, ale ten aparat podłączony jest do prywatnej linii, zaopatrzonej w takie różne elektroniczne dingsy i wichajstry, które uniemożliwiają podsłuch.

Tak więc teraz możesz mówić wszystko, co zechcesz.

Nikt poza mną tego nie usłyszy.

A skoro tak ci na tym zależało, domyślam się, że pojawiły się kłopoty.

Kate potwierdziła to przypuszczenie i opowiedziała jej wszystko.

- ...muszę więc zabrać stąd Rolla możliwie jak najszybciej.

A jedyną osobą, która rzeczywiście mogłaby pomóc w znalezieniu dla niego naprawdę bezpiecznego schronienia, wydała mi się pani, księżno, przede wszystkim z uwagi na możliwości, jakie tutaj ma pani firma Chandler Corporation.

Pomyślałam więc...

- ...I bardzo dobrze zrobiłaś - dokończyła za nią Agatha.

Kate nie mogła nie zauważyć, że księżna nawet nie zapytała, dlaczego nie próbuje zwrócić się z tym do Blaisea.

Widocznie i dla niej było oczywiste, że po tym wszystkim, czego Kate się dowiedziała, nie można było nawet o tym myśleć.

- Teraz zostaw to wszystko mnie - mówiła dalej Agatha.

- Postaram się, żebyście oboje najpóźniej za dwadzieścia cztery godziny byli poza ich zasięgiem.

W moim wieku jest mi może trochę trudniej kontaktować się z ludźmi osobiście, ale wciąż jeszcze potrafię dokonywać cudów przez telefon.

Kate poczuła tak wielką ulgę, że nawet jej głos wyraźnie się zmienił.

- Dziękuję, księżno.

Wprost nie potrafię powiedzieć, ile dla mnie znaczy, że mogę poprosić o tak wiele i po prostu to otrzymać.

- Nie zawracaj głowy - powiedziała Agatha z udaną szorstkością.

- Mnie w ogóle sprawia przyjemność, że jeszcze wciąż mogę włączyć się do czegoś takiego.

I oczywiście rozumiem, że w tej sytuacji nie za bardzo chciałabyś się zwracać do Blaisea.

Choć ani przez chwilę nie uwierzę, żeby on sam mógł mieć coś wspólnego z tymi niemożliwymi obrzydliwościami, w które wpakowała się jego żona.

- To nawet nie o to chodzi - powiedziała Kate, a w jej głosie czuło się udrękę.

- Tylko...

jak mogłabym najpierw prosić go o pomoc, a potem mu powiedzieć, że bardzo boję się tego, co może zrobić jego żona i zaprzyjaźnieni z nią gangsterzy?

- Szczerze ci powiem, że i mnie nie za bardzo uśmiecha się taka rozmowa

-odpowiedziała Agatha.

- A w końcu jestem jedyną osobą na świecie, która może mu powiedzieć pewne rzeczy. Takie, o których nikt inny w ogóle nie odważyłby się z nim rozmawiać.

Z drugiej strony i tak będzie się musiał tego dowiedzieć prędzej czy później, a - znając Blaisea - uważam, że lepiej, żeby dowiedział się wcześniej.

Ale to także zostaw mnie i sama już się tym nie zamartwiał.

Przygotuj się tylko do szybkiego wyjazdu.

Benny Fong powiadomi cię, kiedy wszystko będzie gotowe.

Kate odłożyła słuchawkę i westchnęła z prawdziwą ulgą.

Wiedziała, że ta kobieta rzeczywiście jej pomoże.

Już od czasu wspólnego pobytu w Kolorado Kate zdawała sobie sprawę, że niezwykle lubi i szanuje Agathę Chandler i że ufa jej może nawet bardziej, niż ufała komukolwiek w swym dotychczasowym życiu, wyjąwszy, być może, Rolla.

Odchyliła się na miękkie oparcie skórzanego fotela, z uczuciem, że ogromny ciężar nagle został zdjęty z jej barków.

Potem wraz z fotelem obróciła się do okna i przez chwilę spoglądała przez wielkie panoramiczne szyby, napawając się wspaniałym widokiem.

Widziana z tej wysokości woda zatoki miała kolor jaskrawo niebieski, w pobliżu brzegu mocno upstrzona była mniejszymi i większymi plamkami najróżniejszych łodzi i statków.

Wyróżniały się zielono-białe promy pasażerskie, które co osiem minut odpływały z Kowloon do Hongkongu i z Hongkongu do Kowloon, a także większe, trójpokładowe statki, które zabierały ludzi dojeżdżających w ten sposób do miasta z pobliskich wysp.

Szybkie motorówki bez trudu wyprzedzały większe i wolniejsze jednostki, wszędzie widziało się też niezwykle liczne dżonki i wszelkiego rodzaju łodzie żaglowe - od mikroskopijnych łódeczek aż po wielkie wielomasztowe jachty pełnomorskie.

Było tam chyba w ogóle wszystko, co tylko mogło pływać.

W języku chińskim Hongkong znaczy tyle, co "zatoka pachnącej świeżości", choć Kate podejrzewała, że na przykład stare chińskie dżonki z ich wyszmelcowanymi żaglami przypominającymi skrzydła nietoperzy mogą pachnieć wszystkim, ale na pewno nie wiosenną świeżością.

Bliżej wyspy jakiś wodolot przemykał nad falami z zadziwiającą szybkością, natomiast w dali, na redzie, można było dostrzec sylwetki olbrzymich tankowców i kontenerowców, oczekujących na swe miejsce przy licznych nadbrzeżach.

Cóż za port, cóż za miasto!

Tu rzeczywiście się pracuje, pomyślała, spoglądając na pnące się aż do nieba budynki dzielnicy centralnej.

Wczoraj tam właśnie była i teraz z nowej perspektywy oglądała ten rozległy kompleks miejscowych drapaczy chmur.

Potem przeszła jeszcze do okien po przeciwległej stronie, by stamtąd podziwiać Szczyt Wiktorii, z ukrytym w chmurach wierzchołkiem i przypominającym zabaweczkę tramwajem, mozolnie wspinającym się gdzieś u samego dołu zbocza.

Odwróciła się i znów usiadła w fotelu obok biurka.

To biurko, pomyślała, bardzo przypomina samego właściciela.

Też trudno znaleźć na nim cokolwiek, o co można byłoby się zaczepić, usiłując domyśleć się, co też może być w środku.

Z Blaiseem, jej zdaniem, tak właśnie było - nigdy nie wiedziała, co naprawdę myśli.

I nagle wszystkie dramatyczne pytania, o których tylko na moment zapomniała, wróciły do niej z nową siłą.

Czy na przykład nie powinna była, mimo wszystko, pójść do niego i właśnie jemu wszystko powiedzieć?

Kiedy się dowie -a dowie się z pewnością, w końcu to przecież jego biuro - będzie naprawdę wściekły.

Ale Kate wciąż nie była go pewna, nie wiedziała, czy może mu ufać.

No dobrze, to z pewnością było dla niego krzywdzące, kiedy niesłusznie posądziła go o to, że opowiedział swej żonie o jej rozmowach z Nicholasem Chevely.

Zachował się inaczej, niż go o to podejrzewała.

Ale to przecież wcale nie musiało znaczyć, że kiedy się dowie, w co wdała się Dominique, nie spróbuje podjąć wszelkich możliwych kroków, żeby chronić zagrożoną reputację żony, a także swoją własną.

Kate westchnęła głęboko i zdecydowała, że jednak nie może mu o tym powiedzieć.

Ling Po ostrzegał ją, że musi być szczególnie ostrożna.

Niezależnie od wszelkich deklaracji na temat absolutnej bezstronności, Blaise wciąż pozostawał mężem Dominique.

A Kate nadal wierzyła, że pierwszym obowiązkiem każdego jest lojalność wobec współmałżonka.

Podniosła się i znów podeszła do okna.

Tam też zastał ją Benny Fong, kiedy znów wszedł do pokoju.

Wspaniały widok, prawda?

- zapytał z odcieniem nie ukrywanej dumy.

eczywiście fantastyczny.

Ja chyba nie mogłabym mieć czegoś takiego za oknem mojego biura w Londynie, bo w ogóle bym nie pracowała, tylko patrzyła.

- Czy ma pani może ochotę na filiżankę herbaty lub kawy?

Dziękuję, nie.

Byłabym wdzięczna za odwiezienie mnie do szpitala.

- Samochód i mój siostrzeniec John są do pani dyspozycji podczas całego pani pobytu w Hongkongu.

To rozkaz pani Agathy Chandler.

- Pana też tyranizuje?

- Kate roześmiała się.

- Ona tyranizuje tylko tych, których lubi - odpowiedział Benny bardzo poważnie.

Potem jednak też się uśmiechnął.

- Mam wrażenie, że oboje należymy do tej właśnie kategorii.

Odprowadził Kate do samochodu, dodając na pożegnanie, żeby koniecznie natychmiast do niego dzwoniła, gdyby tylko potrzebowała czegokolwiek.

- Tym razem to polecenie pana Chandlera - powiedział.

- Rozumiem - powiedziała Kate.

- On też potrafi tyranizować.

Zgodnie z zapowiedzią, Blaise przyjechał do swego biura o wpół do jedenastej.

Tym razem był w znacznie lepszym humorze niż w ciągu ostatnich kilku dni.

Wczorajszy wieczór spędził z Dominique i - poczynając od świetnej kolacji, którą zjedli en dewc - był to wieczór ze wszech miar udany.

Dominique dawno już nie okazywała mu tylu względów, była uległa, czuła, a potem także namiętna i kochająca.

Odpowiedziała mu też - takie przynajmniej miał przekonanie - na wszystkie podstępne pytania, które jej zadał, a odpowiadając sprawiała wrażenie rozbawionej, ale i wyrozumiałej.

- Pytaj mnie, o co tylko chcesz - powiedziała.

- Nie mam absolutnie nic do ukrycia.

Również następnego ranka zbudziła się w nastroju femme amoureuse, czego dowiodła najpełniej, całując go na powitanie i pociągając za sobą coraz wyżej rokoszy po rozkręcającej się spirali zmysłów, aż po moment, kiedy był już absolutnie pewny, że tym razem po prostu musi umrzeć z ostatecznego wyczerpania jeszcze przed osiągnięciem szczytu.

Tymczasem nie tylko ten szczyt osiągnął, ale przeżył zupełnie niezwykle doświadczenie nie kończącego się orgazmu, który na prawdę wydawał się trwać wieki.

Po tym wszystkim Blaise runął niczym szalone zwierzę, zapadając natychmiast w głęboki sen.

Kiedy się obudził, Dominique już przy nim nie było - do tego zresztą zdążył się już przyzwyczaić - ale na poduszce znalazł liścik, w którym napisała tylko: "No a teraz, czy mi wreszcie wierzysz"?

Dziecino, pomyślał Blaise, kiedy przekonujesz mnie w taki sposób, to mogę uwierzyć nawet w to, że chiński tusz jest biały.

Tak więc Blaise przyszedł do biura kompletnie nie przygotowany na to, co zaraz po wejściu usłyszał od Bennyego.

W rezultacie było to dla niego niemal czymś takim jak nagły wybuch butelki z koktajlem Mołotowa.

- Co takiego?

Co zrobiła Kate Despard?

- Panna Despard przyjechała tu o dziewiątej trzydzięci i rozmawiała telefonicznie z pana babką z naszego aparatu, zabezpieczonego przed podsłuchem.

Ta komputerowa aparatura była własnym wynalazkiem służb technicznych Chandler Corporation.

Prowadzona przez taki telefon rozmowa była automatycznie przekształcana w serie liczb w systemie binarnym, co wykluczało podsłuch.

Gdyby nawet ktoś potrafił się podłączyć do tak zabezpieczonej linii, nie usłyszałby nic poza drobnymi trzaskami, przypominającymi wyładowania elektryczne.

Tak zabezpieczone aparaty były w korporacji Chandlerów wykorzystywane do najbardziej poufnych rozmów, których odpowiednikiem były dokumenty o najwyższym stopniu tajności.

- Jak, u diabła, mogła się dowiedzieć, że mamy taką aparaturę?

- zapytał.

- To pani Agatha zadzwoniła do mnie, poleciła mi wysłać po pannę Despard samochód z kierowcą, żeby mogła z nią stąd rozmawiać przez zabezpieczoną linię.

- Ze sposobu, w jaki Benny zawiesił głos, Blaise zorientował się, że to jeszcze nie koniec.

- No dobra, jedź dalej - mruknął ponuro.

- Co jeszcze?

- Otrzymałem polecenie, żeby natychmiast przygotować jakiś nasz samolot, odpowiedni do tego, żeby jak najszybciej przetransportować pana Bellamyego i pannę Despard z powrotem do Londynu.

W samolocie ma być kompletna aparatura do podtrzymywania funkcji życiowych i ciągłej kontroli stanu pacjenta, a także lekarz i pielęgniarka.

Akurat jeszcze przed południem ma tu być nasz Boeing 737...

- Benny znów zrobił krótką pauzę.

- Pana babka dzwoniła też do kliniki.

- Dobrze, Benny - powiedział Blaise.

- Dziękuję ci.

Pozornie spokojna twarz Blaisea była tylko maską.

Benny wiedział, że jego szef w środku aż się gotuje z wściekłości.

No to znów mamy to samo, powiedział sobie w duchu Benny, zmierzając do drzwi wyjściowych.

Starsza pani lubiła od czasu do czasu wbić ostrogę w bok swego ukochanego wnuka.

Blaise był jedynym światłem jej życia, ale to ona zawsze trzymała wodze i trwało to przez tyle lat, że te wodze chyba już przyrosły do jej dłoni.

Teraz oczywiście będzie kolejna potężna awantura.

Prawdę mówiąc, starsza pani zdawała się nie tylko czerpać z tego satysfakcję, ale i dodatkowe siły.

Benny zresztą był zdania, że to właśnie takie - co pewien czas się powtarzające - awantury i kłótnie tak naprawdę trzymają ją przy życiu.

Poza tym Benny jako prawdziwy Chińczyk w pełni aprobował stosunek Blaisea do swej babki, a zwłaszcza szacunek, z jakim jego szef odnosił się do jej wieku i mądrości.

Tymczasem Blaise już dzwonił do Kolorado.

- No dobra, księżno - zaczął podejrzanie łagodnym tonem, gdy Agatha podniosła słuchawkę.

- Czy zechcesz mi łaskawie powiedzieć, co się tu, u diabła, dzieje?

Najpierw każesz mi lecieć przez pół świata do Hongkongu, a kiedy już w końcu udaje mi się tu dojechać, nagle okazuje się, że robisz wszystko sama.

I ja tu jestem niepotrzebny i tylko marnuję swój czas.

No to natychmiast mi to powiedz.

Mam mnóstwo innych rzeczy do zrobienia.

Agatha Chandler oczywiście nie dała się zwieść tym pozornie spokojnym tonem.

Posłuchaj, Blaise - powiedziała.

- Kate Despard miała bardzo poważne powody, żeby chcieć ze mną rozmawiać przez linię, której nie można podsłuchać.

- Droga babciu, ja teraz też dzwonię do ciebie z tego aparatu.

Więc chciałbym się wreszcie dowiedzieć, co to za taka cholerna tajemnica, o której w ogóle nie można mówić otwarcie?

- A jesteś przygotowany na to, co usłyszysz, mój chłopcze?

- Prawdopodobnie nie jestem.

Ale podejrzewam, że to i tak nie będzie miało znaczenia.

Więc cokolwiek to jest, strzelaj wprost z biodra, jak zawsze.

Powiedział to lekko, ale w miarę jak słuchał tego, co mówiła, jego twarz zaczęła się zmieniać, jak na zwolnionych ujęciach w kinie czy telewizji.

Długie palce jego dłoni bezwiednie zaciskały się na słuchawce coraz silniej, tak że zbielełe knykcie zdawały się prawie przebijać naciągniętą do granic możliwości skórę.

Siedział przed swym biurkiem całkowicie znieruchomiały, patrząc gdzieś w dal przez szyby, za którymi rozpościerał się znajomy, cudowny widok, ale nie widział nic poza tym, co w nim samym rysowała jego wyobraźnia, gdy tak słuchał tych wszystkich strasznych rzeczy, o których mówiła mu jego babka.

Gdy wreszcie skończyła, Blaise tak długo nie odzywał się ani słowem, że księżna zaczęła się zastanawiać, czy jej wnuk w ogóle jeszcze tam jest.

W końcu jednak znów usłyszała jego głos: - To wszystko zostało sprawdzone, jak rozumiem?

- Kazałam przede wszystkim sprawdzić tego Ling Po, i wszystko się potwierdziło.

Reputacja bez zarzutu, czysta kartoteka, podczas japońskiej okupacji rzeczywiście był w Hongkongu.

Z Rollem Bellamym było trochę inaczej.

Przed samą wojną jako młody człowiek mieszkał w Kantonie, i to wtedy nauczył się mówić po chińsku, w dialekcie kantońskim i mandaryńskim.

Pracował wówczas w miejscowej filii wielkiego angielskiego domu handlowego, prawdopodobnie dlatego, że jego -jego prawdziwy ojciec, bo Rollo miał jeszcze innego, który był tylko dla natzoru - miał znaczne udziały w tej firmie.

Później, podczas wojny, przyjechał tam znowu, jakoby z występami w grupach estradowych dla brytyjskich oddziałów wojskowych.

Tak w każdym razie wszystkim podówczas opowiadał i to samo mówili wtedy inni.

Ale kiedy kazałam to moim ludziom sprawdzić, dosyć wysoko, - gdy tylko spróbowali sięgnąć odrobinę głębiej - natychmiast natrafiali na taką opcję, że od razu wiadomo było, co to znaczy.

Tak czy inaczej uważam, że Benny powinien pojechać do tego Ling Po, a potem wy obaj powinniście obejrzeć tę wymienioną figurkę.

Musisz jednak pamiętać, że jeżeli cokolwiek z tego wszystkiego przedostanie się do wiadomości publicznej, firma Despard będzie skończona.

I to właśnie martwi Kate najbardziej.

Gotowa jest zrobić wszystko, żeby tylko do tego nie dopuścić.

Teraz jej postawa jest taka, że gdyby za cenę oddania całej firmy w ręce Dominique dało się uratować reputację Despards, to ona gotowa jest na to się zgodzić.

Uważa, że to mogłoby być jakieś wyjście.

- Agatha zamilkła, a potem dodała stanowczo: - Ale ja tak nie uważam.

- Nawet przez moment nie przypuszczałem, że coś takiego mogłoby ci się podobać - powiedział Blaise.

- Posłuchaj, chłopcze - mówiła dalej Agatha.

- Opowiedziałam ci to tak, jak Kate opowiedziała mnie.

A zrobiła to tylko dlatego, że nie miała serca, żeby ciebie tą prawdą obarczać.

Wiedziała, że mógłby to być ból nie do zniesienia.

"Jak można powiedzieć komuś, że jego żona okazała się...

Nie potrafię tak ranić człowieka" - to jej słowa.

- To akurat prawda - powiedział Blaise całkowicie bezbarwnym głosem.

- Kate Despard nie lubi zadawać bólu.

Zdawał sobie sprawę, że w tym momencie to właśnie on jest tym, który cierpi, ale jednocześnie w jakiś dziwny sposób miał uczucie, że właściwie jest także obok tego wszystkiego; że jakby z zewnątrz przygląda się własnemu cierpieniu, które go zupełnie nie wzrusza i na dobrą sprawę nie robi na nim żadnego wrażenia.

Tylko nie próbuj sam sobie wciskać romantycznego kitu na temat złamanego serca, mówiła ta stojąca z boku część jego osoby.

Zawsze wiedziałeś, że dusza twojej żony jest czarniejsza od smoły, że bez mrugnięcia okiem gotowa byłaby cię kupić i sprzedać, jeśli tylko przyniosłoby to jej odpowiednio duże korzyści.

A w ogóle od kiedy to między wami było coś takiego jak miłość?

Jedyne, co cię z Dominique łączyło, to przeżycia seksualne.

Na resztę przymykałeś oczy, albo wręcz odwracałeś się plecami.

W sztuce umywania rąk przewyższyłeś Poncjusza Piłata!

No więc teraz cierp!

Zawsze wiedziałeś, że kiedyś przyjdzie ci płacić rachunek za to wszystko, więc nie dziw się teraz, że to tak cholernie dużo.

A boli cię przede wszystkim to, że płacisz swą męską dumą, ciągnęło szyderczo jego drugie ja.

Myślisz może, że jesteś pierwszym facetem, który cierpi z powodu szaleństw pożądania?

Bardzo dobrze wiedziałeś, jaka ona naprawdę jest, ale wygodniej było udawać, że tego nie widzisz.

Więc dobrze ci tak!

Nie zawsze kochamy akurat to, co jest dobre, odpowiedziało na to pierwsze ja, nie bez ukrytej chęci rozżalenia się nad sobą.

Ach, daj spokój z tym gadaniem o kochaniu i o miłości.

To nie miłość, ale tylko dość typowy przypadek tak zwanego kota, jakiego mężczyznom zdarza się dostawać ze zwyczajnego pożądania.

Gdybyś ją naprawdę kochał, to akceptowałbyś ją taką, jaka jest - łącznie z tym, co w niej złe i zepsute.

Miłość ze swej istoty dotyczy również i niedostatków drugiej osoby.

Znasz przecież te tak popularne odzywki, w rodzaju: "kocham ją nawet z jej wadami i niedoskonałościami".

Gdybyś rzeczywiście kochał swoją żonę, stanąłbyś przeciw całemu światu razem z nią, nawet gdyby to miało oznaczać, że zostajesz zamieszany w oszustwo na wielką skalę, związane z próbą morderstwa, jawną niewiernością seksualną i Bóg wie jakimi jeszcze niegodziwościami.

Świat, w którym żyjemy, jest z definicji niedoskonały, dlatego cię tak szokuje nagle ujawnienie prawdziwego charakteru kogoś, co do którego od początku nie powinieneś mieć żadnych złudzeń?

Gdybyś ją naprawdę kochał, to wszystkie jej minusy byłyby dla ciebie niczym, liczyłaby się tylko suma plusów.

Ale ty tak nie umiesz patrzeć, więc w rezultacie widzisz tylko ten rozpaczliwy wynik, który powstaje w ogólnym bilansie po odjęciu jednej pozycji od drugiej.

Wynik w żaden sposób nie chciał się zmienić, a Blaise czuł tylko, że robi mu się od tego niedobrze.

A to wszystko dlatego, że w tym swoim myśleniu o niej nie kierowałeś się głową, ale wyłącznie...

Zresztą przy tego rodzaju kobiecie trudno o jakieś inne myślenie.

Ale akurat ty - przynajmniej ty - mogłeś okazać się mądrzejszy.

Z całym rozmysłem wybrałeś Dominique, ponieważ przy niej nigdy nie czuleś się związany emocjonalnie, liczył się tylko pociąg fizyczny.

Więc, jak powiedziałem, po prostu dostałeś kota na jej punkcie.

A teraz to wszystko, co usłyszałeś, oczywiście musiało podziałać jak kubeł zimnej wody - zresztą zbawienny!

- więc nie dziw się, że z twej rozgorączkowanej głowy bucha teraz para.

Przypominasz sobie, co ci powiedziała, kiedy poprosiłeś ją, żeby za ciebie wyszła?

Zapytała cię, czy jesteś gotów wziąć ją taką, jaka jest i właśnie dlatego, że jest taka, a nie inna - pamiętasz?

Ty jej wówczas odpowiedziałeś, że jakakolwiek jest bądź nie jest, i tak jej pragniesz bardziej, niż pragnąłeś czegokolwiek w całym swym dotychczasowym życiu.

A wtedy ona cię ostrzegła, że jeśli kiedykolwiek w przyszłości miałyby się okazać inna, niż mogłeś się tego spodziewać, to będzie już za późno na skargi.

Na co odpowiedziałeś jej: "Żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie mógłby się skarżyć na ciebie"!

Powiedziałeś wtedy szczerą prawdę.

To dotyczyło właśnie ciebie: przez prawie trzy lata nie byłeś przy zdrowych zmysłach. I dopiero teraz kopnęło cię zdrowo, więc może wreszcie oprzytomniejesz. Wykaszesz z siebie ten tkwiący dotąd w twym gardle kęs zatrutego jabłka. To wszystko.

Tak, wszystko, pomyślał.

Wszystko się zgadza.

Jak u każdego głupca.

Tymczasem Benny Fong zdążył już przygotować wszystko, co było potrzebne do bezpiecznego wywiezienia Rolla Bellamyego z Hongkongu.

Blaise Chandler nie dzwonił w tym czasie do Kate, ani nie pojawił się u niej w hotelu.

A zatem już to zrobiłam, pomyślała.

I z pewnością jest wściekły.

Miała wielką ochotę zapytać Bennyego, ale oczywiście na coś takiego sobie nie pozwoliła.

Spakowała się bez trudu do jednej walizki, a przysłany przez Bennyego samochód zabrał ją z hotelu do szpitala.

Tam już oczekiwał specjalny ambulans, do którego - pod nadzorem lekarza i pielęgniarki - przeniesiono Rolla, wraz z całą nowoczesną aparaturą medyczną i monitorującą.

Na końcu wsiadła tam również Kate i ambulans ruszył, by zawieźć ich wszystkich do portu lotniczego Kai Tak, gdzie już czekał należący do Chandler Corporation Boeing, jak zawsze pomalowany na czerwono złoty kolor miedzi.

W drodze na lotnisko ambulans był przez cały czas eskortowany przez nieoznakowany samochód, w którym jechało czterech rosyńskich Chińczyków, i dodatkowo jeszcze przez samochód policyjny.

Podczas gdy z ambulansu wyładowywano i przenoszono aparaturę, a także samego Rolla, Benny Fong zaprosił Kate do samolotu, żeby pokazać jej specjalnie dostosowane urządzenie wnętrza.

- Usunęliśmy część foteli, by zrobić miejsce na łóżko pacjenta, które zostanie przykręcone do podłogi i dodatkowo zabezpieczone nakrętkami.

Obok w podobny sposób zostanie umocowana cała aparatura.

Oczywiście doprowadziliśmy potrzebne zasilanie i zainstalowaliśmy odpowiednie gniazdko.

Jest tu też łóżko dla pani, a także łóżka dla lekarza i pielęgniarki, by mogli odpocząć, zmieniając się przy pacjencie.

Ci czterej chińscy ochroniarze, którzy eskortowali nas w drodze na lotnisko, także polecą z wami, choć raczej nie spodziewamy się już żadnych kłopotów, jako że będzie to lot non stop, bez lądowania po drodze.

Zainstalowaliśmy dodatkowe zbiorniki paliwa, tak by można było dolecieć do samego Londynu bez tankowania.

Jeśli pani zauważyła, że czegoś tu jeszcze brakuje, proszę powiedzieć.

Kate potrząsnęła głową.

- Niczego nie brakuje.

Zrobił pan wszystko, co było potrzebne i jeszcze dużo więcej, drogi panie Fong.

- Wszyscy nazywają mnie Benny.

- Drogi Benny, zatem.

Jestem naprawdę niesłychanie wdzięczna.

- Pani Chandler powiedziała, że wszystko ma być tak jak dla Vipów.

A co powiedział pan Chandler?

- chciała zapytać Kate, ale znów się powstrzymała.

Pozostała już w samolocie, starając się tylko nie zawadzać, kiedy łożko wraz z nieprzytomnym Rollem zostało wsunięte do środka na specjalnym podnośniku widłowym, razem z wciąż podłączonymi do pacjenta przewodami i przypominającymi pępowinę rurkami, prowadzącymi do aparatów, które nawet na chwilę nie zostały wyłączone.

Te urządzenia pomagały mu oddychać, dożylnie dostarczały roztwory potrzebnych substancji odżywczych, odsysały też produkty wydalania.

Stan pacjenta można było kontrolować na monitorach.

Kate usadowiła się w wygodnym fotelu, strategicznie usytuowanym między oknem - przez które mogła wyglądać, gdyby miała na to ochotę - a przykręconym już łożkiem, na którym leżał Rollo.

Właśnie miała zapiąć pas bezpieczeństwa, kiedy nagle zobaczyła jadącą ku nim przez pas startowy ogromną czarną limuzynę.

Wysiadł z niej Blaise Chandler i gdy po chwili pojawił się już w środku samolotu, Kate natychmiast zorientowała się, że znów jest to ten dawny, właściwie zupełnie obcy człowiek, chłodny i zachowujący dystans, choć oczywiście nadal nienagannie ubrany.

Widząc to, Kate uznała, że nie ma sensu nawet wspominać o telefonicznej rozmowie z jego babką.

Blaise kurtuazyjnie zapytał, czy zadowala ją tak właśnie zorganizowana podróż.

Kate równie uprzejmie odpowiedziała, że oczywiście tak.

Dobrze wiedziała, że ten tak dumny i tak umiejący nad sobą panować mężczyzna musiał przecież zdawać sobie sprawę z tego, co teraz czuła, z jej pełnego niepokoju uczucia dla jego cierpienia, dla bólu, który stał się jego udziałem.

Jednakże Blaise najmniejszym drgnieniem powieki, najłżejszą zmianą barwy głosu nie dał znać, że tak właśnie jest.

Najwyraźniej zakreślił między sobą a innymi taką linię, której nie wolno było przekroczyć nikomu.

Gdy podawał jej rękę na pożegnanie, jego twarz przypominała nieruchomą maskę.

Powiedział jeszcze, że zadzwoni do niej do Londynu zaraz po jej przylocie, po czym odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia.

Kate obróciła się do okna, udając, że na coś patrzy, ale w rzeczywistości przez pełne łez oczy nie widziała zupełnie nic.

Nie zobaczyła więc i tego, że Blaise Chandler stał wciąż w tym samym miejscu, spoglądając w ślad za oddalającym się samolotem, patrząc, jak kołuje na początek pasa startowego, potem nabiera szybkości i odrywa się od betonu, by po krótkiej chwili zmaleć do rozmiarów ptaka, a potem komara.

Dopiero kiedy i ten ledwie widoczny kształt ostatecznie zniknął, Blaise wsiadł do samochodu i odjechał.

Od startu aż do wylądowania w Londynie cały lot odbył się normalnie, bez jakichkolwiek wartych odnotowania wydarzeń.

Rollo nie poruszył się, ani w żaden inny sposób nie zareagował na włączenie silników, podobnie jak na sam start.

Kate zdążyła przejrzeć wszystkie tygodniki, potem potrząsnęła przecząco głową, gdy stewardesa zaproponowała jej posiłek.

Zgodziła się tylko na filiżankę kawy.

Próbowała spać, ale nie udało się jej nawet zdrzemnąć.

I przez cały czas, wciąż na nowo, wracała ta sama myśl.

Wszystko na nic.

I to ona sama popsowała to ostatecznie.

Zrobiła to, o co przedtem miała chęć oskarżać jego - opowiedziała rzeczy, których nie powinna była opowiadać.

Lekarz i pielęgniarka co pewien czas kontrolowali stan pacjenta i wskazania aparatury, wymieniali podłączone do plastikowych rurek pakiety z niezbędnymi płynami i roztworami, sprawdzali puls, regularność oddechu, ciśnienie krwi.

Oboje odrzucili propozycję Kate, że na jakiś czas zastąpi ich w czuwaniu nad Rollem.

Grzecznie, lecz stanowczo wyjaśnili jej, że w tego rodzaju szczególnych okolicznościach konieczna jest opieka absolutnie profesjonalna.

Tak więc Kate nie miała zupełnie nic do roboty i mogła już tylko siedzieć i myśleć, myśleć i myśleć.

Lot zdawał się trwać nieskończenie długo - lecieli przecież nad niemal połową kuli ziemskiej - a ona wciąż nie potrafiła dać sobie rady z tymi kłębiącymi się w jej głowie myślami; spierała się sama ze sobą, usiłowała znaleźć nowe argumenty, nowe usprawiedliwienia, a w rezultacie tylko zapadała się coraz bardziej w depresję i wciąż rosnącą udrękę.

Gdy wreszcie wylądowali na lotnisku Heathrow, Kate poczuła ulgę na myśl, że jest znów u siebie.

Ale niemal w tej samej chwili zdała też sobie sprawę, że w jakiś sposób już tęskni za tym, co było w Hongkongu, gdzie przynajmniej mogła od czasu do czasu stanąć twarzą w twarz z Blaiseem Chandlerem i wyrzucić z siebie to, co czuła.

Tu nie miała takiej możliwości, o żadnym rozładowaniu napięcia nie mogło być mowy.

Trzeba było wziąć się w garść i przede wszystkim zająć się zorganizowaniem dalszej opieki nad Rollem.

Tak więc w ślad za lekarzem i pielęgniarką wsiadła do podstawionego już ambulansu, który zawiózł ich do prywatnego szpitala w Saint John Wood, niewielkiego, ale o naprawdę znakomitej renomie.

Benny Fong jeszcze przed ich odlotem zamówił tam dla Rolla osobny pokój z całodobową opieką.

Głównym powodem, dla którego wybrał ten, a nie inny szpital, było to, że -jak się wyraził - jest to szpital wystarczająco mały, żeby można było wszystko mieć na oku.

Znając jednak nie tylko tę reputację szpitala, ale i idące za nią ceny, Kate jęknęła w duchu na myśl o tym, co powie zarząd, a już zwłaszcza dyrektor finansowy, na wysokość rachunków z tak renomowanej kliniki.

Słyszała już wcześniej, że koszty pobytu w takim szpitalu sięgają nawet trzystu funtów dziennie.

Uznała więc, że nie ma co liczyć na refundowanie tego przez firmę Despard.

Będzie musiała to pokryć sama, po prostu.

Kiedy jednak zapytała o to dyrektorkę administracyjną szpitala, ta natychmiast poinformowała ją, że Chandler Corporation - na osobiste polecenie pana Chandlera - przejmuje na siebie wszystkie koszty pobytu pana Bellamyego w szpitalu Saint John Wood.

- To właśnie korporacja Chandlera wyłożyła kiedyś pieniądze na budowę naszego szpitala - powiedziała.

- Dlatego też mają tu specjalne przywileje, a sam pan Chandler przewodniczy radzie nadzorczej.

Niech więc się pani o nic nie martwi, panno Despard, i myśli już tylko o tym, żeby pan Bellamy jak najszybciej wyzdrowiał.

- Dyrektorka uśmiechnęła się na pożegnanie i odeszła, pozostawiając zaskoczoną Kate z jeszcze bardziej pogmatwanymi myślami i odczuciami.

Po upewnieniu się, że Rollo ma wszystko, czego mógłby potrzebować, i pozostawieniu go pod okiem fachowego personelu miejscowego Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej Kate uznała, że powinna nie tylko pojawić się w firmie, ale i przedstawić zarządowi jakieś w miarę przekonujące, zwłaszcza po pominięciu pewnych faktów, sprawozdanie z pobytu w Hongkongu.

Członkowie zarządu najwyraźniej nie byli zachwyceni tym jej wyjazdem, co nietrudno było poznać z wyrazu ich twarzy.

- Doprawdy, Kate, nie za bardzo mogę zrozumieć, po co było to wszystko - powiedział Nigel Marsh, a w jego głosie pobrzmiwała nie ukrywana dezaprobata.

- Nie widzę w ogóle żadnego powodu, dla którego warto było wysłać tam Rolla Bellamyego.

Właśnie dostarczono nam wydruki sprawozdania Jamesa Grievea i wszyscy mogliśmy stwierdzić, że ten jego raport jest bardzo szczegółowy i absolutnie kompetentny.

Wystarczyłoby więc w zupełności, żeby pani zostawiła całą sprawę Jamesowi, a żadne z tych pożałowania godnych wydarzeń nie miałyby miejsca.

- Nigel spojrział na wymizerowaną twarz Kate i pokręcił głową.

- W ogóle to wygląda pani nie najlepiej.

Mocno się pani zmordowała; nie tylko tą całą podróżą, ale i stałym zamartwianiem się.

Przyjmuję wszystkie stawiane mi zarzuty, jestem winna - odpowiedziała Kate głosem pełnym znużenia.

- Ale, jeżeli idzie o wyjazd Rolla, ja z tej aukcji chciałam dostać coś więcej niż tylko raport zawierający fakty i liczby.

Potrzebowałam relacji, która obejmowałaby również klimat tego wszystkiego, atmosferę, te drobne szczegóły, na które James w ogóle nie zwróciłby uwagi, koncentrując się - jak zawsze - przede wszystkim na tym, co tam sprzedawano.

A mnie potrzebny był pełny obraz, z którego mogłabym wyciągnąć wnioski co do prawdziwych zamiarów Dominique.

- Mamy więc rozumieć, że Rollo Bellamy miał wystąpić w roli pracownika wywiadu? Chyba nie mówi pani tego poważnie.

Kate popatrzyła na mówiącego, a potem spojrzała na pozostałych.

Gdybyście wy wszyscy wiedzieli, pomyślała.

- Tak - powiedziała.

- Właśnie o to mi chodziło.

Wiemy, że tamta strona od dawna nas szpiegowała, i zresztą zapewne czyni to nadal.

Pomyślałam więc, że najwyższy czas odplacić pięknym za nadobne.

Ale że miał to robić akurat Rollo Bellamy?

- Wykrzyknął z prawie teatralnym wyrzutem Nigel.

- Kochana Kate, przecież on po prostu nie potrafi się ruszyć, żeby nie pozostawić za sobą tysiąca wyraźnych śladów!

Zostawia je, ale tylko wtedy, kiedy chce, żeby ktoś je odnalazł, odpowiedziała mu w duchu Kate, ale postanowiła milczeć.

- No cóż - westchnął Nigel - pozostaje nam mieć nadzieję, że z tego wyjdzie, choć tylko Bóg raczy wiedzieć kiedy.

Podtekst tej ostatniej uwagi był oczywisty.

- Niezależnie od tego, jak wiele czasu to zajmie, to ja odpowiadam za to wszystko - odpowiedziała natychmiast Kate.

- Chcę, żeby nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Rollo Bellamy pojechał do Hongkongu prywatnie, wysłany tam przeze mnie, a nie przez firmę Desparda.

Nie zamierzam więc występować do zarządu o refundowanie jakichkolwiek kosztów.

Teraz Nigel poczuł się niezręcznie, zwłaszcza że dopiero co zapoczątkował dość wątpliwą kłótnię między poszczególnymi członkami zarządu, gdy postanowił podjąć sprawę tych kosztów.

Zmienił więc temat i, cokolwiek niepewnie, podał Kate kolorowy dodatek do niedzielnego wydania jednej z gazet.

Zatrzymałem to dla pani.

Pełne cztery strony w kolorze, w całości poświęcone całej aukcji stulecia.

Reklama najlepsza z możliwych, bo darmowa!

Całe wydrukowane tu sprawozdanie to jeden wielki pean na cześć pani siostry...

- Nigel chrząknął lekko, co oznaczało, że choć nie aprobeuje metod, musi doceniać ich skuteczność.

- Należałoby się postarać, żeby to pani zdjęcia zastąpiły ją na tych stronach, i to możliwie jak najszybciej.

Tego rodzaju prasa ma jednak ogromną siłę oddziaływania, zwłaszcza na tych potencjalnych klientów, którzy nie są jeszcze zdecydowani.

- Łatwy do wychwycenia krytyczny sens tej uwagi był następujący: Należy się zajmować firmą Desparda, a nie Rollem Bellamym, bo inaczej źle na tym wyjdziemy.

- Niech tylko ruszy Courtland Park, wtedy reklama wokół nas natychmiast się rozkręci - odpowiedziała Kate z wielką pewnością siebie.

- Na szczęście jeszcze przed tym wszystkim Rollo zdążył naszkicować bardzo szczegółowy harmonogram całej akcji reklamowej.

Nigel westchnął.

- Obawiam się, że to nie za bardzo spodoba się naszemu wydziałowi reklamy.

- Wiem, co robię - odparła na to Kate, ze stanowczością, która mocno przypominała podobną, cokolwiek arogancką pewność siebie jej ojca.

- Rollo ma w sobie iskrę geniuszu, jeżeli idzie o wszelkiego rodzaju reklamę.

Autoreklamę również, oczywiście, ale i reklamę w ogóle.

A Courtland Park, jak słusznie tu podkreślono, ma być naszą odpowiedzią na sukces aukcji w Hongkongu.

Więc teraz to po prostu musi być aukcja, która stanie się wydarzeniem.

Musi mieć jeszcze lepszą dramaturgię i być jeszcze ciekawsza, zarówno dla prasy, jak i dla innych mediów.

Na razie chyba na tym skończymy.

Jestem zmęczona - oświadczyła Kate.

- To widać, prawdę mówiąc - powiedział Nigel, teraz już naprawdę zatroskany i przejęty.

- Idę do siebie, żeby się trochę przespać.

Jutro się tym zajmiemy.

Jednak przed tym zapowiedzianym pójściem do siebie Kate postanowiła, że musi odwiedzić jeszcze jedną osobę.

Musi po prostu porozmawiać.

Charlotte otworzyła drzwi.

- O mój Boże, moja droga Kate!

- wykrzyknęła, patrząc na nią z niepokojem.

- Tak się o ciebie martwiłam...

- Przyjrzała się wycieńczonej twarzy Kate, a wyraz jej oczu najwyraźniej ją przeraził.

Stale dotąd obecne w tych źrenicach iskierki gdzieś znikły.

- Dobrze, że przyszłaś.

Coś cię trapi, prawda?

- W jej oczach i głosie było tyle życzliwości i prawdziwej troski, że Kate nie potrafiła się już pohamować i wybuchła płaczem.

- Gdybyś ty widziała, jak na mnie patrzył...

jaka miał przy tym twarz - mówiła, szlochając.

- To było straszne...

patrzył na mnie tak, jakbym strąciła go w jakieś otchłanie piekielne.

A ja przecież w ogóle nie miałam wyboru.

Musiałam szukać pomocy, żeby ratować to wszystko.

A teraz on mnie nienawidzi, wiem to na pewno.

Bo zmusiłam go, żeby przyjrzał się czemuś, czego on nie chciał widzieć...

I czego ty sama też w jakiś tam sposób nie chciałaś widzieć, pomyślała Charlotte.

Ach, moja droga, nie wybrałaś sobie łatwego człowieka.

Od razu to wiedziałam, wystarczyło na niego spojrzeć.

Tacy bardzo opanowani, mocno trzymający się w ryzach mężczyźni zawsze są tacy, pewnie dlatego, że kiedyś tam nie potrafili nad sobą zapanować i drogo to ich kosztowało.

Ale tego oczywiście już Kate nie powiedziała.

Utulila ją tylko, ugłaskała i uspokoiła.

Kazała jej też wypić filiżankę bardzo mocnej i gorącej herbaty, a następnie - mimo protestów Kate - pojechała razem z nią do jej apartamentu na poddaszu nad firmą Despard, gdzie zapakowała ją do łóżka.

Wcześniej ukradkiem wrzuciła do herbaty dwie tabletki valium.

Siedziała przy Kate, obserwując z ulgą, jak jej udręczona i zalana łzami twarz powoli się uspokaja, a szarpiący nią jeszcze od czasu do czasu szloch z wolna przechodzi w spokojny, miarowy oddech.

Upewniwszy się, że dziewczyna śpi, Charlotte podniosła się i pojechała do szpitala odwiedzić Rolla.

W parę dni później Benny Fong pojawił się w gabinecie Blaisea Chandlera i, zaproszony gestem ręki, usiadł na stojącym naprzeciwko biurka fotelu.

Nie miał zadowolonej miny.

- To nie będzie łatwe, szefie - powiedział.

- Kiedy człowiek próbuje pytać wprost o kogoś z tych ludzi, to oczywiście nikt nic nie wie, choć bardzo dokładnie wiadomo, że gdy tylko zamkną się drzwi, facet natychmiast pogna do telefonu, żeby zadzwonić do tego właśnie człowieka, którego niby w ogóle nie zna.

My w ten sposób nie dowiemy się niczego.

Dlatego postanowiłem odwołać się do takiego mojego przyjaciela, którego jakiś czas temu wyrzucono z policji, głównie za to, że - choć niewątpliwie był bardzo dobrym i uczciwym policjantem - miał niezdrowy zwyczaj zadawania zbyt wielu pytań różnym ludziom, którzy chyba tego nie lubili.

Ten mój przyjaciel jest zdania, że triady teraz gwałtownie się rozrastają.

Mają własny, całkowicie przez nich kontrolowany szlak narkotykowy, zupełnie tak jak w filmie Francuski łącznik, tyle tylko, że ten szlak prowadzi tym razem z Hongkongu do Europy.

Policja jest bezsilna, nie potrafi sobie z tym poradzić, zresztą większość jej funkcjonariuszy od dawna przekupiono.

Mój przyjaciel wymienił konkretne nazwiska kilku bardzo ważnych osobistości, które są w kieszeni u mafii, i kilku innych - a są to naprawdę grube ryby tu, w Hongkongu - którzy sami są znaczącymi bossami triad.

- Na przykład?

Benny wymienił nazwiska, które nie tylko zaskoczyły Blaisea, ale wręcz nim wstrząsnęły.

Byli tam ludzie, z którymi on sam prowadził interesy, powszechnie znani i szanowani, niektórzy z nich nawet odznaczani za zasługi dla korony brytyjskiej.

- Jeżeli ten mój przyjaciel mówi, że oni są w mafii, to są.

On w którymś tam momencie miał już dosyć stałych wykrętów i omijania pewnych osób i źle na tym wyszedł, więc teraz chciałby wyjść na swoje.

Jeżeli pan szuka odpowiedniego człowieka, to on się nada.

- Benny zamilkł na chwilę, ale Blaise wiedział, że to jeszcze nie koniec.

Że usłyszy jeszcze rzeczy dużo gorsze.

- Jest tu taki osobnik nazwiskiem Czao Li.

Zajmuje się handlem antykami, ma duży sklep w kompleksie handlowym Mandarin Arcade.

Otóż mój przyjaciel twierdzi, że właśnie ten Czao Li jest Wielkim Bratem triady, nazywanej Triadą Złotego Smoka...

- Benny znów zamilkł na moment.

- I prowadzi interesy z pańską żoną.

Blaise milczał i dopiero po chwili powiedział: - Mów dalej.

- Mój przyjaciel mówi, że ten Czao Li jest bardzo niebezpieczny.

To on uruchomił przeciw niemu swoje wpływy, kiedy poczuł, że ktoś w policji za bardzo się nim interesuje, i to on dostarczył fałszywe dowody, mające świadczyć, że mój przyjaciel był wtyczką mafii.

Triada Czao Li jest jedną z większych, liczy co najmniej pięć tysięcy osób.

Mówi się, że w Hongkongu do mafii należy co najmniej pięćset tysięcy, ale nikt tego nie wie na pewno, równie dobrze może być i dziesięć razy więcej.

W każdym razie, zgodnie z tym, co mówi ten mój przyjaciel, te triady to dziś prawdziwe armie, i zresztą zorganizowane są na wzór armii; obowiązuje tam żelazna dyscyplina, przysięga pieczętowana krwią i tak dalej.

Złamanie zasady absolutnego milczenia oznacza śmierć, nie tylko dla tego, który się wygadał, ale i dla całej jego rodziny.

Podobnie jak we włoskiej mafii, w triadach są żołnierze -tyle że tu nazywa się ich Wojownikami - a także tak zwani Pisarze, odpowiedzialni za ochronę prawną, przekupywanie funkcjonariuszy administracji państwowej i lokalnej, sędziów, policji i tak dalej - we włosko-amerykańskiej mafii nazywa się ich consiglieri.

Starszych, zasłużonych członków mafii zwie się tu Wujkami, ale naprawdę ważni są ci, którzy są określani jako Czerwone Szaty.

Nazywa się ich Wielkimi Braćmi.

Otóż ten mój przyjaciel jest zupełnie pewny, że Czao Li jest takim Wielkim Bratem.

- Benny zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej.

- Czy pańska żona o tym wie, pozostaje sprawą otwartą.

Mój przyjaciel jest zdania, że prawdopodobnie nie wie.

Ludzie z triad z reguły nic nie mówią, dopóki nie zyskają pewności, że ofiara jest już dostatecznie wplątana i nie ma mowy o odwróceniu.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie, nagle zdając sobie sprawę, że myślą chyba o tym samym.

- Tak, to chyba możliwe...

- powiedział ostrożnie Benny.

- Tutejsza mafia wykorzystuje wszelkie możliwe przykrytki dla rozprowadzania heroiny.

Produkt wyjściowy, to znaczy opium, przychodzi z tak zwanego Złotego Trójkąta; mafia oczywiście ma tu własne przetwornie, gdzie przerabia się to na końcowy produkt w postaci białego proszku, gotowego już do wysyłki.

- Jak oni to wysyłają przez granicę?

- zapytał Blaise.

- Z reguły narkotyk jest szmuglowany razem z legalnymi towarami, które wysyła się stąd drogą morską albo lotniczą.

Każdy towar, każdy produkt może posłużyć jako przykrywka dla tego procederu.

Ten mój przyjaciel mówi, że zdarzało mu się znajdować heroinę nawet w tubkach od pasty do zębów.

Każdy legalny rodzaj ładunku, który zazwyczaj nie wzbudza podejrzeń, prędzej czy później bywa wykorzystywany.

- A po drugiej stronie tego narkotykowego szlaku kto to odbiera?

No cóż, na przykład w Stanach jest Nowy Jork, ze swą chińską dzielnicą, a podobną dzielnicę ma też San Francisco.

Oba te miasta to olbrzymie porty, chińska koalicja jest w nich wyjątkowo liczna.

A poza tym Cza Li ma filię swojego przedsiębiorstwa na Madison Avenue.

Ich spojrzenia znów się spotkały.

Tak, obaj musieli sobie wyobrazić to samo - ładunek antyków wysyłany z Hongkongu do Stanów Zjednoczonych, przeznaczony dla oddziału Despards New York, a także dla nowo otwieranego oddziału w San Francisco.

Ładunek, który wiezie się tylko po to, żeby ukryć w nim plastikowe torebki z czystą heroiną.

- Ten sposób - mam na myśli przemyt narkotyków pod przykrywką handlu dziełami dawnej sztuki - być może był już kiedyś wykorzystywany - mówił dalej Benny.

- Nikt tego nie wie na pewno.

A może to zupełnie nowy pomysł, zastosowany po raz pierwszy...

- Jesteś pewien, że twoje informacje są prawdziwe?

- zapytał Blaise.

- Mój przyjaciel wie, co mówi.

Całe lata zajmował się tropieniem właśnie takiego przemytu.

- Jak, jego zdaniem, narkotyki zostałyby ukryte?

- Najprawdopodobniej wewnątrz ceramicznych albo też odlewanych z metalu figurek, co oczywiście oznacza, że muszą to być podróbki, nie autentyki.

Te podrobione figurki dają się dzielić na pół albo też mają specjalne otwory, przez które wysypuje się proszek.

Następnie otwory są zasklepiane i pokrywane polewą, czy patyną, która całkowicie maskuje miejsca łączenia.

Cały schemat wysyłki z pewnością przewiduje włączenie tego wszystkiego do regularnych transportów tego rodzaju, do których pracownicy służb celnych zdążyli się już przyzwyczaić -w końcu pan Cza Li jest znanym i szanowanym biznesmenem.

Jego sklep w Nowym Jorku sprzedaje jak najbardziej autentyczne rzeczy tego rodzaju, stąd też utrzymany w rozsądnej proporcji dodatek dobrze podrobionych falsyfikatów nie wzbudzi niczyich podejrzeń.

Kiedy transport trafia już do miejsca przeznaczenia, nietrudno w jakimś ukrytym pomieszczeniu znów otworzyć te przedmioty i wydostać z nich heroinę.

- Chciałbym wobec tego, żebyś znalazł miejsce, gdzie oni to robią- powiedział Blaise.
- Musimy to wiedzieć.

Chcę też, żebyś zorganizował stałe śledzenie mojej żony.

To się chyba nazywa "ogon"?

Benny nie miał odwagi spojrzeć w tym momencie na swego szefa, udał więc, że robi notatki.

- Jej biuro musi być odtąd na podłuchu, myślę, że wiesz, jak masz to zrobić.

Apartamentem na poddaszu sam się zajmę.

Benny zebrał się na odwagę i powiedział: - Na pana miejscu byłbym bardzo ostrożny. Triady z reguły nie ufają nikomu, w jej przypadku też z pewnością zabezpieczyli się na wszystkie strony.

To może być niebezpieczne także dla niej.

- Nie mamy innego wyjścia.

Tylko ona może nas do nich doprowadzić.

Dopiero wiedząc, co zamierza, będziemy mogli jakoś ją ochraniać, a jednocześnie sprawdzić dokładnie, jak bardzo jest już w to wplątana.

Wykorzystaj wszystkie swoje możliwości, Benny, wszystkich ludzi, wszystkie kontakty.

Wydatki nie mają znaczenia, bierz tyle pieniędzy i tylu ludzi do pomocy, ile będzie trzeba.

Chcę wiedzieć wszystko, co się da.

Benny skinął głową.

Głos Blaisea wydawał się spokojny i opanowany, ale on mimo to nie miał odwagi spojrzeć w te ciemne, prawie czarne oczy.

Benny zawsze lubił i jednocześnie podziwiał swego szefa, choć nieraz zdarzało mu się zachodzić w głowę, jak taki człowiek mógł się dać aż tak uzależnić od kobiety, i to takiej, jak Dominique du Vivier.

No więc teraz dla odmiany będzie musiał myśleć, jak wyciągnąć go z tego koszmarnego szamba, do którego wpakowała go jego własna żona.

Benny postanowił, że zrobi wszystko, by mu się to jednak udało.

- Sprawdź dokładnie, kto w tutejszym oddziale Desparda zajmuje się pakowaniem i przygotowywaniem rzeczy do wysyłki na eksport.

Od jak dawna to robi, ile czasu to za każdym razem zajmuje; chcę mieć kopie wszystkich zleceń i faktur, w ogóle wszystko.

- Żaden problem - odpowiedział z uśmiechem Benny.

Miał tam akurat odpowiedniego człowieka, skądinąd swego kuzyna, o imieniu Czoj; w swoim czasie załatwił mu w firmie Desparda posadę portiera.

A jeżeli chodzi o śledzenie z ukrycia, doskonale do tego nadawał się jego własny brat, Eddy.

Ten naprawdę potrafił chodzić za ludźmi tak, jakby rzeczywiście był niewidzialny. Jak większość Chińczyków, Benny Fong był wierny zasadzie, że najlepiej jest, gdy wszystko załatwi się w rodzinie.

- Postaraj się też, by rozeszła się wiadomość, że Rollo Bellamy jest już nie do uratowania, a gdyby nawet udało się go wydobyć ze śpiączki, to nie ma mowy o odzyskaniu pamięci; co najwyżej będzie jakiś czas wegetował jak roślina.

Postaraj się, żeby takie wiadomości dotarły do ludzi, którzy powinni to usłyszeć.

- Doskonale - powiedział Benny, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Mam swoje kontakty w chińskiej dzielnicy w Londynie.

- Tu musimy być szczególnie ostrożni - powiedział Blaise.

- Gdyby się miało okazać, że nie zawahają się przed następną próbą zlikwidowania Rolla, to będę też musiał chronić moją żonę.

Ona już teraz może być w poważnym niebezpieczeństwie, ale na razie nie można jej nic powiedzieć.

Bo wtedy bardzo łatwo mogłaby zrobić coś, czego my bynajmniej nie chcemy...

...a obaj dobrze wiemy, że po niej można się spodziewać wszystkiego - te słowa już nie zostały wypowiedziane, ale i tak to wiedzieli.

Cóż to jednak za suka, jak się okazało, pomyślał Benny.

Czuł, że i jego powoli zaczyna ogarniać wściekłość.

W takie bagno wpakować nie tylko siebie, ale i męża!

Benny wiedział, że jego szef i przyjaciel cierpi piekielne męki.

Blaise nie dawał tego po sobie poznać, ale Benny znał go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, co teraz czuje.

On sam nigdy nie polubił młodej pani Chandler, i od samego początku jej nie ufał.

Nie znał daty urodzenia Dominique, ale gotów był się założyć, że w chińskim horoskopie na ten dzień z całą pewnością musi występować Wąż.

Kobiety spod znaku Węża były urodzonymi femmes fatales, z rodzaju tych, które teroryzowały mężczyzn.

Dla każdego Chińczyka Wąż był tworem ze swej istoty naturalnym i złowieszczym, a Bennyemu zdarzało się na własne oczy widzieć, jak Dominique owijała się ciasno wokół ciała Blaisea, doprawdy zupełnie tak, jak jakiś skalny pyton.

O tym, że musi pochodzić spod tego właśnie znaku, świadczyło również to, że zawsze znakomicie czuła się we wszelkiego rodzaju intrygach i miała charakterystyczną dla ludzi spod znaku Węża namiętą żądzę władzy i potrzebę stałego bycia na świeczniku.

No a gdyby tak to rozgłosić?

- przyszło mu nagle do głowy.

To mógłby być wcale niezły pomysł!

Gdyby to wszystko nagle stało się powszechnie wiadome.

Chińczycy bardzo poważnie traktują wszelkie wynikające z horoskopów konstatacje.

Gdyby się dowiedzieli, że mają do czynienia z Wężem, byłiby wyjątkowo ostrożni.

- Zabiorę się do tego natychmiast - powiedział i podniósł się z fotela.

Ale Blaise najwyraźniej tego już nie usłyszał.

Znów patrzył w dal przez okno, ale trudno było przypuścić, że naprawdę coś tam widzi.

Wyraz jego twarzy był taki, że Benny wolał wyjść, nie mówiąc już ani słowa.

CZĘŚĆ SZÓSTA.

Błędne rachuby.

WRZESIEŃ.

Rozdział 16 .

Kate przesiedziała przy Rollu jeszcze godzinę, a potem postanowiła wrócić do domu na piechotę.

Była już noc, ale pogodna i zaskakująco ciepła, jak to często bywa w okresie nie bez racji nazywanym indiańskim latem.

Nocne powietrze było świeże i czyste, zwłaszcza w porównaniu z powietrzem szpitalnym, zawsze pachnącym eterem i środkami antyseptycznymi, nawet jeśli sam szpital przypominał raczej jakiś hotel bardzo wysokiej klasy.

Kate zdawała sobie sprawę, że w dość powszechnej opinii Rollo Bellamy po prostu tylko dostał to, co mu się od dawna należało, zwłaszcza za uporczywe wtykanie swego nosa tam, gdzie go wcale nie zapraszano.

Ona jednak uporczywie trzymała się nadziei - w końcu nic już nie pozostawało poza nadzieją- że któregoś dnia Rollo mimo wszystko odzyska przytomność i ostatecznie wyzdrowieje.

Niektórym ludziom myśl o powrocie Rolla mogła się oczywiście nie podobać, ale Kate miała teraz wystarczająco silną pozycję, by bez trudu uciszyć niezadowolonych.

Osiągane ostatnio znaczące i coraz liczniejsze sukcesy sprawiały, że jej autorytet w firmie Desparda gwałtownie wzrósł.

Potrafiła już bez trudu ogarniać całość i bardzo dokładnie kontrolować finansową sytuację firmy.

Wiedziała też, że jej wytężona praca i skuteczne wysiłki, podejmowane w celu uzyskania każdego liczącego się zlecenia, sprawiały w rezultacie, że sytuacja Desparda London była teraz bardzo dobra, a przy tym stabilna.

Podczas tych paru tygodni, które minęły od jej powrotu, Kate zdążyła też wprowadzić pewne innowacje w samej firmie.

Niektóre z nich zostały odebrane jako szokujące i nieomal rewolucyjne.

Kate dobrze zapamiętała własne odczucia podczas tamtego popołudnia w Hongkongu, kiedy to blakając się w okropnym nastroju po pasażach i wewnętrznych przejściach kompleksu handlowego Connaught Centre, zmęczona i przygnębiona, kiedy niespodziewanie natrafiła wśród tych wszystkich sklepów i salonów sprzedaży na uroczą kawiarnię, która samym swoim wyglądem zdawała się zapraszać do odpoczynku.

Z jaką ogromną ulgą weszła tam, gdzie wreszcie można było usiąść, dać odpocząć zmęczonym nogom i spokojnie pomyśleć.

Tak więc zaraz po powrocie do Londynu zaangażowała projektanta wnętrz i zleciła mu przygotowanie propozycji takiego przemodelowania trzeciego piętra budynku Despard's London, żeby mogła się tam zmieścić taka właśnie kawiarnia.

Ten jej pomysł wywołał w firmie prawdziwą burzę.

- My jesteśmy poważnym domem aukcyjnym!
- huczał urażony do żywego John Steadman.
- A nie jakimś tam supermarketem z West Endu!

Ale Kate pozostała nieugięta.

Uważała, że zastanawiający się nad dokonaniem zakupu klient firmy Despard's, koniecznie powinien mieć takie miejsce, gdzie mógłby usiąść i spokojnie wszystko rozważyć nad filiżanką aromatycznej kawy czy herbaty z kruchym ciasteczkiem albo apetyczną kanapką.

To jednak oznaczało, że dział rachunkowości musiałby zostać przeniesiony do dawnego budynku Despard's w starym śródmieściu, gdzie było dużo wolnego miejsca.

Podniosły się głosy protestu, wskazujące przede wszystkim na zbyt wielką odległość, utrudniającą komunikację.

Kate jednak szybko uciszyła te protesty, wydając polecenie założenia między tymi dwoma budynkami światłowodowego łącza komputerowego.

W rezultacie wysyłanie i odbieranie dokumentów i informacji odbywało się już bez najmniejszych kłopotów.

- Ale ile to kosztowało!
- jęczał szef działu wydatków.
- My powinniśmy myśleć o oszczędzaniu i efektywniejszym wykorzystywaniu miejsca, tak jak wszyscy, a nie o rozbudowywaniu i rozszerzaniu.
- A ja właśnie zamierzam naszą firmę rozbudowywać i rozszerzać - oświadczyła bardzo zdecydowanie Kate.

John Steadman posunął się aż do groźby złożenia dymisji, ale gdy Kate najwyraźniej się tym nie przejęła, w końcu się z tego wycofał.

Ale oczywiście powiedział każdemu, kto tylko chciał słuchać, co o tym wszystkim myśli.

- Chryste Panie, czy wy widzicie, co się dzieje?
- powtarzał.
- Ta dziewczyna przyszła tu, żeby się uczyć od nas, a teraz najwyraźniej to ona nas zamierza uczyć!

Jednak na przykład Claudia Jamieson w pełni poparła pomysł Kate, podobnie jak jeszcze parę osób z młodszej generacji.

Ci ostatni uznali, że taka kawiarnia to wręcz znakomity pomysł.

- Ludzie przestaną się bać, że trzeba odsiedzieć całą aukcję na widowni -zażartowała Claudia.

- A w kawiarni będą mogli sobie jeszcze obejrzeć obrazy, przeznaczone na następną aukcję!

- dodał ktoś inny.
- Będzie tu najlepsza kawa w całym Londynie, a co do ciastek...
- Despard's nigdy nie był zakładem żywienia zbiorowego!

- powiedział zgryźliwie wciąż nadąsany John Steadman.

Ale Kate zdecydowanie postawiła na swoim.

Do niej w końcu należało ostatnie zdanie, zupełnie tak samo jak kiedyś do jej ojca.

Charles był autokratą dobrodusznym i zawsze przeprowadzał to, co chciał.

Nikt jednak nie spodziewał się, że jeszcze niedawno wyraźnie zalękniona i niepewna siebie dziewczyna, w krótkim czasie rozkwitnie i przekształci się w kobietę, która nie tylko wie, co chce, ale i potrafi bardzo skutecznie to osiągnąć.

Przedstawiona przez nią szokująca koncepcja, dotycząca zupełnie nowego sposobu prowadzenia aukcji Courtland Park, spotkała się początkowo z pełnym nieufności niedowierzaniem.

Potem jednak stała się głównym tematem rozmów, które słyszało się na wszystkich piętrach.

Najwyraźniej udało się jej coś podpatrzeć na tej aukcji jej siostry - mówili jedni.

Ale inni byli zdania, że Kate Despard ma własne pomysły.

I to na tyle dobre, że już wkrótce to inni będą się od niej uczyć, jak to zauważył John Steadman.

Na posiedzeniu zarządu Kate oświadczyła bez ogródek: - Musimy zdobyć dwadzieścia osiem milionów funtów.

To jest postawiony przeze mnie cel, i zamierzam dopilnować, żebyśmy to osiągnęli.

Po to, by ten cel zrealizować, Kate skutecznie wcielała w życie nowe pomysły.

Między innymi doprowadziła do ustanowienia stałego, organizowanego co tydzień Dnia Odkryć w Despard's London".

Był to swego rodzaju dzień otwarty, w którym firma Despard's zapraszała do siebie wszystkich tych, którzy normalnie nigdy nawet nie pomyśleliby o jakimkolwiek domu aukcyjnym.

Teraz zapraszano ich, żeby przynieśli do Despard's London wszystko, co tylko mogło, ich zdaniem, mieć jakąś wartość jako atrakcyjna starość.

Zapewniano fachową ocenę przyniesionych rzeczy i pomoc w ewentualnej ich sprzedaży.

Kate wpadła na ten pomysł, oglądając w telewizji jakiś program o handlu starociami na jarmarkach.

Już teraz, po zaledwie czterech takich dniach, firma zyskała zaskakująco wiele przedmiotów, w pełni nadających się do sprzedaży w Despard's, a jeden z tych przedmiotów okazał się prawdziwym odkryciem.

Pewien mężczyzna przyniósł niewielki obrazek, przywieziony - jak powiedział - przez jego ojca, kiedy ten po zakończeniu wojny wrócił z kontynentu.

Opowiadał wtedy, że zdarzyło mu się - podczas walk o wyzwolenie jakiegoś francuskiego miasteczka - oddać swój posiłek jakiejś kobiecie, której dom został właśnie zburzony, a jej dzieci nie miały co jeść.

Kobieta w podziękę dała mu ten obrazek, nalegając, żeby zabrał go ze sobą, ponieważ jest pewna, że przedstawia on dużą wartość.

W rezultacie obrazek ten przez kilkadziesiąt lat wisiał nad kredensem w jadalni, nie zwracając niczyjej uwagi.

Dopiero przeczytane w gazecie ogłoszenie o "Dniach Odkryć w Despard's London" sprawiło, że syn postanowił sprawdzić, czy to, co owa kobieta powiedziała wtedy jego ojcu, było prawdą.

Okazało się, że rzeczywiście było.

Jedna z młodszych pracownic firmy, której ów mężczyzna dał do obejrzenia obrazek, natychmiast zorientowała się z niezwykłą pewnością, że może to być - coś z wczesnego okresu twórczości artysty, który w ogóle malował niewiele i dlatego każde jego dzieło było tym cenniejsze.

Wezwała więc kierownika działu, który w pełni potwierdził przypuszczenia swej bystrej podwładnej.

Obrazek był wczesnym dziełem Henriego Rousseau, zwanego Celnikiem.

Przybliżoną wartość oszacowano na dwieście do czterystu tysięcy funtów.

Od tego momentu wśród pracowników skończyły się kąśliwe uwagi i żarciki na temat "Dni Chłamu w Despard's London".

Teraz każdy chciał być tą następną osobą, która odkryje coś podobnie cennego.

Innym zrealizowanym pomysłem Kate - który w końcu się sprawdził, wywołując prawdziwą furorę - była całkiem nowa forma prezentacji klejnotów, którą Kate zaproponowała i postanowiła wprowadzić przy okazji aukcji biżuterii Cornelii Fentriess.

Kate uparła się, że klejnoty na tej aukcji nie powinny leżeć w gablotach z pancernego szkła, pilnowanych przez uzbrojonych strażników, natomiast powinny być prezentowane "na żywo" przez piękne profesjonalne modelki.

- Ale czy pani w ogóle pomyślała o sprawach bezpieczeństwa?

- pytano ją natychmiast, a każdy z pytających wydawał się wręcz przerażony.

Okazało się jednak, że Kate o tym pomyślała, i to nawet na samym początku.

Zapytana o radę Agatha Chandler podała jej nazwę godnej zaufania firmy, zajmującej się ochroną kosztowności, z której usług korzystała również Chandler Corporation.

Przedstawiciel firmy odbył z Kate długą naradę i po szczegółowym zapoznaniu się z planem, przyjął zlecenie na zorganizowanie bardzo dyskretnej, a jednocześnie całkowicie skutecznej ochrony całej imprezy.

- Byliśmy dotąd zbyt daleko od ludzi - stwierdziła Kate na posiedzeniu zarządu, atakując swych oponentów zdecydowanie i bezlitośnie.

- Ludzie naszego zawodu nawykli izolować się głównie w swym własnym, zamkniętym środowisku, i trwa to już o wiele za długo.

Tymczasem w dzisiejszym świecie jest ogromna potencjalna klientela, która wciąż jest tam - na zewnątrz.

A my powinniśmy zrobić wszystko, żeby ją przyciągnąć do nas.

Tak więc już wkrótce za ladą recepcyjną Despard's London pojawiła się piękna młoda dziewczyna; a tych, na których to nie działało, mogła przyciągnąć stała obecność w ten czy inny sposób związanych z firmą Despard's licznych arystokratów.

Kate wprowadziła też pewne zupełnie nowe zwyczaje w dziedzinie rozliczeń, coś, czego dotąd nigdy nie robiono: klienci, którzy zamierzali coś sprzedać, mogli otrzymywać zaliczki a conto.

A w przypadku przygotowywanej właśnie olbrzymiej aukcji klejnotów Cornelii Fentriss istniała też możliwość rocznego kredytu dla zainteresowanych, oczywiście po bardzo wnikliwym, choć dyskretnym sprawdzeniu potencjalnych chętnych.

- Na rynku pojawił się dziś nowy rodzaj bogactwa - tłumaczyła Kate swym nieufnym kolegom.

- To niejednokrotnie ludzie, którzy mają bardzo dużo pieniędzy stosunkowo od niedawna, i bardzo chętnie wydaliby je, by zyskać prestiż, który daje nabywanie dzieł sztuki; by móc pochwalić się, że coś kupili.

Nie możemy wciąż opierać się tylko na stosunkowo małym kręgu naszych dawnych klientów.

Musimy poszerzać naszą ofertę, musimy się rozwijać!

Ale jednocześnie Kate nie zamierzała się posuwać za daleko we wprowadzaniu zmian.

Odsunęła zdecydowanie pomysł rozkładania należności na dwie raty, a poza tym, wspólnie z Dorothy Bainbridge, której krańcowo konserwatywne podejście ustalania zastrzeżonych cen minimalnych było już wręcz legendarne, sprzeciwiła się stanowczo jakimkolwiek zawyżaniu zastrzeżonej ceny, nawet w przypadku pojedynczego przedmiotu.

może także dzięki temu wszystkiemu mogła teraz z prawdziwym zadowoleniem przeglądać strony sprawozdania finansowego firmy za pierwszą połowę roku.

Zysk wyniósł blisko pięćdziesiąt cztery procent - blisko pięć milionów osiemset czterdzieści trzy tysiące funtów, podczas gdy w tym samym okresie ubiegłego roku wynosił zaledwie dwa miliony osiemset czterdzieści osiem tysięcy.

Oczywiście, spuścizna Steyninga, a także załatwiona przez Rolla sprzedaż sześciu obrazów Picassa, bardzo pomogły w uzyskaniu tak doskonałego wyniku.

Ale przecież teraz, w drugim półroczu, do bilansu wejdą wyniki aukcji klejnotów Cornelii Fentriss, no i Courtland Park przede wszystkim.

I wtedy dopiero wskaźniki skoczą!

Teraz, wracając po wizycie w szpitalu u Rolla, Kate zaczęła się zastanawiać nad ulotkami, które firma Desparda powinna rozesłać w związku z tymi dwiema aukcjami, niezależnie od gotowych już i naprawdę wspaniałych kolorowych katalogów.

Te ulotki powinny być wykonane w odmiennej technice, pomyślała.

Jedna na papierze bladoniebieskim - "błękit Desparda" - ze złotym obramowaniem i wytwornym drukiem w tej samej technice, tak charakterystycznym dla firmy: Dom aukcyjny Desparda zaprasza na wielką aukcję dzieł sztuki i przedmiotów użytkowych ze zbiorów zmarłego Johna Randolpha Courtlanda, która odbędzie się w posiadłości Courtland Park w Sussex i trwać będzie przez tydzień, poczynając od poniedziałku 30 października.

Przeznaczone na aukcję przedmioty można oglądać codziennie między 23 a 27 października.

Druga ulotka na białym papierze z czarnym drukiem, również w tej samej technice: Dom aukcyjny Desparda, Arlington Street.

Aukcja klejnotów z masy spadkowej po zmarłej Cornelii Fentriss Gardner.

Środa, 16 września, godzina ósma wieczorem.

Stroje wieczorowe.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, Kate w pewnym momencie skręciła z chodnika na jezdnię, żeby przejść w stronę pobliskiego placu Devonshire.

Była tak zamyślona, że zupełnie nie zwróciła uwagi na wielki czarny samochód, który już od pewnego czasu jechał za nią z wygaszonymi światłami, utrzymując się stale w tej samej odległości.

Na ulicy o tej porze pozostali już tylko bardzo nieliczni przechodnie, było więc zupełnie cicho, a mimo to Kate w ogóle nawet nie usłyszała, że jadący za nią wóz nagle przyspieszył, gdy była akurat na samym środku jezdni.

Potem wiedziała już tylko tyle, że ktoś ją gwałtownie popchnął do przodu i sam wpadł na nią, a następnie razem z nią zaczął się pośpiesznie przetaczać w stronę krawężnika.

Kate potłukła się boleśnie, padając na plecy, a jej twarz wciśnięta była w szeroką klatkę piersiową jakiegoś mężczyzny.

Napadli na mnie, zdążyła jeszcze pomyśleć, a potem wszystko rozplynęło się w przepastnej czerni.

Ocknęła się jednak już po kilku sekundach, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła ciemną sylwetkę jakiegoś pochylającego się nad nią człowieka.

Instynktownie zasłoniła twarz rękami.

- Już wszystko dobrze, proszę pani - usłyszała.

- Proszę mi wybaczyć, że tak rzuciłem panią o ziemię jak w rugby, ale gdybym tego nie zrobił, to z całą pewnością znalazłaby się pani pod kołami tego samochodu.

- Jakiego samochodu?

- Nie widziała go pani?

Wielki, czarny...

paru centymetrów brakowało, żeby nas uderzył.

- Nie, nie widziałam go...

ani nie słyszałam.

Mężczyzna, najwyraźniej wciąż zaniepokojony, pomógł jej wstać i jako tako się otrześć.

- Jest pani przynajmniej cała?

- zapytał.

- Przypuszczam, że jutro będę miała pełno pięknych fioletowych siniaków, ale kości, jak mi się wydaje, mam całe.

- Lepiej to może sprawdzimy.

Dotknięcia jego dłoni były szybkie i pewne, a przy tym taktownie bezosobowe.

- Nie, nic tu nie ma.

Chyba wyszła pani z tego cało.

- Dzięki panu.

- To całe szczęście, że akurat byłem blisko pani.

Wyglądała pani na bardzo zamyśloną.

- Chyba rzeczywiście byłam - przyznała Kate, świadoma, że w jakimś stopniu również sama jest winna.

Mogła mu się teraz przyrzec w świetle pobliskiej latarni.

Był wysoki, co najmniej metr osiemdziesiąt, i proporcjonalnie, mocno zbudowany.

Spod strzechy przypominających wymłóconą słomę włosów spoglądały bladoniebieskie oczy.

Wygląda na typowego Amerykanina, pomyślała.

- Musi pan chyba naprawdę grać w rugby albo w futbol amerykański, skoro potrafił mnie pan tak chwycić i rzucić - powiedziała z przymrużeniem oka.

- Trochę rzeczywiście grałem, na uczelni.

Mógł mieć mniej więcej tyle samo lat, co ona, był przystojny i miał w sobie tę naturalną, skierowaną ku wszystkim życzliwość, jaką miewają duże, dorastające szczeniaki.

Kiedy się uśmiechał, jego nieskazitelnie białe zęby odsłaniały się - niczym w amerykańskiej reklamie - niemal w całości.

- Przywołać dla pani taksówkę?

- zapytał.

- Jeżeli to się panu uda - zgodziła się Kate.

Potem westchnęła.

- I pomyśleć, że akurat dziś postanowiłam wrócić do domu pieszo, dla jakiejś odmiany.

- Ja sam lubię chodzić na piechotę - odpowiedział z rozbijającą otwartością.

Potem włożył dwa palce do ust i przeraźliwie gwizdnął.

Jadąca o kilkadziesiąt metrów dalej taksówka skierowała się w ich stronę.

- Czy chciałaby pani, żebym, choćby dla bezpieczeństwa, odwiózł panią do domu?

Czemu nie?

Myślę, że jestem panu winna przynajmniej drinka za uratowanie mi życia.

Taksówka zatrzymała się przed siedzibą Despards, a mężczyzna zapytał: - Mieszka pani w budynku jakiejś firmy?

- Nad firmą.

Mam tu mieszkanie na poddaszu.

Rozejrzał się dookoła, kiedy szli razem w stronę windy.

To jakaś galeria obrazów czy coś w tym rodzaju?

- Raczej coś w tym rodzaju - odpowiedziała rozbawiona Kate.

- Słyszał pan o firmie Despards?

Mężczyzna potrząsnął przecząco głową.

- A na przykład o Sothebys?

- O Sothebys słyszałem.

No więc Despards jest bardzo podobną firmą.

Dom aukcyjny dzieł sztuki.

- Aha, rozumiem.

A pani tu jest jakimś kierownikiem albo kimś takim?

- Mniej więcej.

Drzwi prywatnej windy Kate otwierały się na górze wprost na jej living room z ogromnymi oknami i rozpościerającym się za nimi widokiem na rozświetlony nocny Londyn.

Jej gość rozejrzał się i aż gwizdnął z podziwu.

- No, no!

Ma tu pani widoczek!

Jest na co popatrzeć.

- Rozglądając się, zrobił cały obrót wokół własnej osi.

- I na zewnątrz, i w środku.

- Czego się pan napije?

- Najchętniej wypiłbym filiżankę kawy.

Kate przeszła przez otwarte drzwi do znajdującej się obok kuchni.

Mężczyzna oparł się o framugę i przyglądał się napełnianiu i uruchamianiu ekspresu, z którego za chwilę zaczęły kapać do podstawionego naczynia aromatyczne krople.

Co taki młody Amerykanin robi u nas w Anglii?

Pracuję.

Jestem urzędnikiem w ambasadzie przy Grosvenor Square.

- I co pan tam robi?

Ach, nic ciekawego.

Teraz po prostu wydaję wize.

- Wyciągnął swą ogromną dłoń do Kate.

- Nazywam się Larry Cole.

- Kate Despard.

Spojrzał na nią z nagłym niedowierzaniem, po czym się uśmiechnął.

To znaczy, że to pani jest tu szefem?

- Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem wielki pokój wypełniony wspaniałymi meblami, dobranymi kiedyś osobiście przez Kate, przyjrzał się wiszącym na ścianach obrazom, podświetlonym dyskretnym tłem ozdobnych lamp.

Widać było, że to wszystko zrobiło na nim wrażenie.

- Domyślam się, że wobec tego musi się pani nieźle znać na sztuce, prawda?

Muszę się znać, na tym polega moja praca.

To chyba niezwykle ciekawe?

- Tak sędzę - odpowiedziała Kate.

- Jestem tego pewien - rzekł Larry.

A potem jeszcze dodał, już bez jej pytania: - Moja matka jest Angielką.

Zaraz po wojnie, w pięćdziesiątych latach, mój ojciec służył tu w amerykańskiej bazie lotniczej Brize Norton.

- Ach, więc ma pan jakichś krewnych w Anglii?

- Teraz już tylko siostrę mojej mamy.

Kate zauważyła, że bardzo łatwo się z nim rozmawia.

Był taki naturalnie miły i otwarty, pogodny i taki ogromny.

Sympatyczny jasnowłosy olbrzym.

Zasiedzieli się nad kawą aż do momentu, gdy stojący na kredensie ozdobny stary zegar wybił jedenastą.

- O rany, zdaje sobie pani sprawę, która godzina?

- wykrzyknął Larry.

- Chyba się trochę zagadałem.

- Gdzie pan mieszka?

- Maida Vale.

- Przy Piccadilly jest postój taksówek.

- Tak, wiem.
- Jak długo jest pan w Londynie?
- Już prawie miesiąc.
- Miesiąc?

To raczej niewiele zdążył pan zobaczyć.

- Na pewno nie tyle, ile bym chciał.
- Uśmiechnął się do niej i zapytał: -A może pani zechciałaby mi pokazać to, czego jeszcze nie widziałem?

Zanim zdołała się zastanowić, już odpowiedziała: - To byłoby możliwe, ale tylko w niedzielę.

W pozostałe dni mam za dużo zajęć.

- Niedziela bardzo mi odpowiada.
- Czy mogę tu po panią przyjechać?

- Niech pan przyjedzie.
- Nie ma pani pojęcia, jak się cieszę.

To będzie wspaniałe!

- W jego głosie brzmiał szczery entuzjazm.

Kate podniosła się z krzesła i poczuła, że plecy ją jednak mocno bołą.

Mimo woli skrzywiła się i syknęła.

- Trochę boli, co?
- powiedział współczująco Larry.
- Myślę, że gorąca kąpiel mogłaby na to pomóc.
- Chyba pójdę za pana radą.

Zjechała razem z nim na parter i odprowadziła go do wyjścia.

Larry wyciągnął do niej rękę.

- A więc do niedzieli.

Kate uścisnęła jego ogromną dłoń i powiedziała z wdzięcznością: - Jeszcze raz panu dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani.

Uśmiechnął się do niej szeroko, odwrócił się i szybkimi krokami ruszył w stronę Piccadilly.

Kate przez chwilę patrzyła w ślad za nim, po czym zamknęła drzwi i wróciła do siebie.

Zgodnie z tym, co jej poradził, napełniła wannę gorącą wodą z dodatkiem płynu do kąpieli.

Rozebrała się i z prawdziwą ulgą zanurzyła się w wodzie by się w niej wygrzać i wyleżeć.

Tym czasem Larry Cole szybkimi krokami doszedł do postoju taksówek skąd kazał się zawieźć do jednego z domów przy Hampsted Heath.

Wszedł pośpiesznie do środka i od razu skierował się do telefonu.

To ja, Larry Cole.

Mam pewne informacje do przekazania.

W zwięzłym skrócie przedstawił przebieg wydarzeń, opisał samochód ze zgaszonymi światłami, podając też zapisany wcześniej jego numer rejestracyjny.

Potem dodał jeszcze, że udało mu się nawiązać osobisty kontakt, zgodnie z otrzymanym zleceniem.

Jego głos i sposób zachowania były teraz zupełnie inne - był to zawodowiec, chłodny, sprawny i znający się na tym, co robi.

Kiedy zdjął marynarkę i zawiesił ją na oparciu krzesła, można było zauważyć, że nosi pas barkowy, z umieszczonym w specjalnym uchwycie pistoletem.

Następnego dnia rano Kate stwierdziła, że mimo gorącej kąpieli wszystko ją boli i to do tego stopnia, że na popołudnie postanowiła jednak wezwać lekarza.

Ten, po szczegółowym zbadaniu, powiedział jej, że nie stwierdza żadnych złamań, tylko liczne i bolesne stłuczenia.

Poradził, by unikała wszelkich zbędnych ruchów i gwałtowniejszych wysiłków przez parę najbliższych dni i zapisał jej tabletki przeciwbólowe.

Kierując się do wyjścia, wciąż jeszcze kręcił głową nad rozpasaniem i bezkarnością dzisiejszych kierowców, którzy potrafią człowieka nawet zabić, a potem po prostu uciec, udając, że nic się nie stało.

- To całe szczęście, że ten młody człowiek miał taki refleks i zdążył zareagować - powiedział.

- Ma pan rację, panie doktorze - powiedziała Kate, uśmiechając się tak, żeby tego nie zauważył.

- Miałam naprawdę wielkie szczęście...

W luksusowym apartamencie na poddaszu wielkiego domu, usytuowanego na zboczu góry zwanej Szczytem Wiktorii, Dominique du Vivier niespokojnym krokiem chodziła tam i z powrotem po wyłożonej kosztownym dywanem podłodze ogromnego salonu.

Czao Li się spóźniał.

Już dawno zdążyła się wykapać, wysmarować ciało wonnym olejkiem, umieścić jego ulubiony szampan - Roederer instal - w srebrnym kubelku z lodem i przygotować tacę kanapek z kawiozem, które szczególnie lubił.

Co się mogło stać?

Miał być u niej o dziewiątej, tymczasem już minęła dziesiąta.

Dominique jeszcze raz przejrzała się w wielkim lustrze, oprawnym w rzeźbioną ramę w stylu chińskiego chippendale i wiszącym nad ogromną kanapą, obitą tkaniną o barwie kardynalskiej purpury.

Poprawiła włosy i przesunęła nieco wyżej przypiętą tuż pod dekoltem broszkę z ogromnym szafirem.

Coś musiało zatrzymać jej chińskiego kochanka.

Czyżby na przykład jakieś nowe wieści z Londynu?

Może pojawi się za chwilę i powie jej, że ta niepotrzebnie przewlekająca się sprawa została wreszcie ostatecznie zamknięta i Rollo Bellamy nie żyje?

Gdy Dominique dowiedziała się, że Rollo nagle został przetransportowany do Londynu, i to odrzutowcem Chandler Corporation, była nie tylko zszokowana, ale naprawdę wściekła, choć oczywiście postarała się, by jej mąż niczego nie zauważył.

Nie za często go zresztą widywała ostatnio, a i wtedy nie było mowy, żeby mogła się nim cieszyć, jak dawniej.

- Mam naprawdę pilne rzeczy do zrobienia - odpowiedział jej, gdy spróbowała się uskarżać, że niedostatecznie się nią zajmuje.

- Jakie pilne rzeczy?

Takie na przykład, jak wysyłanie Rolla Bellamyego do Londynu specjalnym samolotem, jak jakiegoś VIP-a?

- Twoja siostra chciała, żeby Rollo wrócił do domu.

Zwłaszcza że sama też ma dużo roboty, i to niekoniecznie w Hongkongu.

- Oczywiście, pracowita jak pszczołka - syknęła jadowicie Dominique.

- O ile wiem, ty sama też zdołałaś zebrać już sporo miodu - odpowiedział sarkastycznie Blaise i na tym skończyła się ich rozmowa.

Teraz, chodząc tam i z powrotem po pokoju, przypominała sobie słowa Blaisea i ich zaskakująco ostry ton.

Podeszła do nie używanego o tej porze roku kominka, którego wnętrze wypełniała teraz kunsztowna kompozycja kolorowych liści.

Jej długie, szkarłatne paznokcie niecierpliwie stuknęły w wypolerowaną powierzchnię biegnącej nad kominkiem marmurowej półki.

Machinalnie poprawiła ustawienie dwóch wykonanych z nefrytu bliźniaczych figurek Buddy po obu stronach półki, a potem znów zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem.

Przechodząc obok pełnej tacy, stojącej na pięknym stoliku z czerwonej i czarnej laki, raz po raz sięgała w zamyśleniu po kolejną kanapkę.

Potem podeszła do okna i rozsunęła miękkie półprzezroczyste zasłony z gęstego tiulu, by móc patrzeć na światła rozpościerającego się niżej Hongkongu.

Jej drobne stopy w białych aksamitnych pantofelkach na wysokim obcasie coraz częściej i coraz bardziej niecierpliwie stuknęły w podłogę, wąskie palce nerwowo dotykały cienkiej tkaniny sukni, również białej, bardzo obcisłej i przylegającej do ciała, z szerokimi rękawami zakończonymi puszystymi mankietami z piór marabuta.

Pod tą suknią Dominique była całkowicie naga.

Nienawidziła takich sytuacji, kiedy musiała czekać.

Kolejny raz jej palce przesunęły się po grubym sznurze pereł i szafirów, który oplatał jej szyję, i odruchowo zacisnęły go jeszcze mocniej.

Gdzie jest ten Cza Li i dlaczego się spóźnia?

To nie było do niego podobne.

Dotychczas zawsze pojawiał się o umówionej godzinie, albo nawet wcześniej.

Nie spóźnił się nigdy, od czasu kiedy się poznali.

Spotkała go przed dwoma laty, przy okazji jakiejś organizowanej w Desparda Hongkong sprzedaży, na której kupił kosztowny i bardzo piękny biały dzban Kuanlong.

Patrzył na nią uporczywie i zuchwale - zbyt zuchwale jak na Chińczyka - a jego ciemne, prawie czarne oczy zdawały się bez trudu czytać jej myśli.

Dominique natychmiast zdała sobie sprawę, że oto napotkała kogoś wyjątkowego i równie zmysłowego, jak ona sama.

Zaprosiła go do swego gabinetu, aby szklaneczką szampana oblać tak wyjątkowy zakup - i od tego się to zaczęło.

Czao Li był ledwie drugim człowiekiem w jej życiu, którym nie mogła zawładnąć do końca i bez reszty; parokrotnie sądziła, że już jej się to udało, za każdym razem okazywało się, że jednak nie.

I właśnie ta jego zdolność miała miano absolutnej niezależności - nie mówiąc już o nieprawdopodobnie wyrażanej technice seksualnej, połączonej z niewyczerpanymi wręcz siłami - sprawiał to, że po dwóch latach wciąż potrafił ją przy sobie przytrzymać.

Ale teraz już zaczynała mieć tego dość.

Ona, Dominique du Vivier, która uważała się za mistrzynię, jeżeli chodziło o rozgryzanie i podporządkowywanie sobie mężczyzn, naraz miałyby się znaleźć w upokarzającej sytuacji goniącej za nimi.

Nagle usłyszała skrzypnięcie podłogi i odwróciła się gwałtownie.

Czao Li stał na progu, pod łukowatym sklepieniem prowadzącym do przedpokoju.

- No, wreszcie...

- zaczęła, zamierzając skarcić go prawdziwie po królewsku, jednak niemal w tej samej chwili zamilkła, ponieważ nagle zdała sobie sprawę, że Czao Li wygląda tym razem zupełnie inaczej niż zwykle.

Zamiast eleganckiego, europejskiego ubrania, w którym dotąd zawsze się u niej pojawiał, miał na sobie tradycyjną chińską szatę w kolorze głębokiego szkarłatu.

Zupełnie niespodziewanie cały jego wygląd i zachowanie stały się odmienne, zupełnie nie europejskie.

Nawet ukłon, który jej złożył, był ukłonem Azjaty.

Chińczyka.

- Madame!

Łaskawa pani...

A co znów ma znaczyć, ta "łaskawa pani"?

Czekam tu na ciebie przeszło godzinę.

Gdzieś ty się podziewał i czemu przychodzisz tak późno?

Czy przynajmniej masz dla mnie jakieś wiadomości?

Stało się coś?

- Stało się, z całą pewnością.

Powiedział to tonem, który ją zaniepokoił.

Z jakąś niewzruszoną stanowczością, która - w stosunku do niej - była czymś zupełnie nowym.

Dominique mimo woli zmarszczyła brwi.

- No więc?

- ponagliła go niecierpliwie.

Proszę usiąść - powiedział.

Zabrzmiało to nie jak prośba, lecz jak rozkaz.

-Mamy parę rzeczy do omówienia.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Co się, u diabła, z tobą dzieje?

Oczywiście, że mamy parę rzeczy do omówienia.

Na przykład dlaczego - wbrew twoim zapowiedziom - Rollo Bellamy wciąż jeszcze żyje?

I jeszcze parę innych faktów nie bez znaczenia...

- Fakty, z którymi zamierzam panią zapoznać, nie są jej dotąd znane - oświadczył niewzruszonym tonem Cza Li.

Dominique popatrzyła na niego z jeszcze większym zdumieniem.

- Jakie znów fakty?

- zapytała.

Cza Li nie odpowiedział jej od razu, a tylko spojrzął na nią swymi ciemnymi oczami, które zdawały się nie mieć w ogóle żadnego wyrazu.

A jednak Dominique odniosła wrażenie, że jakaś niewidzialna ręka oparła się o jej pierś i pchnęła ją z nieodpartą siłą.

Całkowicie bezwolna cofnęła się do wielkiego fotela, obitego tą samą tkaniną co kanapa, i siadła bez słowa.

Biały atlas jej sukni jaskrawo kontrastował ze szkarłatem obicia.

Dominique zewnętrznie wciąż jeszcze wydawała się zachowywać spokój, ale instynkt mówił jej co innego: coś się stało.

I to coś, co całkowicie zmieniało sytuację.

Teraz więc musiała spać się tak, jak spina się śmiertelnie zagrożone zwierzę.

I zmobilizować wszystkie siły, żeby wyjść z tego cało.

Przede wszystkim należało się postarać, żeby Cza Li nie dostrzegł w niej żadnego przejawu lęku czy choćby zaniepokojenia.

Dominique sięgnęła po swą srebrną papierośnicę, a następnie po zapalniczkę.

Zapaliła wyjętego papierosa i wypuściła kłąb dymu prosto na Cza Li.

- No więc?

- Teraz to w jej pytaniu był rozkaz.

- Przyszedłem tu wyłącznie po to, żeby powiedzieć, co pani będzie robić w przyszłości.

Dominique popatrzyła na niego i uniosła brwi z uprzejmym zdziwieniem.

- Ty chcesz mi powiedzieć, co ja będę robić w przyszłości?

Ależ to śmieszne!

Cza Li ani na moment nie zmienił tonu.

- Przyszedłem, żeby powiedzieć, że wszystko się zmieniło, i to wcześniej, niż to przewidywaliśmy.

Z tego wynika, że musimy nasze plany zrealizować tak szybko, jak to tylko możliwe.

- O jakich planach ty mówisz?

Wiesz bardzo dobrze, że nie ma mowy o żadnej podobnej aukcji co najmniej przez pół roku.

- Ja nie mam na myśli aukcji, madame.

- Więc o czym w ogóle mówimy?

- Jeśli pani wreszcie zacznie się zachowywać tak, jak przystało kobiecie, wytłumaczę to pani.

Dominique znów miała wrażenie, że ją odepchnął, poczuła to prawie fizycznie.

Jak w ogóle może do niej mówić takim tonem?

I jeszcze ma czelność pouczać ją, by zachowywała się jak kobieta.

Tak jakby nie uczył jej tego już setki razy, w jej sypialni...

- Mam dla pani polecenia, które pani wykona.

Pozwoliła sobie na ironiczny uśmieszek.

- Ty masz polecenia dla mnie?

- Nauczy się ich pani na pamięć - mówił dalej Cza Li, jak gdyby Dominique w ogóle się nie odezwała.

- Po pierwsze: zmieni pani firmę, której zleca pani pakowanie i wysyłkę przedmiotów przeznaczonych na eksport.

Odtąd będzie to wyłącznie firma, która nazywa się Grupa Kwitnącej Wiśni - Eksport-Import.

Ci ludzie mają wieloletnie doświadczenie w pakowaniu, spedycji i transporcie wszelkiego rodzaju artystycznych przedmiotów i dzieł sztuki.

Odbierają przeznaczone do wysyłki przedmioty, pakują w sposób zabezpieczający przed uszkodzeniem, ładują do skrzyń bądź kontenerów, wysyłają na lotnisko lub do portu i zajmują się wszystkim łącznie z wypełnianiem formularzy eksportowych i celnych.

Odtąd ards Hongkong będzie to zlecał wyłącznie Grupie Kwitnącej Wiśni.

Nie mam najmniejszego zamiaru zlecać im czegokolwiek!

Jak śmiesz mnie pouczać jak mam prowadzić moje własne przedsiębiorstwo?

Jestem bardzo zadowolona z firmy, która dotychczas wykonywała dla mnie pakowanie i wysyłkę, a tej twojej Grupy Kwitnącej Wiśni w ogóle nie znam.

Nie ma potrzeby, żeby ją pani знаła.

Pani obowiązkiem jest robić to, co my pani powiemy.

Dominique już otworzyła usta, żeby jeszcze gwałtowniej zaprotestować, ale znowu poczuła to samo obezwładniające uderzenie jakiejś emanującej z niego straszliwej siły.

Miała wrażenie, że głos nagle uwiązał jej w gardle.

Nie potrafiła wykszusić nawet słowa, nie była w stanie się ruszyć, i mogła już tylko patrzeć na niego szeroko otwartymi oczami.

Od tej chwili, madame, nie ma pani już prawa głosu w tej sprawie, czy w ogóle w jakiegokolwiek sprawie, którą zechcemy się zająć.

Pani po prostu będzie robić to, co jej każemy.

Dominique miała uczucie, że jest wręcz przygwożdżona do fotela.

Te oczy zdawały się wysyłać w jej stronę jakieś potężne promieniowanie, przed którym jej organizm nie potrafił się bronić.

Ale wciąż pozostawała jeszcze jej wola, jej siła ducha.

- Nie możecie mi nic dyktować, bo źle na tym wyjdziecie - powiedziała.

-Wiem zbyt wiele.

Przez moment miała wrażenie, że na jego nieprzeniknionej i nagle tak bardzo chińskiej twarzy pojawił się cień drwiącego uśmiechu.

- Pani się myli, madame.

Pani nie wie nic.

Dominique poczuła, że przenika ją lodowaty dreszcz.

To w ogóle nie był ten Cza Li, którego dotąd znała.

Teraz to był zupełnie ktoś inny - w jego chłodnym tonie pobrzmiwało poczucie pogardliwej wyższości, to samo można było dostrzec w jego spojrzeniu.

Patrzył na nią tak, jak gdyby była jego służką.

Jak gdyby stała się niewolnicą, jeńcem wojennym, z którym można zrobić, co się tylko zechce.

- Ty też siedzisz w tym wszystkim po uszy, tak samo jak ja - powiedziała, usiłując zachować chłodny spokój.

Nie, madame.

My jedynie wykopaliśmy odpowiednio głęboką pułapkę.

Ale to tylko pani w nią wpadła i nie może się już wydostać.

Dominique nagle poczuła, że dostaje gęsiej skórki.

To było prawdziwe niebezpieczeństwo, z jakim nie zetknęła się dotąd jeszcze nigdy w życiu.

Trochę alkoholu, pomyślała.

Muszę wypić trochę alkoholu.

Ale jednocześnie wiedziała, że nie wolno jej zdradzić się, nie wolno pokazać, że ogarnia ją lęk.

" To przecież pani, madame - mówił dalej Cza Li - na oczach tysięcy świadków sprzedawała rzekome dzieła dawnej sztuki, które w rzeczywistości były tylko bardzo zręcznie wykonanymi falsyfikatami.

W dodatku sprzedawała je pani po wręcz niesłychanych cenach.

Tylko pani jest z tym w oczywisty sposób związana, ponieważ wytwórnia, która te falsyfikaty produkowała, już nie istnieje.

Człowiek, który je wytwarzał, wyjechał.

Ja tego nie sprzedawałem i o niczym nie wiem.

Nie ma pani żadnych pokwitowań na papierze, żadnych dokumentów - nie ma pani niczego, co mogłoby mnie wiązać z tym gigantycznym oszustwem, którego się pani dopuściła.

Rzekomy właściciel, "milioner z Hongkongu, który pragnie zachować anonimowość", został wymyślony przez panią, całość aukcji przygotowała wyłącznie pani.

I to pani poświadczala autentyczność tych falsyfikatów, sprzedawanych jako autentyki, to pani osobista renoma jako eksperta światowej klasy spowodowała, że ludzie zdecydowali się to kupić.

Pani jest tu jedyną osobą, która świadomie i z rozmysłem oszukiwała klientów, wprowadzała ich w błąd i zagarniała zyski.

Mnie nie jest pani w stanie udowodnić niczego, podobnie jak moim współnikom.

Natomiast my możemy panią oskarżyć w każdej chwili.

Jestem tu szanowanym i cenionym kupcem, zajmującym się handlem dziełami dawnej sztuki i sam przecież kupiłem parę rzeczy na tej aukcji.

Wystarczy więc, żebym polecił zbadać je metodą termoluminescencyjną".

Dominique, która zawsze była mistrzynią manipulacji, zdała sobie wreszcie sprawę, że tym razem sama stała się jej obiektem.

Niestety, uświadomiła to sobie zbyt późno.

Była zbyt pewna siebie, nieświadoma, że idzie po krawędzi przepaści.

I w rezultacie znalazła się w śmiertelnej pułapce, do której doprowadziła ją jej własna chciwość!

Wciąż starała się trzymać w ryzach, choć wściekłość w niej dosłownie kipiała.

- Kim wy naprawdę jesteście?

- zapytała w końcu, gdy wreszcie udało się jej zapanować nad sobą na tyle, by jej głos brzmiał w miarę spokojnie.

- Dla pani wciąż jestem Cza Li - miejscowy kupiec, zajmujący się handlem dziełami dawnej sztuki.

Dla tych, którzy naprawdę się liczą, jestem kimś zupełnie innym.

Ponieważ jednak nie może już pani nic zrobić, nie widzę przeszkód, żeby to pani ujawnić.

Jestem Wielkim Bratem w 7K, czyli - użyję nazwy powszechnie znanej - w Triadzie Złotego Smoka.

Po raz pierwszy Cza Li pozwolił sobie na ledwo zauważalny, chłodny uśmiech.

- Sądzę, że ta nazwa coś pani mówi.

Dominique nic nie odpowiedziała, ale w jej świadomości to jedno słowo wybuchło jaskrawym płomieniem.

Triady!

Oczywiście, triady!

- Tak więc musi sobie pani zdać sprawę, że nie ma wyjścia.

Należy pani do nas i odtąd będzie pani wykonywać nasze polecenia.

Wydawało się, że nawet wspaniała uroda Dominique nagle zszarzała i zbladła, gdy do jej świadomości dotarły wreszcie wszystkie konsekwencje tego, co przed chwilą usłyszała, gdy zdała sobie sprawę, jak beznadziejnie jest już wplątana w te sieci, które Cza Li tak zręcznie zastawił.

To ona ostatecznie została oszukana, a te falsyfikaty były tylko przynętą na haku, którym mafia zamierzała złapać grubszą rybę.

Ona sama okazała się ledwie drobnym trybikiem wielkiej maszyny, małą cząstką wielkiego planu.

Dominique ogarnęła nagle taka wściekłość, że przez chwilę nic nie widziała - miała wrażenie, że wzburzona gniewem krew zalewa jej oczy.

To, że dała się tak kompletnie oszukać, było upokorzeniem wręcz nie do zniesienia.

A ona kochała się z tym człowiekiem, z własnej woli dawała mu swe ciało i w dodatku - co teraz wydawało się najstraszniejsze - służyła mu!

A tymczasem dla niego to wszystko było tylko środkiem do bardzo słonego celu.

Dominique poczuła taką nienawiść, że gdyby tylko miała jakąś broń pod ręką, z pewnością zabiłaby go na miejscu.

Tak więc chyba już rozumie pani, madame, że będzie pani musiała wykonywać moje rozkazy.

- Podniósł dłoń, ukrytą dotąd w fałdach szerokiego szkarłatnego rękawa i lekko pstryknął palcami.

W tej samej chwili na progu pojawiło się dwóch roślących Chińczyków, którzy na jego skinienie ustawili się tuż za oparciem fotela Dominique.

Czao Li powiedział coś w dialekcie kantońskim, a mężczyźni natychmiast pochylili się i chwycili ją za nadgarstki i ramiona, unieruchamiając ją całkowicie i czyniąc z niej już zupełnie bezbronny więźnia.

- Lepiej nie rób niczego, czego potem mógłbyś żałować - powiedziała Dominique, rozpaczliwie starając się, by w jej głosie wciąż brzmiała dawna chłodna arogancja.

- Nigdy nie żałujemy niczego, madame.

- Czao Li skinął na jeszcze jednego ubranego w chiński strój mężczyznę, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Ten zbliżył się do stolika, przy którym ustawiony był fotel Dominique, i postawił na czerwonym blacie z laki niewielkie czarne pudełko.

Wewnątrz pudełka znajdowała się strzykawka z założoną już igłą i mała pękata buteleczka.

Dominique patrzyła na to wszystko, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

Z trudem łapała oddech.

Czao Li znów powiedział coś po chińsku, a wykonujący jego polecenia mężczyzna sięgnął po buteleczkę.

- Czysta, stuprocentowa heroina, madame.

Wystarczy porcja mniejsza niż ziarenko ryżu i pani będzie martwa.

Tak więc w swoim własnym interesie proszę nas nie prowokować, żebyśmy nie musieli pani tego wstrzyknąć.

Dominique tylko z najwyższym trudem zdołała przełknąć ślinę.

Czao Li znów coś powiedział i mężczyzna ze strzykawką natychmiast odłożył ją z powrotem do pudełka; zabrał je ze sobą i bez słowa wyszedł.

Następny rozkaz sprawił, że dwaj pozostali mężczyźni uwolnili z żelaznego uścisku zdrętwiałe już ramiona Dominique i podobnie bezgłośnie znikli za drzwiami.

- To powinno panią przekonać, madame, iż w żadnym wypadku nie żartujemy - powiedział Czao Li, kiedy już znów byli sami.

- Ale nic się pani nie stanie, póki będzie pani robić dokładnie to, co pani każemy.

Czy pani mnie zrozumiała?

Otępiąta Dominique zdołała tylko skinąć potakująco głową.

- Doskonale.

Dalsze instrukcje otrzyma pani od nas w odpowiednim czasie.

- Czao Li skłonił się chłodno i bardzo formalnie; tak, jak to zwykli czynić Chińczycy, okazując zdawkową uprzejmość pogardzanym gweilo, czyli cudzoziemcom.

Potem i on zniknął bez słowa.

Dominique miała wrażenie, że fotel, na którym wciąż siedziała, z jakiegoś powodu drży coraz mocniej.

Dopiero po dobrej chwili zdała sobie sprawę, że to drżenie brało się z konwulsyjnego rozdygotania jej własnego ciała.

Trząsł się już nie tylko jej fotel, ale i stojący obok stolik z ozdobną lampą i nefrytową popielniczką, które melodyjnie podzwaniały, delikatnie potrącając o siebie.

Popatrzyła na swe odbicie w lustrze i nagle kurczowo objęła się własnymi ramionami, jak gdyby ponieważ starła się nimi osłonić.

Potem pochyliła się do przodu, skulona w pół, jakby od nieznośnego bólu albo krańcowego zimna.

W końcu jakoś zmusiła się do wstania z fotela i chwiejnym krokiem podeszła do podręcznego barku.

Ręce wciąż tak jej drżały, że większość whisky rozlała na podłogę, ale w końcu w szklance pozostało tyle, ile potrzebowała.

Wypiła to prawie jednym haustem, do dna.

W rezultacie łzy zakręciły się jej w oczach i przez moment nie była w stanie złapać tchu, ale już po chwili błogosławione ciepło powoli zaczęło rozplýwać się od żołądka, ogrzewając całe ciało, które wydawało się zlodowaciałe.

Dominique naląa sobie jeszcze jedną porcję, którą również wypiła jednym haustem.

Potem wolnym krokiem podeszła do najbliższego fotela, zapadła się w nim i znieruchomiła.

Siedziała tak chyba bardzo długo, ciągle jeszcze zeszywniała, ze wzrokiem utkwionym martwo w jeden punkt.

Dopiero kiedy usłyszała czyjś głos, natarczywie powtarzający jej imię, podniosła wreszcie wzrok i zobaczyła swego kamerdynera Czanga, który przyglądał się jej z wyraźnym niepokojem.

- Czego chcesz?

- spytała gniewnie.

Kamerdyner powtórzył pytanie, które zadawał jej już kilka razy: czy pani życzy sobie zjeść kolację w domu?

- Nie, nie życzę sobie żadnej kolacji.

Nie życzę sobie niczego, czy to jest jasne?

Chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju!

Zrozumiałeś?

I żeby mi nie przeszkadzano pod żadnym pozorem!

Nie ma mnie dziś dla nikogo!

- Jej podniesiony głos był bliski krzyku, a w oczach nietrudno było dostrzec lęk.

Czang wycofał się pośpiesznie.

Wiedział, że będzie miał bardzo dużo do opowiedzenia swemu dalekiemu kuzynowi.

Ten kuzyn nazywał się Benny Fong.

Tymczasem w głównej sali aukcyjnej Despards London ustawione z matematyczną dokładnością rzędy pozłacanych foteli już oczekiwały na trzysta osób, które mniej więcej za pół godziny miały wziąć udział w rozpoczynającej się aukcji klejnotów, zgromadzonych przez zmarłą niedawno Cornelię Fentriss Gardner.

Sprawdzano jeszcze podłączenie mikrofonów i telewizyjnych kamer do wewnętrznych obwodów fonii i wizji, które miały zapewnić stałą łączność głównej sali z dwoma salami dodatkowymi.

Sprzedaż miała się odbywać we wszystkich trzech, toteż połączenia musiały być absolutnie niezawodne, a dźwięk wyraźny i krystalicznie czysty.

Wszędzie kręcili się ludzie z ochrony, których było tylu, że wypadła jeden strażnik na jednego klienta.

Jednak klientom trudno byłoby ich zauważyć, ponieważ na tej aukcji wszyscy strażnicy występowali w nienagannych garniturach wieczorowych.

Tymczasem w różnych miejscach sali pochyleni nad wydrukowanymi katalogami szefowie poszczególnych działów półgłosem przeprowadzali ostatnie narady ze swymi najbliższymi asystentami i ludźmi z personelu pomocniczego.

Na zapleczu najroślejsi i najbardziej doświadczeni ze strażników - tutaj już jawnie uzbrojeni i w służbowych uniformach - pilnowali ustawionych tam przenośnych kas pancernych, w których złożone były przeznaczone na sprzedaż klejnoty.

W największym pomieszczeniu biurowym, które po usunięciu szaf, i innego niepotrzebnego sprzętu zostało zarekwirowane dla potrzeb aukcji i przerobione na podręczną przebieralnię, pół tuzina pięknych modelek dokonywało ostatniej korekty makijażu i włosów.

Tymczasem na dole portier w swym imponującym uniformie już podbiegał, by otworzyć drzwi pierwszego samochodu, który pojawił się na podjeździe.

Dwaj strażnicy, którzy przez cały tydzień bardzo pracowicie przeglądali setki fotografii, uczyli się na pamięć wyglądu zaproszonych osób, teraz bardzo uważnie sprawdzali wytwornie rytowane zaproszenia i kierowali przybyłych do przejścia, prowadzącego obok ukrytej ultraczulej kamery, która prześwietlała ich dawką promieni X, mikroskopijną i absolutnie nieszkodliwą, ale wystarczającą w zupełności do wykrycia jakiegokolwiek wnoszonej broni.

Potem goście byli kierowani do hallu i na główne schody.

Na piętrze witały ich uśmiechnięte asystentki, a ponieważ było jeszcze dość czasu, zapraszano ich do bocznej galerii i częstowano szampanem.

W miarę jak pomieszczenie się zapełniało, robiło się tam coraz gwarniej.

Wchodzili nowi goście, mężczyźni witali się podaniem ręki, kobiety muskały się policzkami, zewsząd słyszało się okrzyki w rodzaju: "Och, kochanie, jak miło cię spotkać"!

"Już całe wieki was nie widzieliśmy".

Na zapleczu, w pobliżu wyjścia prowadzącego na podium, Kate Despard wraz ze stojącą tuż obok Charlotte słuchały ostatnich zaleceń Davida Holmesa.

- ...kolejne podwyższenia - mówił David.

- I niech pani ogłasza je wszystkie, każdą kolejną ofertę, niezależnie od tego, czy przychodzi z sali, czy też jest zgłaszana przez telefon.

Ludzie lubią wiedzieć, z czym walczą.

Kate posłusznie skinęła głową.

Czuła się rozpaczliwie roztrzęsiona, wręcz rozbita ze zdenerwowania.

W końcu to była jej pierwsza naprawdę duża aukcja.

Początkowo w ogóle była zdania, że swe tak długo ćwiczone i doszlifowywane umiejętności prowadzenia naprawdę wielkiej sprzedaży powinna publicznie pokazać dopiero przy okazji aukcji Courtland Park.

Jednak potem okazało się, że Straker nagle rozchorował się na żółtaczkę i to właśnie on nalegał, żeby Kate go zastąpiła.

To naprawdę konieczne - tłumaczył jej przez telefon.

- Ludzie muszą widzieć, że firma Desparda rzeczywiście uważa tę aukcję za pierwszoplanową i deleguje do niej swoich najlepszych.

A ponieważ ja akurat jestem hors de combat, musi to poprowadzić pani.

- Ale jest przecież David...

albo na przykład Roger Maitland.

- Są bardzo dobrzy, ale do czegoś takiego jak sprzedaż kolekcji Corneli Fentris to już nie wystarczy.

Proszę zrozumieć, to przecież największa aukcja ze wszystkich, które dotąd mieliśmy w tym roku.

Nasi klienci muszą widzieć, że na taką okazję kierujemy najlepszymi.

A to oznacza, że jednak musi to poprowadzić pani.

- Jest pan pewien, że właśnie ja?

- Jestem pewien.

Poprowadziła pani już wystarczająco dużo aukcji próbnych i zainscenizowanych, no i co najmniej kilkanaście prawdziwych.

- Ale to były drobne aukcje.

- Od tego powinien zaczynać każdy, kto się uczy.

A pani uczyła się pilnie i ze znakomitym skutkiem.

No więc teraz najwyższa pora na pani debiut w naprawdę wielkiej sprzedaży.

- Hughes nie tylko starał się dodać jej otuchy, ale najwyraźniej rzeczywiście w nią wierzył.

- To będzie doskonale przetarcie przed naszą największą aukcją, Courtland Park.

A poza tym - to przecież przede wszystkim od pani pochodzą te wszystkie rewolucyjne pomysły, dotyczące zupełnie nowej formuły prezentacji i sprzedaży klejnotów.

A skoro to pani jest ich autorką, wydaje się jak najbardziej słuszne, by pani to również poprowadziła.

- Dobrze więc.

Zrobię to, ale tylko dlatego, że pan tak uważa...

- powiedziała w końcu.

W tym względzie ufała mu bez zastrzeżeń, dobrze byłoby jednak, żeby i on mógł mieć do niej równie pełne zaufanie.

- Jeżeli pan jest tego pewny...

- Jestem całkowicie pewny.

Oczywiście postaram się jeszcze przeprowadzić z panią przynajmniej kilka prób.

Mam nadzieję, że będę w stanie to zrobić.

Najlepiej proszę przyjechać zaraz.

Tak więc Kate jeszcze tego samego dnia pojechała do domu Strakerów.

Drzwi otworzyła Angela, żona Hughesa.

Podala jej rękę i powiedziała tonem pełnym rezygnacji: - Naprawdę zaczynam myśleć, że to, czy mój mąż w końcu wyzdrowieje, czy nie, zależy przede wszystkim od rezultatów tej aukcji.

Kate pilnie studiowała katalog, strona po stronie, i w końcu знаła go już tak dobrze, że mogłaby całe strony cytować z pamięci.

Ćwiczyła też z wyjętymi z kasy panczernej poszczególnymi klejnotami, zapoznawała się z nimi, nawet przymierzała, starając się dostrzec każdy szczegół, świadczący o mistrzostwie wykonania, oglądała kolor i blask poszczególnych rzeczywiście wspaniałych kamieni.

Sama jednak nie czuła się tym poruszona.

Drogie kamienie nie budziły w niej tego prawdziwego zainteresowania, tej iskierki, która tak łatwo przekształcała się w płomień prawdziwego entuzjazmu, gdy chodziło o ukochaną przez nią porcelanę.

Drogie kamienie, jej zdaniem, były zawsze zimne.

Włożyła jednak wiele trudu w opracowanie najodpowiedniejszej koncepcji ich prezentacji; w tej sprawie Charlotte, z jej wrodzonym smakiem i wyczuciem teatralnego efektu, okazała się wręcz nieoceniona.

Właśnie to ona załatwiła wypożyczenie najodpowiedniejszych strojów z różnych ich domów mody, i to wyłącznie za zamieszczenie o tym wzmianki w białym katalogu, wydanym z tej okazji przez Desparda.

Również to ona i modelki, wyszukując te, których styl, a także kolor oczu i włosów najlepiej miał służyć odpowiedniej prezentacji kamieni.

Pulpit dla prowadzącej aukcję Kate ustawiono na tle kotary z czarnego aksamitu.

Dzięki temu tym wyraźniej odznaczały się kolory sukni i makijażu modelek, a zwłaszcza blask cennych kamieni, dodatkowo specjalnie podświetlonych przez punktowe reflektory, sterowane przez jeszcze jednego przyjaciela Charlotte - jednego z najlepszych oświetleniowców londyńskich teatrów.

Sama Kate również miała wystąpić na czarno.

"Przede wszystkim dlatego, że nie jestem na sprzedaż" - żartowała.

Bardzo prosta, lecz pełna wyrazu długa suknia z czarnego, pasującego do tła aksamitu, obcisła w talii, a u dołu zebrana w fałdy, przypominające rybi ogon.

Kate nie miała na sobie żadnej biżuterii, wyjąwszy dwie drobne perły w kształcie kropli, zwisające z jej uszu.

Dla niej to była aukcja decydująca o jej przyszłości: wóz albo przewóz.

Na prawdę miała świadomość, że zarówno Hugh, jak i David wierzą w nią i są pewni jej sukcesu.

Również bardzo ciepłe i pełne zachęty słowa Charlotte bardzo jej pomogły w opanowaniu zdenerwowania i odzyskaniu równowagi.

Wciąż żałowała, że nie było tu Rolla, który swym ostrym językiem i ciętymi uwagami na swój sposób zawsze jej dodawał ducha.

Jej pomocnik ruszył już w stronę wyjścia ałę, po drodze mówiąc jej półgłosem: "Życzę szczęścia, panno Despard"!

Po chwili był już na swoim miejscu, tuż poniżej jej pulpitu, a z zawieszonych na zapleczu głośników dał się słyszeć sygnał, że wszystkie miejsca na widowni są już zajęte.

Kate zrobiła jeszcze głęboki wdech, po czym ruszyła w stronę drzwi, za którymi już czekała na nią publiczność - jej goście, którzy mieli też być jej sędziami.

Da sobie radę?

- zapytała Charlotte, zwracając się do patrzącego w ślad za Kate Davida Holmesa.

- Na pewno.

Jest przygotowana najlepiej jak można.

Dalsze ćwiczenia już nie wniosłyby nic, podobnie jak zwiększanie wysiłku.

Kate umie już tyle, ile trzeba, ostatnią prawdziwą przeszkodą jest już tylko obraz jej siostry, jej renoma niezwykłej i niedościgłej dla niej rywalki.

Jeżeli potrafi sobie z tym poradzić, to już nic jej nie zatrzyma.

Kate wolno pokonywała trzy niewysokie stopnie, wiodące na podest dla prowadzącej, a uśmiech na jej ustach był jeszcze trochę sztywny.

Przez moment widownia zdała się jej wielką czarną dziurą, potem zaczęła rozróżniać szczegóły - białe koszule ubranych w wieczorowe stroje panów, iskrzące błyski drogich kamieni biżuterii siedzących obok nich dam, prawdopodobnie przekonanych, że własne klejnoty dadzą im pewności siebie podczas aukcji.

Kate jeszcze raz odetchnęła głęboko i rozpoczęła: - Dobry wieczór, panie i panowie.

Miło mi powitać was w firmie Desparda na wielkiej aukcji klejnotów zgromadzonych na przestrzeni wielu lat przez Cornelię Fentris Gardner.

Klejnotów prawdziwie bajecznych.

Ci, którzy zdążyli zajrzeć do dostarczonych przez nas katalogów, mogli się już upewnić, że nie opowiadam tu bajek...

Dyskretny śmiech, którym widownia odpowiedziała na te pierwsze słowa, dodał jej ducha i pozwolił się w znacznym stopniu odprężyć.

- Pragnę podkreślić, że jest to największa i najcenniejsza kolekcja biżuterii, jaką firma Desparda miała zaszczyt wystawić do sprzedaży kiedykolwiek, w całej swej długiej historii.

A dla mnie jest to również przeżycie największe i najbardziej znaczące, jako że jest to mój swoisty chrzest - prawdziwa próba ognia.

Ognia państwa życzliwości, który, ufam, buchnie tu blaskiem co najmniej równym blaskowi zebranych tu wspaniałych kamieni...

Tym razem dały się słyszeć odgłosy rozbawienia i gromkie brawa, a Kate niemal fizycznie poczuła płynącą ku niej od widowni falę życzliwego ciepła.

Dyskretnie nacisnęła przycisk sygnalizacji, ukryty w podłodze tuż obok jej lewej stopy.

- Pierwszy wystawiany przez nas na sprzedaż obiekt, to niezwykle oryginalna brosza w kształcie rajskiego ptaka.

Proszę zwrócić uwagę na korpus, którym jest pojedynczy, szlifowany półkuliście kaboszon - szafir o wadze 63,4 karata; z kolei skrzydła i ogon wykonane zostały z drobniejszych kamieni, wśród których oprócz szafirów są też brylanty, rubiny, szmaragdy, topazy i turkusy.

Obok pulpitu Kate pojawiła się pierwsza modelka w zwodniczo prostej, wykonanej z białej krepy długiej sukni, całkowicie odsłaniającej jedno ramię.

Prezentowana brosza była przymocowana wysoko, właśnie do tego jedyne ramię, i rzucała wokół olśniewające błyski, oświetlana punktowymi reflektorami, fachowo prowadzonymi przez przyjaciela Charlotte.

Powoli, z doskonałym wyczuciem teatralnego efektu, modelka zaczęła iść po podeście w jedną, a następnie w drugą stronę, obracając się ku widowni.

Kate ze swego miejsca mogła usłyszeć, jak niemal cała sala jednocześnie wciąga powietrze i pozostaje na głębokim wdechu, a także widzieć, jak ludzie obracają się za idącą, pochylając się w jej stronę, żeby zobaczyć jak najwięcej.

Modelka zatrzymywała się co parę kroków, by umożliwić dokładniejsze przyjrzenie się wszystkiemu.

Drobniejsze kamienie rzucały chłodne kolorowe iskry, a ogromny centralny szafir jarzył się ciepłym blaskiem, w którym - zdawałoby się - zawarta była jakaś niebiańska obietnica.

Kate rozmyślnie przedłużała czas prezentacji, świadoma, że to zwiększa napięcie na widowni, a równocześnie daje czas na podjęcie decyzji: trzeba oto przywdziać bitewną zbroję i ruszać do walki.

Wreszcie modelka ustawiła się na podeście tuż pod pulpitem Kate, tak by przez cały czas migotliwe blaski, rzucane przez kamienie przy nawet najdrobniejszym ruchu, były dla widowni milczącym wyzwaniem i pokusą.

Kate zmobilizowała się i rozpoczęła licytację, z profesjonalną stanowczością i pewnością siebie, której w tym momencie wcale nie czuła.

zatem, panie i panowie, zaczniemy od ceny wywoławczej: sto tysięcy i od startu poszło już bardzo szybko.

Sto dziesięć tysięcy, sto dwadzieścia...

sto trzydzieści...

sto czterdzieści...

Oczy Kate musiały być jednocześnie niemal wszędzie, by natychmiast dostrzec podnoszone tabliczki z numerami.

Należało zapamiętać kto podnosi swoją tabliczkę najczęściej i najprawdopodobniej pozostanie w wyścigu, gdy stawki znacznie pójną w górę.

Sto pięćdziesiąt tysięcy...

sto sześćdziesiąt...

sto siedemdziesiąt...

i sto osiemdziesiąt...

- Mówiła to błyskawicznie, niemal na jednym oddechu, właściwie bez przerwy.

Licytujący w skupionym milczeniu walczyli o zdobycie tego fantastycznego ptaka z klejnotów.

Dwieście tysięcy - oznajmiła Kate i usłyszała, jak ktoś na sali z sykiem wciągnął powietrze.

- Dwieście dziesięć tysięcy...

dwieście dwadzieścia...

dwieście trzydzieści...

- Głos Kate był spokojny, zabiegający o sympatię sali, ale też pełen gotowej otwartości.

A tabliczki przez cały czas szły w górę, z jednakową regularnością.

- Mamy dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów...

- Kate po raz pierwszy wskazała dyskretnie, z którego miejsca na sali padła oferta.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy, Obok przejścia z lewej strony...

W jej głosie była wyłącznie rzeczowość i życzliwe zainteresowanie, bez śladu nerwowego podniecenia, które w rzeczywistości wciąż w niej trwało i żelaznymi kleszczami ścisnęło jej żołądek.

Czyżby to już miało być wszystko?

- spytała z ujmującym uśmiechem.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy...

- Powoli uniosła do góry rękę z trzymaną w niej rękojeścią młotka, tak by widownia to zobaczyła.

- Mamy dwieście sześćdziesiąt tysięcy, dziękuję...

dwieście siedemdziesiąt...

- Kate zamilkła na chwilę, dając sobie i widowni moment oddechu.

- Dwieście siedemdziesiąt tysięcy z prawej strony.

- Tabliczkę podniósł znany dealer biżuterii i drogich kamieni, najprawdopodobniej występujący w imieniu któregoś ze swych klientów.

- A zatem za dwieście siedemdziesiąt tysięcy funtów...

- W jej głosie wciąż było życzliwe oczekiwanie na następne oferty, ale też i delikatne przypomnienie, że czas upływa.

Ludzie wstrzymywali oddech, ale było jasne, że i tak już bardzo wysoka cena nie zostanie podwyższona.

Kate uderzyła młotkiem.

- Za dwieście siedemdziesiąt tysięcy funtów kupił pan de Vries.

Drżącą z emocji ręką wpisała w katalogu niebieskim kolorem: 270000.

Wpisana na czerwono zastrzeżona cena minimalna wynosiła 175-200000.

Cóż za początek!

myślała uradowana.

Niech to tylko skończy się tak, jak się zaczęło.

Czuła, jak jej pewność siebie rośnie, niczym słupek rtęci w termometrze.

Panowała nad salą, trzymała emocje widowni w garści - równie pewnie, jak trzymała ten młotek licytatorski.

Jako drugi w kolejności obiekt sprzedawana była słynna bransoleta "tygrysa", szeroka na osiem centymetrów i wysadzana poprzecznymi pasami drogich kamieni, na zmianę czerwonymi i żółtymi, co rzeczywiście przypominało trochę skórę tygrysa.

Ciemnoczerwone pasy były ułożone z rubinów, natomiast żółte ze specjalnie dobranych brylantów o takim właśnie odcieniu.

Ta tygrysia bransoleta była już sławna i powszechnie znana od chwili, gdy słynna firma Cartier z Paryża wykonała ją dla Cornellii Fentriss Gardner na jej zamówienie i według jej własnego projektu.

Teraz błyszczała na przedramieniu olśniewającej brunetki w sukni ze złotej lamy - w dokładnie takim odcieniu jak złoto, w którym były osadzone kamienie.

Prowadzona światłem reflektorów modelka zeszła z podestu na widownię i przeszła między rzędami.

Dłoń oparła na biodrze, tak by jak najefektniej zaprezentować demonstrowany klejnot; szła wolno, a ludzie pochylali się ku niej, by przyrzeć się możliwie najdokładniej.

- Następny oferowany przez nas obiekt jest tak słynny i tak powszechnie znany, że na dobrą sprawę nawet nie wymaga szczegółowego przedstawiania - zaczęła Kate.

- To prawdziwe arcydzieło sztuki jubilerskiej, naprawdę jedyne w swoim rodzaju. Wszystkie rubiny są dokładnie tego samego kształtu, mają tę samą wagę i identyczny szlif.

Natomiast te wspaniałe żółte brylanty - ulubione kamienie pani Gardner - należą do największych, jakie kiedykolwiek wykorzystywano przy wytwarzaniu tego rodzaju ozdób. Te rubiny i brylanty są osadzone w ten sposób, że przy najdrobniejszym ruchu ręki czerwone i żółte pręgi zdają się falować, niczym skóra prawdziwego tygrysa, z pewnością najpiękniejszego ze wszystkich dzikich zwierząt...

Kate mówiła z przerwami, żeby dać modelce czas na powrót i ustawienie się na wyznaczonym dla niej miejscu tuż przed pulpitem prowadzącej.

Modelka znów oparła dłoń na biodrze, a pręgowana bransoleta na jej przedramieniu lśniła w blasku punktowych reflektorów olśniewająco i odrobinę złowrogo.

Już w momencie otwierania licytacji - cena wywoławcza wynosiła sto tysięcy funtów - Kate wiedziała, że będzie to sukces; czuła to, zanim jeszcze z milczącej sali doszły ją pierwsze reakcje.

To jej intuicyjne przekonanie potwierdziło się niemal natychmiast.

Kilkudziesięciu sekund wystarczyło, by oferowana cena osiągnęła pół miliona funtów i nadal rosła, podbijana na zmianę przez dwójkę najbardziej zainteresowanych - dystygowaną panią w starszym wieku, która siedziała przy bocznym przejściu z lewej strony, i korpulentnego mężczyznę z pierwszego rzędu.

Ci dwoje nadal walczyli ze sobą zażarcie.

- Mamy więc pięćset tysięcy funtów - oznajmiła Kate, głośno i wyraźnie, by dotarło to do wszystkich.

- Już sześćset tysięcy, dziękuję.

Mężczyzna w pierwszym rzędzie ledwie zdążył zasygnalizować to podniesienie, gdy walcząca z nim mocno uróżowana starsza pani w sobolach, najwyraźniej już zdenerwowana odchyliła szeroki rękaw swego futra i gwałtownym ruchem podniosła się.

Siedemset tysięcy funtów - oznajmiła Kate, a sala odpowiedziała zbiorowym zdumieniem.

- Siedemset tysięcy funtów, pani obok przejścia.

- Korpulentny pan tym razem już nie podniósł ręki.

Siedział bez ruchu, a jego twarz nie okazywała żadnych emocji, gdy Kate podnosiła dłoń z trzymany w niej młotkiem.

Już mamy siedemset tysięcy, czy ktoś da więcej?

Nie było żadnej reakcji, mężczyzna nie zamierzał już dalej walczyć.

Cała sala na chwilę znieruchomiła, stężała w napięciu.

Uderzenie młotka Kate zabrzmiało jak grzmot - siedemset tysięcy funtów, kupiła pani de Kuyper.

Sala wybuchła pełnymi podniecenia brawami i okrzykami.

Znakomicie, panno Despard - dyskretnym szeptem powiedział siedzący obok pomocnik.

- Już ich pani ma w garści, może pani z nimi zrobić, co zechce.

Rozradowana Kate posłała mu promienny uśmiech.

Sama to też czuła, wiedziała że teraz nic jej nie zatrzyma.

Teraz już wszystko pójdzie znacznie powyżej zastrzeżonych cen minimalnych, a całkowita suma znacznie przekroczy szacunkowe oczekiwania.

I rzeczywiście - w miarę trwania aukcji okazywało się, że uzyskiwane ceny zawsze były bardzo dobre lub wręcz znakomite.

Nawet drobniejsze - broszka w kształcie płomiennej lilii z brylantów i rubinów, wysadzany nimi ozdobny kanak, naszyjnik z pięćdziesięciu pereł o tym samym kształcie, brosza w formie otwartego wachlarza z brylantów i pereł, naszyjnik z brylantów i szafirów, jeszcze inna brosza w kształcie pędu żonkili, wykonana z żółtych brylantów, przy czym każda część rośliny wykonana była z kamieni o odmiennym kolorze - wszystko to poszło za ceny, których dotąd nigdy nie osiągnano na tego rodzaju aukcjach.

Kate już w pełni panowała nad salą, a napięcie rosło do tego stopnia, że raz po raz groziło wybuchem.

Burza oklasków powitała ostatnią modelkę o oszalamiająco rudych włosach, która wyłoniła się zza kulis w obcisłej, przypominającej rzeźbę kreacji madame Gres.

Wąska talia modelki ściągnięta była nadobnym pasem, na którego widok sala westchnęła zbiorowo z nabożnym podziwem.

Pas miał blisko dziesięć centymetrów szerokości i cały wysadzany był szmaragdami.

Kate odczekała aż do chwili, gdy na sali zapadła kompletna cisza.

- Sławny Pas z Isfahanu - oznajmiła z należnym uszanowaniem.

- Kiedyś był częścią ceremonialnej uprzęży konia władcy, potem przez długie lata jego właścicielem był Nawab z Bhapuru.

Pas ozdobiony jest trzydziestoma czterema szmaragdami o szlifie płaskim i dwunastoma o szczególnie pięknym szlifie ozdobnym, składający się z trzystu czterdziestu siedmiu brylantów i dwustu pięćdziesięciu pereł - wszystko osadzone w czystym złocie...

- Kate zawiesiła głos, dając widowni chwilę na wchłonięcie tego wszystkiego.

Potem bardzo spokojnie oznajmiła, że licytacja rozpocznie się od sumy pół miliona funtów.

Sala była naładowana elektrycznością i napięcie wciąż rosło.

Zasadnicza batalia toczyła się między znanym jubilerem ze Szwajcarii - występującym zapewne w imieniu jakiegoś klienta - i nie mniej znanym brazylijskim playboyem, który był słynny między innymi z tego, że obdarowywał bajecznie kosztownymi klejnotami te kobiety, które mu się spodobały i które gotowe były taki dar przyjąć.

Kate wiedziała, że Brazylijczyk bardzo nie lubi przegrywać; nie wiedziała natomiast, do jakiej sumy może podnieść cenę szwajcarski jubiler, zwłaszcza że nie było wiadomo, w czym imieniu występuje.

Podjęła jednak ryzyko i spróbowała zdopingować walczących.

- Mamy dwa miliony...

Kto da więcej niż dwa miliony za jedyny i niepowtarzalny Pas z Isfahanu?

- zapytała.

Jednakże twarz Szwajcara była nieruchoma jak maska wykuta z kamienia.

Kate wiedziała już, że przegrał.

Bardzo szybko zakończyła więc licytację.

- Za dwa miliony funtów - walnęła młotkiem - kupił pan da Silva.

Teraz sala rzeczywiście wybuchła.

Ludzie wstawali, krzyczeli i bili brawo uszczęśliwionemu Brazylijczykowi, co bliżsi poklepywali go po plecach, inni kierowali się w stronę równie uszczęśliwionej Kate, która miała wrażenie, że z emocji dygoce co najmniej tak, jak brylantowe wisiorki jednego z tych naszyjników, które sprzedała przed paroma minutami.

Drżącymi rękami zamknęła katalog, pochyliła się do swego pomocnika i powiedziała: - Dobra robota, John.

Dziękuję.

- Potem wreszcie mogła zejść z podestu, czując przy tym, że nogi ma tak miękkie, jakby ktoś je nagle zamienił w rozgotowane parówki.

Natychmiast ze wszystkich stron okrążyli ją goście aukcji, a także koledzy i współpracownicy.

Wszyscy chcieli ucisnąć jej rękę, pogratulować, powiedzieć: "Świetna robota"!

albo: "Zupełnie znakomicie"!

bądź też: "Fantastycznie"!

Nigel Marsh z wysiłkiem przepychał się do niej przez gęsty tłum, a potem z jeszcze większym trudem doprowadził ją w końcu do miejsca, gdzie czekał na nią cały zarząd firmy Despard's in corpore, jako że była to taka aukcja, na której chciał być obecny dosłownie każdy.

Tymczasem Charlotte udało się wcisnąć w dłoń Kate kieliszek dobrze schłodzonego szampana, który został wypity jednym haustem.

- Po takim sukcesie należy się szampan - mówił rozradowany John Steadman, ale Kate patrzyła przede wszystkim na swego mistrza i mentora, Davida Holmesa.

- Dobra robota, Kate - powiedział z uśmiechem David.

- Naprawdę bardzo dobra robota.

Sam nie potrafiłbym tego poprowadzić lepiej.

Tak powszechne uznanie i aprobata sprawiły, że Kate odprężyła się już ostatecznie.

- Myślę, że dzisiejsza aukcja w pełni potwierdza to, przy czym się upierałem - usłyszała głos zadowolonego z siebie Johna.

- Trend zwykły, jeżeli idzie o ceny biżuterii, najwyraźniej się utrzymuje.

- A czy zauważyliście, że prawie wszystko kupiły prywatne osoby, a nie totalni dealerzy?

- mówił uszczęśliwiony Nigel.

- Jedenaście rzeczy sprzedano po wyżej pół miliona, to...

całkowita suma netto...

- przerwał mu szef rachuby i księgowości, który stał czekając, aż wszyscy zamilkną - ...całkowita suma netto wynosi czternaście milionów osiemset tysięcy funtów, dwa razy więcej niż poprzednia.

Właśnie to chciałem podkreślić - powiedział Nigel, niezadowolony, że wyjęto mu tak efektowną kwestię.

Wszystkim więcej szampana do rana - zaśpiewała Claudia, która już była na lekkim rauszu.

Kate wypila drugi kieliszek z prawdziwą przyjemnością.

Czuła, że jest odwodniona po takim wysiłku, a już na pewno bardzo jej się chciało pić.

- Doświadczenie i rozsądek podpowiadają, że teraz należy odbyć mały spacer po sali - ponaglił ją John Steadman.

- Pokazać się, porozmawiać.

W końcu to wszystko jest robione właśnie po to, żebyśmy nawiązywali nowe kontakty.

A z nich nieuchronnie wynikną kolejne sprzedaże - miejmy nadzieję - równie udane jak ta.

Proszę więc natychmiast wziąć mnie pod ramię i pozwolić mi na zaprezentowanie bohaterki wieczoru jej stęsknionej publiczności.

Zadowolony z siebie i pełen dostojeństwa, poprowadził ją do oczekujących już na nią gości.

- Ten pomysł z zaangażowaniem modelek do prezentowania klejnotów był doprawdy znakomity - rozplywała się w komplementach dama w średnim wieku.

- Pani ojciec byłby z pani dumny!

- powiedział ktoś inny.

- Szczere gratulacje!

- Wspaniała prezentacja!

- Oszałamiający sukces!

Kate wolno przeciskała się wśród tłoczących się wokół niej ludzi, ponieważ wszyscy chcieli zamienić z nią parę słów, a przynajmniej uścisnąć jej rękę, by później móc opowiadać, że nie tylko byli na tej niebywałej aukcji, ale i osobiście gratulowali kobiecie, która to wszystko zorganizowała.

W końcu John Steadman znów wziął ją za ramię, wyrwał z kręgu wciąż tłoczących się wokół niej gości i poprowadził w stronę wejścia, gdzie czekały kamery i telewizyjny dziennikarz, który miał z nią przeprowadzić wywiad.

Dziennikarz pogratulował jej wspaniałego sukcesu aukcji, a następnie zapytał: - Panno Despard, czy spodziewała się pani, że uzyskacie aż tak wysokie ceny?

- Nie - odpowiedziała szczerze Kate.

- Choć oczywiście bardzo się cieszę, że to się nam udało.

- Kto wpadł na pomysł, by do prezentacji biżuterii wynająć modelki?

- To był mój pomysł.

- Czy jakieś podobne innowacje zamierza pani wprowadzić również na najbliższych aukcjach firmy Despards?

- Tak, zamierzam to zrobić, ale na razie jeszcze nie można o tym opowiadać przed kamerami - powiedziała i uśmiechnęła się do obiektywu.

- Ale proszę uważnie oglądać aukcję Courtland Park, tyle mogę powiedzieć.

- Ta aukcja odbędzie się w październiku, jeżeli dobrze pamiętam?

- Tak, rozpoczyna się trzydziestego października w Courtland Park w Sussex.

- I ma pani nadzieję powtórzyć tam dzisiejszy sukces?

- W każdym razie będę się bardzo starała.

- Kate roześmiała się.

Wciąż czuła się przyjemnie podniecona, i to nie tylko dlatego, że wypita dwa kieliszki szampana.

Wracała do oczekujących na nią gości, mając uczucie, że niemal unosi się nad podłogą, nie dotykając stopami ziemi.

A więc zwyciężyła!

Pokazała, co jest warta; udowodniła, że jest córką godną swego ojca.

To właśnie jej powiedziano, i ten komplement - ze wszystkich, które usłyszała dzisiaj wieczoru - ceniła sobie najbardziej.

Tak więc teraz uśmiechała się do wszystkich, rozmawiała i żartowała, przyjmowała nie kończące się gratulacje i żegnała tych, którzy musieli już jechać.

Zatłoczona sala zaczęła powoli pustoszeć.

I dopiero wtedy Kate zorientowała się, kto wciąż stoi pod ścianą w głębi sali, samotnie, z dala od wszystkich.

To był Blaise Chandler.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

Potem Kate zaczęła iść w jego stronę, a ludzie rozstępowali się przed nią, choć ona już tego nie dostrzegała.

- Moje gratulacje!

- powiedział Blaise.

- Dopięła pani swego.

- Dziękuję.

Blaise uśmiechnął się i dotychczasowy dystans między nimi nagle znikł.

Zatrzaśnięte dotąd drzwi znów były otwarte.

Kate w odpowiedzi również się uśmiechnęła.

- Oglądał pan aukcję?

- W każdym razie większą część.

- Ale nie próbował pan nic kupić?

- Moja babka ma już kolekcję biżuterii, za którą pani z pewnością uzyskałaby co najmniej tyle samo.

Tak przynajmniej sędzę.

- Właśnie o pana babce natychmiast pomyślałam, kiedy tylko zobaczyłam Pas z Isfahanu.

Blaise uśmiechnął się i jego twarz nagle odmłodziła.

- Tak, to rzeczywiście byłoby coś w jej stylu.

W sprzedanej kolekcji był również naszyjnik z wielkim szafirem otoczonym brylantami.

Właśnie ten szafir sprawił, że natychmiast pomyślała także o Dominique.

Nie odważyła się jednak wspomnieć jej imienia, w każdym razie nie teraz.

- Jak się czuje księżna?

- zapytała.

- Co porabia?

- Przede wszystkim umiera z ciekawości, jak też pani poszło.

Właściwie to przyjechałem tylko po to, żeby móc jej opowiedzieć - Blaise uniósł brew nieco wyżej - bo wie pani przecież, jaki zawsze miałem stosunek do wszelkich aukcji, ale tym razem zostałbym także z własnej woli, bo wydarzenie było tego warte.

Kate nagle poczuła ogarniające ją przyjemne gorąco.

Więcej, to był już prawie sukces.

Jednak w tej samej chwili Blaise zapytał: - A jak się czuje Rollo?

To natychmiast przygasiło płomień.

Wciąż tak samo, jego stan wydaje się stabilny.

Ale nadal pozostaje w śpiączce.

Blaise skinął głową i powrócił do wyników, które miały decydować o wygranej Cate bądź jej siostry.

...Przeglądałem wyniki ostatniego półroczka - powiedział.

- Dzisiejszy wieczór musiał sprawić, że zrównała się pani z Dominique.

No proszę, pomyślała Kate.

On sam wypowiedział to imię, i to tak lekko, jakby w ogóle nic się nie stało.

- Po Courtland Park będę próbowała ją wyprzedzić - powiedziała z nie ukrywanym wyzwaniem.

- Nie wątpię - odpowiedział Blaise, a ton jego głosu świadczył, że chyba na prawdę w nią wierzy.

To dodało jej ducha na tyle, że - z cokolwiek tylko udawaną swobodą - odważyła się zaproponować mu coś więcej: Urządzamy małe przyjęcie po udanej aukcji.

Mam nadzieję, że będzie pan mógł przyjść.

Przykro mi, ale tym razem nie mogę.

Może po Courtland Park?

Kate potrafiła uśmiechnąć się jeszcze raz, choć jego odmowę poczuła jak uderzenie nożem.

- Trzymam pana za słowo - powiedziała tonem żartobliwego ostrzeżenia.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale w ostatniej chwili zawahała się i zamilkła.

On jednak, jakby odgadując, o co tym razem nie odważyła się go zapytać, odpowiedział bardzo spokojnie: - Nie.

Nie ma żadnych nowych wiadomości.

Kate mimo woli skinęła głową, niepewna, co właściwie powinna powiedzieć w takiej sytuacji.

Ale Blaise przyszedł jej z pomocą, pytając wprost: - Niech mi pani powie, co panią skłoniło, by o tym, co pani odkryła w Hongkongu, opowiedzieć mojej babce, a nie mnie?

Czy była to tylko uprzejmość w stosunku do mnie, czy może po prostu litość?

Kate przez chwilę była w rozterce, ale ostatecznie uznała, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę.

- Było w tym i jedno, i drugie - odpowiedziała z tą samą otwartością.

- Poza tym nie miałam żadnych dowodów.

Blaise uśmiechnął się.

- A może to panią miał na myśli Szekspir, kiedy w jednym z sonetów napisał: "Władni są zadać ból, a przecież tego nie czynią".

Kate mimo woli zatrzepotała rzęsami; niewiele brakowało, a otworzyłaby usta ze zdziwienia.

Jeszcze raz zaskoczył ją całkowicie.

Blaise Chandler cytuje poezję!

- Tak, zdarza mi się czytać coś jeszcze, poza książkami dla prawników - powiedział bez mrugnięcia okiem.

- Ale skoro pan lubi poezję, to dlaczego nie docenia pan innych rodzajów twórczości? Sztuk pięknych, na przykład?

Blaise podniósł dłoń.

- Proszę mi dać trochę czasu.

Tego też się już uczę - powiedział.

A potem dodał, zaskakująco cicho: - Naprawdę uczę się bardzo wielu rzeczy.

Ich spojrzenia znów się spotkały i oboje nagle zamilkli.

Wreszcie po milczeniu, które zdawało się trwać wieczność, Blaise powiedział: - Musimy porozmawiać, ja i pani...

Ale jeszcze nie teraz.

Tymczasem jednak...

- Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął z niej płaski plik listów, związanych wąską wstążką.

Wstrząśnięta Kate rozpoznała je natychmiast: to były listy, które jej ojciec pisał do niej przez lata, a które ona odsyłała bez przeczytania.

- Pani ojciec przekazał je mnie i mnie też pozostawił decyzję, czy i kiedy przekazać je pani.

Myślę, że właśnie przyszedł na to czas - powiedział i podał jej poszarzały od starości pakiet.

Kate poczuła, że nagle coś ściska ją za gardło.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Dziękuję - powiedziała zduszonym głosem.

Potem jeszcze raz spojrzała na listy.

- Czy pan je czytał?

- spytała.

Znów czuła się skrępowana.

- To było częścią zlecenia, które otrzymałem od pani ojca.

Musiałem je przeczytać.

- Nic dziwnego, że uważał mnie pan za wrednego i złośliwego bachora.

- Była pani kimś takim, wtedy.

Ale upłynęło już wiele czasu.

Te wszystkie wydarzenia zmieniły panią nie do poznania, a oczywiście najbardziej przyczyniła się do tego pani sama.

Dawna Kate nie zrozumiałaby, ta dzisiejsza z pewnością zrozumie.

Kate znów zatrzepotała powiekami, usiłując rozproszyć napływające do oczu łzy.

- Dziękuję panu!

- powiedziała.

- Teraz już muszę iść.
- Znów musi pan zdążyć na jakiś samolot?
Jego uśmiech wystarczył za odpowiedź.
- Pracuje pan o wiele za ciężko - powiedziała Kate, zanim w ogóle zdążyła pomyśleć.
- I za dużo czasu spędza pan w nieustannych podróżach.
- Nie mam wyjścia.

Nasza firma to korporacja międzynarodowa, ma oddziały na wszystkich kontynentach. A poza tym to mobilizuje pracowników, bo nigdy nie wiedzą kiedy można się mnie spodziewać.

Wygląda na bardzo zmęczonego, pomyślała Kate.

Już nie miała wrażenia, że są oddaleni i zupełnie obcy, ale w jego oczach wciąż można było dostrzec podziw.

Kate, proszę jeszcze raz przyjąć najszczerze gratulacje.

Pani ojciec nie mylił się.

Jest pani jego nieodrodną córką.

pochylił się ku niej i - pierwszy raz w życiu - dotknął wargami jej policzka.

Trwało to ułamek sekundy.

Potem odwrócił się i szybko odszedł.

Rozdział 17 .

Dominique nawet nie próbowała się zastanawiać, co sprawiło, że po tych wszystkich wydarzeniach pognąła, niczym spłoszony koń, prosto do jedyne miejsce, które naprawdę uważała za swój dom; że zwróciła się do swej matki, a nie do męża.

W tej chwili wiedziała tylko jedno - że chce się znaleźć gdzieś, gdzie mogłaby się czuć bezpieczna.

Właśnie w Prowansji mogła mieć to wszystko; to było miejsce, gdzie mogła swobodnie oddychać, spokojnie pomyśleć, zastanowić się, co dalej, i przygotować jakiś plan postępowania.

Chciała znaleźć się jak najdalej od tego, co tak nagle zważyło się na nią w ostatnich dniach.

Przyjść do siebie po tym wstrząsie, którym było uświadomienie sobie, że z własnej winy wpadła w sieci chińskiej mafii, w pułapkę, którą sama pomagała na siebie zastawić, i to tak skutecznie, że po raz pierwszy w całym swoim życiu nie umiała z tego znaleźć wyjścia.

Tu, w Prowansji, wiedziała przynajmniej jedno, że jej matka nie będzie jej dręczyć żadnymi pytaniami, a jej przyjazd będzie uważany za coś zupełnie naturalnego.

Nikomui nie przyjdzie do głowy, że po prostu uciekła w potwornym lęku.

Przeciwnie, to nawet ukaże ją w korzystnym świetle, jako dobrą córkę, która potrafi poświęcić swój cenny czas, by znów odwiedzić samotną matkę.

Okazało się, że Catherine była teraz jeszcze bardziej - zakładając, że to w ogóle było możliwe - pogrążona w świecie swoich fantazji i z uporem podtrzymywanych rojeń.

Przyjęła córkę z pełną roztargnienia obojętnością.

Jej umysł nakierowany był już wyłącznie na męża, i tylko on - co potwierdziła również Marta - liczył się w jej kompletnie oderwanej od życia egzystencji.

- Teraz już w ogóle nigdzie się nie rusza.

Kiedy idzie do ogrodu, żeby w nim pracować, jej mąż pracuje razem z nią.

Na tarasie zawsze jest ustawiony jego fotel; zawsze obok stoi jego dzbanek z presse-citron i świeży numer "Le Monde".

Pani Catherine po prostu opuściła ten świat, w którym my jeszcze pozostaliśmy, i weszła do innego, który sobie stworzyła w wyobraźni.

I już powoli drzwi się za nią zamykają.

Ale jest z tym szczęśliwa, prawda?

Czy skarży się na coś?

Sprawia jakieś kłopoty?

Nie sprawia żadnych kłopotów - przyznała niechętnie Marta.

Czy może chodzi o to, że ty nie czujesz się przy niej bezpieczna?

Marta potrząsnęła głową.

- Nie, ale w wiosce gadają...

- Niech gadają.

Jeżeli uważasz, że to nie jest bezpieczne, to możesz w każdej chwili odejść.

Znajdę kogoś na twoje miejsce.

Ale Marta oświadczyła, że nie ma najmniejszego zamiaru odchodzić.

Posada u pani Catherine była bardzo wygodna, a poza tym dopóki jej polecenia, dotyczące męża, były wykonywane, madame nie wtrącała się do niczego, choć pieczołowicie sprawdzała rachunki.

Resztę natomiast pozostawiała Marcie, która mogła już robić wszystko po swojemu.

Marta bardzo chętnie korzystała z tego, że dawano jej wolną rękę, co jednak wcale nie oznaczało, że akceptuje taką sytuację.

Teraz zapytała mruklawie, jak długo Dominique zamierza pozostać.

- Nie wiem jeszcze.

Ostatnio pracowałam bardzo ciężko i na jakiś czas potrzebuję ciszy i spokoju.

Nie ma mnie w domu dla nikogo, niezależnie od tego, kto by to miał być.

- Ale pan Chandler...

Pan Chandler nie przyjedzie.

A wszystkim innym masz mówić, że odpoczywam i nie przyjmuję nikogo, zrozumiałaś?

- Jak pani sobie życzy - odpowiedziała Marta, po czym dodała z nutką triumfu w głosie: -

W każdym razie pan Chandler był tutaj ledwie tydzień temu.

- Jak to?

- zapytała ostro Dominique.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo pani nie pytała.

- Masz mi mówić o wszystkich, którzy się tu pojawiają!

- powiedziała z naciskiem.

- Niezależnie od tego, że nie mam zamiaru ich przyjąć.

- Zamilkła na chwilę, a potem spytała jeszcze: - Jak długo był tu mój mąż?

- Tylko przyjechał i przenocował.

Madame bardzo się ucieszyła z jego przyjazdu.

Zawsze miała do niego słabość.

Przy południowym posiłku Dominique zapytała matkę, jakby mimochodem: - Czego chciał Blaise?

- Chciał mnie odwiedzić, oczywiście - odpowiedziała Catherine.

Było w tym wzniosłe pobożanie, połączone z pełnym dumy kobiecym samozadowoleniem.

- Po prostu chciał się dowiedzieć, czy jest mi tu dobrze, czy czegoś nie potrzebuję.

- I to wszystko?

Spojrzenie niebieskich oczu Catherine wyrażało zaskoczenie zmieszane z urazą z racji tak oczywistego afrontu.

- A czegoż innego mógłby chcieć?

- zapytała wyniośle.

Właśnie się zastanawiam, powiedziała sobie w duchu Dominique.

To prawda, że Blaise zawsze okazywał pełną wyrozumiałości życzliwość, a nawet czułość w stosunku do jej matki, ale żeby specjalnie po to miał tu przyjeżdżać?

A może coś przewąchiwał?

Już od jakiegoś czasu miała uczucie, że zadaje jej za dużo pytań.

Wyjeżdżał z Hongkongu i zaraz znów wracał, podejrzanie często.

Choć, prawdę mówiąc, i wcześniej to mu się zdarzało.

Może więc to raczej ona była zbyt podejrzliwa wobec wszystkich i wszystkiego, i dopatrywała się w jego postępowaniu czegoś, czego tam wcale nie było?

I w ogóle, w jaki sposób mógłby się czegokolwiek dowiedzieć?

Nie było takiej możliwości.

Pierwszy sygnał niebezpieczeństwa - pojawienie się Rolla Bellamyego - spowodował, że wytwórnia falsyfikatów została zlikwidowana, a przynajmniej przeniesiona w inne miejsce, nie wiadomo dokąd.

A sam Rollo Bellamy -jak zapewnił ją Cza Li - praktycznie nie miał już szans odzyskania przytomności; prognoza lekarska mówiła, że nawet gdyby wyszedł ze śpiączki, jego umysł nie będzie już nigdy funkcjonował normalnie.

Nie, z tej strony raczej nic jej nie groziło.

Bardziej niepokoiło ją żądanie Cza Li, by zmieniła firmę, z którą Despards Hongkong współpracował dotąd przy pakowaniu i spedycji.

Czy to miał być sposób na jeszcze głębsze wciągnięcie jej w sieci mafijnych powiązań?

Z takim wyliczeniem, że gdyby się na to zgodziła i gdyby to się stało powszechnie wiadome, ludzie natychmiast musieliby pomyśleć, że Dominique du Vivier ma coś wspólnego z mafią i jej niegodziwymi działaniami.

Tuż przed samym jej wyjazdem Cza Li pojawił się jeszcze raz, co tylko utwierdziło ją w zamiarze jak najspiesniejszego usunięcia się z Hongkongu.

Oświadczyła mu wtedy, że nie zmieni firmy spedycyjnej, a oni wszyscy mogą sobie iść do diabła.

Ich współpraca skończyła się ostatecznie i nieodwołalnie.

Odtąd on ma iść swoją drogą, a ona swoją.

Nie będzie też już żadnej kolejnej aukcji falsyfikatów.

Wprawdzie umawiali się, że w przyszłości - gdyby pierwsza aukcja się powiodła - jeszcze raz zorganizują coś takiego, ale po tym, co od niego usłyszała, było to oczywiście wykluczone.

Teraz już nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

Pierwsza aukcja wystarczyła jej w zupełności do osiągnięcia zaplanowanego celu - uzyskania takich zysków ze sprzedaży, by tym jednym uderzeniem wygrać z Kate Despard.

Uśmiechnęła się wtedy na myśl o zadanym rywalce miażdżącym, ostatecznym ciosie. Tak, powtórzyła sobie w duchu, to już raz na zawsze musiało odebrać tej małej Kate nadzieję, że kiedykolwiek będzie mogła wygrać z nią, Dominique du Vivier, i przejąć całość firmy Despards.

Ale ta jej pewność trwała tylko do następnego ranka, kiedy to sięgnęła po dostarczane drogą lotniczą najnowsze wydanie "Timesa" i jak zawsze spojrzała na kolumny, poświęcone aukcjom i wyprzedażom dzieł sztuki.

Przeczytała tam, że w Despards London odbyła się właśnie największa w historii Wielkiej Brytanii aukcja klejnotów, na której w ciągu trzech godzin uzyskano w sumie ponad czternaście milionów osiemset tysięcy funtów.

Z zaciśniętymi zębami czytała dalej o "wprowadzonych przez pannę Despard zaskakujących innowacjach, które doskonale się sprawdziły, zwłaszcza jeżeli idzie o jej wspaniałe pomysły prezentacji przez modelki.

Dzięki temu każda rzecz z osobna była prezentowana w sposób niezwykle atrakcyjny, a przy tym gwarantujący uzyskanie najwyższych cen"...

Dominique nie wytrzymała i z wulgarnym francuskim przekleństwem na ustach zmięta w dłoni czytając stronicę, a potem i całą gazetę; zwinęła ją i rzuciła z taką siłą, że papier pękł naraz w kilku miejscach.

I to jednak jej nie wystarczyło, toteż zaczęła drzeć gazetę, aż pozostały z niej wyłącznie strzępy.

Dominique usiadła przy stole, z ołówkiem i kalkulatorem w ręku, i zaczęła liczyć.

Okazało się, ku jej jeszcze większej wściekłości, że Kate Despard już udało się niemal całkowicie zniwelować dzielącą je dotąd różnicę.

Na razie wciąż jeszcze prowadzę, pomyślała, ale przecież już wkrótce ma się odbyć ta cholerna aukcja Courtland Park, a wszystko wskazuje na to, że będzie to impreza wręcz monstualna.

Szlag by to wszystko trafił!

Muszę ją jakoś powstrzymać, przebić - ale jak przebić?

Jak?

W żadnym razie nie wolno też zapomnieć tego, co zrobił ten dwulicowy Nicholas Chevely.

Ten angielski oszust jeszcze zapłaci za to, że ważył się coś wziąć od Dominique du Vivier, nie dając nic w zamian.

Zacząła chodzić po pokoju tam i z powrotem, jak zawsze, gdy była czymś na prawdę zaniepokojona.

Aukcja Courtland Park zacznie się za pięć tygodni, chyba do tego czasu uda się coś wymyślić i jakoś to storpedować.

Trzeba znaleźć jakiś sposób na to, by ta aukcja się nie odbyła.

Jednakże dwoje jej zaufanych ludzi, którzy dotąd dostarczali jej potrzebne informacje, zostało przeniesionych na takie stanowiska, gdzie nie mogli już być do niczego przydatni.

A jednocześnie Kate Despard zaczęła pokazywać swoje możliwości, zaczęła wprowadzać te wszystkie rewolucyjne pomysły.

W rezultacie Despards London nagle znów był na ustach wszystkich - co w efekcie zaczęło odbierać Dominique nawet tych klientów, których już z góry zwykła uważać za swoich.

Kate Despard potrafiła też przekabacić wielu swych dotychczasowych przeciwników i przeciągnąć ich na swoją stronę.

Dominique raz po raz próbowała jakoś powstrzymać te stałe postępy znieprawdzonej konkurentki, ale za każdym razem okazywało się, że nie potrafi tego uczynić.

Teraz już zdawała sobie sprawę, że popełniła błąd, nie doceniając możliwości rywalki. Dotąd wydawało się jej nieprawdopodobne, żeby ta chuda gidia z za wielkimi stopami mogła naprawdę wskoczyć w buty swego ojca - tak w przenośni, jak i zupełnie dosłownie.

A tymczasem okazywało się, że dla niej to są buty prawdziwie siedmiomilowe.

Jeszcze chwila, a ta cała Kate Despard naprawdę ją doścignie.

Gdybym tylko mogła, z jaką przyjemnością posłałabym ją do piekła, żeby się tam smażyła na wolnym ogniu!

- pomyślała.

Na ogniu?

Tak, na ogniu!

To przecież mogło być rozwiązanie!

I to tylu rzeczy naraz!

Płomienie, o których pomyślała, zabłysły również w jej oczach.

Tak, mała transakcja "coś za coś".

Skoro ci ludzie z triad chcą, żebyś coś dla nich zrobiła, mam prawo domagać się od nich, by zrobili też coś dla mnie.

A to, co mam na myśli, mogliby zrobić bez trudu, w końcu w Londynie jest przecież spora dzielnica chińska.

A czemuż by nie?

To od razu rozwiązałoby wszystkie problemy.

Kate Despard nie sprzeda niczego w Courtland Park, bo po prostu nie będzie nic do sprzedania.

A zamiast tego już nie zorganizuje niczego równie wielkiego, bo najzwyczajniej w świecie nie wystarczy jej czasu.

Tak, to można będzie zrobić.

Muszę wrócić do Hongkongu, postanowiła.

I zobaczyć się z Cza Li.

Potrafię go przekonać; w końcu jeszcze nie urodził się taki mężczyzna, którego tak czy inaczej nie potrafiłabym nakłonić, by zrobił to, co zechcę.

A kiedy już triady zrobią to, czego od nich zażadam, ja też pójdę im na rękę i zmienię firmę, zajmującą się pakowaniem i spedycją.

Bo przecież o to wyłącznie - dopiero teraz zdawała sobie z tego sprawę - chodziło im od samego początku.

Tak naprawdę stała sprzedaż podrabianych dzieł sztuki w ogóle ich nie interesowała, tym bardziej że coś takiego można było organizować ledwie raz na parę lat, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Natomiast im chodziło przede wszystkim o niemal nieograniczone zyski, jakie mogli mieć ze sprzedaży narkotyków, wykorzystując jako zasłonę normalne operacje handlowe jak najbardziej legalnej i szanowanej firmy.

Despards Hongkong doskonale się do tego nadawał - wysyłał swe towary od lat, wystarczająco często i w sporych ilościach.

Cóż może się lepiej nadawać do wysyłki białego proszku niż te regularne transporty dzieł dawnej sztuki, znane od lat władzom celnym, zawsze jawne i jak najbardziej legalne.

Któż będzie przypuszczał, że nagle jakaś część tych pięknych przedmiotów będzie nafaszerowana czystą heroiną?

O tak, to było sprytne i pomysłowe.

Ale ci ludzie z założenia byli sprytni i pomysłowi.

Oczywiście zażąda od nich części zysku, a będą to sumy wręcz niewyobrażalne.

A potem, kiedy już cała firma Despards należeć będzie do niej...

Po raz pierwszy od bardzo wielu dni udało jej się zasnąć głęboko, bez jakichkolwiek snów.

I nawet nie musiała brać żadnej tabletki.

Była pogrążona bez reszty w tym głębokim śnie, gdy jakaś ciemna sylwetka niemal bezszelestnie wspięła się na mur otaczający stary prowansalski dom, a następnie zeskoczyła do ogrodu, nie czyniąc więcej hałasu niż spadający na ziemię jesienny liść.

Nocny gość, stale trzymając się cienia, podkraść się do ukrytego w mroku narożnika domu i wspiął się do góry po rynnie, z taką samą łatwością, z jaką pająk wspina się po swej sieci.

Potem równie bezgłośnie przebiegł po fragmentach pochyłego dachu, by w końcu znaleźć to, czego szukał: na wpół uchylone okno na piętrze.

Było to okno łazienki Catherine Despard.

Bezgłośnie zeskoczył na wyłożoną ceramicznymi płytkami podłogę, podszedł do drzwi i przyłożył ucho do wiekowych desek grubych staroświeckich drzwi z oliwkowego drewna. Z tamtej strony dawał się słyszeć jakiś odgłos, jakby ledwie słyszalny jęk.

Powoli i morderczo ostrożnie nocny gość uchylił drzwi.

Tak, to co słyszał, to był głos kobiety, która w pełnym szaleństwie zbliżającego się orgazmu nieustannie powtarzała to samo imię: - Charles...

Charles...

Och, Charles!

Przez uchylone drzwi można było zobaczyć wnętrze pokoju, oświetlonego przez niewielką lampę, ustawioną przy nakrytym serwetą stole tuż obok łóżka.

Na tym łóżku klęczała kobieta w średnim wieku z głową wtuloną w poduszkę i wypiętymi w górę nagimi pośladkami.

Ręce obu dłoni kobiety wciśnięte były głęboko w jej podbrzusze, gdzie wykonywały wciąż te same, coraz szybsze ruchy.

Kobieta wydawała się całkowicie zatracona w świecie swych obłądnych rojeń, w nieprzytomnym oczekiwaniu na zbliżający się orgazm.

Jej głos stawał się coraz wyższy i coraz bardziej ostry, ciało trzęsło się coraz gwałtowniej, raz po raz nadziewając się aż do oporu na włożone od spodu i złożone razem palce.

- Och tak, mój kochany...

tak...

o tak!

- Całym jej ciałem raz po raz wstrząsały gwałtowne dreszcze, dygotała w szaleńczym dążeniu spełnienia, nieświadoma już niczego z wyjątkiem tego, co działo się wewnątrz jej chorego umysłu i rozpalonego ciała.

W tym stanie nie usłyszałaby nawet trąb i bębnów orkiestry wojskowej.

Ubrany na czarno człowiek bezgłośnie zbliżył się do łóżka.

Jak za sprawą czarodziejskiej różdżki w jego dłoniach - osłoniętych czarnymi rękawiczkami - pojawiła się niewielka szklana fiolka, w której po otwarciu korka ukazała się włożona tam długa cienka igła.

Z jej ostrza wolno spływała kropla nieco lepkiej, bezbarwnej substancji.

Przybysz z ogromną wprawą umieścił igłę w wąskiej, długiej rurce, trochę podobnej do tych, jakich południowoamerykańscy Indianie używają do wypuszczania zatrutych strzał z kurarą.

Potem podniósł rurkę do ust.

W momencie, gdy kobieta, zwijając się i sapiąc, wreszcie z chrapliwym krzykiem osiągnęła orgazm, śmiercionośna igła wyfrunęła i z idealną precyzją trafiła w upatrzone miejsce na karku, tuż poniżej podstawy czaszki.

Ostatni, eksplodujący spełnieniem krzyk, urwał się nagle.

Ciało wygięło się w łuk, jakby wyrывая się do szczytowej fazy, która nadeszła jednocześnie ze śmiercią.

Oczy Catherine nagle stały się szklane i nie widziały już nic.

Jej ciało padło na bok, a ostatnie tchnienie wydobyło się z jej płuc ze stłumionym sykiem, niczym powietrze z przeciętej opony.

Zabójca odczekał dziesięć sekund, a następnie bezgłośnie zbliżył się do znieruchomiałego ciała.

Wyciągnął igłę, którą ponownie włożył do fiolki, zamknął ją i schował w podręcznej sakiewce.

Potem jeszcze raz przyjrzał się ciału, które zastygło niczym jakieś uosobienie trwającego wiecznie orgazmu.

W kilkanaście minut później ledwie dostrzegalna czarna sylwetka zeskoczyła z muru ogradzającego mas i znikła między krzakami i drzewami pobliskiego lasu.

Marta tego dnia wstała bardzo wcześnie, jak zawsze.

To był - wynikający z kilkudziesięciu lat życia na wsi - nawyk, którego już nie potrafiła się wyzbyć, choć teraz bez przeszkód mogłaby spać znacznie dłużej.

Jak zawsze zajęła się najpierw obowiązkami gospodarskimi, a potem zaczęła przygotowywać śniadanie pani Catherine.

Kolejno ustawiała na tacy miseczki z wiejskim masłem i domową konfiturą z moreli, następnie świeżutki rogalik i dwa dzbanuszki, w których były śmietanka i bardzo mocna czarna kawa.

Na koronkowej serwetce ustawiła porcelanowe talerzyki i filiżanki z przepięknego serwisu do kawy, wyprodukowanego w Limoges.

Tuż obok położyła starannie złożoną gazetę, którą sama zdażyła już wcześniej przeczytać.

Ujęła tacę w obie ręce i pracowicie zaczęła się wspinać na piętro.

- Bonjour, madame!

- powiedziała jak zawsze, stawiając tacę na komódce w pobliżu drzwi, by następnie podejść do okna i odsunąć zasłony z gęstego perkalu drukowanego w kwiaty.

Zazwyczaj słyszała w odpowiedzi nieco jeszcze rozespane "Bon jour, Marthe"!

Jednak tego ranka nie usłyszała nic.

Marta wróciła do komódki, wzięła tacę i pochyliła się nad łóżkiem.

- Proszę pani...

Taca nagle wypadła jej z rąk, opryskując nogi gorącą kawą.

Ale Marta nawet tego nie zauważyła.

Krzyczała z zupełnie innego powodu, bardzo głośno.

To był nagły i bardzo rozległy zawał serca - powiedział wezwany przez Dominique doktor Morel.

- Przypuszczam, że trwało to ledwie parę sekund.

- Moja matka zawsze miała bardzo zdrowe serce - zaproponowała Dominique.

Doktor Morel dyskretnie odkaslnął.

- Z całym szacunkiem, jeśli wolno mi przypomnieć pani tę...

pozycję ciała i pozostałe okoliczności, wskazujące na to, że pani Catherine...

- nie dopowiedział tego zdania do końca.

- To też mogło być przyczyną, w takim momencie obciążenie serca jest wyjątkowo duże.

- Ale z pewnością nie większe, niż to bywało już wielokrotnie, zwłaszcza podczas trwania jej małżeństwa.

Lekarz znów odkaslnął.

- Pani Despard miała już jednak swoje lata.

- Dyskretnie wzruszenie ramion było bardzo francuskie.

- To była zwyczajna śmierć, madame, choć trzeba przyznać, że zapewne szczególnie przyjemna.

Dominique spróbowała sobie przypomnieć ten wyraz, który zastygł na twarzy jej matki.

Czy to była ekstaza, czy tylko agonia?

Przerażona Marta krzyczała wtedy tak głośno, że wyrwała ją z bardzo głębokiego snu, ale dopiero widok ciała matki, jego pozycja, szeroko otwarte, nieco wybaluszone oczy, które zdawały się widzieć nie widząc, wyraz jej otwartych w jakimś krzyku ust, a przede wszystkim te jej głęboko wciśnięte w podbrzusze palce - dopiero to wszystko wstrząsnęło nią i obudziło już ostatecznie.

Podeszła do Marty i kilkakrotnie mocno uderzyła ją w twarz, żeby ta przestała wreszcie krzyczeć i postarała się doprowadzić ciało zmarłej do jako tako przyzwoitej pozycji.

Ale rigor mortis - stężenie pośmiertne - było już posunięte tak daleko, że Dominique, nie mając innego wyjścia, musiała pozwolić doktorowi Morel na zbadanie ciała w takiej pozycji, w jakiej je znaleziono.

Był to jednak człowiek o wielkiej mądrości i doświadczeniu, który w czasie czterdziestoletniej praktyki lekarskiej widział już bardzo wiele, jeżeli nie wszystko.

Catherine Despard nie była przecież pierwszą osobą, która zmarła w rezultacie wstrząsu, wywołanego szczytowaniem.

By wspomnieć tylko przypadek starego pana Montand, którego stężałe palce tak mocno wkręciły się wtedy we włosy pieszczącej go młodej kobiety.

Trzeba było znaczną część tych włosów wycinać nożyczkami.

No a poza tym małżeństwo Charlesa i Catherine Despard zawsze było raczej związkim ciał.

Proszę się nie niepokoić, madame Dominique - powiedział uspokajająco.

- Odwołam personel i załatwię wszystko bardzo dyskretnie, tym bardziej że w tym przypadku nie mam żadnych wątpliwości i mogę podpisać akt zgonu bez najmniejszego wahania.

Tak się też stało, a gdy doktor Morel wreszcie wyszedł, Dominique przeszła do kuchni, gdzie Marta wciąż siedziała nad dużą szklanką koniaku.

Och, madame!

- wykrzyknęła na jej widok i ponownie zaczęła płakać.

- Jakie to wszystko straszne!

Pomyśleć, że matka madame umiera w...

w ten sposób.

Nie wypowiedana i nie rozgrzeszona...

- Nie masz prawa powiedzieć o tym nikomu.

Ale to nikomu, rozumiałaś?

- W głosie Dominique było coś więcej niż tylko rozkaz.

Jej chłodne, szafirowe oczy, wpatrujące się w zapłakaną i zapuchniętą twarz starej służącej, miały kamienną twardość prawdziwych szafirów.

- Rozumiesz, co to znaczy?

Moja matka miała nagły atak serca, i to wszystko.

Reszta jest milczeniem, jasne?

Na pewno jasne, nawet dla niej, powiedziała sobie w duchu.

Tu można Anglikom zaufać - potrafią wymyślić takie zdanie, które zapada w pamięć.

W każdym razie ten ich Szekspir to potrafił.

- Nie może się rozejść żadna plotka, żadna najmniejsza pogłoska - dodała Dominique z tą samą niedwuznaczną groźbą w głosie.

- Jeżeli nie chcesz, by źle się to dla ciebie skończyło.

Zrozumiałaś mnie, Marto?

Naburmuszona Marta, której ten zakaz odbierał szansę podzielenia się z ludźmi z wioski najbardziej smakowitą plotką, jaką ktokolwiek w ciągu całego życia mógłby tu opowiedzieć, skinęła tylko głową, starając się nie pokazać, że te ostrzeżenia naprawdę ją nastraszyły.

Córka pani Catherine zawsze należała do tego gatunku osób, z którymi nie opłacało się zadzierać, nawet wtedy, gdy była jeszcze dzieckiem.

No nic, pocieszyła się w skrytości ducha.

To może poczekać.

Dobra wiadomość jak dobre wino - z czasem dojrzewa i nabiera smaku...

Kiedy zaczęła przygotowywać zwłoki do pogrzebu, jej bystre oczy nie ominęły niczego.

Na karku zmarłej madame widoczna była teraz spora czerwona plamka.

może po ukąszeniu jakiegoś owada, choć w skórze nie było żadnego żądła.

Pchana niepohamowaną ciekawością, Marta oglądała ciało swej zmarłej pani bardzo dokładnie.

Nie najgorsze ciało, jak na kobietę w jej wieku.

Ale też nic w tym specjalnie dziwnego.

Catherine do końca swoich dni korzystała z usług profesjonalnej masażystki, pielęgnowała skórę kosztownymi kremami i płynami odżywczymi, nawet codziennie uprawiała gimnastykę, co musiało być rzeczą niełatwą dla osoby tak nie znoszącej wysiłku.

I teraz jeszcze pachnie tym wszystkim, pomyślała Marta, i przytknęła nos niemal do samej skóry, żeby to sprawdzić.

Wciąż pachnie jak kobieta, która prowadzi rozpustne życie.

No tak, jako jej służąca nasłuchiwała się przecież, zwłaszcza kiedy monsieur Charles jeszcze żył.

Nasłuchiwała się różnych pomruków, stękań i jęków, a czasami i zupełnie już rozpasanych krzyków.

Prawdziwe zgorszenie, szczególnie w ich wieku.

I ciągle nie mieli siebie dosyć.

Później, po śmierci Charlesa, Marta wiedziała oczywiście, że madame czasami bawi się sama ze sobą.

Tyle że, sądząc po wyrazie jej twarzy, tym razem to nie była zabawa.

Po umyciu zmarłej Marta wyniosła wielką miskę pełną wody do łazienki i wylała ją do zlewu umywalki.

Z oszklonej szafki wzięła grzebienie i szczotki do włosów swej pani.

Po rozczesaniu i ułożeniu włosów podeszła z kolei do wielkiej komody, z której wyjęła świeżą koszulę nocną, jedną z najpiękniejszych, z jedwabnego krepdeszynu obszytego przepiękną jasną koronką Michelin.

Potem ułożyła zmarłej ręce na piersiach, a resztę ciała przykryła pięknym, zdobnym w drobne kwiatuszki prześcieradłem od Porthaulta.

Po namyśle włożyła jeszcze małą różyczkę między palce Catherine.

- No i proszę bardzo - mruknęła ironicznie sama do siebie - uosobienie czystości i niewinności...

Kiedy Dominique przyszła, żeby zobaczyć Catherine po tym wszystkim, pomyślała nagle, że jej matka wygląda teraz jak woskowa lalka.

To przecież oczywiste, uświadomiła sobie w tej samej chwili, przecież na jej twarzy nie ma nawet odrobiny makijażu.

Podeszła do stylowej toaletki, w której jej matka trzymała osobiste kosmetyki, zawsze jednej i tej samej firmy - Lancôme.

Już miała sięgnąć do środkowej szuflady, gdzie zawsze leżały, gdy nagle zatrzymała się, a jej ręka na moment zastygła w bezruchu.

Na blacie toaletki, tuż obok ręcznego lusterka jej matki leżało coś, czego tu nigdy dotąd nie było i być nie powinno.

Bardzo powoli, jakby sięgała po jakąś groźną wybuchem bombę, wyciągnęła rękę. Zawahała się przez chwilę, ale w końcu wzięła ten niepokojący przedmiot końcami palców, podniosła i przyjrzała mu się uważniej.

To była obszyta czarnym aksamitem saszetka na okulary, z wyhaftowanym na wierzchu wizerunkiem złotego smoka.

Ze ściąganej czarnym jedwabnym sznureczkiem górnej części saszetki wystawały okulary, i najwyraźniej były to okulary Catherine.

Dominique nagle usiadła, czując, jak gwałtownie bije jej serce.

Nigdy dotąd nie widziała tego u matki.

Jej woreczek na okulary był zupełnie inny, z charakterystycznym, typowo francuskim petit point; natomiast ten jaskrawy haft z wykorzystaniem drobniutkich paciorków i cekinów był absolutnie nie w jej stylu, wydawał się zbyt egzotyczny, zbyt... orientalny.

Dalekowschodni!

Jakby nagle uwolniona od paraliżującego ją zaklęcia, Dominique z nerwowym pośpiechem zaczęła przeszukiwać całą toaletkę, poczynając od tego, co leżało na wierzchu, a potem wyciągając po kolei wszystkie szuflady i sprawdzając ich zawartość.

W końcu znalazła to, czego szukała -jeszcze jedną saszetkę na okulary, która leżała w szufladzie nocnego stolika, stojącego obok łóżka.

Ręce Dominique drżały wyraźnie, kiedy przekładała okulary z jednego woreczka do drugiego.

kiedy w chwilę później pokazywała ten woreczek z wyhaftowanym smokiem wezwanej na górę Marcie, postarała się, żeby w jej głosie nie było lęku, najwyżej pewne zaskoczenie.

Czy ty może wiesz, czyje to mogłoby być, Marto?

Nigdy czegoś takiego nie widziałam u mojej matki...

Czyżby zaczęło się jej podobać co innego niż dotąd?

Marta założyła na nos własne okulary i wzięła haftowany woreczek do ręki.

Nie, to nie jest saszetka madame - oświadczyła kategorycznie.

- Nigdy dotąd go nie widziałam.

Może moja matka kupiła to kiedyś, a potem schowała - powiedziała Dominique wruszając ramionami z udanym lekceważeniem.

- To leżało w jednej z jej szuflad.

Pewnie tak musiało być - zgodziła się Marta.

- Bo to nie jest coś takiego, co lubiłaby mieć przy sobie.

Ale pani Catherine zdarzało się kupować takie rzeczy, które potem już nigdy nie oglądały światła dziennego.

Na pewno nie w tym przypadku, powiedziała sobie Dominique.

Maman nigdy by czegoś takiego nie kupiła.

Ktoś jej to dał...

Albo raczej - ktoś to tu podłożył - po to, żeby ona teraz to znalazła.

Dominique ponownie poszła do pokoju swej matki.

Zmusiła się do tego, żeby jeszcze raz, bardzo powoli i uważnie obejrzeć ciało zmarłej, spróbować znaleźć ślad, jakąś wskazówkę, cokolwiek.

Jednak ostatecznie nie znalazła niczego.

Jak więc to zrobili?

- nie przestawała się zastanawiać.

Jak?

Bo była już pewna - domyśliła się tego natychmiast, gdy tylko zobaczyła ten wyszywany symbol - że smok to był ich podpis, zostawiony specjalnie dla niej.

Jej matka nie umarła w sposób naturalny z powodu rozległego zawału serca.

Ten zawał został w jakiś sposób wywołany.

Nic nie mogło być podane w jedzeniu - wszystkie trzy jadły te same potrawy, przygotowane przez Martę.

To samo dotyczyło napojów.

A poza tym trucizna zostawia jakieś ślady, prawda?

Nie, jednak nie zawsze.

Może więc była to pigułka, włożona między jej lekarstwa?

Dominique bardzo uważnie przepatrzyła wszystkie półki wiszącej w łazience apteczki.

Sprawdziła po kolei różne pudełka i słoiki z firmowymi nakrętkami.

Nie znalazła jednak niczego, poza aspiryną, witaminami i jeszcze paroma innymi równie banalnymi lekami, popularnymi i z całą pewnością absolutnie nieszkodliwymi.

Jej matka zawsze cieszyła się bardzo dobrym zdrowiem: spokojny umysł dodaje zdrowia ciału - jak ujęła to kiedyś jej babka z rodziny de Villefort.

Jeżeli rzeczywiście dodaje, to nic dziwnego, przecież nigdy nie chorowała, pomyślała nieco wzgardliwie.

Daty wydrukowane na pudełkach i nalepkach pudełek były stare; Catherine nie należała do osób, które z byle powodu sięgają po pigułkę.

Więc co było przyczyną jej śmierci?

Jak ją zabili?

Może jakimś strasznym ciosem z chińskich sztuk walki?

Słyszała o karate, o taekwondo, wiedziała, że można człowieka zabić nawet gołą dłonią.

Ale pozostałby po tym jakiś ślad, siniak, otarcie.

Tymczasem na ciele jej matki nie było nic, poza niewielką różową plamką na karku tuż pod linią włosów i paroma drobnymi zadrapaniami skóry na palcach, które w oczywisty sposób musiały powstać podczas pracy w ogrodzie, gdy Catherine nie założyła ochronnych rękawic.

Pewnie też w ogrodzie coś ją ugryzło w szyję.

Dominique sprawdziła wszystko, nawet kremy, odżywki do skóry i włosów, olejek do kąpieli, talk i puder.

Współcześni mordercy wykorzystują najnowsze osiągnięcia nauki - śmiertelna trucizna może zostać dodana do najbardziej banalnych i nieszkodliwych produktów, wystarcza jedna maleńka kropelka.

W końcu usiadła w fotelu, by jeszcze raz to wszystko przemyśleć.

To, co się stało, naprawdę dawało do myślenia.

Jak zręczni i jednocześnie bezwzględni okazali się ludzie, którzy to zrobili.

Musieli znaleźć jakiś sposób, by śledzić jej matkę, również nocami, skoro tyle o niej wiedzieli...

także o tym, co zwykła robić sama ze sobą każdej nocy.

W jakiś sposób, którego na razie nie potrafiła odkryć, zabili ją, ale tak, żeby to wyglądało na śmierć całkowicie naturalną.

Gdyby nie zatroszczyli się o podrzucenie tego oczywistego znaku - złotego smoka - również i jej nie przyszłoby do głowy, żeby cokolwiek podejrzewać.

Oczywiście chodziło tu o nią.

To było ostrzeżenie - by wiedziała, że ma słuchać ich rozkazów; w przeciwnym razie czeka ją ten sam los.

Wstrząsnął nią nagły dreszcz, gdy nagle uświadomiła sobie, że ci ludzie przecież nawet nie znali jej matki, nigdy się z nią przedtem nie zetknęli.

Nie miało to dla nich żadnego znaczenia.

To zabójstwo było tylko sposobem osiągnięcia celu.

W miarę, jak coraz wyraźniej uświadamiała sobie bezmiar bezwzględnego okrucieństwa tych ludzi, znów zaczął się w niej rodzić potworny strach.

Okazywało się, że wciąż jest w ich rękach, jak rzecz, z którą mogą zrobić to, co zechcą i kiedy zechcą.

Przez chwilę poddała się rozpaczliwej panice; naprawdę niewiele brakowało, by to wybuchło - chciała krzyżeć, chciała szukać jakiejś innej bezpiecznej kryjówki, chciała głośno oskarżać tych, którzy...

Ostatecznie jednak potrafiła się opanować, wróciła do własnej sypialni i wzięła jeszcze jedną tabletkę mogadonu.

Nie wystarczyła na to, by po niej usnąć, ale pomogła uspokoić rozdygotane nerwy.

W końcu trzeba było zająć się przygotowaniem do pogrzebu matki.

Dominique zadzwoniła pod numer, z którego korzystała zawsze, gdy chciała pilnie skontaktować się z mężem.

Na szczęście okazało się, że tym razem jest zupełnie blisko, bo we Frankfurcie.

Pojawił się więc już po kilku godzinach.

Jego wyrazy współczucia przyjęła z twarzą przypominającą zastygłą maskę, pod którą można było dostrzec akurat tyle wywołanej szokiem histerii, ile należało.

Widać było, że wciąż nie może uwierzyć w to, co się stało, i że w każdej chwili jest bliska omdlenia.

Kiedy powiedziała mu, w jak szokującej pozycji znaleziono zmarłą, Blaise powiedział tylko: - Tak, można było zauważyć, że od dłuższego czasu coraz bardziej pogrąża się w swoich rojeniach, również seksualnych.

Ale dzięki temu była szczęśliwa, więc kto za to ma prawo ją potępiać?

Na pewno nie ja - powiedziała Dominique.

Całe szczęście, że akurat tu byłaś.

- Prawda?

A w ogóle to bardzo ładnie z twojej strony, że znalazłaś czas, żeby tu do niej przyjechać. Ty, która jesteś teraz tak zajęta.

Dominique uważnie przyjrzała mu się spod przymrużonych rzęs, zastanawiając się, czy nie ma w tych słowach jakiegoś ukrytego podtekstu.

Jednak znów nie potrafiła nic wyczytać z tej twarzy.

Ta nieruchoma maska cholernego Indianina na prawdę mogła doprowadzić do wściekłości.

Należało się jednak opanować i pozwolić mu zająć się wszystkimi przygotowaniami do pogrzebu.

Prawdę mówiąc, sama nie byłaby do tego zdolna, mogła myśleć już tylko o własnej rozpaczliwej sytuacji.

Nie miałyby sensu próba kontaktowania się z Cza Li.

Jeżeli ci ludzie potrafili zabić jej Bogu ducha winną matkę tylko po to, żeby to było dla niej ostrzeżeniem, to trudno było sobie wyobrazić, że teraz nagle zgodzą się na coś, co mogło poprawić jej sytuację.

Blaise mimo wszystko zauważył, że jego żona coś przed nim ukrywa i że coś ją dręczy. Była napięta jak struna, która w każdej chwili może pęknąć, i wstrząśnięta znacznie bardziej, niż można by się po niej spodziewać, nawet z racji niespodziewanej śmierci matki.

Postanowił więc porozmawiać z lekarzem, który wystawił akt zgonu.

Ale od niego też nie dowiedział się niczego nowego.

O ile wiem, moja teściowa nigdy nie uskarżała się na serce - zauważył.

- To niekoniecznie musi wynikać jedno z drugiego, proszę pana.

W mojej praktyce spotykałem się już wielokrotnie z niespodziewaną śmiercią osób, które wydawały się niezwykle zdrowe i pełne sił witalnych.

Zawsze trzeba się liczyć z taką możliwością, wada serca może być ukryta i wtedy nie ujawnia się nawet przez długie lata.

A poza tym - lekarz dyskretnie ściszył głos - pani Despard była osobą o znacznym, nazwijmy to tak, apetycie seksualnym.

Z tego, co mówi Marta, wynikałoby, że to, co robiła, było już powtarzaniem co noc rytuałem.

Gwałtowne przeciążenie serca za każdym razem było tu oczywiste.

To mogło stale pogłębiać jakąś ukrytą wadę, aż w końcu...

- Doktor Morel wzruszył ramionami.

- W każdym razie stało się to szybko i bez bólu.

Wcale nie najgorsza śmierć.

Może tak, ale w przypadku Catherine to jednak wciąż wydawało mu się mało prawdopodobne.

Choć prawdą było, że zarówno ona, jak i jej mąż rzeczywiście charakteryzowali się tym, co doktor Morel nazwał znacznym apetytem seksualnym.

W wypadku Catherine trzeba było dopiero drugiego, szczęśliwego małżeństwa, żeby się to ujawniło, przede wszystkim dzięki temu, że Charles ją kochał.

W każdym razie, skoro matka była taka, nie należało się dziwić, że i jej córka Dominique okazała się takim wiecznie nie nasyconym zwierzęciem seksualnym.

Na pogrzeb Catherine przybyli przede wszystkim ludzie, którzy znali ją przez Charlesa.

Ona sama miała bardzo niewielu własnych przyjaciół, ponieważ po prostu nie chciała ich mieć.

Chciała mieć tylko swojego męża i nikogo poza nim.

Pojawiło się jednak parę osób z jej dawnego świata Faubourg, resztę stanowili ludzie z wioski, którzy przyszedli tak z ciekawości, jak i z szacunku dla zmarłej.

Msza żałobna w wiejskim kościele była piękna i wzruszająca, trumnę zasypano mnóstwem wspaniałych kwiatów.

Marta przez cały czas pociągała nosem, od chwili gdy trumna została wniesiona do kościoła, aż do momentu, kiedy opuszczono ją - zgodnie z wolą zmarłej - do podwójnego grobu, w którym spoczywały już doczesne szczątki jej męża.

Ostatnia wola Catherine pozostawiała wszystko jej córce Dominique.

W parę chwil po zakończeniu pogrzebu wszyscy uczestnicy ceremonii znaleźli się ponownie w starym wiejskim domu.

Dominique słusznie mogła uznać, iż zagrała tam rolę swego życia.

Błada, niemal eteryczna w głębokiej czerni żałoby, lekko jak duch przemieszczała się od jednej grupki gości do następnej, wszędzie znajdując właściwe słowa, które potrafiła skierować do właściwej osoby.

Stare wdowy, arystokratki z Faubourg, które pamiętały jej matkę jeszcze z dzieciństwa, szeptały między sobą z wyraźną aprobatą.

Rasę jednak zawsze się poznaje.

To prawdziwa du Vivier, w każdym calu.

Blaise również zdał sobie sprawę, że jego żona jeszcze nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie; poruszała się z niewysłowionym wdziękiem, a jej delikatny profil, gdy w milczeniu słuchała słów jakiejś starej markizy, był piękniejszy od wszystkiego, co kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć u jakiegokolwiek kobiety.

Tymczasem stare damy z arystokracji patrzyły na niego dokładnie tak, jak on teraz patrzył na swą żonę.

One również nigdy dotąd nie widziały aż tak wspaniałego mężczyzny, a w każdym razie takiego, który byłby równie nieświadomy tego, jaki jest pociągający właśnie jako mężczyzna.

Podziwiała jego doskonałą francuszczyznę; niczym kolorowe ptaki stroszyły piórka pod każdym jego spojrzeniem.

Pochylały się ku sobie i plotkowały o nim, pełne podziwu: cuisses de far, magnifique et tellement excitant.

Blaise niewzruszenie odgrywał swoją rolę, podobnie jak Dominique grała swoją.

Od czasu do czasu ich spojrzenia spotykały się, i w kącikach ich warg pojawiał się ledwie dostrzegalny cień uśmiechu.

Jakie to dziwne, pomyślał Blaise, że akurat teraz jest między nimi poczucie większej bliskości niż kiedykolwiek dotąd.

Później, kiedy wszyscy już wyszli, Dominique i Blaise usiedli razem na tarasie w ciepłym słońcu późnego popołudnia.

Wciąż czuli się sobie bliscy, wciąż trwało między nimi to niepisane zawieszenie broni.

Blaise oczekiwał więc, że Dominique wszystko mu teraz opowie.

Był doskonały moment, by to zrobić.

Ale Dominique najwyraźniej nie zamierzała skorzystać z tej możliwości.

- Czy zamierzasz sprzedać ten dom?

- zapytał po dłuższej chwili.

Skoro nie chciała nic opowiedzieć, należało rozmawiać o czymś innym.

- Nie - odpowiedziała Dominique.

- Kiedyś uważałam, że Vent jest na końcu świata i jeszcze dalej, jak mawiają Anglicy.

Ale teraz wiem, że to jest właśnie to miejsce - na samym końcu tęczy.

I chcę je zachować, żeby mieć gdzie wrócić, kiedy mi zaczną wysiadać akumulatory, żeby je trochę podładować.

- A teraz się rozładowały do zera?

Dominique westchnęła głęboko.

- Trochę się rozładowały.

- Ostatnio bardzo ciężko pracowałam.

Czy nie mogłabyś sobie zrobić jakiejś przerwy na odpoczynek?

- Nie teraz.

Nie kiedy ta Kate Despard już znów depta mi po piętach.

Słyszałeś o sukcesie jej aukcji biżuterii?

- Tak - odpowiedział Blaise, zapominając dodać, że sam był na tej aukcji.

- I to ona sama prowadziła tę aukcję.

- No, chyba był już najwyższy czas?

- Ja czekałam całe lata, zanim pozwolono mi poprowadzić aukcję.

Całe lata!

I w dodatku poprowadziłam ją w Hongkongu, a nie od razu w Londynie.

- Ona była w sytuacji przymusowej - po prostu musiała się uczyć bardzo szybko.

- No i miała bardzo wielu chętnych, którzy byli gotowi jej pomagać.

Nawet ty...

- Nie pomogłem Kate Despard w niczym, co w jakikolwiek sposób mogłoby mieć wpływ na wynik waszej rywalizacji o przejęcie firmy.

- Taak?

A kto przewiózł na własny koszt tego jej przyjaciela-pedała z Hongkongu do Londynu?

A kto zapraszał ją, żeby znów przyjechała do Kolorado?

Sądziysz, że ja nic nie widzę, że nie umiem myśleć?

Nie mów mi takich rzeczy, bo to obraża moją inteligencję!

A może zaprzeczysz, że twoja ukochana babunia teraz używa już wszystkich swoich - niemałych - wpływów, żeby pomóc właśnie jej?

- To był twój błąd i wyłącznie twoja wina.

Nigdy nie potrudziłaś się, żeby pozyskać sobie jej przychylność.

Zapadło między nimi kruche, łamliwe milczenie.

Blaise zauważył, że palce jego żony znów machinalnie bawią się czymś, co widział u niej już wcześniej, i to parę razy.

Saszetka na okulary, z czarnego aksamitu, na którym wyhaftowany był złoty smok.

Ale to nie był haft, który mogłaby zrobić sama Catherine; matka Dominique zawsze wolała petit point i używała nitki jedwabnej, podczas gdy w tym hafcie nitka była metaliczna.

A poza tym w tej saszetce nie było okularów.

Nocą obudził się nagle, słysząc jakiś hałas w sąsiednim pokoju.

Wyjrzał przez drzwi i zobaczył, że to jego żona sprawdza, czy okna są domknięte.

- Wydawało mi się, że słyszałam, jak to okno stuka - powiedziała, widząc pytające spojrzenie męża.

Ale tej nocy w ogóle nie było wiatru, była zupełna cisza.

A zatem Dominique bała się czegoś...

czy kogoś?

By ją uspokoić, Blaise udał, że sam jeszcze sprawdza ich domknięcie.

Wtedy okazało się, że to okno miało spęczniałą ramę i najwyraźniej nie było otwierane już od lat.

Gdy oboje wrócili do sypialni, Dominique natychmiast przytuliła się do niego.

Było jasne, że szuka nie seksu, ale poczucia bezpieczeństwa.

- Dziękuję ci, że przyjechałeś - szepnęła po chwili.

- Dlaczego miałbym nie przyjechać?

- Oboje wiemy, że w naszym małżeństwie nie wszystko układało się dobrze, przynajmniej czasami.

- Nie ma takiego małżeństwa, w którym wszystko niezmiennie układałoby się dobrze.

- Kiedy ten rok się wreszcie skończy, wszystko będzie zupełnie inaczej - obiecała.

Lepiej, żebyś się o to postarała, pomyślał Blaise.

Jego żona westchnęła.

- Dwie śmierci w ciągu niecałego roku...

Kto by pomyślał?

- Jeżeli Catherine jest teraz z Charlesem - a ona w to wierzyła całym sercem - to dlaczego mielibyśmy się martwić?

- A ty wierzysz, że oni teraz są razem?

-Nie.

- Ja też nie.

W piekło też nie wierzę.

Piekło jest tylko na ziemi - kiedy się czegoś chce nad życie i nie może tego osiągnąć.

- Ale mimo to szczerze wierzysz, że niektórzy ludzie pójdą do piekła?

Więcej, że pójdą tam wszyscy poza tobą?

Dominique roześmiała się.

- Ach, ty...

- mruknęła już zupełnie innym tonem, najwyraźniej uspokojona.

Przekręciła się i ułożyła wygodniej, usatysfakcjonowana westchnęła cichutko i po chwili już spała.

Natomiast Blaise długo jeszcze nie potrafił zasnąć.

Patrzył w sufit i myślał.

Nie!

- Kate gwałtownie wyrwała się z obejmujących ją ramion i podniosła się z kanapy.

- Ale dlaczego?

- zapytał zaskoczony Larry.

- Dlatego że...

...że nie jesteś tym właściwym mężczyzną, chciała odpowiedzieć natychmiast.

Ale powiedziała tylko: - Dlatego że nie jestem w nastroju.

Larry popatrzył na nią nachmurzony.

- Ten nastrój jakoś bardzo szybko się zmienił!

- Przepraszam - powiedziała tonem pełnym zmęczenia.

- To nie twoja wina.

- Jest jakiś inny mężczyzna, prawda?

Ktoś okazał się lepszy i szybszy?

Ten cały Nicholas Chevely?

- Oczywiście - odpaliła Kate.

- Trafienie jak kulą w płot!

- Więc jest ktoś inny.

- Daj spokój, Larry.

Nie ma nikogo, absolutnie nikogo.

Przepraszam, jeżeli z mojego zachowania mogłeś odnieść wrażenie, że...

Ale chyba sam przyznasz, że nie jesteśmy taką parą, jak na przykład Antoniusz i Kleopatra, prawda?

Larry uśmiechnął się mimo woli.

- Już prędzej jak Myszka Miki i jej pies Pluto, co?

Kate zachichotała.

To najbardziej ceniła w Larrym: że nigdy nie chował urazy.

Taki charakter to idealny psychiczny amortyzator.

- Strasznie dużo mam teraz na głowie - tłumaczyła mu, zresztą zgodnie z prawdą.

- Na dobrą sprawę potrafię myśleć już tylko o Courtland Park, o niczym innym.

- Może mógłbym w czymś pomóc?

Byłem harcerzem, wiesz?

Kate roześmiała się i popatrzyła na niego.

- Nie, nie trzeba.

Ale dziękuję za chęci.

Larry potrafi być taki miły, pomyślała z sympatią.

Przede wszystkim nic w nim jej nie uwierało - w tym względzie mógłby rywalizować nawet z najbardziej wygodną parą znoszonych butów.

Kiedy ostatnio zaczął niedwuznacznie okazywać, że jej pragnie, Kate pozwoliła mu się całować, a potem także dotykać i pieścić jej ciało.

Ale kiedy dzisiejszego wieczoru Larry chciał zrobić to, co wydawało się jedyną logiczną kontynuacją, Kate nagle zdała sobie sprawę, że nie chce tego, że po prostu nie może.

To było jak błysk, który wydobył z półmroku to wszystko, o czym dotąd nie chciała myśleć, do czego nie chciała się przyznać nawet sama przed sobą.

Nie chciała iść do łóżka z Larrym, bo choć lubiła go bardzo jako sympatycznego przyjaciela, to jednak nie budził w niej pożądania, nie wyobrażała go sobie w roli jej kochanka.

W tej roli mógł wystąpić tylko mężczyzna taki jak Blaise Chandler.

I nikt inny.

Kate zdawała sobie sprawę, że to beznadziejne i nie ma w ogóle sensu.

Ale nie mogła sobie z tym poradzić i wiedziała już, że żadne próby i tak tu nic nie dadzą.

Nie potrafi się już z tego wyrwać.

Jeszcze pięć minut temu, trzymana w ramionach przez Larryego, przez krótką chwilę miała wrażenie, że może się jej to uda.

Ale bardzo szybko okazało się, że jednak nie.

To Blaise Chandler pociągał ją od pierwszej chwili, a ona - całkowicie bezskutecznie, jak się okazywało - usiłowała ustawić mające ją przed nim chronić bariery uprzedzeń i niechęci, próbowała tłumaczyć na jego niekorzyść każde najdrobniejsze podejrzenie; wszystko po to, żeby trzymać się w bezpiecznej odległości.

I wszystko to nie zdało się na nic, jego obraz, usilnie wyrzucany z umysłu i serca, tym silniej się zakorzeniał i nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek miało się to zmienić.

Blaise Chandler był żywym - i niezmiernie pociągającym - ucieleśnieniem jej dziewczęcych marzeń, doskonałym wcieleniem postaci Edwarda Rochester.

Natomiast ona sama o tyle tylko przypominała Jane Eyre, że żadna z nich nie odznaczała się szczególną urodą.

- Czy to przypadkiem nie polega po prostu na tym, że ty wciąż uważasz się za brzydką dziewczynę?

- zapytał Larry, jakby czytając w jej myślach.

Kate była zaskoczona jego przenikliwością.

- Dlaczego miałabym tak myśleć?

- powiedziała, usiłując się wykręcić od odpowiedzi wprost.

- Ponieważ stale mam wrażenie, że ty tak naprawdę nie jesteś przekonana, że masz to coś, o co chodzi, jakbyś wciąż nie wierzyła, że naprawdę mogłabyś pociągać mężczyznę.

Kate zmarszczyła brwi.

- Nie - powiedziała w końcu.

- Nie teraz.

Kiedyś taka byłam - przyznała szczerze.

- Ale to było dawno temu, w innym kraju...

Teraz już nie jestem taka jak wtedy.

Ta dziewczyna, którą wtedy byłam, przestała istnieć.

- Na pewno?

- zapytał.

- Na pewno - oświadczyła kategorycznie Kate.

- No dobrze - rzekł na to Larry.

- Wobec tego to ja.

To ja nie mam tego czegoś, o co chodzi.

- Och, daj spokój!

- zawołała Kate, z kpiącym błyskiem w oku.

- Sam przecież w to nie wierzysz.

- Ja już sam nie wiem, w co mam wierzyć.

Myślałem, że wobec ciebie zachowywałem się tak, jak trzeba, i mówiłem to, co trzeba.

- Ależ tak!

- krzyknęła.

- To tylko ja akurat w tym momencie potrzebuję czego innego.

Larry zapiął guziki koszuli, poprawił krawat i sięgnął po rzuconą na krzesło marynarkę.

- No cóż, nie zawsze można wygrywać - powiedział z rezygnacją.

- Mogę się założyć, że wygrywałeś znacznie częściej, niż wynikałoby to ze średniej krajowej.

Larry wyprostował swój okazały tors, godny mistrza lekkoatletyki.

- Właściwie nie mogę się za bardzo skarżyć.

- Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Kate czuła jednak, że winna mu jest przynajmniej jeszcze parę słów.

- Posłuchaj, Larry - powiedziała.

- Bardzo cię lubię, naprawdę, ale to jednak tylko tyle.

Może to jakaś pozostałość po tej dawnej Kate, ale wciąż nie potrafię tego - wymownym gestem wskazała na kanapę z porzrzuconymi poduszkami - traktować tak lekko.

Wciąż chciałabym, żeby to jednak...

coś znaczyło.

- A tu akurat nie znaczyłoby wiele.

W każdym razie dla ciebie.

- Przecież dla ciebie też nie - powiedziała spokojnie Kate.

- No, powiedz to uczciwie, Larry.

Larry potulnie przyznał jej rację.

- Ale mężczyzna ma obowiązek próbować, nie uważasz?

Kiedy tylko ma szansę.

- Coś mi się wydaje - powiedziała z uśmiechem Kate - że w twoim przypadku te szansę pojawiają się dosyć często.

Larry wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobrze, przyznaję się, że nie zламаłaś mi serca.

Tylko nadwerżyłaś męską dumę.

- W to też nie wierzę - oświadczyła kategorycznie Kate.

Drzwi windy już otworzyły się przed nim.

- Wciąż pozostajemy przyjaciółmi?

- zapytał.

- Mam nadzieję.

- Zatem widzimy się w szpitalu, jutro wieczorem?

- Nie, jutro o tej porze mam aukcję.

W czwartek.

- Będę.

Drzwi windy zamknęły się; do ostatniej chwili widziała jego spojrzenie i te jego białe zęby wyszczerzone w pożegnalnym uśmiechu.

Kate doprowadziła do porządku kanapę, zebrała szklanki i kieliszki na tacę, przeniosła je do kuchni i umyła nad zlewem.

Potem zgasiła światło i przeszła do sypialni.

Pozostawiła w niej w zasadzie bez zmian wszystko, co tam było przed jej wprowadzeniem się pół roku temu.

Wielkie łóżko, wszystkie pozostałe meble i elementy wyposażenia, całość utrzymana w męskiej tonacji szarości i głębokiej czerwieni.

To jej ojciec zdecydował o tej kolorystyce i on też wybrał meble z różanego drewna, poczynając od francuskiego łóża, aż po wysoką komodę z ośmioma szufladami, a także robione na zamówienie zasłony z grubego aksamitu koloru starego burgunda.

Kate ułożyła się na łóżku, z ogromną poduszką pod plecami i głową, i kolejny raz sięgnęła po pakiet listów ojca.

Kiedy czytała je po raz pierwszy, przepłakała nad nimi parę godzin, rozpaczliwie wstydząc się swego postępowania i ubolewając nad tym, co zrobiła, a co i tak było już nie do naprawienia.

Później, kiedy czytała je jeszcze parę razy, starając się wchłonąć to wszystko, co mogły powiedzieć o jej ukochanym ojcu, pomyślała w którymś momencie, że jej uczucia w stosunku do Blaisea Chandlera - które tak gwałtownie wybuchły i przyczyniły jej tyle cierpienia od chwili, kiedy przyznała się do nich sama przed sobą - są, być może, wyrokiem losu, a może też pewną formą pokuty i zadośćuczynienia za jej dawne zachowanie.

Kiedy przeczytała te listy po raz pierwszy, przyrzekła sobie w duchu, że wiele w sobie zmieni, że dołoży wszelkich starań, by przynajmniej teraz spełnić nadzieje, które ojciec z nią wiązał; że stanie się taką właśnie córką, jaką jej ojciec chciał kochać.

Zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, że po jego odejściu przestała sama siebie lubić, że zaczęła się prawie nienawidzić za to, co uważała za własną winę i klęskę.

Teraz, kiedy ponownie zaczęła się psychicznie otwierać pod wpływem tego ciepła, które znów zaczęło się pojawiać między nią i Blaiseem, kiedy potrafili już ze sobą rozmawiać naprawdę szczerze, Kate zdała sobie sprawę, że kobieta może się czuć piękna tylko wtedy, kiedy jest kochana.

Ona sama, kiedy była jeszcze w wieku szkolnym, nie uważała, że jest nieładna, i zupełnie nie przejmowała się tym, co powiedziała o niej jej kostyczna szkocka babka.

Nie przejmowała się do tego stopnia, że nawet powiedziała o tym swojemu ojcu.

Ojciec wtedy popatrzył na nią bardzo poważnie i powiedział: "Ależ dla mnie ty jesteś bardzo piękna, moja mała Kate".

I dopiero później, kiedy odszedł od nich, kiedy nie miała już nikogo, kto mówiłby jej, że jest śliczna - przestała się w ogóle interesować własnym wyglądem, przebranie w byle jakie dzinsy i podkoszulki przyjęła za normę, a szorstkie słowa babki uznała za szczerą prawdę.

I znów, już nawet po pierwszym, pełnym wewnętrznego rozdygotania przeczytaniu wszystkich listów, zaczęła uważniej przyglądać się tej ranie, która przez tyle lat pozostawała nie zagojona w jej duszy.

Zdała sobie sprawę, że nawet czytane po latach słowa jej ojca, tak pełne miłości, będące świadectwem wyrzutów ojcowskiego sumienia i dojmującego smutku, też mogą pomóc w ostatecznym zaleczeniu tych wszystkich jęczących się przez lata psychicznych ran i skaleczeń.

Ten proces gojenia ran zaczął się już wcześniej, chyba w dniu, kiedy okazało się, że ojciec zapisał właśnie jej najcenniejszą część z tego, co miał do ofiarowania.

A fakt, że Blaise Chandler również czytał te listy, w jakiś sposób zbliżał ich do siebie jeszcze bardziej.

Listy były niezmiernie intymne, a jednak Kate nie przeszkadzało, że Blaise znał ich treść.

Wiedziała, że wszystko zrozumiał, ponieważ w przeciwnym razie po prostu by ich jej nie oddał.

Kate zdała sobie sprawę, iż w gruncie rzeczy jest zadowolona z tego, że Blaise Chandler wie o niej aż tak wiele.

Teraz, gdy już mogła się przyznać sama przed sobą do swych uczuć w stosunku do niego, nie martwił jej tak bardzo nawet oczywisty brak jakiegokolwiek nadziei; cieszył ją już sam fakt, że okazała się zdolna do uczuć.

Przecież jeszcze niedawno skłonna była uważać się za osobę emocjonalnie martwą.

Fakt, że w ogóle nie zareagowała na awanse Nicholasa Chevely, zdawał się wtedy to potwierdzać.

Podobnie jak - dopiero co - powstrzymanie romansowych zapędów Larryego.

Teraz jednak wiedziała na pewno, że nie była zimna i nieczuła na mężczyzn, tylko po prostu czekała na tego właściwego.

A fakt, że tym mężczyzną był akurat ten, o którym w żaden sposób nie mogła myśleć z jakąkolwiek realną nadzieją, być może był jedynie ceną, jaką musiała zapłacić za to, że

kiedyś z taką pogardą odtrąciła miłość człowieka, który nigdy nie przestał jej kochać - miłość własnego ojca.

Możliwe, że po lekturze tych listów powinna się czuć jeszcze bardziej smutna; jednak Kate zupełnie tak się nie czuła.

Przeciwnie, dręczące poczucie utraty i wszechogarniającej pustki, w którym żyła przez tak wiele lat, opuściło ją ostatecznie.

To właśnie listy ojca, pełne najszczerzej i tak otwarcie wyrażanej miłości i tęsknoty, sprawiły, że wreszcie odnalazła samą siebie.

Teraz czytała je ponownie, już ze spokojnym sercem, i wreszcie mogła się do woli cieszyć tym wszystkim, co wciąż w nich było.

Pudło z kwiatami przyniesiono w chwili, gdy Dominique w swym nowojorskim apartamencie przebierała się z myślą o umówionym spotkaniu.

Początkowo sądziła, że przysłał je ten właśnie człowiek, który za jakieś pół godziny miał po nią przyjechać.

Kiedy jednak uniosła pokrywę pudła, nagle stężała.

W środku był misternie ułożony obraz z kwiatów - nie rozwinięte jeszcze pączki mnóstwa drobnutkich żółtych róż układały się w kształt ziejącego ogniem smoka.

Niewielki biały bilecik, dołączony do kwiatów, zawierał tylko parę słów, napisanych na maszynie: "Najbliższy poniedziałek, ósma wieczór".

Triada ją wzywała.

W pierwszym momencie wręcz szaleńczej paniki Dominique chciała biec do telefonu, dzwonić do Blaisea i wszystko mu opowiedzieć; poddać się mu bez reszty i schronić w jego opiekuńczych ramionach.

Nigdy dotąd tego nie robiła, ale teraz sama myśl o tym dodawała jej ducha; a przy tym takie poddanie się mogłoby być zaskakująco przyjemne.

Blaise osłoniłby ją nieprzenikalnym magicznym murem, do wybudowania którego wystarczyć mogłoby przecież nawet samo imię potężnej Chandler Corporation.

Ale nie, pomyślała niemal w tej samej chwili i cofnęła dłoń już sięgającą po słuchawkę.

Postępuj ostrożnie.

Najpierw zorientuj się, czego od ciebie chcą.

A sama nie odkrywaj za wcześnie wszystkich swoich kart.

Zatrzymaj Blaisea w rezerwie.

Może oni teraz chcą pertraktować na temat warunków?

Trzeba to najpierw sprawdzić, powiedziała sobie Dominique.

W końcu nie wróciłam natychmiast do Hongkongu, jak się tego pewnie spodziewali.

I nie zmieniłam firmy pakunkowo-spedycyjnej.

A oni jednak nie odważyli się sprzątnąć także i mnie.

Powoli wracała jej pewność siebie.

Tak właśnie powinno być, pomyślała już prawie zupełnie spokojnie.

Należy im stawić czoło.

Wykazać, że grożąc jej, w rzeczywistości tylko blefują.

Już w pełni opanowana podniosła słuchawkę i kazała swojej sekretarce zarezerwować miejsce w samolocie do Hongkongu, z takim wyliczeniem, by w poniedziałek po południu mogła być na lotnisku Kai Tak.

Przylecieli dokładnie o czasie, a przy wyjściu z lotniska już oczekiwała na nią służbowa limuzyna Despards Hongkong.

Jadąc do swego apartamentu z pewnym roztargnieniem słuchała szczebiotu chińskiej sekretarki, która szczegółowo informowała ją o wszystkim, co się wydarzyło w firmie podczas jej nieobecności.

Myślała zupełnie o czym innym, przez cały czas układała sobie w myśli plan spotkania i rozmowy z Cza Li.

Ten, podobnie jak poprzednio, pojawił się całkowicie bezgłośnie i przez nikogo nie zapowiedziany - służba Dominique albo wiedziała, że ma mu schodzić z drogi, albo też wyczuwała to dzięki specyficznemu procesowi tajemniczej osmozy, dzięki której Chińczycy porozumiewają się z sobą bez słów.

Sama Dominique była całkowicie przygotowana i czekała już na niego w swoim salonie. Miała na sobie obcisłą czarną szatę z najlepszego szantuńskiego jedwabiu, przeciętą po obu stronach aż do połowy uda, z mandaryńskim kołnierzem i obciskim naszyjnikiem z wielkich, polerowanych na okrągło szafirów, przedzielonych niemal równie wielkimi brylantami.

Z jej uszu także zwisały szafiry, które były jej talizmanami.

Wcześniej zdążyła jeszcze wziąć gorącą kąpiel, zaraz po półgodzinnej sesji z osobistym masażystą, którego sprawne dłonie usunęły z jej ciała wszelkie pozostałe tam jeszcze napięcia.

Teraz czuła się odświeżona, elastyczna i doskonale sprawna.

Nie tylko fizycznie; po dobrym masażu potrafiła również znacznie lepiej myśleć.

Bardzo starannie zadbała też o swoją twarz, paroma kroplami perfum posmarowała te miejsca, gdzie tuż pod skórą przebiegały pulsujące gorącą krwią błękitne tętnice.

Włosy przeczesła specjalną szczotką, owiniętą cieniutkim jedwabiem - to zwiększyło ich połysk.

Na zakończenie zrobiła pełny obrót przed ścianą z luster w swojej gotowalni.

Jej odbicie w pełni ją usatysfakcjonowało.

Wyglądała naprawdę doskonale, co jeszcze dodało jej pewności siebie.

Po głębokim zastanowieniu się wybrała odpowiednią pozę, w której mogła wyglądać najkorzystniej.

Tak więc gdy Cza Li wszedł do środka, zastał ją stojącą nieruchomo przed szerokim na całą ścianę oknem.

Jej sylwetka w obcisłej czarnej sukni, wybranej z doskonałym wyczuciem teatralnego efektu, przepięknie rysowała się na białym tle półprzezroczystych zasłon; szmaragdy i brylanty jeszcze bardziej podkreślały jej zapierającą dech w piersiach urodę.

Cały ten trud, włożony w przygotowania, najwyraźniej się opłacił.

W czarnych jak owoc tarniny oczach jej niedawnego kochanka Dominique zdążyła dostrzec nagły gorący błysk, który zresztą zaraz znikł, gdy Cza Li pochylił się w formalnym ukłonie.

Ona również skłoniła się, pilnując, by nie mógł w niej dostrzec nawet śladu lęku i nienawiści.

Te uczucia musiały pozostawać pod pełną kontrolą.

- Madame!
- powiedział, pochylony jeszcze w ukłonie.
- Witaj, Cza Li.
- Wszystko dobrze?
- zapytał, nadal niezmiernie uprzejmie.
- Bardzo dobrze, dziękuję.

Coś do picia?

Jak zawsze czekała na niego butelka Roederer Cristal i fantazyjne kanapki z kawiozem, ułożone w malarską kompozycję na pięknej porcelanowej tacy Kang Hsi.

- Bardzo proszę...
- Wskazała mu jego ulubiony fotel, wykonany z lakierowanej na jasno trzciny bambusowej, z grubymi miękkimi poduszkami, obszytymi turkusową jedwabną tkaniną z Tajlandii.

Cza Li zajął wskazane miejsce, a Dominique z właściwą jej kuszącą gracją przesunęła się tuż obok niego, tak blisko, by musiał do niego dotrzeć zmysłowy zapach jej perfum.

Sama naląła mu szampana do wysokiego kieliszka, dumna z tego, że ręka jej nie zdrząła nawet przez ułamek sekundy.

Jej długie, lśniące lakierem paznokcie wyglądały tak, jakby przed chwilą umoczyła je w świeżej krwi.

- No więc?
- zapytała odrobinę prowokująco, smakując doskonałość wytrawnego szampana.
- Wygląda na to, że mamy parę rzeczy do przedyskutowania.
- Pani się myli, madame.

Nie ma najmniejszej potrzeby dyskutować o czymkolwiek.

Dominique uśmiechnęła się.

Te jego chłodne, pozbawione wyrazu oczy paradoksalnie zdawały się tylko umacniać jej siłę.

- Ależ tak, jest taka potrzeba.

Po prostu różne rzeczy się zmieniły od czasu ostatniej pańskiej...

wizyty.

Dominique zamilkła na chwilę, pozwalając mu sądzić, że ma na myśli to, co się stało we Francji, w Vent.

Potem dopiero wystąpiła z tym, co było najważniejsze, ponieważ w przypadku niespełnienia jej żądań mogło rzeczywiście pokrzyżować ich plany.

- Jeżeli nie zgodzicie się zrobić dla mnie tego, czego chcę od was zażądać, już wkrótce mogę utracić wszelką możliwość wprowadzania jakichkolwiek zmian w Despard's Hongkong, w tym także zmiany firmy, która zajmuje się dla nas pakowaniem i spedycją. Jak pan wie, do końca roku moje dyrektorskie stanowisko zajmuję tu tylko warunkowo.

Tymczasem moja siostra, z którą konkuruję, miała ostatnio szczęście i pozyskała zlecenia na dwie olbrzymie aukcje, z których jedna już się odbyła, i to z takim powodzeniem, że w ogólnym bilansie już prawie zrównała się ze mną.

Jeśli ta druga aukcja będzie równie udana, moja siostra wyprzedzi mnie o wiele długości.

A to będzie znaczyło po prostu, że utracę nieodwołalnie tę resztę władzy, którą na razie jeszcze mam w firmie Despard.

Wszystko ostatecznie wymknie mi się z rąk, a to znaczy, że wymknie się również wam.

Czao Li milczał przez dłuższą chwilę, rozważając to, co usłyszał.

Potem powiedział rozkazująco: - Dalej!

- Ta aukcja ma odbyć się w przyszłym miesiącu w wielkiej posiadłości wiejskiej Courtland Park, w hrabstwie Sussex w Anglii.

Trzeba zrobić coś, żeby ostatecznie nie doszła do skutku.

W przeciwnym razie, nawet gdybym potrafiła sprzedać wszystko, co mam, i zorganizowała jeszcze tuzin wielkich aukcji, i tak nie udałoby mi się z nią zrównać.

To, że Kate Despard pozyskała tę aukcję, to rezultat wysoce niepomyślnego zbiegu okoliczności.

Nie muszę zapewniać, że zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby temu zapobiec.

Jednak teraz, jeżeli nie uda się w jakiś sposób storpedować tego w ostatniej chwili, będę mogła się pożegnać z firmą Despard.

A to znaczy, że i wy też.

Czao Li znów milczał przez chwilę.

- A gdyby ta aukcja, z jakiegoś tam powodu, ostatecznie się nie odbyła?

- Wtedy moja siostra nie ma żadnych szans, żeby ze mną wygrać.

Ta przewaga, którą zyskałam po naszej aukcji, wystarczy, żebym się utrzymała na czele przez tych parę miesięcy, które nam jeszcze pozostały.

A wtedy to ja będę szefem Despard i będę miała możliwości, żeby pomóc również wam w waszych...

interesach.

Czao Li jeszcze raz zastanowił się przez chwilę, a potem zdecydował.

- Dostarczy nam pani dokładne dane o domu, w którym ma się odbyć ta aukcja.

Co to za dom, jak jest usytuowana posiadłość, kiedy dokładnie ma się rozpocząć ta aukcja.

Jak najwięcej szczegółów, ile tylko uda się zdobyć.

Przedyskutuję to z moimi współnikami.

Otrzyma pani naszą odpowiedź w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Czao Li zamilkł na chwilę i spojrzał na nią.

- A kiedy już nasz zamiar przeszkodzenia tej aukcji zostanie zrealizowany, pozostanie pani całkowicie do naszej dyspozycji.

Zrobię wszystko, żeby i was wystawić do wiatru, pomyślała Dominique, ale powiedziała bez mrugnięcia okiem: - Oczywiście.

Wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę.

- Zdaje sobie pani sprawę, że wszystko to, co pani powiedziała, będzie sprawdzone?

- To tylko potwierdzi, że powiedziałam prawdę.
 - Jeżeli tak, to nie sądzę, żeby ta aukcja ostatecznie się odbyła.
 - Tylko o to chodzi.
- Jak to zrobicie, to już wasza sprawa.
- A wtedy pani robi dla nas to, czego żądamy.
 - Tak.
 - Wobec tego, madame, już wkrótce damy pani znać.
- Czao Li jeszcze raz skłonił się i wyszedł.

Część Siódma.
Prawdziwie Dobra Robota.
Październik.

Rozdział 18 .

Kate jeździła do Courtland Park przynajmniej raz w tygodniu, by nadzorować postępy przygotowań do aukcji.

Cała zawartość domu została skatalogowana.

Dorothy Bainbridge otrzymała w tej sprawie od Kate carte blanche, jedynym warunkiem było tylko to, by te wszystkie wstępne prace zostały zakończone tak szybko, jak to tylko możliwe.

Wszystkie rzeczy, które nie miały większej wartości - a było tego w całym domu niemało - zostały zebrane razem, a zaproszony przedsiębiorca, zajmujący się skupem, rzucił na to okiem i zaoferował pewną sumę w gotówce.

Pieniądze te zostały natychmiast wykorzystane na opłacenie firmy, która zajęła się gruntownym sprzątnięciem i odświeżeniem wszystkich wnętrz.

Po tym wszystkim dom w Courtland Park wyglądał jak stara kobieta, która właśnie przeszła kosmetyczną operację twarzy.

Rezultat był imponujący.

Wszystkie zasłony zostały zdjęte i uprane na sucho, ściany - gdzie tylko było to możliwe - oczyszczone i umyte, dywany i wykładziny wyczyszczone specjalną pianką.

Podłogi zostały wywoskowane, wszystkie meble - a także drewniane klatki schodowe - wypolerowane; z żyrandoli pozdejmowano chroniące je bawełniane pokrowce.

Oczywiście również cała porcelana została gruntownie oczyszczona, podobnie jak przepiękne georgianskie srebra, które były wyjątkowo zaniedbane, jako że przez Bóg wie ile dziesięcioleci przeleżały bądź w wykładanych miękką bają specjalnych kasetkach, bądź też po prostu w aksamitnych woreczkach.

Na potrzeby trzydniowej wstępnej ekspozycji, poprzedzającej rozpoczęcie właściwej sprzedaży, Kate postanowiła wykorzystać główny hall (wystarczająco duży, by mogły się w nim odbywać dawne wielkie bale myśliwskie) i przylegające do niego jeszcze dwa

pomieszczenia: ogromną jadalnię, w której każdy dźwięk wracał długo odbijającym się od ścian pogłosem, i równie ogromny salon z dwoma wielkimi kominkami.

Ten salon został wykorzystany w całości na ekspozycję cudownych francuskich mebli, które tak bardzo cenili zmarły pan Courtland.

Były tam malowane na szaro fotele marquise w stylu Ludwika XVI, z sygnaturą G. Jacob, wspinałe, obramowane imitacją złota komody intarsjowane różnobarwnym drewnem.

Wyróżniał się wykonany w stylu Ludwika XV regulateur ozdobiony misternie wykładanym wzorem z drewna tulipanowca, a sygnowany przez Herbaulta.

Był tam też złożony fotel, wykonany specjalnie dla Marii Antoniny, dla jej grand cabinet inteheur w pałacu w Wersalu.

Jeszcze jedna komoda, również na metalowej konstrukcji nośnej z imitacji złota, wyłożona twardym brazylijskim drewnem o niezwykłym, niemal fioletowym odcieniu, była podpisana przez J.F. Leleu i została wykonana około roku 1775.

Stojąca tuż obok, jeszcze wcześniejsza - circa 1740 - przypisywana była sławnemu Charlesowi Cressentowi.

Z kolei piękna, intarsjowana różnobarwnym drewnem szafka gabinetowa, wiązana była z nazwiskiem Bernarda van Ridenburgh II.

Szczególną uwagę zwracała - zbudowana również na metalowej konstrukcji nośnej z imitacji złota - wspinała encoignure, charakterystyczny dla owych czasów mebel narożnikowy, sygnowany przez I. Dubois.

Kate była pewna, że prawdziwi znawcy zechcą za to zapłacić bardzo wiele - nawet do miliona funtów.

Z pewnością będą również walczyć o pięknie teraz oczyszczony i odrestaurowany, a pochodzący ze słynnej manufaktury Savonnerie przetykany złotą nitką kremowo-niebieski dywan w stylu epoki Ludwika XIV.

Dywan miał blisko piętnaście metrów na dziesięć i kiedyś leżał na podłodze petit salon u samej pani du Barry.

Na pieczołowicie odrestaurowanych ścianach, obitych bladoniebieskim jedwabiem, Kate postanowiła zawiesić piękne lustra, które odkryła niedawno w jednym z pomieszczeń na poddaszu, gdzie przez lata pokrywały się pajęczyną i kurzem, a także wybrane przez nią samą obrazy - wyłącznie osiemnastowieczne portrety: Gainsborough, Reynolds, Goya, Fragonard i Boucher.

Na marmurowych blatach stylowych encoignures zamierzała wystawić wybrane najpiękniejsze przedmioty z kolekcji francuskiej porcelany, takie na przykład jak pochodząca z czasów Ludwika XV, osadzona na stylizowanej podstawie z imitacji złota waza w kształcie muszli, z porcelany Arita, czy przepiękne, wyprodukowane w Sevres, porcelanowe doniczki - oczywiście wypełnione teraz odpowiednio dobranymi kompozycjami z kwiatów.

Z kolei w jadalni Kate zamierzała ustawić ogromny stół z różanego drewna, zastawiony tak, jak się to robiło w dawnych czasach.

Do tego celu miał posłużyć wspinały serwis bleu du roi z Sevres i georgiańskie srebra, a także szklanki i kieliszki Baccarat.

Do tego miały dojść jeszcze niezmiernie obecnie cenione głębokie talerze z porcelany familie vert, których komplet, składający się z tuzina doskonale zachowanych sztuk, powinien, zdaniem Kate, pójść za co najmniej sto tysięcy funtów.

W głównym hallu zamierzała umieścić obrazy starych mistrzów - w tym dwa portrety pędzla Rembrandta i jeden Rubensa, a także rozkoszny akt, namalowany przez Ingresa, oraz pieczołowicie dobrane meble.

Najcenniejszym z nich miał być przepiękny kredens, wykonany przez Adama Weisweilera, zdobiony panelami z japońskiej laki.

Były to wszystko rzeczy, których nie oglądano na rynku już od wielu dziesięcioleci.

Teraz wreszcie znajdują się w pełnym świetle - a także w świetle lamp błyskowych i jupiterów - pomyślała uszczęśliwiona Kate.

Do rozpoczęcia aukcji pozostawało jeszcze dziesięć dni.

Machina reklamowa kręciła się już na najwyższych obrotach i co najmniej równie wysokich obrotów spodziewano się też na samej aukcji.

Nawet katalog, który początkowo kosztował dwadzieścia pięć funtów, sprzedawano teraz z rąk do rąk za sumę trzy-, a nawet czterokrotnie wyższą.

Zasadniczy nakład został wyprzedany prawie natychmiast, toteż Kate poleciła szybko dodrukować jeszcze drugie tyle, w wersji uproszczonej - bez kolorowych zdjęć.

Chęć uczestniczenia w licytacji wyraziło tak wiele osób, że Kate musiała powołać grupę pomocników do wywoływania zgłaszanych ofert, jako że sama nie byłaby po prostu w stanie wychwycić wszystkich zgłaszających w takim morzu ludzkich głów.

Z tego też powodu należała na zorganizowanie dodatkowych prób, żeby zabezpieczyć się przed najróżniejszymi możliwymi w takiej sytuacji wpadkami.

W końcu od tej aukcji zależało właściwie wszystko: jej własna przyszłość, a także przyszłość całej firmy i los setek pracujących dla niej osób.

Stawką była też jej zawodowa reputacja.

Kate wiedziała już, że najróżniejsze muzea są ogromnie zainteresowane, toteż bardzo pieczołowicie pilnowała, żeby przy wszystkich przedmiotach, wskazanych przez przedstawicieli ministerstwa podczas specjalnego przedaukcyjnego przeglądu, umieszczono odpowiednią informację, wraz z czerwoną gwiazdką w katalogu, oznaczającą eksponaty oficjalnie uznane za przedmioty szczególnej wartości.

Zapowiedziane były ekipy telewizyjne z całego świata, przedstawiciele prasy w sile sporej armii; postarano się też zawczasu o zorganizowanie odpowiedniej ochrony, która zresztą podjęła służbę już teraz, jako że przedmioty wystawiane publicznie na tej przedaukcyjnej ekspozycji warte były co najmniej dwadzieścia milionów funtów.

Komisowe dla firmy Desparda - dziesięć procent od uzyskanej sumy - z całą pewnością znakomicie poprawiłoby jej ogólny wynik finansowy w zbliżającym się bilansie całorocznym.

Zakładając więc, że Dominique nie ukrywała w rękawie jeszcze jakiejś niespodzianki w rodzaju kataklizmu czy małego trzęsienia ziemi, Kate powinna ją wyprzedzić w ogólnym rozrachunku.

Mimo to stale bardzo uważnie studiowała wszystkie sprawozdania, przychodzące z filii Despard w Hongkongu i Nowym Jorku, a także z paru mniejszych oddziałów, pozostających pod kierownictwem Dominique.

Jak dotąd nie było w tych danych niczego alarmującego, żadna z następnich sprzedaży nawet nie zbliżyła się do poziomu zysków, osiągniętych na owej sławnej "aukcji stulecia" w Hongkongu.

Całe to napięcie i nieustanny wysiłek, związany z przygotowaniem aukcji Courtland Park, z całą pewnością mocno wyczerpywały Kate, podobnie jak i jej współpracowników. Ale jednocześnie było to niezwykle atrakcyjne i podniecające, zwłaszcza kiedy w miarę zbliżania się terminu otwarcia atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca.

Zdaniem wszystkich, warte to było tej pracy i tego wysiłku.

Aukcja Courtland Park będzie z pewnością wydarzeniem roku, a pewnie i całej dekady.

Czegoś takiego nie było chyba od czasów zorganizowanej przez Sothebys słynnej aukcji Mentmore.

Jak zawsze, kiedy Kate przyjeżdżała rano do Courtland Park, trwała tam już gorączkowa praca, jak w jakimś ogromnym mrowisku.

Wszędzie widać było ludzi w roboczych kombinezonach, którzy coś wnosili lub wynosili, czyścili, odkurzali i polerowali.

Inni w tym czasie ustawiali drabiny i z ogromną ostrożnością zawieszali pieczołowicie oczyszczone - kształtem i rozmiarami cokolwiek przypominające gigantyczne torty - kryształowe żyrandole z Waterford.

Jeszcze inni kierowali potężnymi warczącymi maszynami, które woskowały i polerowały całe hektary parkietu.

Różni ludzie natychmiast podbiegli do niej ze wszystkich stron, ledwie zdążyła wejść do środka krzyczeli: "Ach, panno Despard, dzięki Bogu, że pani już jest, co my mamy zrobić z"...

Albo: "Panno Despard, czy zechciałaby pani zdecydować, gdzie mamy to zawiesić"...

Lub też: "Panno Despard, nie możemy znaleźć"...

W ten sposób pozostawała w stałym kołowrocie, właściwie bez przerwy aż do piątej po południu, kiedy to pracownicy fizyczni kończyli pracę i rozjeżdżali się do swych domów.

Wtedy na miejscu pozostawała już tylko grupa piętnastu osób z jej własnego personelu, których Kate osobiście wybrała do współpracy przy przygotowywaniu aukcji Courtland Park.

O szóstej po południu Kate również i ich odsyłała do pobliskiego hotelu, wiedząc, że mają za sobą kolejny dzień naprawdę ciężkiej pracy.

Ona sama niejednokrotnie zostawała jeszcze dłużej.

Również i tym razem, po wyprawieniu swych najbliższych współpracowników na zasłużony odpoczynek do hotelu, Kate - jak zawsze - powiadomiła strażników z ochrony, że mogą już włączyć systemy alarmowe, choć ona sama musi jeszcze przez jakiś czas pozostać wewnątrz budynku.

Teraz mogła mieć to wszystko tylko dla siebie, chodzić od sali do sali nie niepokojona nieustannymi pytaniami.

Mogła obejrzeć całość na spokojnie i poczuć nową atmosferę tego miejsca.

Przymierzyć się do tego wszystkiego i zobaczyć na własne oczy, czy to, co tak świetnie wyglądało na rysunkach i projektach, sprawdzało się teraz w realizacji.

- To już jakoś zaczyna wyglądać, prawda, panno Despard?
- powiedział do niej z uśmiechem jeden ze strażników.
- Podoba się panu?
- Jeszcze jak!

Teraz to jest po prostu pałac.

W dniu otwarcia będziemy tu oboje z moją żoną: ja na służbie, a ona wśród publiczności.

Choć obawiam się, że nie ma tu rzeczy, na które moglibyśmy sobie pozwolić.

Kate poprawiła o parę milimetrów ustawienie wyrzeźbionej z bazaltu egipskiej głowy sprzed kilku tysięcy lat.

- Niech pan może spróbuje zajrzeć do naszej filii w starym śródmieściu, kiedy pan będzie w Londynie następnym razem.

Tam mamy ceny o wiele bardziej przystępne.

- A na tę aukcję tutaj to chyba przyjdą sami milionerzy, prawda?

- No, powiedzmy, trochę wyższa klasa średnia - zażartowała Kate.

Strażnik przeszedł do ogromnej kuchni, gdzie mieściły się monitory, a także swego rodzaju centrala, kierująca działaniem służb ochrony.

Kate tymczasem przechadzała się po hallu i sprawdzała ogólny efekt dotychczasowych przygotowań.

Czy akurat ten autoportret Rembrandta wygląda najlepiej na tej ścianie w głębi, czy też może lepiej byłoby zamienić go miejscem z obrazem Rubensa, tak wspaniałym w kompozycji i przede wszystkim w kolorze?

Rembrandt wydawał się jej jakby odrobinę mroczny.

Kate zapisała parę słów w podręcznym notatniku.

Dywan został starannie odświeżony i jego kolory, dotąd mocno poszarzałe pod warstwą zbierającego się przez dziesięciolecia kurzu, teraz nabrały blasku i wyrazistości.

Również odnowienie obicia ścian powiodło się doskonale; gołym okiem naprawdę trudno byłoby dostrzec miejsca, w których zniszczone płyty jedwabnej tkaniny zostały zastąpione nowymi.

Koledzy z rady nadzorczej skłonni byli uważać, że Kate oszalała, ładując takie pieniądze w dom, który do niej nie należał.

Ale Kate wiedziała, że właściwy klimat wnętrza, odpowiednie otoczenie, w którym prezentuje się sprzedawane przedmioty, mogą w efekcie znacznie podnieść poziom uzyskiwanych cen.

Poza tym Kate nie powiedziała jeszcze swoim kolegom z zarządu, że po aukcji chciałyby złożyć ofertę kupna tego domu w Courtland Park, aby go wykorzystywać jako stałą bazę do organizacji aukcji zbiorów dzieł sztuki i antycznych mebli z podobnych wiejskich posiadłości, przede wszystkim w tych przypadkach, gdy z tych czy innych powodów aukcja nie mogłaby się odbyć in situ.

Jednak kupienie tego domu było uzależnione przede wszystkim od wysokości ogólnej sumy, którą uda się uzyskać na aukcji i - co za tym idzie - od wysokości prowizji dla firmy Despard.

Kupić ten dom będzie można tylko pod warunkiem, że wyliczenia Kate - i jej marzenia - ostatecznie się potwierdzą i zrealizują.

Wtedy będzie mogła sobie na to pozwolić.

Z przyjemnością stwierdziła, że flamandzkie gobeliny znakomicie prezentują się na tej części ściany, gdzie w dzień wielkie okno zapewniało właściwe, rozproszone światło, a po zmierzchu jeszcze cieplejsze i jeszcze bardziej łagodne oświetlenie dawała stojąca lampa z brązu, w kształcie nimfy trzymającej płonąca pochodnię.

Figura nimfy została odlana w Niemczech, około roku 1600.

Powoli, delektując się każdą rzeczą z osobna, Kate szła kolejno przez te trzy ogromne pomieszczenia, zatrzymując się co chwila, dotykając, wyglądając, poprawiając i wręcz pieszcząc poszczególne przedmioty.

Co chwila zapisywała w notesie przychodzące jej do głowy pomysły: przestawienia, udoskonalenia, poprawienia tego czy tamtego.

Termin rozpoczęcia trzydniowej ekspozycji, poprzedzającej właściwą aukcję, zbliżał się z każdym dniem, a Kate chciała, by już na ten dzień wszystko było gotowe i absolutnie perfekcyjne.

Nad jej głową ukryte w ścianach kamery telewizji wewnętrznej śledziły każdy jej krok.

Po otwarciu ekspozycji w podobny sposób miały umożliwić nadzorowanie przybyłych na aukcję gości.

Dyżurujący w kuchni przy czterech monitorach strażnicy mogli mieć stale wszystko na oku, by w porę wychwycić takich, którzy mieliby zbyt zręczne palce, albo też próbowali dopuścić się aktów wandalizmu, czy to ze zwykłej zawiści, czy też z racji niezrównoważenia umysłowego.

W każdej sali były też ukryte ultraczułe mikrofony, każdy dźwięk był wychwytywany i odtwarzany stereofonicznie w słuchawkach dyżurujących pracowników ochrony.

Kate nagle usłyszała leciutki trzask włączanych głośników i głos strażnika: - Czy miałyby pani ochotę na filiżankę herbaty?

Właśnie zaparzyliśmy.

- Dziękuję, chętnie.

Ale dajcie mi jeszcze pięć minut...

Pechowy zbieg okoliczności, a w szczególności ostry atak wietrznej ospy, którą Benny Fong zaraził się od swej najmłodszej córeczki, sprawił, że ostatnia kasetka z mikromagnetofonu, ukrytego w apartamencie na poddaszu - ta właśnie, na której nagrała się rozmowa Dominique z Cza Li o ich planach storpedowania aukcji Courtland Park - dotarła do adresata z opóźnieniem i została przesłuchana dopiero po dziesięciu dniach.

Zminiaturyzowany magnetofon ukryty był bardzo zręcznie we wnętrzu nie budzącego niczyich podejrzeń przenośnego tranzystorowego radia, należącego do kamerdynera Dominique o imieniu Czang, skądinąd kuzyna Bennyego Fonga.

Czang zwykł był słuchać radia niemal na okrągło.

Ukryty magnetofon był zdalnie sterowany sygnałem z włączającego się na każdy dźwięk miniaturowego mikrofonu typu "pluskwa", wciśniętego do jednej z lamp w salonie Dominique.

Kuzyn Czang miał obowiązek sprawdzać taśmę każdego dnia i zmieniać mikrokasetkę za każdym razem, gdy taśma się kończyła.

Nagrana kasetkę umieszczał następnie w opakowaniu po luksusowych papierosach, które paliła Dominique, i wraz z innymi śmieciami wyrzucał do zsypu.

Pojemnik, do którego trafiały śmieci, był następnie bardzo dokładnie sprawdzany przez jeszcze jednego kuzyna Bennyego, a jeśli w opakowaniu po papierosach była mikrokasetka, po kilku minutach trafiała do pewnego ulicznego sprzedawcy, od którego odbierał ją jeszcze ktoś inny.

W ten sposób nagranie trafiało w końcu na biurko Bennyego Fonga.

Tyle że tym razem przeleżało tam przeszło tydzień, zanim Benny wrócił ze szpitala.

Blaise Chandler był w tym czasie w Paryżu, a ponieważ odległość była niewielka, postanowił odwiedzić Kate w powrotnej drodze do Stanów.

W ciągu ostatnich dni nasłuchiwał się już wiele na temat aukcji Courtland Park; ludzie stale go pytali, czy zamierza na nią przyjechać.

- To ma być coś niezwykłego - mówili.

- Jeszcze czegoś takiego nie było.

Sądząc choćby z tego, co pokazano w katalogu, w walce o niektóre rzeczy ludzie skoczą sobie do gardeł.

Krew się poleje...

Blaise któregoś dnia wstąpił do paryskiego oddziału Desparda, by zapoznać się z ich opinią na temat tej aukcji, i był bardzo przyjemnie zaskoczony tym, co tam usłyszał.

- To będzie naprawdę wspaniałe - powiedział mu jeden z francuskich dyrektorów.

- Szkoda, oczywiście, że stworzone we Francji arcydzieła sprzedawane są gdzie indziej; ale przynajmniej możemy się pocieszać, że sprzedaje je firma Despard.

Po przylocie na Heathrow Blaise zadzwonił z lotniska do biura Desparda London, gdzie powiedziano mu, że Kate jest teraz stale na miejscu, w Sussex.

Postanowił więc, że ją tam odwiedzi.

Odprawił kierowcę służbowej limuzyny londyńskiego oddziału Chandler Corporation, który zgłosił się po niego na lotnisko; z jakiegoś powodu wolał jechać sam, toteż skierował się prosto do stanowiska wypożyczalni samochodów Hertz.

Już po chwili trzymał w dłoni kluczyki od najnowszego modelu Porsche Turbo.

Pogoda była znakomita, mimo późnego popołudnia było jeszcze ciepło i słonecznie.

Do Courtland Park powinien w tej sytuacji dojechać gdzieś około wpół do siódmej.

Potem Kate mogłaby go oprowadzić po przygotowanej ekspozycji, a następnie on zaprosiłby ją na kolację.

Blaise poczuł, że humor mu się poprawia na samą myśl o tym, że znów zobaczy Kate.

Dobrze się czuł w jej towarzystwie; można z nią było po prostu rozmawiać, co -jak to musiał sam przyznać, nawet jeśli była w tym i jego wina - nie za często zdarzało mu się w dotychczasowych stosunkach z kobietami.

W jakiś dziwny sposób czuł się nawet z niej dumny: świetnie dawała sobie radę i tak dzielnie potrafiła stawić czoło wyzwaniu, że - sądząc choćby po reakcji Dominique - okazała się w tym aż za dobra.

Blaise doskonale wiedział, że w tej sytuacji jego żona nie zaniedba żadnej szansy, i tym bardziej będzie gotowa spotykać się na intymnych kolacjach we dwoje niemal z każdym, byle tylko pozyskać jak najwięcej przynoszących zyski zleceń.

Od jakiegoś czasu stało się jego zwyczajem niespodziewane odwiedzanie różnych filii i oddziałów Despards, podlegających Dominique, i wszędzie właściwie słyszał to samo.

Madame du Vivier ostatnio pojawiała się niczym siejąca postrach trąba powietrzna; niezmiennie niezadowolona z osiąganych wyników sprzedaży, trzaskała batem i żądała podwojenia wysiłków, domagając się przy tym natychmiastowych rezultatów.

Blaise pomyślał wtedy, że jego żona musi się mocno bać.

Nie było w tym zresztą nic dziwnego; wplątała się w naprawdę brzydką sprawę, gdy tymczasem on mógł tylko próbować śledzić jej poczynania i starać się, w miarę możliwości, przynajmniej zapobiec zapadaniu się w to wszystko jeszcze głębiej.

A to przecież musiało być nieuchronnym skutkiem dalszego zadawania się z ludźmi, z którymi nawet ona nie umiała sobie poradzić.

Jednak na razie nie udało mu się znaleźć żadnych bardziej konkretnych dowodów, niczego, co mogłoby pomóc w wyrwaniu Dominique z macek chińskiej mafii.

Rollo ciągle pozostawał w stanie śpiączki, od Bennyego Fonga nadeszła jedynie informacja, że w Mieście za Murem udało im się dotrzeć do miejsca, gdzie wytwarzano falsyfikaty; jednakże wytwórnia była już zlikwidowana i na miejscu pozostały jedynie nagie ściany.

Gdzie ją przeniesiono, nikt nie wiedział - albo też nie chciał powiedzieć - i nie było na to rady.

Zawodził nawet najskuteczniejszy dotąd sposób - wypłacane z kieszeni Blaisea olbrzymie łapówki.

Tym razem nikt nie chciał ich brać.

Strach zamykał usta dosłownie każdemu.

Jedyną osobą, która mogła doprowadzić do tamtych ludzi, pozostawała więc Dominique. Z tego, co mu ostatnim razem zakomunikował Benny Fong, wynikało, że po powrocie z Francji Dominique nie spotkała się z Cza Li i nie zmieniła firmy pakunkowo-spedycyjnej; natomiast rzeczywiście przez te wszystkie dni po przyjeździe sprawiała wrażenie osoby mocno przerażonej.

Dopiero po powtórny uważnym przesłuchaniu taśm Blaise nagle zdał sobie sprawę, co ją aż tak przeraziło.

No tak, najpierw ta nagła śmierć jej matki, bez żadnych widocznych powodów, a potem ta saszetka na okulary z wyhaftowanym złotym smokiem!

W jednej chwili wszystko stało się jasne.

Niewiele brakowało, żeby Blaise natychmiast zadzwonił na policję, ale zaraz uświadomił sobie, że nadal nie ma żadnych dowodów, ma tylko absolutną pewność, że to triady zamordowały matkę jego żony.

To dlatego Dominique sprawiała wrażenie, że potwornie się czegoś boi.

To dlatego ona, która dotychczas nigdy nie dbała o takie rzeczy, nagle wstawała w nocy, żeby sprawdzać, czy wypaczone i zakleszczone na amen stare okna na pewno są zamknięte.

A to morderstwo było oczywistym ostrzeżeniem.

Ostrzeżeniem przed tym, co ją czeka, jeżeli nie będzie posłuszna ich rozkazom.

Blaise polecił więc Bennyemu, żeby podwoił wysiłki; Dominique odtąd miała być śledzona bez przerwy, "nawet wtedy, gdy udaje się do ubikacji".

To było praktycznie wszystko, co mógł zrobić, jeżeli chodziło o żonę.

A żeby mieć pewność, że Kate również jest bezpieczna, wynajął i wysłał do Londynu człowieka nazwiskiem Larry Cole.

Postarał się też, żeby jeden z jego własnych ludzi został zatrudniony jako strażnik w firmie ochroniarskiej, z której usług Kate - za jego poleceniem - korzystała w Courtland Park.

Dobrze, że przynajmniej ona nie miała najmniejszego pojęcia, że wciąż jest zagrożona; oczywiście wynikało to głównie z tego, że o sobie w ogóle nie myślała.

Wciąż nie zdawała sobie sprawy, że Larry Cole w ostatniej chwili udaremnił jak najbardziej prawdziwy zamach na jej życie.

Na razie próba nie została powtórzona, jednak Blaise miał nieprzyjemne uczucie, że na tym się nie skończy.

Czasami na samą myśl o tym czuł niepokojące mrowienie w karku, a był to sygnał, któremu nauczył się wierzyć jeszcze w Wietnamie.

To też było powodem, że teraz jechał do Sussex; chciał się osobiście upewnić, że Kate nic nie grozi.

Nakazał też zaostrenie ochrony Rolla - na jego polecenie zaangażowano pielęgniarkę, która wcześniej przez wiele lat służyła w kobiecych wojskowych formacjach WAC, a którą Blaise znał jeszcze z Wietnamu.

Jej można było ufać, podobnie jak Larryemu.

Mogłoby się więc wydawać, że zabezpieczył się już na wszelkie ewentualności; coraz trudniej jednak znosił samo oczekiwanie.

Był już prawie na miejscu.

Skręcił z głównej drogi i wjechał na boczną, która wiodła teraz wzdłuż długiego muru, wysokiego na blisko trzy metry i zwieńczonego nie kończącym się pasem potrójnie rozgałęzionych, kutych w żelazie szpikulców.

Blaise zwolnił, przejechał wzdłuż muru jeszcze blisko kilometr, nim wreszcie zatrzymał się przed ogromną dwuskrzydłową bramą, zdobioną kutymi w żelazie ornamentami, tak delikatnymi, że wyglądały niemal jak koronka.

Kilka metrów za bramą, z lewej strony, widoczny był niski budynek stróżówki, z której - zanim jeszcze Blaise zdążył wysiąść z samochodu - wyszedł mężczyzna w uniformie strażnika.

Bardzo dobrze, pomyślał Blaise.

Bardzo słusznie zrobiła, stawiając straż już teraz; zwłaszcza jeśli uwzględnić wartość tego, co zgromadzono w tej posiadłości.

Przydałoby się jeszcze jakieś zdalne monitorowanie.

Spojrzał w górę i z przyjemnością zobaczył, że i o tym pomyślano.

Na cokołach kamiennych jednoroźców, które zdobiły szczyt bramy, można było dostrzec zdalnie sterowane miniaturowe kamery wewnętrznego obwodu telewizji, ustawione tak, żeby można było stale obserwować nie tylko bramę, ale i zbliżające się z obu kierunków pojazdy.

Na widok tych zabezpieczeń Blaise poczuł się znacznie lepiej.

- Czy mógłbym w czymś pomóc, sir?

- zapytał strażnik.

Był rosy, uprzejmy i wyglądał na łagodnego poczciwca, ale Blaise dobrze znał ten typ. Doskonale wyszkolony i w razie potrzeby - śmiertelnie skuteczny.

- Nazywam się Blaise Chandler i chciałbym rozmawiać z panną Despard.

- Czy jest pan z nią umówiony?

- Nie, ponieważ ledwie parę godzin temu przyleciałem do Anglii.

Jestem jednak pewien, że panna Despard zechce mnie przyjąć.

- Proszę łaskawie chwilę poczekać - powiedział strażnik i wrócił do stróżówki.

Blaise pokiwał głową z uznaniem.

Tak, to mu się podobało.

Wcześniej czuł się dosyć zaniepokojony, zwłaszcza kiedy przeczytał w gazetach o cenach, jakie spodziewano się osiągnąć za poszczególne wystawiane na aukcję przedmioty.

Przecież to było nieomal zaproszenie dla złodziei, musiało ich z całą pewnością ściągać tak, jak wystawiony w otwartym oknie talerzyk z miodem musi nieuchronnie ściągnąć cały rój os.

Jednak tak szczelna kontrola i podjęte środki ostrożności świadczyły, że Kate również sobie z tego zdaje sprawę.

Strażnik tymczasem wrócił.

Teraz w jego postawie była nie tylko uprzejmość, ale i dająca się zauważyć życzliwość.

- Panna Despard prosi, żeby pan zechciał podjechać do głównego budynku.

Tam będzie na pana oczekiwać.

Ta droga doprowadzi pana dokładnie na miejsce.

Blaise wrócił do samochodu, a strażnik znów wszedł do stróżówki i już po chwili żelazne skrzydła ogromnej bramy otworzyły się niemal bezszelestnie.

Blaise uniósł dłoń i kiwnął nią w stronę strażnika.

- Dziękuję!

- zawołał i wolno wjechał do środka.

Droga, którą od bramy dojeżdżało się do głównego budynku posiadłości - szeroka, ale dość kręta - prowadziła między pięknymi starymi drzewami ogromnego parku.

Co każe tym Anglikom ukrywać swoje domy w głębi, w samym środku posiadłości tak wielkich jak nowojorski Central Park?

- pomyślał Blaise.

Minął wspaniałą fontannę - tyle że z wyłączoną wodą - i kilka antycznych marmurowych posągów, które co jakiś czas pojawiały się w polu widzenia.

Wreszcie, za ostatnim zakrętem, zobaczył dom.

Olbrzymia budowla w stylu rezydencji z czasów króla Jakuba wznosiła się zaraz za obszernym podjazdem z grubego tłucznia.

Na schodach prowadzących do frontowych drzwi, przez które mógłby swobodnie przejechać średniej wielkości czołg, oczekiwała Kate.

- Kolejna miła niespodzianka!

- powiedziała z uśmiechem, podchodząc, żeby się z nim przywitać.

- Dzwoniłem najpierw do pani biura, ale powiedziano mi, że jest pani tutaj.

Pomyślałem więc, że może po prostu przyjadę i sam zobaczę to wszystko, o czym już się tak wiele mówi.

Spojrzał na dom.

Musiał mocno odchylić głowę do tyłu, żeby ogarnąć wzrokiem olbrzymią fasadę, której gotyckie okna dzielone były kamiennymi słupkami, zdobionymi ornamentem.

- Dosyć to duże, prawda?

- powiedziała z uśmiechem Kate.

Obróciła się i wskazała dwie rozległe połacie trawnika po obu stronach wejścia.

- W dniu otwarcia rozwiesimy tu dwie wielkie markizy, po jednej stronie można będzie dostać coś do picia, po drugiej - załatwić formalności.

- A więc wszystko już jest gotowe?

- Prawie.

Proszę wejść do środka, a pokrótce to panu pokażę.

To, co zobaczył, zrobiło na nim naprawdę wielkie wrażenie.

Przede wszystkim jako ekspozycja, jako całość.

- Kto przygotował taki projekt?

- Szerokim ruchem wskazał na elegancko i ze smakiem rozstawione meble.

- To wszystko zrobiłam sama - odpowiedziała skromnie Kate.

- To znaczy, ja tylko obmyśliłam to ustawienie, nie przesuwałam tych mebli osobiście.

- Nie wiem, co powiedzą pani klienci, ale na mnie to naprawdę zrobiło wrażenie.

Przypuszczam, że takie zaprojektowanie wnętrza, ustawienie mebli w ten sposób, żeby najpełniej wydobyć ich urodę, musi mieć duże znaczenie także dla osiągniętych cen, prawda?

Ludzie skłonni są wtedy zapłacić znacznie więcej.

- Mam nadzieję, że tak właśnie będzie.

- Musiała pani naprawdę ciężko pracować - powiedział Blaise.

- Ostatnie tygodnie to rzeczywiście było lekkie szaleństwo - przyznała Kate.

- Ale rezultat był wart tego trudu?

- Jak już mówiłam: mam taką nadzieję.

- Zauważyłem, że zadbała pani także o ochronę i bezpieczeństwo - powiedział jakby mimochodem Blaise.

- No cóż, będzie tu mnóstwo cennych rzeczy, porozkładanych w różnych miejscach dla najefektowniejszej ekspozycji.

Zwróciłam się więc do tej firmy, którą pan mi kiedyś polecił.

Poprosiłam, żeby dokładnie obejrzel dom i całość terenu, a potem postępowałam zgodnie z ich zaleceniami.

Kosztowało to bardzo dużo, ale...

- Ale kosztowałyby nieporównanie więcej, gdyby jakiemuś złodziejowi udało się wynieść choćby tylko parę wybranych przedmiotów.

Postąpiła pani bardzo rozsądnie.

W rzeczywistości Blaise nie tylko polecił tę firmę ochroniarską - z której usług już przez wiele lat korzystała Chandler Corporation - ale i odbył osobistą rozmowę z jej szefem.

Powiedział mu wówczas, o jaki poziom zabezpieczenia tym razem mogłoby chodzić.

Stale bowiem pamiętał o tym, co stało się w Hongkongu.

Wiedział też, że to mrowienie w karku, które znów zdarzało mu się odczuwać, to nieomylny sygnał instynktu, ostrzegającego przed niebezpieczeństwem.

Teraz poczuł się trochę lepiej, widząc, że posiadłość jest naprawdę dobrze strzeżona.

Tyle tylko, że ta posiadłość - nawet obserwowana przez zdalnie sterowane kamery - była jednak zbyt wielka jak na jego gust: w otaczającym dom parku można byłoby z powodzeniem ukryć całą armię.

Trzeba było jednak uwzględnić także i pierścień fotokomórek, który zabezpieczał teren dookoła domu w promieniu mniej więcej czterdziestu metrów.

Ten system alarmowy był połączony nie tylko z pomieszczeniem strażników, ale również z najbliższym posterunkiem policji.

Jednakże śmierć Catherine Despard stale przypominała o tym, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło Kate.

Jej szczęściem było to, że miała czuwającego nad nią "anioła stróża", choć w ogóle o nim nie wiedziała.

Podobnie jak nie wiedziała o tym, że całkowity koszt zainstalowanych urządzeń i podjętych środków ostrożności był znacznie wyższy, niż wynikało to z sum, które za to zapłaciła.

Różnicę pokrył Blaise, ponieważ w jakiś sposób czuł się za to wszystko odpowiedzialny.

To przecież przede wszystkim jego żona przyczyniła się do powstania zagrożenia.

Sięgnął po katalog, położony na prześlicznym stoliku w stylu Jerzego II.

- Ile czasu zajmie przeprowadzenie całej aukcji?

- zapytał.

- Pięć pełnych dni, od dziesiątej rano do czwartej po południu.

Każdego dnia będziemy sprzedawali co innego: w poniedziałek meble, we wtorek porcelanę i szkło, potem srebra, brązy, dzieła sztuki, osobliwości i tak dalej.

A wielkim finałem będzie przewidziana na ostatni dzień aukcja obrazów.

- Będzie pani naprawdę zapracowana - powiedział Blaise.

A później, kiedy Kate oprowadziła go po przygotowanej ekspozycji, dodał jeszcze: - A już i tak musiała się pani nad tym wszystkim potwornie napracować, jak widzę.

Ale rezultat świadczy, że było warto.

Pani ma znakomity smak, prawdziwie myśliwski węch i bezbłędne oko, o czym zresztą z taką dumą opowiadał mi pani ojciec.

Ja przecież nie jestem ani kolekcjonerem, ani znawcą dzieł sztuki, a i tak to, co zobaczyłem, zaparło mi dech w piersiach.

Więc niech Pan Bóg ma w opiece tych, którzy tu przyjdą po to, żeby kupić.

W jego głosie było tyle niekłamanego podziwu, że Kate aż zarumieniła się z zadowolenia.

Blaise patrzył na nią z prawdziwą przyjemnością.

Świetnie wyglądała w kostiumiku z szarej flaneli i kremowej jedwabnej bluzce z kołnierzykiem związanym wdzięczną kokardką.

Jej sprężyste i lśniące włosy płonęły kasztanowo rudym ogniem.

Także jej twarz wydawała się teraz inna, bardziej miękka, i zupełnie nie przypominała tamtej, którą pamiętał z ich pierwszego spotkania - płaskiej, napiętej i zupełnie nie zadbanej.

Właściwy makijaż, a zwłaszcza odpowiednio nałożone kolory i cienie, wydobyły całą urodę tej delikatnie rzeźbionej głowy.

Blaise pomyślał, że Kate przypomina młodą klacz pełnej krwi - smukłą, długonoga, wręcz tryskająca zdrowiem i młodością.

Kate odwróciła głowę ku niemu i spojrzała pytająco, a Blaise sklął siebie w duchu za to, że aż tak otwarcie się jej przyglądał.

- Co spowodowało, że zdecydowała się pani wydać tyle pieniędzy na dom, który przecież nie należy do pani?

- zapytał.

- Nadzieja, że któregoś dnia będzie do mnie należał.

Opowiedziała mu o swoich planach stworzenia tu bazy Despards, która miałyby być wykorzystywana przede wszystkim przy aukcjach kolekcji prywatnych, zbieranych przez jednego właściciela.

- Chciałabym mieć do tego takie miejsce, które w jakiś sposób odzwierciedlałoby wartość oferowanych przez nas przedmiotów.

Prezentacja naprawdę wyszukanych, pięknych rzeczy wymaga odpowiedniego miejsca i nie może to być zwyczajna sala aukcyjna ze standardowym oświetleniem i standardowymi, niezbyt wygodnymi krzesłami dla publiczności.

Kiedy klient może zobaczyć, jak taki czy inny mebel wygląda in situ, w odpowiednim dla siebie otoczeniu, jest to dla niego dodatkowy bodziec; wtedy wie na pewno, że to, co kupił, odpowiada temu, co sobie wyobraził.

Inaczej jest z obrazami, zwłaszcza tymi najcenniejszymi, ponieważ te rzadko kiedy kupuje się po to, żeby na nie patrzeć, chyba że kupuje je muzeum.

Prywatni nabywcy kupują najczęściej po to, żeby obraz przetrzymać do momentu, kiedy sprzedaż będzie mogła przynieść odpowiednio duży profit.

- I znów wracamy do wielkiej sztuki?

- zapytał Blaise, a jego głos był teraz podejrzanie miękki i gładszy niż jedwab.

Kate roześmiała się, odchylając głowę do tyłu, a Blaise już chyba po raz setny pytał sam siebie: jak to możliwe, że kiedyś uważałem tę dziewczynę za wręcz brzydką i mało interesującą?

Przecież ona nie była nigdy nieładna ani pospolita, nie mogła być.

Wymagała tylko pewnego wewnętrznego odnowienia, zupełnie tak samo jak ten dom.

Teraz naprawdę z ogromną przyjemnością można było patrzeć zarówno na jedno, jak i na drugie.

- A skoro już mówimy o wielkiej sztuce - Kate przyjęła ten sam ton lekkiej ironii - to czy są jakieś nowe wieści z Hongkongu?

- Nie ma żadnych, niestety.

Bardzo trudno jest cokolwiek wydobyć od tych ludzi.

Nawet ogromne łapówki, które moi współpracownicy proponowali za informacje, nie pomogły.

Ten Cza Li musi mieć reputację zupełnie wyjątkową, skoro udało mu się zamknąć tam usta wszystkim.

Natomiast jeżeli idzie o moją żonę, to na razie zapadła w bezruch i nie podejmuje żadnych działań.

Kate nic na to nie odpowiedziała, ponieważ dla niej podejmowanie rozmowy o Dominique było bardziej niebezpieczne od chodzenia po polu minowym.

Ale Blaise najwyraźniej nie unikał już tego tematu.

- Przyznaję, że w Hongkongu zachowywałem się tak, jakbym w jakiś sposób chciał zamknąć pani usta, ale to było motywowane wyłącznie ostrożnością.

A to, czego dopuściła się moja żona, to sprawa zbyt groźna i zbyt straszna, bym mógł poprzestać na zdawkowym "Przepraszam"!

Teraz coraz bardziej jestem przekonany, że pani ojciec przewidywał tego rodzaju rozwój wypadków.

Wiedział, że prędzej czy później coś takiego się wydarzy, i właśnie dlatego ustawił mnie między wami dwiema.

- A zatem musiał być przekonany, że pan potrafi sobie z tym dać radę.

Papa był doskonałym znawcą ludzkich charakterów.

- Może...

Myślę, że mnie rzeczywiście lubił, a już na pewno miał do mnie zaufanie.

Poza tym, przynajmniej z jego punktu widzenia, byłem wręcz idealnie usytuowany do wykonania takiego właśnie zadania...

- Blaise zamilkł, przyglądając się mrocznemu autoportretowi Rembrandta, starego człowieka, który potrafił namalować siebie samego z tak pełną pasji trzeźwością i bezstronnością.

- Widzi pani, Charles wiedział, jaka naprawdę jest moja żona.

Wiedział to o wiele lepiej niż ja.

Oczywiście, sam lubił się nią popisywać przed innymi - w końcu był miłośnikiem piękna, jak pani wie - ale nigdy jej nie ufał.

W jakiś sposób powiedział o tym również nam, właśnie przez to, że nie zapisał jej wszystkiego i ustanowił mnie jako obserwatora i swego rodzaju arbitra.

Moim zadaniem miało być także doprowadzenie do tego, by pani przyjęła zapis ojca.

To, że w rezultacie doprowadziła do tego sama Dominique, można uważać za cokolwiek ironiczne zrzędzenie losu; mnie to akurat nie przeszkadzało, byłem z tego nawet zadowolony.

Podówczas nie chciałem, żeby to ona dostała całość Desparda, ponieważ wtedy miałbym jej mniej dla siebie...

- Blaise obrócił się do Kate, w kącikach jego warg błękał się autoironiczny uśmieszek, ale jego oczy pozostały poważne.

- A pani przez dłuższy czas była przekonana, że ja po prostu muszę być stronniczy, że będę faworyzował Dominique.

Ale myślę, że teraz poznaliśmy się nawzajem o wiele lepiej, na szczęście.

Kate na moment spojrzała mu w oczy i niespodziewanie zobaczyła w nich coś, co sprawiło, że gwałtownie spuściła wzrok i niewiele brakowało, by potknęła się wchodząc po schodach.

Z panicznym pośpiechem odwróciła twarz.

Moja droga, powiedziała sobie, chyba pozwalasz swojej wyobraźni na zbyt wiele.

Jego celem jest teraz wyplątanie z kłopotów własnej żony, a także firmy Despard.

W takiej właśnie kolejności.

- A skoro już o tym mówimy, jaki jest stan Rolla?

- zapytał Blaise.

- Nic się nie zmieniło.

Staram się jeździć do niego, kiedy tylko mogę, co tak naprawdę oznacza, że ostatnio nie było mnie tam zbyt często.

- W głosie Kate przebijała spokojna rezygnacja.

- Nie sposób naraz robić wszystko - delikatnie napomniął ją Blaise.

- Ale bardzo proszę, niech pani będzie ostrożna.

To niby nic konkretnego, może tylko moje instynktowne obawy, ale...

Będę się cieszył, kiedy ta cholerna aukcja wreszcie się zakończy i będzie to pani miała już za sobą.

- To przecież już wkrótce.

A poza tym nie bardzo wiem, co ci ludzie...

co oni mogliby jeszcze zrobić przy tak już zaawansowanych przygotowaniach.

- To właśnie mnie martwi, że nie bardzo wiemy.

Przeszli do hallu.

Kate oczekiwała, że Blaise powie jej coś jeszcze, jednak on najwyraźniej uznał, że i tak powiedział więcej, niż zamierzał.

Po chwili spytał nagle: - Wie pani o śmierci Catherine Despard?

- Tak - odpowiedziała Kate.

Przeczytała o tym notatkę w którymś z pism.

Dawniej może pomyślałaby o tym zaledwie "baba z wozu"...

albo coś w tym rodzaju, ale teraz odebrała to zupełnie inaczej.

- Zmarła na serce, prawda?

- Przynajmniej zdaniem jej lekarza.

Zresztą niezależnie od tego, co było przyczyną, myślę że i tak nie można było nazwać życiem tej egzystencji, którą prowadziła po śmierci Charlesa.

Na pewno nie żyła już w świecie rzeczywistości.

Wolała wybrać własne urojenia, w których Charles cały i bez reszty należał już tylko do niej.

Zresztą jedynie tego pragnęła przez całe swoje życie.

Kate westchnęła głęboko.

- Wiem o tym...

teraz - powiedziała.

W jej głosie przebijał smutek i żal.

Blaise spojrział na nią.

- Z listów ojca?

- zapytał.

-Tak.

- Czy one w jakiś sposób...

pomogły?

- Czytając je, czułam się rozpaczliwie winna i zawstydzona własnym postępowaniem.

A mimo to uważam, że pan miał rację - przyszła właściwa pora na to, żebym je przeczytała.

Gdybym je przeczytała wtedy, kiedy ojciec je pisał, nie sądzę żebym mogła je zrozumieć.

Musiałabym być jednak i starsza, i...

- Mądrzejsza?

-Tak.

- Zdażyła się pani bardzo wiele nauczyć.

Nawet patrząc z boku można było to dostrzec.

- Musiałam się nauczyć.

A także oduczyć różnych rzeczy.

- Z pewnością.

A ja przecież też nie za bardzo rozumiałem pani ówczesne odczucia, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy...

- W głosie Blaisea brzmiały nutki dziwnej goryczy.

- Ale po prostu nie zdawałem sobie sprawy, jak niesłychanie ważne w pani życiu były stosunki z ojcem i jak bardzo panią zranił, kiedy odszedł od was do innej kobiety.

- Rollo mówił, że zachowywałam się wtedy jak zazdrosna żona - przyznała się Kate.

Blaise pokręcił głową.

- Przynajmniej on powinien był już wtedy zrozumieć...

Myślę, że to, w jaki sposób reagujemy na czyjąś zdradę, w ogromnym stopniu zależy od tego, jak ta druga strona reaguje na nas...

- Blaise zamilkł na chwilę.

- Przychodzą takie chwile, kiedy jedynym sposobem na poradzenie sobie z rozdzierającymi nas uczuciami jest zduszenie ich w sobie, zatrześnięcie w podświadomości.

A ty przecież po prostu mówisz o sobie, pomyślała Kate.

Teraz już rozumiała ten jego stały dystans, tę postawę "trzymaj się z dala ode mnie".

Zastanawiała się tylko, czy doszedł do wniosku, że przyniosło to pożądany skutek, czy też może zrezygnował z tej postawy, ponieważ uznał, że to do niczego nie prowadzi.

Amerykanie powiadają, że kiedy nie sposób kogoś pokonać, należy zmienić front i po prostu się przyłączyć.

Ale jakiegokolwiek były przyczyny tej zmiany postawy, ona z całą pewnością wołała Blaisea takiego, jakim był dziś.

Przez otwarte drzwi usłyszeli, a potem również zobaczyli nadjeżdżający i zatrzymujący się tuż przed głównym wejściem samochód.

- To Nicholas!

- wykrzyknęła Kate.

Czy jest tylko zaskoczona, czy może też uradowana?

- zastanowił się Blaise.

Tymczasem wysoki, bardzo przystojny mężczyzna wszedł do środka i pochylił się, by na powitanie pocałować Kate w policzek.

Blaise zauważył, że przybyły położył rękę na jej ramieniu tak, jakby się bardzo dobrze znali...

może aż za dobrze?

- Miałem pewną sprawę do załatwienia w Sussex i wracając pomyślałem, że mógłbym zajrzeć tu po drodze i zabrać uroczą panią tego miejsca do restauracji pobliskiego hotelu, o którego kuchni słyszałem same dobre rzeczy.

Mówiąc to, Nicholas przyglądał się Blaiseowi, bardzo grzecznie, ale i uważnie.

- Pan Nicholas Chevely, pan Blaise Chandler - przedstawiła ich Kate.

Twarz Nicholasa rozjaśniła się w jednej chwili, jakby ktoś nagle włączył jakiś wewnętrzny kontakt.

- Blaise Chandler!

- wykrzyknął.

- Cóż za przyjemna niespodzianka!

Przecież pana właśnie zamierzałem szukać i nawet chciałem prosić Kate, żeby nas przy okazji sobie przedstawiła.

Musiała po prostu czytać w moich myślach.

Nie ma tam wiele do czytania, odpowiedziała mu w duchu Kate.

Na dobrą sprawę jest tam zapisane tylko jedno słowo: pieniądze.

- Zechce pan pójść razem z nami na kolację?

- spytał Nicholas.

- Moglibyśmy przy okazji porozmawiać.

Mam na myśli coś, co z pewnością mogłoby pana zainteresować.

Należało rozumieć, że to, co uprzednio zaplanował, wybierając się z odwiedzinami do Kate, mogło spokojnie poczekać.

Nic pilnego, w tej sytuacji.

Blaise spojrział na Kate, a ta spojrzała na niego.

I przygryzła wargę.

- No cóż, to brzmi interesująco - powiedział Blaise, zwracając się do Nicholas.

Jednak wystudiowana uprzejmość w jego głosie świadczyła raczej o braku entuzjazmu.

Podobnie jak ledwie zauważalne wzruszenie ramionami.

Przeznaczone było przede wszystkim dla oka Kate i znaczyło mniej więcej tyle:

"Przepraszam za to.

Zaczekajmy do innej okazji".

Z tego wynikało, że i on też miał związane z nią plany na dzisiejszy wieczór.

A ona przecież nawet nie pomyślała, że przyjechał tu, żeby ją zabrać na kolację.

Teraz przede wszystkim cieszyła się, że będzie mogła czekać na tę następną okazję.

- Zechciejcie państwo dać mi tylko minutę czy dwie, żebym mógł rzucić okiem na całość i zamienić parę słów z ludźmi ze służby ochrony - mówił tymczasem Nicholas.

- To w końcu także mój obowiązek, jako przedstawiciela rady powierniczej.

Zaraz potem będziemy mogli jechać.

Uśmiechnięty i usatysfakcjonowany przespacerował się po przygotowanych do ekspozycji salach, upewniając się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Bez kłopotów?

- zapytał raźnie.

- Wszystkie urządzenia i systemy zabezpieczeń pracują nienagannie, mam nadzieję?

Nicholas Chevely był w swoim czasie bardzo zadowolony z propozycji Kate, że to ona zapłaci za instalację kosztownego systemu zabezpieczania i monitorowania.

Zresztą w przyszłości ten dom i tak miał należeć do niej...

- Wszystko działa absolutnie sprawnie, sir - odpowiedział strażnik.

Nicholas obejrzał jeszcze stanowiska monitorów, pokazujących ogólne plany i zbliżenia z licznych kamer, omiatających nieustannie wystawione na ekspozycji skarby; rzucił też okiem na oświetlenie wokół domu i dalej, gdzie na granicy pograżonego w półmroku parku zamykał się zewnętrzny pierścień ochrony z systemem alarmowym włączanym przez fotokomórki.

- A czy zadbano również o wasze potrzeby?

Macie herbatę, cukier i tak dalej?

- Tak, sir.

Kuchnia gazowa funkcjonuje, a ten stary kocioł centralnego ogrzewania, w piwnicy, daje zaskakująco dużo ciepła.

- Byle nie za dużo, zwłaszcza poza tą kuchnią- ostrzegł Nicholas, sprawdzając ustawienie termostatu.

- We wszystkich salach ekspozycyjnych temperatura musi być bardzo ściśle kontrolowana: ani za wysoka, ani za niska.

Mam nadzieję, że tego pilnujecie?

- Tak jest, sir.

Nicholas zamaszystym krokiem wrócił do głównego hallu, bardzo z siebie zadowolony.

Okazało się, że zrobił bardzo słusznie, wybierając Kate Despard i jej firmę.

To po prostu nie do uwierzenia, co ona potrafiła zrobić z tej starej rudery, i to w tak krótkim czasie!

Teraz te pokoje wydawały się wręcz zachwycające; a z różnych relacji i plotek, które stale do niego docierały, wynikało, że na aukcji można się było spodziewać prawdziwego najazdu zainteresowanych.

Tak więc te pięć procent, które on sam miał z tego otrzymać, mogły się okazać małą fortunką.

A w dodatku akurat tu natrafił na Blaisea Chandlera!

Jeżeli tylko zainteresuje go swoim pomysłem...

Ten pomysł zaczął się rodzić w głowie Nicholasa już dawno, chyba w momencie, gdy doszła do niego informacja, że wykonawcą ostatniej woli Charlesa Desparda został właśnie Blaise - a więc człowiek, który już wkrótce miał też przejąć w spadku potężną Chandler Corporation.

Gdyby ten pomysł się powiódł, to on, Nicholas Chevely, już wkrótce mógłby nie bez racji zyskać przydomek najżarłoczniejszego rekina finansowego.

Minęło pięć minut od chwili ich wyjazdu na wspólną kolację, gdy w kuchni -zamienionej na stanowisko monitorowania - zadzwonił telefon.

Dyżurny strażnik podniósł słuchawkę.

- Tu Courtland Park.

Tak, słucham.

Kto?

Czy mógłby pan mówić trochę głośniej, są zakłócenia na linii...

Pan Blaise Chandler?

Właśnie wyszedł, parę minut temu.

Nie, nie wiem, dokąd oni wszyscy pojechali, podejrzewam, że wrócili do Londynu...

Panna Despard?

Pojechała razem z nim.

Nie, nie będzie jej tu jutro, to przecież niedziela...

Tak, oczywiście.

Przekażę jej wiadomość, jak tylko przyjedzie albo zadzwoni.

Od pana...

przepraszam, czy może pan przeliterować nazwisko?

Ef - o - en...

Tak, już zrozumiałem, pan Fong.

Tak, oczywiście.

Przekażę jej, że to bardzo pilne...

Strażnik odłożył słuchawkę.

- Jakiś cholerny Chińczyk, który ludziom zawraca głowę.

Na starym szyldzie wypisane było "Pod Różową Strzechą", choć w rzeczywistości to nie strzecha, ale sam hotelik - piętrowy, częściowo jeszcze drewniany -był pomalowany na piękny jasnoróżowy kolor.

Budynek, który powstał jeszcze w siedemnastym wieku, nadal wydawał się zachęcająco przytulny, a dobiegające z kuchni zapachy sprawiły, że Kate natychmiast poczuła ślinę napływającą jej do ust.

Zwłaszcza że - jak zwykle, kiedy intensywnie pracowała - w ciągu dnia w ogóle zapominała o zjedzeniu czegokolwiek.

Teraz więc miała okazję zjeść przynajmniej porządną kolację.

Postanowiła też, że jutro wybierze się do Rolla.

Nie była u niego już od tygodnia, choć codziennie dzwoniła do szpitala.

Tam jednak -z beznadziejną regularnością - powtarzano jej stale to samo: stan pacjenta bez zmian.

Jadalnia hotelu była niewielka, menu również wydawało się mało atrakcyjne.

Jednak same potrawy, kiedy je już podano, okazały się przepyszne, a dla Kate miały wręcz smak ambrozji.

Skupiła się więc przede wszystkim na smakowaniu kolejnych, wspaniałych dań, puszczając mimo uszu rozmowę obu panów, co przyszło jej tym łatwiej, że przez cały czas i tak myślała głównie o zbliżającej się aukcji, największej, z jaką kiedykolwiek miała do czynienia nie tylko ona, ale i w ogóle firma Despard's London.

To rzeczywiście był taki moment w jej życiu, kiedy można było tylko powiedzieć: wóz albo przewóz.

Z całą pewnością najważniejszy tydzień tego roku.

Owszem, jej kalendarz wypełniony był terminami najróżniejszych mniejszych i większych sprzedaży, ale żadna z nich nie mogła przynieść zysków w jakikolwiek sposób porównywalnych z tymi, które spodziewała się osiągnąć już za dziesięć dni.

Tak więc jadła przepyszne łososiowe pstrągi w sosie przygotowanym na białym winie, popijając to wytrawnym Chardonnay, i zastanawiała się nad sposobami zdobycia dalszych atrakcyjnych zleceń sprzedaży, które pozwoliłyby jej jeszcze utrwalić przewagę.

Tę przewagę, którą - była tego pewna - zdobędzie po zbliżającej się aukcji.

Dopiero przy kawie oderwała się od rozmyślań o przyszłości i wróciła do czasu teraźniejszego.

Usłyszała słowa Nicholasa, który właśnie kończył dłuższą tyradę: - Sprawa jest pewna, absolutnie.

Oni w tej chwili mają olbrzymie kłopoty.

Nieefektywne zarządzanie i tak dalej, no a przede wszystkim brak płynności finansowej.

Przejęcie tej firmy w takim stanie byłoby dziecinnie proste, możesz mi wierzyć.

A później, kiedy już byłaby odpowiednio prowadzona, stałaby się naprawdę cennym nabytkiem dla Chandler Corporation.

Niewiele brakowało, by Kate ponownie się wyłączyła.

Nicholas Chevely dosiadł swego ulubionego konika - mówił o pieniądzach.

Spojrzała jednak na Blaisea.

Jego twarz wyrażała uprzejme zainteresowanie, ale Kate miała nieodparte wrażenie, że tak naprawdę Blaise jest raczej znudzony.

Czuła się w jakiś sposób temu winna, więc kiedy ich spojrzenia spotkały się na chwilę, Kate zrobiła minę oznajmiającą "Wiem, że to nudziarz.

Przepraszam".

Tymczasem - również wyłącznie mimiczna - odpowiedź Blaisea zaskoczyła ją do tego stopnia, że pośpiesznie odwróciła wzrok.

Tego się nie spodziewała.

Nicholas nie mógł widzieć twarzy Blaisea, jako że siedzieli obok siebie na tej samej ławie; Blaise wykorzystał to i puścił do niej oko.

Nie ma co się o niego troszczyć, powiedziała sobie Kate.

Cokolwiek wymyślę, zawsze mnie wyprzedzi o pół kroku.

Kątem oka spojrzała na zegarek i zdecydowała, że to akurat odpowiedni moment, żeby na chwilę obu panów opuścić.

Kiedy szła w stronę toalety przez niewielki hotelowy hall, nagle usłyszała sygnał jadącej gdzieś straży pożarnej i zaraz po tym ryk silnika wozu strażackiego, przejeżdżającego tuż obok.

No tak, to pora wypalania ściernisk.

Któryś z farmerów nie zachował odpowiedniej ostrożności.

Weszła do toalety, umyła ręce i poprawiła włosy.

Jak długo jeszcze Nicholas będzie gadał o tym swoim pomysle na jakiś niezwykle interes, w który chciałby wciągnąć Blaisea?

Wracała już do jadalni, gdy nagle w hallu usłyszała rozmowę pary hotelowych gości.

- To musi być coś poważnego - mówił mężczyzna.

- Już trzeci wóz strażacki przejechał.

- A ja nic nie widziałam - powiedziała kobieta, tonem skargi.

- Bo po prostu nie mogłaś nic zobaczyć.

To posesja przy bocznej drodze i w dodatku dom mieści się gdzieś w środku ogromnego parku.

Tyle że brama była tam otwarta, a normalnie jest zamknięta.

To bardzo stary dom i wszystko w nim pewnie było wysuszone jak pieprz...

Kate poczuła, że jej serce nagle przestaje bić.

- Przepraszam państwa - wtrąciła.

- O jakim pałacym się domu państwo mówią?

- O Courtland Park, oczywiście - odpowiedział mężczyzna.

- Przy tej drodze nie ma żadnego innego budynku.

Kate pędem rzuciła się do jadalni.

Blaise dostrzegł ją jeszcze w drzwiach i był już na nogach, zanim zdążyła podbiec.

- Co się stało?

- zapytał.

- Courtland Park...

Jakiś człowiek powiedział mi, że jest wielki pożar i że to musi być tam, bo przy tej drodze nie ma żadnego innego domu...

- Jej twarz była kredowo biała, oczy szeroko rozwarte.

Blaise chwycił ją za rękę.

Razem wybiegli z restauracji i w ciągu kilku sekund znaleźli się przy samochodzie, zanim Nicholas zdążył odłożyć serwetkę i w ogóle zorientować się, co się stało.

- Słyszałam sygnał straży pożarnej, kiedy przejeżdżali przed hotelem.

Ten mężczyzna powiedział, że to już trzeci wóz i że to musi być Courtland Park.

- Więc sprawdźmy to - powiedział Blaise, zapinając pas.

Z potężnym rykiem silnika Porsche zawróciło na hotelowym parkingu i wyjechało na jezdnię, stale nabierając szybkości.

Tak jak powiedział ów mężczyzna w hallu, brama Courtland Park była szeroko otwarta, a w sąsiadującej z nią stróżówce nie było nikogo.

Wjechali do środka i już za pierwszym zakrętem drogi wewnętrznej zobaczyli czarny dym ścielący się między drzewami.

- O mój Boże...

-jęknęła Kate.

Blaise mocniej przycisnął pedał gazu.

Kate nieświadomie wychyliła się do przodu, jakby usiłując w ten sposób zobaczyć szybciej i więcej.

Minęli ostatni zakręt i dopiero wtedy mogli w pełni widzieć skalę tego, co się stało.

Cały tył domu był jedną wielką masą płomieni, nad którymi kłębił się dym.

Przed domem stały już na swych pozycjach trzy wielkie czerwone wozy straży ogniowej, motopompy warczały, z sikawek tryskały strumienie wody.

Ale rozgorączkowana Kate patrzyła już tylko na tych nielicznych ludzi, którzy nie brali bezpośredniego udziału w gaszeniu, natomiast zwijając się jak w ukropie wbiegali do domu i wybiegali, wynosząc wszystko, co im wpadło pod rękę.

Kate błyskawicznie odpięła pas i wyskoczyła z samochodu.

Pobiegła ile sił w nogach, żeby się przyłączyć do tych, którzy próbowali coś ratować.

Blaise pobiegł za nią.

- Tylko bez żadnych szaleństw!

- krzyknął.

- Ciebie tam na pewno nie potrzeba!

- Właśnie, że potrzeba!

To moja aukcja i muszę uratować, co się tylko da!

Blaise chwycił ją za ramię i przytrzymał, a Kate usiłowała mu się wyrwać.

- Po prostu stój tu i sprawdzaj, co oni wynoszą.

Nikt inny się na tym nie zna.

- To, co oni wynieśli, mogę sprawdzić i potem.

Nie będę tu stała i patrzyła, jak wszystko się pali.

Wyrwała ramię z jego dłoni i pobiegła ku wejściu.

- Co się właściwie stało?

- zapytała strażnika, który z wysiłkiem dźwigał wielki fotel w stylu Ludwika XV.

- Nie wiem, panno Despard.

Był jakiś wybuch; chyba to ten stary kocioł w piwnicy.

Ale nie jestem pewien.

Kate pobiegła dalej i po chwili znalazła się w jadalni.

Z antycznej komody wyciągnęła jedną z wielkich szuflad i zaczęła metodycznie układać w niej do wyniesienia najcenniejszą porcelanę i szkło, ustawione na wielkim stole.

- Tutaj!

- krzyknęła do jakiegoś strażaka, który właśnie się pojawił.

- Niech pan to ostrożnie wyniesie i potem wróci po następną szufladę.

W ten sam sposób wypełniła drugą, a potem jeszcze trzecią i czwartą szufladę.

Dzięki temu udało się jej ostatecznie zebrać wszystko, co było wystawione na tym ogromnym stole.

Potem zaczęła zbierać i ustawiać do wyniesienia najcenniejsze stylowe krzesła i fotele.

Pracowała szybko, gorączkowo, ale też metodycznie.

Przez otwarte drzwi dobiegł ją dźwięk włączonych syren i po chwili na progu pojawili się dwaj policjanci.

- Och, dzięki Bogu!

Proszę mi pomóc zdjąć ze ścian te obrazy.

- Pani nie powinna się tu znajdować, młoda damo - powiedział stanowczo jeden z policjantów.

- Ja się nazywam Kate Despard, proszę pana, a to wszystko tutaj, to bezcenne arcydzieła, które mam, to znaczy, miałam, sprzedawać tu na wielkiej aukcji już za dziesięć dni.

Więc proszę mi pomóc, bo inaczej za chwilę już w ogóle nie będzie co sprzedawać. Z pomocą policjantów udało się zdjąć ze ściany obrazy, między innymi Bouchera, Fragonarda i Watteau.

Potem Kate zabrała się do rozmontowywania bezcennego stołu.

Stół ten składał się z trzech skręconych ze sobą części, jako że w całości byłby zbyt wielki, by można było go przenieść przez jakiegokolwiek drzwi.

Kate szybko znalazła specjalny klucz, ukryty w schowku u spodu blatu, i zaczęła odkręcać długie gwintowane bolce.

Kiedy policjanci wrócili po wyniesieniu obrazów, mogli już zabierać rozdzielone części stołu, każdą z trzech po kolei.

Gdy ponownie wrócili, Kate zaczęła związać ogromnych rozmiarów dywan.

Podniosła oczy i spojrzała na nich.

- We dwóch w żaden sposób nie dacie rady tego dźwignąć - burknęła rozdrażniona.

- Hej, ty!

- zawołała w stronę jakiegoś człowieka, który szedł w stronę drzwi, ostrożnie niosąc jakiś ogromny, zdobiony srebrem półmisek czy też paterę.

-Chodź nam pomóc!

Dźwigający paterę odwrócił twarz.

Okazało się, że był to Blaise Chandler.

- Potrzebna nam pomoc do wyniesienia tego dywanu - powiedziała Kate.

- Czy nie znalazłby się tam ktoś jeszcze?

- Moment - powiedział Blaise, zniknął za drzwiami i już po chwili był z powrotem.

Przyjrzał się dywanowi - siedemnasty wiek, Aubusson - szacując jego rozmiary, a zwłaszcza wagę.

- W porządku - powiedział, jakby automatycznie przejmując komendę.

- Ty weźmiesz to z jednej strony, ty z drugiej, a ja po środku.

Kiedy powiem "góra"!

, dźwigamy -jasne?

Pochylili się wszyscy trzej.

- Dobra, uwaga!

Góra!

- zawołał Blaise.

Ciężki rulon z pewnym oporem poszedł w górę i został bezpiecznie wyniesiony na zewnątrz.

Kate pobiegła do kominka i zdjęła z jego marmurowej półki stojący tam niewielki zegar z imitacji złota, z tarczami z sewskiej porcelany, i dwie piękne porcelanowe figurki z Chelsea.

W drzwiach spotkała się z wracającym właśnie Blaiseem.

- Zdaje się, że wszyscy twoi ludzie przyjechali z hotelu - powiedział.

- Chyba ze dwanaście osób.

- Och, dzięki Bogu!

Przydadzą się wszyscy, trzeba się bardzo szybko uwijać.

- Tak, zwłaszcza że pożaru chyba nie da się opanować.

Cały tył domu jest już wypalony i ogień wkrótce przebije się i przez te ściany.

- Ruchem głowy wskazał w głąb hallu.

- Więc musimy wynosić to wszystko jeszcze szybciej.

- Kate pobiegła teraz do jednego z salonów.

Z ulgą stwierdziła, że wewnątrz było już w znacznej części opróżnione.

- Stale patrz na te ściany - powiedział Blaise, który pojawił się tam w ślad za nią.

- Kiedy dym zacznie gęstnieć, natychmiast uciekaj, słyszysz?

- Słyszę, oczywiście - odpowiedziała Kate, zupełnie mechanicznie, jako że była zaabsorbowana zdejmowaniem ze ściany kolekcji pięknych miniatur.

- Jak ci mówię, że masz słuchać, to masz słuchać!

- wrzasnął Blaise tak ostro, że Kate mimo woli obróciła się, patrząc na niego z otwartymi ustami.

- Wiem, że ta twoja aukcja jest ważna, ale jeżeli dasz się tu zaskoczyć przez ogień, to nie będzie miał kto tej aukcji prowadzić!

I cały nasz wysiłek przyda się psu na budę.

Więc miej oczy i uszy otwarte, rozumiesz, co do ciebie mówię?

Ogień przychodzi z hukiem - na pewno go usłyszysz.

A kiedy tylko usłyszysz, zmiataj stąd co sił w nogach.

- W porządku, słyszę i rozumiem - odpowiedziała poirytowana Kate.

Przyzwyczał się być szefem, pomyślała.

Rozkazuje zawsze i wszędzie.

Teraz zdejmowała drugi zestaw miniatur, z przeciwległej ściany.

Jej powierzchnia była już tak gorąca, że nie można było jej dotknąć.

Wybiegła na zewnątrz, by złożyć uratowane rzeczy na jednym z szybko rosnących stosów na pobliskim trawniku.

Tym razem jednak zatrzymała się na chwilę i uważniej popatrzyła na płonący dom.

Już cały dach był w płomieniach, ze znacznej części okien - teraz już pozbawionych szyb - także buchały płomienie, chciwie oblizujące stojące jeszcze ściany.

Blaise miał rację, kiedy mówił, że ogień przychodzi z hukiem.

Tu, na zewnątrz, to był nie tylko huk, ale wręcz ogłuszający ryk.

Powietrze pełne było fruujących wszędzie płatków sadzy, a wzmagający się wiatr niósł gryzący dym prosto w oczy walczących z żywiołem ludzi.

Wszystko razem wyglądało jak jakiś surrealistyczny koszmar.

Buchające w górę płomienie malowały nocne niebo w jakieś fantastyczne kompozycje, jakby prosto z piekła.

Żeby mieć jeszcze trochę czasu, pomyślała Kate, i jak szalona pobiegła ponownie do środka.

Boże, błagam Cię, daj nam jeszcze trochę czasu...

W tym samym salonie, z którego niedawno wybiegła, Kate natrafiła teraz na prawdziwą ścianę gorąca, a dym nagle stał się dużo gęstszy i bardziej gryzący.

Oczy jej łzawiły, a gardło rozdzierał kaszel.

Musiła jednak dotrzeć do kominka, przejść przez ten bardzo długi pokój.

Na szczęście obraz Gainsborougha, który kiedyś sama zawiesiła nad tym kominkiem, był już zabrany i bezpieczny, ale na ozdobnej marmurowej półce nad paleniskiem stały niezwykle cenne miśnieńskie figurki - dwanaście porcelanowych małek w osiemnastowiecznych strojach dworskich muzykantów, grających na różnych instrumentach.

Gdy je zdejmowała z półki, zobaczyła, że bladoniebieski jedwab, którym obite były ściany, teraz gwałtownie pociemniał.

Kate zdjęła z siebie swój elegancki żakiecik i ostrożnie złożyła w nim figurki, owinęła połami i - wykorzystując długie rękawy - zawiązała w tobolek.

Potem niesłychanie ostrożnie - figurki, choć nadal nie uszkodzone, były jednak bardzo kruche - podniosła cały ten pakunek z podłogi.

I niemal dokładnie w tej samej chwili, kiedy podnosiła się z kolan, część ściany tuż nad nią z trzaskiem i sykiem zapaliła się otwartym płomieniem.

Skulona, z pochyloną głową, Kate pobiegła w stronę wyjścia gdy nagle poprzez narastający huk ognia usłyszała jakieś dźwięki, czyste i nieomal melodyjne - jak gdyby bardzo bliski głos dziesiątków drobnutkich dzwoneczków.

Kate zatrzymała się i spojrzała w górę.

- Och, nie!

- zawołała, czując, że za chwilę się rozplacze.

Wspaniałe kryształowe żyrandole z Waterford!

Były już skazane.

Nie było szans, żeby wejść na górę i odkręcić ogromne śruby mocujące; to była operacja trudna i powolna, wymagająca doświadczenia i umiejętności, a także cierpliwości.

Zrozpaczona Kate mogła już tylko bezsilnie patrzeć na ich wciąż skrzącą się tysiącami iskier urodę, teraz powoli znikającą w coraz gęstszym dymie...

- Co ty, u diabła, sobie wyobrażasz?

Zamierzasz tu tak stać?

- To znów był Blaise, usmarowany sadzą, mokry i spocony, prychnący i powarkujący na nią jak podrażniony tygrys.

- Ogień już się przebił do frontowej części, rozumiesz co to znaczy, ty uparta kretyńko?

Czy nic z tego, co do ciebie mówiłem, nie dotarło do tego twojego zakutego łba?

- Blaise nagle zamilkł, dostrzegając niebezpiecznie narastające krople łez w kącikach jej oczu.

- Co znowu?

- zapytał osłupiały.

- Czy coś ci się stało?

Kate potrząsnęła głową.

- I tak byś tego nie zrozumiał - odpowiedziała z goryczą i potykając się, ruszyła za nim w stronę drzwi.

Na zewnątrz najpierw bardzo ostrożnie rozwinęła swój tobolek i ustawiła w bezpiecznym miejscu uratowane porcelanowe figurki.

Potem żakiecik ponownie włożyła na siebie - wiatr był przenikliwy i bardzo zimny.

Patrzyła na płonący dom, a pod jej powiekami wciąż zbierały się łzy.

Dym wznosił się teraz w górę niby jakaś potężna czarna kolumna, a całe wnętrze domu zdawało się jarzyć przerażającym czerwonym blaskiem.

Dom Courtland Park zamieniał się w piekło.

Tylna część wypaliła się już niemal do końca, podczas gdy płomienie, wciąż nienasycone, teraz ostatecznie już przebiły się przez główny hall i ogarnęły także część frontową.

Już było za późno, żeby ratować łóżko pani du Barry z jego oryginalnymi draperiami, czy też cenne malowane panele, które ozdabiały ściany jej sypialni.

To samo dotyczyło pięknego żyrandola, podobnie zresztą, jak i wszystkich pozostałych.

Za późno też chyba było, by ratować sygnowaną przez Cristoflea toaletkę i stojące na niej wielkie srebrne lustro i pozostałe, należące do kompletu przedmioty...

- O nie!

- zawołała, czując nagły przyływ adrenaliny do krwi.

- Niech mnie diabli, jeżeli pozwolę, żeby to przepadło!

Bez dalszego zastanawiania się pognąła ponownie w stronę domu, ale zamiast biec wprost, skręciła najpierw prosto pod rozbryzgi potężnych strumieni wody, bijących z sikawek.

Całkowicie lekceważąc to, co krzyczeli w jej stronę poirytowani strażacy, uzyskała to, co chciała - była przemoczona do suchej nitki, od stóp do głowy.

Ociekając wodą, z szybkością sprinterki wbiegła po ogromnych schodach, które jeszcze się nie zajęły.

Sypialnia, której szukała, znajdowała się po prawej stronie domu, w głębi korytarza.

Pomieszczenie było dość duże i jeszcze się nie paliło, a toaletka stała w głębi, o kilka metrów od szerokiego ciągu okien, za którymi już od czasu do czasu pokazywały się czerwone języki płomieni.

To właśnie na niej stało to wspaniałe, siedemdziesięciocentymetrowe lustro, oprawne w lite srebro, a zaraz obok leżały pozostałe, również srebrne, przybory toaletowe.

Kate znów ściągnęła z siebie swój żakiecik, teraz całkowicie przemoczony, i ponownie zrobiła z niego tobolek, w który zaczęła pakować najróżniejsze dzbanuszki, buteleczki, miseczki i pudełeczka, należące do srebrnego kompletu.

Na szczęście samo lustro wykonane było z grubego, siedemnastowiecznego szkła, które wydawało się dość odporne i z pewnością mogło znieść wstrząs upadku z wysokości ośmiu czy dziewięciu metrów, zwłaszcza jeśli spadłoby na coś miękkiego.

Kate robiła wszystko metodycznie i bardzo szybko.

Pieczołowicie układała poszczególne drobne przedmioty, dbając, by w każdym miejscu przedzielała je warstwa tkaniny.

Zwinęła wszystko w jeden pakunek i, jak poprzednio, ciasno związała rękawy, żeby nic ze środka nie wypadło.

Robiła to wszystko z jakimś zażartym zapamiętaniem, stale świadoma, że czasu pozostaje coraz mniej, podobnie jak i tlenu.

Wreszcie skończyła i mogła podejść do okna ze swym ciężkim tobołkiem.

Otworzyła oprawną w ołów staroświecką kwaterę okienną, wychyliła się i krzyknęła tak głośno, jak tylko potrafiła: - Hej!

Czy ktoś mógłby spróbować to ostrożnie złapać?

Jacyś dwaj ludzie pośpiesznie chwycili i rozciągnęli na kształt płachty jeden z mniejszych dywanów - chiński, z siedemnastego wieku - i Kate mogła już bezpiecznie zrzucić tam swój tobołek.

Ludzie coś do niej krzyczeli, ale ze względu na odległość i trzask płomieni Kate nie była w stanie nic z tego zrozumieć.

Krzyknęła więc do nich: - Jeszcze tylko wezmę lustro.

Zaczekajcie na mnie...

Wróciła po lustro, które okazało się bardzo ciężkie.

Musiała zebrać resztki sił, żeby jakoś je unieść i przydźwigać do okna.

Tam jednak okazało się, że już absolutnie nie wystarczy jej sił, żeby na samych rękach podnieść ciężar aż na wysokość parapetu.

Przyciągnęła więc stojący w pobliżu niski stołeczek, stanęła na nim i, dźwigając lustro obiema rękami, ponownie krzyknęła do stojących na dole ludzi: - Proszę panów!

Czy moglibyście teraz tak samo złapać lustro?

Stojący na dole znów spojrzeli w jej stronę, ale tym razem był wśród nich również Blaise Chandler.

Kate go nie dostrzegła, zaabsorbowana utrzymywaniem równowagi i szukaniem jakiejś pozycji na tyle stabilnej, by móc wyrzucić nieporęczny przedmiot dostatecznie daleko.

Natomiast Blaise widział ją bardzo dokładnie, kiedy niebezpiecznie wychylała się z podświetlonego czerwonym żarem okna na pierwszym piętrze, trzymając w dłoniach coś, co wyglądało na bardzo ciężkie lustro, które usiłowała zrzucić na jakiś dywan trzymany przez stojących na dole ludzi.

Jezu Chryste!

Zdarzało mu się czasami słyszeć określenie, że komuś tam krew zastyga w żyłach z przerażenia, ale po raz pierwszy poczuł to naprawdę.

Miał też wrażenie, że jego serce w ogóle przestało bić.

Strażacy dopiero co kazali wszystkim trzymać się z daleka, ponieważ płonący dach w każdej chwili groził zawaleniem.

Wyobraził sobie Kate Despard, jak spada tam w to morze płomieni razem z całą walącą się konstrukcją ledwie już trzymającego się domu, i poczuł w sobie nagłą rozpacz - tak bezsilną, beznadziejną i pełną udręki, jakiej jeszcze nigdy nie odczuwał w całym swoim życiu.

Wydało mu się nagle, że słyszy sam siebie, słyszy swój przeraźliwy błagalny krzyk, który dobywa się gdzieś z najgłębszych pokładów jego duszy.

Wciąż nie potrafił uwierzyć w to, co widział.

W sekundę później już biegł tą samą drogą, którą przedtem pobiegła ona, myśląc już tylko o tym, żeby ją jakoś stamtąd wyciągnąć, zanim dach się ostatecznie zawali.

Muszę ją stamtąd wydostać, powtarzał sobie w duchu.

Muszę!

Panie Boże, dopomóż mi, żebym mógł ją uratować!

Wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, na górze - omal się nie przewracając - gwałtownie zawrócił wzdłuż balustrady i niczym sprinter pobiegł w głąb długiego korytarza.

Wszędzie był dym, było go teraz znacznie więcej niż przedtem, ze wszystkich stron buchał potworny żar.

- Kate!

- wrzasnął rozpaczliwie.

- Kate!

- Płuca miał już pełne dymu i zaczął gwałtownie kaszleć.

Oczy piekły go coraz bardziej, z trudem mógł jeszcze coś widzieć.

Wbiegł do sypialni i zobaczył ją już w oknie.

Kłęcząc na chwiejnym stołku wychylała się tak daleko, jakby miała zamiar spaść na dół razem z tym ciężkim lustrem, które bała się wypuścić.

Przechyliła się jeszcze bardziej, a Blaise instynktownie rzucił się do przodu i wykonał robinsonadę, której nie powstydziliby się zawodowy bramkarz.

Zdażył jeszcze chwycić ją za kostki akurat w momencie, gdy jej stopy już odrywały się od usuwającego się spod jej nóg stołka.

Kate puściła lustro i, pociągnięta gwałtownie do tyłu, wróciła do środka, jak nagle rozciągnięta i puszczona wolno guma.

W ułamek sekundy później już oboje leżeli obok siebie na podłodze.

- Chryste Panie!

- Ochrypty głos Blaisea nie był specjalnie ciepły, raczej przypominał pełne wściekłości warknięcie.

Wszystkie kłębiące się w nim uczucia nagle skumulowały się w tym wybuchu gniewu.

- Ależ z ciebie uparta oślica!

Durna kretynka!

Popatrzyła na niego urażona, ale on - zamiast ją przeprosić - zaczął się nagle śmiać.

Wyglądała tak nieprawdopodobnie komicznie, z twarzą wysmarowaną sadzą, z rozczochranymi włosami i w dodatku przemoczona do suchej nitki.

W rezultacie jej niewielkie, ale jędrne i okrągłe piersi prześwitywały przez cienką tkaninę tak, jakby była zupełnie naga.

Było to bardzo podniecające, ale też i bardzo śmieszne.

Oczy go piekły nieznośnie, gryzący dym zdawał się rozdzierać płuca, ale on - jakby tego nie czując - chwycił ją w ramiona, przytulił do siebie i nadal śmiał się jak szalony.

- O Boże!

Ależ ty wyglądasz!

Aż oczy boją!

- Przetarł piekące powieki, wciąż dusząc się od śmiechu.

- A ty może myślisz, że sam wyglądasz lepiej - prychnęła Kate, ledwie dysząc w jego uścisku, który w każdej chwili groził jej połamaniem żeber.

Blaise był równie brudny jak ona, przemoczony i przepocony, cuchnący dymem.

Teraz uwolnił ją ze swych objęć i lekko się odsunął, choć nadal trzymał ją za ramiona powyżej łokci.

Kate nagle zdała sobie sprawę, że on jest po prostu szczęśliwy - szczęśliwy!

- i zupełnie niespodziewanie też zaczęła się śmiać.

- Wiesz, że przez chwilę już myślałem, że zginiesz?

- mówił Blaise, wciąż targany paroksyzmami szalonego śmiechu.

- Widziałem, jak się wychylasz z tego okna, i pomyślałem, że albo spadniesz, albo dach się na ciebie zawali i zginiesz w tym ogniu...

Kate patrzyła na niego zdziwiona i poruszona.

Ten mężczyzna z dziko płonącymi oczami, rozgorączkowany, niemal histeryczny, to przecież nie był ten Blaise Chandler, którego znała.

Ale kiedy mu się tak przyglądała, wciąż bardziej oszołomiona, jego szeroki uśmiech nagle przygasł.

Patrzyli na siebie bez słowa.

Blaise przestał się śmiać, jego twarz znów stężała.

- Nie mogłem znieść tej myśli, że zginiesz - powiedział cicho.

- W żaden sposób nie mogłem znieść tej myśli...

Kate naraz poczuła się tak, jakby w pełnym biegu zderzyła się z jakąś ścianą...

nagle całkowicie utraciła zdolność oddychania.

Zamurowało ją.

Po jego oczach, które stały się jeszcze ciemniejsze, poznała, że i on czuje to samo: że też nagle odebrało mu oddech.

W środku tego dymu i potwornego żaru, wśród trzaskania przybliżających się płomieni patrzyli na siebie szeroko rozwartymi oczami, a Blaise znów miał wrażenie, że gdzieś wewnątrz niego wszystko nagle się wali i osuwa, jak padający mur.

Powiedział tylko jedno słowo: Kate!

- ale brzmienie jego głosu sprawiło, że przez jej ciało przebiegł nagły dreszcz.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że dygoce i że na odsłoniętych ramionach ma gęsią skórę.

Znów podniosła wzrok, spojrzała na niego i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że jakby w ogóle bez udziału woli pada w jego ramiona.

Kiedy ich usta się spotkały, oboje poczuli ten sam wstrząs - jakieś nagłe elektryczne wyładowanie.

Blaise rozgniół jej usta pocałunkiem, który ją przeraził i zachwycił jednocześnie.

Całował ją tak, jak tego sobie dotąd nie potrafiła wyobrazić nawet w najdzikszych marzeniach.

Trwało to ledwie sekundy, ale dla nich to była prawie nieskończoność, która jednak urwała się nagle, gdy tuż nad nimi rozległ się potężny trzask.

Mimo woli odskoczyli od siebie i podnieśli oczy do góry.

Trzask powtórzył się jeszcze głośniejszy, jakby ktoś tam strzelał z jakiegoś gigantycznego bicia.

Przez środek zdobnego stiukami i złoceniami sufitu przebiegały coraz wyraźniejsze, coraz szersze pęknięcia, rozpełzające się niczym śmiertelnie jadowite węże...

- Chryste Panie, dach się wali!

- Blaise ledwie zdążył się odwrócić, gdy nagle ściana w głębi sypialni pękła jak pod uderzeniem potężnego młota.

Blaise znów przyciągnął Kate do siebie.

- Trzymaj się mocno mojej dłoni i w żadnym wypadku już nie puszczaj...

Ale to w żadnym!

Zrozumiałaś?

Musiał wrzeszczeć, żeby w ogóle była w stanie go usłyszeć poprzez narastający ryk coraz bliższych płomieni.

Mogła mu odpowiedzieć już tylko skinieniem głowy.

Dopiero teraz tak naprawdę zdała sobie sprawę, jak potworne zagrożenie ściągnęła nie tylko na siebie, ale i na niego, wyłącznie przez swą lekkomyślną i nierozumną porywczosć.

A on, Blaise Chandler, pobiegł za nią aż tu, żeby ją ratować.

Teraz czuła, jak chwytą jej dłoń, mocno i pewnie, jak splata swoje palce z jej palcami.

Jego dłoń była ciepła i mocna, samo jej dotknięcie dawało poczucie bezpieczeństwa.

Wciąż jak we śnie, z którego nie umiała i nie chciała się obudzić, krok za krokiem szła teraz w ślad za nim.

W pewnej chwili Blaise odwrócił się i spojrzał na nią.

Ich oczy spotkały się ledwie na ułamek sekundy, ale i tego wystarczyło, by Kate znów poczuła miękkość nóg i nagły skurcz w żołądku.

Po błysku jego oczu poznała, że i z nim działo się coś podobnego.

Co się stało ze mną i z nim?

- pytała sama siebie, ciągle tym wszystkim oszołomiona, podczas gdy Blaise wyprowadzał ją z grożącego zawaleniem pomieszczenia i teraz ciągnął ją za sobą zadymionym korytarzem w stronę, gdzie powinny być główne schody.

Ogromny hall był niemal czarny od gęstniejącego dymu.

Ogień przerzucił się już na frontową część domu i teraz również tu zaczynał lizać ściany, z jednakowym apetytem pożerając po drodze jedwabne i adamaszkowe obicia, wiekową politurę wraz z równie starym drewnem, świeżo odnowione ozdobne stiuki i złocenia i misternie układane parkiety z satynowego drewna.

Kate poczuła, że dłoń Blaisea ciągnie ją w dół.

Posłusznie uklękła, a potem, podobnie jak on, zniżyła głowę aż do poziomu podłogi.

Tam Blaise przytknął usta wprost do jej ucha, by mogła go słyszeć przez huk zbliżającego się ognia, który teraz przypominał odgłosy pędzącego pociągu ekspresowego.

- Teraz krok za krokiem wzdłuż kolejnych słupków balustrady, póki nie dojdziemy do głównych schodów.

Broń Boże nie puszczaj mojej ręki, bo w tym dymie już cię nie odnajdę.

Wolno, cal po calu, czołgali się po górnym podejściu schodów.

Blaise wyszukiwał kierunek dotykiem, ponieważ nie sposób było cokolwiek zobaczyć.

Kate czuła dojmujący, piekący ból w płucach, coraz bardziej brakowało jej tlenu, pochłanianego łapczywie przez coraz liczniejsze języki otwartego ognia.

Nie mogła już widzieć Blaisea, jedynym ich kontaktem były tylko te mocno splecione dłonie.

Z uporem, zaciskając zęby, posuwała się za nim.

Jeżeli mają tu umrzeć, to przynajmniej umrą razem.

To, co ich tak niespodziewanie połączyło, to był prawdziwy cud; teraz więc nie mogła już pozwolić mu odejść.

Tylna część hallu płonęła już żywym ogniem.

Żar palił skórę, dym dusił i nie pozwalał oddychać.

A do tego jeszcze ten potworny, wciąż narastający huk.

Kate nie zdawała sobie sprawy, że płomienie mogą wydawać aż taki ryk.

Miała uczucie, że jej klatkę piersiową rozdziera jakiś rozpalony do czerwoności pogrzebacz, nie była w stanie nic widzieć, ze względu na dym i stale łzawiące oczy.

Ale Blaise wciąż odnajdywał dotykiem kierunek wzdłuż balustrady, słupek po słupku.

Gdy wreszcie przy kolejnym wyciągnięciu dłoni poczuł tylko powietrze, wiedział, że są już na klatce schodowej.

Dzięki Bogu!

Teraz powoli musieli zejść po tych schodach, bardzo ostrożnie, ponieważ miały co najmniej trzydzieści stopni.

Blaise pochylił się do Kate i kazał jej schodzić aż na sam dół w najbezpieczniejszej, jego zdaniem, pozycji siedzącej.

Miała się po prostu zsuwać na własnym siedzeniu, stopień po stopniu, tak jak to czasem próbują robić niemowlaki.

Nagle rozległa się kolejna seria ogłuszających trzasków.

O Boże jedyny!

Może już być za późno pomyślał.

Dach zaczyna się walić.

Cholerne, pieprzone szczęście!

Panie Boże, dlaczego to musiało się stać akurat teraz?

Czemu dopiero teraz, kiedy jest już za późno, pokazałeś mi to, co mogłem w życiu mieć?

Mogłem to zresztą mieć już dużo wcześniej, gdybym nie był tak ślepy i nie zadzierał tak bez sensu głowy, nie widząc tego, co było tuż pod nosem...

Czy właśnie to różni mądrych ludzi nazywają piekłem?

Przyciągnął Kate bliżej do siebie, objął ją ramionami i przyciskając jej głowę do własnej klatki piersiowej zawołał prosto do jej ucha: - Dach nad nami się wali!

W jego głosie była bezsilna wściekłość i jakiś rozpaczliwy ból, który przeraził ją jeszcze bardziej niż ogień.

Kate widziała, co się dzieje, a raczej słyszała i przede wszystkim czuła.

Zbliżała się śmierć.

Ten pożar teraz już ostatecznie niszczył wszystko, nie tylko dom.

Objęła Blaisea ramionami, przycisnęła się do niego i tak trwali na tej górnej platformie płonących już schodów, wyczuwając się wzajemnie piersiami, udami, policzkami...

Kate miała wrażenie, że usłyszała, jak Blaise znów wymawia jej imię tym przejmującym, pełnym bólu głosem, gdy nagle rozległ się kolejny ogłuszający trzask i płonąca konstrukcja dachowa załamała się ostatecznie i zwała w dół.

Jednak właśnie to uratowało im życie.

To bowiem, co nagle spadło na nich z góry, to nie były - jak się można było spodziewać - płonące ułamki starych belek i legarów, ani osmalone resztki tego, co się już spaliło.

Przede wszystkim spadły na nich całe fontanny wody.

Olbrzymi mieszczący się na strychu zbiornik, wykonany z grubej blachy ołowianej, nie wytrzymał gorąca i pękł na pół.

Tysiące litrów wody burzliwymi kaskadami zważyło się w dół przez liczne wyłomy i dziury w już zarwanym suficie, niczym nieco tylko pomniejszona Niagara.

Uderzenie wody było tak silne, że Blaise i Kate zostali dosłownie zmieceni i porwani w dół, jak niesione górską rzeką jesienne liście.

Kate zdążyła tylko krzyknąć "Blaise"!

, w ułamek sekundy później zakrzuszyła się, gdy przykryła ją woda.

Potem czuła już tylko, jak wraz z tą wodą spada w dół po schodach, na zmianę tocząc się i koziółkując, czasami zderzając się z Blaiseem albo z twardym kantem kolejnego stopnia.

Czuła też, jak ją uderzają - czasami bardzo boleśnie - spadające wciąż i porywane przez rwący nurt odłamki belek i kawałki wypalonej konstrukcji.

Blaise tymczasem na wpół instynktownie wpił palce we włosy Kate, kurczowo zaciskając je w dłoniach.

Ponieważ włosy szybko namokły, spłotły się z jego palcami jeszcze mocniej, co było dla Kate nieco bolesne, ale też i uspokajające, bo przynajmniej dawało pewność, że on wciąż żyje.

Ta potężna fala wody nie tylko zmiotła ich w dół, rzucając nimi na wszystkie strony i obracając, niby w jakiejś gigantycznej pralce.

Ta sama woda przygasiła też w znacznym stopniu szalejący tam pożar.

Pożerające dotąd wszystko języki ognia nagle zmieniały się w białe słupy pary, sycząc jak rozwścieczone węże.

Półprzytomny Blaise z niemal szaleńczym zapamiętaniem wciąż trzymał się włosów Kate.

Jednakże w pewnym momencie jakiś kawałek belki uderzył go w głowę.

Tracąc przytomność zwolnił uścisk, ale jego palce były już tak wplątane w napęczniałe od wody włosy, że oboje nadal razem staczali się po ostatnich już stopniach schodów, a potem jeszcze dalej, niesieni wodą po marmurowej podłodze głównego hallu.

Tam, jakby na zakończenie, ostatnia potężna fala pogardliwie rzuciła nimi o olbrzymie, okute żelazem frontowe drzwi.

Uczyniła to z taką siłą, że kość goleniowa Blaisea, która trafiła akurat na żelazny kant, pękła niczym krucha gałązka.

Z kolei Kate została rzucona prosto na niego, co zamortyzowało siłę uderzenia.

A potem już tam pozostali - bezwładna płatanina rąk, nóg i zniesionych wodą mniejszych i większych szczątków zwałonej konstrukcji.

Blaise mocno krwawił z głębokiego rozcięcia na głowie, tuż nad lewym uchem, a jego lewa noga była dziwacznie załamana poniżej kolana.

Twarz nieprzytomnej Kate wciąż była wtulona w jego brzuch, a raczej podbrzusze.

Jednak Kate straciła przytomność ledwie na kilka sekund.

Potem wróciła do świadomości, czując się oszołomiona i potwornie obolała.

Niczym bokser po ciężkim nokaucie leżała przez chwilę nieruchomo, starając się złapać oddech.

Jakoś wykrztusiła i wykaszała wodę z płuc, a teraz usiłowała zrozumieć, co się stało i gdzie właściwie jest.

W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że jej twarz wciąż jest wciśnięta w jego podbrzusze.

O Boże kochany, pomyślała zaszokowana, i niewiele brakowało, by zaczęła histerycznie chichotać.

Gdzie to kobieta może wylądować, niesiona porywem...

Z najwyższym trudem spróbowała się podnieść i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Blaise nadal leży nieruchomo, z jego rozciętej głowy płynie krew, a lewa noga jest zgięta pod dziwnym, nienaturalnym kątem.

Jęcząc i sycząc z bólu obróciła się na bok, a potem udało się jej stanąć na czworakach.

Wtedy poczuła, że dłoń Blaisea unosi się wraz z jej głową.

Walcząc z bólem usiłowała wyplątać jego palce ze swych włosów, ale te były tak splecione i zaciśnięte, że w końcu musiała się poddać.

Obróciła się w stronę drzwi i zaczęła krzyczeć: - Ratunku!

Niech nam ktoś pomoże!

Pomocy!

Przymknęła oczy.

Zaczynała już znów tracić przytomność, gdy usłyszała kroki.

Poczuła dotknięcie czyjejś dłoni na policzku, a potem pełen niedowierzania głos.

- Mój Boże, oboje żyją!

Szybko, dajcie tu nosze...

- Blaise - jęknęła Kate.

Chciała krzyknąć, ale jej głos był ledwie słyszalny.

Czuła, że za chwilę znów zapadnie w ciemność.

- Już wszystko w porządku...

Zajęli się nim, jest w dobrych rękach.

- Chcę go zobaczyć...

- Zobaczy go pani.

Z całą pewnością.
Kate uśmiechnęła się błogo.
Potem ponownie straciła przytomność.

Rozdział 19 .

Obudziła się na jakimś wąskim białym łóżku, w jasno oświetlonym, pomalowanym na biało pokoju.

Jednak to przede wszystkim charakterystyczny, choć ledwie wyczuwalny zapach leków i środków dezynfekcyjnych pozwolił jej natychmiast odgadnąć, gdzie się znajduje.

Była w szpitalu.

Krzywiąc się z bólu podniosła się do pozycji siedzącej.

Potwornie bolało ją wszystko, każdy nawet najdrobniejszy mięsień.

Siedząca przy niewielkim stoliku pielęgniarka spojrzała na nią, wstała i podeszła do jej łóżka.

- Jak się pani czuje?

- zapytała.

Sprawnym, prawie automatycznym ruchem ujęła nadgarstek Kate, by skontrolować puls, a następnie odchyliła powiekę i uważnie obejrzała źrenicę.

- Dziękuję - odpowiedziała Kate.

- Czuję się mniej więcej tak, jak po piętnastu rundach w ringu z Mikeem Tysonem.

- Trudno się dziwić, prawdę mówiąc.

Prawie wszędzie ma pani bolesne stłuczenia i otarcia.

Jak rozumiem, została pani zmieciona z wysokich schodów przez falę wody z pękniętego zbiornika.

Kate uważnie obejrzała się od góry do dołu.

- Tylko stłuczenia i otarcia?

- zapytała ucieszona.

- Tak, na szczęście.

Będzie pani to jeszcze dość mocno czuła przez jakiś czas, ale na skórze są tylko drobne przecięcia i otarcia.

Najważniejsze, że obyło się bez groźniejszych kontuzji, zwłaszcza głowy.

- A Blaise?...

Pan Chandler?

- Obawiam się, że w jego przypadku skutki są poważniejsze.

Wstrząs mózgu, a do tego paskudna cięta rana nad lewym uchem.

Poza tym ma złamaną lewą nogę - na szczęście to zwykłe złamanie, bez komplikacji.

No i jest potłuczony i poobcierany, podobnie jak pani.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Obawiam się, że na razie nie.

Jeszcze jest nieprzytomny.

Założono mu dwanaście szwów.

Pielęgniarka spostrzegła nagle przerażenie, malujące się na twarzy Kate i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Niech się pani nie martwi.

To rosy i silny mężczyzna, który w dodatku najwyraźniej dbał o sprawność swego organizmu.

- Popatrzyła na Kate i dodała po chwili: - W naszym szpitalu tym razem chyba każda pielęgniarka postarała się znaleźć jakiś pretekst, żeby wpaść do sali, gdzie udzielano mu pomocy, i przynajmniej rzucić na niego okiem.

Czy mam im zanieść smutną nowinę, która z pewnością złamie im serca, że tak piękny mężczyzna jest już zajęty?

- Tak - odpowiedziała Kate, zanim w ogóle zdążyła się zastanowić.

- Jest zajęty.

Pielęgniarka westchnęła.

- Najlepsi zawsze są zajęci...

- Gdzie ja właściwie jestem?

To znaczy - w jakim szpitalu?

- Szpital Foresham Cottage.

Jakieś dwanaście kilometrów od Courtland Park.

Najbliższy i zresztą tutaj jedyny, który przygotowany jest do niesienia pomocy ofiarom wypadków.

Tyle że to już długo nie potrwa - zamykają nas w przyszłym roku i trzeba będzie jechać do szpitala w Chichester.

Ale wróćmy do dnia dzisiejszego, chciałaby pani może coś zjeść lub się napić?

- Czy mogłabym prosić o filiżankę herbaty, mocnej i gorącej?

W miarę możliwości z mlekiem, ale bez cukru.

- Myślę, że to jest możliwe.

Aha, a poza tym chciałby się z panią zobaczyć pan Chevely.

Czeka tu już od chwili, kiedy panią przywieziono, i wygląda na to, że ma coś pilnego...

- Nicholas?

- wykrzyknęła zaskoczona Kate.

Od momentu opuszczenia restauracji kompletnie o nim zapomniała.

- Tak, bardzo proszę, niech wejdzie.

Tym razem Nicholasa Chevely trudno byłoby nazwać nieskazitelnie eleganckim -jego wytworny garnitur był poplamiony sadzą i wciąż cuchnął dymem.

Jednak on sam najwyraźniej zdążył już się umyć i uczesać, ponieważ zarówno twarz, jak i ręce miał czyste, niczym lekarz przed operacją, a i ułożeniu włosów nie można było nic zarzucić.

- Droga, dzielna Kate!

- zawołał, a w jego głosie podziw i uznanie dla niej mieszało się z pewnym zakłopotaniem.

- Wygląda pani trochę jak te maltretowane przez mężów żony, o których teraz tyle się mówi.

Czy to bardzo boli?

- Czuję się trochę połamana i jakby wyrócona podszewką do góry - przyznała Kate.
- Ale to ja mam mnóstwo pytań, choćby o sam pożar - co się stało, kiedy płonący dach się zawalił?
Czy cały dom jest zniszczony?
A z tego, co było w środku, ile udało się uratować?
I czy ktoś już powiadomił Londyn?
Powinnam też natychmiast porozmawiać z Anthonyem Howardem, i...
Nicholas podniósł dłoń jak policjant zatrzymujący rozpędzony samochód.
- Chwileczkę, nie wszystko naraz.
Pożar ostatecznie ugaszono, do czego w największym stopniu przyczyniło się pęknięcie wielkiego zbiornika z wodą na palącym się poddaszu.
Ten zbiornik w pewnym momencie rozpadł się jak pęknięty melon, a tysiące litrów wody zalało i ugasiło prawie wszystko.
Obawiam się jednak, że dom i tak już jest do spisania na straty - to, co się ostało, tak czy inaczej trzeba będzie zburzyć.
Jeżeli chodzi o skontaktowanie się z członkami zarządu, to - o ile wiem - pani zastępca, Anthony Howard, już kontaktował się z Nigelem Marshem.
Sam pan Howard jest wciąż w Courtland Park, sprawdzając, co zostało uratowane, i - jak mówił - spodziewa się ostatecznie zamknąć odpowiedni raport jeszcze dzisiejszego dnia, choć zapewne nieco później.
- Zaraz!
A jaki właściwie mamy dzień...
czy może noc?
- zapytała, uświadamiając sobie nagle, że nawet tego nie wie.
- Wszystko działo się wczoraj wieczorem, a teraz mamy rano następnego dnia.
Dokładniej mówiąc, jest druga trzydzieści pięć rano.
- Dopiero?
- Przez jakieś trzy godziny pani spała.
Pożar zaczął się od wybuchu - ta informacja jest już sprawdzona - dokładnie o ósmej pięćdziesiąt cztery, wczoraj wieczorem.
Natomiast zbiornik pękł trzy kwadransy przed północą, o jedenastej szesnaście.
Zmyło wtedy główne ognisko pożaru, a przy okazji i was dwoje.
O wpół do dwunastej pożar można już było uznać za ugaszony.
A dla pani pewnie jeszcze ważniejsza jest informacja - również już sprawdzona i potwierdzona - że znakomita większość zgromadzonych tam rzeczy została uratowana.
Zdaniem wielu osób to po prostu cud.
- Znakomita większość?
- powtórzyła Kate, a jej twarz nagle się rozjaśniła i wprost promieniała szczęściem.
- Dokładnie tak - potwierdził Nicholas.
- Nie ma jeszcze pełnego spisu przedmiotów, których nie udało się uratować, ale z całą pewnością pan Howard przygotowuje coś takiego dla pani.
- Znakomita większość uratowana - powtarzała Kate, jak gdyby te słowa były dla niej jakąś magiczną inkwizycją.

- Ale uratowane za jaką cenę?

- zapytał surowo Nicholas.

- Ponowne wchodzenie do domu, którego dach już się pali i w każdej chwili grozi zawaleniem, można określić tylko w jeden sposób: to była po prostu wariacka lekkomyślność.

- Strażacy coś do mnie krzyczeli, ale był taki huk, że ja ich nie słyszałam -świadoma swej winy Kate broniła się dość słabo.

- A czy usłuchałaby ich pani, gdyby krzyczeli nawet przez głośnik?

Dzięki Bogu, że przynajmniej Blaise Chandler przez większość czasu miał panią na oku. Wpadł tam za panią jak pocisk - tak w każdym razie opowiadali ludzie, którzy to widzieli. Oczy miał podobno jak jakiś szaleniec, sam wyraz jego twarzy zapowiadał, że stanie się coś straszego...

- Nicholas uniósł do góry swe piękne, patrycjuszowskie brwi i pokiwał głową.

- Chyba jednak nie przewidział, że najgorzej wyjdzie na tym on sam.

Mówiąc to, wpatrywał się w nią tak uporczywie, że speszona Kate mimo woli przekreśliła się na poduszce i natychmiast syknęła z bólu.

- Aha, widzę, że także i pani zebrała swoją porcję guzów i siniaków - powiedział Chevely, a w jego głosie było chyba więcej satysfakcji niż współczucia.

- No cóż...

Teraz wracam do miasta.

Przyjdę znów do pani, ale już z przedstawicielem naszej firmy ubezpieczeniowej.

Czy może chciałaby pani, żebym przy okazji coś pani przyniósł?

Coś z ubrania, na przykład?

- O tak, bardzo proszę!

Niech pan po prostu powie mojej gospodyni, co się stało, a ona już będzie wiedziała, co mi zapakować.

Kiedy mniej więcej może pan tu wrócić?

- Myślę, że wczesnym popołudniem.

Muszę się wykapać, ogolić, no i choć trochę się przespać.

Ale oczywiście nie zamierzam tracić czasu.

Im szybciej ci faceci z ubezpieczeń zabiorą się do roboty, tym lepiej.

- Rozumiem, że - nad wyraz przewidująco - ubezpieczył pan wszystko?

-zapytała słodziutko Kate.

- Ależ oczywiście - odpowiedział Nicholas, nie mrugnawszy okiem.

- Czy sądziła pani, że o tym nie pomyślę?

Nie, przyznała w duchu Kate, i omal nie zachichotała.

Nie, taki facet nie zaniedba niczego.

Raczej zrobi nawet więcej.

Nicholas podniósł się z krzesła i już ruszył w stronę wyjścia, gdy nagle przypomniał sobie coś jeszcze.

Odwrócił się i powiedział: - Aha, byłbym zapomniał.

Przy okazji proszę powiedzieć panu Chandlerowi, że jakiś facet nazwiskiem Benny Fong telefonował bez przerwy, gdzie się tylko dało, żeby się z nim skontaktować.

Powiedziano mi, że dzwonił również do Courtland Park, ledwie w pięć minut po naszym wyjeździe na kolację.

Był niezwykle zmartwiony, że nie udało mu się go zastać.

Sprawa chyba naprawdę musiała być niezwykle pilna i ważna, bo -jak powiedział strażnik, który z nim rozmawiał przez telefon - "facet, który dzwonił, niemal robił w portki", koniec cytatu.

Nicholas Chevely jeszcze raz uśmiechnął się do niej na pożegnanie i zniknął za drzwiami.

Benny Fong dzwonił z Hongkongu!

Coś się musiało wydarzyć.

Kate nagle poczuła, że całe jej rozradowanie ulatuje gdzieś bezpowrotnie, a wraca dawny strach.

O Boże, pomyślała z przerażeniem, żeby to tylko nie było jakieś kolejne perfidne łajdactwo.

Co tam się mogło stać?

I dlaczego Benny Fong telefonował w aż takim popłochu?

A Blaise na razie wciąż nie odzyskał przytomności...

Tymczasem wróciła pielęgniarka, popatrzyła na nią z surową przyganą i powiedziała: - No niech pani tylko na siebie spojrzy!

Pani powinna teraz spać, i to jak najwięcej.

Proszę to połknąć i popić.

- Podala Kate papierowy kubek i małą białą pastylkę.

- Dzięki temu to wszystko mniej będzie panią boleć...

- Pielęgniarka nie dodała jednak, że podany środek działał też uspokajająco i nasennie.

Kate posłusznie połknęła tabletkę, choć uważała, że teraz raczej na pewno nie uśnie.

Po prostu nie potrafi po tym wszystkim.

Nad tyloma rzeczami musiała się teraz zastanowić, rozważyć, dogłębnie przemyśleć.

Znow poczuła to miękkie ciepło gdzieś poniżej żołądka, wystarczyło tylko, że przypomniała sobie to wszystko, co -tak cudownie, tak nieprawdopodobnie - stało się ledwie kilka godzin temu.

Ale czym właściwie było to, co się z nimi wydarzyło?

Tego przecież nie dało się objąć rozumem, to było coś takiego jak piorun, który nagle poraził ją i jego - jednocześnie.

Ten szalony błysk w jego oczach, a w niej nagły skurcz wszystkich wnętrzności i nieprawdopodobna, niewyobrażalna słodycz jego pocałunku.

W całym swym dotychczasowym życiu nie poczuła nigdy czegoś podobnego.

Te jej dawne i tak nieudane wyprawy w świat "romantycznych uczuć", w gruncie rzeczy - dopiero teraz tak jasno zdawała sobie z tego sprawę - w ogóle jej nie poruszyły i pozostawiły ją zupełnie obojętną.

Również Larry Cole nie wywołał w niej żadnej silniejszej reakcji.

Natomiast Blaise...

to nagle było prawdziwe trzęsienie ziemi!

Jeszcze teraz sama myśl o tym wywoływała w niej ten znajomy już, słodki skurcz tam, w środku.

Kate poczuła, że nagle ma ochotę zwinąć się w kulę jak kot (choć przecież każdy ruch wciąż jeszcze wiązał się z bólem), osłonić i wtulić w siebie tę cudowną świadomość tego, co się stało.

On, Blaise Chandler, wbiegł w sam środek pożaru - dla mnie!

Bał się - o mnie!

Bo po prostu mnie właśnie chciał...

mnie!

To wszystko chyba mi się śni, powiedziała sobie.

Zaraz się obudzę, usłyszę deszcz stukający w rynny nad sklepikiem przy Kings Road i pomyślę, że znów się spóźniłam z otwarciem.

Czemu to wszystko stało się akurat teraz?

I dlaczego akurat tu?

I dlaczego...

Kate ziewnęła głęboko.

To wszystko przez Blaisea, pomyślała.

To dlatego, że on...

Westchnęła i jeszcze raz ziewnęła.

- Blaise...

- zdążyła jeszcze szepnąć, a potem już bez reszty zapadła w głęboki, kojący sen.

Kiedy obudziła się ponownie, w pokoju było jasno od zagląającego przez szyby słońca. Zegar nad drzwiami, którego Kate wcześniej nie zauważyła, wskazywał jedenastą pięćdziesiąt.

Kate gwałtownie usiadła na łóżku i natychmiast skrzywiła się z bólu.

Całe ciało wydawało się jej sztywne i poobijane, a gdy odsunęła rękawy i popatrzyła na swoje ramiona i dłonie, mogła zobaczyć, jak są posiniaczone i poobcierane.

Odrzuciła pościel i podciągnęła do góry i tak niezbyt długą szpitalną koszulę.

Okazało się, że jej nogi wyglądają podobnie, jeżeli nie jeszcze gorzej.

Rozwiązała tasiemkę, związującą koszulę u szyi i przyjrzała się reszcie.

Również jej piersi i brzuch wyglądały praktycznie tak samo.

Całe płyty otartej naskórka, na zmianę z fioletowo-żółtymi śladami sińców.

To było prawie coś takiego, jak modne ostatnio "body paint" - malowanie ciała.

Ona tym razem nawet nie musiałaby niczego malować...

Walcząc z dotkliwym bólem przekręciła się na łóżku i opuściła nogi na podłogę.

Nawet stopy dotkliwie ją bolały, przy każdym kroku.

Drzwi się otworzyły i na progu pojawiła się pielęgniarka, ale już inna.

- No proszę!

- powiedziała, z uznaniem patrząc na Kate.

- I jak się czujemy dzisiaj rano?

- Jak mały zajaczek, rozdeptany przez stado pędzących sioni.

- A gdyby tak wziąć długą, gorącą kąpiel?

Powinno pomóc.

Chce pani, żebym naląła wody do wanny?

- Och tak, jeżeli mogę panią prosić.

- A potem powinna pani zjeść jakieś śniadanie.

Lekarz ma jeszcze panią obejrzeć, ale nie sądzę, żeby chcieli panią tu zatrzymywać.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziała Kate i zmarszczyła brwi.

- Kiedy pomyślę, ile spraw na mnie czeka.

Ale proszę mi powiedzieć, jak się czuje pan Chandler?

- W nocy był jeszcze bardzo niespokojny, ale teraz chyba jest lepiej.

W każdym razie od kilku godzin śpi.

- Ach, tak...

- Postarała się, żeby w jej głosie rozczarowanie nie było nazbyt wyraźne.

No cóż, zobaczę go później, pomyślała.

Najważniejsze, że nic groźnego z nim się nie dzieje.

Wyleżała się w wannie z gorącą wodą nieprzyzwyczajenie długo, ale też po wyjściu z łazienki czuła się już znacznie lepiej.

Na razie nie przyniesiono jej nic z ubrania, o które prosiła, toteż nie miała innego wyjścia, jak tylko znów włożyć tę szpitalną nocną koszulę, choć już nie zamierzała kłaść się do łóżka.

Na śniadanie przyniesiono jej jajka na bekonie, zapiekane pomidory z grzybami, a także grzanki z marmoladą i dzbanek soku owocowego.

Kate zmiotła wszystko, aż do ostatniej okruszyny.

- O, tak jest znacznie lepiej - powiedziała z zadowoleniem pielęgniarka, która znów pojawiła się w pokoju.

- Aha, są tu dwaj dżentelmeni, pan Marsh i pan Steadman, którzy chcieliby panią odwiedzić.

Czy czuje się pani na siłach?

- Też pytanie!

Oczywiście, niech przyjdą.

Obaj przybyli panowie wydawali się bardzo ciekawi jej wyglądu; najwyraźniej byli z niej bardzo dumni, ale też i trochę przerażeni jej stanem.

- Och, biedna Kate!

- Nigel kręcił głową, patrząc na jej sińce i zadrapania.

Natomiast John po ojcowsku poklepał Kate po dłoni.

Było w tym przede wszystkim szczere uznanie.

- Dzielna dziewczyna!

- powiedział.

- Osiemdziesiąt procent rzeczy zostało uratowanych.

Aż osiemdziesiąt procent!

Kto to mógłby pomyśleć?

- Osiemdziesiąt?

- powtórzyła uszczęśliwiona Kate.

Nigel i John patrzyli na nią i uśmiechali się na widok jej radości.

- Anthony Howard z grubszą już to policzył.

My przyjechaliśmy na miejsce dzisiaj o dziewiątej rano, a ten biedny Anthony pracował przez całą noc.

Zapakowaliśmy go do łóżka i zabronili mu wstawać co najmniej do wieczora.

- Anthony był naprawdę wspaniały - powiedziała z dumą Kate.

- Jak zresztą wszyscy, którzy tam byli.

- Rezultat waszej akcji ratowniczej jak najbardziej to potwierdza.

- Co zatem uległo zniszczeniu?

- zapytała, szykując się na najgorsze.

- Wiem, że przepadły żyrandole, a także łóżko pani du Barry i reszta jej mebli, i chyba też ten parawan z laki...

- Wszystko, co było w pomieszczeniach na parterze, zostało bezpiecznie wyniesione - przerwał jej rozpromieniony Nigel.

- Wszystkie liczące się obrazy, meble, kryształ i porcelana.

Uważam, że to wspaniale, naprawdę wspaniale i niezwykle - żeby uratować tak wiele z tak strasznego pożaru!

- Jednak sam dom trzeba ostatecznie spisać na straty.

- John jak zawsze myślał przede wszystkim o finansowych skutkach takich wydarzeń.

- Ale aukcja nie miała przecież obejmować domu, a zresztą Nicholas Chevely powiedział mi, że dom tak czy inaczej był ubezpieczony.

Nawiasem mówiąc, on sam wprost nie znajduje słów uznania dla twoich dokonań organizacyjnych przy przygotowywaniu tej aukcji.

Przyznaję, że początkowo nawet ja sam uważałem twoje niektóre związane z tym wszystkim wydatki za cokolwiek...

ekstrawaganckie.

No, ale w praktyce się okazało, że jednak miałaś rację.

Gdyby nie było tu aż tak wielu strażników i tylu osób z naszego personelu, skutki pożaru mogły być naprawdę katastrofalne.

- Na szczęście bardzo szybko zjawiała się też policja, która również nam pomagała.

Nie mówiąc już o strażakach...

- Naprawdę wspaniała, heroiczna akcja - powiedział John.

- Dlatego wraz z Nigelem doszliśmy do wniosku, że powinniśmy jakoś dać temu wyraz, podkreślić nasze uznanie i podziw.

Kate skinęła głową.

- A uczestniczący w tym pracownicy powinni dostać specjalną premię.

- Ależ oczywiście - zgodził się John, przynajmniej tym razem nie protestując przeciw zwiększaniu kosztów.

- A jak się czuje pan Chandler?

- zapytał z przejęciem Nigel.

- Z tego, co mi mówiono, to on był głównym bohaterem całej tej akcji.

- Po prostu uratował mi życie - powiedziała Kate.

- A więc musimy go też odwiedzić i koniecznie mu podziękować.

- Pan Chandler chwilowo śpi, i nie należy go budzić.

Ja sama jeszcze go nie widziałam.

- Ale nasza szefowa, jak rozumiem, już wkrótce będzie zdrowa i gotowa do dalszej pracy.

Jeszcze parę dni odpoczynku, i...

- Odpoczynku?

Kto tu mówi o odpoczynku?

W życiu na to nie pozwolę, nie mam czasu, żeby sobie leżeć i patrzeć w sufit.

Trzeba się natychmiast zabierać do roboty.

Zakasać rękawy i jednak poprowadzić tę aukcję.

John i Nigel patrzyli na nią oszołomieni.

- Ale przecież...

w jaki sposób zamierzasz z tym zdażyć?

Przecież trzeba by dopiero znaleźć jakiś odpowiedni dom, przewieźć tam wszystko, przygotować, powiadomić ludzi o nowym miejscu...

- Nie będzie żadnego innego miejsca.

Poprowadzę aukcję w Courtland Park, dokładnie tak, jak to było zaplanowane, tyle tylko, że odbędzie się to teraz przed domem, a nie w jego wnętrzu.

Potrzebne będą jeszcze co najmniej dwie ogromne markizy, a raczej namioty.

A właśnie, John, czy zechce pan to dla mnie załatwić?

Nie będę co prawda mogła wyeksponować obrazów i mebli w ich naturalnym otoczeniu, tak jak to sobie planowałam.

Ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie potrafię nawet w tych warunkach przedstawić tego wszystkiego dostatecznie atrakcyjnie.

Trzeba tylko chcieć!

Rozłożymy dywany, na jakiejś lekkiej konstrukcji ustawi się ścianki do zawieszenia obrazów.

To się musi dać zrobić; a meble ustawimy tak, jak gdyby stały w swych naturalnych wnętrzach.

Co jeszcze?

Aha, wszystkie uratowane rzeczy na pewno muszą zostać jeszcze raz oczyszczone.

Nigel, czy zechce pan zlecić to firmie Jorgensona?

Proszę mu powiedzieć, żeby przysłał swoich ludzi jak najszybciej.

Czy będzie dużo tego czyszczenia?

John i Nigel wymienili znaczące spojrzenia.

- Najwyraźniej nie jest z tobą tak źle, drogie dziecko - powiedział z ulgą Nigel.

- Skoro już teraz narzucasz takie tempo.

- Trzeba natychmiast załatwić odpowiednie ogłoszenia w prasie.

Musi się to ukazać na poświęconych aukcjom stronach wszystkich ważniejszych gazet i tygodników.

Myślę też, że warto by przygotować trochę odpowiednio wyeksponowanych plakatów.

A może także pomyśleć o odpowiednich anonsach w telewizji...

- Kate zastanawiała się przez chwilę.

- Mamy jeszcze dziewięć dni.

To powinno wystarczyć, żebyśmy się mogli skontaktować - nawet bezpośrednio - ze wszystkimi zainteresowanymi i poinformować, że aukcja odbędzie się, tak jak to było planowane.

- Myślę też, że można już spokojnie skreślić wszelkie wydatki na płatną reklamę - powiedział Nigel, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Zareklamują nas bezpłatnie, i to jak!

Przecież ta wiadomość sprawiła, że większość gazet zatrzymała maszyny drukarskie, by w ostatniej chwili włączyć te sensacyjne doniesienia.

Jestem prawie pewien, że dzisiejszy wieczorny "Standard" da to na pierwszej stronie.

W Courtland Park aż się roi od dziennikarzy i fotoreporterów.

- A telewizja BBC wysłała ekipę z kamerami, podobnie jak ITV - dodał zadowolony z siebie John.

- Bardzo dobrze.

Przyjmę wszystkich reporterów i w ogóle każdego, kto może się przyczynić do rozpowszechnienia informacji, że aukcja odbędzie się bez zmian, w zaplanowanym terminie.

- Kate spojrzała na siebie i westchnęła.

- Tyle tylko, że nadal nie wiem, jak stąd wyjdę, bo wciąż nie mam ubrania.

- Ubranie już jest, przynieśliśmy walizkę.

Nicholas Chevely dał ją nam, ponieważ on sam pojawi się tu dopiero później.

- Wobec tego nie ma już na co czekać.

Zaraz się ubieram.

Większość zadrapań, różnych otarć skóry i siniaków na ciele można było ukryć pod ubraniem, gorzej było z twarzą.

Cały lewy policzek był straszliwie podrapany, a potężny siniak pod prawym okiem już mienił się kolorami tęczy.

Mamo droga, pomyślała, patrząc w lustro, zawieszony w łazience nad umywalką.

Nawet Blaise nie byłby zachwycony taką twarzą.

Niespodziewanie znów poczuła nagły skurcz żołądka.

Coś tam się burzyło i przewracało w środku, i to do tego stopnia, że w pewnej chwili musiała się na dłużej pochylić nad umywalką.

Ale kiedy wróciła do oczekujących na nią Johna i Nigela, była już ponownie ożywiona, sprawna i gotowa do działania.

- Jeszcze tylko chwilę, jeśli można.

Pójdę i sprawdzę, czy można już rozmawiać z Blaiseem...

z panem Chandlerem.

Poza tym pewnie powinnam zgłosić lekarzom, że wychodzę; zdaje się, że powinni wyrazić na to oficjalną zgodę.

To nie zajmie wiele czasu.

Okazało się jednak, że Blaise wciąż śpi.

Uzyskała tylko tyle, że pozwolono jej na niego popatrzeć.

Leżał tam z głową podpartą kilkoma poduszkami, bandaż wokół głowy przytrzymywał gruby opatrunek nad lewym uchem.

Jego twarz była jeszcze bardziej podrapana i posiniaczona, a złamana noga unieruchomiona w łupkach i ułożona na zawieszanej na wysięgniku kołysce.

Bandaż wokół głowy zmienił ułożenie jego włosów, które teraz opadały mu na czoło, niczym grzywka u młodych chłopców.

Tak, wyglądał zupełnie jak chłopiec, nic dziwnego, że jego babka Agatha tak właśnie go nazywała.

Chłopiec...

Kate miała nieprzepartą ochotę, by pocałować go w te lekko rozchylone usta, ale stała obecność pielęgniarki ostatecznie na to nie pozwoliła.

Powiadomiony o jej zamiarze opuszczenia szpitala lekarz zbadał ją dla pewności i ostatecznie zgodził się bez większych oporów.

Zalecił jedynie unikanie zbyt dużych wysiłków i natychmiastowe zgłoszenie się do lekarza w przypadku, gdyby pojawiły się jakieś bóle głowy.

Przepisał jej też maść gojącą na otarcia i zadrapania, a także pastylki, które miały złagodzić bóle i zeszywnienie mięśni.

Nie było żadnych przeszkód w wypisaniu jej ze szpitala.

- No więc już mam to wszystko za sobą - powiedziała po powrocie do oczekujących na nią Nigela i Johna.

- Jedźmy zatem i zabierajmy się do pracy.

Dopiero w świetle dnia Kate mogła w pełni obejrzeć pogorzelisko i zdać sobie sprawę z rozmiarów zniszczeń.

Z domu pozostała stosunkowo najmniej naruszona ściana frontowa, za którą stały już tylko wypalone mury.

Wszędzie wokół, w zagłębieniach terenu, a także w widocznych teraz od góry piwnicach, stała woda.

Uratowane przedmioty ułożono pod wielkimi brezentowymi przykryciami, a wyznaczeni do tego pracownicy oglądali wszystko po kolei, sprawdzając uważnie i odstawiając na bok te rzeczy, które wymagały dodatkowego oczyszczenia czy jakiejś drobnej naprawy.

Najwięcej szkód wyrządziły sadza i dym.

Poza tym na przykład jedna z beczennych inkrustowanych szafek miała obłuzowane i rozchybotane ozdobne nóżki, a któryś ze starych zegarów przestał chodzić.

Jeżeli nie liczyć tych raczej pojedynczych i drobnych w końcu uszkodzeń, nie było w zasadzie przeszkód, by wszystkie ocalone przedmioty wystawić na aukcję.

Wszystkie cenne obrazy uratowano, a teraz każdy z nich dodatkowo został owinięty zabezpieczającą folią.

Były jakieś drobne zadrapania na tylnej stronie niektórych obrazów, nie do uniknięcia przy tak pośpiesznym zdejmowaniu ze ścian; jednakże żadne płótno ani malowidło nie zostało naruszone.

Również porcelana wyszła z tego wszystkiego w stanie niemal idealnym.

Żadnych pęknięć, żadnych odprysków.

Całość wymagała tylko dokładnego i ostrożnego umycia.

Kate oglądała to wszystko z prawdziwą ulgą, przepelniona wdzięcznością dla ludzi, którzy pomogli jej to uratować.

Postanowiła, że podziękuje każdemu osobiście, tak więc rozmawiała kolejno ze wszystkimi, ścisła im ręce i dziękowała w imieniu własnym i firmy Desparcs.

Wiadomość o specjalnej premii dla wszystkich uczestniczących w akcji zachowała na razie w tajemnicy, by stała się dla nich przyjemną niespodzianką.

Wkrótce potem już udzielała wywiadów dla obu sieci telewizyjnych, z przeznaczeniem do wieczornego wydania wiadomości.

Postarała się więc w pełni wykorzystać okazję do poinformowania wszystkich, że aukcja odbędzie się w zaplanowanym terminie, dokładnie tak, jak to było przewidziane.

- Ale przecież, jeżeli dobrze pamiętam, cała aukcja miała się odbyć we wnętrzach?

- zapytał któryś z prowadzących wywiad dziennikarzy.

- Tak, właśnie tak to planowaliśmy.

Te stare wnętrza miały stanowić odpowiednie tło dla wystawianych przedmiotów.

Teraz jednak, jak pan pewnie zauważył, nie za bardzo mogłyby już spełniać taką rolę...

Kamerzysta zrobił panoramę pozostałości wypalonego domu, efektownie pokazując sterzące w niebo osmalone kominy, puste już teraz otwory okienne w murach, zwęglone belki i krokwie, pokryte sadzą ozdobne kamienne płyty, a także widoczne wszędzie ślady wody, pozostałej po gaszeniu pożaru.

- Ale gdzie, wobec tego, odbędzie się ta aukcja?

- zapytał dziennikarz.

- W wielkich namiotach, które zostaną ustawione na trawniku.

Już wcześniej przewidywaliśmy ustawienie dwóch podobnych, choć mniejszych namiotów, w których chcieliśmy urządzić biuro dla załatwiania formalności oraz bufet dla przybyłych gości.

Teraz zdecydowałam, że po prostu postawimy jeszcze dwa namioty, tyle że znacznie większe, największe, jakie uda się nam znaleźć.

W tych namiotach przygotowujemy całość ekspozycji.

Aukcja będzie więc niezupełnie taka, jak to planowaliśmy, ale na pewno się odbędzie.

Chciałabym skorzystać z okazji i powiadomić wszystkich, którzy zamierzali tu przybyć, że aukcja zacznie się trzydziestego października, a więc w planowanym terminie.

Drody państwo, jeżeli zamierzaliście tu do nas przyjechać, nie zmieniajcie planów.

Będę tu na państwa oczekiwać, a wraz ze mną będą też oczekiwać te wszystkie wspaniałe przedmioty, które z takim trudem uratowaliśmy.

Wszystkie one zostaną wystawione do wstępnego oglądania już od dwudziestego trzeciego października.

Nic nie zostało uszkodzone, musimy teraz jedynie wszystko na nowo rozstawić i wyeksponować.

Zechcą państwo łaskawie sami to zobaczyć - niemal wszystko zostało w cudowny sposób ocalone.

Dla potrzeb tego wywiadu przygotowano już pewną część rzeczy, które wcześniej rozłożono na przenośnych roboczych stołach.

Kate miała więc okazję, by zaprezentować przed kamerami kilkanaście najcenniejszych przedmiotów z porcelany, kryształu, kości słoniowej, brązu i srebra.

Zdjęła też plastikowe osłony z autoportretu Rembrandta i wspaniałego obrazu Poussina, którego żywe barwy rozbliły się szczególnym blaskiem w promieniach popołudniowego słońca.

Potem poprosiła jeszcze, by kamerzyści pokazali ogólne plany i zbliżenia kilku wspaniałych francuskich mebli - wcześniej zdążono je ponownie oczyścić i wypolerować - by widać było, w jak znakomitym są stanie.

W ogóle Kate postarała się do maksimum wykorzystać wszystkie możliwości jak najszerszego zareklamowania zbliżającej się aukcji, wiedziała bowiem, że te materiały będą oglądane w całym kraju, a prawdopodobnie również na świecie.

A to musiało napędzić klientów.

Kto wie, czy nawet ci, którzy przyjadą tu tylko z ciekawości, w końcu sami czegoś nie kupią?

- Proszę nam jeszcze opowiedzieć o tym, czego dokonał pan Blaise Chandler.

- Dziennikarz telewizyjny podjął następny, sensacyjny temat.

- Czy to prawda, że narażał swoje życie, żeby uratować panią?

- Tak - powiedziała Kate.

- Ja po prostu nie wiedziałam, że płonący dach jest już bliski zawalenia.

Szczerze mówiąc, myślałam wtedy tylko o tym, żeby uratować z płomieni niezwykle piękne i cenne stare srebra.

Te właśnie...

- Podeszła do kolejnego stołu, na którym ustawiono uratowane przez nią srebrne lustro i pozostałe przedmioty z kompletu.

- Rzeczywiście warto było to ocalić - powiedział dziennikarz.

- Tak, ale jednak nie za cenę naszego życia.

Całe szczęście, że wtedy właśnie pękł ten zbiornik z wodą.

- A to są pani medale za dzielność?

- Prowadzący wywiad z uśmiechem wskazał na sińce i zadrapania.

- No cóż, taka fala raczej nie liczy się z nikim, kto znajdzie się na jej drodze - przyznała Kate.

- Ja i tak wyszłam z tego z niewielkimi urazami.

Natomiast pan Chandler ma sporą ranę głowy i złamaną nogę.

W sumie jednak mogło być znacznie gorzej.

- A co na to wszystko pani przybrana siostra, żona pana Chandlera?

Czy jest przy nim w szpitalu?

- Jest w tej chwili w drodze - powiedziała Kate.

Wcześniej Nigel Marsh zdążył jej powiedzieć, że już dzwonił do Nowego Jorku i poprosił, żeby odszukano panią Chandler i przekazano jej wiadomość.

- A czy będzie też na pani aukcji?

Kate uśmiechnęła się, żeby nie pokazać, że to pytanie ją zirytowało.

- Nie potrafię powiedzieć.

- Ale panie chyba zazwyczaj przyjeżdżają do siebie z okazji takich wielkich aukcji, prawda?

- Zwykle jesteśmy zbyt zajęte przygotowawaniem do następnych, by znaleźć na to czas.

Za każdym razem trzeba w to włożyć bardzo dużo...

- Zwłaszcza tym razem - mruknął John Steadman do stojącego obok Nigela Marsha.

- Ileż to ona sama włożyła tu i wysiłku, i zdrowia!

Dzięki niej wróciliśmy z dalekiej podróży, jak się to mówi...

- Jej ojciec byłby naprawdę z niej dumny - dodał Nigel.

- Nie wiem, jak jej ojciec, ale ja na pewno jestem z niej dumny!

Po zakończeniu wywiadu Kate spojrzała na zegarek.

Trzecia po południu w Anglii odpowiadała ósmej rano w Kolorado.

O tej porze księżna Agatha z reguły była już na nogach.

Warto było do niej zadzwonić, zwłaszcza że można już było skorzystać z ustawionych jeszcze tego samego dnia prowizorycznych kabin telefonicznych, które pozwalały utrzymać łączność z londyńskim biurem i resztą świata.

Księżna Agatha ogromnie się ucieszyła.

- O, jaka miła niespodzianka już z samego rana!

- Jak się pani czuje, księżno?

- Kate chciała się upewnić, że starsza pani zniesie wstrząs, jakim miała być wiadomość o tym, co się stało.

- Moje konowały mówią, że mogę przetrwać jeszcze parę lat, ale to i ja sama mogłabym im powiedzieć.

Czuję się nawet lepiej, niż kiedykolwiek.

Ale opowiedz mi wszystkie nowiny.

Widziałaś się z moim chłopcem?

To pozwoliło Kate od razu opowiedzieć wszystko.

Agatha wysłuchała całej relacji ze spokojem, równie niewzruszona - przynajmniej pozornie - jak otaczające jej ranczo Góry Skaliste.

- Mówisz, że ma złamaną nogę?

No cóż, nie pierwszy raz.

Nie skończył jeszcze nawet dwunastu lat, kiedy już miał co najmniej raz złamane obie nogi, a chyba też i rękę.

Tak że już ma w tym rutynę i wie, czego się spodziewać.

A jak bardzo groźna jest ta rana na głowie?

- Głębokie rozcięcie, ale na szczęście czyste i bez komplikacji.

Tyle że założono mu aż dwanaście szwów.

- I to już wszystko?

- A czy to jeszcze mało?

- Chciałam się tylko upewnić.

- Nic poważnego mu teraz nie zagraża - podkreśliła Kate.

- Głównym skutkiem będą raczej niewygody, choć dość spore, jak sędzę.

Przez jakiś czas będzie musiał chodzić o kulach.

- Taki odpoczynek dobrze mu zrobi.

- Agatha była rzeczowa, jak zwykle.

- Ale tak czy inaczej przylecę pierwszym samolotem.

Myszę, że będę u was jeszcze dziś w nocy waszego czasu.

Nie mów mu, że przylatuję.

Chcę, żeby to była niespodzianka.

Kate wyszła z kabiny i zwróciła się do Nigela, który czekał na nią w pobliżu.

- Czy ja dobrze zrozumiałam, że pan już wcześniej przekazał wiadomość Dominique?

- Nie rozmawiałem z nią osobiście, ale zapewniono mnie, że wiadomość zostanie jej przekazana.

Blaise obudził się z imieniem Kate na ustach.

Oczywiście widział też jej twarz, a może mu się to po prostu śniło.

W każdym razie natychmiast zapytał o nią - gdzie jest i jak się czuje.

Okazało się jednak, że panna Despard została już wypisana i opuściła szpital jakieś trzy godziny temu.

- Lekarze pewnie woleliby ją zatrzymać jeszcze na dwadzieścia cztery godziny, ze względu na możliwość wystąpienia jakiejś opóźnionej reakcji - mówiła pielęgniarka.

- Ale panna Despard nalegała, twierdząc, że ma zbyt wiele do zrobienia i nie myśli się tu wylegiwać i nic nie robić.

Blaise uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Chciała z panem porozmawiać przed wyjściem, ale pan akurat smacznie spał, a lekarze nie pozwolili pana niepokoić.

Tak że mogła tylko na pana popatrzeć.

Ale prosiła, żeby panu przekazać, że wróci.

Szczególnie nalegała, żeby panu przekazać właśnie to, i właśnie tymi słowami.

Blaise poczuł ogromną ulgę, graniczącą z euforią.

A więc to były nieprzytomne rojenia, wywołane uderzeniem głową o jakąś twardą przeszkodę.

Głowa zresztą bolała go najbardziej, chwilami prawie nie do zniesienia.

Bolała go też złamana noga.

Ale myśl o Kate sprawiała, że zapominał o tym wszystkim.

Wszystko wokół nagle stawało się ciepłe i pogodne, nawet ból ustępował.

Kto mógłby pomyśleć, że przydarzy mu się coś podobnego?

Kate Despard, Boże jedyny, Kate Despard!

Głośnie wymawianie tego imienia sprawiało mu przyjemność.

A wcale mi się nie podobala, tak naprawdę to nawet jej nie lubiłem, pomyślał zdumiony.

Zupełnie nie mój typ, a właściwie nawet całkowite przeciwieństwo.

Dotąd zawsze interesowały go kobiety efektowne i przyciągające ludzkie spojrzenia - teraz zdawał sobie z tego sprawę szczególnie wyraźnie - a przy tym takie, które potrafiły nieźle grać w te współczesne gry między kobietami i mężczyznami, i w każdej chwili doskonale zdawały sobie sprawę, jaki osiągają wynik.

Kate nigdy nie podjęłaby takiej gry.

A jednak okazało się, że to właśnie z nią czuje się równie swobodnie i dobrze, jak czuł się dotąd z jedną tylko kobietą na świecie: własną babką.

Kate nie wywoływała napięć.

I można było z nią rozmawiać.

Ale on przecież zupełnie nie tego chciał dotąd od Dominique, czy zresztą od jakiegokolwiek spotkanej w swym życiu kobiety.

Więc czego chciał od takich kobiet?

Przecież nie szukał ich przyjaźni, nie mówiąc już o jakimkolwiek głębszym zaangażowaniu.

Na dobrą sprawę potrzebował tylko ich ciała.

Jego życie uczuciowe pozostawało jakby w zamrożeniu, teraz widział to szczególnie wyraźnie.

A pierwszy lodowaty szron na jego sercu pojawił się jeszcze w dzieciństwie, po odrzuceniu go przez matkę.

Od tego momentu instynktownie pilnował się, żeby nie dopuścić do zbytniego emocjonalnego zbliżenia z żadną kobietą, dzięki czemu przynajmniej nie groziło mu już następne uczuciowe okaleczenie.

Tymczasem Kate potrafiła stopić ten lód w jego sercu, a on sam nawet nie zdawał sobie sprawy, że w ciągu kolejnych miesięcy to kontaktowanie się z nią od czasu do czasu - i nawet samo przebywanie w pobliżu niej - wywoływało coś w rodzaju łańcuchowej reakcji.

Reakcji, która doszła do punktu krytycznego w tym pamiętnym momencie, kiedy nagle zobaczył ją niebezpiecznie wychyloną z okna i pomyślał, że za chwilę spadnie.

I jeszcze jedna rzecz była w Kate niezwykła - jej dzielność.

Ta dziewczyna miała odwagę i jednocześnie fantazję.

Nic nie było w stanie odebrać jej tego walecznego ducha.

Jego babka Agatha spostrzegła to natychmiast, podczas gdy on długo pozostawał ślepy, trwając w swych uprzedzeniach.

No a Charles - on przecież też od razu dostrzegł to w swojej córce.

- Tak, tak, Charles!

Był z ciebie chytry stary lis - powiedział głośno, i tylko na wpół do siebie.

A może Charles i jego babka już wcześniej to wszystko planowali?

Ona dlatego, że szukała najlepszej kobiety dla swego ukochanego wnuka, a Charles z kolei myślał o przyszłości firmy Desparda i o przyszłości własnej córki.

Czy tak było?

To zupełnie możliwe, pomyślał Blaise.

Charles dobrze wiedział, że Dominique nigdy nie wybaczyłaby upokarzającego pominięcia jej w zapisie i że mogłaby się potem mścić przez całe życie.

Dlatego też postarał się zabezpieczyć przed tym Kate, zapisując jej tyle, ile było można, a resztę oddając jej przybranej siostrze.

A poza tym liczył na mnie - nie mówiąc już o mojej babce - że pomogę utrzymać Dominique w ryzach.

Nic dziwnego, że księżna od początku tak zainteresowała się Kate.

Po prostu już wtedy wiedziała, co musi się zdarzyć.

To dlatego, kiedy tylko powiedziałem jej o śmierci Charlesa, natychmiast zapytała mnie o jego testament.

Ty przebiegła stara Indianko, pomyślał z czułością.

Jak u diabła udało ci się to wszystko przewidzieć?

Bo ty po prostu mnie znasz - odpowiedział sam sobie.
Usiadł na łóżku i zaczął jeszcze dokładniej rozważać tę swoją niedorzeczną koncepcję.
To nie miało sensu!
Ale z drugiej strony w życiu dzieją się rzeczy znacznie dziwniejsze niż na przykład w literaturze.
No nie, daj sobie z tym spokój!
Jeszcze trochę, a zaczniesz pisać listy do jakichś przemądrych ciotek, odpowiadających czytelnikom w pismach kobiecych.
Ten pomysł, to akurat coś na tym poziomie...
Ale jednak wszystko tu dziwnie pasuje.
Zwłaszcza to, co się działo ostatniego roku.
Tak, jakby ten czas był im dany specjalnie po to, żeby to wszystko mogło się zdarzyć.
Po to, żeby jemu samemu otworzyły się oczy, żeby mógł zobaczyć Kate taką, jaka jest naprawdę, i żeby Dominique wreszcie przebrała miarę -jak Charles się tego spodziewał.
A więc Charles i księżna Agatha mogli to wszystko zaplanować.
Spotykali się i spiskowali, a w dodatku trzeba przyznać, że nikt nie mógł być lepiej do tego przygotowany.
Nikt na całej kuli ziemskiej nie znał nas tak dobrze jak tych dwoje.
Musieli więc porównywać swoje oceny, rozważać cechy naszych charakterów i zastanawiać się nad motywacjami.
Przemysłnie nakręcali sprężyny tego dramatu i potem mogli już tylko mieć nadzieję, że wszystko się jednak dobrze skończy.
No cóż, trzeba było pożaru, żeby ich nadzieje się spełniły.
Ale Bóg świadkiem, że było warto.
Wspomnienie tego wszystkiego, co się wydarzyło, było jeszcze tak świeże, że na samą myśl o tym zimny pot znów wystąpił mu na czoło.
I natychmiast też powróciła niejasna świadomość czegoś niedobrego.
Jakby jakiś dokuczliwy kolec, który wciąż nie dawał się usunąć.
Tak, mógł się spodziewać wszystkiego...
ale przecież nie aż tak bezwzględnej i okrutnej próby zniszczenia wszelkich nadziei, jakie Kate musiała wiązać z tą aukcją.
Przypomniał sobie widok płonącego domu.
Wszystko zrujnowane!
I podobnie zrujnowane zostały wielomiesięczne wysiłki Kate.
Teraz trzeba będzie wielu kolejnych miesięcy, żeby ponownie doprowadzić przygotowania choćby tylko do tego punktu, który osiągnięto przed pożarem.
Blaise czuł, jak narasta w nim gniew.
Jak to się mogło stać?
- pytał sam siebie.
A potem jeszcze: Kto to zrobił?
I nagle odpowiedź pojawiła się sama.
W otwartych drzwiach stanęła Dominique - i Blaise już wiedział wszystko.
Nie znał co prawda odpowiedzi na pytanie, "Jak"?

, ale resztę już wiedział.

Wystarczyło jedno spojrzenie na tę cudownie piękną twarz i ten błysk w niebieskich jak szafiry oczach.

- Kochanie, nie powinieneś chyba aż tak się dziwić.

To znaczy, że mnie jednak nie doceniasz.

Przyleciałam natychmiast, jak tylko mnie powiadomiono.

A tymczasem ty sprawiasz wrażenie, że jestem ostatnią osobą, której się tu spodziewałeś.

Patrzyła na niego z pełnym wdzięku wyrzutem sponad całego naręczna czerwonych róż, które jeszcze bardziej podkreślały jej zachwycającą urodę.

Na ramionach miała piękne futro z norek, choć dzień nie był szczególnie chłodny.

Pocałowała go czule, raz i drugi.

- Moje biedne kochanie...

- W jej głosie dało się słyszeć troskę, ale też i jakąś nutkę satysfakcji, może nie wypowiedanej wprost, ale wyraźnej.

Była zadowolona, tak jakby przez dłuższy czas miała na coś apetyt i ten apetyt właśnie został zaspokojony...

Blaise czuł, że w tym momencie naprawdę mógłby ją zabić.

Ale miał też za sobą lata ćwiczenia się w ukrywaniu własnych uczuć, więc jego głos brzmiał zupełnie normalnie, kiedy zapytał z nutką pewnego zaskoczenia: - Skąd się dowiedziałas?

- Nigel Marsh zadzwonił do mojego biura w Nowym Jorku.

Powiedziano mi, że sprawiał wrażenie kompletnie przybitego tym, co się stało.

Co to za jakiś pożar, o którym on mówił?

Bo dowiedziałam się tylko, że zdarzyła się jakaś straszna katastrofa i że ty jesteś ranny, więc oczywiście przyjechałam natychmiast.

-Odpowiednia porcja współczującego szczebiotu została również poświęcona bandażowi na głowie i unieruchomionej nodze, zawieszanej na zwisającej z wysięgnika kołysce.

- Powiedz mi, proszę, co się właściwie stało?

- Dom w Courtland Park spłonął jak pochodnia - powiedział Blaise.

Prześliczne wargi Dominique ułożyły się w kształt litery "O", co zresztą doskonale pasowało do szeroko otwartych oczu.

Ze zdziwienia nie była w stanie złapać tchu.

Nawet jeśli to nie była prawda, to zostało to doskonale zagrane.

- Och, nie!

Jakie to straszne!

Ale, na miłość boską, skąd ty tam?

Coś ty tam robił?

- Przyglądałem się.

Było na co popatrzeć.

Tak, jakbyś sama o tym nie wiedziała - dodał w duchu.

Był coraz bardziej rozwścieczony, choć nadal w pełni panował nad wyrazem twarzy i oczu.

- Ależ to znaczy, że wszystko się tam spaliło?

Nic nie uratowano?

- Z domu pozostały tylko wypalone mury...

- Blaise odczekał chwilę, pozwalając, by twarz Dominique rozjaśniła się blaskiem nagłej radości.

A potem przygasił tę radość, dodając: - Ale, jak sądzę, udało się nam uratować większość zebranych tam przedmiotów.

Twarcz Dominique nadal wyrażała to samo intensywne zainteresowanie, ale Blaise był już wystarczająco wyczulony, by wychwycić ledwo zauważalną zmianę tonu.

- Uratować?

- Kate miała tam sporo ludzi.

Poza strażakami byli jeszcze strażnicy ze służby ochrony, dość liczna grupa pracowników oddelegowana do tej aukcji, no i policja, która bardzo szybko się pojawiła.

Na szczęście ogień wybuchł na tyłach budynku; to dało nam trochę czasu na ewakuację wszystkiego, co znajdowało się od frontu.

- A więc to stamtąd masz to wszystko?

- Dominique delikatnie dotknęła bandaża na jego głowie.

- Po prostu byłem akurat w środku, kiedy płonący dach się załamał.

Na szczęście w tej samej chwili pękł umieszczony pod tym dachem zbiornik z wodą.

Fala zmyła i porwała wszystko, także i mnie.

- Och, mój biedny Blaise.

A co z Kate?

Domyślam się, że to musiało być dla niej straszne.

- Nie wiem, nie widziałem jej potem.

Byłem nieprzytomny, kiedy przyniesiono tu nas oboje wczoraj w nocy.

A ja, o ile wiem, wypisano ze szpitala dziś rano.

- Jak to - przyniesiono was oboje?

- Ona też była wtedy w środku, kiedy ten dach się zawalił.

Dominique rozejrzała się w poszukiwaniu krzesła.

Położyła róże na podłodze, przyniosła krzesło i postawiła je obok łóżka.

Kwiaty, zapomniane, pozostały już na podłodze.

- Jestem niesłychanie przejęta.

Opowiedz mi wszystko.

Blaise opowiedział jej skróconą i odpowiednio przykrojoną wersję wydarzeń, poczynając od kolacji "Pod Różową Strzechą" aż do momentu, gdy fala wody zmyła ich z górnego podestu schodów.

- A więc ty ją uratowałeś!

Jaki jesteś dzielny...

- Dominique westchnęła.

-Biedna Kate, ta aukcja była dla niej taka ważna.

Dla ciebie jeszcze ważniejsza, pomyślał Blaise.

Oczywiście postarał się, żeby nie zdradzić się z tym przed Dominique.

Lepiej uśpić jej czujność.

Niech będzie przekonana, że wygrała - wtedy jej pewność siebie sprawi, że stanie się nieostrożna.

- Więc jak długo teraz będziesz tutaj?

- zapytała troskliwie, jak przystało kochającej żonie.

- Jeszcze nie wiem.

To jest proste złamanie, bez komplikacji, ale kość pękła dość niefortunnie, bo prawie pod samym kolanem.

To dlatego założono mi na razie tylko łupki.

Lekarze chcą to tak pozostawić jeszcze przez dzień lub dwa i potem ponownie zrobić prześwietlenie.

Jeśli nic złego nie będzie się działo, założą mi stały gips.

- A twoja głowa?

- To tylko rozcięcie.

- Blaise nie powiedział jednak, że wstrząs spowodował u niego bóle głowy, które stawały się coraz bardziej dotkliwe.

Dominique rozejrzała się po małym pokoiku i wzdorliwie zmarszczyła nos.

- Jesteś pewien, że oni znają się na tym, co robią?

To tylko lokalny szpital, prawda?

- Tak.

W Anglii zazwyczaj mówi się "wiejski szpital".

Ten akurat długo już nie przetrwa.

Zamykają go w przyszłym roku, ponieważ w Chichester wybudowano nowy wielki szpital, który ma teraz obsługiwać cały ten rejon.

Ubolewałbym nad tym, ponieważ miejscowy personel naprawdę jest dobry.

W każdym razie opiekują się tu mną bez zarzutu.

Dominique wzruszyła ramionami.

- No cóż, jeżeli jest ci tu dobrze...

- Jest mi dobrze, przynajmniej na tyle, na ile może się czuć dobrze ktoś połamany i poobijany tak jak ja.

- A Kate?

Powiedziałeś, że wyszła z tego bez większych obrażeń?

- To było trochę tak, jakbyśmy próbowali w beczce przepłynąć Niagarę.

Ja byłem jak ten pasażer, który wypadł z beczki i został mocniej pokiereszowany.

A ona, jak mi powiedziano, miała głównie silne stłuczenia i otarcia.

Dominique popatrzyła na niego, układając usta we wdzięczny ciup.

- Kochanie, jeśli to czyjaś wina, to na pewno nie moja, że jesteś teraz uziemiony w tym szpitaliku, o dziesiątki mil od najbliższego ośrodka cywilizacji.

Ale podejrzewałam, że możesz się tu czuć śmiertelnie znudzony.

Dlatego przyniosłam ci coś do czytania, proszę.

Spod wciąż leżących na podłodze róż wyjęła cały plik ilustrowanych tygodników - "Time", "Life", "Fortune", "Forbes", a także gazetę "International Herald Tribune".

- Ostatnie numery.

Zdażyłam je złapać w Rzymie - powiedziała Dominique.

Nie dodała już, że złapała je na nocnym stoliku w sypialni pewnego rzymskiego księcia.

Była akurat z nim w łóżku, intensywnie wysilając nie tylko swój umysł, by jakoś nakłonić

go do zlecenia właśnie jej sprzedaży wspaniałego obrazu - wczesnego Andrea del Sarto

- kiedy zadzwoniono do niej z nowojorskiego oddziału Desparda z wiadomością o tym, co się wydarzyło.

Tymczasem Blaise patrzył na nią marszcząc brwi i najwyraźniej nad czymś się zastanawiał.

- Skoro powiadomiono ciebie, to powiadomiono również i księżnę, prawda?

- Z całą pewnością - powiedziała Dominique, nie przepuszczając okazji do wbicia drobnej szpileczki.

- Po prostu nie poważyliby się jej nie powiadomić.

Jej mąż jednak zignorował przytyk.

- Czy chciałbyś może, żebym i ja do niej zadzwoniła?

- Nie - odpowiedział krótko Blaise.

Księżna z całą pewnością odpowiedziałaby tak samo, pomyślał.

Tymczasem Dominique rozglądała się dookoła, szukając aparatu.

- Czy tu w ogóle nie ma telefonu?

- Jest telefon, przywożą go tu na takim wózekczku.

Trzeba tylko poprosić.

Dominique wzruszyła ramionami, co w tłumaczeniu na język słów znaczyło mniej więcej:

"No cóż, skoro ktoś się decyduje na pozostanie w takiej zakichanej dziurze"...

Blaise jednak i na to nie zareagował.

Dominique czuła się już poirytowana jego szorstką lakonicznością, nie mówiąc o tym, że

wręcz umierała z ciekawości i chciała jak najszybciej pojechać do Courtland Park, by na

własne oczy przekonać się, jak tam to wszystko wygląda.

- Chcę pojechać do miasteczka.

Czy może potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję.

To co mam - wskazał na swą obandażowaną głowę i nogę w łupkach - w zupełności mi wystarczy.

- Kochanie, co się z tobą dzieje?

Jesteś tak opryskliwy i warczysz jak niedźwiedź, którego na dodatek boli głowa.

Uśmiech Blaisea był raczej krzywy.

- A ty myślisz, że oni mi to założyli dla poprawienia urody?

- zapytał, wskazując na bandaż wokół głowy.

Dominique postanowiła, że postara się go udobruchać, a przy okazji dowie się wszystkiego.

- Myślę, że mimo wszystko pojedę do paru sklepów i zobaczę, co tam jest.

Może jednak znajdę coś dla ciebie.

Jakieś sklepy chyba tu są, mam nadzieję?

- Spróbuj pojechać do Chichester.

Wiem, że jest tam teatr, więc chyba i jakieś sklepy powinny być.

- Czy to daleko?

- Około trzydziestu kilometrów.

- A więc to żaden problem.

Przyjechałam tu w takim pośpiechu, że nie miałam czasu, żeby poszukać czegokolwiek.

Chcę zobaczyć, czy na przykład nie znajdzie się czegoś dobrego do jedzenia.

To, co podają w szpitalach, zazwyczaj jest niejadalne.

- Ja akurat zjadłem bardzo dobry posiłek - oświadczył Blaise.

- Nie ma to jak tradycyjne angielskie śniadanie.

- I to jedyna rzecz, jaką Anglicy potrafią jakoś przygotować - odparła Dominique.

- Tak czy inaczej spróbuję coś znaleźć.

Zajmie mi to godzinę, do dwóch...

Jesteś pewien, że nie masz na nic ochoty?

- Jestem pewien, że sama coś wymyślisz.

Ale Dominique - oczywiście - pojechała najpierw do Courtland Park.

Po prostu musiała wiedzieć, jak rzeczy stoją i na ile powiodła się jej próba sabotażu.

Z tego, co mówił Blaise, wynikało, że powiodła się raczej nie na sto procent - coś tam udało się uratować.

Ale kiedy ujrzała ruiny, które pozostały po pięknym domu, odetchnęła z ulgą i satysfakcją.

Jeżeli to tak wygląda, to z całą pewnością nie mogli wiele z tego wynieść.

Jednak już po chwili zobaczyła długie szeregi postawionych na kozłach podręcznych stołów, na których ustawiono ocalone przedmioty.

Przy stołach, a także dookoła, było pełno ludzi.

Większość z nich Dominique rozpoznała, to byli pracownicy Despard's London - ale nie było wśród nich nikogo, kto należałby do jej stronnictwa w firmie.

Nigdzie nie mogła też dostrzec Kate.

Tymczasem ją samą dostrzegł Anthony Howard, zastępca Kate.

Natychmiast rozpoznał jej sylwetkę, charakterystyczny uśmiech i rzucane dokoła badawcze spojrzenia.

Niepostrzeżenie dla Dominique pobiegł do jednej z kabin i wykręcił numer.

- Panno Despard, właśnie przyjechała pani siostra.

Ciekawe po co?

- pomyślała natychmiast Kate.

Moja droga Kate!

Po prostu musiałam przyjechać, jak tylko zobaczyłam się z Blaiseem.

Och, twoja biedna twarz.

Na twarzy Kate były ślady otarć i zadrapań, a także fioletowe i zielone plamy powoli rozplywającego się już wielkiego sińca.

Ale Dominique przyglądała się temu z taką miną, jakby nagle zobaczyła twarz potwora.

- A jeszcze ten dom, jakie to okropne!

Ale widzę, że udało ci się uratować kilka rzeczy.

- Przeszło osiemdziesiąt procent - odpowiedziała z dumą Kate.

- Aż tak dużo?

- zapytała bezbarwnym głosem Dominique, starając się nie pokazać, że wewnątrz aż się gotuje z wściekłości.

Osiemdziesiąt procent, to o wiele za dużo.

A więc Cza Li znów ją zawiódł.

Jaki sens miało niszczenie domu, jeżeli prawie wszystko, co w nim było, zostało uratowane?

Sama potrafiłaby zrobić to lepiej.

Jedno przynajmniej było dobre - że aukcja mimo wszystko będzie musiała zostać przełożona.

A to da jej trochę czasu, żeby obmyślić jakiś nowy sposób -skuteczniejszego tym razem

- włożenia kija w szprychy.

Ta ruda suka ma doprawdy nieludzkie szczęście.

- No cóż, mogło być gorzej - powiedziała współczująco - Z tego, co mi opowiedział Blaise, wynika, że ty sama mogłaś stracić życie.

Jakie to szczęście, że mój mąż akurat był wtedy w pobliżu...

Ciekawe też, dlaczego w ogóle tam był?

Ale to pytanie już nie zostało głośno wypowiedziane, choć można je było bez trudu wyczytać w spojrzeniu jej zimnych, szafirowych oczu.

- Tak, mogę powiedzieć, że uratował mi życie - potwierdziła Kate.

Kiedy doprowadzę do końca to, co zamierzam, będziesz żałować, że w ogóle cię uratował!

- przysięgła sobie Dominique.

- No i co teraz zrobisz?

- zapytała z tym samym współczuciem, pełnym źle ukrywanej satysfakcji.

- Zamiast aukcji wewnątrz domu, urządzę ją na zewnątrz.

- Jak to?

To znaczy, że jednak zamierzasz pozostać przy ustalonym terminie?

Ale jak to chcesz zrobić?

A przede wszystkim gdzie?

- W namiotach ustawionych na trawnikach.

- Zaraz, a co z wstępnymi oględzinami?

To miało się rozpocząć już w poniedziałek, prawda?

- I rozpocznie się.

Będziemy pracować przez całą sobotę i niedzielę, żeby wszystko było gotowe.

- To ogromne poświęcenie ze strony personelu.

- Tak, mam bardzo oddany personel - powiedziała Kate bez chwili wahania.

-Miałam w tym trochę szczęścia.

- Trochę?

Moja droga, ty chyba masz osobistego anioła stróża!

Miałaś wprost niewiarygodne szczęście.

- Błogosławieni ludzie o czystym sercu - mruknęła pod nosem Kate.

Dominique spojrzała na nią podejrzliwie, ale natrafiła na spojrzenie tak słodkie i łagodne, że po chwili odwróciła wzrok.

Jeżeli, moja droga siostrzyczko, przyjechałaś tu po to, żeby nacieszyć się moją klęską, to nie dam ci tej satysfakcji, pomyślała Kate.

- Czy może chciałabyś popatrzeć, jak sobie radzimy?

- zapytała niewinnie.

- Niestety, nie mam już czasu.

Muszę jechać do Chichester, żeby zrobić jakieś zakupy.

Mój biedny Blaise ugrzązł w tym zapyziałym szpitaliku i musi się śmiertelnie nudzić.

Pomyślałam, że kupię mu jakieś książki, może też krzyżówki.

Wyobraź sobie, że Blaise lubi rozwiązywać krzyżówki...

Wyrozumiały śmieszek Dominique wskazywał, że ona sama uważa to za pewnego rodzaju dziwactwo, które jednak można wybaczyć, zwłaszcza w tak szczególnej sytuacji.

- Wobec tego już cię nie zatrzymuję - powiedziała Kate.

Potem dodała jeszcze, jakby nagle sobie o tym przypomniała: - A tak przy okazji, jak on się czuje?

- Och, jest strasznie opryskliwy i w ogóle raczej w złym humorze.

Co chwila porykuje, jak prawdziwy niedźwiedź.

Mój biedny Blaise nie znosi leżenia w łóżku, ale na razie będzie musiał leżeć i obawiam się, że to potrwa.

A może ty byś go odwiedziła, co o tym myślisz?

Trochę byś go podniosła na duchu.

- Jeżeli uda mi się znaleźć trochę czasu - odpowiedziała z wahaniem Kate, usilnie starając się, by w jej głosie nie było nawet śladu zainteresowania.

- Oczywiście, jeśli znajdziesz czas.

Musi być jakaś hierarchia ważności spraw, a ty masz ważniejsze rzeczy na głowie.

Możesz mu opowiadać, co zechcesz, ty harpio!

- pomyślała Kate.

On i tak będzie wiedział swoje.

- Przekaż mu ode mnie najszczerze pozdrowienia!

- zawołała w ślad za odchodzącą już Dominique.

Ta w odpowiedzi niedbale pomachała jej ręką.

Kate wróciła do pracy.

Koło szóstej była już bardzo wyczerpana.

Bolała ją głowa i całe ciało.

- Moja droga, wygląda pani tak, jakby ktoś panią pobił!

- powiedział z przyganą Nicholas Chevely, który właśnie ponownie przyjechał do Courtland Park.

Kate była blada, z poszarzałą od zmęczenia twarzą przygotowywała jakieś kolejne notatki, które jako errata miały w ostatniej chwili wejść do katalogów, razem z - niedługą na szczęście - listą tych przedmiotów, które nie zostaną wystawione, ponieważ uległy zniszczeniu.

- Dostyc już tej roboty, bo co za dużo, to naprawdę niezdrowo - oświadczył stanowczo Nicholas.

- A pani stara się za wszelką cenę doprowadzić się do krańcowego wyczerpania. Zabieram panią z powrotem do miasteczka.

Jest tu wystarczająco dużo ludzi, by zrobić wszystko, co musi być zrobione.

Kate na chwilę odchyliła się na oparcie krzesła.

Rozprostowała bolące ją mocno plecy.

- Tak, chciałabym już pojechać do domu.

Muszę tylko przygotować tę listę korekt, żeby można było z tego robić fotokopie.

Ale wiem, że Penny nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby tu jutro przyjechać.

- Więc niech po prostu przyjedzie - uciął jej rozważania Nicholas.

- Albo da pani sobie trochę odpoczynku, albo jutro w ogóle nie będzie mowy o podniesieniu się z łóżka.

- Och, niech się pan tak o mnie nie niepokoi - odpowiedziała zmęczonym głosem Kate.

- Poza tym chciałabym się zatrzymać przy szpitalu i zobaczyć Blaisea.

- Oczywiście.

To akurat powinna pani zrobić.

W końcu to przede wszystkim jemu zawdzięcza pani, że w ogóle może jeszcze robić cokolwiek.

Proszę tylko, żeby to w miarę możliwości nie trwało zbyt długo.

Kate już zbierała się do wyjścia, gdy nagle rozległ się dzwonek telefonu w jednej z prowizorycznych kabin.

- Proszę nie podnosić - powiedział z irytacją Nicholas.

- Niech sobie dzwoni.

- To może być coś ważnego.

Proszę poczekać na mnie w samochodzie, dobrze?

- poprosiła Kate.

- Postaram się to załatwić możliwie najszybciej.

Nicholas w końcu usłuchał, choć po drodze wciąż jeszcze mruczał pod nosem.

Kate podniosła słuchawkę.

- Kate Despard, słucham.

- Panna Despard?

- usłyszała charakterystyczny głos, który natychmiast rozpoznała.

- Och, jak to dobrze, że panią zastałem.

- To pan, Benny?

Przypuszczam, że już się pan dowiedział o wypadku pana Chandlera?

- Dopiero przed chwilą.

Zadzwoił do mnie mój znajomy z Londynu, który dopiero co zobaczył to w telewizji.

I czuję się okropnie, panno Despard, ponieważ to wszystko moja wina.

Gdybym się nie rozchorował na wietrzną ospę, wiedziałbym już wcześniej, co oni planują, i zdążyłbym uprzedzić szefa.

- Uprzedzić?

- Kate nagle wzdrygnęła się, przeszył ją zimny dreszcz.

- O czym miałby pan uprzedzić?

- Że jego żona - to znaczy pani Chandler - dogadała się z ludźmi z triad.

Oni zobowiązali się spalić Courtland Park, a ona w zamian miała im zapewnić swoją firmę jako przykrywkę dla transportu narkotyków do Stanów.

Kate nie była w stanie wydusić z siebie nawet słowa.

Miała takie uczucie, jakby w pełnym biegu nagle spadła z siodła, a koń jeszcze dodatkowo kopnął ją w brzuch.

- Panno Despard, jest pani tam?

Kate z trudem przełknęła ślinę, walcząc z ogarniającym ją przemożnym uczuciem, że za chwilę musi zwymiotować.

- Tak, jestem - powiedziała i przełożyła słuchawkę do drugiej ręki.

Wilgotną od potu dłoń otarła o żakiecik.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli opowie mi pan wszystko od początku - powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

Benny Fong posłusznie opowiedział jej wszystko.

Był jednak sam na tyle podenerwowany, że zapomniał o niektórych ważnych okolicznościach - a w szczególności o tym, że Kate nic dotąd nie wiedziała o podejrzeniach Blaisea w stosunku do żony, podobnie jak nic nie wiedziała o założonym na jego polecenie podsłuchu.

To, na co się poważyła Dominique, było dla Kate wstrząsem chyba jeszcze większym niż to, co wcześniej zrobiono biednemu Rollowi.

Zresztą dla każdego, kto w jakikolwiek sposób był związany ze światem dzieł starej sztuki, sama myśl o tym, że można by skazać na zagładę arcydzieła ludzkiego geniuszu tylko po to, by osiągnąć dzięki temu jakieś osobiste zyski, musiała być w najwyższym stopniu wstrętna.

Ona chyba po prostu zwariowała, pomyślała Kate.

Przecież to, co zrobiła, to już jawne, oczywiste szaleństwo.

- ...jest już w porządku?

- Kate oprzytomniała, słysząc w słuchawce pełen niepokoju głos Bennyego.

- Zaraz, co pan powiedział?

Przepraszam, Benny, ale na linii są jakieś zakłócenia - Pytałem, czy pan Chandler już się dobrze czuje.

Mój znajomy wie tylko tyle, że przewieziono go do szpitala.

- Pan Chandler ma złamaną nogę i ciętą ranę głowy, ale nic takiego, z czego by nie mógł w miarę szybko wyjść przy odpowiedniej opiece.

W słuchawce usłyszała głębokie westchnienie ulgi.

- Wszystkim bogom należy się za to wdzięczność.

Czy mogę zatem liczyć, panno Despard, że pani przekaże panu Chandlerowi to wszystko, co pani opowiedziałem?

Chciałbym otrzymać instrukcję, co mam robić dalej.

Choć, oczywiście, w tej konkretnej sprawie już jest za późno, by zrobić cokolwiek - dodał z goryczą.

- To nie pańska wina, Benny.

Tylko jedna osoba jest winna temu, co się stało...

- Twarz Kate nagle stężała.

- A jeżeli chodzi o te taśmy, czy może się pan postarać, żeby dotarły do mnie jak najszybciej?

- Żeby pani mogła je przekazać szefowi?

Oczywiście.

Wyślę je przez kuriera, najpóźniej za pół godziny.

W ciągu dwudziestu czterech godzin powinny się znaleźć na pani biurku.

- Jutro mamy niedzielę...

czy może pan to załatwić tak, żebym je dostała jeszcze przed wieczorem?

- Oczywiście.

Czy ma to być dostarczone do Despard's London?

- Tak.

Ale tylko do mnie, wyłącznie do rąk własnych.

Nie wolno tego dać nikomu innemu.

- Zrobi się.

Mam w Londynie odpowiedniego człowieka, któremu można zaufać.

- Dziękuję panu, Benny.

- To ja pani dziękuję, panno Despard...

- Benny jakby zawahał się na chwilę.

- Mój znajomy powiedział, że według jego informacji pani Dominique Chandler poleciała do Anglii, żeby być przy swym mężu.

Czy to prawda?

- Tak.

Przyjechała też po to, żeby się napawać oglądaniem mojej klęski...
skutków tego, co zrobiła.

Ale się przeliczyła!

- Głos Kate nagle się zaostriął, czuło się w nim rosnący gniew.

- A czy starsza pani - mam na myśli panią Agathę Chandler - też już wie?

- Już jest w drodze do nas.

Tak że niech się pan już nie zamartwia, Benny.

Pański szef jest w dobrych rękach, a ja jestem pewna, że zrozumie sytuację i nie będzie pana obwiniać za to, co przecież i tak nie mogło zależeć od pana.

To był po prostu pech.

Zły los - jak to się nazywa po chińsku?

- Dżos.

Zły dżos.

- Tak, bardzo zły dżos.

- Bardzo proszę przekazać szefowi najszczęśliwsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Nie zapomni pani?

- Z całą pewnością nie zapomnę.

Ale nie powiem mu nic ponadto, pomyślała.

To jest moja walka.

To mnie Dominique wypowiedziała wojnę i to ja się jej przeciwstawię.

A jemu powiem, ale później, kiedy już będzie po wszystkim.

Trzeba było szybko wracać do Nicholasa, który musiał się już mocno niecierpliwić.

I rzeczywiście, kiedy podeszła do wozu, zobaczyła, jak jego palce nieustannie bębnią po kierownicy.

- Na miłość boską, Kate, wygląda pani na jeszcze bardziej przybitą, niż przedtem - powiedział.

- Mam nadzieję, że nie odebrała pani jakichś złych wiadomości?

- Już wyczerpałam limit złych wiadomości, które można odebrać jednego dnia - odpowiedziała Kate, zapadając się w miękkie, pokryte kremową skórą siedzenie dla pasażera w jego luksusowym Jaguarze XJL.

- A poza tym zmieniłam zdanie.

Jestem zbyt zmęczona, żeby jechać do szpitala.

Niech pan mnie odwiezie do domu, Nicholas, bardzo proszę...

Dominique i Blaise oglądali w telewizji popołudniowe wiadomości, nadawane o osiemnastej.

Pokazano w nich wywiad z Kate.

Kiedy prowadzący rozmowy dziennikarz przeszedł do następnych tematów, Dominique wyłączyła telewizor.

- Jaką to jej zrobiło reklamę!

- powiedziała.

- Tego nie dałoby się kupić za żadne pieniądze.

Teraz ludzie będą tam walić drzwiami i oknami, z całą pewnością.

Ona udaje pierwszą naiwną, ale tak naprawdę jest bardzo sprytna.

Przecież to było po mistrzowsku rozegrane, to pokazanie rzeczy "ocalonych z płomieni" w zestawieniu z tymi zadrapaniami i sińcami na jej delikatnej twarzyczce.

No, ale trudno się dziwić, Anglicy zawsze podziwiali Joannę d'Arc.

- Dominique obróciła się do męża.

- A ty jaką grasz tu rolę?

Jej rycerza w lśniącej zbroi?

- To za ciężkie, żeby w tym wsiadać na konia - odpowiedział Blaise.

Co też tym razem mogło ją ugryźć?

- pomyślał.

- Tak, ten pożar naprawdę bardzo się jej przydał, nie sądzisz?

Można by doprawdy pomyśleć, że to wszystko zostało po prostu zaaranżowane.

- Ale przecież akurat wtedy byłem z twoją siostrą przez cały wieczór, aż do momentu, gdy usłyszeliśmy sygnały straży pożarnej.

- Ach, daj spokój.

Jakbyś nie wiedział, że dziś już można bez trudu dostać materiały wybuchowe o opóźnionym działaniu.

- Może ty coś wiesz o takich materiałach, bo na pewno nie Kate Despard.

I nie przypisuj jej własnych przewrotnych pomysłów.

Dominique uważnie przyjrzała się mężowi.

- No tak, ty zawsze miałeś do niej słabość, prawda?

A ja myślałam, że to tylko Anglicy zawsze opowiadają się po stronie przegrywającego.

- Rzeczywiście zazwyczaj kibicuję słabszym - powiedział Blaise.

- A wracając do tego, kto mógł to zrobić...

- spojrzał swej żonie prosto w oczy - zapewniam cię, że ktokolwiek podłożył tam ogień, szybko zostanie wykryty.

Policja ma dziś specjalistów, którzy potrafią rozpoznać nawet rodzaj zapalek, którymi dokonano podpalenia.

Zmierzyli się wzrokiem i doprawdy trudno byłoby uznać te spojrzenia za przyjazne.

Gdzie się podziała cała jej słodycz i ciepło?

- pomyślał zdziwiony Blaise.

- Po prostu jesteś wściekła, bo wiesz, że teraz ona cię wyprzedzi.

Przeglądałem ostatnie zestawienia zysków obu waszych oddziałów.

Na razie to ty wciąż prowadzisz, ale już wiesz, że sprzedaż w Courtland Park wszystko zmieni i Kate pójdzie do przodu jak rakieta.

A tobie zostało ledwie pięć miesięcy.

- Bardzo dużo może się zdarzyć w ciągu pięciu miesięcy.

Na stworzenie całego świata potrzeba było ledwie siedmiu dni.

- No tak, teraz już mówisz tak, jakbyś była samym Panem Bogiem.

Na miłość boską, zawsze wiedziałem, że masz manię wielkości, ale czy jednak trochę nie przesadzasz?

Dominique roześmiała się, by wreszcie przerwać tę wymianę ostrych zdań, prowadzącą do coraz bardziej otwartej wrogości.

- Nigdy nie lubiłeś, kiedy się z tobą drażniono, prawda?

- Wyciągnęła rękę i rozczapierzonymi palcami zmierzwiła jego włosy, czego Blaise nie znoślił, toteż gwałtownie szarpnął głową do tyłu.

To niby miała być pieszczota, ale on nie zamierzał dać się na to nabrać.

Coś się musiało wydarzyć tego popołudnia, bo pod pozorami spokoju czuło się nadchodzącą burzę.

Dało się słyszeć pukanie i przez uchylone drzwi zajrzała pielęgniarka.

- Dzwoniła panna Despard - powiedziała.

- Przeprasza, że nie uda się jej przyjechać dzisiaj do szpitala.

Postara się wpaść jutro.

Dominique roześmiała się głośno.

- Wiedziałam, że tak będzie.

Powiedziała mi, że ma tak wiele pracy.

- To znaczy, że ją widziałaś?

- Wpadłam tam po drodze.

Byłoby grubiaństwem, gdybym jej nie odwiedziła, będąc tak blisko.

Blaise nagle poczuł ogromną ulgę.

A więc to dlatego Kate nie przyjechała.

Ach ty mądra, rozsądna dziewczyno, pomyślał.

Dobrze wiesz, że nie potrafiłabyś tak udawać i ukrywać uczuć, jak ja to potrafię.

- Niespecjalnie cię to zmartwiło, jak widzę - powiedziała Dominique, nie bez pewnej złośliwości w głosie.

- Dlaczego miałoby mnie martwić?

Sama powiedziałaś, że po tym wszystkim Kate ma mnóstwo roboty.

Ale ten telefon, to był sygnał, że myśli o mnie, dodał w duchu.

A jemu bardzo to odpowiadało, że przełożyła swoje odwiedziny na później.

Z pewnością wybierze taką porę, kiedy Dominique tu nie będzie.

- Miejmy nadzieję, że potrafi sobie z tym wszystkim poradzić - powiedział obojętnym tonem.

- Bo ostatnio sprawiała wrażenie krańcowo wyczerpanej.

- O tak - potwierdziła z satysfakcją Dominique.

- Dokładnie tak samo wygląda i teraz.

Ty zimna, nieczuła suko, pomyślał Blaise, patrząc na twarz swojej żony, piękną i delikatną, niczym jakiś cieplarniany kwiat.

Bóg świadkiem, że wolałbym, żebyś to ty była tam, w tym pożarze.

I pozwoliłbym ci tam spłonąć, bo już od wieków stos był najlepszym sposobem na wiedźmy.

Tymczasem jego żona już instruowała pielęgniarkę, która przysłała, żeby zapytać, co pan Chandler zechciałby zjeść na kolację.

- Przyniosłam mężowi trochę odpowiednich rzeczy i chciałabym, żeby przygotowano z tego kolację dla nas dwojga.

Tak, zjem ją razem z nim.

Tu ma pani wędzonego łososia, a tu dwa poussins - kurczęta, które trzeba po prostu usmażyć w maśle.

I jeszcze jest tu trochę mange lout i trochę...

Blaise przymknął oczy i z pełną świadomością się wyłączył.

Księżna przyjechała o dziewiątej wieczorem, w prawdziwie prezydenckim stylu.

Przed szpital zajechał ogromny czarny Lincoln Continental, z którego wysiadł atletyczny kierowca o barach miotacza lub co najmniej dziesięcioboisty.

Pomógł wysiąść starej Minnie i rozstawił składany fotel na kółkach.

Potem wziął na ręce Agathę Chandler i lekko niczym piórko przeniósł ją do fotela, który miała popychać Minnie.

On sam tymczasem dźwigał wyjęty z bagażnika ogromny kosz wiklinowy z jedzeniem oraz mnóstwo większych i mniejszych paczek.

Na widok Dominique czarne oczy księżnej zwęziły się nieźyczliwie.

- No, no - powiedziała głębokim basem, od którego włos zjeżył się na karku Blaisea.

- Więc mamy tu małą amerykańską reprezentację.

- Ogromnie nam miło, madame!

Czy wolno spytać, jak się pani miewa?

-W głosie Dominique było tyle najszczerzej troski, że Blaisea omal nie zemdlilo.

- Czuję się dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem - odparła Agatha i zwróciła się do swego wnuka: - Co to za jakieś wyczyny w stylu Supermana?

Wszystkie gazety piszą tylko o tobie.

- On po prostu musi być bohaterem i błędnym rycerzem - powiedziała kpiąco

Dominique.

Ale starsza pani całkowicie ją zignorowała.

- Nie wyglądasz najgorzej - stwierdziła, przyglądając mu się uważnie.

- Czuję się też wcale nieźle.

- No to łaska boska - powiedziała Agatha i wychyliła się ze swego fotela, by uściskać ukochanego wnuka.

- Kto cię powiadomił o tym, co się stało?

- Nie ty oczywiście, to można było z góry przewidzieć.

Kate zadzwoniła i opowiedziała mi o wszystkim.

Dominique już miała to złośliwie skomentować, ale spojrzenie Blaisea sprawiło, że poprzestała na ironicznym uśmiechu.

- A ona sama gdzie jest teraz?

- Pojechała z powrotem do Londynu.

- Nie ma nic połamanego?

-Nie.

- No to w porządku.

Na pewno tu wróci.

- Jestem tego pewien - powiedział Blaise.

- To bardzo dobrze.

A na razie przywiozłam ci z domu trochę dobrych rzeczy.

Tego, co dają w szpitalach, ja w ogóle nie nazywam jedzeniem, a ty wymagasz intensywnego dokarmiania, zwłaszcza kiedy masz takie podkrążone oczy i cerę koloru ziemi.

Zabrałam więc kilka porządnych amerykańskich steków, Luella upiekła specjalnie dla ciebie twoje ulubione ciasto z orzechami pekanowymi i dodatkowo tort czekoladowy.

Poza tym zabrałam parę szynek i cały kosz owoców, które sama zrywałam w oranżerii.

Winogrona, brzoskwinie i różne takie.

- Babciu, ale racjonowanie żywności w Wielkiej Brytanii zniesiono już jakieś dwadzieścia pięć lat temu - powiedział Blaise z miną cierpiętnika.

- Szpital, który jest wielkości kurnika, po prostu nie ma możliwości robienia porządnego jedzenia - powiedziała lekceważąco księżna.

- To nie szpital, ale wiejska przychodnia albo coś takiego.

- Może to nie jest zaraz klinika Waltera Reeda - zgodził się Blaise - ale tutejsi lekarze znają się na swojej robocie.

- No cóż, skoro jesteś z nich zadowolony.

- Mam nadzieję, że miała pani dobrą podróż - włączyła się Dominique.

- Przespałam większość drogi.

Dobrze, że macie tu w pobliżu lotnisko.

Co prawda nigdy dotąd z niego nie korzystałam, ale ludzie byli tam naprawdę mili i gotowi do pomocy.

Ściągnęli nawet nasz firmowy samochód, tak że już czekał na mnie na lotnisku.

A ten hotel, który dla mnie zarezerwowała Kate - czy to też jest gdzieś tu w pobliżu?

- A jak miał się nazywać ten wybrany przez nią hotel?

- Jakaś "Różowa Strzecha" czy coś takiego.

- A, tak.

To niedaleko.

Mały, ale bardzo dobry hotelik.

Myślę, babciu, że będziesz się tam bardzo dobrze czuć.

A jak długo zamierzasz pozostać?

- To zależy.

Kiedy tu leciałam, pomyślałam sobie, że mogłabym też pojechać na tę aukcję Kate.

Tyle się w związku z tym wydarzyło, że chyba warto to zobaczyć.

- Więc możemy pojechać tam razem - powiedział Blaise.

Dominique spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała.

- W końcu czuję się tak, jakbym i ja miał jakiś wkład w przygotowanie tej niezwyklej sprzedaży - dodał skromnie Blaise.

- Oczywiście, że miałeś - oświadczyła starsza pani.

- Przecież pomogłeś ocalić znaczną część tego, co teraz zostanie wystawione na aukcję, prawda?

- W jej oczach pojawiły się kpiące iskierki.

- Chociaż ratowanie kobiet z płonących budynków dotąd nie było twoim głównym zajęciem, prawda?

- Niech się babcia nie martwi, nie zamierzam wpadać w taki nałóg.

- Dobrze, może ci nawet uwierzę.

Ale na wszelki wypadek opowiedz mi dokładniej, jak to się stało, że tę konkretną kobietę jednak uratowałeś?

Tymczasem Dominique podniosła się i sięgając po futro, powiedziała obojętnym tonem: - Pomyślałam sobie, że kiedy już Blaise będzie mógł się stąd ruszyć, może dobrze byłoby zabrać go na rekonwalescencję do domu w Kolorado?

Dla mnie też byłaby to bardzo sympatyczna chwila wytchnienia.

Starsza pani odchyliła się w swoim fotelu.

- A ja zawsze sądziłam, że ty raczej nie przepadasz za szerokimi, otwartymi przestrzeniami.

- Ja nie, ale dla Blaisea to mogłoby być dobre.

Potrzebne mu jest odprężenie i spokój.

Zwłaszcza że ten rok był dla nas wszystkich naprawdę wyczerpujący.

- Na pewno - powiedziała Agatha, i dodała z nie pozbawioną złości satysfakcją: - Zwłaszcza dla tych, którzy odgryźli większy kęs, niż byli w stanie przeżuć.

- Jeżeli idzie o mnie, to wciąż mam bardzo dobre zęby - odparła Dominique i na dowód uśmiechnęła się szeroko.

Księżna roześmiała się.

- Tak, trzeba przyznać, że wciąż masz więcej tych zębów niż dom handlowy Macys może mieć wystaw podczas świąt Bożego Narodzenia - powiedziała swym dudniącym basem.

Potem zaatakowała wprost: - Tak więc ty przypuszczasz, że ciągle jesteś w stanie wyprzedzić Kate Despard.

- Umiem uciekać tylko do przodu.

- A ja tylko do Kolorado - powiedziała starsza pani i odwróciła się do swego wnuka.

- Aha, przy okazji mogę cię poinformować, że już załatwiłam całą tę sprawę z muzeum. Wszystko jest już uzgodnione, podpisane i złożone gdzie trzeba.

Do przyszłego zarządzania tym wszystkim powołałam coś w rodzaju rady powierniczej - i już nie mogę się z tego wycofać, nawet gdybym chciała.

Po mojej śmierci ranczo i wszystko, co w nim jest, stanie się własnością stanu Kolorado.

A środki na prowadzenie i utrzymanie muzeum da założona przeze mnie fundacja Chandlerów.

To był pomysł Kate, uważam, że bardzo dobry.

Gubernator był niezmiernie zadowolony.

Blaise kątem oka przyglądał się twarzy swojej żony.

Nawet nie drgnęła na wiadomość o przekazaniu wszystkiego muzeum i fundacji.

Podniosła się i narzuciła na siebie futro.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli was teraz zostawię, żebyście mogli wszystko to przedyskutować - powiedziała bez mrugnienia okiem.

Pochyliła się, żeby pocałować męża.

- Nie będę mogła przyjść tu jutro, ale zadzwonię do ciebie.

A wrócę w niedzielę.

Była wystarczająco rozsądna, by wiedzieć, że starszej pani lepiej nie próbować całować na pożegnanie.

- Au revoir, madame!

- Do widzenia - odpowiedziała równie uprzejmie księżna Agatha.

Jednak po wyjściu Dominique wybuchła śmiechem, przypominającym rzenie konia.

- To ją załatwiło!

Jakaż wytworna z niej dama!

"Miło mi panią widzieć, madame!"

"Ju revoir, madame!"

Tfu, tak można się zwracać do najstarszej kurwy w burdelu!

-Księżna Agatha prychnęła pogardliwie.

- I już kto jak kto, ale ona powinna to wiedzieć doskonale.

Mówiąc to, uważnie przyglądała się swemu wnukowi, spodziewając się jakiejś reakcji z jego strony.

Ale Blaise najwyraźniej nie chciał podejmować rozmowy na ten temat.

Starsza pani zmarszczyła brwi.

- No, co jest z tobą, chłopcze?

Coś się stało, czy może nie stało?

No?

Zazwyczaj takiego jej odezwania wystarczyło, żeby rozpętać co najmniej pięć rundową walkę.

Ale tym razem Blaise nadal milczał.

Księżna Agatha zwróciła się do Minnie, która jak zawsze siedziała w kącie, tak nieruchoma, że prawie niewidoczna: - Minnie, pójdz, proszę, i postaraj się, żeby przyniesiono nam po filiżance dobrej angielskiej herbaty.

Minnie posłusznie wyszła.

- No dobrze, chłopcze - powiedziała starsza pani, już dużo ostrzejszym tonem.

- Teraz wykładaj kawę na ławę.

Nigdy nie udało ci się mnie oszukać, więc i teraz nie próbuj.

Coś ci mocno ciąży, ale co?

- No choćby ta noga.

Ze sto kilo musieli zawiesić po drugiej stronie na bloczku.

Agatha spojrzała na podniesioną na wyciągu nogę.

- Te drewniane łupki nie ważą stu kilogramów.

- Ale jak dojdzie gips, to będą ważyć.

- Daj spokój, Blaise.

Nie pierwszy raz masz złamaną nogę, ręce też miewałeś w gipsie, i nic z tego specjalnie nie wynikało.

Ja cię znam, i znam te twoje spojrzenia.

Coś cię gryzie, widać nawet ślady po zębach.

W każdym razie ja to widzę.

- Babciu, paręset lat temu spalono by cię za to na stosie, i nawet to, że jesteś księżną, nic by ci nie pomogło.

- Chcę tylko wiedzieć, co cię dręczy?

- Jestem cały pokaleczony i posiniaczony, boli mnie głowa i jeszcze mam złamaną nogę.

To ci nie wystarczy?

Twarz starszej pani złagodniała.

Poprawiła się na fotelu i po raz pierwszy wysupłała się z opatulającego ją futra z rosyjskich soboli.

Pod spodem miała na sobie jakiś egzotyczny, złotoczerwony kaftan i zupełnie niesamowitą ilość biżuterii z czerwonymi jak krew rubinami.

- Chcesz, żebym cię stąd zabrała?

Do Londynu, na przykład?

- Nie!

- Zabrzmiało to nagle dość ostro, toteż oczy księżnej Agathy również błysnęły wojowniczo, ale trwało to ledwie moment.

- Bardzo proszę, jak chcesz - powiedziała potulnie.

- Masz może ochotę pooglądać telewizję?

- Nie...

to znaczy, tak.

- Blaise spojrzął na zegarek, sięgnął po pilota i przełączył aparat na sieć ITV.

Właśnie zaczynały się wiadomości, podawano główne tematy: rozmowy rozbrojeniowe w Genewie, wypowiedź pani Thatcher, kolejna próbna eksplozja jądrowa w Rosji.

Na zakończenie - tajemniczy pożar wiejskiej posiadłości, dzieła sztuki wartości milionów funtów szczęśliwie uratowane.

Starsza pani spojrzała na twarz wnuka i zauważyła, że Blaise patrzy teraz na ekran z niezwykłą uwagą i skupieniem.

Powściągnęła się jednak od jakichkolwiek komentarzy.

Tak jak przypuszczał Blaise, powtórzono wywiad, który po raz pierwszy pokazano o szóstej po południu.

- O, to przecież Kate!

- wykrzyknęła księżna.

- Tss!

- syknął niecierpliwie Blaise.

Agatha posłusznie zamilkła, ale podczas gdy jej wnuk jeszcze raz oglądał powtarzany wywiad, ona przyglądała się głównie jemu samemu.

Jego twarzy, reakcjom.

I znalazła odpowiedź na pytania, które sobie zadawała.

Po wejściu do swego mieszkania Kate, wciąż poruszając się jak automat, usiadła w głębokim fotelu i siedziała w nim nieruchomo, patrząc gdzieś w przestrzeń.

To było tak, jakby po rozmowie z Bennym coś się z nią stało, jakby jej mózg nagle sam postanowił się wyłączyć.

Nie umiała już - i nie chciała - rozważyć tych wszystkich potwornych implikacji, wynikających z tego, czego się dowiedziała.

A jednocześnie nie mogła przestać o tym myśleć, zmagając się z tym przez całą drogę z Sussex do Londynu.

Teraz czuła się otępiała i wyczerpana daremnymi próbami jakiegoś uporządkowania i ogarnięcia tego wszystkiego, co się jej przydarzyło.

Nie zdawała sobie sprawy, że jest to po prostu opóźniona reakcja jej organizmu, także na to, że próbowała zrobić zbyt wiele w zbyt krótkim czasie.

Wiedziała już tylko tyle, że jest zupełnie zdezorientowana, oszołomiona i kompletnie niewydolna umysłowo.

Tak jak samochód przestaje nadawać się do jazdy po usunięciu palca rozdzielacza, podobnie Kate poczuła się całkowicie unieruchomiona wskutek głębokiego, a dopiero teraz ujawniającego się szoku.

Nadal siedziała w fotelu i nie widzącym wzrokiem patrzyła przed siebie.

Telefon zaczął dzwonić, ale Kate tego nie słyszała.

Dzwonek aparatu po pewnym czasie zamilkł, po krótkiej przerwie zadzwonił ponownie, ale i tym razem nie wyrwał jej z otępienia.

Ktoś, kto dzwonił, ponawiał swe próby przez przeszło godzinę, ale Kate nadal tego nie słyszała.

Podobnie nie usłyszała zgrzytu przekręcanego w zamku klucza ani skrzypnięcia otwieranych drzwi, kiedy na progu pojawiła się Charlotte Vale.

Kate dała jej klucz od razu na samym początku, kiedy Charlotte jeszcze zajmowała się przemodelowywaniem jej imageu i w ogóle wyglądu zewnętrznego.

Klucz pozwalał przywozić bezpośrednio do mieszkania Kate różne przydatne, jej zdaniem, elementy nowej garderoby.

Później nie było już takiej potrzeby, ale Charlotte klucz zachowała.

To właśnie ona przez godzinę usiłowała się dodzwonić do apartamentu na poddaszu Despard's London.

Wcześniej próbowała dzwonić do Courtland Park, gdzie numer okazywał się stale zajęty. Wobec tego zaczęła dzwonić do mieszkania Kate, coraz bardziej zaniepokojona, jako że zbliżała się już jedenasta.

Może Kate postanowiła pozostać w Sussex także podczas weekendu?

Charlotte zadzwoniła do miejscowego hotelu i dowiedziała się, że panna Despard była u nich na kolacji, kiedy zaczął się pożar, ale ani wtedy, ani później nie mieszkała w tym hotelu.

Coś musi być nie w porządku, pomyślała Charlotte.

Nie zastanawiając się już dłużej, chwyciła płaszcz i zbiegła do samochodu.

W kilkanaście minut później była na miejscu.

Kate siedziała w wielkim georgiańskim fotelu, stojącym tuż obok stolika z telefonem.

Dłonie, nienaturalnie znieruchomiałe, miała złożone na podolku.

Charlotte pochyliła się, by przyjrzeć się twarzy przyjaciółki, która sprawiała wrażenie całkowicie zeszywniałej.

Jest w szoku, pomyślała Charlotte, natychmiast rozpoznając objawy.

Pamiętała je jeszcze z czasów, kiedy podczas wojny jeździła w polowym ambulansie.

Pomogła otępiełej Kate podnieść się z fotela i zaprowadziła ją do jej sypialni.

Przez cały czas Kate poruszała się niczym automat.

Charlotte musiała ją sama rozebrać, jak nieporadne dziecko, i położyć do łóżka.

Potem zadzwoniła do zaprzyjaźnionego lekarza.

Lekarz przyjechał niemal natychmiast i potwierdził jej diagnozę.

- To szok i opóźniona reakcja po tych wszystkich wydarzeniach.

Za wcześnie wyszła ze szpitala.

W końcu przeszła przez straszne rzeczy, jak rozumiem.

Proszę jej nie niepokoić i dać jej jedną z tych tabletek.

To ją wyłączy na jakiś czas, a jednocześnie pozwoli niejako odkręcić w jej mózgu to wszystko, co się tam ostatnio kotłowało, zbyt gwałtownie i zbyt szybko.

Wpadnę tu jutro, a pani niech przy niej pozostanie, na wszelki wypadek.

Po wyjściu lekarza Charlotte rozebrała się, pożyczyła sobie z szafy Kate nocną koszulę i położyła się po drugiej stronie ogromnego podwójnego łóżka.

Była zaskoczona i jednocześnie w jakiś sposób rozbawiona tym, że nagle odkryła w sobie uczucia prawie macierzyńskie.

Nigdy nie chciała mieć dzieci, jej kariera sceniczna była dla niej znacznie ważniejsza.

I dopiero teraz, w tej szczególnej sytuacji przyszło jej na myśl, że gdyby się w swoim czasie zdecydowała na dziecko z którymś ze swych mężów, to jej córka - gdyby miała córkę - byłaby akurat w wieku Kate...

Uniosła głowę i popatrzyła na jej bladą, wymęczoną twarzyczkę.

Biedne dziecko, pomyślała.

Tyle pracy, a teraz wszystko poszło z dymem...

Po dwunastu godzinach Kate nadal spała, kiedy znów zadzwonił telefon.

Charlotte podniosła słuchawkę i podała numer.

Po drugiej stronie przez moment trwało milczenie, a potem jakiś ostry męski głos zapytał: - Kto przy aparacie?

Chciałbym rozmawiać z Kate Despard.

- To jest w tej chwili niemożliwe.

- Dlaczego?

- W głosie mężczyzny można było wyczuć nagły niepokój.

- Czy coś się stało?

Nie ma jej pod tym numerem?

- Jest, ale teraz śpi.

- Ach, tak...

- Tym razem było to powiedziane z wyraźną ulgą.

- A czy mogę wiedzieć kto dzwoni?

- zapytała na wszelki wypadek Charlotte.

Amerykański akcent w głosie mężczyzny pozwalał się domyślać, kto jest po drugiej stronie.

- Nazywam się Blaise Chandler.

- Tak przypuszczałam.

Ja jestem Charlotte Vale.

- Ach, panna Vale!

Chwała Bogu!

Czy z Kate wszystko w porządku?

- Miejmy nadzieję, chociaż wczoraj wieczorem znalazłam ją tu w stanie szoku.

Lekarz powiedział, że to opóźniona reakcja po tych wszystkich wydarzeniach i przepisał jej przede wszystkim wypoczynek.

- Spodziewaliśmy się jej u nas wczoraj, ale nie pojawiła się.

Pomyślałem więc, że coś się z nią musiało stać.

- Obawiam się, że Kate nie będzie w stanie wychodzić gdziekolwiek przynajmniej przez kilka dni.

- Ale pani się nią zaopiekuje?

- Oczywiście.

- Bardzo pani dziękuję.

Tylko trzy krótkie słowa.

Ale Charlotte była bystra, a przy tym miała kobiecą intuicję, więc tych słów wystarczyło jej w zupełności, by odgadnąć to, co zazwyczaj bywa zawierane w długich listach miłosnych.

A więc to tak, pomyślała.

- Czy chciałby pan może, żebym pana informowała o jej stanie zdrowia i samopoczuciu?

- zapytała.

- Byłbym niezwykle wdzięczny.

Niestety, tu w szpitalu nie mam w pokoju telefonu, ale czy mogłaby pani w razie czego dzwonić do mojej babki, pani Agathy Chandler?

Ona ulokowała się teraz w hotelu "Pod Różową Strzechą" w miejscowości Tchatam, w Sussex.

Nie mam w tej chwili zapisanego numeru, ale jestem pewien, że uda się pani bez trudu go uzyskać.

- Oczywiście.

Z całą pewnością będę dzwonić.

W końcu to panu zawdzięczamy, że Kate z tego wyszła.

Jego głos wydawał się teraz bardziej emocjonalny, naładowany gniewem i bólem jednocześnie.

- Gdybym nie był tu uziemiony przez tę cholerną złamaną nogę, sam przyjechałbym i może udałoby mi się powstrzymać ją od wstawania z łóżka.

Kate przeżyła ciężki szok, nie tylko fizyczny, ale i psychiczny, kiedy okazało się, że wraz z dymem tego pożaru przepadły również jej marzenia.

Niech pani nad nią czuwa, panno Vale.

- Zrobię, co tylko będzie możliwe - obiecała Charlotte.

Podeszła do łóżka, by przyrzeć się Kate.

Dziewczyna wciąż spała, ale można było odnieść wrażenie, że na jej bladej twarzy znów zaczęły pojawiać się kolory.

Nic dziwnego, że to wszystko tak mocno ją uderzyło, pomyślała Charlotte.

Ale żeby ze wszystkich mężczyzn na świecie wybrać akurat Blaisea Chandlera...

Nie będzie ci łatwo, Kate.

Agata Chandler była gotowa natychmiast jechać do Londynu, ale Blaise stanowczo się temu sprzeciwił.

- Nie ma mowy, księżno.

Charlotte Vale jest najbliższą przyjaciółką Kate, która już wiele razy bardzo jej pomogła.

Jest od niej starsza, a przy tym wie, jak z nią postępować.

Na pewno zrobi wszystko, co trzeba.

A poza tym pamiętaj, że masz tu innego chorego, który też chce, żeby go rozpieszczano.

Krańcowo wyczerpana Kate spała głębokim snem, bez wizji i majaczenia.

Ale gdyby mogła zobaczyć, z kim w tym czasie spotykała się Dominique, z pewnością uznałaby to za jeszcze jeden koszmarny sen, który stał się rzeczywistością.

Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby podejrzewać, że to właśnie ta osoba.

Tymczasem to właśnie Dominique powitała ją szczególnie ciepło, kiedy uprzejmy kelner w luksusowej restauracji "Tante Claire" wskazał jej stolik, przy którym siedziała madame du Vivier.

- Venetia, jakże się cieszę!

- Dominique odrzuciła do tyłu niewielką woalkę, która kusząco pogłębiała cienie, rzucone na jej twarz przez rondko sztywnego szkarłatnego kapelusza od Paulette.

Przez moment swym pachnącym policzkiem dotknęła policzka nowo przybyłej.

- Moja droga, już chyba całe wieki cię nie widziałam.

Mam nadzieję, że masz się dobrze?

- Owszem.

Chociaż nadal mówią na mnie Biedna Sierotka - odpowiedź panny Townsend była cokolwiek mglista, jednak towarzyszący temu uśmiezek z pewnością mógłby mocno zaniepokoić Kate.

Dominique zachichotała.

- Gdyby oni wszyscy mogli wiedzieć...

- Nikomu z nich nie przyjdzie do głowy.

Z kim mogłaby się przyjaźnić taka Biedna Sierotka?

Pani jest naprawdę ostatnią osobą, o której mogliby pomyśleć.

- Na twarzy panny Townsend pojawił się uśmiech, którego jej współpracownicy z Despard London nigdy nie oglądali.

I dobrze im tak!

Pewnie, że dobrze, zwłaszcza dopóki będziesz dla mnie robić to, co zechcę, pomyślała Dominique, sadowiając się ponownie na krześle usłużnie podsuniętym przez ugrzecznionego kelnera.

Już wkrótce po przybyciu do Despards London Dominique potrafiła bezbłędnie rozpoznać, a potem świadomie oczarować tę osamotnioną i powszechnie odtrącaną starą pannę.

Instynkt myśliwego podpowiadał jej, że pod tą nieciekawą powierzchownością tłą się nieustannie tłumione, ale też tym silniejsze namiętności.

Postanowiła więc wykorzystać to dla własnych celów.

Szybko odkryła, że Venetia Townsend bynajmniej nie jest taka, na jaką na pierwszy rzut oka wygląda.

Pod owadnim pancerzem zaszuszonej okularnicy, interesującej się tylko swoją zawodową specjalnością, kryła się głodna uczuć kobieta.

Kobieta, która namiętnie, a jednocześnie beznadziejnie, marzyła o tym, by stać się właśnie taką, jaką była Dominique du Vivier.

W rezultacie nabrała odruchów psa ogrodnika: nienawidziła mężczyzn za to, że kiedyś ją ignorowali, ale jednocześnie tęsknie marzyła o tym, że kiedyś potrafi ich traktować tak, jak to robiła Dominique.

Że będzie ich sobie brała, wykorzystywała, a potem wyrzucała jak śmieci.

W ten sposób Dominique, niejako w jej zastępstwie, mściła się na mężczyznach za krzywdy Biednej Sierotki.

Za to, że co prawda cenili jej profesjonalną wiedzę, ale gruboskórnie odtrącali jej kobiecość.

Dzięki Dominique Venetia mogła choćby w jakiejś tam części ucieleśniać swe skryte marzenia: mogła przynajmniej czasami wejść do tego pełnego blasków świata, w którym stale żyła jej ubóstwiana protektorka.

Mogła napawać się wielkoświatowym blichтром i cudownie podniecającą atmosferą, nawet jeśli było to jakby z drugiej ręki.

To było to, za czym wciąż tęskniła jej wygłodzona kobieca dusza.

Jak zaczarowana słuchała więc opowieści Dominique, która z pełną okrucieństwa lekkością mówiła jej, jak traktuje mężczyzn, których wokół niej niezmiennie było pełno.

Stało się więc niemal zasadą, że Dominique, gdy tylko przyjeżdżała do Londynu, zapraszała pannę Townsend na jakiś lunch lub obiad, przy czym z reguły do restauracji najwyższej klasy, do jakich zastraszona stara panna nigdy sama nie ważyłaby się wybrać.

Zawsze przy tym był to lokal położony wystarczająco daleko od siedziby Despards, dla uniknięcia ryzyka, że ktoś mógłby je razem zobaczyć.

A jednocześnie zawsze było to coś z klasą, lokal dostatecznie renomowany i dostatecznie wytworny, by Venetia mogła się czuć podbudowana i usatysfakcjonowana. Wyszukane potrawy, atmosfera wielkiego świata - to działało zarówno na ciało, jak i na duszę.

Tak więc Venetia spożywała jakąś wyśmienitą Sole Veronique albo Coq au Vin, a tymczasem Dominique zręcznie wydobywała z niej każde ziarenko informacji, które w ten czy inny sposób mogły się przydać.

Doskonale wiedziała, za czym tęskni Venetia Townsend.

Bynajmniej nie za tym, co się działo naprawdę - bo rzeczywistość ją zawsze raczej przerażała - ale za światem wyobrażonym, o ileż bezpieczniejszym od realnego.

Venetia chciała dzięki niej przeżywać to wszystko, czego sama nigdy nie zaznała, a czego bardzo potrzebowała.

Tak więc oczami Dominique chciała oglądać te wszystkie wielkie premiery, galowe przyjęcia, modne wernisaże, wycieczki luksusowymi białymi jachtami.

Chciała przez nią poczuć dotyk tych obłudnie drogich kreacji z największych domów mody, poczuć w wyobraźni smak najlepszego szampana.

Była więc po prostu szczęśliwa, że może tak siedzieć i słuchać, podczas gdy Dominique opowiada jej, jak traktuje mężczyzn; jak ich sobie bierze, wykorzystuje, a następnie wyrzuca.

Venetia chciałaby postępować dokładnie tak samo, czerpiąc chwałę i satysfakcję zarówno z ich niewolniczej uległości, jak i z czekającego ich nieuchronnie okrutnego podeptania.

Upokorzenie każdego z nich było jak balsam, wciąż na nowo kojący jej obolałą kobiecą dumę.

Dominique wiedziała wszystko - nie było tego wiele - o szarej i uczuciowo jałowej egzystencji panny Townsend.

Dzień zawsze spędzała w pracy, na noc wracała do swej starej matki, z którą mieszkała.

Nigdy nigdzie nie wychodziła, nie miała żadnych przyjaciół.

Teraz z błyszczącymi od emocji oczami słuchała relacji Dominique, która opowiadała jej, jak potraktowała swego ostatniego kochanka - pewnego bogatego Brazylijczyka, który dla niej kompletnie oszalał.

- I co wtedy pani zrobiła?

- pytała rozemocjonowana Venetia.

- To, co zawsze.

Oczywiście skamlał, żebrał, czołgał się, próbował mnie przekupić pieniędzmi...

- Ale pani oczywiście nie okazała litości?

- Ja miałabym się nad nim litować?

Kłęczął przede mną, więc oparłam stopę na jego piersi i popchnęłam z całej siły.

Zadowolona Venetia zachichotała.

Oczy jej błyszczały, język bezwiednie oblizywał spieczone wargi.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

Czy to go upokorzyło?

- Jeszcze jak...

Zrobiłam z niego szmatę.

Panna Townsend westchnęła głęboko, nareszcie naprawdę usatysfakcjonowana.

Popatrzyły na siebie i niemal jednocześnie zaczęły się śmiać.

- Ale może dosyć już o mnie, moja droga - powiedziała w końcu Dominique.

- Opowiedz mi, co tam ostatnio u ciebie?

Venetia pochyliła się ku niej.

- No cóż, o Piersie Langu oczywiście już pani słyszała...

A ta znów zaczyna od Adama i Ewy, pomyślała zniecierpliwiona Dominique.

Dymisja Piersa Langa, to ci dopiero nowość!

Na zewnątrz jednak zachowała pozory skupionej uwagi.

Wtedy, zaraz po otrzymaniu dymisji, Piers Lang oczywiście przyszedł z tym do niej, jęczał i skomlał.

Dominique potraktowała go odpowiednio, nie ukrywając, że czuje się dotkliwie zawiedziona, tym bardziej że - jak to mu oznajmiła - dotąd miała do niego nadzwyczajne zaufanie.

O tym, że w rzeczywistości od samego początku spisała go na straty i że z góry zakładała, iż wszystko wyjdzie na jaw, oczywiście nawet nie wspomniała.

Tak naprawdę cała ta sprawa z fałszywym koniem Tang, przynajmniej z jej strony, miała być tylko ostrzeżeniem dla Kate Despard i miała jej pokazać, czego się może spodziewać, kiedy rzecz naprawdę pójdzie na noże.

I to ostrzeżenie dotarło; zaskoczyło ją jedynie to, że - jak się okazało - to nie ten wścibiający wszędzie swój nos Rollo wychwycił wówczas te wszystkie ślady i tropy, które przy tej okazji postarała się za sobą zostawić, ale zajęła się tym sama Kate.

Prawie równie skutecznie jak ten stary pede.

No cóż, powiedziała sobie Dominique, musiałaby być zupełną kretynką, gdyby tego wszystkiego nie dostrzegła.

To, co zrobiła, świadczy, że kretynką w każdym razie nie jest.

Langowi Dominique powiedziała bardzo zdecydowanie, że ją zawiódł i że ona nie zwykła zajmować się nieudacznikami.

Ale dla osłodzenia pigułki (a może także dlatego, że nie chciała sobie robić wroga z człowieka, który wiedział zbyt dużo) postarała się dla niego o odpowiednie stanowisko i poleciła go pewnemu znajomemu dealerowi z Rzymu.

Klientelę jego sklepu z antykami stanowiły przede wszystkim bogate starsze panie, więc talenty Piersa Langa mogły się w nim przydać, jako że sprzedawano za bardzo wielkie pieniądze rzeczy, które miewały zazwyczaj bardzo niewielką wartość.

Natomiast nagłe przeniesienie Sheelagh Hennessy było już bardzo nieprzyjemnym zaskoczeniem.

Co za głupia baba!

Dominique doskonale wiedziała o tym, że panią Hennessy od dawna zżerała zazdrość o Kate, i to właśnie starała się umiejętnie wygrywać.

Nie wiedziała jednak - a sama Sheelagh też jej tego nie powiedziała - że Kate Despard odwzajemniała tę jej niechęć co najmniej równie intensywnie.

To zatajenie okazało się bardzo poważnym błędem i w rezultacie Dominique straciła swe najważniejsze źródło informacji.

Potem jeszcze kilka osób, na które mogła w tym względzie liczyć, równie niespodziewanie zrezygnowało z pracy w Despard.

Skutek był taki, że Dominique na dobrą sprawę pozostała już tylko Biedna Sierota, czyli Venetia Townsend.

Wcale nie taka biedna sierota, pomyślała, przepatrując w myśli te wszystkie cenne informacje, które zdążyła od niej otrzymać od czasu ich ostatniego spotkania.

Ta Biedna Sierota dla mnie jest warta swej wagi w złocie.

- ...no i to prawdziwe szaleństwo, które się po tym wszystkim rozpełtało w telewizji i prasie.

- Nieoceniona Venetia nie ukrywała swego negatywnego stosunku do takiego postępowania mass mediów.

- Nie można otworzyć gazety ani tygodnika, żeby nie natrafić natychmiast na coś o Kate Despard.

Teraz znów chcę, żeby wystąpiła w telewizji i zaprezentowała ocalone skarby z Courtland Park...

- Venetia z pewnym wyrzutem spojrzała na swoje bożyszcze.

- A ja miałam nadzieję, że pani to załatwi z tym Nicholasem Chevely.

Dominique westchnęła.

- Załatwiłabym to oczywiście, gdybym miała wtedy choć chwilę - skłamała bez mrugnięcia okiem.

- Ale przygotowania w Hongkongu pochłaniały mnie bez reszty.

Wiesz przecież, co się tam działo.

Venetia natychmiast zapomniała o Nicholasie Chevely.

Jej oczy zabłyśły.

- Niech mi pani opowie o Hongkongu - powiedziała błagalnie.

Zadowolona z tak łatwego wyminięcia niebezpiecznego tematu, Dominique opowiedziała jej wszystko, oczywiście w odpowiednio przykrojonej wersji.

Venetia zawisła spojrzeniem na jej wargach, jej pobudzona wyobraźnia obudowywała każdy obraz tysiącami szczegółów.

Dominique - rzecz jasna - nawet słowem nie napomknęła o rzeczywistym stanie rzeczy.

Venetia Townsend nadal wierzyła jej ślepo i była przekonana, że jej bożyszcze doskonale panuje nad wszystkim.

- Ach, jak żałuję, że ja tam nie byłam i nie mogłam tego widzieć.

Sprzedaż stulecia w Despard Hongkong!

Przecież to brzmi wspaniale.

Taki sukces!

- Tak, ale teraz tu będzie Courtland Park.

- Courtland Park, Courtland Park!

Mam już potąd tego Courtland Park!

Ten pożar przyniósł jej same korzyści - przede wszystkim zupełnie niesłychaną reklamę, i to całkowicie za darmo.

Ona ma szczęście, ta mała...

podobnie, jak je miał i jej ojciec.

Venetia Townsend nienawidziła Charlesa Desparda bardziej niż kogokolwiek, ponieważ to właśnie on przy jakiejś okazji nadał jej wlokące się za nią miano Biednej Sieroty.

Później, kiedy Charles zostawił żonę i córkę dla Catherine, Venetia powiedziała sobie w duchu: "Wiedziałam, że to zły człowiek".

Jednej tylko rzeczy zupełnie się nie spodziewała, że to właśnie jego pasierbica okaże się żywym wcieleniem jej najskrytszych marzeń o triumfującej kobiecości.

Że ona, Venetia Townsend, tak szybko i bez reszty podda się jej czarowi i że wszelkie współczucie, jakie mogła dotąd mieć dla porzuconej córki Charlesa Desparda, spali się bez reszty w rozbuchanym płomieniu tej fascynacji.

Jej nienawiść do Charlesa Desparda jeszcze się pogłębiła, kiedy dowiedziała się o zapisach jego testamentu.

Jej zdaniem to oczywiście Dominique powinna była dostać wszystko, ponieważ tylko ona na to zasługiwała.

Później, przez długie miesiące, Venetia Townsend musiała się przyglądać, jak ta uzurpatorka Kate Despard rozsiada się coraz pewniej na miejscu, które należało się tamtej -jej jedynej i prawdziwej bogini - i z każdym dniem narastała w niej bezsilna wściekłość.

Także i teraz jej głos był pełen jadu i nienawiści, gdy tylko musiała wspomnieć imię tej kobiety, którą uważała za przysięgłego wroga Dominique.

- Zgłoszenia napływają z całego kraju, kalendarz jest wypełniony na wiele miesięcy, ba - nawet na rok i więcej.

- Naprawdę?

- zapytała Dominique takim tonem, jakby ją to dosyć nudziło.

-No a konkretnie kto, co i gdzie?

Venetia Townsend wymieniła takie nazwiska, że palce Dominique mimo woli zacisnęły się na trzymanym w dłoni kieliszku z taką siłą, że szkło w każdej chwili mogło pęknąć.

Opanowała się jednak i podniosła kieliszek do ust.

Wysączyła do dna wytrawne Chablis, a następnie skinęła na kelnera, by ponownie napełnił oba kieliszki.

Uśmiechnęła się przy tym na myśl o minie, jaką musieliby zrobić ludzie z Despards, gdyby nagle zobaczyli, że Venetia Townsend pije alkohol.

Na wszelkiego rodzaju okazjonalnych uroczystościach czy bankietach w firmie - na których zresztą bywała rzadko i niezbyt chętnie - zawsze podawano przygotowany specjalnie dla niej czysty sok pomarańczowy.

A tymczasem, podczas spotkań z Dominique, Venetia bez mrugnięcia okiem wypijała i po kilka sporych kieliszków, przy czym okazywało się, że trzymała je wciąż bardzo pewną dłonią.

Jedynym wyraźniejszym efektem była wzmożona gadatliwość, z czego Dominique umiejętnie korzystała, dolewając jej w miarę potrzeby.

Także i teraz byстрыm spojrzeniem oceniła, że Venetia ma już w sobie akurat tyle, ile trzeba, o czym świadczyło także lekkie zaróżowienie szarej twarzy.

Uznała więc, że to odpowiedni moment, żeby zasiać trujące ziarno.

- Muszę powiedzieć, że w pełni się zgadzam z twoją wnikliwą oceną...

-Wyraźne pochlebstwo nie mogło zaszkodzić.

- Pożar w Courtland Park rzeczywiście sprawił, że o tej już i tak mocno przechwalonej aukcji będzie się mówić jeszcze więcej.

Takiej reklamy nie można kupić za żadne pieniądze.

Więc nic dziwnego, że ktoś mógłby się zacząć zastanawiać, czy przypadkiem to ona sama nie zaaranżowała tej całej sprawy...

Te ostatnie słowa Dominique powiedziała bardzo lekko i jakby żartem.

Ale natychmiast dostrzegła, jak oczy panny Townsend zabłysły, i już nie miała wątpliwości, że rzucone ziarno padło na dobrą glebę.

- Myślę też - mówiła dalej, ledwie zauważalnie marszcząc brwi - że również mój mąż dotąd nie miał zwyczaju aż takiego angażowania się w czyjekolwiek sprawy.

No, ale mój biedny Blaise tak się przejmował tym, że ktoś mógłby go posądzić o stronnictwo, o sprzyjanie własnej żonie...

Więc teraz powiedz sama, czy to mógł być wyłącznie przypadek, że właśnie on znalazł się akurat tam?

Więcej, że uratował jej życie!

Czy ty z własnej woli poszłabyś w takie płonące piekło, mając świadomość, że możesz nigdy stamtąd nie wyjść?

Naturalnie, wiem o tych jej zapewnieniach, że nie słyszała ostrzeżeń strażaków, uprzedzających, że dach lada chwila się zawali, ale powiedzieć można wszystko...

- Zmarszczki na jej czole pogłębiły się.

-Przecież to prawie wygląda na to, że ona chciała sobie zapewnić świadka, i to takiego, którego prawdomówności nikt nie ośmieliłby się podważyć.

Dominique odchyliła się do tyłu na oparcie krzesła.

Sączyła resztkę Chablis i przyglądała się pannie Townsend.

Zasiane w jej umyśle ziarno dostało teraz dodatkową porcję odżywki i powinno pięknie zakiełkować.

Może trzeba to użyźnić jeszcze trochę.

- Oczywiście - dodała bardzo wolno - tak mogłabym myśleć, gdyby chodziło o kogo innego.

Kate po prostu nie wydawała mi się na to dość sprytna...

- Niech pani nie popełnia tego błędu!

- przerwała jej gwałtownie Venetia Townsend.

- Ona jest chytra i przebiegła jak mało kto, a jeszcze na dodatek ma przy sobie tego zausznika rodem z piekieł, Rolla Bellamyego.

Niech pani się nie da nabierać na te jej niewinne minki, na te pozory szczerości.

Mogę panią zapewnić, że ja nigdy nie dałam się jej oszukać.

Dominique uśmiechnęła się w duchu.

Ziarno padło na podatną glebę, teraz sama Venetia będzie ją jeszcze użyźniała własną wybujałą imaginacją.

Kiełek wyrośnie błyskawicznie, zakorzeni się i strzeli w źdźbło - zanim jeszcze ta Biedna Sierota zdąży wrócić do swego biura.

A kiedy już tam będzie, to wszystkie te odrosty i pędy, które się w tym czasie pojawią, zostaną przez nią pieczołowicie zebrane i następnie rozdane wszystkim, którzy się tylko nawiną i zechcą jej słuchać.

Będzie to wszystko mówiła w charakterystyczny dla siebie sposób, nieśmiały i jakby przepraszający, ale też tym bardziej trafiający do przekonania.

I w ten sposób zaczną się plotki w rodzaju: "Wiecie?..."

w życiu nie zgadlibyście, czego dowiedziała się nasza Biedna Sierota"...

Zasiane ziarno wyrośnie i zacznie się plenić jak chwast.

Dla pewności Dominique postanowiła podrzucić jeszcze trochę użyźniającego nawozu.

- Jeszcze jedna rzecz wydała mi się w tym wszystkim cokolwiek...

dziwna - Znów zmarszczyła brwi.

- To ta zaskakująco duża liczba osób, które były tam na miejscu.

Na przykład strażnicy, których było chyba aż ośmiu!

Tak przynajmniej mówił mi Blaise.

Rozumiem, że mieli ochraniać rzeczy warte miliony, ale przecież Kate miała tam też chyba połowę składu osobowego Despard's London?

- Piętnaście osób z personelu - usłużnie odpowiedziała Venetia.

- I do tego jeszcze specjalnie wydzieloną grupę policjantów!

Sam Blaise powiedział, że podjęte przez nią środki bezpieczeństwa były niezwykle, wręcz niespotykane w takich przypadkach...

- Dominique popatrzyła na pannę Townsend i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- No oczywiście, on jest mężczyzną, zresztą i pozostali to przecież też głównie mężczyźni...

- Zniżyła głos, żeby to, co mówiła, zabrzmiało bardziej poufnie.

- Mężczyznom oczywiście można wszystko wmówić.

Są tak łatwowierni i tak łatwo ich...

uwieść.

Venetia przez chwilę patrzyła na nią z szeroko otwartymi ustami.

Była naprawdę wstrząśnięta.

- Ale pani nie myśli chyba, że...

Dominique roześmiała się głośno, odrzucając głowę do tyłu.

- Ależ nie, moja droga, no skąd?

Ja miałabym się obawiać o męża z powodu tej smarkatej Despard?

No nie!

Ale doskonale wiedziała, że to jest jeszcze jedno zatrute ziarenko, które też wykiełkuje i rozkwitnie.

A wyrosłe z tego kwiatki będą miały zapach tak samo cuchnący i tak samo budzący wstręt jak postępowanie tego rodzaju bezwzględnej kobiety, która próbuje innej kobiecie ukraść męża.

- No, ale teraz zajmijmy się może naszą pyszną jagnięciną.

- Dominique zrećcznie zmieniła temat, korzystając z tego, że kelner przyniósł właśnie główne danie.

- Powiedz mi też, co ty myślisz o tym Tycjanie, który ostatnio pojawił się w Sothebys? Czy prawdą jest to, co słyszałam, że ustalona cena była o wiele za wysoka?

Rozdział 20 .

Kate spała blisko osiemnaście godzin bez przerwy i po obudzeniu była bardzo zdziwiona, że znajduje się w łóżku.

Pamiętała tylko tyle, że usiadła w fotelu, żeby trochę pomyśleć.

Potem była już tylko jakaś czarna dziura.

Odchyliła pościel, żeby wstać i w tym momencie w sypialni pojawiła się Charlotte.

- Dzień dobry!

- Uśmiechnęła się do Kate.

- Czujesz się już lepiej?

- Zaraz...

co ty tu w ogóle robisz?

- To długa historia.

Może pozwól, że zrobię dla nas obu po filizance pysznej herbaty i przy niej ci wszystko opowiem.

Po chwili już obie przysiadły na łóżku i piły herbatę.

Charlotte milczała przez chwilę, w końcu powiedziała: - Ja po prostu miałam takie niewytłumaczalne przeczucie.

Coś mi kazało przyjechać.

Miewam czasami takie nagłe przeczucia i nauczyłam się ich słuchać, robić to, co mi one podpowiadają.

No więc podpowiedziały mi, że możesz mnie potrzebować.

A kiedy przyjechałam i zobaczyłam cię, okazało się, że rzeczywiście...

Wyglądałaś prawie jak żywy trup.

Zombie, jak to teraz mówią.

Charlotte zauważyła, że złote dotąd oczy jej przyjaciółki nagle nabrały odcienia ciemnego bursztynu, a sama Kate zdawała się patrzeć już nie przed siebie, ale jakby do wewnątrz.

- Aha, nie powiedziałam ci jeszcze, że Blaise Chandler dzwonił.

Kate gwałtownie uniosła głowę, a jej źrenice znów stały się złotawe i jarzyły się niczym dwa wielkie topazy.

- Był zaniepokojony, ponieważ spodziewał się ciebie, a ty się nie pojawiłaś.

Błada twarz Kate zaróżowiła się nieco.

- Zostałam dla niego wiadomość, że będę dzisiaj.

Jej rumieniec pogłębił się gwałtownie, kiedy Charlotte przyjrzała się jej uważniej i pokiwała głową.

- No tak...

Więc to dlatego on narażał życie, żeby ciebie uratować.

Kate pośpiesznie pochyliła twarz nad filiżanką, ale to jej nie uratowało od dalszych pytań.

- Zdajesz sobie przynajmniej sprawę z tego, że to trochę tak, jak gdybyś się zabrała za mistrza świata?

- Wiem.

- To nadzwyczaj atrakcyjny mężczyzna i, mówiąc szczerze, zupełnie nie taki, o którym mogłabym sądzić, że...

- ...że nadaje się dla mnie?

- dokończyła Kate.

Westchnęła i potrząsnęła głową.

- Ja też bym tak nie sądziła.

A potem dodała jeszcze ciszej: - Muszę ci coś opowiedzieć, Charlotte.

Coś dziwnego i przerażającego.

To, że zdecydowała się komuś to opowiedzieć, było dla niej ogromną ulgą.

Pomogło też jakoś to uporządkować w jej własnej głowie.

Wystarczyło zacząć, a potem opowieść już jakby potoczyła się sama.

Tak więc opowiedziała jej wszystko.

Teraz z kolei Charlotte zaczęła potrząsać głową.

- Ona musiała zwariować - powiedziała.

- Tak, to już musi być szaleństwo.

To zresztą całkiem możliwe, muszę ci powiedzieć.

We współczesnym świecie jest pełno takich, którzy na oko sprawiają wrażenie absolutnie zdrowych i normalnych, a w rzeczywistości są chorymi ludźmi - niebezpiecznymi wariatami.

- Może jest po prostu chora z nienawiści.

- Prawdopodobnie.

W każdym razie kiedy ona się zorientuje, że rywalizujesz z nią już nie tylko na froncie zawodowym, musisz się strzec!

- Wiem.

To właśnie najbardziej mnie niepokoi.

- No, ale z drugiej strony możesz być pewna, że Blaise Chandler zachowa to w tajemnicy i nie zacznie tego rozgłaszać na prawo i lewo.

On z całą pewnością zna swoją żonę lepiej niż ktokolwiek inny i jest doskonale świadomy jej...

możliwości, by tak to nazwać.

Więc jeżeli czuje coś do ciebie, to sam instykt ostrzeże go przed jakimkolwiek nierozważnym krokiem.

Ale ty musisz być ostrożna.

Niezwykle ostrożna.

- To może ci się wydać śmieszne - powiedziała po chwili Kate - ale powiem ci, że w tym wszystkim najbardziej mną wstrząsnęło jeszcze coś zupełnie innego: to, że ona gotowa była z zimną krwią zniszczyć wielkie dzieła sztuki dla osiągnięcia jakichś osobistych celów.

Nie chodzi tu nawet o wartość materialną tych rzeczy, ale o to, że przecież były to dzieła twórczego geniuszu.

A ona gotowa była je zniszczyć, a jednocześnie za wszelką cenę chce przejąć Desparda.

Po co?

Ja tego naprawdę nie rozumiem.

O co ona tak naprawdę walczy?

Czego chce?

- Chce władzy, a może też i - jeszcze wyższej - pozycji społecznej.

A przecież już jest panią Chandler.

- Dla niej pozycja zawdzięczana mężowi to wciąż jakby coś z drugiej ręki.

Zresztą jeżeli idzie akurat o to, to chyba i ja nie chciałabym być znana tylko jako czyjaś żona.

Uważam, że jestem dużo więcej warta.

Ale jeżeli idzie o nią, Blaise przecież nie sprzeciwiał się, by świat ją znał jako panią du Vivier.

Właściwie znam tylko jednego człowieka, który mówiąc o Dominique używa określenia "pani Chandler" - jest nim Benny Fong.

Wszyscy inni wiedzą, że "pani Chandler" to zawsze księżna Agatha.

- Wszyscy inni wiedzą...

to mi bardzo przypomina taką niegdyś bardzo słynną sprawę pani Astor.

Ale może nie wdawajmy się w takie dawne historie - dodała pośpiesznie, widząc po spojrzeniu Kate, że wymienione przez nią nazwisko nic już jej nie mówi.

- Jeżeli idzie o Dominique, to z całą pewnością walczy przede wszystkim o pieniądze, ponieważ utożsamia pieniądze z władzą.

Zresztą wielu ludzi myśli podobnie.

- Ale żeby dla pieniędzy poświęcić arcydzieła ludzkiego geniuszu...

bezcenną spuściznę wieków?

- Dla Kate wciąż było to nie do pojęcia.

- To właśnie jest ta zasadnicza różnica między wami.

Ty robisz to, co robisz, ponieważ po prostu to kochasz.

Natomiast ona robi to wyłącznie dla "wielkich pieniędzy, które jej to może przynieść.

- Muszę coś zrobić, żeby ją jakoś powstrzymać - powiedziała Kate.

-Ale jak?

- Mam taśmę.

- Ta taśma jest przecież własnością Blaisea?
- Ale dotyczy w znacznie większym stopniu mnie niż jego.
To ja jestem tą osobą, którą Dominique postanowiła zniszczyć.
- I właśnie dlatego Blaise kazał założyć podsłuch w jej mieszkaniu.
Już wtedy próbował cię chronić.
- On też oczywiście dowie się wszystkiego, ale dopiero wtedy, kiedy już będzie po wszystkim.
- Myślisz, że to jest rozsądne?
- Jest przede wszystkim celowe i praktycznie wykonalne!
- Kate była teraz stanowcza i zdecydowana.
- Najpierw muszę ją pokonać, i to nie w ten sposób, że ona mi przed finiszem zejdzie z toru.

Ja muszę udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że jestem lepsza od niej, a Courtland Park powinien mi w tym pomóc.

Nigel powiedział mi, że Despard's London jest wprost zasypany zgłoszeniami.

Już teraz chce w tym uczestniczyć więcej osób niż w jakiegokolwiek dotychczasowej aukcji.

Między innymi dlatego, że mogli zobaczyć w telewizji, jak wspaniałe rzeczy mam do sprzedania.

Naprawdę wspaniałe, i dlatego też nigdy nie wybaczę jej tego, co chciała zrobić.

Jej obrzydliwego egoizmu i chęci poświęcenia arcydzieł dla zysku.

I właśnie dlatego uzyskam teraz za nie takie ceny, że to ją po prostu zmiażdży.

A kiedy pokażę całemu światu, że ją pokonałam, wyciągnę tę kasetkę z nagraniem i będę ją trzymać nad jej głową, jak miecz Damoklesa.

Jeśli będzie próbowała jeszcze czegoś w tym rodzaju, po prostu ją zdemaskuję!

- Kate powiedziała to z dużą pewnością siebie.

Charlotte miała jednak wątpliwości.

- Ona zaatakuje cię z innej strony.

Na przykład gwałtownie obniży wszystkie ceny.

- Nie robi tego, bo wtedy już ostatecznie straciłaby szansę wygrania ze mną.

Nie, z pewnością będzie szukała jakiegoś innego wyjścia.

Ale jest tak próżna - to czasem aż paraliżuje!

- że po prostu nie potrafi uwierzyć w możliwość przegranej ze mną.

Nawet gdyby została zmuszona do uczciwej walki!

Ja zresztą zaproponuję jej prywatną umowę: jeśli będzie walczyć uczciwie i jednak mnie pokona - wtedy oddam jej tę taśmę.

Ale jeśli to ja z nią wygram, zachowam taśmę i wykorzystam ją w przypadku, gdyby znów chciała czegoś próbować.

- Kiedy to opowiadasz, wszystko wydaje się bardzo łatwe.

Ale czy nie zapomniałaś, że jej po prostu nigdy nie można wierzyć?

- Będę miała tę taśmę.

- Nawet wtedy nie masz pewności.

Przypomnij sobie, w jaki sposób ona zdobywa klientów.

- A ja podejmę to ryzyko i moich klientów będę zdobywać uczciwymi metodami.
- No a co w rezultacie z Blaiseem?
- Po prostu nie będzie nic wiedział aż do chwili, kiedy już będzie po wszystkim. Muszę go przetrzymać w nieświadomości, ale tylko do zakończenia sprzedaży.
- A co będzie, jeżeli ten Benny Fong zwróci się wprost do niego, tak jak to początkowo zamierzał?
- Blaise jest wciąż w szpitalu, zapomniałaś o tym?
- Przecież nie będą go tam trzymać wiecznie.
- Nie, ale to trochę jeszcze potrwa, a poza tym Blaise będzie chciał zostać w Sussex ze względu na mnie.

Charlotte popatrzyła na swą niedawną uczennicę z czymś w rodzaju podziwu.

- No tak.

Chyba mogę powiedzieć, że już wiem, co on w tobie widzi.

Teraz nagle Kate zamilkła, a po chwili powiedziała dość niepewnie: - Jeżeli mam być zupełnie szczerą...

to wciąż nie za bardzo wiem, co on mógłby widzieć we mnie.

Zwłaszcza po Dominique.

- Mógłby, Kate.

Na pewno mógłby.

Tego, co było między nimi, w ogóle nie można nazwać małżeństwem.

Z tego co wiem - a nie opieram się tu tylko na pogłoskach - każde z nich prowadziło własne, odrębne życie.

A ona sama może być oszałamiająco piękna, kiedy się na nią spojrzy z zewnątrz.

Ale to, co tam jest w środku...

- Charlotte wzdrygnęła się.

- Rodzice powinni byli dać jej na imię Messalina.

No, a poza tym - Blaise ryzykował własne życie nie dla niej, ale dla ciebie...

- Wiem o tym - odpowiedziała cicho Kate, a Charlotte na moment wstrzymała oddech, widząc, jak ta blada dotąd twarzyczka rozpromienia się nagle, jakby rozświetlając ją całą od środka.

- On wrócił tam po mnie, chciał uratować mnie!

I to było takie dziwne, jak na mnie patrzył...

A potem mnie pocałował.

- Kate przymknęła oczy, gwałtownie przełknęła ślinę.

- A ja czułam się tak, jakby...

O, tak, pomyślała Charlotte.

Doskonale wiem, co chcesz powiedzieć, moja droga Kate.

Sama kiedyś przez coś takiego przechodziłam.

Kate wciąż pozostawała rozmarzona i jakby nieobecna, ale Charlotte uznała, że należy ją delikatnie przywołać do rzeczywistości: - Musisz mieć dużo sił przed czekającą cię batalią, myślę więc, że powinnaś zjeść wcześniejszą kolację, a potem znów porządnie pospać.

Wkrótce pojawi się tu lekarz - był już wcześniej, ale wtedy spałaś - i zobaczymy, co nam powie na twój temat.

Kate nagle otworzyła oczy.

- Taśma!

- wykrzyknęła zduszonym głosem.

- Dzisiaj miała być dostarczona właśnie ta taśma!

O Boże drogi!

A mnie nie było w biurze, jak obiecywałam...

Charlotte popatrzyła na nią.

- No, nie będziesz musiała iść szczególnie daleko, jeżeli zechcesz sprawdzić, czy ją dostarczono.

A poza tym jest dopiero wpół do siódmej, więc po prostu zadzwoń tam na dół i dowiedz się, co się z tym stało.

Penny jeszcze nie wyszła, jestem tego pewna.

Poza normalnym miejskim telefonem Kate miała w swym mieszkaniu również aparat wewnętrzny, który pozwalał na bezpośrednie połączenie z każdym pomieszczeniem na niższych piętrach.

Pospiesznie wybrała numer sekretariatu.

- Hallo, Penny?

- Och, panno Despard!

- zawołała z ulgą Penny.

- Jak się pani teraz czuje?

Ludzie pytali tu o panią niemal bez przerwy...

Penny wiedziała o jej nieomaganiu, ponieważ już rano Charlotte zeszła na dół z wiadomością, że lekarz nakazał Kate odpoczynek w łóżku i że tego dnia nie będzie jej w biurze.

- Czuję się dużo lepiej, dziękuję.

To nie było nic poważnego, potrzebowałam tylko trochę odpoczynku w ciszy i spokoju.

- A tu wszyscy wciąż mówią tylko o Courtland Park.

Jesteśmy niezmiernie przejęci i szczęśliwi, że aż tyle udało się uratować.

I że to, co miało być naszą klęską, stało się nagle triumfem, i to tylko dzięki pani.

- No, nie tylko dzięki mnie - odpowiedziała Kate.

- Penny, powiedz mi przede wszystkim, czy może przyniesiono dla mnie przesyłkę?

Spodziewałam się takiej niewielkiej paczuszki, dosyć dla mnie ważnej, i to miało być dziś dostarczone do rąk własnych.

Przyszło coś takiego?

- A, tak.

Był pan Benjamin, z polecenia pana Fonga.

Powiedziałam mu, że pani odpoczywa, a on na to powiedział, że doskonale to rozumie i że - jeżeli to pani będzie odpowiadało - pojawi się tu jeszcze raz w poniedziałek o jedenastej rano.

Kate odetchnęła z ulgą.

- Doskonale, Penny - powiedziała.

- Będę już za moim biurkiem, jak zawsze.
- Jest pani pewna, że będzie pani miała dość sił?
- zapytała sekretarka z troską w głosie.
- Na pewno już wszystko będzie dobrze.

Zobaczmy się w poniedziałek.

No to na razie, Penny!

Kate opadła z powrotem na poduszkę i jeszcze raz westchnęła z ulgą.

- Ten człowiek już tam był, ale przyjdzie jeszcze raz w poniedziałek.
- No pewnie, można było przewidzieć, że Benny załatwi to tak jak trzeba.
- W porządku, więc masz to z głowy.

No to teraz co byś powiedziała na moje popisowe danie - omlet z grzybami?

- Tak, bardzo proszę - odpowiedziała z wielką gotowością Kate, co musiało świadczyć o znacznej poprawie samopoczucia.

Lekarz, który pojawił się wkrótce potem, potwierdził to w pełni po pobieżnym zbadaniu.

- A więc mogę wrócić do pracy?
- upewniła się Kate.
- Jeśli przyrzeknie pani, że nie będzie się forsować.

Wyszła pani z tego nie tylko mocno potłuczona, ale i z poważnym wstrząsem psychicznym.

Teraz więc niech się pani nie przemęcza przez kilka dni, a wtedy to, co się przydarzyło wczoraj, z pewnością już się nie powtórzy.

- Dobrze, mogę to przyrzec - oświadczyła solennie Kate.
- Muszę być posłuszna, bo zbliża się ogromnie dla mnie ważna aukcja i na jej rozpoczęcie muszę być w pełnej formie.
- Proszę więc zastosować się do moich zaleceń, a wszystko będzie dobrze.

Uspokojona i odprężona Kate przespała jeszcze dziesięć godzin bez jakichkolwiek snów czy majaczeń.

W poniedziałek rano, o dziewiątej trzydzieści, już siedziała za swoim biurkiem.

W rzeczywistości jednak nie mogła się zabrać do pracy, ponieważ przez pierwszą godzinę niemal bez przerwy przychodzili do niej różni ludzie, żeby jej pogratulować, a przy okazji zaspokoić zrozumiąłą ciekawość i wypytać ją, o co się tylko dało.

Kate w końcu zdała sobie sprawę, że może w ten sposób zmarnować cały dzień.

Należało coś z tym zrobić, toteż poleciła zwołać wszystkich na nadzwyczajne zebranie, na którym podziękowała całemu personelowi, wyraziła wszystkim wdzięczność za życzenia powrotu do zdrowia i oznajmiła, że aukcja Courtland Park odbędzie się w zaplanowanym terminie.

Jej słowa zostały przyjęte okrzykami uznania i burzą oklasków.

- Firma Despard, jasna sprawa, jeszcze raz ogromne brawa!
- wykrzyknął jakiś entuzjasta, co powitane zostało śmiechem i jeszcze większymi brawami.

W ten sposób Kate zdążyła na czas wrócić do swego gabinetu.

Dokładnie o jedenastej Penny powiadomiła ją, że przyszedł pan Benjamin.

Pan Benjamin okazał się Anglikiem, wyglądał na prosperującego prawnika z City, albo też na polityka, zważywszy na to, że mówił dużo i gładko.

Uściskał jej rękę, troskliwie wypytał o stan zdrowia, dorzucił jeszcze parę dyskretnych komplementów na temat jej zachowania podczas ostatnich wydarzeń, a potem już bez dalszej zwłoki ustawił tarcze cyfrowych zamków niewielkiej, ale najwyraźniej kosztownej skórzanej walizeczki, z której następnie wyjął płaską paczuszkę, niewiele grubszą od zwykłej koperty.

- Z wyrazami uszanowania od pana Bensona Fonga.

- Dziękuję panu - powiedziała.

Przyłapała się na tym, że ściska paczuszkę niezwykle mocno.

- Proszę też pozdrowić ode mnie pana Fonga i powiedzieć, że wszystko zostanie załatwione tak, jak się umówiliśmy.

Pan Benjamin skłonił się.

- Z całą pewnością przekażę mu to jeszcze dzisiaj - powiedział i uklonił się jeszcze raz.

Kate odprowadziła go do głównego wyjścia, a następnie wróciła do gabinetu i nacisnęła przycisk interkomu.

- Penny, żadnych telefonów i żadnych gości, dopóki ci nie powiem, dobrze?

- Oczywiście, panno Despard.

Okazało się, że mikrokasetka była standardowa i miała te same wymiary i parametry, co i typowe europejskie kasetki, które Kate wykorzystywała w podręcznym magnetofonie do dyktowania listów.

Otworzyła więc pokrywę Grundiga i włożyła taśmę, a następnie nacisnęła przycisk z napisem Play.

Głos Dominique można było natychmiast rozpoznać, bez jakiegokolwiek pomyłki.

Ta jakby lekko przydymiona i odrobinę ochrypla barwa niskiego, pełnego seksualnych obietnic głosu, to była cała ona, podobnie jak ten czarujący, ledwie wyczuwalny francuski akcent.

Głos mężczyzny był zaskakująco cichy - przez co wydawał się tym bardziej niebezpieczny - i tylko z trudem można było rozróżnić poszczególne słowa.

Ale sens całej ich rozmowy był wystarczająco jasny.

Kate siedziała nieruchomo i słuchała słów Dominique, która spokojnym, opanowanym głosem oferowała pomoc firmy Despards w szmuglowaniu narkotyków w zamian za zniszczenie Courtland Park wraz z tym wszystkim, co się tam znajdowało.

Już samo słuchanie tego przyprawiało Kate o mdłości.

Po wyłączeniu magnetofonu siedziała jeszcze przez dłuższy czas nieruchomo, z brodą opartą na dłoni, i zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

Co tak naprawdę jest z tą Dominique?

Wciąż na nowo zadawała sobie to pytanie i wciąż w żaden sposób nie potrafiła tego zrozumieć.

Jak to jest?

Ja przecież też chcę wygrać; chcę przejąć Despards International, ale jednak nie za wszelką cenę.

Niczego na tym świecie nie chcę za wszelką cenę.

No a Blaisea?

- zapytał natychmiast jakiś złośliwy chochlik, rezydujący w jej mózgu.

No, pomyśl!

Bo tak samo gorąco i szaleńczo, jak ty pragniesz Blaisea, ona pragnie wygranej, pragnie fotela prezesa Desparda International.

Tyle że u niej przekształciło się to już w prawdziwą obsesję.

No a Blaise...

Znów myślała o nim.

Spojrzała w stronę telefonu, ale ostatecznie powstrzymała się od sięgnięcia po słuchawkę.

Nie była pewna, czy potrafi się opanować, kiedy usłyszy jego głos.

A poza tym on był zbyt inteligentny, zbyt domyślny.

Nie, powiedziała sobie, jeszcze nie teraz.

Musisz to wszystko jeszcze przemyśleć, droga Kate, przetrwać to i uspokoić się na tyle, żebyś była w stanie patrzeć na niego, słyszeć jego głos, czuć dotyk jego dłoni, a mimo to nadal realizować to, co postanowiłaś.

Wyjęła kasetkę z magnetofonu i zamknęła ją w prywatnym sejfie.

Postanowiła, że wieczorem, kiedy w całym budynku nie będzie już nikogo poza nocnymi strażnikami, zrobi kopię tego nagrania.

Konfrontacja z przybraną siostrą mogłaby się różnie skończyć, lepiej więc mieć w ręku kopię, a nie oryginalną taśmę.

W przeciwnym razie Dominique mogłaby po prostu walnąć ją czymś twardym w głowę, a następnie zabrać taśmę - po niej można się było spodziewać także i tego.

Tak, trzeba to koniecznie przegrać, powiedziała sobie Kate.

No a teraz czas zająć się pozostałymi sprawami.

Po ponownym prześwietleniu nogi Blaiseowi we wtorek założono stały opatrunek gipsowy.

Odtąd, przy pomocy metalowych kul, mógł już w miarę swobodnie kuśtykać i, co za tym idzie, wreszcie opuścić szpital.

Co prawda powinien był w dwa dni później pojawić się tam znowu na zdjęcie szwów, ale ponieważ i tak zamierzał pozostać w Sussex do czasu zakończenia aukcji, nie stanowiło to większego problemu.

Księżna Agatha przyjechała po niego swym olbrzymim czarnym Lincolnem.

Blaise odjeżdżał żegnany przez cały tłum melancholijnie rozmarzonych pielęgniarek, które machały do niego i ze smutkiem przyglądały się, jak wraz ze swą babką zostawiają ich szpital, który zresztą też już wkrótce miał zostać zamknięty.

"Pod Różową Strzechą" ulokowano go w wygodnym pokoju obok apartamentu babki Agathy.

Wreszcie mam telefon, pomyślał Blaise.

Księżna powiedziała mu, że nikt nie dzwonił, co zapewne świadczyło o tym, że wszystko musi być w porządku, ale z drugiej strony kusilo, żeby zadzwonić do Kate choćby tylko po to, żeby usłyszeć jej głos.

Usadowił się w wygodnym fotelu obok okna, z ustawionym pod ręką stolikiem i telefonem.

Na kolanach rozłożył swą podręczną walizeczkę z dokumentami.

Miał mnóstwo pilnych telefonów do wykonania.

A Kate...

Może po prostu zadzwoni, pomyślał z nadzieją.

Albo nawet przyjedzie.

Poprzedniego dnia zadzwoniła do niego Charlotte i powiedziała, że Kate wraca do pracy, ale lekarze kają jej bardzo na siebie uważać.

- O ile się orientuję, zamierza pojechać do Sussex w środę.

- Czy już jest z nią wszystko w porządku?

- Tak, ale moim zdaniem na razie powinna mieć jak najwięcej spokoju.

W jej życiu tyle się zdarzyło...

Blaise miał dość intuicji, by odgadnąć, do czego odnosiła się ta aluzja.

- A więc Kate powiedziała pani wszystko?

- zapytał.

- Po prostu musiała to komuś powiedzieć...

To nie tylko szok po pożarze był przyczyną reakcji, która tak ją zablokowała, sparaliżowała wszelką zdolność myślenia.

Wie pan chyba, panie Chandler, jak uczuciowym i wrażliwym stworzeniem jest Kate.

A tu zbiegło się wszystko naraz, napięcie było za duże i trudno się dziwić, że w pewnym momencie ona tego nie wytrzymała.

Dlatego chciałabym, żeby przynajmniej teraz nie stykała się ze sprawami czy osobami, które mogłyby wzbudzić w niej te same niebezpieczne napięcia.

Znów nie powiedziała tego wprost, ale w oczywisty sposób odnosiło się to przede wszystkim do Dominique.

Prostolinijna i krańcowo rzetelna Kate musiała się teraz czuć szczególnie źle; kochając Blaisea mogła mieć poczucie winy w stosunku do kobiety, która zawsze życzyła jej jak najgorzej i która - gdyby się teraz o tym dowiedziała - mogłaby się stać jeszcze bardziej niebezpieczna.

- Nigdy nie pozwolę skrzywdzić Kate - powiedział Blaise.

- Za nic nie pozwolę!

- Jego głos był tak naładowany emocją, że nawet Charlotte poczuła konieczność jakiegoś złagodzenia tego, co zamierzała powiedzieć.

Szybko więc dodała: - Ona bynajmniej nie martwi się o siebie, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

- Rozumiem - powiedział Blaise.

- Nigdy nie martwi się o siebie, zawsze o innych...

- Milczał przez chwilę, a potem dodał, pełen zdecydowania: - Dobrze, niech więc Kate rozgrywa to po swojemu.

Dla mnie w końcu najważniejsze jest to, że w ogóle mogła stanąć do tej gry.

A pan jest naprawdę mądrym i w dodatku cierpliwym mężczyzną, pomyślała z podziwem Charlotte.

Kate chyba jednak dobrze wybrała.

Tak więc następnego dnia Blaise siedział w swym pokoju przy oknie wychodzącym na tyły hotelu, przyglądał się kaczkom i łabędziom, pływającym po ogromnym, pięknie utrzymanym stawie i - zamiast telefonować i załatwiać pilne sprawy - przypominał sobie tę rozmowę z najbliższą przyjaciółką Kate.

Jeżeli cierpliwość naprawdę jest cnotą, pomyślał, to ja z pewnością mógłbym wystąpić jako święty Blaise - błogosławiony i długo cierpiący...

Westchnął i sięgnął do walizeczki po papiery.

Praca to wciąż najlepsze antidotum na wszelkie niepotrzebne myślenie, powiedział sobie, i właśnie zamierzał sięgnąć po słuchawkę, gdy nagle dało się słyszeć pukanie do drzwi.

- Otwarte!

- zawołał Blaise i na progu pojawiła się Kate.

Tego oczywiście wystarczyło, żeby Blaise natychmiast się podniósł, zrzucając na podłogę otwartą walizeczkę i rozsypując papiery, i omal nie przewracając przy tym stolika wraz z telefonem.

Pochwyił swe kule i z ich pomocą stanął jakoś na równe nogi.

- Kate!

Sam jej widok i uśmiech sprawiły, że nogi znów się pod nim ugięły, ale tylko na moment.

Kate pośpiesznie podbiegła i wpadła w jego szeroko otwarte ramiona.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę - powiedziała.

Blaise poczuł, że jej ciało lekko drży.

- Panna Vale dzwoniła i powiedziała mi, że będziesz w Sussex dopiero jutro.

Aha, już rozumiem.

Pewnie i księżnę wciągnęłyście do spisku?

- Po prostu chciałam być pewna, że przyjadę we właściwym momencie.

- Księżna dopiero co tu była, ale ma wrócić dopiero za parę godzin.

- I o tym też wiem - odpowiedziała skromnie Kate.

Blaise roześmiał się, uszczęśliwiony.

Odsunął ją od siebie odrobinę, by móc lepiej się przyjrzeć.

- Nadal wyglądasz tak, że aż oczy bołą- powiedział niby żartobliwie, ale takim tonem, że Kate poczuła nagły dreszcz.

Delikatnie dotknęła długiego plastra, naklejonego tuż nad jego lewym uchem.

- A to wciąż cię boli?

- Nie wtedy, kiedy ty tego dotykasz.

Jego wargi były ciepłe, nieskończenie czułe i kochające.

Znów ujął w dłonie jej drobną twarzyczkę i wpatrzył się w połyskujące złotem oczy.

- Kate...

Ja to traktuję bardzo poważnie.

Wiesz o tym?

- Wiem - odpowiedziała.

- To było dla mnie zupełnym zaskoczeniem, ale teraz wiem na pewno, że to ostatnia rzecz, z której bym się wycofał.

- Wiem - powtórzyła Kate, tak cicho i czule, jak gdyby starała się ukoić zaniepokojone dziecko.

Całowała jego policzki, czoło, nos, a potem znów usta.

Sama myśl o tym, że miałyby go ponownie zobaczyć, przez dłuższy czas przyprawiała ją o rozpaczliwy niepokój i drżenie całego ciała.

Ale podjęta po długiej walce z sobą samą heroiczną decyzją, by się chwilowo powstrzymać od spotkania, szybko musiała ulec zmianie pod wpływem gwałtownie narastającej tęsknoty, która była już nie do opanowania.

Zwłaszcza po ostatniej nocy, kiedy to leżała w łóżku prawie do rana, nie mogąc ani zasnąć, ani przestać o nim myśleć.

Zresztą to nie byłoby w porządku także w stosunku do niego, tłumaczyła sobie, wciąż przewracając się na łóżku.

Charlotte opowiedziała jej zarówno o jego telefonie do niej, jak i o jej własnym późniejszym telefonie do niego.

I - oczywiście - powtórzyła jej wszystko, co Blaise powiedział, a co Kate później wielokrotnie sobie powtarzała.

Tak, była pewna, że on nigdy by jej nie skrzywdził, ale czy ona przypadkiem nie krzywdziła jego, właśnie przez to, że wciąż trzymała się od niego z daleka?

A co, jeżeli on też zadrecza się niepewnością, czeka i wciąż ma nadzieję?

A, niech to diabli, powiedziała sobie w końcu.

Sprawdzę tylko, czy horyzont jest czysty i idę, niech się dzieje co chce.

Szybko, żeby się nie rozmyślić, zadzwoniła do Agathy i dowiedziała się, że Dominique nie jest dziś spodziewana.

W tej sytuacji mogła oznajmić, że zaraz przyjedzie, a księżnę bardzo prosi, by Blaiseowi nic o tym nie mówić.

- Bardzo się cieszę i oczywiście nic mu nie powiem - oświadczyła uszczęśliwiona Agatha.

- Blaise od paru dni jest tak smutny i osowiały, jak stęsknione cielę.

Wiedziałam, że coś się za tym kryje, i nawet domyślałam się, co.

Mój chłopiec nigdy nie potrafił mnie oszukać.

A teraz Kate przyznawała się Blaiseowi do tego samego.

- Nie byłam w stanie już dłużej wytrzymać z dala od ciebie.

- Dzięki Bogu, że już nie mogłaś.

Znów ją objął, potem bardzo ostrożnie usiadł w fotelu i wziął ją na kolana, jak dziecko.

- Ale czy ta twoja noga...

- zaniepokoiła się Kate.

- Nic się nie bój, uda mam w porządku.

- Wiem - bąknęła Kate, zanim w ogóle zdążyła pomyśleć.

Blaise odrobinę uniósł brwi.

- Czy mam rozumieć, że teraz to wiesz?

Ten sam rumieniec, który Blaise zdążył już tak polubić, znów pokrył jej twarz, na której wciąż jeszcze widoczne były ślady skaleczeń i otarć skóry.

Jej rozczulająca nieśmiałość wzruszała go głęboko.

- To było wtedy, w Kolorado - powiedziała Kate, usilnie wpatrując się w jakiś punkt na jego swetrze, jak gdyby chciała nagle zapamiętać skomplikowany układ kaszmirowych nici.

- Którejś nocy zeszedłam do basenu, żeby trochę popływać, a ty już tam byłeś.

- Nie widziałem cię, ani nawet nic nie słyszałem.

- Boja...

schowałam się natychmiast.

- No cóż, wobec tego przynajmniej wiesz, co bierzesz - powiedział Blaise z udaną powagą.

- No właśnie, i to jest tak nieprawdopodobnie cudowne, bo przecież nawet nie marzyłam o kimś takim jak ty...

Gdy po paru godzinach księżna wróciła do hotelu, jeszcze w przedpokoju usłyszała ich ciche głosy, czy raczej szepty, przedzielane długimi okresami prawie zupełnej ciszy.

Postarała się więc zrobić jak najwięcej hałasu, celowo uderzyła oparciem fotela o futrynę drzwi, po czym jeszcze głośniej nakrzyczała na Minnie, że ta nie patrzy, gdzie ją wiezie.

Gdy w końcu jej fotel jakoś wjechał do środka, Kate już stała przy oknie i poprawiała włosy; jej twarz była mocno zaróżowiona, a oczy błyszcząły.

Blaise pozostał w swym fotelu i wyglądał na człowieka, który właśnie otrzymał świat na własność i któremu na dodatek pozwolono zachować również własną duszę.

Dzięki Bogu, westchnęła w duchu Agatha Chandler.

Ten wnuk był teraz całym jej życiem, toteż martwiło ją, kiedy przez długie dni patrzyła na jego twarz, smutną jak twarz człowieka, któremu umarła cała rodzina.

Kate natychmiast podbiegła, żeby powitać księżnę, a ta objęła ją i uściskała serdecznie.

- Niech no ci się przyjrzę - powiedziała, patrząc na nią z prawdziwą czułością.

Pokiwiała głową nad bliznami i zadrapaniami, na widok wielokolorowego sińca tylko klasnęła językiem.

- Jak rozumiem, razem z Blaiseem udało się wam zebrać wszystkie guzy i siniaki, jakie akurat były do rozdania, prawda?

- zapytała kpiąco.

Potem zwróciła się do Minnie: - Idź i zobacz, czy ten szampan, który zamówiłam, jest już gotowy do podania.

No i te specjalne dania, które szef kuchni miał tu nam przysłać na kolację.

- Bierzesz nas pod swe skrzydła jak kurczątko - zażartował Blaise.

- Biorę, bo podziobane i z powyrywanyimi piórami - odpaliła natychmiast Agatha.

Była tak uszczęśliwiona, że jej uśmiech przyćmiewał nawet blask wszystkich razem wziętych diamentów i szmaragdów, które miała na sobie tego wieczoru.

- Ach, księżno, jak to dobrze móc znów panią widzieć!

- zawołała Kate z prawdziwym wzruszeniem.

- I nawzajem!

- brzmiała równie serdeczna odpowiedź.

- No a teraz chciałabym coś usłyszeć o tej twojej słynnej aukcji.

Zdaje się, że to jedyny temat, na jaki ludzie w tej okolicy potrafią teraz rozmawiać.

- Ale Blaise mi mówił, że oboje się tam wybieracie.

- Oczywiście, że się wybieramy.
Chcę zobaczyć, jak utrzesz jej nosa.

Bo utrzesz jej, prawda?

- Przejadę się po niej jak brygada szarżujących czołgów - odpowiedziała Kate z błyskiem w oku.

Potem jednak spoważniała i szczegółowo opowiedziała o wszystkim, o czym księżna chciała wiedzieć.

Przez cały czas miała świadomość, że Blaise patrzy na nią, tak więc od czasu do czasu z uśmiechem obracała się ku niemu, a on trzymał w swej wielkiej dłoni jej drobną dłoń i podnosił ją do ust, całując kolejno wszystkie palce.

Kiedy patrzyli na siebie, było między nimi tyle ciepła, że nawet rozrzedzona krew babki Agathy mogła się od tego ogrzać.

Toteż księżna powtarzała sobie w duchu: Tym razem to jest właściwa kobieta.

Tym razem wszystko się dzieje dlatego, że on tego chce, a nie dlatego, że musi.

Podobnie czuła się też Kate, która - wygrzewając się w ciepłe sympatii i miłości tych dwojga ludzi, znaczących dla niej, obok Rolla, najwięcej na świecie - zdała sobie sprawę, że otwiera się bez reszty i rozkwita niczym wiosenny pąk w pełnym słońcu.

Posmutniała tylko na moment, kiedy księżna zapytała ją właśnie o Rolla.

- Nie widziałam go już od tygodnia - przyznała z poczuciem winy.

- No cóż, na razie nie możesz wiele więcej zrobić, możesz tylko przyjść i patrzeć.

A w dodatku on nawet nie wie, czy jesteś przy nim, czy nie.

- Mimo wszystko to nie jest w porządku - powiedziała Kate mocno poruszona.

- Muszę go odwiedzić.

Pojadę do tego szpitala jutro, kiedy po pracy będę wracać do Londynu.

- Kiedy odzyska przytomność, będziesz mu miała wiele do opowiedzenia.

Kate roześmiała się.

- Ja to jeszcze nic, ale kiedy pomyślę, co on wtedy powie!

- Miejmy nadzieję...

- zaczął Blaise takim tonem, że Kate szybko spojrzała na niego.

- Tak, na pewno nie będą to tylko miłe rozmowy.

Rollo potrafi być...

trudny.

- Mój chłopiec też to potrafi, jeżeli są po temu powody - powiedziała księżna Agatha, przechodząc do porządku nad sprawą Rolla.

- Ale też nikt nie potrafi tak rozwiązywać kłopotów, jak on umie to robić...

jeśli już się do tego zabierze.

W tym momencie Kate - znów pod wpływem nagłego impulsu - całkowicie sprzeniewierzyła się danemu sobie wcześniej przyrzeczeniu.

- A my...

mamy kłopoty - powiedziała.

Blaise natychmiast rozpoznał tę szczególną intonację, jaka była w jej głosie.

- No to kawę na ławę!

- powiedział.

Kate zrobiła głęboki wdech, a następnie opowiedziała o telefonie Bennyego Fonga, o dostarczeniu taśmy i o tym, co na niej było.

Twarz Blaisea przypominała znów kamienną maskę, ale Kate wiedziała już, że pod tym pozornym spokojem kryje się burza uczuć, tłumionych potężnym wysiłkiem woli.

Natomiast księżna Agatha była tak wstrząśnięta, że w ogóle zamilkła i tylko potrząsała głową z regularnością metronomu.

Kiedy Kate opowiadała całą tę bulwersującą historię, Blaise miał nieodparte uczucie niemal fizycznej obecności żony gdzieś w pobliżu.

Ten nagły chłód, który znów przejął go dreszczem, ta prawie dotykalna bliskość czegoś, co było wcielonym złem.

Konkretne dowody w postaci taśmy i relacji Kate tylko potwierdziły to, co już wcześniej instynktownie przeczuwał.

Ale teraz wreszcie mógł się od tego uwolnić.

Od paru dni czuł się jak nowo narodzony, wreszcie wyzwolony ze stadium poczwarki, z tego kokonu, którym go dotąd oplatała Dominique.

Wreszcie mógł oddychać czystym powietrzem, a nie tylko tą narkotyczną atmosferą, którą niosła za sobą jego żona.

Z nieprawdopodobnie spotęgowaną wrażliwością mógł odbierać różne nowe bodźce, zupełnie odmienne od tych, które biegły od Dominique.

A to wszystko zawdzięczał Kate.

To jej wpływ okazał się tak potężny.

Ale tak dojmujące potwierdzenie tego, co przecież przeczuwał w swej żonie już od dawna, i tak było czymś przypominającym uderzenie pięścią między oczy.

Podejrzewać ją, że miała coś wspólnego z tym pożarem, to jednak zupełnie co innego, niż dowiedzieć się o tym już bez najmniejszych wątpliwości.

Wciąż miał ochotę uciec przed tą świadomością.

Blaise był tak pogrążony w swych rozmyślaniach, że dopiero lekkie dotknięcie dłoni Kate sprawiło, że nagle wzdygnął się, jak gdyby się obudził z jakiegoś złego snu.

Kate patrzyła na niego z poczuciem winy.

- Nie powinnam była ci tego mówić.

Ale to ten mój charakter...

niemądre działanie pod wpływem impulsów.

- Nie, Kate, postąpiłaś słusznie.

Prawdę mówiąc, sam czułem, że musiało się tu dzieć coś takiego.

- Blaise zawahał się na chwilę, jakby szukając właściwych słów.

- Wystarczyło popatrzeć, jak ona wtedy wyglądała - tak bezwstydnie z siebie zadowolona, wręcz ociekająca satysfakcją, która mogła wynikać tylko z tego, że osiągnęła coś, na czym jej bardzo zależało.

Oczywiście nie zdradziła się w tym, co mówiła, starannie dobierała słowa, intonacje i westchnienia na okrasę, ale i tak czułem, że pod tym kryje się coś zupełnie innego.

- Blaise jest dokładnie taki sam jak mój ojciec - włączyła się księżna Agatha, patrząc na wnuka z jawną satysfakcją.

- Mój ojciec też nie dawał się nabierać na takie sposoby.

To jest to nasze dziedzictwo indiańskiej krwi - dodała, patrząc na Kate tak, jakby to już tłumaczyło wszystko.

- Rozumiem - powiedziała Kate.

Nie rozumiała do końca, a mimo to poczuła jakąś ulgę.

- Ale tak czy inaczej ja muszę ją teraz pokonać, i to na oczach wszystkich.

A kiedy już udowodnię nie tylko jej, ale i w ogóle wszystkim, że jestem tu zdecydowanie od niej lepsza - wtedy zaszantażuję ją tą taśmą i zmuszę do uczciwej walki przynajmniej do końca naszego roku rozliczeniowego.

Księżna wyduła wargi z jawnym powątpiewaniem, a Blaise popatrzył na Kate i spróbował delikatnie wytłumaczyć jej, co o tym myśli.

- Kochanie, ona po prostu ci nie uwierzy, kiedy powiesz, że to ty sama zorganizowałaś u niej podsłuch.

Pomyśl tylko: ani ty nie znasz Hongkongu, ani ciebie nikt tam nie zna.

Więc jakie mogłabyś mieć możliwości, żeby nagle zainstalować coś takiego tam, w jej mieszkaniu?

A przede wszystkim - po co miałabyś to robić?

I jak potem miałabyś zabrać stamtąd tę taśmę, nie zauważona przez służbę i ochronę?

- Blaise potrząsnął głową.

- Nie, ona natychmiast domyśliłaby się, że ktoś ci pomógł, i że tym kimś mogłem być tylko ja.

- Jego głos był przepojony miłością, ale słowa były stanowcze, choć pełne gorczy i żalu.

- Bez trudu zgadnie, że ty czegoś takiego nie mogłabyś zrobić, bo po prostu tego nie potrafisz.

Natomiast o mnie wie bardzo dobrze, że ja to potrafię doskonale.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała Kate.

- A dlaczego miałabyś tak myśleć?

- spytała Agatha.

- Blaise ma rację, to byłoby zupełnie nie w twoim stylu.

- Ale Kate ma rację w tym, co mówi o konieczności pokonania Dominique właśnie poprzez sukces tej aukcji - powiedział w zamyśleniu Blaise.

- Wtedy Dominique nie pozostanie nic innego, jak tylko podjąć rękawicę i walczyć do upadłego, ale uczciwie.

Zwłaszcza jeżeli to ja będę trzymać w garści tę taśmę.

- Albo ja - powiedziała księżna i klasnęła dłonią w poręcz fotela.

- Tak, to będzie najlepsze rozwiązanie.

Dominique doskonale wie, że jej nie znoszę i że zrobiłabym wszystko, żeby podejrzeć jej sprawki.

- Oczy starej kobiety skrzyły się satysfakcją.

- A z pewnością zastanowi się dwa razy, zanim spróbuje zwrócić się przeciwko mnie.

- Ale ja właśnie tego przede wszystkim chciałabym uniknąć - zaprotestowała Kate.

- Nie chcę was w to wciągać.

W końcu ona prowadzi wojnę ze mną, nie z wami.

- A my włączamy się do tej wojny - ucięła Agatha.
- Mój chłopiec włącza się ze względu na ciebie, a ja - ze względu na niego.
Jeżeli Dominique dowie się, że to ja kazałam założyć u niej podsłuch, nie wzbudzi to w niej żadnych wątpliwości, ponieważ doskonale wie, że zawsze miałam do niej akurat tyle zaufania, ile miałabym do tarantuli albo grzechotnika.
I nie trzeba jej będzie przekonywać, że mówię serio, jeśli zagrozę ujawnieniem taśmy.
Mam środki i wpływy u ludzi, i więcej pieniędzy, niż ona potrafiłaby choćby zliczyć.
A więc mam tę jedyną rzecz, z którą ona zawsze się liczyła - władzę.
A poza tym Dominique i tak już wie, że jestem po twojej stronie.
Choćby dlatego, że posłuchałam twojej rady na temat muzeum.
A i o tym, że to moja korporacja pomogła ci w Hongkongu, też przecież nie może nie wiedzieć.
Wie też, że z natury skłonna jestem do podejrzliwości.
Tak, z pewnością to moje rozwiązanie będzie najskuteczniejsze - zakończyła.
- A ty, dziewczyno, powinnaś robić to, w czym jesteś najlepsza.
Poprowadź tę swoją aukcję i zarób na niej tyle, żebyś w ogólnym rozliczeniu wyszła zdecydowanie na czoło.
Ja zajmę się resztą, a wtedy ona zostawi ciebie - a także mojego chłopca - w spokoju.
- Jesteś tego pewna?
- zapytał ironicznie Blaise.
Agatha skrzywiła się.
- No cóż, tak do końca to chyba nie.
Dominique ciebie raczej nie zostawi, jak ją znam.
Ale ponieważ wie, do czego możesz być zdolny, więc przynajmniej będzie bardziej ostrożna.
- Mnie podoba się ten pomysł - powiedział Blaise.
- Jak to słusznie zauważyłaś, jedyną rzeczą, z którą moja żona się liczy - i wobec której czuje respekt - jest władza.
Ona rzeczywiście zastanowi się dwa razy, zanim spróbuje z tobą zacząć.
- O tak!
- Agatha roześmiała się ze złośliwą satysfakcją.
- Będzie ostrożna jak tancerka, która na piętach ma tańczyć między pinezkami...
- Jej głośny śmiech przypominał rzenie konia.
- No dobrze.
- Odwróciła się do Kate.
- Już wiemy, że ta twoja zbliżająca się aukcja ma cię wysforować przed Dominique.
Ale chciałabym wiedzieć konkretnie - o ile?
- Mogę ci pokazać ostatnie wyliczenia - powiedział Blaise.
- A w ogóle moglibyśmy je ogłosić, albo jeszcze lepiej - sprokurować odpowiedni przeciek - zasugerowała Kate.
- Taka wiadomość, którą się szepnie tu i ówdzie, podając ją poufnie jako najnowszą plotkę - rozprzestrzeni się błyskawicznie.
- I trafi do gazet i innych mass mediów - dodała Agatha z chytrym uśmieszkiem.

- Uwzględniając, że również tu kilka gazet i tygodników należy do mnie.
A i w pozostałych jest paru liczących się dziennikarzy, którzy są mi coś winni...

- Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej złośliwy.

- Pobjemy ją jej własnymi sposobami.

Okazało się jednak, że ostatnie posunięcie Dominique może poważnie zagrozić pozycji Kate w tym wyścigu.

Kate powróciła do Londynu w przyjemnym poczuciu, że przynajmniej tym razem skłonność do działania pod wpływem impulsu wyszła jej na dobre.

Wraz z Blaiseem i księżną omówili taktykę na najbliższy okres.

Potem Kate zabrała ich oboje do Courtland Park, żeby im pokazać, jak postępują prace przygotowawcze.

Blaise przedstawił najnowsze dane, dotyczące obrotów i zysków; wynikało z nich, że na razie konkurentki idą niemal łeb w łeb.

Jednakże nawet z prowizorycznych szacunków wynikało również i to, że jeśli na aukcji Courtland Park zastrzeżone ceny zostaną osiągnięte - a Kate była pewna, że zostaną - to ona powinna wyprzedzić Dominique o co najmniej dziesięć milionów funtów.

A to oznacza - powiedziała Kate - że Dominique musiałaby w ciągu pozostałych pięciu miesięcy wyjść z czymś naprawdę niezwykłym, co raczej nie będzie łatwe.

Kate była więc w doskonałym nastroju aż do chwili, gdy - na trzy dni przed planowanym rozpoczęciem aukcji - pojawił się u niej zatroskany Nigel Marsh i powiedział: - Myślę, że powinna pani o tym wiedzieć, Kate.

Kraży teraz taka obrzydliwa i głupia plotka, i to nie tylko u nas w firmie, ale także na zewnątrz, w całym naszym światku sprzedawców dzieł sztuki.

- Plotka - o czym?

- O tym pożarze w Courtland Park...

że pani sama to zaplanowała i zaaranżowała.

Że wcześniej zaangażowała pani tak wielu ludzi, żeby móc łatwo uratować prawie wszystkie cenne rzeczy i że ogień jakimś dziwnym przypadkiem wybuchł na tyłach budynku, co pozwoliło na skuteczne zorganizowanie "cudownego" ocalenia arcydzieł.

Kate pobladła, uśmiech w jednej chwili znikł z jej twarzy.

- Co takiego?

- wykrzyknęła.

- Niestety, takie plotki ktoś rozpowszechnił.

Nie muszę mówić, jak fatalnie może się to odbić na wynikach całej aukcji.

- Więc trzeba natychmiast to przerwać.

- Już rozmawiałem z Jane Bowman - w naszej specjalności jej głos w prasie liczy się szczególnie.

Powiedziałem jej, że ta plotka jest całkowicie pozbawiona podstaw, a jeżeli prasa zechce ją powtarzać, wystąpimy na drogę sądową.

Jane obiecała, że napisze o tym w swoim stałym felietonie.

Ale to nie wystarczy.

Musimy z całą siłą, na jaką nas stać, doprowadzić do świadomości ludzi, że pani nie ma nic wspólnego z tym ogniem, powinniśmy też - jeśli to tylko będzie możliwe -ogłosić prawdziwe przyczyny tego, co się stało.

Kate sięgnęła po telefon.

- A więc już pani słyszała - stwierdził Nicholas Chevely natychmiast po podniesieniu słuchawki.

- Dopiero co mi powiedziano.

- To jest kompletny nonsens i ja oczywiście powtarzam to wszystkim, którzy...

- Nie warto tracić na to czasu.

Chcę, żeby inspektorzy prowadzący śledztwo na zlecenie firm ubezpieczeniowych ujawnili jego rezultaty i przedstawili dowody i wnioski.

Chcę, żeby te rezultaty zostały ogłoszone publicznie, we wszystkich mass mediach.

Mogę to sama załatwić, jeśli tylko dostarczy mi pan ich sprawozdanie.

- Wiem o tym, moja droga - to była pierwsza rzecz, o której natychmiast pomyślałem.

Ale oni wciąż odpowiadają, że jeszcze nie zakończyli postępowania, że na przekopanie się przez to rumowisko potrzeba czasu, zwłaszcza jeśli chce się zbadać wszystko dostatecznie dokładnie, by uzyskać szczegółową i wiarygodną ekspertyzę.

Właśnie teraz znów tam pojechali ze sprzętem.

- Siedzą tam już od tylu dni!

W jej głosie było tyle udręki i rozpaczliwego ponaglenia, że Nicholas szybko dodał: - Dobrze, wobec tego pojedę do nich jeszcze raz.

- Bardzo proszę, Nicholas, bo to dla mnie naprawdę sprawa życia lub śmierci.

Te pogłoski należy uciąć natychmiast, albo też będzie to koniec wszystkiego dla mnie, a zresztą i dla pana również, bo to przecież pan ubezpieczył dom.

- Już do nich jadę.

- Bardzo dobrze.

- Kate odłożyła słuchawkę i obróciła się do Nigela.

- Chcę bezzwłocznie zorganizować konferencję prasową.

Mamy specjalny dział do kontaktów z mass mediami, więc co oni u diabła robią?

Dlaczego jeszcze nie podjęli żadnych kroków?

- Zapewne - podobnie jak wszyscy - uważali, że ta plotka sama wygaśnie.

Tymczasem okazuje się, że z godziny na godzinę staje się coraz głośniejsza.

- A my doskonale wiemy, dlaczego - nieprawdaż?

Wiemy, komu to zawdzięczamy.

Ach, ta przeklęta suka!

- Idę natychmiast porozmawiać z Billem Saundersem - oznajmił pośpiesznie Nigel.

Nigdy dotąd nie widział Kate aż tak wścieklej.

Jej oczy zdawały się płonąć takim samym ogniem jak jej włosy.

Oświadczenie Kate jeszcze tego samego dnia ukazało się w wieczornym wydaniu "The Standard".

Wielkie podtytuły głosiły: Bohaterka z Courtland Park Zaprzecza Pogłoskom.

" Wniosem Sprawę Do Sądu" - OZNAJMIA DZIEDZICZKA FORTUNY DESPARDÓW.

Oświadczenie stwierdzało, że nie ma nawet cienia prawdy w rozpowszechnianych ostatnio pogłoskach, jakoby pożar, który zniszczył dom w Courtland Park i z którego udało się uratować tak wiele bezcennych dzieł sztuki - został podłożony specjalnie, celem zapewnienia przygotowywanej tam aukcji jak największej reklamy.

Ta sprawa była również jednym z tematów w popołudniowych wiadomościach telewizyjnych.

Nakręcono dłuższe ujęcie, pokazujące Kate za biurkiem w jej gabinecie.

Kate mówiła wprost do kamery, rozemocjonowana i gniewna.

Widać było, jak ją ta plotka dotknęła i oburzyła jednocześnie.

- Prowadzę wielki dom aukcyjny i muszę dbać tak o reputację firmy, jak i o własne dobre imię.

Czy mogłabym być na tyle głupia, żeby dla tej jednej aukcji poświęcić szansę wszystkich innych, które mam zamiar prowadzić w przyszłości?

Czy mogłabym być na tyle nikczemna, żeby narażać ludzkie życie dla zyskania dodatkowej reklamy?

Kate ujawniła następnie, że sama zamierzała kupić Courtland Park.

- Złożyłam zarządowi powierniczemu odpowiednią ofertę, zamierzając w przyszłości tam właśnie organizować podobne aukcje.

Zdażyłam już wydać mnóstwo pieniędzy na odnowienie wnętrza.

Nikt o zdrowych zmysłach nie płaciłby za remont domu tylko po to, żeby go następnie podpalić.

W hotelu "Pod Różową Strzechą" Agatha Chandler patrzyła na ekran i raz po raz potakująco kiwała głową.

- Dobrze, dziewczyno!

Powiedz im!

- pokrzykiwała.

Zaraz po tym Blaise zadzwonił do Kate.

- Czy to było przekonujące, jak myślisz?

- pytała z niepokojem.

- Uważam, że tak.

Przeciwstawiłaś się temu bardzo dobrze.

Bardzo rozsądne było też to, że nikogo nie oskarżyłaś.

To pozostaw mnie.

Tak więc następnego ranka w gazetach znalazło się oświadczenie wydane przez pana Blaisea Chandlera, również poszkodowanego podczas pożaru w Courtland Park.

To oświadczenie już bez ogródek przypisywało rozprowadzanie plotek "pewnym osobom, które odniosłyby znaczne korzyści, gdyby aukcja w Courtland Park nie mogła dojść do skutku".

Jednocześnie Blaise Chandler zdecydowanie odrzucił sugestie, jakoby w przygotowanie wybuchu i pożaru mogła być zamieszana panna Kate Despard bądź on sam.

Dominique - jak to zresztą Blaise przewidywał - pojawiła się w hotelu niemal natychmiast, krańcowo rozwścieczona.

- Jak śmiałaś mi coś takiego zrobić?

- pieniała się z gniewu.
- Nikogo nie wymieniłem z nazwiska.
- Nie musiałeś.

I tak wszyscy wiedzą, kogo miałaś na myśli.

- A ty nie musiałaś rozpuszczać takich nikczemnych plotek.
- Nie masz żadnych dowodów, że to ja.
- Nie potrzebuję.

Ślady twoich pazurków rozpoznałbym nawet z zamkniętymi oczami.

- Ach, rozumiem.

W ten sposób złożyłaś zupełnie nową deklarację lojalności.

Nie zaprzeczasz?

- Powiem tylko tyle, że wszelkie moje deklaracje tego typu w stosunku do ciebie możesz od dziś uważać za niebyłe.

Dominique wciągnęła powietrze z sykiem, którego nie powstydziałaby się niejedna żmija.

- Aha!

zatem ta sławetna bezstronność okazuje się całkowitą fikcją.

Falszem i oszustwem!

- Jedno muszę przyznać, że rzeczywiście mało kto wie tyle o oszustwie i fałszu, ile wiesz o tym ty, podobnie jak o dwulicowości i robieniu interesów na dwie strony.

W pełnym wzgardy spojrzeniu jego czarnych niczym smoła oczu była taka siła, że Dominique nagle poczuła, iż zderza się ze ścianą, której już nigdy nie potrafi przebić.

Kiedy to sobie uświadomiła, poczuła się naprawdę strasznie.

- A tymczasem Blaise mówił dalej: - I wszystkim tym - fałszem, oszustwem, dwulicowością - już od początku zamierzałaś się posługiwać w walce z Kate Despard.

A teraz posłuchaj: wiem, że równie kłamliwie i oszukańczo postępowałaś i w stosunku do mnie.

Ty po prostu nie umiesz walczyć uczciwie, to ponad twoje siły, prawda?

Bo skoro jesteś tak świetna, jak sam Pan Bóg wszechmogący, to dlaczego by nie pograć nieuczciwie i nikczemnie?

Przecież dopiero to daje ci te dreszczyki, których tak potrzebujesz.

No więc teraz ja cię ostrzegam - spróbuj jeszcze raz wykręcić podobny numer Kate Despard, a będziesz jej zazdrościć, że wyszła z tego pożaru tylko z paroma siniakami.

- Nie odważysz się - powiedziała Dominique.

- No to spróbuj!

Dominique nagle poczuła lęk.

Zupełnie niespodziewanie okazywało się, że utraciła wszelką władzę nad swym mężem.

To obezwładniające go dotąd zauroczenie, które zawsze mogła wyczytać w jego oczach, nagle gdzieś przepadło, a zamiast tego pojawiła się...

nienawiść?

I ta ledwie zawoalowana groźba.

Niebezpieczeństwo było tak wyraźne, że prawie dotykalne.

Jeszcze niedawno oddałby duszę za jeden jej uśmiech, a teraz...

Już wiedziała, że nawet nie spojrzy w jej stronę.

W głowie miała zamęt, paniczną gonitwę myśli.

Za bardzo liczyła na to jego zauroczenie i zniewolenie, za bardzo zaufała swemu uwodzicielskiemu czarowi, który dotąd skłaniał go do zapominania o wszelkich wątpliwościach czy podejrzeniach.

Zagrała bardzo wysoko - i przegrała.

Wciąż jednak nie brakło jej odwagi.

- Nie wtrącaj się do moich spraw i interesów - syknęła, już znów agresywna, rozwścieczona i gotowa do walki.

- Sama wiesz, że nigdy się do nich nie wtrącam.

W jego głosie i spojrzeniu była już jawna pogarda.

Dotychczas Blaise mógł co najwyżej pogardzać sobą, ale nigdy nią.

Teraz i to najwyraźniej się zmieniło.

I to okazało się tą ostatnią kroplą, która przepełniła czarę.

Dominique wybuchła i zwymyślała go od ostatnich, obrzucając go ryszczokowymi francuskimi przekleństwami i wszystkimi obscenicznymi obelgami, jakie tylko potrafiła sobie przypomnieć.

Blaise wysłuchał tego spokojnie, ukryty za nieprzeniknioną maską całkowitej obojętności, która w rzeczywistości świadczyła tylko o tym, jak bardzo umie panować nad swoimi uczuciami.

Bowiem tak naprawdę najchętniej chwyciłby obiema rękami tę szczupłą białą szyję i następnie zacisnął na niej palce...

Chciałby rzucić jej w twarz to wszystko, co o niej myślał, wypomnieć każde nikczemne działanie, każdą podłą intrygę, każde kłamstwo i oszustwo, głośno ją oskarżyć i wręcz nawymyślać.

Skończyło się jednak na tym, że jedynie stał naprzeciw niej w zupełnym milczeniu i patrzył na nią takim wzrokiem, że Dominique w końcu nie wytrzymała.

Chwyciła pierwszy cięższy przedmiot, który się jej nawinął pod rękę - hotelowy dzbanek z wystygłą już kawą - i rzuciła nim w swego męża.

Ten uchylił się na czas i porcelana roztrzaskała się o ścianę tuż nad toaletką.

Dominique z jeszcze większym hukiem trzasnęła drzwiami i tyle ją widziano w hotelu.

Następnego dnia ogłoszono wyniki dochodzenia, przeprowadzonego przez inspektorów firmy ubezpieczeniowej.

Opublikowany raport stwierdzał, że jedyną przyczyną pożaru w Courtland Park było wywołane korozją pęknięcie głównej rury doprowadzającej gaz do kotła podgrzewającego wodę w zbiorniku.

Ulatniający się gaz spowodował w końcu eksplozję.

Rura była bardzo stara - musiała zostać zainstalowana jeszcze przed wojną- i w znacznym stopniu przeżarta przez korozję.

Gaz zaczął się ulatniać przy włączonym kotle, co prędzej czy później musiało skończyć się wybuchem.

Kate zadzwoniła do Nicholasa Chevely i podziękowała mu za jego starania.

- To nie mnie powinna pani dziękować - powiedział Nicholas.

- To wszystko załatwił Blaise Chandler.

Nawiasem mówiąc, jego korporacja jest właścicielem kontrolnego pakietu akcji tej firmy ubezpieczeniowej.

Tak więc Blaise powiedział im, że czas jest tu sprawą decydującą, dodając jeszcze coś w tym sensie, że jeśli się nie pośpieszą, to on sam przyjedzie i osobiście ich pogoni.

Nic więc dziwnego, że raport był gotowy jeszcze tego samego dnia wieczorem.

Ci Amerykanie nie lubią marnować czasu.

Dla pewności Chandler posłał tam również własnego detektywa -takiego żywcem z czarnych kryminalów Raymonda Chandlera - podobno najlepszego specjalistę od wykrywania śladów podpaień.

Facet twardy jak bawola skóra, ostrzelany i znający wszelkie sztuczki podpalaczy.

Wszystko poszło błyskawicznie.

Osobiście podejrzewam, że nasze święte przepisy, dotyczące trybu przeprowadzania inspekcji po wybuchu instalacji gazowych zostały tym razem cokolwiek naciągnięte i nadwerżone, ale raport został ogłoszony i teraz pani dobre imię, droga Kate, znów może lśnić jak poranne słońce.

Kate uśmiechnęła się, wychwytyjąc nutki nieco zbyt kłującej ironii kryjącej się pod gładkimi słowami Nicholasa.

Już dawniej podejrzewała, że jest zazdrosny o Blaisea.

Teraz już była tego pewna.

- Ma pani teraz przyjaciół bardzo wysoko - kontynuował Nicholas z tą samą subtelną dwuznacznością.

- Ludzie niepotrzebnie zastanawiają się, na czym polega władza absolutna.

Ja tam zawsze wiedziałem, że pieniądze potrafią przemawiać do ludzi.

A pieniądze Blaisea Chandlera najwyraźniej mówią wszystkimi językami.

Mnie obchodzi tylko to, żebyśmy ze sobą znaleźli wspólny język, pomyślała Kate.

- Tak więc - kończył Nicholas - może pani spokojnie jechać tam w poniedziałek i pokazać, na co panią stać.

- Pan też tam będzie, mam nadzieję?

- Szóstka koni nie wystarczyłaby, żeby mnie od tego odciągnąć.

I nie mam wątpliwości, że potrzebne będą posiłki policji drogowej, by sterować ruchem tłumów, które tam przyjdą.

Nicholas Chevely miał tu rację.

Kate spędziła noc "Pod Różową Strzechą" i kiedy o dziewiątej rano przyjechała do Courtland Park, okazało się, że parking już jest pełny, a przed bramą stoją tysiące ludzi w nadziei dostania się do środka.

Dokładnie o dziesiątej zajęła miejsce za swym pulpitem prowadzącej, witana okrzykami i hucznymi brawami.

Naprzeciwko niej, w pierwszym rzędzie - zarezerwowanym dla gości znanych z tego, że na aukcjach wydają najwięcej - siedział Blaise wraz z księżną Agathą.

Ta ostatnia pozostała w swym fotelu na kółkach, ustawionym na miejscu strapontenu.

Kate uśmiechnęła się do nich, na co Blaise odpowiedział spojrzeniem, które na moment zamgliło jej oczy.

Księżna pozdrowiła ją gestem, zachęcającym do walki i zwycięstwa - złączone pięści podniosła do góry i potrząsnęła nimi na modłę witających publiczność bokserów.

Potem rozpoczęła się sprzedaż.

Obecni na niej ludzie mówili później, że jeszcze nigdy w życiu nie zdarzało się im widzieć czegoś podobnego.

Bogactwo tej oferty, liczba arcydzieł i ich różnorodność - wszystko to oszołamiało i czasami wręcz utrudniało podjęcie rozsądnej decyzji.

Już same katalogi wywołały ogromne podniecenie wśród potencjalnych nabywców, a trzy dni wstępnych oględzin jeszcze zwiększyły tę gorączkę.

Licytacja była za każdym razem zaciekle, a jednocześnie przebiegała w szaleńczym tempie - średnio sprzedawano jeden przedmiot co trzydzieści sekund, i to z uwzględnieniem telefonicznych zgłoszeń z całego świata.

Publiczność patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczami, raz po raz dawały się słyszeć westchnienia podziwu, brawa i okrzyki.

Ostatecznie zamiast znacznie mniej pojemnej ogrodowej markizy Kate zdecydowała się na rozstawienie na trawniku olbrzymiego namiotu typu cyrkowego, w którym mieściło się ponad tysiąc miejsc siedzących.

Wszystkie one były oczywiście zajęte już na wiele minut przed rozpoczęciem sprzedaży.

Wnętrze namiotu zdobiły kunsztowne draperie z bladoróżowego jedwabiu, który - była w tym pewna ironia losu - Kate udało się kupić na wyprzedaży po jakiejś spalonej fabryce.

Pulpit prowadzącej ustawiony był na środku okrągłego podwyższenia.

W różnych miejscach widowni rozstawiono wielkie monitory podłączone do kamer wewnętrznej telewizji, które co pewien czas pokazywały zbliżenia kolejnych sprzedawanych przedmiotów - dzięki czemu nawet ludzie siedzący daleko mieli szansę widzieć wszystko wystarczająco dobrze.

Zgłaszane przez nich oferty wyłapywali rozstawieni na widowni asystenci Kate, a było ich po dwoje niemal przy każdym rzędzie, tak by żadna oferta nie mogła pozostać nie zauważona.

Kate musiała być przez cały czas w pełnej gotowości, wszystko widzieć i nie tracić koncentracji nawet na moment.

Do bluzki miała przypięty zminiaturyzowany mikrofon, tak że jej głos z łatwością docierał nawet do najwyższych rzędów.

Na widowni od początku wyczuwało się atmosferę napięcia i gorączkowego oczekiwania, a kiedy kolejne przedmioty osiągały niebotyczne, niespotykane dotąd ceny, w powietrzu zdawały się przeskakiwać elektryczne iskry.

Pierwszego dnia sprzedawane były meble, z których każdy z osobna i wszystkie razem dowodziły francuskiego geniuszu w tej dziedzinie.

Uzyskiwane sumy w kolejnych sprzedażach znacznie przekraczały zastrzeżone ceny minimalne, a kilka najcenniejszych mebli sprzedano nawet za cenę powyżej miliona funtów.

Tak więc tego dnia kilkakrotnie pobito poprzedni rekord, kiedy to Getty Museum zapłaciło osiemset dwadzieścia tysięcy funtów za intarsjowany narożny kredens, sygnowany przez Dubois.

Kiedy wreszcie zrobiono przerwę na lunch - ze znacznym opóźnieniem, ponieważ sprzedawano niezwykle dużo rzeczy - goście mogli skorzystać z orzeźwiających napojów i przekąsek, oferowanych pod wielką ogrodową markizą.

Był tam też znakomicie zaopatrzone bufet, w którym potrawy rozstawiono na pięknie przybranych roboczych stołach.

Przekąski i napoje można było zabierać ze sobą, by zjeść je - na przykład - na trawniku. Od rana świeciło piękne słońce, ruiny spalonego domu stanowiły dodatkowe, pełne dramatyzmu tło.

Całość uzupełniała miejscowa orkiestra, która stylowo grała melodie Gilberta i Sullivana, podczas gdy goście spacerowali po alejkach lub spożywali lunch.

Jak to ujął pewien starszy dżentelmen - to jednak było coś zupełnie innego niż sprzedaż w zamkniętych salach na Arlington Street.

Podobnie oceniła to Agatha, która stwierdziła, że ta aukcja znacznie bardziej przypomina sympatyczne garden-party niż zwyczajną sprzedaż.

Drugiego dnia sprzedawano porcelanę i szkło, trzeciego - srebra i bazy.

Czwartego dnia rano dywany i gobeliny, a po południu biżuterię i przedmioty ze złota.

Wreszcie ostatniego dnia przyszła kolej na obrazy i rysunki.

Tego dnia Kate czuła się już naprawdę bardzo zmęczona.

W namiocie było gorąco ze względu na stale włączone reflektory, niezbędne dla kamer, jako że każdy kolejny dzień sprzedaży był prezentowany w wieczornym wydaniu telewizyjnych wiadomości.

Własne materiały kręcili również przedstawiciele wielu zagranicznych sieci telewizyjnych.

Zmęczenie Kate zwiększała jeszcze konieczność stałej koncentracji.

Kilka kolejnych dni w nieprzerwanym napięciu nie mogło pozostać bez konsekwencji.

Zwłaszcza Blaise był zatroskany wyglądem Kate i jej widocznym zmęczeniem.

Właśnie ona była jedną z tych nielicznych osób, które nie powinny tracić wagi.

Tymczasem Kate - jak zawsze, kiedy czuła się emocjonalnie napięta - prawie nic nie jadła i schudła w ciągu tych dni o kilka kilogramów.

Dzięki Bogu, że to już ostatni dzień, powtarzał w duchu Blaise.

Jeszcze kilka takich dni, a z pewnością musiałoby to doprowadzić do jakiegoś załamania.

Po tym wszystkim najbardziej będzie jej potrzebny spokój i odpoczynek, pomyślał i zaczął się zastanawiać, jakie miejsce mogłoby być do tego najlepsze.

Okazało się jednak, że Kate ma w sobie jeszcze jakieś ukryte rezerwy sił.

Dodatkowym, działającym jak ostroga bodźcem była chęć pobicia Dominique, pobicia na głowę, nieodwołalnie i ostatecznie.

Kiedy okazało się, że już przy pierwszym ze sprzedawanych szkiców - a był to rysunek Albrechta Diirera, przedstawiający starą kobietę - cena wywoławcza w ciągu niespełna trzydziestu sekund skoczyła z pięćdziesięciu tysięcy funtów aż do siedmiuset tysięcy - Kate wiedziała już, że wygrała.

Każdego dnia po zakończeniu sprzedaży siadała nad podręcznymi notatkami i robiła krótki bilans; mogła w ten sposób widzieć, jak z dnia na dzień zwiększa się jej przewaga.

Teraz, po sprzedaniu ledwie części obrazów, było już oczywiste, że osiągnęła cel. Autoportret Rembrandta poszedł za dwa i pół miliona funtów, Rubens za dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Obrazy mistrzów francuskich zostały sprzedane w sumie za trzy miliony sześćset tysięcy funtów, wśród nich obraz Moneta za pięćset dwadzieścia tysięcy, a jeden z portretów Cezanne'a za milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

Do południa zdążyła sprzedać już prawie połowę przygotowanych do sprzedaży obrazów i już wtedy wiedziała, że osiągnęła to, co było jej największą ambicją.

Na oczach tysięcy ludzi, w ucziwej walce pokonała swą konkurentkę.

Mimo pożaru - a może i dzięki niemu, pomyślała z mściwą satysfakcją - potrafiła tego dokonać.

Mimo nikczemnych plotek i prób szkalowania nie poddała się.

Wygrała.

Burza oklasków, witająca każde kolejne arcydzieło, ostra i niesłychanie żywa licytacja, niezwykła sceneria i ta niepowtarzalna atmosfera całości - wszystko to odtąd miało być nowym wzorcem, nową normą w świecie wielkich domów aukcyjnych.

Podobnie było ze sposobem zapisywania cen.

Kate była tak pewna osiągnięcia i przekroczenia zastrzeżonych cen minimalnych, że zapisywała je zwyczajnie cyframi, bez stosowanego zazwyczaj sekretne kodu.

W miarę jak na swym wykazie kolejno przekreślała te zastrzeżone ceny - by wpisać znacznie większe sumy, za które ta czy inna rzecz została sprzedana - jej pewna dotąd ręka zaczynała coraz bardziej drżeć z emocji.

Podeksytowani ludzie coraz częściej wstawali z krzeseł, i teraz już nie tylko normy temperatury, ale i normy hałasu zostały mocno przekroczone.

Kate przebiła się przez to coraz głośniejsze tło i śpiewnym głosem oznajmiła: - Mamy milion funtów, panie i panowie!

Kto da więcej?

I nagle zapadła cisza.

Licytowano jeden z wspaniałych renesansowych obrazów pędzla Dosso Dossiego, a do poziomu miliona funtów doprowadzili cenę dwaj ostro walczący ze sobą klienci.

Jednym z nich był znany nowojorski dealer, który z wyglądu przypominał Franklina D. Roosevelta, choć z barwy głosu raczej Groucho Marxa.

Drugim - pewien elegancki Francuz, o którym było wiadomo, że występuje w imieniu jakiegoś greckiego armatora-miliardera.

Kiedy okazało się, że odpowiedzią na jej pytanie było przeciągające się milczenie, Kate wyglądała na szczerze zdziwioną.

- Jak to?

Czyżby to już miało być wszystko?

- zapytała takim tonem, jak gdyby wprost nie mogła uwierzyć, że dwóch tej klasy znawców może pozwolić, żeby tak wyjątkowe dzieło zostało sprzedane za mizerną sumę zaledwie jednego miliona.

Zaskoczenie w jej głosie było tak szczerze, że widownia odpowiedziała śmiechem i burzliwymi oklaskami.

A kiedy ostatecznie Kate uderzyła młotkiem i obraz został sprzedany Francuzowi za milion dwieście tysięcy funtów, cała widownia podniosła się z miejsc, bijąc brawo i wznosząc entuzjastyczne okrzyki.

W rezultacie przekształciło się to w blisko pięciominutową owację na stojąco, w której wyrażano uznanie nie tylko dla Kate, ale i dla zaproponowanej przez nią zupełnie nowej formuły, nowego sposobu prezentacji i sprzedaży.

To dzięki temu udało się wytworzyć tak wspaniałą atmosferę i przez pięć dni utrzymać maksymalne zainteresowanie widowni.

Ta owacja była dowodem, że nowa formuła została zaaprobowana bez zastrzeżeń.

Kiedy po sprzedaniu ostatniego obrazu Kate wreszcie opuściła swój pulpit i zeszła na widownię, ludzie natychmiast otoczyli ją ze wszystkich stron.

Składano jej gratulacje i zasypywano niezliczonymi pytaniami.

Na szczęście Blaise pojawił się obok, by wystąpić w roli ruchomego bastionu i obronnego przedmurza.

Był wystarczająco wysoki i silny, by odgrodzić ją od tych najniecierpliwszych, którzy ulegając emocji napierali zbyt mocno, nie zwracając uwagi na niezwykle bladą jej twarz, na zmęczenie, widoczne nawet w uśmiechu i w lekkich skinieniach głowy, do których się teraz ograniczała; była zbyt wyczerpana, żeby mówić.

Blaise powoli ale skutecznie przeprowadził ją przez największy ścisk, osłaniając ją w razie potrzeby ramieniem i podtrzymując, gdy czasami potykała się; Kate sprawiała wrażenie, że już tylko wysiłkiem woli trzyma się na nogach.

Blaise zaprowadził ją do jej prowizorycznego gabinetu, urządzonego w czymś w rodzaju kontenera, w którym miała wydzielone pomieszczenie z biurkiem i telefonem.

Tam nalał jej spory kieliszek koniaku, a gdy Kate przecząco potrząsnęła głową, pomógł jej wstać i poprowadził do oczekującego samochodu, pozostawiając Nigelowi Marshowi i Johnowi Steadmanowi - a także reszcie pracowników firmy Desparda - przyjemny obowiązek odbierania gratulacji, pochwał i różnych wyrazów uznania.

Zanim dojechali do hotelu, Kate rozkleiła się ostatecznie i zaczęła mu wprost lecieć przez ręce.

Z niemałym trudem wprowadził ją na górę po schodach.

- Już kiedyś byliśmy w podobnej sytuacji - zauważył.

Jedyną odpowiedzią z jej strony był senny uśmiech.

W rezultacie - tak samo jak w Hongkongu - musiał ją rozebrać, ułożyć na łóżku i odpowiednio okryć.

Tyle tylko, że tym razem pocałował ją na dobranoc.

- Znakomita robota, mój skarbie!

- powiedział.

- Naprawdę znakomita!

Jej ciężkie rzęsy zatrzepotały.

- Czy ja jestem...

- Czym?

- Twoją miłością?

- Wielką i jedyną.

I mówię to jak najbardziej szczerze.

Kate westchnęła z głębokim zadowoleniem.

- Ja mówię dokładnie to samo...

- zdążyła jeszcze powiedzieć, a potem już ostatecznie zapadła w sen.

Relacje z aukcji w Courtland Park opublikowały gazety i tygodniki dosłownie na całym świecie.

Prasa brytyjska była pełna pochwał, poświęcając wydarzeniom kolejnych dni rozkładówki w dni robocze i całonocne artykuły w wydaniach niedzielnych, nie licząc obszernych i bogato ilustrowanych materiałów w kolorowych dodatkach.

Pochlebne sprawozdania ukazały się też w tygodnikach i miesięcznikach takich jak "Time", "Newsweek", "Apollo", "Harpers & Cmeen", "Connoisseur" i "Country Life".

Napisały o tym także "Economist" i "Spectator", a nawet "Private Eye" - nie wspominając już o prasie specjalistycznej.

W komentarzu "Art News" można było przeczytać: "Podczas tych pięciu burzliwych i pełnych zgiełku dni osiągnięto ceny, które z pewnością przynajmniej na jakiś czas staną się punktem odniesienia dla wszystkich podobnych sprzedaży".

W sumie w ciągu całej aukcji uzyskano dwadzieścia trzy miliony czterysta dziewięćdziesiąt tysięcy funtów, co było światowym rekordem dla tego typu aukcji.

Jednakże więcej jeszcze mówiono o sposobie prowadzenia, o atmosferze i stylu tego niezwykłego wydarzenia.

Okazywało się, że nieobecność w Courtland Park wręcz dyskwalifikowała towarzysko, nie wypadało się do tego przyznać.

- Trudno się temu dziwić, że to miało styl - mówili ci, którym udało się tam być.

- W końcu Kate Despard jest w pięćdziesięciu procentach Francuzką...

- No i co z tego?

A ta jej wredna siostra jest Francuzką stuprocentową - i co to jej pomogło?

- odpowiadali inni.

Tymczasem Dominique jakby zapadła się pod ziemię.

Od momentu gdy trzasnąwszy drzwiami wybiegła z pokoju Blaisea, nie było o niej żadnych wieści.

Można było odnieść wrażenie, że powszechny aplauz publiczności i pochwały w prasie i telewizji starty ją z powierzchni ziemi, a w każdym razie zapędziły w jakiś odległy kąt.

Następnego dnia po zakończeniu sprzedaży Kate wraz z Blaiseem i księżną wróciła do Londynu i jeszcze tego samego wieczoru wydała wielkie przyjęcie w "Claridgeu".

Szampań lał się strumieniami, a sama Kate - która tym razem wystąpiła w długiej złotej sukni, wspaniale harmonizującej z burzą płomiennorudych włosów - wyglądała wprost oszałamiająco i oczywiście stanowiła centrum zainteresowania.

Wśród gości była Charlotte, w pięknej kreacji z bladoniebieskiego szyfonu, a także szeroko uśmiechnięty Larry Cole.

Byli też praktycznie wszyscy z londyńskiego oddziału Desparda, poczynając od szefów, a kończąc na biegającym z pocztą gońcu.

Kate zaprosiła też ludzi, którzy pomogli jej podczas pożaru w Courtland Park: pracowników służb ochrony, strażaków, a nawet miejscowych policjantów.

Byli również przedstawiciele towarzystwa ubezpieczeniowego, którego decyzja o wypłacie odszkodowania uczyniła z Nicholasa Chevely człowieka prawdziwie szczęśliwego.

Jeśli się uwzględniło jeszcze i te jego pięć procent w rozliczeniu aukcji Courtland Park, trudno się było dziwić, że najzupełniej szczerze twierdził, iż w historii wielkich domów aukcyjnych Kate okazała się "prowadzącą stulecia".

Agatha Chandler jak zwykle wystąpiła w barbarzyńskim blasku niezliczonych klejnotów, tym razem w sukni z jedwabiu wyszywanego złotem - w stylu cokolwiek indiańskim.

Wybijała dłonią takt muzyki i z zadowoleniem przyglądała się swemu wnukowi i Kate.

- Wiedziałam, że to w końcu wyjdzie, jeżeli tylko uda mi się zderzać ich ze sobą dostatecznie często - powiedziała z nie ukrywaną dumą, zwracając się do Minnie.

Ta wzbudzała powszechne zainteresowanie, przede wszystkim ze względu na swą niezwykłą indiańską suknię z kremowego zamszu, wyszywaną niezliczonymi barwnymi koralikami i obszytą fantazyjnymi frędzlami.

- Teraz najważniejsze jest, żebyśmy usunęły im z drogi tę drugą - mówiła dalej Agatha.

- Dopóki tego nie zrobimy, niczego nie można być pewnym.

Kazała sobie nalać następny kieliszek szampana i popijając go po trochu, rozmyślała o przyszłości Blaisea i Kate.

W rezultacie nawet nie zauważyła, że na sali pojawiła się "ta druga".

Dopiero kiedy Minnie dotknęła jej ramienia i kiwnęła głową w stronę ogromnych szklanych drzwi wejściowych, księżna również spojrzała w tę stronę.

A tam, w czerwonej sukni wyszywanej lśniąco niczym rybia łuska pajątkami i cekinami, stała Dominique.

W jej uszach niczym niebieskie lasery połyskiwały słynne, przynoszące jej szczęście szafiry.

Można było odnieść wrażenie, że jej wejście na chwilę przyhamowało całe funkcjonujące dotąd na wysokich obrotach przyjęcie.

Gwar rozmów nagle przycichł, ludzie przestali tańczyć, nawet orkiestra jakby zająknęła się i zakończyła grany temat dosyć nierówno.

Kate, która w tym momencie była na parkiecie z Nicholasem Chevely, wysunęła się z jego ramion i z uniesioną dumnie głową spokojnie skierowała się ku swej przybranej siostrze, smukła i lekka w powiewnej złotej sukni, która zdawała się płynąć w ślad za nią.

- Witaj, Dominique - powiedziała uprzejmie.

Ta, do której skierowała te słowa, zewnątrz wcale się nie zmieniła.

Nadal mogła być uważana za uosobienie piękna, blasku i fascynującej aparycji.

Ale Kate po raz pierwszy - a miała nadzieję, że i nie ostatni - mogła jej skutecznie przeciwstawić te same walory we własnym wydaniu.

- Witaj, Kate - odpowiedziała Dominique z równie formalną grzecznością.

Nie musnęły się na powitanie policzkami ani nie podały sobie rąk - jak gdyby każda z nich wystrzegająca się, żeby nie dotknąć tej drugiej.

- Co ta dziwka tym razem kombinuje?

- mruknęła Agatha, rozglądając się za swym wnukiem.

Dostrzegła go w głębi sali.

Stał tam bez ruchu, nie spuszczać wzroku z obu kobiet.

- Przyjmij gratulacje - powiedziała chłodno Dominique.

- Dziękuję - odpowiedziała Kate.

Była równie spokojna i opanowana.

Uświadomiła sobie, że już bez trudu wytrzymała przypominające artyleryjską nawałę ogniową spojrzenia tych szafirowych oczu, które teraz mierzyły ją od stóp do głów.

- Sukces najwyraźniej dodaje ci urody - stwierdziła jadownicie Dominique.

Kate uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Teraz zamierzam się nim przyozdabiać już na stałe.

Dominique zdała sobie sprawę, że jej przybrana siostra po raz pierwszy zyskała rzeczywistą pewność siebie.

To już nie była ta wiecznie nachmurzona, niezręczna i cofnięta w głąb siebie dziewczyna, która przez lata nie umiała się wyrwać z paraliżujących ją uwarunkowań przeszłości, lecz pełna wdzięku i swobody urocza, młoda kobieta, którą dopiero co odniesiony sukces czynił jeszcze powabniejszą.

Wyglądało na to, że wreszcie zapaliło się w niej to specyficzne wewnętrzne światło, a Dominique z własnego doświadczenia wiedziała, że gdy ten ogień raz zacznie się w kimś palić, to przygasić go ponownie jest już niezwykle trudno.

Wciąż jednak wierzyła, że nie ma sytuacji całkowicie beznadziejnych, przynajmniej dla niej.

W każdym murze można w końcu znaleźć jakąś szczelinę czy pęknięcie.

I właśnie dlatego pojawiła się na tym przyjęciu, by wykorzystać element zaskoczenia i znaleźć ten słaby punkt.

- Czy zechcesz podać swej przeciwniczce kieliszek szampana?

- zapytała z nutką wyraźnej drwiny w głosie.

- Tobie nie podałamby nawet szklanki wody - odparła tym samym tonem Kate.

- Ale szampan tam na stole jest dla wszystkich, możesz się częstować.

Dominique z podniesioną głową i wciąż tym samym ironicznym uśmiechem na ustach ruszyła w głąb sali.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że niemal wszyscy obecni patrzą na nią nieprzyjawnym okiem.

Ona jednak - jak zawsze - nic sobie z tego nie robiła i z pełną swobodą szła w stronę długiego stołu, przy którym wśród innych gości stał również jej mąż, który teraz nie spuszczał z niej oka.

Dominique skierowała się prosto do niego, położyła dłoń na jego ramieniu i wspięła się na palce, by dotknąć wargami jego policzka.

- Witaj, kochanie - powiedziała półgłosem, a w jej szafirowych oczach błysnęła isierka wyzwania.

Przez moment zdążyła nawet poczuć dreszczyk triumfu, kiedy wydało się jej, że dostrzega podnoszące się do góry kąci ust i błysk rozbawienia w ciemnych jak smoła oczach.

Ale kiedy delikatnie uściśnęła jego ramię, nie wywołało to żadnej reakcji.

Równie dobrze mogłaby próbować przytulić drewno.

Niemniej jednak to on podał jej kieliszek szampana.

Dominique odwróciła się i podniosła do góry kielich, patrząc na Kate.

- Tak więc zwycięzcom przypada wszystko - powiedziała, po czym wypita szampana do dna.

- Czy możemy zamienić parę słów, tak tylko między nami, teraz?

- Proszę - odpowiedziała Kate.

Obróciła się i ruszyła przodem, prowadząc swą przybraną siostrę między tłumem przyglądających się temu gości, którzy jakby automatycznie rozstępowali się przed nimi obiema, tworząc przejście.

Na końcu sali znajdowały się lustrzane drzwi, prowadzące do sąsiedniego, mniejszego pomieszczenia.

Kate otworzyła je, przepuściła Dominique przodem, a następnie weszła za nią i zamknęła za sobą drzwi.

Śledziły to oczy wszystkich obecnych na sali gości.

- Boże drogi!

- w nagle zapadłej ciszy dał się słyszeć czyjś oburzony głos.

-Cóż za nieprawdopodobna hucpa!

To było jak pierwszy kamień, za którym poszła lawina.

- Widzieliście kiedy podobną bezczelność?

Jak śmiała tu przyjść!

- Ale Kate świetnie sobie z nią dała radę.

- Cokolwiek się powie o tej jej siostrze, odwagi jej nie brakuje.

- Ciekawe, jaki kolejny numer spróbuje teraz wykręcić.

- Ktoś powinien był ją najpierw przeszukać, czy nie ma przy sobie sztyletu!

Ludzie odwracali się i patrzyli na Blaisea, który jednak nawet najmniejszym drgnieniem oka nie zdradził swych odczuć.

Stał tam nadal nieruchomo, wysoki i smagły, nieskazitelnie elegancki w swym wieczorowym stroju i śnieżnobiałej koszuli.

Ludzie zwrócili się więc do Agathy, która nie straciła kontenansu i z królewskim spokojem oznajmiła: - Przyjęcie się jeszcze nie skończyło, moi drodzy!

Zabrzmiało to prawie jak rozkaz.

Orkiestra znów zaczęła grać, pary tańczących ponownie zapełniły krąg parkietu, pozostali ludzie zbierali się w grupach i grupkach i rozprawiali nad tym, co się stało.

W chwilę później Blaise odstawił kieliszek z szampanem i przeciskając się przez ludzi podszedł do swej babki.

- W co, u diabła, ta twoja żona tym razem zamierza grać?

- spytała księżna.

- Nie wiem w co, ale dla Dominique żadna gra nie jest skończona, dopóki to ona nie wygra.

- Przecież nie ma sposobu, żeby teraz mogła wygrać.

- Po to tu przyszła, żeby znaleźć jakiś sposób.

- Myślisz, że Kate sobie z nią poradzi?

Blaise uśmiechnął się.

- Tak.

Teraz już może sobie z nią poradzić.

I musi to zrobić.

Miała rację, kiedy mówiła, że to jest jej wojna.

Musi więc ją wygrać, a co więcej, musi wygrać tak, żeby wszyscy inni to zobaczyli.

I musi powiedzieć Dominique, dlaczego przegrała.

Agatha spojrzała na niego uważnie.

- No cóż, mam nadzieję, że przynajmniej ty wiesz, co robisz - powiedziała.

- Zazwyczaj wiem, choć każdy może się pomylić...

raz - powiedział Blaise.

- Ale nie przejmuj się aż tak bardzo, moja droga babciu.

Gdzie jest twój kieliszek?

Należę ci jeszcze szampana.

Tymczasem w niewielkiej bocznej sali, której białe ściany i sufit zdobiły liczne złocenia i kryształy, dwie kobiety stały naprzeciw siebie, odbijając się jednocześnie w lustrzanych drzwiach po jednej i lustrzanej ścianie po drugiej stronie pomieszczenia.

Ich odbicia przy każdym ruchu powielwały się wielokrotnie i zdawały się sięgać aż w nieskończoność.

- Nie doceniłam cię - zaczęła Dominique.

- Niestety, nie mogę odwzajemnić komplementu.

- Tak czy inaczej, jest już za późno, by coś zmienić.

- Za późno też jest, jeżeli idzie o ciebie.

Dominique otworzyła zatrzask torebki, wykonanej z tego samego materiału co i jej suknia, wyjęła płaską złotą papierośnicę i bez pośpiechu zapaliła papierosa.

- Przyznaj się - powiedziała tonem lekkiej towarzyskiej rozmowy - jak ci się udało tego dokonać?

- Wystarczyła ciężka praca i - po prostu - rzetelność.

- Ach nie, ja nie mam na myśli twoich osiągnięć zawodowych i tak świetnie odgrywanej roli Wzorca Uczciwości.

Pytam o Blaisea - co zrobiłaś, że to ci się udało z nim?

- Nic nie zrobiłam.

Po prostu byłam.

- Ty po prostu byłaś...

I zawsze tak się jakoś składało, że gdziekolwiek byłaś, pojawiał się tam i on, kierowany we właściwe miejsce przez tę swoją babkę, która po prostu nie potrafi się nie wtrącać...

- Dominique zaciągnęła się raz i drugi.

- Bo mnie Agatha Chandler nigdy nie lubiła, jak wiesz.

Tak więc ja też nie zadawałam sobie trudu, żeby w ogóle brać ją pod uwagę.

Natomiast ty zaczęłaś właśnie od niej i to było bardzo sprytnie.

Bo to jedyna osoba na świecie, która ma na niego jakiś wpływ.

- Ona go po prostu kocha.

- No tak, nie da się zaprzeczyć.

A Blaise -jeżeli już chcemy mówić prawdę -nie jest takim człowiekiem, którego łatwo jest kochać.

Owszem, jest niezmiernie atrakcyjny, a przy tym bardzo męski.

Dlatego pragnęłam go od chwili, gdy go tylko zobaczyłam.

- Ale nigdy go nie kochałaś.

- Nie zależało mu na tym, żeby ktoś go kochał.

- Nie zależało mu - wtedy.

- Wyjątkowo łatwo idzie ci przekreślanie tego, co było - burknęła Dominique.

- Bo tak naprawdę liczy się jednak przyszłość.

Nauczenie się tej prawdy kosztowało mnie wiele bólu i cierpienia.

- No tak...

Charles to wiedział, oczywiście.

On w ogóle wiedział dużo, znacznie więcej, niż wtedy podejrzewałam.

A najistotniejsze było to, że on -jak się okazało - doskonale znał ciebie.

- Po prostu był moim ojcem - odpowiedziała Kate.

A ty już go nawet tak nie nazywasz, dodała w duchu.

To też było dla niej dowodem zwycięstwa, może nawet ważniejszym od innych.

Dopóki Charles Despard mógł być w ten czy inny sposób przydatny, Dominique gotowa była przyznawać mu istotną pozycję w jej życiu; teraz, kiedy te względy przestały już odgrywać jakąkolwiek rolę, stał się dla niej zaledwie mężem jej matki.

- Wykazałaś się wielkim sprytem w pozyskiwaniu sobie ludzi, którzy mogli ci pomóc.

- Nigdy nie byłam na tyle zarozumiała, by sądzić, że mogę się obejść bez ich pomocy.

- No więc nadal będziesz jej potrzebować, i to bardzo.

Nasz rok się jeszcze nie skończył, dobrze o tym wiesz.

- Dla ciebie się skończył - oświadczyła Kate.

Jedwabiste brwi Dominique uniosły się do góry.

- Ciekawe przypuszczenie - powiedziała ironicznie.

- Myślę, że tak - odpowiedziała Kate.

- Zwłaszcza dla ciebie.

Otóż ja - to znaczy my - wiemy już o tobie zbyt wiele, żeby ci pozwalać na dalsze bezkarne intrygowanie i sabotowanie wszystkiego przy każdej nadarzającej się okazji.

Pozwól, że przypomnę ci tylko podstawienie nam do sprzedaży fałszywego konia Tang, pochodzącego zresztą z tej samej wytwórni, co i liczne inne podróbki, które z zimną krwią i z pełną świadomością oszustwa sprzedawałaś za olbrzymie pieniądze na tej twojej "aukcji stulecia".

Przypomnę ci jeszcze próbę zabójstwa biednego Rolla.

- Pełen gniewu głos Kate pobrzmiwał tu nutką poczucia winy, ponieważ przez ostatni tydzień mocno zaniedbała swego przyjaciela.

- Wiem, że to na twoje polecenie omal go nie zabito, wiem też, że pożar w Courtland Park to robota twoich przyjaciół gangsterów.

Nie mówiąc już o tej ordynarnej i obelżywej plotce, którą ostatnio o mnie rozpuściłaś.

- Wyglądasz na niezłe poinformowaną - odpowiedziała chłodno Dominique, starając się nie pokazać, jak mocno wstrząsnęło nią to, co usłyszała.

Każdy jej nerw był napięty do ostateczności; miała neodparte wrażenie, że jakieś lodowate palce przesuwiają się ukradkiem po jej ciele.

- Jestem poinformowana.

- Kate uśmiechnęła się.

- I to ty sama dostarczyłaś nam tych wiadomości.

Na nasze polecenie podglądano cię i podsłuchiowano.

Idealnie zgrabne ciało Dominique zeszywniało tak, że mogłoby uchodzić za posąg.

Jej twarz przypominała zastygłą w grymasie maskę.

- To Blaise...

- wydusiła z siebie z najwyższym trudem.

- Tak - potwierdziła Kate.

Blaise miał rację, pomyślała.

Gdybym powiedziała, że to ja wszystko zaaranżowałam, Dominique nigdy by mi nie uwierzyła.

Jak dobrze on ją zna, mimo wszystko, pomyślała i nagle poczuła w sercu leciutkie ukłucie zazdrości.

- Wszystko zaczęło się od wyjazdu Rolla do Hongkongu - mówiła dalej.

- On już od dłuższego czasu podejrzewał, że coś jest nie w porządku z tą "aukcją stulecia" i tuż przed jej otwarciem otrzymał stamtąd informacje, które to potwierdzały.

Wybrałaś niewłaściwe miasto na swoje knowania, tam nawet ściany mają uszy.

- Maja, jeżeli ktoś się o to postara.

- Dominique starała się mówić spokojnie, choć była niemal śina z wściekłości.

- Trzeba by jednak mieć jakieś bardziej realne dowody, prawda?

Jej głos był pełen jawnej drwiny, ale Kate przyjęła to z tak niezmaconym spokojem, że sytuacja stała się jasna.

Dominique spojrzała na nią jeszcze raz i odpowiedziała sama sobie: - Oczywiście, musisz już mieć te dowody.

Bez dowodów Blaise nie zdecydowałby się działać.

- Zostawmy na razie Blaisea - powiedziała Kate.

- Liczy się przede wszystkim to, że według ostatnich wyliczeń to jednak ja postępowałam słusznie, ponieważ po prostu z tobą wygrałam.

W ogólnym bilansie sprzedaży i zysków wyprzedzam cię teraz o dziesięć milionów czterysta tysięcy funtów.

I bez tych zazwyczaj przez ciebie stosowanych metod - przekupstwa i uwodzenia - nie masz najmniejszych szans, żeby choćby zrównać się ze mną do pierwszego kwietnia przyszłego roku.

Pobiłam cię, Dominique.

Pobiłam nie w twojej grze, ponieważ nigdy nie grałabym według twoich zasad; pobiłam cię w tej prawdziwej grze, którą zwykle określa się słowami "fair play".

- Kate wyprostowała się i dumnie uniosła podbródek, a jej rude włosy wyglądały teraz jak jarząca się wokół twarzy aureola.

Dominique roześmiała się szyderczo.

- Mów tak dalej.

W następnym zdaniu powiesz mi pewnie, że jesteś jeszcze dziewicą...

Cios był dobrze wymierzony, toteż ten wyniosły piedestał, na który zdążyła się już wspiąć jej rywalka, na moment jakby się zachwiał.

Jednak Kate bardzo szybko odzyskała równowagę.

- Nie, nie jestem dziewicą - powiedziała spokojnie.

- I na pewno nie zdołałabym z tobą konkurować, jeżeli idzie o liczbę tych, którzy...

- Ty mała podła suko!

- nie wytrzymała Dominique.

- Jeżeli idzie o podłą grę, to dopiero oglądanie mistrzów daje prawdziwą przyjemność i satysfakcję.

Nikt ze znanych mi ludzi nie gra podlej od ciebie.

- Uważaj!

- ostrzegła Dominique.

W jej głosie była groźba.

- Nie!

To raczej ty uważaj, moja droga.

To ja cię teraz ostrzegam: jedno niewłaściwe słowo czy spojrzenie, jeden krok za daleko, a zniszczę cię ostatecznie i nieodwołalnie.

- I przy okazji zniszczysz firmę Desparda?

Nie sądzę, żebyś się na to zdobyła.

- Postarałam się wcześniej, żebyś nie mogła zaszkodzić firmie Desparda, choćbyś nie wiem jak tego chciała.

Akurat teraz to ja w oczach wszystkich uosabiam firmę, a nie ty.

A jeśli znów spróbujesz tych swoich brudnych sposobów, nie licz, że się tym razem wywiniesz.

Mam nagrane na taśmie twoje sekretne rozmowy; jakość dźwięku jest doskonała, twój głos bardzo wyraźny, a twoje zamiary nie tylko nikczemne, ale i jawnie przestępcze.

Wdałaś się w konszachty z gangsterami z Hongkongu i teraz już jesteś w sytuacji bez wyjścia - miejscowa policja z ogromną radością przyskrzyni ich i ciebie razem z nimi.

Więc jeżeli chcesz publicznej konfrontacji, to będziesz ją miała.

Ja nie mam nic do ukrycia, moja droga, natomiast z prawdziwą przyjemnością obejrzę ekshumację - by ująć rzecz metaforycznie - każdego takiego szkieletu i każdego śmierdzącego trupa, który tobie zawdzięcza przeniesienie się na tamten świat...

- Kate zrobiła krok do przodu i patrzyła teraz Dominique prosto w oczy.

- Prawda jest taka, że chcę się ciebie pozbyć z firmy Desparda.

Jak pamiętasz, miałyśmy rywalizować ze sobą na zasadzie, że zwycięzca bierze wszystko.

Oświadczam ci więc, że zamierzam wziąć wszystko i zatrzymać wszystko.

Zgodzę się, żebyś wykorzystała jeszcze te pozostałe miesiące, ale pod warunkiem, że albo wykorzystasz je w sposób uczciwy, albo wcale.

To drugie znacznie bardziej by mi odpowiadało, ponieważ mam cię już naprawdę dosyć.

Jak zresztą miałabym każdego, kto z zimną krwią godzi się na zniszczenie arcydzieł sztuki dla jakichś własnych korzyści.

Mam nadzieję, że wszyscy tacy ludzie ostatecznie skończą tak samo.

- Śledztwo przeprowadzone po pożarze wykazało, że przyczyną było pęknięcie rury i wybuch gazu.

- I oni w to może nawet wierzą.

Ale tylko do momentu, kiedy przedstawię im taśmę, która jasno dowodzi, że wszystko to zostało zaaranżowane na twoje polecenie...

- Kate zrobiła przerwę, żeby nabrać tchu.

- Na razie jednak mam dla ciebie taką propozycję: wykorzystaj - ale tylko uczciwie - te pozostałe miesiące.

Jeśli potrafisz wymyślić coś takiego, co pozwoli ci jeszcze mnie pokonać, wtedy oddam ci taśmę i całą resztę.

Ale - jak to mawiają u was w Nowym Jorku - nawet o tym nie myśl, żeby jeszcze raz próbować oszukiwać.

W głowie Dominique kłębiły się gorączkowe myśli.

Pięć miesięcy...

pięć cholernie krótkich miesięcy, jęknęła w duchu.

- Możesz zorganizować jeszcze tyle własnych aukcji, ile tylko zechcesz.

Tylko już bez szwindli i gierki na dwie strony.

- W porządku!

- Dominique nie wahała się już ani chwili.

Była pewna, że jeszcze coś wymyśli; wiele osób miało wobec niej długi wdzięczności, byli też liczni mężczyźni, którzy chętnie zrobiliby wszystko, byle tylko ją posiadać.

Ona sama zamierzała wykorzystać wszystkie możliwości, wszystkie kontakty, gotowa była żebrać, pożyczać, nawet kraść - byle tylko móc dalej sprzedawać, za wszelką cenę!

Jedna udana wielka sprzedaż i sytuacja może się odwrócić.

Oczywiście będzie musiała pracować z szalonym wysiłkiem i przy tym niesłychanie szybko; ale gdyby udało się jej zgromadzić dostatecznie dużo bardzo kosztownych przedmiotów, wszystko jeszcze było możliwe.

A przecież takich bardzo cennych rzeczy było naprawdę mnóstwo u ludzi, których znała. A poza tym, czyż nie posiadała grupy wywiadowców, najlepszych z wszystkich, którzy kiedykolwiek pracowali dla wielkich domów aukcyjnych?

Przecież ona sama przez długie lata tym właśnie się zajmowała, zanim awansowała na wyższe stanowiska.

Teraz przyjdzie pora na wygzekwowanie wszelkich długów i należności; wyciągnie z szuflad wszystkie weksle, wszystkie zobowiązania.

Jak to dobrze, że w swoim czasie postarała się o tego rodzaju zabezpieczenie.

Kate przyglądała się tej prześlicznej twarzyczce i miała wrażenie, że wręcz widzi przez tę jej gładką skórę wewnątrz jakiegoś szybkiego komputera, pracującego tam w środku z chłodną precyzją i wyliczającego, co, gdzie, kiedy i za ile.

- No więc?

- zapytała w końcu.

Dominique podniosła wzrok i jeszcze raz przyjrzała się twarzy swej przybranej siostry, która chyba już raz na zawsze przestała być tą dawną, nieładną i nieciekawą dziewczyną.

Jej głęboko osadzone oczy zdawały się teraz jarzyć jakimś wewnętrznym światłem, jak oczy tygrysa czy jakiegoś innego drapieżnika; lekka, niemal przejrzysta tkanina sukni złotą falą spływała po jej smukłej figurze.

- Ty jednak bardzo się zmieniłaś - powiedziała w końcu Dominique.

- Mam nadzieję - odpowiedziała Kate.

- I wiele się nauczyłaś.

- Także od ciebie.

- Kate przeszła obok niej i podeszła do drzwi.

- A teraz to my sprawdzimy, czy ty jesteś w stanie się zmienić - pod ścisłym nadzorem.

- Nie istnieje nic takiego, czego nie potrafiłabym osiągnąć - jeśli tylko postanowię to zrobić - odpowiedziała z ogromną pewnością siebie Dominique.

Kate uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Ja akurat jestem chodzącym dowodem, że nie jest to prawda.

Upokorzona rywalka podeszła do drzwi, które Kate znacząco przytrzymała otwarte.

- Jeszcze o mnie usłyszysz!

- powiedziała z naciskiem Dominique.

Z podniesioną głową ruszyła w stronę wyjścia.

Na miękkiej wykładzinie nie słychać było odgłosu kroków, jedynie leciutki metaliczny szmer naszywanej cekinami sukni.

Nie odwracając już głowy podeszła do drzwi prowadzących na zewnątrz.

Ostatni raz błysnęły szkarłatne pająki i Dominique znikła za progiem.

Kate odetchnęła głęboko.

- No i jak?

- usłyszała za sobą znajomy głos.

Zaskoczona odwróciła się i zobaczyła stojącego tuż za nią Blaisea.

- Walnęłam ją po głowie wszystkim, czym tylko mogłam.

- Powiedziałaś jej o taśmie?

- Wie, że mamy tę taśmę, i wie, w jaki sposób ją nagraliśmy.

- A co z twoją propozycją?

- Przyjęła ją.

- To oznacza, że wasza walka wciąż trwa.

- Ale teraz będzie to walka fair - bo w przeciwnym wypadku umowa przestanie obowiązywać.

- Powiedziałaś jej, że będziemy nadal ją... nadzorować?

- Tak.

- To oznacza, że będzie teraz szczególnie ostrożna.

- Wiem o tym.

Dlatego ja też będę szczególnie ostrożna - odpowiedziała z uśmiechem Kate.

Jednakże Blaise się nie uśmiechał.

- Dominique przestanie być niebezpieczna, dopiero kiedy będzie martwa.

- Aż tak daleko nie zamierzam się posuwać!

- zaprotestowała z udanym przerażeniem Kate.

To wreszcie sprawiło, że Blaise się uśmiechnął.

- Dobrze, mówmy o czymś dużo przyjemniejszym.

Wiesz, pomyślałem, że chciałbym z tobą...

- W tym momencie dostrzegł gwałtowny rumieniec Kate.

-Nie...

to znaczy, to oczywiście też, ale przede wszystkim myślałem, żebyśmy może pojechali gdzieś, jak najdalej, żeby od tego wszystkiego odpocząć w możliwie bezpiecznej odległości.

- Żebyśmy pojechali?

Dokąd?

- Dowiesz się dopiero wtedy, kiedy już będziesz na miejscu.

- Jeżeli pojedę z tobą, to już nie obchodzi mnie, gdzie to będzie.

Może być gdziekolwiek.

Spojrzeli sobie w oczy i Kate znów poczuła, że wszystko wewnątrz niej nagle przesuwa się i przestawia do góry nogami.

- Ten cholerny gips!

- powiedział Blaise takim tonem, że znów ugięły się pod nią kolana.

- Nie mogę z tobą robić tego, co najbardziej lubię, nawet tańczyć...

- Ale ja mogę zatańczyć - powiedział ktoś za ich plecami.

Blaise i Kate odwrócili się i spostrzegli Larryego Colea.

- Czy mogę jeszcze raz wystąpić jako pański dubler?

Kate roześmiała się.

Wiedziała już, w jakiej roli występował i z czyjego polecenia.

- Trudno, tańczcie - powiedział Blaise z rezygnacją.

- Przynajmniej sobie popatrzę.

Larry poprowadził ją na parkiet.

- Podejrzewam, że nie będę już miała okazji oglądać pana tak często - powiedziała Kate z lekką kpina w głosie.

- Ależ będzie pani miała!

- odpowiedział tym samym tonem Larry.

- Na osobiste polecenie pana Chandlera mam nie spuszczać z pani oka.

Powiedziałem mu, że do patrzenia na panią chętnie wykorzystam nawet oba.

Kate ponad jego ramieniem spojrzała na Blaisea, który ze sztywno wyprostowaną nogą usiadł przy stole.

Patrzył przez cały czas w stronę tańczących, nie odrywając oczu od Kate.

Larry to również dostrzegł i westchnął z rezygnacją.

- No cóż, gdybym był na jego miejscu, byłbym pewnie równie czujny.

To zapewne przez niego nie udało mi się - że się tak wyrażę - przebić do pierwszej bazy?

-Tak.

- No właśnie, takie już moje szczęście.
 - Nie zgodzę się z tym - odpowiedziała już poważniej Kate.
 - Wciąż będziemy dotrzymywać sobie towarzystwa.
- Tymczasem Charlotte podeszła do Blaisea i usiadła obok niego.
- Jak ta Kate ślicznie wygląda - powiedziała.
 - Musi pani być dumna ze swojej uczennicy.
 - Jestem dumna i jestem też do niej niezwykle przywiązana.
- To naprawdę szczególne, jak ona potrafi pozyskiwać sobie ludzi.
- Mnie to pani mówi?
 - powiedział z uśmiechem Blaise.
 - Żałuję tylko, że Rollo nie może tego widzieć - powiedziała z lekkim rozmarzeniem Charlotte.
 - A jak on się teraz czuje?
 - Wciąż bez zmian.
- Jutro obie pojedziemy go odwiedzić.
- Obawiam się, że Kate ma teraz silne poczucie winy, ale spróbuję jej wytłumaczyć, że to przecież bezzasadne.
- Przecież nawet gdyby go odwiedzała codziennie, on i tak nie wiedziałby o tym.
- Są ze sobą mocno związani - powiedział Blaise.
 - Raczej byli...
- Wiem, że to brzmi strasznie, ale ta konieczność dawania sobie rady bez pomocy Rolla w gruncie rzeczy wyszła jej na dobre.
- Przecież ona już wcześniej próbowała się wyzwolić od jego nadmiernego wpływu. I nagle, bez jakiegokolwiek winy z jej czy też jego strony, Rollo przemocą został z tej dominującej pozycji w jej życiu usunięty...
- Charlotte spojrzała na Blaisea.
 - A pan zajął jego miejsce.
 - To prawda.
- I nie ukrywam, że nadal chcę zajmować to pierwsze miejsce przy niej - odpowiedział spokojnie Blaise.
- Tak jak ona teraz już zawsze będzie na pierwszym miejscu dla mnie.
 - To, że Kate jednak zapomniała o Rollu - nawet jeśli tylko na kilka dni - świadczy o tym, że pan już raczej jest na tym pierwszym miejscu...
 - powiedziała Charlotte.
 - Sądzę, że to miejsce zajmuje pan już od dłuższego czasu.
 - Jeśli tak, to Kate potrafiła to bardzo dobrze ukrywać - zwłaszcza jak na osobę, której emocje są zazwyczaj bardzo widoczne.
 - W ukrywaniu miłości miała za sobą niezgorszą szkołę, kiedy to przez lata skrycie kochała swego ojca.
 - Może taka szkoła uczy najskuteczniej?
 - powiedział w zamyśleniu Blaise.
 - To boli, ale takie lekcje się zapamiętuje.
 - Czy chce pan dać do zrozumienia, że i pan uczył się w podobny sposób?

Blaise roześmiał się.

- Pani jest bardzo bystrą osobą, Charlotte, i wie pani niemało o ludziach.

Podejrzewam, że bez trudu dogadałyby się pani z moją babką.

- Och, myśmy się już dogadały - przyznała się Charlotte.

- Tym bardziej się cieszę - powiedział Blaise.

Była to szczerza prawda, ponieważ zdążył już bardzo polubić Charlotte - niezależnie od tego, że miał dla niej również ogromny szacunek.

Już to, co zrobiła dla Kate, wystarczyło, żeby zaskarbić jego wdzięczność.

A poza tym, jeśli kiedyś miałoby dojść do tego, że trzeba będzie łagodzić wściekle urażoną dumę Rolla Bellamyego, pomoc Charlotte mogła być nieoceniona.

To właśnie ona potrafiła najlepiej sobie z nim radzić - tak przynajmniej uważała Kate.

No cóż, pomyślał Blaise, skoro to ewentualne wyzdrowienie Rolla nastąpi nie wiadomo kiedy, to przynajmniej on będzie miał czas potrzebny na to, żeby utrwalić i umocnić więź z Kate.

Myślenie Blaisea było tu całkowicie egoistyczne, przede wszystkim dlatego, że zakochał się pierwszy raz w życiu i - z właściwą wszystkim kochankom zachłannością - chciał mieć wszystko dla siebie.

Kate i Charlotte pojechały do szpitala już następnego dnia - w niedzielę po południu.

Przez ten ostatni tydzień Rollo schudł jeszcze bardziej, zamknięte oczy wydawały się głęboko zapadnięte, podobnie jak policzki.

Nie miał już na sobie gipsu ani bandaży, jako że minęły cztery miesiące i obrażenia zdążyły się wygoić.

Nadal jednak pozostawał w stanie śpiączki i nic nie wskazywało na to, że coś się tu może zmienić w najbliższej przyszłości.

- Czy sądzisz, że on kiedyś jeszcze wyjdzie z tego?

- spytała bardzo przygnębiona Kate.

Trzymała Rollo za rękę, ale ta ręka wciąż była całkowicie bezwładna.

- Lekarze twierdzą, że nie należy w to wątpić.

- Ale to trwa już tak długo!

- To zaledwie cztery miesiące.

Ja sama znam przypadki, kiedy ludzie pozostawali w tym stanie przez lata.

- O Boże, zmiłuj się, nie!

Tylko nie to...

Już naprawdę wolałabym, żeby umarł, niż żeby tak wciąż pozostawał ni to żywy, ni to umarły.

- Brakuje ci go teraz, prawda?

- Tak, oczywiście.

To znaczy...

zwłaszcza na początku brakowało mi go wręcz okropnie.

Ale potem, przez te późniejsze miesiące...

- Kate nie dokończyła i tylko westchnęła głęboko.

- No cóż - powiedziała Charlotte.

- Po prostu stałaś się dorosła i już nie potrzebowałaś niańki.

- Tak, myślę, że on rzeczywiście występował przy mnie w takiej roli.

- Kate uśmiechnęła się.

- Kiedy umarła moja matka, Rollo zdecydowanie traktował mnie jak uparte i nieposłuszne dziecko.

Teoretycznie zawsze groził mi klaps od niego, choć oczywiście nigdy nie podniósłby na mnie ręki.

- Za to nadrabiał to językiem...
złośliwym i niewyparzonym, jak to u niego.

Kate wzdrygnęła się mimo woli.

- O tak...

- westchnęła.

- Ale teraz nie przeszkadzałyby mi nawet największe złośliwości z jego strony.
Niech wyzdrowieje i niech będzie złośliwy i jadowity, ile tylko chce!

Kate i Charlotte opuściły szpital i pojechały do Connaught, gdzie były umówione na kolację z Blaiseem i księżną Agathą.

Zdażyły ledwie zjeść pierwsze danie, gdy Blaisea poproszono do telefonu.

Po kilku minutach Blaise wrócił z taką miną, że Kate od razu domyśliła się jakiejś dobrej nowiny.

- Powiedziano ci, że Chandler Corporation zarobiła następny miliard dolarów?

- zażartowała.

- Być może, choć ja na razie nic o tym nie wiem.

Natomiast mam wiadomość, która ciebie powinna ucieszyć prawie tak samo.

Rollo Bellamy odzyskał świadomość.

Kate zerwała się tak gwałtownie, że omal nie przewróciła krzesła.

- Każ, żeby zatrzymali dla nas tę kolację.

Niedługo wrócimy - powiedział Blaise, zwracając się do Agathy.

Potem szybko ruszył w ślad za Kate, która zdażyła już zniknąć za drzwiami.

- Po diabła mieliby nam zostawiać odgrzewane dania?

- prychnęła Agatha.

-Mogą nam dać coś innego, ja akurat wcale się tym nie zmartwię.

Chodź, Charlotte.

Rollo tym razem już nie leżał, ale siedział na łóżku, podparty większymi i mniejszymi poduszkami.

Oczy miał nadal przymknięte.

Kate, która już od drzwi chciała biec do niego, nagle zatrzymała się jak wmurowana.

Dość irracjonalnie spodziewała się czegoś zupełnie innego.

Sądziła, że będzie takjak dawniej, że Rollo od pierwszej chwili znów będzie się szarogęsił w swoim dawnym stylu, tokując bez przerwy i rzucając na prawo i lewo różne rozkazy i polecenia.

- Rollo - wyjąkała niepewnie.

Powieki Rolla uniosły się powoli.

Jego oczy były ciemniejsze niż dawniej i przypominały niebo przysłonięte ciężkimi chmurami, bez tego dawnego, przypominającego żywe srebro błysku.

Jednakże kiedy już ją rozpoznał, skrzywił się dokładnie tak samo jak kiedyś.

Kate nabrała ducha.

Rollo znów zaczynał być sobą.

- Rollo - powtórzyła.

- Poznajesz mnie?

To ja, Kate.

- Na razie jeszcze nie oślepiłem - odparł Rollo z tą samą zgryźliwością, co i dawniej.

Jednakże jego głos był słabszy, znacznie mniej ostry.

Jeśli dawniej przypominał żyletkę, to teraz była ona mocno stępiona.

- Co ty tu w ogóle robisz?

Dlaczego nie jesteś w szkole?

Zdumionej Kate lekarze wyjaśnili, że odzyskując świadomość pacjent czasami wraca w niej do jakiegoś punktu w przeszłości.

Wtedy należy mu pozwolić na powracanie do czasu teraźniejszego w tempie, jakie sam sobie wybierze.

Trzeba z nim rozmawiać, odpowiadać na jego pytania, nie wolno natomiast zadawać mu żadnych własnych pytań.

Przede wszystkim chodzi o to, żeby po prostu być przy nim, kiedy będzie tego potrzebował.

Rollo rozpoznał również Charlotte, ale zwrócił się do niej z pytaniem, jak jej poszło we wznowieniu sztuki Życie prywatne, chociaż to - jak to później powiedziała Charlotte - miało miejsce w 1962 roku.

W ogóle nie rozpoznał Blaisea, ale najwyraźniej od razu dostrzegł w nim bogatego finansistę i nawet próbował składać mu najróżniejsze propozycje.

Natomiast na widok Agathy zwykle unosił brwi i powtarzał: "Tylko nie graj od pierwszej sceny tak rozwlekle, moja droga, nie znoszę, kiedy się gra rozwlekle"!

Kate słuchając tego przygryzała wargi, ale sama księżna Agatha tylko się śmiała, długo i donośnie.

Jej zdaniem Rollo był niezrównany i w pełni zasługiwał na swoją reputację; wkrótce też okazało się, że to właśnie księżna siedziała przy nim najdłużej i najczęściej.

Kate wpadała do niego wieczorami, zazwyczaj razem z Blaiseem, co spowodowało, że któregoś dnia Rollo pokręcił nosem i powiedział: - Widzę, że wreszcie znalazłaś sobie chłopaka?

- Tak, Rollo.

- Ale pamiętaj, że nie godzę się, żebyś spędzała wszystkie wieczory poza domem.

Roztańczony Londyn roztańczonym Londynem, ale...

To opiekuńcze strofowanie ze strony Rolla najwyraźniej odnosiło się do lat sześćdziesiątych, kiedy to Londyn zyskał sobie miano "tańczącej stolicy".

Kiedy wraz z Blaiseem już jechali do domu, Kate przypomniała to sobie i powiedziała: - Zawsze to chyba lepiej, że już przypomina sobie jakieś takie rzeczy z lat sześćdziesiątych, niż gdyby miał się zatrzymać na przykład na trzydziestych.

Najważniejsze jest, że w ogóle zaczął sobie coś przypominać, i z tego powinniśmy się cieszyć przede wszystkim.

Ale Blaise nie za bardzo umiał się z tego cieszyć.

Prawdę mówiąc nie cieszył się w ogóle, ponieważ nagle ogarnęła go zazdrość, i to ta najbardziej jadowita z możliwych.

Na przykład stale dręczyła go myśl, że to Rollo Bellamy miał największy wpływ na Kate, i to akurat wtedy, gdy była w wieku najbardziej na to podatnym przy kształtowaniu się osobowości; Rollo miał przy tym wyraźną skłonność do zawłaszczania wszystkiego, a już zwłaszcza Kate uczeplił się jak rzep.

Nie trudno więc było dojść do niepokojącego wniosku, że kiedy Rollo wreszcie wróci w swej świadomości do czasu teraźniejszego, z całą pewnością nie tylko nie będzie życzliwie patrzył na obecność Blaisea, ale dołoży wszelkich starań, żeby go od Kate odsunąć, a najlepiej w ogóle się pozbyć.

Ponieważ Blaise nic nie odpowiedział na jej ostatnią uwagę, Kate spojrzała na niego i już z samego wyrazu twarzy zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

Intuicja zakochanej kobiety wystarczyła, by natychmiast zrozumieć, o co chodzi.

Przytuliła się do niego, uściśnęła trzymaną w dłoni jego rękę i powiedziała: - Nie, mój kochany, nie martw się o to.

To już nie będzie i nie może być to samo, co przedtem, nigdy.

Przede wszystkim dlatego, że to ja się bardzo zmieniłam.

Nie potrzebuję już Rolla i mogę się bez niego obejść, natomiast potrzebuję ciebie.

Oczy Blaisea natychmiast się rozjaśniły.

- Ale czy on zechce się z tym pogodzić?

- zapytał.

- Będzie musiał.

Jest tak, jak jest, dlatego, że to ja chcę, żeby tak było.

Spojrzała w jego ciemne oczy i poczuła nagle ogarniające ją wzruszenie i pełne rozczulenia współczucie.

A więc ten wielki i silny mężczyzna, tak powściągliwy i tak panujący nad sobą, był w rzeczywistości niepewny siebie i - tak jak inni - cierpiał z powodu zazdrości.

Ale też dzięki temu stawał się jej jeszcze bliższy; mniej doskonały, ale za to bardziej ludzki i już bez jakichkolwiek śladów tej obrzydliwej arogancji bogatych i możnych tego świata.

Kate zdała sobie nagle sprawę, że Blaise po prostu jest mężczyzną, takim samym jak wszyscy inni.

Tyle tylko, że ona akurat tego mężczyznę pokochała.

- Dam sobie radę z Rollem - powiedziała ze spokojem, pod którym kryła się niewzruszona siła.

Blaise westchnął z ulgą i dopiero teraz widać było naprawdę, jak był przygnębiony.

- Nie daję sobie rady sam ze sobą, zwłaszcza od momentu, kiedy ty...

To trochę tak, jak gdybym nagle utracił mój pancerz ochronny i teraz skaleczyć mnie może wszystko, każde podejrzenie, nawet cień podejrzenia.

Nigdy dotąd żadna istota ludzka nie znaczyła dla mnie tak wiele jak ty.

Moja ostatnia myśl przed zaśnięciem to myśl o tobie, podobnie jak i pierwsza myśl po obudzeniu.

Nie mogę wziąć się do pracy, nie potrafię się skoncentrować, ba, nawet nie mogę się z tobą porządnie kochać, przez ten cholerny gips!

- Jak na jednonogiego, radzisz sobie wcale nieźle - powiedziała z uśmiechem Kate.

Blaise roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Zawsze ta sama impertynencka dziewczucha!

- powiedział, uśmiechając się szeroko.

- I od razu gotowa do wymiany ciosów!

Ale chyba właśnie to -jak zresztą i cała reszta - tak mnie do ciebie przywiązało.

Nigdy nie przypuszczałem, że to w ogóle możliwe, choć z drugiej strony niewykluczone, że gdzieś w głębi duszy jednak to przeczuwałem.

I pewnie dlatego tak bardzo się dotąd starałem, żeby się przypadkiem z nikim nie związać.

Ale przez te ostatnie miesiące ty całkiem niepostrzeżenie przywiązałaś mnie do siebie tyloma niewidzialnymi nitkami...

Ja ich oczywiście w ogóle nie czułem, aż do momentu, kiedy nagle się okazało, że możesz zginać w tym ogniu.

I wtedy już wiedziałem wszystko.

Kocham cię, Kate, i to kocham tak, że aż mnie to przeraża.

Kate nic nie odpowiedziała, tylko mocniej uścisnęła jego dłoń.

Jej złote oczy zaszklily się na moment, ale cała twarz promieniała.

- To dlatego byłem zazdrosny o Rolla, o to, że tyle was wiąże, bo pomyślałem sobie, co będzie, jeśli on zechce, żeby znów było tak jak dawniej?

Co będzie, jeśli się okaże, iż te wasze więzy są tak silne, że nawet ja nie potrafię ich zerwać?

- Nie trzeba było ich zrywać.

Te więzy same opadły, kiedy tylko zdałam sobie sprawę, że już ich nie potrzebuję - odpowiedziała Kate, patrząc na niego z miłością.

- To wszystko trwało długo, ponieważ przez długi czas naprawdę tego potrzebowałam.

Ale potem zmieniłam się.

Rollo oczywiście jest mi bardzo drogi, i tak już zostanie zawsze, ale to nawet w najmniejszym stopniu nie przypomina tego, co czuję do ciebie.

On był kimś ważnym w moim życiu, natomiast ty...

ty sam jesteś moim życiem.

Blaise westchnął jeszcze raz, ale tym razem była w tym głęboka ulga.

Poczuł się spokojny i szczęśliwy.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej i przez resztę drogi jechali już w milczeniu.

Ale było to najprzyjemniejsze milczenie, jakie w ogóle można było sobie wyobrazić, i mówiło im obojgu więcej, niż mogłyby wyrazić jakiegokolwiek słowa.

Jedno tylko pragnienie Kate wciąż pozostawało nie spełnione.

Od dawna chciała, żeby portret jej ojca wisiał na honorowym miejscu w wejściowym hallu firmy Despard.

- Kłopot tylko w tym, że ten portret jest teraz własnością Dominique - zauważył Blaise, kiedy Kate mu o tym powiedziała.

- Twój ojciec kazał go namalować w prezencie dla jej matki.
- Ale portrety Despardów zawsze w końcu trafiały tam, gdzie było ich naturalne miejsce, do siedziby firmy.

- Wobec tego ten też tam trafi.

Kupię go dla ciebie.

- Dominique powinna go oddać!

- burknęła porytowana Kate.

Zdawała sobie sprawę, że ona z pewnością się na to nie zgodzi, ale też tym bardziej ją to gniewało.

- Nie odda tego ani mnie, ani tobie, ani tym bardziej firmie DesparcTs.

Na to nie możemy liczyć.

- A na to, że go nam sprzeda?

- zapytała Kate.

- Za odpowiednio wysoką cenę sprzeda - powiedział Blaise.

Objął ją i czule pogłaskał po głowie.

- Nie przejmuj się, moja droga.

Pieniądze to naprawdę ostatnie z moich zmartwień.

Były one natomiast -jak się okazało - pierwszym i najważniejszym zmartwieniem Dominique.

Po ostatniej rozmowie z Kate, zakończonej groźbą ujawnienia sensacyjnych, a przy tym wyjątkowo niebezpiecznych informacji, Dominique rozpoczęła gorączkową kampanię.

Miała ona na celu zdobycie pieniędzy wszelkimi sposobami - do sprzedawania siebie samej włącznie.

Bardzo szybko okazało się jednak, że już nikt nie jest zainteresowany kupowaniem.

Raz po raz powtarzała się ta sama sytuacja: Dominique była już pewna, że zdobyła liczącego się klienta, że wszystko zostało umówione i potwierdzone, a potem nagle okazywało się, że jakimś niezrozumiałym sposobem trafiał on do jej siostry.

Szefowie działów informowali ją, że kolejni klienci wycofywali przedmioty, które wcześniej sami przystali do sprzedania.

Nawet ci liczni mężczyźni, którzy jeszcze niedawno w gorączkowych snach marzyli, że Dominique du Vivier kiedyś się z nimi umówi - albo chociaż do nich zadzwoni - teraz nagle stali się nie do osiągnięcia, niezmiennie nieobecni pod tym czy innym telefonem.

Było jasne, że jej unikają.

Ona, najbardziej pożądana kobieta w Nowym Jorku, nagle stała się tym nieświeżym jajeczkiem, które każdy usiłuje podrzucić komu innemu.

Jej nazwisko także i wcześniej pojawiało się na łamach różnych plotkarskich rubryk i ilustrowanych magazynów.

Jednakże teraz były to niemal wyłącznie informacje i plotki niezycziwe, czy wręcz ją poniżające.

Nawykła do występowania w roli królowej nowojorskiego towarzystwa, nagle musiała godzić się z tym, że została wykluczona nawet z dworu.

Zbyt późno zdała też sobie sprawę, jak istotną rolę odgrywało dotąd to, że była żoną Blaisea Chandlera.

Teraz, w miarę jak czas upływał, stawało się coraz bardziej oczywiste, że nie ma już nadziei na zwycięstwo.

Okazywało się - co było dla niej szczególnym wstrząsem, że ona, niezrównana i jedyna Dominique du Vivier, nagle wyszła z mody.

Teraz wszyscy mówili tylko o Kate Despard.

To jej teraz nadszkwano, przymilano się i wychwalano bez miary; kiedy na parę dni przyjechała do Nowego Jorku, była przyjmowana niemal jak członek brytyjskiej rodziny królewskiej.

Ba, nawet niektórzy ludzie z personelu Dominique w Despard's New York najwyraźniej już wyczuli, skąd wiatr wieje, i próbowali odpowiednio nastawiać własne żagle.

A już szczytem wszystkiego była obecność Kate na uroczystym przyjęciu, wydanym w Ranczu Fartownego Dolara przez Agathę Chandler - z okazji przekazania władzom stanu Kolorado nowo otwartego Muzeum Sztuki Dalekiego Zachodu.

Na tym przyjęciu z udziałem najdostojniejszych gości - wśród których był również prezydent Stanów Zjednoczonych - księżna Agatha ogłosiła publicznie, że pomysłodawczynią i inspiratorką całego przedsięwzięcia była Kate Despard.

Sukces tego rzeczywiście niezwykłego przyjęcia, a przede wszystkim osobisty sukces Kate, były dla Dominique jeszcze jedną szklanką piołunu.

A tym, co ostatecznie przepełniło czarę goryczy, były niezliczone kolorowe zdjęcia z tego wieczoru w Kolorado, które ukazały się na okładkach i pierwszych stronach prawie wszystkich pism i tygodników, od tych najpoważniejszych aż do tych, które zajmowały się głównie plotkami.

Gdziekolwiek spojrziała, wszędzie było pełno tych przeklętych zdjęć kobiety, która z nią wygrała, i stojącego obok niej mężczyzny, którego na rzecz tamtej utraciła.

Na niektórych ujęciach widać było, jak tych dwoje uśmiecha się do siebie, a Dominique oglądając to, mogła na sobie samej doświadczyć, że to rzeczywiście boli.

A w dodatku kierowany przez jej siostrę londyński oddział Despard's przez cały ten czas odnosił kolejne sukcesy w sprzedaży.

Już sama lista planowanych na najbliższe miesiące aukcji sprawiała, że Dominique poczuła się naprawdę chora.

Właściciele cennych przedmiotów i dzieł sztuki niemalże ustawiali się w kolejkach, byle tylko sprzedawała je Kate Despard.

Także ci, którzy kiedyś tak zabiegali o względy Dominique du Vivier, kiedy to ona była na szczycie, odwrócili się natychmiast, gdy tylko zaczęła przegrywać - przez co oczywiście przegrywała jeszcze wyraźniej.

Jedynie Biedna Sierota - Venetia Townsend - pozostała jej wierna.

Ale w tej sytuacji pożytek z niej był praktycznie żaden.

Dominique wycofała się więc do Prowansji, do Vent.

Stamtąd napisała formalne pismo do Blaisea, w którym oznajmiała, że odtąd zrzeka się wszelkich roszczeń, jeżeli idzie o firmę Despard's.

Poinformowała go też, że wnosi do sądu sprawę rozwodową, jako uzasadnienie wniosku podając porzucenie przez męża.

Była oczywiście wystarczająco sprytna, żeby w swej skardze rozwodowej nie wspominać o jego niewierności, gdyż zdawała sobie sprawę, że za taką bezczelność opinia publiczna z całą pewnością ukamienowałaby ją jeszcze przed wyrokiem.

Teraz siedziała w pustym salonie domu w Vent ze szklaneczką wina w dłoni i spoglądała na portret swego ojczyma, zawieszony nad kominkiem.

A jednak byłś przebieglejszy, niż sądziłam - podniosła szklaneczkę w skierowanym do Charlesa Desparda toaście.

- Teraz sądzę, że ty wszystko od dawna zaplanowałeś.

Przez długi czas uważałam, że to ja tobą steruję, ale w rzeczywistości przez cały czas robiłeś tylko to, co chciałeś.

I wymanewrowałeś mnie, ostatecznie.

No cóż, firma Despard jest już dla mnie stracona.

Ale wciąż mam te wszystkie pieniądze, które zebrałam w Hongkongu, a także zyski z różnych cichych interesów, dzięki którym teraz tak mnie cenią w pewnym szwajcarskim banku.

Tak więc to jeszcze nie koniec, i tamci też jeszcze o mnie usłyszą.

Powrócę, niech tylko upłynie trochę czasu i to wszystko cokolwiek się uspokoi.

Ludzie mają krótką pamięć.

A poza tym postaram się wziąć ile się tylko da z miliardów rodziny Chandlerów.

Potrafię zagrać porzuconą żonę, zresztą potrafię zagrać każdą rolę, jeśli tylko zechcę.

Blaise chce być wolny, więc będzie mógł mieć tę swoją wolność, ale będzie musiał za to zapłacić, choćby dlatego, że potrzebuję tych pieniędzy i wiem, co mam z nimi zrobić.

Dominique du Vivier jeszcze odrodzi się z popiołów, jak feniks...

i to będzie powrót, jakiego dotąd świat nie widział.

Tak będzie, musi być, powiedziała sobie Dominique.

Trzeba obmyśleć nowe plany, tym razem już bez dawnych błędów.

I pójść naprawdę na całego.

Sięgnęła po stojącą przed nią ozdobną szkatułkę Faberge, którą zazwyczaj trzymała zamkniętą w swym prywatnym sejfie.

Przekręciła srebrny kluczyk i podniosła cyzelowane, zdobione drogimi kamieniami wieczko.

W środku było pełno papierów: listów, fotografii, notatek, pokwitowań, a także kserokopii różnych dokumentów, w tym również certyfikatów pochodzenia niektórych sprzedanych kiedyś przez nią przedmiotów.

Tak, byłam naprawdę przewidująca, zachowując to, powiedziała sobie Dominique i uśmiechnęła się, wyjmując je po kolei ze szkatułki.

O, tu na przykład jest Luca di Crenza, ten od czterech podrobionych obrazów Tiepola; a tu znów Eduardo Santa Ana, od dosyć wątpliwego Goi.

Tylu było tych mężczyzn i tyle podobnie podejrzanych transakcji.

I tyle intymnych spotkań, utrwalonych na kompromitujących fotografiach, a na żadnej z nich nie można było zobaczyć jej twarzy, jedynie ciało.

O, tu na przykład, przyjęcie w willi Caraccio w Wenecji, to, które tak szybko przekształciło się w zbiorową orgię.

Można doskonale rozpoznać całą grupę bardzo znanych kobiet i mężczyzn. Wszyscy bez wyjątku bogaci, a więc zapłacenie za negatywy nie będzie dla nich problemem.

To jest moje dodatkowe ubezpieczenie, pomyślała z satysfakcją Dominique, patrząc na fotografie.

Rozłożyła je na biurku i z namysłem zamieniała miejscami, jak gdyby układając pasjansa.

No to który pierwszy?

- zastanawiała się w duchu.

Sama myśl o tym dawała jej na nowo poczucie władzy nad innymi i sprawiała perwersyjną rozkosz.

Blaise pojawił się w Vent nie zapowiedziany.

Dominique przeżyła nawet krótką chwilę szalonej nadziei, że może jednak wygrała mimo wszystko.

Że Blaise okazał się od niej uzależniony bardziej, niż sam przypuszczał, i wrócił, ponieważ po prostu nie mógł nic na to poradzić.

Gdy jednak powiedział jej, po co naprawdę przyjechał, uśmiechnęła się złośliwie i powiedziała: - To cię będzie drogo kosztować.

- Niczego innego się nie spodziewałem - odpowiedział spokojnie Blaise.

- Bardzo, bardzo drogo.

- Podaj swoją cenę.

Dominique była tak samo wykwinna, wypielęgowana i zadbana jak zawsze.

To, że inni przestali o nią dbać, nie oznaczało przecież, że i ona ma zrobić to samo.

Teraz miała na sobie luźną jedwabną piżamę z szerokimi rękawami i nogawkami, w kolorze kwiatów dzikiego maku, a jej idealnie ułożone włosy jak zawsze przypominały hełm z czarnej chińskiej laki.

Pachniała wciąż tymi samymi, skomponowanymi specjalnie dla niej perfumami, ale Blaise uznał teraz ich zapach za zbyt natrętny i nużący.

Także jej uroda zupełnie go już nie pociągała.

Dlatego chciał jak najszybciej odebrać portret i natychmiast odjechać.

Najlepiej byłoby, żebym już jej nigdy więcej nie oglądał, pomyślał.

No cóż, chyba nikt nie lubi, żeby popełnione kiedyś błędy znów stawały mu przed oczami.

- A więc może rozpoczniemy licytację?

- powiedziała Dominique z leniwym, prowokującym uśmiechem.

- Panie i panowie, ile mogłabym dostać za ten piękny portret zmarłego przed rokiem Charlesa Gastona Desparda?

Czuła się wystarczająco pewna siebie, by podjąć z Blaiseem grę w kotka i myszkę; wciąż ufala ostrości swoich pazurów i swej niezwyklej umiejętności błyskawicznego przejścia do ataku.

Spojrzała na Blaisea i dokończyła, wciąż tym samym tonem: - Ten portret nie jest może malarskim arcydziełem, ale z pewnością można go uznać za rzadką osobliwość, swego rodzaju rarytas.

Obróciła się do obrazu i zaczęła mu się przyglądać z miną eksperta badającego nieznane dotąd dzieło.

Charles Despard został sportretowany za biurkiem w swoim gabinecie.

W dłoni trzymał staroświeckie wieczne pióro, twarz miał uśmiechniętą; srebrnobiałe włosy na skroniach jeszcze mocniej uwydatniały twarz o ciemnej karnacji, zmysłową i pełną ciepła, które przebijało również z brązowych oczu.

Na ścianie z tyłu za nim można było rozpoznać wiszący w jego gabinecie stary portret, przedstawiający Gastona Despada, założyciela rodu.

- No tak.

Nie jest to dzieło sztuki - stwierdziła Dominique.

- Ale podobieństwo, zostało uchwycone znakomicie.

A propos, może pomyślałbyś o sportretowaniu również twojej Kate?

Tylko proszę, nie zamawiaj portretu u Anniginiego, jego postacie zbyt przypominają portrety woskowych figur, a nie żywych ludzi.

Szkoda, że Boldini już nie żyje, bo on potrafił interesująco namalować nawet najprzeciętniejszą kobietę...

- Ile?

- zapytał niewzruszony Blaise.

Wiedząc, że straciła już swą władzę nad nim, Dominique postanowiła przynajmniej go za to ukarać.

- To ty kazałeś mnie szpiegować, prawda?

Kazałeś założyć podsłuch i nagrywać każde moje słowo, a potem powiedziałeś tej małej Despard, jak może mnie zaszantażować?

- Przyszynę, że kazałem cię śledzić i podsłuchiwać, ale to Kate zdecydowała, jak wykorzystać fakt posiadania tych nagrań.

- Nie ma dość ikry, nie odważy się tego ogłosić.

- Kate nie umie zadawać bólu, to prawda.

Ale nie zapominaj, że ja jestem po części Indianinem.

- Blaise uśmiechnął się kącikami ust.

- My, czerwonoskórzy, nie pozwalamy, by sentymenty stały nam na drodze.

Zmierzyli się wzrokiem i Dominique tylko z najwyższym trudem potrafiła stłumić rodzący się w niej dreszcz najprawdziwszego lęku.

Tak, powiedziała sobie, to jest właśnie to.

To przede wszystkim ta kryjąca się gdzieś tuż pod powierzchnią nieokiełznana dzikość zawsze ją w nim pociągała.

Wiedziała od dawna, że z Blaiseem można było robić to czy tamto, lecz zawsze tylko do pewnej granicy.

Ale z kolei ona zawsze miała w sobie nieprzepartą chęć przekraczania wszelkich takich granic.

- Powiedz mi, jak wpadłeś na to, że to ja?

- zapytała.

- Właściwie zaczęło się to od Kate.

Wszelkie jej emocje są zawsze bardzo czytelne, więc nie mogłem nie zauważyć, że w pewnym momencie zaczęła reagować na ciebie prawdziwą nienawiścią, której w ogóle nie potrafiła ukryć.

A ponieważ nie jest to osoba, która nienawidziłaby kogokolwiek bez istotnej przyczyny, zacząłem szukać tej przyczyny i znalazłem ją w osobie Rolla Bellamyego.

Tak, on cię rozpoznał z całą pewnością.

I to nie tylko dzięki zapachowi twoich perfum.

Podejrzewał cię właściwie od początku, i głównie z tego powodu wybrał się do Hongkongu.

A ty z tego samego powodu kazałaś go załatwić.

Miałaś nadzieję, że tego nie przeżyje, ale Rollo jest żywotny jak kot i trzyma się życia pazurami.

To po tym pobiciu Rolla kazałem zorganizować podsłuch i śledzenie każdego twojego kroku.

Wiem, z jakimi ludźmi się spotykałaś i jak często; wiem też, ile czasu spędziłaś z Cza Li, zarówno w łóżku, jak i poza nim.

Dominique prychnęła pogardliwie.

- Nie wierzę ci - powiedziała.

- Cza Li nie pozwoliłby się podsłuchać, wiedziałby o tym.

Blaise uśmiechnął się.

- Zapominasz, że byłem w Wietnamie.

Przez dwa lata nauczyłem się co nieco tego, co nazywa się myśleniem człowieka Wschodu.

Ale do tego, co się stało, przyczyniłaś się przede wszystkim ty sama.

Twoim największym problemem zawsze była pycha i próżność.

Ani przez moment nie przyszło ci do głowy, że ktoś mógłby cię przejrzeć.

Ta twoja "aukcja stulecia" - która przecież była przede wszystkim popisem niesłychanej bezczelności - okazała się takim sukcesem, że to ci już kompletnie przewróciło w głowie.

Byłaś pewna, że tobie wszystko musi ująć na sucho - nawet morderstwo.

I zresztą nadal w ogóle się tym nie przejmujesz, dodał w duchu.

Jedna jedyna osoba na świecie coś dla ciebie znaczy, a tą osobą jesteś ty sama.

- A poza tym nie doceniłaś swojej siostry.

Nie mogłaś po prostu uwierzyć, że Kate jednak zna się na tym, co robi.

Czy ty naprawdę sądziłaś, że ona ten olbrzymi dom, wypełniony aż po strych bezcennymi antykami, pozostawi bez odpowiedniej ochrony?

A ty sama jak postąpiłabyś na jej miejscu?

Dominique nie odpowiedziała ani słowem, patrzyła na niego w milczeniu.

- Przecież zastosowałabyś dokładnie takie same środki ostrożności jak ona.

Ale w stosunku do Kate przyjęłaś, że ona nie może mieć nie tylko twojego rozumu, ale nawet najzwyczajszego zdrowego rozsądku.

I to był twój bardzo wielki błąd.

Nie mówiąc już o tym, że w ogóle nie wzięłaś pod uwagę mnie.

Bez mrugnięcia okiem patrzyłabyś na nasze spopielone w tym pożarze trupy i co najwyżej kazałabyś posłać - przesadnie wielkie, jak zawsze - wieńce i wiązanki kwiatów na pogrzeb.

Popatrzył na nią i dokończył już krótko: - Wygląda na to, moja droga, że zgotowałaś ten pogrzeb nie nam, ale raczej samej sobie.

- Nie bądź tego taki pewny - syknęła rozwścieczona Dominique.

Oczy jej płonęły, a skurczone w zwierzęcym grymasie agresji wargi odsłaniały białe zęby aż po dziąsła.

- Nie rób sobie nadziei, że z powodu chwilowego niepowodzenia pozbędziecie się mnie na zawsze.

Miejcie się lepiej na baczności, bo zapewniam cię, że ja potrafię poczekać na odpowiedni moment, niezależnie od tego, ile czasu mi to zajmie.

Wtedy będę w pełni gotowa i znów będziecie się ze mną liczyć, bo po prostu będziecie musieli!

A jeżeli idzie o ten portret, to chcę za niego dziesięć milionów dolarów.

Jako dzieło sztuki portret nie był wart nawet dziesięciu tysięcy.

Dominique doskonale o tym wiedziała, ale wiedziała też, że dla Kate Despard był po prostu bezcenny.

A co było bezcenne dla Kate, stawało się bezcenne również dla Blaisea.

- Zlecę przekazanie tej sumy na twoje konto w Nowym Jorku.

- Nie, nie w Nowym Jorku, w Genewie.

W dającej się przewidzieć przyszłości tam właśnie zamierzam mieszkać.

- Jak sobie życzysz.

Blaise podszedł do kominka i ostrożnie zdjął portret z podwójnego haczyka.

Dominique przyglądała się, jak obraz powoli przesuwają się w dół, pozostawiając na ścianie jasny ślad - prostokąt bielszego tynku.

Nie było w tym nic dziwnego, po tylu latach.

Natychmiast postanowiła, że musi tam powiesić jakiś inny obraz.

Na przykład tę martwą naturę, fałszywego Matissea, którego kiedyś, jeszcze na początku swojej kariery, zakupiła jako nie budzące wątpliwości oryginalne dzieło.

Zresztą tę jej ocenę podzielali podówczas wszyscy.

Dopiero później człowiek, który ten obraz namalował - nieudany artysta, ale za to genialny fałszerz - sam przyznał się jej do autorstwa falsyfikatu.

Dominique postanowiła wówczas zachować ten obraz, który miał jej odtąd stale przypominać, że nie wolno dwa razy powtarzać tego samego błędu.

Ale to najwyraźniej nie pomogło - były błędy, które popełniała nie dwa, ale wiele razy z rzędu.

Jak bowiem inaczej można by wytłumaczyć choćby to, że Blaise Chandler zostawia ją teraz z takim pośpiechem, jak gdyby chciał stąd uciekać na złamanie karku?

Dominique poczuła nagłą potrzebę odegrania się na nim, a przynajmniej zadania mu bólu.

- Czy ta mała Despard jest warta aż takich pieniędzy?

- zapytała.

Blaise odwrócił się i spojrzał na nią.

- Za wszystkie pieniądze świata nie da się kupić mojej Kate - powiedział.

Ton tych spokojnie wypowiedzianych słów był taki, że Dominique zupełnie niespodziewanie poczuła, iż rozdzierają jej duszę.

- Enfin!

- wykrzyknęła, dławiąc się od nie dającej się już opanować nienawiści.

- A więc i ty się w końcu zakochałeś.

Blaise jeszcze raz spojrzał na nią i na jego wargach z wolna pojawił się uśmiech.

A ona zdała sobie sprawę, że do niej nigdy się w ten sposób nie uśmiechał.

- Tak, tym razem to miłość - powiedział.

I w tej samej chwili Dominique poczuła, że coś nagle pękło i osunęło się w środku w niej samej.

To było coś takiego jak orgazm - orgazm samozniszczenia, nad którym już nie była w stanie zapanować.

- A czym wobec tego było to wszystko między nami?

- zapytała.

Część Ósma.

Na Granicy Jawy i Snu.

Luty.

Rozdział 21 .

Blaise i Kate leżeli nago na samym brzegu morza, pozwalając leniwym i łagodnym falom ciepłego oceanu chłodzić ich rozpalone miłością ciała.

Na wprost przed nimi ogromny krwawoczerwony krąg słoneczny zapadał za linię horyzontu, niczym jakaś wrzucana do automatu gigantyczna moneta.

Wszędzie było cicho, tylko lekki wiatr szumiał w drzewach i marszczył powierzchnię wody.

Łagodne fale napływały na brzeg i załamując się na płyciznie zabierały ze sobą okrągłe kamyki, które następna fala przynosiła z powrotem.

Cykady powoli zaczynały stroić swe instrumenty przed wieczornym koncertem.

Kate była tak przesycona szczęściem, że jej stan wydawał się chwilami bliski jakiejś nieskończonej błogiej katatonii.

Nigdy w całym dotychczasowym życiu nie zdarzyło się jej czuć czegoś podobnego, nigdy też zresztą nie przyszło jej do głowy, że w ogóle można być aż tak bezgranicznie szczęśliwą.

Poczucie spełnienia wypełniało ją całą, nieomal przelewając się przez brzegi.

A wszystko to dał jej ten mężczyzna, którego czuła teraz tuż obok siebie, a jeszcze przed chwilą czuła go też w sobie - i była jeszcze szczęśliwsza.

Miesiąc temu weszła w ten niezwykły okres swego życia jako Kate Despard - dziewczyna; jutro miała stąd wyjechać jako Kate Despard - kobieta.

Kobieta, która kąpała się nago, która nie wstydziła się już swego ciała, uroczym zaokrąglonego tu i ówdzie, zgrabnego, gibkiego i opalonego na kolor ciemnego złota po długich godzinach wylegiwania się na słońcu.

To ciało potrafiło teraz brać i dawać, odczuwać i wywoływać odczucia zupełnie niewiarygodne; a raz rozbudzony w nim apetyt na miłość stał się w rezultacie czymś, co całkowicie zmieniało i ją samą, i jej dotychczasowy sposób życia.

To ciało teraz potrafiło żądać, rodziły się w nim potężne i głośno ujawniane namiętności. Te z kolei uszczęśliwiały Blaisea w sposób dotąd dla niego niewyobrażalny; był to jakiś z pozoru niemożliwy i absolutnie niepojęty cud, który on sam przyjmował z niezwykłą, pełną pokory wdzięcznością.

Kate stała się kobietą, która budziła się o świcie i z uśmiechem na ustach biegła, żeby popływać w oceanie; pochłaniała miejscowe potrawy w zdumiewających ilościach, grała w tenisa i jeździła konno, a potem gorącymi popołudniami kochała się z Blaiseem - długo, powoli i leniwie, przewlekając do granic możliwości każdą minutę i sekundę z osobna.

Potem, przytulona do niego, spała godzinę lub dwie, by następnie znów pływać przed kolacją.

Później zazwyczaj tańczyli przy dźwiękach przesyconej erotyzmem muzyki zespołu Herba Alperta, prawdziwego czarodzieja trąbki z tłumikiem.

Tańczyli z przymkniętymi oczami, ich przylegające do siebie ciała kołysały się zgodnie z pulsującym rytmem aż do chwili, kiedy ogarnięci narastającym na nowo pożądaniem znów dryfowali w kierunku sypialni, by tam kolejny raz osiągać i przekraczać wszelkie dające się pomyśleć granice rozkoszy.

Blaise przywiózł ją tu przed miesiącem.

Ta biała willa wybudowana była na pełnym odludziu, na najdalszym cyplu półwyspu Jukatán.

Z trzech stron otaczało ją morze, z czwartej - nieprzebyta dżungla.

Tu naprawdę można było mieć wrażenie, że się jest na samym końcu świata.

Przylecieli samolotem wyposażonym w specjalne pływaki do lądowania na wodzie.

Willa miała własny basen, zbudowany w kształcie turkusowego rombu, w którym woda pozostawała chłodna nawet przy największym upale w samo południe.

Nocami Kate i Blaise zjeżdżali wykutą w skale sztolnią specjalnej windy, która zwoziła ich pięćdziesiąt metrów niżej prosto nad niewielką i całkowicie pustą zatoczkę.

Mogli tam bez przeszkód pływać nago, ponieważ dookoła - poza nimi samymi, oraz służbą, która pozostawała w willi - nie było żywego ducha.

Skąd on wiedział, że właśnie o czymś takim zawsze marzyłam?

- pytała sama siebie zaraz po przyjeździe.

A potem okazało się, że każdy następny dzień jeszcze wyraźniej udowadniał zdumionej i uszczęśliwionej Kate, jak wiele Blaise już o niej wie, pod każdym względem.

Wie nie tylko o jej ciele, które wreszcie wyzwoliło się od wszystkiego, co mogło je dotąd krępować - podobnie jak on wyzwolił się wreszcie od swego gipsu - ale wie też niemal równie wiele o jej myśleniu, o jej duszy.

Tak więc to jej już całkowicie rozhamowane ciało mógł teraz badać jeszcze bardziej gruntownie i wnikliwie, z tą tak charakterystyczną dla niego, cudownie niespieszną systematycznością.

Skutek czasami był taki, że wespół przytomna Kate wręcz krzyczała do niego, żeby skończył, żeby ją wreszcie wziął.

A kiedy później rozmawiali ze sobą, nie przestawała się dziwić, jak wiele zdołał się o niej dowiedzieć z samej tylko obserwacji, już podczas tego pierwszego okresu, który on sam nazywał teraz okresem "skazania na celibat".

Jakiś czas temu Kate wspomniała mu o filmie, który kiedyś widziała i z którego zapamiętała przede wszystkim taką właśnie willę.

Nie pamiętała już, gdzie ta willa z filmu była położona - zbyt wiele czasu upłynęło od tej chwili - ale pamiętała, że była olśniewająco biała, wybudowana wysoko na stromym brzegu nad morzem.

Pełno było w niej różnych toków i arkad, podłogi były zrobione z białego i czarnego marmuru.

Pamiętała też poruszane wiatrem, białe, półprzejrzyste zasłony, srebrne lichtarze z wysokimi świecami, których płomyki chwiały się leciutko w delikatnych powiewach ciepłej bryzy.

Na filmie był tam jeszcze stolik, zastawiony kolacją dla dwojga, szampan chłodzący się w srebrnym wiaderku, płatki magnolii pływające w miseczkach z wodą do mycia palców. Z głębi domu dobiegała cicha muzyka, ktoś grał na pianinie nokturn Szopena - ten najpiękniejszy, który wtedy ją zupełnie oczarował.

Na wiele lat pozostało to nie spełnionym marzeniem jej młodości, daremną tęsknotą, żeby kiedyś do takiego właśnie miejsca zabrał ją ktoś, kto podówczas nie mógł mieć jeszcze ani twarzy, ani osobowości.

I oto, kiedy tuż przed północą przylecieli tu na Jukatán, okazało się, że jej sen się spełnił.

Wchodzili do białej willi po ogrodzonym balustradą i wyłożonym marmurową mozaiką tarasie, w głębi widać było białe łuki arkad i chwiejące się od lekkich powiewów wiatru białe zasłony.

Był szampan w srebrnym wiaderku z lodem i kwiaty magnolii w sztucznym stawie z umieszczoną na środku marmurową fontanną.

Z ukrytych głośników płynął - ten sam - cudowny nokturn Szopena.

Kate kiedyś powiedziała, że uwielbia kolor zielony - i okazało się, że przeznaczona dla niej sypialnia jest cała utrzymana w takiej właśnie tonacji - bladoszrebrzystej zieleni, skonstrastowanej z najczystsza białą.

Przyznała się też, że dla niej wyrazem luksusu jest wpuszczona w posadzkę okrągła wanna.

Teraz okazało się, że taką właśnie olbrzymią marmurową wannę - do której schodziło się po sześciu marmurowych stopniach - miała w przylegającej do tej sypialni swojej osobistej łazience.

Parę razy rozmawiała z Blaiseem o muzyce i opowiedziała mu, co z niej szczególnie lubi i co ją najbardziej wzrusza.

I oto teraz, gdy tylko weszła do pokoju, zobaczyła - już włączoną - najnowszą wieżę stereo, a obok niej otwartą szafkę z kasetami i płytami kompaktowymi, wśród których było dosłownie każde nagranie i każdy tytuł, który kiedykolwiek wymieniła - wszystkie ukochane przez nią utwory i wykonania.

Wyglądało na to, że wszystko, co kiedykolwiek powiedziała, zostało zapamiętane i następnie wykorzystane właśnie po to, by mogła to znaleźć tutaj.

Tak jak te białe azalie w jej sypialni, których delikatny zapach stawał się jeszcze wyraźniejszy w subtropikalnej nocy; jak jedwabne prześcieradła i pościel z crepe de Chine, jak wreszcie olbrzymia butelka jej ulubionych perfum Vent Vert.

Tak więc Kate przefruwała z pokoju do pokoju, niczym jakiś radośnie rozśpiewany kolorowy ptak, który beztrudno przemieszcza się z jednego ukwieconego drzewa na drugie i na każdym znajduje coś dla siebie.

Była tak zachwycona, że czasem aż zapierało jej dech w piersiach.

- Ale...

do kogo to wszystko należy?

- zapytała.

- Teraz do mnie - odpowiedział Blaise.

- Teraz?

- Kupiłem ten dom ledwie sześć tygodni temu, kiedy tylko dowiedziałem się, że jest na sprzedaż.

Kiedyś, dość dawno temu, byłem tu jako gość i nigdy nie zapomniałem wrażenia, jakie to na mnie zrobiło.

I samo miejsce, i to oddalenie od wszystkiego i wszystkich.

Miejsce rzeczywiście było odludne i - przynajmniej na Kate - sprawiało wrażenie położonego na samym końcu świata; choć zgodnie z tym, co mówił Blaise, dość blisko były dwa niewielkie miasteczka - Puerto Juarez i El Diaz.

Stamtąd właśnie pochodziła ich meksykańska służba.

Wszystko, co było potrzebne do utrzymania domu, przywoziło się samolotem z Miami - jedzenie, wino, nawet wodę mineralną.

Z lądującego w zatoczce hydroplanu wylądowywało się niezliczone skrzynie i paczki, a następnie wszystko to trafiało do olbrzymich zamrażarek, lodówek, spiżarni i chłodni.

Nikt z meksykańskiej służby nie znał angielskiego, ale okazało się - ku zaskoczeniu Kate - że Blaise swobodnie mówi po hiszpańsku.

- No tak.

Co ty jeszcze potrafisz, o czym ja w ogóle nie wiem?

- zapytała.

Fascynowało ją wszystko.

Oglądała willę, biegła z pokoju do pokoju i otwierała ukryte w ścianach żaluzjowe drzwi, za którymi natrafiała na ogromne szafy pełne najróżniejszych damskich strojów i luksusowej bielizny.

Wszystko to było w jej rozmiarach i numeracji.

Z zachwytem brała do rąk oryginalne rzeźbione figurki z czasów Azteków i Majów, przyglądała się dawnym maskom wyklepanym z czystego złota, iskrzącym się od drogich kamieni nakryciom głowy i cudownym, wykonanym z ptasich piór, dawnym strojom indiańskim.

- Czy to wszystko już tu było, kiedy kupowałeś tę willę?

- zapytała.

- Tak.

Zastrzegłem to sobie, składając ofertę kupna.

Willa miała mi zostać przekazana bez zabierania z niej czegokolwiek.

Miało być dokładnie tak, jak to sobie zapamiętałem podczas tamtego pobytu.

A zapamiętałem wszystko, do ostatniej łyżeczki...

- ...z cyzelowanego srebra, z rączką inkrustowaną turkusami!

- dokończyła Kate, która właśnie odłożyła jedną z takich łyżeczek do staroświeckiej drewnianej szkatułki z misternie wyciętymi zagłębieniami, oklejonymi zielonym sukniem.

-Zapowiadałeś mi niespodziankę, i rzeczywiście...

W godzinę później oboje stali na tarasie i popijając przygotowane przed kolacją koktajle, przyglądali się cudownemu zachodowi słońca.

- Chyba jesteśmy w niebie...

- powiedziała w rozmarzeniu Kate.

- Nie, w prawdziwym niebie będziemy nieco później - poprawił ją Blaise, patrząc na nią takim wzrokiem, że pod Kate kolejny raz ugięły się kolana, a gdzieś spod żołądka rozplynęła się fala rozkosznego ciepła.

Ale w miarę, jak to "nieco później" zbliżało się coraz bardziej nieodwołalnie, Kate zaczęła się bać i chwilami była bliska paniki.

Siedziała przy swej toalecie, ubrana w coś pośredniego między kuszącym szlafrocikiem a elegancką suknią z lejącej się białej krepy.

Ten strój miał pozornie bardzo skomplikowany system zapięć, ale w rzeczywistości dawał się bardzo łatwo zdjąć, po rozpięciu zaledwie jednej spinki.

W uszach miała prześliczne kolczyki ze złocistych topazów, które Blaise ofiarował jej jakiś czas temu, głównie dlatego, że -jak to podkreślił - idealnie pasowały do jej złotych oczu.

Patrzyła w lustro i wiedziała, że wygląda pięknie, ale jednocześnie czuła, że tam w środku pod tą efektowną powłoką bynajmniej nie jest pięknie, ponieważ po prostu potwornie się bała.

Bała się, że może rozczarować tego mężczyznę, który - była tego pewna - spodziewał się po niej tak wiele.

Dotychczas bowiem, dopóki wciąż miał na sobie ten ciężki, wyjątkowo nieporęczny i mocno przeszkadzający gips - Blaise ograniczał się tylko do pieszczot i pocałunków.

- Nie ma sensu - tłumaczył jej wtedy, z cokolwiek krzywym uśmiechem - zaczynać czegoś, co według wszelkiego prawdopodobieństwa skończyć byłoby trudno, a już na pewno niewygodnie.

A poza tym - jestem perfekcjonistą, więc biorę to niebo na świadka, że kiedy już będziemy się kochać, to też perfekcyjnie...

Niecierpliwe oczekiwanie na ten właśnie moment łatwo było wyczytać w jego oczach przez cały wieczór.

Sama Kate też przecież o tym marzyła; Bogiem a prawdą nieraz nawet modliła się o to. Ale teraz, kiedy ta chwila zbliżała się nieuchronnie, coraz bardziej miała ochotę powiedzieć: "Nie, dziękuję, zmieniłam zdanie.

Chyba się mimo wszystko wycofam"...

Czuła się tak bardzo niedoświadczona.

Tylko dwaj mężczyźni robili to z nią, i to dawno temu, przed laty.

Jeden z nich chciał się nią posłużyć przede wszystkim jako szczeblem do kariery; drugi chciał - poprzez pójście z nią do łóżka - sam się czegoś nauczyć.

Kate wiedziała tylko tyle, że za każdym razem ją to mocno bolało i w ogóle było rozpaczliwym rozczarowaniem.

Teraz więc była przerażona, że to ona może rozczarować tego jedyne w jej życiu mężczyznę, którego rozczarować jej nie było wolno, ponieważ po prostu tego by już nie zniosła.

Coraz bardziej się bała, że jej brak doświadczenia i kompletna niewiedza mogą sprawić, że Blaise najpierw poczuje się znudzony, a potem w ogóle ją odtrąci z uzasadnionym niesmakiem.

Panie Boże, westchnęła w duchu.

Pomóż mi jakoś przez to przejść, tylko o to cię proszę.

Jednak żeby - na wszelki wypadek - i ze swojej strony jakoś wesprzeć tę spodziewaną pomoc z niebios, starała się wypijać do dna wszystko, co tylko jej podawano, poczynając od szampana przed kolacją i kończąc na dużym kieliszku brandy po posiłku.

Mimo to wciąż miała wrażenie, że jest rozpaczliwie trzeźwa.

Patrzyła na płatki magnolii, pływające w kryształowej miseczce z wodą, na migotliwe płomyki białych świec w srebrnych lichtarzach i wciąż pytała sama siebie: Czy to tak ma wyglądać spełnienie snów?

To wszystko mogło być bardzo piękne na filmie, ponieważ tam wszystko było płaskie i sfotografowane na celuloidzie.

Ona sama była tylko widzem, więc mogła sobie siedzieć w pierwszym rzędzie, gryźć czekoladki z lukrecją i ukradkiem ronić sentymentalne łzy, usprawiedliwione, gdyż wszystko było tam takie piękne i romantyczne.

Ale rzeczywistość wcale taka nie jest.

Rzeczywistość to także straszliwe nerwy i nadmierne oczekiwania, i coraz silniejsza obawa, że nie sprosta się tym oczekiwaniom, i...

- Kate?

- usłyszała głos Blaisea.

Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie.

Ale to, co zobaczyła w jego oczach, sprawiło, że czym prędzej odwróciła oczy.

- Kate.

- powtórzył Blaise.

Teraz już stał obok niej, a jego głos był tak delikatny i tak czuły, że w jej oczach zakręciły się łzy.

- Czy ty usiłujesz mi coś w ten sposób powiedzieć?

Na przykład: że musisz się upić, żeby odważyć się być ze mną?

- Wcale się nie upiłam - odpowiedziała Kate, czując się potwornie nieszczęśliwa.

- Jeśli się nawet nie upiłam, to w każdym razie bardzo się starałam.

Dlaczego?

Zmusiła się, żeby podnieść wzrok i spojrzeć mu w oczy.

- Ponieważ po prostu strasznie się boję.

To wszystko tu jest takie wspaniałe...

takie doskonałe.

A ja się boję, że najzwyczajniej temu nie dorównuję.

Blaise popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- Powiedz mi, proszę, czy ty wciąż jeszcze nie nauczyłaś się przynajmniej jednego: że nic z tego, co ty kiedykolwiek zrobisz, nie może mnie rozczarować?

Nigdy.

To po prostu niemożliwe.

- Ale kiedyś rozczarowałam tamtych...

Powiedzieli mi, że jestem zimna jak ryba.

- Nie istnieje coś takiego jak zimna kobieta.

Są tylko nieudolni mężczyźni.

- No nie!

- Kate potrząsnęła głową.

Zbyt żarliwie ubóstwiała Blaisea, żeby uwierzyć w coś podobnego w jego przypadku.

- Ty w każdym razie nie możesz do nich należeć.

Bo Dominique z pewnością...

nie marnowałaby na ciebie czasu...

-Alkohol najwyraźniej powoli zaczynał uderzać jej do głowy.

- Chcesz, żebym się z tobą kochał?

- Ależ tak...

Tak, tak!

Tylko po prostu ją...

to znaczy, we mnie nie...

bo ja...

-Można było mieć wrażenie, że Kate próbuje powiedzieć wszystko naraz.

- Chodzi o to, że nie jestem...

bardzo doświadczona.

- W porządku.

Za to ja jestem.

- Ale...

po Dominique...

- Aha, rozumiem.

Więc uważasz, że szukam jeszcze jednej Dominique?

- spytał ironicznie i uśmiechnął się, widząc jej smutne oczy.

- No więc dowiedz się, że tej jednej naprawdę mi wystarczy, aż nadto.

Nie chcę jej, chcę Kate.

Ten dom kupiłem dla Kate.

Czekałem na Kate i marzyłem o Kate.

Nic mnie nie obchodzi Dominique i z pewnością ostatnią rzeczą, której mógłbym pragnąć, byłoby wywołanie u ciebie wrażenia, że dokonuję jakichś porównań.

Ty jesteś ty, i nie istnieje nikt taki jak ty, i to właśnie ciebie i tylko ciebie pragnę.

Więc w ogóle nie troszcz się o to, co miałabyś robić, jak i w którym momencie...

Chcę tylko, żebyś ze mną współdziałała - nic ponadto...

Wziął ją na ręce i zaniósł na miejsce, gdzie stały niskie, wyplatane z wikliny fotele-szeszlongi.

Umościł się w jednym z nich, przez cały czas trzymając Kate w ramionach i tuląc ją do siebie niczym zalęknione dziecko.

- Nie musimy się śpieszyć - powtarzał jej bardzo cicho.

- Nie musimy się śpieszyć w ogóle.

Powoli ugłaskał ją i uspokoił, cierpliwie i łagodnie - przypominając sobie, jak to kiedyś na ranczo uspokajał młodziutką nerwową klacz.

Uśmiechnął się na to wspomnienie i nadal głaskał Kate po włosach, tulił ją do siebie i szeptał jej do ucha najczulsze słowa, a jej twarz obsypywał jeszcze czulszymi pocałunkami; najpierw bardzo ostrożnymi i leciutkimi, a potem coraz gorętszymi i coraz bardziej namiętymi.

Pod ich wpływem paraliżujące ją dotąd zawstydzenie ostatecznie się gdzieś ulotniło, a ona sama przestała się wycofywać w głąb siebie.

Otwierała się teraz, niczym kwiat pod wpływem słońca, i sama zaczynała odczuwać coraz silniejszą potrzebę ujawnienia tego, co w niej stale było - potrzebę fizycznego wtulenia się w niego, zaspokojenia narastającej tęsknoty.

Budzące się w niej na nowo pożądanie sprawiło, że już całkowicie pozbyła się dawnej nerwowości.

Raz rozbudzona zmysłowość tliła się odtąd niczym zapalony lont.

Zarówno u niego, jak i u niej gwałtownie spotęgowana wrażliwość wszystkich możliwych zakończeń nerwowych sprawiła, że - wciąż pozostając w uścisku - oboje nagle zaczęli dygotać, choć z pewnością nie było im zimno.

- Kochaj mnie, kochaj, proszę cię!

- szepnęła mu do ucha Kate.

Zaraz potem zaczęła go całować, na oślep, namiętnie i gorąco.

Gdy tylko ich wargi się zetknęły, jej język natychmiast wcisnął się w głąb jego ust, a Blaise poczuł gwałtownie narastającą erekcję.

Wciąż trzymając ją na rękach, podniósł się z wiklinowego fotela i zaniósł Kate do jej srebrno-zielonej sypialni.

Nie zapalił żadnej z lamp, ale wysokie okna z żaluzjami były otwarte na oścież, toteż szerokie prostokątne pasy srebrnego księżycowego światła kładły się na chłodnej marmurowej mozaice podłogi, a także na stojącym na niej ogromnym podwójnym łożu.

I właśnie tam Blaise wreszcie kochał się z nią tak, jak to sobie wymarzyła.

Nie, nie tak, znacznie wspanialej i piękniej, niż to w ogóle potrafiłaby sobie wyobrazić. Wygięta w łuk, przez długie chwile nie mogąc złapać tchu, czuła go w sobie wciąż mocniej i intensywniej, a przez jej ciało przebiegały gwałtowne dreszcze i nagle fale gorąca.

Blaise wypełniał ją całą, miała wrażenie, że jest go w niej coraz więcej, i że ona sama w jakiś dziwny sposób rozrasta się wraz z nim i staje się coraz lżejsza, tak jakby za chwilę miały im obojgu wyrosnąć skrzydła.

Krzyknęła oszołomiona.

A potem jeszcze kilka razy, coraz wyżej i coraz ostrzej.

Zaplotła swe długie nogi na plecach Blaisea i przyjmowała w siebie jego coraz mocniejsze i coraz głębsze uderzenia, kierowana nagle odnalezioną wiedzą instynktu.

Jej uwolniona od zahamowań zmysłowość wybuchła z taką intensywnością i siłą, że oszołomiony Blaise utracił wszelką zdolność do posługiwania się rozumem i tkwił w bezkrytycznym zachwycie.

To był dla niego prawdziwy wstrząs, porównywalny chyba tylko z tą chwilą sprzed lat, kiedy w ogóle po raz pierwszy znalazł się w łóżku z kobietą.

Teraz wszystko znów było jakby po raz pierwszy i wszystko wywoływało jego zachwyt - i to, że jej wciąż dziewczęce ciało przyjmowało go w siebie tak rozkosznie ciasno; jej niezwykła i jednocześnie naiwna chciwość zmysłowych doznań; jej naturalna zdolność do niepohamowanego dawania wszystkiego, co posiadała, łącznie z duszą.

To wszystko było tak nieprawdopodobnie intensywne, przeżyte tak mocno, że i on sam chwilami miał wrażenie, że za chwilę umrze z rozkoszy.

Kiedy poczuł, że Kate zbliża się do szczytu, że jej ciało sztywnieje i wygina się w łuk, z głową odrzuconą do tyłu i szeroko otwartymi ustami - sam również przestał się hamować i oboje jednocześnie opuścili świat rzeczywistości, zapadając się w jakiś wir, który odarł ich z ostatnich resztek świadomości.

Kiedy po jakimś czasie powrócili do czasu realnego, on wciąż pozostawał w jej ciele, a i uścisk, którym Kate nadal go obejmowała mógł sprawiać wrażenie, że ktoś ją do niego przyspawał.

Ich mokre od potu ciała wciąż stanowiły jedno.

Kiedy Kate po dłuższej chwili otworzyła wreszcie powieki, napotkała jego spojrzenie.

W jego oczach, przypominających dwa stawy napełnione ciemnością, zobaczyła odbicie tego, co było również i w jej oczach.

Blaise nieco ochryplym głosem powiedział tylko: - No więc sama widzisz...

- Och tak - odpowiedziała Kate.

I po chwili dodała: - Nie miałam pojęcia, że to w ogóle jest możliwe...

ale teraz wiem, co mają na myśli ludzie, którzy mówią, że ktoś był ślepy, a teraz widzi.

Im chodzi o mnie.

- Nie - powiedział Blaise tym samym, niezwykłym u niego tonem.

- Z całą pewnością mieli na myśli mnie.

Kate przeciągnęła się jak kot, pieszczotliwie przesunęła wewnętrzną częścią stopy po całej długości jego już wolnej od gipsu nogi - w górę i w dół.

Na dobrą sprawę bez przerwy ocierała się o niego całym ciałem i niewiele brakowało, żeby zaczęła po kocjemu mruczeć z zadowolenia.

- Bardzo słusznie skrót twojego imienia znaczy tyle, co "kot" - powiedział Blaise i uśmiechnął się do niej.

- To idealnie do ciebie pasuje, więc może odtąd tak cię będę nazywał: Cat?

- Tak, bardzo cię proszę.

Bardzo bym chciała, ponieważ tylko mój ojciec kiedyś mnie tak nazywał.

- I to imię było ostatnim, które wypowiedział.

Nie wiem, czy w ogóle o tym wiesz...

Jego żona powiedziała mi, że tuż przed śmiercią powtarzał "Cat, moja mała Cat"...

Była przekonana, że to ją miał na myśli, ale ja nigdy nie słyszałem, żeby Charles nazywał ją inaczej niż "Catherine" albo "ma belle".

A kiedy przeczytałem te jego listy, byłem już pewny, że miał na myśli ciebie.

- Blaise wyciągnął rękę i odsunął ciężkie, wilgotne włosy z jej twarzy.

- I już wiem, dlaczego kochał cię aż tak bardzo.

Kate wtuliła twarz w zagłębienie między jego uchem a szyją.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś.

Teraz wreszcie wszystko staje się takie, jak być powinno: idealnie doskonale...

- Podniosła wzrok, a na jej twarzy malowała się nie ukrywana duma.

- Nie rozczarowałam cię, prawda?

- To o wiele za mało powiedziane.

Zadziwiłaś mnie i wręcz oszołomiłaś.

Zrobiło się nieco chłodniej, toteż Blaise sięgnął po dodatkowe jedwabne prześcieradła i okrył ich oboje.

Przytuleni do siebie, zaspokojeni i szczęśliwi, leżeli w milczeniu, którego żadne z nich nie chciało przerywać.

Ponad ramieniem Blaisea Kate patrzyła na wnętrza, które teraz wydawało się jej jeszcze piękniejsze.

Światło księżyca wpadało wąskimi paskami przez na wpół otwarte żaluzje, szerszymi przez otwarte luki okien.

W ogromnych wazonach piętrzyły się całe masy białych azalii, srebrzyste pasma światła odbijały się w lśniących kamiennych płytkach mozaikowej podłogi, leciutki powiew wiatru leniwie poruszał półprzejrzystymi białymi zasłonami.

- Może po prostu umarłam...

- mruknęła sennie Kate - i tak właśnie wygląda niebo.

- Nie umarłaś, kochanie - odpowiedział Blaise.

- Przeciwnie, wreszcie teraz wiesz, co to znaczy żyć.

Żyć naprawdę.

Kate znów przytuliła się do niego.

- Och tak, tak...

W cztery tygodnie później wszystko było jeszcze piękniejsze.

Kate leżała, na wół drzemiąc, leniwie wyciągnięta na brzegu zatoki.

Otworzyła oczy i przeciągnęła się z satysfakcją.

- To był najwspanialszy miesiąc mojego życia - powiedziała.

- Mam takie uczucie, jakbym się po prostu na nowo urodziła: czuję się całkowicie odmieniona, szczęśliwa i...

czysta, jeśli takiego określenia można używać w stosunku do osoby pozostającej w cudzołożnym związku.

Ale przecież w tym naprawdę nie ma nic brudnego i nie może być.

Mam uczucie, że wszystko, co mogłoby być nieczyste, zostało już wypalone...

- Jak twoje piegi, które widać było tylko na białej skórze?

- Uważam, że jak na rudzielca, opaliłam się naprawdę pięknie.

Nawet w porównaniu z tobą jest to niezła opalenizna.

Jeśli jej opaleniznę można było określić jako ciemne złoto, to on był opalony na ciemny brąz.

- Jak szybko to jednak przeleciało.

- Kate westchnęła.

Usiadła i objęła ramionami własne kolana.

- Przeszło...

i nie ma!

- Dokładnie tak samo, jak te twoje kompleksy i zahamowania.

- Blaise uśmiechnął się.

- I pomyśleć, że to jest kobieta, która jeszcze niedawno temu miała silną nerwicę, nie powiem czego...

Kate rzuciła się na niego jak atakująca przeciwnika zawodniczka w rugby.

Przez chwilę tarzali się po piasku plaży jak dzieci, po czym - jak zawsze - Blaise zwyciężył, przewracając ją na plecy i chwytając za drobne nadgarstki, które z łatwością rozkrzyżował i przycisnął do ziemi.

Usiłował zachowywać pozory powagi, jednak widok jej roześmianej twarzy, w którą patrzył teraz z bardzo bliska, rozbroił go natychmiast i bez reszty.

Kiedy uwolnił jej nadgarstki i pochylił się, żeby ją pocałować, Kate wywinęła się zręcznie, przetaczając się parę metrów, a potem zerwała się i pobiegła w stronę wody, do której wskoczyła z pełnego rozbiegu.

- Ostatnie pływanie!

- zawołała, wynurzając się po chwili.

Blaise pobiegł za nią.

Tej nocy znów się kochali, powoli i długo, przewlekając do granic możliwości każdą słodką chwilę.

Później w którymś momencie Kate popatrzyła na niego i powiedziała: - Zastanawiam się, czy to możliwe, że jestem w ciąży?

Blaise roześmiał się.

- No, w każdym razie nikt nie może powiedzieć, że nie próbowaliśmy do tego doprowadzić.

Co to, to nie.

- Więc nie zmartwiłbyś się, gdyby się okazało, że tak jest?
- Byłbym uszczęśliwiony, a poza tym moja babka przestałaby mi wreszcie wiercić dziurę w brzuchu, żebym się w końcu postarał o dziedzica rodu Chandlerów.
- A także rodu Despardów, nie zapominaj o tym.
- W takim przypadku chyba lepiej byłoby mieć bliźnięta?
- Masz rację - powiedziała Kate z niewinną minką.
- spróbowalibyśmy jeszcze raz?

Koniec.

Strzeż się!

Da Capo to złodzieje czasu!

Informacji o książkach Wydawnictwa Da Capo udziela oraz sprzedaży i wysyłki zamówionych egzemplarzy dokonuje: KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA "FAKTOR" Skrytka pocztowa 60 02-792 Warszawa 78.